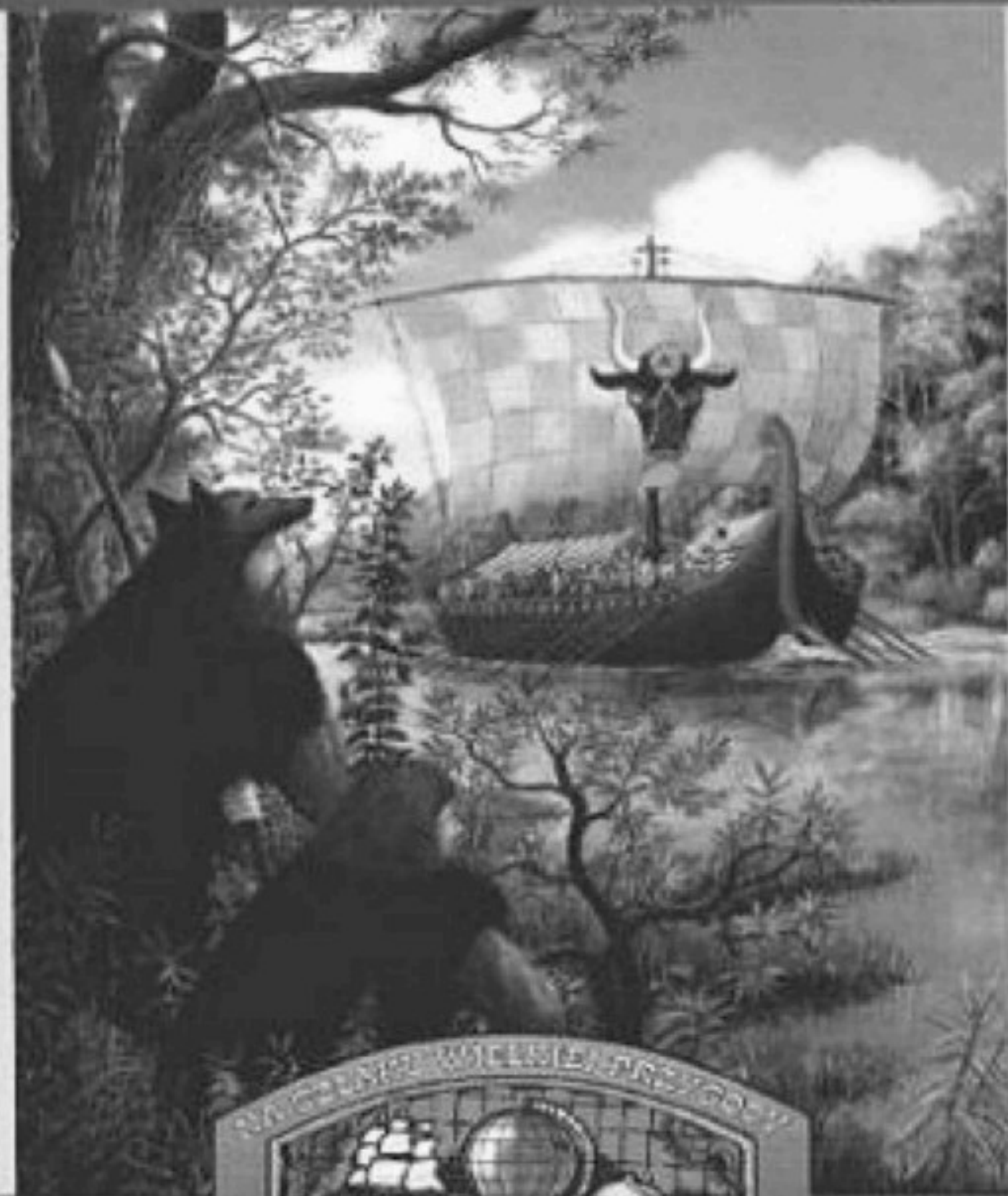


JOE ALEX

CZARNE OKRETY



WYDAWNICTWO WILK

JOE ALEX

CYKL: CZARNE OKRETY

Spis treści

Ofiarujmy bogom krew jego 4

ROZDZIAŁ PIERWSZY Nie gniewajcie się, Ryby! 4

ROZDZIAŁ DRUGI Ofiarujmy bogom krew jego! 20

ROZDZIAŁ TRZECI Połączysz się z Bogiem, ojcem twym! 27

ROZDZIAŁ CZWARTY Żyję, lecz on nie żyje! 38

ROZDZIAŁ PIĄTY Pragnę, aby przywiedziono ich żywych 54

ROZDZIAŁ SZÓSTY Otwarty sarkofag Nerau-Ta 58

ROZDZIAŁ SIÓDMY Przybyłem do ciebie 70

ROZDZIAŁ ÓSMY Widzę gwiazdy 75

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY Jeśli nie odnajdziesz go, oddam cię mrówkom. 91

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY I ogarnęła go ciemność. 96

ROZDZIAŁ JEDENASTY Ręce kapłanów długie są jak świat... 108

ROZDZIAŁ DWUNASTY Żeglarze nieśmiertelnego Minosa 121

ROZDZIAŁ TRZYNASTY Nie prosiłem cię o łaskę 129

ROZDZIAŁ CZTERNASTY Wy, którzy władacie ciemnością! 142

Cień nienawiści królewskiej 150

ROZDZIAŁ PIERWSZY Ujmij w dłoń topór twego królestwa 150

ROZDZIAŁ DRUGI Część jego ciała zabrali z sobą 158

ROZDZIAŁ TRZECI To bursztyn!!! 167

ROZDZIAŁ CZWARTY Dzięki niechaj będą Amonowi za to! 179

ROZDZIAŁ PIĄTY Kraina Mroku 191

ROZDZIAŁ SZÓSTY Serce biło mu jak szalone. 202

ROZDZIAŁ SIÓDMY Ujrzał na jego palcu pierścień 216

ROZDZIAŁ ÓSMY Żywot nasz mniej wart jest niżli dzban oliwy. 234

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY A spośród nich Skamonios wiedział najwięcej 238

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY Czy po mnie przychodzisz, zjawo?! 245

ROZDZIAŁ JEDENASTY Czyżby szczęście odebrało ci siły? 255

ROZDZIAŁ DWUNASTY Ziarnko piasku w oku człowieczym 268

ROZDZIAŁ TRZYNASTY Jestem, matko. 273

Kraina umarłych liści 286

ROZDZIAŁ PIERWSZY Popłyniesz do brata mego, króla Tenedos. 286

ROZDZIAŁ DRUGI Lew was rozszarpał płowy! 298

ROZDZIAŁ TRZECI Ojczy, odpływam! 314

ROZDZIAŁ CZWARTY Pragnąłbym, aby dzień ów był mroczny. 322

ROZDZIAŁ PIĄTY Straszne są wieści, które mi przynosisz 327

ROZDZIAŁ SZÓSTY To Ona pomieszała im zmysły? 338

ROZDZIAŁ SIÓDMY Ciemny pierścień zakrzepłej krwi 349

ROZDZIAŁ ÓSMY A gdy staniesz przed obliczem królów 359

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY W dół runął głaz olbrzymi... 362

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY I rozplakał się jak dziecko 379

ROZDZIAŁ JEDENASTY Noce są tu coraz dłuższe... 397

ROZDZIAŁ DWUNASTY Nie mści j się na duchu moim 413

Sam bądź księciem 442

ROZDZIAŁ PIERWSZY Poślubisz ofiarę, którą odrzucę 442

ROZDZIAŁ DRUGI Na pół ukryty w mokrym piasku 466

ROZDZIAŁ TRZECI W pobliżu Krainy Mroków 479

ROZDZIAŁ CZWARTY A wówczas zginiemy wszyscy 492

ROZDZIAŁ PIĄTY Niechaj umrze o wschodzie słońca 504

ROZDZIAŁ SZÓSTY Posejdon o białym obliczu 522

ROZDZIAŁ SIÓDMY Krąg olbrzymich głazów 535

ROZDZIAŁ ÓSMY Jakże więc się tu znalazł? 547

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY Czy pragniesz mówić? 560

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY Człowiek ów zwał się Ekedamos 573

ROZDZIAŁ JEDENASTY Sam bądź księciem 582

Płonie Twój Stos Ofiarny 591

Rozdział pierwszy Jeśli nie odnajdziesz go, oddam cię mrówkom 591

Rozdział drugi ...i ogarnęła go ciemność 596

Rozdział trzeci Ręce kapłanów długie są jak świat... 607

Rozdział czwarty Żeglarze nieśmiertelnego Minosa 621

Rozdział piąty Nie prosiłem cię o łaskę 628

Rozdział szósty Wy, którzy władacie ciemnością! 641

Ofiarujmy bogom krew jego

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie gniewajcie się, Ryby!

Błękitny jastrząb zatoczył szerokie koło nad postrzępionymi wierzchołkami nadbrzeżnych skał, spłynął miękko ku morzu, śmignął nisko nad drobnymi falami, wystrzelił w górę i wznosząc się coraz wyżej zniknął w mrocznoniebieskim niebie, jasnym już na wschodzie, choć słońce nie wynurzyło się jeszcze spoza wierzchołków gór, Białowłosa odprowadził ptaka oczyma i odwrócił głowę ku północy, gdzie za spływającą z gór rzeką leżało z dala od morza, na niewielkim wzgórzu, miasto ukryte w szarej rozwiewającej się mgle przedświt.

Ojca nie było już widać, zniknął w płytkim wąwozie, porośniętym krzakami dzikiej róży. Wąwozem tym i ścieżką biegnącą przez nadmorskie łąki zejdzie ku rzece i brnąc po kolana w bystrym, migotliwym nurcie przekroczy ją w miejscu, gdzie rozlewa ona szeroko, uciekwszy z kamiennego, wartkiego koryta. Później ścieżka doprowadzi ojca do białej drogi i w południe stanie on przed bramą miasta.

Białowłosa odetchnął głęboko i przymknął na chwilę oczy. Kochał ojca jak nikogo w świecie i wiedział, że niespodziane jego odejście na tak długi czas powinno było go smucić. A był przecież niemal szczęśliwy. W uszach brzmiały mu jeszcze ostatnie słowa ojca:

- Tak, możesz.

A jeszcze wczoraj o tej porze bogowie, którzy trzymają w nieśmiertelnych dłoniach zasłonę okrywającą przyszłość, nie uchylili przed nim najmniejszego jej rąbka. Nocował w górach, u stóp wierzchołka Idy, w opuszczonym pasterskim szałasie. Matka wysłała go po zioła, które zebrać należało przy blasku księżyca o północy. Kwitły krótko, zaledwie dni parę, a ususzone chroniły wypatroszone ryby przed gniciem. Zbudził się wcześniej i związawszy zioła w wielkie naręcze przystanął na chwilę, aby objąć spojrzeniem ogromną, leżącą u stóp krainę: góry, brzeg wijący się kreto ku południowi aż po granice widnokręgu, nieskończone morze z dalekimi wyspami i przesmyk na północy, za którym, jak wiedział, rozpoczynało się nowe morze. A w dole, maleńka jak mrowisko, opasana murem o białych wieżach, leżała Troja Królów. Przed wieczorem był już w domu. Wszedł. Matka stała nad paleniskiem, ojciec siedział na posłaniu z kozich skór i z wolna uniósł głowę słysząc jego wesoły głos:

- Jestem, matko. Przyniosłem ziół na cały rok!

Matka uśmiechnęła się i skinęła głową. Później prędko odwróciła posmutniałą twarz.

Ojciec wstał, wziął zioła z rąk chłopca, przyjrzał się im w migotliwym blasku ognia i położył je pod ścianę.

- Czy zebrałeś je nocą? - Głos jego miał zwykle, spokojne brzmienie, ale Białowłosa wiedział już, że coś się stało. Mimowolnie rozejrzał się, nim odpowiedział, lecz w chacie wszystko było na

swoim miejscu: posłania, garnki, stół, ława i gliniany posążek Wielkiej Matki nad wejściem.

- Tak, ojciec.

- Odmówiłeś modlitwę do Niej?

- Tak, ojciec.

- Przy świetle księżycy?

- Tak, ojciec. Król kazał pewnie pognać stada na północ, bo z góry nie widziałem ich w pobliżu miasta, ani wczoraj, ani dziś.

- Na północy wczesnym latem trawa jest wyższa!

Ojciec skinął głową i ponownie usiadł na posłaniu. - Konie trojańskie są najpiękniejsze w świecie; potrzebna im jest najpiękniejsza trawa...

Zapadło milczenie. Matka wskazała chłopcu stół i postawiła na nim garnek. Chciał usiąść, ale ojciec dodał spokojnie:

- Tak, najpiękniejsze konie. Był tu dziś herold królewski na białym ogierze. Wiele bym dał za takiego konia. Gdybym miał wiele.

- Herold królewski, ojciec?

Tylko tyle powiedział, gdyż ojcu i matce nie zadaje się pytań. Stał patrząc na ojca, po którego twarzy odbłaski ognia z paleniska przepływały jak czerwone ryby.

- Tak. Jutro przed świtem odejdę do miasta. Król opasuje je nowym murem, a może tylko chce podwyższyć ten, który jest. Nie mogłem pytać herolda, lecz tyle mi powiedział, nim pojechał dalej. Będą potrzebowali wielu ludzi. Może to potrwać miesiąc, a może powrócę tu dopiero przed zimą. Zostaniesz sam z matką.

- Tak, ojciec. - Białowłosa usiadł i odruchowo zaczął jeść, gdyż był bardzo głodny.

Później leżał pośród nocy w ciemności, wsłuchany w równe oddechy rodziców, i myślał. Nie mieli zapasów na zimę, więc jeśli ojciec odejdzie, on powinien łowić co dnia, gdyż prócz tego trzeba będzie zebrać wiele suszonych ryb, nim nadjadą królewskie wozy po daninę. Nigdy dotąd nie był sam na morzu. Ojciec nie zaprowadził go jeszcze do starca mieszkającego nad urwiskiem, gdzie była pieczara prowadząca, jak powiadano, do jeziora podziemnego połączonego z morzem. Tam właśnie przybywał niekiedy Posejdon, wędrujący morzami, a starzec ów był jego kapłanem. Tam każdy syn rybaka schodził i zanurzał ręce w wodzie, gdy nadeszła godzina wtajemniczenia. Być może Posejdon ukazywał mu się w owej chwili, a być może działały się tam inne jeszcze sprawy, tego Białowłosa nie wiedział, gdyż nikt z wtajemniczonych nie mówił o tym, co działo się w pieczarze. To, co wiedział, wiedział od matki, a ona przecież nigdy tam nie była. Żadna z niewiast nie miała dostępu do jaskini. Wtajemniczonym mógł zostać tylko ten, który dowiódł, że jest prawdziwym rybakiem. Więc jeśli ojciec odchodząc zezwoli mu samotnie wypływać...

Długa droga z gór i znużenie pokonały go, nim zdołał uwierzyć, że po powrocie z miasta ojciec zaprowadzi go do starca. Zbudziło go ciche krzatanie się rodziców.

Otworzył oczy i zobaczył matkę związującą węzełek z białego płótna. Ojciec siedział na ławie i nacierał oliwą rzemienie sandałów...

I oto teraz ojciec zniknął w wąwozie. Białowłosa wyteżył wzrok. Przez chwilę wydawało mu się, że dostrzega pośród porannych oparów maleńkie kształty odległych wież i pasmo murów na niskim wzgórzu. Było bardzo ciepło, zbyt ciepło. Spojrzał na niebo, na którym nie dostrzegł ani jednej chmurki, i powtórzył w myśli ostatnie słowa ojca:

„Tak, możesz. Wiem, że będziesz chciał wypłynąć już dziś. Pamiętaj o tym, by nie oddalać się od

brzegu. Gdy ujrzyś gromadzące się obłoki, nie zwlekając kieruj dziób ku brzegowi i wiosłuj z wszystkich sił!”

Zawrócił i ruszył krętą ścieżką pomiędzy głazami. Z dala, spoza załomu skały, za którym ukryty był dom, doszedł go przytłumiony, znajomy dźwięk obracających się żaren i cichy śpiew matki. Była na pewno zatroskana, lecz nie dawała niczego po sobie poznać. Nigdy jeszcze nie widział łez w jej oczach.

Odwrócił się i wszedł na wielki głaz. Zobaczył ojca idącego łąką. Stado kóz poznało go i podbiegło truchtem. Ojciec zatrzymał się, pogłaskał po głowie małego, narodzonego niedawno koziołka. Później ruszył dalej. Jedna z kóz szła za nim przez chwilę i zawróciła. Białowłose zeskoczył z głazu.

Była to zawsze ta sama pieśń. Pieśń Żaren, na pół błagalna, na pół pochwalna, zwrócona ku Wielkiej Matce, opiekunce życia na ziemi. Wszedł do domu. Matka uniosła głowę, szum żaren ustał.

- Czy pozwolił ci? - zapytała spokojnie.

Podszedł ku niej i ująwszy kij żaren okręcił go miękko wokół osi. Kamień zaturkotał i umilkł.

- Wiedziałaś, że go poproszę?... - Uśmiechnął się.

- Minęło czternaście lat od chwili, gdy bogowie pozwolili ci narodzić się, a mnie ucieszyli tobą. Ojciec twój wyruszył sam na morze po raz pierwszy, gdy ukończył lat czternaście. I jego ojciec, i mój. Lecz wierzyłam, że pozwoli ci wypłynąć, gdy powróci i będzie mógł z dala czuwać nad tobą. A później, kiedy minie zima, poprowadzi cię do starca, byś stał się mężczyzną. Wiem, że jesteś roztropny i wiesz o morzu tyle, ile wiedzieć winieneś. Lecz wołałabym, aby ojciec był tu, a nie w mieście, w chwili gdy wypłyniesz po raz pierwszy.

- Jeśli taka będzie wola króla, matko, może on zatrzymać ojca w mieście, póki nie nadejdzie pora deszczów, czas, gdy nie wznosi się budowli. Lecz pora deszczów to pora wzburzonej głębiny i północnego wiatru. Wyciągamy wówczas łodzie na zimę i kryjemy je pod dachem. Jeślibym ja nie wypłynął, któż nam nałowi i ususzy ryb na zimę i na daninę dla króla?

- To prawda - powiedziała cicho. - Nie mógł ci nie zezwolić. A będzie, jak zechcą bogowie. Czy pragniesz wypłynąć dziś?

- Tak, matko.

- Więc niechaj oni ześlą ci ryby, które uradują serce twoje.

Białowłose drgnął. Odkąd sięgała jego pamięć, mówiła tak do ojca za każdym razem, gdy miał wypłynąć na morze.

Odwróciła głowę, później szybko, zawstydzona, otarła łzę i uśmiechnęła się do niego.

- Urosłeś. Jesteś niemal tak wysoki jak ojciec, choć I nie tak silny jeszcze. Sama nie wiem, kiedy to się stało.

- Jedz.

Podniosła jeden z dwu leżących obok paleniska placków, odwinęła wielki liść, w który był zawinięty, i podała i mu. Zaczął jeść popijając mleko z dwuosznego glinianego dzbana.

Milczeli oboje, gdyż im chwila donioślejsza, tym bardziej przysłuchują się bogowie, a nikt śmiertelny nie wie, co może rozgniewać ich, a co uradować. Matka ponownie ujęła kij żaren i zaczęła obracać kamień, nucąc cicho.

Zjadł, wypił resztę mleka, wstał i podszedł do ściany, na której wisiały harpuny i trójzęby.

Matka nie przestała nucić i szum żaren nie ustał, wiedział jednak, że patrzy na niego.

Harpuny były cztery: mocne, dębowe drzewce z nasadzonymi prostymi końcami bawolich rogów.

Róg bawoła jest pusty, lecz te wypełnione były ołowiem.

Wypływając z ojcem brał zwykle najlżejszy. Teraz zważył go w ręce i powiesił na kołku. Mimowolnie obejrzał się. Matka zdawała się nie zwracać uwagi na jego ruchy, wpatrzona w obracający się kamień. Białowłosy zdjął drugi, nieco cięższy harpun i musnął końcami palców ostrze. Później sprawdził moc linki przewleczonej przez otwór u nasady drzewca. Rzucił harpun na złożony w kącie żagiel mniejszej łodzi i dotknął piersi, gdzie wetknięty w pochwę z koziej skóry wisiał pod chitonem na rzemyku długi nóż, z którym nigdy się nie rozstawał. Sięgnął po trójzab. Była to poczerniała gałąź dębowa rozwidlona potrójnie i przycięta. Z zakończeń sterczały trzy ostre jak końce włóczni kawałki szczęki tuńczyka. Białowłosy położył ostrożnie trójzab obok harpuna. Zdjął chiton i pozostał w wąskiej opasce na biodrach. Był gotów. Uniósł z ziemi żagiel i skierował się ku wyjściu.

- Zaczekaj - powiedziała matka i wsunęła mu pod ramię drugi placek. - Wypływasz i chcesz złowić wiele ryb, gdyż po raz pierwszy będziesz łowił samotnie. Wiem, że jeśli burza nie nadejdzie, nie powrócisz przed wieczorem. Będziesz głodny.

Uśmiechnął się.

Był już wyższy niż ona, ale ruch dłoni, którą przesunęła po jego jasnych włosach, przypomniał mu czas, gdy będąc małym chłopcem stawał przy niej w cieniu skały, by spoglądać wraz z nią na morze, na którym widzieli ojca w łodzi: daleki punkcik pod skrawkiem szarego płótna, wędrujący wzdłuż granicy błękitnego widnokregu.

- Idę, matko.

Ruch żaren ustał i kiedy odsunawszy ramieniem zasłonę znalazł się na progu, stanęła u jego boku.

- Piękny dzień - powiedziała cicho. - Nazbyt piękny.

Spoglądaj w niebo i przypatruj się górom, Skinął głową.

- Wiem, matko. Nie niepokój się. Gdybym tu nie zdążył, przybiję gdziekolwiek i przeczekam.

- Uczyń tak. I nie zapomnij przemówić do bogów.

- Nie zapomnę, matko.

Wyszedł. Na całej niezmierzonej powierzchni wód leżał już migotliwy blask słoneczny. Wiatr ucichł zupełnie. Spojrzał na niebo. Nie było na nim ani jednego obłoczka. W dole drobniuteńkie, łagodne fale biegły wolno ku brzegowi i załamywały się na głazach z cichym szelestem.

Białowłosy zszedł ku łodziom ukrytym w nadbrzeżnych skałach. Było ich dwie: wielka i mała. Odwiązał mniejszą od przewierconego, wbitego głęboko pala i wykręciwszy dziób ku wodzie, zaczął spychać ją w dół po piasku. Od roku czynił to już sam. Sam także, bez pomocy ojca, umiał wciągnąć ją między skały po odbytym połowie. Lecz wielkiej nie udałooby mu się jeszcze wciągnąć, nawet gdyby zepchnął ją na wodę. Westchnął. Mała łódź wykonana była z wydrążonego pnia i pięknie wygładzona. Pośrodku, w głębi, pozostawiono niewielkie wybrzuszenie z otworem, w który należało wsunąć niski maszt z poprzecznym palikiem.

Gdy dziób dotknął wody, Białowłosy ustawił maszt i umocnił cienkimi sznurkami, aby niespodziewany podmuch wiatru nie mógł go wyrwać. Sznur taki matka przygotowywała zimą, a zrobiony był z suszonych na słońcu włókien rośliny o żółtych kwiatach, która nie rosła na wybrzeżu, lecz na południu, po drugiej stronie gór, o dwa dni drogi.

Umocował żagielek do poprzecznego palika, związał go i uniósłszy leżące na dnie łodzi krótkie wiosło o szerokich piórach, wyprostował się, spojrzął ku niebu i przytknąwszy do czoła drzewce, powiedział głośno:

- Pozwólcie jej i mnie odpłynąć. Pozwólcie jej i mnie powrócić.

Pchnął łódź, która miękko spłynęła na wodę, i odepchnawszy się wiosłem od nadbrzeżnego głązu, zaczął wiosłować miarowo, nie oglądając się, aby któryś z duchów złośliwych nie zawiązał mu drogi powrotu. Serce biło gwałtownie, lecz nie z wysiłku. Po raz pierwszy był sam na morzu.

Czas mijał z wolna. Białowłosy siedział w tyle łodzi. Tuż przed nim kołysał się zwinięty żagielek ocierając cicho o maszt; wiosło zanurzyło się z cichym pluskiem. Na plecach czuł promienie słońca. Było coraz cieplej. Uniósł głowę. Był tak szczęśliwy, że nie mógł skupić myśli na czekającym go połowie. Po lewej wyrastał ciemny grzbiet przylądka, gdy tam dopłyne, napotka lekki powiew z północy, który pod rozpiętym żaglem pchnie go na południe ku rozległym płyciznom, gdzie nawet wielkie ryby wypływają tuż pod powierzchnię. Był tam już bardzo wiele razy z ojcem. Lecz dziś wyruszał sam. Dopiero teraz pomyślał, że wszystko, co dziś nastąpi, będzie miało wielkie znaczenie. Pierwszy połów był wróżbą na całe życie.

Przestał na chwilę wiosłować i zanurzywszy końce palców w wodzie przy obu burtach łodzi, zanucił cicho:

*Nie gniewajcie się, Ryby,
I nie gniewaj się. Morze,
Ani ty, Posejdonie,
Który władasz wodami.
Po skończonym połowie
Na kamieniu ofiarnym
Złożę zdobycz największą,
Modląc się ku Twojej chwale.*

- Teraz dopiero obejrzał się. Brzeg, skały i ukryty pośród nich dom wciąż jeszcze były bardzo blisko, lecz linia brzegu i miejsce, gdzie” fala kładła się na piasku, zaczęły się już gubić, przesłonięte niewielkimi wodnymi grzebykami.

Przez chwilę wydawało mu się, że na ogromnym głązie, na którym stał tak niedawno, dostrzega znajomą postać. Blask słońca bijący wprost w oczy zmącił mu widzenie.

Uśmiechnął się. Matka nie stałaby przecież tam, lecz w cieniu rozpadliny skalnej, gdzie był dom. Odwrócił głowę. Daleko na krawędzi widnokregu dostrzegł lekki zarys dwu wysokich wysp. Były tak odległe, że zdawały się należeć do nieba, nie do ziemi.

Upał rósł. Białowłosy wiosłował miarowo, patrząc na cypel przylądka, wreszcie dojrzał wysuwający się kształt trzeciej wyspy, bliższej i wyraźnie zarysowanej na niebie. Zwano ją Tenedos.

- Co uczyniłby teraz ojciec? - powiedział głośno i niemal natychmiast odpowiedział sobie: - Ujrzawszy Tenedos skierowałby łódź ku płyciznie i łowiłby na jej skraju. A powróciłby wcześniej, przed zachodem, gdyż jeśli uderzy burza, wiatr będzie dał od lądu.

Tak, to była prawda. O tej porze roku nadchodziły one spoza gór. A wówczas, gdyby nawet pierwsze uderzenie wichru nie zatopiło kruchej łodzi, burza pognałaby ją daleko po spienionych falach na pełne morze, tak daleko, że rybak mógłby już nigdy nie ujrzeć rodzinnego brzegu.

Pomyślał jeszcze przelotnie o tym, że musi powrócić wcześniej, gdyż burza może rozpedzić kozy, a jeśli nocą któraś zabłąka się u podnóża lasów, łatwo może paść łupem pantery.

Wyspa wynurzała się z wolna spoza białej ostrogi przylądka. Dostrzegł wyraźnie stary dębowy las porastający jej górzyste zbocza. Był tam raz z ojcem w porcie ukrytym za załomem góry. Król Tenedos był bratem króla Troi, do którego należało całe wybrzeże i kraina do niego przyległa. Tu

właśnie stały czarne okręty wojenne obu braci, strzegące dostępu do Troi i cieśniny, która wiodła ku morzu na północy. Była to flota potężna, lecz bywały lata, gdy czerwonym okrętom fenickim lub czarnym pięćdziesięciowiosłowcom achajskich korsarzy udawało się nocą prześliznąć pomiędzy wyspą a wybrzeżem, by porwać niewolników niemal u bram miasta. Człowiek był jednym z najbardziej poszukiwanych i cennych towarów, dla którego zdobycia podejmowano najniebezpieczniejsze wyprawy.

Lecz za dnia wody trojańskie były bezpieczne jak dom rodzinny i można było łowić na nich swobodnie, nie przeszukując oczyma błękitnego widnokręgu. Żaden korsarz świata nie zbliżyłby się dobrowolnie w blasku słońca do Miasta Królów.

Podmuch wiatru przebiegł ponad łodzią, marszcząc powierzchnię morza. Białowłosa wstał, rozwinął i umocował żagielek. Przed nim była ciemna, zielona smuga głębi. Nieco dalej morze zdawało się niemal białe. Tam była płycizna.

Nie dostrzegł innych łodzi. Może nie wypłynęły jeszcze, a może łowiły gdzie indziej, u ujścia rzeki, wokół którego krążyło zwykle wiele morskich ryb wyczekujących tego, co woda przyniesie im w darze z głębi ładu.

Żagiel zatrzepotał gwałtownie, a później ucichł i wydał się, chwyciwszy wiatr całą powierzchnią. Łódź popłynęła szybciej.

Białowłosa przeciągnął koniec linki harpuna przez otwór w dziobie i przywiązał ją mocno. Złożywszy harpun na dnie obok prawej stopy, uniósł trójzab. Trzymając go w wyciągniętej ręce odwrócił głowę ku brzegowi i przymrużył oczy oslepione słonecznym blaskiem. W białej mgłę dostrzegł wynurzający się spoza linii wzgórz daleki, wyniosły i rozległy szczyt górski.

- Ido, goro ojców, Wielka Matko, bądź mi przychylna!

Oto rozpoczynam połów.

Zmarszczył brwi. Nie, nie zapomniał niczego. Wypowiedział wszystkie słowa, jakie winien wypowiedzieć rybak, który nie chce rozgniewać bogów. Odetchnął z ulgą, odwrócił głowę i natychmiast zapomniał o bogach, o świętych górach i o domu. Przed nim była płycizna i stworzenia morza, które miał zabić.

Powoli, jak gdyby bojąc się spłoszyć niewidzialną rybę, wysunął za burtę dłoń uzbrojoną w trójzab i znieruchomiał.

- Uderzę pierwszą, która podpłynie. Będzie to wróżba. Jeśli trafię, połów będzie udany.

Wydawało mu się, że czeka długo, mimo że upłynęło zaledwie kilka chwil. Klęcząc w ostrym wyłobieniu dzioba, wpatrywał się w wodę, choć tańczące na powierzchni światło słoneczne utrudniało widzenie. Nagle, tuż pod powierzchnią, mignął niewielki, srebrny kształt. Nie myśląc, uderzył i uniósł rękę z trójzabem, na którego ostrzach trzepotała mała ryba. Opuścił trójzab i piętą zepchnął rybę na dno łodzi. Podskoczyła wysoko, więc uderzył ją drzewcem. Znieruchomiała. Dobra wróżba.

Uniósł głowę. Łódź wpłynęła już na skraj płycizny. Szybko zwinął żagielek i powrócił na dziób. Wiedział, że teraz prąd będzie pchał go wolno ku wyspie. Znowu mignęła tuż pod powierzchnią mała ryba, za nią druga. Białowłosa odłożył trójzab i wziął do ręki harpun. Drobnych ryb wałęsających się stadami na skraju płycizny zawsze było tu wiele. Być może, gdyby w tyle łodzi siedział ojciec, uderzyłby znowu, aby popisać się zręcznością. Lecz dziś był sam. Jeśli ta wróżba była prawdziwa, los powinien naprowadzić łódź ku większej zdobyczy.

Zaciskając w dłoni ciężkie drzewce harpuna czekał.

Słońce grzało coraz mocniej. Jeszcze jedna mała srebrna ryba i pustka. Wiatr wzmógł się nieco, zaświstał w zwiniętym żagielku i ucichł.

Nad niskimi falami przeleciał wielki biały ptak ważąc się na nieruchomych skrzydłach. Nagle miękka linia jego lotu załamała się, runął w dół, zanurkował, w wodzie zakotłowało się. Ptak wynurzył się i ciężko robiąc skrzydłami uniósł w powietrze trzymane w dziobie migocące, gnące się rozpaczliwie ciało. On także łowił tutaj. Chłopiec odprowadził go wzrokiem. Ptak leciał prosto ku ładowi, zapewne niosąc rybę swym młodym, wyczekującym w gnieździe ukrytym gdzieś w szczelinie stromych, niedostępnych skał nadbrzeżnych.

Przesunął oczyma po słonecznej linii wzgórz i dalekim łańcuchu gór za nimi. Ani jednej chmurki. Jeśli spełni się wróżba, może burza wcale nie nadejdzie i pozwoli mu pozostać na płyciźnie do zachodu słońca.

Odwrócił spojrzenie ku wodzie. Nagle ścisnął mocniej w dłoni drzewce harpuna. Daleko przed nim wystrzeliła w górę niewielka ryba, błysnęła w słońcu i opadła na powrót w głębinę. Bliżej druga. I niespodziewanie wokół łodzi zaroilo się od szybkich, zwinnych, mknących błysków. Gnały na oślep wielką ławicą wprost na łódź, ocierając się o nią i mknąc dalej, stłoczone tuż pod powierzchnią.

Widział, że były przerażone. Pędziły ku środkowi płycizny, jak gdyby chciały zgubić prześladowcę, który nie będzie mógł tam za nimi wtargnąć. Patrzył w kierunku, z którego nadpływały tysiącami, i starał się objąć wzrokiem jak największą powierzchnię morza. Jeśli wrogowie ścigający ławicę atakowali ją płynąc głęboko pod powierzchnią, będą musieli wypłynąć wyżej, gdyż na skraju płycizny dno podnosiło się gwałtownie.

Powierzchnia morza była pusta. Nagle... Tak, widział ją przez mgnienie oka i znowu zniknęła! Wielka, ostra płetwa ogromnej ryby. Za chwilę, nieco w prawo, wynurzyły się jeszcze dwie. Tuńczyki!

Wielkie i żarłoczne musiały niedawno dopaść płynącą spokojnie ławicę małych rybek i teraz gnały za nią, chwytając zdobycz, pożerając ją w mgnieniu oka i pędząc dalej.

- Jesteście! - szepnął i przygryzł wargi, zaciskając coraz mocniej harpun w ręce.

Były największe z wszystkich ryb morza, jeśli nie liczyć delfinów, lecz delfin był rybą świętą i rybakowi nie wolno było go ugodzić. Zresztą delfin karmił swe dzieci piersią, więc może wcale nie był rybą, a tylko dawnym plemieniem człowieczym skazanym przez bogów na wodny dom za czyny, których nikt nie pamiętał.

Tuńczyk był najwspanialszym z połowów, choć rzadko dawał się zabić. Największe były dłuższe niż łódź rybacka i jedynie najwprawniejsi mogli się mierzyć z nimi. Siła ich była olbrzymia, a ów, który jednym uderzeniem harpuna nie ugodziłby tuńczyka głęboko w miejsce pomiędzy boczną płetwą a skrzelami, tak żeby ostrze utkwilo od razu w sercu, mógł stracić harpun, łódź, a nawet życie, gdyż ranna ryba atakowała ślepo, bijąc potężnym ogonem, którym mogła strzaskać i zatopić łódź.

Znowu dostrzegł błękitny, długi grzebień na grzbiecie tuńczyka, bliżej i znowu, jeszcze bliżej. Po chwili ryba wynurzyła się niemal cała i zniknęła nurkując w dół za zdobyczą.

Białowłosy rozejrzał się szybko. Był już niemal pośrodku płycizny. Jeśli tuńczyki zapędzą się dalej, będą musiały płynąć tuż pod powierzchnią.

Dno było coraz bliżej. Patrząc w wodę dostrzegł ciemne wodorosty i biały piasek, do którego docierało światło słoneczne. Kąpał się tu od tak dawna, jak sięgała jego pamięć. Nigdy nie uczył się pływać, nie pamiętał tego. W wodzie był równie swobodny jak na łądzie, swobodniejszy, gdyż

więcej czyhało niebezpieczeństw na ziemi niż w morzu. Przesuwał teraz oczyma po powierzchni wód i od czasu do czasu kierował szybko wzrok w dół. Wiedział, że głębia nie przekracza tu wzrostu trzech mężczyzn stojących jeden na ramionach drugiego. Gdyby tuńczyk zbliżył się na odległość rzutu harpunem, nie mógłby ranny śmiertelnie uciec w głębinę, lecz musiałby płynąć przed siebie, ciągnąc za sobą łódź, co wyczerpałoby jego siły... Tak mówił ojciec, który trzykrotnie upolował tuńczyka w samotnej walce.

Znowu dostrzegł białe bryzgi wody rozcinanej grzebieniem płetwy. Tuńczyki oddalały się krążąc wokół łodzi.

Znajdowały się teraz pośrodku uciekającej ławicy i zwolniły. Wypływały co chwila tuż pod powierzchnię... jeden... dwa... trzy... cztery... naliczył ich cztery. Najbliższy znajdował się w odległości kilku rzutów włócznią od łodzi. Nagle zaczęły oddalać się w kierunku wyspy.

Westchnął, spoglądając tęsknie za nimi. W głębi duszy nie wierzył, aby los mógł mu zesłać tak wielki dar, lecz minęły go w tak niewielkiej odległości. Nie lękały się łodzi rybackich, więc któryś z nich mógłby przecież podpłynąć blisko i wynurzyć grzbiet, a wówczas...

Westchnął ponownie i zgubiwszy na migotliwej powierzchni ich ślad, spojrzął w wodę przed dziobem.

Kilka małych ryb przepłynęło szybko w różnych kierunkach. Na pewno ścigana ławica rozproszyła się, a może płynęła dalej ku wyspie, a te pogubiły się w popłochu i teraz poszukiwały swoich towarzyszek. Bywały rodzaje ryb, które nigdy nie wędrowały samotnie, lecz całym narodami. Czy miały wodza?...

Chciał odłożyć harpun i wziąć trójzab, by nie wracać do domu pustą łodzią. Ryby znowu pojawiły się gęściej. Płynęły teraz szybciej i w jednym kierunku, Wkrótce zaroilo się od nich. Ławica zawracała! I one także zawracały! Ponownie dostrzegł długą białą smugę rozpryskiwanej wody i ciemne ostrze płetwy prujące ją z ogromną szybkością... drugie, trzecie...

Tuńczyki były niedaleko. Jeden wyprzedzał pozostałe.

Białowłose wyprostował się i uniósł harpun nad głową. Tuńczyk, płynąc tuż pod powierzchnią i pozostawiając po sobie jasną smugę, zbliżył się do łodzi, zmienił kierunek i opłynął ją szerokim łukiem, niknąc w słońcu. Drugi i trzeci wyminęły łódź z dala i podążyły za nim. Odprowadził je Oczyma aż do krawędzi płycizny.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że od długiej chwili stał nieruchomo na dziobie z harpunem uniesionym nad głową. Opuścił rękę. Trzeba będzie nałowić tyle drobnych ryb, ile się da, i wrócić do domu. Być może przed zachodem pojawią się inne ryby.

Wiedział, że tuńczyki nie powrócą. Nigdy nie krążyły długo w tym samym miejscu. Ojciec mówił, że płyną od jednej krawędzi świata ku drugiej, a gdy dotrą do brzegu, zawracają. Te musiały mieć za sobą wielką podróż. Być może ujrzawszy wreszcie ziemię zechcą odpocząć kilka dni w przybrzeżnych wodach. Wówczas napotka je znowu.

Słońce grzało coraz mocniej. Trzeba było rozpocząć połów. Spojrzął niechętnie na wodę tuż przed dziobem łodzi, pomyślawszy, że dla wprawy powinien cisnąć kilka razy harpunem w przepływające drobne ryby.

I nagle ujrzał go.

Olbrzymi tuńczyk zatrzymał się tuż pod powierzchnią nieco na lewo od dzioba, jak gdyby chciał pojąć, skąd się tu wzięła owa kłoda drzewa i kim jest dziwne stworzenie stojące na niej i spoglądające nań z góry.

Świat zamarł, wszystko wokół zniknęło. Białowłosy stał jak posąg, nie mogąc się poruszyć. I nagle, nie wiedząc nawet, co czyni, uniósł rękę z harpunem i włożywszy w zamach całą siłę swego młodego ciała, uderzył.

Dostrzegł linkę wybiegającą za harpunem, który zniknął w wodzie tam, gdzie tuż pod powierzchnią, za półokrągłym otworem skrzela, błękitny grzbiet stykał się z białą linią podbrzusza, obok ogromnej bocznej płetwy, ostrej jak nóż i długiej jak ramię ludzkie.

W tej samej chwili łódź uciekła mu spod nóg wstrząśnięta potężnym uderzeniem. Wyleciał wysoko w górę i wpadł do wody po przeciwnej stronie łodzi.

Niebo zniknęło i otoczyła go błękitnozielonkawa poświata przyćmionych promieni słońca. Przez chwilę opadał ogłuszony w dół: odruchowo zrobił kilką ruchów rękami i dostrzegł zbliżającą się powierzchnię wody.

Wynurzył się w tym samym miejscu, w którym wpadł i ze zdumieniem zobaczył łódź w tak wielkiej odległości, że nagły lęk ścisnął mu serce. Jak mogła odpłynąć tak szybko?

Rozpaczliwie zagarniając wodę rękami, zaczął płynąć za nią. Oddalała się, zwalniając, przyspieszając i zatrzymując chwilami, szarpana wielką, niewidzialną siłą.

„Linka wytrzymała... - pomyślał. - Trafiłem go...”

Ale równocześnie uświadomił sobie, że tuńczyk jest żywy. Rana nie mogła być powierzchowna, gdyż harpun musiał tkwić głęboko w boku ryby, inaczej wyszarpnęłaby go płynąc. Ale jeśli tuńczyk będzie miał dość siły, by odpłynąć daleko, ciągnąc za sobą lekką łódź, wówczas...

Nie obejrzał się ku brzegowi. Wiedział, jak daleko znajduje się skalny przylądek. Być może udałoby mu się tam dopłynąć. Ale łódź byłaby stracona, a po jej utracie nie wypłynąłby więcej, póki ojciec nie powróci tuż przed zimą. Gdyby się tak stało, czekałby ich wszystkich głód, a jego samego hańba powrotu bez łodzi już przy pierwszym połowie.

Płynął coraz szybciej.

Dostrzegł, że łódź nie porusza się. Może tuńczyk zbierał siły zmęczony wleczeniem dodatkowego ciężaru i raną, w której tkwił harpun?

Białowłosy zwolnił i sięgnął po wiszący na piersi nóż, który mu teraz nieco zawadzał. Wyciągnął go z pochwy. Łódź była tuż przed nim.

Przez krótką chwilę miał ochotę chwycić ręką za dziób j odpocząć. Lecz nie chwycił.

Nabrał powietrza i starając się jak najłagodniej poruszać, zanurkował pod łodzią i wynurzył w jej cieniu po przeciwnej stronie. Nie zastanawiał się, co czyni. Był potomkiem nieskończonego łańcucha łowców morskich, którzy żyli i ginęli w walce ze stworzeniami wodnymi.

Dopiero skryty w cieniu łodzi, oparł lekko dłoń o krawędź dzioba i trwał tak przez chwilę, oddychając ciężko. W prawej ręce zaciskał nóż.

Później miękko zanurzył głowę i rozglądając się otwartymi szeroko oczyma, popłynął wzdłuż linki, która biegła od dzioba w dół i niknęła między sięgającymi niemal powierzchni wodorostami porastającymi dno płycizny. W oddali dostrzegł pośród nich wielki ciemny kształt.

Raz jeszcze wysunął głowę na powierzchnię, nabrał głęboko powietrza w płuca i popłynął w dół.

Posuwał się tuż ponad dnem, rozgarniając wodorosty i płynąc tak wolno i ostrożnie jak mógł. Nad sobą widział linkę.

Zatrzymał się. Ryba była tuż przed nim. Leżała na boku, zgięta nieco, tak że głowa i koniec ogona znajdowały się niżej niż środek tułowia. Z lewej strony, falując jak wodorosty, wypływały z niej wijące się z wolna czerwone smugi krwi.

Była olbrzymia. Niemal dwukrotnie dłuższa niż on sam. Harpun tkwił tak głęboko, że tylko koniec drzewca wystawał z rany. Wbity był tuż pod boczną płetwę, tam gdzie, jak tyle razy mówił ojciec, musi być wbity harpun, aby tuńczyk, król morza, zginął.

Czy zginął? Leżał zupełnie nieruchomo, obracany prądem, lecz nie oznaczało to, że jest martwy.

Białowłosey uczył, że brakuje mu powietrza, i wypłynął na powierzchnię. Odetchnął głęboko, przymknąwszy oślepięte blaskiem oczy, i natychmiast zanurkował.

Minął rybę i płynąc niemal po dnie, odwrócił się na wznak ku widocznemu w górze dalekiemu niebu. Kiedy znalazł się pod brzuchem ryby, zacisnął nóż w obu dłoniach i wykonał gwałtowny ruch nogami, który pchnął go w górę.

Przylgnął niemal do białego, pokrytego łuską brzucha olbrzymia, wbił nóż i szarpnął z całej siły, czując miękkie, ustępujące pod ostrzem ciało.

Skulił się w mgnieniu oka i zanurkował prosto w dół, przylegając do dna.

Ale straszliwy rzut ciała tuńczyka i potężne uderzenie ogonem nie nastąpiły..

Spojrzał w górę.

Ryba kołysała się bezwładnie, a z nowej, wielkiej, podłużnej rany buchnęła nowa fala krwi.

„Zabiłem go jednym uderzeniem! - pomyślał Białowłosey. - Raniłem go w serce i skonał prędko!”

Jeszcze raz wynurzył się na powierzchnię. Spojrzał na daleki brzeg, nad którym słońce świeciło jasno. „Zimą, gdy ojciec zaprowadzi mnie do starca mieszkającego w pieczarze, powie mu, że zabiłem tuńczyka, i złożymy u wejścia do pieczary jego głowę!”

Był tak szczęśliwy, że przez chwilę trwał na powierzchni poddając mokrą twarz gorącym promieniom słońca i utrzymując równowagę maleńkimi ruchami nóg. Ale natychmiast przypomniał sobie, ile ma jeszcze pracy przed sobą, i powrócił do martwego olbrzymia.

Tłumiąc mimowolny lęk, zbliżył się do jego zamkniętej paszczy, otworzył ją i wydawszy nożem otwór w dolnej szczęce, przewłókł przez nią harpun wraz z linką i związał w węzeł tak, że drzewce harpuna opierało się całą powierzchnią o łeb ryby.

Znowu wypłynął. Dopiero teraz poczuł zmęczenie. Wyczerpany, z sercem bijącym gwałtownie, wgramolił się na dziób. Odetchnął głęboko. Walcząc ze znużeniem, które wołało, by opaść na dno łodzi i odpocząć chwilę, zaczął ściągać linkę. Ustępowała opornie. Nie wiedział, czy przyciąga tuńczyka, czy też łódź zbliża się do martwej ryby. Ręce omdlewały. Lecz powoli linka opadała mu pod nogi.

Wreszcie, pochylony nad wodą, dostrzegł go. Tuńczyk wypłynął tuż obok łodzi i obrócił się brzuchem ku powierzchni. Ogon niknął w głębi.

Białowłosey przywiązał linkę krótko, puścił ją i osunął się na klęczki opierając plecami o maszt. Pot zalewał mu czoło, w ramionach czuł ból tak przejmujący, jak gdyby wysmagano je biczem. Przymknął oczy i przez chwilę, oddychając ciężko, nie mógł zebrać myśli. Ale półprzymknięte spieczone wargi powtarzały:

- Muszę go pociąć na kawały... pociąć i wrzucić na łódź tyle mięsa, ile się zmieści... i głowa... głowa... Całego nigdy bym nie dociągnął do brzegu... Matka do głowy włoży zioła... ususzy na słońcu... Później zaniemiemy ją...

Otworzył oczy i dźwignął się z klęczek. Serce biło już swobodniej, ale ból w barkach nie ustępował. Spojrzał ku miejscu, gdzie linka stykała się z powierzchnią wody. Łagodne fale obróciły tuńczyka i leżał teraz w wodzie, opadając nieco w dół, z głową uniesioną ku górze. Martwe oczy spoglądały ku niebu i były niemal tak błękitne jak ono. Krew przestała już płynąć z ran i nie barwiła

wody wokół ciała. Białowłosy sięgnął po nóż i skoczył odbiwszy się od dna łodzi.

Nie wiedział, jak wiele czasu upłynęło, nim skończył.

Nie spojrzał nawet w kierunku słońca. Pracował z zaciśniętymi zębami, odcinając wielkie płyty białoróżowego mięsa, raniąc palce o potężne ości i twarde jak kamień krawędzie płetw. Wreszcie był gotów.

Z mozołem odciął głowę, która zakołysała się wciąż jeszcze uwiązana na lince przeciągniętej przez otwór w dolnej szczęce. Odwiązał linkę i po raz ostatni podpłynął do łodzi. Z trudem uniósł głowę ryby i cisnął na leżące na dnie, rozrzucone bezładnie, wielkie, ociekające krwią płyty mięsa. Było ich tak wiele, że łódź zanurzyła się głęboko i przestała niemal kołysać.

„W ciągu dziesięciu połowów mógłbym tyle nie złowić” - pomyślał gramoląc się z trudem na dziób.

Był tak zmęczony, że przez chwilę leżał, nagi i bezwładny, na chłodnych, śliskich, usuwających się płatach mięsa. Później wstał i wziął wiosło, zwinawszy przedtem żagielek

Lekki wiatr wiał wprost w oczy. Wykręcił łódź ku przylądkowi, który zdawał się niedaleki, bliższy niż w rzeczywistości. Za przylądkiem był brzeg rodzinny i była matka, która na pewno wygląda jego powrotu. Zobaczy go z dala i zejdzie aż ku wodzie, ciekawa, co złowił. A gdy ujrzy tę potworną paszczę...

Marzenie jego urwało się nagle. Spojrzał na głowę ryby, która leżała przy samej krawędzi łodzi na płatach mięsa.

Szybko wypuścił wiosło, pochylił się i wyciągnawszy harpun, wbił go z całej siły przez szczękę ryby, przygważdżając ogromny łeb do dna łodzi. Później przyciągnął linkę harpuna przez otwór w dziobie i uwiązał. Odtąd żadna niespodziana fala ani przechył nie mogły mu już zabrać zdobyczy.

Zaczął wiosłować miarowo, próbując przyśpiewywać cicho. Ale był zbyt znużony, więc umilkł. Patrzył na wolno przesuwającą się ostrogę przylądka i czekał na chwilę, póki nie ukazał się rodzinny brzeg i zagubiony wśród skał, ukryty przed okiem obcych kamienny dom.

Słońce nie świeciło już w oczy. Przesunęło się nieco w bok i niżej. Minęło południe.

„O, bogowie... - pomyślał. - O, wielcy bogowie, pierwszy połów! Gdyby ojciec wiedział!”

Mógłby wybrać się za dni kilka do miasta, ale ojciec zakazał mu tak czynić. Jeżeli sprawa murów była pilna, mógł go król zatrzymać. A wówczas matka zostałaby sama.

- Tak, Jestem już niemal dojrzałym mężem, choć lat mi brakuje! - powiedział na głos. Żaden rybak nie śmiałby nazwać chłopcem tego, który samotnie pokonał tuńczyka.

Przylądek z wolna odchodził w prawo i daleki brzeg otwierał się stopniowo przed oczyma, odsłaniany uderzeniem wiosła. Jeszcze chwila, a wynurzy się szczyt wzgórza, wąwóz i niskie skaliste zbocze z wielkim białym głazem, a tuż obok...

Uderzył mocniej wiosłami, jeszcze raz... i zobaczył daleki, biały punkt. Głaz. A tam - dom!

Powstał, odkładając na chwilę wiosła, i zwróciwszy oczy ku dalekiemu wierzchołkowi świętej góry, wznoszącemu się nad całą krainą, otworzył usta, aby podziękować bogom, że dali mu ujrzeć dom rodzinny i powrócić z dobrym połowem.

Lecz nie powiedział ani słowa. Góra jak gdyby zmieniła kształt. Gdyż nieco powyżej szczytu dostrzegł drugi szczyt, lecz ciemniejszy i łagodnie zaokrąglony.

„Chmura!” - przebiegło mu przez myśl i w tej samej chwili dostrzegł na jej krawędzi biały, ostry błysk, którego nie zgasił nawet blask słońca.

Znieruchomiał. Czekał chwilę i wówczas doszedł go Przytłumiony, daleki łoskot gromu. Morze

ucichło, nie wiał najłżejszy nawet wietrzyk.

- Matko! - szepnął Białowłosy. Opanował nagle, chwytające za serce przerażenie i porwał wiosło. - Spokojnie wiosłuj! - powiedział na głos. - Spokojnie, jeśli nie pragniesz stracić sił i nigdy nie dopłynąć.

Wpatrzony w czarną chmurę wypływającą ponad łańcuch gór, wiosłował rozpaczliwie, czując z przerażeniem, że obciążona łódź posuwa się wolno, wolniuteńko, wśród zupełnej ciszy, która ogarnęła morze i powietrze.

Chmura rosła i rozprzestrzeniała się nad lądem. Słońce nadal świeciło ostrym blaskiem, upał rósł.

Białowłosy uniósł na chwilę wiosło i nagim przedramieniem przetarł oczy, do których napływał pot z czoła, uniemożliwiając widzenie. Brzeg był bliżej! Widział wyraźnie znajome zarysy skał i linię wzgórz, na które za chwilę położy się ciemny cień nadchodzącej burzy.

Matka na pewno stoi tam i widzi go już. Wie, jak walczy on wiosłem z nieruchomym, spokojnym morzem, ale nie wie, jak ciężka jest łódź...

„Jeśli wyrzucę w morze część mięsa, zdążę!” - przemknęło mu przez myśl. Ale wiedział, że to nieprawda. Chmura wisiała już niemal nad wzgórzami i ogarniała cały wschodni widnokrąg. Jeśli odłoży wiosło i zacznie wyrzucać mięso tuńczyka, straci czas, zbyt wiele czasu.

Pierwszy, lekki podmuch wiatru zaświstał nad łodzią.

Na czole chmury pojawił się następny krwawy zygzak i huk piorunu dobiegł po morzu, potężny i przenikliwy jak trzask pękającego drzewa.

„Skoczę! - przemknęło mu znowu przez myśl. - Wpław będę prędzej i ocaleję!”

Wahał się przez chwilę, wiosłując nadal ostatkiem sił i czując, że spieczona warga nie mogą już więcej złapać tchu.

I wtedy zobaczył ją. Stała na skraju wody i wymachiwała uniesionymi rękami, maleńka z tej odległości, ale już coraz bliższa, dodająca otuchy, matka!

Nie, nie mógł skoczyć. Gdyby wichur uderzył w morze, nim dopłynie, nie znalazłby sił, żeby walczyć z przeciwną wzburzoną falą. A na łodzi pozostawała iskra nadziei.

W tej samej chwili słońce zniknęło i nad morzem zapadł półmrok. Uderzył pierwszy podmuch wichru.

Nadal widział matkę, gdy pierwsza, nieco wyższa, nadchodząca od dziobu fala uderzyła w łódź.

Nowy grom. Łańcucha wzgórz nie było już widać. Za późno. Następna fala urosła, uderzyła i poczuł, że łódź cofa cię. Jeszcze raz zanurzył wiosło ze straszliwym wysiłkiem, wkładając w ten ruch wszystkie siły. Brzeg i cały otaczający świat zniknęły nagle w ciemności. W ryczącym mroku, który go ogarnął, uderzyły potoki deszczu tnącego w twarz z taką siłą, że upadł na dno łodzi zasłaniając oczy rękami.

Łódź zakołysała się, wyskoczyła w górę na grzbiecie nadbiegającej fali, opadła w dół i szarpnięta niewidzialną siłą podskoczyła, przechylając się gwałtownie.

Białowłosy nie usłyszał nawet trzasku, gdy maszt i strzep żagielka uniosły się i zniknęły w ciemności.

Po omacku chwycił leżącą luźno linkę harpuna, który tkwił mocno wbity w burtę łodzi. Nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi, okręcił nią nadgarstek lewej ręki i chwycił za nią obiema dłońmi.

Poczuł, że łódź wznosi się i opada gwałtownie. Pierwsza wielka fala przewaliła mu się nad

głową, zabierając kawały mięsa tuńczyka i dławiąc oddech.

Nadludzkim wysiłkiem, wpierając stopy w dno łodzi i zaciskając ręce na linie, nie dał się oderwać.

Wicher był nieprzerwanie.

Białowłose, leżąc na dnie i starając się chwycić w płuca jak najwięcej powietrza, nim nadejdzie następna wielka fala, wiedział tylko jedno: że wicher ten gna maleńką łódź na pełne morze, coraz dalej od brzegu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ofiarujmy bogom krew jego!

Słońce zachodziło krwawo nad uspokajającymi się, cichnącymi falami. Ostatnie, oświetlone jego blaskiem strzępy ciemnych chmur pędziły ku zachodowi w ślad za odchodzącą nawałnicą.

Najczcigodniejszy Ahikar spojrział na maszt o złamanym wierzchołku i poszarpanych resztkach purpurowego żagla, zwisających luźno i kołyszących się w miarę kołysania okrętu, którego wysoko zakrzywiony dziób, ozdobiony brązowym popiersiem Aszery Pani Morza, zapadał się ciężko i dźwigał powoli z głębokich wodnych bruzd. Morze uspokajało się, ale wciąż jeszcze było wzburzone i groźne.

Zataczając się lekko Ahikar podszedł do drewnianego obramowania burty i przez chwilę spoglądał na rozmigotane krwawymi błyskami fale. Wargi jego poruszały się cicho, gdy liczył wiosła. Nieznosił wzburzonego morza, a gdyby mógł rzec prawdę ludziom, którzy wraz z nim znajdowali się na okręcie, powiedziałby im, że nie znosi morza, nawet gdy jest spokojne. Podróż morska była dla niego jednym pasmem nieustannych mdłości i choroby, którą przewyciężał jedynie dzięki ziołom z Gubal. Lecz zioła owe należało pić gorące, kilkakroć w ciągu dnia, a przecież wiele już czasu minęło, odkąd nie mógł marzyć o tym, aby któryś z jego ludzi zapalił ogień w małym kamiennym palenisku na rufie.

Co prawda, nie myślał w ciągu całego owego czasu o swej przypadłości, gdyż trwoga kazała mu zapomnieć o niej. Gdy wierzchołek masztu złamał się, zwinięty pospiesznie żagiel poszedł w strzępy, a potężna fala upadła na wiosła i wyrwawszy je z rąk dwu wiosłarzy, oderwała ku górze, łamiąc je i zabijając strzaskanym drzewcem jednego z siedzących, wydawało mu się, że nadchodzi kres okrętu i kres jego, Ahikara, żywota.

Okręt trzeszczał straszliwie i woda przelewała się wysoko ponad burtami, a on, Ahikar, pan dwudziestu okrętów i największych składów w Gubal, stał przywiązany, na własny rozkaz, przez ludzi liną do nasady masztu i czekał śmierci. Nie wierzył we wszechmocnych bogów i żałował tego w owej chwili, gdyż wszyscy wiosłarze i kapitan zapewne wzywali w chwili tak straszliwej na pomoc Aszerę Panią Mórz, obiecując jej najwyższe ofiary, jeśli okręt przetrwa.

Uśmiechnął się teraz i pogładził brodę. Był starym człowiekiem, lecz kochał życie nie mniej niż inni. Mimo to, choć trwożyła go burza, nie lękał się śmierci, gdyż wiedział, że musi nadejść. Mogła nadejść na morzu, jednak nie nadeszła, bo oto nawałnica minęła, a okręt, z wolna popychany połową wiosła i pozbawiony żagla, płynął na południe - ku domowi.

Ahikar raz jeszcze pogładził brodę, spojrział na swą dłoń i westchnął. Rankiem broda ta była pięknie utrefiona i szkarłatna. Teraz zapewne niewiele farby w niej pozostało i przeświecała w wielu miejscach siwizną. Nie zawołał, by przyniesiono mu zwierciadło ze skrzyni spoczywającej na

dnie statku. Nie obchodziło go, jak wygląda w tej chwili.

Uśmiechnął się raz jeszcze. Posłuchanie u króla Troi wypadło tak, jak tego pragnął. Nie będzie już korzystał z pośredników, lecz jego własne okręty będą przewoziły srebro trojańskie do faraona Egiptu, aby w zamian obdarzyć Trojańczyków tym, czym chlubiła się Fenicja: naczyniami ze szkła i tkaninami ozdobnymi, jakim równych nie znał świat.

Przez chwilę jeszcze rozmyślał nad tym, czy wejść w układy z rzemieślnikami w Gubał, którzy uczynią z tego srebra misy i kosztowności, czy też wybudować własne warsztaty i zatrudnić w nich swoich ludzi, co przynosiłoby początkowo mniejsze zyski, gdyż dobrego rzemiosła trzeba się długo uczyć.

Kątem oka dostrzegł kapitana, który stał o kilka kroków przed nim ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i pochyloną głową, nie ważąc się podejść.

- Cóż tam, Tabnicie? Wyglądasz, jak gdybyś obawiał się, że nadejdzie nowa burza. A może ta przeminiona tak cię strwożyła, że nie możesz wydobyć głosu?

- Nie, panie! - Kapitan zbliżył się i przystanął przed nim, pochyliwszy głowę jeszcze niżej. - Gdy Baal przeleci na swych grzmiących rumakach z taką siłą, zwykle nie powraca prędko. Możemy liczyć odtąd na spokojne morze i sprzyjający wiatr. Chwała niech będzie cieślom z Sydonu za ich pracę. Nigdy nie płynąłem na lepszym okręcie, choć należałoby najpierw uczcić bogów za to, że nie zapragnęli złożyć kości naszych na dnie morza.

- Zapewne, zapewne... - Ahikar skinął głową. - Łaska bogów sprzyjała nam, więc po powrocie złożymy w porcie ofiarę z kóz na ołtarzu Pani Morza, a tu - wskazał głową płaski, oprawiony w cedrową ramę kamień na dziobie tuż za popiersiem bogini - zapalcie wonności, gdy tylko przeschną, gdyż jak mi się wydaje, woda dostała się wszędzie.

- Tak, panie, uczynimy to.

- Cóż jeszcze? Jak sądzisz, kiedy dopłyniemy?

- Gdy tylko morze uspokoi się, cieśla wejdzie na maszt. Spróbujemy wówczas założyć zapasowy żagiel i nową reję. Dwóch ludzi skraca go właśnie. Wiosła także naprawiamy. Jeśli wiatr dopisze, popłyniemy szybciej.

- Jeśli taka będzie wola bogów... - powiedział cicho Ahikar i uśmiechnął się, wiedząc, że broda zakrywa ów uśmiech.

- Tak, panie. Czy zezwolisz, bym rozpalił ogień i zajął się przygotowaniem wonności na ołtarz?

- Uczyn to jak najszybciej, skoro niczego innego nie możemy ofiarować. A nie zapomnij przy tym, aby przyrządzono posiłek dla załogi i zioła dla mnie.

- Tak, panie.

Kapitan zrobił krok w tył na rozkołysanym pokładzie i zawrócił. Ahikar podszedł do burty i stał przez chwilę spoglądając na morze. Za sobą usłyszał ostry, wysoki głos kapitana. Rozległy się miarowe uderzenia topora. Zapewne cieśla naprawiał wiosła.

Stary człowiek westchnął.

„Jestem bogaty - pomyślał - czemuż przemierzam świat w poszukiwaniu większego bogactwa, choć mógłbym wysłać któregoś z moich synów? - I od razu odpowiedział sobie: - Gdyż są młodzi i głupi. Król Troi każdego z nich owinąłby sobie dokoła palca. Młodemu wystarczy dać dobrego wina podczas uczy, okazać mu poufałość większą niż należy i oto wydaje mu się, że jest wśród przyjaciół. A później sprzedają mu srebro, w którym jest więcej ołowiu niż kruszcu. - Znowu się uśmiechnął. - Mimo to nigdy już nie wypłynę na morze... no, może raz jeszcze, wkrótce, do Egiptu, aby połączyć

końce tego przedsięwzięcia...”

Rozmyślając spoglądał na fale niższe już nieco i nie zakończone białymi bryzgami piany. Słońce zachodziło.

Ahikar patrzył i myślał. Nagle uniósł głowę i odwrócił się:

- Tabnicie!

Głowa kapitana ukazała się ponad drewnianymi stopniami prowadzącymi ku położonym w dole ławom wioślarzy.

- Tak, panie! Czy wzywałeś mnie?

- Podejdz tu i spójrz. Wzrok mój jest wzrokiem starego człowieka i myślę się zapewne myśląc, że dostrzegam coś. Czy nie widzisz łodzi, którą wiatr pcha ku nam? O, tam! - Wyciągnął rękę.

Kapitan skinął głową.

- Tak, panie. Widzę. Pewnie zagnała ją tu burza.

- Czy jest pusta? Gdyż, jak sędzę, leży w niej człowiek.

- Tak, panie.

- Dowiedzmy się, Tabnicie, czy żyje, czy też są to martwe zwłoki rybaka, zbląkanego pośród nawałnicy.

Kapitan szybko podszedł do krawędzi schodów i krzyknął głośno kilka słów. Zanurzone w wodzie wiosła wynurzyły się i znieruchomiały w powietrzu.

- Hamman, zbliż się do mnie! - zawołał kapitan.

Minęła krótka chwila i ukazał się wysoki, ciemnowłosy młody wioślarz.

- Panie! - Padł na kolana i zerwał się natychmiast.

- Czy widzisz tę łódź? Skocz do wody i zobacz, co się w niej znajduje. Jest tam człowiek. Jeśli żyje, podpłyn z nim tutaj.

Bez słowa smagły wioślarz podbiegł do burty, odbił się mocno nogami i zatoczywszy szeroki łuk nad wystającymi nad wodą wiosłami, zniknął w morzu. Wypłynął natychmiast i już po kilku chwilach dostrzegli, że chwycił ręką za dziób maleńkiej łodzi, uniósł się i zajrzał do niej.

- Chłopiec, panie! - dobiegł jego głos. - Pewnie nieżywy, przywiązany linką!

Kapitan spojrzał pytająco na Ahikara.

- Niechaj upewni się, czy ów chłopiec zmarł.

- Przytknij ucho do jego serca! - krzyknął kapitan.

Wioślarz wśliznął się do łodzi, uniósł bezwładne ciało i przez chwilę klęczał przy nim z głową na jego piersi. Wreszcie wyprostował się.

- Żyje jeszcze! - zawołał. - Słyszę głos serca.

- Niechaj podpłynie tu wraz z łodzią. Chciałbym ją obejrzeć - powiedział cicho Ahikar.

Chłopiec ów i łódź musieli pochodzić z okolic Troi. Należało rozumieć i poznawać lud, z którym wymieniało się towary.

Kapitan krzyknął w dół ku załodze i po chwili podano mu zwiniętą długą linę, którą sam rzucił, uchwyciwszy mocno za jeden koniec. Smagły wioślarz chwycił ją w locie. Kiedy wreszcie niewielką łódź i bezwładne, smukłe ciało chłopca złożono na pokładzie, Ahikar podszedł i przyjrzał się leżącemu, który poruszył głową, otworzył oczy i znów je zamknął.

- Włosy ma jasne jak dzieci ludu zamieszkującego nad morzem za trojańskim przesmykiem lub jeszcze jaśniejsze - mruknął na pół do siebie, na pół do stojącego za nim kapitana.

- Tak, panie - powiedział Tabnit i umilkł. Ahikar zbliżył się do łodzi.

- A cóż to jest? Łeb tuńczyka z przebitą paszczą? Czyżby przytwierdził go tam, by chronił łódź i jego przed złymi mocami? Kapitan pochylił się i dotknął ręką głowy olbrzymiej ryby. Z wysiłkiem wyciągnął wbity w burtę harpun.

- Nie, panie. Tę rybę musiał złowić dziś. Zginęła ona nie później niż w południe.

- On? - powiedział Ahikar i odwrócił się ku leżącemu. - Wielkim byłby naprawdę rybakiem, gdyby nie dorósłszy jeszcze wieku męskiego umiał sam upolować rybę, która jednym uderzeniem ogona mogłaby zmieść z powierzchni morza jego wraz z tą drobną łodzią. Zapewne był z nim jakiś dojrzały mąż, którego zmyła fala.

Leżący otworzył oczy, przymknął je i znowu otworzył. Spróbował dźwignąć się na łokciu, patrząc ze zdumieniem na dwu brodatych ludzi pochylających się nad nim.

- Znasz ich język, Tabnicie. Spytaj go, skąd wzięła się głowa tej ryby w jego łodzi.

- Tak, panie. - Kapitan zwrócił się ku chłopcu i wypowiedział kilka słów, których Ahikar nie pojął. Lecz najwyraźniej nie pojął ich także chłopiec. Usiadł i z wolna uniósł rękę do czoła. Później, jak gdyby nagle przypominając sobie, rozejrzał się, dostrzegł leżącą obok łódź i ukląkł, chwytając za jej burtę. Widać było, że nie odzyskał jeszcze sił. Spojrzawszy na kapitana odpowiedział coś krótko i znowu opadł na deski.

- Tak, panie. Mówi, że był sam i upolował go.

- A więc musi on być dobrym rybakiem i odważnym człowiekiem, choć nie jest jeszcze mężczyzna... - Ahikar pokiwał głową i pogładził brodę.

- Panie... - powiedział cicho kapitan.

Stary kupiec milczał długą chwilę, później zwrócił oczy ku kapitanowi.

- Mów, Tabnicie.

- Panie, czy zezwolisz słudze twemu, aby rzekł, co ma na sercu?

Ahikar bez słowa skinął głową.

- Gdy twe bystre oczy, panie, dostrzegły łódź na równinie wodnej, a w niej owego chłopca, pomyślałem, że zapewne najłaskawszi bogowie zsyłają go, abyśmy mogli uczcić nasze ocalenie... - urwał.

- Cóż chcesz rzec, mówiąc to, Tabnicie?

- Chcę rzec, za twoim przyzwoleniem, panie, że jeśli po tak straszliwej burzy na bezkresnym i pustym morzu bogowie oddali nam tego oto rozbitka, pragnęli zapewne, by nie stał się on żerem ryb drapieżnych, lecz został złożony w ofierze tu, na ołtarzu Aszery Pani Mórz, w której ręku był los jego i nasz.

Ahikar w milczeniu spojrzał na leżącego chłopca, który siadł w tej chwili i potrząsając głową uniósł ręce rozprostowując je. Światło zachodzącego słońca zalśniło na gładkiej skórze, która napięła się na gibkich umięśnionych ramionach.

- I sędzę, za twym przyzwoleniem, panie, że jeśli bogowie zsyłają taki znak, źle jest sprzeciwiać się im, gdyż podróż nasza nie skończyła się jeszcze i nadal pozostajemy w ich ręku na okręcie, któremu wiele szkód zadała burza.

Stary kupiec uniósł głowę i spokojnym, pogodnym wzrokiem spojrzał na kapitana.

- Sędzę, Tabnicie, że być może myśl twoja o ofierze należnej bogom jest słuszna - urwał na chwilę i pogładził brodę.

- Tak, panie! Dzięki ci! Ofiarujmy bogom krew jego!

Ahikar uniósł dłoń ruchem powolnym i niemal niedostrzegalnym, lecz kapitan zamilkł

natychmiast.

- Sądzę, że myśl twoja o ofierze należnej bogom jest słuszna. Lecz spójrz, oto na szyi owego chłopca widzę nóż w pochwie ze skóry. I przyszło mi na myśl, że być może bogowie zesłali mi tego młodego rybaka, abym ująwszy w dłoń nóż, który przybył tu z morza, złożył ofiarę z tego, który tak dzielnie prowadził okręt w chwili niebezpieczeństwa: z ciebie; Tabnicie. Bo jakaż ofiara wyda im się cenniejsza, jak sądzisz? Tego nędznego barbarzyńskiego Wyrostka czy twoja, męża dojrzałego i poświęconego morzu już w dzieciństwie?

Mówiąc nie podniósł głosu ani nie zmienił jego łagodnego brzmienia. Lecz kapitan padł przed nim na twarz i objąwszy jego nogi, zawołał:

- Panie, czyżbyś naprawdę pragnął tak uczynić?

- Nie! - Ahikar potrząsnął głową. - Nie pragnę tak uczynić, gdyż jesteś dzielnym i wiernym kapitanem, i nie sądzę, aby Aszera Pani Mórz pragnęła twej krwi. Lecz nie sądzę także, aby pragnęła ona krwi tego chłopca. Wstań.

Kapitan uniósł się na klęczki, a później, nie spuszczając oczu z oblicza starego człowieka, dźwignął się na nogi.

- Czyżbyś zapomniał, Tabnicie, że jestem najmożniejszym kupcem Gubalu? Czyżbyś zapomniał, że siostra moja jest matką żony królewskiego brata? Czyżbyś zapomniał, kim ty jesteś? Czyż nie uczono cię, gdyś był dzieckiem i młodzieńcem, że nie będziesz wyrażać woli swej nie pytany, gdy stoisz w obliczu możnych?

- Panie... - wyszeptał kapitan zbielełymi wargami. - Wybacz twemu słudze. Zapewne burza pomieszała mi zmysły... i zmęczenie...

- Zapewne - powiedział Ahikar spokojny m głosem - lecz strzeż się, aby nie zdarzyło ci się to więcej.

- Każ, panie, osmagać nikiemną skórę moją, aby krew z niej ściekała strugami!

- Nie, Tabnicie. Gdyż nigdy jeszcze cień twój nie padł na drogę słów moich, a ojciec twój służył mi i dziad twój służył memu ojcu. Lecz, jak sądzisz, cóżby uczynił król, gdybym nie pytany rzekł mu, co ma czynić?

Kapitan znów padł na kolana i ucałował kraj jego szaty.

- Uwierz mi, panie, że myślałem jedynie o bogach i twoim szczęściu. Mając ciebie na pokładzie wiozę ładunek cenniejszy po stokroć niż moje życie. Jeśli zawiniłem, winą mą jedyną była moja wierność dla ciebie!

- Wierzę ci - odparł krótko Ahikar. - Wstań!

Kapitan wstał ponownie.

- Chłopca tego nakarmisz i sprawisz, aby był zdrow i wypoczęty, gdy okręt nasz zawinie do przystani.

- Tak, panie.

- A łódź jego i głowę owego potwora morskiego, którego zesłało nam morze, spalimy na ołtarzu Aszery Pani Mórz pośród ziół nocą... - Spojrzał na niebo. - Księżyc dziś w pełni i ofiara ta ucieszy boginię.

- Tak, panie!

- A teraz odejdz w pokoju.

Kapitan chciał raz jeszcze ucałować kraj jego szaty, lecz Ahikar skinął dłonią j powstrzymał go.

- Nie chcę, aby go bito! - dodał. - Powiedz to załodze. Jeśli ujrzę ślad uderzenia na jego ciele,

zginiesz ty i ów, który go uderzył.

- Tak, panie! Kto by go tknął, zginie! Tak im zapowiem.

- Dobrze uczynisz, a teraz idź i przygotuj zioła dla mnie, a jeśli zostanie choć strzęp suchej tkaniny w skrzyniach, przygotuj mi posłanie. O północy zbudź mnie dla złożenia ofiary.

- Tak, panie.

Kapitan pochylił się i ostrożnie ujął pod ramię chłopca, który podniósł się z trudem i słaniając ruszył wraz z nim ku stopniom prowadzącym ku wioślarzom i tyłowi okrętu.

Stary kupiec uśmiechnął się lekko. Później pogładził brodę.

- Aszero Pani Mórz! - szepnął niedosłyszalnie i wzruszył ramionami. Uznawał tylko jednego boga, a było nim bogactwo. Chłopiec ów, młody, zdrow i o włosach tak niecodziennej barwy, stał się jako zdobycz częścią jego bogactwa. Egipt gotów był kupić każdego młodego niewolnika, a jak sądził stary kupiec, za tego dla pewnej przyczyny mógł zapłacić więcej niż za innych.

Ahikar westchnął. Czekala go wkrótce następna morska wędrówka, na czele dziesięciu ciężko załadowanych okrętów, do ujścia Nilu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Połączysz się z Bogiem, ojcem twym!

Białowłosey siedział na ciepłym, suchym piasku nadbrzeża w cieniu wysokiej burty okrętu i leniwie przyglądał się ludziom znoszącym z pokładu wielkie, owinięte białym płótnem bele purpurowej tkaniny, którą przed dwoma dziesiątkami dni załadowali w Gubal.

Przybyli do ujścia rzeki o świcie w dziesięć okrętów o wysokich, zaokrąglonych dziobach. Cztery z nich ciągnęły za sobą tratwy z powiązanych łykiem, pięknie ociosanych pni cedrowych i miały przy wiosłach podwójną załogę, która zmieniała się, aby nie pozostawać w tyle za innymi. Teraz wszystkie stały rzędem u nadbrzeża, a dwa, z których wyładowano już towary, wyciągnięto na piasek i podparto palami. Krainę, do której przybili, Ahikar nazwał Egiptem.

Białowłosey przeniósł spojrzenie z robotników na piasek, gdzie na skraju rosnącego niemal nad wodą gaju palmowego stał Ahikar naprzeciw wysokiego białego odzianego człowieka, który miał być kimś znacznym, gdyż stojący tuż za nim niewolnik osłaniał od słońca jego wygoloną głowę małym baldachimem płóciennym, rozpiętym na dwóch palikach. O kilka kroków za wysokim Egipcjaninem stała grupa ludzi, którzy z nim przybyli przed niedawnym czasem.

Wiatr przynosił strzępy rozmowy do miejsca, gdzie siedział Białowłosey, lecz choć w ciągu trzech miesięcy, jakie spędził w domu Ahikara w Gubal, od chwili gdy nieprzytomnego wyciągnięto go na pokład okrętu, nauczył się rozumieć mowę jego ludu, tego języka nie rozumiał. Świat był wielki i choć lepiej byłoby, gdyby wszyscy ludzie posługiwali się jedną mową, porozumiewali się rozmaicie.

W pewnej chwili zauważył, że Ahikar odwróciwszy się ku niemu wskazał go dłonią, a Egipcjanin idąc za jego spojrzeniem także przyjrzał mu się uważnie.

„Pewnie opowiada mu o tym, jak znalazł mnie na morzu” - pomyślał Białowłosey i uniósł wzrok, by przyjrzeć się dalekiemu miastu rozciągającemu się na prawo od palmowego gaju. Górował nad nim wielki jak wzgórze biały pałac lśniący w promieniach słońca.

Białowłosey wstał i powoli podszedł do miejsca, gdzie marynarze składali towary. Siedział tam na skrzyżowanych nogach półnagi człowiek, przed którym rozstawiono przenośny stolik. Miał na nim paletę z zagłębieniami pełnymi gęstego, ciemnego płynu, obok której leżały długie trzcinowe patyczki. Stary człowiek maczał patyk w płynie i przy każdej przyniesionej beli materiału czynił znak na zwiniętym z obu stron i przyciśniętym białymi kamykami zwoju.

Chłopiec patrzył przez chwilę i zawrócił. Nie wolno mu było oddalać się od okrętu, więc usiadł znowu i spojrzał na dalekie morze. Ów wielki przybytek musiał być zapewne Świątynią, gdyż ludzie, nawet królowie, nie mieszkaliby chyba w tak wysokich domach.

Pomyślał o Gubal, w którym spędził ostatnie miesiące. Gdy przybył tam, wydało mu się, że jest to największe miasto świata, przy którym rodzinna Troja zdawała się maleńka. Lecz w Gubal nie było

tak wielkiej świątyni jak ta, którą widział teraz w oddaleniu.

Westchnął i wstał ponownie. Dręczyła go beczynność. Nie wolno mu było pracować, nie mógł więc nawet pomóc stojącym na pokładzie marynarzom, którzy ostrożnie wyładowywali teraz naczynia z winem, o długich szyjkach zapieczętowanych woskiem.

Tego właśnie nie mógł pojąć. W Gubal także nie wolno mu było pracować ani pływać, ani samotnie oddalać się o krok z domu Ahikara. Był nieszczęśliwy w pierwszych dniach. Rozmyślał o matce, która zapewne opłakała go, gdy nie powrócił z morza po owej straszliwej burzy. Czy zobaczy ją kiedyś i rodzinny skalisty brzeg? Z czasem pogodził się z losem. Nie był pierwszym ni ostatnim z tych, których zły traf oderwał od krainy ojców. Dom Ahikara i całe miasto Gubal pełne były niewolników z różnych stron świata. Zatrudnieni byli od świtu do nocy, a choć niektórzy, najsprawniejsi w sztukach lub rzemiośle, żyli dostatnio i nosili piękne szaty, życie ich było własnością pana.

Lecz żaden z nich nie dostąpił tak zdumiewającego losu jak on. Już od pierwszej chwili po przybyciu stary kupiec powierzył nad nim opiekę zaufanemu niewolnikowi, który nie odstępował go na krok. Wolno mu było jeść, kiedy i ile zechciał, lecz zakazano mu wszelkiej pracy i wykonywania usług. Jediną rozrywką była przechadzka z niewolnikiem po mieście. Przywykł szybko do tego, że ludzie zatrzymywali się na jego widok. Chłopca o tak jasnej skórze i białych niemal włosach nie można było spotkać także i w Troi, a tu, gdzie ludzie byli smagli, budził wielkie zdziwienie.

I tak płynął mu czas w domu Ahikara. Co dnia niewolnik namaszczał ciało jego oliwą i badał pilnie, niemal z lękiem, czy nie ma na skórze skazy lub zadrapania. Gdy nauczysz się nieco mowy fenickiej spytał go, czemu tak czyni, niewolnik odparł, że tak brzmiał rozkaz pana:

„Aby ciało owego chłopca było bez zmary”.

Aż wreszcie nadszedł dzień, gdy Ahikar wezwał go, kazał stanąć przed sobą i zdjąć opaskę z bioder.

Białowłosy uczynił, co mu kazano, dziwiąc się w duchu, czemu człowiek, mający jego życie w ręku, pragnie oglądać go nagiego. Po krótkich oględzinach kupiec wydał się najwyraźniej zadowolony, lecz bez słowa skinął głową i wskazał mu drzwi.

Nazajutrz przed świtem stary niewolnik obudził Białowłosego.

- Wstawaj! Odpływasz z naszym panem, oby Baal przedłużył mu życie na wieki, do Egiptu!

Białowłosy umył się pod cysterną w ogrodzie i zarzuciwszy na szyję nóż w pochwie z koziej skóry, który był jedyną rzeczą, jaką posiadał na świecie, i jedyną pamiątką po utraconym domu rodzinnym, udał się z niewolnikiem do portu, gdzie stały okręty gotowe już do wypłynięcia.

I oto teraz znajdował się na wybrzeżu owej nieznanej krainy zwanej Egiptem i przypatrywał się bez zaciekawienia szeregowi wypełnionych winem wielkich naczyń i stosowi bel purpurowej tkaniny, którą niewolnicy Ahikara barwili w Gubal na tak szlachetną barwę wyciągiem z maleńkich muszelek morskich.

- Synu morza!

Odwrócił się szybko. Ahikar zawsze tak się zwracał do niego żartobliwie. Lecz teraz oblicze starego kupca było poważne. Stojący obok niego wysoki Egipcjanin skinął na chłopca trzymaną w lewej ręce długą laską o złocistej ręczce.

Białowłosy podszedł i skłonił głowę przed Ahikarem. Nie poruszył się, gdy Egipcjanin zbliżył się ku niemu i rozwiązał mu węzeł opaski, która opadła na piasek.

Dostrzegł, że stojący za Egipcjaninem ludzie wyciągnęli szyje, a kilku zrobiło krok ku przodowi,

jak gdyby pragnęli przyjrzeć mu się dokładniej.

Pisarz, zapisujący na długim zwoju towary, uniósł rękę i zatrzymał schodzących z okrętu ludzi.

Pośród zupełnej ciszy wysoki Egipcjanin obszedł Białowłosego, przyglądając mu się ze skupioną uwagą. Jego wielkie, nieruchome oczy przesuwają się po szczupłym ciele stojącego.

Wreszcie, zakończywszy oględziny, odstąpił o krok, odwrócił się i wyrzekł kilka niezrozumiałych słów ku stojącym za nim ludziom.

Jeden z nich oderwał się od innych, podbiegł i złożył mu głęboki ukłon. Znowu wymienili kilka słów i nowo przybyły podszedł do chłopca.

- Skąd jesteś? Jak znalazłeś się u Ahikara, kupca z Gubal? Pan mój Het-Ka-Sebek, kapłan świątyni Boga, który żyje wśród wód, zapytuje ciebie.

Mówił zrozumiale, choć mowa jego była nieco inna niż mowa rybaków na wybrzeżach Troady.

- Ojciec mój jest poddanym króla Troi - powiedział Białowłosey cicho. Ze zdziwieniem słuchał dźwięku własnych słów.

Tak dawno już nie posługiwał się mową ojców, że odpowiedział z pewnym trudem. Ale po chwili dokończył swobodniej: - Wypłynąłem sam na morze, aby upolować ryby, gdyż ojca mego król wezwał do miasta. Gdy walczyłem z tuńczykiem, nadeszła burza i spodobało się Wielkiej Matce, pani ziemi i morza, wysłać wicher potężny, który zagnał mnie wraz z łodzią daleko na morze. Wówczas, gdy leżałem bez życia na dnie łodzi, dostrzegł mnie czcigodny Ahikar i kazał ludziom swoim wydobyć mnie na pokład swego okrętu. Odtąd przebywałem w domu jego i przybyłem z nim tu dziś o wschodzie słońca na jednym z jego okrętów.

- A cóż ma wasza Wielka Pani i Matka w dłoniach, gdy ją wyobrażacie w glinie lub kamieniu? - zapytał szybko człowiek.

- Gołębnice lub węże, panie - powiedział Białowłosey bez wahania.

Lecz tamten zdawał się go już nie słyszeć, gdyż zwrócił się ku wysokiemu Egipcjaninowi i zaczął mówić spiesźnie, z nisko pochyloną głową i rękami skrzyżowanymi na piersi. Kiedy umilkł, nastąpiła cisza. Białowłosey odruchowo pochylił się, żeby unieść swoją opaskę, lecz wysoki Egipcjanin odrzucił ją końcem laski. Później powiedział coś wskazując palcem pierś chłopca i spojrzał na Ahikara:

Stary kupiec pogładził brodę i odpowiedział kilka słów. Na to wysoki Egipcjanin dał oczyma znak człowiekowi stojącemu obok chłopca.

- Czy to twój nóż? - zapytał ów człowiek.

- Tak, panie. - Chłopiec sięgnął do piersi i wyciągnął nóż z pochwy. Później włożył go na powrót.

- Czy miałeś go ze sobą w łodzi, gdy kupiec Ahikar wziął cię na pokład swego okrętu?

- Tak, panie. Wisiał na mej szyi i fala go nie zmyła.

Człowiek przekazał jego słowa swemu panu i cofnął się, trzymając ręce skrzyżowane na piersi.

Wysoki Egipcjanin zwrócił się do Ahikara.

Gdyby Białowłosey mógł pojąć, co kryje się w słowach, które wypowiedział, zapewne nie stałby tak spokojnie i nie zastanawiałby się nad tym, jakiego to potwora paszcza zdobi rączkę złotej laski.

Stojąc z opuszczoną głową przyglądał się jej. Była to paszcza długa, lekko rozwarta i wypełniona drobnymi złotymi zębami. A oczy owego maleńkiego potwora lśniły w słońcu błękitnym zimnym blaskiem, gdyż uczyniono je z dwu niebieskich drogich kamieni, jakich nigdy jeszcze nie widział nawet u żony i córek starego kupca.

Tymczasem wysoki Egipcjanin powiedział:

- Dobrze uczyniłeś, Ahikarze, pamiętając o wielu więzach uczciwej wymiany i usług, które ród twój od tak dawna wyświadcza kapłanom boga władającego nad Wielkim Jeziorem. Jak wiesz, bóg mój najbardziej raduje się w dniu swego święta, mogąc przyjąć tych, którzy z wody zostali wyłonieni i są bez skazy na ciele.

- Het-Ka-Sebeku, Który Strzeżesz Wizerunku Duszy Boga, nie zapomniałem o tym. Gdy tylko ujrzałem go, kołysanego w czółnie na wezbranym morzu, i później, gdy dostrzegłem, że jest to chłopiec piękny o ciele nie skalanym szramą ni skazą i o członkach prostych bez śladu kalectwa, pomyślałem o twoim wielkim bogu, który oby zsyłał ci szczęście i zdrowie przez lat tysiące! Ludzie moi chcieli złożyć go na ołtarzu okrętowym w ofierze Pani Mórz, lecz skarciłem ich za to, a w domu moim oddałem go zaufanemu niewolnikowi, aby czuwał nad nim, karmił go i namaszczał tak, by bóg twój uradował się na jego widok. Wierzyłem, że ucieszy on także i ciebie, gdyż jest to chłopiec osobliwy, o skórze tak jasnej jak kość słoniowa i włosach białych niemal jak włosy starca, choć są one młode jak on sam. Zbyt długo jestem kupcem, abym zdobywszy towar tak rzadki chciał go uszkodzić lekkomyślnie.

Het-Ka-Sebek, Kapłan Strzegący Spokoju Żywego Wizerunku Duszy Boga Sebeka, skinął głową.

- Słusznie uczyniłeś, Ahikarze... - Urwał i przez chwilę przyglądał się nagiemu chłopcu stojącemu przed nimi nieruchomo jak posąg. - A czymże świątynia odpłaci ci za twą troskę?

Ahikar pogładził brodę i chrząknął cicho.

- Czyż mam ci przypomnieć, Het-Ka-Sebeku, Który Strzeżesz Wizerunku Duszy Boga, że gdy tylko okręt mój zawinął do Gubal z tym chłopcem na pokładzie, uznałem to za rzecz tak wielkiej wagi, że natychmiast przesłałem ci wiadomość o nim pierwszym okrętem odpływającym z mej ojczyzny do Egiptu i wspomniałem przy tym, że przywiozę go tu ze sobą, a ty, otrzymawszy tę wiadomość, wsiadłeś na barkę i odbyłeś długą drogę, aby mnie tu oczekiwać?

- Tak, to prawda.

- Więc dziś, gdy przekonałeś się, że wieść ode mnie nie była przesadzona, jak sądzisz, Het-Ka-Sebeku, czy bóg twój (oby otaczał cię łaską nieustającą) mógłby otrzymać inny, hojniejszy dar, z którym chętniej połączyłby się w dzień swego święta?

- Cóż, w obwodzie świątynnym przebywa już pewna dziewczeczka, również bez skazy na ciele i urodziwa... schwytała w sieć rybacką przez sługi świątyni, gdy kąpała się w jeziorze. Pochodzi ona z Górnego Kraju. Rodzice jej byli uszczęśliwieni otrzymawszy dwa dziesiątki worków jęczmienia od kapitana barki, który przemierzał kraj poszukując ofiary miłej Sebekowi. - Skłonił głowę i zamilkł.

- Dwa dziesiątki worków jęczmienia! - powiedział Ahikar łagodnie i z tak bezbrzeżną wzdrgadą, jak gdyby usłyszał o popełnieniu wielkiego występku. - Czyż bóg taki jak twój, Het-Ka-Sebeku, może przyjąć ofiarę nabytą za dwa dziesiątki worków jęczmienia?

I on umilkł. Wysoki Egipcjanin zakasłał i spojrzał gniewnie ku robotnikom i pisarzowi, przysłuchującym się rozmowie.

Pisarz szybko dał znak ręką i pochylił głowę nad zwojem. Pierwszy z ludzi, trzymających na głowach bele tkaniny, złożył ją ostrożnie na rozpostartych przed stolikiem pisarza trzciniowych matach i odszedł. Szereg ruszył.

- Pytałeś mnie, Het-Ka-Sebeku, Który Strzeżesz Żywego Wizerunku Duszy Boga Sebeka, jak świątynia może odpłacić mi za mą troskę? Otóż chłopiec ten, dar morza, ofiara bez skazy, wart jest co najmniej dwieście pięćdziesiąt zwojów papirusu, a każdy z owych zwojów winien być długi na

trzydzieści łokci. Lecz niezliczone lata wymiany dóbr pomiędzy twoją świątynią a domem mych przodków powodują, że ja także pragnę złożyć pięćdziesiąt zwojów papirusu twemu bogu, a więc zapłacisz mi za chłopca jedynie zwojów dwieście.

Kapłan uniósł szybko głowę.

- Za jednego młodego niewolnika?! Oszalałeś, Ahikarze!

- Nie, Het-Ka-Sebeku, Który Strzeżesz Spokoju Żywego Wizerunku Duszy Boga Sebeka. Żądając takiej, a nie innej zapłaty, chcę ci jedynie wyjaśnić, że choć nie jestem z twego ludu, lecz podobnie jak wy pragnę oddać cześć waszemu bogu. Pragnę mówić otwarcie i nie będę cię obrażał krętą i podstępłą mową, jak to zwykli czynić ci, którzy pierwszą cenę wyznaczają zbyt wysoko, aby móc później opuszczać z niej, wrywając sobie włosy z brody i udając rozpacz z niskiej ofiarowanej im zapłaty, a później w domu radują się, że oszukali kupującego swą wymową. Być może, cena taka wydaje ci się wygórowana, nie będę jednak żądał za tę ofiarę tyle, ile należałoby żądać, nie od potężnego boga Sebeka, lecz od małego bożka nubijskiego nadrzecznego miasteczka. Z małymi bogami niechaj handlują mali kupcy. Nie chcę więc, abys rozmawiał ze mną jak z kramarzem lub z ubogim chłopem, w porze gdy zapasy kończą się w spichrzu i zmuszają do sprzedawania własnych dzieci za dwa dziesiątki worków ziarna.

Het-Ka-Sebek zmarszczył brwi i otworzył usta, jak gdyby chciał odpowiedzieć ostro, lecz nie powiedział nic i raz jeszcze objął spojrzeniem stojącego przed nimi chłopca. Nadal nie odzywając się, zaczął w zamyśleniu kreślić na piasku małe znaki. Wreszcie starł je nagą stopą o paznokciach powleczonych złotą farbą.

- Dwieście zwojów papirusu to bardzo wiele, Ahikarze, lecz wielki jest bóg, któremu służę. Odpłynę teraz zabierając go... - Wskazał laską Białowłosego. - A ty, po wyładowaniu twych okrętów i załadowaniu ich moimi towarami, każ jednemu z kapitanów, aby zatrzymał się tu przez dni czternaście. Na piętnasty dzień przyplynie tu rzeką łódź, a w niej kapłan, który przekaże mu owe zwoje. A o sprawach srebra z północnych krain, o których wspomniałeś dzisiaj, i nubijskiej kości słoniowej, którą ci w zamian za owo srebro przekaże świątynia i będzie przekazywać później w sposób, jaki sprawi pożytek nam i tobie, mówiliśmy. Rada świątyni wyraża zgodę na tę wymianę. Gdyby nastąpiły nieprzewidziane okoliczności, zawiadomisz Dom Boga, a gdybyś umarł, niechaj umowę naszą potwierdzi ten z twoich synów, który obejmie twą majątność. I dzięki ci za ofiarę, którą przekazałeś dla pana i boga mojego.

- Pan twój jest wielkim bogiem - Ahikar skłonił się głęboko - którego przychyłność odmienić może na lepsze żywot tak marnego prochu, jakim jestem przed jego obliczem. Cieszy mnie niezmiernie, że mogłem, choć jestem tylko cudzoziemcem, usłużyć mu. Żegnaj mi, Het-Ka-Sebeku, Który Strzeżesz Spokoju Żywego Wizerunku Duszy Boga.

- Żegnaj mi, Ahikarze. Niechaj dobry wiatr i sprawni wioślarze prowadzą cię do Gubal nadmorskiego, abyś nacieszył stare oczy synami i wnukami twymi.

Skłonili się sobie ponownie i stary kupiec ruszył ku okrętom, nie rzuciwszy nawet okiem na Białowłosego.

Kapłan wbił laskę w piasek i zaklaskał w ręce.

Od grupy stojących w oddali ludzi oderwał się jeden, podbiegł, złożył u stóp Het-Ka-Sebeka niewielką skrzynkę wykładaną różnobarwnym drzewem, lśniącymi kamieniami i srebrem, cofnął się i stanął wpół zgięty, wpatrzony w kapłana, który dał mu znak ręką.

Człowiek otworzył skrzynkę i uklękawszy na jedno kolano, wyjął z niej pozłocistą opaskę na

biodra i flakon z alabastru.

Het-Ka-Sebek wziął flakon, otworzył go i zbliżył się do Białowłosego. Wymawiając cicho i powoli niezrozumiałe słowa, wylał na swą dłoń kilka kropel gęstego zielonkawego płynu. Później końcami palców dotknął czoła i piersi chłopca, uniósł pozłocistą opaskę i opasał nią jego biodra. Wreszcie cofnął się o kilka kroków i złożył mu głęboki pokłon.

Białowłosa stał nie pojmując tego, co się wokół niego dzieje, serce biło mu gwałtownie. Ogarnął go nagły lęk przed nieznanym. Wiedział już, że Ahikar pozostawił go tym ludziom. Lecz czego chcieli? Gdyby obeszli się z nim jak ze zwykłym niewolnikiem, bolałby nad swym nieszczęściem, wiedziałby jednak, co ono oznacza i jakie są jego granice.

Lecz czy był niewolnikiem? Któż opasuje biodra niewolnika złotogłowiem godnym królów, namaszcza go i składa mu pokłony? Tak być nie mogło w żadnej krainie, nawet w tej, której nie znał dotąd. Żaden lud nie mógł czynić tego, gdyż nikt nie czei niewolników.

Mimo woli spojrział w kierunku człowieka, który znał mowę trojańską i był jedyną istotą mogącą mu udzielić odpowiedzi. Wysoki kapłan, jak gdyby zrozumiałszy znaczenie jego spojrzenia, wypowiedział kilka słów. Człowiek, który przemówił uprzednio do Białowłosego, zbliżył się szybko, padł przed chłopcem na kolana, dotknął ziemi otwartymi dłońmi i nie powstając powiedział:

- Bądź pozdrowiony, synu Sebeka, który pragniesz połączyć się z ojcem twoim! Bądź pozdrowiony, który wynurzyłeś się z wód i do nich powrócisz!

- Czemu mówisz tak do mnie? - zapytał Białowłosa, nadal pełen lęku, choć nie wiedział, czego ma się obawiać.

- Czemu klęczysz przede mną, jak gdybym był synem króla lub boga, choć wiesz ode mnie, że jestem synem ubogiego rybaka? Cóżem uczynił tobie i wam wszystkim, że spoglądacie na mnie jak na kogoś znajomego wam, choć nie widzieliście mnie nigdy dotąd?

- Byłeś synem ubogiego rybaka - odpowiedział ów człowiek wstawszy z klęczek, ale nadal stojąc w głębokim ukłonie i ze spuszczonej oczyma na znak czci - lecz oto bóg położył na tobie dłoń, oczy jego ujrzały ciebie i zostałeś namaszczonej jako jego syn. Pan mój Het-Ka-Sebek każe oznajmić ci, że ojciec twój czeka na ciebie z utęsknieniem i pragnie, abyś połączył się z nim w dzień jego święta!

Wysoki kapłan znów wypowiedział kilka słów.

- A oto barka boga czeka gotowa na twe przyjęcie - dodał człowiek - i najczcigodniejszy Het-Ka-Sebek, Który Strzeże Spokoju Wizerunku Duszy Boga, prosi cię pokornie, abyś zechciał udać się z nami i wstąpić na jej pokład, gdyż ojciec twój chce cię widzieć jak najrychlej, a podróż wielką rzeką jest długa.

Białowłosa nie odpowiedział. Opuścił głowę. Wargi jego poruszyły się, lecz nikt nie dosłyszał słów, gdy mówił:

- Matko! Matko, która dajesz życie i odbierasz, gdy zechcesz, która wzburzasz fale potężne i uciszasz rozszalałe morze, a rządysz słońcem i księżycem, tak że płyną po niebie co dnia tam, gdzie im wskazałaś przed wiekami, spraw, abym powrócił do domu mego... - I jeszcze ciszej dodał: - Żywy.

Była to modlitwa, którą w niebezpieczeństwie największym należało wznieść do Wielkiej Matki, Pani Świata. Modląc się, nie jej oblicze widział oczyma swej tęsknoty. Twarz, ku której niosło się jego błaganie, była bliska, znajoma bardziej niż jakakolwiek inna. Miała rysy jego własnej matki i wydało mu się, że uśmiechnęła się do niego swym zwykłym spokojnym uśmiechem.

Uniósł głowę.

- Jeśli taka jest wola tego czcigodnego kapłana - powiedział cicho, starając się, aby głos jego brzmiał spokojnie jak głos dojrzałego mężczyzny - ruszajmy.

Zrobił krok przed siebie, po czym zatrzymał się spoglądając na wysokiego Egipcjanina. Ten dał znak. Z grupy czekających wyłoniły się cztery czarnowłose fletnistki i przytknąwszy do ust rozdwojone instrumenty ruszyły tanecznym krokiem wzdłuż wybrzeża.

Het-Ka-Sebek skłonił się głęboko i ująwszy rękę chłopca ruszył wraz z nim za grającymi dziewczętami. Dłoń jego była chłodna i miękka jak ręka kobiety.

Odchodząc Białowłosy nie spojrział na stojące na nadbrzeżu okręty, choć wiedział, że spod wszystkich masztów spoglądają za nim ciekawe oczy.

Szli wzdłuż brzegu po ciepłym, wilgotnym piasku, lizanym niewielką falą i ocienionym pochylającymi się ku wodzie koronami wysokich palm.

Słyszał za sobą szelest wielu stóp. Cały orszak kapłana postępował zapewne tuż za nimi. Nikt nie wyrzekł słowa, jedynie wysokie zawodzenie fletów wznosiło się i opadało łagodnie. Nie wiał najmniejszy nawet wiatr i Białowłosy pomyślał mimowolnie o owym odległym już poranku, gdy pośród podobnej ciszy wypływał po raz pierwszy sam na połów. Pierwszy i być może ostatni.

Po dłuższej chwili, gdy dotarli do miejsca, gdzie wybrzeże miękkim skłonem cofało się, tworząc niewielką zatokę, dostrzegł piękny błękitny okręt o białym żaglu rozpiętym na dwóch z lekka wygiętych rejach.

I zanim idące przodem fletnistki zatrzymały się po obu stronach szerokiego pomostu, rzuconego na ląd z pokładu i wyłożonego purpurowym kobiercem, wiedział, że to ten okręt.

Idąc ramię w ramię z wysokim kapłanem, który nie wypuszczał jego dłoni ze swojej, wszedł na pokład. Het-Ka-Sebek doprowadził go do stojących na podwyższeniu rzeźbionych krzeseł, puścił jego rękę i uprzejmym gestem wskazał mu jedno z nich.

Białowłosy usiadł.

Kapłan opadł na sąsiednie krzesło i skinął na człowieka, z którym Białowłosy mówił poprzednio. Ten ostatni zbliżył się i siadł u ich nóg.

W ciszy ostro zabrzmiały niezrozumiałe rozkazy.

Ciemnoskórzy niewolnicy wciągnęli pomost i złożyli go na dnie pomiędzy wioślarzami. Później pochwycili długie, różnobarwnie malowane drągi i na śpiewną komendę kapitana wszyscy równocześnie wparli je w piasek wybrzeża.

Okręt drgnął i zaczął odsuwać się od brzegu. Białowłosy uczył lekkie kołysanie i dostrzegł, że kapłan szybko oparł ręce na poręczach fotela. Nie był więc człowiekiem przywykłym do życia na wodzie i kołysania.

Okręt nie zachwiał się już więcej. Wysoko dotychczas uniesione wiosła opadły i pchnęły go ku przodowi.

„Czyżbyśmy płynęli na pełne morze?” - pomyślał Białowłosy i zaraz przebiegło mu przez głowę, że gdyby w nocy mijali jakiś ląd, widoczny w blasku gwiazd lub księżyca, mógłby skoczyć do wody, gdy kapłan i jego ludzie usną. Lecz nie, człowiek siedzący u jego stóp powiedział wcześniej, że czeka ich długa droga rzeką.

A rzeka ta płynęła przecież przez kraj boga” któremu został poświęcony, więc ludzie tam zamieszkujący wydaliby go natychmiast na powrót w ręce tego człowieka.

A zresztą gdzież miałby uciekać? Nie wiedział wcale, gdzie się znajduje. Był pewien, że na

południe od stron rodzinnych, gdyż okręt Ahikara płynął wówczas dzień i noc na południe, a później znów dzień i noc, i jeszcze cztery dni i noce z wielce sprzyjającym wiatrem i pomagając sobie wiosłami. Z Gubał do Egiptu także płynęli na południe, choć nieco ku zachodowi. A więc dom jego był na północnym wschodzie. Lecz jak daleko stąd? Zapewne, nawet gdyby miał okręt, powrót trwałby parę dni.

Potrząsnął głową, chcąc odpędzić nierozsądne marzenia, które osłabiają jedynie serce ludzkie, nie niosąc z sobą niczego prócz łez goryczy.

Rozejrzał się. Okręt oddaliwszy się od brzegu zatoczył szeroki łuk wymijając kilka niewielkich zatok i zbliżył się, chwyciwszy w wielki żagiel silny podmuch z północy, ku szerokiemu ujściu rzeki napływającej z południa.

Siedzący obok niego kapłan przemówił.

- Wesel się, gdyż na siódmy dzień ujrzysz ojca swego! - przetłumaczył radośnie człowiek siedzący u jego stóp. - A pan mój każe, abym ci rzekł, że połączysz się z bogiem, ojcem twym, w dniu wielkiego święta, gdy wody zaczną opadać i nadejdzie czas wielkiego połowu ryb w jeziorze.

Białowłosa otworzył usta, chcąc zapytać, jak zwie się ta rzeka, lecz w tej samej chwili pojawiły się dwie dziewczyny niosące naczynia i kubki z chłodzącym napojem, a za nimi dwie inne z pieczonymi ptakami.

Obgryzając trzymanego w ręce ptaka, patrzył na przesuwane się brzegi, na dalekie miasto z białą świątynią i płaski świat przed dziobem okrętu. Jak daleko wzrok sięgał, nie można było dostrzec najmniejszego wzniesienia. Rzeka płynęła powolnym, szeroko rozlanym nurtem mętnych zielonkawych wód niknących w morzu trzciny, które z wolna rozbiegały się coraz dalej i dalej, aż wreszcie zajęły cały niemal widoczny z wzniesienia pokład świat.

Nad siedzącymi rozpięto płócienny dach. Dziewczęta powróciły niosąc wachlarze z wielkich, miękko postrzępionych piór, osadzone na długich, lekkich tyczkach.

Nucąc cicho, jedna z nich stanęła za plecami Białowłosego i zaczęła wachlować go miarowo.

Przymknął oczy. Lęk nie opuszczał go.

„Czemu się tak dzieje? - myślał. - Czemu oni okazują mi tak wielką cześć? Nic dobrego owa dobroć nieść nie może.”

I zadrżał, gdyż przeczuwał, że czczą go jak ofiarę, którą złożą na ołtarzu owego tajemniczego boga wód.

Otworzył oczy i przymknął je znowu. Cokolwiek miało się stać, nic złego nie spotka go zapewne na tym okręcie, póki nie przybiją do celu. Westchnął.

Znowu pod powiekami ukazała mu się zamglona twarz matki. Wiatr w szerokim żaglu szumił jak morze. Słyszał ciche nucenie. Nie wiedział, czy to nuci dziewczyna z wachlarzem, czy słyszy odległą Pieśń Żaren...

„Czy będą chcieli spalić mnie na ołtarzu?” - pomyślał sennie i zdziwił się, że myśl ta nie poruszyła go. Pytanie rozplynęło się i znikło, a wraz z nim przygasły wszystkie inne dźwięki otaczającego świata. Usnął.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Żyję, lecz on nie żyje!

- Zważ mnie Lauratas, a raczej zwali mnie tak w ojczyźnie - powiedział człowiek, który od trzech dni tłumaczył mu słowa Het-Ka-Sebeka.

Okręt zbliżał się do wielkiego, widocznego z dala miasta położonego na obu brzegach rzeki. Kapłan odszedł na dziób i nikogo nie było w pobliżu.

- Czy także jesteś niewolnikiem?

Białowłosey mówił nie patrząc na niego. Choć nikt nie zakazywał im rozmowy, obaj nie zamienili z sobą słowa od chwili, gdy barka odbiła od morskiego nadbrzeża i ruszyła w górę rzeki.

Siedzący u jego stóp człowiek nie drgnął nawet i nadal patrzył obojętnie na wodę, której brzegi porośnięte były lasem wysokich trzcin, rozbiegających się od czasu do czasu dla ukazania niewielkich wsi przybrzeżnych lub miast o wysokich świątyniach.

- Tak, jestem niewolnikiem - powiedział półgłosem, nie poruszając się. - Byłem żeglarzem i wolnym poddanym króla Knossos, który rządzi Kretą i wyspami morza.

Okręt nasz rozbił się na wybrzeżu libijskim, na zachód od miejsca, gdzie wylądowałeś. Ocalałem ja, a wraz ze mną jeden człowiek z mego ludu. Ludzie nadbrzeża pojмали nas i sprzedali do Egiptu. Od dwudziestu lat jestem niewolnikiem świątyni Boga Sebeka nad Wielkim Jeziorem. Nie jest mi źle, gdyż zatrudniają mnie jako sternika na łodziach świątynnych. Het-Ka-Sebek zabrał mnie z sobą wiedząc, że jesteś z ludu morza na północy. Przypuszczał słusznie, że mowa nasza może okazać się ta sama lub podobna.

- A co się stało z twoim przyjacielem, którego pojmano wraz z tobą?

Człowiek milczał przez chwilę.

- Połączył się z bogiem Sebekiem - powiedział wreszcie cicho i umilkł.

- Cóż to oznacza?

- Dowiesz się o tym wkrótce.

Zamilkli obaj. Wielka barka płynęła spokojnie, bez najmniejszego kołysania. Z głębi niósł się śpiewny głos przewodnika wiosłarzy, powtarzający nieustannie ten sam przeciągły okrzyk. Wiosła miarowo unosiły się i opadały z cichym pluskiem. Trzciny zniknęły zupełnie z pobrzeży nurtu i brzegi rozstały się odsłaniając równinę pokrytą gęsto wzniesionymi z gliny białymi domkami. Od wielkiej wyłożonej kamiennymi płytami przystani biegła szeroka aleja ku świątyni widocznej z dala i lśniącej w blasku słońca, jak gdyby ściany jej polanę były migotliwą wodą.

- Cóż to za miasto?

- Zważ je Per Bast, co oznacza dom bogini Bast, która jest kotką.

- Jakże to? Czyżby czcili koty?

- Czczą oni różne zwierzęta w różnych miejscach swego kraju, który cały rozciągnięty jest nad samą rzeką, a z oby stron otacza go morze bezwodnych piasków. Tu czczą Bast z głową kotki, a u nas nad jeziorem koty żadnej czci nie odbierają, gdyż króluje wszechmocny Sebek, choć są świątynie i innych bogów, a cześć oddaje się w całym Egipcie słońcu i bogom podziemia, jednakim we wszystkich częściach kraju.

- A kimże jest Sebek?

Siedzący mimowolnie uniósł głowę, ale kapłan nadal stał na dziobie rozmawiając z kapitanem barki.

- Jest on bogiem wszechwładnym.. - szepnął tak cicho, że Białowłosa zaledwie go dosłyszał. - Zwą go oni także Panem Morza, gdyż jezioro to nazwali Paium, czyli morze, choć nie jest ono tak wielkie jak morze.

- Czy jest on rybą? - zapytał Białowłosa z pozornym spokojem, jak gdyby niewiele mu zależało na odpowiedzi.

Wymijali właśnie dwie wielkie tratwy, na których leżały duże bloki kamienne płynące w dół rzeki. Prąd znosił nieco tratwy płynące środkiem nurtu i barka Het-Ka-Sebeka skręciła ku brzegowi, by uniknąć zderzenia. Z obu pokładów wołano głośno.

- Nie jest on rybą, choć żywi się rybami. Widziałeś go wczoraj i poprzedniego dnia. Lubi on wylegiwać się na brzegach tej rzeki.

- Mówisz o owych potworach, które widzieliśmy przepływając?

- Tak.

- Czy to głowę jednego z nich przedstawia laska twego pana, kapłana Het-Ka-Sebeka?

- Odgadłeś bez trudu. Jest to głowa boga Sebeka.

Białowłosa otworzył usta, zawahał się, później spojrzał na rzekę. Obie tratwy wyminęły już barkę, lecz na rzece znajdowało się w tej chwili kilka łodzi i okrętów, gdyż miasto rozciągało się na obu brzegach. Było ono o wiele większe, niż można było sądzić z dala. Kapłan nadal stał na dziobie wsparty na lasce i wpatrzony w nurt. Barka zawracała ku środkowi rzeki.

- A mnie kazano być jego synem?

- Tak.

- Cóż to oznacza?

- Oznacza to, że będzie ci oddawana cześć, jakiej nie zaznaje nawet arcykapłan świątyni.

- Póki się z nim nie połączę?

- Póki się z nim nie połączysz.

- A jakże to ma nastąpić?

- Przekonasz się.

- Czemu nie chcesz mi odkryć tego?

- Gdyż jestem niewolnikiem i wiem, że niewolnik, który mówi więcej niż powinien, umiera w męczarniach.

- Nie musisz się lękać, Lauratasie. Choć jestem jedynie chłopcem, zrozumiałem cię i wiem, jak połączył się twój przyjaciel z bogiem Sebekiem: rzucono go temu potworowi na pożarcie w ofierze, a los ów i mnie czeka. Dlatego oddają mi tak wielką cześć, choć jestem synem ubogiego rybaka z obcego kraju. Ofiara, którą mają złożyć swemu bogu, jest dla nich niemal samym bogiem. Czy tak?

- Milcz, nieszczęsny... - powiedział Lauratas nie odwracając ku niemu głowy i nie poruszając niemal wargami. - Jeśli nie pragniesz mojej śmierci, milcz!

Białowłosy także dostrzegł już kątem oka, że Het-Ka-Sebek zbliża się ku nim. Był uśmiechnięty i usiadł swobodnie na fotelu po prawej ręce chłopca. Skinął na Lauratasa, który na jego widok powstał, odszedł kilka kroków i padł na kolana, pochylając głowę na znak czci. Wypowiedział kilka słów.

- Pan mój, Het-Ka-Sebek, Który Strzeże Wizerunku Duszy Boga, żałuje, że posuwamy się nieco wolniej, niż tego pragnął, i przebyliśmy zaledwie trzecią część drogi. Lecz rzekł, abys nie martwił się, gdyż długie oczekiwanie przemieni spotkanie twe z ojcem twoim w tym większą radość.

Białowłosy nie odpowiedział. Odpowiadał jedynie wówczas, gdy kapłan zwracał się do niego z pytaniami.

A zresztą nie wydawało się, aby Het-Ka-Sebek oczekiwał od niego odpowiedzi na swe ostatnie słowa. Domki stawały się coraz rzadsze, a trzcina coraz gęstsza. Miasto pozostawało za nimi. Westchnął cicho.

Dziewiątego dnia wieczorem niespodzianie za zakrętem rzeki rozstąpił się porastający jej brzeg gęsty las sykomorowy i ujrzeli nie kończące się mury miasta-świątyni, najrozleglejszej budowli świata, jak zdążył mu rzec Lauratas, nim ją dostrzegli, którą jeden z dawnych władców Egiptu rozkazał sobie wznieść jako pomnik grobowy.

Stali na dziobie barki i Het-Ka-Sebek ujął dłoń Białowłosego, drugą wyciągniętą ręką wskazując następny zakręt rzeki, ku któremu się zbliżali.

- Pan mój każe mi rzec, że oto nadchodzi kres twej wędrówki - przetłumaczył Lauratas. - Raduj się, synu boga, bowiem wkrótce ujrzysz dom ojca twego!

Białowłosy pochylił głowę. Kapłan mówił dalej, a stojący za nimi Kreteńczyk czekał, łowiąc jego słowa, aby zacząć natychmiast mówić, gdy tamten umilknie.

- Pan mój mówi, że czeka cię szczęście największe, a każde życzenie twe zostanie spełnione, nim spełni się największe z nich: połączenie z bogiem.

Białowłosy ponownie pochylił głowę, lecz uniósł ją natychmiast.

- Zapytaj twego pana - powiedział dziwując się własnej śmiałości - czy mógłby wypełnić już teraz jedno z moich życzeń?

Het-Ka-Sebek wysłuchał i skinął głową pochylając ją przed chłopcem.

- Mów, a wszystko, czego zapragniesz, otrzymasz.

- Chciałbym... chciałbym, abys mógł mi towarzyszyć tu, gdyż pragnę wiele dowiedzieć się o domu ojca mego i o nim samym, od człowieka, który zna moją mowę. Spytaj pana swego, czy możesz mi towarzyszyć?

Kapłan odpowiedział krótko i wskazał chłopca Lauratasowi, który postąpił krok ku przodowi, upadł na twarz i objąwszy jego nogi ucałował mu stopy.

- Od tej chwili możesz rozporządzać mym życiem, panie mój! - powiedział.

- Powstań - powiedział szybko Białowłosy - gdyż to, co czynisz, hańbi nas obu, choć znajdujemy się w niewoli. Jesteś dojrzałym mężem, a ja chłopcem.

Lauratas ukląkł i na kolanach cofnął się o krok. Wstał i skłonił się niemal ku ziemi.

Kapłan dotknął ramienia chłopca. Okręt wynurzył się spoza zakrętu rzeki i oto przed oczyma ich otworzyła się wielka powierzchnia spokojnych wód.

Pośrodku jeziora wznosiły się na wprost nich wyrastające z wody dwie wielkie piramidy kamienne. Na ich wierzchołkach siedziały na tronach dwie olbrzymie postacie ludzkie, górujące nad światem. Zaczerwienione światłem gasnącego wieczoru wyglądały jak skąpane we krwi.

Na prawo, nad brzegiem; wznosiła się rozległa biała świątynia otoczona ogrodami, a dalej miasto niskich domów wybiegających aż ku brzegom jeziora.

Słońce zaszło. Białowłosy stał w milczeniu, przyglądając się odległej świątyni, ku której zmierzał okręt.

- Oto kres twej wędrówki, synu boga! - powiedział Het-Ka-Sebek. - Dom ojca twego!

W gęstniejącym mroku zbliżali się ku oświetlonej pochodniami kamiennej przystani. Zwinięto żagiel i barka sunęła po gładkiej powierzchni popychana lekkimi uderzeniami wiosł.

W blasku wielu pochodni Białowłosy dostrzegł długą aleję kamiennych posągów uczynionych na podobieństwo spoczywających lwów o ludzkich głowach. Wiodła ona ku bramie białej świątyni.

Okręt lekko dotknął kamiennego nadbrzeża. Wysunięto pomost. Na przystani czekało wielu ludzi.

W zupełnej ciszy Het-Ka-Sebek ujął go za rękę i postąpił z nim ku pomostowi. Przystanął na jego górnej krawędzi i wypowiedział donośnym głosem kilka słów.

Rozległy się okrzyki, pochodnie uniosły się w górę i zaczęły powiewać, rzucając płasające blaski na kamienną drogę prowadzącą ku świątyni. Muzyka bębnów, fletów i wielu innych nieznanym Białowłosemu instrumentów wybuchła z ciemności, szybka, hałaśliwa i rytmiczna, jakiej nie słyszał dotąd.

Zacząli schodzić. Jeszcze dwa kroki, jeszcze jeden.

I oto stanął na ziemi.

Muzyka i okrzyki zamarły.

Ruszyli pośród oświetlonych pochodniami posągów. Przed nimi zabłyśły miedziane wrota, na których blask ruchomych ogni tańczył i migotał, jak gdyby świątynia miała za chwilę zapłonąć od nich.

Szli w zupełnej ciszy. Białowłosy słyszał szelest swych nagich stóp na kamiennych gładkich płytach. Het-Ka-Sebek nie puszczał jego ręki.

Miedziane wrota i stojący po obu stronach czarni, nadzy ludzie, trzymający w wyciągniętych rękach pochodnie, byli coraz bliżej.

Zatrzymali się przed nimi, Kapłan uniósł laskę o złotej rękojeści i uderzył we wrota: raz, drugi, trzeci, czwarty...

Cisza. Czekali. Idący za nimi tłum biało odzianych postaci zatrzymał się także.

Olbrzymie, lśniące skrzydła bramy zaczęły bezszelestnie otwierać się do wewnątrz.

W głębi rozciągał się wielki dziedziniec otoczony lasem potężnych kolumn, których czoła niknęły w mroku. Pośrodku, oświetlony blaskiem dwóch płomieni wydobywających się z wysokich, stojących na ziemi naczyń, stał samotny stary człowiek, trzymający w ręku pochodnię.

Zacząli iść ku niemu, a gdy znaleźli się tak blisko, że Białowłosy dostrzegł wyraźnie dziwaczne znaki wyhaftowane pośrodku jego białej szaty, stary człowiek uniósł pochodnię. Stanęli i Het-Ka-Sebek pochylił nisko głowę.

- Kim jesteście? - zapytał stary człowiek. Głos jego był cichy i ochryply, lecz echo przewaliło się w mroku niewidzialnych sklepień, urosło i ucichło.

- Najczcigodniejszy arcykapłanie Domu Boga! - odpowiedział donośnie Het-Ka-Sebek. - Jestem tym, Który Strzeże Spokoju Żywego Wizerunku Duszy Boga i przyprowadziłem panu memu syna jego, aby mogli połączyć się w jedno i panować nad światem!

- Bądźcie pozdrowieni! - Stary człowiek wyciągnął obnażone ręce i podał kapłanowi pochodnię. - Zaprowadź syna Sebeka na spoczynek, a o świcie niechaj z dala ujrzy ojca swego, gdyż czas

połączenia jeszcze nie nadszedł!

- Uczynię tak, Ojczy Domu Boga!

I wznosząc wysoko pochodnię wszedł wraz z chłopcem w mrok kolumnady.

Lauratas zbudził go o świcie.

- Panie mój, słońce wstaje już i jest woła kapłanów, abyś ujrział ojca twego!

Białowłose otworzył oczy i zaspanym spojrzeniem objął wysoką salę, kamienne, pokryte barwnymi malowidłami ściany, wąskie jak szczelina okno wysoko w górze, stół i krzesło o poręczach rzeźbionych w lwie głowy.

Usiadł na łożu zasłanym miękkimi skórami zwierząt, których nie znał, i spojrzał na Lauratasa stojącego ze srebrną miednicą i różnobarwnym lnianym ręcznikiem w dłoniach.

Wstał, wziął miednicę z rąk tamtego, postawił ją na stole i zanurzył ręce w zimnej, czystej wodzie, później chlusnął nią sobie na twarz i wytarł się ręcznikiem. Lauratas klasnął w dłonie. Przez zasłonięte wzorzystą materią wejście wsunęło się czterech czarnych ludzi niosąc posiłek poranny. Zabrali miednicę i ręcznik i zniknęli cicho.

- Czy jadłeś już? - Białowłose wskazał stojącemu białe placki i owoce.

Tamten potrząsnął głową i skłonił się głęboko.

- Nie godny jestem, aby brać do ust posiłek w obecności syna boga. Czy pragnąłbyś jeszcze czegoś?

Chłopiec otworzył usta chcąc powiedzieć mu, aby nie mówił tak, gdy są sami, lecz Lauratas szybko położył palec na ustach i raz jeszcze skłonił się.

Białowłose usiadł i zaczął jeść, rozglądając się ciekawie. Ale z wolna powróciła myśl o tym, dlaczego się tu znajduje. Wstał po chwili i wskazując oczyma wejście zapytał:

- Czy wyjdziemy?

- Tak, panie mój.

Ruszyli przez długie, wysokie korytarze, minęli dziedziniec okolony kolumnami, które jednak wydały się Białowłosemu inne niż widziane wczorajszego wieczora, minęli jeszcze kilka pustych sal i przez wąskie kamienne przejście weszli do ogrodów świątynnych.

Wokół nie było nikogo, tak jak nikogo nie napotkali po drodze wewnątrz gmachu.

Białowłose ruszył wysypaną miękkim złotym piaskiem ścieżką, ocienioną palmami, sykomorami i kępami gęstych, nie znanych mu krzewów. Na polankach pomiędzy drzewami rosły wysokie błękitne kwiaty i pasły się gazy, najwyraźniej oswojone z widokiem ludzi, gdyż nie odbiegały na ich widok.

- Gdzie jest ów bóg? - zapytał Białowłose. Były to pierwsze słowa, które wypowiedział od chwili, gdy wyruszyli.

- Panie mój, wiodę cię do niego. - Lauratas wskazał ręką ścieżkę, po której się posuwali.

- Czemu mówisz tak do mnie, gdy nie ma nikogo wokół nas? Czyżbyś się lękał, że cię tu usłyszą?

Kreteńczyk szybko zniżył głos.

- Ich oczy i uszy sięgają wszędzie. A nade wszystko nie wolno rzec nieoględne słowa pod dachem świątyni, gdyż wiem, że posiada ona korytarze w murach, z których można widzieć wszystko i słyszeć wszystko, co dzieje się w każdej sali. Nawet i tu ktoś mógłby nas usłyszeć, gdyby stał za jednym z krzewów i znał naszą mowę.

- Chciałem zadać ci kilka pytań...

- Zaczekaj - powiedział cicho Lauratas.

Skreśli w prawo i weszli na zieloną, obsypaną kwiatami łąkę, z której rozpościerał się widok na

jeziro.

Dwie kamienne piramidy wyrastające z jego wód i uwieńczone olbrzymimi posągami wydały się Białowłosemu mniejsze nieco niż wczoraj, gdy spoglądał na nie z pokładu barki. Lecz jezioro musiało być niezwykle rozległe, gdyż przeciwnego brzegu nie było widać.

Na skraju łąki, tuż nad brzegiem jeziora, wznosiła się niewielka świątynia z lśniącego brunatnego kamienia i ku niej Lauratas poprowadził Białowłosego.

Dopiero gdy znaleźli się z dala od ostatnich zarośli, powiedział swobodniej:

- Wkrótce nadejdzie pora karmienia go, wówczas ujrzysz, co może zdziać i jak pożera swe ofiary.

- Kiedy mają mnie ofiarować? - zapytał szybko Białowłose.

- Nie zadawaj mi podobnych pytań. Czy pragniesz, bym zginął wraz z tobą? Na cóż ci wiedzieć? Białowłose zwolnił kroku.

- Żyję krótko i niewiele wiem... - powiedział. - Lecz Matka Ludzi czyni, co zechce, a bez jej woli najstraszniejsza bestia nie pokona najslabszego stworzenia.

- Modlę się do niej co dnia od lat dwudziestu, prosząc, abym mógł ujrzeć brzegi ojczyste, choć wiem, że nawet ona nie może tego dokonać... - powiedział cicho Lauratas - gdyż stąd nie ma ucieczki.

- Nikt nas przecież nie strzeże...

- A na cóż nas mają strzec?! To piękne jezioro i otaczające je lasy i pola uprawne są wyspą w morzu piasków, gdzie na nieskończonych przestrzeniach nie znajdziesz nawet kropli wody ani źdźbła trawy. Jedyne droga stąd prowadzi odnogą rzeki ku jej głównemu korytu, którym przybyliśmy. Lecz mają oni wszędzie strażę strzegącą granic pustyni i biegu rzeki. W krainie tej, gdzie rzecz każda i każdy człowiek wpisani są do księgi i znani, a nikt nie zmienia miejsca zamieszkania bez wiedzy urzędów, nie mógłbyś nigdzie długo pozostać nie zauważony, schwytano by cię natychmiast, nie mówiąc już o tym, że twe jasne włosy i skóra powodowałyby zbiegowisko w każdej wsi, do której byś wszedł. Rozmyślałem o tym wiele przed laty, bywały chwile, gdy tęsknota moja za krajem rodzinnym stawała się silniejsza niż lęk i byłem gotów uciekać, choćby żywiąc najbardziej nikłą nadzieję. Lecz nawet owej najbardziej nikłej nadziei nie umiałem ubrać w myśl. Dlatego zezwalają ci oni poruszać się swobodnie. Jesteś uwięziony, choć nie wiesz o tym.

- A kiedy... kiedy mam zostać ofiarowany?

- Rzeka, która żywi cały Egipt, przybiera późną wiosną, przybór ów trwa długo, wreszcie ustaje i wody zaczynają opadać. Odnośna rzeki wpędza rosnące wody do jeziora, z którego nie mając ujścia wsiakają zapewne w piaski pustyni. Teraz woda przybiera, lecz wkrótce zacznie opadać, a jezioro wraz z nią. Wówczas rozpocznie się wielki połów ryb, których jest tu niezliczone mnóstwo, jak i krokodyli, żywiących się nimi. W dzień rozpoczęcia wielkiego połowu na jeziorze zostaniesz ofiarowany bogu.

- Jak długo jeszcze mam czekać? - powiedział Białowłose starając się mówić zwykłym głosem i nie okazywać lęku.

- Według mego obliczenia dziewięć lub dziesięć dni.

- A czy oni... zabijają najpierw ofiarę?

- Nie. Sam pójdziesz do sadzawki, gdzie mieszka Sebek, sam do niej wskoczysz i nie będziesz odczuwał lęku, a jedynie radość połączenia z nim.

- Cóż mi chcesz rzec, człowieku?

- Prawdę. W przeddzień ofiary otrzymasz napój podobny do wina, który będziesz musiał wypić.

Powoduje on radość, brak lęku i uniesienie. Gdy powiodą cię W uroczystym pochodzie, o tam... - wskazał niewielką świątynię, do której się zbliżali - będziesz szczęśliwy, że jesteś główną postacią tej uroczystości i uczynisz wszystko, czego zażądata od ciebie, radując się widomie.

- Matko... - szepnął cicho Białowłosy i wzdrygnął się, gdyż przeszedł go dreszcz.

- Lecz zamilcz! - dodał szybko Lauratas. - Oto zbliżamy się do miejsca zamieszkania boga i zobaczysz wkrótce jego poranną ucztę. Błagam, znieś ów widok w spokoju, aby nie posądzono mnie, że zdradziłem ci twój los, gdyż wówczas nie tylko ty, lecz i ja umarłbym w męczarniach!

Zbliżyli się do świątyni z brunatnego kamienia, przed którą zamknięta niskim kamiennym obramowaniem lśniła duża sadzawka. Pośrodku sadzawki wznosiła się wysepka zarośnięta krzewami, nad którymi górował biały marmurowy cokół posągu. Siedział na nim czerwony kamienny bóg na tronie, lecz choć ciało jego było ciałem człowieka, miał on głowę krokodyla o półotwartej paszczy.

Lauratas padł na kolana i pochyliwszy się dotknął ziemi głową i wyciągniętymi otwartymi dłońmi.

- Uczyn podobnie jak ja! - szepnął i Białowłosy poszedł za jego przykładem.

- Oni patrzą na nas... - szepnął Kreteńczyk. - Widzą nas z okien świątyni.

Po chwili uniósł się z klęczek i pokłoniwszy się głęboko posągowi na wysepce, szepnął:

- Czy widzisz go? - A później głośno dodał: - O, synu boga, oto ojciec twój!

Białowłosy przez chwilę sądził, że słowa te dotyczą posągu o potwornej głowie.

Nagle dostrzegł go!

Na łagodnie opadającym ku wodzie piasku wysepki leżała nieruchomo ogromna bestia, której ogon nikał pod krzewami.

Krokodyl poruszył głową, uniósł się wolno na krótkich łapach i opadł leniwie na piasek. Gdy czynił to, słońce zamigotało w złotych bransoletach na przegubach łap i wysadzanych drogimi kamieniami kolczykach w zgrubieniach po obu stronach głowy.

Białowłosy patrzył na niego, nie mogąc oderwać wzroku. Poczuł, że serce zaczyna bić mu gwałtownie.

Więc to był Sebek, bóg, ojciec, z którym miał się zjednoczyć. Nim minie dni dziesięć, ta potworna paszcza pogruchoce jego kości, a owe straszliwe zęby zakrwawione będą jego krwią.

Był tak zamyślony, że nie dostrzegł śpiewu płynącego od strony niewielkiej świątyni.

- Idą! - szepnął Lauratas cofając się i padając na kolana. Białowłosy odwrócił głowę.

Od strony świątyni zbliżało się czterech biało ubranych kapłanów, prowadząc między sobą białą jak mleko kozę, która szła spokojnie nie zwracając najmniejszej uwagi na ich śpiew. Gdy zbliżyli się ku obramowaniu, złożyli głęboki ukłon Białowłosemu i znieruchomieli.

Od strony świątyni nadszedł teraz Het-Ka-Sebek. I on także skłonił się przed Białowłosym, który pochylił głowę na jego widok.

Śpiewając nieustannie, czterej kapłani unieśli nagle kozę w górę i rzucili ją do sadzawki. Przez chwilę widział zawieszzone w powietrzu cztery szczupłe nogi - Woda rozprysnęła się.

Zniekształcony ochłap czegoś, co jeszcze niedawno było smukłą białą kozą mignął mu przed oczami i znów zniknął pod wodą.

Białowłosy odwrócił się i podszedł ku klęczącemu nadal Lauratasowi.

- Powstań... - powiedział cicho. - Wiem już, jak zjednoczę się z ojcem moim, wielkim bogiem Sebekiem.

Starał się uśmiechnąć, lecz nie udało mu się to. Czuł skurecz w gardle. Przygryzł wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Kreteńczyk wstał i ruszyli przez łąki ku jezioru.

- Więc sądzisz, że jestem zgubiony bez ratunku?

- Tak, młody Trojańczyku, wiem o tym, gdyż żadnego ratunku znikąd nie możesz otrzymać. Lecz nie każdemu bogowie dają długi żywot. Będiesz żył, póki nie umrzesz w chwili, którą ci przeznaczono, nim jeszcze po raz pierwszy ujrzales światło słońca.

- Czy mówiąc to, chcesz rzec, że mam z opuszczoną głową wejść w paszczę tego potwora nie czyniąc niczego, aby uniknąć tak straszliwej śmierci?

- A cóż innego możesz uczynić?

Stanęli nad brzegiem wody porośniętej niską trzcina. Nad jeziorem krążyły ptaki, a na powierzchni widać było wiele łodzi dążących w różnych kierunkach. Białowłose odetchnął głęboko i zacisnął zęby.

- Kraina ta jest zapewne żyzna? - zapytał niemal swobodnym głosem, wodząc oczyma po widnokręgu. - Nie widzę tu żadnych piasków.

- Gdyż rozciągają się one za gajami palmowymi porastającymi brzegi jeziora, z którego kanałami ludzie ci doprowadzają wodę do pól. Gdy nadchodzą wielkie wiatry zimowe, piasek zasypuje pola i muszą go usuwać.

Tak walczą z pustynią od początku świata. Jezioro to karmi ich, tak jak rzeka karmi resztę Egiptu. Woda jest tu matką życia, bez niej zginęliby prędko. Prócz tego jezioro im daje wiele ryb, choć kąpać się w nim nie można bezpiecznie, gdyż roi się od krokodyli podobnych temu, którego widziałeś teraz.

- A cóż jest na północy?

- Na północ płynie rzeka aż ku morzu, lecz jeśli zboczysz nieco na zachód, natrafisz na piaski. Za obrębem pól - Lauratas wyciągnął rękę wskazując widoczny z miejsca, gdzie stali, prawy brzeg jeziora - znajduje się miasto umarłych, tam grzebią oni swych zmarłych mocząc ich przedtem przez dni siedemdziesiąt w rozmaitych płynach, wyjąwszy uprzednio wnętrzności, by mogli oni przetrwać wiele setek lat w grobie nie zmieniając postaci, jaką mieli za życia. Wierzą, że człowiek żyje po śmierci, a nawet wierzą w to, że dusza jego, jeśli był człowiekiem dobrym, powraca każdego dnia do świata żywych, choć noc musi spędzać w państwie umarłych, rządzonym przez Ozyrysa, boga podziemnego świata. Im który z nich bogatszy, tym piękniej urządza swój grób i tym lepiej go strzeże, kryjąc komorę ze zwłokami w skale lub pod kamiennymi budowlami, aby nikt nie naruszył ciała. Wierzą, że tak długie jest życie po śmierci, jak długo chowa się ciało.

- A cóż będzie ze mną, skoro pożre mnie ów potwór?

Czy takim jak ja, ofiarom złożonym bogu, nie dane jest u nich życie po śmierci?

- Wierzą w to, że gdy Sebek pożre cię, zjednoczysz się z nim w jego wnętrzu. A jego, gdy zdechnie wreszcie, pochowają z czią należną władcom. Całe podziemia świątyni pełne są mumii krokodyli, które tu zmarły w ciągu minionych wieków. Byłem tam raz z pewnym starym kapłanem i wiedz, że mają ich pod ziemią niezliczone mnóstwo, a groby tych, które zamieszkują tę sadzawkę i są obrazem boga, zdobią klejnotami i malowidłami, kładąc ciała ich do kamiennych sarkofagów.

- Pociszyłeś mnie... - Białowłose uśmiechnął się smutno.

Zawrócili i ruszyli na powrót ku małej świątyni i sadzawce.

W pewnej chwili Białowłose chciał skrócić ku ogrodowi wielkiej świątyni, lecz przemógł się.

- Zdziwi cię Lauratasie, lecz pragnąłbym raz jeszcze zobaczyć Sebeka na wysepce.

- Nie! - Kreteńczyk potrząsnął głową. - Nie dziwi mnie to. Znajdujesz się w cieniu śmierci i opłacę cię, jak chce nasza wiara. Zapalę ci mały stos, gdy nikt z nich nie będzie widział. I będę błagał naszych bogów, aby cię przyjęli na pola asfaltowe.

Mijali fronton mniejszej ze świątyń pokryty tajemnymi wizerunkami i znakami wyrytymi w kamieniu.

- Czy wiesz, co oznaczają te znaki? - spytał Białowłosa.

- Wiem, gdyż poznałem nieco ich pismo, choć nie przyznaję się do tego - powiedział szeptem Lauratas. - Na czole tej świątyni wypisane są słowa ze zwoju, który kładą na piersi umarłego, by pomóc mu w przebyciu przeszkód na drodze do krainy szczęśliwości Ozyrysa. Czy chcesz wiedzieć, co tu napisano?

- Chcę. - Białowłosa zatrzymał się. Stali w dużej odległości od murów świątyni, lecz znaki były wielkie i wyraźne.

- „Jam jest, który króluję pośród trwogi. Jam jest bóg Sebek. I porywam mą zdobycz jako bestia krwiożercza. Jam jest bogiem, któremu składają pokłony i przed którym padają na twarz”

- Sekhem jest nazwą miasta, w którym się znajdujemy?

- Tak.

Ruszyli ku sadzawce.

Ku swemu zdumieniu Białowłosa zobaczył przy niej małą ciemnoskórą dziewczynkę, obok której stał stary kapłan. Dziewczynka trzymała w rękach piłkę uszytą ze skóry, podrzuciła ją i śmiała się, mówiąc do kapłana, który wziął ją za rękę i odciągnął nieco od kamiennego obramowania sadzawki.

Na widok Białowłosego złożył mu niski ukłon. Dziewczynka uśmiechnęła się.

- To siostra twoja... - powiedział cicho Lauratas. - Wraz z tobą będzie złożona w ofierze w dniu święta.

Białowłosa zatrzymał się gwałtownie i spojrzał za odchodzącym dzieckiem, którego drobne nóżki dreptały obok długiej białej szaty kapłana, oddalając się.

Znowu poczuł skurcz w gardle. Była jeszcze o wiele młodsza niż on. Siostra w śmierci.

Stał przed kamiennym obrzeżeniem odgradzającym sadzawkę od łąki.

- On także nie może wspiąć się w górę i wyjść na wolność?

- Tak, jest wiekuistym więźniem tej wysepki od chwili, gdy jako małeńki krokodyl został do niej wpuszczony po śmierci swego poprzednika. Lecz nie tęskni zapewne. Jest tłusty i mniej zwinny niż jego bracia, którzy zamieszkują brzegi jeziora i wielkiej rzeki. Nie musi walczyć o życie i o pokarm, co go zapewne rozleniwia.

Białowłosa stał nieruchomo i patrzył na potwora, który wypoczywał teraz, wygrzewając się w blasku słońca. Uczta była skończona. Nie pozostał po niej żaden ślad.

Chłopiec wzdrygnął się ponownie.

- Chodźmy - powiedział ochrypłym głosem.

Ruszyli ku wielkiej świątyni, której wysokie dachy i rzędy olbrzymich kolumn widoczne były nad drzewami. Milczeli.

W pewnej chwili Białowłosa uniósł głowę. Na łące pały się piękne konie o purpurowo farbowanych grzywach i ogonach.

Lauratas, jak gdyby wyprzedzając jego pytanie, powiedział;

- Nie dosiadają oni koni. Jedyni, którzy to czynią, to straż pustynna przemierzająca pogranicze piasków, gdyż czasem stamtąd napadają na graniczne wioski dzikie plemiona libijskie. Lecz

świątynia posiada konie i jeśli zechcesz, będziesz mógł jutro zażyć przejażdżki. Jak rzekł Het-Ka-Sebek, wszystko, czego zapragniesz, będzie ci ofiarowane.

- Aż do dziesiątego dnia, gdy jezioro zacznie opadać i nadejdzie dzień święta... - powiedział cicho Białowłosy.

- Aż do dziesiątego dnia, gdy jezioro zacznie opadać i nadejdzie dzień święta... - powtórzył jak echo Kreteńczyk.

- Więc niechaj dostarczą nam jutro koni, abyśmy mogli udać się rankiem na przejażdżkę lub upolować nieco ptactwa nad jeziorem z łuku lub lekkim oszczepem. Jeśli mam zginać tu, pragnąłbym, aby ostatnie dni mego żywota nie były jedynie oczekiwaniem śmierci, lecz przyniosły mi nieco wesela.

Próbował uśmiechnąć się, lecz skurcz w gardle, który nie minął jeszcze zupełnie, nie pozwolił mu na to.

Lauratas gorliwie skinął głową.

- Słusznie to rzekłeś, jak dojrzały mąż, a nie jak chłopiec, którym jesteś w rzeczywistości. Gdyż tchórz umiera tysiąc razy, a człek dzielny raz jedynie. Uczynię, aby stało się według twojej woli.

I tak, gdy następnego ranka Białowłosy przebudził się, dwa piękne wierzchowce czekały już przed świątynią.

Dosiedli ich i ruszyli wzdłuż jeziora, a gdy oddalili się od ostatnich zabudowań, rozpoczęli łowy.

Później posilili się z torby, którą Lauratas wziął ze sobą. Od świtu nie padło pomiędzy nimi słowo o bogu Sebeku i jego wysepce pośrodku przyświątynnej sadzawki. Mimo to Białowłosy o nim myślał jedynie. Oto siedział na śmigłym koniu, w dłoni miał łuk, a nóż w pochwie na szyi. I oto miał zginać jak zwierzę prowadzone na rzeź bez walki, bez oporu, jak gdyby śmierć w paszczy owego plugawego potwora była w rzeczy samej największą radością, której oczekiwał. Lecz czyż nie miał słuszności Lauratas? Cóż mógł uczynić?

Jechali z wolna w kierunku miasta. W nagłym rozpaczliwym wybuchu gniewu Białowłosy ściągnął wodze konia, uniósł łuk i strzała świsnęła ostro. Ogromna czapla, która wzniosła się ponad trzciny, wydała ostry wysoki głos i spadła wolno do wody.

- Ani razu nie chybiłeś... - powiedział Lauratas, który zeskoczywszy zbliżył się do niego, prowadząc konia za uzdę. Chłopiec wsunął łuk pomiędzy skórzane pasy, którymi przytwierdzony był kołczan do boku konia.

- Wiele strzelałem do królików, gdy byłem mały - powiedział myśląc o wzgórzach dalekiej krainy nadmorskiej, gdzie się narodził. - Matka piekła je później.

Jesteśmy ubogimi ludźmi i wszystko, co chcemy zjeść, musimy zabić sami.

Spojrzał na morze trzciny, w którym zniknęła zabita czapla.

- Wracajmy - powiedział siląc się na wesołość. - Mieliśmy dobre łowy, a jak powiadają w Troi, rzecz taka dobrze wróży!

Lauratas wskoczył na konia i ruszyli z wolna łąką ponad bagnistym brzegiem jeziora.

- Będzie mi smutno, gdy odejdiesz! - powiedział nagle Kreteńczyk. - Jesteś jeszcze chłopcem, lecz czy to bliska śmierć uczyniła cię dojrzałym, czy też zawsze byłeś roztropny, dość, że mówię z tobą jak z równym. I wielka to dla mnie radość móc posługiwać się mową ojców.

Białowłosy nie odpowiedział. Sięgnął ręką, zerwał wierzchołek trzciny i wyjąwszy z pochwy nóż, zaczął go ostrugiwać prowadząc konia kolanami.

Cóż miał mu rzec? Czy o tym, jak dziś pośród nocy płakał, gryząc wargi, by nie przywołać na

głos imienia matki? Pochylił głowę.

- Jezioro rośnie wciąż - powiedział szybko Lauratas. - Być może tego roku przybór wód potrwa nieco dłużej. Bywają i takie lata, choć rzadko.

- A wówczas będę żył o dzień lub dwa dłużej, nim on zsunie się z owej wysepki, żeby mnie spotkać w wodzie? Czy o tym myślałeś?

Kreteńczyk nie odpowiedział, przynaglił lekko konia.

Na prawo, ponad zmarszczoną lekkim wietrzykiem powierzchnią jeziora, widać było ogrody pomiędzy obu świątyniami, wielką i małą, na lewo był gaj palmowy, a dalej za nim poszarpany łańcuch wzgórz, na których nie rosła już żadna roślinność. Za owymi wzgórzami, jak mówił Lauratas, były wąwozy, urwiska i dolinki, gdzie w skałach wykuto miasto umarłych.

A dalej było morze piasków, pofałdowane i ostro odcinające się od bezchmurnego błękitnego nieba, ciemniejszego niż w kraju rodzinnym.

Jechali w milczeniu, z dala na polach widzieli robotników zrywających grona winne z niskich krzewów o gałęziach podpartych palikami. Konie przechodziły ponad wąskimi rowami, którymi z jeziora ku polom płynęła z szelestem woda.

Gdy zbliżali się do ogrodów świątynnych, Białowłosa skręcił ku sadzawce Sebeka. Odkąd ujrzał go po raz pierwszy, nie mógł uchronić się od tego. Gdy był blisko, szedł, by mu się przyjrzeć. Gdy był daleko, szukał pozorów, by znaleźć się w pobliżu mniejszej świątyni.

Mała dziewczynka i stary kapłan już tam byli. Dziewczynka bawiła się na łące. Białowłosa zeskoczył z konia i puścił go na trawę. Lauratas uczynił to samo.

Swobodnym krokiem zbliżył się ku dziewczynce i wyciągnął ręce. Choć nie znał jej mowy, była mu bliższa niż wszystkie dzieci świata. Siostra.

Pojeła jego ruch i rzuciła piłką w jego stronę. Złapał ją i odrzucił. Dziewczynka klasnęła w ręce. Wyciągnęła rączki, lecz piłka przeleciała jej pomiędzy nogami, więc zawróciła i pobiegła po nią aż pod skraj obramowania sadzawki. Chwyciła ją i uniosła w górę nad głową, chcąc się zamachnąć. Piłka wypadła jej z rąk i zniknęła za obmurowaniem. Dziewczynka zachwiała się, oparła o obramowanie i krzyknęła.

Przez drobny ułamek chwili, który wydał mu się nieskończenie długi, Białowłosa widział, jak jej drobne ciało przeważało się ku tyłowi. I przeważało.

Zniknęła. Usłyszał plusk wody w sadzawce.

Zaczął biec, nim dotknęła powierzchni wody. Nie myślał, co czyni, nie usłyszał krzyku Lauratasa i starego kapłana, którzy stali nie mogąc się poruszyć z przerażenia.

Gdy dobiegł i odbił się nogami od ziemi, dostrzegł lecąc w powietrzu, że krokodyl zsuwa się w wodę.

Dziewczynka wypłynęła i rozpaczliwie drapała dłońmi gładką powierzchnię muru, szukając występu, za który mogłaby uchwycić. Ale powierzchnia była gładka jak polerowany metal.

Zanurzył się i wyrwał z pochwy nóż. Szeroko otwartymi oczyma starał się pod powierzchnią dostrzec wroga. Być może krokodyl nie przywykł do tego, że wrzucano mu dwie ofiary równocześnie, gdyż zatrzymał się, jak gdyby tuż pod powierzchnią, spoglądając ku szamoczącemu się ciału dziewczynki. Później ruszył w jej kierunku. Lecz Białowłosa był już przy nim.

Wszystko to działo się tak szybko, że później nie umiał powiedzieć sobie, co się stało. Nie uderzył w pokryte potężnym pancerzem łuski boku ani w grzbiet potwora.

Objął go, mając głowę tuż pod jego paszczą, przytulony do niego między łapami i zaczął zadawać

szybkie, głębokie ciosy w białe podbrzusze, bijąc na oślep, kuląc się, aby któraś z łap nie zaczepiła go, nie oderwała od ciała wroga i nie posunęła ku wściekłe otwierającej się i zamykającej paszczy.

Potwór miotał się w wodzie, bijąc straszliwie ogonem i wymachując łapami.

Białowłosy czuł, że brak mu tchu i opuszczają go siły, ale nagle, straszliwa, wyzwolona nienawiść do owej bestii, która miała być jego grobem, przemieniła i jego w dzikie zwierzę. Czuł pod nożem prute, ustępujące, miękkie ciało. Szarpał je ostrzem, kłuł, aż nagle potworny taniec ustał.

Krokodyl znieruchomiał. Czując, że za chwilę pierś pęknie mu z braku powietrza, Białowłosy rozpaczliwie odbił się w dół, a później w górę, odpływając ku zbawczej powierzchni. Wysunął głowę i zaczął łapczywie chwytać powietrze, oczekując, że potworna paszcza chwyci go za nogi i...

I oto ujrzał tuż koło siebie biały, spływający krwią brzuch i dwie wyprostowane nogi. Bestia leżała na wznak, nieruchoma. Martwa.

Dopiero w tej chwili usłyszał wysoki krzyk dziewczynki. Popłynął ku niej, uniósł ją ku krawędzi, którą chwyciła obu rączkami i podciągnąwszy się zręcznie, zniknęła.

Schował nóż, sprężył się i skoczył wyciągając ręce. Dotknął palcami brzegu obmurowania, przez chwilę wydawało mu się, że padnie na powrót, ale palce utrzymały i podciągnął się z największym wysiłkiem, padając piersią na płyty obmurowania.

Dziewczynka zniknęła.

Lauratas klęczał zasłoniwszy twarz opaską, a stary kapłan stał z szeroko otwartymi ustami, patrząc na chłopca z wyrazem tak ogromnego przerażenia, jak gdyby zobaczył samego boga wychodzącego z sadzawki.

Białowłosy ciężko dysząc podszedł do Kreteńczyka i szarpał opaskę, odsłaniając mu oczy.

- Zabiłem go! - powiedział oddychając szybko.

Lauratas zerwał się.

- Żyjesz!

- Żyję, lecz on nie żyje! - Chłopiec wskazał sadzawkę.

- Uciekajmy, Lauratasie, gdyż lepsza śmierć w walce i ucieczce niż dobrowolna zgoda na tortury.

Pójdź! Ciebie także zabiją, gdy ucieknę!

W tej samej chwili stary kapłan ożył i z przerażającym wrzaskiem rzucił się ku nim. Lauratas wstał.

Pchnął nadbiegającego, który potoczył się, krzycząc, na kamienie.

Rzucili się ku stojącym w pobliżu koniom. Pędząc ku zaroślom nad jeziorem. Białowłosy obejrzał się. Ze świątyni wysypywały się białe postacie i biegly w kierunku sadzawki.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pragnę, aby przywiedziono ich żywych

Het-Ka-Sebek, Strzegący Spokoju Duszy Boga, stał nieruchomo przed otwartą bramą świątyni. Promienie słońca padały bezlitośnie na jego obnażoną głowę i pierś, lecz on zdawał się tego nie odczuwać. Uniesioną dłonią przysłonił oczy i zwróciwszy spojrzenie w lewo, wpatrywał się w pas nadbrzeża i niedaleki gaj palmowy. Oblicze jego było spokojne i nie zdradzało żadnych uczuć.

W głębi dziedzińca, ukryci w cieniu uchylonego skrzydła wielkiej bramy, tłoczyli się kapłani. Lecz nikt nie śmiał zbliżyć się ku stojącemu. Stali równie nieruchomo jak on, wstrzymując oddech.

Nagle Het-Ka-Sebek drgnął. Na linii dzielącej gaj od jeziora dostrzegł mały, ciemny punkcik rosnący z każdą chwilą. Wysoki kapłan z wolna opuścił rękę i odwróciwszy wzrok spojrzał na jezioro. Człowiek, którego oczekiwał, nadjeżdżał.

Na kamiennym nadbrzeżu zaklekotały gwałtownie kopyta. Człowiek ściągnął wodze, koń stanął dęba, lecz jeździec był już na ziemi. Padł na kolana.

- Pragnę, aby przywiedziono ich żywych - rzekł Het-Ka-Sebek cicho. - Czemu tak późno przybywasz, wodzu straży pustynnej?

Kłęczący uniósł głowę.

- Nie utraciliśmy ani jednej chwili. Lecz byłem z moimi ludźmi na skraju pustyni, gdyż tak nakazał mi pisarz. Chłopi donieśli, że wielki samotny lew porywa bydło z pastwisk. Upolowaliśmy o wschodzie słońca owego lwa pośród skał w głębi pustyni. A także małżonkę jego i dwoje młodych lwiat. Powracaliśmy ku miastu, gdy dopadł nas twój wysłannik, panie mój. Pospieszyłem tu sam, a pozostałym nakazałem pędzić ku stajniom i porzuciwszy utrudzone zwierzęta, wybrać inne, najsmiglejsze. Wkrótce tu będą i przywiodą dla mnie nowego wierzchowca, gdyż ten nikogo by już dziś nie doścignął.

- Mają oni nad wami wielką przewagę! - Kapłan potrząsnął głową. - Słońce przebyło już drogę stąd... - wskazał narożnik dachu świątyni - do miejsca, gdzie się znajduje, odkąd rozpoczęli swą ucieczkę.

- Choćby przebiegło po dwakroć całe niebiosa, panie mój, przywiodę ci ich tu żywych, jak nakazałeś. Jeśli nie zabije ich wcześniej pustynia lub dzikie zwierzęta, dognamy ich wkrótce.

- Wstań! - powiedział Het-Ka-Sebek. - Kapłani, którzy widzieli ich ucieczkę, mówią, że pognali na zachód i zapewne skierowali się wzdłuż brzegu jeziora ku północy, unikając siedzib ludzkich. Wydałem już rozkaz, by zawiadomiono strażę przy rzece. Lecz posuwając się w owym kierunku nie przebyliby konno bagien, a zresztą zbiegli w przeciwnym kierunku i zapewne kierować się będą ku morzu. Jeden z nich zna dobrze okolice miasta i jeziora.

- Konno nie przebędą pustyni, panie mój. A czasu mieli niewiele, by nas wyprzedzić.

- Jeden z nich, niemal dziecko, choć umiejący posługiwać się łukiem i nożem, jest białowłosy i skóra jego jest skórą ludów północy. Poznasz go niechybnie, gdy tylko ujrzysz. Drugi także nie jest Egipcjaninem i pochodzi z ludu morza.

- Pojmuję, panie mój...

Wódz straży pustynnej, zwanej Nuu, gdyż składała się ona z osiadłych potomków plemion koczowniczych pogranicza, obejrzał się.

Z dala dobiegł tętent kopyt. Spośród drzew wybiegły najpierw psy. Było ich kilkanaście. Sierść miały niemal białą, długie nogi, wąskie pyski i czerwone obwisłe uszy. Tuż za nimi ukazali się jeźdźcy na rosnących koniach.

Psy popędziły ku stojącemu przed Het-Ka-Sebekiem dowódcy straży, lecz ostry, krótki gwizd osadził je w miejscu, zawróciły powoli z cichym skowytym.

- Ruszaj - rzekł kapłan spokojnie. - A gdy pochwycisz ich, pamiętaj, że łaska świątyni umie być niemal tak wielka jak łaska boga. Niechaj im włos z głowy nie spadnie, choćbyś miał to życiem przypłacić. Pragnę, aby przywieziono ich tu zdrowych i całych.

Wojownik upadł na twarz i zerwał się ponownie. Bez słowa ruszył biegiem ku swoim, z których jeden wysforował się ku przodowi, prowadząc luźnego konia. Dowódca straży wskoczył nie zatrzymując się i krzyknął cicho. Cały oddział zawrócił w miejscu i pomknął w prawo brzegiem jeziora, a później zniknął za drzewami. Tętent kopyt ucichł.

Het-Ka-Sebek spoglądał przez długą chwilę za nimi. Dostrzegł jeszcze błysk słońca na włóczni któregoś z jeźdźców, później powróciła cisza.

Zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

W ciągu tysiąca lat, od chwili gdy bóg zamieszkał w sadzawce świątynnej nad jeziorem, nigdy nie nastąpiło nic podobnego. I uczynił to chłopiec, niemal dziecko. Być może nie był on zwykłym chłopcem, lecz jakąś straszną istotą, zesłaną przez nieznaną wrogię moc?

Może to one umieściły go na drodze okrętu starego Ahikara i kazały mu zawieźć owego młodzieńca do Egiptu, a jemu, Het-Ka-Sebekowi, kupić go? Jeśli tak było, czy mogło to oznaczać wróżbę okropną dla świątyni?

Słyszając lekki szelest nagich stóp na gładkich kamieniach szybko uniósł głowę i zaraz pochylił ją w głębokim pokłonie.

Stary człowiek, który nadszedł od strony wielkiej świątyni, zatrzymał się przed nim i uniósł rękę pozdrawiając go.

- Przyniesiono mi straszną wieść... - powiedział suchym, łamiącym się głosem. - Jakże doszło do tego? Czemu nikt nie ustrzegł wizerunku boga przed ręką zabójcy?

- Chłopiec ów wskoczył do sadzawki i nożem zabił boga, rozpruwając mu brzuch, Ojcie Świątyni.

- Nie wrzucono go?

- Nie. Hu-Tepa, który strzegł powierzonej sobie dziewczynki, powiedział mi, że wpadła ona do sadzawki, a chłopiec ów skoczył jej na pomoc.

- A więc nie mogłeś przewidzieć tego ty ani żaden z czcigodnych kapłanów. Nie opadnie karząca dłoń na winnego niedbalstwa, gdyż taka była wola boga - szepnął arcykapłan. - Taka była jego wola... - powtórzył niemal niedosłyszalnie i skierował się ku sadzawce idąc brzegiem jeziora. Het-Ka-Sebek ruszył za nim w milczeniu. Gdy wreszcie zatrzymali się przy kamiennym obramowaniu, spoglądając w dół ku wodzie, w której tam i na powrót pływał szybko maleńki szmaragdowy niemal

krokodyl, skłonili mu się obaj głęboko, wyciągając przed siebie ręce.

- Nieśmiertelny jest Sebek - powiedział głośniejszym głosem arcykapłan i zwracając się ku Het-Ka-Sebekowi spytał: - Czy ów młody bóg przybył z jeziora?

- Jest on synem zmarłego boga i narodził się przed dwoma miesiącami. Przebywał dotąd w Sadsawce Królów wraz ze swą matką. Kazałem przenieść go tu bez najmniejszej zwłoki, aby święta woda i wyspa nie stały puste.

- Słusznie uczyniłeś... - Arcykapłan przyglądał się przez chwilę drobnemu, ruchliwemu stworzeniu, w niczym nie przypominającemu jeszcze potężnego potwora, w którego czas miał je przemienić. - Jest on zbyt mały dla przyjęcia żywej ofiary ludzkiej. Każ odesłać ową dziewczynkę rodzicom i spraw, by zostali obdarowani wielkimi darami, gdyż była ona przez czas pewien ulubienicą boga.

- Tak uczynię, Ojczyce Świątyni.

- Lecz oto nadchodzi święto boga... - Arcykapłan pokiwał głową ze smutkiem. - Czym nakarmimy go w dzień święta? Nie przełknie on nawet niemowlęcia. A zresztą prócz tej dziewczynki, która znalazła się już w świętej sadsawce i wyszła z niej żywa, a więc nie może być ofiarowana powtórnie, nawet gdyby młody bóg mógł ją rozszarpać i zjednoczyć się z nią, nie mamy w świątyni nikogo, kto pochodzi z wód, a ciało jego jest bez zmazy.

- Rozmyślałem nad tym, ojczyce świątyni, i wierzę, że bóg otrzyma należną mu ofiarę, a gniew jego nie spadnie na nas i poświęcone mu miasto.

- Słucham cię, Het-Ka-Sebeku. Cóż zamierzasz uczynić?

- Otóż rozkazałem straży pustynnej ująć ich żywcem bez oglądania się na to, jak wiele trudu ma to kosztować. A gdy przywiodą ich tu, wówczas przywołam człowieka, który potrafi nakarmić boga małymi skrawkami ich ciała, tak aby żyli niemal do ostatniej chwili, gdyż zna on sposoby, dzięki którym umie zachować żywot i przytomność skazanego, choć ów niemal poćwiartowany już będzie.

Stary człowiek zastanawiał się przez chwilę.

- Sądzę, że będzie to słuszne - powiedział wreszcie - choć i on wyszedł żywy z sadsawki, lecz sprawił bogu cierpienie i bogu musi zostać oddany, aby uczynił z nim, co zechce. Człowiek taki nie może być ukarany karą zwykłą, przeznaczoną dla ludzi. Niech więc zjednoczy się z ojcem swoim, który postanowi sam, czy zechce go spożyć, a ów, który jest z nim, niechaj zostanie zabity w podobny sposób, lecz mięso jego pożreć mają ryby, gdyż nie przystoi, aby niewolnik świątynny stał się ofiarą w dniu tak wielkiego święta.

- Stanie się, jak rozkazałeś, ojczyce świątyni.

Ruszyli z wolna ku wielkiej świątyni. Zerwał się lekki wiatr i zaszeleścił koronami palm i liśćmi sykomor, później nadszedł drugi podmuch, mocniejszy. Arcykapłan zatrzymał się i spojrzał na widnokrąg po drugiej stronie jeziora.

- Czy widzisz, Het-Ka-Sebeku?

- Widzę, ojczyce świątyni.

Niebo nad głowami stojących było ciemnobłękitne, na zachodzie zaś barwa jego stała się ciemnobrunatna.

Trzeci, silniejszy podmuch targnął szatą Het-Ka-Sebeka. Ruszyli obaj, przyśpieszając kroku, ku wielkiej świątyni, której dach górował ponad koronami drzew.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Otwarty sarkofag Nerau-Ta

Wypadli spośród drzew i długo pędzili wzdłuż brzegu jeziora, pochyleni, nie oglądając się za siebie.

Wreszcie Białowłosey odwrócił głowę. Górzące nad drzewami dachy świątyn były już daleko.

Nie zwalniając zawołał do Lauratasa:

- Nie ścigają nas! W którą stronę teraz?

Kreteńczyk także obejrzał się i dopiero wówczas Białowłosey dostrzegł skurcz przerażenia na jego twarzy.

- Cóż uczyniłeś, nieszczęsny? Zabiłeś mnie i siebie!

Odnajdą oni nas nawet pod ziemią, a wówczas los, który czekał cię w paszczy krokodyla, wyda ci się szczęściem, którego nie znałeś! Zginęliśmy.

Białowłosey ścisnął konia kolanami i zrównał się z Lauratasem. Jechali teraz obok siebie. Chłopiec pochylił się i zawołał przekrzykując tępy odgłos kopyt na kamienistym brzegu jeziora:

- Czemu więc nie pochwyciłeś mnie i nie powstrzymałeś? Mogłeś to uczynić!

Lauratas pochylił się niżej nad szyją konia i przez chwilę pędzili obok siebie w milczeniu.

- Nie mogłem! - zawołał nagle nie zwracając głowy ku chłopcu. - Nienawidzę ich! Jesteś mojej mowy i czcisz moich bogów! Nie mogłem! Zginę przez to!

Białowłosey raz jeszcze obejrzał się. Przez chwilę badał oczyma długie pasma wybrzeża, aż ku dalekim już drzewom na skraju świątynnych ogrodów. Lecz nadal nikogo nie było widać.

- Nie ścigają nas?

- Pościg wkrótce wyruszy!

Wjechali w szeroki las trzciny, przez który biegła nadbrzeżna droga. Po lewej mieli jezioro, po prawej pola, a przed sobą daleką poszarpaną linię nagich wzgórz, za którymi rozpoczynało się morze piasków.

- Stój! - krzyknął Białowłosey i wstrzymał konia, który wrył kopyta w ziemię robiąc bokami.

Lauratas jeszcze przez chwilę gnał pochylony nad grzbietem zwierzęcia, później zatrzymał się i zawrócił. Stali teraz niewidzialni dla oczu ludzkich, otoczeni zewsząd wysokimi kitami trzciny.

- Zginęliśmy... - wyszeptał Kreteńczyk dysząc ciężko. - Zginęliśmy i nic nas nie może uratować! Białowłosey wzruszył ramionami.

- Mamy łuki... i kołczany pełne strzał. A ja mam nóż...

Będziemy uciekali, a jeśli pogoń zbliży się, będziemy się bronili. A później stanie się, jak postanowi Wielka Pani Świata!

Wyprostował się na grzbiecie konia i na znak czci dotknął czoła grzbietem zwiniętej dłoni.

Lauratas uczynił podobnie.

- Chciałbym być tak młody i ufny jak ty - powiedział - lecz znam ich. Całego obszaru strzeże straż pustynna. Są to ludzie w służbie Egiptu. Nie są Egipcjanami, lecz należą do dzikich plemion pustyni, osiadłych ongi na pograniczu piasków. Znają oni pustynię, jak ty znasz swój dom rodzinny. Mają konie tak dobre jak te lub lepsze, bo wytrzymałsze i oswojone z długą jazdą po bezwodnych obszarach. A prócz tego mają psy!

- Psy?

- Tak, wiele psów gończych, których używają do ścigania zbiegłych niewolników lub tropienia zwierzyny. Gdy wejdą one na nasz trop, będą biegły za nami, póki nie dopadną nas lub same nie padną. A pamiętaj, że kapłani musieli już zawiadomić strażę wokół jeziora i wzdłuż rzeki. Wodą nie umkniemy, gdyż koryto będzie strzeżone dniem i nocą, a bagna na obu brzegach są nieprzebyte. Zresztą cóż by nam przyszło z tego, że przedrzemy się do głównego koryta Nilu? Wieść o nas dotrze tam przed nami i pochwyca nas strażę w pierwszej wiosce. Ty nie mógłbyś ukazać się nikomu w tym kraju, aby nie zapamiętał cię na zawsze, a ja, choć jestem bardziej ogorzały, także nie będę mógł wyjść z ukrycia. Zresztą psy odnajdą nas już wkrótce. Kapłani musieli już posłać po straż pustynną. Niebawem ruszy ona w pościg.

- Lecz nadal jeszcze jesteśmy wolni... - powtórzył Białowłosy z uporem. - Wolni i uzbrojeni, a psy i straż są daleko. Ojczyzna nasza jest na północy za morzem. Cóż nam zostaje innego, jak próbować ujść na brzeg morza?

- Rzeką nie dotrzemy tam nigdy, a przez pustynię musielibyśmy jechać lub iść ku morzu dni czternaście lub dwadzieścia. Nie słyszałem, aby ktokolwiek tego próbował, choć żyją na pustyni rozbójnicze plemiona. A one, gdybyśmy wpadli w ich ręce, odprzedałyby nas Egipcjanom. Pojmujesz, jak wierzę, że świątynia boga Sebeka zapłaciłaby za ciebie wiele?

- Tak, wiem... - Białowłosy skinął głową. - Lecz, Lauratasie, jeśli nie chcemy zginąć już dziś, musimy uciekać. Zatrzymałem się tu, gdyż choć życie nasze niewiele jest warte, lecz istnieje cię nadziei, póki nas nie schwytano. Nie uciekajmy na oślep! Cóż mamy czynić, aby zgubić pościg? Mów, gdyż znasz ich i tę krainę.

- Nie zgubimy go... - Kreteńczyk potrząsnął głową. - Nie pojmujesz tego jak ja, gdyż widziałem wielu schwytanych, którzy mieli zapasy wody i żywności, a obmyślili plan ucieczki na wiele miesięcy wcześniej. Lecz skoro uciekać musimy, uciekajmy na zachód aż ku krawędzi pasma wzgórz, tam gdzie styka się ono z jeziorem, a później zawróćmy na północ. Chłopi pracujący na polach dostrzegą nas z dala i podadzą kierunek, w którym się udaliśmy. Pomyśleć mogą, że próbujemy okrążyć jezioro, podczas gdy my, miast na zachód, pojedziemy zakryci wzgórzami na wschód, ku rzece, od której głównego nurtu dzielić nas będzie kilka dni drogi. Nie wierzę, abyśmy tam dotarli, gdyż ich psów nie wyprowadzimy w pole...

Białowłosy zawrócił i skierował konia na skraj kępy. Patrzył przez chwilę. Nadal od strony świątyń nikogo nie można było dostrzec na drodze. Pola także stały puste, gdzieniegdzie jedynie widać było na nich postać ludzką lub osła niosącego brzemień.

- Uczynimy, jak postanowiłeś! - zawołał Białowłosy i znowu pognali przed siebie ku miejscu, gdzie daleko przed nimi ostra linia skalistych wzgórz opadała łagodnie na spotkanie szarych, rozlanych po widnokrąg wód jeziora.

Długo jechali w milczeniu. Wzgórza przybliżały się z wolna i można było dostrzec wyraźnie granicę pól uprawnych.

- Człowiek przed nami! - zawołał Lauratas.

- Czy zabijemy go, aby nie rzekł nikomu, że nas widział?

- Inni nas widzą z dala... - odkrzyknął jadący za nim Białowłosy. - Zapytaj go o drogę na wschód.

Niechaj sądzą, że tam się udaliśmy!

Zbliżyli się do półnagiego starego chłopca, który przystanął na krawędzi drogi trzymając w rękach dwa puste worki z koziej skóry.

- Jak daleko stąd do wsi Qua-Rum, chłopie? - zapytał Lauratas zatrzymując konia.

- Będziecie tam, nim słońce zajdzie, panie, lub szybciej, jeśli macie niestrudzone konie - powiedział chłop padając na kolana na widok złotej opaski Białowłosego. - Bądź pozdrowiony, Synu Boga!

- Czy to worki na wodę? - zapytał szybko Białowłosy.

- Tak.

- Każ mu, niechaj je napełni i odda nam, a świątynia mu to wynagrodzi, gdyż musimy ruszać dalej nie zwlekając.

Kreteńczyk rozkazującym głosem powtórzył jego słowa i chłop bez namysłu rzucił się ku brzegowi jeziora, aby zaczerpnąć wody.

- Czy napoimy teraz konie? - zapytał cicho Białowłosy, choć chłop był poza zasięgiem jego głosu, a zresztą nie mógłby pojąć ich mowy.

- Nie! - Lauratas mimowolnie obejrzał się. - Dość czasu utraciliśmy. Lecz musimy je nakarmić i napoić, gdy znajdziemy się u stóp wzgórz. Inaczej padną, a wówczas nie dożyjemy nawet nocy.

Pochwycili worki, które podał im chłop, i ruszyli. Wzgórza były coraz bliżej.

Po pewnym czasie Białowłosy zaczął dostrzegać wyraźnie cień rzucany przez poszczególne głązy na zboczach. Droga za nimi nadal była pusta, lecz świątynie zniknęły już z widnokręgu.

Lauratas zwolnił i dotknąwszy dłonią spoczonej szyi konia, dał ręką znak chłopcu, aby ściągnął wodze.

- Dajmy im odetchnąć... inaczej nie posłużą nam długo. Oto wzgórze.

Skręcił ku wodzie i zeskoczył prowadząc konia ku brzegowi jeziora.

Milczeli patrząc na pijące wierzchowce.

- Tam, gdzie droga przechodzi nad brzegiem u stóp wzgórz, skręcimy, gdy tylko miniemy zbocze. Bezdrożami, wśród skał, pognamy stamtąd na wschód. Miniemy miasto umarłych, a później aż ku rzece towarzyszyć nam będzie naga pustynia. Pięć dni! Bez wody i bez jadła dla koni i dla nas. Nigdy nie osiągniemy rzeki i zginiemy tam! A jeśli dopędzą nas wcześniej, zginiemy wcześniej i nie będziemy cierpieć. Śmierć z pragnienia nie jest najstraszliwsza z tych, jakie nam pozostały. Albowiem, choć rodzimy się w jednaki sposób, kończymy żywot, tak jak się to spodoba bogom. Czy zabijesz mnie, gdy strażnicy pustyni przybliżą się i pojmiemy, że nie ma już ratunku? Gdyż lękam się, że sam tego nie będę miał odwagi uczynić.

- Zabiję cię! - Białowłosy z powagą skinął głową. - A później siebie. Nie wrócimy tam żywi, Lauratasie. A śmierć, jak rzekłeś mi dziś rankiem, nakreślona jest człowiekowi, nim się narodzi. Jeśli ma ona nas spotkać na tej pustyni, spotka nas. Lecz jeśli bogowie naznaczyli nam spotkanie z nią w innym miejscu, przeżyjemy, choćby sto psów i stu strażników było na naszym tropie. Ruszajmy!

Odwiedli konie od wody i wskoczyli. Granica pól uprawnych pozostała za nimi. Na zboczach łańcucha wzgórz rosły już jedynie kępki ostrej trawy.

- Nie nakarmiliśmy koni... - krzyknął Lauratas odwracając się ku jadącemu z tyłu chłopcu. - A

pogoń musiała już ruszyć! Czy nakarmimy je za wzgórzem, gdzie nad brzegiem jest roślinność?

- Jak długo mogą jeszcze biec?

- Do nocy, nie dłużej!

- Więc nie będziemy ich karmić! Jeśli dalej nie ma trawy i muszą paść, cóż nam przyjdzie z tego, że będą biegły jeszcze do północy!

Nie odwracając się Lauratas uniósł rękę rozpaczliwym ruchem, jak gdyby chciał rzec, że czy konie zostaną nakarmione, czy nie, los ich jest przesądzony.

Minęli zbocze wzgórza opadające ku wodzie i droga skręciła łagodnie, kryjąc przed nimi daleką linię zielonych gajów palmowych, pośród których leżało ukryte niewidzialne stąd miasto Sekhem. Lauratas zatrzymał konia.

- Teraz opuścimy drogę i ruszymy ku zachodowi kryjąc się pośród wzgórz. A po zachodzie słońca, jeśli nas nie dopadną, pomyślimy, co czynić dalej.

Wjechali w wąską kamienistą dolinę o czerwonych, pokrytych bruzdami ścianach. Grunt był tu gliniasty i tętent kopyt nagle przycichł, Lauratas zwolnił nieco i zrównał się z chłopcem.

- Niedaleko stąd rozpocznie się sieć wąwozów i dolinek, gdzie chowają zmarłych. Gdy dotrzemy tam, nie j będzie można nas łatwo dostrzec z dala. I gdyby nie psy...

- A później?

- Później umrzemy... - Lauratas próbował uśmiechnąć się. - Nie ma dla nas ratunku. Czy wiesz, że zawracamy łukiem ku miastu kryjąc się pośród wzgórz?

- Wiem, Lauratasie. Lecz, jak sądzisz, czy kapłani mogą przypuszczać, że zabiwszy ich boga, mamy tak wiele śmiałości, że nie uciekamy jak najdalej przed siebie w pustynię, a wybraliśmy drogę okrężną?

- Nie wiem, co mogą przypuszczać kapłani, lecz straż pustynna i jej psy nie kierują się myślami Het-Ka-Sebeka, gdy są na tropie. Jeśli wiem cokolwiek o tej krainie, muszą nas doścignąć przed zapadnięciem nocy.

Białowłosy nie odpowiedział. Dotknął ręką przewieszzonego przez plecy łuku i sprawdził, czy strzała wychodzi lekko z kołczanu. Konie zaczęły wspinać się po niewielkiej pochyłości na grzbiet wzgórza.

Lauratas bez słowa wskazał dłonią. Z lewej otwierał się nowy wąwóz. Jedna ze skał tworzących jego zbocza została wygładzona ludzką ręką i pokryta wielkimi znakami i rysunkami.

- Tu rozpoczyna się miasto umarłych. Wyminiemy je, gdyż być może napotkalibyśmy tam ludzi, jeśli odbywa się pogrzeb lub kują grób w skale. Gdy osiągniemy szczyt wzgórza, ujrzysz pofalowane piaski pustyni. Wjedziemy tam i łukiem okrążymy miejsce poświęcone bogom podziemnym. Powrócimy pomiędzy wzgórza nieco później i będziemy posuwali się tak długo, póki nie otworzy się przed nami pustynia. A wówczas niechaj bogowie mają nas w swej opiece, gdyż prócz palących promieni słońca nie napotkamy tam zwierzęcia, człowieka lub źdźbła trawy przez dni pięć, które konieczne nam będą, byśmy dotarli do rzeki.

Konie wspięły się już niemal na szczyt wzgórza, gdy uderzył pierwszy podmuch wiatru.

- Cóż to jest?! - rzekł cicho Lauratas i przynaglił wierzchowca. Po chwili znaleźli się w miejscu, skąd roztaczał się rozległy widok na morze piasków. Drugi, mocniejszy podmuch owionął ich, wznosząc niewielki tuman wirującego pyłu.

- Spójrz! - krzyknął Kreteńczyk. - Zginęliśmy! Nad^ chodzi wielki wiatr!

Białowłosy patrzył przez chwilę, nie wierząc własnym oczom. Daleko przed nimi, na północnym

zachodzie, niebo zmieniło barwę i wyglądało tak, jak gdyby pustynia uniosła się w obłoki. Nadchodziła stamtąd straszliwa czerwona ściana pyłu. Była jeszcze daleko, lecz wichur zerwał się ponownie i piaski zawirowały.

- Uciekajmy! - krzyknął Kreteńczyk. - W dół, między skały!

Nowy, potężny podmuch przesłonił wszystko. Konie stanęły dęba i kwicząc zaczęły tańczyć w miejscu.

Białowłosey zeskoczył, chciał chwycić za rzemiennej uźdę, lecz koń wyrwał się i odbiegł z nisko pochyloną głową.

Chmura piasku uderzyła w twarz chłopca. Na pół oślepiiony, dostrzegł jeszcze kątem oka, że Lauratas wyleciał wysoko w górę i upadł na ziemię. Podbiegł ku niemu i padł przy nim.

Dostrzegł jego szeroko otwarte usta. Kreteńczyk wołał coś, lecz żaden głos nie dochodził wśród wycia wichury.

W nagłym gęstniejącym mroku, czując na twarzy chłostanie niesionego powietrzem piasku, Białowłosey potrząsnął z całej mocy leżącym, który uniósł się i osłaniając twarz zgiętym ramieniem, zaczął biec w dół po zboczu.

Wichura dęła z tyłu, zbiegli niesieni niemal na jej skrzydłach. Wąwóz był wąski i choć nawałnica piaskowa rosła z każdą chwilą, mogli przemknąć się wzdłuż skał, czepiając się kamieni i szukając rozpaczliwie zagłębienia, w którym mogliby się ukryć.

Nowe uderzenie i nagle Białowłosey pojął, że to, co jak sądził, było straszliwym wichrem, nadchodziło dopiero.

Mrok zgęstniał i chmury piasku gnane dnem wąwozu rzuciły go na ziemię. Zerwał się i znowu upadł. Nie widział już Lauratasa, który był przed nim. Oczy pełne piasku były zresztą niemal ślepe.

Upadł ponownie, powstał i zataczając się zrobił kilka kroków po omacku.

Nagle w ciemności wyciągnęła się ku niemu ręka ludzka, pochwyciła jego ramię i pociągnęła gwałtownie.

Straszliwy nacisk wichury niespodzianie zniknął. Ręka nie puszczała go i pociągnęła kilka kroków dalej w zupełny mrok.

- Bogom niechaj będą dzięki, że cię ujrzałem tuż przy sobie! - zawołał głos, który okazał się zachrypniętym głosem Lauratasa.

Dłoń puściła. Białowłosey zatoczył się i oparł o niewidoczną w ciemności kamienną ścianę.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał cicho i zaczął kasłać gwałtownie. Usta i gardło miał pełne piasku.

- Nie wiem. Zapewne w korytarzu wejściowym nie ukończonego grobu.

Białowłosey przetarł oczy i spojrzał ku wejściu, które znajdowało się nieco wyżej niżli miejsce, w którym stali. Najwyraźniej korytarz obniżał się wchodząc w głąb skały. Dochodził stamtąd jednostajny, głuchy ryk, jak gdyby przez wąwóz płynęło rozszalałe morze. Chwilami podmuchy gorącego, przesyconego pyłem powietrza wpadały do korytarza i wówczas w piersi brakowało tchu, a serce zaczynało bić jak po ciężkim biegu.

W milczeniu, trzymając się za ręce, zaczęli cofać się w głąb korytarza, który obniżał się dość ostro i w pewnym miejscu skręcił w prawo.

Zatrzymali się. Ryk wichru ucichł. Dochodził tu jedynie daleki szum i ostry przytłumiony świst.

Lauratas zaniósł się gwałtownym kaszlem.

- Bogowie... - wyszeptał wreszcie, krztusząc się. - O, bogowie! Czy wiesz, co stałoby się z nami, gdybyśmy nie znaleźli się tu?

Białowłosy nie odpowiadał przez chwilę, wsłuchany w dalekie wycie wichury. Wreszcie rzekł:

- Jak długo może człowiek żyć, gdy ów wiatr napotka go na pustyni?

- Krótko. Jeśli padnie, pędzące piaski mogą zasypać go w ciągu kilku chwil. A jeśli będzie się czołgał, wicher i piasek uduszą go szybko. Później, po latach, inny wicher zerwie górę piasku, która się nagromadzi nad ciałem, i ukaże niebu jego wyschnięte kości. Widziałem ich już dość nie tylko na pustyni, lecz niemal na skraju miasta. Człowiek oślepiiony piaskiem i nagłą nocą za dnia może zginąć nie opodal drzwi swego domu i nikt nie przyjdzie mu z pomocą, gdyż nikt nie usłyszy go i nie dojrzy.

- Tyś przyszedł mi z pomocą...

- Tak chcieli bogowie. Ostatkiem sił słańiałem się, czepiając skał, i nagle wpadłem tu. Znam te strony i pojąłem, że może to być korytarz grobowy lub głęboka grotta, która da nam schronienie. Wówczas odwróciłem się i wyjrzałem w ciemność, a tyś wyszedł wprost na mnie!

- Czyżby bogowie sprzyjali nam? - powiedział Białowłosy. - Mówiłeś, że pochwyca nas przed zachodem słońca, a oto słońce zajdzie wkrótce i nie wierzę, aby ktoś nas ścigał.

- Ni człowiek, ni zwierzę nie stawia czoła wielkiemu wiatrowi. Póki burza trwa, jesteśmy tutaj bezpieczni.

- A czy zawieje ona także nasze ślady?

- Zapewne. Psom nie będzie łatwo nas wytropić...

Ani straż. Nie mamy już jednak koni ani wody, gdyż konie zabrały ją z sobą. Mamy łuki, lecz nie mamy strzał, gdyż kołczany nasze także odbiegły wraz ze zwierzętami.

- Mam nóż... - powiedział Białowłosy niepewnie.

- A ja pudełko z korą i ostrze do krzesania ognia... - W głosie Lauratasa nie było nadziei. - Gdy przyjdzie czas, rozpalimy ogień... jeśli znajdziemy coś, z czego będzie można rozpalić ognisko.

- I cóż uczynimy?

- W blasku owego ognia nie chybisz twym nożem i odbierzesz mi życie, a później sobie, tak jak ci to już rzekłem. Czy chcesz pić?

- Chcę - powiedział cicho Białowłosy. - Gardło mam rozpalone i pełne pyłu. Nie mamy wody, więc nie myślmymy o tym. Zaczekaj ze śmiercią, Lauratasie, i nie wzywaj jej. Przyjdzie po nas, gdy zechce. Dziś rano byłeś niewolnikiem, a ja ofiarą potwora. A oto jesteś wolny po raz pierwszy od lat, a potwór stał się moją ofiarą. Zaczekajmy więc, co nam przyniesie czas.

- Mówisz jak mąż bardziej dojrzały, niż ja nim umiem być.

- Nie, Lauratasie. Jestem jedynie chłopcem i lękam się śmierci i pościgu bardziej niż ty. Lecz chciałbym żyć i ujrzeć kiedyś mój dom rodzinny i rodziców. A wiem, że nie dokonam tego, jeśli nie będę rozważny stokroć bardziej niż przystoi to moim latom.

- Gdybyś był nawet po tysiackroć tak rozważny jak jesteś, nie uda nam się stąd uciec. Masz słuszość, póki jest iskierka nadziei, człowiek może wierzyć, że bogowie rozdmuchają ją. Lecz pójdź! Przekonajmy się, cóż to za miejsce, do którego nas doprowadzili...

I ująwszy rękę chłopca ruszył z nim po omacku wzdłuż korytarza, dotykając palcami lewej dłoni chropowatej, chłodnej skały. Po chwili zatrzymał się.

- Ho... hooo! - powiedział głośno. Odpowiedziało mu głębokie echo. - Nie posuwajmy się dalej, gdyż bywają groby pełne pułapek na rabusiów. Spróbuję zaświecić laseczkę próchna, którą mam z sobą, jeśli jej nie zgubiłem.

Sięgnął za zapaskę. Po chwili Białowłosy usłyszał odgłos pocierania o siebie dwóch przedmiotów i nagle błysnęła pierwsza nikła iskierka. Później druga i w ręku Lauratasa zapłonęło

niewielkie migotliwe światelko.

Białowłosa wytrzymał wzrok i mimowolnie cofnął się pod ścianę. Sięgnął do piersi i wydobyl nóż.

- Ktoś tam stoi! - szepnął.

Lauratas uniósł tłącą się pałeczkę wyżej.

- Nie, to figura grobowa - powiedział spokojnie. - Stawiają je czasem, bądź jako strażników jadła i napoju zostawionego dla zmarłego, bądź jako wyobrażenie jego samego. Gdzie jesteśmy? Nikt nie pozostawia otwartego grobu...

Uniósł pałeczkę wyżej, a później w półmroku zrobił szybki krok naprzód i pochylił się ku ziemi.

- Lampa oliwna! - wykrzyknął i przytknął koniec rozżarzonej pałeczki do szyjki krągłego, niskiego naczynia. Buchnął wysoki płomień i przygasł natychmiast, a później znów rozblysł niskim, żółtym blaskiem.

- Czy widzisz, chłopcze? - zawołał Kreteńczyk. - Jesteśmy w grobie człowieka, którego bądź jeszcze nie pochowano, bądź też ludzie, którzy mieli zamurować wejście, uciekli na widok nadchodzącego wiatru...

Białowłosa rozglądał się w milczeniu. Znajdowali się w niewielkiej, wykutej w skale komnacie, której ściany pokryte były malowidłami o jaskrawych barwach, przedstawiającymi ludzi i stworzenia o głowach zwierząt i ptaków. Pod ścianami stały sprzęty domowe, stół, pięknie rzeźbione dwa krzesła, kilka skrzynek i liczne dzbany, naczynie oraz coś, na widok czego serce chłopca drgnęło gwałtownie: kilka oszczepów, pięknie rzeźbione łuki, strzały i noże. Pośrodku, naprzeciw wejścia z korytarza, stał niewielki kamienny ołtarz osłaniający wysoki ciemny otwór w przeciwległej ścianie.

- „Ja... Ozyrys Nerau-Ta, pisarz świątyni jego świątobliwości, oto modłę się do was, wielcy zgromadzeni bogowie, w chwili, gdy serce moje złożono na wadze:

Serce me, matko moja! Serce me, matko moja! Niechaj nic nie stanie na drodze sprawiedliwego sądu! Nie opuszczaj mnie w obliczu tego, który dzierży szale...” - zaczął odczytywać Lauratas wpatrując się na pokrywające ścianę malowidła. - To grób pisarza Nerau-Ta... który zmarł przed dwoma miesiącami i miał być pochowany przed wielkim świętem jeziora. Był to człowiek dostojny i słyszałbym o złożeniu jego ciała do grobu...

Powiedział to niemal szeptem i szybko ruszył ku ciemnemu otworowi, biorąc w obie dłonie lampę oliwną, a Białowłosa podążył za nim.

W głębi była druga komnata, mniejsza, pośrodku której stał prosty sarkofag z czerwonego, lśniącego kamienia. Wielkie wieko leżało oparte o jego krawędź, podtrzymywane przez drewniany pal umieszczony pomiędzy nim a ścianą, tak aby nie mogło się obsunąć i roztrzaskać. Zajrzeli do wnętrza. Sarkofag był pusty.

- Nie pochowano go jeszcze, choć zapewne mieli zamiar to uczynić dziś lub jutro, gdyż nagromadzili już przedmioty mające mu służyć na drugim świecie, a nie uczyniliby tego wcześniej. Lecz gdzie jest strażnik?... Czyżby wyszedł na zewnątrz i wiatr go zaskoczył?

Uniósł wyżej lampę i dostrzegając dwa niewielkie otwory w ścianie komnaty grobowej, poszedł do pierwszego z nich i zniknął w nim, pochyliwszy nisko głowę.

Białowłosa zajrzał tam także. Pomieszczenie było wąskie, stał w nim na wysokim cokole niewielki posąg człowieka wpatzonego w wymalowane na ścianie okno. W drugim pomieszczeniu stał podobny posąg.

- Wierzą oni, że dusza zmarłego może przebywać w takim wizerunku kamiennym... - powiedział Lauratas wynurzywszy się z niszy.

Staął, rozejrzał się, a później powrócili do pierwszej komnaty. Białowłosey przeszedł obok szeregu stojących pod ścianą dzbanów, uniósł jeden z nich i przechylił do ust.

- Woda! - zawołał odrywając dzban od warg i podając go towarzyszowi - Lauratasie, woda!

A gdy Kreteńczyk zaczął pić, podszedł do wielkiej misy, na której leżały okrągłe, twarde placki. Dotknął ich ręką i uniósł jeden do ust. Placek nie był świeży, lecz ostre zęby chłopca oderwały kawałek. Zaczął żuć, czując dopiero teraz nagły, przejmujący głód. Nie przestając jeść zbliżył się do stosu leżącego pod ścianą oręza. Uniósł lekki oszczep, potrząsnął nim i odłożył go na powrót.

Lauratas ostrożnie postawił dzban na ziemi.

- Woda! - powiedział głośno. - 'Ta woda przywróciła mi życie i jasność myśli... - I dodał ciszej: - Czyżby bogowie wyrwali nas spod skrzydła wielkiego wiatru i skierowali tu, aby odebrawszy nam szybką śmierć pustynną, doprowadzić nas do rąk kapłanów Sebeka?

- A czemuż by nasi bogowie mieli sprzyjać ich bogu? - zapytał chłopiec.

- Jesteśmy na jego ziemi, a tyś zabił jego żywy wizerunek.

- Czyżbyś naprawdę wierzył, Lauratasie, że ów tłusty leniwy krokodyl mógł być żywym ucieleśnieniem jakiegokolwiek boga? Czy dałby mi się zarżnąć jak jagnię?... Cóż uczynimy teraz?

- Póki wieje wiatr, mamy tu schronienie. A gdy ucichnie, spróbujemy wyrwać się stąd i pieszo dojść do bagien. Nie mając już koni, nie możemy ruszyć w pustynię, lecz pozostał nam cień nadziei. Trzymając się skraju piasków musimy odtąd brnąć ku północy, póki nas nie schwycą lub póki nie osiągniemy morza.

- A więc wierzysz, że możemy je osiągnąć?!

- Nie wierzę lecz cóż nam innego pozostało? - Lauratas wzruszył ramionami.

Mimo jego pełnego niewiary oświadczenia Białowłosemu wydało się, że głos Kreteńczyka nie jest już tak pełen beznadziejnej rozpaczyny jak dotąd.

- Wyrzujmy, czy wicher nadal dmie z jednaką siłą... - rzekł Lauratas. - A jeśli nie zanosi się na koniec burzy, wówczas najlepiej uczynimy, gdy spróbujemy usnąć na pewien czas. Bowiem człowiek pozbawiony snu nie ujdzie z pewnością przed żadnym pościgiem, lecz sam w końcu odda się w ręce nieprzyjaciół. A czas, gdy jesteśmy uwięzieni w tym grobowcu, najlepszy będzie, by usnąć.

Niczego innego nie możemy uczynić. Niechaj nas bogowie strzegą, jeśli ów strażnik grobu tu powróci.

Ruszyli korytarzem ku wyjściu. Gdy znaleźli się w pobliżu zakrętu, usłyszeli cichy szum, którego głos wzrastał się z każdym krokiem. Stanęli milcząc, wpatrzeni w mroczną czeluść, przez którą z wyciem biegły masy piasku i gorącego powietrza, wpychanego w głąb korytarza.

- Tak, to wielki wiatr... - mruknął Lauratas. - Potrwa on jeszcze długo. Nim minie, zdążymy pokrzepić się snem.

Zawrócili. W komnacie przedsionkowej Kreteńczyk rozejrzał się, postawił dzban na poprzednim miejscu i zgasił lampę oliwną.

- Gdyby wiatr ucichł nieco i przypadkiem ktoś się tu zabłąkał, lepiej abyśmy go usłyszeli, niż gdyby on dowiedział się pierwszy, że tu jesteśmy. Czy masz nóż swój?

- Mam.

- Ja także wziąłem jeden z leżących na owym stosie. Połóżmy się tu i próbujmy usnąć. Jeśli się nam uda, tym lepiej.

I legli na nagiej, chłodnej skale. Białowłosey podłożył sobie rękę pod głowę i przymknął oczy. Przez pewien czas rozmyślał nad tym, co winni uczynić, gdy minie wiatr.

Z wolna myśli splątały się i oto był znowu na skalistym wybrzeżu, spoglądając na morze, z którego powracała niewielka łódź rybacka. Zdawało mu się, że mruży oczy, chcąc rozpoznać rysy ojca. Lecz cóż to? Zamiast znajomej ogorzalej twarzy dostrzegł, że na barkach rybaka spoczywa głowa potwornego krokodyla i zdaje się uśmiechać ku niemu, zbliżając coraz bardziej... aż wreszcie pochwyciły go za ramię ostre zęby...

Szarpnął się gwałtownie, chcąc wyrwać ramię.

- Cóż czynisz? - powiedział w ciemności głos Lauratasa i chłopiec pojął, że to jego ręka nim potrząsa. - Zbudź się!

Usiadł i przetarł oczy. Przez krótką chwilę nie mógł przypomnieć sobie, gdzie się znajduje, lecz słowa Kreteńczyka przywróciły mu pamięć.

- Pójdziemy teraz ku wyjściu. Zapewne spaliliśmy zbyt długo. Chodźmy!

Ruszyli ostrożnie korytarzem. Gdy minęli zakręt, serca ich zabiły gwałtownie. Długi, kamienny tunel kończący się wylotem wychodzącym na dno wąwozu przesycony był łagodnym blaskiem. Było zupełnie cicho. Nie wiał już żaden wiatr.

- Bogowie! - szepnął Lauratas. - Już dzień!

Przyspieszył kroku zbliżając się ku wyjściu, opadł na kolana i zaczął się czołgać, a chłopiec poszedł za jego przykładem.

Dostrzegli niebieskie niebo poranka i przeciwległą ścianę wąwozu wraz ze szczytem wzgórza. Dzień wstał piękny i spokojny. Musieli przespać kamiennym snem całą noc.

Ostrożnie wychylili głowy poza krawędź i cofnęli się gwałtownie.

Zboczem wąwozu, pnąc się pod górę krętą, kamienistą drogą, szedł wielki pochód: przodem postępowali białodziani kapłani, za nimi kilka par łaciatych wołów o rozłożystych rogach ciągnęło długie sanie. Na saniach tych pod baldachimem spoczywała mumia pisarza Nerau-Ta w drodze na wiekiuisty spoczynek. Za nią szła żona zmarłego, płacząc głośno i drąc paznokciami skórę obnażonej, spływającej krwią piersi, a dalej płaczki, kapłani, krewni, przyjaciele, słudzy niosący dary oraz żołnierze z długimi włóczniami w dłoniach.

Tego wszystkiego Białowłosy już nie dostrzegł, gdyż nie ogarnął całego obrazu jednym krótkim spojrzeniem.

Cofnęli się w głąb korytarza i stanęli spoglądając na siebie.

- Czy nadchodzą tu? - zapytał chłopiec szeptem, choć pochód był jeszcze poza zasięgiem głosu.

- Nie wiem, lecz zapewne tu, gdyż jest to pogrzeb znacznego człowieka, a nikt znaczny, prócz Nerau-Ta, nie zmarł przed niedawnym czasem.

- Więc uciekajmy! - Białowłosy zrobił krok ku wyjściu. - Może im umkniemy?

- Są tam żołnierze! Czy chcesz, nieszczęsny, pieszo uciekać po tych wzgórzach, ścigany przez uzbrojonych ludzi, bez żadnej kryjówki lub miejsca, gdzie mógłbyś zniknąć im z oczu?!

- Więc cóż uczynimy? - Głos chłopca zadrżał. - Jeśli tu wejda, także jesteśmy zgubieni!

W tej samej chwili dobiegły ich zawodzące głosy płaczek.

Białowłosy stał przez chwilę, nie wiedząc, co czynić. W głębi duszy pojmował tylko jedno: za późno! Za późno było na ucieczkę!

Więc gdy Kreteńczyk pochwycił go za rękę i pociągnął w głąb korytarza, nie stawiał oporu i dał się poprowadzić i w ciemność, gdzie otwarty sarkofag Nerau-Ta czekał na przyjęcie swego pana.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przybyłem do ciebie

- Napotkaliśmy chłopca, który wyznał nam, że starszy z jadących konno ludzi zapytał go o wieś leżącą na zachód od jeziora, niemal nad brzegiem. Lecz ludzie ci zabrali mu worki na wodę, pojąłem więc, że chcą nas wprowadzić w błąd i minawszy wzgórze będą dążyli przez pustynię ku rzece, panie mój...

Dowódca straży uśmiechnął się lekko.

- I cóż dalej? - rzekł Het-Ka-Sebek z pozorną obojętnością.

- Bylibyśmy doścignęli ich zapewne przed nocą, lecz zerwał się wiatr, a gdy on wieje, żaden z ludzi nie może mu stawić czoła. Więc i my musieliśmy szukać schronienia. Gdy wiatr minął, podjęliśmy pościg, lecz serce moje było smutne, gdyż wiedziałem, że bogowie nie zezwolą mi wykonać twego najświętszego rozkazu. Żaden zbieg na pustyni i żadne zwierzę nie mogą przeżyć wielkiej nawałnicy, jeśli nie znajdą schronienia. A wiatr ów nadszedł nagle i w porze roku, w której niemal nigdy nie przychodzi, wiedziałem więc, że nie mogli skryć się zawczasu i przewidzieć, że nadciągnie, a pragnienie ucieczki przed twym gniewem musiało gnać ich ku odludnym stronom.

Tak też się stało, panie mój. Udali się oni na wschód, okrążając z dala ziemie uprawne za pasmem wzgórz, gdzie jest miasto umarłych. Tam psy nasze wywęszyły najpierw jednego konia, a później drugiego. Były zasypane piaskiem, w miejscu, gdzie powstały całe nowe wzgórza. Lecz szczęśliwie konie owe nie leżały zbyt głęboko.

- A ludzie? - zapytał niecierpliwie Het-Ka-Sebek. - Mów mi o ludziach!

- Zapewne leżą oni tak głęboko pod którąś z nowych gór piaskowych, że mogą tam pozostać do końca świata, panie mój. Muszą być głęboko, inaczej psy moje wywęszyłyby ich ciała.

- A czy nie mogli się nigdzie schronić?

- Nie, panie. Przeszukaliśmy całą okolicę. Nie mogliby ujść daleko pieszo, gdy stracili konie, które pewnie zrzuciły ich w burzy piaskowej. Muszą więc spoczywać w pobliżu swych wierzchowców. Wiatr był tak straszliwy, że nawet strażnik przygotowanego grobu czcigodnego pisarza Nerau-Ta, który zapewne wyszedł wówczas z grobowca, aby zaczerpnąć świeżego powietrza lub by nieczystością nie plamić miejsca tego, został zaskoczony w pobliżu grobu i zginął stoczywszy się w dół. Odnaleziono go przysypanego piaskiem i martwego na dnie doliny. Przeszukaliśmy całą tę okolicę i nie mogli oni ujść, panie mój. Nawet gdyby ukryli się pośród głazów, odnalazłyby ich psy, które wraz z nami przebiegły cały obszar wzgórz.

Kapłan spoglądał na niego przez chwilę uważnie. Wiedział, że ma przed sobą wielkiego łowcę ludzi, którego drużyna zna każdy kamień i szczelinę wokół miasta.

Wiedział też, że skoro w słowach wodza straży usłyszeć można było niezachwianą pewność,

musi zapewne tak być. Oznaczało to, że ów chłopiec i zbiegły z nim niewolnik nie zostaną sprowadzeni żywi do świątyni. Najstraszliwsza ze zbrodni nie zostanie pomszczona. Gdyż śmierć w rozszalałych piaskach nie wydawała się Het-Ka-Sebekowi karą za czyn popełniony przez białowłosego chłopca. Była ona dobrodziejstwem, którym bóg obdarzył świętokradcę. Czemu tak uczynił? Niezbadane były labirynty myśli bogów.

- Możesz odejść... - powiedział cichym zmęczonym głosem, a gdy dowódca straży padł na twarz, zerwał się i tyłem w pokłonach wyszedł z sali, Het-Ka-Sebek, Strażnik Żywego Wizerunku Boga, westchnął, odwrócił się i ruszył powolnym krokiem, zamyślony, ku lewemu skrzydłu wielkiej świątyni, gdzie przebywał w owym czasie arcykapłan. Niechaj on postanowi, co należy czynić w przypadku, gdy z woli sił najwyższych ciała zbrodniarzy znikną na wieki pogrzebane w piaskach.

Idąc Het-Ka-Sebek nie przewidywał, że nadejdzie chwila, gdy usłyszy ponownie o jasnowłosym chłopcu poświęconym bogu. A chwila ta była bliższa, niż mógł przypuszczać.

Za kapłanem ubranym w szatę i kapłanem okrytym skórą lamparcią postępowały dwa łaciate woły ciągnące osłonięte baldachimem wysokie sanie, na których leżała mumia zmarłego Nerau-Ta. Za saniami postępowała żona, płacząc głośno, wyrывая sobie włosy z głowy i orząc ciało paznokciami, jak chciał obyczaj i cześć dla odchodzącego. Dalej postępowały płaczki, dzieci i wnuki, przyjaciele, uzbrojona straż i ludzie niosący ofiary grobowe. Prowadzono też dwa byki, jeden z nich, czarny, zwany był Bykiem Północy, a drugi, biały, Bykiem Południa.

Z wolna, otoczony obłokiem unoszącym się spod stóp pyłu, orszak żałobny zbliżył się ku ciemnemu otworowi skalnego grobu i zatrzymał.

Okryty skórą lamparcią kapłan Kher-Heb skinął ręką i wśród ciszy, przerywanej jedynie głuchym dudnieniem zwierzęcych nóg potracających kamienie, przywiedziono oba byki.

A gdy kapłan, zwany Sem, zabił Byka Południa i Byka Północy, a później obmywszy ręce wodą źródlaną, którą niewolnik lał mu z wysokiego alabastrowego dzbana, skłonił się nisko w kierunku wejścia do grobu, pozdrawiając bogów podziemia, kapłan Kher-Heb zapalił kadzidło, a przyjaciele i synowie zmarłego dźwignęli mumię i postawili, tak aby Nerau-Ta po raz ostatni mógł stanąć wyprostowany i objąć wzrokiem świat żywych.

Wśród słów modlitwy, czterokrotnie odczytanych ze zwoju przez kapłana Sema, kapłan Kher-Heb dokonał obrzędu Otwarcia Ust zmarłego pisarza świątyni jego świątobliwości, aby mógł on zstąpiwszy do Świata Podziemnego spożyć pokarmy i przemówić w swej obronie stanawszy przed sądem bogów tam przebywających.

Pochyliwszy głowę obaj kapłani ruszyli w głąb podziemia, a za nimi mumia na barkach niewolników.

Ponownie wybuchł jęk i zawodzenie płaczek, wypełniające kamienny korytarz, żona zmarłego padła na kolana i zaczęła posuwać się na klęczkach, posypując głowę pyłem zgarnianym z ziemi pokrwawionymi dłońmi.

Gdy znaleźli się w rozległej sali przedsionka grobowego, kapłan Kher-Heb stanął naprzeciw niskiego kamiennego ołtarza i uniósł wysoko ręce. Zawodzenie płaczek ucichło nagle.

- O, Ozyrysie! Wszystko, co było niegodne w Nerau-Ta, przyjmij na siebie! - wypowiedział donośnie kapłan Kher-Heb, a kapłan Sem zanurzył palce w srebrnym naczyniu i prysnął wodą Nilu na ciało zamknięte w skrzyni o ludzkim kształcie z wymalowanym na wieku wizerunkiem Nerau-Ta. - O, Izys i Neftys, siostry najpotężniejsze, i ty, Totcie, który czyny człowieka zapisujesz na Zwoju Sądu, przyjmijcie zmarłego Nerau-Ta pomiędzy bogów, aby żyjąc wśród was mógł radować się szczęściem

takim, jakiego wy doznajecie, i wraz z wami przemierzać Niebo i Podziemia na Łodzi Milionów i Milionów Lat...

Głos kapłana Kher-Heb unosił się i opadał śpiewnie powtarzając wiele zdań po czterokroć, a kapłan Sem zapalał kadzidła, rozpryskiwał na ołtarzu wodę, wino i oliwę, unosił z ziemi i stawiał kolejno w świętym porządku przed marami dzbany z mlekiem, piwem, winem czerwonym i białym, a także miseczki, na których leżały miedź, antymon i żelazo. Wreszcie przyjął z rąk najstarszego syna Nerau-Ta dwie białe szaty i koszyk cebuli. Ostrożnie złożył je u stóp mumii.

W zupełnej ciszy pośród migotliwego blasku pochodni przytłumionego gęstniejącym dymem kadzideł, który wypełnił całe pomieszczenie, kapłan Kher-Heb zakończył:

- Ozyrys Nerau-Ta zwycięski mówi: Chwała ci, o Panie mój, Który Przemierzasz Wieczność, a którego żywot jest nieskończony. Chwała Ci, Panie nad Pany, Królu Królów, Boże nad Bogami przebywającymi u twego boku, przybyłem do Ciebie. Uczyni mi miejsce, abym był wraz z tymi, którzy mieszkają w Świecie Podziemnym, a uwielbili obraz Twej Duszy, a także wraz z tymi, którzy przetrwają miliony lat... Zezwól, abym ja, Ozyrys Nerau-Ta, mógł wejść do Mrocznego Królestwa i opuszczać je do woli. Zezwól także, aby nikt nie mógł odpędzić mnie od jego bram.

Uniesione ręce kapłana znieruchomiały i stał z głową pochyloną przez długą chwilę, zastygły i nad słuchujący, gdyż oto dusza zmarłego Nerau-Ta, pisarza świątyni jego świątobliwości, rozpoczęła drogę ku królestwu umarłych i za chwilę zapewne straszliwy Anubis, bóg o głowie szakala, ujmie ją za rękę i wprowadzi do sali Sądu, gdzie oczekuje Wielkie Zgromadzenie Bogów, by ujrzeć, czy Piórko Prawdy przeważy ją na szali Ostatniej Wagi.

Wreszcie opuścił rękę. Wdowa wstała z klęczek i złożyła na trumnie pęk polnych kwiatów rosnących nad jeziorem w ulubionym miejscu przechadzek zmarłego.

W zupełnej ciszy słychać było syk laseczek kadzidła dopalających się w glinianych uchwytach. Kapłan Sem dał znak. Mary zakołysały się i ruszyły ku wejściu komory grobowej, gdzie z największą ostrożnością złożono trumnę w głębi kamiennego sarkofagu. Niewolnicy unieśli i zasunęli ciężkie kamienne wieko. Pod ścianą grobu kapłani złożyli cztery urny zawierające płuca, żołądek, jelita i wątrobę umarłego.

W milczeniu kapłani cofnęli się i stanęli czekając, aby przyjaciele Nerau-Ta złożyli na kamiennej podłodze przedśionka to wszystko, czego będzie potrzebował w Świecie Podziemnym, oraz małe gliniane figurki Shabti, które będą tam za niego siać, orać i wypełniać wszelkie ciężkie prace.

W ciszy cały orszak z wolna ruszył ku wyjściu. Przed grobowcem pozostał jedynie kapłan Sem z kilkunastoma niewolnikami, a gdy pozostali zaczęli zstępować krętą drogą na dno doliny, dał znak i przywiedziono oczekujące woły wraz z zaprzęgami pełnymi gładko ociosanych gładków. Niewolnicy poczęli układać bloki skalne w głębi korytarza, a gdy ściana była gotowa, zarzucono otwór wielkimi kamieniami złożonymi uprzednio obok wejścia.

Gdy i tę pracę ukończono, Sem ponownie dał znak.

Kilku niewolników wdrapało się na prostopadłą niemal skałę unoszącą się nad wejściem, trzymając w rękach okute drągi. W takt cichej przyśpiewki przewodnika wbili drągi w głęboką, uczynioną zawczasu szczelinę i zaczęli poruszać nimi miarowo.

Kapłan Sem odstąpił i przymrużywszy oczy, bacznie wpatrywał się w skalną ryse. Wreszcie zawołał ostro. Ruch drągów ustał.

Kapłan krzyknął raz jeszcze.

Przewodnik niewolników wsparł się plecami o skałę i podtrzymywany przez dwóch ludzi,

uderzył potężnie z góry kamiennym młotem. Ludzie cofnęli się i przywarli do skały. Blok kamienny drgnął. Przewodnik uderzył po raz wtóry.

Rozległ się głośny huk, jak gdyby w głębi skały coś pękło. Przez chwilę ściana zdawała się trwać w bezruchu, lecz nagle ogromny blok kamienny zsunął się w dół i uderzył głucho o ziemię zakrywając zasypane wejście do grobu. Chmura pyłu przysłoniła widok.

Gdy kurz opadł, kapłan Sem z zadowoleniem skinął głową i dał niewolnikom znak, że praca ich została wykonana. Wejście do grobu Nerau-Ta zniknęło na wieki i żadna moc ludzka nie zakłóci odtąd spoczynku zmarłego.

Bez słowa kapłan Sem poprawił zapinkę białej szaty spływającej przez piersi z prawego ramienia i zaczął schodzić nie oglądając się za siebie. W stosownej odległości za nim ruszył sługa świątyni mający pieczę nad niewolnikami, a za nim, także w godziwej odległości, zaczęli schodzić zbici w gromadkę niewolnicy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Widzę gwiazdy

Czekali w milczeniu, tłumiąc oddech, ukryci w ciemnych niszach za posągami wyobrażającymi umarłego.

Czas biegł wolno, dym kadzideł gryzł w oczy i Białowłosy w pewnej chwili zwątpił w ocalenie. Ścisnął w opuszczonej dłoni nóż i czekał. Chciał zginąć walcząc, jeśli któryś z owych ludzi zbliży się i odkryje jego lub Lauratasa. Kryjąc się za posągiem, nie widział tego, co odbywało się w głębi przedsionka grobu, lecz dobiegające stamtąd głosy i szelest świadczył, że zgromadziło się tam wiele ludzi. Za chwilę wejdą tu, by złożyć mumię do grobu, a wówczas jedynie łaska bogów mogła sprawić, aby nie zbliżyli się do jednej z nisz i nie odkryli skulonych w nich postaci.

Ludzie nadeszli i złożyli ciało w sarkofagu, później w milczeniu nakryli je płytą z czerwonego kamienia i żaden z nich nie uniósł oczu, by spojrzeć tam, gdzie kryli się w cieniu zbiegowie. Odeszli w ciszy i oto kroki ich umilkły w głębi korytarza. Nastąpiła nagła cisza.

Przez długą chwilę stali obaj nieruchomo. Nie wiedzieli, czy ktoś nie pozostał w przedsionku, zatopiony w modlitwie lub zajęty dokonywaniem ostatniej ofiary.

Z dala dobiegł przytłumiony łoskot padającego stażu, a później zgrzyt nasuwających się na siebie kamieni i ciche głosy ludzkie.

Stali nadal na pół oślepieni dymem kadzideł, nie mając odwagi poruszyć się, choć ciała ich przenikał dojmujący ból.

Białowłosy zacisnął zęby. Czuł, że jeszcze chwila, a zdrętwiałe nogi odmówią mu posłuszeństwa i osunie się na ziemię.

W tej samej chwili, pośród lekkiej poświaty padające j przez otwór komnaty przedsionkowej, gdzie nadal płonęły lampy oliwne, dostrzegł Lauratasa, bezszelestnie odrywającego się od ściany i skradającego się ku wyjściu.

Kreteńczyk uniósł ostrzegawczym ruchem rękę uzbrojoną w nóż, dając mu znak, aby nadal trwał w ukryciu. Lecz chłopiec mimowolnie zrobił krok ku przodowi, wynurzył się spoza posągu i zaczął poruszać nogami prostując je i zginając. Oddychał przy tym głęboko, nie spuszczać z oka Lauratasa, który przyłgnawszy do ściany posuwał się wolniuteńko, wsłuchany w dalekie odgłosy dobiegające z głębi korytarza. Kreteńczyk wyjrzał ostrożnie.

Po chwili przywołał chłopca skinieniem. Białowłosy zbliżył się nie czyniąc najmniejszego szelestu.

- Trzeba zgasić kadzidła, gdyż udusimy się tu wcześniej, niż nam sędzono - szepnął Lauratas. - Nie ma w grobie nikogo. Wyszli i zawalają głazami korytarz wejściowy.

Chłopiec wysunął się na palcach do przedsionka i ujawszy jeden z dzbanów, wylał po

kilkanaście kropli wina na laseczki z kadzidłem, które przygasty z głuchym sykiem. Obejrzał się odstawiając dzban na ziemię. Lauratas przeszedł komnatę i stał nadśluchując u wejścia do korytarza.

- Czy nie możemy niczego uczynić? - szepnął Białowłosy. - Jeśli zakończą pracę i odejdą, jakże wydostaniemy się stąd?

- Gdybyśmy napadli na nich, być może ujrzelibyśmy światło dzienne, lecz nie ucieklibyśmy daleko. Pościg dopadłby nas wkrótce, gdyż nie ma w całej okolicy jednego drzewa, krzewu lub kryjówki, gdzie moglibyśmy się skryć. Czemuż pytasz o to, skoro znasz prawdę równie dobrze jak ja? Jeśli mamy tu zginąć, wolę śmierć w ciszy i spokoju grobu niż tę, którą zgotowaliby nam kapłani!

- Lecz każda śmierć jest śmiercią! - Białowłosy mimowolnie podniósł głos. - Czemu sądzisz, że któraś z nich jest lepsza niż inne? Ratujmy się, póki możemy!

Kreteńczyk szybko położył mu dłoń na ustach.

- Tu nikt z żywych nie będzie nas szukał... - Wargi Lauratasa były niemal przy jego uchu. - Mamy nieco wody i jadła i nie musimy umierać natychmiast w męczarniach. Lecz... - Urwał. Łoskot odłamów skalnych ucichł.

- Czyżby już ukończyli pracę? - Wziął chłopca za rękę i ostrożnie ruszyli korytarzem. Gdy znaleźli się na zakręcie, nadal było zupełnie cicho.

Schyliwszy się Kreteńczyk wysunął głowę za załom ściany. Było tu ciemno. Ani jeden promyk światła nie docierał przez zasypane wejście.

Białowłosy także wyjrzał.

- Są to jedynie głazy, które da się odwalić, gdy odejdą... A jeśli uda nam się wydostać nocą na zewnątrz, ułożymy je ponownie tak, aby nikt nigdy nie poznał, że...

W tej samej chwili potężny łoskot zatrzęsł korytarzem.

Dobiegł on z zewnątrz.

- Co to? - Chłopiec cofnął się i chwycił towarzysza za ramię.

Lauratas nie odpowiedział. Ujął go ponownie za rękę i pociągnął wstecz do przedsionka, gdzie płonęły lampy oliwne, pozostawione przez żałobników. Nadal nie odpowiadając, pogasił wszystkie prócz jednej i zwrócił się ku chłopcu.

- Zdmuchnąłem je, aby nam na dłużej wystarczyły.

- Cóż to było? - powtórzył Białowłosy oglądając się ku wejściu do korytarza.

Kreteńczyk w milczeniu pokiwał głową i rozejrzał się.

- Jedzenia i napoju wystarczy nam na kilka dni, a jeśli będziemy jedli z umiarem, być może na dłużej - mruknął.

- Oliwy także jest dość. Niechaj dzięki będą bogom, że zmarły Nerau-Ta był możliwym człowiekiem, którego zaopatrzone na drogę we wszystko, czego mógł potrzebować. Cóż powiemy mu, gdy spotka nas w krainie cieni? Oskarży nas przed swymi bogami o to, że skradliśmy mu jego własność.

Próbował uśmiechnąć się, lecz uśmiech przygasty mu na wargach. Obejrzał się i wskazał otwór prowadzący do korytarza wejściowego.

- Pytałeś, co to było? Otóż jest tu zwyczaj zawalania grobów, tak aby żaden złodziej nie mógł się do nich przedostać. Widzisz dokoła na ziemi złote ozdoby i naczynia? Dla biedaka mają one cenę życia, które gotów jest rzucić na szalę, aby się tu dostać i skraść je. A że wierzą oni wszyscy w konieczność posiadania po śmierci tego, co posiadali za życia, więc każdy z umierających możliwych chce zabezpieczyć swój los po śmierci i stąd owe podziemne grobowce i wszelkie dobra w nich

nagromadzone. Sądziłem, że skoro zawalili otwór grobowy tak wielkimi głazami, być może będą chcieli zamurować dokładnie grób za dni parę. Lecz nie przyszło mi na myśl, że podkuli uprzednio zbocze i obsunęli je na otwór, tak aby nikt nigdy nie mógł się tu dostać. Jeśli mnie słuch nie myli, zostaliśmy przywaleni ogromnym odłamem skały, który osunął się na wejście. Trzeba by setek niewolników, sprzętu i zwierząt pociągowych, aby odwalić otwór tego grobu.

Białowłosa zerwał się z kamiennej podłogi, na której siadł u stóp ołtarza. Zbliżył się ku Kreteńczykowi i starając się zajrzeć mu w oczy, zaledwie widoczne w migotliwym świetle lampki, powiedział cicho:

- Chcesz rzec, że jesteśmy żywcem pogrzebani?

Lauratas w milczeniu skinął potwierdzająco głową, później wzruszył ramionami.

- Jak ci już rzekłem, lepsza taka śmierć niż ta, którą zgotowałyby nam Het-Ka-Sebek. Cokolwiek się stanie, jesteśmy tu bezpieczni przed gniewem boga jeziora.

- Czy radując się z tego chcesz siedzieć z założonymi rękami i czekać, póki nie zjemy całego pokarmu i nie - wypali się cała oliwa w lampach, abyśmy nie musieli patrzeć na własną śmierć?

- Nie. Tak jak i ty będę walczyć do ostatka. Lecz musimy odczekać nieco, gdyż nie wiemy, czy niewolnicy nie pracują nadal nad ukryciem śladów grobu na zboczu. Gdy minie pewien czas, pójdziemy ku wyjściu, by przekonać się, co zagraża nam drogę do świata żywych. Cokolwiek by się miało stać, będę próbował wydostać się stąd. Teraz, gdy nie mamy niczego innego do czynienia, rozejrzyjmy się tu i zobaczmy, co może nam posłużyć.

Zaczęli obchodzić oba pomieszczenia, podnosząc przedmioty, odkładając je ponownie i gromadząc całą żywność i napoje w jednym kącie, aby wiedzieć dokładnie, ile im jeszcze pozostało.

- Jest tu wielki zapas najlepszej oliwy. Możemy wypalić ją w lampach, lecz możemy także żywić się nią, gdyż jest tłusta i smaczna. Niewiele tylko pozostało wody i wina, lecz na szczęście nie jest tu gorąco. Jeślibym chciał bez obawy wzbudzenia gniewu bogów rzec, ile nam zostaje czasu do życia, rzekłbym, że wytrzymamy dni dwadzieścia, o ile nie zabraknie nam powietrza. Lecz, być może, uda nam się wygrzebać jakąś szparę przy wejściu.

- Jeśli wygrzebiemy szparę, będziemy mogli ją także poszerzyć - powiedział Białowłosa. - Pójdźmy, Lauratasie, ku końcowi korytarza i przekonajmy się, co uczynili ci ludzie. Póki tego nie uczynimy, nie dowiemy się, jaki los zesłali nam bogowie.

Kreteńczyk uniósł najmniejszą z lamp oliwnych i trzymając ją w lewej ręce, prawą ujął długi, ciężki oszczep, jeden spośród kilku leżących przed ołtarzem.

- Wybierz spośród noży... - powiedział wskazując stos broni - krótkie i o szerokich ostrzach. Będziemy próbowali podważyć kamienie i może uda nam się je usunąć.

Białowłosa skinął głową i po chwili ruszył w głąb korytarza oświetlonego nikłym, chwiejącym się płomykiem lampy, niesionej przez Kreteńczyka.

Korytarz wydał się chłopcu o wiele krótszy. Najmniejszy nawet promyk światła nie przedostał się od strony wejścia zatarasowanego przez niewolników ścianą z dużych prostokątnych bloków skalnych.

Zbliżyli się z wolna, zatrzymali i Lauratas uniósł lampę, starając się objąć jej blaskiem całą ścianę. Bloki kamienne ułożone były równo, gładko ociosane i przylegały do siebie tworząc mur, lecz pod samym stropem, gdzie nierówności nie pozwalały na ułożenie ich tak, by tworzyły jedną całość, widać było powtykane gęsto mniejsze kamienie.

- Spieszyli się... - mruknął Lauratas. - W tym cała nasza nadzieja. Nie są one tak wielkie, abyśmy

nie mogli ich odwalić kolejno. Na szczęście nie próbowali ich połączyć zaprawą ani nawet gliną. Dziwne to, gdyż dbają oni o dobre zabezpieczenie grobowców, a szczególnie gdy zmarłym jest tak możny człowiek, jakim był Nerau-Ta. Trzeba więc przypuścić, że zapewne nie ta ściana jest główną przeszkodą na naszej drodze ku wolności, lecz to, co znajduje się za nią.

- Więc popróbujmy, Lauratasie, poznać, co znajduje się za nią.

Kreteńczyk nie odpowiedział. Zbliżył się jeszcze bardziej ku kamiennej zaporze i oświetliwszy ją lampą, zaczął przesuwać oczyma po skalnych odłamach.

- Być może za tą ścianą jest pustka... - rzekł niepewnie Białowłoso - więc nie warto trudzić się i tracić czasu na rozbieranie jej. Jeśli wyjmemy kilka kamieni, tak bym mógł się precyzyjnie dowiedzieć, dowiemy się wszystkiego.

- Słyszałem ich, gdy rzucali wielką ilość luźnych głazów. Był to odgłos przytłumiony, więc zapewne za tą ścianą znajduje się rumowisko kamienne zawałające wylot korytarza, a sam otwór wejściowy przywalono w inny sposób, aby go zabezpieczyć. Jeśli uda nam się wysunąć choćby jeden z kamieni przy krawędzi, przekonamy się, czy mam słuszną rację.

Białowłoso wsunął ostrze noża w szczelinę pomiędzy dwoma ociosanymi odłamami skały i pociągnął lekko ku sobie. Kamień drgnął.

- Są luźno osadzone! - Przesunął ostrze i pociągnął znowu.

Lauratas odstawił lampę. Ostrożnie wepchnął koniec ostrza oszczepu w szparę i zaczął nim poruszać miarowo. I oto prostokątny gładki blok skalny zaczął się wysuwać spod pozostałych. Kiedy boczna jego krawędź wynurzyła się, Białowłoso odrzucił nóż i chwycił ją obiema rękami. Ciągnął powoli, kamień nie stawiał oporu obracając się na osi. Lauratas uchwycił go od spodu i po chwili wspólnym wysiłkiem wysunęli go całkowicie i złożyli pod ścianę.

Z ciemnego otworu posypały się drobne odłamki skalne. Lauratas szybko chwycił lampę i tłumiąc oddech, obaj zajrzeli w głąb.

- Uczylni tak, jak przewidywałem. Przegrodzili korytarz ścianą, a później zasypali go kamieniami. Musimy odwalić to wszystko, jeśli chcemy jeszcze ujrzeć światło dnia. Będzie z tym wiele pracy, gdyż kamieni mieli naokół pod dostatkiem i nie musieli ich nawet przywozić z daleka.

- Lecz jedno mnie zdumiewa, Lauratasie. Czyżby na tym poprzestali? Kilku złodziei mogłoby od zewnątrz dostać się do grobu z łatwością.

- Zapominasz o owym wielkim łoskocie, od którego zadrżał cały grobowiec. Te bryły nie mogły go wywołać. Jak rzekłem, nie mogli oni tak źle zabezpieczyć wejścia. Trzeba nam rozebrać tę ścianę, a później usunąć cały gruz z korytarza. Wówczas dopiero dowiemy się, co zagradza nam drogę do wolności. Przynieś drugą lampę.

Zabrali się do pracy nie mówiąc do siebie słowa i starając się czynić jak najmniej hałasu, gdyż choć dolina zmarłych była miejscem odludnym, nie można było przewidzieć, czy któryś z krewnych zmarłego nie powróci tu, aby wnieść modły przed grobowcem.

Nie odpoczywając niemal wcale, usunęli przegrodę z luźno ułożonych bloków skalnych, a później zaczęli pojedynczo unosić i przesuwać pod ściany korytarza znajdujące się za nią odłamy głazów.

Posuwali się coraz dalej ku wyjściu. Nie wiedzieli, ile czasu minęło od chwili, gdy poruszyli pierwszy kamień. Nie zwrócili też niemal uwagi na to, że zgasła pierwsza lampa oliwna. Przywykłe do ciemności oczy nauczyły się rozpoznawać szczegóły otoczenia przy najgorszym nawet oświetleniu. Lecz gdy druga lampa strzeliła w górę wysokim płomieniem, zamigotała i płomyk jej zniknął pograżając korytarz w zupełnej ciemności, Lauratas oparł się plecami o ścianę, odetchnął

głęboko i rzekł znużonym głosem:

- Była to duża lampa. Napełnienie jej wystarczało na noc lub na dłużej. Czyżbyśmy tak długo pracowali?

Białowłosy przetarł oczy pełne pyłu. Poczul nagle, ogarniające całe ciało znużenie.

- Posilmy się, Lauratasie, i powróćmy tu bez zwłoki... - rzekł cicho, prostując i zginając zdrętwiałe palce.

Po omacku odszukali obie lampy i niosąc je powrócili do przedsionka. Tam Lauratas rozniecił ponownie światło.

- Ów zwyczaj składania kosza cebul zmarłemu winniśmy powitać z najgłębszą czcią - rzekł niemal wesoło, wysypując cebule i oglądając je uważnie. - Pięknie przebrane. A taka jest ich natura, że nie wysychają łatwo ani nie zgniją od razu. Jedz! - Odłożył kilka cebul i wielki kawał placka dla chłopca. - Pamiętaj jedynie, byś nie pił więcej wody, niż musisz, gdyż bez niej zginiemy!

Przez chwilę jedli w milczeniu, wreszcie, gdy nasycili głód i wypili po kilka łyków wody z dzbanka, Białowłosy usiadł i spojrzał na Kreteńczyka.

- Jak sądzisz, Lauratasie, jak wiele czasu minęło, odkąd tu jesteśmy?

- Bogowie jedni to wiedzą. Lecz jeśli chcesz ich o coś pytać, zapytaj lepiej, jak długo jeszcze mamy tu pozostać, gdyż odpowiedź na to pytanie wydaje mi się ważniejsza.

- Wypoczywając nie dowiemy się niczego... - Białowłosy wstał z wysiłkiem i uniósł lampę.

- Masz słuszość... - Kreteńczyk ziewnął i przetarł zmęczone oczy. - Musimy poznać, co nam zagraża drogę do świata żywych.

Pracowali dalej w milczeniu, oddychając ciężko, gdyż kamienie, które przed niedawnym czasem wydawały im się lekkie, teraz stały się nieskończenie cięższe.

Wreszcie w pewnej chwili na szczycie rumowiska ukazała się czarna wyrwa.

Lauratas otarł pot zalewający mu oczy i wspiał się na palce dotykając niemal głową stropu korytarza.

- Dalej jest ciemność... - szepnął. - A kamieni już nie ma.

Z bijącym gwałtownie sercem zdjęli jeszcze kilkanaście odłamków skalnych, rzucając je za siebie, byle tylko uczynić wyrwę. Wreszcie odepchnęli wielki, zagradzający drogę głaz i stanawszy na nim, unieśli lampy.

Za rumowiskiem był jeszcze niewielki odcinek wspinającego się ku górze korytarza, a za nim.

- Bogowie... - szepnął Białowłosy, - Góra zamknęła się wokół nas!

Wejście do korytarza zamykała niemal gładka jednolita ściana skalna.

Lauratas stał przez chwilę nieruchomo, unosząc wysoko lampę, która oświetlała ów przerażający widok. Wreszcie rzekł ze spokojem:

- Przewidywałem to. Lecz bogom niechaj będą dzięki, że powietrze tu jest czystsze niżli tam w głębi. Nie udusimy się, to pewne. A jeśli uda nam się pokonać tę przeszkodę, nic już nie będzie dzielić nas od doliny zmarłych.

Chłopiec zbliżył się do ściany, dotknął jej dłonią, a później bezradnym, rozpaczliwym ruchem naparł na nią ramieniem.

- Nie czyn tego i nie trwoń daremnie sił. Gdyby było nas tu stu, także nie drgnęłaby nawet. Nie przebijemy jej ani nie odepchniemy...

- Więc cóż mamy zrobić?

- Jeśli chcemy wydostać się stąd kiedykolwiek, trzeba nam podkopać się pod nią. Innej drogi, jak

sądzę, nie ma. Czy widzisz jakieś inne wyjście?

- Więc bierzmy się do pracy, Lauratasie... - Chłopiec rozejrzał się i pochylił badając podłogę korytarza.

- Bądź rozważny, synu. Jeśli nie wypoczniemy teraz, nie znajdziemy nigdy dość sił, aby nie mając dobrych narzędzi wyłupać pod nią otwór, przez który przejdziemy.

Białowłosy przez chwilę spoglądał niezdecydowanie na ciemną gładką powierzchnię ściany. Wreszcie szepnął:

- Masz słuszność, Lauratasie.

Ruszył ociągając się za Kreteńczykiem, a później, gdy znaleźli się w komnacie grobowej, położył się z głową wspartą o narożnik ołtarza i usnął natychmiast.

A gdy zbudzili się, znów ruszyli w górę korytarza. I od owej chwili pracowali bez wytchnienia, póki im omdlałe ręce nie odmawiały posłuszeństwa, znów powracali, by posilić się i zaznać nieco snu, a później ponownie zrywali się z kamiennej podłogi, rozniecali lampę i powracali do miejsca, gdzie nieskończenie powoli, odłamek po odłamku, ubywało litej skały.

Stracili rachubę czasu. Układając się do snu po raz być może dziesiąty lub dwudziesty, Białowłosy próbował obliczyć, ile dni mogło upłynąć, odkąd pogrzebano ich tu żywcem. Mogło ich być wiele, a być może minęło znacznie mniej czasu, niż przypuszczał. Westchnął. Cóż to miało za znaczenie? Żywot ich tu nie był mierzony przepływem dni, lecz grubością skały, którą musieli wydrążyć na wylot... Usnął.

Obudził się nie wiedząc, gdzie jest. Naokół była zupełna, nieprzenikniona ciemność, w której rozplynęły się resztki snu. Śniło mu się, że płynie okrętem przez nieskończone, spokojne, błękitne morze. Okręt był pusty, na ławach nie siedzieli wiosłarze ani sternik przy wiosłach steru. Wiatr dął łagodnie w purpurowy żagiel, pokryty dziwaczными znakami i postaciami, które przypominały dokładnie wizerunki malowane na ścianach grobowca Nerau-Ta.

Potrząsnął głową. Ciemność nie ustępowała. Nadbiegł z niej jeden tylko łagodny, miarowy dźwięk. W pobliżu spał człowiek.

Białowłosy przymknął oczy. Ogarnęła go nowa fala senności. Z wysiłkiem ponownie otworzył oczy. Przywykł do mroku. Lampy używali obecnie jedynie do pracy. Pozostał jeden dzban z wodą, która stawała się coraz bardziej stęchła, i drugi dzban z winem, które gasiło pragnienie, odbierało jednak siły do pracy.

Walcząc z bólem, który odczuwał w całym niemal ciele, dźwignął się na łokciu i usiadł wsparty plecami o zimną, suchą ścianę grobowego przedsionka, który obrali za mieszkanie, jak gdyby nie chcąc dzielić jednego pomieszczenia z umarłym spoczywającym w kamiennym sarkofagu.

Uniósł lewą dłoń i dotknął jej wargami. Rany na palcach piekły, lecz przywykł już do nich. Odnawiały się nieustannie, gdy powracali pod ścianę korytarza. Używając kamieni jako młotów, uderzali mozolnie w rękojeści stępionych noży, odłupując maleńkie kawałki skały i drążąc ją uparcie. Postępowali bardzo wolno, pracując bez przerwy i zmieniając się, gdy ręce jednego omdlewały tak, że nie mógł już utrzymać narzędzia. Otwór powiększał się stale i wreszcie weszli pod skałę, która zawałiła przejście. Jak była szeroka? Tego nie wiedzieli.

Kiedy odeszli od niej po raz ostatni na odpoczynek, otwór był już głęboki i nikał pod nią. Lecz pracować w nim było coraz trudniej z braku miejsca.

- Lauratasie! - zawołał półgłosem.

Spokojny oddech śpiącego ucichł na chwilę. Rozległo się lekkie westchnienie, a później

zabrzmiął całkowicie przebudzony głos Kreteńczyka.

- Śniłem, że przebiliśmy ową skałę i ujrzeliśmy niebo nad wzgórzami. Nie było na nim księżycy, a jedynie gwiazdy, tak wiele gwiazd, jak gdyby od chwili naszego zniknięcia w tej czeluści bogowie rozsiewali je nieustannie.

- Oby sen twój spełnił się jeszcze dziś!

Usłyszał cichy chrobot i po chwili zabłysło światło ogarniając małą kamienną komnatę o ścianach pokrytych malowidłami, które stały się Białowłosemu tak znajome, jak gdyby przebywał tu od dnia narodzin.

Wstali, Lauratas przetarł oczy i wyprostował się. W jego umorusanej, pokrytej pyłem twarzy świeciły zapadnięte głęboko oczy. Nie myli się, nie chcąc tracić niepotrzebnie ani kropli wody.

- A jeśli nawet przebijemy się ku owym gwiazdom... - mruknął Kreteńczyk idąc korytarzem - wówczas być może spotka nas los podobny losowi owego nieszczęśnika, który wisząc przecina sznur oplątujący mu szyję po to jedynie, by runąć w przepaść znajdującą się pod nogami.

- Jesteśmy tu już od tak dawna - zawołał chłopiec z przekonaniem - że z pewnością uznali nas za zmarłych. Byliby głupcami, gdyby nie uwierzyli, że pochłonał nas ów wielki wiatr. Jak sądzisz, jak długo tu się znajdujemy? Dziesięć dni czy może dwadzieścia?

- Być może dziesięć... - Lauratas wzruszył ramionami.

- A być może dwadzieścia. Zapewne nie dowiemy się tego nigdy, gdyż nie będziemy pytali, a sami jakże mielibyśmy się przekonać?

Zatrzymał się przed zagradzającą korytarz ścianą skalną, spojrzał na chłopca i próbował się uśmiechnąć.

- Jak sądzisz, czy będzie noc, czy dzień, gdy wreszcie ujrzymy świat?

- Dzień. Chciałbym ujrzeć słońce raz jeszcze. Nocy tu aż nazbyt wiele. Lecz nie o tym rozmyślałem.

- O czymże rozmyślasz, chłopcze?

- O tym, że minęła już pora przyboru wód w jeziorze.

Gdybym nie zabił tego potwora, dawno już poszarpałby mnie on i pożarł. A więc cokolwiek się stanie, dobrze uczyniłem zabijając go... - Spojrzał na mężczyznę, który uklękawszy ustawił lampę na skraju otworu i gotował się do wślizgnięcia w głąb. - Lecz ty, Lauratasie, żyłbyś nadal spokojnie w świątyni Sebeka i nikt nie ścigałby cię jak dzikie zwierzę ani nie tkwiłbyś w tym grobie odcięty ścianą skalną od świata.

- Spraw takich nie należy rozważać... - Lauratas niechętnie potrząsnął głową. - Nie człowiek rządzi swym losem, lecz zawsze dzieje się tak, jak zechcą bogowie. Być może zesłali cię do tej ziemi, abyś mnie z niej wywiódł. bym mógł przed śmiercią ujrzeć krainę ojców. Sam nie znalazłbym śmiałości w moim sercu i nie uciekłbym nigdy. A cóż znaczy kilka lub choćby i kilkadziesiąt lat jeszcze w niewoli? Umarłbym w obcej ziemi i ciało moje rzucono by do dołu, który wykopałby inny niewolnik. Nie znamy czasu przyszłego. Mogło się zdawać, gdy zabiłeś owego krokodyla, że schwytają nas przed zapadnięciem zmroku. Sam byłem o tym przeświadczony. A oto minęło już wiele dni i nocy, a żyjemy. I choć jesteśmy uwięzieni w tym grobowcu, nie mamy tu jednak żadnego pana. Od wielu lat nie byłem tak wolny, jak tu jestem. Podaj mi nóż.

Wsunął głowę w otwór, a po chwili zniknęły w nim jego ramiona. Z wolna wsuwał się coraz głębiej. Trzymając lampę tuż nad ziemią, Białowłose starał się przyświecać mu niemal po omacku. Usłyszał postukiwanie kamienia o rękojeść noża, a później przytłumiony głos:

- Echo w skale jest odmienne...

Chwila ciszy. Kilka uderzeń. Cisza.

Białowłosy czekał powstrzymując oddech i starając się trzymać lampę jak najbliżej otworu. Płomień jej chwiał się lekko. Na szczęście musiały istnieć niewidzialne szczeliny i nierówności pomiędzy zboczem wzgórza a skała zagrządzającą wejście. Ponownie kilka lekkich uderzeń, Cisza.

- Cóż tam, Lauratasie? - Nie wiedział czemu, lecz wyszeptał te słowa.

Kreteńczyk nic nie odrzekł.

Po chwili w otworze ukazały się jego nagie stopy, później nogi i wreszcie wyczołgał się i siadł na brzegu zagłębienia. Widząc, że chłopiec otwiera usta, uniósł ku wargom dłoń, w której trzymał nóż. Później bez słowa skinął głową. Białowłosy postawił lampę i wskazał otwór. Lauratas przytaknął po raz drugi. Wstał i pochylając się do ucha chłopca powiedział cicho:

- Już... Zobaczyłem gwiazdy... jednym okiem, bo otwór nadal jest jeszcze maleńki.

Odetchnął głęboko i otarł z czoła pot, który wystąpił na nim gęstymi kroplami, choć Kreteńczyk pracował tylko kilka chwil. Przymknął oczy.

- Sam zobacz, jeśli chcesz...

Chłopiec bez słowa wczołgał się do otworu. Początkowo nie dostrzegł niczego, ciemność była tu tak samo gęsta jak w głębi grobowca. Dotykając gorączkowo palcami skały, szukał w niej szczeliny. Znalazł i przywarł do niej twarzą, czując zimne dotknięcie kamienia.

- Widzę... - powiedział wreszcie. - Widzę przeciwległy szczyt wzgórza, a nad nim gwiazdy... jedna... druga... trzecia... Lauratasie! To prawda! Widzę je wszystkie! Podaj mi nóż!

Cofnął się i nie odwracając głowy, wyciągnął dłoń za siebie.

- Zaczekaj! - powiedział Kreteńczyk. - Powróć tu, do mnie!

Niechętnie, czując serce gwałtownie bijące w piersi, Białowłosy cofnął się i wyszedł z otworu.

- Czemu mnie powstrzymujesz? Musimy przecież przebić się na zewnątrz! Jest noc, winniśmy wydostać się stąd, nim nastanie dzień!

- Zapewne, lecz najpierw przygotujemy to, co mamy zabrać ze sobą. Zbierzmy broń i żywność, które chcemy mieć, i przyniesiemy tu, abyśmy nie musieli powracać po nie, gdy otwór będzie już dostatecznie wielki.

Cofnęli się do przedsionka grobowego i zapalili wszystkie lampy, mrużąc oczy nie przywykłe do tak wielkiego blasku.

Białowłosy zbliżył się ku stosowi broni.

- Czy weźmiemy oszczepy?

- Zawadzałyby nam jedynie, gdy nie mamy koni i sami musimy nieść wszystko, co niezbędne do życia. Sądzę, że łuki bardziej, nam mogą być przydatne dla upolowania zwierzyny i odparcia wroga, jeśli go napotkamy.

Noży nie pozostało wiele. Białowłosy wybrał jeden z nich, długi o wykładanej złotem i drogimi kamieniami rękojeści. Mimowolnie dotknął piersi. Jego własny nóż, jedyny przedmiot, który łączył go z domem rodzinnym, nadal spoczywał w pochwie z koziej skóry, zawieszony na szyi.

Wsunął ów drugi nóż do kołczanu pełnego strzał, wybrał krótki łuk z ciemnego drzewa, także wykładanego srebrem tworzącym dziwaczny napis, i rozejrzał się niezdecydowanie.

- Zostało nam jeszcze kilka cebul, Lauratasie, i nieco ziarna w misach. Czy pragniesz je zabrać z sobą?

- Weźmiemy cebule, gdyż nie wiadomo, kiedy uda nam się znaleźć coś, co będzie zdatne jako jadło. Jeśli bogowie pozwolą nam opuścić Dolinę Zmarłych, chcę minąć najspieszniej pasmo wzgórz

i dotrzeć do morza trzciny i zarośli nad rzeką. Gdy dotrzemy tam, trzeba wśród zarośli nadbrzeżnych wyszukać opuszczoną małą łódź i nocami płynąć ku morzu, a za dnia kryć się w najbardziej ustronnych miejscach, wśród bagien, gdzie żyje ptak i krokodyl. Brzegi wielkiej rzeki są zamieszkałe aż ku morzu gęsto i nie masz tam prawie miejsca, gdzie by nie było ludzkich siedzib. Każdy z napotkanych wieśniaków doniósłby o naszym pojawieniu się. Lecz rzeka, im bliżej ujścia, tym szersza i bardziej rozlewna, a dzieli się też na wiele odnóg sunących ku morzu. Jeśli uda nam się w mrokach nocy wyminąć wielkie miasta, wierzę, że z pomocą bogów możemy osiągnąć brzeg morski.

- A wówczas?

- A wówczas będziemy wiedzieli, że od naszych krain rodzinnych dzieli nas jedynie morze. Tyś przyszedł nad nim na świat i, jak mówisz, lud twój czerpie z niego życie jak inne ludy z roli lub rzemiosła. Ja także jestem synem wyspy, której okręty władają morzami, i nie lękam się fal błękitnych ani gniewu Posejdon. Zresztą powtarzam od chwili, gdy zabiłeś owego potwora: lepsza każda śmierć niż ta, którą zgotować nam pragnęli kapłani Sebeka... - Urwał i położył chłopcu rękę na ramieniu. - Pamiętaj, abyśmy nie dali się żywcem pojmać, gdyż to byłoby najgorsze.

Białowłosa skinął w milczeniu głową, pochylił się, rozdarł jedną z białych szat ofiarnych i uczyniłszy z jej strzępu węzełek, wsypał do niego pozostałe cebule.

- Jestem gotów, Lauratasie.

Kreteńczyk, także uzbrojony w łuk i długi nóż, wziął z podłogi ostatni dzban wypełniony do połowy wodą, ale po chwili wahania odstawił go i zbliżył się do ołtarza, gdzie leżały spiętrzone bezładnie przedmioty złożone dla Nerau-Ta. Pochylił się i zaczął przerzucać je szybko. Wreszcie znalazł to, czego szukał.

- Tu masz dwa złote łańcuchy bardzo pięknej roboty. Zawieś je na szyi lub wrzuć do węzełka. A oto pierścień z ich świętym żukiem wyciętym w błękitnym szlachetnym kamieniu. Cenią oni te pierścienie bardzo wysoko i można za jeden z nich kupić kilku młodych zdrowych niewolników.

- Na cóż nam to? Nie będziemy kupowali niewolników, Lauratasie.

- Weź! Niechaj każdy z nas ma te świecidła przy sobie. Złoto wszędzie toruje drogę, może dopomóc w ciężkiej chwili i jest bardziej wymowne niż najwyszukańsze słowa i najbardziej pełne rozpaczliwych błagań. A nie wiemy, co czeka nas na długiej drodze, którą niebawem rozpoczniemy.

Białowłosa niechętnie rozwiązał węzełek, wsunął do niego naszyjnik i włożył na palec pierścień.

- Uczyniłem, jak powiedziało ci twoje doświadczenie, Lauratasie, lecz chodźmy już, gdyż nie wiemy, jaka była pora nocy, gdy przebiłeś skałę, a pojmujesz, że niedorzecznym byłoby rozpoczynać ucieczkę za dnia. Nie ma tu drzew ani krzewów i każdy, kto znajdzie się przypadkiem w dolinie, dostrzeże nas z oddali, choćby nie chciał tego.

Ruszyli ku otworowi, a gdy zatrzymali się przed nim, Lauratas położył palec na ustach.

- Jest noc, a odgłos naszych uderzeń w skałę będzie rozlegał się szeroko... - Pokręcił głową. - Nie mamy na to rady... Owinę kamień i rękojeść noża w szmaty... Może to nieco złagodzi dźwięk uderzeń. Posłuchaj...

Wśliznął się do otworu i po chwili dobiegło stamtąd przytłumione stukanie.

Pracował szybko, niemal bez wytchnienia. W pewnej chwili cofnął się i zaczął wyrzucać do korytarza małe odłamki skały, a później sięgnął głębiej i z tryumfem ukazał duży świeżo odłamany odprysk głazu.

- Zapewne skała skruszyła się nieco przy uderzeniu i ten odpadł sam. Boję się, aby któryś nie

upadł na zewnątrz, gdyż może stoczyć się w dół po zboczu, a wówczas echo rozległoby się w całej dolinie... - Był zmęczony i oddychał ciężko, lecz wargi jego uśmiechały się. - Księżyc nie świeci i choć gwiazd pełno, noc jest ciemna, A otwór niemal tak szeroki jak trzeba. Wysunąłem obie ręce i dotknąłem świata żywych!

- Puść mnie tam, Lauratasie... Siedzę tu beczynnienie...

- Nie! - Kreteńczyk zdecydowanie potrząsnął przecząco głową. - Jesteś młody i niecierpliwy. Mógłbyś nierozważnym ruchem ściągnąć tu wrogów naszych. A każdy z poddanych świątyni jest naszym wrogiem! Czekaj cierpliwie!

Ponownie wsunął się do otworu, Białowłosa sięgnął po dzban i wypił kilka łyków wody. Była tak stęchła, że wstrząsnął nim dreszcz obrzydzenia. Siedział wsłuchany w cichy stuk i skrobanie noża w głębi otworu.

Wreszcie Lauratas cofnął się ponownie.

- Wysunąłem już głowę! - powiedział półgłosem. - Lecz nie mogę jeszcze precyzyjnie przycisnąć ramion. Ty zapewne zdołasz już to uczynić. Wyczołgaj się na zewnątrz. Podam ci wszystkie przedmioty. Złóż je cicho pod skałą. Później połóż się i czekaj nad słuchując. Czasem straż pustyni przejeżdża tędy nocą poszukując złodziei grobów. Gdyby byli w pobliżu i usłyszeli nas, lepiej uczynilibyśmy nigdy nie drażąc tego wyjścia.

- Pojmuję cię, Lauratasie.

Wsunął się do otworu. Dziura w skale nie była szeroka, lecz precyzyjnie się przez nią z wysiłkiem, ocierając ramiona do krwi o ostre, poszarpane krawędzie.

Przez chwilę leżał nieruchomo, oddychając głęboko świeżym, czystym powietrzem nocy, wpatrzony w rozgwieżdżone niebo nad głową. Uczuł ścisnienie w gardle i z trudem pohamował łzy. Z otworu dobiegł go przytłumiony szept Lauratasa:

- Bierz!

Wysunęła się naga ręka trzymająca zawiniątko. Białowłosa przeniósł broń i żywność pod skałę o kilka kroków od otworu. Jeden z łuków zarzucił na ramię i przewiesił przez pierś kołczan ze strzałami. Później zbliżył się do otworu.

Teraz dostrzegł, jak ogromny odłam skalny niewolnicy opuścili dla zatarasowania wejścia. Od uderzenia skała była pęknięta w kilku miejscach. Tuż nad miejscem, gdzie Lauratas przebił otwór, widniała wąska głęboka szczelina. „Gdybyśmy wiedzieli o tym - pomyślał odruchowo - byłibyśmy wcześniej odzyskali wolność.”

Odszedł od skały i usiadł nad słuchując. W dolinie i pośród okalających ją nagich kamiennych wzgórz była zupełna cisza. Nie wiał najmniejszy nawet wietrzyk.

- Czy słyszysz coś? - dobiegł go szept Lauratasa.

- Nie... - Białowłosa zbliżył się do otworu. - Noc jest ciemna i dzień nie budzi się jeszcze na wschodzie. Zapewne noc zapadła właśnie, gdy przebiłeś skałę.

- Tym lepiej... - nadbiegła cicha odpowiedź. Lauratas poruszył się. Najwyraźniej próbował, ile musi jeszcze odbić odłamków skalnych.

- Spróbuję uderzyć tu... - Palec jego wysuniętej z otworu dłoni wskazał wybrzuszenie w górnej krawędzi dziury. - Jest tu szczelina i zapewne skała łatwiej się ukruszy.

Chłopiec cofnął się, chcąc ujrzeć, jak wysoko sięga pęknięcie w skale. W tej samej chwili Kreteńczyk uderzył silnie w wybrzuszenie.

Chłopcowi wydawało się, że ściana sieknęła. Chciał krzyknąć, podbiec, lecz stał jak skamieniały.

Dostrzegł tylko, że Lauratas wysunął rękę z otworu, jak gdyby pragnąc rozpaczliwie wydostać się na zewnątrz.

W tej samej chwili ogromny odłupany blok skalny osunął się nieznacznie i zatrzymał niemal bez dźwięku. Mała chmurka białego pyłu uniosła się w mroku.

Przez mgnienie oka Białowłosa nie mógł pojąć, co się stało. Później drżąc zbliżył się ku ścianie. Otwór zniknął.

Wielki obluzowany kawał skały osiadł w nim i zbocze wyglądało niemal tak jak w chwili, gdy opuścił grobowiec.

Lecz chłopiec nie spoglądał na skałę. Szeroko otwartymi, pełnymi przerażenia oczyma wpatrywał się w to, co widniało u jej podnóża w bladym blasku gwiazd.

Spod krawędzi ogromnego głazu wystawały palce ludzkie.

- Lauratasie... - powiedział cicho - Lauratasie...

Zbliżył się jeszcze o krok. Patrzył. Przez głowę przebiegały rozpaczliwe myśli, chciał rzucić się na ratunek, uczynić coś.

Lecz wiedział, że niczego już nie da się uczynić. Lauratas nie ujrzy już nigdy rodzinnych brzegów.

Leżał przywalony ogromnym blokiem skalnym i zginął, zapewne nie wiedząc nawet, że ginie, przygnieciony jak mrówka pod stopą człowieka. Tak blisko chwili, gdy miał opuścić grobowiec, który na wieki oto stał się i jego grobem.

Chłopiec pochylił się, wziął w obie dłonie garść kamyków i płacząc złożył je ostrożnie na palcach umarłego. Później usypał wokół nich mały kopczyk i obłożył go kilkoma większymi kamieniami, aby nie tknęła ich przechodząca hiena lub ptak żywiący się padliną.

Wyprostował się i otarł łzy. Był sam pośród nocy w Dolinie Umarłych.

- Muszę odejść, Lauratasie... - wyszeptał.

Stał przed skalną ścianą, która kryła ciało człowieka, będącego mu przez tyle dni jedynym przyjacielem. Wyprostował się i przyłożył zwiniętą dłoń do czoła na znak czci.

- Muszę odejść, lecz jeśli kiedykolwiek odnajdę twe brzegi rodzinne, zapalę stos ofiarny, aby dusza twoja zaznała spokoju w krainie cieni.

Otarł łzy nagim przedramieniem i ruszył ku zawiniątkom leżącym nad urwiskiem. Zagryzając wargi, przełożył strzały Lauratasa do swego kołczanu, pozostawił pod skałą jego łuk i przełożył cebulę z jego węzełka do swojego, odrzucając złote kolczyki i szpile, które Kreteńczyk wybrał dla siebie.

Raz jeszcze rzucił okiem na skałę i odetchnął głęboko. Później powiódł wzrokiem po grzbietach wzgórz. Świt jeszcze się nie rodził. Nadal była noc.

Chciał ruszyć, gdy nagle zatrzymał się i powoli miękko przywarł do skały. Ostrożnie złożył na ziemi węzełek i zdjął łuk z ramienia, wyjmując strzałę i napinając cięciwę. W dolinie zagrzechotał trącony kamień.

Znowu. Mrużąc oczy, starał się dostrzec, co poruszało się pośród mrocznych wzgórz.

Czekał. W dolinie ponownie zapadła cisza. Po chwili następny kamień potoczył się w dół... bliżej.

Wreszcie dostrzegł w świetle gwiazd samotnego jeźdźca na koniu.

Zbliżał się krętą, kamienistą drogą, pnąc się pod górę. Zapewne jeden ze strażników pustynnych, przemierzający Dolinę Zmarłych, by odstraszyć złodziei. Jeśli tak było, inni także musieli być w pobliżu. Nie zapuszczałby się przecież samotnie pomiędzy wzgórz tak daleko od miasta i ostatnich

siedzib ludzkich.

Jeździec zbliżał się z wolna, lecz nieustannie. Najwyraźniej nie krył swej obecności, wierząc, że jest tu zupełnie sam. A może przez całą noc już przebywał na odludziu i powracał teraz do swoich.

Droga jego wiodła obok skały, gdzie był grobowiec Nerau-Ta.

Białowłosy rozejrzył się szybko. Nad nim piętrzyła się stroma ściana skalna, w dół bieгло odkryte, kamieniste zbocze, na którym byłby widoczny jak na dłoni, nawet przy świetle gwiazd. Nie było odwrotu. Jeśli musieli się spotkać, jeden z nich nie wyjdzie żywy z tego spotkania.

„Koń!” - przeszło mu nagle przez myśl. Odróżniał już uchem poszczególne powolne uderzenia kopyt o skałę. Jeździec przestał się wspinać, gdy kręta ścieżka osiągnęła wysokość grobowca Nerau-Ta. Był już blisko.

Białowłosy, wtulony ramieniem w skałę, starając się ukryć w mroku, uniósł łuk i czekał.

Widział już wyraźnie sylwetkę jeźdźca na tle nieba. W jednej ręce trzymał on krótką włócznię, drugą zapewne ścisnął wodze konia.

„Jeszcze chwilę da mu odetchnąć po długim wspinaniu się, a później przynagli go do biegu” - pomyślał.

Był już bardzo blisko. Nagle koń parsknął i podrzucił głowę. Najwyraźniej wyczuł obcą istotę wśród skał.

Jeździec zatrzymał się. Było zupełnie cicho. Białowłosy dostrzegł, że ostrze włóczni zniknęło. Musiał opuścić ją, gotów do odparcia napaści, gdyby ktoś chciał rzucić się na niego.

Nie wiedział, kiedy palce puściły cięciwę. Usłyszał krótki świst i skoczył ku przodowi.

Koń stanął dęba. Ciało jeźdźca stoczyło się na ziemię.

Spadające kamienie zagrzechotały po pochyłości.

Białowłosy pochwycił wodze i uwiesił się ich zmuszając zwierzę do opuszczenia głowy. Przez chwilę koń cofał się rozpaczliwie, później stanął prychając ciężko.

Trzymając za miedziane wędzidło, chłopiec cofnął się ku porzuconemu tobołkowi, chwycił go lewą ręką i wskoczył na grzbiet konia.

Zatańczyli nad urwiskiem. Trzymał z całej siły wodze, nadal zmuszając zwierzę do pochylenia głowy. Później puścił nagle i pochylił się nisko nad jego grzbietem.

Koń ruszył galopem po wąskiej ścieżce nad urwiskiem, kierując się ku łagodnej przełęczy pomiędzy szczytami wzgórz.

Białowłosemu mignęło jeszcze przez myśl, że jest w tym samym miejscu, gdzie zaskoczył ich wielki wiatr.

Tędy zbiegał na pół oślepiiony i zapewne znalazłby śmierć w dolinie, gdyby nie pomocna dłoń Lauratasa, która wciągnęła go do grobowca Nerau-Ta.

Wzdrygnął się na myśl o owej dłoni, martwej, wyglądającej spod skały. Znaleźli się na przełęczy. Koń zatrzymał się robiąc bokami.

Na wschodzie niebo zaczęło szarzeć. Chłopiec rozglądał się przez chwilę, starając się powtórzyć raz jeszcze słowa zmarłego przyjaciela: „Minać pasmo wzgórz, by dotrzeć do morza trzciny i zarośli nad rzeką... wyszukać opuszczoną małą łódź i nocami płynąć ku morzu...”

- Uczynię tak, Lauratasie!

Uderzył otwartą dłonią po końskim boku, kierując się w prawo, gdzie niewidzialna w mroku i oddaleniu wielka rzeka toczyła swe mętne, muliste fale ku odległemu morzu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jeśli nie odnajdziesz go, oddam cię mrówkom.

Leżąc pod lekkim, purpurowym baldachimem lektyki Het-Ka-Sebek Strzegący Spokoju Żywego Wizerunku, boga Sebeka spoglądał na ludzi zakładających liny na wierzchołku odłamu skalnego kryjącego grobowiec Nerau-Ta, pisarza świątyni jego świątobliwości.

Pracowali szybko, właśnie minęło południe i słońce nad doliną rozgrzewało kamienie tak, że z trudem można było stąpać po nich nagą stopą.

Jeszcze raz Het-Ka-Sebek spojrział na trzymaną w ręce pikę, której jasny grot z pozłacanego brązu splamiony był zeschlą krwią ludzką. Ciało zabitego strażnika leżało pod skałą z dala od oczu kapłana.

„Nerau-Ta” - odczytał po raz setny i po raz setny kiwnął głową z niedowierzaniem. Zarówno małżonka, dzieci i wszyscy krewni zmarłego, którzy wzięli udział w obrzędzie pogrzebowym, twierdzili z uporem, że strzałę tę złożono z innymi w grobowcu. Złożono tam także łuk ofiarny z imieniem Nerau-Ta. Łuk ów i rozrzuconą biżuterię odnaleźli strażnicy także tu, nieopodal.

Być może nadjeżdżający spłoszył ich, upuścili część łupów, a później nie mogli ich odnaleźć w ciemności lub poniechali poszukiwań, obawiając się, że nadjadą towarzysze zabitego wraz z psami?

Uniósł firankę z prawej strony lektyki. W głębi doliny stało zbite stadko koni pod strażą dwóch ciemnoskórych, półnagich jeźdźców. Inni pieszo w towarzystwie psów obchodzili zbocze, poszukując śladów. Po białym nakryciu głowy rozpoznał pomiędzy nimi Haughę, wodza straży pustynnej.

Zwrócił wzrok ku skale kryjącej grobowiec. Potrząsnął głową. Nie wiedział, czemu przybył tu w porze największego upału, w czasie gdy jedynie ludzie, których konieczność do tego zmusza, opuszczali cieniste domy.

Na dnie duszy tkwiła myśl o nie pomszczonym bogu. Rozum mówił mu, że zbiegowie zginęli. Od owej chwili minęło niemal dwadzieścia dni i nikt nie mógłby, nie posiadając współników, przeżyć tak długiego czasu pośród nagich wzgórz wokół miasta. A Het-Ka-Sebek nie wierzył, aby ktokolwiek chciał pomóc świętokradcom.

Skinął na człowieka trzymającego wachlarz i wyszedł z lektyki, opierając nogę jak na stopniu na plecach czarnego niewolnika, który padł na twarz widząc jego zamiar. Kapłan z wolna przybliżył się ku skale i stanął wsparty na złotej lasce.

Rozległ się okrzyk kierującego pracą kapłana i ludzie pociągnęli raz, później drugi. Było ich wielu, ponad stu. Het-Ka-Sebek patrzył na ich napięte z wysiłku grzbiety i czekał. Odłam skalny drgnął i odchylił się lekko od zbocza, aby powrócić na poprzednie miejsce z łoskotem. Ziemia zadrżała. Nowy okrzyk, ludzie pociągnęli równocześnie i zwolnili napiętą linę.

Przez chwilę skała trwała nieruchomo, jak gdyby nie wiedząc, w którą stronę przeważać. Wreszcie odchyliła się od zbocza i wolno padła w dół. Rozległ się głuchy grzmot i wielkie odłamy runęły w głąb doliny. Całą przestrzeń przesłonił czerwony pył.

Het-Ka-Sebek czekał, stojąc nieruchomo, nie odwracając głowy i nie drgnąwszy nawet, gdy skała rozprysnęła się, choć wszyscy wokół niego postąpili odruchowo krok ku tyłowi.

Z wolna pył opadł.

Spokojnym, równym krokiem wysoki kapłan zbliżył się ku wejściu do grobu. Zatrzymał się i patrzył przez chwilę. Później skinął ręką na ludzi, którzy nie śmieli się przybliżyć, póki ich nie zawoła.

- Cóż to jest? - powiedział wskazując przed siebie. - Zwłoki człowieka?

- Tak, o najczciodszy. Choć zapewne przygniotła go skała, a teraz padając poszarpała to, co pozostało, więc niełatwo byłoby go rozpoznać.

Het-Ka-Sebek przygryzł wargi. Widok był straszliwy. Mimo to zbliżył się do otworu grobowego i stanąwszy nad umarłym spojrzał w głąb ciemnego korytarza. Stał tak przez chwilę, rozważając coś w myśli. Później skinął na kapłanów, którzy brali udział w złożeniu zwłok Nerau-Ta do grobowca.

- Który z was, bracia moi, - brał udział w zamknięciu grobu?

- Ja, Het-Ka-Sebeku, Który Strzeżesz Spokoju Wizerunku Duszy Boga! - rzekł kapłan Sem, wysuwając się ku przodowi i pochylając nisko głowę.

- Czy pozostawiłeś kogoś z niewolników umarłego u wejścia? Czy zginął któryś z nich przypadkiem, przywalony skałą?

- Nie. Wszyscy powrócili.

Oczy kapłana powędrowały ku leżącym pod ich stopami straszliwie okaleczonym zwłokom.

- A czy pilnowałeś, aby przegrodzono i zasypano głazami korytarz prowadzący do grobu?

- Tak, najczciodszy.

Nie pytając więcej, Het-Ka-Sebek wszedł w głąb korytarza grobowego, dawszy znak kapłanowi, aby poszedł za nim. Minęli odrzucone rumowisko głazów i stanęli przed rozwaloną ścianą przegrody.

- Światła! - rzekł Het-Ka-Sebek. - Niechaj ludzie uczynią mi drogę!

Gdy przyniesiono pochodnie, a niewolnicy oczyścili wąskie przejście, ruszył dalej. Licznie zgromadzeni kapłani czekali przed wejściem, patrząc w milczeniu w ciemny otwór grobu i na resztki ludzkie leżące u wejścia.

Minęła długa chwila, nim Het-Ka-Sebek wyszedł. Za nim wynurzył się kapłan Sem. Oblicze jego zdradzało wielkie wzburzenie.

- Kto z was pamięta, jakiej barwy włosy miał niewolnik z Ludu Morza, który uciekł wraz z chłopcem świętokradcą?

Kilku ludzi wysunęło się ku przodowi.

- Więc patrzcie i starajcie się wyteżyc waszą pamięć! - Wskazał leżące u wejścia ciało.

- Są one takie same jak te, które miał człowiek zwany Lauratasem! - rzekł jeden, a w chwilę później drugi z patrzących potwierdził jego słowa.

- Tak i ja przypuszczałem, gdyż widywałem go często, gdy towarzyszył mi w podróży ku morzu po owego chłopca. Lecz świadectwo jednej pary oczu to zbyt mało w tak przedziwnej sprawie... Przywołajcie wodza straży pustynnej.

A gdy smagły człowiek o ostrych rysach wspiał się biegiem po zboczu i zerwawszy z głowy białą chustę padł na kolana uderzając głową o ziemię przed złocistymi sandałami kapłana, Het-Ka-Sebek,

nadal nie podnosząc głowy, rzekł:

- Ręczyłeś mi, Haugho, że owi dwaj zbiegowie zginęli pochłonięci przez wielki wiatr. Rzekłeś wówczas, że twoje psy i twoi ludzie przebiegli całą pustynię i okolice wokół miasta. Zaręczałeś mi głową twą, że nie uciekli i nigdzie nie mogli się skryć, więc musiały pochłonąć ich piaski. A oto ludzie owi nie tylko że zadrwili z ciebie, lecz zamieszkiwali przez wiele dni tuż pod bokiem świątyni, którą znieważyli tak straszliwie. A kiedy już wydało im się, że mogą opuścić grób, w którym znaleźli schronienie, wyszli i zabili jednego z twoich wojowników. Nie znalazłem nigdzie ciała tego białowłosego chłopca. On więc zapewne jest zabójcą. Nie znaleźliście także konia owego zabitego strażnika. Tak więc uwierzyć muszę, że świątokradca uciekł na jednym z twoich koni! Ów drugi także by uciekł, gdyby nie spotkała go kara bogów, gdyż najwyraźniej zginął przywalony skałą, opuszczając grób. Lecz w śmierci jego nie ma twej zasługi. Cóż mi odpowiesz ty, który zwiodłeś mnie i pozwoliłeś, by zabójca Żywego Wizerunku Boga uciekł na jednym z twoich koni?

Dowódca straży pochylił głowę i milczał.

- Mów! - powiedział Het-Ka-Sebek nie podnosząc głosu. - Mów, nim postanowię, jaką śmiercią masz umrzeć.

- Panie mój, cóż mam ci odrzec? Jedno tylko, że nie chciałem cię zwodzić, lecz wierzyłem mym słowom i mym oczom. Umrę, jak postanowisz.

Het-Ka-Sebek milczał przez chwilę. Przymknął oczy. Kiedy otworzył je, ciemnoskóry człowiek nadal klęczał nieruchomo u jego stóp, z głową w pyle i dłońmi wysuniętymi ku przodowi, jak gdyby oczekując ciosu.

- Mamy rozległe mrowiska pośród gajów nad jeziorem, jak wiesz - rzekł cicho kapłan. - Niektóre z nich znajdują się pod wielkimi sykomorami. Są one niby miasta wiekuiście spragnione pożywienia. Gdyby przywiązano cię wysoko nad mrowiskiem, pośród gałęzi drzewa, a przedtem nacięto ci skórę, tak by zapach krwi zwabił owe małe pracowite stworzenia, zaczęłyby one piąć się w górę długimi szeregami... Każda powracałaby do swego miasta niosąc maleńką cząstkę twego ciała... Może to trwać dzień... lub nieco dłużej... Zwykle poczynają one spożywać ciało wiszące od dołu... Bywa, że człowiek, którego nogi są już jedynie kośćmi obgryzionymi do białości, żyje jeszcze i czuje... Czy widziałeś kiedyś takiego człowieka?

Klęczący nie odpowiedział i nie poruszył się.

- Lecz ja - dodał spokojnie Het-Ka-Sebek nie zmieniając głosu - jestem cierpliwy... nazbyt cierpliwy i łagodny. Chłopiec ów uciekł. Wiemy już, że żyje, gdyż tylko żywi zabijają żywych i znikają wraz z końmi. Chłopiec ów musi gdzieś się znajdować... Lecz już jest daleko... Tym razem uszedł nam dalej niż wówczas, gdy zgubiłeś jego ślad... Otóż słuchaj mnie ty, który jesteś dotąd wodzem straży pustynnej: jeśli odnajdziesz go i przywiedziesz żywego do mnie, zapomnę o tym, co się wydarzyło, i imię twe pozostanie między żywymi. Lecz jeśli nie odnajdziesz go, oddam cię mrówkom, aby nauczyły cię twego rzemiosła. A choć ty wraz z wszystkimi twymi wojownikami i psami nie umiałeś odnaleźć bezbronnego wyrostka, odnajdą cię one, choćbyś został przywiązany pośród najwyższych gałęzi drzewa. Zbierz więc wszystkich twych ludzi i pamiętaj, że jest to jedyne wasze zadanie, a inne porzucie do chwili, gdy ów Białowłosy chłopiec wpadnie wam w ręce.

- Panie mój - wyszeptał dowódca straży i przywarł wargami do złotego sandała, lecz Het-Ka-Sebek odrzucił jego głowę lekkim kopnięciem.

- Odejdź! Nie chcę słyszeć twego głosu.

Zawrócił i wszedł do lektyki.

Tego wieczora w świątyni boga Sebeka wielu młodych kapłanów zajętych było wypisywaniem na krótkich zwojach jednej tylko wieści. Zwoje owe bez zwłoki porywali posłańcy, a szybkie łodzie niosły ich ku rozsiągnięciu nad wielką rzeką niezliczonym miastom.

W miejscu, gdzie owa wielka rzeka zwęża swój rozległy nurt wpadając pomiędzy wysokie nagie skały wąwozu przecinającego pasmo niskich wzgórz, leży miasto Sem-Her. Powstało ono przed wiekami jako wioska rybacka gdyż wokół nie ma żyznych gruntów namulanych przez doroczne wylewy. Później rozrosło się będąc miejscem przeładunku towarów płynących z Górnego Kraju w do ku delcie. Z jednej strony otacza je nieskończone morze piasków ciągnące się ku zachodowi, z drugiej - kamieniste nagie wzgórze biegną aż ku morzu, nad którym leży daleko na południe kraina Punt. Miasto Sem-Her rozrzucone po obu stronach rzeki, wraz ze swymi świątyniami i pałacem namiestnika jego świątobliwości faraona, jest samotną wysepką zieleni w martwym, prażonym słońcem krajobrazie. Co prawda z dachu świątyni dostrzec można w błękitnej mgiełce oddalenia pasma odległej zieleni nad rzeką, lecz tu świat jest martwy i wrogi człowiekowi. Nad rzeką nie rosną trzciny i rzadko pojawia się krokodyl, który nie jest przyjacielem bystrego nurtu i stromych kamienistych brzegów.

- Bracia, którzy strzegą świątyni boga Sebeka nad wielkim jeziorem, ślą ci pozdrowienia, o najczcigodniejszy, a wraz z nimi ten oto zwój, byś raczył nań zwrócić swe świątobliwe oczy i postanowić, czy zechcesz postąpić tak, jak podpowie ci trwająca od stuleci przyjaźń pomiędzy naszymi świątyniami - powiedział cicho młody kapłan.

Stał przed siedzącym w złocistym krześle starym człowiekiem, którego jedynym strojem była złocista opaska na biodrach i równie złociste sandały oparte na podnóżku uczynionym na podobieństwo tłustego klęczącego hipopotama o szerokim wypukłym grzbiecie.

- Odczytaj - rzekł niemal niedosłyszalnie stary człowiek.

- Tak, o najczcigodniejszy!

Młody kapłan rozwinął zwój i zaczął czytać przesuwając go w palcach:

- „Słudzy świątyni boga Sebeka najwyższemu kapłanowi świątyni Ptaha, boga i ojca możnych bogów, ślą pozdrowienia... - Skłonił nisko głowę, urwał dla okazania należytą czi i podjął po krótkim milczeniu: - Doszła cię już z ust naszych wieść o strasliwym świętokradztwie, popełnionym w świętym mieście Sekhem. Sądziłyśmy w niewiedzy naszej, że bogowie sami ukarali winnych grzebiąc ich w piaskach podczas wielkiego wiatru. Lecz stwierdzono, że jeden z nich ocalał i być może zmierza ku północy, pragnąc uniknąć kary. Nie będzie on miał innej drogi i zechce zapewne przemknąć nocą na łodzi nie przybijając do brzegu w mieście Sem-Her. Lecz ty, o najwyższy sługo wielkiego boga, jeśli zechcesz, wydasz rozkaz, a wzdłuż rzeki pojawią się liczne bystre oczy uzbrojonych sług twoich i wypatrzą go, gdyż nie znajdzie on ukrycia na wielkiej przestrzeni, jako że nie ma w pobliżu miasta twego gajów, zarośli i lasów trzciny porastających brzegi rzeki. Prosimy cię w imię przyjaźni i czi, jaką otaczamy ciebie i boga, któremu służysz wraz z braćmi kapłanami wysokiej twej świątyni, abyś pojmanego złoczyńcę zechciał odstawić pod najsilniejszą strażą żywego do domu boga Sebeka nad Wielkim Jeziorem...”

Młody kapłan zwinął papirus i skłonił się głęboko.

- Najczcigodniejszy Het-Ka-Sebek rozkazał mi, bym dodał, że wdzięczność nasza dla sług wielkiego boga Ptaha znajdzie wyraz w czasie nadchodzącego święta, gdy on sam wraz z innymi braćmi przybędzie tu, aby podziękować ci, o najczcigodniejszy, za przysługę, jaką będzie schwytanie owego nikkzemnika. Prosi też, aby dodać, że jest to młody chłopiec o białych włosach i skórze tak

jasnej, jakiej nie widziano jeszcze nad Wielkim Jeziorem.

Stary człowiek milczał przez chwilę. Wreszcie skinął głową, wyciągnął rękę, ujął małą srebrną pałeczkę i uderzył nią w brązowy gong, który uniósł ze stolika stojącego obok krzesła.

Weszło dwóch kapłanów, którzy zatrzymali się przy drzwiach z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

- Słusznym jest, abyśmy podwoili strażę nad rzeką i na pustyni. Jeśli będzie próbował okrążyć miasto samotny wędrowiec lub jeśli zapragnie prześliznąć się rzeką, nie należy zabić go, lecz schwytać żywego. Skóra jego jest biała, a włosy jasne. Jest to sprawa wielkiej wagi, a proszą nas o to bracia znad Wielkiego Jeziora.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

I ogarnęła go ciemność.

W południe, gdy słońce stało nad rzeką, prażąc tak, że świat ucichł i zamarł, tuż obok łodzi ukrytej w gęstym morzu wysokich trzcin usiadł zielonkawy duży ptak o długim dziobie.

Przez chwilę Białowłosy przyglądał mu się, później sięgnął wolno po łuk. Dzieliła go od ptaka mała woda polana i kilka pojedynczych trzcin pochylonych lekko w kierunku leniwego nurtu wody. Ptak spoglądał na niego przekrzywiwszy głowę. Mógł odlecieć, lecz nie uczynił tego, wierząc zapewne, że znajduje się dość daleko, by ulecieć, jeśli owo stworzenie, które miał przed sobą, uczyni zbyt gwałtowny ruch lub posunie się w jego stronę.

Białowłosy strzelił. Ptak cicho wpadł do wody, zatrzepotał i znieruchomiał. Chłopiec miękko pociągnął wiosłem i nie czyniąc najmniejszego plusku, znalazł się przy nim.

Wyjąwszy strzałę i opłukawszy zakrwawione ostrze w wodzie, oskubał szybko ptaka, rozpruł go nożem i wyrzucił wnętrzności. Później odciął głowę wraz z szyją i zaczął jeść odrywając zębami kawałki ciepłego jeszcze mięsa, które było tak niesmaczne, że nawet straszliwy, skręcający wnętrzności głód nie mógł przysłonić jego mdłego smaku.

Wyrzucił do wody kostki i nadal wiosłując cicho, tak aby wiosło nie sprawiało najmniejszego szelestu, zaczął posuwać się, leżąc niemal na dnie łódki, ku północy wraz z nurtem.

Gdzieś na prawo płynęła mętna rozległa równina wodna, lecz tu było cicho i jedynie wąskie przedzierające się pośród trzcin strumyki wskazywały bieg rzeki. Posuwał się już tak od trzech dni, od chwili gdy w bladym blasku przedświt ujrzał szeroką masę wód, okoloną gajami i wielkimi polami nadbrzeżnej roślinności.

Zeskoczył wówczas z konia, uderzył go mocno w bok i odpędziwszy przestraszone zwierzę, które odbiegło truchtem w pustynię, ruszył w dół ku rzece.

Nadbrzeżne wioski spały jeszcze; bez trudu znalazł małą łódkę, w której ku swej radości odkrył mocne wiosło i kilka skórzanych worków na wodę. Nie wypływając na wolne od trzciny wody, począł posuwać się ku północy krętymi uliczkami wśród szuwarów i zarośli wodnych tak wysokich, że skrywały swobodnie łódź wraz ze stojącym w niej człowiekiem.

Płynął bez wytchnienia przez cały dzień i całą noc, a później znów przez cały dzień, aż wreszcie usnął wprowadziwszy łódź w najgęstsze zarośla. Nie napotkał nikogo, nie dostrzegł żadnej żywej istoty, raz tylko gdy wypłynął na większą, otoczoną trzcinami przestrzeń, ujrzał dwa krokodyle, które oddaliły się szybko i zniknęły nurkując w głębi.

Gdy obudził się, była noc, płynął więc dalej, ciągle ku północy, wierząc, że pokarm sam się pojawi, gdyż zjadł cebule z węzełka i zaczęło brakować mu sił. Lecz choć trzciny pełne były utajonego życia, dopiero teraz upolował pierwszego ptaka. Płynął ostrożnie, coraz wolniej, gdyż

trzciny zdawały się przeredzać i coraz większe jeziora odkrytej wody błyskały przed dziobem łodzi.

W pewnej chwili zatrzymał się przy kępie papirusu, którego podobne do rozwartych ludzkich dłoni łodygi pochylały się tworząc tunele nad nurtem.

Leżąc płasko na dnie łodzi uniósł nieco głowę i wiosłując bezgłośnie dłońmi posuwał się teraz niemal niedostrzegalnie jak kłoda niesiona leniwym nurtem.

Trzciny przeredziły się jeszcze bardziej. Rosły kępami i po raz pierwszy od chwili, gdy wsiadł do łodzi, ujrzał z dala czerwone wzgórza, a później dalekie miasto na wysokim brzegu. Przed nim rzeka zwęzała się gwałtownie, wchodząc pomiędzy strome kamienne ściany. Widział z dala błyski słońca załamujące się na wysokiej szybkiej fali.

Zaczął wiosłować wstecz i wprowadził łódź w środek gęstej i wysokiej kępy trzcin, skąd nie będąc widzianym mógł widzieć rozciągający się przed oczyma widok.

Czekał. Dostrzegł po pewnym czasie niewielki statek uwijający się na rzece. Statek zdawał się nie podążać ani w górę, ani w dół biegu, lecz nadpłynął od strony miasta i krążył od jednego brzegu do drugiego, przesuając żagiel w lewo bądź w prawo i unosząc kolejno w górę wiosła na obu burtach. Zdawało się, że oczekuje tu kogoś.

Białowłosy przeniósł wzrok na wzgórza. Były nagie, pozbawione roślinności i puste. Po chwili zauważył na szczycie jednego z nich dwu ludzi. Stali nieruchomo wsparci na długich włóczniach.

„Znaleźli owego zabitego jeźdźca... - pomyślał po raz nie wiadomo który podczas ostatnich trzech dni. - Znaleźli go i pojęli bez trudu, że być może żyjemy... Nie wiedzą jednak, że nieszczęsny Lauratas pozostał w grobowcu... lecz mogą przypuszczać, że ukrywaliśmy się gdzieś pośród wzgórz otaczających Dolinę Zmarłych, a teraz uciekamy... A możemy uciekać jedynie wzdłuż rzeki... Oczekują tu więc nas zapewne... Zabiłem ich boga...”

Mimowolnie wyjął dłoń zwody. Krokodyl mógł przecież podpłynąć bezgłośnie, pochwycić go za rękę i wciągnąć w mętny, żółtawy nurt. Byłaby to zemsta Sebeka... Nadal patrzył. Statek krążył po rzece, a ludzie na wzgórzach poruszali się tam i na powrót, jak gdyby wyszli na przechadzkę. Nie byli pasterzami, gdyż nie widział przy nich zwierząt. Zresztą jakież zwierzęta mogły paść się na tym spalonym słońcem pustkowiu.

Słońce zniżyło się, lecz upał nie malał. Białowłosy zaczerpnął w obie dłonie wody z rzeki i napił się. Później, ukryty pod cieniem sitowia, patrzył. Wielka ryba wyplusnęła z mętnego nurtu i zapadła w głąb. W górze na bezchmurnym niebie dostrzegł kilka czerwonych ptaków, kołyszących się na szeroko rozpiętych nieruchomych skrzydłach. Wyminęły statek i opadając zniknęły z pola widzenia.

Tam gdzie rzeka zwęzała się i nurt jej przyspieszał wyraźnie, czekał statek. Dalej, w pobliżu miasta, widać było łodzie o ostrych białych żaglach. Zapewne rybacy lub przewoźnicy.

- Czy przemknę się tuż pod brzegiem nocą? - rzekł półgłosem, wpatrując się w statek, który znowu zawrócił i zmierzał ku przeciwległemu brzegowi.

Wiedział, że jeśli nie odpłyną do miasta o zachodzie i pozostaną na rzece, nie uda mu się to. Nie miałby żadnej osłony w ciągu bardzo długiego czasu. Choć noc mogłaby być ciemna, lecz nigdy nie byłaby tak ciemna, aby przy świetle gwiazd bystre oczy czuwających nie dostrzegły łódki. A czy umiałby ją utrzymać tuż przy brzegu, mając tylko jedno wiosło i własne siły do walki z potężnym, przelewającym się, wezbranym nurtem?

„A jeśli cofnę się, porzucę łódź i spróbuję nocą pieszo okrążyć to miasto i owe wzgórza?”

Zaczął zastanawiać się nad tym i wydało mu się, że jest to jedyna droga ucieczki. Wiedział, że

musi podążać nieustannie ku północy. Tam było morze, a daleko za morzem Troja królów. A jeśli Het-Ka-Sebek wiedząc o tym zagroził mu drogę rzeką, rozstawiwszy także strażę na wzgórzach, to czyż jego straszliwi jeźdźcy na szybkich koniach nie przebiegają teraz ze swymi psami pustyni na obu brzegach, aby go pojmać? Oddalił się już od wielkiego jeziora, to prawda. Lecz nie tak daleko, aby władza wielkiej świątyni Sebeka nie mogła tu sięgnąć. Nie znał obyczajów tej krainy, sądził, że ludzie ci łatwo porozumiewali się z sobą i wieść o jego ucieczce zapewne wyprzedziła go bardzo.

Westchnął. Zawróciwszy teraz, musiałby oddalić się od morza, nie było jednak innej rady. Nie opuszczając zbawczego cienia, lekkimi ruchami wiosła obrócił łódź i ponownie zagłębił się w gęstym morzu trzcin.

Gdy zapadła noc, zanurzył w wodzie jeden ze skórzanych worków, a później drugi i czekał cierpliwie, patrząc na wybiegające z nich bąbelki powietrza, połyskujące srebrzyście w bladym blasku cienkiego sierpa księżycowego.

Wyciągnął oba worki, zawiązał ich szyjki rzemieniem i przerzucił sobie przez ramię. Łuk zawiesił na drugim ramieniu i ująwszy w dłoń nóż, wyskoczył na grząski brzeg.

Początkowo siedł wśród wysokich trzcin, stąpając powoli i starając się przebić wzrokiem ciemność. Obawiał się w równym stopniu napotkania dzikiej bestii jak ludzi. Lecz naokół było cicho i nic nie mąciło spokoju wczesnej pogodnej nocy.

Wreszcie trzciny skończyły się. Przed nim było łagodnie wznoszące się wzgórze pozbawione roślinności. Przez długą chwilę stał próbując wypatrzeć, czy na krawędzi dzielącej ziemię i ciemne niebo nic nie porusza się. Wreszcie oderwał się od trzcin i pochylony nisko nad ziemią, kryjąc się za pokrywającymi zbocze głązami, zaczął wspinać się na szczyt wzgórza.

Zbliżając się do niego opadł na czworaki, aby głowa jego nie odcinała się od nieba. Wreszcie wpełznął na szczyt i przywarł do ziemi rozglądając się.

Za nim pośród ciemnego morza trzcin biegła w dole szeroka, srebrzysta, szemrząca rzeka, a przed nim były nie kończące się, oświetlone miękkim księżycowym blaskiem, łagodne wzgórza, uciekające aż po granice widzenia. Tam, na prawo, gdzie niknęła rzeka, musiało być miasto, do którego dopłynął za dnia. Chcąc je wyminąć, musi zatoczyć szerokie koło wzgórzami.

Spojrzał na niebo, by zapamiętać położenie gwiazdozbiorów. Od czasu, gdy zaczął myśleć, wiedział, że w ciągu nocy poruszają się one wszystkie, prócz jednej gwiazdy, która wyznacza rybakom kierunek, gdy powracają do brzegu rodzinnego nocą. Odnalazł ją i raz jeszcze objął oczyma wzgórze.

Później, schylony, nadal ściskając nóż, ruszył w dół. Szedł przez całą noc, a gdy pierwsze ślady niewidzialnego jeszcze słońca wytrysnęły na wschodzie, wyszukał ukryte pośród skał zagłębienie i położył się w nim. Noc była chłodna, lecz wraz z nastaniem dnia napłynęło ciepło.

Skulony, niewidzialny pośród rzucających ostry cień głązów, usnął.

Budził się kilkakrotnie z ciężkiego snu, pełnego pogmatwanych obrazów, gdzie dzieciństwo mieszało się z wypadkami ostatnich dni, tak jak gdyby wspomnienia były pękniętymi malowanymi naczyniami, których kawałki nie dawały się złożyć i tańczyły przed zamkniętymi powiekami układając się w straszliwe, pełne lęku obrazy.

Usypiał znowu, a gdy wreszcie obudził się wypoczęty, słońce dotykało już granicy czerwonych wzgórz na widnokręgu.

Odszedł tak daleko od rzeki, że nie dostrzegał nawet doliny, której środkiem płynęła. Otaczało go pofalowane morze piasków i nagich skalistych grzbietów. Leżąc począł wpatrywać się w

odbiegające ku widnokręgowi wydmy. Nie dostrzegął niczego, na czym mógłby oprzeć wzrok. Ani jednej żywej istoty, drzewa, kępy traw lub zarośli. Usiadł i sięgnawszy po skórzany worek wypił z niego resztę wody, która była już tak ciepła i mdła, że z trudem ją przełknął.

Zapadał zmrok. Białowłosey chciał wygrzebać dół w ziemi i ukryć w nim niepotrzebny już worek, lecz po namyśle zarzucił go na ramię wraz z drugim, wciąż jeszcze pełnym. Obejrzał dokładnie łuk, napinając dla próby cięciwę, i ruszył.

Gwiazdy zabłyśły już na niebie i spojrzawszy na nie pojął, że nie zgubił kierunku. Oby tylko rzeka nie płynęła nadal tak nieprzystępnym, skalistym korytem. Nie miał już łodzi ani niczego, co mógłby zjeść, lecz wierzył, że gdy okrążywszy miasto powróci ku rzece, znajdzie jedno i drugie.

Postanowił, że przez pół nocy będzie nadal szedł z biegiem rzeki, a później zacznie się ku niej zbliżać niemal prostopadle, by sprawdzić, czy znajdzie nad nią ukrycie. Tak czy inaczej, bez zapasu wody nie mógłby wędrować długo przez pustynię.

Szedł rozglądając się czujnie, starając się nie wynurzać na oświetlone księżycem rozległe płaszczyzny łagodnych zboczy i grzbiety, skąd roztaczał się rozległy widok, lecz na których sylwetka ludzka także była widoczna.

Przed północą zawrócił ku rzece obliczywszy, że jeżeli nie skręca ona za miastem ku wschodowi, winien napotkać ją przed świtem. Wszedł w głęboki, skalisty wąwóz, którego dno pokryte było oberwanymi ze zboczy głazami. Było zupełnie cicho. Wybierając swobodnie drogę, przyspieszył. Nie dostrzegł, nie usłyszał i nie przeczuł dwu ciemnych sylwetek, które oderwały się od skał i cicho skoczyły ku niemu z tyłu.

Dopiero gdy ciężka płachta owinęła jego ciało i pochwyliły go dwie pary silnych rąk, pojął, że nie ma ratunku. Próbował jeszcze rozpaczliwie wyswobodzić rękę i sięgnąć po wiszący na piersi nóż, lecz wyrwano mu rękę spod płachty i skrepowano szybko za plecami.

Szarpnął się raz jeszcze, rozpaczliwie, lecz w tej samej chwili otrzymał silne uderzenie w tył głowy i ogarnął go mrok.

Przebudził się leżąc na chłodnym, suchym piasku. W pierwszej chwili nie mógł przypomnieć sobie, co się stało, lecz nagle pojął, co z nim uczyniono, i próbował usiąść. Uczuł w tyle głowy tak gwałtowny ból, że tłumiąc jęk zagryzł zęby i opadł na piasek. Spróbował poruszyć rękami. Nie były związane. Ostrożnie przesunął dłoń ku piersi i dotknął pochwy noża. Nadal miał ją z sobą, lecz noża nie było. Usłyszał z dala głos ludzki i dopiero wówczas wróciła mu pełna świadomość.

Nie unosząc głowy rozejrzał się. Przy nim znajdowało się kilkoro zbitych w gromadkę ludzi: dwie kobiety i pięciu mężczyzn. Najwyraźniej byli to egipscy chłopcy, gdyż okrywały ich krótkie szaty z prostego płótna, a włosy mieli ucięte podobnie jak niewolnicy świątyni Sebeka i wieśniacy pracujący na polach wokół jeziora. Siedzieli ciasnym kręgiem wsparci o siebie ramionami. Głowy ich były zwieszane jak głowy ludzi, których spotkało nagłe, wielkie nieszczęście. Na twarzy jednego z mężczyzn Białowłosey dostrzegł długą krwawą szramę po uderzeniu zadany przed bardzo niedawnym czasem, gdyż okolice jej napuchły.

Nieco dalej siedział na piasku uzbrojony wojownik.

Nogi miał skrzyżowane, a w ręce trzymał krótki oszczep. Człowiek ów miał twarz dziką, długie, czarne, kędzierzawe włosy, a w uchu wielki miedziany kolczyk. Był półnagi.

Dalej poza nim widać było obozowisko: kilkanaście koni i grupkę mężczyzn podobnych do siedzącego przed namiotem wartownika, zajętych strzelaniem z łuku do niewidocznego celu. Białowłosey przymrużył oczy i dostrzegł, że to jego łuk próbowano.

Jedna z siedzących przy nim niewiast rzekła coś półgłosem do swej towarzyszki. Tamta odparła jej cicho. Wartownik zwrócił ku nim głowę i zawołał ostro. Nie znając ich języka. Białowłosey pojął, że dziko wyglądający człowiek nakazuje jej milczenie. Kobieta wtuliła głowę w ramiona i opuściła ją jeszcze niżej. Ponownie zapadło milczenie.

A więc pojмали go. Lecz jeśli byli to strażnicy pustynni, czemu nie pędzili z nim do Het-Ka-Sebeka, który zapewne spragniony był wieści o nim. Być może konie ich były znużone pościgiem i musiały wypocząć przed długą drogą przez pustynię. Lecz kim byli owi ludzie znajdujący się tu wraz z nim i najwyraźniej pojmani? Poczł pragnienie. Jego worek z wodą leżał nie naruszony tuż przy nim, sięgnął więc, rozwiązał go i napił się. Ludzie siedzący naokół obrzucili go obojętnym spojrzeniem i powrócili do swej milczącej nieruchomości.

Jeden ze strzelających zawołał do wartownika, który wstał szybko i krzyknął unosząc oszczep. Siedzący zerwali się. Białowłosey wstał także. Potarł ręką tył głowy, spojrzł na dłoń i nie dostrzegłszy śladów krwi ucieszył się w duchu. Był przeświadczony, że ma tam otwartą ranę. Ogłuszono go jedynie tępym narzędziem. Het-Ka-Sebek zapewne wydał rozkazy, aby nie czyniono mu krzywdy. Pragnął go widzieć żywego i zdrowego, zanim...

Wzdrygnął się. Dwaj inni wojownicy podeszli i pognali jeńców lekkimi uderzeniami drzewców oszczepów ku miejscu, gdzie znajdowały się konie. Kilkunastu ludzi siodłało już je kładąc im na grzbiety zwisające z obu stron tobołki i skóry z wodą. Ze szczytu niedalekiej wydmy zjechał powoli człowiek na czarnym koniu i ostrym głosem przynaglił do pośpiechu. Na znak owego człowieka, który najwyraźniej przewodził nad innymi, pojmani Egipcjanie zaczęli gramolić się na juczne konie, których było dziesięć powiązanych linkami. Strażnicy siedzieli na pierwszym i na ostatnim z nich, biorąc jeńców w środek. Inni jechali w przdzie.

Przez chwilę Białowłosey stał niezdecydowanie.

„Jeśli zacznę teraz biec w pustynię... - pomyślał - być może któryś z tych ludzi pośle za mną oszczep i zabije mnie... A wówczas uniknę sadzawki, w której czeka Sebek.”

Wahał się przez mgnienie oka, lecz później pomyślał tym, że już raz udało mu się umknąć i że póki jest żywy, wszystko jeszcze może się wydarzyć, gdyż, jak powiadał Lauratas, sprawy te są w rękę bogów, którzy drwią z ludzkiej pychy i rozpacz.

Chwiejnym krokiem, czując wciąż jeszcze w głowie uderzenia tępnych, ciężkich młotów, zbliżył się do koni i wskoczył na wolne zwierzę, chwyciwszy oburącz jego ciemną długą grzywę.

Rozległ się ostry okrzyk. Zwierzęta ruszyły.

Mimo że słońce wstało zaledwie, upał rósł szybko. Białowłosey odetchnął głęboko. Poczł nagły, przejmujący głód. Lecz wiedział, że nie otrzyma od nikogo pożywienia. Zacisnął usta i przymknął na chwilę oczy, czując ciepłe promienie słońca na prawym policzku.

Drgnął. Działo się coś, co powinno było odbywać się inaczej. W rozbolałej głowie przesuwwały się splątane myśli, nie mogąc ułożyć się w jasny obraz tego, co się odbywało wokół niego.

Jechał przez długi czas z rosnącą pewnością czegoś nadzwyczajnego, czegoś, co nie mogło mieć miejsca.

Czuł, że myśl ta jest tuż, że za chwilę pojmie wszystko... lecz nie mógł pojąć.

Nagle zrozumiał. Posuwali się nie na południe, gdzie nad wielkim jeziorem stała świątynia, w której oczekiwał jego przybycia wysoki kapłan o złotej lasce z wyobrażeniem paszczy Sebeka. Głowy koni kierowały się wprost ku północy.

Siedział przez dłuższą chwilę, kołysząc się zgodnie z ruchem szybkich nóg biegnącego truchtem

zwierzęcia, i starał się pojąć, czemu tak się dzieje.

Odpowiedź mogła być tylko jedna: ludzie ci nie byli sługami Het-Ka-Sebeka i nie należeli do straży pustynnej.

Lecz kim byli?

W tej samej chwili od czoła pochodu oderwał się jeździec i wolno pokłusował w tył. Zrównawszy się z Białowłosym zawrócił konia i zbliżył się jadąc tuż obok niego.

Chłopiec uniósł głowę. Jeździec powiedział coś ostrym, gardłowym głosem, zwracając się najwyraźniej do niego.

Białowłosa rozłożył ręce i odparł:

- Nie pojmuję twej mowy, wojowniku.

Oczy tamtego błysnęły, uniósł rękę, jak gdyby chciał uderzyć chłopca, lecz najwyraźniej zmienił zamiar, gdyż zawołał głośno. Od czoła zawrócił drugi jeździec. Wymienili z sobą kilka szybkich słów.

- Czy należysz do ludu morza? - zapytał drugi jeździec, kalecząc mowę ludzi wysp, lecz dość zrozumiale, aby Białowłosa pojął jego słowa.

- Tak, panie. Jestem Trojańczykiem i synem rybaka.

- Trojańczykiem? - Tamten nie pojął najwyraźniej. - Czy jesteś z ludu morza pytam?

- Tak, panie.

Jeźdźcy znów wymienili kilka słów.

- Jak się tu znalazłeś i czemu miałeś tak piękny łuk i bogate złote ozdoby? Czy ojciec twój jest królem i da za ciebie wysoki okup?

- Ojciec mój nie jest królem, a ozdoby te zabrałem wraz z łukiem z grobu pewnego możnego człowieka tej krainy.

Białowłosa mówił powoli, jak gdyby chcąc, aby tamten pojął dobrze jego słowa. Równocześnie starał się zyskać na czasie pragnąc zebrać myśli. Winien był mówić prawdę i zataić to, co było najgroźniejsze. Gdyby ludzie ci dowiedzieli się, że poszukuje go Het-Ka-Sebek, zapewne oddaliby go świątyni za okup, którego by nie poskąpiła. A więc byli to owi koczownicy pustyni, którzy napadali na pograniczne wioski i chwyтали niewolników...

- Jak się tu znalazłeś?

- Wypatrzył mnie w łodzi na morzu pewien kupiec płynący do tej krainy. Nawałnica zagnała mnie daleko, gdy łowiłem ryby. Sprzedał mnie do pewnej świątyni, skąd zbiegłem, chcąc dostać się do swoich. Gdy uciekłem, wyście mnie pojмали.

Jeźdźcy znówu wymienili kilka słów.

- Czy mówisz prawdę i nie jesteś synem możnego człowieka?

- Gdybym nim był, czyż nie pragnąłbym, aby ojciec mój wykupił mnie od was, pozwalając mi powrócić do rodzinnego domu?

Słowa te najwyraźniej ich przekonały. Odjechali obaj ku przodowi pochodu nie obrzucając go już ani jednym więcej spojrzeniem.

Białowłosa łyknął nieco wody z worka, a później wylał z niego ostatnie krople na dłoń i osuszył ją językiem. Słońce było coraz wyżej i upał rósł. Okrył głowę pustym workiem na wodę, gdyż promienie poczęły prażyć niemiłosiernie.

Konie szły równo, wspinając się na łagodne wydmy, schodząc z nich w dół i wspinając się na następne. Wokół roztaczał się nieskończony świat gorących piasków, pusty, straszliwy i wrogi każdej

żywej istocie.

Lecz choć Białowłosey wiedział, że jest jeńcem okrutnych wojowników pustyni, choć pojmował, że jedynym losem, jaki go czeka, jest los niewolnika, nie odczuwał trwogi ani przygnębienia. Ludzie ci musieli, tak jak i on, obawiać się spotkania ze strażnikami pustyni, swymi odwiecznymi wrogami. Byli jedynymi sprzymierzeńcami, których mógł napotkać walcząc rozpaczliwie o życie, ścigany pośrodku obcej krainy.

A oprócz tego... głowy koni nieustannie skierowane były ku północy i każdy krok ich smukłych nóg przybliżał go ku morzu.

Na czwarty dzień skręcili ku północnemu wschodowi, a na dziesiąty, gdy weszło słońce, Białowłosey ujrzał na krańcu piaszczystych wzgórz równinę, która z dala wydawała się ciemna, niemal czarna. Lecz gdy słońce poszybowało wyżej i zbliżyli się ku niej; barwa jej przemieniła się w ciemnobłękitną.

Wówczas chłopiec objął mocniej nogami boki konia i uniósłszy zwiniętą w pieść dłoń ku czołu, drugą rękę wyciągnął przed siebie. Nikt nie przypatrywał mu się i nikt go nie słuchał.

Wyprostowany, unosząc oczy ku bezchmurnemu niebu, wypowiedział półgłosem:

O, morze ciemne jak wino,

Matko czarnych okrętów,

Bądź pozdrowione, gdy niesiesz

Mnie, syna, na piersi twojej.

Były to pradawne słowa, które należało wyrzec, ujrawszy morze, gdy nadchodziło się z głębi łądu.

Więś, do której zbliżali się po południu, nie leżała nad samym morzem, lecz z dala od niego nad źródłem słodkiej wody otoczonym palmami i łąką, na której pasło się kilkadziesiąt koni.

Była to siedziba plemienia, do którego należeli wojownicy powracający teraz z niewolnikami. Konie puszczono na trawę, a pojmanych zagnano do zagrody jak bydło domowe. Tu otrzymali natychmiast świeżą wodę i żywność. Z pewnością, jak osądził Białowłosey, byli przeznaczeni na sprzedaż, gdyż nikt nie dbałby o nich, gdyby nie byli towarem. Nie bito ich także. Dzicy wojownicy pustyni zachowywali się wobec nich z zupełną obojętnością, tak jak wobec zwierząt prowadzonych na rzeź.

Nim nastał zmierzch, przed zagrodą stanął stary człowiek, zapewne wódz plemienia, obejrzał niewolników i oddalił się. Na noc spędzono ich na wolną przestrzeń pod gołym niebem po drugiej stronie wioski, gdzie znajdowali się już inni ludzie, także pojmani.

Tak spędził kilka dni. Wreszcie któregoś ranka wojownik, który znał mowę ludu morza, pojawił się i skinął na Białowłosego.

- Pójdź za mną!

Ruszyli ku kilku stłoczonym nie opodal źródła domkom, ulepionym z gliny. Gdy weszli do jednego z nich, chłopiec nie mógł początkowo dostrzec niczego w półmroku.

- Klęknij! - rzekł stojący za nim wojownik, a gdy chłopiec nie wykonał pospiesznie jego rozkazu, chwycił go za ramiona i rzucił na ziemię pod stopy starego człowieka, którego Białowłosey ujrzał po raz pierwszy owego wieczora po przybyciu tutaj.

Stary człowiek rzekł kilka słów w nieznaną Białowłosemu mowę i wojownik pochylił się. Pochwycił chłopca za ramię i podniósł go ponownie.

Przywykłe już nieco do półmroku oczy Białowłosego dostrzegły na niskim, płaskim kamieniu,

służącym zapewne jako stół, rozłożone przedmioty, które miał z sobą podczas ucieczki.

- Johuga, który jest panem twego życia, zapytuje cię, czy rzekłeś prawdę mówiąc, że jesteś synem rybaka z dalekiej krainy?

- Tak, panie. Jestem nim.

Stary człowiek przyglądał mu się badawczo. Teraz odezwał się sam. Mówił znacznie lepiej językiem ludów morza niż ów, który służył uprzednio za tłumacza.

- Powiedz mi, z czyjego grobu i w jaki sposób udało ci się zabrać te przedmioty?

- Uciekając wraz z towarzyszem przez miasto zmarłych leżące w pobliżu miasta żywych, gdzie mnie więzono, napotkaliśmy wielki wiatr pustyni. Uciekając wpadliśmy do otwartego grobowca i tam ukryliśmy się. Później, chcąc porzucić to schronienie, zabraliśmy część rzeczy, aby nam służyły w ucieczce.

- A gdzie jest twój towarzysz?

- Zginął przywalony odłamem skały.

Zapadło milczenie.

- Czy wiele jeszcze podobnych przedmiotów ze złota znajdowało się w owym grobowcu?

- Tak, panie. A także wiele pięknej broni i najrozmaitszego bogactwa.

- Czy umiałbyś tam trafić po raz wtóry?

- Nie, panie. Wiem jedynie, że owa dolina umarłych znajduje się w pobliżu wielkiego jeziora. Tam mnie zawieziono wodą z wybrzeża morskiego, a płynął ów okręt przez wiele dni. Później uciekałem klucząc i powracając do rzeki. A później jeszcze odbiegłem od niej w pustynię, gdyż obawiałem się ludzi. Wówczas schwytali mnie twoi wojownicy.

Stary człowiek milczał przez chwilę, gładząc leżący przed nim łuk. Pośród przedmiotów spoczywających na kamiennym stole Białowłosa dostrzegł swój nóż. Równocześnie zauważył, że ręka starego człowieka wyciągnęła się w tym kierunku.

- A czemu jeden z noży jest tak nędznej roboty, a drugi tak piękny?

- Gdyż ten, panie, miałem z sobą w łodzi, gdy mnie wyłowiono z morza. A ów drugi zabrałem z grobowca, o którym ci już rzekłem.

Stary człowiek pokiwał głową.

- Słowa twoje brzmią prawdziwie... Lecz mogą też być zmyśleniem, choć jesteś tak młody. Prowadzę od wielu lat handel z ludźmi mówiącymi twoją mową. Są to kupcy podstępni i przemysłni, gotowi zabić, jeśli opłaci im się to lepiej niż kupno. Słowa są u nich niczym i nie dbają wcale o nie ani też o przysięgi, choćby zaklinali się na własnych bogów. Jeśli każę cię wychłostać, przypomnisz sobie zapewne, gdzie leży ów grobowiec. Lecz wojownicy nasi są strudzeni. Odbyli dalekie wyprawy i powrócili z różnych stron wiodąc niewolników, których sprzedamy na wyspy. Być może mówisz prawdę, a być może kłamiesz. Wkrótce na szybkich okrętach przybędą tu kupcy-rozbójnicy mówiący twoją mową. Jesteś młody i zdrow.

Zapłacą za ciebie. Wiem, że potrzebują niewolników do kopalni srebra na dalekim lądzie. Kto raz tam wejdzie, nie wychodzi nigdy. - Umilkł na chwilę. - Odejdź teraz. Jeśli prawdą jest to, co mówisz, sprzedam cię kupcom. Jeśli ukrywasz coś, co mogłoby nam przynieść zysk, poprowadź moich ludzi ku miejscu, gdzie leżą rzeczy tak piękne jak te... - wskazał kamienny stół - a być może okażę ci łaskę, jeśli wartość ich przekroczy wielokrotnie twoją wartość... Odejdź teraz.

Ruchem ręki wskazał jednemu z wojowników przedmioty na stole. Ten zgarnął je w płócienną płachtę i złożył w rogu izby.

Gdy Białowłosy znalazł się ponownie na skraju wioski, siadł na trawie i zaczął samotnie rozważać słowa starego człowieka. Wiele dni drogi dzieliło go od sadzawki świątynnej, gdzie zapewne czekał inny, lecz równie straszliwy krokodyl, jak ów, którego zabił.

Jeśli nawet kopalnie srebra były miejscem złym, nie spotka go w nich los białej kozy.

Wzdrygnął się. Uniósł głowę. Od strony pustyni nadjeżdżało trzech jeźdźców. Dwaj uzbrojeni byli w krótkie włócznie i łuki, trzeci, jadący pośród nich, miał ręce związane z tyłu. Mimo to jechał wyprostowany, rozglądając się ciekawie. Zniknęli pośród drzew kierując się ku białym domkom wioski.

Białowłosy zerwał źdźbło trawy i westchnął. Postanowił już. Nie powie słowa tym ludziom o grobowcu Nerau-Ta. Jakże mogliby zresztą dotrzeć tam i odwalić skałę, która spoczywała na ciele Lauratasa?

Znowu wzdrygnął się, położył na trawie i spoglądając niewidzącymi oczyma w niebo, zaczął rozmyślać o domu rodzinnym, o tym, kto go kupi od ludzi pustyni i dokąd zawiezie go czarny kupiecki okręt.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ręce kapłanów długie są jak świat...

W tym samym czasie trzech jeźdźcy, których Białowłosa dostrzegł zjeżdżających ze wzgórza, zatrzymali się przed domem naczelnika wioski. Jeden zeskoczył i wszedł do środka.

- Panie... - rzekł kłoniąc głowę przed starcem nadal siedzącym za kamiennym stołem. - Schwytaliśmy człowieka.

Starzec odstawił kubek z wodą, który niósł do ust.

- Mów.

- Jest on jednym ze strażników pustyni, Stary człowiek znieruchomiał.

- Daleko się zapuścił - mruknął niemal niedosłyszalnie. - Czy był sam?

- Tak, panie. Gdy objeżdżaliśmy pustynię o pół dnia drogi od wioski, wynurzył się spośród wzgórz i zaczął zmierzać ku nam. Będąc blisko, odrzucił broń i rzekł, że pragnie mówić z panem tej krainy, gdyż ma dla niego wieści, które winien mu przekazać. Chcieliśmy go zabić, lecz przyszło nam na myśl, że możemy uczynić to z twego rozkazu, gdy zawiedziemy go do ciebie, a być może zapragniesz usłyszeć najpierw, z jakim poselstwem przybywa.

- Dobrze uczyniliście. Wprowadźcie go.

Wojownik wyszedł i po chwili powrócił z towarzyszem prowadząc pojmanego, który sam padł na kolana, uderzył czołem o ziemię, powstał i rzekł:

- Dzielny Haugha, który jest panem wojowników strzegących Wielkiego Jeziora w głębi krainy boskiego Faraona, oby żył lat tysiąc, przysłała ci pozdrowienie, choć, jak wiesz, zarówno ty jak podobni tobie ludzie pustyni są jego wrogami.

- To prawda - rzekł stary naczelnik wioski. - Jesteśmy wrogami jego i faraona, któremu służy. Lecz zapewne bardziej jego wrogami, gdyż gardzimy bardziej psem niż jego panem. Czemu przysłał cię tu, abyś znalazł pewną śmierć z rąk moich wojowników? Czyż nie wie, że każdy z was przekroczywszy obszar, gdzie sięga władza Egiptu, musi umrzeć?

- Wie o tym, wodzu, wiedziałem o tym także ja, którego wysłał tu w poselstwie, a także inni wojownicy, których rozesłał do wielu naczelników plemion pustyni najeżdżających granice Egiptu. Lecz sprawa, z którą nas wysłał, wydała mu się ważniejsza niżli nasz żywot, a my musieliśmy go usłuchać.

- Wódz twój, Haugha, jeśli strzeże Wielkiego Jeziora, jest zapewne sługą świątyni krokodyla. Czy tak?

- Tak, panie.

- Czy pan twój Haugha dla przyczyn, których jeszcze nie poznałem, chciałby zostać człowiekiem wolnym, porywać wielu niewolników i przystać do nas, aby nie być już więcej psem na usługach

kapłanów czczących bezmyślnie zwierzę, lecz wolnym lwem, który przechadza się wzdłuż piasków, tam gdzie zapragnie, aby uderzyć na tego, którego wybierze jego dumne oko, jak my to czynimy?

- Nie, panie. Być może uczyniłby on tak, gdyż zagraża mu śmierć okrutna. Lecz mamy tam żony i dzieci, lud nasz służy świątyni od lat niepamiętnych i zginęliby wszyscy z ręki kapłanów, gdyby zdradził. A wraz z całym plemieniem nie uciekłyby łatwo. Ruszyłaby za nim armia i wytracono by nasze rodziny, a nas wraz z nimi...

- A jakież niebezpieczeństwo zagraża twemu panu?

- Nakazał mi zamilczeć o tym, pragnę ci jednak wyznać całą prawdę, gdyż wiem, że jesteście naszymi wrogami i na jedno twe skinienie wojownicy twoi wbiją włócznie w moje serce. W świątyni popełniono świętokradztwo i zabito boga krokodyla, którym tak gardzisz. Uczynił to chłopiec przeznaczony na ofiarę w dniu święta. Uciekł on i nie udało nam się go schwycić, choć nie znał naszej krainy, gdyż pochodzi z ludu morza, a jest tak inny jak ludzie Egiptu, że każdy z łatwością go rozpozna...

- Jakże wygląda ów chłopiec? - zapytał obojętnie stary człowiek.

- Włosy jego są białe, a skóra jasna jak pióra ptaka goala. Nawet wśród ludzi morza takich nie widziano.

- Mów dalej. Chłopiec ów zabił bestię, którą czcicie, a straży pustynnej nie udało się go pochwycić?

- Tak, panie. Nie dość tego. Chłopiec ów wraz z drugim zbiegiem ukrywał się przez dni niemal dwadzieścia pod bokiem świątyni w zamurowanym grobowcu, a ludzie i psy nasze nie odnaleźli go. Wreszcie, zabiwszy jednego ze strażników, uciekł na jego koniu. Wina spada na pana mego, dzielnego Haughę, któremu grozi śmierć w mrowisku, jeśli nie odnajdzie zbiega. Ani strażę na rzece, ani ludzie nasi nie odkryli miejsca, gdzie ukrywa się ów chłopiec. Lecz ze śladów, na które natrafiliśmy w pustyni, sądzić możemy, że został on porwany, gdyż znaleźliśmy upuszczoną strzałę z owego grobowca, gdzie przebywał, ślady walki i miejsce, gdzie stały ukryte konie, które później odjechały. Odkryliśmy owe ślady zbyt późno, gdyż zapewne dzielny Haugha dopędziłby twoich wojowników i wytracił ich odbierając jeńca. Wiem także, że w okolicznych wsiach nad rzeką porwano kilkoro ludzi. Ślady uciekających prowadziły w kierunku morza i na wschód. Później ludzie nasi musieli zawrócić z braku wody... - Odetchnął głęboko i rozłożył ręce. - Dzielny Haugha wie, że nie mógłby niedostrzeżony wraz z wojownikami przemierzyć całej pustyni i uderzyć na was, gdyż strażę wasze są czujne i znacie sprawy piasków tak dobrze jak my. Ludzie z waszych połączonych wiosek zapewne zadaliby nam klęskę. A co gorsze, moglibyście zabić lub sprzedać owego chłopca, nie wiedząc, jak wielką wartość przedstawia. Nie chce on więc uciekać się do podstępów i przysłał mnie, abym ci rzekł słowa prawdy od niego: otóż ofiaruje ci on za tego zbiega, jeśli jest zdrow i znajduje się u ciebie, dwudziestu innych ludzi młodych i zdrowych, których porwiemy tak, że nikt się o tym nie dowie, i dostarczymy ci, abys ich sprzedał lub uczynił z nimi, co zechcesz. A jeśli byś chciał czego innego, a nie ludzi, powiedz, a uczyni on wszystko, co w jego mocy, byś to otrzymał.

Stary człowiek milczał przez chwilę.

- Gdyby chłopiec ów znalazł się u mnie... - powiedział cicho - zapewne sprzedałbym go na powrót waszej świątyni. Znając bogactwo kapłanów wiem, że zapłacą więcej za świętokradcę niż wy, którzy nie jesteście bogaczami. Na cóż mi twój wódz Haugha? Niechaj zjedzą go mrówki. Jest nędznym wodzem i głupim strażnikiem pustyni, jeśli nie zdołał złowić tak młodego chłopca, samotnego i nie znającego waszej krainy. Mądrze uczyniłbym, gdybym kazał temu oto wojownikowi

wbić oszczep w twoje plecy. Sam winienem wysłać ludzi z poselstwem do świątyni. Wiem, że nie skrzywdzą ich tam, choć Egipt jest naszym wrogiem. O nie! Ugoszczą ich i przyjmą uprzejmie... I ofiarują im wielkie dary za tego chłopca, gdyż w głupocie swej karmią krokodyłe ludźmi miast zabijać każdą z tych bestii, gdy ją napotkają.

Stojący opuścił głowę w milczeniu.

- Lecz - ciągnął dalej starzec - wódz twój może zapłacić nam więcej niż świątynia... Droga na południe biegnie obok jeziora i wojownicy moi muszą okrążyć je chcąc dotrzeć do krainy ludzi czarnoskórych, którzy są dobrym towarem i chętnie nabywanym przez kupców z wysp. Od dawna już przecięliście tę drogę i musieliśmy zaniechać naszych wypraw. Idź w pokoju i powiedz twemu panu, że otrzyma chłopca tego żywego i zdrowego, jeśli oczy wasze będą zamknięte przez miesiące trzy. Wielu wojowników z licznych plemion mego ludu zbierze się, uderzymy na krainę lasów na południu, powrócimy z łupem wiodąc wielu czarnych niewolników, a wówczas chłopiec ów dostanie się w wasze ręce... lub dostanie się w nie bez zwłoki, jeśli dzielny Haugha, twój pan, przybędzie do mnie sam i zaprzysięże, że dotrzyma warunków. Wówczas zatrzymamy go do czasu ukończenia naszej wyprawy, a kapłani będą mieli swego zbiega wcześniej.

- Świątynia nigdy nie zgodziłaby się na to, a także namiestnik boskiego Faraona, panie!

- Armia Egiptu nie ma innych oczu i uszu na pustyni zachodniej - prócz was. A moi ludzie, gdy miną jezioro nie dostrzeżeni przez was, przepadną w piaskach wraz z łupem, tak że nikt nie dowie się o ich przejściu. Są jako duchy i jak wiatr, a nie ma przyczyny, by władca Egiptu lub kapłani władający świątynią nad jeziorem dowiedzieli się o tym.

- Powtórzę mu to wiernie, panie.

- Będę czekał na odpowiedź jego do następnej pełni księżyca. A uprzednia pełnia minęła przed siedmiu dniami. Czasu więc macie dość. Jeśli nie przybędzie do tego dnia, sam wyślę posła do kapłanów krokodyla, a dzielnego Haugę niechaj zjedzą dzielne, choć małe mrówki. Odejdź! Dajcie mu odjechać wolno i zaopatrzcie go w żywność i wodę, aby nie padł w drodze przez pustynię...

- zwrócił się do wojowników. - A ukażcie mu owego chłopca, niechaj nacieszy nim oczy i opowie o nim panu swemu.

Wojownik padł na twarz i wycofał się z izby. Starzec wypił łyk wody, a później wstał i podszedł do kąta. Nagą stopą rozgarnął płachtę i dotknął nogą złotych kolczyków. Pochylił się powoli, z trudem uniósł z ziemi nóż Białowłosego i uśmiechnął się...

- Zapewne tym nożem zabił ową bestię - mruknął. - Jest to dzielny wojownik, choć tak młody. Niechaj bogowie mają go w swej opiece, gdy znajdzie się w mocy kapłanów świątyni.

Odwrócił się i podszedł do otworu wejściowego odsuwając zasłonę z wyprawionej końskiej skóry. Słońce stało wysoko na niebie. Zbliżało się południe.

Stary człowiek długo spoglądał na linię piaszczystych wzgórz i z wolna uśmiech pojawił się na jego wargach. Rozmyślał o wielkiej wyprawie przeciw czarnoskórym mieszkańcom gorących lasów. Tam nad jeziorem czuwały nieustannie otwarte oczy straży pustynnej. Można było przemknąć się w kilka koni, pochwytać paru jeńców i uciec. Lecz każda większa wyprawa skazana była na zagładę, gdyż strażnicy zawiadomiliby niezwłocznie armię faraona, która odcięłaby powrót z południa i wytraciła do ostatniego wszystkich najeźdźców. A oto zaistniała możliwość zamknięcia na pewien czas owych czuwających wiekuiście oczu. Gdy to nastąpi, wejdzie w przymierze z kilkoma innymi naczelnikami wiosek i wspólnie uderzą. Wyprawa taka mogła przynieść tysiące niewolników, młodych, zdrowych mężczyzn i kobiet, za których płacono solą, żelazem, złotem i wszystkimi darami

świata, jakich nie rodziły pustynne piaski, pośród których urodził się i przeżył całe życie.

Na siódmy dzień strażnik stojący na wzgórzu nadmorskim zbiegł ku wiosce wołając, że nadpływają dwa okręty.

Zatrzymały się one w pewnej odległości od brzegu i stały oczekując.

Czekały długo, aż wreszcie na wybrzeżu pojawił się naczelnik wioski wraz z kilkunastoma wojownikami. Wówczas jeden z okrętów przybliżył się na odległość głosu i stojący na dziobie człowiek, który trzymał wysoką, jaskrawo malowaną tarczę, odziany w kaftan naszywany płytkami z brązu i wysoki hełm ozdobiony czerwonym pióropuszem, zawołał:

- Przybyliśmy po niewolników, których pragniemy od was zakupić. Czy jesteście gotowi nam ich sprzedać?

- Jesteśmy gotowi, jeśli zapłacicie godziwie! - zabrzmiała zwykła odpowiedź. - Przybywajcie w pokoju!

Oba okręty przybliżyły się do brzegu. Gdy dzioby ich dotknęły piasku, wioślarze powstali z miejsc i ujęli za włócznie i tarcze. Dwaj kapitanowie zeskoczyli na piasek i odrzuciwszy broń na znak pokojowych zamiarów, ruszyli ku miejscu, gdzie czekał naczelnik wsi.

- Przybywamy w pokoju, wodzu! Bądź pozdrowiony i niechaj bogowie twoi roztaczają opiekę nad tobą!

- A wasi bogowie nad wami, szlachetni kupcy!

Zatrzymali się przed nim i unieśli ręce na znak pozdrowienia. Stary człowiek skinął głową.

- Zapewne jesteście zdorozeni. Oto worki ze słodką wodą, które niechaj ludzie twoi przyjmą od nas.

- Dzięki ci, wodzu. A oto naszyjnik dla twojej żony lub córki i niechaj zawiesi go ona na swej pięknej szyi za twym przyzwoleniem.

Jeden z kapitanów podał stojącemu obok wodza wojownikowi mieniący się naszyjnik z kolorowych kawałków szkła.

- Tak piękne przedmioty wyrabiają sztuką tajemną nasi rzemieślnicy dla naszych kobiet i kobiet naszych przyjaciół.

Wojownik podał naszyjnik wodzowi, który rzuciwszy nań okiem podał go innemu wojownikowi.

- Zechciejcie wy obaj, wodzowie okrętów, wejść do domu mego, abyście posilili się i mogli ujrzeć niewolników, których zechcecie zabrać ze sobą.

Ruszyli z wolna, brnąc przez piasek.

- Potrzebni nam są młodzi i silni mężczyźni, wodzu - rzekł jeden z kapitanów - a także dziewczęta rosłe i zdolne do posług. Jeśli masz pojmanych starców lub dzieci, możesz ich pozabijać, aby ci nie wadzili i nie jedli darmo twojej strawy, gdyż nie kupimy ich i nie kupi ich nikt inny.

- Wojownicy moi nie przemierzają pustyni po to, by tracić nadaremnie siły i wlec przez piaski tych, których nie moglibyśmy sprzedać na wasze okręty. Gdy obejrzyjecie owych niewolników, sami uznacie, że dorodniejszych nie znajdziecie na żadnej z waszych wysp.

Zbliżali się do wioski, gdzie czekała zebrana cała niemal ludność, wojownicy, kobiety i dzieci, aby ujrzeć przybyszów z morza.

Był to zwykle dzień wielkiego święta, dzień darów dla kobiet, nowej broni dla mężczyzn i wszystkiego, co świat miał do zaoferowania wiosce zagubionej pomiędzy morzem wód i morzem piasków w zamian za żywy towar, jaki zdołała zgromadzić.

Gdy posilili się, wódz wstał i poprowadził obu przybyłych na skraj wioski, gdzie czekali

niewolnicy.

Na znak straży powstali oni wszyscy patrząc niespokojnymi oczyma na tych, którzy mieli zawładnąć ich losem.

Obaj kapitanowie szli oglądając uważnie stojących w szeregu jeńców, z których zerwano szaty, aby można było lepiej ocenić ich przydatność.

W pewnej chwili idący zatrzymali się. Stał przed nimi nagi chłopiec o jasnych włosach i białej skórze.

- Ten nie może być synem waszej ziemi! - rzekł jeden z kapitanów, zwracając się do starego wodza. I nie czekając zagadnął go w swej ojczystej mowie: - Kim jesteś?

- Synem rybaka, panie, którego zły los zagnał do tej krainy i zaprzedał w niewolę.

- Skąd pochodzisz?

- Jestem poddanym króla Troi.

- Słyszałem o tym mieście. Leży ono na północy.

- Tak, panie.

- Brak mi jednego z wiosłarzy, którego zabiła gorączka na morzu. Czy umiesz wiosłować?

- Jestem synem rybaka, panie.

- Nie jesteś jeszcze mężczyzną - dotknął jego ramienia - lecz wyglądasz na silnego chłopca.

Wezmę cię.

- Dzięki ci, panie! - Białowłosey pochylił przed nim głowę. Serce zabiło mu gwałtownie ze szczęścia.

W tej samej chwili naczelnik plemienia uniósł rękę.

Potrząsnął głową.

- Możecie kupić wszystkich, prócz tego jednego.

- Według woli twojej, wodzu. Zmarł mi jeden z wiosłarzy, a ten nadałby się, gdyż mówi naszą mową. Lecz jeśli nie pragniesz go sprzedać, nie kupię go.

Odeszli dalej, zatrzymali się i kapitan otworzył dłonią usta stojącej za Białowłosym dziewczyny, zaglądając jej w zęby.

Następnego dnia dobito targu i niewolnicy przeszli na okręty, gdzie stłoczono ich na gołych deskach. Tak mieli spędzić wiele dni dzielących ich od kresu podróży.

Uniosły się dwa rozwinięte żagle, wiosła uderzyły w wodę i oba czarne okręty popłynęły wzdłuż brzegu, oddalając się coraz bardziej.

Życie w wiosce znów popłynęło zwykłym nurtem.

Białowłosego, który pozostał w zagrodzie sam, przeniesiono na rozkaz starego naczelnika do pustej lepianki bez okien. Przed skórą zakrywającą otwór wejściowy zasiadł wojownik z włócznią, który zapewne nie znał mowy ludów morza, gdyż milczał nie odzywając się słowem do więźnia, który krążył po izdebce długo, aż wreszcie upadł na posłanie ze skór i usnął.

W tym samym czasie dwa okręty zatoczywszy szeroki łuk na pełnym morzu zatrzymały się za nikałą w mroku linią widnokregu. Zapadł zmierzch, czas, gdy ludzie morza powracają ku lądowi, aby spędzić na nim noc. Lecz okręty tkwiły nadal w miejscu, aż wreszcie na linii zachodniego widnokregu pojawiło się sześć smukłych sylwetek. Wówczas wiosła zanurzyły się ponownie w wodę i oba okręty popłynęły na spotkanie zbliżającym się towarzyszom.

Spotkały się i stanęły tak blisko, że człowiek mógł z łatwością przebiec po nich przeskakując z jednego na drugie. Wówczas ośmiu przywódców zeszło się i przyciszonymi głosami rozpoczęli

naradę.

- Cóż ujrzałeś tam, synu? - zapytał siwy żeglarz, odziany w ciemny pancerz z blachy, która nie dawała żadnego blasku, jak gdyby nie pragnął, aby postać jego widziana być mogła w mroku.

- Tak jak rzekłeś, ojcze, jest to osada duża, wiele w niej niewiast i mężczyzn, a także dzieci, które mogłyby już przetrwać podróż morzem. Stary wódz ukazał mi piękne przedmioty ze złota, które pragnął nam sprzedać, lecz wymówiłem się brakiem towaru, którym mógłbym mu zapłacić. Jeśli uderzymy w dwustu ludzi zniecka, uda nam się zapewne pojmać wielu niewolników, zagarnąć złoto, które znajduje się w domu wodza, i uciec na okręty, nim wszyscy wojownicy zdołają powrócić z pustyni, gdzie część z nich przebywa. Odbierzemy też to, czym zapłaciliśmy już za tych ludzi, których zakupiłem u nich.

- Którędy uderzyłbyś na nich?

- Wprost od morza. Podpłyniemy do brzegu pod osłoną nocy jednym okrętem, wysadzimy kilka najbieglejszych, a jeśli uda im się bezgłośnie zabić wartowników, którzy z pewnością strzegą wsi od strony morza, wówczas podejdziemy tak blisko, jak będzie można, nim rozpoczniemy nagłe natarcie. Jeśli zaskoczymy ich, łup będzie wielki.

- A jeśli nie zaskoczymy ich?

- Wówczas ów okręt, który zbliżył się do brzegu, odpłynie zabierając naszych wojowników, a inne rozpoczną natarcie i odpłyniemy pod osłoną nocy.

- Jest to roztropny plan, mój synu.

Okręty odbiły od siebie i popłynęły, klucząc tam i na powrót po morzu, na którym zgasł już ostatni promień słońca nadając mu barwę ciemnego wina.

O tej samej porze Białowłosa przebudził się ze snu, siadł i przetarł oczy. Spod zasłony kryjącej wejście nie dobiegał blask dnia, więc musiała już zapaść noc.

Nie wstając sięgnął po kubek wody, który przyniósł mu przed wieczorem wartownik wraz z plackami pszenicznymi. Przymknął oczy. Czemu starzec ów nie chciał go sprzedać ludziom, którzy przybyli na okrętach? Czyżby domyślał się, że świątynia Sebeka gotowa jest zapłacić za niego nieskończenie więcej, niż chciałby dać kupiec niewolników? Jeśli tak było, był zgubiony. Czekala go ponowna długa droga przez pustynię lub wzdłuż wielkiej rzeki, a na krańcu tej drogi widok wielkiego jeziora i dwu świątyń, pośród których znajdował się przybytek boga...

Siadł i dotknął rękami oczu, starając się powstrzymać łzy. Siły opuściły go nagle, tu w samotności, gdzie niczego już nie mógł dokonać, gdy minął czas ucieczki i walki.

- Matko...matko... - szepnął łkając cicho i zagryzając wargi, by wartownik nie usłyszał go, nie wszedł i nie zastał w stanie tak godnym pogardy.

Powoli uspokoił się. Myśli, choć nadal pełne rozpacz, przestały przelatywać jak wicher przez rozpaloną głowę.

Jeśli taka jest wola bogów, zginie. Zadrwili sobie z niego doprowadzając go aż ku morzu, które tak pragnął ujrzeć raz jeszcze. Zezwolili nawet dwóm dowódcom okrętów, mówiącym językiem jego ludu, aby przybyli i zechcieli go zabrać z sobą. Po to jedynie, aby jedno słowo starego wodza rzuciło go znów na pastwę owego straszliwego potwora.

Usnął znowu.

Zbudził się nagle i siadł, słysząc wysoki krzyk w oddaleniu. Później drugi i nagle wokół lepianki rozpętał się straszliwy zgiełk. Rozległy się wrzaski, jęk i ludzie zaczęli przebiegać przed domem.

Skoczył ku otworowi wejściowemu. Odsuwając zasłonę zobaczył, że wartownik unosi w górę

włócznię chcąc przebić nadbiegającego człowieka w hełmie o rozwianym pióropuszu.

Nie myśląc, co czyni, uderzył z całej siły pięścią w tył głowy swego stróża.

Ręka z włócznią zawisała na ułamek chwili w próżni.

Nadbiegający, który w półmroku dostrzegł dopiero teraz, co mu groziło, uderzył krótkim szerokim mieczem w pierś stojącego i wojownik upadł na kolana, a później osunął się na ziemię.

Białowłose wyrwał włócznię z jego stygnącej dłoni i w świetle płomieni, które buchnęły z dachu sąsiedniej chaty, pobiegł za nacierającymi ludźmi w pancerzach, lecz po chwili uskoczył w mrok.

Gdzie było morze? W której stronie? Wybiegł spomiędzy lepianek.

Strzała świsnęła mu koło ucha i poszybowała w ciemność. Przypadł ku ziemi, rozglądając się i nie wypuszczając włóczni z ręki.

Na tle rosnących pożarów ujrzał ludzi w hełmach, wlokących w mrok krzyczące kobiety i dzieci. A więc stamtąd nadszedł atak.

Zaczął przemykać w tym samym kierunku, w jakim cofali się wlokący łup napastnicy, starając się nie wynurzać na polany blasku rzucane przez płonące domy, najwyraźniej podpalone przez atakujących.

Nagle w mroku wyskoczył półnagi, ciemnoskóry człowiek o gęstych kędzierzawych włosach. Na twarzy miał wyraz przerażenia. Pędził wprost na Białowłosego i widząc go, zamierzył się trzymanym w ręce nożem. Natarcie było tak szybkie i niespodziane, że chłopiec dopiero w ostatniej chwili cofnął się i pchnął, wbijając włócznię w pierś przeciwnika. Chciał ją wyrwać, lecz utkwiła głęboko, a kiedy szarpnął raz jeszcze, złamała się. Człowiek upadł, rżąc cicho.

Białowłose pochylił się, wyrwał mu nóż z ręki i odskoczył, widząc drugiego wojownika, który nadbiegał z krótkim mieczem w dłoni.

Przywarł do pnia wysokiej palmy i starał się pojąć, co się wokół niego dzieje. Naprzeciw miał dom naczelnika. Musiał to być ów dom, gdyż dojrzał dwóch ludzi w hełmach z pióropuszcami, po których poznał wojowników z ludu morza, wywlekających z wnętrza domu starego wodza. Jeden z nich uniósł miecz i przebił nim starca, drugi ponownie skoczył w głąb domu, na którego dachu urosły już wysokie płomienie, i powrócił stamtąd unosząc coś zawiniętego w płachtę płócienną.

- Na okręty! - Wysoki okrzyk dobiegł z ciemności i zabrzmiał jeszcze kilkakrotnie, powtórzony przez niewidzialne usta.

Ludzie w hełmach poczęli biec w jednym kierunku.

Kryjąc się w cieniu, ruszył za nimi.

Obrona najwyraźniej zaczęła krzepnąć, a wojownicy, którzy w pierwszym przerażeniu zbiegli w pustynię, powracali teraz.

.Za cofającymi się na okręty żeglarzami pobiegły z sykiem coraz gęstsze strzały.

Lękając się, aby nie paść z ręki tych, z którymi chciał uciec, trzymał się z dala w cieniu, lecz gdy opuścił cień drzewa, wiedział już, że nie zdoła uniknąć rozpoznania.

- Zaczekajcie! Weźcie mnie z sobą! - Zawołał i rzucił się brnąc przez piach za nimi. Spomiędzy drzew świsnęły za nim dwie strzały, później jeszcze dwie. Świstu piątej nie usłyszał.

Uczuł gwałtowny ból w nodze, upadł, podniósł się i poczuł tkwiący w udzie grot. Sięgnął za siebie, wyrwał go czując, że wraz z nim wyrywa kawał ciała, i pobiegł potykając się za innymi.

Okręty były już na wodzie. Wrzucano do nich ostatnich jeńców. Ludzie podparli z wszystkich sił czarne kadłuby i wskoczyli rzucając się do wiosł.

Białowłose skoczył do wody. Robiąc szaleńczo rękami i czując niemoc ogarniającą prawą nogę,

która z każdym ruchem ciążyła mu coraz bardziej, ściągając ciemny oddalający się kształt.

- Zaczekajcie! - krzyknął wiedząc, że nikt nań czekać nie będzie, choćby go nawet wzięli w mroku za jednego ze swoich, gdyż brzeg zaroił się już od ciemnych postaci, a nad okrętem syczały roje strzał.

Ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem rzucił się ku przodowi, zagarniając wodę.

Okręt był już blisko. Wyciągnął rękę wiedząc, że wioślarze uderzają coraz szybciej.

W tej samej chwili dostrzegł nad sobą dwie ciemne sylwetki. Dwie pary silnych rąk pochwyciły jego dłonie.

Dźwignął się, chwycił drugą ręką za belkę obramowania i runął w dół, pod nogi stłoczonych na okręcie ludzi.

Nad nim wielki żagiel rozwinął się gwałtownie opuszczony z rei i zaśpiewał cicho chwytając wiatr, który nocą zawsze nadbiega od lądu.

Dzielny Haugha, wódz straży pustynnej, zatrzymał konia i przyłożywszy dłoń do oczu patrzył przez długą chwilę na dalekie morze rozciągające się na granicy widnokregu i bliższe, rozfalowane wzgórza czerwonych piasków, opadające łagodnie ku wodzie.

W niewielkim oddaleniu od morza dostrzegł kępę drzew i zielen pastwiska rozciągającego się naokół niewidocznego źródła.

- To tam, wodzu... - zawołał wojownik, który jadąc za nim dopiero teraz znalazł się na szczycie wzgórza.

- Widzą nas już zapewne... - rzekł Haugha i z wolna począł zjeżdżać w kierunku wsi, ścisnąwszy wodze konia.

Naprzeciw niego pojawiły się cztery ciemne punkty i szybko urosły, przemieniając się w czterech jeźdźców.

Gdy zbliżyli się, Haugha i towarzyszący mu wojownik odrzucili włócznie i łuki i zatrzymawszy się, nieśli prawe dłonie na znak, że nie chcą walczyć, lecz przybywają w pokojowych zamiarach.

Czterej jeźdźcy zbliżyli się. W rękach trzymali napięte łuki.

- Kim jesteście?

- Jestem wodzem straży strzegącej krainy wokół Wielkiego Jeziora i zwał mnie Haugha. Przybyłem, jak chciał tego naczelnik tej wsi, i gotów jestem uczynić, jak chciał, abym uczynił.

Czterej jeźdźcy nie odpowiadali przez chwilę. Wreszcie jeden z nich rzekł:

- Ruszajmy! A jeśli któryś z was zapragnie uciec, przesyty będzie strzałą!

Haugha w milczeniu skinął głową i lekko dotknął uszu konia, który począł zstępować ze wzgórza. Czterej jeźdźcy otoczyli przybyłych z obu stron.

Gdy znaleźli się pośród pierwszych chat wsi, wódz straży pustynnej szybko wciągnął powietrze w nozdrza.

Nie, nie mylił się. Zewsząd czuł woń spalenizny. Ujrzał kilku mężczyzn zajętych stawianiem chaty obok miejsca, gdzie zgliszcza wskazywały, że spłonęło poprzednie domostwo. Dalej widok był wszędzie ten sam. A że domy stały niekiedy z dala od siebie, więc nie mógł to być zwykły pożar, biegnący od dachu do dachu i obejmujący całą wieś.

Wreszcie zatrzymali się przed większym, nowym zupełnie domostwem o ścianach z włókien palmowych obrzuconych gliną.

- Zejdźcie z koni! - rozkazał jeden z wojowników, sam zeskoczył i wszedł do wnętrza. Pozostali trwali nadal z łukami wymierzonymi w pierś stojących.

Dokoła poczęli zbierać się ludzie. Haugha dostrzegł, że byli to niemal sami mężczyźni, a tylko niewiele kobiet i starszych dzieci. Stał nieruchomo, wpatrzony w osłonięty matą otwór wejściowy domu. Wiedział już.

Wojownik ukazał się i skinął ręką.

- Wejdz, Haugho, wodzu straży pustynnej! - rzekł dając znak ręką jego towarzyszowi, aby pozostał na miejscu.

Haugha wszedł. Przez chwilę jego przywykłe do otwartych przestrzeni oczy nie mogły niczego dostrzec w półmroku. Później ujrzał młodego człowieka siedzącego na posłaniu ze skór.

- Bądź pozdrowiony, ty i twój dom... - rzekł Haugha i mimowolnie rozejrzał się.

- Siądź, wodzu straży pustynnej... - Młody człowiek skinął na stojącego w drzwiach wojownika. - Niechaj wniosą tu jadło i napitek dla czcigodnego wodza, a także daj wypocząć i pożywić się jego towarzyszowi, który zapewne jest utrudzony jak i on sam.

Wojownik wyszedł. Haugha siadł na wskazanym naprzeciw młodego człowieka legowisku ze skór i uniósłszy głowę spojrzął mu w oczy, lecz nie przemówił do niego. Tamten także milczał.

Wniesiono dzban świeżej wody, placki i suszone figi. Młody człowiek poruszył się, sięgnął po placek i podał gościowi.

Haugha przyjął placek, przełamał go i podał część gospodarzowi. Uczynił to spokojnie, choć wiedział, że jeśli ręka z plackiem zawiśnie w powietrzu, będzie to oznaczało, że śmierć jego jest postanowiona.

Młody człowiek bez wahania wziął ofiarowaną sobie część placka i począł jeść. Milczeli nadal.

Dopiero gdy wychylili kubki i odstawili je od siebie, młody człowiek rzekł:

- Nie było mnie tu wówczas. Ojciec mój zapragnął, abym zdobył sobie żonę, gdyż poprzednią, która nie urodziła mi jeszcze syna, ukąsił skorpion i zmarła.

Urwał. Haugha czekał nieporuszenie.

- Więc, jak chce obyczaj, odjechałem samotnie i zdobyłem żonę... - Znowu urwał i pokiwał głową. - Gdy powróciłem, minęły już trzy dni od owej napaści.

- Czy przybyli z morza? - zapytał Haugha.

- Odgadłeś, wodzu. Przybyli z morza i odpłynęli okryci nocą na czarnych okrętach. Zabili strażników, którzy strzegli brzegu, i zaskoczyli wieś we śnie. Zabrali wiele naszych kobiet i dorastających dzieci... zabili też wielu wojowników, nim lęk minął i mogli oni stawić czoła napastnikom.

- Napadnięty we śnie jest jak kobieta, dziecko i gołębica - rzekł Haugha. - Tak mówi przysłowie mego ludu.

- Jest to przysłowie prawdziwe i mądre, wodzu. Pochowałem mego ojca i odbudowuję wieś.

- Przybyłem tu, gdyż tak chciał twój ojciec... - rzekł Haugha.

- Wiem. Inaczej skorzystałbym, że przybyłeś tu sam, bez twych wojowników, i kazałbym cię zabić, gdyż jesteście naszymi wrogami. Lecz wola mego ojca była inna i muszę jej być posłuszny. Odjedziesz żywy. Lecz jak mi powiedziano, wysłannik twój miał ci rzec, że otrzymasz owego białego chłopca, gdy zezwolisz naszym wojownikom obejść Wielkie Jezioro i uderzyć na południowe krainy lasów.

- Powtórzył mi on te słowa twego ojca.

- Wiedz tedy, że choć pragnąłbym wypełnić jego wolę, nie mogę tego uczynić, gdyż chłopiec ów nie znajduje się już we wsi.

- Czy zginął?

- Nie, gdyż nie znaleziono po napadzie jego ciała, a każdy by je rozpoznał. Piraci z ludu morza musieli go porwać z sobą. Był on zresztą jednym z nich.

- A więc nie ma go tu... - rzekł spokojnie Haugha.

Uniósł głowę. - Jeśli pragniesz wyświadczyć mi przysługę, młody wodzu, wyprowadź mnie z twego domostwa i wbij mi włócznię w serce tak, aby ujrzał to mój wojownik. A później puść go wolno, aby doniósł o tym kapłanom w mieście nad Wielkim Jeziorem.

- Nie uczynię tego, gdyż wolą ojca mego było, abyś odszedł stąd żywy.

- A czy wiesz, do jakiego ludu należeli owi piraci?

- Do ludu morza. Mieszkają oni na wyspach północnych, a jak słyszałem z opowieści starych ludzi i tych, którzy znają ich mowę, leżą one o siedem, dziesięć, a niektóre nawet o dwadzieścia dni żeglugi przy sprzyjającym wietrze. Lecz jest ich niezliczone mnóstwo, jak gwiazd na niebie. Tak mówią starzy ludzie... A jak jest naprawdę, któż może wiedzieć? Nie jesteśmy ludźmi morza, lecz piasków pustyni, i niewiele wiemy o tym.

- Tak... - rzekł cicho Haugha. - Jesteśmy ludem piasków i nie umiemy odnajdywać śladów na morzu... a więc ojciec twój pozostanie nie pomszczony, a ja nie odnajdę owego chłopca.

- Rzekłeś, wodzu... - Młody człowiek skinął głową.

- A więc zezwól mi odejść i dzięki ci za gościnę.

Haugha wstał.

- Odejdź w pokoju! - rzekł młody człowiek i zaklaskał w dłonie nakazując swym wojownikom, aby dali gościom wodę i zapasy jada konieczne do przekroczenia pustyni.

Lecz dzielny Haugha, wódz straży pustynnej, nie przebył morza piasków.

Gdy po sześciu dniach podróży ukazały się z dala brzegi Wielkiego Jeziora, zatrzymał konia i rzekł:

- Utnij mi głowę i zanieś ją czcigodnemu Het-Ka-Sebekowi, aby wiedział, że zapłaciłem za mą nieudolność w tropieniu zbiegów, i nie mścił się okrutnie na mym rodzie. Powiedz mu też, że owego białowłosego zabójcę boga porwali piraci z ludu morza. Powiadają, że ręce kapłanów są długie jak świat i sięgną wszędzie. Niechaj więc Het-Ka-Sebek wyciągnie swe ręce na kraniec świata i ujmie za morzem Owego młodzieńca. A teraz czyń, jak ci nakazałem!

Wierny wojownik spełnił jego wolę, uciął mu głowę i stanąwszy przed obliczem Strażnika Spokoju Wizerunku Duszy Boga Sebeka, ukazał ją, złożył u jego stóp i powtórzył, co stało się z uciekinierem i jak umarł dzielny Haugha, wódz straży pustynnej.

Het-Ka-Sebek spoglądał przez chwilę na leżącą przed nim w pyle głowę ludzką, później ruchem ręki nakazał wojownikowi, by zawinął ją na powrót.

- Lud morza... - rzekł cicho, a później dodał wskazując głowę: - Idź, aby obwieścić braciom i rodzinie zmarłego wodza straży, że zmasał on swoją winę. A choć popełnił błąd, był wiernym sługą świątyni wielkiego boga. Niechaj pochowają ciało jego według waszego obyczaju.

Wojownik upadł na twarz, zerwał się i przyciskając do piersi głowę, wycofał się tyłem z dziedzińca, na którym przyjął go kapłan.

Het-Ka-Sebek zawrócił pod cienistą kolumnadę i udał się do kamiennej celi, gdzie arcykapłan świątyni siedział zamyślony nad zwojem starego papirusu.

Rozmawiali przyciszonymi, poważnymi głosami aż do zachodu słońca, a gdy nadeszła noc, srebrny dźwięk wielkiego gongu obwieścił wszystkim członkom świętego kolegium Sebeka, że mają

zejść się w podziemnej sali obrad.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Żeglarze nieśmiertelnego Minosa

Przebudził się i leżał przez chwilę z przymkniętymi oczyma, czując łagodne kołysanie okrętu. Za nim głęboki głos męski śpiewnie podawał w mowie zbliżonej do ojczystej, choć nieco twardszej i bardziej gardłowej, nieustannie te same słowa: „Płyn-przez-fa-le... płyn-przez-fa-le...” Gdy urwał na chwilę, przez kadłub przechodziło lekkie drżenie, jak gdyby okręt otrzymał pchnięcie z tyłu. Białowłosy wiedział, że to wioślarze napierają równocześnie na wiosła. W górze słyszał szybki łopot płótna. A więc płynęli także pod żaglem...

Otworzył oczy. Dzień jeszcze nie wstał, lecz niebo po prawej stronie okrętu było już nieco jaśniejsze.

Dostrzegł to od razu i serce zabiło mu żywiej. Płynęli na północ! Rozejrzał się.

Naokół niego, zbici ciasno, spali skuleni ludzie: kobiety, kilku dorastających chłopców, takich jak on, i dziewczęta. Po barwie skóry i ubiorze poznał, że należeli wszyscy do plemienia pustyni, którego był dotąd jeńcem. Ci, których kupiono przed napaścią, musieli zapewne znajdować się na innym okręcie.

Pod masztem, na którym rozpięty był czarny żagiel, ozdobiony wizerunkiem wielkich, białych, szeroko otwartych oczu, siedziało na skórach trzech wojowników o jasnej skórze trzymających na skrzyżowanych kolanach krótkie brązowe miecze wyjęte z pochew. Obok nich piętrzył się stos tarcz i włóczni, których ostrza połyskiwały lekko w bladym blasku przedświtu. Środek okrętu zajmowały dwa rzędy wioślarzy. Za nimi zasłonięty żaglem stał człowiek nawołujący sennym, miarowym głosem.

Białowłosy rozprostował skostniałe ramiona i spróbował wyprostować nogi. Syknął z bólu i dotknął palcami uda.

Dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że gdy dobiegał do brzegu, trafiła go strzała. Uniósł palce ku oczom i spojrział. Rana nie krwawiła już, choć wyczuwał jej poszarpaną krawędź i dotknięcie sprawiło mu ból.

Poruszył ostrożnie nogą. Bolała, lecz nie utracił w niej czucia ani siły.

Starając się nie dotykać zranionym udem desek dna i podtrzymując je rękami siadł i spojrział na morze.

Po prawej, na niewysokich, łagodnych falach płynęły pod rozwiniętymi żaglami inne okręty. Naliczył ich siedem. Jeden był tak blisko, że nawoływanie sternika dobiegało wyraźnie ponad wodą, tłumiąc szum niewielkich fal i śpiew wiatru.

Opadł z powrotem na deski i ostrożnie podkulił zranioną nogę. Później, zauważywszy kątem oka, że jeden z trzech siedzących pod masztem wojowników wstaje, spojrział na niego. Choć nie miał on

teraz na głowie hełmu z czerwonym pióropuszem, Białowłosy rozpoznał w nim młodego dowódcę okrętu, który chciał go kupić od starego wodza plemienia.

Odsunawszy lekkim kopnięciem śpiącą kobietę, człowiek ów zbliżył się ku niemu.

- Czy możesz poruszać nogą, Trojańczyku?

- Tak, panie.

- Odwróć się, abym ujrzał ranę! - Ujął go za ramiona i przekręcił tak, że Białowłosy dotknął piersią desek. Lecz choć dotyk jego dłoni był silny i zdecydowany, uczynił to łagodnie. Przez chwilę wpatrywał się w ranę.

- Spróbuj poruszyć nogą!

Zaciskając zęby, chłopiec uniósł stopę i opuścił ją z wolna, póki palce nie dotknęły desek.

- Krwawiłeś tak obficie, że towarzysze moi chcieli cię wyrzucić do morza, abyś nie był zbędnym ciężarem wioślarzom i nie umarł tu, gdyż cień twój mógłby zawiązać nam drogę powrotu... - Roześmiał się krótko. - Nie zezwoliłem im na to i nie zezwoliłem przewiązać rany, aby zła krew spłynęła, gdyż strzała mogła być zatruta... - Zamilkł i znów pochylił się nad chłopcem. - Lecz nie była, gdyż brzegi rany są czyste i zagoiły się już.

- Dzięki ci, panie... - rzekł Białowłosy cicho, wciąż leżąc twarzą na deskach i nie odwracając głowy.

- Uczyniłem to, co winienem być uczynić... - mruknął kapitan. - Gdy biegłem ku chacie owego starego wodza, aby zabrać z niej piękne, złote przedmioty tam nagromadzone, natknąłem się przed sąsiednim domostwem na wojownika z włócznią. Nie dostrzegłem go, a gdy uniósł włócznię i wymierzył nią w moją pierś, pojąłem, że żywot mój dobiega kresu, gdyż nie było już czasu, by się osłonić. Wówczas tyś wyskoczył z chaty i uderzyłeś go w głowę, włócznia nie opadła, a ja ściąłem go z nóg i pobiegłem dalej. Lecz rozpoznałem cię po tych białych włosach. Później bogowie zezwolili ci dopłynąć do mego odbijającego okrętu. Pojąłem znak i przyrzekłem sobie, że jeśli nawet okulejesz, nie zezwolę, aby cię zabito, lecz zabiorę cię na mą wyspę i będziesz żył w moim domu. A oto widzę, że rana twoja goi się w sposób niemal cudowny. A że jesteś tak młody i wiele już zapewne przeżyłeś, można wierzyć, że bogowie otaczają cię szczególną opieką. Jak cię zwą?

- Nie mam jeszcze imienia, panie... - Białowłosy odwrócił się i usiadł ostrożnie. - W ojczyźnie mojej nadają je w chwili, gdy młodzieńca powiodą do pieczary Posejdona, aby odtąd był dojrzałym mężem. Matka moja i ojciec zwali mnie Białowłosym.

- I słusznie cię tak zwali, gdyż nie widziałem jeszcze człowieka, który nie będąc starcem miałby włosy tej barwy! - Młody żeglarz roześmiał się. - A mnie zwą Terteus. Ojciec mój jest królem wyspy Sytnos. Niewielka to wysepka, lecz skalista, i każdy, kto nie zna wejścia do przystani, zginie na skałach! - Znowu się roześmiał. - Ujrzysz to własnymi oczyma, gdy z pomocą bogów dopłyniemy tam za dni dwanaście lub mniej nawet, jeśli wiatr nadal będzie nam jak teraz sprzyjał... - Spowaźniał.

- Każę, aby ci dawano wiele jadła, gdyż utraciłeś więcej krwi, niż wolno utracić. A jak rzekłem, nie będziesz niewolnikiem.

- Dzięki ci, panie. Nie czuję głodu.

- Nie mów do mnie: panie, gdyż przystoi to jedynie niewolnikom.

- A więc, dzięki ci, Terteusie... - szepnął Białowłosy i osunął się na deski, gdyż pociemniało mu nagle w oczach i w głowie odezwał się cichy, rosnący szum.

I dodał w myśli:

„Dzięki ci, Wielka Matko, która nie odwróciłaś swego oblicza od tak nędznego stworzenia, jakim

jestem, nie będąc nawet dojrzałym mężem. Dzięki ci, że nie ukarałaś mnie, choć sądziłem, że zadrwiłaś ze mnie okrutnie...”

I znów, choć modlitwa jego zwrócona była ku bogini, ujrzał pod przymkniętymi powiekami spokojną twarz swej matki.

Z wysiłkiem otworzył oczy.

- Terteusie... - rzekł cicho.

- Cóż chciałeś rzec? - Młody kapitan pochylił się nad nim.

- Czyś... czyś zabrał owe złote skarby z chaty starego wodza?

- A czemuż pragniesz o tym wiedzieć? - Terteus zmarszczył brwi.

- Gdyż zabrałem je z pewnego grobowca w Egipcie...

Był z nimi mój nóż... prosty i nie mający żadnej wartości...

Nosiłem go w tej oto pochwie...

Uniósł rękę i dotknął sznura na piersi.

- Spojrzałem raz jeden na ów skarb... - rzekł Terteus wzruszając pogardliwie ramionami. - Leży on pod masztem, zawinięty w płótno. Lecz wstrzymaj się...

Odwrócił się i odszedł ku środkowi okrętu. Po chwili powrócił. Białowłosey, walcząc z ponowną falą słabości, otworzył oczy.

- Czy to ten?

- Tak, panie... tak, Terteusie...

Wyciągnął rękę, a kiedy poczuł w niej znajomy kształt, uniósł nóż ku wargom i ucałował go.

- Cóż widzisz w nim tak cennego? Czy przynosi ci szczęście?

Chłopiec zwrócił spojrzenie ku stojącemu nad nim mężczyźnie i uśmiechnął się.

- Jeśli powiem ci, że zabiłem nim rybę, wielką jak czółno, i egipskiego boga-potwora, nazwiesz mnie nikczemnym kłamcą i rozkażesz wyrzucić do morza rybom na pożarcie...

- Nie uczynię tego, gdyż pojmuję, że majaczysz na skutek zadanej ci wczoraj rany. Znałem starszych niżli ty, którzy prawili od rzeczy, gdy gorączka weszła w ich ciała. Uśnij, a gdy zbudzisz się, każę, aby cię nakarmiono i napojono.

Szóstego dnia Białowłosey wstał po raz pierwszy, przeszedł aż do masztu i powrócił na dziób, czując lekki ból w udzie. Na ósmy dzień poruszał się już niemal z dawną swobodą. Wiatr dał niezmiennie z południa i okręty płynęły szybko, oddalając się od gorącej ziemi egipskiej.

Przed zachodem Białowłosey ujął po raz pierwszy wiosło. Wiedząc, że wojownicy-wioślarze przyglądają mu się z drwiącym niedowierzaniem, zanurzył je w wodzie. Było ciężkie, a jego nadwątłone siły nie powróciły jeszcze w pełni, lecz radość, jaką odczuwał, kazała mu zapomnieć o wysiłku. Podobnie jak wszyscy oni był człowiekiem morza i pojmował jego ogrom, zmienną barwę i tajemnice, jak rolnik pojmuje ziemię, a pasterz, nie ucząc się tego nigdy, wróży z zachowania się stada nadchodzącą zmianę pogody lub grożące niebezpieczeństwo. Nawet śmierć sama, gdy miała nadejść na morzu, wydawałaby mu się zapewne inna, mniej straszliwa niżli ta, która krążyła nad nim pośród gorących piasków krainy oddalającej się teraz na południe i coraz bardziej nierzeczywistej, jak przerażający sen w miarę upływu czasu po przebudzeniu.

Na dziesiąty dzień Terteus, stojąc na dziobie okrętu i wpatrując się w migotliwą linię widnokregu, rzekł do niego:

- Wkrótce ujrzemy mój rodzinny brzeg, jeśli... nie spotkamy ich, gdyż w tej okolicy morza krążą oni niemal nieustannie czatując na nas.

- Kto?

- Kreteńczycy. Żeglarze nieśmiertelnego Minosa. Tędy wiedzie ich szlak handlowy do Egiptu i miast fenickich, także i owego Gubal, o którym mi opowiedziałeś. A mają oni przystanie i składy wszędzie na podbitych przez siebie wyspach, gdyż zbrojne ich ramię unosi się nad wodami świata, które przemierzają na niezliczonych, rządzonych jedną wolą okrętach. Dla tej przyczyny nienawidzą nas i naszego bohaterskiego rzemiosła. Przeszkadzamy im ile sił bogacić się jeszcze bardziej, choć ludzie powiadają, że na wyspie ich są skarby nieprzebrane, a władcy ich żyją w przepychu większym nawet niż boski faraon Egiptu. Byłoby rozumnym, gdyby kiedyś nasze niewielkie floty połączyły się i uderzyły na Kretę. Dzielniejsi jesteśmy niżli oni, lecz rozbici na maleńkie pirackie królestwa. A oni wypływają zwykle na morze wielką flotą i biada wówczas temu z nas, który ich spotka, gdyż żadnego pirata nie trzymają przy życiu, gdy go pochwycą.

- Czy dla tej przyczyny jeden z okrętów płynie dziś daleko w przodzie?

Białowłosy wskazał wysunięty ku przodowi czarny żagiel, który to niknął, to pojawiał się w mgielce oddalenia, wchodząc na fale i opadając w ich bruzdy.

- Tak. Jeśli dojrzał z daleka okręty kreteńskie, zawróci i będziemy uciekali tak długo, aż noc nie skryje nas przed ich oczyma. Są to okręty wielkie i widoczne z dala, więc łatwo je dojrzeć przy bezchmurnym niebie takim jak dziś, bogom niech będą dzięki!

Mimo że wypowiedział owe słowa pogodnym niemal głosem, Terteus nie opuszczał miejsca na dziobie okrętu i oczy jego nieustannie błędziły po widnokręgu.

Pozostałych siedem okrętów płynęło blisko siebie, tak że można było niemal porozumieć się z nimi głosem. Młody dowódca zwrócił głowę w kierunku najbliższego i nagle wyprostował się, przykładając dłoń do oczu.

- Oto one! - zawołał i wyciągnął rękę. Białowłosy dostrzegł je w tej samej chwili.

Nie znajdowały się na wprost dziobu, tam gdzie płynął samotny okręt, który miał ostrzec o ich pojawieniu się, lecz wynurzyły się z prawej, nadchodząc ze wschodu. Było ich kilkanaście, wielkich, różnobarwnych, o prostokątnych białych żaglach. Wynurzone były z wody znacznie wyżej niż smukłe okręty piratów i w blasku słońca chłopiec ujrzał w oddaleniu jasny rząd wiosła unoszący się i opadający u burty najbliższego okrętu, który zbliżał się zdumiewająco szybko.

Terteus skoczył w stronę masztu, roztrącając zbitą gromadkę przerażonych jeńców. Nałożył hełm, chwycił wysoką tarczę i włócznię. Ludzie przy wiosłach mieli już swój oręż obok siebie, spoczywający na dnie okrętu.

Białowłosy stał nieruchomo, nie mogąc oderwać oczu od rosnących szybko białych żagli, które przybliżały się ku nim, pragnąc przeciąć drogę okrętom piratów.

Słyszał za sobą w ciszy ostro wypowiedziany rozkaz i czuł, że okręt zakołysał się gwałtownie zmieniając kierunek.

W tej samej chwili wszystkie okręty piratów rozpierzchły się wybierając różne kierunki, tak aby pościg musiał się także podzielić. Okrzyki sternika przestały być śpiewne i stały się szybsze, urywane. Wiosła uderzyły w wodę z głośniejszym pluskiem. Okręt przyspieszył.

W chwili, gdy wykonali skręt, ścigający zniknęli mu z oczu za żaglem, teraz, wychyliwszy się, dostrzegł wielki, błękitny okręt, który przybliżył się znacznie. Pośrodku białego, wzdętego żagla wyobrażona była głowa byka o niemal prostych, purpurowych rogach. Głowa ta zdawała się unosić ponad falami, coraz bliżej i bliżej.

Przez chwilę wydawało mu się, że odległość pomiędzy okrętami rośnie. Głos sternika stawał się

coraz bardziej ochrypli i szybszy. Nawoływanie nadbiegało jak bicie rozszalałego serca: „Płyn-przez-fa-le! Płyn-przez-fa-le!”

Lecz wiosła okrętu kreteńskiego także unosiły się i opadały prędzej, niżli mógłby uwierzyć, gdyby nie patrzył na to, a ogromny żagiel, chwyciwszy pomyślny wiatr, pchał błękitny kadłub w ślad po bruździe pozostawionej przez uciekających.

Dalej widział inne okręty piratów rozpierzchające się na wszystkie strony. Odwrócił na chwilę oczy ku morzu rozciągającemu się przed dziobem. I zmartwił.

Daleko przed nimi wyrastały na linii widnokregu trzy maleńkie jeszcze białe żagle. Płynęły wprost na nie.

Rzucił się ku tyłowi okrętu i dopadłszy Terteusa, który stał nieruchomo wpatrzony w ścigającego ich wroga, zawołał tylko:

- Tam! Spójrz!

Terteus przysłonił oczy ręką i krzyknął:

- Zwolnić! Gdy zbliży się, zawróćmy! Jeśli nie zdąży uderzyć w nas dziobem, przemkniemy obok niego! Tam, przed nami, nadpływają inni Kreteńczycy!

Ludzie nie unieśli nawet głów znad wiosł. Okręt zwolnił nieco.

Terteus stał wpatrzony w zbliżający się dziób nieprzyjacielskiego okrętu. Rósł on w oczach, rozrastał się nadpływając i Białowłosa, patrząc oczyma pełnymi przerażenia, dostrzegł wyraźnie na dziobie rzeźbioną głowę kobiecą. Głowa ta uśmiechała się spokojnie. Była tuż, tuż...

Terteus, osłonięty tarczą, uniósł rękę i trzymał ją przez chwilę w górze. Nagle opuścił ją.

- Lewe wiosła w tył! Praaaaaawe... wprzód! - zakrzyknął sternik, napierając równocześnie na wiosło sterowe.

Okręt pochylił się nagle głęboko i obrócił niemal w miejscu, zataczając maleńkie koło na falach, tuż przed dziobem nadpływającego wroga.

- Haaa... ii!

Wszystkie wiosła uderzyły naraz z potwornym wysiłkiem i czarny, smukły kadłub uniósł się niemal w powietrze, pchnięty nadludzkim wysiłkiem ramion.

Śmignęli tuż pod bokiem kreteńskiego okrętu.

W tej samej chwili sypnęły się na nich strzały. Białowłosa przykucnął kryjąc się za tarczą Terteusa. Usłyszał wysoki wrzask kobiecy i czyjś jęk w pobliżu. Siedzący najbliżej niego wiosłarz uniósł się i padł przez wiosło bluzgając krwią z przebitego strzałą gardła.

Jeszcze chwila i okręty oddaliły się od siebie. Chłopiec skoczył ku przodowi i odepchnąwszy trupa, który stoczył się na dno okrętu, pochylił się nad wiosłem.

Nie słyszał niemal głosu sternika. Widział przed sobą rząd pochylających się i prostujących pleców, więc pochylał się i prostował jak one, nie czując niemal wysiłku. Widział teraz jedynie morze po lewej.

Nagle dostrzegł, że wiosłarze zrywają się z miejsc chwytając za tarcze i włócznie. Uniósł głowę. Okręt zatrzymał się niemal.

Tuż przed nim i po lewej dostrzegł dwa okręty kreteńskie przecinające im drogę. Byli otoczeni. Porwał tarczę zabitego wiosłarza, jego hełm i włócznie i stanął wraz z innymi, przytknąwszy brzeg tarczy do brzegu tarczy sąsiada.

„Nie mam miecza...” - zdążył jeszcze pomyśleć dziwiąc się sobie, że myśli tak spokojnie. Nagle potężne uderzenie zbiło go z nóg.

Starli się burtami z Kreteńczykami. Zrywając się na nogi ujrzał na tamtym okręcie twarze pod wysokimi brązowymi hełmami.

Usta ich były otwarte, lecz nie słyszał krzyku. Coś uderzyło w jego tarczę i osunęło się, nie przebijając jej. Zachwiał się, wyprostował i zamachnął.

Widział wyraźnie swą włócznię, unoszącą się w powietrzu i płynącą ukośnie w górę ku kreteńskiemu pokładowi. Ujrzał człowieka, który osłonięty był wielką, sięgającą od stóp do brody tarczą, lecz poruszył się i przesunął ją o tyle, że włócznia wpadła w tę lukę, zatrzymała się ugodziwszy go w bok, uniosła i z wolna opadła, a wraz z nią ów człowiek, lecący głową w dół... Zniknął.

Obejrzał się. Drugi okręt kreteński był tuż-tuż. Białowłosy skulił się i nakrył tarczą, gdy grad strzał runął ponownie, tym razem w plecy walczących.

Dostrzegł jeszcze Terteusa, który z uniesioną tarczą i wymachując mieczem nad głową rzucił się ku nacierającemu drugiemu okrętowi.

I wówczas stało się coś, czego Białowłosy nie przewidział. Ludzie na kreteńskim okręcie odrzucili oręż, schylili się, unieśli w rękach długą sieć i cisnęli ją na stłoczonych piratów.

Poczuł, jak oplatają go ostre wrzynające się w ciało sznury. Zobaczył czerwony pióropusz Terteusa zagarnięty w głąb sieci i upadł.

A wówczas tamci z mieczami w rękach zaczęli zeskakiwać w dół, na dno pirackiego okrętu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nie prosiłem cię o łaskę

Wstał świt, drugi od chwili ich pojmania. Pochylając się nad wiosłem Białowłosa dostrzegł kątem oka niewielką skrzydlatą rybę, która wystrzeliła ponad krótkie fale, przecięła powietrze jak ciemnobłękitna strzała i zniknęła bez plusku pod rozmigotaną zieloną powierzchnią.

Oblizył językiem słone wargi i przymknąwszy oczy napałł piersią i ramionami na wiosło. Przed sobą miał rząd pleców pochylających się wraz z jego plecami i prostujących, gdy głos nadzorcy kończył śpiewnie swój nieustający, powracający rozkaz. Nadzorca był teraz w przedzie. Przechadzał się z wolna, nawołując i zatrzymując od czasu do czasu, by sprawdzić, czy wioślarze-niewolnicy wkładają wszystkie siły w pracę. Chłopiec usłyszał z dala świst bata i ostry odgłos uderzenia w skórę ludzką.

Zagryzł wargi. Przed nim pochylał się nagi grzbiet Terteusa, przecięty krwawą pręgą. Przed godziną nadzorca uderzył go bez żadnej przyczyny, gdyż wiosłował jak inni, a może lepiej, będąc człowiekiem młodym, o wielkiej sile i wprawnym do wiosła od dzieciństwa. Lecz Kreteńczycy wiedzieli, że przewodził na zatopionym okręcie pirackim i zapewne czekała go śmierć, a nie napotkał jej jeszcze jedynie dlatego, gdyż wraz z innymi musiał zastąpić wioślarzy kreteńskich, zabitych i rannych podczas starcia.

Ponownie rzucił okiem na morze. Pośród mgły porannej widać było wysoki, odległy samotny szczyt górski, a dalej inne. Wymijali je od południowej strony, kierując się ku północnemu zachodowi. Szczyt ów był daleko, zapewne o pół dnia drogi, może nieco mniej. Lecz nie mogła to być Kreta, gdyż łód cofnął się i ponownie przed dziobem ukazało się bezkresne morze, coraz jaśniejsze w blasku rozpoczynającego się dnia.

Nieustannie wiał przeciwny wiatr i wczoraj w południe zwinięto żagiel na wysokim maszcie. Złocista głowa byka o pustych oczach zniknęła, lecz wraz z nią i nadzieja, że wioślarze z nogami przywiązanymi do poprzecznych belek swych ław będą mogli wstać, a później położyć się i odpocząć nieco. Nocą kapitan nakazał na pewien czas zaprzestać wiosłowania połowie wioślarzy, a później drugiej połowie. Otrzymali też suche placki i wodę w glinianych naczyniach roznoszona przez ciemnoskórych żołnierzy. Usnął wówczas z ramionami opartymi na drzewcu wciągniętego wiosła. Zbudziło go uderzenie pięścią w plecy. Ciemnoskóry żołnierz szedł szybko, uderza jąc kolejno siedzących, obojętny i sprawny, jak gdyby uderzał w drewniane figury. Cios pięścią był tak silny, że chłopiec stracił oddech i przez długą chwilę kasłał napierając na wiosło. Nadzorca zbliżył się wówczas i stanął nad nim przyglądając mu się uważnie. Lecz nie uderzył go i odszedł na rufę, skąd nadal dobiegał jego śpiewny, donośny głos. W tej chwili Białowłosa wiedział już, że nadzorców tych było dwóch i pełnili swą powinność na zmianę. W tyle okrętu i w zagłębieniu pod

jego wysokim dziobem siedzieli żołnierze, a co pewien czas czterej z nich chwyтали swe lekkie oszczepy i ogromne tarcze, uczynione jak gdyby z dwóch spojonych z sobą kół, i udawali się ku podwyższeniu pod masztem, gdzie rozpięto purpurowy namiot wyszywany w rozkwitłe błękitne lilie. Tam stawali przed wejściem i trzymali straż, stojąc tak nieruchomo, jak na to pozwalało kołysanie okrętu.

Białowłosa widział to wszystko dokładnie, gdyż miejsce jego znajdowało się na wprost namiotu.

W namiocie mieszkał człowiek o wielkim zapewne znaczeniu, gdyż nadzorcy mówili do niego zgięci w pokłonie i z dłońmi przyłożonymi do piersi.

Człowiek ów odziany był w złotą opaskę na biodrach i błękitne obcisłe buty z cienkiej skóry sznurowane purpurowymi wstęgami. Włosa miał długie, ciemne, opadające puklami na nagie ramiona, jak gdyby był kobietą, a twarz jego była gładko wygolona jak twarze egipskich kapłanów. Nie był stary, lecz brak brody czynił go w oczach chłopca jeszcze młodszym. A najbardziej zdumiewające było to, że choć był tu najwyraźniej panem i wodzem, nie nosił żadnej broni, a gdy rano wyszedł przed wieczorem z namiotu, trzymał w ręce rozkwitły czerwony kwiat na długiej łodydze i przechadzając się wahał go od czasu do czasu w zamyśleniu. Gdy minął Białowłosego, pozostawił za sobą woń podobną kwiatom. Zapewne namaszczony był pachnidłami jak córki kupca Ahikara w Gubal. Wraz z owym dostojnikiem dzielił namiot chłopiec, być może nawet czternastoletni, lecz drobny, szczupły i jak gdyby przedwcześnie dojrzały, gdyż ruchy jego były równie wyniosłe i powolne jak ruchy jego brata... Gdyż Białowłosa osądził, że ów dostojnik z kwiatem w dłoni zbyt młody jest, aby mógł być ojcem dorastającego syna.

Stary niewolnik, ubrany jedynie w białą przepaskę i sandały, nosił za owym chłopcem pofarbowaną na żółto i zielono małą małpę, jedyną istotę, wobec której ów okazywał nieco zaciekawienia. Głaskał ją, raz nawet wziął na ręce i kilkakrotnie dał jej jakiś mały owoc z jaskrawo ubarwionego naczynia, które niewolnik miał przytwierdzone do zapaski rzemykiem przeciągniętym przez oba jego ucha.

Chłopcu najwyraźniej nie służyło kołysanie okrętu. Wyszedł w ciągu całego dnia jedynie dwukrotnie, wówczas gdy morze było najspokojniejsze. Zapewne dzień cały spędził leżąc na pośłaniu.

Napierając na wiosło zmęczonymi ramionami i mając w uszach rosnący i opadający głos nadzorcy, Białowłosa żałował teraz, że nie poprosił Lauratasa, aby opowiedział mu więcej o swej ojczyźnie. To prawda, że mówili językiem podobnym do mowy jego ludu, lecz brzmiał on nieco inaczej, a niektórych słownie mógł pojąć. Być może były to słowa, których nie pojąłby w żadnej mowie, gdyż dotyczyły spraw i rzeczy nieznanych?

Wzeszło słońce. Dostrzegł, że zasłona namiotu drgnęła. Stojący na straży żołnierze unieśli swe ogromne dwukoliste tarcze i wyprostowali ramiona, w których trzymali włócznie. Lecz nikt nie ukazał się, a spoza zasłony dobiegło jedynie kilka słów wypowiedzianych sennym, przytłumionym głosem. Jeden z żołnierzy ruszył pospiesznie ku kapitanowi, zatrzymał się przed nim i wskazując namiot zawołał:

- Bogom podobny Widwojos przebudził się!

Później zawrócił, zbliżył do namiotu i stanął w miejscu, które przed chwilą opuścił.

Białowłosa na pół powstał, napał na wiosło i z wolna opadł na ławę. Dłonie piekły i czuł ból w plecach, aby więc nie myśleć o tym, wpatrzył się w drgającą zasłonę namiotu.

Dwóch ciemnoskórych niewolników zbliżyło się od strony dzioba niosąc wielkie naczynia, za

nimi nadszedł trzeci dźwigający niewielką skrzynię. Wszyscy trzej uklękli przed namiotem i postawiwszy niesione przez siebie przedmioty na deskach pokładu, znieruchomieli. Za nimi zbliżył się stary niewolnik z małpą na ramieniu. Dopiero teraz Białowłosa zauważył, że małpa ta miała na szyi obrozę wysadzoną kamieniami, które migotały odbijając promienie słońca. Niewolnik z małpą mógł zapewne okazywać owym dostojnym ludziom więcej poufałości niż pozostali, gdyż zbliżywszy się do namiotu uchylił lekko zasłonę, spoza której dobiegł głos chłopca. Niewolnik pochylił się i wszedł. Po chwili wynurzył się znowu i odszedł, lecz małpa najwyraźniej pozostała w namiocie, z którego dochodziły teraz dwa głosy - męski i chłopięcy.

Wreszcie ukazali się obaj. Byli nadzy, a włosy ich po przebudzeniu ze snu nie układały się w pukle, lecz spadały w nieładzie. Stary niewolnik powrócił niosąc na ramieniu białe lniane ręczniki. Wszedł do namiotu i wrócił z małpą, która siedząc na jego ramieniu przyglądała się obojętnie przygotowaniom.

Rozścielono na pokładzie ręcznik. Dostojny Widwojos siadł na nim, a niewolnik pochylił się i zaczął polewać z naczynia ciało jego wodą, która tryskała szeroko drobnymi strumykami przez niewielkie otworki zmyślnie hamujące jej spadanie.

Gdy cała woda została wylana, wytarto ciało Widwojosa ręcznikiem, a niewolnik wyjął ze skrzynki alabastrowe flakony i wylewając sobie kolejno na dłoń ich zawartość zaczął ją wcierać w skórę pana, zręcznymi, szybkimi ruchami obiegając rękoma całe jego ciało. To samo czynił inny z chłopcem. Wreszcie opasano ich obu złocistymi przepaskami i obuto nogi w miękkie buty. Później niewolnik zaczął szerokim kościanym grzebieniem czesać i układać im włosy.

Na dziobie rozległ się okrzyk i po chwili pojawił się nadzorca.

- Panie mój - rzekł tak głośno, że słowa jego dobiegły wyraźnie do uszu Białowłosego. - Widać już szczyt wyspy Kazos!

Widwojos lekkim ruchem ręki odsunął dłoń niewolnika, który układał jego lśniące ciemne włosy, przez chwilę nie odpowiadał, później skinął głową.

- Uczyni, jak ci nakazałem wczoraj. Zawiniemy do przystani.

I odwrócił wzrok od stojącego. Nadzorca wyprostował się i szybkim krokiem ruszył ku tyłowi okrętu, gdzie dwaj sternicy stali oparci o grube wiosła sterowe.

Okręt drgnął, pochylił się i Białowłosa uczył, że wiatr wiejący mu do tej pory prosto w oczy uderza z lewej.

Drugi nadzorca przeszedł szybko wzdłuż rzędu wiosłarzy i zawołał ku dziobowi, skąd nadbiegli ludzie i rzucili się ku luźno zwisającym linom ożaglowania. Z wolna wielki biały żagiel uniósł się w górę, a złocisty łeb byka o potężnych purpurowych rogach zakołysał się nad okrętem i wygiął lekko, chwyciwszy wiatr.

Widwojos wstał i skinąwszy na nadzorcę rzekł:

- Daj wypocząć teraz wiosłarzom, gdyż nie wiem, jak długo zatrzymamy się na Kazos, a chciałbym, aby byli wypoczęci i gotowi do drogi. Wycieńczony niewolnik nie służy nikomu.

Okręt płynął teraz nieco szybciej niż uprzednio, gdyż pchał go sprzyjający wiatr.

- Unieść wiosła i wciągnąć! - krzyknął nadzorca.

Białowłosa pociągnął wiosło ku sobie na długość rzemienia, na którym było umocowane na wypadek, gdyby miało wysunąć się z ręki wiosłarza. Podtrzymując je ramieniem, rozplatał rzemień i wysunął go z pierścienia na burcie. Później zaczął powoli cofać wiosło, wstał i wciągnął je na okręt. Widząc, że inni wsuwają je pod ławy, odszedł dwa kroki, gdyż na tyle pozwalał mu sznur. Zachwiał

się i przytrzymał rękami ławy.

- Odwiążcie się! - krzyknął nadzorca i szybko przeszedł wzdłuż wioślarzy, by sprawdzić, czy wszyscy zdolni są powstać. Krzyk jego dobiegł teraz od strony steru: - Podejdźcie tu!

Ruszyli prostując zdrętwiałe nogi i ramiona. Okręt nie był załadowany, więc wielka, ogromna bariera ładownie na rufie była pusta. Tam na znak nadzorcy skupili się, padając na spojone smołą deski. Terteus usiadł obok Białowłosego.

- Przybijamy do Kazos... - rzekł półgłosem. Uniósł głowę i przyjrzał się dalekiemu szczytowi góry widniejącej nieco na lewo przed dziobem pod reją wzdętego żagla.

- Tam zapewne zabiją mnie... - Uśmiechnął się bezradośnie. - Lecz ty będziesz żył. Mają oni wielu pisarzy i urzędników, którzy będą pytali każdego z nas, kim jest i skąd pochodzi, aby przydzielić go do pracy, którą umie wykonywać. Jedyne piratów składają na ofiarę Wielkiej Matce lub Minotaurowi, który objawia się widomie jako święty byk, a jest ich bogiem podziemnym.

- Lecz czemuż by nie mieli cię pozostawić jako niewolnika na okręcie? - Białowłose pokręcił z niedowierzaniem głową. - Jesteś młody, silny i cóż im przyjdzie z odebrania ci życia?

- Każdy pirat, który wpadnie w ich ręce, musi zginąć, jak ci już rzekłem. Gdyż moc ich jest wsparta na morzu, handel ich jest handlem morskim, a ludy przez nich podbite dzieli od nich morze. Jest ono dla nich tym, czym powietrze dla ciebie i dla mnie. A piraci szarpią ich i tych, z którymi oni handlują, porywają ich okręty, towary i ludzi. Słusznie więc czynią zabijając nas. - Wzruszył ramionami. - Człowiek rodzi się po to, aby umrzeć. Skoro mam zginąć na Kazos, nie zginę gdzie indziej. Nie będę też cierpiał smutków starości, pochylonych pleców, osłabłych ramion i na wpół oślepych oczu. Zresztą tak długą nić uprzedły dla mnie Parki w chwili, gdy narodziłem się, a nie dłuższą. Na nic nie zdadzą się tu łzy ani smutek. Przodkowie moi czekają na mnie w krainie cieni.

- Żyjesz jeszcze, Terteuszu, więc nie uprzedzaj woli bogów. I ja bytem już jedną nogą w Hadesie i żegnałem się z życiem, i to nie raz, lecz kilka razy, choć jestem jedynie chłopcem, a nie dojrzałym mężem. A oto widzisz mnie żywego.

- Dobry z ciebie chłopiec...

- Terteus uśmiechnął się.

- Lękam się jednak, że stanie się tak, jak stać się musi.

A nie wiem nawet, czy nie zabiją mnie lub innego ze schwytanych piratów na ołtarzu okrętowym, nim okręt przybije do brzegu. Gdyż bywa i to w ich zwyczaju, gdy powracają po zwycięskiej bitwie. Spójrz na żołnierzy. Nie spuszczają nas z oka, choć nie mamy gdzie uciec, a do brzegu nie przybijemy przed południem, jeśli nie później.

Rzeczywiście, wioślarze odgradzeni byli od reszty okrętu rzędem wojowników, którzy wsparci na tarczach stali w rozkroku, trzymając w rękach obnażone krótkie brązowe miecze.

Od śródokręcia zbliżył się jeszcze jeden żołnierz, podszedł ku leżącym wioślarzom i końcem włóczni trącił Białowłosego, a później Terteusa:

Pójdźcie za mną po wodę i jadło dla wioślarzy.

Odwrócił się, nie obdarzwszy ich nawet spojrzeniem, i ruszył ku dziobowi okrętu. Zerwali się i poszli za nim. Żołnierze przepuścili ich rozsunawszy tarcze i zwarli je za nimi, jak gdyby zamykali wrota.

Na dziobie stały powiązane rzemiennymi sznurami wielkie pitosy z wodą, nakryte glinianymi pokrywami. Obok przytwierdzone były surowe, niemalowane dzbany. Żołnierz zatrzymał się i stojącemu obok pitosów człowiekowi wskazał Białowłosego i Terteusa.

- Jest ich pięćdziesięciu jak wprzód - rzekł obojętnie. - Żaden jeszcze nie umarł.

Odwrócił się i cofnął szybko, gdy dostrzegł nadzorcę zbliżającego się do dzioba.

- Usuńcie się! - krzyknął nadzorca i po raz drugi uderzył Terteusa batem, tym razem przez pierś.

Odskoczyli Ku obrzeżeniu z desek okalającemu dziób.

Od strony namiotu zbliżał się Widwojos, a towarzyszył mu chłopiec z małpą na ramieniu.

Małpa wydawała się bardziej ożywiona i wyciągała owłosione rączki do owocu, który chłopiec trzymał z dala od niej na długość wyciągniętego ramienia, drażniąc się z nią i przytrzymując ją drugą dłonią.

Dostojny Widwojos był zagłębiany w myślach, uniósł głowę i spojrzął na daleki ład, a później odwrócił oczy. Szli obaj po pomoście biegnącym przez środek okrętu, mając po obu stronach w dole ławy wioślarzy.

Terteus i Białowłosa nieznacznie zsunęli się w dół, by nie stanąć w drodze nadchodzącym, i przywarli do niskiego podwyższenia burty tuż ponad grzbietami fal.

Dostojny Widwojos zatrzymał się przed pitosami na dziobie i powiódł wzrokiem po morzu. Przed nim była daleka wyspa wynurzająca się z wolna i rosnąca wokół wierzchołka góry, który ujrzeli już wcześniej. W tyle, za nimi, płynęły w znacznej odległości inne okręty kreteńskie.

Białowłosa, pochyliwszy głowę, przyglądał się spod oka miękkiemu butom dostojnika, lekkim i tak obciskającym nogę, jak gdyby namalowano je na skórze.

W tej samej chwili małpa wyrwała się chłopcu, pochwyciła owoc i skoczyła na obramowanie biegnące od dzioba ku bokom okrętu.

Chłopiec krzyknął i skoczył za nią, potknął się o leżący koniec liny przytwierdzającej dół żagla do burty, zrobił wielki, zbyt wielki, krok ku przodowi, uderzył ramieniem o burtę i nadal mając wyciągnięte odruchowo ręce, pochwycił nimi małpę, zachwiał się i wyrzucony ruchem okrętu zstępującego z fal, zniknął za burtą tak cicho, jak gdyby pragnął tego. Nie wydał przy tym głosu.

Ktoś krzyknął. Dostojny Widwojos uniósł głowę, jakby nie pojmując, co się wydarzyło. Białowłosa odwrócił się i wychylił za obramowanie.

- Stój! - syknął Terteus.

Chłopiec nie usłyszał go. Uniósł się i skoczył w zielone fale, jak najdalej od przesuwającego się błękitnego kadłuba. Lecąc w powietrzu, myślał przez ułamek chwili o tym, jak daleko przesunęli się od czasu, gdy chłopiec wypadł.

Dotknął wody, zanurzył się i wypłynął. Fale nie były, na szczęście, wysokie, lecz nie mógł dostrzec niczego w odległości większej niż kilka stóp. Usłyszał okrzyki na okręcie, który minął go już. Nie zwracał na nie uwagi. Zagarniając wodę ruszył w przeciwnym kierunku.

Płynął, trzymając głowę jak najwyżej, zalewany przez niewielkie grzbiety fal i unoszony przez nie na krótko.

Nagle dojrzał małpę, mignęła mu jej różnobarwna, farbowana sierść. Zbliżył się i walcząc z przeciwnym, wiejącym w twarz wiatrem, rozejrzał się. Chłopca nie było widać. Był już blisko małpy i wtedy ujrzął go. A raczej jego ramię, które wynurzyło się spod wody i zniknęło. Później ukazała się głowa, rozszerzone lekkiem oczy i usta otwarte do krzyku.

Pomimo szumu fal, usłyszał chrapliwe rżenie.

- Zamknij usta! - krzyknął Białowłosa, lecz głowa chłopca znowu zniknęła pod wodą. Jedyne małpa, uczipiona konwulsyjnie jego ciała, była drogowskazem. Ale i ona zniknęła nagle pod nadchodzącą falą.

„Nie wypłyną już...” pomyślał Białowłosy.

Był tuż obok miejsca, gdzie przed chwilą się znajdowali. Chciał zanurzyć głowę, by zobaczyć, czy jeszcze są pod powierzchnią, gdy fala odsłoniła ciało chłopca... jego bezwładne ramię z uczeponą małpą.

Białowłosy chwycił je i szarpnął. Głowa wynurzyła się, lecz oczy były zamknięte, a usta rozchylone.

„Utonął...” - pomyślał, a raczej mignęło mu to przez głowę, gdyż małpa rozpaczliwie wyciągnęła drobne ramiona i objęła go za szyję dusząc niemal. Uniósł wolną rękę i oderwał ją z wysiłkiem. Poczł ostry ból w ramionach, które darła pazurami. Nie puszczając ręki chłopca, szarpnął małpę, lecz nie dała się odczepić. Miał ją teraz na karku. Piszczala przeraźliwie, lecz mógł już oddychać. Przyciągnął chłopca i pracując rozpaczliwie nogami, aby nie dać się zakryć falom, uniósł jego głowę, trzymając ją w zagłębieniu łokcia. Drugą ręką zagarnął wodę i odwrócił się ku okrętowi czując, że ranna noga zaczyna omdlewać...

Nadbiegająca fala zalała mu usta i oczy, gdy minęła, dostrzegł okręt zawracający dopiero teraz...

„Wioślarzy nie było na ławach, a żagiel był rozpięty...”

- pomyślał spokojnie, tak spokojnie, że gdy później wspomniał owe chwile, nie mógł pojąć, jak z oszalałą małpą na karku, topielcem podtrzymywanym nad powierzchnią wzburzonej wody, omdlewającą nogą, którą tak niedawno przebiła strzała, głodny i po straszliwym wysiłku przy wiosle, mógł myśleć i walczyć.

Następna fala wyniosła go i dostrzegł blisko okręt. Przez burtę rzucono sieć, spuszczaali się po niej w dół ludzie. Ktoś skoczył do wody, za nim drugi człowiek... Byli blisko, lecz fale zakryły, ich przed nimi.

Nagle tuż przed sobą zobaczył jasną głowę Terteusa i usłyszał jego wesoły niemal głos:

- Weźmiemy go między siebie, ty głupcze!

Uczł przyjazne ramię i nagle siły powróciły. Płynąc obok siebie i podtrzymując bezwładną głowę chłopca, zbliżyli się do okrętu. Sieć była tuż, tuż...

Dołączył do nich trzeci człowiek i dotarli do burty.

Wiele rąk wyciągnęło się i bezwładne ciało powędrowało w górę, ociekając wodą.

Nagle ciężar na karku zelżał i Białowłosy, trzymając się sieci i oddychając ciężko, dostrzegł małpę wspinającą się błyskawicznie po sznurze. Z piskiem zniknęła w górze.

Twarze nad burtą cofnęły się. Z wysiłkiem, mając za sobą Terteusa, wspiał się, zawisł na chwilę na obramowaniu burty i niemal runął w dół, gdyż nagle opuściły go siły. Oparty o ławę wiosłarską siedział wypluwając wodę, oddychając ciężko, nie widząc i nie słysząc niczego.

Ale z wolna głosy naokół zaczęły docierać do niego.

Usłyszał wysoki okrzyk mężczyzny:

- Synu mój... synu mój!

I drugi głos, smutny i pełen czci:

- Taka była wola bogów, o najdostojniejszy...

Uniósł głowę. Nad nim, na pomoście biegnącym przez środek okrętu, zgromadzili się w jednym miejscu ludzie.

„Nie żyje... - pomyślał leniwie Białowłosy. - Prędko utonął... musiał wypić zbyt wiele wody, gdy krzyczał... biedny, mały głupiec...”

Choć byli zapewne rówieśnikami, tamten wydał mu się dzieckiem. A oto nie żył.

Odwrócił głowę. Terteus siedział za nim na ławie i oddychał ciężko. Widząc, że Białowłosa spogląda na niego, uśmiechnął się lekko. Najwyraźniej nie zmartwiła go śmierć młodego Kreteńczyka.

- Synu mój synu jedyny...

Głos mężczyzny nie był zawodzący, lecz straszliwie spokojny. Słowa nie znaczyły tu nic. Było za późno.

„A więc to jego syn! - pomyślał Białowłosa ze zdziwieniem. - Czy mój ojciec mówiłby tak, gdybym utonął? Jestem także jego jedynym synem...”

Nie, jego ojciec nie rzekłby słowa. Był jedynie rybakiem, nie dostojnikiem. Walczyłby długo o przywrócenie go do życia, gdyż często człowiek, pozornie umarły po wydobyciu z wody, może ożyć, jeśli się go umie ratować, lecz nie powiedziałby słowa...

Zerwał się nagle. „Czemu go nie ratują?! - pomyślał i wskoczył na pomost. Stał teraz za plecami ludzi otaczających kręgiem leżące ciało.

Białowłosa przecisnął się między nimi i znalazł na wprost dostojnego Widwojosa, który klęczał nad leżącym trzymając jego bezwładną dłoń w swych rękach. Milczeli wszyscy.

- Panie... - rzekł cicho Białowłosa.

Dostojny Widwojos zdawał się go nie słyszeć, a stojący obok nadzorca spojrzał nań straszliwym wzrokiem i porwał za rękę, sztyletu wetkniętego za opaskę na biodrach.

- Nikczemniku! - krzyknął. - Czy nie widzisz, że pan nasz utracił syna? Teraz przychodzisz po nagrodę?! Wnet ją otrzymasz!

I wyrwał sztylet z pochwy. Widwojos uniósł głowę.

- Stój! - rzekł cicho i kapitan zamarł w bezruchu. - Czego pragniesz, chłopcze? Chciałeś... Chciałeś go ocalić...

- Panie... - rzekł Białowłosa. - Czy ratowaliście go?

Przecież niedawno zanurzył się i... - Urwał.

- Nie żyje... - rzekł cicho Widwojos.

Białowłosa pochylił się.

- Panie, jestem rybakiem... Był krótko pod wodą...

Czy zezwolisz mi uczynić to, co uczyniłbym, gdyby mój towarzysz wpadł do wody? Jeśli jest zbyt późno, nie utracisz więcej, niż utraciłeś, lecz jeśli dusza jego nie odeszła do krainy cieni, trzeba czynić szybko to, co należy czynić, gdyż w przeciwnym wypadku odejdzie tam niebawem...

Kreteńczyk uniósł głowę, później wstał i przysłonił oczy dłonią.

- Próbuj... - rzekł cicho. - Czyń, co zechcesz. Jeśli... jeśli uda ci się... - Głos mu się załamał. - Nie będę ci niczego obiecywał, gdyż... gdyż... On nie żyje.

Odwrócił głowę i zamilkł. Białowłosa nie słyszał jego ostatnich słów.

- Terteusie! - zawołał odwracając się. Młody pirat stał poza kręgiem, słuchając. Teraz wysunął się ku przodowi.

- Połóż się twarzą ku ziemi! - zawołał Białowłosa i Terteus skinął głową ze zrozumieniem. Położył się, a chłopiec uniósł ciało na wznak i położył je przez jego grzbiet głową ku dołowi, tak że ciemne mokre włosy dotknęły pokładu. Pochylił się i naciskając na pierś leżącego przesunął ręce ku przodowi i ponownie do tyłu. Z ust chłopca popłynęła wąska strużka wody. Białowłosa uniósł ciało i opuścił je z wolna, dziwiąc się w duchu, jak było lekkie. Otworzył usta leżącego i wyprostował jego wygięty ku tyłowi język.

- Usuń się, Terteusie... - rzekł szybko i uniósł ciało. Młody pirat zrobił krok na czworakach i podniósł się z pokładu. Białowłosy uklęknął okrakiem nad leżącym.

Wokół była zupełna cisza przerywana jedynie szumem fal przechodzących wzdłuż błękitnych burt zatrzymanego okrętu.

Dostojny Widwojos obrócił głowę i zaczął wpatrywać się szeroko otwartymi oczyma w to, co działo się u jego stóp. Białowłosy zaczerpnął głęboko powietrza, pochylił się i przyłożył wargi do ust leżącego... wyprostował się i uczynił to raz jeszcze...

Tak czyniono w jego stronach, gdy tonący nie dawał znaku życia. Czasem powracał on do ludzi, a czasem było za późno... lub może bogowie nie pragnęli mu oddać tchnienia przekazanego cudzą pierśią.

Pochylał się i prostował, aż poczuł pot zalewający mu plecy i pierś...

Jeszcze raz... i jeszcze raz...

Wyprostował się i spojrzał. Wydało mu się, że powieka leżącego drgnęła. Pochylił się i przyłożył ucho do piersi. Wiedział, że wszyscy spoglądają na niego czekając.

Białowłosy wyprostował się, nabrał powietrza i znowu przyłożył usta do ust leżącego.

I wówczas powieka chłopca uniosła się na krótką chwilę i opadła.

- Żyje! - rzekł cicho bogom podobny Widwojos i uniósł obie ręce, a później opadł na kolana obok Białowłosego, wpatrując się w twarz leżącego.

Białowłosy pochylił się znowu. Czuł na ustach słone wargi tamtego, chłodne, bezwładne... Oderwał od nich usta, nabrał powietrza i spojrzał.

Chłopiec otworzył oczy i zamknął je znowu, a później zaczął kasłać słabo. Ojciec chciał podtrzymać jego głowę, lecz Białowłosy odsunął go dłonią zapominając, na co się waży, i ująwszy szczupłe ciało jedną ręką w pasie uniósł Je, a drugą pochylił w dół, aby głowa była jak najniżej.

Chłopiec kasłał jeszcze chwilę i zaczerpnął powietrza.

Wówczas Białowłosy łagodnie złożył go na deskach.

- Bogowie oddali ci go, panie... - rzekł cichym zmęczonym głosem. - Dusza jego powraca do ciała. A gdy wejdzie w nie, syn twój otworzy oczy i przemówi.

W tej samej chwili chłopiec otworzył oczy i wyszeptał ledwie dosłyszalnie:

- Gdzie ona?

- Kto? - szepnął ojciec z twarzą przy jego twarzy, płacząc jak kobieta i nie próbując nawet otrzeć spadających łez.

- Małpa... - rzekł cicho chłopiec i zamknął oczy.

Zdawało się, że umarł, tym razem naprawdę. Głowa jego opadła bezwładnie na bok.

Bogom podobny Widwojos uniósł przerażone spojrzenie ku Białowłosemu.

- Nie żyje!... - zawołał. - Spójrz!

- Nie, panie. - Chłopiec potrząsnął głową. - Jeśli przemówił, będzie żył. Lecz musi długo odpoczywać. A gdyby zasnął znowu, potrzebna mu będzie szybka pomoc... - I nagle, jak gdyby bogowie podsunęli mu zbawczą myśl, dodał odwracając się: - Pójdź, Terteusie! Bez ciebie obawiałbym się stawiać czoła jego słabości. Lepiej znasz ją niż ja... - I zwracając się do Widwojosa powiedział z przekonaniem: - Zezwól nam, panie, czuwać nad nim, póki nie wydobrzeje całkowicie. Gdyż nie wiadomo, co dzień i noc mogą przynieść... Teraz winien być złożony na posłaniu i wypoczywać w spokoju.

- Nie opuszczajcie go ani na mgnienie oka! - zawołał gwałtownie Widwojos. - Czuwajcie nad

nim. A gdy sam stanie na nogi i będę mógł spojrzeć w jego oczy, nagroda wasza będzie stokrotna,
- Pójdź, Terteusie... - rzekł Białowłosy wskazując ciało. - Trzeba złożyć go na posłaniu w namiocie.

Terteus ujął w swe potężne ramiona chłopca i ruszył pośród rozstępujących się żołnierzy. Białowłosy szedł przy nim spoglądając z uwagą na twarz, która z wolna zaczęła tracić ową straszliwą barwę, jaką śmierć naznacza swych wybranych.

Choć był tak znużony, że nogi ledwo niosły go teraz, Białowłosy uśmiechnął się w duchu. Jeśli ów chłopiec przeżyje, a zaczynał wierzyć, że tak będzie, oznaczało to, że uratował nie jedno istnienie ludzkie, lecz dwa.

Terteus odgadł zapewne jego myśli, gdyż zerknął nań i także uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. Uśmiech ów był tak krótki jak cień drobnego obłoczka przesuwanego się po wodzie i zniknął niemal tak szybko, jak się ukazał. Młody pirat zmarszczył brwi i niechętnie potrząsnął głową. Weszli do namiotu. Za nimi wsunął się Widwojos, a za nim stary niewolnik, tak jak i jego pan ocierający łzy z oczu.

Terteus ostrożnie złożył chłopca na posłaniu z miękkich białych skór, a później począł łagodnie masować jego nogi i ręce. Białowłosy ponownie przyłożył ucho do piersi leżącego. Serce biło nierówno i cicho, lecz biło i nie ustawało. Terteus masował coraz szybciej. Wreszcie chłopiec jęknął i otworzył oczy.

- Wyrwała mi figę i potknąłem się o linę... - wyszeptał cicho. - A później runąłem w dół...

Zaczął kasłać gwałtownie i usiadł. Białowłosy podtrzymał jego plecy. Ojciec i stary niewolnik pochylili się wyciągając bezradnie ręce, lecz lękając się go dotknąć, jak gdyby obawiali się, że nieostrożny ruch może go zabić.

Wreszcie chłopiec przestał kasłać i oparł się na otaczającym go ramieniu Białowłosego.

- Pić...

Terteus skinął twierdząco głową ku staremu niewolnikowi, który szybko wysunął się z namiotu.

Białowłosy łagodnie złożył głowę chłopca na posłaniu wstał. Później pochylił się i zwinawszy jedną ze skór podłożył mu ją pod głowę. Chłopiec patrzył na niego przez chwilę, później przymknął oczy.

Widwojos szybko pochylił się nad nim.

- Będzie żył, panie... - rzekł półgłosem Białowłosy.- Uśnie teraz, gdyż siły go opuściły, a gdy przebudzi się, będzie tak zdrow, jak był, zanim wpadł pomiędzy fale.

Widwojos wyprostował się i uśmiechnął ku niemu zmęczonym, łagodnym uśmiechem. W oczach jego czaiło się jeszcze przerażenie.

- Kim jesteś?

- Jestem synem rybaka, panie, a on... on... - Urwał.

- A ja jestem wolnym żeglarzem i żeglarzami byli przodkowie moi, odkąd sięga pamięć ludzi na mej wyspie - rzekł spokojnie Terteus, - Lecz żaden z nich nie wpadł w ręce swych wrogów i ja także nie byłbym twym niewolnikiem, gdyby nie owa sieć, którą nas zagarnąłeś jak ryby.

- Czy nienawidzisz synów Krety?

- Po cóż pytasz mnie o to, Kreteńczyku, mając mnie w swej mocy? Czy pragniesz, abym ci skłamał?

- Czemu więc ty także wskoczyłeś do morza, by ratować mego syna?

- Nie uczyniłem tego dla niego, lecz dla stojącego tu młodego Trojańczyka, gdyż uratował mi on

życie w pewnej bitwie, choć nie byłem ani jego krewnym, ani rodakiem, ani przyjacielem. Jakże mogłem pozostawić go na łasce fal, gdy wiedziałem, że może utonąć wraz z twym synem?

Widwojos spojrział na leżącego chłopca. Drżącymi szczupłymi dłońmi podciągnął on na pierś skórę, którą był nakryty, i otworzył oczy, a później znów je przymknął. Ojciec przyklęknął przy nim i położył mu dłoń na czole.

Później wstał z wolna i odetchnął głęboko.

- To mój jedyny syn... - rzekł niemal szeptem. - Uratowaliście go od śmierci...- Uniósł głowę i spojrział na Terteusa, - Dzielnym musisz być człowiekiem chcąc pomniejszyć swą zasługę, gdy jesteś w mej mocy i wiesz, że będąc rozbójnikiem morskim musisz zginąć... I być może zginąłbyś, gdybyś nawet uratował syna któregoś z możliwych Krety... lecz ów, który tu leży u waszych stóp i którego ojciec nie może spoglądać na was bez wdzięczności, kimkolwiek jesteście, jest kimś więcej.

Białowłosy, który ukląkł obok chłopca, by poprawić mu wezgi, znieruchomiał. Terteus nie drgnął. Stał wyprostowany naprzeciw Widwojosa patrząc mu prosto w oczy. Górował nad nim wzrostem i potężnymi ramionami i zdawało się, że spogląda ze wzgardą na jego szczupłą postać i długie trefione włosy.

- Gdyż chłopiec ów - dokończył Widwojos spokojnie - to jedyny wnuk Minosa, potomka bogów i władcy wszystkich mórz, które opływają ziemię.

Nawet w półmroku, który panował w namiocie, Białowłosy dostrzegł, że spalona słońcem i wichrem twarz Terteusa pobladła gwałtownie. Z wolna, jak gdyby przeciw woli młodego żeglarza, ręka jego uniosła się ku czołu, którego dotknął zwiniętą pięścią.

- Bądź pozdrowiony, synu bogów... - wyszeptał ochryple. - Ukarz mnie za mą śmiałość, choć nie wiedziałem, ani kogo ratuję, ani do kogo przemawiam tak hardo. Lecz zanim zginę, wiedz, że to, co rzekłem, rzekłem szczerze.

- Jeśli zginiesz - odparł Widwojos - nie stanie się to z mego rozkazu. Czy sądzisz, że potomkowie królów winni okazywać za uratowanie żywota mniej wdzięczności niż zwykli śmiertelnicy?

- Panie... - Terteus odjął dłoń od czoła i opuścił rękę.

Głowa jego nadal była pochylona, jak gdyby nie chciał spojrzeć w oblicze mówiącego. - Życie moje jest twą własnością i jakkolwiek postanowisz, pamiętaj, że nie prosiłem cię o łaskę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wy, którzy władacie ciemnością!

Przystań wyspy Kazos zamknięta była długim wygiętym na podobieństwo księżyca w nowiu falochronem z szarych grubo ciosanych i spojonych z sobą głazów. U wejścia na wysokim kamiennym cokole stała kamienna podwójna siekiera na długim drzewcu, górując nad spokojną wodą przystani.

- Zwą ją Labrys... - rzekł Terteus. - Po niej poznasz, czy ląd, do którego przybijesz, jest pod władzą Minosa. To ich święty topór. Jak słyszałem, ścinają nim ludzi na ofiarę w dniu święta Byka, który jest ich bogiem i zamieszkuje podziemną pieczarę w ich stolicy.

Stali obaj na dziobie okrętu, wsparci na obramowaniu burty. Od chwili, gdy wyszli z namiotu, a żołnierz podał im jadło w pięknej misie i wodę w glinianych kubkach malowanych tak zmyślnie, że roilo się na nich od maleńkich stworzeń morza, mogli czynić, co chcieli. Terteus zjadł nieco i podzielił się resztą z towarzyszami u wiosł. Białowłosy dostrzegł, że nadzorcy, którzy obaj teraz czuwali nad załogą, spoglądali na to złym okiem, lecz żaden nie zbliżył się do młodego rozbójnika morskiego, na którego spłynęła łaska księżęca.

Bogom podobny Widwojos pozostał wraz ze starym niewolnikiem w namiocie, czuwając nad śpiącym chłopcem. Później, gdy Białowłosy powrócił, ujrzał chłopca uśmiechającego się do ojca i przemawiającego cichym, słabym głosem. Widwojos siedział przy nim, trzymając jego rękę i patrząc nań wzrokiem pełnym miłości. Ujrzawszy Białowłosego uniósł głowę, a później zwrócił się ku synowi:

- Oto młody rybak, który uratował cię z morza.

Białowłosy uniósł dłoń do czoła i pozdrowił leżącego tak, jak nakazywała cześć dla władców i ich rodu. Milczał.

- Jesteś wolny... - rzekł chłopiec cicho. - Ty i ów drugi. Gdyż uratowaliście mnie. Także inni rozbójnicy morscy nie zostaną pozbawieni życia, lecz odejdą do kopalni lub do wiosł na okręt. Taka jest moja wola... - dodał słabym głosem. - I dzięki ci za to, że uratowałeś mą małpę. Kocham ją bardzo...

Białowłosy pochylił głowę.

- Dzięki ci, wnuku królewski... - Lecz nie uniósł głowy, gdyż nie mógł opanować uśmiechu. Dorastający chłopiec, który dziękował za uratowanie umiłowanej małpki, jak gdyby była człowiekiem, rozśmieszył go, choć był, być może, przyszłym władcą mórz tego świata i tysiący przemierzających je okrętów. - Czy mogę obwieścić nowinę Terteusowi, którego pojmano wraz ze mną?

- Uczyń tak! - rzekł Widwojos wesoło. - A póki nie odprawimy was z podarunkami do waszych krain, gdziekolwiek się one znajdują, chcę, abyście towarzyszyli memu synowi! Któż wie, gdzie może

jeszcze skoczyć jego ukochana małpa?

Mówiąc to roześmiał się, lecz Białowłosey, który w ciągu ostatnich miesięcy nauczył się słuchać czujnie, uniósł głowę i ośmielił się spojrzeć mu w oczy. A oczy te były poważne i pełne niepokoju.

- Panie - rzekł pochylając nisko głowę. - Jeśli zechcesz tak uczynić, a twój najczciwocniejszy syn nie uzna nas za zbyt niegodnych, abyśmy mu towarzyszyli, uczynimy wszystko, co ty lub on nam rozkażecie...

- Jesteście dzielni i... - Widwojos zawahał się. - Nie należycie do mego ludu...

Słowa te wydały się Białowłosemu niezrozumiałe.

Milczał.

- Odejdź teraz, chłopcze. Dam rozkaz, aby was odziano godnie i uzbrojono. Zawezwę was przed przybiciem do brzegu.

- Tak, panie... - odparł Białowłosey nie wiedząc, co rzec. Raz jeszcze przyłożył dłoń do czoła i wycofał się z namiotu.

A oto teraz stali obaj, on i Terteus, spoglądając na zbliżające się nadbrzeże, za którym rozciągało się miasto o wysokich czerwonych domach i dwu szerokich ulicach, które zbiegały się w przystani, prowadząc do stóp zbocza porośniętej lasem góry wznoszącej się rozległymi zielonymi zboczami, które wyrastały tuż za dachami ostatnich domów.

Widwojos wezwał ich przed swe oblicze tuż przed przybiciem. Był sam, gdyż chłopiec usnął, a czuwał nad nim nadal stary piastun-niewolnik.

Długo wpatrywał się w stojących przed nim, nie mówiąc słowa. Raz nawet otworzył usta, lecz zamknął je ponownie i potrząsnął głową, jak gdyby nierad z tego, co pragnął rzec. Wreszcie przemówił zwracając spojrzenie ku Terteusowi:

- Darowałem życie twym ludziom, a wolność tobie, choć nie możesz jej jeszcze odzyskać, póki nie dopłyniemy do Krety i nie uzyskam pewności, że będziesz mógł powrócić bezpiecznie ku swoim... - Urwał i dokończył cicho: - Odplaciłem ci więc za przysługę, którą mi wyświadczyłeś, ty i ów młodzieniec, będący jeszcze niemal dzieckiem... Uratowaliście z fal morza syna mego, który zginąłby w nich niechybnie, gdyż nie umie pływać, a okręt oddalił się, nim ruszyła pomoc.

Znowu urwał. Milczeli obaj, nie wiedząc, co mu odrzec.

Lecz on także wahał się jak gdyby. Wreszcie rzekł:

- Zadziwią was, być może, moje słowa. Oto ja, potężny książę Krety panującej nad niezliczonymi ludami, będę chciał, abyście wy, jeńcy moi, których obdarowałem życiem, uczynili mi nową przysługę. A choć rzeknę wam, o jaką przysługę chodzi, nie będziecie mnie mogli pojąć nadal, gdyż wiecie, że znajduję się na mym okręcie, a bezpieczeństwa mego i syna mego strzegą liczni żołnierze, podczas gdy wiele innych okrętów z silną załogą płynie za nami, abym nie napotkał trafem przeważających sił wrogów w mej podróży... Nie pytajcie mnie więc, czemu do was się zwracam. Zapewne czynię tak, gdyż los wasz nadal jest w moim ręku, a być może także i dlatego, że okazaliście wielką dzielność, a ty... - znów spojrział na Terteusa - zaprawiony jesteś w boju i niebezpieczeństwach. Otóż chcę wam krótko rzec, że choć uratowaliście mego syna od śmierci, może ona zagrażać mu nadal, choć nie ukryta pośród fal morza. Pragnę, abyście nie odstępowali go na krok, gdy pozostanie na okręcie. Ja zejdem na ląd, gdy dobijemy do przystani tej wyspy, i muszę go pozostawić. Jest zbyt słaby jeszcze. Namiotu, w którym się znajduje, nadal strzec będą żołnierze, jak to czynią teraz. Lecz... - zawahał się na krótko - wydam rozkaz, aby nikt do namiotu nie wchodził, i pragnę, abyście zabili każdego, kto zechce ów rozkaz złamać, nim powrócę. Jedyne stare niewolnik

Alexander, któremu ufam bezgranicznie, może przebywać przy mym synu. A każdego innego człowieka, choćby go nawet przepuścili żołnierze dla znaczenia jego rodu, godności lub dlatego, że nakazałby im tak uczynić ich dowódca, zabijecie bez wahania, gdy przekroczy próg, nie pytając, kim jest ani z czym przybył choćby rzekł, że przybywa ode mnie! Czy uczynicie tak?

- Uczynimy, panie! - Terteus pochylił głowę, a później uniósł ją i uśmiechnął się prostując potężne ramiona.

- Jeśli sprawisz, aby dano nam miecze i włócznie, byśmy nie byli bezbronni i mieli czym zadawać śmierć śmiałkom, gdy zajdzie potrzeba.

- Tak się stanie - rzekł książę.

I oto stali teraz przy burcie czekając, aż bogom podobny Widwojos ukończy przygotowania konieczne do zejścia na ląd i opuści namiot.

Na nadbrzeżu widać było gęsty tłum ludzi i oddział wojska stojący równymi szeregami. Słońce połyskiwało pozłociście na ostrzach brązowych włóczy.

Pomiędzy żołnierzami a wodą rozpostarto purpurowe i błękitne kobierce.

Białowłosy obejrzał się. Widwojos stał pośrodku okrętu przed namiotem. Głowę jego zdobił teraz złoty diadem. Nogi kryły się aż po kolana w naszywanych złocistymi płytkami butach. Na obnażonej piersi wisiał kryształowy łańcuch, miejsce opaski na biodrach zajęła długa, sięgająca niemal desek pokładu spódnica w niebieskie i czerwone pasy, obszywana u dołu żółtą frędzlą i spięta złotą klamrą.

W ręce trzymał wysoko laskę zakończoną rozkwitającym potrójnym kwiatem lilii wykutym misternie z lśniącego jasnego metalu.

Za nim stał dowódca żołnierzy znajdujących się na statku. Był wyprostowany i trzymał w ręce obnażony miecz. Za nim w dwu szeregach czekali z włóczniami z wspartymi o deski żołnierze, którzy najwyraźniej byli strażą przyboczną Widwojosa.

Żagiel z głową byka opadł łagodnie na pokład. Rozległ się okrzyk sternika, wiosła sterowe zagłębiły się w wodę, okręt zakołysał się i ustawił bokiem do nadbrzeża.

Tłum na brzegu począł wznosić okrzyki. Wrzawa była coraz głośniejsza. Wiosła z lewej strony okrętu zostały wyciągnięte, te po prawej uderzały lekko w wodę, żeglarz na dziobie, stojący tuż obok Terteusa, zamachnął się i rzucił linę, a później skoczył zręcznie na brzeg w chwili, gdy burta otarła się o kamienne nadbrzeże.

- Powróćmy do namiotu... - rzekł Terteus półgłosem.

- Przrzekliśmy, że będziemy czuwać nad tym królewiczem, choć bogów biorę na świadków, że nie pojmuję, czemu ów pachnący jak ogród wiosną syn Minosa pragnie, abyśmy właśnie my to czynili?

Białowłosy obejrzał się raz jeszcze ku nadbrzeżu i dostrzegł wielką lektykę niesioną przez ośmiu jednako odzianych ludzi. Wynurzała się ona spoza dwuszerogu żołnierzy i zbliżała ku okrętowi.

Obok lektyki siedł człowiek wysoki, lekko zgarbiony i ubrany w spódnicę podobną do spódnicy Widwojosa. Na widok zstępującego z okrętu królewskiego syna zgiął się w pół, przykładając dłoń do piersi.

Widwojos skinął dłonią pozdrawiającym go tłumom i wszedł do lektyki.

Ośmiu tragarzy uniosło drągi, rozległ się okrzyk oficera, żołnierze zstąpili z pokładu okrętu i otoczyli lektykę. Oddział wojska stojący w porcie ustawił się sprawnie za nimi i pochód ruszył pośród rozstępującego się tłumy.

Pałac wielkorządcy wyspy Kazos znajdował się tuż poza miastem, otoczony ogrodami i górskim strumieniem, który budowniczości ujęli w kilka krętych koryt, aby spływając tworzył sztuczne wysepki pośród krzewów, niknął pod kamiennymi mostkami i ożywiał wyłożone różnobarwnymi płytami baseny dające ciału ochłodę w czas upału.

Po szerokich marmurowych stopniach wspinających się tarasami aż po obrzeżone kolumnadą wejście do pałacu lektyka dotarła do ciężkich podwójnych drzwi z brązu otwartych na oścież.

Wielkorządca pochylił się raz jeszcze w niskim pokłonie i otworzył drzwiczki lektyki. Widwojos wysiadł i ruszył ku wejściu.

- Każ wypełnić wannę gorącą wodą. Jest to najbardziej nieznośne w morskiej podróży: nie burze, które prędko przemijają, nie rozbójnicy morscy, których można pokonać, lecz brak kąpieli. Ów, który długo płynie okrętem, żyć musi jak barbarzyńca.

- Czeka ona na ciebie, synu królewski! - Wielkorządca wskazał mu kierunek.

- Gdy wejdziesz do wody, odpraw wszystkich i pozostań przy mnie sam.

- Tak, panie!

Po pewnym czasie, gdy Widwojos leżał z przymkniętymi oczyma w glinianej wielkiej wannie z wymalowanymi wewnątrz ośmiornicami posplatanyymi we wzorzyste girlandy, a niewolnice, które wniosły ręczniki i pachnidła, oddaliły się, wielkorządca zbliżył się do drzwi, zamknął je i powróciwszy do podwyższenia, na którym stała wanna, pochylił się nad nią z uszanowaniem.

- Jestem, synu bogów.

- Mów, czy wiesz, co dzieje się w Knossos?

- W ciągu czterdziestu dni, gdy przebywałeś w Fenicji i na wyspach, zawijały tu co dnia okręty ze stolicy... - Urwał.

- Mów! - Widwojos otworzył oczy i spojrzał na niego.

- Krążą pogłoski, że boski Minos, ojciec twój, był chory...

- Wiem o tym. Ojciec mój był chory, gdy opuszczałem kraj. Jest chory od dawna, wiesz wszakże o tym. Chciałem objechać wyspy, by pojąć, co należy uczynić, jeśli brat mój z kolei zostanie Minosem...

- Tak, panie. Lecz ostatnio nadeszły wieści, że boski twój ojciec zmarł...

- Co rzekłeś? - Widwojos usiadł gwałtownie, rozlewając wodę na lśniąca marmurową posadzkę. - Jeśli zmarł, cały kraj pogrzeże się na pewien czas w żałobie i nie będzie ani jednego wieśniaka w najdalszym zakątku Krety, który by o tym nie wiedział. Czemuż więc tutaj witano mnie wesoło?

- Ciszej, o najdostojniejszy, błagam... - rzekł wielkorządca szeptem, - Krążą wieści, że twój bogom podobny brat utrzymuje to w tajemnicy, gdyż czeka na twój powrót. Obawia się on, jak powiadają na dworze, że jeśli wieść ta dotrze do ciebie, nim przybijesz do wybrzeży Krety, możesz zawrócić okręty na jedną z wysp i stamtąd domagać się korony dla siebie i syna swego, buntując wyspy przeciw niemu, gdyż, jak wszyscy wiedzą, nie ma on dzieci, choć minęło mu już cztery dziesiątki lat, a ty masz syna, będącego dzieckiem królestwa, gdyby on zmarł bezpotomnie... na co się zanoszą. Chce on ogłosić o śmierci twego boskiego ojca, pana naszego, gdy stopa twoja spocznie na ojczystej ziemi. Wówczas będzie miał cię w swym ręku, gdyż, jak wiesz, ma on liczne stronnictwo złożone z możnowładców, przy dworze. Będąc panem Knossos i mając ciebie w zasięgu swej władzy, będzie mógł koronować się spokojnie.

- A później? - rzekł Widwojos. - Czy sądzisz, że gdy brat mój zostanie Minosem, pokocha mnie nagle? On, który od chwili narodzin mego syna nienawidzi mnie i nie kryje się z tym?

- Nie może cię zgładzić, panie... - Głos wielkorządcy był niemal niedosłyszalny. - Lud wierzy w boskość twego rodu i chce, aby Minosem był jedynie ów, kto z rodu tego pochodzi. Nie odważyłby się on uczynić krzywdy tobie lub twemu synowi...

- Gdy dziad mego pradziada - odparł Widwojos spokojnie - uderzał z ładu stałego na Kretę, wiodąc ze sobą dwieście okrętów, byliśmy barbarzyńcami, a mieszkańcy tej wyspy tonęli w przepychu, mieli potężną administrację i wielką flotę. Zdobyliśmy nasze królestwo łatwo... i z wolna lud ten, obcy nam całkowicie, pochłoniął nas... staliśmy się czcicielami tegoż przepychu, utrzymaliśmy ich wspaniałą administrację i flota nasza jest równa ich flocie, jeśli nie potężniejsza. Pokonaliśmy ich tak łatwo, gdyż był to lud zgniły... ani księgi, ani pałace, ani pachnidła nie zbawiły ich. Zaraził on nas swą zgnilizną. Zachowaliśmy jedynie naszą dawną mowę i każemy pisarzom spisywać w niej nasze bogactwa. Lecz barbarzyńcy, z których się wywodzimy, mówią nadal tą samą mową i nie są zgnili. I z kolei oni nas zniszczą... Tak sędzę... Dziś, gdy tonął mój syn, wpadłszy do wody, nie skoczyłem go ratować, gdyż ja, syn władcy mórz, nie umiem pływać... Nie skoczył do morza także żaden z najemnych żołnierzy. Chłopca uratowali dwaj pojmani rozbójnicy morscy. Pomyśl o tym... Kreta gnije za życia... I nawet jeśli wszyscy rozumni ludzie w stolicy wiedzą, że brat mój będzie złym, okrutnym i nie dbającym o swe królestwo władcą, nikt mu się nie sprzeciwi, gdyż jedynie dary, jakie można od niego otrzymać, przywileje i stanowiska przy dworze stanowią o ich wierności. A wiedzą oni, że gdybym ja zasiadł na tronie, uczyniłbym wszystko, aby odwrócić nadciągający upadek mego kraju i przywrócić Krecie dawną potęgę, opartą na sercach jej ludu, a nie na najemnych żołnierzach i załogach okrętów.

- Masz, panie, wielu zwolenników...

- Mniej, niż przypuszczasz. Opłynąłem wyspy... Zgnilizna sięga głęboko... Nadal jeszcze flota nasza jest postrachem rozbójników i najeźdźców. Handel nasz nadal obejmuje świat tysiącem ramion, to prawda. Lecz im potężniejsza jest sieć naszych wpływów, tym jaskrawsza wydaje się słabość stolicy i państwa. Być może myślę się... Zapewne i ja nie jestem człowiekiem czynu, a jedynie zniewieściałym księciem, marzącym o kąpieli i pachnidłach... Nie wiem, lecz lękam się teraz... Lękam się o mego syna, gdy brat mój obejmie tron. Nie przeciwstawię się mu, gdyż nie widzę sił, które pozwoliłyby mi zwyciężyć. Jest on przemyślny i wziął zapewne w rachubę wszelkie moje posunięcia. Lecz obawia się mnie i póki żyje mój syn, poty nie uśnie spokojnie, gdyż będzie podejrzewał, że zechcę ocalić królestwo od niego i zapewnić sobie i memu synowi władzę nad Kretą.

- Cóż więc chcesz uczynić, panie mój?

- A cóż mi pozostało? Każ naładować okręty żywnością, winem i wodą. Pozostawię ci kilkunastu rozbójników wziętych żywcem, gdy dopadliśmy jeden z ich okrętów...

- Czy mam ich stracić, gdy dojdzie do mnie przekazana przez kancelarię królewską wieść o śmierci twego boskiego ojca i wstąpieniu twego boskiego brata na tron Minosa?

- Nie. Załadujesz ich na jeden z twych okrętów i wysadzisz tam, gdzie jest ich ziemia rodzinna lub w jej pobliżu - żywych.

- Tak mam uczynić, panie mój? - Wielkorządca spojrział na niego oczyma rozszerzonymi ze zdumienia.

- Tak. Gdyż wódz ich uratował życie Perilawosowi, synowi memu. Darowałem więc im życie.

- Pojmuję, panie mój, i uczynię jak każesz.

Widwojos westchnął.

- Wyślij do przystani człowieka z rozkazami. Niechaj ładują żywność na okręty. Chcę odpłynąć rankiem.

- Czym mam posłać lektykę po twego boskiego syna, panie?

- Nie. Niechaj pozostanie na okręcie. Jest wielce wyczerpany swą przygodą. - Uśmiechnął się. -

Gdyby brat mój wiedział, jak blisko był dziś kresu swych trosk. Lecz bogowie zechcieli zapewne, aby było inaczej... Czy wierzysz w bogów?

Pytanie było tak niespodziewane, że wielkorządca zmieszał się.

- Panie mój... - Urwał na chwilę.

- Otóż to... - Widwojos wstał i ruchem ręki wskazał mu ręczniki. - Otóż to... Gdybyśmy więcej wiedzieli o bogach, być może łatwiej byłoby żyć... lecz nie wiemy. Idź już i wydaj rozkazy.

Wielkorządca skłonił się nisko i wyszedł szybko, nim jednak posłał do przystani niewolnika z glinianą tabliczką pokrytą drobnym i śmiałym pismem, nakreślił drugi list, równie krótki, na skrawku papirusu, przyłożył doń małą pieczęć umoczoną w szkarłatnej farbie i rzekł:

- Każ, niechaj natychmiast odbije najszybszy z naszych okrętów i popłynie do Knossos. Kapitan ma wręczyć to pismo bogom podobnemu synowi Minosa.

Niewolnik wybiegł bez słowa. Jeden z listów zawierał rozkaz załadowania prowiantu na okręty. Na drugim wielkorządca nakreślił jedynie kilka słów, które brzmiały:

„Panie mój i władco, twój boski brat wyrusza jutro do Knossos, nie zyskawszy sprzymierzeńców”.

Następnego ranka okręt Widwojosa odbił od nadbrzeża przystani.

Płynęli dzień cały przez odkryte morze ku zachodowi, a gdy po południu ujrzeli góry na widnokręgu, żeglarze unieśli ręce i pochylili głowy na znak czci, a Terteus rzekł półgłosem do Białowłosego:

- Oto Kreta przed nami.

- Czy tu będzie kres naszej podróży?

- Nie, gdyż płyniemy do stolicy, która znajduje się o dwa dni drogi pod żaglem, na północnym wybrzeżu wyspy. Lecz zapewne zawiniemy na noc do którejś z przystani wschodniego brzegu.

Tak się stało. Zmrok już zapadł, gdy okręty wpłynęły do skalistej zatoki, nad którą rozciągało się niewielkie miasteczko rybackie.

Tej nocy Białowłosey minął ostatnie domy i wspiąwszy się na zbocze góry, ściał mieczem kilkanaście wyschniętych gałązek z porastających je krzewów.

Gdy skrzesał ogień i gałęzie strzeliły jasnym płomieniem, zagłębił palce w ziemi dla okazania czci podziemnym bogom i rzekł cicho:

- Wy, którzy władacie ciemnością, usłyszcie mój głos, gdy przemawiam do was w imieniu czcigodnego Lauratasa, który zmarł w ziemi egipskiej. Ten oto stos zapaliłem dla niego na jego ziemi rodzinnej!

- Spójrz, Lauratasie! Unieś głowę i spójrz na mnie poprzez mroki, w których przebywasz! Oto twój stos pogrzebowy płonie! Uczczony jesteś, jak przystoi zmarłym, abys nie błakał się w obcej ciemności, lecz powrócił do ludu twego! Żegnaj mi, przyjacielu, i sprzyjaj mi!

Wyprostował się i stał nieruchomo, czekając, póki ostatnia iskra dogasającego ognia nie znikła.

Później lekko zbiegł w dół ku widniejącym w blasku księżyca okrętom.

Cień nienawiści królewskiej

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ujmij w dłoń topór twego królestwa

- Minos nie umiera! - rzekł niemal wesoło Terteus i przeciągnął się leniwie. - O, bogowie! Gdyby ziomkowie moi ujrzeli mnie, cóż by rzekli! Syn króla piratów w Knossos! Syn króla piratów strażnikiem bratanka Minosa! Co dnia budzę się wierząc, że to sen i za chwilę przyjaciele zakrzykną przed domem, abym szedł z nimi do przystani gotować okręt mój czarny do odpłynięcia na nową wyprawę! A ty, białowłosy chłopcze, czy przypuszczałeś kiedykolwiek, patrząc z twej chaty na morze, że tak daleko popłyniesz i tak wiele będzie się z tobą działo?

Wstał i z obrzydzeniem spojrzął na rzeźbione, nakryte błękitnym kobiercem łożo, obok którego spał rzuciwszy, na podłogę posłanie.

- A wejrzyj na to? Czy jest rzeczą godziwą, aby wojownik spał podobnie? Łoże takie przystoi niewieście, która stroi się od rana do nocy, a ma sto służebnych, aby jej usługiwały.

Uniósł z ziemi swój krótki miecz i zamachnął się nim. Wyostrzony i lśniący brąz zaświstał ostro tnąc powietrze. Terteus opasał się i wsunął go do pochwy. Później z niechęcią spojrzął na leżącego.

- Wstawaj! Czyś już tak przesiąkł ich obyczajami, że chcesz wylegiwać się, póki utrefiony, podobny do dziewczęcia sługus nie wniesie tu miednic, dzbanów i ręczników?

Białowłosy roześmiał się i zeskoczył z łoża.

Ściany komnaty, w której się znajdowali, pokryte były wspaniałymi malowidłami. Na jednej z nich dwaj zręczni smukli atleci igrali z rozjuszonym bykiem, przeskakując go lekko po chwyceniu za rogi. Jeden z nich zawisł nad głową zwierzęcia, drugi, który zapewne wykonał już skok, patrzył za nim ciekawie. Na drugiej ścianie korowód młodzieńców o długich utrefionych włosach niósł wiekuiście ofiary bogini oczekującej ich z uśmiechem. Dwie pozostałe ściany i drzwi pokryte były różnobarwnymi pasami farb.

- A więc Minos nie umiera... - Terteus wziął do ręki oparty o ścianę krótki oszczep i skinął na Białowłosego. - Gdy jeden władca umiera, wstępuje na tron jego następcą przybierając to samo imię. Podobnie dzieje się u nich z wielką kapłanką bogini. Każda z nich zwie się Ariadna. Ona także nigdy nie umiera. Opowiadali mi o tym ongi pojmani Kreteńczycy, których trzymaliśmy na naszej wyspie dla okupu. To ona dziś namaszczać będzie nowego Minosa, brata naszego pana i stryja Perilawosa, którego mamy pod opieką. Choć doprawdy nie pojmuję, jak i przed kim mamy go bronić?... - Znowu się roześmiał. - By rzecz prawdę, uratowaliśmy nie jego jedynie, lecz i własne życie, a oto rozpoczęła się dla nas przedziwna przygoda w pałacu władcy mórz. Lecz skoro Wielka Matka postanowiła, że ma być tak, a nie inaczej, nie sprzeciwiamy się Jej, póki nie wskaże nam sposobu, jak uciec w rodzinne strony...

Białowłosy szybko położył palce na wargach. Terteus otworzył usta i wzruszył niechętnie

potężnymi ramionami, lecz umilkł.

Otworzyli drzwi i wyszli na szeroki, pokryty jaskrawymi malowidłami korytarz, na krańcu którego widniał podparty dwoma prostymi kolumnami portyk. Za nim jaśniał ostry złocisty blask słońca. Znaleźli się na dziedzińcu, na którym nie było teraz nikogo. Pośrodku, otoczony kępą kwiatów, widniał niewielki basen, a z niego, niby tryskające źródło, bił niewielki wodotrysk.

Złożyli miecze i włócznie na krawędzi basenu i zanurzyli się. Naokół dziedzińca biegła arkada podparta rzędem kolumn, a za każdą z nich znajdowały się drzwi.

- Nie na darmo zwał ten pałac Labiryntem!

Terteus wyprostował się. Woda sięgała mu do piersi. Zanurzył głowę raz jeszcze i wyskoczył na brzeg. Chciał podnieść swą opaskę na biodra, lecz w tej samej chwili od jednej z kolumn oderwał się czarny człowiek, niosący przed sobą przerzucone przez wyprostowane ręce dwa złociste kawałki mieniającej się materii.

- Dla was! - rzekł, skłonił się z uśmiechem i zsunął niemal w dłonie Terteusa obie opaski.

Później uśmiechnął się ponownie, zawrócił i odszedł bez słowa, znikając w uchylonych drzwiach ozdobionych tarczami z złotego metalu.

Białowłosa wyskoczył z basenu.

- Piękne! - rzekł biorąc jedną z opasek do ręki. - A jak cienkie! Nawet w Egipcie nie widziałem podobnych!

Terteus wzruszył ramionami i otoczył biodra nową opaską. Założył na nią swój skórzany pas z mieczem.

- Odziani jesteśmy jak książęta! - mruknął. - Zaczekaj! Jeszcze dni parę, a zaczną nas nosić w lektykach tuż za lektyką Perilawosa! Abyśmy nie trudzili się zbytecznie!

Ruszyli na powrót ku swej komnacie, gdzie na stole z gładkiego czarnego drzewa czekały już owoce, kozie mleko w pięknym, miedzianym rzeźbionym w bycze głowy dzbanie, i chleb tak jasny, jakiego nigdy przedtem nie widzieli.

Gdy pożywili się, Białowłosa wstał.

- Słońce już wysoko! Zapewne Perilawos zbudzi się wkrótce.

Wyszli na korytarz, lecz nie ruszyli w lewo jak uprzednio, a w przeciwnym kierunku. Minawszy dwoje drzwi stanęli przed trzecimi.

Terteus zapukał lekko głowicą miecza. Drzwi otworzyły się. Wewnątrz, w pustej niemal komnacie, w której stały jedynie dwie długie kamienne ławy pod ścianami, siedzieli na jednej z nich czterej żołnierze z włóczniami między kolanami, a na drugiej niewolnik zwany Alexandrem. Przy nim na dwu wielkich lśniących tacach stało jadło dla młodego księcia.

Widząc wchodzących stary niewolnik położył palec na ustach.

Weszli cicho i usiedli naprzeciw żołnierzom, którzy obrzuciwszy ich obojętnym wzrokiem, znowu popadli w półdrzemkę. Była to nocna straż, czuwająca nieustannie przed sypialnią młodego Perilawosa, z której jedyne wyjście prowadziło tędy.

Milczeli wszyscy, czas upływał.

Wreszcie spoza drzwi sypialni dobiegło ciche uderzenie gongu.

Alexander zerwał się prostując drżące, starcze nogi. Białowłosa wziął jedną z tac. Z Terteusem zamykającym pochód weszli wszyscy do mrocznej sypialni.

- Witaj, wnuku boga! - rzekł Alexander podchodząc ku łożu oświetlonemu jedynie płonąca na trójnogu małą lampką oliwną.

- Czemu od chwili powrotu z morza ojciec nie pozwala mi spać w izbie z oknem?... - rozległ się żalony, lecz nieco rozkapryszony głos. - Czy chcecie mnie pochować za życia w tym grobowcu?

- Nie, książę. Pragnie cię jedynie uchronić przed... - stary niewolnik zawahał się - przed wszelakim niebezpieczeństwem. Czyżbyś zapomniał, że na tobie kończy się ród bogów, a więc życie twe i zdrowie więcej są warte dla Krety niżli skarby dziesięciu wysp?

- Niechaj bogowie spalą i zdruzgocą wszystkie skarby!

Perilawos usiadł i przetarł oczy. Najwyraźniej był jeszcze senny. Przy łożu na kamiennej, pokrytej lwią skórą podłodze leżały dwa zwoje papirusu, upstrzone drobnym, gęstym pismem, a przy nich skrzynia z glinianymi tabliczkami, o których Białowłosa wiedział, że także zawierają znaki pisma. Albowiem, o czym przekonali się ze zdumieniem on i Terteus, ów szczupły, rozkapryszony chłopiec umiał czytać i pokrywał zwoje papirusu pismem tak szybko, że od spoglądania na to mogło zakręcić się w głowie.

- Witajcie, bracia, rozbójnicy morscy! - Uśmiechnął się ku nim i uniósł powitalnym ruchem rękę w odpowiedzi na ich pełne czci pozdrowienie. - Czemuż nie urodziłem się jak wy synem rodziców, którzy chcieliby widzieć we mnie prawdziwego męża, wojownika, żeglarza... wszystko jedno kogo, lecz żywą istotę! Gdy mnie nauczono jedynie czytać o dziejach bohaterów, a uczyniono wszystko, aby nie został jednym z nich!

Usiadł, spuścił nogi na podłogę i z wściekłością kopnął skrzynię, z której posypały się podłużne gliniane tabliczki. Jedna z nich rozłamała się na dwoje. Stary Alexander, który postawił tacę na marmurowym stole, pochylił się, pozbierał tabliczki i wsunął je na powrót do skrzynki.

Perilawos sięgnął po złoty kubek z młodym sokiem winnym, uniósł go ku wargom, wypił nieco i zapytał:

- Czy dziś także będzie mi wolno wprawiać się wraz z nimi w strzelaniu z łuku na łąkach w pobliżu pałacu? Stary niewolnik potrząsnął głową.

- Czyżbyś zapomniał, książę? Wkrótce rozpocznie się obrzęd ku czci naszego nowego władcy, Minosa, oby żył wiecznie i w chwale równej chwale ojców! Dziś właśnie, gdy promień słońca dotknie strzały południa między głównymi rogami wielkiego portyku, Ariadna, która jest wcieleniem naszej Wielkiej Matki, namaści głowę - jego boskim olejem i włoży na nią koronę o dwu rogach na znak, że oto Minos, Byk Boski, włada od dziś Kretą w nowym swym wcieleniu! A po zachodzie odbędzie się uczta, na którą przybędzie tysiąc najznakomitszych ludzi królestwa wraz z małżonkami! Jakżeby miało na uroczystościach tych zabraknąć ciebie, w którego żyłach płynie ta sama krew Byka-Boga, jaka płynie w twym boskim stryju?

Chłopiec nagle roześmiał się szczerym, wesołym, dziecinnym śmiechem.

- Alexandrze! Alexandrze...- Pokiwał głową i sięgnął po owoc. - Pozostaw te opowieści starcom i niewolnikom podobnym tobie, gdyż wiara taka krzepi was, odsuwając u jednych obawę nadchodzącej śmierci, a u drugich myśl o życiu spędzonym w niewoli. Gdybym miał w sobie odrobinę boskiej, a choćby i zwykłej byczej krwi, przysięgam ci, że wziąłbym ten pałac na rogi i rozrzuciłbym go po żyznej równinie Knossos, a później wdeptałbym go racicami w ziemię, aby śladu po nim nie zostało! Minęło mi już lat piętnaście, a jak to powiada mój czcigodny ojciec, gniję za życia wraz z wszystkim, co mnie otacza! Lecz nie mówmy o tym... - Zwrócił się ku obu stojącym: - Czy będziecie mi dziś towarzyszyli? W ty m jedyna moja nadzieja, że wymkniemy się wspólnie po owym obrzędzie.

- Nie wiemy, książę. - Terteus rozłożył ręce, wykonując przy tym kolisty ruch trzymanym w dłoni

oszczepem. - Mamy strzec cię od chwili, gdy się zbudzisz, aż do chwili twego spoczynku, gdy owi czarni barbarzyńcy - wskazał na zamknięte drzwi, za którymi czuwali żołnierze - obejmą z kolei straż nad twą sypialnią. Lecz nie znamy tego królestwa i nie wiemy, czy godzi się, aby obcy i w dodatku pojmani ludzie mogli uczestniczyć w tak wielkiej uroczystości jak namaszczenie władcy?

- Obcy! - Perilawos ponownie roześmiał się. - Połowa tego pałacu zamieszкана jest przez ludzi nie zrodzonych na tej ziemi! Cudzoziemcami są oni lub żony ich, a także żołnierze strzegący bram! A czy byliście już w mieście? Mieszkają tam Egipcjanie, Fenicjanie, Kreteńczycy, których ongi podbiliśmy, a którzy nadal mówią własną mową, choć nauczyli się naszej! Wszelkie narody świata! Jeśli ojciec mój, który jest bratem królewskim, polecił wam nie odstępować mnie, wejdziecie tam wraz ze mną jako moja świta! Zresztą pojmuję, że taka jest i jego wola, gdyż owe złociste opaski na biodrach przystoją właśnie straży osobistej obcego pochodzenia w czasie uctw lub obrzędów dworskich. My, Kreteńczycy, musimy występować wówczas w długich spódnicach!

- Książę... - Stary Alexander pochylił głowę z pokorą.

- Racz spożyć teraz to, na co masz chęć, a później udaj się do kąpieli, gdyż twój bogom podobny ojciec oczekuje ciebie.

Perilawos otworzył usta, lecz nie odpowiedział. Spojrzał jedynie znacząco na obu stojących, jak gdyby pragnął rzec: „Widzicie! Taki oto jest mój żywot. I taki był od dnia moich narodzin! Nędzny żywot księcia królewskiej krwi!”

Lecz Białowłosa nie myślał w tej chwili o nim i jego sprawach. Od siedmiu dni, od chwili, gdy przybyli do Knossos, znajdował się w tym ogromnym, nieskończonym pałacu, będącym plataniną korytarzy, dziedzińców, wewnętrznych ogrodów, sal, schodów, krużganków, komnat i zakamarków, które rozciągały się na wszystkie strony, a prócz tego w górę i głąb podziemną, jak wielkie miasto mrówek. Przybyli do kamiennej przystani portu wieczorem, tuż po zachodzie słońca, i przeszli ulicami, idąc po obu stronach lektyki młodego księcia.

Był już mrok. Wówczas Białowłosa dostrzegł jedynie, że port jest wielki, domy wysokie, a miasto rozległe. Do pałacu królewskiego w Knossos droga wiodła za miasto i przybyli na miejsce, gdy było już zupełnie ciemno. Dla tej przyczyny niewiele wiedział o ludziach zamieszkujących Amnizos, gdyż tak zwał się ów gród przytykający do morza. Później, w ciągu kilku następnych dni, wolno im było wraz z młodym księciem udawać się na wycieczki w głąb okolicy, aż do stóp gór. Były tam lasy i uprawne pola, i domy, dostojników zapewne, rozrzucone pośród ogrodów, lecz ludzie ci byli z pewnością mieszkańcami tego kraju i nosili strój kreteński. Teraz, usłyszawszy z ust księżęcego syna słowo: „Egipcjanie!”, zadrżał.

A więc znajdowali się tu! Zapewne prowadzili rozległy handel z władcami tego kraju, wymieniając bogactwo Krety na bogactwa Egiptu... A jeśli tak było, mogło się wydarzyć, że...

Potrząsnął głową. Któż mógłby przypuszczać, że samotny chłopiec, który uciekł z grobowca zagubionego pośród wzgórz Egiptu, znajduje się teraz za morzem w pałacu władców Krety? Nie, tu najprzemysłniejszy nawet egipski kapłan szukać go nie będzie, nigdy. A choćby najgorszym zrzędzeniem losu któryś z kapłanów Sebeka przybył tu i ujrzał go przypadkiem, cóż mógłby mu uczynić? Życia jego strzegło słowo brata władcy tej krainy.

Uniósł głowę, gdyż Perilawos rzekł zwracając się do niego:

- Chciałbym, abys nauczył mnie pływać i nurkować, tak jak ty to potrafisz!

- Uczynię, co rozkażesz, książę!

Białowłosa pochylił głowę.

Sala, w której miał się odbyć obrzęd włożenia korony na skronie Minosa, nie była wielka, więc ci, którym urodzenie zezwalało być świadkami owej doniosłej chwili, stali gęsto stłoczeni, a wspaniale, bufiaste suknie dam dworu kreteńskiego i ich ogromne uczesania, często niemal tak wysokie jak niewiasty, które je nosiły, czyniły ścisk jeszcze większym.

Pośrodku, od drzwi prowadzących z głębi aż do kamiennego tronu, okolonego dwiema stojącymi pod ścianami, także kamiennymi, prostymi ławami, biegła jak gdyby niewidzialna linia, której nikt nie ośmielił się przekroczyć. Nad tronem po obu jego bokach wymalowano dwa skrzydlate gryfy, spoczywające z uniesionymi głowami pośród rozkwitających lilii, ulubionego kwiatu Kreteńczyków.

Na prawej kamiennej ławie tuż obok tronu zasiadł brat królewski Widwojos, a u jego boku syn, który wszedł wraz z dwoma młodzieńcami stanowiącymi jego straż przyboczną. Pozostawili oni, jak i wszyscy inni, oręż swój w wielkim przedsionku, a teraz stali przy drzwiach nieruchomi i wyprostowani w swych złocistych opaskach, bosonodzy w przeciwieństwie do kreteńskich możnowładców.

Zapadła cisza. Wszyscy oczekiwali odległego okrzyku zwiastującego chwilę, gdy promień słoneczny padnie pomiędzy dwa wielkie rogi na dachu pałacowym.

Białowłosy, który był niższy niż Terteus, widział jedynie skłębiony tłum przed sobą, daleki tron, wdychał woń pachnideł, którymi polanę i namaszczone były ciała zarówno kobiet jak i mężczyzn, i słyszał nieustanny cichy szelest, gdyż ludzie szeptali niemal niedosłyszalnie, pochylając się ku sobie, jak gdyby byli wiotkimi i poruszanymi łagodnym powiewem roślinami, a spokój i godne milczenie były im nic znane. Lecz nagle zamilkli.

Daleko, jak gdyby nadbiegający z innego, odległego świata, dobiegł wysoki, wznoszący się coraz wyżej głos ludzki:

- Aiiiiiiii... aiiiiii... aiiiiia!

Głos urósł, trwał przez chwilę i ucichł.

Tłum zafalował i znieruchomiał. Z wolna wielkie podwójne odrzwia z brązu otworzyły się bezgłośnie. Białowłosy uniósł się na palcach.

I nagle serce załopotало mu gwałtownie. Mimowolnie uniósł do czoła pięść zwiniętą dla oddania czci.

To była ona, Wielka Matka! Wysoka, nieco przygarbiona, trzymająca w wyciągniętych rękach dwa gołębie. Okrywała ją długa, prosta biała szata, jakże inna niż stroje otaczających ją niewiast.

Uniosła ręce i dostrzegł powolny ruch jej rozwierających się palców. Gołębie wyfrunęły, zatoczyły z trzepotem krąg pod stropem sali i ocierając się niemal o głowy tłumu, frunęły ku otwartym drzwiom i zniknęły.

Wielka Matka szła przez salę nie spojrzawszy na tłum nisko pochylonych głów.

Zatrzymała się przed pustym kamiennym tronem i odwróciła.

Uniosła ręce.

Dopiero w owej chwili Białowłosy dostrzegł, że w drzwiach którymi weszła, stał człowiek. Był wysoki i nagi, prócz białej przepaski na biodrach. Głowę miał uniesioną i spoglądał w oblicze bogini. Na znak jej uniesionych rąk on także ruszył w kierunku tronu. Za nim postępowały trzy białe odziane kapłanki. Jedna z nich niosła wielką podwójną siekierę na długim drzewcu. Siekiera była kamienna. Druga z kapłanek trzymała przed sobą zawiniątko ukryte w płachcie z białego lnu, a trzecia miała w obu rękach dwa małe gliniane dzbanki prostej roboty, najwyraźniej bardzo stare.

Gdy rosły półnagi człowiek zbliżył się do tronu, Wielka Matka ujęła jego dłoń, poprowadziła go

ku kamiennym stopniom i odwróciła się wyciągając ręce.

Niosąca dzbanki kapłanka zbliżyła się i pochyliwszy nisko głowę wręczyła jej jedno naczynie. Bogini wylała sobie jego zawartość na dłoń i dotknęła najpierw czoła, później warg, a wreszcie wnętrza obu dłoni stojącego przed nią człowieka.

Wszystko to działo się w zupełnym milczeniu. Tłum trwał zgięty w pokłonie, z oczyma wbitymi w posadzkę. Zerkając, Białowłosy dostrzegł, że nawet Widwojos i syn jego powstali z ławy i trwali w podobnej, pełnej pokory postawie.

Bogini i rosły człowiek stali naprzeciw siebie i przez chwilę spoglądali sobie w oczy milcząc.

- Bądź pozdrowiony, Minosie! - wyrzekła wreszcie niewiasta. - Zasiądź na tronie swoim!

Ujęła go ponownie za rękę i czekała, aż zasiądzie na kamiennym podwyższeniu. Słowa, które wypowiedziała, były ciche, a głos zdawał się z trudem wydobywać z jej krtani.

Nagle zabrzmiały one jak spiż. Zwracając się ku drugiej z kapłanek zawołała wielkim głosem:

- Oto labrys! Minosie, ujmij w dłoń topór królestwa twego!

Palce wysokiego człowieka zacisnęły się mocno na drzewcu.

- Boże ukryty w Najświętszym Byku, ojczy Minosa, spójrz! Staje się on Tobą, a Ty nim!

Słowa zabrzmiały pod stropem i ucichły.

Trzecia kapłanka zbliżyła się. Bogini odwinęła róg białej płachty i ujęła w obie dłonie wąski krąg z ciemnego metalu.

Z kręgu tego wznosiły się w górę dwa proste tępe rogi.

Minos pochylił lekko głowę i czarna nieozdobna korona przodków osiadła na niej, opasując czoło. Bogini odstąpiła o krok i uniosła rękę. Później bez słowa, nadal nie obdarzając nawet jednym spojrzeniem pochyłonych przed nią głów tłumu, zwróciła się ku drzwiom i ruszyła z uniesionymi prosto rękami.

Władca Krety powstał z tronu i począł postępować za nią ściskając w ręce kamienny topór.

Zniknęli, a za nimi trzy białe odziane kapłanki.

Wówczas dopiero ruszył za nimi Widwojos mając u boku syna, a dalej tłum, pośród którego poczęły przebiegać przyciszone szepty.

Korytarz kończył się ogromnym, otwartym portykiem opadającym szeregiem rozległych stopni ku wielkiemu dziedzińcowi otoczonemu zewsząd rzędami kamiennych ław.

Wynurzywszy się na światło dzienne, Białowłosy dostrzegł pośrodku dziedzińca kamienny ołtarz, a na nim związanego białego byka trzymanego przez czterech nagich ludzi.

- Byk ów jest równie białowłosy jak ty!... - usłyszał tuż przy uchu wesoły szept Terteusa. Zwrócił się ku niemu głową.

- Kim jest owa bogini? - zapytał niemal z lękiem. - Czy to Wielka Matka zstąpiła, by go namaścić?

- To Ariadna, nieśmiertelna jak i Minos, gdyż odradza się wiekuiście pod tym samym imieniem. Być może Wielka Matka zesłała ją tu, a być może jest inaczej...

Terteus wzruszył ramionami.

Ariadna i Minos zeszli po kamiennych stopniach na dziedziniec. Tłum w milczeniu rozlewał się wzdłuż ław, zajmując miejsca w amfiteatrze.

Ariadna zbliżyła się ku ołtarzowi i stanęła na kamiennym podniesieniu. Pośrodku, ponad spętanym zwierzęciem, stało małe ciemne naczynie z niemalowanej gliny. Ujęła je i uniosła zwracając się ku czterem stronom świata.

Minos przystanął mając u stóp spętanego byka. Powoli uniósł kamienny topór, który trwał przez chwilę nad jego głową lekko wychylony do tyłu.

I nagle topór opadł.

Byk zacharczał głucho i ucichł. Ariadna zbliżyła się i przytknęła naczynie ku buchającej krwią szyi. Po chwili wyprostowała się i podała królowi naczynie. Wsparty na drzewcu topora, uniósł je ku wargom i przechylił.

Gdy oddał je na powrót Ariadnie, Białowłosy dostrzegł z dala, że jego oblicze umazane jest krwią.

Tłum ożył. Rozległ się ryk jak gdyby nagle wzburzonego morza. Stojąc i wymachując rękami, możnowładcy zebrani w Knossos czcili tak, wraz ze swymi żonami i dziećmi, nowego władcę.

A daleko za bramami pałacu ryk ów pochwyciły nieskończone tłumy i powrócił on ogromnym echem.

- Pójdź... - rzekł Terteus pochylając się ku Białowłosemu. - Odbierzemy nasze miecze, które pozostały w przedsionku. Źle mi bez nich...

ROZDZIAŁ DRUGI

Część jego ciała zabrali z sobą

Perilawos zręcznie powodował koniem, co nie mogło dziwić, gdyż Knossos otrzymywało w daninie rumaki z Argos, o którym krążyły wieści, że pasą się tam najpiękniejsze wierzchowce w świecie. Co prawda Białowłosey słyszał podobne słowa o koniach trojańskich, lecz te, których teraz wszyscy trzej dosiadali, były szybkie jak ptaki.

Zbliżyli się do porośniętego krzewami grzbietu wzgórza, aby wzdłuż krawędzi rosnącego na zboczu lasu zawrócić ku pałacowi widniejącemu w oddali na równinie.

Perilawos, który jechał pierwszy, odwrócił się i zawołał ku Białowłosemu:

- Ugodziłem je sam, bez waszej pomocy, a jednego w locie! Co możecie przyświadczyć Alexandrowi, a on doniesie o tym czcigodnemu ojcu! Nie wiem tylko, czy go to ucieszy, czy też...

Nie dokończył. Rozległ się krótki, ostry świst i koń Perilawosa stanął dęba, zrzucając go na ziemię.

Białowłosey zerwał łuk z ramienia, napiął i spuścił cięciwę, zanim nisko skulony kształt zdążył przebiec od skraju zarośli ku pierwszym drzewom lasu.

Człowiek ów zatrzymał się, wyprostował, rozłożył ramiona, a później uczynił dwa kroki i upadł na twarz. Lecz nim upadł, ugodził go oszczep Terteusa.

Zeskoczyli z koni i podbiegli ku leżącemu chłopcu. Białowłosey pochylił się nad nim i odetchnął z ulgą, widząc, że zaczyna gramolić się z ziemi.

Odwrócił głowę.

Koń Perilawosa klęczał kwicząc i tocząc z pyska krwawą pianę. Terteus podszedł ku niemu i wyciągnął mu z boku długą, ciemną strzałę.

Koń wyprostował się, opadł na bok i znieruchomiał.

- Niewiele brakowało... - mruknął Terteus. - Gdyby zmierzył nieco wyżej, przeszyłby na wskroś jego, a nie konia.

- Cóż to było? - zapytał Perilawos wstając i pocierając obolałe ramię. - Koń mój stanął nagle dęba. Nigdy dotąd tego nie czynił.

- Bo też nigdy dotąd nie zraniono go śmiertelnie strzałą... - Terteus wzruszył ramionami.

- A któż... któż ośmieliłby się to uczynić?! - W głosie chłopca było więcej zdumienia niż lęku.

- Pójdź, książę, a przekonamy się.

Terteus ruszył pierwszy. Białowłosey nałożył drugą strzałę na cięciwę i ruszył za Perilawosem rozglądając się bacznie.

Człowiek leżał z twarzą ku ziemi. Gdy Terteus wyrwał mu oszczep z pleców i podawszy Białowłosemu strzałę tkwiącą pod łopatką umarłego, odwrócił go nogą, ujrzeni szeroko otwarte oczy

i oblicze, którego nigdy dotąd nie widzieli.

Obaj, jak gdyby powodowani jedną myślą, unieśli oczy i spojrzeli na młodego księcia, który potrzęsnał głową, pojawiając ich nieme pytanie.

- Nie widziałem go nigdy dotąd... Być może to zbiegły wieśniak lub rozbójnik z gór. Kryją się oni w niedostępnych pieczarach i napadają na kupców przemierzających wyspę lub na spokojnych mieszkańców... - Zmarszczył brwi. - Lecz nie mógł nas przecież wziąć za kupców... było nas trzech i uzbrojonych. Cóż mógł zyskać zabijając jednego?

- Był na skraju lasu i gdybyśmy nie zabili go tak prędko, jak to uczyniliśmy, mógł umknąć z łatwością, dopadłszy pierwszych drzew. Widzisz, książę, jak gęste jest tu poszycie.

- Lecz czemu to uczynił?

- Cóż, wnuk bogom podobnego Minosa nie zna wszystkich mieszkańców królestwa, lecz wielu mieszkańców królestwa zna wnuka bogom podobnego Minosa... Mógł cię łatwo rozpoznać z tak niewielkiej odległości.

- I pragnął mnie zabić, choć nie znam go i nie uczyniłem mu żadnej krzywdy?

Terteus uśmiechnął się i po swoim wzruszył ramionami.

- Może nie on chciał cię zabić, książę, lecz kto inny?

Ktoś, kto go najął, gdyż wydaje mi się, że wygląda on na pospolitego rozbójnika, nie na zabójcę książąt.

Perilawos uniósł głowę i przez chwilę wpatrywał się w Terteusa.

- Być może masz słuszość... - I dodał z nagłym ożywieniem: - Lecz jeśli miłujecie bogów, nie rzeknijcie o tym nikomu, a szczególnie memu czcigodnemu ojcu, gdyż nie zezwoli mi on już nigdy nawet na konną przejażdżkę.

- Myślę, książę, że powinnością naszą jest donieść mu o tym - rzekł Terteus, a Białowłose potwierdził ruchem głowy. - Był tu zaczajony w zasadzce. Zapewne wiedział już, że odbywamy przejażdżki w tej okolicy. A miejsce wybrał dobre do spełnienia swego zamysłu. Spójrz. Po jednej stronie ciągną się gęste, splątane zarośla, po drugiej rośnie las. Tędy wiedzie najlepsza droga dla koni pragnących wspiąć się na grzbiet wzgórza. Dla tej przyczyny my także skierowaliśmy się tu. Był to ktoś, kto chciał cię zabić, książę. Dlatego twój bogom podobny ojciec winien dowiedzieć się o tym niezwłocznie. My możemy cię osłonić przed niebezpieczeństwem, jak to uczyniliśmy dziś, lecz nie każdy zabójca będzie strzelał tak niewprawnie i nie każdy pozwoli się zabić uciekając.

Perilawos spoglądał przez długą chwilę na zabitego. Wielka zielona mucha nadleciała z wysokim brzękiem, zawirowała szybko nad zwłokami i usiadła na krawędzi otwartych, nieruchomych ust. Terteus niecierpliwie spędził ją ruchem oszczepu.

- Chodźmy! - rzekł. - Pozostały nam dwa konie.

Myślę nad tym, czy ów człowiek nie pozostawił gdzieś swego wierzchowca?

Rozejrzał się nad słuchując. Później ruszył szybko ku grzbietowi wzgórza i zniknął za nim. Obaj chłopcy zostali sami. Białowłose odruchowo skierował spojrzenie ku ciemnej ścianie. Napięty łuk trzymał kierując grot strzały ku ziemi.

- Czy zabiłeś już wielu ludzi? - zapytał nagle Perilawos z dziecinnym zaciekawieniem.

Białowłose chciał odpowiedzieć, że o dwóch wie z pewnością, lecz że jednym z nich był kreteński wojownik, którego ugodził włócznią podczas walki okrętów, więc nie rzekł słowa, tylko uśmiechnął się w milczeniu.

- Będziesz mi musiał o wszystkim opowiedzieć wkrótce... - Młody książę odwrócił się od

zabitego i ruszył w kierunku, w którym zniknął Terteus. - Ja także chciałbym zabijać ludzi i walczyć na morzu! Cóż, kiedy mój najczcigodniejszy ojciec wolałby zapewne przegrać bitwę niż narazić mnie na niebezpieczeństwo. Gdy powracając na Kretę wypatrzyliśmy wasze okręty i postanowiliśmy na nie uderzyć, ukryto mnie w namiocie, a czterej żołnierze osłaniali moje ciało wielkimi tarczami. Nie widziałem nawet walki. Zezwolono mi wyjść z namiotu wówczas, gdy związanych wrzucono was na nasz okręt.

- Nie będziesz musiał walczyć, gdy zostaniesz królem... - rzekł Białowłosy chcąc go pocieszyć. - Królowie nie walczą sami. Wojownicy czynią to za nich.

- Gdy zostanę królem? - Perilawos pokręcił głową.

Gdy przemówił ponownie, głos jego nie brzmiał już jak głos dziecka. - Zapewne umrę znacznie wcześniej...

Osiągnęli nagi szczyt wzgórza i ujrzeni Terteusa prowadzącego pięknego czarnego konia.

- Uwiązał go w lesie, tak jak sądziłem, że go uwiąże! - zawołał z dala.

Gdy zbliżył się, poczęli razem schodzić ku pasącym się spokojnie zwierzętom.

- Gdy pozostawimy owego umarłego tutaj? - zapytał nagle Perilawos.

- A cóż chcesz z nim uczynić, książę? - Terteus spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Pomyślałem, że być może należałoby ciało zabrać do pałacu... Ktoś mógł znać tego człowieka... zapewne ojciec mój będzie pragnął wiedzieć, kim był i jak wyglądał.

- Więc udajmy się jak najspieszniej przed oblicze twego bogom podobnego ojca, książę, a jeśli będzie pragnął go ujrzyć, powrócimy z nim tu lub przywiedziemy niewolników, którzy zabiorą ciało.

Wskoczyli na konie i ruszyli ku Knossos widocznemu z dala pośrodku obramowanej wzgórzami równiny.

Gdy przybyli, Perilawos udał się do komnat zajmowanych przez Widwojosa.

Terteus i Białowłosy usiedli na kamiennej ławie pod jednym z niezliczonych portyków i, czekając, leniwie przyglądali się przechodzącym ludziom, których było tak wielu, jak gdyby nie znajdowali się wewnątrz królewskiego pałacu, lecz na ulicy dużego miasta.

Nie był to właściwie jeden pałac, lecz połączone z sobą pomieszczenia, poprzedzielane dziedzińcami, arkadami i krytymi korytarzami biegnącymi to pod ziemią, to wychodzącymi na niewielkie ogrody, za którymi otwierały się przejścia, tarasy na dachach, schody zstępujące ku basenom lub amfiteatrom, a za nimi dostrzec można było kolejne mury, drzwi, bramy i spiętrzone budowle. Białowłosy umiał już, choć z trudem, znajdować drogę do części pałacu zamieszkałej przez księcia Widwojosa i jego świtę. Znajdowała się ona w pobliżu komnat królewskich, jedynych, do których dostępu strzegli czarni żołnierze, zagradzający wszystkie przejścia i wsparci na długich włóczniach. Lecz i oni zdawali się przepuszczać wszystkich przechodzących, nie zaszczycając ich nawet spojrzeniem i nie pytając ich o prawo znajdowania się w pobliżu świętej osoby władcy. Stanowili więc zapewne jedynie widomy znak władzy, a nie rzeczywistą straż. Gdyby ktokolwiek pragnął kiedykolwiek zająć podstępem pałac, nie natrafiłby na ich wielki opór. Wyglądali jak uśpieni...

Terteus, jak gdyby odgadując jego myśli, rzekł półgłosem.

- Czy widziałeś kiedykolwiek tak dziwaczne królestwo i tak bezbronny pałac króla? Nie ma tu nawet murów, które powstrzymałyby nacierającego wroga...

- Rozmyślałem nad tym... - Białowłosy skinął głową.

- Powiedz, czemu tak się dzieje? Czyżby nie dbali o swe dobra i bezpieczeństwo?

- Wierzą w swe potężne i liczne okręty. Kreta to wyspa i ktokolwiek zechce ją najeżdżać, musi przebyć morze. A lud ten wierzy, że nikt nie przebędzie morza, jeśli oni nie zechcą do tego dopuścić... Być może mają słuszość. Nikt im nie jest w stanie sprostać, gdy wyprowadzą swe okręty...

Zamilkł na chwilę. Później, jak gdyby wypowiadając skrytą myśl, rozejrzał się i dodał przyciszonym głosem, choć nikogo nie było w pobliżu:

- Lecz jeśli jakiś wróg zechce pod osłoną nocy zawinąć do którejś z bezludnych zatok tam, za wzgórzami... - wskazał głową - a później przejdzie te wzgórza i uderzy na pałac... potęga Krety może utracić głowę od jednego zamachu... Co się stanie wówczas, trudno przewidzieć... Władcy tego kraju mówią językiem wielce podobnym do tego, którym my mówimy. Podbili oni tę wyspę i rządzą nią, a wraz z nią i morzami... Lecz ów podbity przez nich lud mówi inną mową, której nie pojmujemy. Czy dostrzegłeś, jak wielu ludzi nawet w pałacu porozumiewa się w sposób dla nas niepojęty...? Czy lud ów stanąłby w obronie władców Krety? Jak mniemasz?

- Nie wiem, Terteusie. Zbyt młody jestem, abym mógł zabierać głos w tak głębokich sprawach. Lecz mniemam, że gdyby najeźdźca począł palić, rabować i zabijać, lud ten broniłby się jak każdy inny.

- Zapewne - mruknął Terteus. - Zapewne. - Zadumał się na chwilę, a później nagle uniósł głowę i roześmiał się. - Jak sądzisz, czy młody książę nie zatai przed ojcem swej przygody?

- Za chwilę przekonamy się, gdyż oto nadchodzi.

Białowłosy powstał, a Terteus poszedł za jego przykładem. Przyłożyli zwinięte w pięść dłonie do czoła i pochylili głowy. Za młodym księciem z otwartych brązowych drzwi wynurzył się bogom podobny Widwojos. Szedł szybko, a młoda niewolnica, która starała się chłodzić go wachlarzem na długiej rzeźbionej żerdzi, nie mogąc za nim nadążyć zatrzymała się i spojrzała z uśmiechem na Terteusa.

- Potwierdzą każde moje słowo, ojcze! - rzekł wesoło Perilawos stając przed nimi.

- Czyżby to była prawda, co rzekł mi syn mój o owym łuczniku?

- Tak, panie! - Terteus chciał dodać coś jeszcze, lecz Perilawos przerwał mu.

- Mój bogom podobny ojciec pragnie sam udać się w to miejsce!

Widwojos odwrócił się i skinął na kilku dworzan którzy wynurzyli się za nim z wewnątrz pałacu.

- Niechaj przyprowadzą konie!

- Czy weźmiesz z sobą straż przyboczną, panie?

- Nie!

Odwrócił się ku Terteusowi.

- Wybawiliście go od śmierci po raz drugi... - rzeki przyciszonym głosem, tak aby stojący za nim ludzie nie mogli go usłyszeć. - Komuż mam bardziej ufać niżli wam?... - Uśmiechnął się i dodał: - Cóż to za przedziwny Świat, na którym powierzamy wszystko, co mamy najdroższego, naszym odwiecznym wrogom, wierząc im bar dziej aniżeli swoim?

Słońce opadło już nisko, gdy zbliżyli się do grzbiet wzgórza.

- To tu, ojcze! - zawołał Perilawos. - Tam leży mój koń, widzisz! A tam ów człowiek! - Przyspieszył i wysforował się przed pozostałych.

Białowłosy uderzył piętami w boki wierzchowca i zrównał się z nim.

Przed nimi w czerwonym blasku dogasającego dnia jaśniała biała plama: zabity koń.

Chłopiec zawrócił i ruszył truchtem ku miejscu, gdzie leżał umarły. Rozejrzał się szybko, później

zeskoczył. Zwłoki zniknęły.

- Nie ma go! - Terteus, który zbliżył się wraz z księciem, ściągnął gwałtownie wodze konia.

- Czyżby był ranny? - Widwojos rozejrzał się niepewnie. Gdy wzrok jego spoczął na ciemnej ścianie lasu, przysunął się mimowolnie ku synowi i osłonił go sobą.

- Nie, panie! - Terteus zdecydowanie potrząsnął głową. - Gdy odjeżdżaliśmy, duch jego rozpoczął już wędrówkę ku bramom Hadesu. Miał strzałę Białowłosego w sercu, a oszczep mój przebił go na wskroś. Był martwy jak te oto głązy, które tu widzisz...

Urwał, zeskoczył z konia i począł przyglądać się ziemi. Później, nie unosząc głowy, zrobił kilka kroków w kierunku zarośli i zatrzymał się.

- Czy widzisz? - zapytał Białowłosego, który nie schodząc z konia siedział wyprostowany z napiętym łukiem w rękach, jak gdyby spodziewając się, że choć umarły zniknął, niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze.

Duży ciemny ptak wyleciał z lasu i machając ciężko skrzydłami skierował się ku równinom. Nim Białowłosego zdążył odpowiedzieć przyjacielowi, rozległ się świst strzały, ptak zakrzyczał ostro i runął na ziemię.

- Trafiłem go, ojcze! - Perilawos zeskoczył z konia i pobiegł ku owemu miejscu. Powrócił trzymając w wyciągniętej ręce brzeszczot strzały, na której ranny ptak trzepotał jeszcze słabo. Cisnął strzałę pod nogi Widwojosowi - Sam raczyłeś ujrzeć własnymi oczami!

Terteus uniósł głowę i wyprostował się.

- Było tu kilku konnych - rzekł. - Zabrali ciało.

Widwojos odwrócił wzrok od konającego ptaka.

- Czy umiesz powiedzieć, w którą stronę odjechali?

- Tak, panie. Nadjechali spoza grzbietu wzgórza i oddalili się w tym samym kierunku. Dokąd prowadzą dalej ich ślady, tego nie mogę wiedzieć, póki nie wyruszymy za nimi.

Książę milczał przez chwilę. Perilawos pochylił się, wyrwał strzałę z ciała ptaka, odrzucił go od siebie i otarł pokryte krwią palce o własne nagie przedramię. Bogom podobny Widwojos zdrygnął się na ów widok.

- Chciałbym, abys udał się za nimi, jeśli się nie lękasz uczynić tego samotnie. My zawrócimy ku Knossos. Pragnę się tam znaleźć przed nocą.

- Nie lękam się, panie... lecz trudno mi będzie szukać śladów w ciemności. Będę ich tropił tak długo, jak zdołam, a później powrócę.

- Słusznie uczynisz. Jeśli odnajdziesz go lub odkryjesz i cokolwiek, przybądź do mnie. Wydaję dziś ucztę dla kilku czcigodnych ludzi i ich małżonek. Nie chciałbym, aby wiedzieli, że coś się wydarzyło... Czekaj więc, aż goście odejdą.

- Tak, panie.

Prowadząc konia za uzdę, Terteus ruszył pieszo, wpatrzony w ziemię. Po chwili zniknął za grzbietem wzgórza.

Trzej jeźdźcy zawrócili.

- Nie spojrzales nawet na ptaka, którego zabiłem, ojcze! - rzekł Perilawos. - A rozpocząłem już naukę ciskania oszczepem z konia! Terteus, choć jest rozbójnikiem morskim, zdaje się znać wszystko, co należy do umiejętności wojownika stąpającego po ziemi.

Widwojos odwrócił się i skinął na jadącego za nim Białowłosego.

- Zbliź się!

A gdy chłopiec niemal zrównał się z nim, rzekł siląc się na uśmiech.

- Matka jego zmarła, gdy był jeszcze w kołysce. Nie pojąłem drugiej małżonki i jest on moim jedynym dzieckiem. Drżałem o jego życie i drzę nadal. Niewiele miał możliwości poznania ćwiczeń koniecznych dla wojownika. I, być może, zostanie nim. Wolą boskiego Minosa ojca mego było, aby poznawał księgi i ćwiczył umysł, gdyż Kretą rządzą nie ręce jej królów, lecz ich mądrość. Wszelako nadeszła chwila, gdy musiałem opuścić na pewien czas wyspę i udać się do Fenicji i podległych nam krain. Zabrałem go z sobą... Na szczęście umiał nieco pływać, gdyż w przeciwnym razie nie uratowałbyś go z fal, morskich... Dziś widzę jasno, że siła ramion i zręczność wojownika mogą mu być w życiu równie przydatne jak księgi... Nie o tym pragnę jednak z tobą mówić. Możesz mniemać, że jestem niewdzięczny, gdyż wówczas obiecałem ci jaką zechcesz nagrodę, a wiem, że pragniesz powrócić do swych stron rodzinnych. Lecz jesteś synem ubogiego rybaka, a jeśli pozostaniesz tu, póki... - zawahał się - póki nie upewnię się, że życiu jego nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, powrócisz do swoich z tak wielkimi darami, a król twój dowiedziawszy się, że służyłeś wiernie bratu boskiego Minosa, taką łaską otoczy twą rodzinę, że nigdy już nie zaznacie biedy ani przemocy możliwych.

- Panie mój... - Białowłosy pochylił nisko głowę. - Czemu mówisz tak do mnie, skoro życie moje zależy od twej woli i możesz uczynić z nim, co zechcesz, zatrzymując mnie tu tak długo, jak ci się spodoba?

- To prawda, że mogę tak uczynić, lecz przemocą nie kupuje się wierności. Pragnę, abyście od dziś nie rozstawali się z moim synem, abyście dzielili z nim komnatę, gdzie sypia, jedli wraz z nim i nie opuszczali go ani na chwilę. A gdy... gdy ponownie zagrozi mu niebezpieczeństwo, abyście walczyli o jego życie jak o własne!

- A czyż nie uczyniliśmy dziś tego, panie?

- To prawda, to prawda... - Widwojos uniósł głowę i rozejrzał się.

Mrok opadał już na ziemię. Skręcili w lewo i wjechali na gładką, ułożoną z kamiennych płyt drogę prowadzącą ku pałacowi, który rysował się wyraźnie na tle zachodniego nieba.

Milczeli przez pewien czas, wreszcie Perilawos rzekł:

- Czy sądzisz, ojcze, że doprawdy coś mi zagraża?

- Nie wiem. Oby tak nie było. Oby ów człowiek, który strzelił dziś do ciebie, był jedynie zwykłym łotrzykiem, który widząc twą złotem wyszywaną opaskę i klejnot na szyi, zapragnął je mieć!

- Lecz nie wierzysz w to, ojcze?

Widwojos nie odpowiedział. Jego syn dodał po chwili:

- Lękasz się, że stryj mój wolałby, abym nie żył?

- Milcz, nieszczęsny! - odparł półgłosem jego ojciec. - Milcz! Czy zapomniałeś, o kim mówisz?!

- Odwrócił głowę ku Białowłosemu. - Nie usłyszałeś słowa z tego, co rzekł!

Czy pojmujesz?

- Słyszałem, panie. Lecz nikt nie usłyszy o tym ode mnie.

W zapadającej ciemności książę starał się przyjrzeć uważnie jego twarzy, wreszcie wzruszył ramionami.

- Będzie, jak zechcą bogowie... Jeśli bogowie chcą czegokolwiek!. Lecz milcz, synu mój! Niechaj nikt nie usłyszy o tym od ciebie. Jutro będę mówił z boskim...

Urwał. Za nimi na drodze rozległ się szybki tętent kopyt końskich. Białowłosy uniósł napięty łuk. Jeździec zbliżał się szybko ku nim.

Perilawos także uniósł łuk.

- Nie strzelaj, książę! - zawołał szybko Białowłosy, lecz spóźnił się o ułamek chwili i strzała śmignęła w mrok.

W tejże samej chwili dostrzegli Terteusa, który spał przed nimi konia, uniósł oszczep i opuścił go z wolna. Bez słowa spojrział na łuk trzymany przez Białowłosego, a później przeniósł wzrok na Perilawosa.

- Widzę, młody książę, że wypuściłeś strzałę... - rzekł wesoło. - Chybiłeś jednak i to z niewielkiej odległości... Zapewne znów dłoń otarła ci się o policzek, gdy zwalniałeś cięciwę. Jutro, za twym przyzwoleniem, popracujemy nad tym... Oko masz dobre, lecz pośpiech nie zezwala ci mierzyć spokojnie.

- Nie raniłem cię?... - zapytał Perilawos łamiącym się głosem. - A mogłem cię zabić... Myśląc, że to wróg się zbliża.

- Każdy z nas zginie w dniu wyznaczonym mu przez Tych, którzy władają życiem śmiertelnych. Ni wcześniej, ni później. - I zwrócił się do Widwojosa: - Panie mój, odnalazłem go!

- Odnalazłeś go?

- Tak. Nie był daleko. Zawlekli ciało do pieczary w zboczcu wzgórza między zaroślami... Wiele jest tam tych rozpadlin. I porzucili je. Lecz część jego ciała zabrali z sobą.

- Co powiadasz? - Widwojos nie pojął jego stów.

- Odcięli głowę. Poszukiwałem jej w pieczarze i naokół, lecz nie znalazłem.

- Po cóż to uczynili? - W głosie Perilawosa nadal były łzy.

- Zapewne po to, aby nikt nie rozpoznał umarłego... - rzekł beztrosko Terteus. - Nie martw się, młody książę. Twój strzał nie był wielce niecelny. Strzała świsnęła mi tuż koło ucha. - Roześmiał się.

- Nie mów już o tym! - zawołał chłopiec. - Gdybym... gdybym cię skrzywdził... nie przebaczyłbym sobie nigdy! Choć jesteście jedynie rozbójnikami morskimi, kocham was bardziej niż wysoko urodzonych rówieśników moich!

- Ja także jestem królewskim synem... - Białowłosy nie widział twarzy Terteusa w ciemności, lecz wiedział, że nadal uśmiecha się. - Choć królestwo mego ojca to maleńka skalista wysepka, tak mała, że dotąd nie dostrzegły jej okręty potężnego Minosa! A jeśli nawet dostrzegły, wydała im się zapewne nie zamieszkaną skałą pośród morza!

ROZDZIAŁ TRZECI

To bursztyn!!!

- Witaj mi, mój najmilszy bracie!

Minos powstał z krzesła o rzeźbionych w gryfy poręczach i ruszył ku drzwiom, w których stał Widwojos.

- Witaj, mój boski władco i bracie! - Stojący skłonił się.

Król Krety był znacznie wyższy niż on i pochylił się, by złożyć pocałunek na jego policzku. Widwojos poczuł dotknięcie chłodnych warg i owionął go zapach olejku wyłaczanego z purpurowych róż, którym brat jego namaszczał się najchętniej.

- Nie widziałem cię od dnia, gdy Ariadna włożyła na me skronie Starą Koronę - rzekł król z wesołym wyrzutem. - A tak bardzo pragnąłem ujrzeć ciebie i twego pięknego dziedzica. Chciałem nawet wysłać któregoś z dworzan z podarunkiem i prośbą, abyś raczył tu przybyć. Siadaj!

Rozejrzał się. W komnacie było tylko jedno krzesło, wskazał je stojącemu.

Widwojos potrząsnął głową.

- Jedynie władca winien zasiadać między gryfami - rzekł z powagą. - Czyżbyś pragnął, Minosie, abym spoczął na twoim tronie?

- Czybym pragnął tego? A jakież to ma znaczenie?

Jesteś bratem królewskim, pierwszą podporą tronu Siadaj. Pragnę ci się przyjrzeć, gdy tak siedzisz. Jeśli umrę, zostaniesz królem Krety... - Uniósł rękę. - Nie zaprzeczaj. Jeśli umrę bezpotomnie, pozostanie jedynie dwóch żywych, w których żyłach płynie święta krew boskiego byka. Ty i Perilawos, twój miły syn, a mój bratanek.

Niemal siłą posadził Widwojosa w krzesło, odstąpi o krok i przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu. Później roześmiał się wesoło, jak gdyby przyszło mu nagle na myśl coś niezwykle zabawnego.

- I jakże ci, bracie? Czyż to nie pięknie siedzieć tak z dłońmi opartymi na łbach tych niemych psów skrzydlatych? Czyż to nie wspaniałe: być władcą tak wielu wysp i ludów, tylu okrętów, móc jednym skinieniem zabić lub wznieść na wyżyny? Nie mogę jeszcze do tego przywyknąć. Zapewne jestem zbyt podejrzliwy, nie dowierzam Sobie... Nie dowierzam także innym. - Znowu się roześmiał.

Widwojos wstał.

- Czy słyszysz nas tu ktoś? - Wskazał gęste zasłony którymi zakryte były tylne drzwi komnaty.

- Nie! - Minos potrząsnął głową. - Rzekłem ci już, v. jestem podejrzliwy. Nie znoszę, gdy ktoś, nawet najwierniejszy, stoi niewidzialny za moimi plecami. Lecz czerni pytasz mnie o to?

- Gdyż chciałbym z tobą mówić, bracie.

- Ach! Z tobą jednym mogę być szczery. Zrodziło nas jedno łono i wykarmiły te same piersi.

Jesteśmy braćmi. Cóż może być w świecie bliźszego? Mów!

- Czy lękasz się, że będę knuł spisek przeciw tobie, aby cię zabić lub pozbawić tronu i zagarnąć go dla siebie? - rzekł spokojnie Widwojos.

Minos, który przechadzał się tam i na powrót po komnacie, zatrzymał się nagle, plecami do niego, a później odwrócił powoli. Twarz jego nie nosiła już śladów uśmiechu.

- Czemu pytasz mnie o to?

- Gdyż prosiłeś mnie o szczerłość, królu.

- Tak, zapewne. Więc zapytałeś szczerze...i pragniesz, abym ci odpowiedział?

- Tak, królu.

- Nie nazywaj mnie królem, jeśli możesz. Jestem twoim bratem.

- Tak, bracie.

- A więc zapytujesz, czy sądzę, że pragniesz mnie zabić lub pozbawić tronu w jakiś inny sposób... Cóż, a gdybym na chwilę przestał być twym bratem i zapytał cię, jak pytają królowie, żądając prawdy: „Czy chciałbyś zagarnąć mój tron?” Cóż byś odpowiedział?

- Odparłbym, że go nie pragnę.

- Zapewne... - Minos znów uśmiechnął się. - I cóż by wynikło z tej odpowiedzi? Nic! Jedyne szalenie mógłby przyjść do władcy i obwieścić mu taki zamiar. Lecz pytałeś mnie, czy cię podejrzewam? Ależ tak! Śledziłem wszystkie twoje poruszenia, gdy jeszcze żył nasz bogom podobny ojciec. Znam wszystkich, którzy ci sprzyjają lub sprzyjali. Wiem, że lud boleje nad brakiem dziedzica. Nie mam dzieci, to prawda. Wiem także, że są tacy, którzy wierzą, że byłbyś wielkim władcą. Mówią o tobie, że jesteś rozumny, że bolejesz nad słabością państwa... Kilkakrotnie mówiłeś, że nie powinniśmy polegać na najemnych wojskach i okrętach o załogach, gdzie coraz mniej jest Kreteńczyków. Przyznaję, że nie rozważałem tych spraw, gdy żył nasz ojciec... Dziś jestem ci wdzięczny za owe spostrzeżenia... Nie wiem, czy zastosuję się do twych wskazówek, lecz to zupełnie inna sprawa...

- Czy nie pragniesz być władcą potężnego państwa?

- Pragnę, ale myślę o tym nieco inaczej niż ty. Państwo jest wówczas potężne, gdy nie ma wrogów potężniejszych niż ono. A nie widzę żadnego wroga, który mógłby zwyciężyć naszą flotę i uderzyć na nasz kraj. Przeciwnie, wyspy i lądy naokół nas żyją pod naszym panowaniem i składają nam daninę. Gdyby wierzyły, że ujdzie im to bezkarnie i mogą nam stawić opór, nie płaciłyby jej. Mamy szpiegów wszędzie i jeśli jakiegokolwiek siły zaczną jednoczyć się przeciw nam, dowiemy się o tym zawczasu. Jedyne prawdziwa groźba to wróg wewnętrzny... gdyby się taki pojawił.

Urwał i znowu uśmiechnął się.

- Więc sądzisz, że owym wrogiem wewnętrznym jestem ja?

- Ty jeden mógłbyś nim być, gdybyś zechciał.

- A wówczas, pozbywszy się mnie, mógłbyś panować spokojnie?

- Zapewne, lecz musiałbym okazać czujność, abyś mnie nie uprzedził.

- Czy dla tej przyczyny nakazałeś wczoraj jednemu z twych zbirów zabić mego syna? - wybuchnął nagle Widwojos.

Minos nie odpowiadał przez chwilę. Później jego wysoka szczupła sylwetka zaczęła trząść się od bezgłośnego śmiechu.

- Czy naprawdę mniemasz, mój ukochany bracie, że nakazałem zabić twego syna? - rzekł wreszcie, poważniejąc.

- Nie znam nikogo innego, komu mogłoby zależeć na jego śmierci!

Władca Krety zbliżył się ku niemu i zbliżając twarz do jego twarzy rzekł spokojnie:

- Jesteś głupcem, mój bracie. Gdybym pragnął zabić Perilawosa, czy wierzysz, że owych dwóch uzbrojonych zamorskich barbarzyńców umiałoby go obronić? Czy sądzisz, że władca Krety nie jest w stanie zetrzeć w proch każdego żywego człowieka na wyspie?

- Więc to nie ty nakazałeś owemu człowiekowi wypuścić strzałę?

Minos odwrócił głowę. Gdy ponownie spojrzął na brata, uśmiech na jego twarzy był rozbijającym szczerym.

- Któż ci rzekł, że nie ja? Czy myślisz, że zezwoliłbym, aby zbójcy polowali bez mego zezwolenia na książąt krwi pod boki pałacu?

Widwojos opadł na krzesło i zakrył twarz rękami.

- Nie pojmuję cię, mój królu... - rzekł cicho. - Wiem, że dążysz do mej zagłady, lecz nie pojmuję twych słów.

Minos westchnął jak człowiek, którego zmuszono, by wyjaśnił trudną prawdę małemu dziecku.

- Wysłałem ludzi, gdyż wiedziałem, że Perilawos co dnia ćwiczy tam z owymi dwoma strażnikami, którymi go obdarzyłeś. Kazałem, aby nigdy nie chybiający łucznik zabił jego konia i nie ważył się zranić młodego księcia. Nie mogłem przewidzieć, że będzie tak niezdarny i da się przy tym zabić.

- Czemuż to uczyniłeś?

- Gdyż znam cię i wiedziałem, że przyjdiesz tu.

A pragnąłem mówić z tobą, bracie mój. Mówić szczerze i bez obcych uszu nadśluchujących zawsze, gdy spotkamy się przy ucztach lub na dworze. Prócz tego pragnąłem, abys otrzymał ostrzeżenie. Wiem, że Perilawos jest jedyną istotą, którą kochasz. Ja także nie pragnę jego śmierci... jeśli uda mi się jej uniknąć... - Znowu uśmiechnął się miłym, spokojnym uśmiechem. Zresztą, gdyby zginął gwałtowną śmiercią... on lub ty, bracie mój... lud wiedziałby, że padliście z mojej ręki. A to byłoby wielce nierozsądne u wstępu mego panowania. Kochają oni nasz ród.

- Czegóż więc chcesz?

Widwojos wstał ponownie i podszedł do stołu, na którym stał alabastrowy dzban rzeźbiony w dwa rzędy małych podwójnych czarek.

Minos także zbliżył się do stołu, ujął dzban za ucha i przechylił go nagle. Z wnętrza wysypały się połyskliwe żółte bryłki i potoczyły po powierzchni stołu. Kilka spadło na kamienną podłogę, a jedna rozprysła się, ukazując ostre, szkliste krawędzie.

- Czy widzisz, bracie?

- Widzę... - Widwojos wzruszył ramionami i przetarł zmęczone oczy.

- To bursztyn! - rzekł Minos. - Sprowadzamy go z dalekich krain północy, gdzie nie dotarł dotąd nikt prócz barbarzyńców. Płacimy zań wiele, przerabiamy go na klejnoty i bierzemy zań wówczas po stokroć więcej. Jest w nim zawarta część naszego bogactwa, gdyż handel nim przechodzi przez nasze ręce. Gdybyśmy mogli sami dopłynąć tam, skąd się bierze, płacilibyśmy nieskończenie mniej i odciełlibyśmy od owego źródła kupców fenickich, którzy zaczynają wchodzić nam w drogę...

- Zapewne - mruknął Widwojos i spojrzął na brata. - Lecz czemu kazałeś uciąć mu głowę, jeśli nie kryjesz przede mną, że to ty dałeś rozkaz łucznikowi?

- Gdyż należał on do mojej straży i mógł zostać rozpoznany. Zresztą ludzie moi sami to uczynili, nie pytając mnie. Uczynili słusznie. Mógłbyś to wykorzystać, bracie, by podburzyć lud przeciw mnie,

gdy uznasz, że nadeszła stosowna chwila. Nie wiem zresztą, jak byś to mógł jeszcze wykorzystać. Śmierci owego łuczника nie przewidziałem. Wiem natomiast, że gdy ojciec nasz ciężko zachorował, wyruszyłeś, zabierając z sobą Perilawosa, do Fenicji, dla zawarcia traktatów handlowych, lecz był to jedynie pozór, gdyż odwiedziłeś wiele podległych nam wysp, aby pojąć, jak silna jest tam nasza władza i czy nie da się zbuntować przeciw mnie naszych namiestników i wojsk na wyspach, gdy ojciec umrze. Wiedz, że wszyscy namiestnicy kreteńscy przesłali mi raporty o tym. Czy pragniesz, abym ci przeczytał, o czym mówiłeś, leżąc w wannie, z namiestnikiem Kazos? Musiałem zataić śmierć ojca, abyś nie próbował obwoływać siebie lub swego syna Minosem, gdzieś na jakiejś wyspie, i nie doprowadził do rozdarcia królestwa... Później kazałem namiestnikowi zawiadomić cię, że nasz boski ojciec nie żyje. To najwierniejszy z mych ludzi. Gdybyś wówczas rzekł, że nie powracasz na Kretę, utopiono by cię, w wannie i doniesiono by do stolicy, że zmarłeś, gdyż bogowie porazili cię nagłą chorobą. Pragnąłem nawet tego, przyznaję. Lecz najwyraźniej podróż twoja rozczarowała cię: „Kreta gnije...” - tak rzekłeś. Być może. Lecz władca tego gnijącego kraju nie jest głupcem. Nie będę pragnął twojej śmierci, jeśli uda mi się jej uniknąć. Nie chcę także śmierci Perilawosa. Nie. to nie wieży krwi są tu ważne. Zapewne masz słuszość sądząc, że Kreta nie jest tym, czym była za naszych dziadów. Gdybyś zginął wraz z twym synem, ktoś inny wykorzystałby to i począł knuć spiski, a lud mógłby mnie znieawdzić. Nie mam potomka... a zgładziłbym jedyne dziecko mego tronu. Każdy śmiałek mógłby więc sięgnąć po władzę, gdyż po zabiciu mnie dałby początek nowej dynastii. Jak widzisz, odkrywam przed tobą me myśli. Pozostało jedno wyjście, bracie. Musisz odejść.

- Odejść? - rzekł cicho Widwojos. - Dokąd?

- Tak. Odejść lub zginać wraz z ukochanym twym synem. Gdyż zgładzę was, jeśli będę musiał.

Wierzę jednak, że pojąłeś już wszystko, co ci chciałem wyjaśnić.

- Pojąłem, że jeśli pozostaniemy tu, nie uśniesz spokojnie, póki nas nie zgładzisz. Lecz o tym wiedziałem od dawna. Nie pojmuję natomiast, dokąd chcesz, abyśmy się oddalili?

Minos ujął bryłkę bursztynu i przekręcił ją w palcach.

- Jesteśmy ludem morskim... - rzekł cicho. - O ile wiem, kamień ów wydobywają barbarzyńcy z dna morskiego. Czyż może być coś godniejszego królewskiego brata, jak udać się tam, gdzie rozpościera się owo morze. i na czele naszych dumnych okrętów objąć je w posiadanie?

Widwojos spojrzał mu prosto w oczy.

- Mówią - rzekł swobodnie - że jest to kraina wiekuistych mroków, mgieł i śmierci, a za nią kończy się świat i nie ma już niczego. Chcesz, abym tam popłynął i nie powrócił, czy tak?

- Pragnę, abyś tam popłynął! - Minos wrzucił bryłkę do dzbana. Zaklekotała cicho i umilkła na dnie. - A jeśli powrócisz, każę wyryć dzieje twojej wyprawy na kamiennych tablicach i uczczę twój powrót igrzyskami jak zakończenie zwycięskiej wojny... jeśli dotrzesz do tej krainy, oczywiście...

Spali jeszcze, obaj wyciągnięci na rzuconych na podłogę pękach skór, gdy stary niewolnik Alexander wsunął się do komnaty i pochylił nad łóżem Perilawosa.

- Książę! Twój boski ojciec pragnie cię widzieć! - Dotknął lekko jego obnażonego, szczupłego ramienia. Chłopiec otworzył oczy.

- Czegóż chcesz?! Czyż nie widzisz, że śpię?!

- Twój boski ojciec... - podjął ponownie Alexander.

Terteus siadł na posianiu i szturchnął Białowłosego, który nie otwierając oczu sięgnął odruchowo po leżący nie opodal miecz.

- O bogowie... - Młody książę przeciągnął się. - Cóż stało się memu boskiemu ojcu, że pragnie mówić ze mną o tej porze? Czy słońce dawno już wzeszło?

- Wzędzie za chwilę...

- Co? - Perilawos opadł z powrotem na łożo. - Nie pragniesz mi przecież rzec, Alexandrze, że ojciec mój zerwał się przed wschodem słońca?

- Nie spoczął jeszcze w łożu. Przez noc całą krążył po komnacie, pogrążony w myślach. Niewolnicy trzykrotnie dolewali oliwy do lamp. Teraz, gdy nastał świt, kazał cię wezwać. Masz być gotów wraz z nimi... - Wskazał leżących. - Twój boski ojciec pragnie odbyć z wami konną przejażdżkę.

- Konną przejażdżkę? - Młody książę usiadł i zmarszczył brwi.

Terteus i Białowłosa powstali i nałożywszy na biodra opaski, ujęli pasy z mieczami, łuki i oszczepy. Wyczekująco stanęli przy drzwiach.

- Powiedz memu boskiemu ojcu, że gdy tylko obmyjemy nasze ciała, stawimy się przed jego komnatami.

- Tak, książę... Każę podać posiłek.

Perilawos odprawił go ruchem dłoni. Stary niewolnik wyszedł.

- I cóż powiecie, moi przyjaciele? - roześmiał się i zeskoczył z łoża. Naśladowując ich ruchy, także podjął swój rynsztunek i ruszył ku drzwiom. Siedzący w przedsionku ciemnoskórzy żołnierze zerwali się na jego widok i potrząsnęli włóczniami. Minał ich i ruszył mrocznym korytarzem ku dziedzińcowi, gdzie nie namyślając się skoczył do basenu.

Spod portyku wynurzyło się natychmiast kilku niewolników. Nieśli ręczniki, pachnidła, a dwu postępowało z wielkimi wazami pełnymi rozkwitłych lilii, które ustawili na skraju basenu. Perilawos wziął jeden z kwiatów i przez chwilę wachał go z przymkniętymi oczyma. Stojący na brzegu Terteus i Białowłosa przypatrywali mu się z tym samym zdziwieniem, z jakim patrzyli co dnia na to widowisko.

- Wejdźcie do wody! - krzyknął młody książę.

Terteus potrząsnął głową i pchnął lekko Białowłosego, który złożywszy broń na barwnych płytach obramowania, zanurzył się nie opodal Perilawosa. Ten ostatni rzucił kwiat niewolnikowi i wyciągnął ręce ku Alexandrowi, który nadszedł niosąc małą, pomalowaną dziś na kolor jasnej purpury. Najwyraźniej nie czyniło jej to większej różnicy, gdyż siedziała obojętnie, opierając jak małe dziecko głowę na ramieniu starego człowieka i obejmując go drobnymi rączkami. Na widok swego pana, zanurzonego po szyję w wodzie, cofnęła się gwałtownie i przywarta do piersi Alexandra.

- Czy widzisz, panie? - rzekł stary niewolnik. - Pamięta ona jeszcze ową chwilę.

- Odejdź od brzegu! - zawołał książę i przesłał małpcę tkliwy pocałunek dłonią od ust. - Przeraziła się, biedna!

Terteus odwrócił wzrok z wyraźnym obrzydzeniem, lecz natychmiast skierował spojrzenie na Białowłosego i mrugnął porozumiewawczo. Nie chcąc wybuchnąć głośnym śmiechem, który mógłby urazić księcia, chłopiec zanurkował szybko, przepłynął całą długość basenu i wynurzył się chwytając ręką za obramowanie tuż obok jednej z waz wypełnionych liliami. Prychając przyglądał się jej przez chwilę. Całą wdzięcznie wygiętą powierzchnię zajmował wizerunek wielkiej błękitnej ośmiornicy, spoglądającej okrągłymi, białymi oczyma. Osiem splecionych ramion ginęło wijąc się po drugiej stronie naczynia. Chwycił brzeg, obramowania, podciągnął się i zajrzał. Ramiona ośmiornicy

zamykały się na wygiętym rozpaczliwie tuńczyku...

Drgnął. Jak ona pokonała tę ogromną rybę? Czy był to znak? Powstał i szybko przyłożył pięść do czoła, a później opuścił ją prędko i ruszył wokół basenu tam, gdzie stał Terteus obok jego porzuconej opaski na biodra i broni.

Podeszła młoda niewolnica z cienkim płóciennym ręcznikiem w białe, żółte i zielone pasy. Stał wyprostowany, czekając, póki nie otarła jego ciała, lecz gdy skinęła na chłopca trzymającego skrzynkę z pachnidłami i oliwą, usunął się szybko, podniósł opaskę, a później, słysząc głos Perilawosa zapraszający Terteusa do kąpieli, nałożył pas z krótkim mieczem, kołczan z cienkiej skóry, w którym tkwiły strzały, i łuk o cienkiej, jasnej, nowej cięciwie, który przerzucił przez ramię. Wreszcie podniósł krótki oszczep i wsparty na nim, spoglądając na nagie ciała poruszające się w przezroczystej wodzie, raz jeszcze pomyślał o ośmiornicy i schwytanym przez nią tuńczyku. Było jeszcze tak wcześnie, że wschodzące słońce oświetlało dopiero rząd kamiennych rogów nad portykiem. Wewnątrz dziedzińca nic było gorąco. Spojrzał na bezchmurne niebo. A więc lato kończyło się. Lecz może w tej krainie nic było pory chłodnej i gorącej? Lauratas mówił mu, że w Egipcie nic znają chłodu, choć noce bywały tam zwykle zimne.

Odwrócił głowę. Kilka innych niewolnic ukazało się, wychodząc rzędem spod kolumny portyku. Niosły w wyciągniętych rękach tace i dzbany z jadem i napojami. Zatrzymały się nad brzegiem basenu.

Perilawos wyszedł i otrząsając się stancji, by poddać swe ciało zabiegom niewolnic i masażysty. Skinął na Alexandra.

- Powiedz, niechaj podadzą mi jadło!

- Podejdźcie do boskiego księcia! - zawołał stary niewolnik.

Zbliżyły się kolejno i przyklęły. Perilawos skinął rękę} na Białowłosego i Terteusa, który także wyszedł z wody.

- Jedźcie wraz ze mną, przyjaciele!

Sam sięgnął do płytkiej malowanej w żółte ptaki misy. wyjął z niej garść orzechów i podał jeden z nich małpce, która skoczyła mu na ramię i porwała orzech, sięgając drugą rączką po pozostałe.

Białowłosa zbliżył się i przytrzymując oszczep przedramieniem, wziął od jednej z klęczących niewolnic kilka miękkich żółtych placków i gliniany kubek wypełniony mlekiem, które było słodsze niż mleko, jakie pijał dotąd.

Perilawos nie tknął posiłku. Wziąwszy wielki zielony owoc skinął na Alexandra:

- Lektyka!

Ośmiu ludzi, niosących na pomoście z malowanych desek wysokie, rzeźbione, obite skórą krzesło, podeszło i uklęknęło, stawiając swój ciężar na ziemi. Perilawos usiadł i uniósł rękę. Ludzie dźwignęli krzesło.

Białowłosa oddał klęczącej niewolnicy kubek i ujawszy oszczep ruszył za kołyszącym się łagodnie krzesłem. Terteus zajął miejsce na drugiej stronie.

Minęli dwa małe dziedzińce, które tonęły w kwiatkach rosnących w wielkich glinianych donicach, zeszli szerokimi schodami nakrytymi dachem wspartym na kolumnach i znaleźli się przed wejściem do komnat królewskiego brata. Lektyka zatrzymała się. Kilku czarnoskórych niewolników stało tu już, trzymając za uzdy wspaniałe białe konie o purpurowych, przyciętych równo ogonach i złocistych grzywach. Co dnia otrzymywali inne konie, lecz te były piękniejsze niż wszystkie, jakie Białowłosa widział tu dotąd.

Perilawos ruszył ku otwartym drzwiom z brązu, a Białowłosy i Terteus poszli za nim jak cienie, kołysząc w dłoniach lekkimi oszczepami.

W tejże chwili w drzwiach ukazał się bogom podobny Widwojos. Odziany był jak zwykle w cienkie skórzane buty i złotą opaskę na biodrach. Dziś głowę jego zdobiła czarna czapka z długimi sterczącymi ku górze piórami. U boku miał krótki miecz, którego wysadzana czerwonymi i zielonymi kamieniami pochwa rzucała wielobarwne iskry.

Perilawos pochylił przed nim głowę i ująwszy jego rękę dotknął jej wargami.

- Jesteśmy gotowi, mój boski ojcze!

Widwojos bez słowa skinął głową i wyminąwszy go, ruszył ku koniom. Postawiwszy stopę na głowie klęczącego niewolnika wspiął się na grzbiet zwierzęcia i obejrzał, dając im znak ręką. Po chwili wszyscy czterej jechali ku otwartej bramie, za którą ciągnął się ogród, a za nim drugą bramą wychodzącą wprost na gaj oliwny sięgający murów pałacu.

Przez dłuższy czas jechali w milczeniu. Nawet Perilawos zdawał się wyczuwać, że sprawy wielkiej wagi zajmują umysł ojca, gdyż nie paplał jak zwykle i jechał tuż za nim, starając się nie dopędzać go, gdy konie zwalniały, aby nie przeszkadzać mu w rozmyślaniu.

Wreszcie, gdy gaj oliwny i mury pałacu Knossos pozostały daleko za nimi i wyjechali na rozległą pochyłość prowadzącą ku wzgórzom, Widwojos zatrzymał konia.

- Oto miejsce, gdzie nikt nas nie usłyszy! - rzekł i zeskoczył z konia. - Spętajcie zwierzęta i zbliżcie się ku mnie, ty, mój synu, i wy obaj.

Siadł na wielkim głazie leżącym pośród spalonej trawy późnego lata i przymknąwszy oczy zwrócił się ku słońcu, które grzało coraz mocniej.

Terteus i Białowłosy spętali konie, puścili je luzem w pobliżu i powrócili do miejsca, gdzie siedział brat króla Krety. Perilawos zbliżył się także, skacząc z kamienia na kamień jak dziecko, które zbyt wiele czasu spędziwszy pośród murów, cieszy się widokiem rozległych przestrzeni.

Stanęli wszyscy trzej w milczeniu przed obliczem Widwojosa, który otworzył oczy i starał się uśmiechnąć, lecz lica jego przybrały natychmiast wyraz powagi.

- Jest wolą mego boskiego brata, abyśmy odpłynęli z Knossos na daleką wyprawę morską! - rzekł bez żadnych wstępów. - Pragnie on, abym ja ją przedsięwziął, lecz dla wielu przyczyn nie mogę pozostawić cię tu, mój synu. A jeśli my odpłyniemy, także i wy nie możecie tu pozostać. Nie obawiajcie się, spełnię mą obietnicę i zatroszczę się o to, abyście odpłynąwszy ze mną, ujrzeli wasze strony rodzinne.

- Wyprawa morska, ojcze! - zawołał Perilawos. - A więc znów odpłynę na morze i mogę stać się wojownikiem i żeglarzem! - Urwał nagle i dodał markotnie: - Obym tylko nie chorował tak, gdy nadchodzą wysokie fale niesione wiatrem! Czy daleka będzie to wyprawa?

Widwojos nie odpowiadał przez chwilę, przyglądając się poważnie i z troską jego szczupłej sylwetce.

- Niezwykle daleka... - rzekł wreszcie - i sędzę, że mój boski brat pragnie, abym ją odbył właśnie dlatego, iż nie wierzy, aby twe wątłe siły przetrzymały wszystkie jej trudy... Lecz wszystko jest w rękę bogów... Mamy popłynąć do krainy bursztynu.

- Do krainy bursztynu, panie? - wyrwało się z ust Terteusa. - Tam, gdzie nikt nie dopłynął?! Widwojos rozłożył ręce.

- Jesteś dzieckiem morza, Terteusie, i dowodziłeś okrętem, który przemierzył zapewne wielkie wody od wschodu do zachodu i z północy na południe. Cóż słyszałeś o krainie bursztynu?

- Słyszałem, panie, że leży ona pośród mgieł i nocy na krańcu świata, gdzie morza zamieszkują ryby olbrzymie, Połykające okręty, a na lądzie nieprzyjaznym i nagim gnieźdzą się ptaki wielkie jak chmury i ród złośliwych olbrzymów, które żyją w przyjaźni jedynie z plemieniem karłów na południu. Karłom tym przekazują oni bursztyn wydobywany ich wielkimi rękami z dna morza, a owi mali ludkowie z kolei sprzedają go odzianym w skóry barbarzyńcom północy za mięso owiec i krów, którym żywią się olbrzymy nie mogące dzięki swej wielkiej żarłoczności hodować tych zwierząt, gdyż zjadają je natychmiast. gdziekolwiek wpadną im w ręce, i nie zezwalają im paść się i rozmnażać, jak to czynią ludzie. Mówiono mi, że niejeden śmiałek zapragnął dotrzeć do owej krainy, lecz jeśli okrętu jego nie strzaskały straszliwe burze lub nie pożarły owe ogromne ryby ani nie rozbił się na skałach pośród panującej tam wiekuistej nocy, wówczas, choć uniknął wszystkich tych niebezpieczeństw, zawsze wypatrzył go któryś z czuwających olbrzymów, chwycił okręt i uniósłszy go w górę ponad fale, wyjadał całą załogę wyluskując ją palcami spoza wiosła, by później odrzucić zmiażdżony okręt jak zbyteczną łupinę!

- Ojcie! - zawołał Perilawos. - Więc tam chce nas wygnać stryj?!

- Jeszcze nie zginęliśmy... - Widwojos zmarszczył brwi. - Czy słyszałeś o tym wszystkim, Terteusie, od kogoś, kto by był tam i powrócił przynosząc owe zatrważające wieści, czy też od kogoś, kto słyszał je od człowieka, który powrócił stamtąd?

- Nie, panie. Powtarzam jedynie to, co żeglarze opowiadają, gdy jest mowa o owej krainie. Wielka jest cena bursztynu i wielu zapewne myślało o tym, by do niego dotrzeć i powrócić z ładunkiem, który biedaka przemienia w pana wszelkich dóbr.

- A czy mówili kiedykolwiek w twojej obecności, jaką drogą można dotrzeć do owego morza pośród wiekuistych mroków?

Terteus zastanawiał się przez chwilę.

- Myślę, panie, że mówili o drodze na północ, przez przesmyk, nad którym leży Troja... Mówią, że jest za nim morze. Lecz nie byłem tam, choć znam ludzi, którzy tam dopłynęli. Ojciec mój wyprawił się na owe wody wraz ze swym ojcem, gdy był młodzieńcem. Pod osłoną nocy czterema szybkimi okrętami minęli Troję i ów przesmyk, gdzie skryci w zaroślach spędzili noc, gdyż był on dłuższy, niż przypuszczali. Później znaleźli się na wielkim morzu, zdobyli tam łupy i niewolników i powrócili tą samą drogą, lecz szlak do Morza Mrocznego wiedzie dalej, a tam nie byli. Mówią ludzie, że prowadzi on wielką rzeką ku północy. To wszystko, co wiem, panie.

- Prawdę rzekł Terteus mówiąc o morzu na północy, gdyż urodziłem się nad owym przesmykiem i często ze świętego wierzchołka góry widziałem wielkie wody w tamtej stronie, a za nimi nie można było dostrzec lądu...

- Białowłosa skinął głową. - Słyszałem także rybaków mówiących o dalszym jeszcze morzu na krańcu świata. Powiadają, że Posejdon ukazuje się tam widomie, wystawiając swą białą głowę z fal wielkich jak góry. Lśni ona z dala odbijając promienie słońca.

- A więc ujrzymy wiele dziwów, synu mój... - Widwojos wstał. - Ujrzymy dziwy, jakich nie oglądał nikt przed nami. A jeśli bogowie zezwolą nam powrócić i złożymy w bibliotece pałacu zapisy naszej podróży, świat będzie wspominał nasze imiona przez wieki całe... Pożałuj oto tego młodego żeglarza i syna rybaka, którzy odpłyną do swych stron rodzinnych, gdy my skierujemy okute brązem dzioby naszych okrętów na północ!

- Panie! - rzekł Terteus prostując się. - Pojmałeś mnie i mogłeś odebrać mi życie, jak to jest w zwyczaju, gdy rozbójnik morski wpadnie w ręce Kreteńczyków. Nie uczyniłeś tego. Wróciłeś mi

wolność i żyję. Jeśli taka będzie wola bogów, powrócę z ładunkiem bursztynu i sławą, którą okryję moją wyspę rodzinną. Jeśli mam zginąć, zginę tam czy gdziekolwiek. Życie moje jest twoją własnością. Byłem niewiele starszy niż on - wskazał Białowłosego - gdy ojciec mój oddał mi okręt i trzydziestu wojowników, z których każdy był starszy i bardziej doświadczony niż ja, lecz odtąd musiał mnie słuchać. Grabiłem wsie i miasta Egiptu, Fenicji i miasta na wyspach należących do twego królestwa, znam sposoby walki otwartej i podstępnej i wiele tajemnic morza i wiatrów. A mniemam, że wyprawa twoja, panie, będzie j bardziej podobna do wyprawy rozbójników morskich, niżli bywa wasza żegluga, gdy wieloma okrętami płyniecie otwarcie po morzu pozostającym pod waszym panowaniem, nie lękając się nikogo i bacząc jedynie, by burza nie zatopiła waszych towarów. Być może umiejętności moje przydadzą ci się.

- Tak i ja mniemam, Terteusie. Rozmyślałem także o czym innym... - Widwojos uśmiechnął się. - Lecz o tym będę mówił z tobą, gdy nadejdzie czas.

Białowłosey stał słuchając ich. Rozmyślał o domu rodzinnym, do którego tęsknił od dawna. Ojciec zapewne wkrótce wróci z miast. A może wrócił już? Powitają go z największą radością, jak gdyby powstał z martwych. Nadejdzie zima i długie miesiące oczekiwania na czas połowów. A gdyby? Gdyby popłynąć jeszcze na kreteńskim okręcie ku tajemniczemu morzu na północy? Powróci, gdy nadejdzie wiosna. Jeśli bogowie zezwolą, powróci bogaty w łupy dalekiej wyprawy...

Spojrzał na Terteusa, którego twarz rozjaśnił w tej chwili uśmiech. Oczy młodego rozbójnika morskiego śmiały się ku nieznanym lądom i nadchodzącym przygodom.

- Panie mój - rzekł Białowłosey nie wierząc własnym uszom. - Ojciec mój i matka opłakali mnie już i wierzą, że przebywam w królestwie umarłych... A zimą musiałbym tkwić w chacie przez długie miesiące, bezczynny w oczekiwaniu dnia, gdy nastanie znów czas połowów. Jeśli zezwolisz mi, czy mogę i ja wejść na pokład owego okrętu?...

Urwał, gdyż coś w nim zaprzeczało gwałtownie słowom, a serce rwało się ku dalekiemu brzegowi trojańskiemu. Lecz owa druga siła, która zmusiła go do wypowiedzenia owych słów, także była wielka, a to samo zasmucone serce śpiewało w nim radośnie na myśl, że u boku Terteusa będzie przemierzał nieznanne morze.

- I ty także?! Pragnąłem tego! - Widwojos położył mu na ramieniu dłoń pokrytą ciężkimi złotymi pierścieniami.

- Jak wiesz, syn mój upodobał sobie, by wypadać z okrętu na pełnym morzu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dzięki niechaj będą Amonowi za to!

Kupiec Re-Se-Net przymknął na chwilę oczy, westchnął cicho i otulił szelniej ramiona błękitną wełnianą chustą narzuconą na białą szatę, którą zwykł był nosić przed południem, odkąd zamieszkał na Krecie.

Deszcz padał już od trzech dni, a od morza wiał chłodny wilgotny wiatr, niosąc z sobą niskie chmury, które przesłaniały wierzchołek gór widocznych przez małe okno, obok którego stał. Szyba z czystego jasnoblękitnego przezroczystego szkła, jedna z kilkudziesięciu, jakie przywiózł z Egiptu, gdy z woli faraona musiał się tu osiedlić, dodawała jeszcze barwy smutku widocznemu za nią krajobrazowi.

- Czy mam przywołać lektykę, panie mój?

Sekretarz jego stał w drzwiach tuląc szczupłą dłonią do piersi gruby zwój papirusu.

- Uczyń to... - Re-Se-Net wzdrygnął się i wskazał okno. - Cóż to za straszliwa kraina. Wiosną i latem można tu żyć, lecz gdy nadejdzie pora deszczów... - Wzdrygnął się ponownie. - Oby Ra odwrócił swe słoneczne oblicze od tej wyspy! Niechaj ją wieczna noc pochłonie!

Westchnął ponownie i rzekł z wyraźną niechęcią: - Jeśli okręt zawinął do przystani, winienem być przy wyładunku. Czy goniec, który zawiadomił cię o jego przybyciu, przyniósł jakieś listy?

- Nie, panie mój. Zapewne ma je pod swą pieczęcią mężny Suti-Mes, lecz nie odejdzie on od towarów do chwili, gdy ujrzy ciebie i zda sprawę z wyładunku.

Sekretarz mówił dalej głosem pełnym pokory, przestępując z nogi na nogę, jak gdyby pragnął rzec, że wszystko, o co pan jego pyta, winno mu być znane od dawna. Mężny Suti-Mes, który odpłynął przed trzema miesiącami mając pieczę na towarami Re-Se-Neta i powrócił dziś wioząc kość słoniową i szklane naczynia z Egiptu, nie mógł przecież zejść z okrętu i stawić się przed panem, pozostawiając cały ładunek na łasce kreteńskiego kapitana, jego załogi i włóczących się po nadbrzeżu złodziejasków. Nimby powrócił, któraś ze związanych sznurami i opieczętowanych skrzyń mogłaby w nie wyjaśniony sposób zniknąć, a wówczas nawet bogowie, znający każdą tajemnicę ziemi, morza i umysłów śmiertelnych, nie wpadliby zapewne na jej siad. Albowiem Krecyńczycy są narodem wielkich żeglarzy i wielkich kupców. A któż jest większym kupcem niżli ów, który kupuje za darmo?

- Tak, tak, zapewne... - Re-Se-Net raz jeszcze spojrział w okno. - Czy małżonka moja ma się lepiej?

Tego pytania także mógł nie zadawać, gdyż znał odpowiedź na nie lepiej niż ktokolwiek.

Od miesięcy żona jego snuła się po owym rozległym domu smutna i przygnębiona. Dorastała ich najstarsza córka. Ukończyła lat piętnaście i należało wyszukać dla niej odpowiedniego małżonka.

Właśnie tego ranka, gdy zbudził się, żona po raz tysięczny zadała mu pytanie:

- Cóż uczynimy z Uat-Maati?

- A cóż chcesz, byśmy uczynili? - odparł przecierając oczy. - Jest piękna, zdrowa i kocha nas.

Dziękujemy za to bogom: gdyż mogłaby być brzydka, chora i mieć serce pełne nikkemności.

- Czyż nie pojmujesz, że piękna i zdrowa dziewczyna winna mieć godnego siebie małżonka? -

zawołała, a w głosie jej wyczuwał wzbierające łzy.

Zerwał się wówczas z łoża ogarnięty nagłą bezsilną wściekłością i krzyknął:

- A kogóż mam jej tu wyszukać? Kreteńczyka?!

- Winniśmy powrócić do Egiptu, Re-Se-Necie! - zawołała wybuchając łzami. - Powrócić i nigdy

już nie opuszczać świętej ziemi ojców!

Usiadł złamany na łożu i rzekł cicho:

- A jak mam tego dokonać?

- Jesteś możnym kupcem, panem wielkich bogactw, osobą znaczną! Czyż nie znajdzie się nikt, kto

zechce ci pomóc i wstawić się za tobą u tych, którzy znajdują posłuch u Największego z Wielkich? - I

ukryła twarz w dłoniach, znając jego odpowiedź, gdyż zdążyła jej wysłuchać wiele już razy.

- Przybyłem tu z woli naszego świętego władcy, oby żył miliony milionów lat... - Re-Se-Net

powstał z łoża i skłonił się nisko ku południowi, gdzie za bezmiarem wód morza i równie

bezmiernym morzem piasków stał pałac, będący domem człowieka - boga, którego słowo było

jedynym prawem Egiptu. - Nakazał mi on przybyć na tę wyspę, abym czuwał nad towarami, które ślą

oni do nas, i nad tymi, które my im sprzedajemy. Cóż z tego, że częścią owych towarów jest moja

własnością? Cóż z tego, że mam nieco złota, klejnotów, kości słoniowej, niewolników i ziemi?

Kimże jestem ja, ty lub nasza córka w obliczu faraona, oby żył miliony lat? Czy pragniesz, bym

ośmielił się napisać do kancelarii mego władcy i rzec mu, że powracam do Egiptu, gdyż moja córka

dorosła już do małżeństwa?! Czyż mam mu okazać wolę moją, aby stał mnie na proch? Sam

zabiegałem o wysłanie mnie tu! Tak, ja sam! I za twoją namową! Gdyż jest to miejsce, w którym

człowiek roztropny może nagromadzić wielkie bogactwa... i z pomocą bogów gromadzę je, jak

widzisz! A dopomogli mi moi przyjaciele, którzy także ciągną korzyści z mego pobytu tutaj i

sprawili, że jestem głową kolonii egipskiej na tej wyspie. Czyż moja wina, że nie ma tu żadnego

młodego Egipcjanina, którego mógłbym wziąć pod rozwagę jako małżonka mojej córki?!... Czyż nie

mówiłem ci już po stokroć, że napisałem do brata mego i czekam z wielką niecierpliwością jego

odpowiedzi? Czas letniej żeglugi kończy się i okręt, który przybędzie z ojczyzny, będzie ostatnim do

czasu, gdy minie pora wzburzonego morza i nastanie wiosna. Jeśli odpowiedź mego brata, którego

prosiłem usilnie, aby zakrzętnął się za odpowiednim małżonkiem dla Uat-Maati, nie nadejdzie tym

okrętem, musimy czekać cierpliwie. Jeśli będzie to odpowiedź zgodna z moim życzeniem, odpłyniesz

wraz z Uat-Maati pod pierwszym wiosennym żaglem do kraju i będziesz czuwała, jak przystoi mądrej

i roztropnej matce, aby związek mej córki nie przyniósł mi ujmy, a pomnożył moje znaczenie. Cóż

więcej mogę ci rzec?

Dla niej jednak słowa: „pierwszy żagiel wiosenny” oznaczały nieskończone oczekiwanie w

barbarzyńskiej krainie. Gdyż, choć władcy tej wyspy żyli w wielkim przepychu, choć obyczaje ludzi

były łagodne, a oni sami chętni do rozmów, żartów i zabawy, nienawidziła ich. Najulubieńszą ich

rozrywką było oglądanie zręcznych młodzieńców i dziewcząt drażniących w amfiteatrze rozjuszone

byki, które chwyтали za rogi, by przerzucić się wdzięcznie na grzbiet zwierzęcia, a stamtąd na ziemię.

Jeśli byk nie zabił żadnego z nich, składano na ofiarę byka, jeśli róg rozdarł - co zdarzało się

niemal podczas kaźdych igrzysk - zbyt powolnego lub nieostroźnego skoczka, wówczas na ofiarę składano człowieka. Zdumiewające było, jak ci łagodni z pozoru ludzie, którzy nie nosili broni, nigdy nie krzyczeli i nie obrzucali się obelgami, a zawsze mieli na ustach uśmiech i grzeczne słowa, lubowali się w widoku krwi i wlokących się po piasku wnętrzności, a ich niewiasty bardziej jeszcze niżli mężczyźni.

I choć Re-Se-Net wiedział, że małżonka jego jest niewiastą dobrą i mądrą, lecz była jedynie niewiastą i czasem serce jej ogarniało niewieście szaleństwo. Wówczas nic jej nie mogło przekonać.

I choć przy drodze prowadzącej pośród gór z pałacu królewskiego do kamiennej przystani miasta Amnizos wybudował wspaniałą rezydencję, jedną z najpiękniejszych przy owej drodze, gdzie mieszkali możni tego kraju, choć otaczał swą małżonkę przepychem, jakim nigdy nie była otoczona w Egipcie, nie była szczęśliwa.

Spoglądając teraz w okno, po którym spływały strugi chłodnego deszczu, rozmyślał o tym, czy męźny Suti-Mes przywiózł mu odpowiedź brata, także kupca zamieszkałego w ich białym domu rodzinnym w Memfis. A jeśli przywiózł, jaka była to odpowiedź? Re-Se-Net pragnął dla swej córki młodzieńca, który byłby synem kogoś znacznego przy dworze, a może nawet kimś piastującym niewielką, lecz znaczącą godność w pobliżu boskiej osoby faraona? On sam nagromadził już tak wiele dóbr, że mógłby żyć bez wstydu w pobliżu dworu władcy. A może ... mógłby otrzymać jakiś urząd przy dworze dzięki poparciu któregoś z radców faraona?

O tym nie śmiał niemal marzyć. Gdyż jak kaźdy Egipcjanin uważał za najwyższe szczęście móc spoglądać co dnia w oblicze boga na ziemi, obcować z nim z dala, być jednym z tysiąca tych, którzy wypełniali niezliczone sale i kruźganki pałacu. Był wysłannikiem do krainy wysp rządzonych przez Minosa. Już to samo było wielkim zaszczytem i mógł spodziewać się, że gdy żyjący Bóg rozkaże mu opuścić Kretę i przyśle na jego miejsce kogo innego, może czekać go nagroda po powrocie. Czuwał tu nad sprawami swej ojczyzny, jak gdyby to były jego własne sprawy. Oprócz tego przesyłał częste długie sprawozdania o tym, co działo się na dworze kretańskim, o wszelkich wydarzeniach na wyspie i rządzonych przez nią obszarach. Raporty takie gromadzone były przez Wielką Kancelarię Egiptu i nie niszczone ich nigdy, o czym przekonał się wyjeżdżając, gdy wprowadzający go w jego powinności kapłan zaprowadził go do kancelarii zagranicznej. W zapieczętowanych dzbanach leżały tam zwoje papirusu nagromadzone od niepamiętnych czasów. Odczytali jedynie ostatnie sprawozdania jego poprzednika, który zmarł na Krecie, został tu zabalsamowany i przyplłynął do Egiptu na okręcie, aby nie leżeć w obcej ziemi. Więc także i jego sprawozdania były odczytywane teraz, gromadzone, a ci, którzy są oczyma władcy, wiedzą, jak pilnie i dokładnie przekazuje Re-Se-Net wszelkie wieści, mogące mieć znaczenie dla Egiptu.

Westchnął. Sekretarz nadal stał w drzwiach.

- Wezwij lektykę! - rzekł Re-Se-Net nieco silniejszym głosem. - I niechaj przyniosą mi skórę lamparcią!

Gdy sekretarz zniknął, ruszył ku drzwiom. Na chwilę myśl jego oderwała się od spraw domowych i rozważań nad przyszłością. Jeśli naczynia z różnobarwnego szkła, które od niedawna stały się ozdobą pałaców Krety, przybyły nie uszkodzone i w tak kunsztownym kształcie, jak to wyrysował, zyski będą wielkie, większe, niż przewidywał przed dwoma miesiącami. Dla dam kretańskich istniał jeden tylko bóg: nowość. Kaźda z nich pragnęła mieć na swym marmurowym stole wypełnioną kwiatami egipską wazę, przez którą światło słoneczne przebiegało budząc naokół radosny blask tęczy. A z kolei w Egipcie kochano się w cienkich jak skorupka jaja wazach

kreteńskich zdobionych wspaniale różnobarwnymi rysunkami zwierząt i roślin.

Idąc szerokimi przedsionkami, stawiał ciężko stopy obute w grube sandały, Szedł wpatrując się uważnie w różnobarwne płyty marmurowej posadzki. Lecz nie dostrzegał ich. Ręce jego uniosły się i jedna poczęła obliczać na palcach drugiej, zginając je łagodnie.

Unióśł głowę. Przed nim stał czarnoskóry niewolnik trzymając lekką futrzaną oponczę z kunsztownie zszytych skór lamparcich.

Re-Se-Net przystanął, Niewolnik otulił jego ramiona futrem, przebiegł kilka kroków i otworzył przed nim szeroko wielkie podwójne drzwi nabijane lśniącymi gwoźdźmi z brązu.

Lektyka stała tak blisko, że wszedł do niej nie spojrzawszy nawet w ciemne niebo. Usiadł, drzwiczki zamknęły się. Szybkim ruchem zasunął firanki i otulił się futrem. Ośmiu ludzi pochyliło się i miękko uniosło długie kije wspierające pudło.

Re-Se-Net poddał się łagodnemu kołysaniu i przymknął oczy. Długo siedział pogrążony w myślach, póki gwar głosów i nawoływań nie rzekł mu, że znajduje się w mieście.

Odsunął firankę. Deszcz nie padał już. Ulice wypełnione były ludźmi. Przed różnobarwnymi fasadami domów przekupnie ponownie rozkładali na ziemi swe towary, Wyminął kilka zaprzężonych w woły szerokich wozów jadących powoli w kierunku nadbrzeża.

Lektyka skręciła. Re-Se-Net zwrócił głowę ku drugiemu oknu. Przed nim rozciągało się szerokie, wyłożone kamiennymi płytami nadbrzeże ciągnące się aż po skalisty przylądek zamykający przystań. Przymrużył oczy i zaczął przesuwac wzrokiem po długiej linii stojących przy brzegu okrętów. Dostrzegł, że część z nich wyciągnięto już na brzeg i podparto palami. Tak doczekają wiosny. W tejże samej chwili ujrzał wysokiego, odzianego w strój egipski człowieka, zbliżającego się ku niemu.

Człowiek ów przyspieszył na widok lektyki i zaczął biec. Re-Se-Net uderzył laską w przednią ścianę pudła.

Ruch ustał. Tragarze z wolna opuścili kije.

Człowiek podbiegł, upadł na twarz przed lektyką i zerwał się.

Re-Se-Net wysiadł i stanął przed nim.

- Witaj mi, Suti-Mesie! Ciesz się moim widokiem!

Uśmiechnął się. Wysoki człowiek pochylił głowę i nie patrząc mu w oczy, tak jak nakazywał szacunek, rzekł radosnym, choć przytłumionym głosem:

- Panie mój, ogarnęła nas burza tuż u wybrzeży Krety.

Lecz towary nasze dowieźliśmy nie uszkodzone dzięki biegłości, z jaką ludzie twego najczciodsze brata umieli ułożyć je w wygodnie wymoszczonych koszach.

- Dzięki niech będą Amonowi za to! A czy przywiozłeś pismo od brata mego?

- Tak, panie! Mam je w skrzyni na okręcie, zapieczętowane w dzbanie. Obawiałem się go otworzyć, aby deszcz i fale nie zmoczyły zwoju.

- Idź po nie, Suti-Mesie, gdyż chciałbym je ujrzeć nie zwlekając.

Wysoki człowiek ruszył biegiem ku stojącemu w pobliżu okrętowi, z którego pokładu ludzie znosili powoli i uważnie wielkie krągłe kosze obłożone zszytymi liśćmi palmowymi i ustawiali je rzędem na nadbrzeżu pod strażą wspartych na włóczniach wojowników. Byli to ludzie Re-Se-Neta. Okręt także był jego własnością, lecz zbudowano go w stoczni kreteńskiej i miał załogę kreteńską, gdyż Egipt nie budował okrętów, którymi można było bezpiecznie na pełnym morzu płynąć z ładunkiem. Na widok pana obaj wojownicy rzucili włócznie na kamienie nadbrzeża i upadli przed nim na twarz. Później powstali szybko i stanęli wyprężeni, trzymając włócznie przed sobą w

wyprostowanych rękach.

Re-Se-Net rzucił okiem na kosze i spojrział w kierunku okrętu.

Suti-Mes skoczył na nadbrzeże i zbliżył się do niego trzymając w dłoni prosty gliniany dzban. Uderzył dzbanem lekko o płytę nadbrzeżną. Skorupy rozsypały się ukazując zwój papirusu obwiązany zielonym sznurem zakończonym kulistą zieloną pieczęcią.

Kupiec sprawdził pieczęć i skinął głową. Suti-Mes przeciął s/nur długim nożem, który miał u boku, i podał zwój panu, Re-Se-Net rozwinął go z pozornym spokojem. Serce biło mu tak szybko, że miał ochotę przycisnąć je ręką, lecz wiedział, że wiele oczu spogląda na niego. Począł czytać przesuwając zwój drżącymi palcami.

W pewnej chwili uniósł głowę i spojrział na Suti-Mesa. Znowu opuścił wzrok. Gdy skończył, zwinął dokładnie papirus.

- Suti-Mesie, mój wierny sługo! Gdy tylko dopilnujesz załadowania towarów na wozy, udasz się wraz z nimi do mego domu i tam będziesz czekał, póki cię nie wezwę.

- Tak, panie mój!

Re-Se-Net chciał odwrócić się, by odejść w kierunku lektyki, lecz uśmiechnął się ponownie i skinął głową.

- Przywiozłeś mi dobre wieści i otoczyłeś troską towary, aby nie przepadły w drodze! Czeka cię nagroda!

- Twoja radość jest dla mnie największą nagrodą, panie mój!

- Lecz znam i inne!

Re-Se-Net uśmiechnął się ponownie, obrócił i skinął na ludzi, którzy poderwali lektykę i zbliżyli się biegiem.

Po godzinie wszedł do komnaty, gdzie żona jego spoczywała na łożu słuchając śpiewu ich córki, pięknej Uat-Maati.

Na jego widok powstała z łoża, a dziewczyna zdjęła dłonie z harfy i także podniosła się. Była wyższa niż matka i gdy Re-Se-Net spojrział na nią teraz, wydała mu się jeszcze piękniejsza niż zwykle.

- Mówiłaś dziś, że pragnęłabyś ujrzeć nasze Strony rodzinne. I oto bogowie wysłuchali cię! - Nie odezwała się, gdy zamilkł na chwilę dla nadania wagi swym słowom, uniosła jedynie obie dłonie ku ustom, jak gdyby chciała powstrzymać okrzyk.

- Ty także słuchaj, córko moja... - rzekł widząc, że dziewczyna pragnie, jak nakazywał zwyczaj, wyjść, skoro rodzice nie nakazują jej pozostać. - Mój dobry brat pisze mi, że sam rozmyślał już nad sprawą twego małżeństwa. Otóż sądzi, że jeśli przybędziecie jak najszybciej, uda mu się doprowadzić do małżeństwa twego z... - znów zawiesił głos - z synem brata głównego poborcy Górnego Egiptu! - dokończył triumfalnie.

„Z synem brata głównego poborcy... - szepnęła matka i nagle ożyła. - Uat-Maati, czy słyszysz! Jakże szczęśliwa jesteś!

- Ojczy! - Nie zważając na niestosowność swego zachowania Uat-Maati podbiegła i przytuliła głowę do piersi Re-Se-Neta, który pogłaskał ją po włosach i odsunął łagodnie.

- Lecz to nie kres owych wieści. Mój czcigodny brat pisze, że córka nasza winna pojawić się tam jak najszybciej, gdyż nie jest jedyną dziewczicą pragnącą pozostać małżonką najczcigodniejszego syna brata głównego poborcy. Należy on przecież wraz z rodziną do tych, którzy przebywają na dworze jego świątobliwości faraona, oby żył miliony milionów lat...

Wszyscy troje skłonili się nisko ku południowi.

- Postanowiłem więc, że wyruszyście natychmiast!

Okręt stoi w przystani i wyładowuje towary. Pragnę, abyście za trzy dni odpłynęły. A o sprawach z tym związanych, o tym, co macie wziąć ze sobą, jakie dary z tej krainy dla mego brata, najczcigodniejszego brata głównego poborcy i dla jego syna, pomówimy o zmroku, gdy zakończę sprawy dnia.

- Matko! - Uat-Maati poczęła tańczyć pośrodku komnaty. - Matko! Będę małżonką dostojnika i ujrzę boskie oblicze pana naszego!

Re-Se-Net pozostawił je we łzach szczęścia i uśmiechając się ruszył w głąb pałacu, gdzie z największą ostrożnością ludzie wyładowywali i ustawiali kosze w przestronnym składzie.

Suti-Mes i nadzorca pilnowali każdego ich ruchu.

- Pójdź ze mną - rzekł czcigodny Re-Se-Net i skinął na wiernego sługę.

Sekretarz czekał przed drzwiami komnaty, w której mieściła się biblioteka rezydencji i archiwum handlowe.

- Wyślij człowieka do najszlachetniejszego Marmarosa, który jest kuzynem rządcy pałacu króla i piastuje godność Towarzysza Przechadzek. Powiedz mu, że czcigodny Re-Se-Net zawiadujący w tej krainie sprawami jego świątobliwości, oby żył miliony milionów lat, prosi go, aby zechciał tu przybyć i obejrzeć naczynia świeżo sprowadzone z Egiptu, gdyż pragnę, aby obejrzał je, nim inni będą mogli wybrać te, które wydadzą im się najpiękniejsze. A gdy nadejdzie... - uśmiechnął się - bo któryż Kreteńczyk oprze się, gdy może spojrzeć na coś nowego, kupić to i pysznić się przed innymi?!... więc, gdy nadejdzie, spraw, abyś słyszał moją z nim rozmowę.

- Tak, panie mój!

Sekretarz oddalił się pospiesznie.

- Suti-Mesie, wiem, że pragniesz za żonę córkę tego oto człowieka, który odszedł - rzekł Re-Se-Net. - Lecz jako pisarz jest on wyższy stanem niż ty, ma piękne stado krów i koni, a ty posiadasz jedynie moją łaskę. Nie jest to wszakże mało. Rzeknę mu dziś, że otrzymasz tyle, ile otrzyma jego córka, i otoczę was oboje opieką...

- Panie mój! - Mężny Suti-Mes upadł mu do nóg i ucałował jego sandały obejmując je rękami.

- Wstań! Służysz mi od dziecka, jesteś wierny i uczciwy, a to wiele. Chcę, abyś był tak szczęśliwy, jak na to zasługujesz, i nie przestawał mi służyć... - Urwał. - Pragnę, abyś popłynął z małżonką moją i córką do Egiptu.

- Na wiosnę, panie... - Suti-Mes ze zrozumieniem skinął głową. Mieszkał w pałacu Re-Se-Neta, a przed domownikami niewiele da się ukryć. - Gdy tylko nadejdzie pora spokojnego morza.

- Nie! - Jego pan potrząsnął głową. - Pragnę, abyś odpłynął za kilka dni.

- Tak, panie mój... - W głosie młodego człowieka było lekkie wahanie.

- Wiem, co chcesz rzec. Sądzisz, że narażam je na niebezpieczeństwo wzburzonych wód o tej porze roku. Lecz morze jest zawsze niepewne, a pora prawdziwie wielkich wiatrów i burz jeszcze nie nadeszła. Jeśli wypłyniecie wkrótce, napotkacie morze nie gorsze niż to, przez które przewiozłeś moje kruche naczynia nie tłukąc ich.

- Stanie się, jak rozkażesz, panie mój.

- A gdy wiosną powrócisz, czekać cię będzie uroczystość twych zaślubin.

I odwrócił się dając mu znak, że może odejść. Sercem jego także tai gały wątpliwości. Wiedział, że większą część okrętów kreteńskich zabezpieczono już na brzegu, a wiele z nich pozęgłowało do

ustronnych piaszczystych zatok w pobliżu Amnizosi tam zostały wyciągnięte na ląd. jak to zwykle czyniono, gdy zbliżała się pora deszczowa, a nawet śnieżna, gdyż raz ujrzał tu już na własne oczy śnieg przed dwoma laty, biały i przerażająco zimny. Nie byłby jednak wielkim kupcem, gdyby nie umiał podjąć koniecznego ryzyka. Nie wchodził tu w grę jedynie los jego córki, lecz całego rodu. Po to właśnie gromadził majątek, by dzięki niemu przesunąć się w górę po szczeblach prowadzących ku obliczu boga na ziemi. A któż mógł wiedzieć, kim zostanie jego wnuk lub prawnuk? Owe nie narodzone jeszcze dzieci były dlań równie ważne i prawdziwe jak zmarli przodkowie. Wraz z nim i krewnymi jego tworzyły ród, który był, jest i będzie. Jeśli jego mądry brat pragnął, aby Uat-Maati przybyła bez zwłoki, należało go usłuchać. On także wiedział, że pora żeglugi się kończy. Lecz dla niego sprawa ta była równie wielkiej wagi. Obaj pragnęli tego samego.

Jeśli bogowie będą sprzyjali mu, a wierzył w to, że mu sprzyjają, małżonka jego i córka dopłyną szczęśliwie do ujścia Nilu.

- Uśmiechnął się do siebie i przywołał skinieniem jednego z domowników. Chciał mu wydać polecenie na wypadek, gdyby najszlachetniejszy Marmaros przybył dziś jeszcze. Później ruszył w kierunku składu, nie widział bowiem jeszcze owych naczyń, a przypatrywanie się im, gdy wydobywano je kolejno z koszy, było dlań połączone z wielką spokojną radością.

- Przepiękne! - rzekł z uczuciem najszlachetniejszy Marmaros i pogładził zieloną główkę papugi, która siedziała na przegubie jego dłoni, przykuta do niej lekkim i misternym złotym łańcuszkiem. - Jeśli zezwolisz, mój drogi przyjacielu, wezmę pięć, dwie dla siebie, dwie dla mej małżonki, a jedną... dla pewnej damy, która na pewno będzie wielce ucieszona, gdyż rozmiłowana jest w rzeczach pięknych. Które radziłbyś mi?

Re-Se-Net rozłożył ręce. Lata pobytu w tej krainie nauczyły go prowadzenia rozmowy w sposób, który odpowiadał ludziom tu zamieszkującym.

- Nie ośmieliłbym się doradzić ci, najszlachetniejszy Marmarosie. Choć przez ręce moje przeszły najwspanialsze dzieła rzemieślników mej ojczyzny, a jak wiesz, nie mają oni sobie równych przy sporządzaniu naczyń szklanych, nie mógłbym iść z tobą w zawody, gdyż oko twoje dostrzega każdy przymiot i każdą wadę w sposób niezrównany. Będę ci wdzięczny, jeśli zechcesz doradzić mi, które z nich winienem wręczyć twemu boskiemu władcy Minosowi, gdyż pragnę złożyć mu je w darze podczas najbliższej bytności w pałacu królewskim w Knossos, gdzie mam być obecny na uciesze. Twój bogom podobny władca otacza wielką opieką Egipcjan w swym królestwie i jest rzeczą słuszną, abyśmy wywdzięczyli mu się tak, jak na to nasze nikczemne możliwości zezwalają.

- Cóż... - Marmaros uśmiechnął się. Papuga skoczyła mu na ramię i zaskrzeczała. Re-Se-Net najchętniej ukręciłby jej głowę, mimo to uśmiechnął się.

Marmaros wstał i przeszedł tam i na powrót całą komnatę, przypatrując się naczyniom stojącym na gładkiej kamiennej podłodze. Zawróciwszy, zatrzymał się.

- Sądzę, że ta waza ma niezrównaną barwę, a kształt jej przypomina szyję niewieście... myślę o pięknej, smukłej i młodej niewieście! Pan nasz, boski Minos, z pewnością ucieszy nią swe świetliste oko, jeśli... - urwał i uśmiechnął się - jeśli myśli jego nie będą przebywały nieustannie z dala od spraw tego rodzaju, gdyż są zaprzątnięte ostatnio czym innym.

Re-Se-Net wziął do ręki jedno z naczyń, uniósł i spojrział na nie pod światło. Później pochylił je nad dwiema czarkami z błękitnego szkła i napełnił obie ciemnoszkarłatnym płynem.

- Czy zechcesz spocząć, o najszlachetniejszy? Wino to pochodzi z Gubal i zwą je Radością Książąt.

Odstawił naczynie, podał czarce gościowi i uprzejmym ruchem wskazał mu szeroki fotel o poręczach wykładanych kością słoniową i różnobarwnym drzewem.

Najszlachetniejszy Marmaros usiadł lekko i wdzięcznie. Papuga zeskoczyła mu na kolana i wyciągając szyjkę zajrzała do trzymanej przez niego czarki. Cofnęła szmaragdową głowę i zamarła w bezruchu. Obaj mężczyźni unieśli naczynia ku ustom i odstawili umoczywszy usta w winie.

- Jest to w rzeczy samej wyborne wino...- Marmaros przeciągnął językiem po wargach i przymknął oczy.

- Mówiłeś, panie, że wasz boski władca może być nierad, gdy przybędę z darami na ową ucztę - podsunął niemal nieśmiało Re-Se-Net.

- Ach, nie, tego bym nie rzekł. Rzekłem jedynie, że myśli jego błądzą ostatnio gdzie indziej. Po cóż mam mówić o tym tobie, czcigodny Re-Se-Necie? Wiesz przecież o sprawach naszego dworu tyle, ile wiedzą w pałacu, a być może więcej. - Roześmiał się cicho.

- Ostatnio i moje myśli błądziły wokół innych spraw - rzekł kupiec szczerze. - Więc jeśli wolno cię spytać, powtórzę moje pytanie, gdyż nie chciałbym popełnić czynu, który mógłby się wydać na dworze niestosowny, a któż mnie objaśni o tym lepiej niż ty, o najszlachetniejszy, który tak często spoglądasz w boskie oblicze Minosa?

- Wiesz przecież, że między boskim Minosem a jego bratem sprawy nie układały się nigdy tak, jak pragnął tego ich ojciec, nasz zmarły władca. Pan nasz jest człowiekiem Ostrożnym, a będąc bezdzietnym, lęka się, że... - Urwał i uśmiechnął się znowu. - Cóż, być może, gdyby zwykli śmiertelnicy mogli odgadywać myśli panujących, mógłbym rzec, że ich zmarły ojciec sądził, iż młodszy z braci byłby lepszym władcą. Widwojos wierzy, że zbyt wielu najemników broni naszego królestwa przed wrogami, a my sami stajemy się zniewieściami i gnuśni. Brat jego sądzi natomiast, że nasza potężna flota wystarczy nam, skoro oblani jesteśmy zewsząd morzem. Tak zresztą myślą wszyscy rozsądni ludzie w kraju. Zresztą... - pochylił się ku Re-Se-Netowi i dokończył niemal szeptem: - nie ma on potomka i mieć go zapewne już nie będzie. A Widwojos ma syna. Ostatnio młodzieniec ów nie przebywa wśród szlachetnych rówieśników z najlepszych rodów Krety, lecz nie odstępują go dwaj cudzoziemcy, których boski Widwojos przywiózł do Knossos powracając z podróży. Krąży wieść, że strzegą oni jego życia, gdyż, jak słyszałem, próbują wszystkich potrafić które ma spożyć! - Uśmiechnął się ponownie. - Być może boski Widwojos zanadto się lęka o niego, skoro z rozkazu swego brata wyrusza na wielką wyprawę. Po cóż miałby ktoś zabijać chłopca, który odpływa w nieznane i dalekie strony...

Zamilkł i pogładził głowę papugi, która dziobnęła go lekko w palec.

- Słyszałem, że pragnie odkryć drogę morzem do krainy bursztynu, lecz wydało mi się to nie do uwierzenia... - Re-Se-Net pokręcił głową i dolał wina do czarek. - Nikt nie wie, skąd przybywa ów przedziwny kamień, w którym można czasem napotkać skamieniałe ciała maleńkich stworzeń. Jestem kupcem od lat i kupcem był mój dziad i ojciec. Nawet nasi kapłani wiedzą jedynie, że bursztyn przybywa z północy, a wymieniają go ludy barbarzyńskie na oręż i ozdoby.

- Tyle wiemy i my. - Najszlachetniejszy Marmaros skinął głową. - Lecz nasz boski władca sądzi, że gdybyśmy znaleźli drogę morską do bursztynu i mogli wyprawić okręty, aby powracały z nim do naszych pracowni obrabiających drogie kamienie, moglibyśmy wzbogacić wielce skarbiec królewski i wzmóc jeszcze bardziej nasz handel odbierając zysk pośrednikom. Lecz być może nie to jest główną przyczyną owej wyprawy.

- Zapewne, zapewne... - Re-Se-Net gorliwie przytaknął. - A czy boski Widwojos pragnie udać

się wraz ze swym młodym, jedynym synem na ową niebezpieczną wyprawę w nieznaną?

- Tak... - I znowu lekki uśmiech przewiął się po wilgotnych pełnych wargach gościa. - Gdybym był nim, także zabrałbym z sobą mego syna. Wszyscy wiedzą i nie jest to tajemnicą na dworze, że władca nasz pragnie, aby nie przebywali, on ni jego syn, w królestwie Krety. Niechaj więc zabierze z sobą syna i owych barbarzyńców, którymi go otoczył, i odpłynie na swą wielką wyprawę.

- A jeśli powróci z niej wioząc bursztyn?

Gość uniósł głowę i przez chwilę spoglądał na niego w milczeniu. Wreszcie rzekł:

- My, Kreteńczycy, nie jesteśmy ludem gwałtownym, nie lubujemy się w mordach i krwawych porachunkach jak inne ludy. Gdyby nasz boski pan zabił swego brata i jego syna, żyłby otoczony powszechną nienawiścią. Lud także nie wybaczyłby mu śmierci ostatniego potomka krwi Minosa, który mógłby po nim panować. Lecz jesteśmy ludźmi przebiegłymi i dążymy do celu okrężnymi drogami, jeśli droga prosta wydaje nam się zbyt... niedogodna. Gdyby Widwojos nie odpłynął, Minos musiałby go zabić podstępem. Obaj oni wiedzą o tym. Jeśli Widwojos odpłynie, pan nasz musi, jak mniemam, uczynić wszystko, aby nigdy nie powrócił. A brat jego także to pojmuje.

- A jak tego dokona?

Kreteńczyk wzruszył ramionami.

- Wiele jest sposobów, gdy się jest królem i panem mórz, a ów, którego nie pragniemy więcej ujrzeć, musi przemierzyć te morza. Widwojos nie powróci, choć sądzi może, że mu się to uda. Minos pozostawił mu nadzieję. To jest piękne w owym rozkazie i przejmuje mnie podziwem dla naszego boskiego władcy. Lecz nie byłby mądrym władcą, gdyby pozwolił się ziścić owej nadziei.

- A jeśli brat jego odpłynie nie po bursztyn, lecz aby sprzymierzywszy się z wrogami uderzyć na Kretę, stracić go z tronu i zająć jego miejsce?

- Gdyby mógł to uczynić, uczyniłby, zanim jego boski brat został królem. Odbył przecież długą podróż morską przed niedawnym czasem, jeszcze za życia swego ojca, boskiego Minosa. I cóż? Powrócił. Zapewne nie znalazł sprzymierzeńców pośród ludów, które płacą nam daninę, ani wśród naszych wielkorządców rozrzuconych po wyspach. Wiem zresztą o tym. Boski nasz władca także o tym wie, gdyż śledził każdy jego krok. Widwojos jest zgubiony. A choć jest królewskim bratem, nikt roztropny na dworze nie przekracza progu jego komnat. Gdyby syn jego nie został przez ojca odcięty od rówieśników, wątpię, czy ktokolwiek z ludzi wysokiego rodu pozwoliłby dziecku swemu brać udział w jego zabawach. Niełaska króla już sama w sobie jest śmiercią i jak zaraza pada na wszystkich, którzy stykają się z zapowietrzonym. Tak więc młody Perilawos, choć jest wnukiem zmarłego władcy, przebywać musi w towarzystwie dwu nieokrzęsanych barbarzyńców, z których jeden przybył tu, jak słyszałem, z Egiptu, gdzie był poświęcony któremuś z waszych bogów i uciekł. Tak mi mówiono. Cóż to ma za znaczenie?

- Machnął ręką. - Przedziwny to chłopiec, mężczyzna już niemal, gdyż silny jest nad wyraz, zważywszy jego lata, a włosy ma białe jak starzec.

- A więc boski Widwojos wyrusza w tę podróż... - Re-Se-Net znów dolał wina do czarek. Rozmowa zesłała na sprawy handlowe, później gość wybrał pięć spośród stojących w sali naczyń i upewniwszy się, że jeszcze tego samego dnia zostaną one przesłane do pałacu, pożegnał się.

Re-Se-Net odprowadził go do lektyki. Gdy zawrócił, drzwi w głębi przedsionka otworzyły się cicho i ukazał się w nich sekretarz.

- Czy słyszałeś wszystko?

- Tak, panie.

- Opisz to dziś jeszcze pismem pięknym i na najlepszym zwoju. Będzie to list do Wielkiej Kancelarii... - Skłonili się obaj ku południowi. - Nie opuść żadnego z koniecznych słów, lecz bądź zwięzły, gdyż tak przemawia sługa do pana i tak właśnie pragnę mówić ja do świątobliwych doradców mego władcy!

- Tak, panie. Opiszę przyczyny wyprawy boskiego Widwojosa po bursztyn i inne ważne sprawy, o których wspomniał najszlachetniejszy Marmaros. Czy mam także wspomnieć o owym chłopcu, który jest białowłosy i był, jak twierdzi ów dostojnik kreteński, poświęcony jednemu z naszych bogów?

- Uczyń to - rzekł z roztargnieniem Re-Se-Net, który rozmyślał już o czym innym. - Uczyń to, a później przybądź do mnie, gdy ukończysz swą pracę. Pragnę podyktować ci list do mego czcigodnego brata.

Sekretarz oddalił się pospiesznie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kraina Mroku

Schodzili po wilgotnych wysokich stopniach w dół, a lampy oliwne trzymane nad głowami przez idących w przdzie niewolników rzucały nikły migotliwy blask na szare nie pokryte malowidłami mury opadającego korytarza.

Zamykający pochód Białowłosy rozglądał się ciekawie. Nigdy nie był w tej części pałacu i nigdy jeszcze nie zszedł do podziemia, choć podczas kilku miesięcy pobytu zdążył już dowiedzieć się, że pod zamieszkaną częścią Knossos ciągną się niezliczone podziemne przejścia i pomieszczenia.

Stopnie skończyły się i poczęli iść długim niskim przejściem, od którego odchodziły w mrok boczne korytarze. Dostrzegł w nich płonące kaganki oliwne i dwukrotnie zauważył z dala przesuającą się postać ludzką. Najwyraźniej podziemia pałacowe nie były mrocznymi opuszczonymi lochami, lecz żyły własnym codziennym życiem.

Wreszcie niewolnicy zatrzymali się przed wielkimi okutymi drzwiami, które boski Widwojos otworzył, nakazując pozostałym skinieniem dłoni, aby szli za nim.

- Byłem tu już z moim nauczycielem, gdy żył mój boski dziadek - szepnął Perilawos.

Terteus i Białowłosy weszli za księciem i jego synem i zatrzymali się drzwiach, oślepieni blaskiem wielu oliwnych lamp.

W podziemnej, wielkiej, półokrągło sklepionej sali siedziało przy stołach około pół setki ludzi. Część z nich zajęta była pisaniem krótkimi ostrymi trzcunami na tabliczkach z mokrej gliny, którą podawali im stojący za nimi niewolnicy. Inni pochyleni byli nad stosami suchych już tabliczek i zajęci ich odczytywaniem.

Na widok wchodzących wszyscy unieśli głowy i rozpoznawszy królewskiego brata, powstali z łoskotem odsuwanych stołków, pochylając się w niskich pokłonach.

Boski Widwojos zdawał się ich nie dostrzegać. Przeszedł przez salę i otworzył następne drzwi. Całe wnętrze niewielkiej komnaty, do której weszli teraz, wyłożone było kamiennymi płytami. Pod ścianami stały wysokie stare skrzynie z ciemnego drzewa, a pośrodku za wielkim stołem siedział człowiek, który na widok wchodzącego także powstał i skłonił się tak nisko, że jego ciemna głowa o długich, zwiniętych w pukle włosach dotknęła niemal kolan stojącego przed nim boskiego Widwojosa. Gdy wyprostował się, Białowłosy dostrzegł ze zdumieniem, że człowiek ów jest bardzo stary, a oblicze jego pokrywają gęste zmarszczki. Owe czarne, lśniące włosy zdawały się należeć do kogoś młodszego o wiele dziesiątków lat.

- Panie mój - rzekł cichym, świszczącym głosem stary człowiek. - Czyż może być większe szczęście niż ujrzeć cię tu?

- Cóż... - Widwojos uśmiechnął się lekko. - Znam wielu takich, których widok mój przyprawia

ostatnio o zakłopotanie. Lecz krótko to potrwa, gdyż wkrótce wyruszę na daleką wyprawę i dla tej przyczyny przybyłem tu wraz z synem moim, Ojciec Biblioteki.

Staruszek wyprostował się z wysiłkiem.

- Doszły mnie wieści o tym i, jeśli mam być szczery, oczekiwałem, że wezwiesz mnie, bogom podobny książę! Usłyszawszy o celu twojej wyprawy sam przeszukałem wszelkie miejsca, gdzie mogły spoczywać dawne i nowe wieści o tym, czego poszukujesz. Jeśli wraz ze swym boskim synem zechcesz spocząć na krótką choćby chwilę, ukażę ci wszystko, co od niepamiętnych czasów spisano i złożono tu.

Widwojos skinął głową i usiadł, a Perilawos, który dotąd stał za nim, zbliżył się i pochylił ciekawie nad wielkim kamiennym stołem pokrytym różnego kształtu tabliczkami. Niektóre z nich musiały być bardzo stare, gdyż spękaną ich powierzchnię pokrywał pył, który wżarł się tak głęboko, że nie można go było już zetrzeć, i spoczywał grubą warstwą w zagłębieniach znaków pisma.

Stary człowiek skłonił się ponownie i wyszedł powłócząc nogami okrytymi sięgającymi kolan luźnymi butami z kociej skóry zszytej włosem do wewnątrz, gdyż podziemie było chłodne. Powrócił niemal natychmiast. Dwu ludzi, równie starych jak on, dźwigało za nim podłużną kamienną skrzynkę. Za nimi wszedł młody Kreteńczyk unosząc przed sobą wyciągniętymi rękami wielki krąg miedziany, który w pierwszej chwili wydał się Białowłosemu płaską misą. Człowiek ów złożył misę pośrodku stołu i wycofał się tyłem, bijąc pokłony, podobnie uczynili dwaj starcy, którzy wnieśli skrzynię. Trzeci, nazwany przez Widwojosa Ojcem Biblioteki, uniósł jej wieko, zajrzał do wnętrza, i uspokojony zwrócił się ku leżącej na stole tarczy z brązu, a później skierował wzrok ku Widwojosowi.

- Pytaj mnie, boski potomku Świętego Byka!

- Doszły cię już zapewne słuchy o tym, że gdy tylko morze będzie zdatne do żeglugi, wyruszę na poszukiwanie krainy bursztynu. Chcę, abyś zbadawszy wszelkie zapisy pałacowej biblioteki opowiedział mi, co wiemy o niej.

Ojciec Biblioteki skłonił się. Widwojos skinął głową,

- Mów!

- Jak wiesz, panie, w podziemiu tym od niepamiętnych czasów gromadzone są nie tylko zapiski dotyczące życia naszych boskich władców, bitew, stanu królestwa, trzęsień ziemi i wydarzeń, które czas z sobą niesie, lecz także wieści o dalekich krainach i spostrzeżenia naszych żeglarzy o drogach morskich i ludach zamieszkujących wybrzeża. Otóż gdy nowy władca wstępuje na tron, zbieramy wszelkie nowiny o nowo poznanych przez nas morzach, rzekach i miastach, i umieszczamy je na nowej mapie, tak abyśmy wiedzieli jak najwięcej, Ów spoczywający przed twymi oczyma obraz świata wykonano, gdy twój boski brat wstąpił na tron.

- Gdzież jest Knossos?

- Tu, panie! - Stary człowiek wskazał palcem środek tarczy, gdzie widniał podłużny kształt. - A oto Kreta oblana wokół morzem. Gdy spojrzysz tu, ujrzysz ujście wielkiej rzeki Egiptu, a nad nią miasta Egipcjan: Teby, Memfis i inne. Droga twoja będzie prowadziła cię morzem w przeciwną stronę, ku północy.

- Ukaż mi ją.

Białowłosy i Terteus przysunęli się nieco bliżej i wstrzymując oddech wlepili wzrok w tarczę. Nie dostrzegli jednak na niej niczego oprócz gmatwaniny linii wyciętych ostrym narzędziem w równo wygładzonej powierzchni metalu.

- Panie mój, tego nie mogę uczynić - stary człowiek rozłożył ręce - gdyż drogi tej nie zna nikt. W zapisach naszych mamy pogłoski zebrane przez naszych kupców i dowódców okrętów. Spisujemy je od wielu lat. Wiemy, że bursztyn przybywa z północy. Tu, panie mój, widzisz wybrzeża wielkiego ładu i nasze miasta na tym lądzie:

Tiryns, Mykeny, a oto wyspy, nad którymi króluje wszechmocny podwójny topór, święty labrys: Melos, Tera, Naxos, Amorgos, Paros, a dalej na północ Skiza, gdzie mieści się nasza ostatnia przystań... A tu, panie, jeśli spojrzysz ponad morzem ku drugiemu brzegowi, ujrzysz Troję, wielki warowny gród, którego władca jest sprzymierzeńcem Krety, lecz nie jej poddany. On to włada przesmykiem, za którym otwiera się nowe morze ku północy.

- I stamtąd przybywa do nas bursztyn? - zapytał Widwojos niecierpliwie. - Mam nieco inne wieści o tym!

- Nie, panie mój. Nie przybywa on tą drogą, lecz lądem przez rozległe i wysokie góry na północy leżące poza granicami znanego świata, gdzie żyją barbarzyńcy ukryci w nieprzebytych lasach i bagnach.

Mówił dalej, lecz Białowłosa nie słyszał go już od pewnego czasu. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w miejsce na miedzianej tarczy, gdzie spoczął palec starca, gdy wypowiedział słowo: Troja. Jeśli to było morze, Kreta znajdowała się w połowie drogi między Troją i Egiptem. A więc dzieliło go od niej wiele dni drogi morzem. A ów starzec wiedział, gdzie Troja się znajduje!

Z trudem oderwał wzrok od tarczy.

- Panie mój, zdaje się rzeczą niemal pewną, że bursztyn bierze się z morza, tak twierdzą wszyscy, choć nikt z tych, którzy o tym mówili, morza owego nie widział własnymi oczyma. Wiadomo jedynie, że znajduje się ono na północy. - Jego brunatny chudy palec powędrował ku krawędzi tarczy, przekroczył ją i zamarł na stole. Później cofnął się i spoczął na morzu otwierającym się poza Troją. Sięgało ono niemal granic świata. - Jest tam wielka rzeka, panie mój, a zwie się Dun i płynie przez cały północny świat. Jedni twierdzą, że za nią są już tylko nieprzebyte puszcze i krawędź ziemi, za którą mieszkają jedynie bogowie.

Widwojos ruszył niecierpliwie ramionami. Starzec dokończył pośpiesznie:

- Wydawać by się mogło, że skoro to nie owe ludy żyjące nad wielką rzeką znajdują bursztyn, lecz otrzymują go od innych, mieszkających dalej ku północy, musi tam być jeszcze jedno morze, a kraniec świata jest dopiero poza nim.

- Rzeknij mi krótko, Ojciec Biblioteki, gdybyś miał tam popłynąć, jaką obrałbyś drogę?

- Niechaj bogowie ustrzegą mnie od tego, panie mój!

- zawołał starzec szczerze. - Ów, który pragnąłby tam dotrzeć, musiałby zapewne przekroczyć ową wielką rzekę i udać się na północ. Bądź też... płynąć brzegiem owego morza dalej, póki by nie odnalazł innej rzeki, płynącej nie z zachodu, lecz z północy...

- A później? Cóż winien uczynić, gdy już tam dotrze?

Starzec uniósł głowę. Przez chwilę wpatrywał się w księcia, w końcu odwrócił wzrok.

- Tego nie mówi mapa ani nasze zapiski, panie mój.

Zebrałem tu - dotknął wieka skrzynki - wszelkie opowieści żeglarzy o owej Krainie Mroku, jak ją nazywają od najdawniejszych czasów. Czy pragnąłbyś je usłyszeć?

- Nie! - Widwojos zdecydowanie potrząsnął głową. - Czy nie masz mi niczego więcej do przekazania, starcze?

Ojciec Biblioteki rozważał przez pewien czas jego słowa.

- Zapewne wyda ci się to dziwne, panie mój, co powiem. Lecz gdy rozmyślałem o twej wielkiej wyprawie, przyszło mi na myśl, że istnieje także inna droga ku owemu morzu na północy...

- Inna? - Widwojos zmarszczył brwi i nagłym ruchem uniósł ze stołu lampę oliwną przybliżając ją ku obliczu starca, aby lepiej je widzieć. - A jakaż może być inna droga morzem ku północy, jeśli nie droga, która prowadzi w owym kierunku?

Stary człowiek otworzył skrzynkę i wyjął z niej kolejno cztery podłużne gliniane tabliczki, leżące na stosie innych.

- Tu, panie mój, spisane zostały wieści o tym, jak kupcy z Gubal wysłali okręty po cynę. Otóż płyną oni do portu, który znajduje się na zachód od Sycylii, jednej z wysp ziejących ogniem ze szczytów gór. Jak wiesz, wyspa owa znana nam jest od dawna i okręty nasze przybijały tam dla wymiany towarów. Powracając do kupców z Gubal... - Znowu palec jego powędrował po miedzianej tarczy ku miejscu, gdzie znajdowała się wyspa poniżej łądu rozplywającego się na granicy znanego świata. - Tam biorą oni cynę od innych Fenicjan, którzy z kolei dopływają, jak wieść niesie, do krainy na północy, odległej o sześć dziesiątków dni żeglugi... Strzegą oni pilnie swej tajemnicy i nie wiemy, ile prawdy zawiera się w owym doniesieniu, lecz wieść ta powraca kilkakrotnie w ciągu ostatnich stu lat. A gdybym pragnął rzec nie to, co wiem, lecz to, co mniemam o owych krainach północnych, rzekłbym, że kupcy fenicyjni umyślnie rozsiewają owe przerażające wieści o zaludniających je karłach, olbrzymach i ptakach-chmurach pożerających okręty. Jak wiesz, potomku królów, jest to lud wielce przemyślny i staje nam on często na drodze, wyprzedzając nas i przejmując nasz handel.

- Tak, mój starcze... - Widwojos uśmiechnął się lekko. - Gdybym był władcą tego królestwa, nie nakazywałbym memu bratu wyprawy w poszukiwaniu bursztynu, lecz wyprawę wojenną przeciw fenickim miastom wschodniego wybrzeża, zdobyłbym je i zniszczył ich flotę. Lecz nie dumajmy nad wolą królów, niechaj sami okazują ją tak, jak tego pragną. Nie rzekłeś mi, Ojczy Biblioteki, czy kupcy z Gubal otrzymują bursztyn drogą, o której wspomniałeś?

- Niczego o tym nie wiem, panie mój... - Starzec znów rozłożył ręce. - Sądzić można, że dzieje się tak, gdyż nie kupowaliby go od nas po wysokiej cenie, gdyby mogli otrzymać go sami od ludzi północy.

- I ja tak sądzę, a więc droga owa nie doprowadziła ich do bursztynu... - Widwojos wstał i raz jeszcze pochylił się nad mapą. - Czy radziłbyś mi żeglować od wyspy do wyspy, wzdłuż brzegów ku Troi i stamtąd owym tu widocznym przesmykiem na północ, by popłynąć ponownie brzegiem morza, które się za nim otwiera, wyminąć wielką rzekę wpadającą do niego od zachodu i szukać innej, płynącej z północy?

- Jeśli taka będzie twoja wola, panie mój, sądzę, że droga to jedyna wprost na północ z Krety. Będzie ona jednak pełna wielkich niebezpieczeństw jak każda droga rzeką przez nieznanne, barbarzyńskie krainy... - Mówiąc to spojrział na Perilawosa i pochylił głowę. - Panie mój - dodał ledwo dosłyszalnym głosem - jestem starym człowiekiem i rozpocząłem pracę tu, gdy twój boski dziad wstępował na tron. Zła to sprawa, gdy ostatni potomek Byka porzuca krainę swych boskich przodków, by wystawiać się na straszliwe groźby nieznanego losu, nie wiedząc nawet, czy obrał słuszną drogę przez wrogi bezmiar na krańcach świata.

- Sądzisz więc, że winienem pozostawić tu mego syna?

- Uśmiech Widwojosa stał się gorzki, on także zniżył głos zadając to pytanie.

Stary człowiek nie odpowiedział. Rzucił wylęknione spojrzenie na ścianę komnaty. Później bez

słowa szybko potrząsnął przecząco głową.

- Panie mój, rzekłem ci wszystko, com znalazł spisane w królewskim archiwum.

- Dzięki ci, Ojcie Biblioteki. Każ uczynić mi odlew tarczy, abym mógł go z sobą zabrać na okręt.

- Widwojos uśmiechnął się. - Być może, że po powrocie z owej wyprawy przywiozę ową tarczą

memu boskiemu bratu dodawszy nową krainę na jej krańcu?

Starzec nie odpowiedział. Uniósł dłonie ku oczom i otarł łzy.

W owym czasie, gdy brat jego przebywał w podziemiu, król Minos siedział w fotelu. Oczy miał przymknięte, a głowę oparł o niewielką poduszkę z owczej wełny. Przez okno wpadał blask słoneczny, a za oknem brzęczała pszczoła. Król rozmyślał.

Mijała pora wzburzonych wód. W porcie migotały teraz zapewne lśniąca ostrza siekier cieśli okrętowych. Wielkie stało przed nimi zadanie. Okręt Widwojosa był największym, jaki kiedykolwiek miał spłynąć na wodę w królestwie Krety.

Król rozmyślał. Pszczoła przestała brzęczeć. Zapewne odleciała ku kwiatom, które w ciągu ostatnich dni pokryły gęściej łąki wokół pałacu.

Skinął ręką. Dwie siedzące nieruchomo harfistki uderzyły lekko w struny. Jedna z nich zaczęła śpiewać. Była to stara pieśń o okrętach płynących pośród fal ciemnych jak wino. Król powstał, podszedł do okna i spojrzął na góry widoczne ponad morzem rogatych dachów. Słońce było wysoko. Odwrócił się od okna. Dwaj gwardziści stojący po obu stronach wejścia do komnaty trwali nieruchomo jak posągi, trzymając długie włócznie w wyciągniętych dłoniach. Pomiedzy nimi dostrzec można było lśniąca posadzkę uciekającą w głąb pałacu. Było bardzo cicho, tak cicho, że głos harf i śpiew dziewczyny zdawały się jedynymi dźwiękami w tym pałacu-mieście zwanym przez obcych Labiryntem od podwójnego topora, który wieńczył jego bramy.

Minos podszedł do fotela, opadł nań ciężko i ponownie przymknął oczy. Tak, miał słusność. Zbyt długo może musiał czekać na śmierć ojca. Nie był już młody wstępując na tron, a pragnął być królem zawsze, odkąd siebie pamiętał. Nie po to, by zdobywać, walczyć i wznosić wiekopomne budowle, lecz po to, by wiedzieć, że może czynić wszystko, co zechce. To wystarczyło. Czyż człowiek, który może uczynić wszystko, musi czynić cokolwiek? Dla kogo? Dla ludzi, którzy byli prochem u jego stóp? Dla pochlebców, którymi się brzydził, lub dla biedaków, których nienawidził jak wszystkiego, co nie było piękne? Być może Widwojos miał słusność mówiąc o tym, że należało przebudzić usypiającą Kretę. Widwojos zawsze miał słusność. Dlatego zapewne nienawidził go od czasów, gdy byli dziećmi. Lecz Kreta taka, jaka była, była najpiękniejszą krainą świata. I najbogatszą. Na podrywanie jej do walki przyjdzie czas, gdy wrogowie znajdą sposób, by jej zagrozić. A to zapewne nie nastąpi za jego życia. I być może nie nastąpi jeszcze długo po jego śmierci...

Dziewczyna rozpoczęła pieśń o ludach, które każdej wiosny przysyłały okręty z daniną. Była to pieśń prosta, wymieniająca kolejno wszystkie krainy podległe Krecie i ładunek okrętów przybijających do nadbrzeża w Amnizos, skąd szerokie wozy o czterech kołach przewożą dobra do skarbcza władcy i jego składów rozległych jak miasto. Towarzyszyły temu ciche dźwięki obu harf.

Król rozmyślał: Widwojos jest mądrym człowiekiem. Jest tak mądrym człowiekiem, że być może dotrze do owych północnych wód, w których spoczywa bursztyn. A jeśli dotrze do nich, łatwiej przecież będzie mu powrócić niż dopłynąć tam. Cóż wówczas? Czy zezwolę mu w triumfie przybić do przystani, aby lud i dostojnicy tego królestwa pomyśleli: „Oto bohater, jakiego nie pamiętają dzieje”? Od owej myśli do innych, groźniejszych, nie było daleko. Choć Kreta gniła, jak twierdził

Widwojos, każdy lud pragnie mieć dzielnego króla, a cóż dopiero takiego, który przemierzył krańce świata, a może zajął. za jego krawędź i powrócił w triumfie.

Minos wiedział, że Widwojos nie powróci. A jeśli siedział teraz z przymkniętymi oczyma i zmarszczonym czołem, nie działało się tak dlatego, że ogarnęły go wątpliwości lub żal. Rozmyślał jedynie nad tym, jak dokonać owego czynu tak, aby krew własnego rodu nie spadła na jego ręce. Tego się jedynie obawiał i gdyby nie owa obawa, nie musiałby wysłać brata po bursztyn do Krainy Mroku, gdyż oszczep wbity w serce wysyła bezpowrotnie do krainy największych ciemności. Mógłby zgładzić ich obu tu, w pałacu, lecz wiedział, że tego nie wolno mu uczynić. Nigdy zresztą nie był zwolennikiem czynów gwałtownych.

Nagle dłonie jego zacisnęły się na poręczach fotela. Pieśń harfistki ucichła, urwana w pół słowa. Usłyszał szcęk włóczni uderzających o kamienną posadzkę.

Przez głowę przemknęła nagła straszna myśl o tym, że Widwojos uprzedził go, dotarł tu w jakiś tajemny sposób i oto pojawił się w tej komnacie niosąc mu szybką śmierć. Z wysiłkiem otworzył oczy.

Obaj gwardziści klęczeli ukrywszy w dłoniach pochylone nieco oblicza, a ich porzucone włócznie spoczywały na posadzce. Harfistki klęczały także. I one na znak najwyższej czci przysłoniły oczy dłońmi.

W progu komnaty stała wysoka, przygarbiona nieco niewiasta w długiej białej szacie okrywającej niemal całą jej postać. Ręce miała ugięte w łokciach, a w każdej z nich wiał się szmaragdowy wąż.

Król powstał z miejsca. Nie spoglądał w oblicze kobiety, lecz na węże w jej rękach.

- Ariadno! - rzekł drżącym głosem. - Witaj!

Nie odpowiedziała. Uniosła jedną z rąk i skinęła na harfistki, które porzuciwszy instrumenty, nadal przysłaniając oblicza dłońmi, wybiegły z komnaty.

- Odejdźcie, wojownicy! - rzekła suchym, ochrypłym głosem.

Obaj gwardziści pochwycili włócznie i zerwawszy się wybiegli za dziewczętami.

- Czy jesteś sam, królu? - zapytała Ariadna nie spoglądając na niego.

- Tak! - Podszedł ku niej. - Mówiono mi, że od lat nie opuszczasz swych pomieszczeń w pałacu.

Ja sam widziałem cię jedynie w dniu mej koronacji...

- To prawda, królu... - Nie poruszyła się. Węże w jej dłoniach zamarły i patrzyły na niego ciekawie okrągłymi zielonymi oczyma.

Minos uśmiechnął się niepewnie.

- Sądziłem, że strzegą mnie czujnie strażę - rzekł wesoło. - Obu tym strażnikom każę uciąć głowy podwójnym toporem, gdyż porzucili oręż i zbiegli. Także i innym, którzy strzegą mych komnat od zewnątrz. Przeraziłaś mnie niemal, ukazując się tak niespodziewanie.

Uniosła głowę i zwróciła ku niemu chłodne jasne spojrzenie.

- Czy pragniesz ukarać ich, Minosie, za to, że przepuścili mnie?

- To prawda. Strzegą mnie oni jedynie przed ludźmi.

A ty jesteś wcieleniem Wielkiej Matki. - Był już zupełnie opanowany. - Bogowie nie mają zwyczaju odwiedzania śmiertelników. Nawet królowie nieczęsto widują ich u siebie. Jeśli opuściłaś, Ariadno, swoje komnaty, zapewne musi kryć się za tym przyczyna wielkiej wagi.

- Tak, Minosie.

- Zechciej spocząć w krześle, ty i twoje węże... - Zrobił uprzejmy gest wskazując jej fotel, który

opuścił przed chwilą.

- Królu... - rzekła cichym, dobitnym głosem, nie poruszywszy się z miejsca. - Wiesz, czemu tu przybyłam?

- Wiem, Ariadno... - Westchnął i skinął głową. - Przybyłaś po to, aby powstrzymać wyprawę Widwojosa, który za dni kilka ma odpłynąć wraz z moim bratankiem w daleką, pełną niebezpieczeństw wyprawę.

- Odgadłeś, królu. - Dopiero teraz poruszyła się.

Węże, które owinięły się wokół jej rąk i zdawały uspięne, drgnęły. - Przybyłam, aby wyjaśnić ci, że wyprawa ta nigdy nie rozwinie żagla i nie odbije od świętych brzegów Krety. Albowiem nie może lud nasz pozostać bez króla, gdy ty umrzesz! Minosie, chcę, abyś wysłał gońca do przystani i rozkazał wstrzymać przygotowania!

- A jeśli tego nie uczynię? - spytał król cicho.

- Jeśli tego nie uczynisz, ukazę się ludowi tego królestwa i powiem, że oszalałeś i pragniesz przelać krew twego rodu, aby ściągnąć klęskę na całą krainę! - rzekła cicho i spokojnie.

Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Później król uśmiechnął się.

- Poczynam wierzyć, że uczyniłabyś to!

- Czy sądzisz, królu, że nie uwierzą mi?

- Uwierzą ci z pewnością. Jesteś kimś więcej niż król.

Jesteś ich Wielką Matką, wcieleniem siły, która ożywia świat. Komu mieliby wierzyć, jeśli nie tobie?

Znowu spoglądali sobie przez chwilę w oczy.

- Cieszę się, Minosie, że i ty mi uwierzyłeś - rzekła wreszcie - gdyż musiałabym tak uczynić.

- Gdybyśmy umieli oboje, Ariadno, nie rozmawiać ze sobą jak Minos z Wielką Matką tego ludu, a jedynie pamiętać, że jesteś siostrą mego ojca, której w dzieciństwie przeznaczono, aby była nowym wcieleniem Ariadny, jak mnie przeznaczono, abym był nowym wcieleniem Króla Byka, wówczas może zapytałbym cię, dlaczego musiałabyś tak uczynić?

- Gdyż, jak sam wiesz, Minosie, Kreta nie jest tym, czym była. Jestem jedynie niewiastą, lecz konieczność zmusza mnie do rozważania spraw. Ojciec twój wielokrotnie przychodził do mnie. Wierzył mi, a być może sądził, że owa tajemnicza siła Wielkiej Matki przeniknęła mnie, choć jestem śmiertelniczką jak wszystkie niewiasty. Mówił ze mną o wielu sprawach. Nadal władamy morzami, lecz naokół wyrastają niepostrzeżenie inne potężne państwa i nie tylko nasze żagle przemierzają świat. Kreta jest coraz bogatsza i coraz słabsza, a to każe o niej rozmyślać tym, którzy rosną w siłę. Moźni naszej krainy nie są już wojownikami i żeglarzami jak ich przodkowie, którzy zdobyli tę wyspę. Nadmiar łatwo zdobywanego bogactwa i przepych naszego życia obezwładnia nas. Lud, który zamieszkuje od tysięcy lat tę ziemię, zawsze będzie nas uważał za zdobywców, a gdy utracimy moc, pierwszy sprzymierzy się z każdym wrogiem. Czyż wiedząc o tym wszystkim wolno ci doprowadzić do upadku dynastii, która po twej śmierci wygaśnie, jeśli Widwojos i syn jego nie powrócą z owej wyprawy? A wierzę w to, że wysyłasz ich pragnąc, aby nigdy nie powrócili. Jeśli pytasz mnie, dlaczego musiałabym sprzymierzyć się z ludem przeciw tobie, usłyszałeś oto moją odpowiedź!

- Roztropnie to rzekłaś, Ariadno.

- Więc odwołasz ową wyprawę?

- Nie! Widwojos jest moim śmiertelnym wrogiem i jeśli pozostanie tu, znajdzie sposób pozbycia się mnie. Jest mądry, rozważny i będzie umiał czekać sposobnej chwili. Czy sądzisz, że mogę

przebywać tu wraz z nim, w jednym pałacu, choćby tak rozległym jak ten?

- Pragniesz więc poświęcić losy Krety z obawy o swą koronę?

- Nie pragnę narażać krainy, której jestem królem, na niebezpieczeństwo. Jeśli Widwojos nie powróci, nie oznacza to, że dynastia się skończy.

- Czy wierzysz jeszcze, że będziesz miał potomka, skoro nie masz go do tej pory?

- Wierzę w jedno, Ariadno, że gdybyś poczęła podburzać lud przeciw mnie, być może zginąłbym i wprowadziłabyś na tron mego brata, lecz zachwiałoby to Kretą bardziej niż cokolwiek innego. Jak pojmuję, zapomniałaś o jednym: nie tylko Widwojos i jego syn mają w żyłach świętą krew naszego rodu. Ojciec mój miał dwie siostry. Jedną jesteś ty. Jako Adriadna pozostałaś dziewicą. Lecz ciotka moja ma córkę, której mąż jest mym wielkorządcą w Phaistos. Narodził się im syn. Nie jest wnukiem Minosa jak Perilawos, jest prawnukiem mego dziada. Jeśli... jeśli Widwojos i jego syn nie powrócą z owej wyprawy, wezmę owego chłopca na mój dwór, a ty przypomnisz ludowi, że jest on prawnukiem Minosa.

- A czyż nie będziesz się go lękał podobnie jak ich, skoro drżysz o to, aby cię podstępnie nie pozbawiono władzy?

Minos uśmiechnął się lekko.

- Pytanie twoje, Ariadno, jest roztropne i mogę ci na nie odrzec prosto, jako że prawda jest prosta. Dziecko to jest tak małe, że przez długie lata nie będzie mogło być królem i pragnąć usunięcia mnie. Prócz tego nauczę je kochać mnie i otaczać wdzięcznością. Nie będzie synem mego śmiertelnego wroga jak Perilawos. Usynowię więc owego chłopca i stanie się on następcą tronu Minosa, gdy tylko dojdzie do Knossos wieść, że boski Widwojos i jego syn przepadli w odmętach morskich... lub zginęli w inny sposób. Jedynie to wprowadzi spokój do królestwa Krety, usunie widmo zbrodni i wojny domowej z domu władcy i pozwoli mi zająć się wreszcie sprawami królestwa, o których nie mogę rozmyślać, póki Widwojos krąży jak widmo po moim pałacu.

Przymknęła oczy. Jej wąskie wargi zacisnęły się. Jeden z węży wyswobodził się z dłoni, którą rozwarła odruchowo, upadł na posadzkę i począł pełznąć wolno w kierunku drzwi. Ariadna pochyliła się i wzięła go do ręki nie myśląc o tym, co czyni. Kiedy wreszcie otworzyła oczy, nie były one tak chłodne jak uprzednio.

- Czy wierzysz w to, co mówisz, Minosie? - zapytała niepewnie.

- Jestem królem. A ty jesteś wcieleniem siły poruszającej świat. Czyż my dwoje możemy okłamywać się nawzajem? Zbyt szybko odwróciłoby się to przeciwko nam. Nie wiem, czy cię przekonałem. Pragnąłbym jedynie, abyś uwierzyła, że losy tej wyspy i przyszłość jej są mi drogie jak tobie. Widwojos nie jest głupcem. Wiele jego zamiarów wprowadzę w życie. Gdyż jedynie ład i spokój pomogą tej krainie. Gwałt i obalenie króla przyspieszyć muszą rozkład i ośmielą wrogów. Jeśli pragniemy tchnąć nowe życie w zniewieściałe serce królestwa, musimy umocnić władzę monarchy. A jedynie ty możesz w tym pomóc. Choć upada wiara w bogów, ty i podwójny topór naszych przodków jesteście znakami jednoczącymi ten lud. Wierzą jeszcze w waszą nadprzyrodzoną moc, a drwiący ze wszystkich dworacy nigdy dotąd nie drwili z ciebie. Być może wiedzą, że bez ciebie runęłoby wszystko. Pomóż mi, Ariadno. Kimże jest Widwojos lub ktokolwiek inny wobec losów świętej Krety? Musi on odejść, gdyż inaczej musiałby zginąć, aby kraina ta nie runęła w otchłań wojny domowej, z której mogłaby się już nigdy nie wydzwignąć. To wszystko.

Umilkł. Znowu nastąpiła długa chwila ciszy.

- Widwojos nie wierzy w bogów... - rzekła cicho, jak gdyby odpowiadając na zadane sobie w

myśli pytanie. - Zawsze miałam mu to za złe. Być może nie są oni tacy, jak sobie lud wyobraża, lecz istnieją. Bez nich czym bylibyśmy? I czy bylibyśmy? Człowiek, który nie wierzy w bogów, może opierać się jedynie na sobie, a bywają chwile w życiu, gdy nie jest to najlepszym oparciem. A Perilawos to słaby i kapryśny chłopiec... często to rozważałam w duchu, spoglądając na niego, czy zostanie, gdy czas nadejdzie, władcą, który mógłby pokierować trudnymi sprawami tak wielkiego państwa.

Minos poważnie pochylił głowę. Później uniósł ją nagle.

- Pragnę, abyś pojawiła się w Amnizos, gdy będą odpływali. Chciałbym, abyś na kamiennym ołtarzu wywróżyła im, jaki będzie los owej wyprawy... gdyż nic nie stoi na przeszkodzie temu, byś życzyła Widwojosowi szczęśliwego powrotu i oddała mu cześć niemal królewską.

Znowu zamilkli oboje.

Po długiej chwili Ariadna uniosła głowę.

- Uczynię tak, królu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Serce biło mu jak szalone.

- Spójrz! - zawołał Terteus przekrzykując głuchy huk toczących się po kamiennym nadbrzeżu bali, na których okręt z wolna posuwał się ku wodzie. - Gdy zanurzy się, morze wystąpi z brzegów!

Stali obaj z Perilawosem przyglądając się dziesiątkom wspartych o burty półnagich ludzi, którzy na słowa nadzorcy popychali kadłub ku brzegowi i zatrzymywali, gdy cieśle przenosili bale ku przodowi, tak by okręt toczył się równo i żadna jego część nie zawisała w powietrzu. Wreszcie dziób zawahał się nad wodą, dotknął jej i zatrzymał. Kilkunastu ludzi wskoczyło na burty.

Nadzorca wydał długi przeciągły okrzyk. Kadłub drgnął raz jeszcze, pochylił się ku przodowi i zsunął na wodę pociągając za sobą kilka ostatnich bali. Ludzie stojący na tyle okrętu rzucili linę, później drugą.

Z wolna przyciągnięto okręt na powrót ku nadbrzeżu. Teraz kołysał się już łagodnie i kiedy ludzie na burcie zrzucili maty z sitowia, sięgające powierzchni, dotknął lekko brzegu i znieruchomiał. Rzucono więcej lin i przytwierdzono je do kamiennych słupów, aby jeśli nadejdzie niespodziewana burza, nagła fala nie mogła go zerwać i pognać w morze.

Tłum przygodnych widzów, odgradzonych od okrętu dwuszeregiem milczących żołnierzy, których wysunięte włócznie nie wróżyły niczego dobrego śmiałkom, zafalował i postąpił krok ku przodowi.

- Wejdzmy nań! - zawołał Perilawos i szybko ruszył w kierunku okrętu, a Terteus i Białowłosa poszli za nim.

Młody ksiązę zatrzymał się przy burcie i spojrzawszy cofnął się.

- Jak sądzisz, Terteusie, czy nie byłoby słuszne, gdyby mój bogom podobny ojciec pierwszy wszedł na pokład?

- Tak sądzę, ksiązę. Nie jesteśmy robotnikami, lecz tymi, którzy popłyną na nim. Godziwe jest więc, aby dowódca wyprawy pierwszy postawił stopę na okręcie, któremu wszyscy zawierzymy nasze życie. Będzie się to podobało bogom.

- Ach, o tym myślisz! - Perilawos uśmiechnął się lekko. - Miałem na myśli jedynie cześć, jaką syn winien okazać ojcu.

- Jeśli mnie pytasz, ksiązę, sądzę, że cześć tak okazana podoba się także bogom. Oni to ustanowili porządek rzeczy wśród śmiertelnych, a w nim wszystkie sprawy pomiędzy rodzicami a dziećmi.

Perilawos chciał coś odpowiedzieć, lecz dostrzegłszy zbliżającego się niskiego grubego człowieka w błękitnej szacie i złotych sandałach, za którym postępowali czterej cieśle z wielkimi brązowymi siekierami na ramieniu, odwrócił się ku niemu i pozdrowił go uprzejmym skinieniem głowy. Białowłosa i Terteus cofnęli się o krok i wsparli na swych lekkich oszczepach.

Otyły człowiek skłonił się nisko.

- Witaj, bogom podobny wnuku Minosa! Będę dziękował Wielkiej Matce naszej i Świętemu Bykowi za to, że raczyłeś swe niebiańskie oczy skierować dziś na moje skromne dzieło, wykonane pod niedościgłym nadzorem twego boskiego ojca!

- Witaj mi ty, który jesteś Głównym Budowniczym Floty! Zaprawdę, piękne to dzieło. Powiadają, że nigdy Kreta nie miała większego okrętu!

Perilawos obrócił głowę i spojrzał ku wysokiemu kadłubowi wystającemu nieco ponad linię nadbrzeżną.

- To prawda, o boski wnuku bogów! Nikt nigdy nie zbudował podobnego ani u nas, ani gdziekolwiek w świecie. Będzie on liczył osiemdziesięciu wioślarzy. - Główny Budowniczy zawahał się na mgnienie oka. - Lecz nie pragnę mówić o jego przymiotach, póki nie odbędzie krótkiej choćby próbnej podróży... - Wskazał ręką niewielką wysepkę widoczną wyraźnie naprzeciw przystani.

- Zwykle po raz pierwszy każdy nowy okręt opływa wyspę Dia i powraca tu, abyśmy mogli stwierdzić, czy nie przeoczono niczego w jego budowie. Twój boski ojciec pragnie wypróbować go najpierw przy pięknej pogodzie i niskiej fali, a później, po raz drugi, gdy morze będzie nieco wzburzone, gdyż posiada on nieco odmienny kształt niż inne nasze okręty. Widzisz zapewne, o boski, tę ostrogę obitą miedzią, nieco wyższy kadłub i uniesiony tył, a także osłony wokół masztu i na miejscach dla wioślarzy? Tak pragnął to widzieć twój boski ojciec. Uczyniliśmy wszystko, jak nam rozkazał. Lecz okręt jest dzięki temu nieco cięższy. A póki nie popłynie, nikt nie wie, czy owych osiemdziesięciu wioślarzy i wielki żagiel pozwolą mu płynąć równie szybko lub szybciej, niż to bywało do tej pory. Jeśli okaże się wolniejszy, wówczas trzeba będzie dokonać pewnych zmian.

Umilkł i skłonił się ponownie.

- Pewien jestem - rzekł uprzejmie Perilawos - że pod tak niedościgłym okiem jak twoje, o ty, który jesteś Głównym Budowniczym, budowa owego okrętu przebiegała tak, że zmiany trzeba będzie wprowadzić w pozostałych okrętach, by choć w części upodobnić je do twego dzieła. A teraz żegnaj mi!

Skinął głową i odszedł, a Białowłosy i Terteus ruszyli za nim. Budowniczy zgiął się w ukłonie i trwał tak, póki Perilawos nie wszedł do lektyki.

Rozległ się krótki okrzyk dowódcy straży nadbrzeżnej i kilku żołnierzy ruszyło szybko, rozpychając cofający się tłum, by zrobić przejście dla książęcej lektyki.

Ocierając się niemal o stłoczonych gęsto mieszkańców Amnizos, Białowłosy szedł osłaniając siedzącego za firanką Perilawosa. Kątem oka dostrzegł Terteusa z przeciwnej strony, idącego równie czujnie i kołyszącego oszczepem w zaciśniętej dłoni. Twarze tłumy uśmiechały się i gdzieś słychać było przyjazne okrzyki:

- Bądź pozdrowiony, królewiczu!

- Niechaj bogowie czuwają nad waszą wyprawą!

Zapewne lud kretański wiedział już, że wyprawa nie miała na celu jedynie odnalezienia drogi morskiej do krainy bursztynu. Wieści na owej wyspie, gdzie ludzie tyle i tak kwieście mówili, musiały biec szybko jak wicher na czole burzy. Nikt nie był zdolny do zachowania tajemnicy. Uśmiechnął się mimowolnie. A jednak, jak mówiono, Kreta była potęgą, której składały daniny wszystkie wyspy i krainy nadbrzeżne znanego świata.

Mimowolnie zwrócił oczy ku pnącej się pod górę ulicy. Po obu jej stronach biegły wysokie, kilkupiętrowe domy o wielkich oknach, przez które musiało wpadać wiele światła do wnętrza.

Egipcjanie kryli się przed promieniami słońca i przed okiem obcych i także w Gubal niewiele było okien od ulicy. Lecz Kreteńczycy uważali ją prawie za swój dom i nie zdawali się kryć niczego przed sąsiadami. Wszystkie bramy były otwarte i przepływały nimi strumienie ludzi. Oto stojący na chodniku przekupień sprzedawał wino z dwu naczyń zawieszonych na ramionach. Przechylał bądź jedno, bądź drugie ramię, nadstawiając trzymany w dłoni kubek, do którego lała się ciecz, a człowiek, który pragnął pić, wypijał ów trunek wprost na ulicy, stojąc przed nim. Ciekawe, czy pośród żeglarzy, którzy co dnia przybijali do nadbrzeża i wypełniali ulice miasta, byli także Trojańczycy? Z pewnością byli. Lecz że nie odstępowali Perilawosa na krok dniem i nocą, a młody książę nie wałęsał się przecież po zaułkach Amnizos, Białowłosy niewiele wiedział o tym, co się tu dzieje. Terteus, który zaznajomił się z jedną z dziewcząt służących w kuchniach królewskich i z inną, która była harfiarką na dworze, zniknął ostatnio wieczorami i powracał późno. Być może on mógłby dowiedzieć się czegoś o okrętach trojańskich? Lecz nie miało to znaczenia, skoro wkrótce poześlują do Troi na owym wspaniałym okręcie. Nie mógł uwierzyć, że oto przybije do rodzinnych brzegów i postawi stopę na ziemi ojców. Ile czasu minęło od chwili, gdy burza uderzyła sponad wzgórz, przysyłając mu dom i matkę stojącą na granicy wód? Z pewnością niemal rok. A chwilami wydawało mu się, jak gdyby było to tak dawno jak dzień jego narodzin a może nawet wcześniej, w poprzednim, osłoniętym mgłą żywocie?

- Czy nie słyszałeś mnie? - Perilawos odsunął firankę i ze śmiechem uderzył go lekko w bok.

Białowłosy drgnął i niemal potknął się.

- Wybacz, książę...

- Zamyśliłeś się... Czy to jakaś dziewczyna?

- Nie, książę...

- Czemuż się rumienisz? Nie byłoby w tym nic złego.

Na to je wymyślili bogowie, byśmy o nich czasem rozmyślali. Lecz nie o tym chciałem wam rzec.

Ojciec mój rozkazał nam, abyśmy po powrocie z miasta udali się do jego komnat.

- Tak, książę! - Białowłosy pochylił głowę i uniósł ją znowu.

Domy w ulicy przeredzały się. Zniknął kamienny chodnik. Rozpoczęły się ogrody. Z jednego z nich wyszły właśnie dwie dziewczyny. Niosły na głowach dzbany i śmiały się mówiąc do siebie. Na widok wspaniałej lektyki zatrzymały się jak wryte. Później zdjęły szybko dzbany z głów i postawiwszy je na ziemi, zgięły się w głębokim ukłonie. Idąc obok lektyki Białowłosy minął je w tak bliskiej odległości, że wyciągnąwszy rękę mógłby pochwycić za ucho dzbana. Schylone dziewczyny zerkały jednak ku górze i kiedy napotkał spojrzenie jednej z nich, szybko odwrócił głowę.

Wyprostował się mimowolnie i silniej ujął oszczep, starając się iść jak dojrzały wojownik.

Wiedział, że spoglądają za nim. Ciemne, wielkie, wesole oczy.

- Sądząc z powagi, z jaką przemawiał mój boski ojciec - dodał Perilawos - pragnie on obwieścić mi coś ważnego. A skoro wezwał was, więc zapewne i wam to zechce powtórzyć.

- Tak, książę - rzekł Białowłosy nie myśląc o tym, co mówi. - Zapewne tak będzie.

Boski Widwojos ponownie wybrał popołudniową porę ich konnej przejażdżki jako najlepszy czas do rozmowy.

Gdy minęli gaje oliwkowe na południe od pałacu i zbliżyli się ku podnóżu wzgórz, za którymi rozpoczynało się wysokie pasmo górskie, brat królewski wstrzymał konia nad szybko pędzącym potokiem, zeskoczył i zbliżył się do białych głazów rozrzuconych jak stare kości ludzkie pośród świeżej zieleni. Siadł na jednym z nich przywołując skinieniem ręki syna i jego obu towarzyszy.

- Piękna jest wiosna w krainie ojców. A gdy trzeba ją opuścić, wydaje się jeszcze piękniejsza.

Zamilkł. Czekali w milczeniu. Bogom podobny Widwojos przez chwilę zastanawiał się, wreszcie spojrzął na syna.

- Perilawosie, przypatruję ci się uważnie od wielu dni i dusza moja raduje się widząc, że wyrastasz na dzielnego młodzieńca. Wiele zmieniło się w tobie. A zapewne zawdzięczasz to owym cudzoziemcom, których bogowie postawili na naszej drodze. Wyprawa, która nas czeka, będzie trudna, nie wiemy bowiem wszystkiego o wielu sprawach z nią związanych, a o innych nie wiemy niczego. Od tego, czy będziemy rozumowali roztropnie, zależy będzie nasze życie. W tej samej mierze moje i twoje jak was obu... - Spojrzął na Terteusa i Białowłosego.

- Gdyż odpływamy razem i jeden los nas czeka, dobry lub zły.

Umilkł i uniósłszy głowę przesunął po ich obliczach poważnym spokojnym spojrzeniem. Nie poruszyli się.

- Otóż skoro los tak postanowił - dodał Widwojos po namyśle - pojąłem, że muszę z wami mówić szczerze. A mogę tak uczynić jedynie wówczas, gdy zdobędę zupełną pewność, że słowa moje nie tylko że nie obrócą się przeciw mnie lub tobie, Perilawosie, lecz posłużą nam wszystkim do ustalenia tego, czego winniśmy dokonać jeszcze przed odpłynięciem i później...

Znowu zamilkł spoglądając na obu cudzoziemców i spod przymrużonych powiek.

Nie poruszyli się i nie odezwali. Jedynie Terteus wzruszył niemal niedostrzegalnie ramionami, co było u niego oznaką lekkiego zniecierpliwienia. Białowłosy nie drgnął, lecz pomyślał, że Kreteńczycy, nawet gdy są braćmi królewskimi, mówią zbyt wiele i zbyt kwieciście. A w nadmiarze słów zawsze czai się coś, co nie jest jasne i prawdziwe. Gdyż prawdę można rzec krótko. Lecz Widwojos z pewnością nie pragnął uczynić im krzywdy. Czegóż więc pragnął?

Książę powstał z głazu.

- Sprawy moje w tym królestwie ułożyły się tak, że władca jego, choć jest moim bratem, a być może właśnie dla tej przyczyny, nie jest człowiekiem mi przyjaznym, a jeśli kogoś otacza niełaska królów, oznacza to zwykle, że niełatwo znajdzie on kogoś, komu będzie mógł zaufać. Długo nad tym rozmyślałem, gdy król rozkazał mi udać się na tę wyprawę... i nie znalazłem nikogo! - Uśmiechnął się lekko.

Terteus w milczeniu skinął głową. Białowłosy pojął jego ruch: on także nie zaufałby nikomu w tym olbrzymim pałacu pełnym kwiatów, muzyki, szeptów i odurzającej woni.

- Dlatego niech nie zdziwi was to, co pragnę rzec teraz. Po namyśle pojąłem, że jedynymi ludźmi, którym mogę powierzyć moje zamysły lub obawy, jesteście wy dwaj. Zaufałem wam zresztą życie mego syna, które droższe mi jest niż moje własne. I choć wiem, że jesteście dzielnymi wojownikami, wszelako ja, syn mój i cała nasza wyspa wraz z królestwem na niej się znajdującym jesteśmy wam obcy...

Znowu urwał. Tym razem Terteus ze zrozumieniem skinął głową bardziej stanowczo, a Białowłosy z trudem ukrył śmiech.

Jakże różnili się ci dwaj: młody rozbójnik morski i brat królewski natarty wonnościami, o lśniących włosach spadających równymi kunsztownymi puklami na ramiona i przetykanych złotą nicią. Równocześnie chłopiec wyczuwał, że choć bogom podobny Widwojos jest nieodrodnym synem swego ludu, jednak był inny niż ci niezliczeni wysoko urodzeni Kreteńczycy, którzy przechadzali się pod cienistymi kolumnami Knossos. Być może działało się tak za sprawą krwi królewskiej w jego żyłach? A może mądrości? Gdyż Widwojos wydawał mu się człowiekiem

pojmującym wszystko, co się naokół niego dzieje, i zapewne, gdyby los uczynił go władcą, umiałby dobrze rządzić owym przedziwnym ludem.

Dostrzegł wpatrzony w siebie oczy księcia, więc wyprostował się mimowolnie i pochylił lekko ku przodowi, pragnąc nie uronić niczego z tego, co miał usłyszeć. Zapewne teraz Widwojos powie mu, czemu pragnął z nim mówić.

- Otóż jeśli mam wam zaufać, tak jak pragnąłbym, abyście i wy mi zaufali łącząc swój los z moim, pragnę abyście złożyli przysięgę, że nigdy w najstraszliwszych nawet przeciwnościach nie zdradzicie mnie przechodząc dla ratowania życia do moich wrogów lub porzucając mnie i mego syna, gdy wyda wam się, że zapewnicie sobie łaskę przemożnego przeciwnika. Przysięga owa wiązałaby was jedynie na czas naszej wyprawy, choć nikt z nas nie wie, jak długo ona trwać będzie. Jeśli przysięgniecie, będę mógł przed wami otworzyć serce, gdyż przeczuwam, że osamotniony na tym okręcie muszę znaleźć zgubę nieuchronną, a syn mój i wy wraz ze mną. Z wami natomiast znajduję być może sposób, jak stawić czoła przeciwnościom i doprowadzić ową wyprawę do szczęśliwego końca. Czy pragniecie przysięgnąć?

Zapadła cisza. Widwojos milczał przenosząc spojrzenie z Białowłosego na Terteusa. Wreszcie spytał:

- Czemuż nie odpowiadacie?

- Wybacz mi śmiałość, panie... - odparł Terteus. - Białowłosy, będąc młodszym niżli ja, czeka, póki nie odpowiem, a ja okazałbym brak czci dla ciebie chcąc przysięgać, nim uczynisz to ty, boski książę, który jesteś osobą stokroć godniejszą niżli ja.

Perilawos, który przyglądał się im z niezwykłym u niego skupieniem, rzekł cicho:

- Słusznym jest, mój ojcze, abyśmy żądając tak wielkiej przysięgi w sprawach życia i śmierci, sami odwzajemnili ją. Rzekłeś, że są cudzoziemcami, nie są więc winni czci ani przywiązania dla naszej krwi królewskiej, a jeśli mają przysiąc, że będą trwali przy nas w dobrym i złym, czyż nie należy im się rękojmia, że i my także nie opuścimy ich w potrzebie?

Książę, który w pierwszej chwili spoglądał z gniewem na syna, rozchmurzył się.

- Dostrzegam, Perilawosie, że przemiana twoja sięgnęła głębiej, niżli początkowo sądziłem. Przemówiłeś jak dojrzały mąż i nie mogę żadnemu ze słów twoich odmówić słuszności. To prawda, że gdy podniesiemy żagiel i zanurzymy wiosła w błękitnych wodach, które mają nas ponieść ku dalekiemu celowi, niewiele pozostanie z tego, co dzieli królewskiego syna od syna rybaka... lecz, jak powiadają, kapryśna jest łaska książąt. Wiem o tym, gdyż sam jestem księciem... - Uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie. - Dlatego słusznie postąpimy i my przysięgając, że także uczynimy wszystko, co w naszej mocy, aby przyjść im z pomocą, gdy los obróci się przeciw nim. A więc przysięgnijmy wszyscy...

- Na co mamy przysiąc, panie mój?

Terteus wbił oszczep w ziemię. Białowłosy poszedł za jego przykładem. W Troadzie także nie składano przysięg z bronią w ręku, gdyż śmiertelny nie może będąc uzbrojonym mówić z bogami. Odpasali miecze i cisnęli wraz z pochwami na trawę, a Białowłosy zdjął z szyi swój nóż, ucałował jego ostrze i ostrożnie złożył go u swych stóp.

- Powtarzajcie za mną... - Widwojos przyłożył zwiniętą pięść do czoła i czekał, póki pozostali nie uczynią tego samego. - Niechaj bogowie, rządzący ziemią, powietrzem, ogniem i wodami nieskończonego morza, zwiążą na wieki drogę mego powrotu i nie pozwolą mi ujrzeć nigdy ziemi ojców moich, jeśli sprzeniewierzę się któremukolwiek z tych, z którymi wspólnie składam dziś tę oto

przysięgę! Zapamiętaj to ty, o Wielka Matko, która rządysz ziemią, ty, Posejdonie, który rządysz falami, wy, lotni bogowie wiatrów, i ty, Hefajstosie, który nakazujesz góróm rodzić ogień!

Zamilkł, przez chwilę stał nieruchomo, później z wolna opuścił rękę.

Mała chmura przysłoniła słońce, cień padł na trawę i oblicza stojących i zniknął. Znow zaświeciło słońce.

- Usłyszeli... - rzekł Terteus ze spokojnym przekonaniem i pochyliwszy nisko głowę, skłonił się ku promiennemu słońcu.

Białowłosa uniósł nóż, zawiesił go na szyi i wyrwał oszczep z ziemi.

„Wielka to była przysięga... - pomyślał. - Dokąd mnie ona zaprowadzi?”

- Podejdźcie tu! - zawołał Widwojos, który zawrócił ku głazom i usiadł w miejscu zajmowanym uprzednio.

Znow zbliżyli się i otoczyli go półkolem. Nawet Perilawos zamilkł. Od chwili, gdy złożyli przysięgę, z ust jego nie padło ani jedno słowo.

- Nie będę wam powtarzał tego, o czym zapewne już wiecie, gdyż wie o tym całe Knossos - rzekł Widwojos - że brat mój pragnie, abym wyruszył na ową wyprawę jedynie dlatego, gdyż sądzi, że nigdy z niej nie powrócę. Wszelako, skoro mogę przemawiać do was tak otwarcie, jak gdybym przemawiał do siebie, przewiduję, że nie chce on złożyć biegu wydarzeń w ręce ślepego losu. Gdyż mogłoby się tak trafem wydarzyć, że powróciłbym z owej wyprawy przywożąc bursztyn, a wówczas, jak sądzi mój brat, wykorzystałbym swą świeżą sławę i niebezpieczeństwa, przez które przebrnąłem zwycięsko, by strącić go z tronu i zapewnić panowanie memu synowi lub sobie. Dlatego wierzę głęboko, że gotuje mi on śmierć. Nie jedynie mnie zresztą, lecz i jemu... - Wskazał głową Perilawosa.

- A nastąpić to winno, jeśli słusznie rozważyłem jego zamysły, zanim opuścimy wody, nad którymi panuje znak podwójnego topora. Byłby głupcem, gdyby nie pragnął tego uczynić tam, gdzie słowo jego jest najwyższym prawem. Wiem także, że musi się to stać tak, aby krew nasza nie padła na jego głowę. Nie wiem, jak i kiedy uderzy. Lecz wiem, że uderzy z pewnością. Otóż wydaje mi się, że mógłbym uczynić coś, zanim jeszcze odbijemy, co by mogło pokrzyżować jego zamiary. - Umilkł na chwilę. Później uniósł głowę. - Chciałbym zapytać ciebie, Terteusie, który jesteś żeglarzem, czy miałbyś ochotę rzec coś po tym, co wam powiedziałem? Terteus milczał przez chwilę.

- Nie wiem, panie mój, czy to, co powiem, wyda ci się godne wysłuchania, gdyż zapewne sam już o tym nieraz myślałeś, lecz od czasu, gdy po raz pierwszy ujrzałem okręt twój w budowie, rozmyślałem z niepokojem nad tym, jaka będzie jego załoga.

Widwojos skinął głową.

- Tak, Terteusie, roztropnie to rzekłeś. Rozmyślałem o tym, lecz przyznam ci się, że nie postanowiłem niczego. Załoga jego, jak ustaliłem początkowo, składać się będzie z osiemdziesięciu wioślarzy, dwudziestu żeglarzy i cieśli i trzydziestu ciężkozbrojnych rycerzy oraz dwu nadzorców. Nie licząc nas, a także służby mojej i Perilawosa.

Wszelako pomieści on nas wszystkich, a sądząc z tego, co wiem, nie będziemy musieli przecinać otwartego morza tak, aby długo przebywać z dala od lądu. Oznacza to, że nie musimy mieć z sobą zbyt wielkich zasobów żywności. Otrzymamy je we wszystkich miastach nadbrzeżnych pod panowaniem Krety, a później także od króla Troi, który jest naszym sprzymierzeńcem. Co będzie dalej, tego nikt nie wie. Jeśli jednak mamy szukać ujścia rzeki płynącej z północy, nie możemy oddalać się od lądu. Oznacza to, że zdobędziemy pożywienie nawet wówczas, gdy ludy tam zamieszkujące nie będą pragnęły wymienić żywności na towary, które będziemy mieli z sobą. Jak

sądzę, nie pytałeś o sprawy żywnościowe, lecz o to, kim będą nadzorcy dowodzący mym okrętem i jego sternicy, gdyż oni to mogą nas wprowadzić do z góry upatrzonej pułapki. Tego jeszcze nie postanowiłem. Zapewne będą to ludzie doświadczeni i wierni. Lecz choć znam wielu doświadczonych, wiernego nie poznałem dotąd ani jednego. A jeżeli jest gdzieś taki człowiek w Knossos lub na obszarze całej Krety, uzna on zapewne, że rozsądniej jest być wiernym królowi.

- Nie nad tym rozmyślałem, panie - Terteus potrząsnął głową - choć zapewne wiele znaczenia będą mieli owi ludzie dowodzący okrętem i czuwający nad jego drogą.

- Więc cóż masz na myśli?

- Otóż jeśli zezwolisz mi, boski książe, rzec, co mnie niepokoi, sądzę, że nie taką załogę winien mieć okręt płynący u wybrzeży nieznanymi krainami ku celowi, który musi odszukać z dala od granic poznanej części świata.

Widwojos zmarszczył brwi.

- Mów, Terteusie! Wiem, że znasz swe rzemiosło.

- Otóż nawet jeśli w wypadku napotkania nieprzyjaciela uda się użyć, prócz owych trzydziestu żołnierzy, także cieśli i żeglarzy nie zajętych prowadzeniem okrętu w czasie boju, wówczas twoje siły wyniosą jedynie czterdziestu ludzi, a pamiętać trzeba, że gdy będziemy płynęli ową rzeką przez nieznaną krainę, plemiona tam zamieszkujące nieraz zapewne będą pragnęły uderzyć na nas.

- A jakąż widzisz radę na to? Okręt mój, choć jest wielki, większej ilości ludzi nie pomieści.

- Z tego, co rzekłeś, panie, o wiosłarach, pojmuję, że będą to niewolnicy, gdyż nie zaliczyłeś ich do wojowników.

- Tak, będą to niewolnicy. Lecz wybiorę najsilniejszych spośród tych, w jakich będę mógł przebierać. Mogę także dokupić wiosłarzy w miastach nadbrzeżnych, do których zawiniemy.

- Wiem, że takie są obyczaje na Krecie, panie. Flota wasza żegluguje w oparciu o swe liczne rozrzucone po całym morzu przystanki na wyspach, a wasze okręty z towarami nigdy nie płyną same, towarzyszą im liczne żagle ochrony. Wasi niezliczeni niewolnicy są siłą, która przenosi wasze towary z jednego krańca świata na drugi. Nie musicie troszczyć się o to, skąd ich weźmiecie, gdyż potęga wasza i bogactwo wciąż dostarczają wam ich tylu, ilu potrzebujecie. Lecz my będziemy samotni, nie znamy ani naszej drogi, ani niebezpieczeństw, na które możemy być narażeni. Mogą być one liczne, tak liczne, że ów oddział trzydziestu żołnierzy wyginie lub padnie z ran, nim osiągniemy cel. A jeśli zabraknie żołnierzy, któż zmusi niewolników, by pochylali się nad wiosłami? Któż zabroni im rzucić się na nas w pierwszej dogodnej chwili? Albowiem niewolnicy, panie mój, mogą w takiej wyprawie stać się większym wrogiem niż ów, który będzie na nas czyhać na brzegach. Nie mają oni przecież nic do zyskania, a życie do stracenia. A będzie ich od pierwszej chwili więcej niż nas.

- Jeśli nawet masz słuszość, a sądzę, że rozumowanie twoje nie jest jej pozbawione, jakąż widzisz na to radę?

- Panie, my, rozbójnicy morscy, gdy płyniemy, sami jesteśmy wiosłarami, sami wciągamy i opuszczamy żagle, sami chwytamy za oręż, gdy nadchodzi niebezpieczeństwo. Sądzę więc, że wyprawa taka jak twoja winna posiadać tylu ludzi zdolnych napiąć łuk, rzucić oszczepem i unieść miecz, ilu ich będzie żywych na pokładzie. Nie wiem, czy wystarczy nam to, by ocalić nasz żywot, lecz wiem, że siły nasze będą zdwojone, a okręt nasz nie będzie wiózł osiemdziesięciu wrogich nam ludzi, gardzących tym, czy zginiemy, czy zwyciężymy. Cóż im może grozić, prócz innej niewoli? A mogą także żywić utajoną nadzieję, że klęska nasza stanie się dla nich dniem wolności!

Widwojos pochylił się, zerwał długie źdźbło trawy i w milczeniu począł je obracać w pakach.

- Tak, zapewne masz słuszość... - rzekł wreszcie. - Lecz nie pojmuję, jak mogę tego dokonać? Jeśli do wiosł nie zasiądą niewolnicy, muszą uczynić to ludzie wolni, którzy popłyną ze mną z własnego Wyboru. Musieliby to być młodzi wojownicy, którzy nie lękają się niebezpieczeństw i płoną pragnieniem bohaterskich przygód... Czy znajdę ich?

- Z pewnością, panie. Amnizos jest wielkim miastem i wielu w nim musi być młodych żeglarzy, którzy rzucą wszystko, aby wyruszyć pod twoją wodzą do krainy baśni.

- A pośród nich zapewne wejdą na okręt nasłani przez mego brata mordercy, którzy wykonają swą powinność, gdy oddalimy się od brzegów Krety...

Widwojos uśmiechnął się gorzko.

- Jeśli przy wiosłach twego okrętu zasiądą niewolnicy, mordercy ci znajdą się pośród żołnierzy lub żeglarzy, skoro muszą się znaleźć. Nie wiemy przecież, czy takie są właśnie zamysły królewskiego brata. Być może pragnie wpędzić okręt twój w zasadzkę w inny sposób.

- Tak, zapewne. Sądzę, że gdy zgładzi on nas, okręt ten ani nikt z załogi nie powróci do Amnizos. Nie wiem zresztą. A cóż z nadzorcami? Nawykli oni do żeglowania z niewolniczą, przykutą do wiosł załogą...

- Panie mój, jeżeli pozwolisz mi rzec jeszcze słowo... - Terteus zawahał się.

- Mów, Terteusie. Nie lękaj się zdradzić mi wszystkich swych myśli. Wiem przecież, że rozmyślając nad naszą wyprawą myślisz nie o tym jedynie, jak uchronić moje życie, lecz i własne. Ufam ci.

- Jeśli tak, panie, zezwól, abym rzekł coś, co może wyda ci się uwłaczające twej królewskiej godności. Czemuż nie miałbyś sam dowodzić okrętem i poprowadzić go ku krainie bursztynu?

- Ja? - rzekł Widwojos ze zdumieniem i roześmiał się niespodzianie. - Nie jestem żeglarzem, mój młody zapaleńcze. Odrzucając nawet niesłychane wzburzenie w pałacu, gdyby dowiedziano się, że brat króla Krety miałby czuwać nad wiosłarzami i tkwić po nocach na dziobie okrętu wypatrując zdradliwych skał lub wirów wodnych, nie umiałbym tego uczynić, nawet gdybym pragnął. Żegluga nie jest moim rzemiosłem i nie uczyłem się jej, choć żeglowałem wiele, by w imieniu mego boskiego ojca sprawować władzę nad podległymi nam obszarami. Nie jestem także wojownikiem. Popłynę na ową wyprawę jako ofiara złożona przez władcę Krety na rozległym ołtarzu mórz, aby ukoić jego lęk!

- Panie! - rzekł szybko Terteus. - Nie lękaj się twej niewiedzy w owych sprawach! Wspomogę cię, gdyż ja z kolei nie trudniłem się niczym innym od dnia, gdy miałem już dość sił, by udźwignąć wiosło! A rozważ, że jeśli utrzymasz podobne postanowienie w tajemnicy aż do dnia wyruszenia wyprawy, wówczas być może pokrzyżujesz plany twego boskiego brata, który nie domyśla się, że mógłbyś tak uczynić. Nie jestem człowiekiem nazbyt przebiegłym, lecz gdybym nim był, zapewne powierzyłbym zamiar zgładzenia ciebie komuś zręcznemu, w którym ręku leży możność sterowania okrętem. Jeśli na krótko przed odbiciem od brzegu obwieścisz, że sam poprowadzisz okręt, być może pozostawisz na lądzie morderców, których się tak obawiasz, co uratuje życie tobie i twemu bogom podobnemu synowi!

- Tak, ojczcie. Uczyń to! - rzekł nagle Perilawos. - Jeśli nie zginiemy, a wyprawa nasza powiedzie się, wówczas chwała twoja przetrwa wieki!

- A oprócz tego, panie - dodał Terteus, któremu wiekiusta chwała zdawała się w tej chwili sprawą nie najwyższego znaczenia - gdy będziesz miał wolnych ludzi przy wiosłach, nie będzie ci potrzeba dwóch nadzorców okrętu czuwających nad załogą i niewolnikami ni ich zastępców z

batami, ni żołnierzy, którzy by strzegli dzień i noc tych niewolników. Załoga twa będzie twym wojskiem, a ty jego wodzem. Jeśli to, co mówię, jest głupstwem, które powstało w mym nie pojmującym wielkich spraw umyśle, wybac mi. Lecz jeśli uznasz, że mam słuszość, tak jak sądzę, że ją mam, wówczas zechciej usłuchać mej rady, a być może wyprawa nasza zyska wiele już przed odpłynięciem.

Widwojos milczał. Białowłosy, który przysłuchiwał się im, wodząc oczyma od jednego do drugiego, spoglądał z podziwem na Terteusa. Oczy młodego rozbójnika morskiego płonęły, a na oblicze jego wystąpił lekki rumieniec.

Wreszcie księżę powstał i rzekł:

- Muszę rozważyć wszystko, co rzekłeś tu, Terteusie.

Sądzisz, że sam winienem poprowadzić załogę złożoną ze śmiałków, poprowadzić ją na stracenie. Ponownie być może masz słuszość. Jak powiedziałem, muszę rozważyć twą radę. Życie nasze stało się szalone... Jak dotąd żyjemy, a to najważniejsze...

I roześmiał się ponownie. A Białowłosego, który przysłuchiwał się jego słowom, ogarnęło nagle zdumienie. Nigdy jeszcze do dnia dzisiejszego nie słyszał bogom podobnego Widwojosa śmiejącego się wesołym swobodnym śmiechem.

- Przyrowadź mi konia! - Księżę dał mu znak ręką.

Białowłosy pobiegł ku pasącym się spokojnie wierzchowcom.

Powracali jadąc parami. Księżę z synem w przedzie obok siebie, a Białowłosy i Terteus w pewnej odległości za nimi, rozmawiając przyciszonymi głosami i rozglądając się bacznie, gdyż od dnia, w którym usłyszeli świst strzały wybiegającej z zarośli, nie opuszczała ich myśl o zasadzce.

- Oto związaliśmy się z nimi wielką przysięgą - rzekł chłopiec przyciszonym głosem. - Los nasz złączyliśmy z ich losem tak, że bądź ujrzemy ową krainę bursztynu, bądź też wraz z nimi zejdziemy do krainy cieni.

Terteus roześmiał się.

- Lecz wyruszamy na wielką wyprawę, mój białowłosy przyjacielu! A jeśli uda się nam wdrzeć do owej krainy północy i powrócić stamtąd, przemierzywszy ziemię i morza, których nie widział nikt prócz barbarzyńców, wówczas matki dzieciom będą śpiewały przy ogniu wieczorami pieśni o nas! Czegóż pragnąć więcej? Każdy zejść musi do krainy cieni, prędzej czy później, i nie ma nikogo, komu udałoby się tu pozostać na długo! - Roześmiał się znowu i spojrzał z ukosa na Białowłosego. - Zmężniałeś! - Pokiwał głową. - Oto i broda zaczyna ci się wysypywać...

- Dotknął dłonią jego podbródka. - Na jedno mogę przysiąc: że gdy odbijemy od wybrzeży tej wyspy, nikt nie zmusi mnie, abym zgolił moją po raz wtóry!

Albowiem tak jak wszystkim pojmanym zgolono mu brodę, gdy rzucono ich na pokład kreteńskiego okrętu. I od owego dnia nie zapuścił jej, złożywszy ślub, że uczyni to dopiero gdy opuści Kretę i odzyska prawdziwą wolność. Nie raziło to zresztą w Knossos, gdzie wszyscy byli gładko ogoleni kreteńskim obyczajem, a jedynie kupcy fenicyjcy w Amnizos przechadzali się po nadbrzeżu głaszcząc swe farbowane purpurą długie brody.

Białowłosy nie odpowiedział. Zwolnił nieco. A gdy znalazł się za plecami przyjaciela, szybkim, ukradkowym ruchem uniósł dłoń i dotknął nią policzka.

Wyczuł miękkie, krótkie włosy. Przesunął po nich palcami i szybko opuścił rękę. Przynagliwszy nieco konia znowu zrównał się z Terteusem.

- Jak sądzisz...? - rzekł zacinając się. - Kiedy będę mógł rzec, że jestem dojrzałym mężem?

- Ty? - Terteus zwrócił ku niemu oczy, a później wyciągnąwszy rękę dotknął jego ramienia. - Cóż, masz już niemal siłę dojrzałego wojownika...

Wzrok jego spoczął na wysokim rosnącym przy drodze samotnym cyprysie, który mijali właśnie jadący przed nimi.

- Gdybyś stanąwszy na ziemi cisnął w górę oszczep i przerzucił ponad szczytem owego drzewa tak, by nie tknął on go, wówczas mógłbym rzec, że... lecz jeszcze nie czas na to. Mniemam jednak, że nim minie rok, uda ci się to, gdyż, jak rzekłem, zmężniałeś i gdyby nie młodość wypisana na twym obliczu, z tyłu można by cię wziąć za dojrzałego męża.

Dojeżdżali właśnie do owego drzewa. Białowłosy zeskoczył nagle z konia i rzuciwszy łuk i kołczan, stanął przed nim i spojrzał w górę. Było bardzo wysokie.

Odsunął się nieco i ścisnął oszczep w dłoni.

- Po cóż to czynisz? - zawołał ze śmiechem Terteus. - Czy pragniesz, aby cię wydrwił duch, który je zamieszkuje?

Książę i Perilawos wstrzymali konie słysząc jego słowa i odwrócili głowy. Białowłosy ważył oszczep w dłoni zaciskając zęby.

„Po cóż to uczyniłem?! - pomyślał z rozpaczą. - Wystawiam się na pośmiewisko i osądzają oni słusznie, że jestem głupim wyrostkiem, który pragnie zbyt wcześnie okazać się mężem!”

Odchylił dłoń z oszczepem, zrobił dwa kroki ku przodowi i wkładając całą siłę swej rozpacz w zamach ramienia, wypuścił oszczep w górę.

Przez chwilę stał kołysząc się i starając utrzymać równowagę.

Oszczep uniósł się i zwalniając dosięgnął niemal wierzchołka drzewa. Białowłosemu wydało się, że zacznie opadać. Lecz nie, drzewce pochyliło się i lekkim łukiem przesunęło ponad liśćmi korony. Zniknęło mu z oczu i dostrzegł je dopiero spadające w dół o kilkanaście kroków od drzewa.

Powoli ruszył ku oszczepowi, który wbił się głęboko w trawę. Wyjął go i oczyściwszy ostrze z ziemi, powrócił, by podnieść łuk i strzały. Serce biło mu jak szalone.

Wrócił do konia. Terteus czekał na niego.

- Błagałem bogów, abyś tego dokonał... - rzekł poważnie. - To dobra wróżba. A opadając wbił się głęboko. To jeszcze lepsza wróżba. Lecz nie czyn tego już nigdy, byś igraszkami takimi nie obraził Tej, która Ziemią włada.

Przyłożyli obaj do czoła zwinięte dłonie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ujrzał na jego palcu pierścień

Gwiazdy świeciły już ostrym, niezmaconym blaskiem, gdy lektyka czcigodnego Marmarosa, otoczona strażą ośmiu zbrojnych w długie włócznie Nubijczyków, zatrzymała się przed domem kupca Re-Se-Neta.

Jeden z czarnych wojowników podszedł do okutej miedzią bramy i uderzył w nią kilkakrotnie drzewcem.

Otworzyła się niemal natychmiast.

- Najczcigodniejszy Marmaros, pan mój - rzekł żołnierz - oczekuje szlachetnego Re-Se-Neta i zaprasza go, aby udał się wraz z nim do przystani.

Ktoś odparł półgłosem i brama pozostała uchylona.

Siedzący wewnątrz lektyki najczcigodniejszy Marmaros przeciągnął się i ziewnął.

Nic nie mogłoby go zmusić do opuszczenia łoża o tej porze: nic, prócz świadomości, że dziś o świcie całe Knossos zgromadzi się na przystani Amizos, aby być świadkiem odpłynięcia owych śmiałków. A sprawa ta będzie zapewne w ciągu najbliższych dni przedmiotem wszystkich niemal rozmów na dworze królewskim. Nie można więc było tego nie ujrzyć własnymi oczyma.

Ziewnął ponownie i wyjrzał. Dostrzegł drugą lektykę, która wynurzyła się z mroku i zatrzymała przed drzwiami domu.

Marmaros wysiadł. Noc była ciepła, przeszedł kilka kroków po nierównym bruku drogi i zawróciwszy zbliżył ku drzwiom w tejże chwili, w której kupiec Re-Se-Net ukazał się na progu domu.

- Witaj mi, nasz egipski przyjacielu! - rzekł Marmaros. - Czy mogę cię prosić, abys uczynił mi zaszczyt i zajął miejsce wraz ze mną w mojej lektyce, a twoja niechaj podąży za nami?

Kupiec Re-Se-Net skłonił się głęboko.

- Zaszczycasz mnie swą wspaniałomyślnością, panie, i nie śmiem ci odmówić, choć niegodny jej jestem. Zajęli miejsca i lektyka ruszyła.

- Cóż za straszliwa pora! - westchnął Marmaros. - Mogłoby się wydawać, że brat królewski zechce wyspać się przed taką wielką i pełną niebezpieczeństw podróżą!

- Doszły mnie słuchy, że pragnie odbić od brzegu w chwili, gdy skraj tarczy słonecznej ukaże się ponad wodami, gdyż poczytuje to sobie za dobrą wróżbę.

- Wróżbę! - Marmaros nieznacznie wzruszył ramionami, lecz siedzący tuż obok niego Egipcjanin wyczuł ów ruch. - Byłem towarzyszem jego zabaw dziecięcych i wierz mi, że już od najwcześniejszych lat niewiele on sobie robił z bogów, wróżb, zaklęć i tego wszystkiego, czego nie mógł dotknąć ręką lub pojąć swymi zmysłami.

- Skoro nie troszczy się o bogów i zsyłane przez nich znaki - rzekł Re-Se-Net bez zbytniego zaciekawienia - jakże może pragnąć, aby bogowie troszczyli się o niego? Może to właśnie ich niełaska, którą ściągnął na siebie swą bezbożnością, sprowadziła nań nienawiść brata i każe mu na zawsze opuścić krainę ojców dziś o wschodzie słońca?

Milczeli przez chwilę, wreszcie najszlachetniejszy Marmaros roześmiał się cicho.

- Przyznaję - rzekł - że kazałem obudzić się pośrodku nocy nie dla tej przyczyny jedynie, że obowiązkiem moim jest znajdować się w pobliżu mego władcy, gdy będzie żegnał swego odplywającego brata, lecz również po to, aby ujrzeć to pożegnanie! Czyż nie będzie to pięknym i pouczającym widowiskiem: widzieć obu tych śmiertelnie nienawidzących się ludzi w chwili rozstania na oczach tysięcy widzów, z których jedynie niewielu wie, o co toczy się gra, a pozostali sądzą, że oto są świadkami jednego z najdumniejszych przedsięwzięć rodu Minosa! Lud wierzy, że nie słabość tego królestwa, lecz jego potęga są przyczyną owej wyprawy! Ach, Re-Se-Necie, który wiesz więcej niż niejeden z powierników Minosa, czyż nie odczuwasz cichej radości na myśl o czekającym cię widowisku? - Znowu się roześmiał. - Zapewne odpowiesz mi znów, że jesteś cudzoziemcem i sprawy tego królestwa nie są twymi sprawami. Lecz pomyśl, proszę, o pożegnaniu obu braci! Lud wierzy, że bogom podobny Widwojos z własnej woli i własną wiedziony nieustraszoną dzielnością wyrusza na ową wyprawę. Okręt jego nie opuścił jeszcze nadbrzeża w Amnizos, a już śpiewają o nim pieśni. Gdy ogłosił przez heroldów, że popłynie z wolną załogą i sam będzie nią dowodził, ogarnęło wszystkich zdumienie. Następnego dnia wielu najdzielniejszych młodzieńców zgłosiło się na wezwanie, chcąc dzielić z nim niebezpieczeństwa! A wszystko to dzieje się w chwili, gdy jasne jest, że największe niebezpieczeństwo czyha tu, zamknięte jak dzikie zwierzę w klatce serca jego królewskiego brata! - Znowu roześmiał się. - Ach, cóż by to było, mój przyjacielu, gdyby Widwojos uszedł niezliczonymi siłom, jakie z pewnością zastawił Minos na niego, odkrył tę krainę bursztynu i powrócił!

- Sądzę... - odparł cicho Re-Se-Net - że potęga morska Krety jest wielka, tak wielka, że może rozstrzygnąć losy każdego okrętu, choćby nawet odplynął on na kraj świata, tak daleko, że wieść o jego rozbiciu nie dotrze nigdy do Knossos.

Marmaros zwrócił ku niemu w półmroku swe gładkie, ciemne oblicze.

- Masz słuszość - rzekł z nagłą powagą. - Widwojos jest już człowiekiem umarłym... On sam wie o tym także, bardziej niż my obaj. Lecz nie jest głupcem... - I nagle roześmiał się. - Dla tej przyczyny właśnie kazałem obudzić się tak wcześnie! Aby nie utracić ni jednej, choćby najdrobniejszej chwili owego pożegnania obu braci.

- Wielkie tłumy żegnać zapewne będą bogom podobnego Widwojosa i jego dzielną załogę...

Re-Se-Net wyjrzał. Po obu stronach lektyki zaczęli w mroku pojawiać się ludzie. Szli pieszo w tym samym kierunku, ku morzu i miastu. Było ich z każdą chwilą więcej. Gwiazdy świeciły nadal jasno, a pierwszy blask przedświtów nie pojawił się jeszcze na wschodzie.

- Wczoraj załadowano na okręt sprzęt i jado konieczne do przemierzenia morza na północ, aż do Aten, niewielkiego nadbrzeżnego miasta, gdzie zawiną po raz pierwszy - rzekł Marmaros. - A dziś, jak słyszałem, Ariadna nada mu imię, które przekaże jej Wielka Matka, gdy będzie wieściła o losach wyprawy. Rzadka to uroczystość. Po raz ostatni widziano w porcie żywe wcielenie bogini za dni pradziada obecnego Minosa, gdy okręty nasze udawały się na zdobycie Cypru. Tam też po zwycięstwie wzniesiono jej wielką świątynię i niektórzy twierdzą, że przebywa ona tam dotąd chętniej niż na Krecie... - Uśmiechnął się. - Jak gdyby można było wiedzieć, gdzie są bogowie i co

ich raduje!

Re-Se-Net skinął poważnie głową, lecz nie odpowiedział, gdyż nie byli to jego bogowie.

Tłum gęstniał. Rzeka ludzi płynęła ulicami miasta ku wybrzeżu. W oknach domów zapalały się niki, migotliwe światła lamp oliwnych.

- Już wkrótce przybędziemy na miejsce... - westchnął Marmaros. - Wówczas nastąpi kres naszych niewygód. Dom, który posiadam w Amnizos, spogląda na wybrzeże. Kazałem ustawić dla nas krzesła na dachu, skąd będziemy wszystko doskonale widzieli. Lecz mam nadzieję, że nim rozpocznie się obrzęd, zechcesz spożyć ze mną wczesny posiłek... O bogowie, któż by przypuszczał, że będziemy musieli śniadać w blasku gwiazd jak barbarzyńcy lub dzikie zwierzęta!

Wreszcie dotarli do celu, skrzypnęła otwierająca się brama, wpuszczając obie lektyki, później zamknęła się i gwar ulicy ucichł nagle.

W blasku trzymany przez niewolników pochodni, oświetlających sklepienie podwórzec, najszlachetniejszy Marmaros i jego gość wysiedli i udali się do niewielkiej sali wyłożonej do wysokości oczu różowym marmurem pochodzącym z wysp na północy. Ponad nim biegły wokół ścian malowidła przedstawiające stada krów pasących się wśród kwiatów. Nad stadem czuwał błękitny byk spoglądający groźnie ku drzwiom, którymi weszli.

Czcigodny Re-Se-Net pochwalił, zasiadłszy przy stole, malowidła i dobór biegnących pod nimi jednakich, nieskazitelnych płyt marmurowych. Najczcigodniejszy Marmaros podziękował z uprzejmą skromnością, a później, gdy unieśli ku ustom czarki z gorącym miodem pszczelim zmieszonym z winem i umoczyli w nich wargi, zapytał:

- Skoro zechciałeś, mój drogi przyjacielu, pochwalić ów skromny przybytek, który odwiedzam jedynie wówczas, gdy każą mi to czynić nieznośne obowiązki handlowe, gdyż, jak wiesz, ród mój ma przywilej kupna i sprzedaży pszenicy dla pałacu i miasta, wyznaj mi, proszę, czy spodziewasz się nowego ładunku towarów ze swej ojczyzny? Naczynia owe, które przybyły przed nadejściem zimy, doprawdy odznaczały się wielką pięknnością i rad bym posiadać ich jeszcze kilka, jeśli to będzie możliwe.

- Jesteś pierwszym, o najszlachetniejszy, który dowie się o ich przybyciu... - Re-Se-Net pochylił nisko głowę. - Nie dlatego jedynie, że ubliżyłbym twojej godności, gdybym ukazał je komu innemu, nim ty je ujrzysz, lecz również dlatego, że rzeczy piękne winny przebywać tam, gdzie są oczy, mogące je ocenić. Wówczas uroda ich podwaja się.

- A kiedyż spodziewasz się ich?

- Jak wiesz, o najszlachetniejszy, wyprawiłem przed nadejściem burzliwej pory żonę moją i córkę do Egiptu. Okręt ów miał powrócić z nadejściem wiosny. Wiosna nadeszła właśnie, więc sądzę, że ujrzę go wkrótce w przystani tego miasta. Nie muszę ci dodawać, że oczekuję go z wielką niecierpliwością, gdyż spodziewam się dobrych wieści o małżeństwie mej córki. Lecz póki nie przybędzie, cóż mam ci odpowiedzieć? Inne nasze okręty prezimowały w Amnizos i wyprawiły się przed kilkoma dniami do Egiptu. Nie powrócą one prędko. Mogę cię jednak upewnić, że już wkrótce, jeśli bogowie władający falami będą nam sprzyjali, ukażą twoim oczom najpiękniejsze naczynia świętej ziemi mych ojców.

Wymienili jeszcze kilka spostrzeżeń o pogodzie, zbliżającej się podróży Widwojosa, pszenicy i naczyniach z barwnego szkła. Wreszcie ukończyli posiłek i udali się wąskimi schodami w górę na płaski dach domostwa, gdzie osłonięte od płynącego z gór nocnego powiewu rozpiętą na palach grubą, złocistą oponą stały dwa szerokie fotele nakryte skórami, zwrócone w stronę rozciągającego

się u stóp nadbrzeża niezmiernego, ciemnego morza, nad którym zaczęła blednąć noc, ukazując w oddaleniu ciemny zarys niewielkiej wyspy.

Re-Se-Net rozejrzał się. Po obu stronach ciągnęły się przylegające do siebie dachy domów. Wszędzie roilo się od ludzi i migotały lampy. W dole okolone czworobokiem pochodni trzymany przez żołnierzy było miejsce, gdzie stał okręt.

- To prawda, że większy okręt nie pruł nigdy fal morza! - rzekł Marmaros sadowiąc się wygodnie. - Nie wierzyłbym, gdybym nie spoglądał nań własnymi oczyma.

- W ojczyźnie mojej - Re-Se-Net usiadł i otulił nogi futrem, gdyż powietrze przedświtku przeniknęło go nagłym chłodem - budują większe nieco, lecz służą one do żeglugi po rzece i nie wystawione są na walkę z falami i wiatrem. Spójrz, o najszlachetniejszy, zapewne cała ludność tej krainy zeszła się tutaj!

Poza granicami rozjaśnionego pochodniami pustego czworokąta i opróżnioną z ludzi drogą, niknącą w wylocie ulicy prowadzącej do Knossos, cała niezmierna powierzchnia nadbrzeża pokryta była gęstym, stojącym głowa przy głowie tłumem, który oblepiał okna, słupy i pokłady stojących w przystani okrętów. A z ulic, które wychodziły ku morzu, słychać było gwar zbliżających się i wlewających na plac nowych gromad ludzkich.

Najszlachetniejszy Marmaros zerknął ku niebu, a później powiódł oczyma po szarzejącym widnokregu.

- Wkrótce pojawią się ci, o których mówiliśmy. Jak wiesz, winienem znajdować się w orszaku Minosa - rzekł półgłosem, tak aby nie słyszał go stojący za ich plecami niewolnik. - Lecz przyznam ci się, mój przyjacielu, że sama myśl zejścia tam - wskazał pokrytą pierścieniami dłonią nadbrzeże - przeraża mnie! Cóż za wonie muszą się tam rozprzestrzeniać: pomyśl tylko! Tysiące zbudzonych o świcie niedomytych wieśniaków, niewolników, sług, rzemieślników i żeglarzy! Nie licząc ich niewiast i dzieci, które zapewne przywiedli z sobą. Nie, to zbyt wiele! Tym bardziej że z miejsca, gdzie się znajdujemy, ujrzymy wszystko równie dobrze i usłyszymy, gdyż dom ten, jak widzisz, znajduje się na wprost kamiennego ołtarza i labrysu, a okręt stoi tuż przed nami.

Re-Se-Net wejrzał ku wysokim, wynurzającym się ponad kamienne nadbrzeże burtom, na których dostrzec można było w półmroku krzątających się ludzi. Przez wolny, odgradzony szeregami żołnierzy obszar placu przeszła grupa półnagich postaci, niosących przewiązane sznurami pakunki. Zbliżyły się one ku okrętowi i zaczęły podawać je stojącym na pokładzie ludziom. Nieco na prawo było kamienne wzniesienie, a obok niego słup, w który wbity był drzewcem ogromny dwusieczny topór górujący nad przystanią.

Tłum falował niespokojnie, raz po raz gwar rósł i opadał; szeregi żołnierzy stały nieruchomo, a przywódcy ich, uzbrojeni w świetliste, lśniące miecze z brązu, przechadzali się zerkając ku wylotowi ulicy, skąd miał wynurzyć się orszak, gdy czas nadejdzie.

Niebo na wschodzie z granatowego stało się brudnoszare. Kilka małych obłoków wisiało nieruchomo nad górami i one pierwsze rozjaśniły się odległym jeszcze blaskiem nadchodzącego dnia.

Re-Se-Net ziewnął mimowolnie. Myśl jego odbiegła od wydarzeń, które miały rozegrać się za chwilę, ku dalekim brzegom krainy ojców. Od chwili, gdy wierny Suti-Mes odpłynął ponownie wraz z jego małżonką i piękną Uat-Maati, ani jeden okręt z Egiptu nie zawitał do Amnizos. Re-Se-Net wierzył w rozum i wpływy swego roztropnego brata, lecz chwilami duszą jego targała niepewność. Nie wiedział, czy okręt wiozący małżonkę jego i córkę dotarł do ujścia Nilu. Co prawda niebo wokół Krety było wówczas przez wiele dni pogodne, a morze spokojne, lecz któż mógł wiedzieć, co

działo się na południu? Bywało przecież, że nad jednym obszarem jakiejś krainy przechodziły burze i gwałtowne wiatry, podczas gdy ludzie mieszkający nie opodal dowiadywali się o tym później z największym zdumieniem. A cóż dopiero na bezmiarze wód morskich.

Niepokój nie opuszczał go przez całą zimę i choć wypełniał swe obowiązki wobec dalekiego władcy i siebie samego równie dokładnie jak dawniej, a oblicze jego było spokojne i pogodne, jak przystało obliczu wielkiego kupca, jednak wiele by dał, aby ujrzeć wreszcie upragniony błękitny żagiel ozdobiony spoglądającą w lewo głową ibisa, któremu poświęcony był i składał ofiary jego ród.

- Czy słyszysz?! - Poczul na ramieniu lekkie dotknięcie szczupłych palców Marmarosa i szybko uniósł głowę.

W głębi ulicy prowadzącej z Knossos słyhać było wielki gwar i dobiegały stamtąd radosne okrzyki tłumów.

Re-Se-Net uniósł się nieco z fotela i obrócił w owym kierunku. Dowódcy stojący przed żołnierzami cofnęli się ku szeregom i znieruchomieli z mieczami uniesionymi na długość wyprostowanego ramienia.

W wylocie ulicy zamigotały pochodnie. Było to, jak gdyby rzeka światła zaczęła wylewać się do rozległej mrocznej przystani. Szeregi idących gęsto półnagich czarnych niewolników ruszyły w kierunku ołtarza, ustawiając się w czworoboku przed żołnierzami. Nadchodzili następni i czyniło się coraz widniej, aż wreszcie rozległ się miarowy krok gwardii pałacowej i blask pochodni zamigotał na ostrzach włóczni.

Plac ucichł i zastygł w oczekiwaniu. Nagle wybuchnął wielkim okrzykiem.

Z góry Re-Se-Net dojrzał wyraźnie pozłocistą platformę niesioną przez dwudziestu młodzieńców jednako odzianych w białe opaski. Szli tak równo, że tron spoczywający na ich ramionach zdawał się płynąć nad głowami tłumy.

Na tronie siedział nagi człowiek, a raczej postać niemal ludzka, gdyż głowa jej lśniła złotym blaskiem i była głową byka. Postać ta była zupełnie nieruchoma, a dłonie jej spoczywały oparte na kolanach w sposób, w jaki Egipcjanie ukazują swych władców na pomnikach kamiennych.

Przez chwilę wydawało się Re-Se-Netowi, że jeden z bogów jego ojczyzny zawitał nocą do tej krainy. Mimowolnie chciał powstać z fotela, by oddać mu cześć padając na kolana i dotykając czołem i rękami dachu, lecz pohamował się w porę.

Młodzieńcy zatrzymali się przed ołtarzem i z wolna opuścili tron na ziemię. Wówczas posąg drgnął, uniósł dłoń ku masce, dotknął jej i opuścił znowu rękę zwykłym, ludzkim ruchem. Zaległa cisza przerywana jedynie szelestem stóp ludzi, którzy nadeszli pieszo za niosącymi tron młodzieńcami. W świetle pochodni kupiec rozpoznał kilku z nich. Ustawili się półkolem za tronem i także znieruchomieli. Byli to możni tego królestwa. Zwykle szaty ich były wspaniałe i różnobarwne, lecz dziś mieli na sobie wszyscy jedynie okalające biodra białe opaski nie różniące się niemal od tych, które okrywały niosących tron.

- Oto skutki nadmiernej ciekawości i pragnienia, aby znajdować się nieustannie w pobliżu władcy - szepnął mu do ucha najszlachetniejszy Marmaros. - Musieli iść pieszo z Knossos za tronem króla, gdyż tak przystoi poddanym w czasie, gdy przybiera on postać Byka. Niejeden ze starszych przypląci to zapewne chorobą, choć noc nie jest chłodna. Albowiem nikt w tym królestwie nie może towarzyszyć władcy mając płaszcz na ramionach, gdy Byk jest nagi. Przyznasz więc zapewne, mój przyjacielu, że jestem rozsądnym człowiekiem.

Król Krety nadal tkwił nieruchomo na tronie, wpatrzony w ołtarz i uniesiony nad nim Wielki Labrys.

W ulicy znów wybuchł gwar, dotarł do placu nadbrzeżnego i ucichł. W pierwszej chwili Re-Se-Net sądził, że nadchodzi nowy oddział wojska, gdyż dostrzegł blask pochodni pełgający na orężu i napierśnikach z lśniącego brązu. Lecz gdy zbliżył się, stanęli przed tronem i odrzuciwszy ze szczękiem miecze, łuki i włócznie na kamienne płyty placu, unieśli ręce w pozdrowieniu, dostrzegł Widwojosa i stojącego obok niego smukłego chłopca, w którym rozpoznał dziedzica korony kreteńskiej.

- Spójrz! - szepnął Marmaros. - Jakże zmęźniał Perilawos! A za nim możesz ujrzeć obu cudzoziemców, którzy są jego nieodłącznymi towarzyszami. Nigdy większa załoga nie opuściła tej wyspy na jednym okręcie. Jest ich stu, a może i więcej! Któż by uwierzył!

Re-Se-Net nie odpowiedział, odruchowo począł liczyć stojących za Widwojosem ludzi przesuwając po nich oczyma. Dwaj z nich odróżniali się od innych, gdyż pozdrawiali władcę pochyliwszy głowy, przykładając do czoła dłoń zwiniętą w pięść. Nie byli Kreteńczykami... Przemknęło mu przez myśl to, co usłyszał ongi o jednym z nich, który podobno poświęcony był któremuś z bogów egipskich i uciekł. Lecz myśl ta rozwiała się równie szybko, jak pojawiła, gdyż na placu zaległa nagle cisza tak zupełna, jak gdyby nie przebywał na nim ani jeden żywy człowiek.

Król Byk wstał powoli i uniośł ręce zwrócone otwartymi dłońmi ku ołtarzowi.

- Bądź pozdrowiona! - rozległ się głuchy donośny głos spod złotej maski.

Wówczas Re-Se-Net dostrzegł ją na stopniach ołtarza. Nie wiedział, jak się tam pojawiła. Stała wysoka, wyprostowana, w długiej, opadającej faliście spódnicy, która kryła jej stopy. Na głowie miała wysoki diadem z pereł, kryjący czoło i ozdobiony kręgiem srebrnego księżyca w pełni, spoczywającego między rogami byka. Stała uniesiona nad głowami tłumu, oświetlona migotliwym blaskiem pochodni i wstającego przedświtu, zdając się górować nad całym nadbrzeżem. Skłoniła lekko głowę przed Minosem, który ponownie opadł na tron, później obróciła się ku morzu i uniosła rękę.

Wówczas Re-Se-Net ujrzał długą łódź dobijającą do brzegu. Była oświetlona wieńcem lamp oliwnych. Z dala dostrzegł krótki skośny pomost, do którego łódź przybiła.

Przymrużył oczy, aby lepiej widzieć. Dzień wstawał z wolna r szare jego światło, zmieszane z blaskiem pochodni, mąciło obraz.

Wreszcie ujrzał białego konia, którego sprowadzono z łodzi po pomoście. Koń był spętany i szedł wolno, otoczony dwuszeregiem młodzieńców w białych przepaskach na biodrach.

- To synowie ośmiu najmożniejszych rodów Krety... - szepnął Marmaros. - Jest tam także i mój Apareus! Nadchodzi drugi z prawej.

Re-Se-Net zwrócił oblicze ku gospodarzowi.

- Nie znam tego obyczaju... - rzekł.

- Przynieśli go tu nasi przodkowie. Kreteńczycy nie znali go, nim tu przybyliśmy. Mówią, że na długo przed uderzeniem na Kretę, na całe wieki przedtem, byliśmy ludem stepowym, wędrowaliśmy, a poświęciliśmy konia wsiadając na okręty, aby stać się ludem morskim. Inni wierzą, że przed wielką wyprawą należy poświęcić konia, gdyż jest on zwierzęciem Posejdona, władcy mórz, który raduje się mogąc powiększyć swe białogrzywe stado i sprzyja wówczas żeglarzom. Jak jest naprawdę, nie wiem.

W zupełnej ciszy odgłos kopyt zwierzęcia donośnie rozlegał się na bruku nadbrzeża. Przed

ołtarzem młodzieńcy zatrzymali się. Dwaj z nich trzymający wodze przygięli gwałtownie głowę koma ku ziemi, a czterej inni ściągnęli trzymane w rękach postronki opasujące mu nogi. Biały ogier upadł na bok, zarżał donośnie, chciał dźwignąć się, lecz głowa jego opadła na kamienną płytę ołtarza i znieruchomiała, gdy młodzieńcy przeciągnęli postronki przez dwa znajdujące się po rogach płyty pierścienie.

W ciszy zwierzę zarżało raz jeszcze, jak gdyby przeczuwając to, co musiało nastąpić. Kopyta usiłowały odnaleźć miejsce oparcia, osunęły się po gładkim bruku i znieruchomiały na chwilę.

A wówczas Ariadna uniosła z ołtarza niewielki kamienny labrys i uderzyła dwukrotnie, raz jednym ostrzem, a później drugim, obróciwszy topór w dłoniach. Zwierzę krzyknęło straszliwym, niemal człowieczym głosem, wyprężyło się i opadło nieruchomo.

- Widwojosie, synu Minosa! Zbliź się! - zawołała wysokim donośnym głosem, opuściwszy skrwawioną siekiere. Podszedł i stanął u stóp ołtarza, później wyciągnął ręce i zanurzył je we krwi buchającej z szyi zwierzęcia.

- Ojczy białogrzywych fal, przyjmij tę ofiarę łaskawie i prowadź okręt mój na chwałę Wielkiej Matki i Boskiego Byka, Ojca jego królestwa!

Uniósł ręce i dotknął nimi czoła, piersi i powiek. Ariadna zwróciła się ku leżącemu zwierzęciu i pochyliła lekko, spoglądała przez chwilę na krew spływającą w szerokie zagłębienie u stóp ołtarza.

- Widwojosie, synu Minosa, ofiara twoja została przyjęta. A okręt twój zwać się będzie Angeles, na znak, że jest Wysłannikiem Byka, abyś odkrył na nim drogi nie znane na chwałę królestwa Krety!

Kolejno podchodzili, by umoczyć ręce w krwi konia, i powracali do swej leżącej na bruku broni.

Niebo nad morzem błękitniało. Czarny kadłub stojącego przy nadbrzeżu wielkiego okrętu i jego wysoki maszt stawały się coraz wyraźniejsze.

Pośród tłumów urósł gwar przyciszonych głosów i nagle ucichł ponownie.

Naga postać w złotej masce powstała z wolna. Rogata głowa zwróciła się ku księciu stojącemu przed swą załogą.

- Widwojosie, bracie mój! - rozległ się głuchy głos. - Wielki jest czyn, którego się podjąłeś! A wkrótce wszędzie słońce i okręt twój, nasz Wysłannik, odbije od świętych brzegów. Niechaj płynie tak długo, jak długo myśli nasze będą mu towarzyszyły, i dokona dzieła tak wielkiego, jak wielka jest nasza miłość dla ciebie!

Być może wydało się patrzącemu z dala Re-Se-Netowi, że przez oblicze księcia przebiegł nagły, przelotny uśmiech, lecz zapewne było to złudzenie.

Widwojos uniósł głowę i zwrócił wyciągnięte ręce ku Bykowi. Nie odrzekł ani słowa. Później zwrócił się ku stojącej przy ołtarzu Ariadnie i pozdrowił ją w podobny sposób. Wreszcie pochylił się i ujął rękojeść miecza. Uniósł go i wskazał okręt. Cała załoga, która powtarzała każdą jego czynność, uniosła także swój oręż.

Księżę wsunął miecz do pochwy.

- Podejdz tu, Widwojosie, synu Minosa! - rzekła donośnie Ariadna.

Re-Se-Net dostrzegł, że księżę zawahał się na ułamek chwili, jak gdyby słowa jej nie były przewidziane obrzędem pożegnania. Także Minos, który zasiadł znów na tronie, drgnął i rogata maska obróciła się z wolna ku wcieleniu, ku Wielkiej Matce.

Widwojos zbliżył się i stanął przed martwym koniem, którego śnieżnobiała sierść zbryzgana była zastygłymi czerwonymi kroplami.

- Słuszne jest, abyś będąc synem bogów i sam bogom podobny wziął z sobą w dalekie krainy

znak najświętszy, który wbijesz w brzeg u celu podróży, aby ludzie i bogowie wiedzieli, że ziemie owe bierzesz w posiadanie Podwójnego Topora!

Wyciągnęła ręce i podała mu ów mały labrys, którym zabiła konia. Widwojos ujął go i pochyliwszy głowę ucałował z czcią drzewce siekiery.

- Strzeż go, a on ciebie ustrzeże! Odejdź w pokoju i powracaj!

Cofnęła się i znieruchomiła wsparta o płytę ołtarza.

Książę odwrócił się, uniósł wysoko topór i skłonił się przed królem, a później, nie oglądając się już więcej, ruszył ku okrętowi ulicą utworzoną przez szeregi żołnierzy. Za nim postępowała załoga.

Wśród tłumu wzniosły się pojedyncze okrzyki, urosły i pośród wielkiej wrzawy i nawoływań idący dotarli do okrętu. Widać było z dala, jak wchodzą na burtę i zeskakują w dół. Tłum znowu ucichł. Oczy ludzi zwróciły się ku niebu i dalekiej linii widnokregu na wschodzie, za którą urósł już blask niewidzialnego jeszcze słońca.

Na okręcie podniesiono reję ze zwiniętym żaglem.

Wszyscy zamilkli w oczekiwaniu. Wygaszono pochodnie.

Król nieznacznie skinął ręką. Tron uniósł się i znieruchomił nad głowami tłumów.

Re-Se-Net spojrział na morze. Daleko, w pobliżu wysepki osłaniającej port Amnizos, dostrzegł niewielki ciemny punkcik. Jakiś okręt zbliżał się do brzegu. Jeśli przybywał z daleka, załoga nie wiedziała zapewne, że całe nadbrzeże pokryte jest nieprzeliczonym tłumem.

- Jeszcze chwila... - rzekł najszlachetniejszy Marmaros - a słońce ukaże się. Czy dostrzegłeś zdumienie bogom podobnego Widwojosa, gdy Ariadna podała mu labrys?

- Tak, lecz nie wiem, czemu je przypisać? Czyżby Wielka Matka twego ludu postąpiła inaczej, niż chcą zawsze obyczaje? Sądziłem, że każda posiadłość kreteńska oddaje cześć podwójnemu toporowi przywiezionemu z wyspy.

- Masz słuszość, jest on świętym godłem Byka i towarzyszy jedynie królowi, a jako jego znak panuje nad innymi krajami, które są mu podległe. Dostrzegłeś zapewne, jak zaskoczony był Widwojos biorąc go z rąk Ariadny. Ma to wielkie znaczenie, bo gdyby Minos, pan nasz, umarł, nim ta wyprawa powróci, nie można by ukoronować kogo innego, zanim Widwojos i jego syn nie staną na ziemi kreteńskiej lub Ariadna nie otrzyma pewnej wieści, że zginęli. Czyżby więc Minos złagodził swą nienawiść do brata? Być może, lecz...

Urwał i powstał z fotela, a Re-Se-Net poszedł jego śladem. Na krawędzi widnokregu zabłysnął wąziuteńko świetlisty rąbek blasku.

Król powstał z tronu, uniósł rękę i opuścił ją.

Przez chwilę Angeles stał nieruchomo przy nadbrzeżu, jak gdyby załoga jego nie dostrzegła znaku. Nagle drgnął, odepchnięty długimi drągami. Uniesione wysoko wiosła lewej burty opadły w wodę, uniosły się powoli i znowu opadły nadając mu wsteczny ruch i obracając dziób ku otwartemu morzu. Błysnął długi rząd wiosel z prawej, wsunięty w zagłębienia burty. Z pokładu w zupełnej ciszy dobiegł okrzyk niosący rozkaz.

Okręt obrócił się rufą ku nadbrzeżu. Wiosła uniosły się równocześnie, opadły, pióra zniknęły w wodzie i znów się uniosły. Nabierał z wolna szybkości. Z wysokiej rei opadł złocisty żagiel i błysnęła pośrodku niego wielka czarna głowa byka o białych oczach.

Tysiące rąk poczęły wymachiwać ku odpływającym, a ogromny okrzyk uniósł się nad miastem i zatoką.

Żagiel chwycił sprzyjający wiatr i wydał się głęboko.

- A więc wyruszyli... - rzekł najszlachetniejszy Marmaros. - I znów rzeka dworskich spraw powróci do zwykłego koryta.

Przez chwilę spoglądali za okrętem malejącym na błękitnych wodach zatoki.

Tłum z wolna rozpraszał się na powrót w wyloty ulic, choć wielu stało jeszcze na nadbrzeżu spoglądając na morze i niknący w oddaleniu żagiel. Orszak królewski ruszył formując się.

Re-Se-Net dopiero wówczas dostrzegł Wielką czarną lektykę, ozdobioną srebrnymi liliami, która zatrzymała się nie opodal ołtarza dla przyjęcia Ariadny, żywego wcielenia Wielkiej Matki.

- Czy pójdziemy już, mój przyjacielu? - spytał najszlachetniejszy Marmaros. - Sądzę, że widowisko zostało szczęśliwie zakończone i pozostaje nam jedynie długie... lub nieco krótsze... - dodał znacząco - oczekiwanie na wieści o losach wyprawy bogom podobnego Widwojosa. Odwrócił się ku otoczonemu balustradą otworowi w dachu, z którego opadały kręte kamienne schody w głąb domu. Zrobił przy tym uprzejmy ruch dłonią.

- Dzięki ci, o najszlachetniejszy, że umożliwiłeś mi ujrzanie tak doniosłej uroczystości! - rzekł z uśmiechem Re-Se-Net składając mu głęboki ukłon. Wyprostował się i zrobił krok ku schodom, raz jeszcze rzucając okiem ku morzu.

Nagle zatrzymał się.

- O, bogowie! - wyszeptał. - O, Ra, Horusie i Wy, Wielkie Stowarzyszenie Nieśmiertelnych!

- Czy stało się coś? - zapytał Marmaros, nadaremnie wodząc oczyma po morzu i nadbrzeżu dla znalezienia przyczyny tak nagłej zmiany w zachowaniu kupca.

- Tam! - rzekł Re-Se-Net. - Czy widzisz, panie?

Był już opanowany, choć głos jego drżał nieco.

- Nie... - rzekł Marmaros z wahaniem. - Czy masz na myśli odpływający okręt? - Wskazał ręką daleki żagiel, zlewający się już niemal z powierzchnią morza tuż obok zielonej wyspy, którą musiał minąć w swej drodze na północ.

- Nie, o najszlachetniejszy. Mam na myśli ów okręt, który zbliża się ku przystani od wschodu! Ów o błękitnym żaglu, gdyż wydaje mi się, że dostrzegam na nim zwróconą w lewo głowę ptaka. Lecz może to jedynie przewidzenie? - Przysłonił oczy dłonią.

- Masz słuszość, Re-Se-Necie. Wydaje mi się, że dostrzegam zarys ptasiej głowy, a żagiel jest błękitny. Czy to twój okręt?

- Mój, jeśli na żaglu jest głowa ibisa. Oznaczałoby to, że małżonka moja i córka szczęśliwie dopłynęły jesienią do ujścia Nilu, a dziś okręt powraca wioząc dla mnie towary i wieści o mej rodzinie.

Marmaros, który ożywił się na dźwięk słowa: towary, ujął go pod ramię i także osłonił czoło dłonią. Przez chwilę spoglądali obaj w milczeniu, wreszcie Kreteńczyk rzekł:

- Tak, nie ma najmniejszej wątpliwości! Jest to głowa ptaka o długim dziobie, wymalowana czarną farbą i spoglądająca w lewo! A więc to twój okręt! Czy sądzisz, że przyobiecane naczynia znajdują się na nim?

- Najpewniej, o najszlachetniejszy! - odparł Re-Se-Net, który nie myślał teraz zgoła o naczyniach. - Sądzę, że winienem zejść, aby być tam, gdy przybije do brzegu.

Uwolnił łagodnie ramię i ruszył ku schodom.

- Zezwól, że będę ci towarzyszył! - rzekł Marmaros uprzejmie. - Zaspokoję też moją ciekawość, dowiedziawszy się, czego mam oczekiwać w najbliższym czasie. Prócz tego tłumy płyną z nadbrzeża przez miasto i rad bym odczekać nieco, aby lektyka moja nie grzęzła pośród motłochu.

Ruszyli w dół, wsiedli na podwórcu do lektyk i wkrótce znaleźli się na pustoszejącym nadbrzeżu, gdzie stały jeszcze grupki ludzi spoglądających na morze, choć Angelos, okręt bogom podobnego Widwojosa, zniknął już od dawna, ukryty za wyspą, którą opływał.

Re-Se-Net nakazał niosącym zatrzymać się tuż przy krawędzi nadbrzeża, wysiadł i z bijącym szybko sercem, starając się nie okazywać wzburzenia, spoglądał na okręt, który opuściwszy żagiel posuwał się powolnymi uderzeniami wiosł ku brzegowi. Mrużąc oczy próbował pośród stojących na dziobie sylwetek rozpoznać wiernego Suti-Mesa. Ujrzał go wreszcie. Okręt był coraz bliżej.

Re-Se-Net uniósł rękę, a gdy nabrał pewności, że go już słyszą, zawołał:

- Jakież wieści mi niesiesz, Suti-Mesie?

- Dobrze, panie! - dobiegł go nad wodą okrzyk wiernego sługi.

Wyciągnięto wiosła i wyrzucono maty z sitowia, które chroniły burtę przed zbyt ostrym zderzeniem z nadbrzeżem. Okręt przesunął się nieco i oddalił od miejsca, gdzie stał Re-Se-Net. Nie byłoby słuszne, aby szedł teraz pospiesznie wzdłuż nadbrzeża, okazując niecierpliwość. Skinął więc na tragarzy i wsiadł do lektyki, która ruszyła za przybijającym do brzegu okrętem. Marmaros i jego ludzie udali się za nim i zatrzymali w pewnym oddaleniu.

Najszlachetniejszy Marmaros wyjrzał zza firanki. Okręt właśnie dobił i rzucono z burty pomost. Zdziwiło go nieco, że dwaj żeglarze, którzy uwiązali liny do kamiennych pali, podbiegli do pomostu i wraz z dwoma innymi rozpostarli czerwony chodnik sięgający aż po kamienie placu. Dostrzegł też, że lektyka kupca Re-Se-Neta zatrzymała się tuż przed pomostem, a ten ostatni wysiadł i przystanął patrząc z równym jak on zdumieniem na owe przygotowania do zejścia z okrętu.

Czyżby słudzy wielkiego kupca i kreteńska załoga okrętu czcili go tak, że kończąc zwykłą handlową podróż postanowili położyć pod stopy oczekującego kobierzec, jeśli zechce wejść na pokład?

I nagle przyszła mu druga myśl: któż miał powiadomić ich, że Re-Se-Net będzie oczekiwał błękitnego żagla z głową ibisa o tak wczesnej porze właśnie tego dnia? Żaden kupiec nie stał przecież na wybrzeżu wypatrując od wschodu słońca, czy nie nadpływają jego okręty!

Lecz oto stała się rzecz dziwna: po chodniku zaczął schodzić wysoki, biało ubrany człowiek, trzymający w ręku długą laskę, którą wspierał się lekko. Zatrzymał się przed Re-Se-Netem i uniósł dłoń ukazując mu coś, czego z dala Marmaros nie mógł dostrzec.

I oto wielki kupiec Re-Se-Net ugiął kolana, ukląkł i pochyliwszy głowę ucałował sandał wysokiego człowieka, a później dźwignął się szybko, podbiegł ku swej lektyce i padł przed nią, aby gość mógł zająć miejsce, wchodząc do wnętrza po jego grzbiecie. Lecz wysoki człowiek zatrzymał się, uniósł go łagodnie i rzekł kilka słów, których echo nie dobiegło do lektyki Marmarosa.

Przez chwilę Marmaros zastanawiał się, czy nie przywołać go i nie ofiarować mu ponownie miejsca u swego boku. Lecz szybko odrzucił tę myśl. Nie należało wkraczać w sprawy obcego ludu, nie mając pewności, czy słusznie się czyni.

Kazał swym ludziom ruszać ku domowi. Zaciekawilo go, kim mógł być tak znamienity przybysz. Jednak wielce był senny i postanowił, że gdy powróci do pałacu, spożyje południowy posiłek i zdrzemnie się nieco przed wieczorną ucztą. Lecz usnął o wiele wcześniej, ukołysany równym krokiem niosących go ludzi.

Tymczasem kupiec Re-Se-Net szedł szybko do pałacu obok lektyki i nie mogąc zdobyć się na śmiałość, aby zerknąć w głąb na oblicze gościa, rozmyślał gorączkowo, cóż oznaczać mogło jego przybycie na Kretę.

Albowiem gdy stanął naprzeciw pomostu, przyglądając się ze zdumieniem niecodziennym przygotowaniom, dostrzegł wysokiego kapłana stojącego przy burcie. A gdy ów zaczął schodzić wspierając się na złocistej lasce, zakończonej rękojeścią w kształcie głowy krokodyla, pojął, że jest to jeden z dostojnych sług Sebeka. Gdy kapłan zatrzymał się przed nim i wyciągnął rękę, Re-Se-Net ujrzał na jego palcu pierścień ze złotym żukiem oplecionym dwoma świętymi węzami na znak, że słowa tego, który go otrzymał, są słowami faraona, a ów, który by mu się sprzeciwił i nie usłuchał go, będzie zgubiony i starty na proch jak ów, który nie okaże posłuchu słowom faraona, albowiem taka jest Moc i Boska Godność, którą Pan Świata przelewa na kogo chce, wysyłając go w poselstwo lub z poleceniem nie znoszącym sprzeciwu.

Gdy znaleźli się w domostwie Re-Se-Neta, kupiec oddał na mieszkanie kapłanowi swe najpiękniejsze komnaty i nakazał przygotować kąpiel dla nowo przybyłego. Później zapytał z najgłębszą czcią, czy nie zechciałby on spożyć posiłku pod jego dachem, niegodnym tak wielkiego zaszczytu. Ów zgodził się, lecz nakazał, aby jadło było najskromniejsze, każąc sobie równocześnie opowiedzieć o sprawach tego królestwa. Gdy Re-Se-Net rzekł o wyprawie księcia Widwojosa, kapłan spytał go o owego białowłosego chłopca, o którym kupiec napomknął w swym ostatnim sprawozdaniu. Re-Se-Net odparł, że pewien jest, iż chłopiec ów odpłynął wraz z księciem, gdyż nieustannie towarzyszył jego synowi. Gość drgnął, lecz nie rzekł słowa, podano bowiem posiłek.

Jadł powoli, odłamując palcami kawały suchego jęczmiennego placka i popijając je chłodną źródlaną wodą z prostego kamiennego kubka, bowiem był to dzień postu dla sług Sebeka.

Milczał ze zmarszczoną brwią, jak gdyby rozważał coś, czego nie raczył zdradzić, a gdy skończył, Re-Se-Net sam podał mu srebrną miednicę i ręcznik, a później ruszył z nią ku drzwiom, oddał ją służce i zawróciwszy, milcząc stanął naprzeciw fotela z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, jak nakazywała cześć, którą winien był okazywać nieustannie swemu gościowi.

Przez dłuższą chwilę Het-Ka-Sebek, gdyż on to był, milczał. Oczy miał przymknięte, a na dolnej wardze zawisł maleńki okruch placka, który usunął uniósłszy jedną ze spoczywających na kolanach dłoni. Później opuścił rękę, splótł palce i znieruchomiał.

Stojąc z opuszczoną lekko głową Re-Se-Net nie mógł oderwać oczu od dłoni siedzącego. Na jednej z nich lśnił łagodnie w blasku wpadającego przez otwarte okno wiosennego słońca ów wielki pierścień przedstawiający żuka otoczonego dwoma węzami. Były to święte kobry-ureusze, a pomiędzy nimi, na grzbiecie owada, wyryto otoczone królewską obwódką szenu imię władcy. Re-Se-Net stał, starając się oddychać jak najciszej, czujny i nieruchomy w oczekiwaniu najświętszych słów.

Wreszcie kapłan drgnął i otworzył oczy.

- Usiądź, czcigodny kupcze - rzekł cichym zmęczonym głosem, wskazując mu drugi fotel stojący naprzeciw,

- Nie śmiem, o najczcigodniejszy... - Re-Se-Net nie poruszył się..

Het-Ka-Sebek uśmiechnął się łagodnie i powtórzy głosem równie cichym, lecz pełnym uprzejmości:

- Jestem twoim gościem i proszę cię o to. Zatrośkał mnie słowa, które wyrzekłeś. Pragnąłbym naradzić się z tobą, abyśmy wspólnie znaleźli drogę, mogącą przemienić złe wydarzenie w dobre. Ze sprawozdań twych wynika, że jesteś człowiekiem roztropnym, Re-Se-Necie, znającym dobrze tę krainę i jej władców. - Wyciągnął rękę i podsunął mu fotel.

Kupiec usiadł na brzegu siedzenia, wyprostowany, z pochyloną głową.

- A więc jeśli, jak mówisz, odpłynęli, bogowie podziemni postanowili, że mogę zaczekać na jego

duszę nieco dłużej, a być może chciał tego prosty traf, aby chłopiec ów opuścił tę wyspę właśnie w owej chwili, gdy okręt mój przybijał do przystani...

Het-Ka-Sebek zamilkł i potrząsnął głową, jak gdyby zdumiała go obojętność bogów podziemnych wobec niezwyklej wagi zadania, jakie mieli do spełnienia.

- Cokolwiek nastąpi - rzekł kapłan - pragnę cię upewnić o wdzięczności świątyni Sebeka za przesłanie owej wieści do Kancelarii Głównej Pana Naszego... - Uniósł się lekko w fotelu i skłonił ku południowi, Re-Se-Net poszedł za jego przykładem. - Wiedziano tam już o straszliwym świętokradztwie zabójstwa Żywego Wizerunku Boga, jakiego się dopuścił ów białowłosy barbarzyńca, gdyż święte kolegium kapłańskie Domu Boga nad Jeziorem zawiadomiło ich o tym. Przesłano nam niezwłocznie wieść o odnalezieniu jego śladów. A że wieść ta przybyła z dalekiej krainy w chwili, gdy utraciliśmy już wszelką nadzieję, pojąłem, że jest w niej zawarta wola bogów, i wyprawilem się na Krete pierwszym okrętem, aby sprawy tej nie powierzać nikomu i czuwać nad nią z bliska. Szczęśliwe zrządzenie losu chciało, że był to twój okręt, Re-Se-Necie. Połączmy więc myśli nasze. Ów świętokradca unika kary w sposób niemal niepojęty dla umysłu ludzkiego. Dość, gdy rzeknę, że uciekając nie zginął podczas wielkiego wiatru ani w ciągu wielu dni, gdy był zamurowany w pewnym grobowcu, ani też na pustyni i na morzu, pośród walk, trudów i niebezpieczeństw ucieczki. Oznaczać to musi, że Sebek zachowuje go w dobrym zdrowiu, gdyż pragnie go ujrzeć żywego nad Wielkim Jeziorem.

Znowu zamilkł. Kupiec Re-Se-Net otworzył usta, lecz zamknął je szybko. Nie mógł przemówić, nim gość nie zada mu pytania.

Het-Ka-Sebek, jak gdyby pojmując jego powściągliwość, pochylił się ku przodowi, położył mu dłoń na ramieniu i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Cóż wiesz o owej podróży morskiej królewskiego brata? Jaką radę pragnąłbyś dać sługom świątyni i jak pragniesz dopomóc im, aby ich rada i pomoc powróciły do ciebie w dniu, kiedy będą ci pomocne?

- Najczcigodniejszy, jedyną zapłatą, jakiej pragnę, będzie dla mnie radość serca mego, jeśli nędzny mój umysł i nikczemne siły zdadzą się na coś wielkiej świątyni Sebeka i tobie, który nosisz na palcu twoim Najświętszy Rozkaz. Mów, a uczynię wszystko, co rozkażesz.

- Wiesz już, że pragnę go żywego i zdrowego sprowadzić przed oblicze Boga. Radź mi, jak mam to uczynić?

- Jak ci już rzekłem, o najczcigodniejszy, odpłynęli oni na północ, aby poza granicami poznanego świata odnaleźć drogę wiodącą do miejsca, gdzie rodzi się bursztyn. Z tego, co usłyszałem, a słyszy się tu niemal wszystko, gdyż ludzie ci niewiele tajemnic umieją przechować, boski Widwojos, brat królewski, zatrzyma się dłużej w przystani miasta Ateny i w innym grodzie nadmorskim dalej na północ, Jolkos, który jest ostatnim na jego drodze, znajdującym się pod panowaniem Krety. Stamtąd ma przeciąć morze na wschód ku Troi, która leży u wejścia do morza, znajdującego się na północ od przesmyku, łączącego je z naszym morzem. O tym, co znajduje się dalej, nie wie ani on, ani nikt z tych, którzy mu towarzyszą, choć znane są mgliste wieści, że jest tam wielki ląd, a dalej jeszcze na północ za nim inne morze, mroczne i straszliwe, gdzie rodzi się bursztyn. Taka jest przewidywana droga owej wyprawy, lecz... Urwał. Het-Ka-Sebek szybko uniósł głowę.

- Mów, proszę, czcigodny Re-Se-Necie.

- Tak, o najczcigodniejszy. Otóż wiem, gdyż i to także nie jest tajemnicą na dworze królewskim, że władca Minos rozkazał płynąć swemu bratu na północ, aby go zgubić: jego i jego syna, do którego

straży należy ów białowłosy młodzieniec, świętokradca.

- A czy nie wiesz, jak pragnie dokonać tego król Krety? Gdyż być może chłopiec ów zginie, nim zdążymy podjąć jakiegokolwiek kroki?

- Nie sądzę, aby tak się stać miało, o najświętobliwszy sługo Sebeka. Wierzę, że Minos zezwoli im odpłynąć dość daleko, choć nie wiem, czy pragnie on wymordować ich w jakiejś odległej krainie, z której wieść nie mogłaby tu dotrzeć, czy też, co bardziej prawdopodobne, pragnie dokonać tego tak, aby upozorować przypadek lub gniew bogów, zachowując przy tym czyste ręce, nie zbrukane krwią swego rodu.

- Wierzysz więc, że póki okręt królewskiego brata znajduje się na wodach podległych Krecie, jest bezpieczny?

- Tak sądzę, o najczcigodniejszy, gdyż król Minos wie równie dobrze jak my, że gdyby nasłał swe okręty, by napadły na okręt jego brata i zatopiły go, wówczas rzecz rozniosłaby się natychmiast po powrocie załóg biorących udział w tym przedsięwzięciu. A musiałyby użyć wielu okrętów, gdyż morze jest wielkie i okręt brata łatwo mógłby przemknąć obok pułapki. Istnieje wiele rodzajów śmierci prócz tej, która czyha w falach morskich. Może zechce ich otruć? Może także obmyślić coś bardziej zawilego, co przyniesie podobny ostateczny skutek. Byłoby to zgodne z duszą tego ludu. Nie lubią oni działać wprost, chodzą zawsze krętymi i przemyślnymi drogami, często okazując przyjaźń i serdeczność tym, których jutro mają ugodzić. Nie pragnę tu snuć przypuszczeń, o których nie wiem niczego pewnego. Jakkolwiek by było, Minos jest władcą potężnym i nie ma ludu morskiego ni króla nadmorskich krain, który nic uczyniłby tego, czego od niego zażąda, i nie wspomógłby go w każdym jego zamiarze. Jedyni, którzy nie słuchają jego rozkazów, to rozbójnicy morscy, lecz oni nie słuchają nikogo.

- A więc gdybyśmy uzyskali jego przychylność, każdy z władców miast, do których ma zawinąć okręt jego brata, schwytałby owego chłopca i odstawił na Kretę?

- Z pewnością, o najczcigodniejszy.

- Lecz czy zechce on okazać swą wolę zgodnie z naszymi pragnieniami?

- Zbyt marnym jestem człowiekiem, świętobliwy Het-Ka-Sebeku, abym mógł upewnić cię o tym, jaka okaże się wola króla, sądzę jednak, że serce władcy Krety pełne jest przyjaźni dla Egiptu, a handel z nami wielce dogadza zarówno jemu jak i możnym tego królestwa. Wierzę, że król Minos będzie ucieszony mogąc w tak drobnej sprawie okazać swą uprzejmość Panu Świata - skłonili się obaj ku południowi - w niewiele czasu po wstąpieniu na tron ojców. Pojmie on z pewnością, że będzie to w Egipcie poczytane za rękojmię przyjaźni w nadchodzącym czasie jego panowania.

- A więc jeśli możesz, uczyn tak, abym mógł królowi Krety wyłożyć w jak najkrótszym czasie moje poselstwo! - rzekł Het-Ka-Sebek szybko. - Skoro, jak rzekłeś, brat królewski zamierza zatrzymać się na dłużej w dwu różnych miastach nadbrzeżnych dla wzmocnienia sił swej załogi, wówczas szybki wysłany stąd okręt winien go dopędzić i przekazać mu wolę królewską. Oby tylko Minos zechciał uczynić zadość mojej prośbie!

- Nie wątpię, że tak uczyni, o najczcigodniejszy. Jeśli miałoby być inaczej, znam, jak mniemam, sposoby, dzięki którym uda nam się zakończyć szczęśliwie twe poselstwo bez jego pomocy i rozkazu.

- Znasz, takie sposoby? - Het-Ka-Sebek uniósł cienko wygolone brwi. - A jak byś pragnął tego dokonać? Re-Se-Net rozejrzał się i ściszył głos.

- Mam tam swego człowieka, a jest on dzielny i oddany mi bezgranicznie dla wielu przyczyn. W ostateczności użyję go, choć nie umiem ci rzec, o najczcigodniejszy, jak by miał on owego

Białowłosego porwać, gdyż sam jeszcze nad tym nie rozmyślałem i rzecz ta jest nowa dla mnie.

- Gdzież masz owego człowieka? W jednym z miast nadbrzeżnych, do których ma zawinąć ów okręt?

- Nie, o najczcigodniejszy... - Re-Se-Net skromnie spuścił głowę. - Na okręcie królewskiego brata.

- Na okręcie?. Jakże mogłeś przewidzieć moje przybycie tu i sprawę, która mnie przywiodła, nie wiedząc niczego o niej?

- Nie przewidziałem twego przybycia, o najświętobliwszy sługo Boga nad Jeziorem, ani nie doszły mnie wieści o strasliwym świętokradztwie owego wyrostka. To prawda. Lecz sądziłem, choć niemal nikt w to nie wierzy, że wyprawa owa może wyminąć wszelkie niebezpieczeństwa i pułapki i osiągnąć swój cel. Wówczas Kreteńczycy odkryliby drogę wiodącą ku bursztynowi, a może i ku wielu innym bogactwom, bo któż wie, co kryją owe dalekie, nieznane krainy? Osądziłem więc w mym nikczemnym umyśle, że skoro ustanowiono mnie tu uchem i okiem Egiptu, słuszne będzie, abym wiedział jak najwięcej o owym przedsięwzięciu. Gdy brat królewski ogłosił, że szuka śmiałków, którzy pragną wejść w skład jego załogi, wybrałem młodego niewolnika, pochodzącego ze wschodniego krańca tej wyspy. Dowodził on jedną z moich barek, która utrzymuje handel towarami egipskimi i skupuje dobra kreteńskie w miasteczkach wzdłuż północnego wybrzeża. Zna on morze i, jak rzekłem, ufam mu. Rodzice jego także są mymi niewolnikami. Oświadczyłem, że odzyska wolność, i przysięgłem, że bliscy jego także ją otrzymają, jeśli powróci z wyprawy. Padł mi do nóg, a później zgłosił się na okręt i przyjęto go, gdyż jest silny i sprawny w robieniu wiosłem. Nie wspomniał o tym, że był mym niewolnikiem, a że zawdzięcza mi wszystko, może zaś otrzymać w dodatku to, czego pragnie najbardziej: wolność dla ojca, matki i sióstr swoich, więc uczyni bez namysłu to, co mu rozkażę, choćby rzecz połączona była ze stokroć większym niebezpieczeństwem niżli z ręczne uprowadzenie jednego cudzoziemskiego chłopca, którego może omamić pod lada pozorem. Lecz, jak rzekłem, nie sądzę, abym musiał uciekać się do usług tego człowieka, o najczcigodniejszy. Niechaj pozostanie on im nie znany. Minos uczyni zadość twej prośbie.

- Jeśli nawet niewolnik twój okaże się zbyteczny w naszym przedsięwzięciu, dobrze uczyniłeś, Re-Se-Necie, umieściwszy ucho i oko Egiptu na owym okręcie. Nieczęsto wypływają wyprawy ku celom tak odległym i przerażającym. Wierz mi, że nie zapomnę o tym po powrocie, gdy dostojni pisarze z Wielkiej Kancelarii pytać mnie będą o ciebie.

- Jestem, o najczcigodniejszy, jedynie prochem pod stopami Pana Świata - skłonili się ku południowi - a któż z nas zawahałby się uczynić dla Jego chwały wszystko, co w naszej mocy? - odparł kupiec nie unosząc oczu. - Lecz teraz błagam cię, zezwól mi odejść, abym użył wszelkich znanych mi sposobów mogących sprowadzić cię w jak najkrótszym czasie przed oblicze króla Minosa. Gdyż jedynym rzeczywistym nieprzyjacielem twego zamiaru może stać się zbytecznie utracony czas! Jeśli, w co nie wierzę, wyprawie tej udałoby się minąć granicę poznanego świata i zniknąć wśród wiekuistych mroków na północy, musiałbyś długo czekać na jej powrót... jeśli powróciłaby ona kiedykolwiek.

Het-Ka-Sebek przytaknął mu powolnym skinieniem głowy i odprawiwszy go uprzejmym ruchem dłoni, pograżył się w zadumie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Żywot nasz mniej wart jest niżli dzban oliwy.

Bogom podobny Widwojos zbliżył się ku sternikowi i zatrzymał kołysząc na szeroko rozstawionych nogach, gdyż wiejący od wczoraj silny wiatr wzburzył nieco morze i wysoka fala rozpryskiwała się na dziobie, który bądź unosił się wysoko, bądź opadał ciężko w ruchome zielone doliny.

Choć wiatr wiał z południa i wydał zawieszony nad głowami załogi wielki żagiel z wizerunkiem głowy byka, ludzie siedzieli przy wiosłach unosząc je i opuszczając miarowo, aby zmniejszyć boczne przechyły i nie dopuścić, by któraś z fal wtargnęła zatapiając dno okrętu, gdzie czterech nagich młodzieńców podawało sobie z rąk do rąk drewniane cebry i wylewało wodę, nieustannie chlustającą od dziobu. Szybko gnany sprzyjającym wiatrem Angelos parł na północ.

Sternik był starym człowiekiem o szerokich plecach i ciemnej, spalonej słońcem i wichrami skórze, od której ostro odcinały jego siwe włosy. Miał doprowadzić okręt do Aten i powrócić stamtąd do Amnizos. Wybrano go, gdyż całe życie przemierzał ten właśnie szlak tam i na powrót. Z Aten na północ miał poprowadzić Angelosa sternik tamtejszy.

Widząc stojącego nie opodal księcia, zdjął na krótką chwilę dłonie z rzeźbionych uchwytywów wiosel sterowych i skłonił nisko głowę.

- Bądź pozdrowiony, boski potomku Minosa!

- Jak sądzisz, czy dziś jeszcze ujrzymy przystań ateńską?

- Tak mniemam, panie mój. Wiatr sprzyja, okręt twój dobrze znosi falę, mimo obaw, że będzie zbyt ciężki, aby ją przewyciężyć, a słońce świeci, co zezwala nie zgubić kierunku i płynąć najkrótszą drogą. - Wskazał oczyma tarczę słoneczną, która uniosła się już spoza wschodniego widnokregu i nadal tkwiła nad nim nisko, rzucając blask w oczy. - Bogowie i Wielka Matka sprzyjają twjej wyprawie, boski książę! Nieczęsto udaje się tak szybko przemierzyć morze z Krety ku wielkiemu lądowi. Owa wyspa na prawo to Kitnos, a tę mniejszą, na lewo, zwą Velve. Miniemy ją od północnego wschodu i tam - wskazał ręką ku dalekiej, lekko zamglonej linii gór wyrastających z morza - ujrzysz, potomku bogów, wysoko zawieszony nad wodami przyładek Sunion. A gdy przepłyniemy u jego stóp, niewiele już czasu dzielić nas będzie od widoku ateńskiej przystani.

Widwojos w milczeniu skinął głową, wpatrując się w daleki ląd, którego wszystkie miasta nadbrzeżne i przylegające do nich krainy trwały pod władzą podwójnego topora. Bywał w tej okolicy świata już kilkakrotnie.

Zawrócił i „mija jąć ławy z siedzącymi na nich żeglarzami, zbliżył się do śródokręcia, zatrzymał się i spojrzał ku dziobowi, gdzie dostrzegł roslą postać Terteusa. Zdawał się on nie dbać o smagające jego obnażoną pierś i oblicze bryzgi piany. Stał wpatrzony w daleki ląd, wyłaniający się

coraz wyraźniej na północy. Widwojos zajął do rozpiętego pod masztem niewielkiego namiotu. Uchyliwszy zasłonę wszedł, pochylając się, do wnętrza.

Perilawos siedział na posłaniu z miękkich białych skór i ścisnął głowę dłońmi. Na widok ojca spróbował uśmiechnąć się.

- Jakże ci?

- Nie tak źle, jak było nocą, ojczu mój. Pragnąłbym pójść i zmienić Białowłosego przy wiosle, jeśli mi zezwolisz.

- Ty? - Widwojos zmarszczył brwi. - Wnuk Minosa przy wiosle?

Chłopiec powstał i zachwiał się, gdyż dziób okrętu wspierał się właśnie na grzbiet fali, która przesunęła się po nim. Lecz nie utracił równowagi. Stał dotykając głową dachu namiotu, a głos jego, gdy przemówił, był spokojny, jak gdyby choroba morza nie dręczyła go przez całą noc, do tej chwili.

- Czy nie sądzisz, ojczu mój, że nadejdzie w tej wyprawie czas, gdy bardziej potrzebna mi będzie moc mych ramion niż me boskie pochodzenie? A jakże mam ćwiczyć me ciało, jeśli zabraniasz mi tego wszystkiego, co zniewieściałego młodzieńca może przemienić w dojrzałego wojownika?

Widwojos usiadł na posłaniu i skinął nań wskazując miejsce obok siebie. Chłopiec niechętnie osunął się na kolana, spełniając jego polecenie.

W złocistym półmroku, jaki dawało słońce przeświecające przez cienkie płótno namiotu, twarz syna wydała się księciu starsza i bardziej dojrzała.

- Być może masz słuszość... - Skinął głową, jak gdyby potakując własnym myślom. - Tak, zapewne wiele jest słuszości w twoich słowach, lecz jesteś wnukiem Minosa, a jeśli będziesz dzielił ławę z jednym z owych mężnych prostaków, może to mieć dwojaki skutek: jeden, jak rzekłeś, że praca ta przyda mocy twym ramionom i uczyni cię bardziej odpornym na trudy naszej wielkiej wyprawy. Jest i drugi skutek: ludzie ci mogą pojąć, że jesteś takim samym śmiertelnikiem jak oni, a wówczas owa tajemnicza więź, która każe jednemu człowiekowi słuchać rozkazów drugiego, choć często tamten nie ma mocy ukarać go za nieposłuszeństwo, może pęknąć i ludzie ci poczną czynić, co zechcą, a wówczas może nas to doprowadzić do zguby. Żaden z potomków Minosa nie spełniał prac, które mieli wykonać jego poddani.

- A sam Minos? Ów pierwszy Minos, ojczu, który przybył ongi z wielkiego lądu i zdobył Krete? Czy sądzisz, że nie był wojownikiem i nie umiał posługiwać się wiosłem, on, który stworzył największe morskie królestwo świata?

- Działo się to bardzo dawno, mój synu, i nie wiemy niczego o nim, prócz tego, że przybył z morza, zajął miasta Krety i pozostał na wyspie ze swymi wojownikami, kobietami i dziećmi, aby jego i ich potomkowie zarządzili ludem, który tam zastali. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Choć wiele jest podań o nim, to, co rzekłem, wiemy z pewnością, a także i to, że on i przybyli wraz z nim ludzie posługiwali się mową podobną tej, jaką mówią na wielkim lądzie, do którego się zbliżamy. Jakże inaczej mógłbyś pojąć słowa Terteusa i Białowłosego, choć mowa ich różni się nieco od naszej? Wszystko inne to baśni lub prawda tak przemieniona wiekami, że niełatwo ją pojąć. Wiele o tym rozmyślałem swego czasu. Powracając do twego zamiaru, czy sądzisz, że załoga mego okrętu pokocha cię, gdy staniesz się jednym z nich, czy też zaczną gardzić tobą, gdyż orzeknie, że sam odrzuciłeś swą godność?

- Nie wiem tego, ojczu. Jedni z nich z pewnością pomyślą tak, a inni przeciwnie. Wiem natomiast, że będą mną gardzili szczerze i słusznie, gdy w chwili boju okażę się tchórzliwy i słaby jak niewiasta. Lecz nie o tym pragnę mówić z tobą, mój ojczu, za twym przyzwoleniem...

- Wiesz, Perilawosie, że droższy mi jesteś ponad cały świat, wszelkie jego królestwa i dobra, i mój własny żywot. Mów, o czym zechcesz, ze mną, gdyż po to żyję, abym mógł ci udzielać rad i chronić cię przed złem w miarę możliwości.

Rozłożył bezradnie ręce, jak gdyby pragnąc dodać, że nadszedł czas, gdy zło może okazać się silniejsze niż oni obaj.

- Wiem, ojcze mój, jak bardzo gnębi cię nasze położenie i jak wiele przyczynia ci zgryzoty. Lękasz się nieustannie, że stryj zechce zgładzić nas przy pierwszej nadarzającej się sposobności, i drżysz, gdyż nie wiesz, skąd śmierć może uderzyć. Cierpisz także widząc mój los, gdyż żywisz ciche podejrzenie, że może to twe własne uczynki sprowadziły na nas gniew królewski. Pragnąłeś skrycie, abym został panem królestwa Kreta, aby nałożono mi na skronie koronę i dano do ręki labrys. Czy to prawda?

Widwojos milczał przez chwilę, wreszcie rzekł cicho:

- Tak, to prawda. Gdyż wierzę głęboko, że byłbyś dobrym władcą, gdy dojrzejesz, a z pewnością lepszym, niż jest nim mój brat. I cóż w tym dziwnego, że ojciec pragnie dla swego dziecka największej chwały, jaką może dać ziemia?

- A czy nigdy nie pomyślałeś o tym, że pragnąłbym być szczęśliwy?

Zadał to pytanie z taką powagą, że księżę spojrział nań z największym zdziwieniem. Jego smukły, dorastający syn klęczał naprzeciw, spoglądając w jego oblicze spokojnymi oczyma, z których znikła nagle cała dotychczasowa beztroska i wesele lat dziecięcych.

- Myślę o twym szczęściu od owego dnia, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy, maleńkiego i ssącego pierś twej mamki. Cóż chcesz rzec mówiąc o szczęściu? Czy być władcą rozległej i potężnej krainy, panem niezliczonych miast i okrętów, nie jest największym szczęściem dla potomka królewskiego rodu?

Perilawos potrząsnął głową.

- Być może, mój ojcze, lecz ja nie odczułbym tego jako szczęście... - I szybko, jak gdyby lękając się, że rozgniewany ojciec przerwie mu i nie pozwoli dokończyć tego, co chciał wypowiedzieć, dodał: - Stryj mój, chcąc nas zgubić, nakazał ci wyruszyć wraz ze mną na tę wyprawę. Wierz mi, ojcze mój, że gdyby wiedział, jak bardzo rozkazał jego uradował mnie, zaniechałby pewnie swego zamiaru. Albowiem jeśli kiedykolwiek będę musiał stanąć do walki z nim lub objąć tron Minosa po jego śmierci, wiem, że jako doświadczony żeglarz i wojownik, z męstwem nabytym pośród niebezpieczeństw i znajomością świata, będę dla niego wrogiem straszliwym, a gdyby już nie żył, gdy powrócimy, stanę się władcą, który podźwignie Kretę ponownie do wielkiej chwały. Gdyż sam przecież twierdzisz nieustannie, że moc tego królestwa ginie dzięki zniewieściałości władców i możnych.

Umilkł i odwrócił głowę, jak gdyby zawstydzony tym, co rzekł tak gwałtownie.

Widwojos wyciągnął rękę i lekko dotknął jego obnażonego ramienia.

- Wydawało mi się dotąd - szepnął - że jesteś dziecięciem nie pojmującym spraw, które rozważają władcy. Dziś pojąłem, że przemieniasz się w męża. Od tej chwili sam będziesz postanawiał, co masz czynić. Pamiętaj jedynie o tym, że władza na tym okręcie w moich spoczywa rękach, a żywot nasz w oczach najędzniejszego lichwiarza w Knossos mniej jest wart niżli dzban oliwy, odkąd wstąpiliśmy w cień, który rzuca nienawiść króla.

- Pamiętam o tym, ojcze, i wierzę, że mężny Terteus ma słuszość twierdząc, że nikt nie będzie żył dłużej niż krócej, niż mu naznaczono.

Uśmiechnęli się obaj ku sobie. Perilawos pochylił się i ucałował szczupłą dłoń ojca. Później wstał i odchyliwszy zasłonę namiotu wyszedł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

A spośród nich Skamonios wiedział najwięcej

Wielka żółta pszczoła przeleciała brzęcząc gniewnie tuż obok głowy króla, siadła na jednym z purpurowych kwiatów i zniknęła w głębi jego korony. Jedyne ruch płatków dawał poznać, że znajduje się w środku.

Minos w milczeniu wpatrywał się w kwiat, a gdy pszczoła wynurzyła się ponownie i odleciała, zwrócił spojrzenie ku siedzącemu na niskim zydlu kapłanowi, za którym stał kupiec egipski Re-Se-Net.

Znajdowali się w gaju oliwnym, rosnącym tuż u stóp pałacu, a wysokie ocienione błękitnym rozpiętym na czterech złocistych żerdziach baldachimem krzesło króla stało w równo skoszonej gęstej trawie. W pewnym oddaleniu dwaj dostojnicy dworscy czekali na skinienie władcy, rozmawiając szeptem, z głowami lekko pochylonymi ku sobie. Było bardzo cicho i ciepło.

- Gdy powrócisz do swej szczęśliwej krainy - rzekł król uśmiechając się uprzejmie - powiedz swemu boskiemu panu, przyjacielowi memu, władcy Egiptu, że serce moje pełne jest wielkiej przyjaźni dla niego.

Nadal uśmiechając się urwał i czekał, aż Re-Se-Net przełoży kapłanowi jego słowa. Gdy kupiec skończył mówić, Het-Ka-Sebek powstał i skłonił się nisko.

- A ponieważ przyjaźń, której owocem nie są czyny, jest jedynie uprzejmą obojętnością, więc uczynię to, czego pragnie mój przyjaciel syn Bogów, władca Egiptu, a co przekazał mi twymi ustami. Jeśli młodzieniec ów, który znalazł się na dworze mego brata i odpłynął wraz z nim, jest świętokradcą, który znieważył jednego z bogów Egiptu, słusznie będzie, aby został wam zwrócony dla ukarania. Czy śmierć ma być karą?

- Tak, potężny władco.

- Cóż - Minos uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie - brat mój wyruszył na wielce niebezpieczną wyprawę, tak niebezpieczną, że odradzałem mu ją długo z obawy o jego życie. Lękam się, że nigdy nie ujrzą go już moje oczy. Lecz nie mogłem użyć mej woli królewskiej, by go powstrzymać, gdyż zapragnął, aby udziałem jego stał się czyn wielki i bohaterski, godny krwi płynącej w jego żyłach. Z bólem i troską myślę jednak o jego losie, jego i całej załogi, wśród której znajduje się także mój ukochany bratanek Perilawos. Przekaż panu twemu wieść, jak znalazłeś mnie pogrążonego w wielkim smutku. Gdyż przeczuwałem, że runą odłamane dwie piękne gałęzie rodu Minosa i zejną do krainy wiekuistych mroków, skąd nie ma powrotu. A jeśli tak się stanie, niewątpliwie ów młodzieniec świętokradca pójdzie tam za nimi, gdyż, choć niczego bardziej bym nie pragnął, nie wierzę, aby przekroczywszy krańce świata, ktokolwiek z nich mógł powrócić.

Zamilkł. Re-Se-Net przyciszonym głosem wykladał jego słowa kapłanowi, który odparł coś

żywo.

- Panie i królu, najczcigodniejszy Het-Ka-Sebek mówi, że jest pragnieniem świętego kolegium kapłanów Boga, a także życzeniem pana mego, Syna Słońca, Władcy Górnego i Dolnego Egiptu, aby młodzieniec ów stanął żywy przed obliczem Boga, jeśli będzie to zgodne także i z twą wolą.

- Żywy?

Minos uśmiechnął się lekko, później odwrócił głowę i skinął na stojących z dala dostojników, którzy zbliżyli się pospiesznie i zatrzymali na kilka kroków przed nim z nisko pochylonymi głowami.

- Powiedz mi, Skamoniosie, gdyż twoją powinnością było znać czyny i myśli ludzi otaczających mego brata, boskiego Widwojosa, co wiesz o młodzieńcu, którego czcigodni Egipcjanie tu obecni opisali jako mającego niezwykle jasne włosy, a który odpłynął wraz z nim na pokładzie Angelosa?

- Panie mój i władco, twój boski brat przywiózł go tu po swej ostatniej wyprawie morskiej, wraz z drugim barbarzyńcą. Obaj zostali pojmani, gdy zatopiono ich rozbójniczy okręt. Nie zostali oni straceni, gdyż traf chciał, że uratowali życie jego syna i księżę raczył obdarować ich wolnością! wielkim zaufaniem. Tak wielkim, że zapewne ów starszy barbarzyńca poprowadzi okręt ku...

- Nie pytam cię o to, co uczyni ten czy ów barbarzyńca.

Mów, czy masz jakie inne wieści o owym młodzieńcu?

- Tak, panie mój - odparł pospiesznie dostojnik. - Jest on synem rybaka trojańskiego, tak o sobie powiada. Gdy wypłynął na połów samotnie, burza porwała go i wyłowiony przez przyplływający okręt fenicki dostał się do Egiptu, skąd zbiegł, gdy rozbójnicy morscy napadli na jedną z nadbrzeżnych wiosek, w której był uwięziony. Przedtem, jak powiadał, przeżył wiele przygód, był żywcem pogrzebany w grobowcu i zabił jakiegoś potwora, czczonego tam jako...

Minos odprawił go ruchem ręki.

- A więc pochodzi on z Troi - rzekł niemal wesoło i uśmiechnął się ponownie. Później zwrócił się ku obu Egipcjanom: - Ponieważ, jak rzekłem, serce moje pełne jest miłości dla pana Egiptu, którego w myślach pełnych serdeczności nazywam bratem moim czcigodnym, pošlę dziś jeszcze okręt do Aten z tajnym pismem skierowanym do króla tego miasta, aby oddał dowódcy okrętu owego chłopca, żywego. Czy będziesz tu czekał na jego powrót, szlachetny kapłanie, czy też pragniesz udać się do Aten, aby wypełnić swe zadanie?

- Jeśli obdarzasz mnie tak wielką łaską swoją, królu, zezwól mi, błagam, abym mógł udać się tam za nim i w powrotnej podróży strzec więźnia wraz ze sługami obecnego tu Re-Se-Neta, który mi ich użyczy.

Minos skinął głową na znak, że zezwala mu na to i dodał po pewnym namyśle:

- Pragnę, abyś nikomu nie zdradził celu twej podróży, a jedynie czekał w ukryciu, póki król Aten nie wykona mego rozkazu. Nie pragnę, aby mój bogom podobny brat księżę Widwojos sądził, że pragnę choćby w najmniejszej mierze utrudnić mu wyprawę, pozbawiając go jednego z członków załogi. Król Aten ma rzecz tę tak przeprowadzić, aby zniknięcie owego chłopca przypisane było przyczynie, z którą nie mógłbym mieć nic wspólnego. Okręt, którym odpłyniesz, zawiezie ode mnie pismo skierowane do księcia Widwojosa, mego brata, które odda mu kapitan. Odczyta z niego, jak bardzo go miłuję i jak pragnę ułatwić mu wszelkie jego poczynania, póki nie opuści rozległych granic mego morskiego królestwa - urwał na chwilę - a opuści je dopiero wówczas, gdy z Jolkos skieruje się ku Troi. Gdybyś dla jakichkolwiek przyczyn nie mógł przeprowadzić swego zamiaru w Atenach napotkawszy przeciwny wiatr lub nawałnicę, która nie zezwoli ci przybić na czas do przystani, lub też z woli bogów, którzy często działają wbrew naszym pragnieniom, słowem, gdybyś przybył do

Aten już po odpłynięciu mego boskiego brata do Jolkos, nakaż, aby okręt skierował się wprost do Troi. Jest to znacznie dłuższa podróż, lecz władca owego miasta przyjmie cię uprzejmie. Uprzedzę go o możliwości twego przybycia. Wie on już o tym, że boski Widwojos zawita tam w drodze na północ i zapewne zechce przyjąć go okazale. A że Troja jest wielce nam przyjazna i król jej pojmuję, że cały handel jego miasta zależy od naszej dobrej woli i zgody, gdyż na nasze skinienie ani jeden z jego okrętów nie przemknąłby się z towarami na południe, tak jak żaden inny okręt bez naszej zgody nie mógłby zawitać z południa do Troi, więc uczyni wszystko, o co go zechcę prosić. Ów chłopiec jest zapewne jego poddanym, synem prostego rybaka. Bądź więc dobrej myśli, szlachetny kapłanie. Powrócisz do ojczystej krainy dobrze wypełniwszy swe zadanie. A zechciejcie obaj, ty, i ty, czcigodny Re-Se-Necie który jesteś naszym gościem, zapewnić Pana Waszego a brata mego, władcę Egiptu, o serdeczności mej i przywiązaniu, które oby były wystawione na większe próby niżli ta drobnostka.

Zamilkł i skinął im przyjaźnie głową. Powstali i skłonili mu się głęboko aż ku ziemi, po czym zrobiwszy kilka kroków tyłem, skłonili się raz jeszcze i odwróciwszy odeszli ku pałacowi.

Król przymknął oczy. W gałęziach, wysoko nad jego głową, niewidzialny ptak ćwierkał głośno. Z sąsiedniego drzewa nadbiegła świergotliwa odpowiedź.

Minos otworzył oczy i skinął na stojących.

- Lektyka - rzekł do jednego z nich. A drugiemu przyciszonym głosem, patrząc za oddalającym się szybko człowiekiem, rozkazał: - Stawisz się u mnie wraz z zaufanym pisarzem. Napisze on pismo do króla Aten. A gdy pismo to będzie gotowe, powiesz mu, że jeśli jakiegokolwiek wieści o jego treści przedostaną się do pałacu, zginie w okrutnych męczarniach.

- A może, nie uprzedzając go, zabić bezzwłocznie tego człowieka, panie mój?

Minos zmarszczył brwi.

- Czyżbyś doprawdy nie miał pośród twych ludzi nikogo, komu król Krety może zaufać? Ty, który jesteś okiem mych oczu i uchem mych uszu na całym obszarze królestwa?

- Mam takich ludzi, panie mój. Jakże inaczej mógłbym wypełniać me obowiązki? Lecz umarłym ufam najbardziej. Więc jeśli pismo to zawierać ma wielką tajemnicę...

Król potrząsnął głową.

- Kapłan ów pragnie zabrać do Egiptu białowłosego młodzieńca, znajdującego się na pokładzie okrętu mego brata. Pragnę, aby król Aten dopomógł mu w tym i aby rzecz nie nabrała rozgłosu, to wszystko. Nie chcę, aby w Knossos ponownie zaczęto mówić o tej wyprawie. Odpłynęli i niechaj ludzie z wolna poczną zapominać. Każda nowa wieść pobudzi domysły. Czy pojmujesz już?

- Tak, panie mój... - Dostojnik chciał dodać coś jeszcze, lecz zawahał się.

- Cóż chciałeś rzec, Skamoniosie? - zapytał król unosząc głowę i przypatrując mu się uważnie.

- Pragnąłem jedynie, panie mój, zapytać cię, czy nie sądzisz w boskiej mądrości twojej, że należałoby sprawdzić, czy pismo, które wysłałeś do króla Troi, dotarło do niego, a także, czy uczyni on wszystko, czego sobie życzyłeś. Gdyż jeśli boski Widwojos odpłynie bezpiecznie z Troi, wówczas zniknie w nieznanym krainach i będzie żeglował po wodach, do których moc twoja nie sięga, co oznacza, że... - Zamilkł i pochylił głowę czekając odpowiedzi władcy.

- Tak, ja także rozważałem to - odparł Minos. - Sprawa ta jest tak wielkiej wagi, że nie można powierzyć jej przypadkowi. Okręt, którym wysłaliśmy tajemne nasze życzenia królowi Troi, mógł dla stu przyczyn nie dotrzeć do miejsca przeznaczenia. Gdyby się tak stało, władca trojański przyjąłby boskiego Widwojosa z czcią i przyjaźnią należną księciu Krety. Zaopatrzyłby go we wszystko, czego

żeglarzom mogłoby brakować, i odprawił ich po królewsku licząc na to, że zaskarbi sobie tym swoją wdzięczność. Pojmujesz zapewne, że nie może to nastąpić.

- Tak, panie mój.

- Otóż, według moich obliczeń, Widwojos po wypróbowaniu okrętu w drodze do Aten zatrzyma się tam na przeciąg dni kilku, a później będzie również odpoczywał przez pewien czas w Jolkos, gdyż musi oszczędzać sił załogi płynąc nadal po wodach, które są mu dobrze znane i gdzie znajduje pożywienie i możliwość dokonania napraw okrętu. Z Jolkos popłynie do Troi i zapewne postój jego w przystani owego miasta będzie najdłuższy, gdyż od chwili wypłynięcia stamtąd zdany będzie już tylko na swe siły.

- Tak, panie mój. Lecz...

Minos uniósł rękę i stojący przed nim człowiek zamilkł.

- Słuchaj mnie uważnie, Skamoniosie. Król trojański, jeśli otrzymał już moje tajemne pismo, a nie pragnie się narazić na nienawiść Krety, zarządzi igrzyska na cześć mego brata i jego wyprawy, zaprosi go na dworskie łowy i wyda wiele uczt na jego cześć. Jest to zwykła rzecz i nie powinna wzbudzić podejrzeń Widwojosa. I wówczas właśnie król Troi musi dokonać tego, czego życzę sobie w moim piśmie: sprawić, aby podczas łowów brat mój i jego syn zostali rozdarci przez dzikie zwierzęta lub zginęli w inny sposób, w każdym bądź razie tak, aby krew ich nie mogła paść na stopnie tronu Krety. Wówczas ty, gdy wieść ta dotrze wreszcie do Knossos, spowodujesz pogłoski, które ogarną całą wyspę: będą one mówiły o tym, jak to Widwojos obraził bogów owej krainy i został za to ukarany, bądź też, że wcale nie pragnął odpłynąć po bursztyn, a jedynie burzyć podległe nam ludy przeciw naszemu panowaniu, aby zagarnąć przy pomocy zbuntowanych lenników tron. A Wielka Matka, która strzeże Krety, wysłała panterę czy dziką, który rozdarł go wraz z jego dziedzicem, gdyż brzydzi się ona przeniewiercami. Słowem: spowodujesz pogłoski rzucające cień na jego pamięć. Lud chętnie wierzy podobnym wieściom o możliwych tego świata.

- Tak, panie mój.

- Niepokoi mnie tylko jedno: otóż król Troi może zabrać się niezręcznie do dzieła lub też może przerazić go myśl o zabójstwie księcia kreteńskiego, a wówczas wszystko mogłoby potoczyć się nieco inaczej, niż tego pragnę. Muszę mieć całkowitą pewność, Skamoniosie.

- Tak, panie mój. Czy pragniesz, abym udał się tam?

- Rozważałem to. Lecz jesteś człowiekiem tak znacznym, że nieobecność twoja tu, a obecność tam będą świadectwem przeciwko mnie, jeśli powstaną domysły. Rzecz ta musi odbyć się w zupełnej tajemnicy.

- Wiem, panie mój. Odpłynę dziś jeszcze i z ukrycia będę kierował ręką i myślami owego barbarzyńskiego króla. Pragnę upewnić cię, że boski Widwojos, choćby udało mu się przedrzeć przez wszystkie zastawione w Troi pułapki, nigdy nie powróci do Knossos.

- Jakże możesz o tym wiedzieć?

- Gdyż mam wśród załogi Angelosa swego człowieka.

I zgodnie z twą świętą wolą ma on nakazane, aby, jeśli wyprawa znajdzie się poza granicą poznanego świata, dokona dzieła i będzie sposobila się do powrotu, zabił boskiego Widwojosa i jego syna, księcia Perilawosa. Użyje do tego bądź broni, bądź trucizny, w którą go zaopatrzyłem.

- Czemuż nie rzekłeś mi o tym słowa, gdy okręt odpływał stąd?

- Gdyż do ostatniej chwili nie wiedziałem, czy uda mu się znaleźć na pokładzie. Wielu było chętnych i twój boski brat mógł go nie wybrać.

Minos skinął głową i przymknął oczy na chwilę. Później otworzył je i spojrzał zimnym obojętnym wzrokiem na stojącego przed nim dostojnika, który opuściwszy głowę wpatrywał się w czubki złotych sandałów.

- Dopilnuj, aby ów kapłan egipski otrzymał pismo z moją pieczęcią dla króla Aten i okręt, którym dziś jeszcze zapewne odpłynie. Czy to nie zdumiewające, że ów białowłosy chłopiec będzie jedynym człowiekiem, który ocaleje z całej załogi okrętu?

- Tak, panie mój. Lecz znając nieco Egipcjan sędzę, że będzie on tego żałował, gdyż czeka go zapewne los stokroć straszliwszy niż zwykła śmierć od strzały, fal morskich czy miecza.

- Masz słuszość... - Minos uśmiechnął się do niego uprzejmie i niemal serdecznie. - Odejdź już, mój wierny Skamoniosie, gdyż zbliża się lektyka. Wierzę, że i ty dziś jeszcze wyruszysz w podróż.

- Tak, panie mój. Lecz nocą i nie z Amnizos. Mam okręt, który zawsze czeka w jednej z małych przystani północnego wybrzeża.

- Czyń, jak zechcesz, lecz pamiętaj, że oczekuję cię po wykonaniu twej powinności.

- Panie mój, pragnę służyć ci i oddać życie za ciebie, jeśli zajdzie potrzeba!

Minos uniósł lekko rękę i pożegnał go bez słowa, Spoglądał długo za oddalającym się. Ów człowiek także musi zginąć, gdy los Widwojosa i jego syna rozstrzygnie się w dalekiej Troi.

Gdyż, choć Skamonios był głową jego szpiegów i człowiekiem gotowym wykonać każdą, najstraszliwszą zbrodnię na rozkaz władcy, Minos nienawidził go skrycie.

Lektyka zbliżyła się i stanęła przed nim. Król uśmiechnął się lekko i usiadł położywszy dłonie na poręczach krzesła, czterech rosnących czarnych niewolników ujęło je ostrożnie za nogi i przeniosło wprost na pomost otwartej lektyki. Dowódca otaczającego ją oddziału żołnierzy wyprostował się i ruszył wybijając miękko takt stopami. Lektyka drgnęła i uniosła się.

„Tak być musi - myślał król, - Winni zginąć w jak najkrótszym czasie wszyscy ci, którzy będą wiedzieli, jak do tego doszło.”

A spośród nich Skamonios wiedział najwięcej.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Czy po mnie przychodzisz, zjawo?!

Sądziło się, że spędzą noc w Atenach, lecz gdy późnym popołudniem wzgórze Attyki zarysowały się wyraźnie przed nimi, uderzył mocny wiatr przeciwny, więc za radą sternika cofnęli się ku Velve, gdzie na bezludnym wybrzeżu wyciągnęli okręt na brzeg w świetle dogasającego dnia.

Rozpalono ogień i załoga zabrała się do przygotowywania wieczerzy.

W mroku, siedząc na rzuconych na ziemię skórkach, boski Widwojos rozmyślał, patrząc na poruszające się w blasku ognia postacie ludzkie. Dalej był opadający ku wodzie brzeg, szum fal i ostatnie przebliski światła na ciemniejącym widnokręgu.

Z wolna książkę odwrócił głowę i rozejrzał się. Usłyszał głośny śmiech i sam uśmiechnął się cicho. Wielka zmiana zaszła w jego synu. Stał na skraju kręgu blasku rzucanego przez ognisko i rozmawiał o czymś z Białowłosem i trzecim młodzieńcem, starszym niż oni obaj, który był jednym z załogi.

Widząc, że ojciec spogląda ku nim, Perilawos zawołał:

- Orneus powiada, że skoro Białowłosem zabił w Egipcie tak straszliwą bestię zwykłym nożem, który ma na szyi, wyprawa nasza zaiste płynie pod szczęśliwą gwiazdą, gdyż mając miecz, łuk i włócznię zabije zapewne wszystkie potwory, jakie mamy napotkać, a my odrzuciwszy zbyteczny oręż będziemy mogli zająć się zbieraniem bursztynu!

Widwojos uśmiechnął się raz jeszcze, skinął głową i znów spojrział na morze. Jakże piękna była młodość, dla której żadne niebezpieczeństwo nie było prawdziwe, póki nie zetknęła się z nim oko w oko.

On sam lękał się. Nie swojej śmierci, a zguby, która czaiła się w mroku i godziła w jego syna. Gdyż wiedział, że brat jego jest mądrym, roztropnym i niegodziwym człowiekiem.

Cień jakiś pojawił się przy nim i cicho trzasnęła pęknięta gałązka. Bogom podobny Widwojos drgnął.

Przed nim stał wysoki młody żeglarz trzymając w jednej ręce kubek i dzban z winem, a w drugiej małą misę wypełnioną plackami i miodem pszczół kreteńskich, którego kilka pithosów wiozł okręt.

- Panie mój, oto wieczerza! - Pochylił się i położył misę przed księciem, a później przełożył kubek do drugiej ręki i wyswobodził trzymany dwoma palcami za ucho dzban. Nalał ostrożnie i z głębokim pokłonem podał kubek księciu. - Czy pragniesz czegoś jeszcze, boski potomku Minosa?

- Nie... - Widwojos dotknął ustami krawędzi kubka. - Jak cię zwą?

- Kamon, panie mój.

- A więc, Kamonie, przywołaj tu dzielnego Terteusa, gdyż nie widzę go w pobliżu.

- Jest on na brzegu morza, panie mój. - Ostrożnie postawił dzban z dala od ognia i odbiegł w

mrok.

Widwojos sięgnął do misy i odgryzł kawałek placka.

Poczuł nagły głód. Wypił jeszcze kilka łyków wina.

- Jestem, boski książę! - odezwał się głos w ciemności, z której wynurzyła się rosła znajoma sylwetka. Zatrzymał się na skraju blasku i skłonił się.

- Nie widziałem cię od chwili, gdy przybiliśmy do brzegu. Czyżbyś nie jadł wieczerzy?

- Będę ją jadł za twym pozwoleniem, boski Widwojosie. - Terteus uśmiechnął się w ciemności. - Chciałem dokładnie obejrzeć okręt, póki nie zapadnie zupełna noc. Ale kończyłem oględziny przy blasku płonącej gałęzi.

- I jaki jest sąd twój?

- Mogę rzec, że jedna przynajmniej troska spadła mi z ramion. Lękałem się, że jest zbyt ciężki i fale mogły uderzeniami rozluźnić wiązania kadłuba. Lękałem się także... - ściszył głos i mimowolnie zbliżył się do ogniska - że posiada on ukrytą skazę, nie dającą się dostrzec w pierwszej chwili, a mogącą stać się jego grobem, gdy nadejdzie większa fala. Po tym, co usłyszałem od ciebie, boski książę, rozmyślałem nad tym już w Amnizos. Byłby to piękny sposób wyprawienia nas do Krainy Mroku, a nikt nie mógłby rzec, że zawinił tu ktoś, prócz bogów. Mieliśmy dotąd jako towarzyszkę wysoką falę, która najpierw gnała nas, a dziś była nam przeciwna, i rzec mogę, że jeśli pojmuje cokolwiek w tych sprawach, cieśle kreteńscy dokonali pięknego dzieła. Wydaje mi się także, że jest on najszybszym z okrętów, jakie przemierzają morza. A to, boski książę, może nam być wielce przydatne.

Bogom podobny Widwojos skinął głową.

- Siądź tu - rzekł z pewnym wahaniem, które natychmiast opanował. - Jutro dobijemy do Aten i chciałbym podzielić się moimi myślami z tobą.

- Nie, boski książę... - Terteus przybliżył się tak, że stał teraz obok niego, pochylony nisko nad jego uchem. Z mroku wynurzył się jeden z żeglarzy, dorzucił do ognia naręcze gałęzi i cofnął się w cień. - Byłaby to nadmierna poufałość, która nie przystoi ani mnie, ani tobie. Jestem jedynie, za twym przyzwoleniem, zastępującym cię przywódcą tego okrętu, a ty jesteś synem bogów i dowódcą wyprawy. Jeśli wydaję rozkazy, są one twymi rozkazami. Nie jestem przecież Kreteńczykiem i niejednego może mierzić myśl, że przewodzi nad nimi barbarzyńca. Gdybyś dopuścił mnie do zbyt wielkiej poufałości, mogłoby się to kiedyś zemścić na nas wszystkich.

- Sądziś więc, że i syn mój winien trzymać się z dala od tych młodzieńców?

- Nie, boski książę, gdyż przystoi młodemu królewiczowi przyjaźnić się z towarzyszami broni lub wyprawy takiej jak ta. Lecz nie tobie. Zechciej wybaczyć mi śmiałość, synu Minosa, i wierz mi, że jedynie troska o nasze losy ośmiela mnie do mówienia tego, co czuję.

- Słusznie czynisz... - Widwojos uniósł głowę i uśmiechnął się ku niemu. - Pragnąłbym, abyśmy wypłynęli już na to nieznane morze! - rzekł nagle gorąco. - Wiedziałbym, że niebezpieczeństwa, którym mamy stawić czoła, pojawią się przede mną, a nie będą czaić się w mroku mych myśli, pełnych niepokoju i przewidywania, zdrady i podstępu.

Terteus potrząsnął głową. Przez chwilę spoglądał w ogień.

- Rozmyślałem nad tym, boski książę, i rozmyślam nadal. Czy wierzysz, że twój bogom podobny brat... - Urwał, później dokończył cicho: - Załoga nasza liczy stu ludzi. Wybraliśmy ich spośród wielu. Nie są to synowie wielkich rodów kreteńskich, jacy winni towarzyszyć księciu krwi królewskiej, lecz pasterze, młodzi żeglarze i synowie drobnych kupców, których wybraliśmy, gdyż są

krzypcy, umieją władać bronią i wiosłem, a niemal wszyscy odbyli morskie podróże. Cóż wiemy o nich więcej?

- Nic - odparł bogom podobny Widwojos. - Ja nie wiem o nich nic i ty także nie wiesz. Lecz skoro minie granice, do których sięga władza mego bogom podobnego brata, wówczas ich los i nasz staną się jednym losem i wspólnie będziemy musieli stawić czoła nieznanym niebezpieczeństwom. Komuż będą wierni wówczas: mnie czy dalekiemu królowi?

- Długie są ręce królów - odparł Terteus. - Obym się mylił, boski książę. Lecz, jak wiesz, wierzę, że los człowieka nakreślony jest raz jedynie i nic go później zmienić nie może. Jeśli takie jest nasze przeznaczenie, ujrzymy wnuków naszych dorosłymi młodzieńcami. Jeśli nie... - Rozłożył ręce i uśmiechnął się.

- Wielka Matko! Jakże głodny jestem - zawołał nagle Perilawos. Lekko przeskoczył ponad ogniskiem i stanął przed ojcem. W dłoni trzymał oszczep podobny do tego, jaki miał w ręce Terteus, i krótki miecz u boku.

- Czemu wyskakujesz w ciemności, uzbrojony jak do bitwy? - zapytał go ojciec.

- Jego pytaj... - Perilawos ostrzem oszczepu wskazał Terteusa. - Rzekł całej załodze, że od chwili wyruszenia wyprawy do dnia powrotu zawsze, gdy dobijamy do brzegu, mamy mieć oręż w zasięgu ręki. Rzekł, że taka jest twoja wola.

- Panie... - szepnął zmieszany Terteus.

- Słusznie rzekł! - Widwojos skinął głową. - Taka jest moja wola i tak nakazałem mu rzec wam. Lecz że myśli me były zaprzątnięte czym innym, ja sam pozostawiłem miecz mój i hełm na okręcie. Idź i przynieś mi go wraz z tarczą.

- Dzięki ci, boski książę! - szepnął Terteus.

Książę uniósł z ziemi misę pełną placków i podał mu ją.

Noc minęła im spokojnie i przed świtem zepchnęli Angelosa na wodę.

Straż czuwająca na wysokim przylądku u wejścia do cieśniny uprzedziła zapewne mieszkańców miasta, że nadpływa okręt z wizerunkiem Wielkiego Byka, gdyż w przystani czekał wielki, milczący tłum, a przed nim na pustej przestrzeni rosły młodzieniec w krótkiej tunice i złocistym płaszczu spiętym złotą zapinką stał czekając chwili, gdy dziób Angelosa dotknie piasku.

Wówczas ruszył wyprostowany i wyminawszy kilka wyciągniętych na brzeg okrętów kupieckich, zatrzymał się.

Gdy boski Widwojos znalazł się na ziemi, młodzieniec zbliżył się i złożył mu głęboki ukłon.

- Panie mój i władco, potomku Świętego Byka, racz wybaczyć, że nie wita cię król tego miasta, ojciec mój Erechteus, lecz ja, który jestem jego synem. Ojciec mój leży od wielu dni w łożu, rzucony na nie ciężką niemocą.

Widwojos nie poruszył się.

- Jak zwą cię, synu króla Aten?

- Imię moje jest Tezeusz, panie mój.

- Przekaż więc, Tezeuszu, ojcu swemu życzenia nasze, aby bogowie tego miasta przywrócili mu zdrowie - rzekł nagle kreteński książę z niespodziewaną uprzejmością.

Młody królewicz drgnął.

- Dzięki ci, panie - rzekł zdumiony, zamilkł na chwilę i szybko podjął: - Ojciec mój pyta cię, boski książę, czy raczysz zatrzymać się w domu jego, a załoga twoja w izbach takich, jakie według dostojęstwa ich będą im przeznaczone?

- Tak, mój młody królewiczu... - Bogom podobny Widwojos uśmiechnął się lekko, widząc, jakie zdumienie wywierają jego słowa. Żaden dostojnik kreteński nie przemawiał tak łagodnie do żadnego z władców podbitych ludów. - Podziękuj ojcu twemu za gościnę i powiedz, że przyjmujemy ją. Zatrzymamy się tu przez dni kilka.

Tezeusz odwrócił się i uniósł rękę.

Tłum rozstał się i ukazało się kilka zaprzężonych w białe konie rydwanów, które zbliżyły się z klekotem kół podskakujących na wystających z piasku wybrzeża kamieniach.

- Czy zechcesz, panie mój, odjechać teraz do domu ojca mego? - Wskazał jedno z kilku wzniesień widocznych w oddali. Na jednym z nich Białowłoso, który poszedł oczyma za jego ruchem, dostrzegł rozległe zabudowania o ścianach malowanych na czerwono i niebiesko. Lecz odległość była wielka i blask słońca bił z nieba na całą okolicę, kładąc się na niej jasną mgiełką. Widwojos milcząc skinął głową.

Białowłoso, Terteus i czterej jeszcze wioślarze pozostali przy okręcie, gdyż taka ugoda zapadła między księciem a młodym rozbójnikiem morskim, nim okręt zawinął do portu.

Terteus pewien był, że nic tu nie może zagrażać życiu królewskiego brata i jego syna, z czym Widwojos zgodził się łatwo, choćby dlatego, że zbyt długi lęk uczynił go w końcu niemal obojętnym, i zbudził się dziś pogodniejszy. Terteus sądził natomiast, że jeśli gdzie może czaić się niebezpieczeństwo, to w próbie uszkodzenia okrętu lub w innym przemyślnym rodzaju zdrady połączonym z przedostaniem się na pokład czegoś, co może okazać się zgubne dla wyprawy. Czego? Tego, jak sam przyznawał, nie wiedział. Dlatego ustanowiono nieustanną straż na wybrzeżu i na okręcie. Tych czterech ludzi miało zostać rankiem wymienionych przez czterech innych. Terteus zaś z Białowłosym mieli rozejrzeć się na przystani. Nie byli Kreteńczykami i łatwiej mogli usłyszeć coś, co mogłoby okazać się rzeczą pewnej wagi.

Rozkazawszy czterem wioślarzom, którzy w hełmach, z tarczami, mieczami i mając włócznie w rękę, bardziej przypominali ciężkozbrojną piechotę kreteńską niż żeglarzy, aby nie oddalili się od okrętu i nie dopuścili, aby ktokolwiek nieznanym wszedł na pokład, Terteus skinął na Białowłosego i ruszyli obaj wolno wzdłuż nadbrzeża.

Tłum ciekawych, który zebrał się na wieść o zbliżaniu książęcego okrętu, rozszedł się już, jedynie tu i ówdzie małe grupki gapiów przyglądały się w oddaleniu czterem wojownikom przechadzającym się nie opodal wyciągniętego na brzeg i podpartego prostymi balami okrętu. Kilku spojrzało także za Terteusem i Białowłosym. Wyglądali obaj wspaniale w wysokich lśniących zakończonych purpurowymi kitami hełmach. Obaj odziani byli w krótkie białe tuniki i okrywające pierś lekkie pancerze. Szli postukując drzewcem oszczepów w kamienie i rozmawiając przyciszonymi głosami, jak gdyby czuli na sobie obce spojrzenia.

- Byłem tu raz z ojcem jako chłopiec - rzekł Terteus. - Wymienialiśmy niewolników na wino i oliwę, gdyż na naszej wyspie jedynie trawa trzyma się w szczelinach skał i parę krzewów kolczastych.

- I nie tęskno wam za cienistymi gajami i łąkami, gdzie mogłyby się pasać wasze konie? - zapytał Białowłoso ze zdumieniem.

- Nie mamy koni, a jedynie osły do przenoszenia ciężarów z przystani do naszej siedziby, która nie jest wsią ani miastem. Być może przesadziłem nieco, gdyż mamy także kilka krów i muszą się one gdzieś paść, więc pewnie w głębi wyspy jest między skałami tu i ówdzie jakaś kamienista łąka. A czy tęsknimy do łąk i gajów? Gdybyśmy mieli rozległe pastwiska i wielkie gaje, nie byłibyśmy

wolni, gdyż okręty Minosa od dawna zatknęłyby na naszej wyspie podwójną siekierę i płacilibyśmy daninę z owych łąk i gajów, utraciwszy wolność, która jest cenniejsza niżli wszystkie te bogactwa i radości życia. Czy widziałeś tego młodego księcia, gdy stał z pochyloną głową na czele swego ludu, korząc się przed Kreteńczykami? Czy sądzisz, że jest on szczęśliwy, choć zapewne równina ta, rozciągająca się aż do owych gór, które widzisz w oddali, zasobna musi być w gaje, potoki i pastwiska? Pierwszy rzuciłby się na nas, a wszyscy za nim, i starliby z powierzchni ziemi nas i nasz okręt, gdyby nie lęk przed straszliwym imieniem Kreta, który wprawia w drżenie ich kolana! A przecież... - Urwał i roześmiał się złym, suchym śmiechem. - Gdyby tylko umieli nie lękać się - westchnął - i zjednoczyli swe siły ci wszyscy mali królowie z tysiąca miast, dzięki którym Knossos kwitnie i włada! Byłeś tam wraz ze mną i wiesz: pomimo wszystkich swych okrętów Kreta runęłaby jak spróchniały pień! Lecz musieliby...

Urwał i zatrzymał się nagle, wpatrując się w dziób leżącego na nadbrzeżu okrętu. Na dziobie tym widać było wyrzeźbioną dawno i zapewne przeniesioną z innego okrętu głowę spoglądającego gniewnie brodatego starca, pomalowaną na barwę ciemnej purpury.

Bez słowa Terteus zrobił kilka szybkich kroków i zatrzymał się ponownie, wpatrując w rzeźbę. Obok okrętu płonął pokrzywiony miedziany trójnóg, na którym leżały krótko ucięte grube szczapy drewna, a wyżej stał wielki garnek dymiącej smoły, w którym dwaj pracujący przy okręcie ludzie zanurzali owinięte szmatami pęki różeg i malowali nimi deski kadłuba. Obok nich stał wysoki barczysty człowiek w płóciennym kaftanie, bosi, i doglądał pracy rzucając od czasu do czasu jakieś słowo. Na widok Terteusa i Białowłosego skierował ku nim spojrzenie i rzekł:

- Cóż was zajęło tak, szlachetni wojownicy? Stary to już okręt i zaczął przeciekać nieco, więc naprawiamy go przed odpłynięciem.

Mimo że głos jego brzmiał wesoło, siwe oczy patrzyły uważnie spod gęstych brwi. Z wolna zapadał mrok i ociemnione hełmami oblicza obu stojących plecami ku zachodowi ludzi nie mogły mu się rysować wyraźnie.

- Inaonie! - rzekł Terteus ze śmiechem. - Czyżbyś mnie nie poznawał, choć rozstaliśmy się dopiero przed porą wzburzonego morza?

Stary człowiek drgnął, zawahał się, a później podszedł ostrożnie z ręką na rękojeści krótkiego miecza zwisającego u boku na starym wytartym rzemieniu.

Zbliżył się, zajrzał w oblicze śmiejącego się nadal Terteusa i cofnął się gwałtownie.

- Bogowie! - szepnął. - Terteus powrócił z Krainy Cieni! Czy po mnie przychodzisz, zjawo mego bratanka?

- Nie, stryju. I nie powracam z Krainy Cieni, lecz żyję, jak może zaświadczyć ci stojący tu przy mnie ów białowłosy młodzieniec.

- Żyjesz? - Stary człowiek potrząsnął głową, a później nagle wyciągnął ramiona, objął Terteusa i z niespodziewaną siłą podźwignął go w górę, a później postawił na ziemi. - Żyjesz! Oto nowina, którą zawiozę twemu ojcu, który stos ci żałobny wznosił na brzegu wyspy ojczystej i kazał usypać grób, w którym złożył oręż twój! Żyjesz! Więc nie pojмали cię Kreteńczycy? Ojciec twój sam rzekł mi, że widział z dala, jak okręt twój, uchwycony w kleszcze trzech kreteńskich, dopadnięty został przez nie i zatopiony! Jak ocalałeś?

- Książę Widwojos, brat Minosa, który dowodził owymi okrętami, darował mi życie i wolność, gdy pojmał mnie rzuciwszy sieć z góry na nasz pokład.

Stary człowiek spoważniał nagle i cofnął się o krok, ponownie chwytając za rękojeść miecza, jak

gdyby dla obrony.

- A więc jesteś zjawą! Precz ode mnie!

- Nie jestem, stryju. Wiem, co sądzisz. Ja także nie miałem żadnej nadziei, szczęśliwy traf chciał jednak, że ów tu młodzieniec uratował życie syna książęcego, a że z kolei ja uratowałem jego życie, więc... - Rozłożył ręce. - Długo by rozpowiadać można o tym, stryju. Oto jestem tu, żywy i zdrów, a przybyłem wraz z owym księciem i jego wyprawą. A jeśli chcesz wiedzieć więcej, dowodzę jego okrętem!

- Dowodzisz okrętem brata Minosa! A więc przeszedłeś na służbę Krety?! Ty, syn mego brata?...

Mimowolnie stary człowiek ściszył głos, przypominając sobie, gdzie się znajduje. W pobliżu przechodzili ludzie, a w kramach i winiarniach otaczających nadbrzeże rozbrzły już kaganki oliwne i gliniane lampy.

- Nie, stryju. Lecz jeśli pragniesz usłyszeć rzecz całą, pójdź z nami.

Gdy znaleźli winiarnię, w której dzięki jeszcze wczesnej porze niewielu było ludzi, zasiedli przy małym stole w kącie otoczonym dwoma ławami, a usłużny gospodarz, który zapewne widział ich obu schodzących z książęcego okrętu, podał dzban wina, drugi z wodą i trzy kubki. Zmieszali wino, unieśli je ku ustom, wychylili z powagą, a później Terteus opowiedział Inaonowi dzieje swoje i Białowłosego aż do dnia tak osobliwego spotkania na przystani ateńskiej.

- Przybyłem tu... - odparł jego stryj ścisząc głos - pod pozorem kupna i sprzedaży jako kupiec z Troidzeny. Stąd ubogi strój mój i mej załogi. Przywiozłem kilka nie najlepszych, ale i nie najgorszych koni, sprzedałem je, a teraz pragnę nabyć pewną ilość malowanych naczyń glinianych, które Ateńczycy dość przemyślnie wyrabiają we wsi Keramejkos niedaleko stąd. Lecz nie to jest prawdziwą przyczyną mego przybycia...

Urwał i spojrzał przelotnie na Białowłosego. Terteus pojął natychmiast.

- Młodzieniec ów jest mym wiernym przyjacielem i co chcesz rzec, stryju, mów mi przy nim, jakbyśmy byli tu sami, lub nie mów wcale, gdyż ufam mu jak sobie.

- Otóż - rzekł stary żeglarz pochylając ku nim nad stołem - przybyłem, by spotkać króla Erechteusa, ojca młodego księcia, którego ujrzeście dziś na przystani. Za młodu odbyliśmy wspólnie kilka wypraw i łączyła nas przyjaźń, a choć jestem, jak twój ojciec, jedynie królem skalistej wysepki i lud mój cały pomieścić bym mógł na pięciu okrętach, jednak wierzyłem, że zechce mnie wysłuchać... - Znowu urwał i pochwili dokończył niemal szeptem: - Różne wieści krążą po krainach nadmorskich i od wyspy do wyspy. Wielu jest takich, którzy pragnęliby zrzucić jarzmo Krety. Lecz że Minos ma wszędzie swych szpiegów, milczą i kryją się z tym. I jedynie najbliższym zdradzają swe myśli. Gdyby udało się wybudować wiele okrętów, tak aby Kreteńczycy o tym nie wiedzieli, uzbroić je i uderzyć wspólnie... Cóż sądzicie, czy Minos odparłby podobne natarcie, gdyby nadeszło z morza, czego nie mógłby się spodziewać?

- Czy nie rzekłem ci dziś tego?! - Terteus spojrzał na Białowłosego, który słuchał w milczeniu z policzkami zarumienionymi winem i tym, co usłyszał.

- Rzekłeś to samo, co twój czcigodny stryj, Terteusie!

Inaon pokiwał głową. Blask nagle zgasł w jego szarych starych oczach.

- Przybyłem tu - rzekł - pełen nadziei. Lecz pewien zaufany człowiek w mieście oznajmił mi, że Erechteus, który rządzi dziś tą krainą, nie jest już owym dawnym Erechteusem, z którym przemierzyłem trzy morza aż po dymiącą świętą górę Sycylii! Stary jest, chory i pragnie jednego tylko, aby boski Minos raczył przyjąć łaskawie daninę doroczną, którą składa w pokorze, gdy okręty

pana zawijają do przystani dla załadowania czekających pithosów z winem, worów ziarna, niezliczonych dzbanów oliwy, a z nimi wybranych dziewcząt i chłopców ateńskich, aby odtąd byli niewolnikami w kreteńskich winnicach, sługami sług pana i często, jak powiadają, krwawymi ofiarami składanymi w Knossos i pomniejszych miastach wyspy w dniu święta Byka! Jakże więc przemówić mam do jego serca, skoro ono także zostało rzucone jako danina owemu roгатemu kreteńskiemu bydłęciu?

- Ów młody książę, syn jego. nie wyglądał mi na człowieka, który pragnie służyć Minosowi - mruknął Terteus. - Rzekł to, co musiał rzec, lecz bez uniżoności.

Także i lud w tym mieście nie wznosił przyjaznych okrzyków na widok kreteńskiego księcia i jego załogi.

- Mniemasz więc, że można by z nim mówić? - Inaon zastanowił się, nalał powtórnie po pół kubka wina, uważnie dolał wody i poruszywszy kolicie naczyniem, aby płyny przemieszały się, wypił. - Być może masz słuszość. Nie od siebie jedynie przybywam z poselstwem. Jest nas więcej, niżli można by przypuszczać, gdy widzi się, jak pokornie wszystkie otaczające krainy znoszą panowanie owych zniewieściałych czcicieli Byka. Żałuję wielce, że odpływasz na tę wyprawę, z której zapewne nigdy nie powrócisz, gdyż lepiej byłoby, abyś padł w walce z prawdziwym wrogiem niżli wojując z potworami północy. Lecz skoro przysiągłeś wielką przysięgą, nie godzi ci się cofnąć.

Rzeknę ojcu twemu, że widziałem cię zdrowego. Mówią, że komu usypano za życia kopiec grobowy, ten będzie żył dłużej niżli wszyscy, których poznał. Oby tak było, mój bratanku. Tak, zapewne masz słuszość. Popróbuję jutro dotrzeć do młodego Tezeusza.

Powstali wszyscy trzej. Wkrótce potem Terteus i Białowłosa spali na legowisku ze skór rzuconych na dno okrętu.

Nad równiną ateńską rozciągnęła się ciepła, cicha, gwieździsta noc. Na wysokim słupie na skraju przystani płonęło podsycane nieustannie krwawe oko strażniczego ognia, wskazującego drogę zagubionym i spóźnionym okrętom.

Lecz ani następnego ranka, ani też dzień później stary król rozbójniczej wysepki, Inaon, nie zdołał dotrzeć do młodego Tezeusza, gdyż był on zbyt zajęty goszczeniem boskiego brata króla Krety, aby znaleźć czas dla marnego kupca z Troidzeny, za jakiego podał się Inaon, by ukryć swe prawdziwe rzemiosło, którego ujawnienie musiałoby zakończyć się jego pewną śmiercią w każdej krainie pozostającej pod panowaniem Minosa.

Tegoż dnia straż graniczne przywiodły z obszaru rozległych wzgórz, otaczających z dala miasto, kilku złodziei bydła, schwytyanych w zasadzkę. Byli to ludzie dzicy, jasnowłosi i milczący. Wiedząc, jaki los ich czeka, milczeli i stali dumnie, gdy młody książę stanął przed nimi, aby się im przyjrzeć.

Nie rozkazał ich ściąć mieczem jeszcze tegoż dnia przed zachodem słońca, aby ich głowy zatknąć na granicy państwa, jak to było w zwyczaju, gdyż radosnych uroczystości połączonych z pobytem w Atenach bogom podobnego Widwojosa nie należało łączyć z przelewem krwi, jako że dusze owych rabusiów bydła mogły wałęsać się jeszcze przy ziemi, podążyć za wyprawą i przyczynić jej szkód. Tak więc rozkazał ich rzucić do głębokiego lochu, wykutego w skale pod domem królewskim, aby tam czekali swego losu.

Terteus, który szybko zaprzyjaźnił się z młodym księciem ateńskim, gdyż byli podobni sobie, zarówno usposobieniem jak i z postaci, i obaj pragnęli wielkiego losu i bohaterskich czynów, a nie długiego i gnuśnego żywota l pośród okupionych trwożą i uległością dostatków, szepnął mu podczas trzeciego dnia swego przebywania w Atenach, że pewien znajomy mu kupiec, który przybył tu

przypadkiem wraz z nimi, lecz na innym okręcie, pragnie zamienić z nim słów kilka i, być może, dobrze byłoby, gdyby przyszedł król Aten ujrzał go i odbył z nim rozmowę, przy której nie będzie zbyt wielu świadków.

Tak więc, gdy trzeciego dnia boski Widwojos wraz z synem udał się po uczcie do królewskiej sypialni, z której na czas ich odwiedzin kazał wynieść się wraz z łóżem chory Erechteus, Inaon wspinał się krętą skalistą drogą na wzgórze Akropolis ateńskiej i minawszy bramę, został zaprowadzony przed oblicze młodego księcia, który w wielkim megaronie siedział jeszcze za stołem wraz z Terteusem i towarzyszącym mu jak cień Białowłosym, rozmawiając o krainie północnej, do której zmierzała wyprawa, mająca jutro odpłynąć. Pora nie była późna i ostatnie promienie słońca jeszcze oświecały szczyty dalekich gór. Boski Widwojos odszedł wcześniej, gdyż obawiał się, że syn jego znów może popaść w chorobę morza, jeśli fala będzie wysoka. Pragnął więc, aby wyszedł na pokład wypoczęty, a nie chciał wysłać go samego wcześniej do łóża jak małe dziecko, gdyż zraniłby tym jego dumę.

W tejże chwili, gdy Inaon wkraczał do megaronu królewskiego na wzgórzu ateńskim, do odległej przystani miasta wpłynął cicho smukły pięćdziesięciowiosłowiec kreteński, który nie wiózł towarów, lecz dowodzony przez młodego oficera wysokiego rodu niewielki oddział wojska oraz kilku ludzi odzianych w szaty noszone przez poddanych faraona dalekiego Egiptu. Najznacniejszym spośród nich wydawał się młody smagły człowiek zwany Su-Ti-Mesem, sługa zaufany kupca Re-Se-Neta. On to miał wypełnić zadanie, którego wykonać nie mógł kapłan Het-Ka-Sebek, gdyż zachorzał tego samego wieczora, gdy miał wstąpić na pokład, i leżał teraz ogarnięty gorączką w domu kupca Re-Se-Neta, który czuwał nad jego słabością, czyniąc wszystko, by jej zaradzić.

Tak więc młody Su-Ti-Mes wszedł teraz do domu jednego z egipskich kupców w Atenach, by tu oczekiwać w ukryciu rozstrzygnięcia sprawy, a oficer kreteński udał się na Akropolis ateńską, by tam oddać bogom podobnemu Widwojosowi pismo od brata, boskiego Minosa, a także przekazać królowi Aten tajemny rozkaz władcy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Czyżby szczęście odebrało ci siły?

Wielki megaron opustoszał już.

- Tezeuszu - rzekł Inaon odstawivszy srebrny puchar.

- Nie czas dziś mówić o wydarzeniach, które mają nastąpić po zwycięstwie, lecz pragnąłbym wiedzieć, a także pragnęliby wiedzieć ci, z którymi jestem w zmowie sekretnej, czy, gdyby nadeszła chwila, Ateny pozostaną na uboczu lub, co gorsza, wierne przemocy, czy też uda ci się przygotować w ukryciu okręty gotowe do boju i obsadzić je młodzieńcami tego miasta, żądnymi wolności i chwały? Wiem, że ojciec twój jest człowiekiem starym i chorym, a choć znany był za młodu z męstwa, siły jego zapewne wykruszyły się, a odwaga zmalała, jak to zwykle bywa, gdy wiek i choroba pochyla plecy.

- Nie zawsze bywa to prawdą - odparł Tezeusz uśmiechnąwszy się lekko. - Gdyż nie jesteś młodszy niż mój ojciec. Jak sam powiadasz, byłeś mu towarzyszem za młodu, lecz serce twoje i dziś nie osłabło, skoro przybyłeś tu niosąc mi wieść tak groźną. Gdyż każdy z nas wie, jak wielka jest potęga Minosa, a także wiemy wszyscy, że jeśli przedsięwzięcie takie zakończy się klęską, lub jeśli Kreta dowie się zawczasu o przygotowaniach, lepiej byłoby tym, którzy wezmą w nim udział, nie rodzić się, a miastom ich lepiej byłoby, gdyby je ciernia pochłonęła, gdy Posejdon zechce nią wstrząsnąć. Albowiem żaden Minos nie znał litości dla tych, którzy odmówili mu posłuszeństwa.

- Czy taka jest twoja odpowiedź, Tezeuszu? - Stary król rozbójników wsparł się dłońmi o stół, jak gdyby pragnął dźwignąć się z ławy i odejść bezzwłocznie po usłyszeniu odpowiedzi.

- Inaonie, jesteś człowiekiem mądrym, gdyż tak nakazują ci twoje lata. Wiesz więc zapewne, że nikt nie da ci w ciągu chwil kilku odpowiedzi na pytanie, które postawiłeś, a tym bardziej ja, który nie jestem królem tej krainy, a jedynie synem królewskim. Lecz nawet gdybym był królem ziemi ateńskiej, musiałbym, nim odpowiem, zadać ci wiele jeszcze pytań: zapytałbym cię, kim są ci, z którymi jesteś w zmowie, jaka jest ich siła, jakie zamiary, czy zdolni są do zgodnego działania, gdyż często pycha i kłótnia niszczą największe zamierzenia? Zapytałbym cię także, czy nie przewidujesz, że jeden z owych królów, z którymi mówiłeś, może okazać się zdrajcą lub tchórzem i donieść Minosowi o spisku, aby zaskarbić sobie tym jego łaskę, a na nas sprowadzić nieuchronną zgubę, gdy Kreta uderzy przeważającą mocą, nim będziemy gotowi? Jak widzisz, gdy mowa jest o wielkich sprawach, mężowie, w których ręku leży los ludów, muszą wiedzieć, czy rzecz cała jest z góry skazana na stracenie...

- Zamilkł na chwilę, a później dokończył pewniejszym głosem: - Jeśli okaże się, że siły wasze dają choćby cień nadziei, wierz mi, że ludowi ateńskiemu i mnie ciąży straszliwie ta niewola i jarzmo, pod którym wolność nasza czołga się w prochu jak niewolnica. Jesteśmy dobrymi

budowniczymi okrętów, a że kraj nasz jest zasobny, moglibyśmy je zakupić lub wybudować tam, gdzie nie sięga wzrok Minosa. Sądzę, że wiele jeszcze wody upłynie, nim siły nasze będą dostatecznie wielkie, by uderzyć.

- Pamiętaj, że wszyscy rozbójnicy morscy, którzy są śmiertelnymi wrogami Krety, także przystąpią do tego dzieła. A jest ich wielu. I choć nie mogą stawić czoła flocie kreteńskiej w walce na otwartym morzu, to...

Urwał, gdyż u wejścia megaronu pojawił się sługa i szybko zbliżył do stołu.

- Książę Tezeuszu, przybył morzem dostojnik z dworu Minosa i pragnie widzieć cię na osobności, a jak rzekł, później każe zaprowadzić się do izby, gdzie przebywa brat królewski, boski Widwojos.

Tezeusz zmarszczył brwi, powiódł niepewnym wzrokiem po zgromadzonych i wyszedł za sługą.

- Nie lękaj się, stryju - rzekł Terteus. - Choć mowa jego jest ostrożna, sądzę, że książę ów wyruszy wraz z wami, gdy nadejdzie chwila.

- Oby tak się stało! - Inaon spojrział ku drzwiom, za którymi zniknął Tezeusz. - Gdyż lud ateński jest największym z ludów pod opanowaniem Krety, a flota jego, choć pozbawiona wielkich okrętów, mogących służyć w boju na otwartym morzu, jest wielka i mogłaby przewieźć tysiące wojowników, którzy pod osłoną nocy...

- Czyż nie mówiłem ci tego w Knossos!? - Terteus zwrócił się ku Białowłosemu. - Czy pamiętasz jeszcze moje słowa?

- Pamiętam... - Białowłosey skinął głową. - Terteus nieraz mówił mi, gdy mieszkaliśmy w pałacu, że miejsce to, pozbawione murów, łatwo zdobędzie ów, kto przedrze się siłą lub podstępem przez osłonę okrętów kreteńskich, przybije do brzegu gdzieś w bezludnej górskiej przystani, których wiele znajduje się na północy wyspy, a później szybkim marszem uderzy na miasto. Rzecz w tym, że nie ma sposobu ani podstępu, który mógłby zebrać wielką flotę w jednym miejscu, tak aby Minos nie dowiedział się o tym, mając swe załogi i okręty na wszystkich wyspach. Trzeba wielu dni, aby okręty z miejsc najrozmaitszych, odległych od siebie, mogły spotkać się i popłynąć razem.

Jeśli Minos dowie się o tym, połączona potęga jego wszystkich żagli skruszy każdą taką wyprawę, nim wyruszy.

- A gdyby... - Terteus zastanowił się. - A gdyby okręty owe nie musiały spotkać się przed wypłynięciem?

- Cóż chcesz rzec?

- Gdyby ruszyły one ze swych przystani wszystkie w jednym kierunku i spotkały się na morzu, nocą, z dala od Krety? Wówczas Minos, choćby mu nawet o tym doniesiono, nie zdąży ściągnąć swej floty. A nie musiałaby to być jedna wyprawa, lecz dwie, gdyż ci, którzy mieszkają na południe i na wschód od wyspy, mogliby uderzyć na jej południową stolicę Fajstos, drugie miasto królestwa. A inni uderzyliby od północy. Ci z południa, jeśli zdobędą konie, tego samego dnia będą mogli wspomóc natarcie tych, którzy uderzyli z północy, i przetrną wyspę na pół, uniemożliwiając wojskom, które by szły na pomoc, szybki ruch ku Knossos...

- Wstrzymaj się, Terteusie! - Stary rozbójnik morski uniósł rękę. - Powtórz mi raz jeszcze to, coś rzekł. Gdyż nie są to słowa, które pragnąłbym puścić mimo uszu, lecz zapamiętać dobrze.

Mówili szeptem, spoglądając na drzwi, lecz wielki megaron domu królewskiego był pusty i nikt nie zakłócił ich rozmowy.

W tym czasie Tezeusz przebył przedsionek i wszedł do izby, którą w milczeniu wskazał mu sługa

na znak, że tam wprowadził kreteńskiego dowódcę.

Stał on pośrodku pomieszczenia, rysując linie końcem sandała na kamiennej posadzce. Słyszając kroki młodego księcia, uniósł szybko głowę. Tezeusz zatrzymał się w drzwiach i pozdrowił go lekkim pokłonem.

- Tyś jest Tezeusz, syn króla tego miasta? - Zapytał Kreteńczyk wprost, nie odpowiadając na powitanie.

- Tak, panie...

- Doniesiono mi, że ojciec twój powalony został ciężką słabością i sprawujesz władzę w jego mieście. Wysłuchaj więc, co mam ci rozkazać w imieniu pana mego - wyprostował się - boskiego Minosa, potomka. Świętego Byka.

- Słucham cię, panie?

- Czy jesteśmy tu sami i nikt nas nie może usłyszeć?

Tezeusz cofnął się, rozejrzał po przedsionku, zamknął ciężkie drzwi obracające się na brązowych wrzeciadkach i zbliżył do Kreteńczyka.

- Nikt nas nie może usłyszeć.

- To dobrze. Otóż jest wola pana mego, abyś schwytał i dostarczył mu młodzieńca o jasnych włosach, zwanego Białowłosym, który przybył tu na okręcie brata pana mego, boskiego księcia Widwojosa. A masz to uczynić tak, aby nikt nie spostrzegł, że młodzieniec ów został porwany. Gdy to się stanie, ukryjesz go i dostarczysz mi żywego i zdrowego po odpłynięciu okrętu Widwojosa. Jak wiem, odpływa on jutro. Będę czekał w przystani na wieść od ciebie. To wszystko. Czy wiesz, o jakim młodzieńcu mowa?

- Wiem, panie... - Tezeusz w osłupieniu skinął głową.

- Lecz jakże boski Minos, pan mój, pragnie, abym to uczynił? Cóż powie książę Widwojos, gdy nie ujrzy go na pokładzie?

Kreteńczyk zmarszczył brwi.

- Nie twoją i nie moją sprawą jest przewidywać, co powie książę Widwojos, lecz wykonać rozkazy króla. Uczyn to, co ci nakazano, i w sposób, jaki ci to nakazano uczynić. Taka jest wola władcy.

- To mój gość... - Tezeusz rozłożył ręce. - Przybył on z bogom podobnym Widwojosem - i teraz znajduje się w moim megaronie. Czy pragniesz, abym porywał mych gości?

Kreteńczyk zbliżył się o krok i stanął przed nim wyprostowany.

- Niczego nie pragnę i nudzi mnie rozmowa z tobą, młody Ateńczyku. Jeśli nie pragniesz wykonać woli pana mego, rzeknij mi to, a powiodę cię na postronku uwiązany do szyi na okręt i popłyniesz tam, gdzie dowiesz się, jaką śmiercią umierają nieposłuszni barbarzyńcy. Pytam cię więc, czy pojąłeś wolę pana mego i wykonasz ją?

- Tak, panie... - rzekł cicho młody książę.

- Wreszcie! - zawołał Kreteńczyk z gasnącym gniewem i rysy jego wypogodziły się. - Czemuż dręczysz mnie swymi wahaniem jak płocha dziewczyna? Płynąłem niemal trzy dni i nocę po wzburzonym morzu i chcę wypocząć. Przedtem jednak muszę wręczyć bogom podobnemu Widwojosowi pismo królewskie. Zaprowadź mnie do niego i sprawdź, czy nie usnął już, gdyż byłoby niewybaczalne, gdyby zwykły śmiertelnik ośmielił się przerwać sen potomkowi krwi Byka.

- Tak, panie - powtórzył Tezeusz głuchym głosem.

Ruszył ku drzwiom.

- Zaczekaj!

Kreteńczyk zbliżył się ku niemu. Jego ciemne oczy zająrzyły w twarz młodego księcia i napotkały mroczne spojrzenie niebieskich, pełnych smutku źrenic.

- Jest wolą pana mego, aby rzecz ta otoczona była największą tajemnicą. Nikt z załogi okrętu bogom podobnego Widwojosa, ani on sam lub jego syn, ani nawet mieszkańcy twego miasta, nie mogą dowiedzieć się, że uczyniłeś to z woli władcy Krety. Chcę, aby młodzieniec ów został dostarczony na okręt tak, aby żadne oko nie mogło tego dostrzec. Możesz to uczynić pod osłoną nocy, spętaj go i przewiązawszy mu usta, lecz bacząc, by się nie zadusił, wrzuć go do wora lub skrzyni i tak odeślij mi na okręt. Lecz uczynisz to dopiero po odpłynięciu bogom podobnego Widwojosa, a do owej chwili ukryjesz go tam, gdzie nikt go nie będzie mógł odnaleźć. I pamiętaj, abym go otrzymał żywego i zdrowego, gdyż jeśli on umrze z twej przyczyny, ty także umrzesz. Czy pojmujesz?

- Pojąłem wszystkie twe słowa, panie... - Tezeusz skłonił głowę. - I wykonam wolę pana mego, boskiego króla Krety.

- Pięknie! A teraz prowadź mnie do bogom podobnego brata królewskiego.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności księżę Widwojos nie spał jeszcze. Upewniwszy się, że Perilawos, który w czasie uczyty wypił wiele wina, a nie pijał go przedtem niemal wcale, usnął głęboko, wyszedł na dziedziniec domu królewskiego i przechadzał się tam samotnie, zamyślony, poddając ciało chłodniejszemu powiewowi wieczoru.

W blasku wetkniętych w uchwyty z brązu, oświetlających dziedziniec pochodni Kreteńczyk rozpoznał księcia, zbliżył się i złożywszy mu głęboki ukłon, oddał pismo królewskie, zapewniając, że boski Minos korzystając z tego, że nikczemny jego sługa odpływał okrętem do Aten i wierząc w to, że uda mu się jeszcze napotkać tam bogom podobnego Widwojosa, przesyła mu swe braterskie życzenia i wnosi modły do Wielkiej Matki i bogów władających głębinami, aby uciszyli fale przed dziobem Angelosa i dęli w jego żagiel nieustannym, sprzyjającym wiatrem aż do dnia, gdy zawinie powtórnie do ojczystej przystani w Amnizos.

Widwojos rozkazał mu, aby podziękował jego boskiemu bratu za troskę i modły, które, pochodząc z ust tak potężnych, niewątpliwie zostaną wysłuchane przez Tych, Którzy Wszystko Słyszą. Odczytał pismo w drżącym blasku pochodni, lecz zawierało ono jedynie to, co rzekł mu oficer. Odprawił więc go uprzejmym skinieniem i wysłuchawszy kwiecistego pożegnania, rozpoczął ponownie swą samotną przechadzkę.

Tezeusz odprawiwszy Kreteńczyka do bram Akropolis, gdzie czekali jego żołnierze, wraz z którymi powrócił do przystani, gdzie znajdowały się rozległe i dobrze zaopatrzone domostwa przeznaczone na nocleg dla załóg okrętów Minosa, zawrócił i wszedł do megaronu. Widząc jego zasepioną twarz Terteus zapytał, czy ów dostojnik z Krety przyniósł mu złe wieści.

Młody księżę zbył go kilkoma uprzejmymi słowami. Znać było, że nie chce już mówić. Powstali więc wszyscy, gotując się do odejścia. Terteus rzekł, że odprowadzi stryja do przystani, tam gdzie zamieszkiwał w jednej z gospod wraz ze swą załogą, i zwróciwszy się do Białowłosego dodał:

- Udaj się na spoczynek, gdyż jutro o świcie czeka nas wiele pracy przed odpłynięciem.

Tezeusz odprowadził ich do bramy domu królewskiego. Później on i Białowłosy, który zajmował izdebkę nie opodal Terteusa na tyłach domu, gdzie spał księżę Widwojos wraz z synem, zawrócili.

- I cóż, chłopcze, czy nie lękasz się wyruszać, na tak daleką wyprawę? - zapytał uprzejmie młody księżę ateński.

- Nie, panie! - Białowłosy stanowczo potrząsnął głową. - Rok już mija od chwili, gdy burza

porwała mnie, samotnie łowiącego ryby nie opodal rodzinnych trojańskich brzegów, i od dnia owego przemierzyłem świat cały, od piasków Egiptu po Krete - zająknął się i umilkł.

Tezeusz, który słyszał już o jego losach od Terteusa, położył mu rękę na ramieniu.

- Ów, którego pragną uratować bogowie, nie zginie, choćby tysiąc włóczni godziło w jego odkrytą pierś... Tak mówią tu, w mojej ojczyźnie.

- A Terteus powiada, że los człowieka wypisany jest, gdy się on rodzi. I nie umrze, aż los ów się nie dokona, co zapewne na jedno wychodzi - odparł Białowłosey. - A choć nigdy bym w to nie uwierzył, panie, płynę oto do Troi i zapewne ujrzę ojca mego i matkę, co sprawi im wielką radość, gdyż nie mają oni innych dzieci, prócz mnie. Wiozę im także piękne dary - dodał. - Dał mi je Perilawos, gdyż uratowałem go z fal morza.

Zamilkł.

Tezeusz spoglądał nań w mroku smutnymi nieruchomymi oczyma.

- Młody jesteś, a życie twoje płynie jak opowieść śpiewana przy uczcie, pełna rzeczy dziwnych i straszliwych. Czy chciałbyś pójść ze mną, jeśli sen ci oczu nie klei, i opowiedzieć jeszcze o owych dziejach, które cię spotkały? - I nie czekając jego odpowiedzi, dodał: - Muszę odejść na krótko w sprawie związanej z owym dumnym Kreteńczykiem, niechaj bogowie przetną nić jego żywota! I powrócę niebawem. Zaczekaj na mnie w megaronie!

Pchnął lekko Białowłosego ku otwartym na oścież drzwiom wielkiej sali królewskiego domu i odszedł w mrok.

Szedł szybko, kierując się ku kuchniom królewskim.

Przeciął dziedziniec i zatrzymał się w progu rozległego niskiego budynku wciągając w nozdrze woń pieczonego barana.

- Czy jest tu pośród was stary Pominios?

Pomiędzy kilku postaciami krążącymi wokół wielkiego ogniska, nad którym obracały się różny, przesunęła się ku drzwiom jedna, niska i lekko przygarbiona.

- Czy wołałeś mnie, książę?

- Tak, Pominiosie.

Ujął go za ramię i skierował się wraz ze starym człowiekiem na dziedziniec, gdzie przystanęli. Przyciszonym głosem wypowiedział niewiele słów. Stary człowiek przytaknął w milczeniu i odszedł starając się iść tak szybko, jak na to pozwoliły jego sędziwe nogi. Tezeusz powrócił do megaronu. Szedł nie spiesząc się.

Białowłosey powstał z ławy na jego widok.

- Przejdźmy do izby, w której sypiam - rzekł książę - gdyż tu niebawem wejdą służby, aby usunąć to, co pozostało z uczyty... - Wskazał walające się na stole ogryzione kości zwierzęce, okruchy placków i plamy rozlanego wina.

Gdy usiedli na posłaniu ze skór, Tezeusz uśmiechnął się.

- Niechaj cię nie dziwi, że chcę usłyszeć twą opowieść, choć późno już i noc zapadła. Jutro odpłyniesz i, być może, nie ujrzę cię więcej, gdyż niezbadane są wyroki bogów. A, jak rzekłem, lubię słuchać opowieści o czynach walecznych i niewiarygodnych przygodach.

Zaklaskał w dłonie. Ukazał się stary człowiek i skłonił w milczeniu.

- Przynieś, Pominiosie, dzban najlepszego wina i dwa puchary!

Stary człowiek skłonił się i zniknął.

- Nim on powróci - rzekł Tezeusz uśmiechając się zagadkowym uśmiechem - chcę ci rzec, mój

młody przyjacielu, że często człowiek musi czynić to, czego czynić nie pragnie i przed czym wzdraga się jego dusza. Gdyż szlachetny ulega przemocy na równi z nikczemnymi. Różni ich jedno tylko: szlachetny pragnie obronić się przed przemocą, gdy nikczemnik znajduje radość w uleganiu jej. Lecz, jak rzekłeś, człowiek nie rządzi ani swym losem, ani swymi uczynkami, a wszystko jest w rękę bogów. Niechaj więc spojrzą oni przychylnie na nas obu, na ciebie i na mnie.

Wszedł stary człowiek i podał im puchary dwuoszne, po czym nalał do obu pełną miarkę.

- Jest ono już zmieszane, książę - rzekł cichym ochryplym głosem. Tezeusz skinął głową.

- Za pomyślność waszej wyprawy. Obyś ujrział krainę bursztynu, białowłosy przyjacielu, i powrócił z niej żywy!

Uniósł puchar ku wargom, a Białowłosy nie pragnąc urazić go, choć wypił już dziś dwie pełne czarki podczas uczyty i nie miał ochoty pić więcej, także uniósł obu rękami swój puchar, przechylił go ku ustom i wypił.

Ujrzał, jak Tezeusz odstawia na kamienną podłogę swój puchar i zwraca ku niemu oczy. poważne i niespokojne.

I nagle widok ów zmaćił się, twarz księcia zamazała i rozplynęła, a później znikło wszystko i świat pograżył się w mroku.

Byłby padł, gdyby Tezeusz nie podtrzymał go ramieniem i nie złożył na łożu. Wówczas stary człowiek ukazał się ponownie.

- Pominiosie - rzekł książę - trzeba ukryć tego młodzieńca do chwili, gdy nadejdzie pora odesłania go. Będą szukali go wszędzie do świtu. Jak długo będzie spał?

Pominios zbliżył się i spojrział na puchar, który Białowłosy wciąż jeszcze trzymał w zaciśniętych dłoniach. Jedynie kilka kropli płynu wylało się na posłanie.

- Jeśli wszystko wypił, a uczynił tak, jak mi się wydaje, będzie spał do południa lub dłużej.

- Nie krócej?

- Upewniam cię, panie, że nie.

- Gdzież ukryjemy go?

Stary człowiek podrapał się w łysą głowę.

- Są lochy pod domem królewskim - rzekł - lecz wrzucono tam owych rabusiów bydła, którzy mają być straceni po odpłynięciu bogom podobnego Widwojosa. Lochy owe są wielkie i jest tam komora tajemna, którą otwiera kamień obracający się, panie, tuż obok skarbcza ojca twego.

- To prawda! Idź przodem i bacz, abym nie napotkał nikogo, a ja go poniosę.

Wyszli. Minawszy korytarz stary człowiek otworzył okute brązem drzwi, za którymi ukazała się ciemna czeluść wąskich stopni wykutych w nagiej skale. Weszli i zamknęli drzwi za sobą.

- Skrzესaj ognia - rzekł półgłosem książę. Po chwili błysnęła iskra, upadła na głowicę pochodni wetkniętej w pierścień wpuszczony w ścianę i migotliwe światło rozjaśniło mrok.

Stary człowiek uniósł pochodnię nad głową i ruszył przodem. Schody skrzyły i ukazała się rozległa podziemna komnata. Pośrodku podłogi był otwór mogący pomieścić człowieka. Tezeusz wyminął go i idąc za Pominiosem zbliżył ku przeciwległej ścianie. Była ona chłodna i wilgotna, jak całe to podziemie. Stary człowiek przyglądał się jej przez chwilę, wreszcie napał na skałę, która cicho obróciła się, ukazując ciemne przejście. Za nim było puste pomieszczenie.

Tezeusz pochylił się i złożył śpiącego chłopca na skalnej gładkiej podłodze. Później cofnął się i wyszedł.

Wracając wziął pochodnię z ręki starca i zatrzymał nad otworem, obok którego leżała długa

drabina. Wsunął w otwór dłoń z pochodnią i spojrzął.

Głęboko w dole ujrzał półnagich ludzi. Było ich ośmiu, może dziesięciu, spoglądali w górę, mrużąc oczy. Milczeli. Niektórzy byli w sile wieku, inni młodzi, jeden zdawał się niemal dzieckiem. A przecież i on zaprawiał się już w rozbójniczym rzemiośle. Tezeusz wiedział, że mówią mową podobną do tej, jakiej używali Ateńczycy. Lecz należeli do ludu, który przybył tu wcześniej. Tak przynajmniej głosiła legenda. To przodkowie Ateńczyków pokonali ich i zepchnęli w góry, gdzie gnieździł się w niedostępnych jaskiniach, napadając na stada i samotnych wędrowców. Był to lud dziki, nieokrzesany; nigdy żaden z nich nie zjawił się dobrowolnie w mieście, choć dziad Tezeusza czynił nawet pewne próby, aby ich pozyskać i osiedlić na równinie u stóp gór. Zabijali oni każdego Ateńczyka, którego udało im się zaskoczyć, a każdy z nich także ginął okrutną śmiercią.

Książę cofnął dłoń trzymającą pochodnię i wyprostował się. Trzeba będzie ich zgładzić, gdy tylko okręt Widwojosa wypłynie z przystani. Niegodni byli, aby karmić ich choćby o dzień dłużej.

Ruszył ku schodom, słysząc za sobą człapiące kroki Pominiosa. Nagle zatrzymał się. Kroki starca także ucichły. Książę ruszył dalej i wstąpił na pierwszy stopień schodów.

Słońce stało już wysoko, a ludzie króla Erechteusa dawno już wnieśli na zepchnięty na wodę okręt zalane woskiem dzbany z wędzonym mięsiwem, zamknięte, oplecione powróżkami z trawy morskiej dzbany z winem i dwa wielkie pithosy pełne przemielonego na mąkę ziarna dla liczącej stu ludzi załogi Angelosa, która zasiadła już przy wiosłach.

Lecz bogom podobny Widwojos nie wszedł jeszcze na pokład okrętu i przechadzał się tam i na powrót po piasku nadbrzeża, mając u obu ramion postępujących nieco za nim, syna swego i Terteusa.

Stojący w oddaleniu gęsty tłum ciekawych przypatrywał się im w milczeniu. Jedyne niektórzy szeptali, że książę kreteński nie odpływa, gdyż zniknął bez wieści jeden z załogi, ów młodzieniec, który pozostał przy okręcie, gdy Angelos wpłynął do ateńskiego portu.

- Sam nie wiem, co winienem uczynić? - rzekł Widwojos. - Jakże mamy tu pozostać, gdy okręt już załadowany, a nikt nie wie, jak długo trwać ma nasza podróż do owej krainy?

- Nie możemy tu pozostać, boski książę... - Terteus ze smutkiem potrząsnął głową. - Albowiem tak być musi pośród żeglarzy, że ów, co nie zadba, aby być w pobliżu, gdy okręt gotuje się do odpłynięcia, musi pozostać tam, gdzie go własna zostawiła głupota. Lecz nie mogę uwierzyć, aby zawieruszył się gdzieś z głupoty. Czemuż nie zajrzałem do niego, gdy odprowadziłem stryja mego do przystani?! Być może byłby tu z nami. Wypiłem zapewne zbyt wiele wina i sen mnie morzył! - Potrząsnął głową z gniewem.

- Książę Tezeusz powiada, że w łóżu jego nikt nie spał tej nocy, a ja to widziałem na własne oczy. Wyglądało ono, jakby skóry świeżo i równo ułożono, przewietrzywszy je uprzednio - rzekł Perilawos. - Nie pozostawimy go tu przecież, ojczy mój boski? Przysięgliśmy wszyscy, że będziemy się wspomagali i nie opuścimy się nawzajem w potrzebie. Gdyby nie on i jego męstwo, nie żyłbym od dawna.

- Nie zapomniałem o tym, synu mój. Zaczekamy jeszcze. Może odnajdzie się? Może nie będąc nawykłym do picia wina usnął gdzieś wyszedłszy na nocną przechadzkę i nie przebudził się jeszcze? Ów syn króla ateńskiego kazał go szukać wszędzie i rozesłał ludzi, aby przebadali wszystkie wykroty i rozpadliny wzgórz, na którym stoi dom króla. Inni przeszukują miasto pytając, czy kto go nie widział. Zaczekajmy jeszcze, aż przybędzie tu ów młody książę ateński i obwieści nam, czego dokonali jego ludzie.

- Oto i on! - zawołał Terteus wskazując jeźdźca na pięknym białym koniu, który zbliżał się ku nim

cwałem i ściągnął wodze tuż przed boskim Widwojosem. Za nim nadjechało kilkunastu innych i zatrzymali się w pełnym uszanowania oddaleniu.

Tezeusz zeskoczył z konia i podszedł oddychając ciężko. Skłonił nisko głowę przed bogom podobnym bratem królewskim.

- Przeszukano całe wzgórze, pałac i okoliczne gaje - powiedział. - Nie ma go nigdzie ani też nie widział go nikt, kogo pytano.

- Jakże to być może? - zapytał ksiązę.

Tezeusz rozłożył ręce.

- Nie umiem ci na to odrzec niczego, co by rozjaśniło mroki, panie, póki nie odnajdzie się.

- Czyżby uciekł? - rzekł nagle Widwojos i odpowiedział sobie od razu: - Po cóż miałby to czynić, on, Trojańczyk, skoro okręt nasz płynie do Troi wioząc piękne dary dla jego ojca i matki? A dary te pozostały na pokładzie. Był wolny i mógłby pozostać w Atenach, gdyby zechciał.

- Mógł - mruknął cicho Terteus - lecz nie mógł, gdyż złożył wielką przysięgę, która nakazywała mu płynąć dalej. Być może nie śmiał nam tego rzec i wstydził się swej słabości. Wiele przeżył i myśl o rodzinnym domu mogła wydać mu się przemożna. Wiedział, że nie zdoła nam tego rzec.

- Sądziysz, że mógł tak uczynić? Czemużby więc nie uciekł w Jolkos, które bliżej jest jego ojczyzny?

- Nie wiem, boski ksiązę. Nie wiem także, czy nie krzywdzę go? Lecz oto minęła dawno chwila, gdy mieliśmy odbić od przystani, a jego nie ma. Cóż mam innego pomyśleć, jeśli nie to, że ukrył się przed nami. Gdyż, jak powiadają, najtrudniej odnaleźć to, co samo się skryło.

Boski Widwojos raz jeszcze spojrział w przysłonięty głowami tłumy wylot ulicy, po obu stronach której stały niskie białe domy. A Tezeusz rzekł spoglądając na Terteusa:

- U nas powiadają, że najłatwiej trafić oszczepem tego, który stoi odwrócony plecami, lecz czyn taki nie podoba się bogom.

- Cóż chcesz rzec przez to? - Twarz młodego rozbójnika morskiego oblała się rumieńcem i mimowolnie dłoń jego zacisnęła się na rękojeści miecza.

- Chcę rzec, że ów młodzieniec nie wyglądał mi na takiego, który lekce sobie waży wysoką przysięgę, więc póki nie wiesz, co mu się przytrafiło, lepiej będzie, abyś nie wypowiadał głośno uwłaczających mu myśli.

Terteus chciał odrzec ostro, lecz boski Widwojos uniósł rękę i zamilkli obaj, spoglądając sobie gniewnymi oczyma.

- Skoro nie odnalazłeś go, synu króla ateńskiego, musimy odpłynąć bez niego. Lecz gdyby odnalazł się wkrótce, a będzie odchodził z tej przystani okręt na północ, wiedz, że zatrzymamy się w Jolkos, a później zapewne na nieco dłużej w Troi, by zebrać siły i odnowić zapasy przed wyruszeniem ku owym nieznanym krainom. Będziemy wyglądali go i ucieszy nas jego widok. A jeśli... jeśli przytrafiło mu się jakieś nieszczęście, wdzięczny ci będę, gdy mając sposobność zdołasz mnie jeszcze o tym powiadomić. A teraz żegnaj mi i dzięki za gościnę.

Uniósł na pożegnanie dłoń i odwróciwszy się ruszył ku nadbrzeżu, a za nim Perilawos ze spuszczoną głową.

Terteus zatrzymał się przed młodym księciem.

- Ostrymi słowy uczęstowałeś mnie na pożegnanie, lecz gniew mój minął, gdyż ja sam pragnę, abym okazał się oszczercą, a on młodzieńcem wiernym swej przysiędze. Nie ujrzymy się już zapewne, ksiązę, gdyż droga moja oddala nas od siebie. Lecz powiem ci jedno: pamiętaj, że Kreta

słabsza jest, niżli mówi wasz lęk przed nią... - Urwał. - Wiedz, że pragnąłbym być z wami, gdy uderzycie na ów labirynt, który złotymi rogami urąga promiennemu słońcu!

- Żegnaj mi, Terteusie - odparł syn ateńskiego króla.

- Zapamiętam twoje słowa.

Stał długo samotny przed zebraniem tłumem, a gdy wiosła zanurzyły się w wodę i ogromny okręt ruszył kierując dziób ku środkowi prowadzącej ku morzu rozległej cieśniny, uniósł rękę i skinął nią stojącym na pokładzie małym postaciom. Później zmarszczył brew i westchnął ciężko. Czyn, którego się dopuścił, niełatwo miał pójść w zapomnienie.

Wskoczył na konia i odprawiwszy ruchem dłoni jadących za nim, ruszył wolno wzdłuż wybrzeża pośród rozchodzących się ludzi, którzy pozdrawiali go serdecznie, gdyż roztropnie rządził od chwili, gdy ojca jego powaliła długa choroba.

Pomyślał o ojcu i znów zasepił się. Później odszukał oczyma inny kreteński okręt wyciągnięty na brzeg. Stało przy nim kilku żołnierzy rozprawiając najwyraźniej o wyprawie królewskiego brata, a bliżej domów nadbrzeżnych przechadzał się samotnie ich dowódca, wyprostowany, wzgardliwy, zdający się nie dostrzegać mijających go ludzi.

Tezeusz podjechał i zeskoczył z konia.

- Możesz dać rozkaz ludziom, panie, aby zepchnęli okręt na wodę. Przywiozą go wozem zaprzężonym w dwa białe woły. Leży uśpiony mocnym wywarem i nie przebudzi się łatwo. Będzie ukryty pod matą trzcinową, a więc ludzie twoi mogą wnieść go jak pakunek i złożyć na dnie między wioślarzami, a gdy odbijecie, odsłonić go.

- Czy nie udusi się, gdy go będą tu wieźli?

- Nie, panie. Jest zdrow i zdrow dopłyne do Krety jeśli taka będzie wola bogów. Uśpiłem go napojem, który oszalał zmysły.

Kreteńczyk wzruszył wzgardliwie ramionami.

- Cóż rzekł boski Widwojos? - zapytał.

- Był zatroskany, zarówno jak syn jego, tym, że ów białowłosy młodzieniec nie pojawia się. Zwlekali długo z odpłynięciem, lecz gdy przybyłem i rzekłem im, że nigdzie go nie ma, choć przeszukaliśmy całą okolicę, musiał pogodzić się z tym i wstąpił na pokład.

- Tak. Dobrze uczyniłeś, Tezeuszu. Wiedz, że doniosę o tym panu mojemu.

- Dzięki ci, panie. Czy nie trzeba ci czegoś, co byłoby przydatne w podróży?

- Nie. Kazałem pobrać to, co było konieczne, ze spichrzów twego ojca. Żegnaj mi.

I odwrócił się plecami do młodego księcia, dostrzegłszy wyjeżdżający z wylotu portowej uliczki wóz zaprzężony w dwa białe woły i strzeżony przez dwóch uzbrojonych ludzi. Wóz zbliżył się ku brzegu. Kreteńczyk podszedł szybko, pochylił i z dala Tezeusz dostrzegł, że zajrzał pod okrywającą zawartość wozu matę. Później opuścił ją i ruchem ręki dał znak woźnicy, aby zbliżył się jeszcze bardziej do okrętu. Zabrzmiały suche rozkazy.

Tezeusz wskoczył na konia i skierował go ku widocznemu na dalekim wzgórzu domowi królewskiemu.

W tym samym czasie dostojnik kreteński wysłał żołnierza po młodego Su-Ti-Mesa, który oczekiwał w domu jednego z kupców egipskich.

Su-Ti-Mes przebiegł natychmiast wraz ze sługami swymi, a gdy okręt odbił od brzegu, kazał spętać śpiącego i przeciągnąć sznur przez pierścień masztu, tak aby młodzieniec ów przewidując być może, jaki los go czeka, sam nie próbował pozbawić się życia, skacząc w morskie fale.

Lecz ów najwyraźniej nie miał chęci uczynić tego. Gdy przebudził się, siadł patrząc na nich zdumionym wzrokiem, zjadł także to, co mu dano, lecz nie przemówił do nikogo w ciągu trzech dni podróży, a że wierny Su-Ti-Mes nie widział żadnej przyczyny, aby rozmawiać z nikczemnym świętokradcą, więc więzień siedział spętany i milczący, aż wreszcie w oddali żeglarze ujrzeli święty szczyt góry i unieśli ręce na znak czci. Tego samego popołudnia okręt zawinął do Amnizos.

Wierny Su-Ti-Mes rozluźnił nieco więzy chłopca i w otoczeniu swych czujnych sług wsiadł z nim do najętej lektyki, aby jak najprędzej znaleźć się przed obliczem swego pana. Wiedział bowiem, z jaką niecierpliwością oczekuje on wieści o wyniku wyprawy.

Gdy otoczywszy więźnia pierścieniem straży, nadal trzymając w zaciśniętej dłoni koniec postronka, zakołatał do bramy domu, odetchnął z ulgą. Oto wykonał swą powinność i nie popełnił niczego, co mogłoby mu przynieść naganę.

Czcigodny Re-Se-Net, jak gdyby przeczuwając, kto nadchodzi, nie wołany pospieszył ku drzwiom tuż za odźwiernym.

Wierny Su-Ti-Mes zgiął się w głębokim ukłonie.

- Witaj, panie mój! Oto on, zdrow i cały, jak mi nakazałeś.

Bez słowa Re-Se-Net zawrócił i szybko udał się do pomieszczenia, gdzie spoczywał najczcigodniejszy Het-Ka-Sebek, co prawda osłabiony jeszcze bardzo gorączką, lecz powracający już z wolna do zdrowia.

- O najczcigodniejszy! - rzekł kupiec stając w drzwiach z promieniejącym obliczem i składając mu pokłon. - Mam dla ciebie wieść, która uzdrowi cię zapewne szybciej niż leki, które przepisał ów lekarz kreteński. Su-Ti-Mes powrócił z Aten i ma z sobą owego świętokradcę... żywego i zdrowego.

- Chwała niechaj będzie wszechmocnemu Sebekowi!

Na bladą twarz kapłana wystąpił rumieniec, który zdawał się nagle przywracać jej zdrowy wygląd. Uniósł się na łokciu.

- Każ, niechaj przywiodą go tu, abym mógł nasycić oczy me jego widokiem!

Re-Se-Net cofnął się i skinął na stojących. Podeszli i Su-Ti-Mes wepchnął chłopca do wnętrza.

Przez chwilę kapłan patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma, później osunął się na łoże i przymknął powieki.

Lękając się, że radość mogła mu zaszkodzić, Re-Se-Net podbiegł i pochylając się powiedział:

- Najczcigodniejszy! Czyżby szczęście odebrało ci siły?

Het-Ka-Sebek powoli otworzył oczy. Był już spokojny, lecz oblicze jego stało się bledsze niż wprzód.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ziarnko piasku w oku człowieczym

Wypłynęli na szeroko rozlane wody, mając po prawej rozległą zieloną wyspę, zwaną Aigina, i widok dalekich gór Argolidy, a po lewej wznoszące się nieustannie coraz bardziej strome i nieprzystępne wybrzeże Attyki. Dzień był bezwietrzny, więc okręt płynął pchany siłą wiosł.

Terteus przeszedł wzdłuż okrętu starając się nie spoglądać tam, gdzie Perilawos zajął na ławie miejsce opróżnione przez Białowłosego. Wód zatoki nie marszczył najmniejszy nawet powiew i sunęli niemal bez kołysania.

Bogom podobny Widwojos stał pod masztem patrząc na mijane brzegi. Uśmiechnął się do przechodzącego, lecz nie wezwał go. Zniknięcie chłopca rzuciło cień na wyprawę, nim jeszcze zdążyła odbić od greckiego lądu.

Terteus zbliżył się do sternika. Był on znacznie młodszy niż ów, który prowadził ich morzem do Aten i miał poprowadzić okręt aż do Jolkos lub nawet do Troi, gdyż wiele pływał w tych stronach i, jak powiadał, nie było wyspy na północ od Aten, do której nie przybiłby choć raz, ani przystani, w której nie zjadłby placka i nie wypił kubka wina. Zwano go Eriklewes i był Ateńczykiem.

Tego wszystkiego Terteus dowiedział się od niego na lądzie, dziś patrzył pilnie i radował w duchu, widząc, jak człowiek ów lekkimi poruszeniami rękojeści wiosł sterowych utrzymywał okręt na linii prostej, jak gdyby posuwali się ulica miasta, a nie pustym bezmiarem wód.

Terteus chciał podejść teraz do niego i wypytać o drogę wodną, którą mieli dziś przebyć, lecz nie podszedł i nadal stał, wsparty o jeden z olbrzymich pithosów z mąką, spoglądając na morze.

Pithosy owe, wykonane z jasnej gliny i ozdobione dokoła jaskrawo wymalowanymi pasami farby, stały wsunięte ostrymi końcami w otwory wielkich, przeznaczonych do tego belek, a przywiązane były oprócz tego sznurami i otoczone plecionką z trawy morskiej, aby nie pękły w czasie gwałtownych przechyłów na pełnym morzu. Terteus uśmiechnął się mimowolnie. Miody książę ateński zaopatrzył ich znacznie obficiej niżli tego pragnęli, jak gdyby okręt miał przebywać na morzu wiele dni nie widząc lądu. A przecież płynąć mieli wzdłuż wybrzeża, zawijając o zmroku do dogodnych przystani, jeśli wiatr nie będzie sprzyjający, a płynąć nocą jedynie wówczas, gdy rozpięty żagiel pozwoli wypocząć wiosłarzom.

Wiosła pracowały równo, spokojnie, od dziobu niósł się miarowy zaśpiew młodego Orneusa, który podawał ramionom wiosłarzy chwilę wspólnego wysiłku i tę, gdy wynurzone wiosła winny cofnąć się nad wodę. Zdawało się, że świat naokół, owe zielone wyspy, daleki ląd i błękitna, roziskrzona słońcem woda zatoki, zawieszona są w ogromnej ciepłej ciszy. Nad Attyką wiosna trwała w pełnym rozkwicie.

- Wciąż rozmyślam o nim - usłyszał za sobą cichy głos księcia i równocześnie pomyślał o tym, że

nigdy nie słyszał dotychczas, aby brat królewski krzyknął lub roześmiał się głośno. Odwrócił się.

- I jak boski książe, nieustannie mam go przed oczyma. A nie mogę pojąć, co go spotkać mogło. Miał słuszość ów ateński syn królewski, gdy mnie skarcił za me odezwanie. Nie należał Białowłosa do tych, którzy nikczemnie umykają przed swym losem i wyrzekają się najwyższych przysięg. Był szczery i prosty, taki, jakim mąż być winien, choć trudno jeszcze zwać go dojrzałym mężem.

- Tym większa jest moja troska o niego. Gdyż musiało go spotkać coś, co nie zezwoliło mu pojawić się na pokładzie.

Zamilkli obaj i przez chwilę spoglądali na morze.

- Jeśli nie zginął - rzekł Widwojos - cóż mogło go powstrzymać?

- Któż go mógł zabić, panie? I kiedy? Komuż potrzebna była jego śmierć?

- Gdybym to wiedział - Widwojos odwrócił wzrok - być może wiedziałbym także, kto mnie zabije i komu potrzebny jest mój zgon. Przypadek ów ukazuje mi, jak marne są me nadzieje. Brat mój uczynił rzecz tę jedynie dlatego, aby ukazać, jak potężne i długie jest jego ramię, i doprowadzić mnie do rozpaczki, która sama uśmierca ludzi. Młodzieniec ów znajdował się pośród nas, na przyjaznym dworze, i pozostał sam na krótko, gdy ja i cała załoga znajdowaliśmy się wewnątrz owych królewskich zabudowań. A mimo to znikł i nikt z nas nie wie, jak to się stało ani gdzie się znajduje.

Terteus skinął głową. Poczul nagły dreszcz, który przeszedł mu po grzbiecie, mimo że słońce grzało mocno.

Człowiek mógł walczyć z każdym wrogiem, mógł umknąć walcząc lub używając podstępku, lecz jak walczyć z nieznanym i jak umknąć temu, który zabija nie objawiając się.

- Są tu dary, które wiózł dla matki i ojca - rzekł młody pirat, aby przerwać milczenie. - Oddamy je im, aby spełnić jego wolę. Jeśli dusza jego jest jeszcze gdzieś blisko i nie zeszła dotychczas do Krainy Cieni, uraduje się tym pewnie.

- Terteusie!... Terteusie!...

Głos był głuchy i dochodził jak gdyby z innego świata. Cóż to było?... - wyszeptał Terteus zbielełymi wargami. - Czyżby usłyszał?

Książe cofnął się o krok i oparł o pithos.

- Myślałem dotąd - rzekł cicho - że nic takiego nie istnieje, że ludzie odchodzą tak jak przybyli z wiekistej ciemności w wiekistą ciemność i nie pozostaje śladu po nich. A oto sam usłyszałem jego głos z dala... Czy nie było to złudzenie? Wołał cię, czy tak?

Nie mogąc wymówić słowa, młody pirat skinął głową.

- Terteusie!...

Widwojos odskoczył od pithosu i odwrócił się gwałtownie.

- Głos ów dobiegał jak gdyby stamtąd... - rzekł wskazując drżącą dłonią.

Zbliżyli się obaj i zaciskając zęby Terteus przeciął mieczem sznur przytrzymujący pokrywę ogromnego naczynia. Zdjął ją.

A wówczas z wnętrza wysunęła się dłoń ludzka i chwyciła za krawędź.

- To człowiek! - wykrzyknął Terteus. Pochylił się nad pithosem i cofnął, lecz po chwili powrócił i wsunawszy obie ręce do naczynia, uniósł z głębi smukłe ciało i złożył je na deskach pokładu.

Białowłosa przetarł oczy i rozejrzał się, mrużąc je. Później pojąwszy, że znajduje się wśród swoich, spróbował powstać i zaraz opadł na łokcie.

- Podał mi puchar wina... - rzekł szcękając zębami. - I wpadłem w mrok... A przebudziłem się teraz...

Przymknął oczy i znowu je otworzył. Odruchowo sięgnął szyi, dotknął wiszącego tam noża i opuścił ręce.

- Usłyszałem głos twój - próbowałem uśmiechnąć się do Terteusa - i począłem wołać, choć zdawało mi się, że nadal śnię. Czy usłyszałeś mnie?

- Usłyszałem!

Terteus pokręcił głową i nagle parsknął wesołym, młodym śmiechem. Bogom podobny Widwojos także uśmiechnął się, lecz czoło jego przecięła głęboka zmarszczka.

- Żyjesz?! - Perilawos przybiegł i rzucił się na kolana obok leżącego. - Gdzież się ukrywałeś?!

Terteus rozejrzał się, okręt zwalniał, wszystkie wiosła uniosły się i nie opadły, gdyż wiosłarze siedząc na ławach patrzyli ze zdumieniem na rozgrywające się przed ich oczyma widowisko. Podający zaśpiew Orneus także zamilkł nagle.

- Hej tam! Czy pragniecie dokonać żywota na wodach tej zatoki?! - krzyknął Terteus. - Czemu nie wiosłujecie? Czyżby zdumiało was, że zamiast mąki w pithosie załadowaliśmy tego oto lenia, który ukrył się tam, aby nie męczyć się wraz z wami przy wiosle?!

Odpowiedział mu jedynie śmiech. Spod masztu zabrzmiały powolne słowa zaśpiewu. Wiosła opadły i zanurzyły się w wodę.

Angelos drgnął i począł przyspieszać.

Późnym popołudniem, gdy minęli ogromną, stromo spadającą ku morzu skałę suniońskiego przylądka, bogom podobny Widwojos wezwał ich do swego małego namiotu rozpiętego pod masztem.

- Jakże chcecie tłumaczyć to zdarzenie? - zapytał. - Jeśli Białowłosy twierdzi, że ów młody książę ateński zadał mu czegoś omamiającego zmysły w pucharze wina, czemu później oddał go nam, ukrytego w pithosie? Byłże by to żart?

- Nim podał mi ów puchar - Białowłosy potarł czoło i zmarszczył brew - rzekł mi, że... że... wiem, co rzekł: „... że szlachetny ulega przemocy na równi z nikkemnikiem, lecz szlachetny usiłuje obronić się przed nią, a nikkemnik nie”. I życzył sobie i mnie, aby bogowie spojrzeli na nas przychylnie, gdyż los człowieka spoczywa w ich rękach... Tak, tak rzekł, a później wypilem i przestałem widzieć i słyszeć cokolwiek.

- Czy pojmujesz coś z tego? - Zwrócił się książę do Terteusa.

- Nie, panie... - Zapytany potrząsnął głową. - Czyn jego wydaje mi się haniebnym czynem niedowarzonego głupca, a nie mogę pojąć zgoła, czemu udawał tak wiele i frasował się wraz z nami, gdy odpływaliśmy? Był tak przejęty poszukiwaniem i tak dzielnie sobie ze mną poczynał, strofując mnie surowo, gdy zwątpilem w jego... - wskazał Białowłosego - szczerą, że nie do wiary wydaje mi się, aby mógł wiedzieć, że znajdowałeś się już na pokładzie.

- Całe miasto patrzyło na nas wówczas... - odezwał się nagle Perilawos, który wszedł i ukląkł przy ojcu. - Być może Tezeusz nie chciał zdradzić, że oddaje nam Białowłosego.

- A kogóż miałby się obawiać? - zapytał książę.

- Przemocy - szepnął niemal Terteus. - Przemocy, o której rzekł Białowłosemu podając mu ów puchar. Pragnął pozostać człowiekiem szlachetnym i przeciwstawić się jej. Nie wiem, czy tak było, lecz mogło tak być.

- I któż kazałby mu porwać Białowłosego? - pytał nadal Widwojos.

Nikt nie odpowiedział. A książę, jak gdyby odpowiedziawszy sobie w myśli, dodał:

- Po cóż by chciał go porwać? Mógł przecież wybrać ciebie!... - Wskazał Terteusa. - Jesteś

dowódcą tego okrętu i wspomagasz mnie we wszystkim. Lecz jego? To jeszcze chłopiec. Kimże jest on dla potężnego władcy Krety? Ziarnkiem piasku, jednym z tysięcy.

- I ziarnko piasku nabiera wagi, jeśli wpadnie w oko człowiecze... - rzekł nagle Perilawos i roześmiał się.

Radzimy tu, lecz nie ma z nami jedyne go człowieka, który mógłby dać nam godziwą odpowiedź, jeśliby zechciał. Pozostał w Atenach. Jest nim Tezeusz.

- To prawda - rzekł Terteus. - Wielce dziwna to sprawa, a jeśli nawet nie zakończyła się złowieszczo, sądzę, że koniec jej był inny, niż przewidywał ów, który rzecz rozpoczął, kimkolwiek on był. I dla tej przyczyny, boski książę, rad będę, jeśli zezwolisz mi rzec słowo.

- Mów, Terteusie! - Widwojos uśmiechnął się do niego.

- Mówiłem ze sternikiem, który poprowadzić nas winien do Jolkos. Rzekł on, że wygodniejsza to i bezpieczniejsza, choć dłuższa droga do Troi. A zna on krótszą znacznie, która wiodąc od wyspy do wyspy przeprowadzi nas na wschodnie wybrzeże morza, wzdłuż którego popłynąć możemy wprost do trojańskiej przystani.

- Czemu sądzisz, że należy obrać tę drogę?

- Gdyż w pierwszym mieście, w jakim stanęliśmy, wydarzyła się rzecz dziwna, której nie umiemy pojąć.

A któż wie, co może wydarzyć się w Jolkos, gdzie także nas oczekują, gdyż wiedzą, że przybędziemy? Okręt nasz jest potężny, mamy stu uzbrojonych i dzielnych ludzi, na morzu nikt nas nie doścignie, gdyż okręt szybszy niż Angeles nie pruł nigdy dotąd fal. Czegóż więc mamy się lękać w miejscach, gdzie zawitamy niespodziewanie? Wierzę, że grozi nam wszędzie mniej niebezpieczeństw niżli tam, gdzie sięga władza twego boskiego brata.

- To prawda - rzekł Widwojos. - Skoro o tym mówisz, wspomnieć też trzeba owego człowieka, który przybył do mnie z pismem od boskiego Minosa. Działo się to w tym samym czasie, gdy uśpiono...

- Jakże mogliśmy zapomnieć o nim?! - Terteus zerwał się i omal nie rozerwał głową płótna namiotu, siadł więc zaraz na powrót i dodał szybko: - Siedzieliśmy w megaronie, ów książę ateński, pewien przyjaciel mój i Białowłosey, gdy wszedł sługa i rzekł, że oficer ów chce mówić z Tezeuszem na osobności. Ów wyszedł, a gdy powrócił, wypisane miał na licu, że złą otrzymał wiadomość.

- Więc może brat mój nakazał mu ustami owego posłańca swego uśpić Białowłosego, zabić go, a później w pithosie umieścić na okręcie, a Tezeusz nie pragnąc być nikczemnikiem, który morduje swego gościa, oddał go nam żywego?

- Być tak może, boski książę, lecz jedna to jeszcze przyczyna, abyśmy popłynęli inną drogą niżli ta, którą postanowiłeś przemierzyć będąc jeszcze na Krecie, gdyż znana jest ona zbyt dobrze twym wrogom.

- Zapewne... - Widwojos zastanawiał się przez chwilę. - Być może bogowie dali ci większy dar przewidywania niż mnie. Czyń więc, Terteusie, jak ci się wyda słuszne.

- Dzięki ci, boski książę! - Terteus wstał i nie czekając zniknął za osłoną wejścia namiotu.

- Zazdrościłem ci twych przygód! - zawołał wesoło Perilawos. - Lecz dziś widzę, że bogowie naznaczyli ci żywot przedziwniejszy niżli innym ludziom. Bo któż z nas zniknąłby i odnalazł później na morzu w pustym pithosie.

Roześmieli się obaj.

W tejże chwili okręt drgnął i zakołysał się lekko, zmieniając kierunek.

Miast ku północy dziób jego skierował się wprost na wschód.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jestem, matko.

Najczcigodniejszy Skamonios podszedł do kamiennego obramowania tarasu przed domem królewskim i spojrzął w dół. Z najwyższym wysiłkiem opanował pragnienie gwałtownego cofnięcia się. Pod nim, głęboko w dole, morze łagodnie rozpryskiwało się na skałach. Było to tak głęboko, że nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. Skamonios stał przez chwilę z dłońmi wspartymi na obramowaniu. Wiedział, że król wyspy Tenedos stoi za nim i przygląda mu się.

- W rzeczy samej, dostojny władco, przodkowie twoi osiedli w orlim gnieździe! - Odwrócił się i z uśmiechem podszedł do młodego wysokiego mężczyzny ubranego w krótką białą nie sięgającą kolan szatę, na którą narzucona była spływająca z pleców lwia skóra, tak że jej ogon wlokł się po ziemi, gdy król poruszał się. Najczcigodniejszy Skamonios kilka już razy w ciągu ostatnich pięciu dni chwycił się na dziwacznej myśli, że w ogniu owym pozostała jeszcze resztką życia.

- Nie urodziłem się tu, lecz w Troi...

Władca Tenedos wskazał gościowi kamienną ławę wspartą o ścianę przylegającego do stromej skały rozległego domu. Usiadł pierwszy, a najczcigodniejszy Skamonios zajął miejsce w pewnej odległości od niego, gdyż, jak każe obyczaj, ów, który nie jest królem, niechaj nie siada w obecności króla bliżej niż na odległość wyciągniętego ramienia.

- Jest u nas w zwyczaju - dodał król - że gdy władca Tenedos umrze nie pozostawiając syna, zostaje nim młodszy syn króla Troi, a to samo dotyczy i Troi, gdyż oboma królestwami rządzi od stuleci jeden ród. Mimo to państwa nasze - jego rozległe, a moje maleńkie - są, jak to dostrzegłeś, niezależne, choć złączone jak dwie ręce jednego ciała. Ojcowie nasi wiedzieli, że nigdy król Troi i król Tenedos nie będą wrogami. Tenedos byłoby niezdobytą twierdzą nawet bez owych murów, które wznieśliśmy, a przystań nasza jest zapewne najlepszą i najłatwiejszą do obrony przystanią w świecie. Może ona pomieścić bardzo wiele okrętów, lecz ów, który pragnąłby ją zdobyć, musiałby przyprowadzić nie tylko mrowie okrętów, lecz i potężne wojska, jakich nigdy dotąd nie przeprowadzono morzem. Dla tej przyczyny wierzymy, że nigdy stopa nieprzyjaciela nie dotknie tej wyspy... - Uderzył lekko stopą, obutą w zwykły skórzany sandał, o kamienną podłogę tarasu. - Gdyż wystarczy jedno moje skinienie, a droga pnąca się tu pod górę zniknie pod nawałnicą spadających skał i wróg musiałby mieć skrzydła, aby do mnie dotrzeć. Dla tej przyczyny nie rozmyślam o nieprzyjaciołach. Nie lękam się zresztą nikogo, gdyż flotą moja jest potężna. Lecz nie mógłbym jej wybudować i utrzymywać w gotowości bez pomocy Troi, a Troja, która leży odkryta między morzami i narażona jest na natarcie zewsząd, wie, że pod osłoną floty Tenedos może rozwijać się spokojnie. Moje maleńkie królestwo jest tarczą dla całej rozległej krainy na lądzie stałym, nad którą panuje brat mój. Zresztą wiesz o tym dobrze, będąc dostojnikiem kreteńskim i człowiekiem zaufanym

swego władcy. Czyż wasi potężni królowie nigdy nie pragnęli zatknąć podwójnego topora przed przesmykiem wiodącym ku północnemu morzu? Czyż nie musicie korzystać z naszego pośrednictwa w zakupie zbóż rozmaitych, które tam uprawiają? Sprzedajemy je wam taniej, niż czyni to Egipt, choć i z Egiptu je bierzecie. My kupujemy je od ludów mieszkających za przesmykiem. A bursztyn, który dociera do was przez nasze ręce? Przecież nie my go zbieramy i nie wiemy nawet, jaki lud go znajduje. Kupujemy go od plemion mieszkających wokół morza za przesmykiem, on zaś od innych ludów, które żyją dalej jeszcze na północ. Słusznie zamierzał brat królewski Widwojos odbyć wyprawę dla zbadania ojczyzny bursztynów. Wiedział też, że przepuścilibyśmy jego okręt, gdyż jest księciem Krety. Szczerze mówiąc nie wierzę, aby powrócił on kiedykolwiek z owej wyprawy, gdyby zapuścił się w którąś z rzek wpadających z północy do owego morza. Żyją tam ludy niezwykle dzikie i wrogie przybyszom. Inaczej i my pragnęlibyśmy tam dotrzeć, choć wolimy handel, jaki prowadzimy z osadami nadbrzeżnymi owych krain. Lecz wiemy, że okręty nasze, które zapuściły się zbyt daleko, nie powróciły nigdy. Szczerze mówiąc: nigdy nie dotarliśmy w głąb lądu na północy. Zresztą świat tam zimą przemienia się w białą umarłą pustynię, gdzie zginie każdy, kto nie zna jej tajemnic i nie narodził się tam. Lecz znam Kreteńczyków i wiem, że mimo to pragnęlibyście mieć w ręku ów rygiel, oddzielający oba morza, jakim jest Troja. Jeśli nie próbowaliście go uchwycić, to nie dlatego, że brak wam ludzi lub okrętów, lecz dlatego, że zawsze umiecie rozpoznać, kto z bliższych lub dalszych sąsiadów jest słabszy niżli wy, może stać się waszą ofiarą i zostać przemieniony w sługę!

- Roześmiał się pogodnie.

- Szlachetny władco tej wyspy! - Skamonios uniósł obie dłonie w geście zaprzeczenia. Na jego obliczu widniał równie miły i pogodny uśmiech. - Boski Minos, jak wiesz, uważa ciebie i najszlachetniejszego brata twego za swych przyjaciół. On także jest waszym przyjacielem! Czyż inaczej wysłałby mnie tu z zadaniem tak wielkim i otoczonym tak gęstą tajemnicą?

- Słusznie rozumuje pan twój, władca Krety, sądząc, że jesteśmy jego przyjaciółmi! My także wiemy aż zbyt dobrze, że nic dobrego nie przysłoby nam z tego, gdybyśmy nimi nie byli. Gdyby zechciał, odciąłby drogę na południe naszym okrętom, a na północ okrętom fenickim i tych ludów, którymi władacie. Wówczas handel nasz zacząłby ponosić ogromne straty, a Troja, strzegąca przesmyku między morzami, upadłaby wreszcie lub musiała szukać zysku i chwały w walkach z ubogimi ludami koczowniczymi lub silnymi na lądzie sąsiadami, którzy mogliby do boju wyprowadzić wojska liczniejsze niż nasze. Nie, los nasz związany jest z morzem i dla tej właśnie przyczyny brat mój i ja uczynimy wszystko, by zadowolić twego potężnego króla. Gdyż wielce będzie on nam wdzięczny za tak straszliwą przysługę i milczenie. A na morzach tego świata wdzięczność Minosa i jego przychyłność znaczą tyleż lub więcej niż przychyłność Posejdona.

- Dzięki ci, królu, za tak piękne słowa. Przekażę je memu panu, gdy czas nadejdzie.

- Uczyń to. Lecz zna on nasze myśli bez twej pomocy.

Albowiem nie ma większej przyjaźni niżli ta, której źródłem jest wspólna korzyść z niej płynąca!

Roześmiał się ponownie, wstał i zrobiwszy kilka kroków odwrócił się, by spojrzeć ku wznoszącemu się nad skalnym pałacem ostremu wierzchołkowi góry. Później zawrócił i usiadł.

- Pragniemy królowi twemu wyświadczyć tę przysługę, a brat mój obmyślił pewien piękny podstęp, który posłuży do jej wypełnienia. Podstęp tak piękny, że choć pan twój pragnął, aby okręt Widwojosa także zaginął, wierzymy, że może załodze zezwolić na powrót do Knossos, gdyż wieści, które ludzie ci przywiozą, będą w wielkiej zgodzie z zamysłem Minosa. Lecz, jak dotąd, ów dzielny brat królewski nie nadpływa ku nam z południa na swym wielkim okręcie! A patrząc na ciebie,

czcigodny Skamoniosie, obawiam się, że twoja przywykła do dworskich obyczajów dusza i przywykłe do dworskich wygod ciała cierpią od pięciu dni, odkąd tu się ukryłeś, aby Widwojos po przybyciu do Troi nie spotkał ciebie lub kogoś z twojej załogi. Surowe życie w moim kamiennym zawieszonym nad przepaścią zamku musi wydawać ci się nędzne i prostackie po wspaniałościach Knossos. W Troi byłoby ci weselej, lecz miałaś słuszość przypuszczając, że byłaby to nieostrożność, a prócz tego gdzieżby miał cię ukryć mój brat wraz z twym okrętem i całą jego załogą?

- Królu, gdyby nie obawa, że zawadzam w tym pięknym pałacu będąc nieproszonym gościem, wyraziłbym większą radość z twojej gościny! - Skamonios złożył ręce i pochylił nisko głowę przymykając na chwilę oczy, - Lecz jeden cierń tylko tkwi w moim sercu: drzę na myśl, aby jakaś siła nieznana nie pokrzyżowała naszych zamierzeń.

- Wydobądź z serca ów cierń, mój kreteński przyjacielu! - Król lekko wzruszył ramionami. - Jeśli brat Minosa nie wpadł, zmierzając ku Troi, na podwodne skały lub nie zginął na skutek innego trafu w falach morza, nic naszych zamierzeń nie może pokrzyżować. Spójrz! - Znowu obrócił się i wskazał wierzchołek góry. - Jeśli bystrooki strażnik, który czuwa tam zawsze, dostrzeże okręt płynący morzem otwartym lub przemykający się chyłkiem wzdłuż wybrzeży Troady, lecz nie zmierzający ku naszej wyspie, wówczas zapala bez zwłoki stos gałęzi na wierzchołku góry, aby zobaczyły go nasze okręty strzegące wejścia do przesmyku na północy, a także te, które nieustannie czekają w przystani, gotowe do odebrania tego znaku. Wypłyną one na spotkanie owego okrętu, aby doprowadzić go tu lub, jeśli płynie on do Troi w przyjaznych zamiarach, skierować go tam. Nie obawiaj się więc, czcigodny panie, że ktokolwiek mógłby przepłynąć obok mej wyspy nie dostrzeżony. A gdyby nawet uczynił to nocą i chciał się przemknąć na morze północne, wiedz, że cieśnina owa długa jest bardzo i zawsze panuje w niej prąd przeciwny tym, którzy płyną na północ, jak gdyby tamto morze wlewało się nieustannie do naszego, co zapewne jest prawdą. Nikt jeszcze nie przepłynął owej cieśniny ku północy szybciej niż w dni trzy lub cztery, a wszędzie na jej obszarze są albo moje okręty, albo strażnice. Bez naszej zgody nikt nie przedostał się jeszcze na północ ani nie przybył stamtąd.

Zamilkł. Siedzieli przez chwilę w milczeniu spoglądając na niezmierną pustynię błękitnych wód widomą za kamiennym obramowaniem tarasu. Na zachodzie i na północy tkwiły w morzu zamglone w słońcu dalekie wyspy i jęzory lądu z zarysem gór wyrastających jak gdyby z rozedrganego powietrza i nie wspartych podstawami o ziemię.

Król skinął ręką. Podbiegł niewolnik niosący złoty dzban, a za nim drugi z dwoma pucharami.

- Jest to wino z owych wysp... - Władca Tenedos wskazał dalekie wierzchołki gór. - A przemieszano je z miodem pszczoł trojańskich i wysuszonym korzeniem pewnego zioła, które rośnie jedynie w naszej krainie. Czy zechcesz go skosztować?

Czcigodny Skamonios odrzucił wdzięcznym ruchem do tyłu długi ciemny warkocz, w który zapleciono mu rankiem włosy, i odparł, że byłby to dla niego niewypowiedziany zaszczyt i rozkosz równa tej, jaką odczułby przyjmując nektar z rąk bogów tej krainy, których, jak pojmuję, jest wielu, choć służą oni Wielkiej Matce, tej samej, która jest Panią Krety.

Niewolnik ukląkł u ich stóp, nalał wina do pucharów, uderzył czołem o kamienne płyty tarasu i cofnął się na klęczkach.

Unieśli ku wargom puchary. Król Tenedos, który był człowiekiem żywego usposobienia, wychylił swój szybko i powstał, aby raz jeszcze rzucić okiem na szczyt góry.

- Panie... - rzekł Skamonios odstawiając ostrożnie swój wspaniały puchar na ławę - wino to jest...

Los chciał, aby nigdy nie dokończył wypowiadać swej myśli. Król uniósł rękę.

- Stos na górze zapłonął! - rzekł szybko. - Nie oznacza to, że nadpływa okręt brata twego władcy, lecz może to być on!

Skamonios zerwał się i podszedł do obramowania. Stali przez chwilę wpatrując się w nieskończoną pustą powierzchnię wód, na której jedynie w kierunku Troi dostrzec można było kilka maleńkich łodzi rybackich. A jeśli to był Widwojos, nie mógł przecież znajdować się na północ od Tenedos.

- Tam! - rzekł król spokojnie i wyciągnął ramię wskazując kierunek. - Nic widać go jeszcze niemal, lecz musi to być w rzeczy samej wielki okręt!

Skamonios podszedł oczyma za jego wyciągniętą dłonią. I nagle dojrzał go!

Na błękitnej, białej niemal w promieniach porannego słońca, rozedrganej równinie morza dostrzegł maleńki ciemny kształt.

Z tej odległości przypominał on mrówkę posuwającą się powoli ku północy, a gdyby Skamonios nic widział, że okręt ów płynie pod żaglem wzdętym sprzyjającymi podmuchami, mógłby przysiąc, że stoi on w miejscu.

Nawet z tak wielkiego oddalenia wydało mu się, że dostrzega na owym żaglu ogromną głowę Byka o okrągłych spoglądających złowrogo oczach.

- Tenedos! Tenedos, boski książę! - Białowłosy uczył, że głos mu się łamie. Pragnął powstrzymać wzruszenie, lecz nie mógł i zamilkł oddychając gwałtownie, jak gdyby po szybkim biegu.

Od świtu stał na dziobie wypatrując znajomego wierzchołka góry na widnokregu. Teraz szczyt był jeszcze daleko, lecz za nim na prawo dostrzegł znajomy widok pasma Idy, zmieniony nieco, gdyż nigdy dotąd nie widział go z tej strony. Był pewien, że nie mogą to być inne góry.

Stali zbici w gromadkę na dziobie. Okręt płynął pod rozpiętym żaglem i wioślarze odpoczywali śpiąc lub wygrzewając się w słońcu. Kilku śpiewało tęskną pieśń o dziewczynie z gór, którą porwał rozkochany orzeł.

Sternik Eriklewes, oddawszy ster jednemu z ludzi, także zbliżył się do księcia.

- Okręty z Tenedos wypłynęły nam na spotkanie, boski książę! - rzekł. - Zawsze tak czynią. Lecz znam drogę do Troi. Gród ów nie leży nad morzem. Jest tam łagodna przystań i miejsce, gdzie łatwo wyciągnąć okręt na brzeg. Stamtąd prowadzi droga do miasta.

- A gdzież twój dom rodzinny? - spytał cicho Perilawos trącając Białowłosego w bok.

- Tam, za wyspą... - Chłopiec wskazał nieokreślony punkt na widnokregu. - W połowie drogi między Tenedos a Troją. Jest tam brzeg i... i moje domostwo ukryte między skałami... - Potrząsnął głową. - O, Matko... - Szepnął. - O, Wielka Matko... wysłuchałaś mnie... - I uniósłszy zwiniętą dłoń dotknął nią ukradkiem czoła.

Brzeg lądu przesuwiał się z wolna, a wyspa zdająca się do tego lądu przylegać, lecz oddzielona od niego cieśniną, zbliżała się i wkrótce dostrzegli lasy porastające jej zbocza, a także nagi szczyt skalny górujący nad nimi.

- Czyżby góra ta należała do owych, które zieją ogniem? - zapytał boski Widwojos wskazując ręką wierzchołek skały, na którym pojawił się pióropusz dymu, pochylony wiatrem ku północy.

- Nie, panie! - Białowłosy nie odrywał oczu od znajomego widoku. - Jest to znak dla okrętów, że obcy zbliżają się do Tenedos. Pewnie nas to dotyczy, gdyż nie widzę dokoła żadnego innego żagla.

- Tak, boski książę - przytaknął Eriklewes. - Byłem tu kilkakroć. Okręty króla Tenedos strzegą

ujścia przesmyku ku morzu na północy, a wraz z nim Troi, której przystań znajduje się u wejścia do owego przesmyku.

- Czy zapuszczaliście się także i w jego głąb?

Terteus nie zwrócił na niego oczu zadając pytanie. Uważnie rozglądał się po okolicy, jak gdyby pragnął wbić sobie w pamięć rysy wybrzeży i wymierzał odległości.

- Nie, nigdy. Gdyż nie zezwalają oni obcym, aby minęli Troję. Wyprawa ta będzie zapewne pierwszą, która to uczyni.

- Lecz Trojanie wpływają tam?

- Tak - rzekł szybko Białowłosa. - Ojciec mój był tam kilkakrotnie, będąc młodzieńcem, król bowiem nakazuje często rybakom, aby pełnili powinność na okrętach strażniczych i kupieckich, gdy ludy z południa przybywają po zboże, które zakupujemy na północy.

- A więc i my napotkamy tam ludzi, nie potwory... - Widwojos uśmiechnął się. - A jeśli zajmują się oni handlem, nie mogą być wrogami Troi i zapewne także od nas przyjmą podarki i wskażą nam drogę...

- Okręty! - zawołał Terteus. - Zezwól, panie, abym wydał załodze rozkaz uzbrojenia się, choć każdy z ludzi ma oręż w pogotowiu... - Przysłonił oczy dłonią. - Cztery! Lepiej będzie, jeśli ujrzą nas potężnie uzbrojonych i gotowych do obrony, choć zapewne nie natrą na okręt kreteński.

Cofnął się ku maszтови i donośnym głosem wydał kilka poleceń.

Ludzie poczęli dźwigać się na nogi, ucichła przerwana pieśń i po chwili na głowach żeglarzy zaśnity skórzane hełmy nabijane pięknie oczyszczonymi płytkami z brązu. Panczerze mieli podobne, osłaniające pierś, brzuch i ramiona przed strzałą, a nawet cięciem miecza. Część zasiadła na ławach i ujęła wiosła.

Terteus znowu zakrzyknął i boki okrętu okryły wielkie tarcze, uczynione jak gdyby z dwu spojonych z sobą kół. Na wszystkich był ten sam wizerunek czarnego byka o pustych białych oczach spoglądających groźnie jak oczy śmierci. Obnażone miecze i włócznie leżały obok wiosłarzy.

Stojący na dziobie także cofnęli się i unieśli zbroje, choć niechętnie, gdyż dzień zapowiadał się upalny, a skóra kaftanów, obciążonych naszytymi miedzianymi blachami, grzała niemiłosiernie. Wsparty na włócznie, powiewając wspaniałą kitą na okrytym złotym hełmie, boski Widwojos stanął pod masztem, mając u boku syna swego i kilku innych.

- Skręć ku nim, Eriklewesie - rzekł Terteus. - A na znak, że przybywamy w przyjaznych zamiarach, opuśćmy żagiel i z wolna przybliżmy się ku nim wiosłując.

Zdjęto liny z zaczepów i opuszczono reję wraz z żaglem, lecz nie składano go. Wkrótce znów pragnęli go podnieść, aby nie wyczerpać niepotrzebnie sił ludzi i nie zwalniać, gdyż do Troi było jeszcze daleko.

Okręty zbliżyły się. Były niskie, zwinne, a Terteus z uznaniem spoglądał na wiosła ich, unoszące się i opadające, jak gdyby jeden człowiek i jedna wola nimi kierowały. Zatoczyły łuk przed dziobem Angelosa i przystały kołysząc się na wodzie.

Okręt kreteński także zwolnił i wpłynąwszy pomiędzy nie, zatrzymał się. Był znacznie wyższy, tak że stojący na nim widzieli dobrze wnętrza owych okrętów. Wiosłarze byli wpół nadzy, a pomiędzy nimi stali żołnierze, wśród których dostrzegli łuczników. Lecz mieli oni łuki przerzucone przez plecy.

Gdy zbliżyli się na odległość rzutu włócznią, stojący na dziobie jednego z okrętów człowiek w białym narzuconym na ramiona płaszczu zawołał:

- Jesteśmy żołnierzami króla Tenedos, który panuje na tych wodach! Kim jesteście i dokąd

płyniecie?

- Okręt ten wiezie bogom podobnego Widwojosa, brata najpotężniejszego, boskiego władcy Krety Minosa, który udaje się w odwiedziny do króla Troi!

- Bądź pozdrowiony, boski książę! - odparł donośnie ów człowiek unosząc zwiniętą pięść i dotykając nią czoła.

- Czy znacie drogę do Troi, gdyż w pobliżu przesmyku jest kilka zdradliwych skał i płycizna, na której mógłby utonąć okręt tak wielki jak nasz?! Mamy polecenie, aby przeprowadzić was, jeśli tego pragniecie!

- Sternik nasz zna te wody i bywał już w Troi! Lecz wdzięczni jesteśmy panu twemu, królowi tej wyspy, za przysługę, którą chciał wyświadczyć boskiemu Widwojosowi! Boski Widwojos pragnie, abyś powtórzył mu te słowa!

- Uczynię tak!

Człowiek w białym płaszczu raz jeszcze przyłożył dłoń do czoła i odwróciwszy się, zawołał krótko do ludzi. Wszystkie okręty drgnęły, gdyż wiosła opadły jak jedno. Kolejno śmignęły przed dziobem Angelosa i poczęły się oddalać ku wyspie.

Okręt ruszył, uniesiono żagiel.

- Czy widziałeś, jak patrzyli na nas?! - zaśmiał się Terteus zdejmując hełm i odkładając tarczę. Nic dziwnego. Nigdy nie widzieli tak wielkiego okrętu i zapewne nigdy podobnego nie zobaczą, jeśli nie ujrzą nas powracających z owej wyprawy.

Żagiel chwycił wiatr i okręt zaczął sunąć po powierzchni spokojnego morza, rozcinając drobne fale i okrążając łagodnym łukiem wyspę.

Białowłosy znów powrócił na dziób. Widząc, że książę i Perilawos zbliżają się tam także, usunął się. Zdjął hełm, lecz był tak przejęty, że wciąż miał u boku długi miecz, a w ręce ciężką włócznię.

- Cóż to, pragniesz uderzyć na rodzinną wioskę?! - roześmiał się Perilawos. - Nie oczekują cię tam i jeśli ujrzą cię nadchodzącego po falach w pełnym uzbrojeniu, orzekną, że jesteś rozbójnikiem morskim i zabijacie, nim pokłoniś się ojcu i matce!

- Ojcu i matce... - rzekł Białowłosy cicho. Uniósł głowę. - Będziemy płynęli wzdłuż wybrzeża, gdyż okręt musi wyminąć płyciznę za przylądkiem. Gdybym skoczył do wody, dopłynąłbym łatwo do domu.

- Czemuż miałbyś to czynić? - zapytał książę. - Jeśli woda jest tam dostatecznie głęboka, a zapewne pamiętasz jeszcze, jakie dno ma ów skrawek morza, nad którym przyszedłeś na świat, zbliżymy się tak, abyś mógł wraz z darami dotrzeć do swego domu. A jutro lub pojutrze napotkasz nas w Troi, jeśli zechcesz nadal nam towarzyszyć. - Uśmiechnął się widząc, że twarz chłopca okrył rumieniec.

- Dzięki ci, panie...

Białowłosy nisko pochylił głowę. Później uniósł oczy i zaczął wpatrywać się w linię brzegu.

Mijali wyspę. Dym na wierzchołku skalnym nadal unosił się ku górze. Być może władca Tenedos dawał znak do Troi, że obcy okręt zbliża się ku przesmykowi.

I oto dostrzegł znajomy grzbiet przylądka. Wysoko w górze kołował nad wodami orzeł morski...

„Czyżby był to ów ptak, którego ujrzałem wówczas?” - pomyślał Białowłosy. Stał nieruchomo, nie słysząc rozmowy księcia z Terteusem, wpatrzony w zbliżający się przylądek.

Z wolna... z wolna wysuwało się spoza przylądka pasmo lądu. Znajome... nierzeczywiste, jak gdyby wydobyte z owych snów, które tak często go nawiedzały i w których widział je z łodzi na

chwile przed uderzeniem nawałnicy nadbiegającej spoza gór.

Mimowolnie uniósł wzrok, lecz nad górami lśnił gładki jasny błękit nieba.

- Tak, tam! - Nie mógł się mylić. Wyciągnął ramię i wskazując, rzekł niemal szeptem: - Tam jest mój dom!

- Co rzekłeś? - Terteus, który właśnie zamilkł odpowiedziawszy na pytanie księcia, pochylił się ku niemu.

- Tam jest mój dom! - powtórzył Białowłoso. - Tam, gdzie owe dwie skały i zarośla. A wyżej las podchodzi do grzbietu wzgórza.

- Widzę tam same skały i zarośla! - roześmiał się Terteus. - Lecz jeśli widzisz już dom swój, podziękuj bogom.

Białowłoso pochyliwszy głowę i uniósłszy obie ręce, w myśli ukorzył się przed Wielką Matką, która rządzi ziemią, i przed Posejdonem, który wiódł go po morzach, składając im dzięki za to, że przywiedli go tą samą drogą, którą porwała go burza, by oto mógł ujrzeć rodzinną ziemię, choć tak wiele razy serce w nim upadało i przestawał wierzyć, że ujrzy ją jeszcze kiedykolwiek.

Spoglądali na niego w milczeniu, póki modlił się, a w serca ich wstąpiła również radość. Wydarzenie to zdawało się być dobrą wróżbą dla wyprawy.

Białowłoso opuścił ręce i patrzył. Byli jeszcze daleko.

Pomiędzy nim a owym odległym miejscem wybrzeża rozciągało się pasmo wód, a na nim tkwiła maleńka samotna łódź rybacka, której ciemny żagielek odcinał się od roziskrzonego słońcem morza. Jakiś rybak łowił na skraju płycizny jak niegdyś on. Ileż tuńczyków musiało odwiedzić te wody od owej chwili! Być może niektóre z nich przepłynęły nie opodal Krety, a nawet nie opodal brzegów Egiptu? A ów, którego zabił? Czyżby był on zaklętym w rybie ciało groźnym duchem, który pomścił na nim swą śmierć, gnając go po morzach i łądach, od brzegu do brzegu? Lecz nie mógł to być duch wielce straszliwy, skoro udało mu się powrócić.

Angeles płynął teraz blisko brzegów, opuszczono ponownie żagiel i wiosłarze posłuszni głosowi przodownika wolno zanurzyli wiosła, gdy sternik zrećnie prowadził okręt na skraju jasnej wody, oddalając się od niej i przybliżając, aż wreszcie zniknęła i znowu naokół morze przybrało mroczną zieloną barwę.

Mała łódeczka była coraz bliżej, zeszła z drogi okrętu i stojący w niej człowiek oparł się o maszt, zaprzestawszy połowu. Zapewne ze zdumieniem wpatrywał się w ogromny okręt, na jakim nigdy dotąd nie spoczywały jego oczy.

Zbliżył się do łodzi tak, że wyraźnie dostrzegł miejsce, gdzie żagielek był zszyty, świecąc nową łątą.

Białowłoso zmrużył oczy. Łódź była tuż przed nimi po lewej, pomiędzy okrętem a brzegiem, a dalej był pas niskich skał i miejsce, gdzie...

- Ojczy! - krzyknął nagle. - Ojczy!

Cofnął się i w pancerzu, rzuciwszy włócznię i miecz na dno, skoczył do wody, nurkując tuż pod uniesionymi wiosłami okrętu. Płynął przez chwilę pod wodą i wynurzył naprzeciw łodzi.

Stojący pochylił się, gdy chwycił rękami za burtę.

- Ojczy! - zawołał wypluwając wodę; - Ojczy! Poznałem cię z dala i oto jestem!

Zobaczył, że ogorzała twarz ojca zbladła gwałtownie.

Dwie silne ręce pochwyciły go i jak piórko uniosły w górę.

- Żyjesz... - rzekł ojciec cicho. - Żyjesz... - I objął go tuląc ku sobie jak małe dziecko, lecz tak

silnie, że łódź zachwiała się i omal nie wpadli obaj do wody. - Synu mój... - Odsunął go od siebie. - Żyjesz...

Białowłosy dotknął jego ręki i wyprostował się.

- Żyję, ojcze... - rzekł cicho. - I powróciłem na tym okręcie... - Nie wiedział, co jeszcze może rzec. Myśli pomieszały się, a serce biło mu tak, że zaledwie mógł oddychać. Mokra skóra pancerza lepiała się do ciała.

- Hej! - usłyszał za sobą okrzyk.

Odwrócił głowę. Zapomniał na chwilę o okręcie, a oto Angeles cofał się, lekko popychany uderzeniami wiosel i niemal otarł o nich po chwili.

- Odnalazłem ojca, panie! - zawołał Białowłosy ku stojącemu na dziobie Widwojosowi.

Widząc wspaniały strój księcia, ojciec jego uniósł dłoń i przyłożył ją do czoła pochyliwszy głowę.

- Bądź pozdrowiony, wielki panie, kimkolwiek jesteś - rzekł donośnie, lecz głosem, który drżał nieco, choć walczył jak mógł, aby nie okazywać wzruszenia. - Bądź pozdrowiony, albowiem miałem jedyne go syna tylko i opłakałem go, a tyś mi go zwrócił! Oby Wielka Matka czuwała równie szczęśliwie nad tobą i twymi synami!

- Dzielnego masz syna, rybaku! - zawołał wesoło boski Widwojos. - Niechaj sam ci opowie o swych przygodach, a ja jedynie pragnę, aby zabrał dary, które wiozł dla ciebie i swej matki, a których zapomniał opuszczając nas bez pożegnania! - roześmiał się.

Białowłosy nic nie odrzekł, lecz spuścił głowę. Podpłynęli i podano im wszystkie wspaniałe przedmioty, którym podobnych nigdy nie widział ich ukryty wśród głązów kamienny dom.

A gdy Terteus, pochyliwszy się nad burta, spuszczał mu z wolna piękną kreteńską sieć, Białowłosy szepnął:

- To dla ciebie, ojcze...

Oddali mu jeszcze miecz, hełm i włócznię o lśniącym ostrzu z brązu. Złożył je ostrożnie na dnie łodzi, na którym leżało kilka ułowionych już ryb.

- Czekamy cię w Troi na dworze królewskim! - zawołał Perilawos. - Przybądź, gdy ojciec i matka nacieszą się, a ty nimi!

- Przybędę, nim trzy dni przeminą! - zawołał wraz z ojcem pochyliłi głowy, przykładając raz jeszcze zwinięte w pięść dłonie do czoła, gdy padł okrzyk na pokładzie i wiosła zanurzyły się w wodę.

Angelos zmierzał teraz ku pełnemu morzu, by wyminąć trzy niskie wystające ponad wodą wysepki leżące na drodze do Troi.

Podniósł się ogromny żagiel i wydał półkuliście, chwyciwszy wiatr nadbiegający z południa.

Stojąc w kołyszącej się łodzi patrzyli za nim przez chwilę, później zwrócili oczy ku sobie. Milczeli.

- Nie będę już dziś łowił... - rzekł ojciec zacinając się i zamilkł pojmując, że słowa owe brzmią nedorzecznie w takiej chwili. Siadł na tyle łodzi i sterując wiosłem pozwolił, aby wiatr zaczął spychać ich ku brzegowi.

Białowłosy patrzył na zbliżające się znajome głązy.

- Matka... - rzekł wreszcie cicho - czy zdrowa jest?

- Zdrowa... - Ojciec znów zamilkł i nagle uśmiechnął się. - Było to dla niej, jakby jej życie zatoneło wraz z twoim owego dnia. Milczy... A nocami płacze... Wierzyłem, że to minie... lecz płacze

niemal co noc... - I nagle dodał wesołym głosem: - Nie będzie tej nocy płakała!

Łódź uderzyła o kamyki wybrzeża. Wskoczyli i wyciągnęli ją na brzeg. Białowłosa rozwiązał biały płócienny węzełek i wyjął z niego naszyjnik ze złotych listków, przetykany bryłkami bursztynu.

- To dla niej... - powiedział.

- Idź! - rzekł ojciec. - Sam tu uczynię, co trzeba.

Odwrócił głowę i patrzył za wysokim młodzieńcem, który tak niedawno był niemal dzieckiem. Ów wspinały wojownik w hełmie z czerwoną kitą, w pancerzu i z mieczem brązowym u boku, był to syn jego... syn, który oto piał się szybko biegnącą pośród skał kamienną ścieżką.

Białowłosa biegł niemal, przeskakując z kamienia na kamień, lecz zatrzymał się jak wryty przed skórą przesłaniającą wejście.

Z głębi domu dochodził miarowy szum żaren. Nie śpiewała.

Przymknął oczy. Później otworzył je i oparłszy włócznię o ścianę domu, ściskając w ręce naszyjnik, wszedł.

Odwróciła się, gdyż cień jego przesłonił wejście. Stał nie poruszając się.

Wypuściła rękojęść żaren i widząc cień wysokiego wojownika w hełmie podeszła o krok i zatrzymała się.

- Matko... - rzekł Białowłosa i zamilkł.

Gardło zacisnęło się i żaden dźwięk nie chciał już przejść przez nie.

Cofnęła się o krok i uniosła dłonie do szyi.

- Jestem, matko... - rzekł wreszcie cicho.

Nie poruszyła się. Nagle powiedziała wyraźnie:

- Podejdz i podtrzymaj mnie. Nie chcę, aby radość mnie zabiła, nim cię dotknę.

Zbliżył się i objął ją ramieniem. Jakże to było możliwe, że była niższa niżli przed rokiem?

Położyła głowę na jego piersi. Czuł, że serce jej bije jak szalone. Dygotała cała.

Wreszcie wyszeptala:

- Synu mój...

Objęła go ramieniem i zaczęła płakać.

Kraina umarłych liści

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Popłyniesz do brata mego, króla Tenedos.

Gdy po dwóch dniach Białowłosa wyruszył do Troi, napotkał w ulicy kramów i winiarni, rozciągającej się nad potokiem przed murami miasta, pierwszych żeglarzy z Angelosa.

Przechadzali się, zaczepiając wesoło dziewczęta, oglądając towary rozłożone na deskach wprost na ziemi, a wysokie pióropusze na ich hełmach zwracały uwagę mieszkańców grodu, gdyż wszyscy zapewne wiedzieli już, na jak niezwykłą wyprawę udaje się okręt kreteńskiego księcia.

Kamon i Orneus na widok Białowłosego, którego spotkali na skraju drogi, wznieśli wesoły okrzyk.

- Wszyscy tu rzekli, że nigdy cię już nie ujrzymy, co będzie z wielkim pożytkiem dla ciebie, gdyż ludzie opowiadają tu, że wszystkich nas pożrą tam żywcem potwory wiekuiście głodne i nie znające litości! - Kamon roześmiał się.

- Gdzież zamieszkujecie?

- W wielkim domu opodal pałacu królewskiego, gdzie mamy stoły i posłania, gdyż król tego miasta gości nas wspaniale! Żal będzie odpływać!

Orneus obejrzał się za jasnowłosą dziewczyną, która zatrzymała się, wybierając sztukę materiału, usłużnie rozłożoną przed nią przez brodatego kramarza.

- Ojciec zezwolił mi popłynąć z wami, gdyż, jak rzekł, okryłbym się hańbą przed obliczem boskiego księcia, gdybym pozostał więziony trwogą przed owymi potworami! - Białowłosa także się roześmiał. - Nie wiecie, gdzie można odnaleźć Terteusa? - Z zaciekawieniem spoglądał na białe, wysokie mury miasta i otwartą bramę, w której dwu strażników w pancerzach i z długimi włóczniami przechadzało się leniwie, niewiele zwracając uwagi na wchodzących i wychodzących ludzi.

- Zapewne pozostał dziś na przystani. Jest ona tak dobrze osłonięta, a nadbrzeże ma nowe i kamienne, że nie wyciągaliśmy okrętu, lecz stoi on uwiązany przy brzegu. Terteus trzyma tam nieustannie część załogi. Straże zmieniają się rano i wieczór, jak gdyby obawiał się, że ktoś może skraść nam okręt! - Kamon wzruszył ramionami. - Być może wie, co czyni postępując tak, gdyż choć do przystani - z miasta trzeba iść dobry kawał drogi, nieustannie stoi tam mrowie ludzi przyglądających się okrętowi. Nie widzieli nigdy podobnego, jak powiadają, i nie mylą się przecie, gdyż nigdy dotąd podobny Angelosowi okręt nie sunął po błoniach Posejdona. Lecz zapewne między owymi Trojanami kręci się niejeden rzezimieszek, a na niestrzeżonym okręcie zawsze znalazłoby się coś, co wielce by mu się mogło wydać przydatnym. Lecz ludzie nie są zadowoleni. Ma to być bowiem nasza ostatnia przystań, a dalej rozciąga się świat, w którym może nikt nas już nigdy nie ugości niczym... prócz strzały lub pchnięcia mieczem..

- Każę nam także powracać na posiłki do owego domu opodal pałacu, gdyż pragnie wiedzieć

nieustannie, czy nikogo nie spotkał jaki przypadek... Czyżby obawiał się, że niejeden może rozmyśla nad tym, co ludzie powiadają, i skryje się w chwili odpłynięcia okrętu, aby później powrócić do Amnizos wraz z przygodnym kupcem kreteńskim?

Białowłosy wzruszył ramionami.

- Żadnemu z nas nikt nie nakazywał towarzyszyć boskiemu Widwojosowi. Są tu jedynie ci, którzy sami tego pragnęli.

- Młody jesteś jeszcze... - Orneus uśmiechnął się.

- Bywa tak, że rzecz jakaś w pierwszej chwili zdaje się ponętna i piękna, lecz z biegiem czasu lęk zaczyna brać górę nad pragnieniem przygody... Cóż, ujrzymy to przecie. Wiemy, ilu nas tu przypląnęło. Ujrzymy, ilu odpłynie. Jak mniemam, to właśnie spędza Terteusowi sen z powiek nocą. Król ów gości nas pięknie, jak ci już rzekłem, wino leje się tu z dzbanów jak woda ze źródła, dziewczęta są wesole, a ludzie tego grodu przychylni cudzoziemcom jak ich władca. Dla tej właśnie przyczyny Terteus narzuca owe obowiązki strażowania i zbierania się na wspólne uczyty, gdyż tak trzeba je nazwać, a także obmyśla różne prace dla załogi przy ładowaniu okrętu i naprawach tego, co wcale jeszcze naprawy nie wymaga.

- Cóż... - rzekł Białowłosy. - Gdybym był dowódcą okrętu, pewnie także frasowałbym się na myśl, że mogę utracić ludzi na miejscu, gdzie kończy się świat znany. Tam, dokąd płyniemy, nie znajdzie nowych, którzy ich zastąpią. A i nam gorzej będzie, gdyby przyszło do walki.

- To prawda... - rzekł Kamon. Zasepił się nagle.

Później czoło jego rozjaśniło się. - Będzie, jak zechcą bogowie! - zawołał siląc się na wesołość.

Białowłosy pożegnał ich paru wesołymi słowami i skinieniem.

Ruszył ku bramie i minął ją, odprowadzany ciekawymi spojrzeniami strażników, którzy widząc młodego wojownika w kreteńskim hełmie z czerwoną kitą, z mieczem w długiej skórzanej pochwie i potrzęsającego lekkim oszczepem, który niósł w dłoni, wzięli go za przybysza z dalekiej wyspy, nie podejrzewając nawet, że jest on synem ubogiego trojańskiego rybaka.

Pałac królewski stał na podwyższeniu wewnątrz murów, a jeden z przestronnych domów gościnnych władcy Troi znajdował się u jego stóp. Białowłosy dotarł tam wąską uliczką zatłoczoną ludźmi przesuwającymi się w obu kierunkach.

Troja była grodem zasobnym, a miejsce, w którym się znajdowała, powodowało, że wiele okrętów z różnych stron znanego świata przybywało tu dla wymiany towarów.

Białowłosy bez trudu rozpoznał miejsce, w którym król trojański umieścił załogę boskiego gościa. Przed wejściem do owego domostwa stało kilku ludzi z Angelosa, rozmawiając z jakimś człowiekiem, najwyraźniej przekupniem, który ukazywał im przyniesione przedmioty w małej drewnianej skrzynce zawieszanej na skórzanym rzemieniu przerzuconym przez ramię.

Pozdrowiwszy ich Białowłosy wszedł do wnętrza i szczęśliwym trafem natknął się na Terteusa.

- A, jesteś! - Przez zasepione oblicze młodego rozbójnika morskiego przemknął cień uśmiechu. - Jakże cię ojciec i matka przyjęli?

- Sen mi oczy klei... - odparł Białowłosy szczerze. - Dwa dni i dwie noce opowiadałem im po stokroć te same przygody, które bogowie pozwolili mi łaskawie przeżyć!

- Jakże się dziwić matce, skoro cię już zapewne oplakała? - Terteus rozłożył ręce, później opuścił jedną z nich na ramię Białowłosego i ścisnął je lekko. - Pójdź, chcę mówić z tobą.

Ruszył pierwszy, a Białowłosy poszedł za nim.

Gdy znaleźli się na ulicy i zatrzymali za pierwszym załomem muru, który odgradzał ich od

ożywionej ulicy, Terteus rzekł:

- Król gości księcia i Perilawosa u siebie, na zamku, co jest rzeczą słuszną i nie wzbudziło mych podejrzeń, choć trzymamy tu nasz oręż, aby załoga nie była zdana na łaskę władcy tego grodu, gdyby nagle zapragnął wyciąć nas do ostatniego. W głowie mi się wprawdzie nie mieści, aby mógł to uczynić w mieście, gdzie tylu żeglarzy przybywa ze wszystkich zakątków, gdyż wieść o tym rozniosłaby się po całym mieście, jako że Widwojos jest bratem najpotężniejszego monarchy na morzach. Myślałem o tym długo i gdybym był Minosem... - zniżył głos, choć nikt ich tu nie mógł usłyszeć - to właśnie miejsce lub ową długą cieśninę, która nas czeka po wypłynięciu stąd, wybrałbym, aby rozprawić się z moim bratem. Minos nie rządzi tu już, więc nie na niego spadłaby nasza krew, a równocześnie jest to ostatnia przystań, gdzie zemsta jego może nas odnaleźć, nim powrócimy z wyprawy za przyzwoleniem bogów. Gdy odpłyniemy z Troi i minimy cieśninę, która znajduje się pod władzą goszczącego nas tu króla, któż będzie wiedział, gdzie jesteśmy i co się z nami dzieje?...Jakież okręty kreteńskie i jacyż wysłannicy Minosa dopędzą nas lub odnajdą? Tak mniemam od chwili wypłynięcia z Aten. A nadal nie mogę pojąć tego, co cię tam spotkało. Musiał to być jakiś zamysł, który nie udał się władcy Krety. Być może wzięto cię za kogo innego? Za Perilawosa może, bo gdyby jego porwano, nie dziwiłbym się. Nie wiem, lecz nie była to rzecz zwykła w czasie, gdy oczekujemy uderzenia, a boski Widwojos winien pamiętać, że nienawiść królewska towarzyszy jemu i jego synowi...

Urwał na chwilę i odetchnął głęboko, gdyż był nie nawykły do długich przemówień, a teraz przemawiał szybko, gorączkowo, jak gdyby chciał zrzucić z serca ciężar, a raczej podzielić się nim z kimś, komu ufał.

- Oto przyczyna dla której pragnę odpłynąć jak najszybciej. Trzymam załogę w gromadzie. Nie mogę ich zamknąć w owym domostwie, lecz obmyślam sto zajęć, które pozwalają mi mieć ich na oku. Lękam się, sam nie wiem czego? A to jest najgorsze. Wiem, że choć wszyscy możemy znaleźć śmierć z ręki Minosa, lecz nie nas on nienawidzi, a brata swego i jego syna... - I dokończył niemal z wściekłością: - I oto w takiej chwili, gdy wczoraj jeszcze ostrzegałem boskiego Widwojosa, aby miał się nieustannie na baczności, a nawet przeniósł pod byle jakim pozorem z pałacu, gdzie król oddał mu swe komnaty, do tego domu, gdzie się znajdujemy, a jeśli nie on sam, aby zezwolił Perilawosowi spać wśród nas, gdyż sądzę, że nikt nie uderzy na jednego z nich, aby oszczędzić drugiego. Dla Minosa bowiem jedynie śmierć ich obu może być celem. W takiej właśnie chwili, gdy odjechałem konno przed świtem do przystani dopilnować załadunku jada, które zakupiliśmy tu w wielkiej ilości, nie wiedząc, co nas czeka, gdy wypłyniemy na północ z owej cieśniny...

W takiej chwili, powiadam, przybywa do mnie sługa królewski, aby obwieścić mi, że boski Widwojos z synem i czterema dworzanami króla udał się na odległe pastwiska za górami, by obejrzeć stada trojańskich koni, które tam się wypasają i wybrać z nich kilka, gdyż król wierząc, że są to wierzchowce najpiękniejsze w świecie, pragnie nimi obdarować Widwojosa, aby zabrał je z sobą na okręt, jako że mogą być potrzebne wyprawie, gdy będziemy płynęli na północ pośród stepów wielką rzeką, którą mamy napotkać!

Odetchnął głęboko i zamilkł. Później dodał jeszcze:

- To prawda, że sam doradzałem boskiemu Widwojosowi, by zakupił tu kilka koni. Okręt jest wielki i znajdzie się na nim miejsce na przegrody dla nich, a jeśli mamy płynąć rzekami, nie ucierpią od podróży morzem, gdyż niektóre z nich nie znoszą jej i zdychają, jeśli są zbyt długo narażone na burzliwą falę morską... Nie pomyślałem, że zwiedziony uprzejmością owego króla zechce wraz z

synem udać się stąd w nieznanne miejsce z całkiem nie znanymi mu ludźmi!... A ma powrócić jutro, gdyż, jak powiadał ów dworzaniek, zapewne boski książę i jego syn spędzą noc po tamtej stronie gór, znużeni długą jazdą. I cóż mam uczynić? Niechaj bogowie spalą swym piorunem wszystkich Kreteńczyków i ich mądrość, która okazuje się głupotą, gdy który z nich ma roztrząsać swe sprawy jak dojrzały mąż!

- Są tam stada... - rzekł Białowłosy niepewnie. - Wiem, że królewskie stada latem pasą się za górami.

- I ja pewien jestem, że ów król nie skłamał! Lecz stało się tak, że my jesteśmy tu, cała załoga, stu uzbrojonych ludzi! A Widwojos i jego syn znaleźli się daleko stąd i znajdują się za górami! To jedno pojmuję! Być może... - dodał spokojniej - jutro Widwojos powróci wiodąc z sobą owe konie, a król twój okaże się władcą gościnnym i prawym. Lecz źle się stało, a ja... a my przysięgliśmy, że nie opuścimy ich! - Znowu położył dłoń na ramieniu Białowłosego. - Słuchaj! Czy znasz owe strony? Wiem, że Widwojos udał się ku stadom pasącym się za Białą Przełęczą. Tak rzekł ów człowiek. Gdzie się znajduje owa przełęcz?

Chłopiec skinął głową.

- Tak i ja sądziłem, gdyż tamtędy przepędzają stada na wiosnę. Inaczej musieliby gnać konie szerokim kręgiem nad morzem i nakładaliby drogi. Przełęcz owa leży w lasach pokrywających góry. Byłem tam kilkakrotnie, aby zebrać zioła dla matki.

- Mam tu konie... - Terteus spojrzał w ulicę, którą przechodził jakiś dostojnik, poprzedzany przez wrzeszczącego sługę z kijem... - Król Troi użył ich kilka, abyśmy mogli swobodnie docierać do przystani nie trudząc się. A Eriklewes czuwa dziś nad okrętem. Wydaje mi się doświadczonym i mądrym człowiekiem. Dobrze, że zabraliśmy go z Aten. Innych nie znam jeszcze. Zapewne poznam ich lepiej, gdy zanurzymy się w owym tajemnym świecie, ku któremu płyniemy. Tam każdy okaże swą wartość. I będę mógł im ufać, gdyż wspólny los połączy nas i żaden nie będzie mógł źle życzyć ani czynić innym. Sami bowiem będziemy tam pośród obcego świata. Lecz tu... - Zastanawiał się przez krótką chwilę. - Cóż byś rzekł, gdybyśmy udali się na małe łowy lub na przejażdżkę konną w okolice tego pięknego grodu? Być może droga zaprowadzi nas ku Białej Przełęczy... Nie wiem, czy napotkamy Widwojosa, lecz nie mogę tu tkwić bezczynnie. Lękam się o niego...

- Jak dawno wyruszył? - zapytał Białowłosy.

- Człowiek ów przybył mówiąc, że książę odjechał z synem na krótko, nim tu przybyłeś...

- Jeśli pojechali ku Białej Przełęczy - rzekł Białowłosy - znam ścieżkę w górach, którą przejdą konie...

Krótsza to znacznie droga, lecz niewygodna i łatwo tam może zbłądzić ów, który jej dobrze nie zna. Prowadzi przez wzgórza, które widziałeś z dala, schodzą one ku brzegowi, do miejsca, gdzie stoi dom mój. Znam tam każdy krzew i każde drzewo.

- Jedźmy nie zwlekając! - rzekł Terteus.

Ruszyli szybkim krokiem ku stajniom przyległym do domu.

Stajnie królewskie znajdowały się w obrębie wewnętrznych murów pałacowych, lecz straż w bramie przepuściła ich bez słowa, rozpoznając gości kreteńskich.

Na rozległym dziedzińcu Terteus skręcił w lewo. Białowłosy, który choć był Trojańczykiem, nigdy nie przekroczył świętego obwodu domu królewskiego, rozglądał się ciekawie dokoła.

Dziedziniec był niemal pusty, gdyż słońce grzało mocno i pył unosił się spod stóp, gdy szli po luźno wybrukowanym płaskimi kamieniami podejściu do bocznego skrzydła niskiego budynku,

przylegającego do właściwych komnat królewskich.

Przed otwartymi podwójnymi wierzejami stajni siedziało kilku ludzi na kamiennej ławie.

Na widok Terteusa jeden z nich, ubrany okazalej niż inni i mający na szyi srebrny łańcuch, dźwignął się i skłonił lekko.

- Czy pragniecie pojechać do przystani, mili goście kreteńscy? - zagadnął stojąc pomiędzy nimi a ciemnym wejściem stajni.

- Tak, o ty, który władasz stajniami króla! - rzekł Terteus oddając mu ukłon. - A raczej... nie do przystani, gdyż wszelkie sprawy związane z załadowaniem naszego wielkiego okrętu powierzyłem dziś memu sternikowi, który jest doświadczonego człowiekiem i dobrym żeglarzem. By rzec prawdę, pragniemy wykorzystać nieobecność naszego księcia i udać się na łowy w okolice waszego grodu. Ludzie tu powiadają, że macie wiele zwierzyny w lasach porastających wasze wzgórza. Pragniemy przed wieczorem powrócić. Księżę nasz, jak mi donieśli, nie przybędzie dziś do Troi, lecz przepędzi noc przy waszych stadach za górami, więc nie będzie nas dziś wzywał do siebie. A bogowie jedynie wiedzą, kiedy znów uda nam się dosiąść koni i pogonić za zwierzyną? Wiesz przecież, jak wielką i groźną wyprawą dowodzi boski Widwojos.

- Wiem i pełen dlań jestem niezmiernego podziwu jako i inni mieszkańcy tego grodu. To prawda, że boski wasz księżę może nie powrócić dziś, gdyż droga do naszych stad jest daleka i prowadzi przez góry. Boskiemu bratu króla Krety także zapewne uśmiechała się przejażdżka po tak długiej podróży morzem. Uzbrójcie się jednak w cięższe włócznie i łuki, gdyż możecie napotkać lwa albo niedźwiedzia, a nie są to wrogowie, których można ułować lub odpędzić lekkim oszczepem. Dam wam także śmigłe i zaprawione w trudach konie umiejące się wspinać, gdyż wszędzie tu, prócz wybrzeża morskiego, droga wasza będzie biegła przez doliny i wzgórza.

- Dzięki ci, panie! - Terteus raz jeszcze skłonił przed nim głowę. - Jeśli upolujemy zwierza godnego twej uprzejmości dla nas, zezwól, abyśmy ofiarowali ci jego skórę!

- Niechaj bogowie dadzą wam dobre łowy i doprowadzą was na powrót szczęśliwie do bram tego grodu, a wówczas i ja będę szczęśliwy.

Po wymianie owych grzeczności główny stajenny wybrał im dwa rosłe konie, na których odjechali ulicą ku domowi przeznaczonemu dla załogi Angelosa, torując sobie z wolna drogę przez tłum. Gdy znaleźli się tam, wzięli łuki i cięższe oszczepy, lecz nie pozbyli się mieczy. Terteus zapowiedział załodze, że powrócą późnym popołudniem lub o zachodzie słońca, i ruszyli kierując się ku południowej bramie, tej samej, którą Białowłósy wszedł wczesnym rankiem do grodu.

- Czy w tym kierunku udał się Widwojos? - zapytał półgłosem Terteus, gdy zrównali się w wąskiej uliczce, jadąc wolno i wymijając ustępujących im pieszych.

- Nie! - Białowłósy potrząsnął głową. - Jeśli, jak ci rzekli, droga jego wiodła ku Białej Przełęczy, opuścił gród inną bramą, ku wschodowi. Rozpoczyna się za nią trakt wiodący przez góry ku leżącej za nimi rozległej równinie, gdzie wypasają się stada królewskie. Droga to łatwa i pozbawiona wielkich przeszkód, lecz jadący zatoczą wielkie półkole wspinając się przez lasy aż ku owej przełęczy. Droga, którą my obierzemy, bardziej trudzi jeźdźców i konie, gdyż wiedzie przez bezdroża, lecz jest niemal o połowę krótsza i wyprowadzi na ową przełęcz. Wszelako ludzie królewscy nie obraliby jej mając z sobą znamienitych gości, a nie wiem, by rzec prawdę, czy słyszeli o niej, gdyż, jak rzekłem, jest to bezdroże i dosiadając konia może je minąć jedynie ów, który zna tam każdy wąwóz i każde łożysko potoku.

- Nie pobłądzisz? - spytał jeszcze Terteus.

- Nie!. - Białowłosy potrząsnął głową. - Znam tę drogę. Ojciec wskazał mi ją, gdyż wiedzie przez gęsty bór, gdzie co prawda możesz napotkać niedźwiedzia, lecz nie napotkasz lwa, który upodobał sobie rozległe równiny i skraj lasów.

- Niechaj nie wiedzą, że jest nam spieszno... - rzekł Terteus pochylając się ku niemu nad głową konia. - Pognamy nasze zwierzęta wówczas, gdy nie będzie nas można dojrzeć z murów.

Chłopiec bez słowa skinął głową. Zbliźali się ku bramie miejskiej.

Konie szły tanecznym krokiem, podrywając głowy, jak gdyby przeczuwały wielką otwartą przestrzeń.

- Sądzisz, że przetniemy drogę księcia?

Białowłosy spojrział ku słońcu, które wspinało się powoli na wierzchołek niebios.

- Jeśli wyruszyli wkrótce po wschodzie w pełnym poranku, dognamy ich na przełęczy lub wówczas, gdy rozpoczną drogę ku dolinom prowadzącym na ową równinę, gdzie pasą się stada królewskie. Z wolna minęli bramę i znaleźli się na kamiennym trakcie.

Człowiek zatrzymał się u wejścia wielkiego megaronu i zgiął w pokłonie tak niskim, że jego długie kędzierzawe włosy musnęły niemal gładkie kamienie posadzki.

- Jestem, królu mój.

Władca Troi rzucił ku niemu krótkie spojrzenie i uniósł rękę na znak, by czekał i milczał. Człowiek nadal trwał zgięty w ukłonie, jak gdyby oczekując nowego ruchu władcy, który zezwoliłby mu się wyprostować. Król był człowiekiem tłustym i nie młodym już, lecz ruchy jego były szybkie. Przechadzał się tam i na powrót po rozległej sali, zdając się zapominać o obecności tego, którego wezwał. Idąc pocierał dłonią szyję, co było u niego oznaką gniewu lub niepokoju. Lecz w owej chwili najwyraźniej nie był gniewny, gdyż zatrzymał się nagle i rzekł cicho:

- Zbliź się!

Człowiek zbliżył się i zgiął w ponownym ukłonie. Był nieco starszy niż król i długie włosy jego były już przyprószone siwizną.

- Wyszędłszy stąd weźmiesz konia i pognasz do przystani, gdzie wstąpisz na okręt - rzekł król nie podnosząc głosu i rozpoczynając ponownie okrężną wędrówkę pod ścianami megaronu - i popłyniesz do brata mego, króla Tenedos. Rzekniesz mu, że ksiązę Widwojos udał się rankiem w góry dla obejrzenia koni z mych stad, które pasą się na północy. Rzekniesz mu także, że bratu króla Krety towarzyszy syn jego, brat mej małżonki i trzech moich zbrojnych dworzan. I rzekniesz mu prócz tego, że załoga okrętu kreteńskiego pozostała w mieście... - Urwał na chwilę, przeszedł jeszcze kilka kroków i zawrócił, zatrzymując się przed stojącym. - A nikomu nie zwierzysz tych słów, jedynie bratu memu, królowi Tenedos, gdy znajdzie się z tobą oko w oko bez świadka. Gdy. to uczynisz, masz powrócić do mnie i rzec mi, co rzekł usłyszawszy twe słowa brat mój, choć, jak mniemam, nie rzeknie ci on niczego. Jakkolwiek uczyni, winienesz powrócić tu niezwłocznie, aby mi zdać sprawę z twego poselstwa. Odejdź!

Człowiek pochylił się jeszcze niżej, wyprostował i zniknął bez słowa.

Król stał przez chwilę, pocierając szyję otwartą dłonią, później z wolna ruszył ku drzwiom megaronu, minął siedzącą na ławie straż pałacową, która zerwała się na jego widok z chrzęstem pancerzy i mieczy uderzających o płyty posadzki, i wyszedł na pokryty gontowym dachem ganek.

Na dziedzińcu dostrzegł dwóch wojowników kreteńskich, których rozpoznał po czerwonych kitach kołyszących się na wysokich hełmach wygiętych u szczytu jak pęd paproci. Nadchodzili od strony stajen królewskich, prowadząc za uzdę konie, później wskoczyli na nie i odjechali

niespiesznie ku bramie pałacowej.

Stojąc w cieniu ganku, odprowadził ich wzrokiem, uśmiechając się lekko. Sam poprosił księcia Widwojosa, aby ludzie jego zechcieli korzystać z koni królewskich, gdyż droga z miasta do przystani była długa i nużąca.

Dumne pióropusze o barwie świeżo przelanej krwi zniknęły w bramie. Król uśmiechnął się ponownie. Choć przysługa, jaką miał wyświadczyć władcy Krety, była wielka i zapewne będzie mógł po jej wypełnieniu żądać dla swych okrętów i towarów większych ułatwień w handlu na morzach pod władzą Krety, niżli to miało miejsce dotąd, jednak nienawidził tego ludu. Nie on jeden, by rzec prawdę. Od stuleci pomniejsi władcy morscy drżeli, by gniew lub łakome oko panów tej wyspy o tysiącu okrętów nie zwróciło się przeciwko nim. Albowiem Kreta tkwiła jak czujna, nienasycona ośmiornica pośrodku świata, wyciągająca swe ruchliwe macki wszędzie tam, gdzie przeczuwała zdobycz i łatwe zwycięstwo. Ci, którzy nie wpadli jeszcze w owe macki, winni być nie mniej czujni niżli ona. Więc choć gotów był postąpić zgodnie z życzeniem Minosa, jednak sprawa ta wywołała niepokój w jego sercu. Jeśli Kreteńczycy zaczną rozmyślać o przesmyku, nad którym leżała Troja, wówczas...

Wzruszył ramionami i z wolna zawrócił do swego królewskiego pałacu. Idąc rozmyślał nadal. Ostatnie wieści z Krety upewniały o jednym: położenie nowego władcy nie mogło być tak mocne, aby pragnął rozpocząć jakąkolwiek nową wojnę. Ów spór rodzinny i sposób, w jaki Minos pragnął go rozstrzygnąć, wskazywały na walkę stronnictw wewnątrz królestwa na wyspie bądź też na zagrożenie samej osoby władcy. Król Troi wiedział, że Minos jest człowiekiem bezdzietnym. Można więc było przypuszczać, że sprawy wewnętrzne zajmą mu więcej czasu w okresie nadchodzącego panowania niż obmyślanie nowych wypraw. Lecz któż mógł to przewidzieć z pewnością?

Wszedł do megaronu i nagle zatrzymał się. A jeśli nie było żadnej przyczyny do niepokoju i przedwczesnej trwogi? Jeśli Kreta po prostu traciła siły jak sędziwy drapieżnik z wolna tracący zęby i pazury? Widomym znakiem tego mogła być zuchwałość rozbójników morskich, która rosła w ciągu ostatnich lat... A nie dochodziły do Troi żadne wieści o wielkich przedsięwziętych przeciw nim wyprawach. Lecz mogło być też inaczej. Jak przyczajony drapieżnik Kreta mogła gotować się do dalekiego skoku, którego celem była Troja odległa, lecz strzegąca drogi do nieprzeliczonych skarbów dalekiej północy?

Zmarszczył brwi i potarł szyję otwartą dłonią. Ponownie ogarnął go niepokój. Postanowił, że w najbliższym czasie winien spotkać się z bratem i rozważyć wraz z nim pewną myśl, która nasunęła mu się w tej chwili. Przygryzł wargi. Kreteńczycy byli uprzejmi i podstępni. A jeśli Minos posłużył się nim dla zgładzenia brata i zatopienia jego okrętu wraz z całą załogą, a później wykorzysta to, aby go oskarżyć o skrytą napaść na święty ród władców Krety? To zdjęłoby z Minosa wszelkie podejrzenia i gniew własnego ludu, a on, król Troi, nie mógłby przecież wyznać, że choć księcia Widwojosa zabito na jego rozkaz, lecz dokonał owego czynu w przymierzu z królem Krety i na jego życzenie! Nikt by temu nie uwierzył i nikogo wezwać nie mógłby, aby świadczył o prawdzie jego słów, gdyż prośbę władcy Krety przekazał mu dostojnik kreteński, znajdujący się teraz na Tenedos, a uczynił to, gdy byli sami w komnacie.

Począł przechadzać się po pustym megaronie, tam i na powrót, tam i na powrót, pełen nienawiści, z czołem pofałdowanym troską. Przeklęci Kreteńczycy!

Wreszcie zatrzymał się pośrodku sali i pokiwał głową, jak gdyby przytwierdzając tym ruchem postanowieniu, które powziął. Skoro Widwojos musi zginąć, niechaj zginie wraz ze swym synem.

Lecz okręt jego winien powrócić na Krete niosąc wieść o nieszczęściu, jakie spotkało ród Minosa. Wszyscy ci żeglarze niechaj zobaczą ciało swego księcia i jego syna. Niechaj dowiedzą się i stwierdzą własnymi oczyma, że zginęli oni bez woli i wiedzy Trojan. Jeśli tak się stanie, wszyscy będą żywym świadectwem niewinności jego, króla Troi. Tak, okręt Widwojosa musi powrócić na Krete!

Podszedł do małego gongu zwisającego na wysokim trójnogu i uderzył. Natychmiast w drzwiach pojawił się niewolnik.

- Niechaj przybędzie tu Paramas! - rzekł król i człowiek zniknął.

Po chwili pojawił się wysoki starzec w białej szacie i skłonił przed władcą.

- Wezwałeś mnie, panie?

- Tak, gdyż jesteś jedynym, który może stanąć u mego boku, aby wspomóc mnie, nie pojmuję bowiem, jak mam rozstrzygnąć zwycięsko wojnę toczącą się w mojej piersi.

I opowiedział staremu człowiekowi o swych wątpliwościach.

- Jeśli zezwolisz, abym rzekł słowo, władco mój... - rzekł starzec. - Mniemam, że rozumowanie twe jest roztropne i pełne mądrego przewidywania na wypadek, gdyby władca Krety ukrywał przed tobą przyczyny swego kroku. Gdybyś odmówił Minosowi, naraziłbyś gród swój, handel trojański i okręty na nienawiść Krety; gdybyś natomiast spełnił życzenie jego w całości, naraziłbyś się na niebezpieczeństwo ze strony owego władcy, który może ci zapłacić niktzemnością za twą usługę, wykorzystując ją jako przyczynę do wszczęcia wojny z tobą, a wojna taka, gdyby zwyciężył, mogłaby przynieść mu panowanie nad przesmykiem łączącym znany świat z morzem północnym. Lecz jeśli spełnisz główną część jego prośby, a zachowasz przy życiu wielu ludzi, którzy powrócą na Krete i będą świadczymi, że w śmierci Widwojosa nie było twej winy, a jedynie gniew bogów lub ich niezbadane wyroki zesłały ją, wówczas Minos nie będzie mógł wołać, że pragnie pomścić na tobie śmierć brata, której sam tak bardzo pragnął i którą wywołał. Tak więc, panie mój, choć księżę i jego syn zginą, niechaj okręt ów wyruszy w podróż powrotną. A jeśli Minos przez poufnego posła, oczekującego na Tenedos, wyrazi ci swój gniew dowiedziawszy się, że zezwoliłeś okrętowi Widwojosa powrócić, odpowiesz, że wymknęli się pod osłoną nocy zasadzce okrętów twego brata.

- Rankiem wydałem rozkazy, aby okręty nasze czuwały na morzu, na wypadek, gdyby Kreteńczycy chcieli odpłynąć na wieść o śmierci swego wodza. Mają one nie spuszczać ich okrętu z oczu, póki nie dotrze do Tenedos, gdzie brat mój ma w pogotowiu siły morskie, które mają zatopić go na pełnym morzu z dala od brzegów, aby żadna wieść o tym nie dotarła do innych ludów. A gdyby nawet trafem poznał ktoś prawdę o przebiegu wypadków, brat mój rzec może, iż okręty jego wzięły Kreteńczyków nocą za rozbójników morskich, nie wiedząc, że wypłynęli oni z Troi na powrót ku południowi, gdyż wszyscy dokoła wiedzieli przecie, że wyprawa księcia Widwojosa dąży na północ. Tego pragnął ode mnie Minos.

- Dobrze więc będzie, panie mój, jeśli wydasz rozkaz, aby nikt nie trapił owych kreteńskich żeglarzy i dano im swobodnie oddalić się od Troi, w którąkolwiek zechcą udać się stronę.

- Wysłałem człowieka do brata mego z wieścią, że Widwojos wyruszył już na spotkanie swego losu... - rzekł król niepewnie, nadal pocierając szyję. - Znajduje się u niego ów dostojnik kreteński, który czeka na rozstrzygnięcie spraw, aby donieść swemu panu o śmierci jego brata i bratanka.

- Niechże więc odpływa, skoro nikt już nie ujrzy Widwojosa przy życiu. Minos z pewnością oczekuje niecierpliwie wieści o przebiegu wydarzeń, a ów dostojnik musiałby wiele dni jeszcze pozostać na Tenedos, czekając na zatopienie okrętu i załogi, gdyż muszą oni pozostać tu dłużej na

czas uroczystości pogrzebowych. A jak mniemam, godnie opłaczemy wielkiego księcia Krety i wyprawimy igrzyska na cześć jego i jego zmarłego syna... - rzekł starzec bez uśmiechu.

- Będą to wspaniałe igrzyska! - odparł żywo król. - Takie, jakich nie widział jeszcze ten gród. Albowiem człowiek, którego będziemy opłakiwali, był jednym z najpotężniejszych książąt świata i zginął na mojej ziemi, będąc gościem moim.

Ruszył przed siebie, lecz zatrzymał się natychmiast pośrodku megaronu.

- Aby rzecz doprowadzić do końca, pragnę, abyś nie zwlekając udał się do mego brata. Niechaj rozkaże wszystkim swym okrętom, gdziekolwiek by się znajdowały, aby pozostawiły owych Kreteńczyków w spokoju i nie zbliżyły się ku nim. Rzeknij mu, że wyjaśnię tę rzecz, gdy zawiadomię go o śmierci Widwojosa i poproszę go, aby przybył tu na uroczystości żałobne.

- Czy mam niezwłocznie udać się tam, panie mój?

- Tak. Nie wiem, czy odplłynął już okręt, którym posłałem mu inną wieść, przed niedawnym czasem. Jeśli pospieszysz się, zdążysz być może znaleźć się na przystani, nim odplynie. Gdyby go już nie było, weź drugi okręt. Nie zaznam spokoju, póki nie dowiem się, że okręty mego brata powiadomiono, aby przepuściły Kreteńczyków. Zresztą on sam odetchnie, jak wiem to dobrze, gdyż jemu także nie uśmiecha się zatopienie kreteńskiego okrętu, choćby działo się to na żądanie króla Krety. Bo cóż stanie się, gdy król ów zaprzeczy temu i zechce uderzyć na nas, niosąc nam zemstę za swój własny występki, w którym byliśmy jedynie jego posłusznymi narzędziami?

- Pojmuję cię, panie mój. I powtórzę bratu twemu wszystko, jak mi nakazujesz.

- Uczyn to! A teraz każ zaprzęgnąć do rydwanu i niechaj woźnica odwiezie cię do przystani.

Starzec skłonił się nisko i wyszedł.

Król uniósł rękę ku szyi, lecz opuścił ją. Odetchnął ciężko jak człowiek, który pozbył się wielkiego frasunku, choć brwi miał nadal zmarszczone. Wiedział, że dzień jutrzejszy przyniesie wiele okropnych wydarzeń, a on, król Troi, będzie musiał w ciągu całego dnia tego udawać, że przerażająca wieść, którą otrzyma, jest dla niego równie niespodziana jak dla mieszkańców grodu i osieroconej załogi książęcego okrętu. Albowiem jedynie brat jego małżonki i trzech najbardziej zaufanych wojowników drużyny królewskiej wiedziało, że boski Widwojos nie może powrócić z owej przejażdżki, którą rozpoczął dla ujrzenia stadniny trojańskich koni. I jedynie oni czterej, prócz króla i jego brata, władcy Tenedos, wiedzieli, jaką straszliwą śmiercią zginąć ma kreteński książę i jego syn.

ROZDZIAŁ DRUGI

Lew was rozszarpał płowy!

Brat małżonki króla Troi był człowiekiem uprzejmym i wytwornym, jak gdyby nie narodził się w dalekim barbarzyńskim grodzie na północy, lecz w samym Knossos. Odwiedzał zresztą kilkakrotnie Krete w dniach swej wczesnej młodości, gdy żeglował tam jako dowódca jednego z licznych okrętów, które przewoziły na wyspę ziarno z północy. Od chwili, gdy wyruszyli wczesnym rankiem, zabawiał swych gości rozmową, ukazując im różne miejsca wybrzeża i drogę, która pięła się szerokim łukiem i zakosami w górę, by zniknąć w dalekich, owianych siną mgiełką poranną lasach, porastających zbocza rozległego pasma gór o łagodnych wierzchołkach.

Miasto z wolna oddalało się i choć nie poganiali swych koni, wkrótce znaleźli się w dzikiej okolicy, poza granicą otaczających Troję uprawnych pól.

Perilawos, który rozglądał się ciekawie, wysforował się nieco i celnym strzałem z łuku zabił zająca, który próbował umknąć, kryjąc się wśród głązów.

- Piękny strzał, książę! - zawołał brat królewskiej małżonki i skinął na jednego z ludzi, który zbliżył się do zabitego zwierzęcia, wyrwał strzałę i podał ją nadjeżdżającemu młodzieńcowi. Związawszy nogi zająca postronkiem, zarzucił go na szyję wierzchowca.

- Upieczemy go na popasie! - Brat królewskiej małżonki wskazał dłonią na dwa skórzane wory, które wiózł drugi z ludzi. - Mamy, by rzec prawdę, jadła i napoju dość, lecz świeże mięso lepsze jest niżli placki, miód i sery owcze... - Ruchem ręki ukazał dalekie miejsce pomiędzy dwoma wierzchołkami wzgórz. - Czy widzisz, boski Widwojosie? Las rozstępuje się tam, ukazując białe skały, stąd nazwanie Biała Przełęcz dla owego miejsca. Gdy dotrzemy tam, a stanie się to zapewne wkrótce po południu, będziemy odtąd posuwali się w dół. Dostrzeżesz zresztą stamtąd, panie, rozległe równiny, gdzie pasą się nasze stada, którym równych nie zna świat, jak sam się o tym przekonasz, gdy ujrzysz je z bliska.

- Ciesz się mnie to! - rzekł Widwojos szczerze. - Gdyż miłuję piękne konie... - Uśmiechnął się lekko. - Czasem nawet gotów jestem mniemać, że miłuję konie bardziej niżli ludzi, choć może ci się to wydawać głupstwem, niegodnym moich warg i twoich uszu.

- Cóż, każdy z ludzi uczy się z własnego doświadczenia... - odparł brat królewskiej małżonki z wahaniem. - Jeśli tak sądzisz, boski Widwojosie, rzec można, iż ludzie uczynili ci wiele złego lub próbowali uczynić, podczas gdy konie... - Rozłożył ręce. - To pewne, że koń jest wiernym towarzyszem człowieka i nie kieruje się zdradą ni podstępem.

Zbocze stawało się coraz bardziej strome i zwierzęta szły wolno, wybierając zręcznie nogami drogę pośród kamieni. Było coraz cieplej. Widwojos uniósł dłoń i otarł jej grzbietem pot z czoła. Brat małżonki królewskiej dostrzegł to. - Wkrótce dotrzemy do widomej przed nami krawędzi lasów

i znajdziemy tam miły chłód, który towarzyszyć nam będzie aż do przełęczy, gdzie, jeśli będzie taka twoja i twego boskiego syna wola, damy wypocząć strudzonym koniom i spożyjemy posiłek.

- Zdajemy się na ciebie we wszystkim, panie... - Widwojos zmarszczył brwi, gdyż Perilawos wysforował się zbyt daleko ku przodowi. - Jakie rodzaje grubego zwierza zamieszkują owe lasy?

- Są tu niedźwiedzie, pantery leśne, które żyją na drzewach, i lew, lecz on rzadko zapuszcza się w gęstwinię.

- Brat królewskiej małżonki obejrzał się na swych wojowników, którzy jechali nieco za nimi. - Żaden z owych drapieżników nie śmie uderzyć na ludzi, gdy jadą w większej liczbie, lecz bywało, że niedźwiedź zechciał wyskoczyć z lasu i obaliwszy jeźdźca wraz z koniem, pożreć obydwu lub poranić śmiertelnie. Jeśli więc zezwolisz. najdostojniejszy księżę, pragnąłbym, jako ów, któremu powierzono pieczę nad waszymi boskimi osobami, prosić cię, abys rozkazał synowi twemu, by trzymał się bliżej nas wszystkich, gdyż ja nie śmiem sam nalegać na to, zważywszy, iż jest wnukiem króla Krety.

Widwojos z ulgą skinął głową i okrzykiem przywołał Perilawosa, który wstrzymał konia i zaczekał, aż zrównają się z nim.

Czas upływał. Wspinali się coraz wyżej i wreszcie znaleźli się wśród gęstego, odwiecznego boru, porastającego brzegi płytkiego wąwozu, gdzie ślady kopyt końskich wskazywały szlak.

Wąwóz skończył się polaną, z której przez chwilę podziwiali rozległy widok morza i pofalowanej linii wybrzeża. W dole, niewidoczne już niemal, leżało miasto na niewielkim wzgórku, otoczone białymi murami. Ruszyli dalej. Perilawos wypytywał brata małżonki królewskiej o sprawy krainy, która ich gościła, a ów odpowiadał uprzejmie, cierpliwie, z nieodstępnym uśmiechem.

Później dwukrotnie jeszcze zeszli na krótko z koni w pobliżu źródeł, aby obmyć oblicza i dać zwierzętom napić się. Słońce pięło się coraz wyżej.

Wreszcie na jednym z łagodnych zakrętów drogi ujrzeli, że drzewa, które zdawały się nieskończonymi szeregami rosnać jedno ponad innymi, nagle zajaśniały prześwitami ukazującymi błękit nieba.

- Oto i przełęcz przed nami! - zawołał wesoło brat małżonki królewskiej. - Kres naszego wspinania się ku słońcu! Jest tam na zboczu szałas, gdzie w czasie swej wędrówki popasają ludzie strzegący stad. Jeśli zezwolisz, boski księżę, rozniecimy tam ogień i spożyjemy posiłek, a niechaj i konie nasze najedzą się, gdyż trawa na przełęczy jest wysoka i piękna, a to dla dwu źródeł z obu zboczy, które ją otaczają. Oba przemieniają się w potoki spadając ku równinie, i będą nam towarzyszyły, gdy poczniemy opuszczać się drogą ku dolinom.

Wkrótce znaleźli się na przełęczy. Widok stąd był zdumiewający, gdyż rozciągał się na dwie zupełnie różne od siebie krainy: przybrzeżną i drugą, leżącą po przeciwnej stronie rozległą dolinę pokrytą kępami gajów i szerokimi pastwiskami, które ciągnęły się daleko, aż ku następnemu pasmu gór, wyższych i groźniejszych niżli te, które właśnie przebyli.

Perilawos chciał zeskoczyć z konia, lecz brat małżonki królewskiej wskazał im niewyraźną ścieżkę, biegnącą wśród traw i znikającą pośród białych skał przełęczy.

- Zjedziemy z traktu w bok, bowiem tam, za drzewami, osłonięty kępą owych gęstych zarośli znajduje się duży szałas pasterski w miejscu dobrze chronionym od wiatru, gdzie rozpalimy ogień - rzekł wskazując wyciągniętym ramieniem. - Także i konie będą tam bezpieczniejsze, gdyż tu, jak widzisz, boski księżę, rozciąga się strome urwisko i nawet spętany mógłby któryś z nich dojść do krańca polany i runąć w dół, co utrudniłoby nam dalszą podróż.

Ruszył przodem, obaj goście za nim, a trzech milczący dworzanie na końcu. Po kilku chwilach za załamem skalnym ujrzeli ów szałas ukryty na granicy lasu i wielkich białych głazów pokrywających grzbiec przełęczy.

Brat małżonki królewskiej zeskoczył z konia i trzymał uzdę wierzchowca Widwojosa, póki ów nie zsiadł.

Gdy znaleźli się wszyscy na ziemi, wojownicy spętali konie i jeden z nich zabrał się do rozniecania ogniska, nazbierawszy szybko gałęzi na skraju lasu.

Usiedli na kamieniach, czekając na ukazanie się ognia.

Drugi z ludzi zdjął z konia oba skórzane worki i zbliżył się z nimi. Z jednego wyjął kubki i glinianą butlę dużych rozmiarów.

- Pójdę po wodę do źródła, panie? - rzekł zwracając się do brata małżonki królewskiej.

Perilawos nie znoszący beczynności ruszył z wolna ku wejściu do szałas, który był chatą zbitą z surowych bali drzewa, nie ociosanych nawet z kory, odpadającej długimi, wyschniętymi pasmami. Wewnątrz był półmrok, gdyż światło wpadało jedynie przez otwór wejściowy pozbawiony drzwi.

W rogu wałała się kupa zeschniętych liści i gałęzie, które ktoś przed niedawnym czasem przyciągnął tu zapewne, by uczynić z nich sobie posłanie, nieco miększe i wygodniejsze niżli naga ziemia stanowiąca podłogę.

Rozejrzał się i wyszedł na światło słoneczne, zaledwie jednak zrobił krok, pochwytyły go z dwu stron silne ramiona ludzkie, a ciężka dłoń spadająca na usta stłumiła okrzyk. Szarpnął się, lecz poczuł na gardle ostrze sztyletu.

- Jeśli poruszysz się, zginiesz! - rzekł uprzejmie brat małżonki królewskiej, głosem równie miłym jak w chwili, gdy upraszał ich, by zeszli z koni. - Zanieście go i połóżcie obok ojca jego, boskiego księcia.

Chłopiec poczuł, że silny sznur krępuje mu nogi. Porwano go w górę i jeden z wojowników trojańskich, człowiek najwyraźniej olbrzymiej siły, zarzucił go sobie jak piórko na ramię, przeszedł z nim kilkanaście kroków i rzucił go na ziemię obok ojca.

Bogom podobny Widwojos leżał na trawie spętany już, z rękami wykręconymi do tyłu i ściągniętymi mocno sznurem. Obok niego klęczał trzeci z wojowników trojańskich, a krótki, uniesiony w powietrzu miecz zawisł nad jego piersią.

Brat małżonki królewskiej pochylił się nad leżącym i uśmiechnął się niemal serdecznie.

- Zechcesz wybaczyć mi, książę, że miał wypoczynku, wody ze źródła i jadła ofiarować ci muszę najdłuższy z wypoczynków: śmierć. Nie żywię żadnej nienawiści ku tobie lub twemu synowi, lecz taka jest wola mego władcy. Musicie tu obaj zginąć.

- A czemuż miałby żywić nienawiść śmiertelną do mnie twój król? - spytał Widwojos unosząc nieco głowę i patrząc na niego wzrokiem, w którym mniej było przerażenia, a więcej rozpacz, gdyż przepełniała go w owej chwili jedynie myśl o synu, którego ciężki oddech słyszał tuż obok siebie.

- On także nigdy by nie godził na twe życie i nie wydał nam owego straszliwego rozkazu, gdyby nie brat twój, władca Krety, Minos... - Brat małżonki królewskiej rozłożył bezradnie ręce. - Choć nikt ze śmiertelnych nie może poznać prawdy o tym, lecz ty i syn twój, skoro macie nigdy już nie opuścić tego miejsca żywi, winniście wiedzieć, kto jest waszym zabójcą, gdyż nie pragnę, aby dusze wasze mogły stawać na drodze życia mego lub tych ludzi, którzy także do was nie żywią nienawiści, a będą musieli wykonać ów czyn na rozkaz królewski. Brat twój, Minos, przysłał tu dostojnika kretańskiego, który tak długo nalegał na mego króla kładąc na jedną szalę przyjaźń twego władcy, a

nienawiść na drugą, jeśli Troja nie zgodzi się wysłuchać jego prośby, że król mój, mając na względzie dobro i bezpieczeństwo swego królestwa, zgodził się. Tak więc zginiecie obaj, a my powrócimy do Troi w żałobie, wioząc wasze ciała.

- Jak ukryjecie przed światem ową zbrodnię? Zamordujecie waszych bezbronnych gości, czego nie czynią nawet najnikczemniejsi barbarzyńcy?

- To prawda, lecz rzekniemy, iż nie zważając na nasze prośby ty i twój syn zapędziliście się w las, ścigając dzikiego zwierza, i tam rozszarpali was lew i lwica, polujący u stóp przełęczu...

- Czyżbyście chcieli rozszarpać nas? - Widwojos głęboko zaczerpnął powietrza. - Któż wam uwierzy?

- Przekonasz się, boski książę, że mamy ku temu skuteczne narzędzie, choć nie jesteśmy lwami. - Brat małżonki królewskiej uśmiechnął się lekko i spoważniał natychmiast, oblekając oblicze w smutek. - Rzekłem ci już wszystko, co winienem być rzec. Gdybyś był człowiekiem nikczemniejszego rodu, nie trudziłbym się, aby cię objaśnić, czemu stanie się tak, jak się stać musi. Lecz, jak rzekłem, lękam się, aby dusze was obu, którzy jesteście książętami i potomkami potężnych królów, nie szukały pomsty na mnie i na tych ludziach, gdy zabiją was za chwilę. A prócz tego, skoro jesteś wielkim księciem ludu władającego morzami, winienem ci uprzejmość nawet wówczas, gdy muszę śmierć ci zadać. Pamiętajcie obaj, gdy staniecie przed Tymi, Którzy Władają w Ciemności, że uczyniłem dla was wszystko, co mogłem uczynić, i nie popełniłem wobec was żadnego zbytecznego okrucieństwa, a także nie znieważylem was niegodnym słowem. A teraz zechciej wybaczyć mi, książę, czas ucieka i słońce wkrótce pocznie zniżać się, gdyż dobiega południe.

- Jestem panem wielkich skarbów... - rzekł gwałtownie Widwojos. - Mogę cię uczynić człowiekiem równie potężnym lub potężniejszym niżli twój król.

- A gdzie są owe skarby twoje? - Brat małżonki królewskiej wzruszył ramionami. - Na Krecie! Czy sądzisz, że brat twój, wszechpotężny Minos, zezwoliłby mi wziąć choćby odrobinę z nich, gdybym ci darował życie? On, który uknuł twą śmierć i ściga cię swoją nienawiścią, mimo że jedno zrodziło was łono? Zresztą niczym są dla mnie skarby świata całego, skoro król mój wydał mi rozkaz. Jeśli nie wykonam owego rozkazu, zginę, a na cóż mi wówczas skarby twoje lub jakiegokolwiek inne? Bierzcie ich do wnętrza szłaśasu!

I pochylił się, by wraz z jednym z wojowników unieść za ręce i nogi Perilawosa, gdy dwaj pozostali uczynili to samo z bogom podobnym Widwojosem.

Wnieśli ich do szłaśasu i rzucili obok siebie na podściółkę z suchych liści.

- Tym lepiej... - rzekł rozglądając się po wnętrzu brat małżonki królewskiej. - Krew bluźnie na owe liście, które później spalimy, aby nie pozostało śladu po naszym uczynku, gdyż, jak wiecie, życiem odpowiadamy za to, by nikt nigdy nie dowiedział się, jak zginęli obaj...

Ludzie jego w milczeniu skinęli głowami.

- Sykosie, czas, byś uczynił to, co masz uczynić.

Rosły wojownik, który wydawał się człowiekiem ogromnej siły, skinął głową i wyszedł z szłaśasu. Powrócił natychmiast, niosąc jeden z dwu worków, w których według słów brata małżonki królewskiej znajdować się miało jadro dla podróżnych.

Rozwiązał worek i przechylił go. Coś wyleciało z cichym chrzęstem na podściółkę.

Leżący na ziemi spętani jeńcy w milczeniu wodzili za nim oczyma, starając się pojąć to, co miało stać się za chwilę. Gdy wojownik wyprostował się, z piersi Perilawosa wyrwał się okrzyk grozy.

Człowiek ów podniósł dłoń i poruszył nią, później wyciągnął ją ku stojącemu obok drugiemu

Trojańczykowi.

- Zaciśnij mi rzemienie na przegubie, abym nie mógł z nich wyszarpnąć palców, gdy zagłębię je w ich ciałach - rzekł ze spokojem.

Palce jego wsunięte były w grube spiżowe pierścienie, zakończone ostrymi, zakrzywionymi szponami, lśniącymi lekko w półmroku.

Widwojos pojął natychmiast, co miano z nimi uczynić.

- Zabijcie nas wprzód. Gdyż nie pragniesz chyba, aby człowiek ów...

- Książę, muszę ci rzec ze smutkiem, że nie mogę tego uczynić. Rozmyślałem długo nad tym, jak można by was zabić nie zadając wam tak straszliwych cierpień, lecz nie znalazłem sposobu. Gdybym kazał was przebić mieczem lub oszczepem, a nawet udusić, aby później poorać ciała wasze pazurami, mógłby pozostać ślad. A prócz tego, inny, jak wiesz, jest człowiek żywy, a inny martwy. Załoga twego okrętu, która zapewne będzie chciała ujrzeć zwłoki wasze, gdy powrócimy z nimi do miasta, mogłaby nie uwierzyć, że zginęliście rozszarpani przez lwy, gdyby człowiek ów począł rwać pazurami wasze ciała już po zgonie. Być może krew nie rzuciłaby się z ran, a być może nie zdołałby zatrzeć śladu po ranach zadanych mieczem czy oszczepem. Władca nasz nie pragnie, aby choć cień podejrzenia mógł paść na niego czy innego Trojańczyka. Tak więc, skoro nie mogę temu zaradzić, będziecie żywcem rozszarpani, jak gdyby napotkał was lew... - I zwrócił się do rosnącego wojownika:

- Sykosie, uczyn to tak, aby obaj nie cierpieli zbyt mocno.

- Tak uczynię, panie. Rzucę się im do gardła: najpierw owemu młodzieńcowi, a później ojcu jego. Inne rany zadam im, gdy będą już konali. Wówczas nie odczują bólu straszliwszego jak w pierwszej chwili. Tę jedynie łaskę możesz im okazać, jeśli zechcesz.

Widwojos przełknął głośno ślinę i przymknął oczy.

Otworzył je szybko.

- Jeśli możecie wyświadczyć mi większą łaskę, czcigodny Trojańczyku, każ słudze twemu, aby zabił mnie pierwszego, gdyż... byłoby to... nędznym okrucieństwem, abym musiał patrzeć na śmierć jego i słyszeć, jak umiera...

- Ojcze! - krzyknął Perilawos. - Więc nie ma dla nas ratunku?

- Czyżbyś zapomniał, że jesteś potomkiem królów? - rzekł jego ojciec z nagłym straszliwym spokojem. - Oto mamy umrzeć przed obliczem barbarzyńców.

- Tak, ojcze... - rzekł cicho Perilawos i zamilkł przymknawszy oczy, gdyż ujrzał, że rosnący wojownik postąpił krok ku przodowi i uniosł nad leżącym dłoń uzbrojoną w straszliwe, zakrzywione pazury.

- Żegnaj, książę... - rzekł brat małżonki królewskiej - i pamiętaj, abyś dał świadectwo prawdzie, gdy ujrzysz bogów podziemi: nie miałem ku tobie nienawiści i uczyniłem jedynie to, co mi nakazał król, którego muszę słuchać.

Widwojos przymknął oczy.

- Czyń, co ci nakazałem! - zawołał ostro brat małżonki królewskiej.

Książę zagryzł wargi do krwi. Czekał, czując już niemal na szyi straszliwy chwyt pazurów. Wstrzymał oddech.

Usłyszał cichy, stłumiony okrzyk i drugi krzyk, głośniejszy, jak gdyby mordowanego człowieka, wydobywający się z przebitego gardła, okropny i chrapliwy.

- Perilawosie! - zawołał i otworzył oczy, szarpiąc z rozpaczą więzy.

W tejże chwili ciężkie ciało zważyło się nań i krew zalała mu oblicze. Lecz nie była to jego krew.

Nie czuł żadnego bólu. Tuż obok swej twarzy dostrzegł dłoń uzbrojoną w owe przerażające pazury.

Lecz nie godziła ona w jego szyję. Leżała bezwładnie, otworzyła się z wolna i zamknęła. Znieruchomiła.

Usłyszał jeszcze jeden okrzyk i nagle zapadła cisza.

- Ojcie! - krzyknął Perilawos. - Czy żyjesz?

- Żyje twój boski ojciec! - odparł młody, jasny głos i w tej chwili ktoś uniósł ciało leżące na ciele Widwojosa i odrzucił je na bok.

- Książę! - rzekł Terteus oddychając ciężko. - Błagam cię w imię przysięgi, którą złożyłem mówiąc, że nie opuszczę w potrzebie ciebie i syna twego, abyś nie oddalał się już tak nierozważnie od załogi twego okrętu!

Widwojos pragnął odpowiedzieć, lecz słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Przymknął oczy i uśmiechnął się słabo. Na czoło wystąpiły mu wielkie krople potu.

- Perilawosie... - szepnął cicho. - Perilawosie, synu mój.

Gdy dotarli do przełęczy i ujrzeli ślady zwierząt skracające za załom skalny, a później dostrzegli spętane konie, Białowłosy pragnął wyjść na polanę przed szalasem, lecz Terteus powstrzymał go. Przywiązali konie do drzew i zbliżyli się ku siedzącym, nie dostrzeżeni w gęstym poszyciu. Stało się to w tej chwili, gdy wojownicy brata małżonki królewskiej rzucili się na boskiego Widwojosa.

Terteus uniósł łuk, lecz byli zbyt daleko. Lękał się, że strzała mogłaby trafić księcia. Widząc, że Trojanie wiążą jeńców, a później unoszą do szalasu, rzucili się zaroślami za nimi i przyczajeni za ścianą słuchali.

- Gdy ów Trojanin będzie mówił... - szepnął bezgłośnie Terteus - podskoczmy do drzwi... Dwóch musimy przebić strzałami, a dwu następnych nadziejemy na włócznie... Nie spodziewają się natarcia, więc... - Urwał i przesunął się do otworu wejściowego.

Chciał wstrzymać się jeszcze chwilę, by usłyszeć więcej, lecz dostrzegł wysokiego Trojanina, który pochylił się nad jednym z leżących i uniósł dłoń. Ujrzał błysk.

Wówczas Terteus zwolnił napiętą cięciwę i słysząc świst strzały Białowłosego, porwał za ciężki oszczep.

Wpadli obaj do wnętrza szalasu. Obie strzały wysłane z tak bliska nie chybiły. Dwaj pozostali ludzie nie pojęli jeszcze zapewne, skąd nadbiegła śmierć, gdyż żaden z nich nie sięgnął nawet do krótkich mieczy, które zwisały im u pasów. Widząc przed sobą dostojnie odzianego Trojańczyka Białowłosy pchnął mieczem i uczuwszy, że zagłębił się on w miękkie ciało, wyrwał go, by uderzyć ponownie. Lecz człowiek osunął się, nie wydawszy głosu, do jego nóg. Kątem oka dostrzegł, że Terteus trzyma oburącz swą włócznię, którą przebił czwartego człowieka tak straszliwym uderzeniem, że grot jej wbił się w drewnianą ścianę szalasu za jego plecami.

Człowiek uniósł dłonie ku piersi, pochwycił drzewce rżężąc... ręce jego opadły i osunął się w dół. Drzewce pękło z głośnym trzaskiem. Człowiek padł na ziemię, bluzgając jasnym strumieniem krwi z otwartych ust.

Białowłosy, stojąc z uniesionym mieczem, rzucał szybkie spojrzenia naokół, przesuważąc oczyma po ciałach powalonych wrogów. Lecz żaden z Trojan nie poruszał się już.

Terteus dysząc ciężko odstaąpił, odrzucił ułamane drzewce włóczni i zepchnął z ciała leżącego Widwojosa zwłoki człowieka, który nadal miał nałożone na rozwartą dłoń owe straszliwe, lśniące pazury.

I wówczas Perilawos zawołał:

- Ojcie!

A Terteus odparł:

- Żyje twój boski ojciec!

I pochyliwszy się, odepchnął ramię umarłego, który wciąż jeszcze obejmował nim księcia, a później wyrzekł owe słowa o przysiędze.

Szybko rozcięli więzy leżących, którzy powstali z ziemi, na pół jeszcze oszołomieni owym wydarzeniem, które omal nie zakończyło się tak straszliwie.

Widwojos tarł ręce, do których z wolna powracała krew, gdyż słudzy brata małżonki królewskiej spętali je mocno. Zrobił krok ku przodowi i zatrzymał się nad martwym już bratem małżonki króla Troi.

Pokiwał głową w milczeniu, wspominając jego słowa o Bogach Ciemności, przed którymi zapewne oto stanął, jeśli za mroczną granicą śmierci było miejsce, gdzie przebywali. Oni lub ktokolwiek inny?...

Przeszedł go dreszcz i szybko zwrócił spojrzenie ku Terteusowi i Białowłosemu, ocierającemu w kraj szaty jednego z leżących swój pokrwawiony miecz.

- Ponownie uratowaliście życie syna mego i moje... a ja... ja co dnia mniej mam możliwości, aby okazać wam wdzięczność moją... gdyż, jak rzekł mi ów umarły człowiek sądząc, że za chwilę zginę, brat mój wymógł na królu trojańskim, aby zamordował nas... Owe pazury miały służyć po to, abyście wy i cała załoga sądźli, iż rozerwał nas lew w górach. Zapewne zabiliby podobnie i nasze konie... A później oplakiwaliby nas zdradzieckimi łzami... Choć jestem księciem i bratem króla, Terteusie, i choć wielu uczyłem się spraw i sądziłem, że udało mi się zasiać w sercu mym ziarno mądrości, okazało się, że jestem jedynie zwykłym głupcem, który rzucił los swój i syna swego na łaskę najemnych morderców, choć tylekroć ostrzegałeś mnie rozumnie, abym nikomu nie dowierzał w tej podróży. Wybacz mi!

- Panie! - Terteus pochylił głowę. - Nie ma ludzi tak mądrych, aby nie popełnili błędu, gdyż los każdego z nas jest w ręku bogów, którzy czynią z nim, co zechcą, i... jak widzisz... mogą jednym skinieniem uwolnić człowieka nawet z pazurów lwa... - Uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie. - Jedyne, co ma tu wagę, to wasz zachowany od śmierci żywot, lecz teraz z kolei trzeba nam postanowić, jak zakończyć tę sprawę, gdyż łatwiej zapewne było zabić tych czterech, nie spodziewających się naszego natarcia, niż wymknąć się królowi Troi, gdy się o tym dowie. A będzie on teraz musiał, czy pragnie tego, czy nie, dążyć do zamordowania ciebie. Zresztą ani ty, boski książę, ani syn twój nie możecie powrócić już do Troi...

- To prawda... - rzekł Widwojos i zasepił się. Perilawos stanął przy nim, a później zbliżył do Białowłosego.

- Wiedziałem... - rzekł cicho, drżącym jeszcze głosem.

- Ujrzałem cię wpadającego do szałasu... A nim się to stało, usłyszałem świst... Wówczas otworzyłem oczy... I dostrzegłem owego człowieka ze strzałą w gardle...

Zatrzepotał rękami jak ptak. I padł od razu... - Położył mu rękę na ramieniu. - Bratem moim odtąd będziesz, choć urodziłem się księciem... Więcej niż bratem, gdyż stryj mój i ojciec są braćmi i... Stryj mój jest wielkim nikczemnikiem... choć jest królem... Obym i ja mógł kiedyś pospieszyć na ratunek tobie, jak ty uczyniłeś wówczas, gdy tonąłem, i dziś, gdy gorszy jeszcze los mi gotowano...

Białowłose spuścił oczy i zaczerwienił się.

- Wyjdźmy po oręż twój i twego boskiego ojca. Mniemam, że porzucili go przed szałasem, a nie

należy, abyście choćby przez chwilę byli bezbronni, gdyż bogowie jedynie wiedzą, co może nastąpić.

Wyszli. Widwojos i Terteus pozostali w szałasie rozglądając się.

- Sam nie wiem, co czynić, boski książę... - Terteus potrząsnął głową. - Choć ocaliłeś swój żywot, popadliśmy w wielką matnię. Okręt nasz stoi w trojańskiej przystani, a my jesteśmy tu, w górach. W dodatku zabiliśmy krewnego królewskiego, który na rozkaz swego władcy chciał wam odebrać życie...

Obaj chłopcy powrócili i zatrzymali się za nimi. Perilawos podał ojcu miecz i lekką włócznię, którą książę wziął i wsparł się na niej zamyślony.

- Jeśli nie wyprowadzimy okrętu... - rzekł Widwojos - jesteśmy zgubieni, gdyż nie umkniemy daleko nieznanymi krainami. Nikt nam nie udzieli gościny... a zresztą, czyż sąsiedzi króla Troi nie zechcą pochwycić nas i zamordować, jeśli zażąda on tego. A czegoż innego może żądać, gdy będzie drżał nieustannie, aby rzecz ta nie wyszła na jaw... A gdybyśmy podjęli samotną ucieczkę stąd, cóż stałoby się z Angelosem i jego załogą? Czy pozwoli im on powrócić na południe, aby rozpowiadali o zniknięciu moim i mego syna? Prędzej każe wyciąć ich podczas snu, a okręt wyprowadzi nocą z przystani i zatopi, aby ślad po nas nie pozostał w Troi! Mieliśmy przeciw sobie jednego potężnego władcę, teraz mamy dwóch! - Uśmiechnął się blado...

- Panie.. - rzekł cicho Białowłosy.

- Cóż chcesz rzec? - zapytał szybko Terteus.

- A gdyby... - Białowłosy zająknął się. Wiedział, że jest zbyt młody, aby zabierać głos w radzie, lecz myśl, która nagle nim owładnęła, wydała mu się tak prosta i niosąca takie możliwości ratunku dla wszystkich, że nie mógł jej zataić.

- Gdyby tak... - zaczął mówić prędko, zacinając się i rumieniąc - ukryć ciała owych ludzi i ich koni. Później niech boski Widwojos i Perilawos udadzą się wraz ze mną do mego domu... nad brzegiem morza... Pojmujesz mnie?

- zwrócił się do Terteusa, gdyż wstydził się spoglądać w oblicze księcia, gdy tak przemawiał nie pytany. - Wówczas ty powróciłbyś do Troi, jak gdyby po odbytych łowach... Wyjechaliśmy przecież na łowy, a ludzie w grodzie wiedzą o tym!... A rankiem wyprowadziłbyś okręt z przystani... Król Troi nie będzie jeszcze wiedział, co się wydarzyło. Myśli on, że boski Widwojos i jego syn zginęli.

Więc czemu miałby ci zabronić wyprowadzenia okrętu, aby wioślarze nie zgnuśnili lub dla jakiegokolwiek innej przyczyny... jak, na przykład, wypróbowania nowego żagla bądź czego innego... Pojmuje przecież, że nie odpłyniecie, pozostawiając boskiego księcia w górach, gdzie przebywa, aby obejrzeć stada królewskie. Rzecz taka byłaby nie do wiary. - Mówił coraz gwałtowniej, czując, że rumieniec zalewa mu twarz, i radując się niemal, że w szałasie panuje półmrok. - A wówczas po zmroku moglibyście podpłynąć do wybrzeża i zabrać boskiego Widwojosa i Perilawosa wraz ze mną na okręt... a później, gdy będziemy już na morzu, uzbrojeni i pod żaglem, można będzie uciec z tych wód i przepaść pogoni, aby móc zastanowić się, co czynić dalej. A cokolwiek by się miało wydarzyć, na morzu będziemy wolni, na najszybszym i najpotężniejszym okręcie, jaki zna świat! - Odetchnął głęboko i zamilkł, patrząc na nich.

- Bogowie! - zakrzyknął Terteus. - Czy słyszysz, boski książę! Niechaj mnie przebiją zardzewiałą włócznią, jeśli wpadł kto kiedy na lepszą myśl w gorszym położeniu niżli nasze!

- W rzeczy samej! - Widwojos ożywił się nagle. - Lecz musimy ukryć ślady tego wydarzenia, aby ktoś jadący przypadkiem przełęczą nie doniósł królowi, że wojownicy jego zginęli.

Wybiegli z szałasu i po krótkim poszukiwaniu znaleźli rozpadlinę wśród skał, kończącą się

ciemną szczeliną, która najwyraźniej prowadziła w głąb góry i wyżłobiona była jesiennym i wiosennym upadkiem wód. Gdy pierwsze ciało zniknęło w niej, Terteus udał się przed szłas i klnąc cicho zabił konie Trojan, aby podzieliły los swych panów. Czyn ów wydał mu się zapewne bardziej okrutny niżli zabicie owych ludzi, gdyż pobladł i ręce mu drżały, kiedy ciągnęli ciała koni ku szczelinie.

Później zatarli ślady krwi w trawie i wewnątrz szłasu, spaliwszy liście, tak jak chcieli to uczynić niedoszli mordercy Widwojosa. Rozejrzeli się jeszcze po okolicy, lecz nic nie świadczyło tu już o losie czterech sług królewskich, którzy, być może, do końca świata mieli pozostać na dnie owej niezgłębionej rozpadliny, a może runęli nią wprost do Hadesu?

Wskoczyli na konie i ruszyli, prowadzeni przez Białowłosego, bezdrożami leśnymi po karkołomnych perciach ku wybrzeżu. Ani razu nie wynurzyli się z gęstego lasu i nie napotkali nikogo, prócz pięknego jelenia o rozłożystych rogach, który na ich widok runął do uciezki, tratując z łoskotem zeschnięte gałęzie. Wreszcie, gdy wąwóz o stromych, poszarpanych ścianach wyprowadził ich na skraj odwiecznych borów, Białowłosy wstrzymał konia.

- Tędy, pośród zarośli, prowadzi ścieżka ku memu domowi... - rzekł półgłosem, choć nikogo nie mogło być w pobliżu. - Pojadę pierwszy, a gdy ujrzysz mnie i dam ci znak, wówczas - zwrócił się do Terteusa - pozostawcie tu spętane konie i pieszo podejdźcie do domu...

Boski Widwojos spoglądał na widoczne pośród ostatnich drzew morze, rozciągające się aż po granice widnokregu. Uczuł nagły przypływ otuchy. Rozpacz, która ogarnęła go, gdy zjeżdżali z gór, minęła. Jeśli widział morze, istniała możliwość ocalenia. Oby tylko udało im się ukryć bezpiecznie w owej chatce rybaka i doczekać nocy lub dnia jutrzejszego. Zjechali tak szybko, że popołudnie nie zaczęło się jeszcze chylić ku wieczorowi.

- Idź! - rzekł Terteus i wskazał Białowłosemu brzeg morski.

- Patrz na ów głąz tam... widzisz?... - Chłopiec podjechał do niego i trącił go lekko łokciem. - Jeśli pojawię się na nim, schodźcie.

Zeskoczył lekko z konia i zbiegł w dół, kryjąc się pomiędzy drzewami. Stracili go z oczu, później nagle wyłonił się tuż obok domu i zniknął.

Czekali. Nie było go długo, później dostrzegli, że wychodzi z ciemnego otworu wejściowego, z wolna zbliża do głązu i wchodzi nań. Nie opodał na niewielkiej łączce pasło się stado kóz, dalej był potok i zarośla. Białowłosy rozglądał się, był w białej płóciennym chlamidzie, bez hełmu i bez pancerza.

Spojrzał w stronę oczekujących i wydawało im się z oddalenia, że skinął głową. Później zszedł z głązu i powrócił do domu.

- Ruszajmy... - Przywiązali konie do drzew i poczęli schodzić, pochyleni, kryjąc się wśród krzewów i głązów pokrywających zbocze.

Gdy znaleźli się przed domem, Białowłosy ruchem ręki wezwał ich do środka.

- Rzadko bywają tu ludzie... - rzekł - jeśli nie liczyć naszych sąsiadów, także rybaków, lecz i oni mieszkają za ostrogą lasu i nie widać z ich domostwa naszego domu.

Widwojos wszedł i ujrzał skromnie odzianą młodą jeszcze kobietę i wysokiego mężczyznę, w którym rozpoznał owego rybaka, napotkanego w dniu, gdy Białowłosy skoczył ku niemu z pokładu Angelosa.

- Pokój wam i pokój domowi temu... - rzekł i zdjawszy hełm skłonił się im i posążkowi nad progiem, przedstawiającemu nieudolnie wyobrażoną Wielką Matkę.

- Pokój tobie, boski książę! - rzekł rybak.

Widząc, że oboje pragną uklęknąć przed nim, Widwojos zbliżył się ku nim szybko i powstrzymał ich przed tym.

- Choć jestem księciem - rzekł z uśmiechem - nie byłbym nim już, gdyby nie wasz dzielny syn. Obaj... - wskazał Perilawosa - winniśmy wam cześć i wdzięczność jako naszym dobroczyńcom, gdyż wychowaliście go na dzielnego i uczciwego młodzieńca...

Twarz rybaka rozjaśniła się, a matka Białowłosego uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

- Panie - rzekła - gdy straciłam go przed rokiem, czyż mogłam przypuszczać, że ludzie tak bogom bliscy jak ty i syn twój odwiedzą ten niegodny dom. Lecz niezbadane są wyroki bogów i być może Ona... - skłoniła głowę przed posążkiem - i inni bogowie upodobali go sobie, choć ród jego jest tak nikczemny i miał być jedynie skromnym rybakiem w niewielkiej krainie na skraju świata. A oto oczy jego widziały więcej niż oczy niejednego podróżnika i bohatera, choć ma jedynie lat piętnaście.

- I obawiam się, że ujrzą więcej jeszcze... - rzekł z powagą Terteus. - Obawiam się także, abyście wy dwoje nie musieli cierpieć, jeśli król dowie się, że bogom podobny Widwojos u was znalazł schronienie. Jest rzeczą największej wagi, abyśmy mogli ukryć tu księcia i syna jego do chwili, gdy okręt nasz odpłynie nocą ku wybrzeżu. Dla was rzeczą największej wagi jest, aby król wasz - nie dowiedział się o tym nigdy, gdyż zemsta jego może być straszliwa.

- Będzie, jak zechcą bogowie - odparł spokojnie rybak słowami, którymi sam Terteus zwykł był odpędzać niepokój.

- I ja tak sędzę, lecz wiem także, że bogowie nie pragną wspomagać nieroztropnych i gadatliwych. Czy macie tu miejsce, w którym książę Widwojos i syn jego mogą ukryć się aż do zapadnięcia nocy? Jeśli uda nam się dziś przybyć, zbliżymy się tak dalece do brzegu, jak będzie to możliwe, i on... - wskazał Białowłosego - przybędzie po księcia i syna jego. Jeśli nie uda nam się dziś wyprowadzić okrętu, a uczynimy to jutro o świcie, wówczas odpłyniemy daleko od Troi i także powrócimy pod osłoną nocy, dla waszego bezpieczeństwa.

Rybak uniósł rękę na znak, że chce coś rzec. Terteus skłonił głowę i zamilkł.

Ojciec zwrócił się ku Białowłosemu.

- Pojmuję z tego, że masz wraz z owym szlachetnym żeglarzem - wskazał Terteusa - udać się do miasta. Jeśli będziesz na pokładzie okrętu, uda ci się, znając brzeg, doprowadzić okręt aż ku owym głazom na prawo. Będę czuwał i ujrzę was, jeśli noc będzie jasna lub też dasz znak nakrytą hełmem lampą oliwną, którą odsłonisz na krótko po trzykroć i osłonisz tak, że światło jej skierowane będzie jedynie ku domowi, aby nikt z dala nie mógł ujrzeć, że coś się tu dzieje. Pamiętajcie, że okręty króla Tenedos opływają czasem nocą brzegi. Gdyby odkryły was, być może nie tylko my, lecz wy wszyscy będziecie zgubieni... A jeśli okręt nie pojawi się? - dodał nagle, jak gdyby uderzony tą myślą. Spojrzeli po sobie.

- Pojawi się! - rzekł Terteus. - Gdyż nie pozostawimy tu naszego wodza! Lecz gdyby... gdyby zdarzyło się coś, co nie pozwoli nam tu przyplynać, zjawimy się także... być może później... A jeśli zginiemy, wówczas... - rozłożył ręce i zwrócił się ku księciu - wówczas śmierć zwolni nas od przysięgi naszej i będziesz musiał, boski Widwojosie, szukać sam ratunku dla siebie. Lecz wierzę, że bogowie nie opuszczą nas teraz, gdy tak wiele niebezpieczeństw dali nam pokonać.

Skłonili wszyscy głowy przed posążkiem Wielkiej Matki i Terteus skinął na Białowłosego.

- Ojciec twój zapewne najlepiej wie, co uczynić ze swymi dostojnymi gośćmi, aby nie ujrzało ich niepowołane kutemu oko. A my spieszmy do Troi, jeśli chcemy dotrzeć tam przed wieczorem i

uczynić to, co zamierzamy uczynić. Żegnajcie, ojciec i matka mego młodego przyjaciela! - I skłonił się im nisko, niżej może niż chylił głowę przed boskim Widwojosem. Oddali mu ów pokłon. Białowłosey także pokłonił się ojcu i matce, a później, sam nie wiedział dlaczego, dotknął ręką jej włosów i uśmiechnął się wesoło, na znak, aby nie trapiła się.

- A więc, boski książę, czekaj nas nocą! - Terteus zniknął w drzwiach, lecz głowa jego ukazała się ponownie. - W lesie uwiązane są nasze konie. Swoje zabierzemy, gdyż wrócimy na nich do Troi. Lecz tamte zwierzęta musisz zabić, pochodzą bowiem ze stadniny królewskiej i zapewne koniuchowie rozpoznaliby je. A gdy zabijesz je, radzę ci nocą wypłynąć na morze i uwiązawszy do nich wielkie głazy, zatopić ciała w głębokim miejscu.

- Tak uczynię, panie.

Ojciec Białowłosego skinął głową. Przez chwilę on i matka chłopca patrzyli w otwór drzwi, jak gdyby spodziewając się, że ujrzą raz jeszcze syna lub jego przyjaciela. Później rybak szybko zwrócił się ku księciu.

- Panie mój, nim zaprowadzę was obu do kryjówki, którą mamy tu przygotowaną na wypadek napadu rozbójników morskich lub innej groźnej okoliczności, zezwól, że zapytam cię, czy nie jesteś głodny, gdyż zapewne odbyłeś dziś długą drogę, a z tego, co rzekł mi syn mój, pojmuję, że ciężkie były to chwile i być może zapomnieliście o potrzebach ciała. Lecz najpierw zaprowadzę was do owej nędznej nory wśród głazów, gdzie ze wstydem będę musiał prosić was, abyście spoczęli na zwykłej kozłej skórze w miejscu ciemnym, gdyż zawałamy wejście do niego głazem, który jest zmyślnie dopasowany, aby nikt obcy nie poznał, że tam mieści się nasza kryjówka. Żona moja przyniesie wam jadło.

- Uczyn tak, proszę... - rzekł bogom podobny Widwojos i spojrzał na syna. Nagle ku swemu zdumieniu poczuł wielki głód, choć wydawało mu się, że po owych straszliwych przejściach nigdy nie będzie mógł spojrzeć na jadło.

W owym czasie czcigodny Skamonios, pełen niepokoju, spoglądał ponad tonącą w blasku słonecznym błękitną równiną morza - ku Troi.

- Niesłusznie czynisz niecierpliwiać się, dostojny panie - rzekł król Tenedos, który od kilku chwil przypatrywał mu się z wesołym błyskiem w oku. - Nie pragnij też wyruszać na morze w chwilę po otrzymaniu wieści, której oczekujesz. Albowiem źle czyni ów, który wyrusza na morze, gdy słońce zachodzi. Jeśli opuścisz moją przystań jutro o świcie, nie przybędziesz na Krete o wiele później, a spędzisz noc w wygodnym łożu, nie na legowisku na dnie okrętu.

- Skoro goniec twego królewskiego brata, władco, doniósł ci, że Widwojos wyruszył już wraz z tymi, którzy mają go zamordować, a cała załoga jego okrętu pozostała w mieście, mogę śmiało donieść memu boskiemu panu, że los jego spadł z wagi bogów i runął do Hadesu. Czyżbym nie mógł ufać, że nie przekupi on niczym owych ludzi twego królewskiego brata ani nie zdoła uniknąć sidła, które nań zastawiono?

- Ludziom owym przewodzi brat małżonki mego brata - rzekł Tenedos. - Skoro książę Widwojos wyruszył z nimi w góry, nie ma dla niego ratunku. Nie powróci żywy, ani on, ani syn jego. Ci, którzy udali się z nimi, aby ich zgładzić, mają z sobą straszliwe narzędzie na kształt pazurów lwa i obezwładniwszy Widwojosa i jego syna, i rozszarpia nim ich ciała, aby sprawić pozór, że padli oni ofiarami dzikiej bestii. A nie znajdzie się człowiek, który mógłby im zadać kłam, gdyż, jak rzekłem, rany owe taki mieć będą wygląd, jak gdyby pochodzić mogły jedynie z lwich pazurów.

Czcigodny Skamonios wzdrygnął się mimowolnie i szybko odparł:

- Skoro jest jak rzekłeś, królu, nic mnie już nie może powstrzymać od opuszczenia twej pięknej wyspy. Dzięki ci za szlachetną i wspaniałą gościnę. Wyruszę jednak bez zwłoki, bowiem, jak sądzę, lepiej będzie, abym w chwili, gdy ciało Widwojosa powróci do Troi, nie był ani tam, ani tu, gdzie jest przystań, do której zawijają różne okręty. Jestem człowiekiem znanym w moim kraju i pobyt mój tu ktoś mógłby skojarzyć z tą śmiercią. Skoro dopłynę do mej ojczyzny, nim wieść o śmierci Widwojosa rozejdzie się szeroko, pozostanę po prostu jednym z tych, którzy prowadzą sprawy handlowe swego władcy z wami, tak jak to wiedzą doradcy twój i twego brata. Zresztą boski Minos z najwyższą niecierpliwością czeka mego przybycia ze smutną, a jednak pomyślną dla niego wieścią.

- Uczyń według swej woli, czcigodny panie... - Król Tenedos rozłożył ręce. - Załoga twoja jest wypoczęta, a wiatr będzie ci sprzyjał, jeśli nie nadejdą niskie mroczne chmury niosące deszcz, co podejrzewam, choć niebo dziś było pogodne. Zezwól, że każę przygotować dla ciebie kilkanaście dzbanów owego napoju, który tak sobie upodobałeś. Daj go skosztować także twemu władcy, boskiemu Minosowi, a dodaj przy tym, że zachowamy milczenie i nikt nigdy nie dowie się, czemu zginął boski Widwojos. Lub może nie wspominaj o tym, co władca twój pojmuje bez zbytecznych słów równie dobrze jak ja. Rzeknij mu jedynie, że wraz z nim oplakujemy zgon jego brata i bratanka, rozerwanych w lasach trojańskich przez lwa i małżonkę jego, lwicę. Upewnij go też, że wyprawiono im pogrzeb godny królewskiej krwi władców Krety, a także wyprawiono wspaniałe igrzyska na ich cześć, by usposobić przychylnie bogów ciemności.

- Tak rzeknę panu memu... - Skamonios pochylił uprzejmie głowę. - A teraz zezwól, królu, bym udał się do „leż komnaty i wydał rozkazy dowódcy okrętu, na którym przybyłem.

- Proszę cię, czcigodny panie, czyn w moim domu wszystko, co pragnąłbyś czynić we własnym, Skamonios skłonił się i wyszedł.

Król pozostał na tarasie, który był jego ulubionym miejscem i skąd lubił spoglądać na daleki świat w dole.

Odległe wyspy wydały mu się ostrzej zarysowane i bliższe niż zwykle. A była to oznaka nadchodzącej zmiany pogody. Spojrzał na niebo. Było bezchmurne. Słońce grzało ostro.

- Panie mój i królu... - odezwał się cichy głos za jego plecami. Odwrócił się. Był to dowódca straży.

- Czegóż chcesz?

- Przybył dostojny Paramas, doradca twego królewskiego brata, i prosi, abys zechciał przyjąć go na osobności.

- Jakże to? Dziś jeszcze przed niedawnym czasem odprawiłem już jednego posła mego brata! - rzekł król Tenedos z lekkim zdumieniem w głosie. - Cóż to być może? - Pytanie zadał sam sobie. Odprawił dowódcę straży, mówiąc: - Niechaj tu wejdzie!

Czekał chwilę, zastanawiając się, czy nie zaszło coś nieprzewidzianego. Lecz gdy stary Paramas pojawił się i wyjaśnił mu troski swego władcy, król Tenedos szybko pokiwał kilkakrotnie głową.

- Gdy powrócisz do Troi i staniesz przed obliczem mego królewskiego brata, rzeknij mu ode mnie te słowa:

„Bracie mój, jesteś mędrcom!” Dodaj też, że niezwłocznie wydam rozkaz wszystkim okrętom, aby na widok wielkiego okrętu księcia Widwojosa wymijały go w tak wielkiej odległości, aby nie mogło nawet powstać podejrzenie, że knują złe zamiary wobec niego. Rzeknij mu też, że mnie samego myśl podobna trapi już od chwili, gdy przybył ów dostojnik kreteński, wioząc żądania swego władcy wobec nas. Być może Minos jest władcą potężnym, lecz nie tak potężnym, aby lęk przed nim zmusił

nas do czynów nierozważnych. Niechaj mu dość będzie, ze... - Urwał i skinął głową. - Bądź zdrow, Paramasie. przekaż słowa moje królowi twemu, a bratu memu, i upewnij go o mej braterskiej miłości.

Odwrócił się i rzucił okiem na morze. Tak, brat jego nie był głupcem. Ponownie odwrócił się i zaklaskał w ręce.

- Wezwij do mnie dowódcę okrętów!

Pragnął, aby rozkaz o daniu wolnej drogi okrętowi księcia Widwojosa dotarł jak najspieszniej do wszystkich jego okrętów strzegących morza, przesmyków i wysp rozrzuconych naokół.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ojczy, odpływam!

Minęli bramę grodu i wjechali w ulicę prowadzącą ku królewskiemu pałacowi, gdy cienie wydłużyły się nieco, lecz piękny dzień wczesnego lata trwać miał jeszcze dość długo.

Terteus skierował się wprost ku domowi, który władca Troi dał na mieszkanie załodze Angelosa. Część ludzi znajdowała się wewnątrz, zajęta grą w kości lub strzelaniem z łuku do malowanego różnymi barwami pnia ustawionego pod ścianą. Inni byli zapewne w mieście.

Terteus zeskoczył z konia i nie wchodząc pod dach, zawołał donośnym głosem załogę. Wstawali leniwie, inni wychodzili z głębi domu zaspani, gdyż dzień był gorący, a cóż może być lepszego jak drzemka po południu, gdy człowiek wypije nieco zbyt wiele ciężkiego trojańskiego wina?

- Cóż byście rzekli na to, gdybyśmy przeciwiczyli nieco nasze zastate kości? - roześmiał się Terteus wodząc po nich wesołym okiem. - Jutro zapewne bogom podobny nasz wódz powróci wraz z końmi trojańskimi, które pojechał obejrzeć zakupić od króla tej krainy, a później będzie pragnął jak najszybciej wyruszyć, gdyż nikt z nas nie wie, jak długo trwa lato na północy, jeśli odnajdziemy je tam. Być może krócej niż sądzimy, a wówczas nie Zdołalibyśmy doprowadzić naszej wyprawy do kresu i nie powrócilibyśmy na Kretę przed porą wzburzonego morza. A że żyjąc tu od dni kilku w gnuśności i opilstwie zezwoliliście ramionom waszym zwiotczeć, sądzę, że godzi się nam zaznać dziś nieco pracy przy wiosłach na tej rozległej zatoce, gdyż jeśli jutro każe nam wódz nasz wyruszyć, wpłyniemy wprost w długą cieśninę, o której powiadają, że jest zdradliwa i najeżona skałami... - A słysząc niechętnie głosy, dodał szybko: - Abyście nie sądzili, że mniemam, jakoby lepszy był niżli wy i pragnę wygrzewać się leniwie w słońcu udając wodza i spoglądając na wasze pochylone nad wiosłami grzbiety, także ujmę za wiosło, gdyż i mnie dolega już bezczynność. Czy wszyscy, prócz tych, którzy wraz z Eriklewesem pełnią straż na okręcie, są tu?

Okazało się, że brakuje kilku, którzy odeszli do pobliskiej winiarni.

Terteus kazał przyprowadzić ich i ruszył konno do przystani, polecivszy uprzednio Białowłosemu, aby pozostał z innymi i razem z nimi pieszo bądź na wozach kierował się ku okrętowi.

Słońce miało jeszcze nieco drogi do przebycia, nim zanurzy się w morzu na zachodzie, gdy cała załoga zebrała się na pokładzie. Dwaj ludzie odnalezieni w winiarni byli tak pijani, że przywieziono ich wozem, spoczywających jak ciała poległych bohaterów, i położono na dnie, gdzie pozostali nieświadomi tego, że nie są już w winiarni, lecz oto mają za chwilę wyruszyć na morze.

Terteus stał jeszcze na brzegu wraz z Eriklewesem i rozmawiał z dowódcą straży nadbrzeżnej, który podszedł do Angelosa wraz ze sternikami kilku okrętów wyciągniętych na brzeg.

- Sam widzisz, panie... - roześmiał się Terteus - że ludziom moim gościnność wasza przynosi

tylż pożytku, co szkody. Książę nasz udał się w góry dla obejrzenia waszych nieporównanych stad, a tymczasem załoga poczyna rozpręgać się z wolna. A, jak powiadają, droga ku północy przez ową cieśninę nie będzie łatwa.

- Czyżby król nasz nie dał twemu księciu przewodnika, który przeprowadzi was? - zapytał dowódca straży. - Zapewne tak uczyni, gdyż długa to droga i trwa trzy dni lub dłużej, a jeśli kto nie zna dobrze obu cieśnin i małego morza pokrytego wysepkami, które leży pomiędzy nimi, wówczas spędzić może wiele dni walcząc z prądem i wiatrem, bowiem prąd jest tam zawsze przeciwny, a skały zdradliwe jak nigdzie w świecie i skryte tuż pod obliczem wód.

- Powiadali mi na Krecie - rzekł Terteus uśmiechając się - że są tam skały ruchome, które schodzą się gniotąc na miazgę niebaczne okręty i ich nieszczęsne załogi.

Powiadają też, że jedynie Trojanie znają zakłęcia, które każą owym nieprzychylnym skałom trwać w miejscu i nie rzucać się ku przepływającym.

- Ode mnie tego nie usłyszałeś... - rzekł przywódca straży nadbrzeżnej uśmiechając się także. - Gdy ujrysz owe skały, pojmiesz, jak niewiele kłamstwa jest w tym, co ludzie owi rzekli. Albowiem.. - Zamilkł na chwilę. - Sami zresztą przekonacie się! - dokończył. - Czy pragniesz dziś wypłynąć na długo?

- Chciałbym, aby ludzie wzięli się do wiosła ostro, płynąc pod wiatr, a później, gdy słońce skryje już głowę, powrócimy o zmierzchu pod żaglem i udamy się pieszo gościńcem do miasta. Straż pilnująca bram przepuści nas, gdyż została uprzedzona i wie, kiedy nas oczekiwać. A załodze mej zarówno wysiłek przy wiosłach, jak i droga piesza do grodu waszego przydadzą się wielce. Wyparuje im z głów wino i strząsną nieco tłuszczu, który gościna wasza osadziła im pod sercem! Bywajcie mi, ty, dowódco straży, i wy, szlachetni sternicy okrętów!

Skinął im ręką i lekko wskoczył na pokład Angelosa, chwytając oburącz za jego wysoką burtę.

Z wolna odepchnęli się wiosłami od kamiennego obrzeżenia przystani, na krańcu której zapłonął już na podwyższeniu ogień w brązowym trójnogu, wskazujący nocą drogę okrętom.

Terteus, tak jak przyrzekł, zasiadł przy wiosle i słuchając śpiewnego głosu prowadzącego, z radością widomą na obliczu, z większą niżli winna była wywołać tak krótka wyprawa, zanurzał je w migotliwy nurt. Ludzie, choć początkowo klęli nieco na ową nieprzewidzianą przejażdżkę po morzu, poczuwszy chłodny wiatr na obliczu i strząsnawszy pył nadbrzeża ze stóp, odżyli, a gdy brzeg oddalił się, rozpoczęli miarową pieśń.

Gdy już byli daleko od brzegu, a wieże Troi zniknęły w przedwieczornym błękitnym oparze na odległym wzgórzu, Terteus wciągnął wiosło i dawszy znak sternikowi, skinął na tych, którzy byli najbliżej.

- Unieśmy żagiel, a gdy to się stanie, zbliżcie się wszyscy do masztu!

Wiatr dał z północy. Terteus dał rozkaz Eriklewesowi, aby pod żaglem płynął ku południowemu zachodowi, oddalając się od lądu i wyspy Tenedos, widocznej przed nimi na widnokręgu tuż przy brzegach trojańskich.

W blasku zachodzącego słońca uniosła się i rozwinęła ogromna płachta rozpięta na rei i ślepe oczy Byka spojrzały na spokojne morze. Ludzie z wolna powstali z ław, zbliżyli się i otoczyli wspartego o maszt młodego przywódcę.

- Skłamałem wam i ludziom na wybrzeżu, gdym rzekł, że wypływamy, by wyprostować kości - zawołał donośnie Terteus. - A uczyniłem tak, albowiem, król Troi wysłał rankiem ludzi swych wraz z bogom podobnym księciem Widwojosem i jego synem, aby zamordowali ich obu na górskiej

przełęcz. Mieli oni zginąć straszliwą śmiercią, rozszarpani spiżowymi pazurami, abyśmy widząc ciała uwierzyli, że zginęli obaj od uderzenia lwiej łapy!

Rozległ się głosny szmer: . Terteus uniósł rękę.

- Postanowili wszelako bogowie, abyśmy, ja i stojąca tu Białowłosa, obaj nadjechali w miejsce to na chwilę przed zabójstwem i uwolnili księcia i syna jego, zabijając morderców nasłanych przez trojańskiego króla. Boski Widwojos i młody książę znajdują się teraz w pewnym miejscu wybrzeża, ukryci i oczekują naszego pojawienia się nocą, aby mogli połączyć się z nami. Król Troi nie wie do tej pory o śmierci swych ludzi, dlatego zapewne zezwolił nam ujść z życiem. Nie wie on także o tym, że poznaliśmy jego nikczemną tajemnicę i zbrodniczy zamysł zamordowania bezbronnych gości, którzy przybyli pod jego dach i oddali się pod jego pieczę z ufnością. Tak więc pozostaniemy na morzu, a nocą podpłyniemy ku owemu miejscu na wybrzeżu, gdzie oczekuje książę i syn jego. Gdy pod osłoną ciemności weźmiemy ich na pokład, pożegnamy wody tej krainy, aby nie ujrzało nas na nich wschodzące słońce!

Urwał i powiódł po nich wzrokiem. Stali nieruchomo, wstrząśnięci, nie pojmując jeszcze zapewne ogromu nieszczęścia, które ich także spotkało. Postanowił, że powie im dziś wszystko, aby mogli przeżyć ów cios i otrząsnąć się z niego, nim staną oko w oko z niebezpieczeństwem, które musiało nadciągnąć.

- Los nasz - rozpoczął ponownie - jest od tej chwili jedynie w naszych rękach i w męstwie serc naszych. Nie rzekłem wam bowiem jeszcze, iż król Troi pragnął dokonać swego nikczemnego czynu jedynie na życzenie władcy waszego, Minosa. Nienawidzi on brata swego i jego syna, lękając się, że boski Widwojos, który jest mężem mądrym i sprawiedliwym, mającym przy tym potomka, którego Minos nie posiada, mógłby za pomocą ludu kreteńskiego objąć tron, gdyby nadarzyła się ku temu sposobność. Lecz ze sprawy wielkich zwykle nie pomiędzy nimi jedynie mają miejsce, a jak wir potężny wciągają pod powierzchnię wszystkie, nawet najdrobniejsze źdźbła znajdujące się w pobliżu, więc i na nas, którzy stanowimy załogę okrętu. boskiego Widwojosa, padł cień śmierci, jako że wyrok na brata jest wyrokiem także i na każdego z nas, gdyż nie ma wątpliwości, że Angelos nigdy nie mógłby powrócić na Krete, niosąc wieść o tej zbrodni. Minos rozkaże zabić każdego z nas, gdziekolwiek postawimy stopę na lądzie, aby świadectwo nasze nie mogło uczynić zeń bratobójcy!

Znowu urwał. Stali naprzeciw niego, nieruchomi, wpatrzeni w jego oblicze, a prawda o tym, że będą ścigani jak dzikie zwierzęta, póki nie zginą, gdy dopadnie ich moc królewska, zdawała się docierać nawet do tych, którzy w pierwszej chwili nie pojęli jej. Jedynie dwaj spici żeglarze spali pod masztem nie wiedząc o niczym.

- Powiadają, że zgubiony jest ów, który wszedł pomiędzy poważnionych książąt - podjął Terteus. - Lecz i mnie, i wam życie nasze młode miłe jest, podobnie jak i królom, i bronić go będziemy nie gorzej niż oni. A skoro na całym wielkim morzu, które przemierzyliśmy, nie ma już grodu ani przystani, gdzie moglibyśmy bezpiecznie zawinąć, a straszliwe ramię Minosa ścigać nas będzie za dnia i w nocy, nie dając odetchnąć piersi, a oczom zaznać snu, musimy uczynić to, co postanowiliśmy uczynić, odbijając od przystani w Amnizos: płynąć dalej ku owej krainie bursztynu! Gdyż niczym są niebezpieczeństwa owej nieznannej krainy, które mogą być mniejsze, niż chce tego wieść podawana sobie przez tych, którzy nigdy tam nie byli, w porównaniu z niebezpieczeństwami, które nas tu otaczają. A jeśli uda nam się zdobyć ów bursztyn, wówczas być może założymy nowe królestwo lub dokonamy innego wielkiego czynu, albo też powrócicie do krainy swojej na wieść o śmierci Minosa. Lecz nie o tym wam chciałem rzec, gdyż nie wiem tego, co postanowią z nami bogowie. Wiem

jedynie o tym, o czym wątpić nie możemy wcale: że pozostając tu, jesteśmy zgubieni.

- Jeśli król Troi pragnął zabić boskiego Widwojosa, czemuż miałby zezwolić nam na przepłynięcie owej cieśniny, której strzegą jego okręty? - zapytał głuchym głosem stojący przed nim barczysty, ciemnowłosy żeglarz.

- Nie wie on jeszcze, że pragniemy dziś odpłynąć. Nie wie także, że na pokładzie znajdować się będzie boski Widwojos, gdyż sądzi, iż jego ludzie zamordowali księcia i doniosą mu o tym rankiem, aby mógł udać przed nami i przed swym ludem, że cierpi i boleje nad śmiercią gości. Później zapewne wyprawilby wspaniały pogrzeb księciu i młodemu Perilawosowi, a po zakończeniu obrzędów odprawilby nas na Kretę. Po uroczystym pożegnaniu liczne okręty króla Tenedos opadłyby nas jak sfera psów i zatopiły na pełnym morzu z dala od Troi i oczu ludzkich. Zginęlibyśmy, gdyż najwaleczniejsi nawet muszą ustąpić przed liczbą. A gdyby tak się stało, któż kiedykolwiek w odległej ojczyźnie waszej dowiedziałby się prawdy o losach tej wyprawy? Na morzu tyle czyha niebezpieczeństw i przeciwności, że zaginięcie okrętu nie jest niczym nadzwyczajnym. Matki wasze opłakałyby was i z wolna czas przysypałby wasze imiona w pamięci ludzi.

I tak oto jedna tylko pozostała nam droga ocalenia. Gdy weźmiemy nocą na pokład księcia i jego syna, skierujemy dziób ku północy i wpłyniemy pod osłoną ciemności w ów przesmyk, który jest, jak powiadają, tak długi i trudny do przebycia, że być może mieczem będziemy tam torować sobie drogę. A jeśli przedrzemy się, wówczas na owym morzu północnym stawimy czoła losowi, jaki nam przeznaczono, jak gdyby nic się nie wydarzyło, gdyż wszyscy byliśmy na to gotowi wypływając z Krety... - I dodał szybko: - A jeśli wyprawa nasza powiedzie się i będziecie służyli wiernie boskiemu Widwojosowi i synowi jego, wówczas któż może rzec, jakimi zaszczytami władca obdarzy swych tak wypróbowanych towarzyszy, gdy obejmie tron z woli bogów. On i syn jego są przecież jedynymi dziedzicami tronu Minosa! Bądźmy więc dobrej myśli, ufając wysokim bogom i sile naszych ramion, choć czeka nas długa i trudna droga!

Przez chwilę stali nieruchomo, jak gdyby oczekując dalszych jego słów. Nagle jak jeden unieśli miecze i wydali pradauny okrzyk, którym na polu walki lud ich obwieszczał swe zwycięstwo. Później poczęli cisnąć się ku Terteusowi i Białowłosemu wypyując o przebieg wydarzeń na górskiej przełęczy.

Niespodzianie na tyle Angelosa zabrzmiał okrzyk Eriklewesa.

- Okręty za nami!

Zamilkli wszyscy.

- Do wiosła! - zawołał Terteus. - Niechaj każdy ma miecz i włócznię przy sobie, a łucznicy swe łuki i kołczany pełne strzał w miejscu łatwym do uchwycenia!

Rozproszyli się w mgnieniu oka. Rzędy wiosła wysunęły się i opadły na wodę.

Terteus przeszedł na tył okrętu. Dostrzegł za sobą sześć białych żagli, zaczerwienionych zachodzącym słońcem. Płynęły one od strony Troi i przesmyku, zmierzając ku Tenedos i dzioby ich zwrócone były ku wyspie.

- Nie ścigają nas... - rzekł Eriklewes.

Czekali wpatrzeni w białe żagle, lecz malały one z wolna i wreszcie zniknęły za wyspą.

- Płyną one zapewne za swoimi sprawami... - rzekł Terteus. - Nikt nas jeszcze nie pragnie zatopić, gdyż król Troi sądzi, że po przywiezieniu zwłok Widwojosa i jego syna do miasta winniśmy wziąć udział w uroczystościach i igrzyskach pogrzebowych, a później rozstać się z nim w wielkiej zgodzie, tak aby całe miasto i wszyscy żeglarze z obcych krain, którzy zawinęli do przystani, mogli

ujrzyć, że odpływamy w pokoju. Uderzyłby na nas później...

- Lecz mimo to miejmy się na baczności, gdyż nikt nie wie, co spoczywa na dnie serc królewskich

- odpowiedział sternik powtarzając stare, krążące po wszystkich krainach słowa.

- Lecz mimo to będziemy się mieli na baczności... - powtórzył jak echo Terteus.

Zapadał zmrok, a wraz z nim ukazały się nad górami pierwsze chmury.

- Jeśli widzą nas jeszcze z wyspy - rzekł Terteus do Eriklewesa - winniśmy płynąć tak, jak gdyby była to przejażdżka po morzu, a nie ucieczka. Zawróćmy więc, lecz nie zbliżajmy się do brzegu, gdyż podpłyniemy tam dopiero wówczas, gdy zapadną zupełne ciemności.

Angelos zatoczył szeroki łuk i płynąc pod lekki wiatr, opuściwszy żagiel, począł posuwać się w kierunku Troi, trzymając się nadal z dala od niknących już w mroku brzegów. Dostrzegli jeszcze okręt nadpływający z południa i zatoczywszy łuk na morzu, wyminęli go w tak wielkiej odległości, że w zapadającym zmroku nie umieli nawet rzec, czy był to ciężki handlowy statek, czy też śmigły czterdziestowiosłowiec strażniczy. On także wyminął Tenedos, pragnąc najwyraźniej zdążyć do trojańskiej przystani przed zapadnięciem nocy.

Siedząc przy wiosle Białowłosy obrzucił przepływający okręt ciekawym spojrzeniem. Lecz zapomniał o nim po chwili, gdyż myśl jego powracała nieustannie do walki w szalasie.

Nie wiedział, że na pokładzie owego okrętu, który zniknął w nadchodzącym mroku, stał, patrząc na przesuwane się brzegi Troady, wysoki, lekko zgarbiony człowiek, ubrany w białą szatę i złociste sandały. Na palcu dłoni obejmującej drewnianą krawędź burty, oddzielającą wąski pokład od głębin, lśnił złoty pierścień przedziwnej roboty: dwa węże oplatały na nim grzbiet wielkiego żuka, na którym wypisane były tajemniczymi znakami imiona panującego władcy Egiptu.

Het-Ka-Sebek także dostrzegł daleki okręt na powierzchni usypiającego morza, lecz i on nie zwrócił nań większej uwagi. Rozmyślał z niepokojem nad tym, czy cel jego wędrówki przez obce i wstrętne mu barbarzyńskie krainy jest blisko.

Okręty oddaliły się od siebie i gęstniejąca ciemność zatarła ich smukłe kształty. Słońce zaszło już.

Gdy nastąpiła ciemność, Angelos począł zmierzać ku miejscu umówionego spotkania. Stojąc u ramienia Eriklewesa Białowłosy naprowadzał okręt ku skałom, których nie dostrzegał niemal, lecz znając je od dnia swych narodzin przeczuwał, gdzie mogą znajdować się w mroku.

Wreszcie wiosła uniosły się i okręt zatoczywszy mały łuk zatrzymał się w pobliżu ukrytego w ciemnościach wybrzeża.

Od strony gór począł dąć zimny wiatr, morze ożyło i Angelos począł tańczyć na krótkich falach z trudem utrzymując się w miejscu. Terteus dzięki składał w duchu bogom za to, że nadciągające chmury przesłoniły księżyc czyniąc noc nieprzeniknioną. Mimo to dostrzec można było nikły zarys wzgórz wyrastających w głębi za linią brzegu.

Białowłosy uniosł latarnię i opuścił. Później uniosł ją ponownie. Lecz nie odpowiedziało mu światło z brzegu. Czekał nadal. Powtórzył sygnał. Znowu nic.

- Cóż byś rzekł na to, gdybym zwlókł szaty i popłynął tam? - zapytał. - Być może nie widzą nas?

- Wstrzymaj się jeszcze... - Terteus położył mu dłoń na ramieniu. Cała załoga z orężem w dłoni czekała skulona u burt. Milczeli wszyscy, gdyż taki był rozkaz.

Podpłynęli do brzegu tak blisko, że choć dmący od lądu wiatr głużyłby zapewne słowa, lecz ktoś mógł ich usłyszeć, a Terteus pamiętał wciąż o tym, że okręty króla Tenedos przepływały czasem nocą wzdłuż brzegów. Począł też myśleć z pewnym niepokojem o tym, co dzieje się na przystani

trojańskiej. Być może jeszcze w tej chwili nieobecność ich nie wzbudziła wielkiego zaniepokojenia, gdyż mogli odpłynąć zbyt daleko i powracali na wiosłach pod wiatr, który wzmagał się. Wkrótce jednak zaczną tam zastanawiać się, czemu okręt księcia nie powrócił z wieczornej przejażdżki? Wierzył w to, że droga z przystani jest daleka i zanim dowódca straży nadbrzeżnej postanowi zawiadomić króla, minie jeszcze wiele czasu. A zanim ów powiadomiłby swego brata władającego okrętami na Tenedos, czasu owego musiałyby minąć jeszcze więcej. Zapewne przed rankiem nic im nie groziło. Lecz pragnął dopłynąć do ujścia cieśniny nocą i posunąć się nią w ciemności jak najdalej po tych nieznanymi, najeżonych skałami wodach, po których nie można było płynąć szybko, nawet gdyby pragnął tego. Jakkolwiek się stanie, świt nie mógł go zastać na morzu nieopodal Troi.

Białowłosa ponownie uniósł osłoniętą lampę. Opuścił ją. Wpatrywali się wszyscy w ciemności.

Nagle dobiegł ich przytłumiony głos z niewielkiej odległości:

- Synu mój! Nadpływamy...

Dopiero po chwili dostrzegli małą łódź, a w niej trzy postaci. Z pokładu Angelosa wyciągnęły się liczne ręce i po chwili boski Widwojos i syn jego znaleźli się na okręcie.

-.Ojcie! - zawołał cicho Białowłosa. - Odpływam!

- Wiem! Niechaj bogowie prowadzą cię bezpiecznie, a z tobą owych dumnych książąt i dzielną załogę okrętu! Matka rzekła, abyś...

Powiał wiatr i Białowłosa nie usłyszał ostatnich słów.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pragnąłbym, aby dzień ów był mroczny.

Trwał wychylony ponad krawędzią burty nad słuchując. Zawołał raz jeszcze cicho. Lecz Terteus łagodnie położył mu dłoń na ustach.

Okręt drgnął i wiosła zanurzyły się. Odpływali. Białowłosey stał wpatrzony w ciemność, lecz nie mógł nawet dostrzec miejsca, gdzie ukryty wśród skał stał dom. Matka zapewne czekała na brzegu. Łódź przybije do brzegu, ojciec wciągnie ją w ciemności. Matka będzie szła obok niego, wspomagając go ramieniem, gdyż była silna, choć niewysoka. Później wejdą kamienną ścieżką do domu i zapalą kaganek. Spojrzą na siebie i nie rzekną słowa, aby nie usłyszeli Ci, Którzy Zawiażują Drogi Powrotu. Był ich jedynym synem.

Wyprostował się i uśmiechnął w mroku, choć w piersi czuł ciężar, jak gdyby niewidzialna dłoń złożyła mu na grzbiecie wielkie brzemię. Jakże musieli być dumni z niego! Jakże niepojętym wydawać się im musiał świat, z którego nadpłynął ku nim, by zniknąć ponownie! A brat króla Krety, największego z mocarzy świata, wszedł pod dach ich nędznego domostwa i spożywał jadło, które mu podali! Ukryte głęboko leżały gdzieś zapewne naszyjniki, które przywiózł, i piękna sieć. Ojciec będzie lękał się wypłynąć z nią, aby inni nie ujrzeli go i nie zapalali nienawiścią. Do tej pory nigdy złodziej nie zawitał do ich domu. Cóż by miał ukraść?

Drgnął, poczuwszy na ramieniu dłoń.

- Czy wiesz, o czym rozmyślałem teraz? - zapytał go cicho Terteus.

- O czym?

- Także i ja mam mój brzeg rodzinny, gdzie oczekują mnie. A choć wiedzą już od stryja mego, że nie zmarłem i jak ojciec twój i matka twoja uradowali się zapewne wieścią, że morze, które pochłonęło mnie, oddało mnie żywym na powrót, wszelako obaj ważymy dziś w myślach jedno: czy ujrzemy jeszcze brzegi rodzinne?

- Będzie, jak zechcą bogowie... - rzekł cicho Białowłosey nie pamiętając, że powtarza ulubione słowa przyjaciela. Westchnął i odwrócił się.

Z wolna podszedł do swej ławy, wsunął wiosło i odczekawszy, póki nie powróciły wiosła towarzyszy, opuścił je do wody.

Okręt płynął nieco nierówno, gdyż fala rosła, a Terteus nie zezwolił, aby głosem podawano czas uderzeń. Każdy więc wyczuwał jedynie ruch innych, wpatrzony w pochylające się plecy tego, który siedział przed nim.

O północy oddalili się już znacznie od brzegów i płynąc pełnym morzem zbliżyli się z wolna do ujścia cieśniny od północy, aby wyminąć w największej odległości przystań trojańską, której daleki płomień dostrzegli po minięciu północnego przylądka.

Terteus rozkazał położyć maszt, aby okręt był najmniej widoczny na tle ciemnego nieba, gdyby nagle chmury rozstały się i rozbłysnął księżyc.

Cieśnina, której ujście Terteus badał oczyma wielokrotnie w dniach poprzedzających, stojąc na przystani trojańskiej, była nadal jeszcze szeroka, lecz jeśli go pamięć nie zawodziła, zdawała się zwężać coraz bardziej w miarę oddalania się ku północy. Okalały ją wzgórza, gdzieniegdzie opadające łagodnie, w innych miejscach zdające się schodzić ku wodzie ostrymi urwiskami. Tyle dostrzegł za dnia. Okręt płynął cicho, wiosła zagłębiały się płytko i sunęły po powierzchni, aby czynić jak najmniej plusku.

Tuż po minięciu północnego krańca cieśniny uczyli prąd i okręt niemal stanął. Musieli mocniej nacisnąć na wiosła, gdyż wiatr nadal był przeciwny.

Stojąc na dziobie Terteus rozpaczliwie wyteżał wzrok, starając się dostrzec niespodzianą skałę lub gorszy jeszcze być może niżli ona kształt trojańskiego okrętu.

Lecz nie przypuszczał, aby krążyły tu one nocą. Nikt, kto nie był szaleńcem, nie wypłynąłby na te wody w ciemności. Szaleńcem lub człowiekiem w rozpacz.

Obejrzał się. Płomień nad przystanią trojańską migotał maleńki i daleki za nimi po prawej stronie okrętu. Musieli być już w głębi cieśniny.

Ktoś stanął obok niego. Terteus obrócił głowę.

- Nie usnąłeś, boski książę? Wierzyłem, że po tak strasliwym i pełnym niewygód dniu sen cię ogarnie.

- Jakże bym mógł usnąć? - Widwojos uśmiechnął się w mroku. - Cokolwiek mogło dziś nastąpić, wyprawa, na którą wyruszyliśmy, rozpoczyna się, choć król Troi nie wyszedł na przystań, aby nas godnie pożegnać. Nie wiem, czy lepiej byłoby nam żeglować przy księżycu, czy też w takiej ciemności jak ta, która się wokół rozpościera? Jedno i drugie zdaje się nieść równe niebezpieczeństwa.

Czy lękasz się zasadzki?

- Skoro minęliśmy Troję, nie lękam się jej aż do wschodu słońca. Lecz trapi mnie co innego. Jakże będzie Eriklewes sterował okrętem, gdy zbliżymy się do miejsca, gdzie cieśnina się zwęża? Nikt z nas nie zna tych wód.

- Cóż, skoro nie możemy płynąć nimi za dnia, niechaj bogowie obmyślą nam bezpieczną drogę. By rzecz prawdę, bardziej nam dotąd sprzyjają niżli napotkani śmiertelni.

Terteus zdziwił się słysząc w głosie księcia wesołą niemal nutę. Cóż odmieniło duszę tego pochmurnego, smutnego człowieka?

I niemal w tej samej chwili otrzymał odpowiedź.

- Cokolwiek nastąpi - rzekł Widwojos - lepsze będzie niżli owe strasliwe pazury. Czy przyjrzałeś im się wówczas?

- Nie gniewaj się, boski książę, lecz wziąłem je z sobą.

Gdyż pomyślałem, że zarówno ty, jak i twój syn być może zechcecie kiedyś wejrzeć na nie i wspominać ową chwilę.

Zamilkł czekając na odpowiedź księcia. Lecz bogom podobny Widwojos milczał. Dopiero po chwili rzekł:

- Zapewne uczyniłeś słusznie, lecz nie pragnąłbym ich już widzieć.

- A więc nie ujrzysz ich, panie.

Terteus w ciemności skinął głową i pochylił się ku przodowi, próbując przebić wzrokiem

gęstniejącą ciemność. W tej samej chwili uczył na licu i obnażonych ramionach chłodne, lekkie uderzenie jedno... drugie... trzecie... Pierwsze krople deszczu spadły na okręt. Mrok stał się nieprzenikniony, wiatr jak gdyby zmalął i przycichł.

- Cóż zrobić teraz? - rzekł Terteus pochylając się w ciemności ku księciu. - Nie możemy płynąć dalej ani też przybić do brzegu, gdyż nie wiemy nawet, czy nie uderzymy w ostre skały, które roztrzaskają nam okręt. A prąd spycha nas na powrót ku Troi... Dobrze w tym jest tylko jedno: żaden pościg nie może nas wypatrzeć i póki dzień nie nastanie, bezpieczni jesteśmy od naszych nieprzyjaciół.

Mimo tych słów nie uczynił nic i okręt nadal posuwał się wolno, walcząc z prądem i wiatrem, który raz wzmagał się, raz opadał, tak że czyniło się zupełnie cicho.

Po chwili deszcz przestał padać.

- Wiele bym dał, aby wiedzieć, ile nam pozostało do świtu... - mruknął Terteus. - Nie pragnąłbym, aby dzień napotkał nas pośrodku cieśniny, na oczach straży spoglądającej z gór lub z okrętów ukrytych w zatokach skalistych... Mniemam, że nie upłynęliśmy zbyt daleko, a jeśli pamięć mnie nie zawodzi, cieśnina ta zwęża się dopiero tam, gdzie wzrok z przystani trojańskiej zaledwie sięga...

Obejrzał się. Nikły płomycek przystani nadal płonął w oddaleniu, lecz był o wiele słabszy niż wprzód. Posuwali się więc mimo niesprzyjającego prądu.

Nagle deszcz, który ponownie zaczął padać, ustał zupełnie. Zadarli głowy. Ponad nimi biegły nisko postrzępione obłoki, lecz stojący nad ziemią księżyc począł prześwitywać przez nie i niespodzianie ukazały im się czarne kształty gór po obu stronach szerokiego pasma wody, którego środkiem posuwali się z wolna.

- Bogom niechaj będzie chwała! Nie zboczyliśmy...

Jeśli owe chmury nie zejść z niebios i woda nie pocznie odbijać księżycowego blasku, trudno nas będzie wypatrzeć. Bogom dzięki i za to, iż nie jest to pełne oblicze księżyca.

- Jak długo ludzie wytrzymają przy wiosłach nie zaznawszy chwili wypoczynku? - spytał cicho Widwojos.

- Jeśli wiedzą, że żywot ich zależy od tego, wytrzymają długo. Lecz nie dłużej niż siły im na to zezwola, gdyż nadchodzi czas, gdy człowiek nie dba o śmierć swoją, a pragnie jedynie paść i usnąć bez pamięci. Dopływamy do miejsca, gdzie brzegi zbliżają się ku sobie. Cóż jest za owym miejscem? Jak mniemasz, boski księżę, czy dobrze uczynilibyśmy zbliżywszy się nieco ku brzegowi, by dać odpocząć załodze?

- I tu zastanie nas dzień?

- Myślę tak oto: jeśli przybijemy teraz do brzegu i damy ludziom nieco wytchnienia, świt zastanie nas już z dala od Troi, gdyż blask ich płomienia przestał niemal do nas dobiegać, a był on widoczny na morzu z wielkiej odległości. Nie wiedzą oni przecież, że wpłynęliśmy na te wody, a sądzą raczej, że przeciwny wiatr i wysoka fala spotkały nas, gdy zapędziliśmy się zbyt daleko w przeciwnym kierunku, lub że pobłądziliśmy na morzu nie widząc gwiazd. Nie należy tedy przypuszczać, aby o wschodzie wyruszyli oni w pościg za nami. Zresztą to nie okręty trojańskie, lecz flota króla Tenedos strzeże tych wód, a nie pojmuję zgoła, jak mógłby on dowiedzieć się o naszej ucieczce i wysłać pościg z wyspy, który dopadłby tu nas tak wcześnie? Mamy nad nimi niemal pół dnia przewagi, choć do świtu upłynie nieco czasu. Tak więc przybijmy do brzegu i dajmy ludziom posilić się i usnąć na czas krótki, a gdy noc pocznie rzednąć, ruszymy dalej. Pragnąłbym, aby dzień ów był mroczny i

deszczowy, gdyż widzielibyśmy, co się znajduje blisko przed nami, a ci, którzy pragnęliby ujrzeć nas z oddalenia, mieliby wielką trudność w uczynieniu tego. Tak więc mniemam, boski książę, że winniśmy przybić do brzegu i wypocząć. Jeśli nie uczynimy tego, możemy napotkać nieprzyjaciela nie mając sił ni by uciec, wykorzystując wielką ilość naszych wiosł, ni by mu stawić czoła w boju. A jak rzekłem, nie wierzę, aby mógł nas kto dopaść, jeśli będziemy płynęli popasając jedynie krótko dla nabrania sił. Trojanie są także jedynie ludźmi, choć lepiej znajdą owe wody. Oni także muszą płynąć walcząc z przeciwnym prądem i wiatrem, choć być może umieją odnajdywać miejsca, gdzie prąd ów jest słabszy.

- Uczyńmy więc tak, jak tego pragniesz, Terteusie. - Widwojos łagodnie dotknął jego ramienia. - Oceniam twą uprzejmość, gdy pragniesz mi rzec, że jestem wodzem tej wyprawy, lecz że nikt nas tu nie słyszy, zapamiętaj jedno: ty nim jesteś, gdy znajdujemy się na morzu, jeśli chcesz znać prawdę, gdyż rządzić ma ów, który wie, jak z największą korzyścią sprawować władzę. A jeśli nie sprzeciwiam się, aby ludzie mniemali, że jest inaczej, czynię tak dlatego, iż wielka jest moc posłuszeństwa, którą mają dla władców. Nie pragną też, aby równi im rozkazywali.

- Panie, uczynię, co w mej mocy, aby pod twym boskim przewodnictwem poprowadzić tę wyprawę tak, abyśmy ocalili życie nasze... - rzekł Terteus skromnie, lecz w sercu swym ucieszył się bardzo pojmując, że książę kreteński jest człowiekiem rozumnym i pozbawionym pychy tak bliskiej ludziom stojącym niżej niżli on. Skłonił głowę i rzekł: - Zezwól więc, że wydam rozkaz, aby okręt przybliżył się do brzegu.

Zniknął i Widwojos usłyszał, że idąc pochyła się i rozmawia cicho z wiosłarzami.

Książę pozostał na dziobie. W pewnej chwili okręt drgnął i dziób jego zwrócił się nieco w lewo, gdzie brzeg wydawał się niższy. Był to zresztą ląd leżący po przeciwnej stronie wód niż Troja.

Widwojos obejrzał się. Na jednej z pograżonych w mroku ław siedział jego syn pochylony nad wiosłem. Czy jeszcze przed rokiem uwierzyłby w to?

Uśmiechnął się ponownie. Żyli obaj. Żyli i jeśli zdobędą się na to, aby stawić czoła temu, co czas miał przynieść, będą żyli nadal.

Ciemny ląd zbliżał się. I zamyślony książę drgnął nagle. Nisko, tuż nad wodą, dostrzegł nieco na prawo od miejsca, ku któremu dążył Angelos, maleńki ogienek, nie większy z tej odległości niż świetlisty robaczek.

Mrużąc oczy wpatrywał się przez chwilę w tę isierkę blasku lśniąca wśród mroku. Potrząsnął głową. Lecz nie było to przywidzenie. Zawrócił więc szybko i ruszył ku tyłowi okrętu, gdzie Terteus półgłosem rozmawiał ze sternikiem.

- Czy widzicie? - zapytał książę zniżając mimo woli głos i wskazując dłonią.

Zwrócili głowy w owym kierunku.

- Ognisko - rzekł Eriklewes cicho. - Czyżbyśmy płynęli wprost ku okrętom króla Tenedos, które przybiły tam, by przepędzić noc?

- Zbliźmy się do łądu i wysadźmy dwóch ludzi, aby podążyli brzegiem, jeśli można nim iść, i przekonali się, kto pali ów ogień. Jeśli to okręty strażnicze, wyminiemy je i przybijemy dalej, wiedząc, że pozostawiliśmy je za sobą. Jeśli... - Wzruszył ramionami. Ruszył ku ławom. - Czy widzicie ów ogień? - zapytał szeptem. - Dwaj z was muszą zejść na ląd i upewnić się, kto go rozniecił? Okręt zatrzyma się u brzegu i będzie czekał na was. Któż chce pójść? Musi to być dobry pływak, aby mógł umknąć wodą, jeśli zostanie osaczony. A prąd tu jest silny.

W ciszy dwaj ludzie unieśli się i zdjęli opaski z bioder, przepasując nagie ciała mieczami.

Bezgłośnie okręt zbliżył się ku ciemnemu brzegowi, na którym nadal migotał maleńki ogienek.

Byli coraz bliżej.

- Spuścimy was trzymając za ramiona, abyście nie uczynili plusku wskakując do wody - szepnął Terteus.

Okręt zbliżył się do brzegu, tak że dostrzegli jasną smugę piasku. A więc nie były to skały.

Wolno, lękając się uderzyć o ostry, zanurzony pod powierzchnią głaz, który mógłby przebić dno, zbliżyli się jeszcze bardziej, wiosła zanurzały się miękko w wodzie, jak gdyby ludzie obawiali się uderzyć nimi w oblicze któregoś z licznych pomniejszych bogów tego żywiołu, zamieszkujących każdy skrawek jezior, rzek i zatok. Prąd był tu słabszy niż pośrodku cieśniny. Spuszczono obu ludzi w wodę, popłynęli i wkrótce znikli na tle ciemnych skał.

Angelos czekał kołysząc się na wodzie. Łucznicy ujęli w dłonie łuki, aby osłaniać ucieczkę towarzyszy, gdyby natrafili oni na straż wroga... Wszyscy wbili wzrok w ciemność, w której nie było widać już ogniska, gdyż zniknęło ono, zapewne zakryte zagłębieniem brzegu, gdzie je rozpalono dla ochrony przed wiatrem. Czas mijał.

Nagle u burty okrętu rozległo się prychnanie i cichy głos ludzki.

- Hejstos pozostał na brzegu i trzyma go mając miecz na jego gardle!

- Któż to jest? - zapytał cicho Terteus pochylając się nad burtą.

- Rybak, niemłody już. Przerażony wielce...

- Czy był sam?

- Sam. Drzemał przy ognisku. Pochwyciliśmy go i trzymamy.

- Bogom niechaj będą dzięki... - wyszeptał Terteus dotykając dłonią czoła.

- Cóż cię tak cieszy? - zapytał księżę.

- Albowiem mamy w naszej mocy człowieka, który zna te wody!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Straszne są wieści, które mi przynosisz

Gdy minął dzień, a po nim drugi, a brat jego małżonki wraz ze sługami swymi nie powrócił, tak jak nie powrócił okręt księcia Widwojosa, choć nic nie wskazywało, aby załoga jego mogła w cudowny sposób pojąć, jaki los zgotowano jej wodzowi, król Troi uląkł się. Wysłał okręt do swego brata błagając, aby ów przybył do niego bez zwłoki. Był tak wzburzony, że machnięciem dłoni zbył swych dworzan, którzy donieśli mu, że na innym kreteńskim okręcie przybył pewien kapłan egipski, który usilnie błaga o posłuchanie.

- Niechaj czeka! Niechaj czeka, aż zechcę go ujrzeć, co może nastąpić jutro lub za lat dwoje! - krzyknął, gdy przypominano mu o tym ponownie.

Jedna myśl tylko tkwiła w załęczonym umyśle króla: jakże mogło stać się tak, że brat jego małżonki nie powrócił ze zwłokami Widwojosa? Nie powrócił wcale ani on, ani jego ludzie. Konni, których wysłał wreszcie drogą ku Białej Przełęczy, dotarli aż do stad po drugiej stronie gór i powrócili. Nie, boski Widwojos ani nikt z towarzyszących mu ludzi nie dotarł tam. Nie napotkali ich także w drodze, choć znaleźli wiele śladów kopyt, świeżych śladów, które były zapewne śladami księcia Widwojosa, jego syna i towarzyszących mu Trojan. Kończyły się one na Białej Przełęczy, a później plątały się z innymi, licznymi śladami, lecz ciężko było orzec, dokąd odjechali, gdyż nocą spadł ulewny deszcz i zatarł wiele śladów, szczególnie na ścieżkach górskich, którymi spływały rwące potoczki wody.

A okręt Widwojosa, który wypłynął późnym popołudniem i krążył po zatoce z dala od brzegów aż do zmierzchu, nagle rozplynał się i zniknął. A nie ujrzał go nikt, odkąd opuścił przystań trojańską. Lecz król wierzył, że być może brat jego sprawujący rządy nad wodami będzie miał o tym jakieś wieści.

Gdy król Tenedos przybył, zastał władcę Troi przechadzającego się po wielkim megaronie.

- Rzeknij mi, cóż mam czynić teraz? Nie wiem, co się stało z tym przeklętym Kreteńczykiem i jego synem! Nie wiem także, co się stało z jego okrętem! Czy uwierzyłbyś w to, gdyby ci ktoś rzecz tę opowiedział!?

- Musi mieć to jednakowoż jakieś wytłumaczenie.

Gdzież jest brat twej małżonki, który wyruszył z kreteńskim księciem?

- Nie powrócił ni on, ni ludzie jego!

- Zaiste przedziwna to rzecz... - Król Tenedos zasępił się. - A przecież załoga okrętu pozostała wówczas w grodzie. Nie mieli też sprzymierzeńców. Nie wiedzieli zresztą, co grozi im i ich księciu. Nie pragniesz mi przecie rzec, że ów zniewieściały Kreteńczyk i syn jego, który jest niemal dzieckiem, zabili brata twej żony i trzech krzepkich wojowników, a później ukryli ich ciała tak, że

nie możesz ich odnaleźć, i sami zbiegli bez wieści!

- Nie pragnę ci rzec tego, lecz nie pragnę także rzec ci czego innego. Wiem jedynie, że nie wypełniłem woli króla Krety, a jeśli spyta mnie on przez swych posłów, co stało mi na przeszkodzie, nie będę umiał mu rzec ni prawdy, ni nieprawdy, gdyż nie znam ni jednej, ni drugiej. A minęło już dni kilka od owego poranka, gdy Widwojos wyruszył na spotkanie losu, który pragnąłem mu zgotować.

Król Tenedos z troską pokiwał głową.

- Abyś nie sądził, żeś sam jeno postąpił nieroztropnie, chcę ci rzec, że odprawiłem owego dnia dostojnika kreteńskiego mówiąc mu, że los Widwojosa dobiegł kresu i może zanieść tę wieść panu swemu. Odplynął owego dnia i zapewne doniesie to, co mu rzekłem. Tak więc, gdy Minos pozna prawdę, nabierze pewności, że uczyniliśmy coś wbrew jego woli, aby pokrzyżować mu zamysły wobec brata. Będzie pewien, że puściliśmy Widwojosa wolno, mając w tym jakiś cel nie znany mu, zapewne pragnienie obalenia go, choć bogowie mogą zaświadczyć, że nie dba o to, kto rządzi Kretą, a wiem, że i ty nie dbasz... Nie wiem zresztą, co pomyśli władca Krety? Wiem natomiast, że zapala ku nam nienawiścią. Musimy więc zbroić nasze okręty, gdyż nie wiadomo, jak zechce tę nienawiść okazać.

- Niechaj będzie przeklęty! - rzekł król Troi z bezsilną wściekłością... - Przecież rzecz wyjaśni się w końcu, gdyż musiało wydarzyć się coś nieprzewidzianego. Być może Widwojos spoczywa w grobie, a ludzie moi zostali napadnięci przez zbójców w drodze powrotnej lub zginęli w sposób, o którym dowiem się jeszcze... Cały gród jest poruszony. Szpiedzy przynoszą mi coraz to nowe wieści. Przedziwnym zaiste musi wydawać się ludowi owo zniknięcie kreteńskiego okrętu. A cóż mam rzec mym dworzanom?

Brat jego machnął ręką.

- Mniejsza o lud i o twych dworzan. Chciałbym wiedzieć, jak to się odbyło... gdyż sam nie pojmuję, jak to się mogło stać.

- Ani ja... - rzekł król Troi z rozpaczą w głosie.

- Panie mój... - odezwał się cichy głos w drzwiach megaronu. Ludzie bali się przystępować do króla od kilku dni, gdyż miotał się trawiony niepewnością i na nich wyladowywał swój niepokój.

- Czegóż chcesz? Czy nie widzisz, że rozmawiam z bratem mym, królem Tenedos?

- Panie mój... Sądzę, że jest to wieść, na którą czekasz.

Boski Widwojos przesyła ci swe pozdrowienia i podziękowanie za gościnę...

- Co? Cóż rzekłeś?! - zawołał król i podbiegł do stojącego człowieka, chwytając go za ramiona. - Kto ci przekazał tę wieść?...

- Przed niedawnym czasem przybił do przystani okręt króla Tenedos, panie... - Człowiek skłonił się królewskiemu bratu, który stał jak skamieniały. - Dowódca jego oddał dowódcy straży nadbrzeżnej szkatułkę i rzekł, że napotkał okręt księcia Widwojosa u wylotu przesmyku na morze północne.

- Gdzie?! - krzyknął król.

- Na morze północne, panie mój... - powtórzył dworzanin. - Gdy okręty spotkały się, książę Widwojos oddał dowodzącemu okrętem ową szkatułkę i rzekł mu, aby po przybyciu do Troi przesłał ją tobie, mój władco. Dodał też, iż nie może odwdzińczyć się bogatszym darem, gdyż płynąc ku nieznanym krainom nie zabrał z sobą przedmiotów godnych, aby były podarunkami dla królów. Dodał jednak, że dar ów zapewne także cię uraduje.

- Gdzież owa szkatułka?... - zapytał król cicho i potarł dłonią czoło. Wydawało mu się, że śni.

- Sługa trzyma ją za drzwiami, panie mój. Czy ma wejść?

Król bez słowa skinął głową.

Szkatułka była niewielka, lecz wykonana z pięknego ciemnego drzewa, a na wieczku jej srebrnym drutem, wpuszczonym głęboko, wykonano misterny wizerunek podwójnego topora. Król pochwycił ją i otworzył. Spoglądał przez chwilę. Później przymknął oczy. Brat jego zbliżył się i zajrzał.

Na dnie szkatuлки leżał przedziwny przedmiot wykonany ze spiżu. W pierwszej chwili król Tenedos osądził, że są to liczne pierścienie, nanizane na grube druty. Lecz gdy wziął go w rękę, ujrzał, że przypomina on bardziej łapę zwierzęcia ze straszliwymi, zakrzywionymi pazurami.

- A czemu przepuszczono okręt księcia przez cieśninę? - zapytał wreszcie król ochryłym głosem.

- Gdyż tuż przed nim nadpłynął okręt z Tenedos z rozkazem, aby ktokolwiek dostrzeże okręt boskiego księcia Widwojosa, bądź wymijał go, bądź udzielił mu pomocy...

- Niech będę przeklęty! - rzekł cicho król Tenedos. - Niech będę przeklęty! To ja wydałem ów rozkaz do wszystkich moich okrętów na morzu i w przystaniach... Lecz uczyniłem to na twą prośbę.

Z przerażeniem spoglądali obaj na straszliwy przedmiot, lecz myśleli nie o nim, a o królu Krety, straszliwszym jeszcze po stokroć Minosie.

- Panie mój - rzekł dworzanin cicho. - Zezwól mi rzec, że niespodzianie przybyli tu dwaj królowie...

- Co? - Potrząsnął głową nie pojmując, co słowa oznaczają. - Królowie?

- Dwaj królowie - powtórzył dworzanin z lękiem spoglądając na jego mieniące się gniewem i trwogą rysy. - Władca Tirynsu i władca Myken... Obaj chcą widzieć ciebie i twego królewskiego brata. Przyłynęli niedawno i zbliżają się od przystani, a konny wysłaniec wyprzedził ich z wieścią.

- Królowie? - powtórzył władca Troi. - Czegóż mogą pragnąć od nas królowie Tirynsu i Myken?

- To krainy podlegające Krecie - rzekł półgłosem jego brat i zwrócił się do dworzanina: - Każ, niechaj natychmiast siodłają nam konie, gdyż wyjedziemy im naprzeciw!

Byli obaj tak przybici, że z trudem owego dnia udawało się im bawić dostojnych gości, którzy długo nie zdradzali przyczyny swego przyjazdu z tak odległych krain.

Dopiero wieczorem, po uczcie, gdy czterej władcy pozostali sami, król Myken rozejrzał się i widząc, że nikogo prócz nich nie ma w pobliżu, rzekł:

- Skoro niczyje ucho nie może nas już usłyszeć, zezwól, abym ci rzekł, bracie nasz trojański, że przybyliśmy tu w sprawie największej wagi, a tak groźnej, że życiem możemy przypłacić, jeśli nie utrzymacie jej w największej tajemnicy. Przybyliśmy po długim namyśle i rozwadze, gdyż sądzimy, że przyłączysz się wraz z siłami twymi i twego brata do naszego przedsięwzięcia.

- Jakież to przedsięwzięcie? - zapytał król Troi siląc się, aby słuchać go z uwagą, choć myśl jego błądziła daleko.

- Gotuje się wielka wyprawa... wielka i mogąca odmienić losy wielu ludów. Czy przyłączylibyście się do nas i innych królów, gdybyśmy rzekli wam, że pragniemy uderzyć na królestwo Krety, by na wieki zmieść z oblicza ziemi najstraszliwszego z tyranów, który dławi całe krainy i dusi handel na morzach, czerpiąc zyski ze wszystkich czynów bohaterskich, których dopuszczają się inni?

- Co?! Powtórz to raz jeszcze, boski królu! - wykrzyknął król Tenedos uprzedzając osłupiałego brata. - Nie pojmuję jeszcze, jaki jest wasz zamysł, lecz przyrzekam, że poprowadzę wszystkie moje okręty wam w pomoc, jeśli... jeśli wyprawa owa nastąpi wkrótce!

I czterej królowie pochyliłi się ku sobie. Nikt w grodzie, nawet małżonka królewska, nie dowiedział się, o czym mówili, lecz następnego ranka władcy Tirynsu i Myken odpłynęli, a król Tenedos odprowadził ich daleko w morze, płynąc na jednym z ich okrętów, gdzie nadal naradzali się. Później przesiadł się na morzu na własny okręt i powrócił, nie do swego pałacu jednak, lecz do Troi, gdzie do późna w noc mówił długo o czymś ze swym bratem.

Natychmiast po przybyciu do Knossos najczciwocniejszy Skamonios udał się do pałacu. Bogom podobny Minos wezwał go do niewielkiej komnaty przylegającej do rozległego tarasu, wyłożonego białymi i błękitnymi płytami.

Skamonios stanął pochyłony w głębokim ukłonie przy drzwiach, spoglądając na swego władcę, który przechadzał się zamyślony po tarasie, przystając od czasu do czasu przy niewielkim wodotrysku, który migotał w słońcu, opadając z cichym szmerem w krągłe wyżłobienie sadzawki, otoczonej jaskrawo malowanymi wazami, pełnymi białych lilii.

Było bardzo cicho. Skamonios stał nieruchomo w głębi komnaty wodząc oczyma za królem, który zdawał się nie dostrzegać jego obecności.

Niespodzianie Minos przerwał powolną przechadzkę i szybkim krokiem przeciął taras, wchodząc w półmrok komnaty. Zatrzymał się przed zgiętym w pół człowiekiem, który pochylił się niżej jeszcze.

- Witaj, o boski...

Niecierpliwy ruch ręki władcy sprawił, że słowa zamarły mu na wargach.

- Mów!

Skamonios nie poruszył się i nie uniósł oczu. - Rzekł półgłosem:

- Stało się według twej woli, panie mój.

Usłyszał jak gdyby stłumiony okrzyk. Zapadło krótkie milczenie.

- Pójdź za mną... - rzekł nagle Minos nieoczekiwanie spokojnym głosem.

Skamonios wyprostował się i spieszenie ruszył w ślad za wysoką, szczupłą postacią króla, niknącą w przejściu otwierającym się na taras.

Minos wyminął sadzawkę i zaczął schodzić w dół po szerokich stopniach prowadzących ku rozciągającym się w dole pałacowym ogrodom. Dwaj wsparci leniwie na długich włóczniach ciemnoskórzy gwardziści wyprostowali się gwałtownie. Włócznie znieruchomiały. Przechadzający się nieco poniżej dowódca straży przybocznej podbiegł i stanął przed nimi z wyciągniętym mieczem, którego ostrze skierowane było skośnie ku ziemi.

Król minął ich, stąpając szybko, a Skamonios, wpatrzony w złote sznury jego sandałów, wszedł za nim pomiędzy pierwsze okryte różowymi kwiatami niskie drzewa.

Na małej polance, ku której zbiegały się cztery ścieżki wyłożone gładko płaskimi, spojonymi z sobą kamieniami, Minos zatrzymał się i rozejrzał. Było bardzo cicho i ciepło, nie wiał najmniejszy nawet wiatr. Jedyne głos niezliczonych pszczół i ptaków w gałęziach drzew wypełniał polankę i stłumił nieco słowa króla, gdy rzekł:

- Zbliź się ku mnie i mów cicho, Skamoniosie. Albowiem każdy pragnie poznać sprawy królów i dlatego często mniemam, że ściany mego pałacu są niby nadstawione uszy, chłonące każdy dźwięk. Być może nawet tu nie jesteśmy sami, choć nie wiemy o tym.

Skamonios przybliżył się, stanął tuż obok swego pana i pochylając się ku niemu, zbliżył wargi do jego ucha.

- Władco mój, jak rzekłem, stało się według woli twojej.

- Czy nie żyją?

- Gdy odpływałem z Tenedos, król owej wyspy, który, jak wiesz, jest bratem króla Troi, prosił, bym przekazał ci od nich obu wieść, że boski Widwojos wraz ze swym synem udał się przez góry do stad jego koni, pasących się na położonych z dala od morza rozległych pastwiskach. Towarzyszył mu brat małżonki królewskiej i trzech wojowników, z których jeden miał z sobą pazury bestii uczynione z brązu. Tymi pazurami rozerwał on ciało boskiego Widwojosa i jego syna, aby sprawić wrażenie, że napadły ich lwy zamieszkujące krainę u podnóża owych gór.

- A cóż z okrętem? Gdzież był wówczas Angeles wraz z całą załogą?

- W przystani, panie mój. Król Troi pragnął, aby wzięli oni udział w uroczystościach żałobnych, a później odpłynęli z ciałami zmarłych księżąt na Kretę.

- Czyżbyś oszalał, Skamoniosie? Na cóż nam tu ich zwłoki?! - Minos mimowolnie podniósł głos i chwycił dostojnika za ramię. - Czyżbym miał zezwolić na to, aby załoga Angelosa rozeszła się po mieście i całej krainie, powodując przedziwne domysły i zamęt w głowach ludzkich?! Zbyt wielu mniema, że Widwojos musi zginąć, nim rozpocznie się jego wyprawa! A oto, jak na szyderstwo, ciała jego i jego syna powracają tu dla wyprawienia im uroczystego pogrzebu! Jeśli zginą w dalekiej krainie, a niepewna wieść o tym dojdzie tu po dość długim czasie, wówczas twoją i twoich zauszników rzeczą będzie, aby rozpuścić w mieście inne wieści, bądź o tym, że wyprawa płynie dalej, bądź też, że nic pewnego o jej losach nie wiadomo. A po pewnym czasie ludzie zapomną o Angelosie i jego załodze, jak zapominają o wszystkim, czego nie mają przed oczyma!

- Tak, panie mój. Mogłem przewidzieć, że taka będzie twa królewska wola. Ułożyłem więc z władcami Troi i Tenedos, że zezwolą oni, aby Angelos odpłynął z Troi. Lecz później nigdy już nie ujrzy go żadna przystań ani też napotka go inny okręt na morzu. Los jego stanie się zagadką, której nikt nie rozwiąże, gdyż okręty króla Tenedos dopadną go na pełnym morzu w wielkiej przewadze i zatopią wraz z całą załogą, tak aby ani jeden człowiek nie ocalał z tych, którzy wyruszyli z boskim Widwojosem na tę wyprawę. Zapewne uczyniły już to zresztą.

Minos puścił jego ramię.

- Czemuś nie rzekł tak od razu i wzbudziłeś mój gniew? Czy władca Troi zawiadomi nas o zatopieniu Angelosa?

- Tak, panie mój. Pierwszy okręt trojański, który zawinie do naszych brzegów, będzie niósł wieść przeznaczoną dla mnie... nie dla ciebie, królu mój, gdyż sądziłem, że święte imię twoje nie może być wymienione w owej sprawie. Aby nie znalazł się nigdy człowiek, który mógłby rzec: „Boski Minos wiedział o tym”. Albowiem znają tę tajemnicę jedynie król Troi, jego brat i brat małżonki królewskiej. Wojownicy, którzy brali udział w zabiciu Widwojosa, zostaną także zgładzeni, aby nikt nie zdradził owej tajemnicy.

- A załogi okrętów, które zatopią Angelosa?

- Są to żeglarze króla Tenedos. Czymże jest dla nich zatopienie jednego okrętu więcej lub mniej? Strzegą oni morza wokół swej wyspy i ślepo wypełniają rozkazy władcy. Przynależał mi on, że sam weźmie udział w doścignięciu Angelosa i każe wyciąć do ostatniego załogę i zatopić okręt, nie wdając się w chwytanie jeńców. A gdy rozkaże swym wojownikom, aby milczeli, żaden z nich nie rzeknie o tym słowa, choćby go brano na męki. Milczeć także będą fale, które pochłoną Angelosa pośród nocy wraz z żywymi i umarłymi. A zresztą, panie mój, już pochłonęły go zapewne, gdyż uroczystości żałobne w Troi musiały zakończyć się przed paru dniami.

- Dobrze się stało... - Minos skinął głową i przymknął na chwilę oczy. - Dobrze się stało... - powtórzył cicho, uniósł powieki i spojrzał w twarz swego doradcy. - Skamoniosie, jeśli wszystko,

co rzekłeś mi, jest prawdą, a czemuż by miało nią nie być, zważywszy, że życiem swym ręczysz za wykonanie mych rozkazów w sprawie o tak niezmiernej wadze dla całego naszego królestwa, mogę dziś rzec, że ręce moje zostały rozwiązane, a oczy mogą zwrócić się ku sprawom mego ludu.

Umilkł i powiódł wzrokiem za jaskrawo upierzonym małym ptakiem, który siadł na ścieżce niemal, u stóp królewskich i podskakując na cienkich nóżkach, prędko przesuwiał się po kamiennych płytach wzdłuż krawędzi trawy. Ptak zatrzymał się, podfrunął, opadł w wysoką trawę i po chwili uniósł się w powietrze, trzymając w dziobie długiego, wijącego się robaka. Skamonios stał nie spuszczać wzroku z królewskiego oblicza.

- Brat mój... - rzekł Minos zniżając głos jeszcze bardziej - miał zapewne słuszność mówiąc, że siły Krety podupadły, a lud nasz nie jest już tak mężny jak ongi. Dziś, gdy cierń tkwiący w mym panowaniu został wyrwany, będę mógł zwrócić oblicze ku sprawom mego królestwa... - Zamyślił się na chwilę, a później z nagłą łagodnością zwrócił się ku Skamoniosowi: - Ty, który byłeś mi i jesteś najwierniejszym z wiernych, powiedz, co dostrzegłeś zawijając w drodze do wielu przystani w miastach, których królowie składają pokłon podwójnemu toporowi?

Ujął swego powiernika pod ramię i ruszył z nim z wolna ścieżką pod kwitnącymi gałązkami drzew.

- Nie dostrzegłem niczego, panie mój, co mogłoby świadczyć o nieposłuszeństwie tych ludzi lub zbliżającej się próbie buntu przeciw tobie...

Skamonios zawahał się. Król ścisnął lekko jego ramię.

- Cóż chcesz rzec?

- Jak wiesz, mój boski władco, pragnę być okiem twoim i uchem wszędzie tam, gdzie mogłoby ci to przynieść pożytek. Stąd wielu mych szpiegów czuwa nad twymi namiestnikami wysp i krain rozrzuconych na morzu lub poza nim. Przesyłają mi wieści o ich rządach nad barbarzyńcami oraz o ich wierności dla ciebie. Mam ich także tam, gdzie rządzą królowie składający hołd i daninę, jak władcy Tirynsu, Myken czy Aten. Nie masz tam Swych wojsk i namiestników, lecz władasz tymi krainami na mocy traktatów, które czynią je wasalami, posłusznymi każdemu twemu skinieniu.

Minos zatrzymał się i puściwszy jego ramię, rzekł niecierpliwie:

- Nie pytałem cię o to, czy masz swych szpiegów wszędzie, gdzie sięga władza Krety! Wiem o tym! Pytałem cię o to, co dostrzegłeś!

- Tak, panie mój... - odparł szybko Skamonios. - Chciałem rzec jedynie, że sam niewiele mogłem dostrzec, lecz mając swych ludzi w każdym niemal mieście, zebrałem wiele wieści, które mogą ci się przysłużyć, jeśli zechcesz łaskawie ich wysłuchać. Otóż zarówno w Jolkos jak w Atenach mówili mi, że opowiada się coraz częściej, i to nie kryjąc się zbytnio nawet przed obcymi, że lęk przed Kretą jest jedynie częścią nędznego dziedzictwa przekazanego im przez przodków, których skruszyła potęga twych dziadów. Mówią, że wystarczyłoby, aby ludy podbite uderzyły, odrzuciwszy trwozę, na naszą wyspę, a królestwo twoje pęknie jak gliniany garnek i nikt nigdy go już nie skleci... - Urwał na chwilę.

- Wybacz mi, panie mój, owe nikczemne bluźnierstwa, lecz pragnę, abyś wiedział wszystko.

- Słusznie czynisz... - Minos uśmiechnął się, choć w oczach jego nie było wesołości. - Ulżyłeś sercu memu, Skamoniosie, gdyż teraz dopiero pojąłem do głębi, że śmierć brata mego i jego syna była jedyną drogą dla położenia kresu marzeniom owych barbarzyńskich psów. Jakże na rękę byłyby im kłótnie w łonie królewskiego rodu i zdrada wstrząsająca tronem Byka!...

Z wolna ruszył przed siebie i ponownie zatrzymał się.

- Skamoniosie, cokolwiek mówią ci ludzie, flota moja nadal jest najpotężniejsza na ziemi,

gotowa do odparcia każdego wroga, a także do uderzenia na każdą z tych krain. Czy sądzisz, że któryś z owych królów mógłby odmówić mi posłuszeństwa i odeprzeć później mściwe uderzenie mych wojsk przewiezionych morzem?

- Żaden z nich nie mógłby się na to odważyć, panie mój... - Skamonios zawahał się, lecz dodał: - Gdyby był sam i zdany na własne siły...

- Cóż chcesz rzec przez to?

- Chcę rzec jedynie, panie mój, że gdyby zjednoczyli się oni przeciw tobie, Kreta padnie.

Milczeli przez chwilę. Skamonios pochylił głowę i trwał nieruchomo, wpatrzony w ziemię.

- Cóż mi radzisz czynić? - zapytał wreszcie Minos ochryłym głosem. - Straszne są wieści, które przynosisz!

- Nie są one straszne, panie mój, póki dawny lęk trzyma podbite ludy na wodzy. Imię twe nadal napęnia serca ich przerażeniem. Gdybym ośmielił ci się poradzić rzecz jaką, panie, rzekłbym jedynie, że winienesz wzmóc ich lęk jakimś nowym wielkim czynem, aby świat cały poznał, że ramię Krety nadal jest szybkie jak piorun. Lecz nie umiem ci rzec, jakie miałyby być to przedsięwzięcie.

- Rozmyślałem nad tym... - Minos skinął głową. - W głębi serca mego, Skamoniosie, rozważałem, czy nie zebrać naszych okrętów z wszystkich wysp i nie uzbroić naszych wasali, by uderzyć na Troję. Teraz, gdy mój boski brat zginął tam, moglibyśmy rzec, że zabili go oni i zatopili jego okręt nie chcąc przepuścić Krety przez ów przesmyk na północ, skąd biorą zboże i bursztyn!

Spojrzał na Skamoniosa, jak gdyby oczekując okrzyku zdumienia i podziwu z jego ust. Lecz Skamonios jedynie skinął głową.

- I ja rozmyślałem nad tym, panie mój. Lecz wyspa Tenedos jest potężną twierdzą, jak mogłem się przekonać, i długo trzeba byłoby ją oblegać, a przedtem jeszcze liczne okręty jej władcy stawiałyby opór najazdowi. Także Troja to gród ludny i opasany potężnymi murami, mogącymi wytrzymać niejedno natarcie, a nie podeszlibyśmy jej zniemacka, gdyż leży ona z dala od wybrzeża. Gdybyś więc zebrał wszystkie swe wojska i okręty, ogałając z nich na długo Kretę, a także wszystkie wyspy i krainy pod twym panowaniem, wrogowie twoi, którzy dziś leżą u twych nóg całując ślad twojej stopy, mogliby wykorzystać to i uderzyć bezkarnie na stolicę, nie napotyając oporu.

- Cóż więc mam czynić?! Wysłać me okręty do podbitych przez nas krain, zakuć wszystkich tych królów w kajdany i przywiódłszy ich tu trzymać w lochach, aby cierpieli za występki, których nie zdążyli popełnić przeciw mnie?!

Skamonios gwałtownie uniósł głowę i spojrzał ze zdumieniem w twarz władcy. Z wolna rysy jego przemieniły się. Uśmiechnął się radośnie.

- Panie mój, wielki jest twój rozum i nie darmo krew Byka i Wielkiej Matki płynie w żyłach twoich!

- Czyżbyś oszalał, Skamoniosie?! Rzekłem to, nie pragnąc ani przez chwilę, aby tak się stało! Jeśli jesteśmy słabi, czyż wolno nam popełniać nierozważne uczynki, które wzbudzą nienawiść wszystkich ludów, a nam nie przyniosą żadnego pożytku?

- Tak, panie mój. Nie myślę też, abyś miał porwać królów z ich ziemi i trzymać w swych lochach. Lecz ludzie ci mają synów i córki, a coż godniejszego, jak zaprosić ich wszystkich na twój dwór, aby pojęli życie swych panów i nauczyli się żyć, jak my żyjemy? Wielki to będzie, choć niepokój wzbudzający, zaszczyt. A ty mając w ręku synów i córki najmożniejszych spośród twych wasali, uzyskasz pewność, że ojcowie ich nie wystąpią przeciw sobie.

Król przyglądał mu się przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami, wreszcie i na jego obliczu

pojawił się uśmiech.

- Tak... - powiedział półgłosem. - Niełatwo zapewne knuć spiski przeciw temu, który ma w swej mocy potomstwo spiskującego. Uczynię tak. A szczególnie pragnąłbym ujrzeć owego królewicza ateńskiego. Czy wiesz, że gdy wysłałem oficera z rozkazem, aby pojmał i wydał mi białowłosego chłopca, płynącego w załodze mego boskiego brata, odesłał on na Krete innego młodzieńca, rozbójnika schwytanego w górach! A tamtego ukrył zapewne, gdyż nie odpłynął on z załogą Angelosa, gdy okręt odbił od przystani ateńskiej.

- Tezeusz, syn Erechteusa... - mruknął Skamonios. - Wiem o nim, że choć posłusznie wypełnia rozkazy, pełen jest pychy. Tak mi doniesiono. Dzielny to młodzieniec i dobry wojownik. Zapewne wkrótce zostanie królem, gdyż ojciec jego stary jest i chory.

- Tym lepiej więc, jeśli pozostanie tu długo. Na zawsze, jeśli zajdzie potrzeba... - Minos uśmiechnął się. - Lecz nie pragnę być okrutnym bez potrzeby. Wydaj rozkazy i niechaj okręty odpłyną tam, gdzie według twojej wiedzy winny odpłynąć, by powrócić wioząc nam barbarzyńskich gości.

- Tak, panie mój. Uczynię wszystko, co konieczne dla twego zamiaru.

Król skinął głową. Był uradowany, choć pragnął to ukryć.

- A czy nie napotkałeś w drodze kapłana egipskiego, który przybył tu ścigając tego młodego białowłosego barbarzyńcę? Zezwoliłem mu, aby popłynął do Troi na jednym z mych okrętów.

- Nie, panie mój. Żaden, prócz Angelosa, okręt kreteński nie przybył do Troi, gdy czekałem ukryty na Tenedos.

- A więc biedak nigdy już go nie ujrzy, skoro Angelos zniknął w falach morza.

Skamonios nie odpowiedział. Stał pochylony w ukłonach, czekając na znak, by móc oddalić się. Zamysł, który podsunął królowi, był mądry, jak sądził. Być może odsunie on na lata całe zagrożenie Krety. A powiernik Minosa kochał swą ojczystą krainę i brzydził się barbarzyńcami.

Cóż mógł go obchodzić w owej chwili kapłan Het-Ka-Sebek lub białowłosey młodzieniec, którego ścigał on przez lądy i morza, aby złożyć go w ofierze swemu straszliwemu bogu?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

To Ona pomieszała im zmysły?

Gdy czwartego dnia ujrzeni między wąskimi zwieszającymi się niemal nad okrętem czarnymi skałami przesmyku jasnoniebieską przestrzeń wód, Terteus, który stojąc na dziobie zwrócił oblicze ku trojańskiemu rybakowi, zapytał go:

- Czy umiesz pływać?

Człowiek ów stał przy nim z rękami związanymi luźno na plecach, aby nie mógł uciec skoczywszy do wody.

Metławos, młody żeglarz z Amnizos, którego Terteus wybrał do tego celu, gdyż zdawał się on być obdarzony ogromną mocą ramion, siedział za jeńcem trzymając w ręce okręcony kilkakroć wokół przegubu dłoni koniec sznura. Od trzech dni spał tak nawet, połączony ze swym więźniem w ów sposób.

Od chwili, gdy pojmany rybak pojawił się na pokładzie Angelosa, młody kapitan nie przestawał dziękować bogom, że zezwolili księciu ujrzeć maleńki blask jego ogniska owej pierwszej nocy.

Płynęli w deszczu i mgle, a choć rybak rzekł im, że przecięli duże morze śródładowe, żaden z nich nie mógłby na to przysiąc, gdyż przesuwali się wśród szarego, wilgotnego oparu, z którego co pewien czas spadało na morze i okręt mrowie drobnych chłodnych kropel. Fale owego śródładowego morza, cicho szeleszczące po bokach kadłuba, wydawały im się ciemne i tłuste, jak gdyby unosiła się na nich rozlana oliwa. Wiatr nie wiał wcale lub był niewielki i Angelos posuwał się mocą wiosł połowy załogi, gdy druga połowa, otulona mokrymi płaszczami, drzemała dzwoniąc zębami z zimna, lecz nie odpasując mieczy i nie zdejmując hełmów. W każdej chwili z mgły mógł się wyłonić wróg.

Terteus nie mógł uwierzyć, aby nie wysłano za nimi pościgu, a choć Angelos płynął tak szybko, jak na to pozwalały siły ludzkie, jednak okręty trojańskie, znając lepiej tę wodną okolicę, musiałyby pokonać swą drogę prędzej. Zresztą nie chcąc marnować sił załogi, nim nadejdzie chwila, gdy mogą one okazać się najbardziej przydatne, przybijał nocą do odludnych brzegów tej krainy i zmieniając strażę, dawał ludziom ile mógł wytchnienia.

Rybak, któremu przyrzekł, że jeśli wprowadzi Angelosa w zasadzkę, będzie pierwszym z tych, których miecz jego wyśle do Krainy Mroków, przysięgał, że prowadzi ich najprostszym i najbezpieczniejszym szlakiem. Lecz któż mógł wiedzieć, na ile można mu było zaufać?

Pewnym było jedno, że znał skały i prądy tych wód i wykorzystywał je jak dotąd uczciwie. Gdyby nie on, zginęliby zapewne lub rozbili okręt na ukrytych tuż pod powierzchnią zdradliwych ostrogach lub wyrastających nagle spośród wód poszarpanych głazach, niemal niewidocznych we mgle.

Nie napotkali w ciągu owych trzech dni nikogo. Lecz bogowie musieliby chyba przyjść z pomocą

Trojańczykom, aby natknęli się oni na Angelosa pośród oparu spowijającego świat gęstym, nieprzeniknionym płaszczem.

Jednak, gdy czwartego dnia wpłynęli do drugiego przesmyku, który miał, jak przysięgał rybak, ujście swe w wodach wielkiego morza północy, Terteus postawił całą załogę pod bronią i okrył tarczami burty okrętu, jak gdyby wróg był naprzeciw i gotował się do uderzenia, choć jeszcze nie można go było ujrzeć.

Przesmyk był chwilami tak wąski, że nawet we mgle błyskały po obu stronach wilgotne, czarne skały. Nurt stał się ostry, jak gdyby nie było to morze, lecz rwąca, wezbrana rzeka górską.

Dwukrotnie pochwycony mocą wód Angeles sunął wprost na skały i jedynie niepojęta dla oka sztuka Eriklewesa przy sterze i rady, które wykrzykiwał mu pośród łoskotu fal stojący przy nim rybak, a także siła ramion ludzi, którzy na rozkaz wpierali wiosła w zbliżającą się skalną ścianę, obok której przesuwał się okręt, pchany na nią prądem, ocaliły ich od roztrzaskania i śmierci w odmętach.

I właśnie wówczas, gdy po raz drugi uniknęli zagłady i Angelos przez pewien czas płynął swobodnie pośrodku nurtu pchany pod prąd siłą wioseł i żagla, gdyż wiatr zaczął dąć z południa, mgła rozproszyła się, chmury zrzędyły i niespodzianie zabłysło słońce, słabe początkowo i przebijające się z trudem przez resztki rozwiewanych podmuchem mgieł, a później ostre i jaskrawe, jaśniejące za ich plecami pośrodku niebios, ukazując im widok długiego pasma przesmyku ciągnącego się przed nimi pośród mrocznych, urwistych skał.

A na krańcu owego przesmyku ujrzeli rozległą, tonącą w blasku przestrzeń wód, a raczej uwierzyli, że oto mają przed sobą morze, gdyż wysokie, urwiste ściany schodziły się niemal przed ich oczyma i patrzyli na owe upragnione morze jak gdyby przez wąskie okno wiodące z posępnego kamiennego lochu.

Załoga wydała okrzyk dziękczynny, wiosła gwałtownie opadły w wodę i szarpnęły mocniej. Pomimo silnego przeciwnego prądu Angelos pomknął ku przodowi, jak gdyby płynął po spokojnych wodach.

Wkrótce skały poczęły się oddalać i przesmyk rozstał się nieco, ukazując spokojniejszą powierzchnię wód.

I wówczas to, nie odrywając oczu od dalekiej powierzchni morza i urwistych skał przesmyku, gdzie mógł kryć się nieprzyjaciel, przed którym nie osłaniała już Angelosa zesłana przez bogów mgła, Terteus zapytał rybaka:

- Czy umiesz pływać?

- Umiem, panie - odpowiedział ów człowiek i uśmiechnął się lekko, choć był spętany i nie wiedział, czy za chwilę ludzie ci” gdy wiedza jego stanie się im zbyt cenna, nie przebiją go mieczem i nie wrzucą do morza. - Woda karmi mnie i dzieci moje. Jakżebym miał nie znać jej? Ów, który ryby łowi, sam musi być jako ryba.

- To prawda. Jeśli pragniesz więc odzyskać wolność, zdejmujemy ci pęta i możesz popłynąć ku brzegowi.

- Zezwól mi, panie, abym uczynił to, gdy okręt twój zbliżać się będzie ku ujściu przesmyku, gdyż w pobliżu morza wybrzeże jest łagodniejsze, a prócz tego stoją tam okręty strażnicze pana mego. Być może ubłagam dowódcę któregoś z nich, aby zezwolił mi potrudzić się przy wiosle, gdy będzie powracał do Troi. Gdyż daleko odpłynąłem od moich stron.

- Ileż ich może być? - zagadnął Terteus usuwając się i kłoniąc głowę, gdyż książe Widwojos

zbliżył się ku nim w towarzystwie syna swego i obaj poczęli wpatrywać się w skrawek morza, coraz bliższy, widoczny między ścianami przesmyku.

- Jest tam ich, panie, kilka. Strażują nieustannie wokół ujścia przesmyku, a zmieniają się co pewien czas i powracają na Tenedos, gdy inne nadejdą w ich miejsce. Widzę je zawsze, gdy płyną tu i udają się z powrotem. Możesz ich napotkać pięć lub sześć. Nocą stoją zwykle tuż przy ujściu. Jest tam strażnica drewniana, gdzie ludzie kryją się przed burzą, wyciągnawszy okręty na brzeg. Lecz za dnia odpływają często daleko, a to dla różnych przyczyn, z których jedną jest wypatrywanie własnych okrętów, powracających od barbarzyńskich brzegów ze zbożem i innymi towarami. Baczą także, by nikt obcy nie przemknął się tędy w jedną lub w drugą stronę.

- Boski książę - rzekł Terteus nie zniżając głosu, gdyż człowiek ów nie mógł opuścić okrętu, nim nie uzyskają pewności, że są bezpieczni - mówi on, jak usłyszałeś, że okrętów owych może być kilka. Zapewne uderzą na nas, gdyż wielce jest prawdopodobne, że szybki okręt z Troi, płynąc z podwójną załogą dzień i noc, mógł przybyć tu przed nami wyminawszy nas w drodze. A że nie udało im się wypatrzeć nas we mgle, z pewnością będą czekali tu w zasadzce.

- Cóż - rzekł książę - zwykle wojownicy stojący naprzeciw wroga mogą uderzyć lub cofnąć się. Jednak my nie mamy się gdzie cofnąć, Terteusie.

- A więc uderzymy na nich! - Terteus skinął poważnie głową. - Jeśli nie uda nam się wypłynąć na pełne morze, gdzie chyżość nasza wspomóc by mogła ucieczkę, trudno będzie się przedostać. Gdyby wyszli nam do bitwy na tak wąskich wodach okrążając z wszystkich stron, wówczas niechaj bogowie mają nas w swej opiece, gdyż sprawa będzie trudna i bez ich pomocy się nie obejdzie.

- Nastąpi wówczas krwawy bój! - zawołał Perilawos pogodnie, poprawiając hełm. - Lecz cóż, jeśli wypłyniemy na morze, a nie napotkamy nikogo?

- Napotkamy... - rzekł Terteus spokojnie. - Już ich bowiem napotkaliśmy.

Uniósł rękę, w której trzymał obnażony miecz. Wszystkie oczy poszły w tym kierunku.

Spod stóp ciemnej ściany skalnej wypłynęło na rozmigotane teraz słońcem wody przesmyku sześć smukłych kształtów. Były jeszcze daleko, lecz zmrzywszy oczy Terteus dostrzegł błysk wynurzających się z wody i opadających w nią wiosel. Żagle były opuszczone.

Zwrócił się ku Widwojosowi.

- Prowadź nas, boski książę! Zginiemy tu lub uda nam się przedrzeć! Jak rzekłeś, cofnąć się nie mamy dokąd! Widwojos bez słowa zawrócił ku śródokręciu.

Terteus uniósł rękę. Zaśpiew sternika ucichł. Wiosła nadal opadały w wodę, lecz ludzie wyprostowali się w ławach, by lepiej słyszeć. Ci, którzy nie wiosłowali, dopinali rzemyki hełmów powstając pospiesznie. Nad okrętem pojawił się las włóczni.

- Eriklewesie! - zawołał Terteus. - Czyń wszystko, byśmy nie uderzyli w żaden z owych okrętów, lecz wyminęli je, jeśli się nam uda! Jeśli bowiem zatrzymamy się choćby na krótko, spadną na nas ze wszystkich stron, a jest ich tam zapewne czterokroć więcej uzbrojonych i mężnych wojowników. Gdy będziemy przepływali, nie wstawajcie, by rzucić oszczep lub wypuścić strzałę, lecz okryjcie siebie i wiosłujących towarzyszy tarczami, aby jak najmniejszą szkodę ponieść. Nie walki bowiem z nimi pragniemy, lecz musimy okręt nasz wyprowadzić na morze! Jeśli jednak zatrzymają nas, wówczas rzućcie się na nich i zabijajcie każdego, którego dosięgnie wasze ramię!

Odpowiedział mu okrzyk i ucichł od razu.

Wpatrzeni w sześć nadciągających okrętów wiedzieli, jak cienka stała się nić, na której uwieszono ich żywot.

- Będziemy płynęli wolno, aby móc uniknąć zderzenia, jeśli przetną nam drogę... - rzekł Terteus. - Gdy tylko dziób nasz minie ich, naprzyjcie na wiosła!

Chciał dodać coś jeszcze, lecz zamilkł. Od śródokręcia przybliżał się księżę. Szedł wyprostowany i stanął na dziobie.

Zaległa zupełna cisza.

- Matko! - zawołał Widwojos jasnym, donośnym głosem. - Ty, która strzeżesz dróg mego rodu i mego królestwa, przybywaj!

I z wolna uniósł wysoko ponad głową kamienny, podwójny topór, który wręczyła mu Ariadna, gdy odpływał z rodzinnej wyspy.

Powstał nagle silniejszy podmuch wiatru i przeleciał nad okrętem szeleszcząc w kitach hełmów.

- To Ona! - rzekł zdławionym głosem człowiek siedzący przed Białowłosem, który pochylił się nad wiosłem. - Przybyła!

Widwojos trwał nieruchomo wpatrzony w nadpływające okręty. Po obu bokach miał syna swego i Terteusa.

Okręty były już blisko, płynęły jeden za drugim, nie ustawiając się w szyku. Terteus patrzył na nie, nie pojmując. Czemu nie zagradzały im przesmyku nadpływając szeregiem? Wówczas musieliby taranować jeden z nich, a wojownicy stojący na innych mogliby się rzucić na Angelosa zasypawszy jego załogę strzałami.

I nagle wiosła pierwszego okrętu, a później innych uniosły się. Wioślarze powstali i pochylili się w głębokim ukłonie.

Okręty zwolniły, tańcząc na nurcie, który płynął tu już o wiele łagodniej, gdyż ujście przesmyku rozszerzyło się. - Cześć ci, potomku Wielkiej Matki, Synu Królów! - zawołał donośnie człowiek stojący na dziobie pierwszego okrętu.

Terteus przyglądał mu się bacznie. Wiosła obu okrętów niemal otarły się o siebie. Angeles mijał go na pół odległości rzutu włócznią. Dłoń zaciśnięta na rękojeści miecza mimowolnie zwolniła uścisk. Patrzył nie wierząc własnym oczom. Żaden z ludzi na trojańskim okręcie nie trzymał oręża w ręku.

Terteus uniósł dłoń i opuścił ją szybko. Wiosła zanurzyły się w wodzie i powstrzymały bieg Angelosa. Oba okręty zatrzymały się obok siebie, znoszone nieco prądem w głąb przesmyku.

- Kim jesteście? - zapytał dostrzegając kątem oka, że Widwojos z wolna opuścił podwójny topór i wsparł się o burtę.

- Jesteśmy strażą ustanowioną przez bogom podobnego króla Tenedos, aby strzegła tej cieśniny! Wczoraj przybył ku nam okręt z rozkazem pana naszego, abyśmy oddali cześć boskiemu Widwojosowi, jeśli nadpłyniecie, i zapytali go, czy nie pragnie uzupełnić swych zapasów lub skorzystać z jakiegokolwiek naszej przysługi.

Wielkie milczenie położyło się na pokładzie Angelosa. Siedzący na sąsiedniej ławie młody Kreteńczyk pochylił się ku Białowłosemu i wyszeptał:

- Czy słyszysz! To ona! Wielka Matka nasza! Pomieszła im zmysły!

- Wdzięczni jesteśmy za uprzejmość twoją, czcigodny wodzu okrętów, lecz zapasy nasze, dzięki szczodrobliwości króla Troi, są dostateczne. Boski Widwojos prosi cię, abyś przesłał od niego słowa podziękii za gościnę, której udzielił mu brat twego władcy!

Widwojos nagle odzyskał mowę.

- Terteusie! - rzekł półgłosem. - Gdzież masz owe pazury, które zatrzymałeś sobie? Daj mi je! A

także małą” szkatułkę, która znajduje się w mym namiocie pod masztem!

- Tak, panie...

Terteus cofnął się i ruszył w kierunku masztu.

- Wstrzymaj się nieco, dzielny wodzu - zawołał Widwojos - gdyż pragnę przesłać potężnemu królowi Troi mały upominek w zamian za gościnę! Przekaż mu, że proszę o jego wybaczenie, bowiem dar mój jest niewielki, choć okaże się, jak sędzę, miły sercu jego. Wszelako będąc w drodze i rozpoczynając wyprawę ku nieznanym krainom, nie mogłem zabrać z sobą podarunków godnych tak wielkiego i szlachetnego władcy!

Terteus powrócił i stanął przy nim.

- Czy pazury owe znajdują się w tej szkatułce? - zapytał cicho ksiązę.

Terteus bez słowa skinął głową. Nagle dostrzegł kątem oka spętanego rybaka i szybko sięgnął ku jego więzom rozcinając je mieczem.

- Niechaj on ją weźmie, panie...

- Słusznie! - Widwojos pochylił się nad burta. - Przybliź się tu wraz z okrętem, dzielny kapitanie, nie tylko bowiem dar chcę ci przekazać dla twego władcy, lecz także znajduje się tu pewien rybak, który pomógł nam pokonać zdradzieckie prądy owych przesmyków.

I zdjawszy pierścień z palca dał go rybakowi, który upadł przed nim na twarz i ucałował jego nogi, a później powstał. Ksiązę podał mu szkatułkę.

Okręty przybliżyły się ku sobie. Człowiek przeskoczył z wyższej burty na niższą.

Terteus uniósł dłoń.

- Żegnajcie nam, dzielni żeglarze! Niechaj Wielka Matka czuwa nad wami, a z Nią Posejdon o Białym Obliczu!

- Niechaj czuwają oboje nad tobą i twoją załogą, boski ksiązę! - zawołał kapitan.

I z wolna sześć okrętów przesunęło się obok nich płynąc w głąb przesmyku, a później zawróciło i ruszyło za nimi ku otwartemu morzu. Trzymały się jednak w tak dużej odległości, nie próbując zmniejszać jej, że Angelos począł oddalać się od nich, gdy załoga mocniej nacisnęła na wiosła i rozpięto żagiel, chwytając weń sprzyjający wiatr południowy.

- Nie pojmuję tego, boski ksiązę... - rzekł Terteus cicho, aby stojący za nim ludzie nie usłyszeli go. - Czemuż król ów, który pragnął zamordować cię, łamiąc odwieczne prawa gościnności, uświęcone nawet wśród najbardziej barbarzyńskich ludów, teraz pragnie cię wspomóc w twojej wyprawie, krótko po tym, gdy bogowie cudem niemal zezwolili ci uratować życie z rąk jego ludzi!

- Ja także nie pojmuję tego... - Widwojos mimowolnie uniósł kamienny dwusieczny topór i przyłożył go do piersi. - Odkąd stałem się dojrzałym młodzieńcem i począłem patrzeć na świat własnymi oczyma, a nie oczyma mych nauczycieli, powziąłem przekonanie, że być może bogowie są jedynie naszym wyobrażeniem tego, czego pojąć nie jesteśmy w stanie, a być może nie ma ich wcale. Lecz dziś, gdy uniknąłem już tak wielu niebezpieczeństw w tak krótkim czasie, a sprawy moje układają się tak przedziwnie... nie moje jedynie, lecz także losy mego syna... pocynam wierzyć, że być może myliłem się i... i...

- Zawahał się. - Gdy uniosłem ów prastary topór, który przodkowie moi przynieśli na Kretę w czasach, gdy uderzyli na dawnych, barbarzyńskich władców tej wyspy, czy dostrzegłeś, Terteusie, jak owe wrogie okręty nagle przemieniły się w przyjazną nam flotę, a niebezpieczeństwo straszliwe, wiszące nad nami, zniknęło i rozwiało się jak sen płochliwej niewiasty?... Cóż więc mam sądzić?

- Nie jestem godzien, by pouczać cię, boski ksiązę... - rzekł młody rozbójnik morski - lecz w

moim mniemaniu śmierć, burza, gromy i błyskawice, a także cały los człowieka, leżą w ręku owych sił. Tak wierzyli moi ojcowie, tak wierzę ja, a jeśli będę miał synów, będę pragnął, aby i oni tak wierzyli. Gdyż usypiam spokojnie wiedząc, że los mój jest w dłoniach nieskończenie potężniejszych niżli moje. Nie znaczy to jednak, bym gardził ostrożnością i nie dbał o to, co się stać może. Bogowie najbardziej miłują tych, którzy najprzemysłniej umieją walczyć z przeciwnościami. - Roześmiał się. - Być może ów, który wierzy, i ów, który nie wierzy, postępują jednak i jednak bronią swego żywota. Lecz sen mój spokojniejszy jest zapewne niżli sen tego, który na sobie jedynie pragnie polegać, nie składając ofiar mogących ubłagać bogów lub nie składając im przysięg, których łamanie karzą oni surowo.

- Cóż... - rzekł Widwojos uśmiechając się także - złożmy więc ofiarę bogom, jeśli wydostaniemy się z tego przesmyku i swobodnie wypłyniemy na pełne morze. Albowiem wyprawa nasza, choć nie wiemy, jak się zakończy i gdzie nam powrócić przyjdzie, tu się właśnie rozpoczyna.

- Tak, boski książę! - Terteus poważnie skinął głową.

- Źle byłoby, gdybyśmy nie podziękowali Posejdonowi, który prowadził nas pośród owych wirów i skał, a także Wielkiej Matce, która zezwoliła Białowłosemu i mnie przybyć na czas do owej chaty w górach trojańskich, abyśmy mogli uratować jej potomków, a dziś odwróciła od nas gniew przeważających wrogów. Lecz okręty owe nadal płyną za nami, choć nie rozwijają żagli i pozostają w tyle. Być może jeszcze, że inne okręty oczekują nas u ujścia przesmyku, a te służą jedynie, by odciąć odwrót?

Lecz mylił się, bo gdy wreszcie skały cieśniny opadły łagodnie i po obu stronach otworzyła się daleka linia brzegów uciekających aż po krawędzie widnokręgu, morze przed nimi było puste.

- Rybak ów powiadał, że lewy brzeg, który, jak widzisz, boski książę, ucieka ku zachodowi przechylając się lekko na północ, doprowadzi nas do ujścia wielkiej rzeki leżącej na północy. Tam docierają ich okręty, płynące po zboże.

- Więc wyruszymy na morze, kierując się ku wschodowi - rzekł Widwojos. Obejrzał się. Okręty króla Tenedos nie ukazały się jeszcze w szerokiej gardzieli przesmyku. - Nie wiem, czy ci tak podszeptuje twa wiedza żeglarska, Terteusie, lecz przyznam się, że pragnąłbym zgubić owych tak przyjaznych nam dziś Trojańczyków i nie ujrzeć ich już nigdy. Być może goniec królewski oszalał lub przekreślił słowa swego władcy, a następny przyniesie im rozkaz, aby nas zatopili. Mniej musimy lękać się ich teraz na otwartym morzu, gdzie trudno byłoby im nas doścignąć. Lecz nie pragnę, aby śledzili oni drogę, którą posuwa się nasza wyprawa.

- Tak i ja mniemam, boski książę. Popłyniemy więc ku wschodowi, a gdy zgubimy z oczu owe okręty, przetniemy morze za widnokręgiem i powrócimy ku zachodnim wybrzeżom, aby zawinąć po zmroku do jakiejś ustronnej zatoki dla odpoczynku i nabrania słodkiej wody.

- Wydaj taki rozkaz, Terteusie.

Po chwili dziób Angelosa pochylił się lekko i skręcił ku wschodowi.

Gdy po pewnym czasie Terteus przeszedł na tył okrętu, ujrzał daleko za sobą wylot cieśniny, a przed nim kołyszące się na falach nieruchome okręty króla Tenedos.

Dalekie wzgórza otaczające przesmyk rozplynęły się w południowej mgiełce. Słońce pełnego lata świeciło jasno i załoga zdjawszy hełmy i odpasawszy miecze wylegiwała się nago na ławach. Wiatr cicho śpiewał w wielkim czarnym żaglu spoglądającym nieruchomymi oczyma świętego Byka na rozległe nieznanne wody, po których nigdy jeszcze nie żeglował kreteński okręt, a nie wpłynąłby na nie, gdyby nie stało się to z wolą króla Tenedos.

Monarcha ów w przeciwieństwie do swego brata był człowiekiem o wesołym usposobieniu i nie umiał się długo dręczyć sprawami, które mogły położyć cień na jego panowaniu, choć walczył z nimi przemyślnie i bezwzględnie, gdy pojawiały się na widnokręgu.

Tego wieczoru, gdy królowie Tirynsu i Myken odpłynęli z Troi do swych odległych krain, zasiadł z bratem w wielkim megaronie i nagle roześmiał się.

- Cóż za igraszki trzymają się naszych wszechpotężnych bogów! - rzekł nalewając sobie sam wina do pucharu, gdyż odprawili sługi, aby nikt nie mógł słyszeć ich słów.

- Nie wiem, jak Widwojos umknął twym ludziom, jak przesiadł się na swój okręt i jak przebył we mgle i deszczu owe tak niebezpieczne wody, by ukazać się u wylotu nad północnym morzem, lecz wiem, że dobrze się stało!

- Czemu tak sądzisz? - Brat jego nie był w tak dobrym usposobieniu. Nie uśmiechała mu się ani myśl o uderzeniu wraz z królami owych niewielkich krain na odwieczną potęgę Krety, ani druga myśl, nie dająca mu usnąć od paru dni: co miał donieść Minosowi o losie Widwojosa, jego syna i okrętu? Cóż z tego, że brat odesłał owego dostojnika z pomyślnymi wieściami, skoro Minos dowie się, że wyprowadzono go w pole, a wówczas ogarnięty gniewem może ruszyć na Troję lub co najmniej zniszczyć jej handel z całym poznanym światem, zatapiając każdy okręt trojański lub pochodzący z Tenedos?

- Mniemam tak, gdyż, po pierwsze, nie zamordowałeś swego gościa, czego, jak wiadomo, nie lubią bogowie. Po wtóre: Angeles przedarł się na morze północne i zniknął tam na zawsze.

- Czemu rzekłeś „na zawsze”? Jakże możesz wiedzieć o tym, co przyniesie przyszłość?

- Mogę! Albowiem jedna jest droga, którą kreteński książę może powrócić, a prowadzi ona przez te same cieśniny. Od dnia jutrzejszego okręty moje, które tak godnie przyjęły i pożegnały twego gościa, czekać będą w pogotowiu. Wzmocnię jeszcze tam moją straż, aby nie było chwili za dnia i w nocy, gdy cieśniny pozostaną nie strzeżone. Jeśli powróci, zatopię go i zgodnie z rozkazem, który im wydam, wytną do ostatniego całą załogę, a później pochowają owych ludzi bądź w głębinie morskiej, bądź też w bezimiennym grobie, znajdującym się w odludnym skalistym miejscu, gdzie nigdy człowiek nie zachodzi, choćby nawet był dzikim pasterzem kóz. Tak więc sprawa Widwojosa i jego okrętu jest zakończona i słusznie uczyniłem donosząc Minosowi, że spełniliśmy jego prośbę. Należy jedynie ubrać to kłamstwo w słowa pełne prawdy, które podniosą naszą mądrość w oczach kreteńskiego władcy. Poślemy mu wieść, że Widwojos został uprowadzony w góry i tam zabity wraz z synem, że podstępem zawiadomiłeś sam załogę o tym czynie, a kapitan okrętu wpadłszy w trwożę i wiedząc, że jego także musi czekać podobny los, odpłynął nocą, śledzony z dala przez moje okręty, i skierował się ku przesmykowi na morze północne, wiedząc, że nie może powrócić na Kretę, gdyż tam zapewne czekałaby ich wszystkich jeszcze straszliwsza śmierć. A gdy Angelos znalazł się w najbardziej odludnym miejscu przesmyku, napadły go moje okręty i zatopiły wraz z całą załogą, tak że nikt żywy nie uszedł i nigdy nie powtórzy nikomu o tym, co się wydarzyło!

- Lecz to kłamstwo! - zawołał król Troi i potrząsnął rozpaczliwie głową. - Nie ma w tym słowa prawdy, bracie mój!

Król Tenedos wstał, obszedł wielki kamienny stół, na którym walały się misy z mięsem, okruchy placków i stały dzbany z winem i wodą, służącą do rozcieńczania napoju. Zatrzymał się przed bratem i położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie rzekłem ci jeszcze wszystkiego, więc słuchaj mnie pilnie, nim przemówisz, by wyrazić swój sąd. Jak wiesz, przybyli tu królowie Myken i Tirynsu, którzy wraz z wieloma innymi władcami

pragną zrzucić panowanie Kreta. Dla ciebie, jak i dla mnie, taki obrót rzeczy byłby niemal równie pomyślny jak dla nich, otworzyłoby to nam bowiem drogi handlowe ku najdalszym częściom świata, tam gdzie cały handel przechwytyje Minos dla siebie.

Prócz tego, jeśli Kreta runie, czyje floty staną się najpotężniejsze w świecie? Floty ksiąząt fenickich na południu i moja, a więc nasza, na północy... - A widząc, że brat pragnie coś odrzec, uniósł szybko ramię na znak, że jeszcze nie rzekł ostatniego słowa. - Lecz uznajmy, że wyprawa owych królów nie dojdzie do skutku lub zostanie rozbita przez Kretę... Wówczas, jeśli przyłączymy się do walki z Kretą, Minos stanie się naszym wrogiem, to prawda... jednak wyprawa na Troję lub Tenedos byłaby zbyt uciążliwa dla Kreta, jak mniemam. Wyspa moja jest potężną twierdzą, której żadna flota nie zdobędzie, a Troi także nikt nie zaskoczy, gdyż wsparta jest o moje okręty. Nie może Minos porzucić swego królestwa i огоłocić go z wojsk i okrętów, aby wszystkimi siłami uderzyć na nas... Lecz my... my będziemy wówczas mieli Widwojosa, jeśli nie pochłoną go niebezpieczeństwa jego wyprawy.

- Nie pojmuję cię - rzekł brat jego i podparł szyję otwartą dłonią. Był to ruch dobrze znany jego dworzanom. Władca Troi czynił tak, gdy był zaniepokojony lub nie mógł czegoś pojąć. - Cóż chcesz rzec? Mów, gdyż słowa twoje są ciemne.

- Chcę rzec jedynie, że jeśli nie stanie się nic, Minos uwierzy przesłanej przez nas wieści o zagładzie Angelosa, a ja dopilnuję, aby nigdy nie dowiedział się, że śmierć spotkała Widwojosa później, niż przypuszcza. „Natomiast jeśli królowie uderzą na Kretę i zniszczą ją, rzecz cała nie ma żadnego znaczenia, gdyż nie będziemy musieli liczyć się z potęgą Kreta. A gdyby królowie uderzyli na Kretę, a Kreta zdołałaby się obronić, wówczas wiedząc o nienawiści Minosa, nie zabijemy powracającego z wyprawy Widwojosa, lecz przyjmujemy go najgodniej, gdy okręt jego wpłynie na nasze wody, i ogłosimy go prawym królem Kreta, a Minosa nazwiemy tyranem, który chciał zabić rodzony brata. A któż może świadczyć o tym bardziej niżli ty sam? Wówczas Widwojos może na skutek wojny lub śmierci Minosa objąć władzę, a my miast potężnego wroga będziemy mieli potężnego sprzymierzeńca. Tak więc jedyne, co nam czynić teraz należy, to zawiadomić Minosa o zatopieniu Angelosa i potwierdzić ową wieść o śmierci księcia i jego syna. A później przypatrywać się uważnie, słuchać i wierzyć, że bogowie ześlą nam dobre wieści i szczęśliwy los. Albowiem nim przystąpimy do wojny z Kretą u boku owych królów, wyślę wiele szpiegów na morze i do licznych krain, aby donieśli mi o siłach obu stron. Poznawszy te siły postanowimy, po której stronie się opowiedzieć, aby sobie i naszym krainom przynieść największą korzyść. Choć, by rzec prawdę, wydaje mi się, że dni Kreta są policzone, nawet jeśli Minos nie wie o tym jeszcze.

Brat jego westchnął, jednak po chwili rozchmurzył się. Nie wszystko pojął z owego potoku wymowy, lecz ufał przemyślności młodszego brata.

- Więc sądzisz, że nie mam się czym frasować? - rzekł niepewnie.

- Nie! - odparł tamten stanowczo. - Jutro odpływa na Kretę jeden z mych okrętów. Wyślę nim zaufanego człowieka, który powiadomi Skamoniosa, że rzecz została zakończona: Widwojos i jego syn zginęli z ręki twych ludzi, a okręt został zatopiony przez moje okręty. Później uczynimy tak, jak nam doradzą bogowie. Sprawy te same wkrótce ukażą swe oblicze.

- Jednego tylko nie pojmuję - rzekł król Troi. - Jaki los spotkał brata mej małżonki? Gdyż nie mam od niego żadnej wieści.

Lecz i na to pytanie znaleźli wkrótce odpowiedź. Gdy minęło kilka jeszcze dni, dzikie zwierzęta wywlokły ścierwo jednego z zabitych koni z rozpadliny skalnej, a pasterze trojańscy spostrzegli i

odnaleźli zwłoki dworzan królewskich.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ciemny pierścień zakrzepłej krwi

Płynęli już dziewiąty dzień, kierując się nieustannie ku północy wzdłuż porośniętych lasami niskich brzegów owego morza, na których nie dostrzegli śladów życia ludzkiego. Raz jedynie na wysokim obnażonym cyplu ukazał im się człowiek siedzący na niewielkim brunatnym koniu. Gdy przybliżyli się, nawołując ku niemu nad wodą, stał przez chwilę spoglądając na nich, później nagle zawrócił konia i zniknął w lesie. Więc choć lasy owe były pełne zwierzyny, a ujścia niewielkich wpadających do morza rzek i potoków roiły się od ryb, kraina owa zdała im się bezludną lub zamieszkałą przez plemiona nie pragnące poznać obcych przybyszów.

Dziewiątego dnia w południe dostrzegli osadę na skalistym półwyspie, a że nie opodal była przystań, Widwojos wszedł do niej i wysłał kilkunastu ludzi wraz z Terteusem, aby wybadali, jacy ludzie tam zamieszkują, i próbowali dowiedzieć się, jak daleko jest do ujścia wielkiej, prowadzącej na północ, rzeki, która gdzieś winna była się w pobliżu znajdować.

Załoga czekała gotowa w pełnym uzbrojeniu, by przyjść towarzyszom z pomocą, jeśli przyjęcie okaże się nieprzyjazne, a ludzie owi dzicy i niegościnni.

Lecz z osady dostrzeżono ich zapewne wcześniej, gdyż Terteus powrócił wraz z ludźmi, wiodąc z sobą wysokiego męża odzianego w płócienny płaszcz i grube, ciężkie sandały niepięknej i domowej zapewne roboty. Mąż ów zachowywał się swobodnie i przyjaźnie, pozdrowił Widwojosa i przemówił łamaną mową trojańską:

- Wojownik twój rzekł mi, że poszukujecie ujścia wielkiej rzeki, która doprowadzić was ma do krainy, gdzie rodzi się bursztyn... Skąd przybywacie?

- Z dalekiej wyspy na południu, która leży o trzy dziesiątki dni drogi pod żaglem przy sprzyjającym wietrze... - odparł Widwojos - i pragniemy dotrzeć tam, skąd bursztyn przybywa.

- Tego nie wiem ani ja, ani nikt z mego ludu - rzekł człowiek potrząsając głową. - Przybywają tu okręty z południa po zboże, które siejemy my i nasi sąsiedzi, a sprzedajemy im je za miecze miedziane, ozdoby dla naszych niewiast i groty do naszych strzał i oszczepów. Nie zapuszczamy się daleko, gdyż nie jesteśmy ludem morskim. Wiem jednak, że dalej na północ żyją inne ludy. Owe bliższe nam także sieją zboże i sprzedają ziarno Trojanom. Lecz dalej za wielką rzeką rozpoczyna się świat, do którego okręty trojańskie już nie dopływają, gdyż nikt tam nie sieje, a nie słyszałem, by nad brzegiem było tam jakie miasto. Trojańscy żeglarze mówili mi, że lud, który tam zamieszkuje, dziki jest i gardzi handlem, a także nienawidzi obcych. Dziękujemy bogom naszym, że lasy nieprzebyte i bagna wokół owej wielkiej rzeki dzielą nas od nich, gdyż zapewne napadliby na sąsiadów naszych, a później na nas, będąc tak dzikimi jak są. A skoro tak wielką wagę przywiązujecie do owego bursztynu, którego nasze kobiety nie pragną, gdyż przedkładają nadeń brąz i srebro, są one bowiem

piękniejsze i lśnią, rzucając blask piękny, rzeknę wam szczerze, że nie handlujemy nim i nie otrzymujemy go znikąd. Lecz sądzę, że Trojanie biorą go od sąsiadów naszych, mieszkających nad wielką rzeką na północy, ku której dopłyniecie przy sprzyjającym wietrze za dwa lub trzy dni. Oni, być może, więcej wam o tym będą mogli rzec, jeśli zechcą.

Podziękowali owemu człowiekowi za uprzejme jego słowa i wsiedli na okręt nie przyjmując gościny w owej osadzie.

Gdy znaleźli się na morzu, Terteus rzekł do księcia:

- A więc wkrótce dopłyniemy do wielkiej rzeki...

Widwojos bez słowa skinął na niego i ruszyli w stronę śródokręcia, gdzie stał wsparty o maszt niewielki namiot.

Perilawos wraz z Białowłosym siedzieli wewnątrz, przesuwając krążki po małej tabliczce pokrytej kwadratami z różnobarwnej polerowanej kości zwierząt. Młody książę nauczył tej gry przyjaciela i zabawiali się nią podczas długich dni na morzu, gdy okręt płynął pod żaglem, a wiosła były wyciągnięte i ludzie nie mieli wiele do czynienia prócz snu, śpiewania pieśni i snucia opowieści o tym, co ich dotąd spotkało niezwykłego w życiu.

Na widok księcia powstali i Białowłosy skierował się ku wyjściu, lecz Widwojos powstrzymał go.

- Byłeś z nami w podziemiach pałacu, gdy odwiedziłem Ojca Biblioteki przed odpłynięciem. Pragnąłem, abyś pozostał, gdyż każdy z nas mógł inaczej zapamiętać jego słowa.

Pochylił się nad niską skrzynią, otworzył i wyjął z głębi zawinięty w płócienną płachtę płaski okrągły przedmiot.

- Nakazałem sporządzić ów wizerunek świata na podobieństwo owego, który ujrzeliśmy wówczas... - rzekł odwijając płachtę i wyjmując z niej płaską miedzianą tarczę niewielkich rozmiarów.

Zamknął skrzynię i położył na niej tarczę.

- Jeśli dobrze pamiętam, rzekł on, Troja znajduje się tutaj, czy tak?

- Tak, panie... - rzekł cicho Białowłosy.

- A tu winien być ów przesmyk, który minęliśmy, i kraniec znanego świata...

- A więc minęliśmy już ów kraniec? - Terteus uśmiechnął się.

- Mówił on o morzu na północy i na tym morzu znajdujemy się. Mówił także o wielkiej rzece Dun, a człowiek ów, którego dziś napotkaliśmy, także wspomniał o wielkiej rzece na północy. Zapewne mówili oni o jednym.

- Ojciec Biblioteki rzekł, że owa wielka rzeka wpada do morza z zachodu i płynie przez cały północny świat, a za nią są jedynie puszcze i kraniec ziemi, choć sądził, że ludy mieszkające nad nią nie same znajdują ów bursztyn, lecz otrzymują go od innych, mieszkających dalej ku północy... - rzekł Perilawos, - Pamiętam dobrze, że takie właśnie były jego słowa.

- Tak, panie... - dodał Białowłosy. - A mówił też, że skoro bursztyn pochodzi z morza, więc zapewne za ową rzeką na północy znajduje się inne morze, a kraniec świata dopiero poza nim...

- Mam to wyryte w pamięci! - Widwojos skinął głową.

- Radził mi też, aby przekroczyć ową wielką rzekę i udać się dalej na północ, aż ku rzekom płynącym nie z zachodu, lecz z północy, gdyż one jedynie mogą być dla nas drogą, którą zdołamy dotrzeć do owego morza.

- Kupcy z Gubal sprowadzają bursztyn z zachodu, a przychodzi on do nich przez góry na

zachodzie... - mruknął Terteus. - Lecz przychodzi także z północy, spoza krainy puszczy.

Widwojos dotknął palcem tarczy.

- Oby bogowie zezwolili nam nakreślić na owej tarczy nową drogę! - westchnął. - Lecz któż z nas powróci do Knossos i opowie o tym owemu starcowi, jeśli żyć on będzie nadal? Szukamy tu dróg zawitych i nieznanych, gdy jedyna droga miła sercu każdego człowieka jest dla nas na wieki zamknięta, droga do krainy ojczyznej, której nie ujrzymy już nigdy!

- Tego nie możesz wiedzieć, boski książę. Bogowie czynią bowiem wszystko, co zechcą, a brat twój nie jest wiekuisty jako oni, lecz śmiertelny jako my wszyscy.

- To prawda... - Książę wyprostował się. - Nadchodzi wieczór, Terteusie, i czas wybrać miejsce na nocleg. Zawróćmy ku brzegom.

Wyszli z namiotu. Przed nimi na północnym zachodzie rysowały się na widnokręgu pasma dalekich wzgórz, a pokryta lasami linia wybrzeża poczęła wyginać się ku zachodowi, zamykając im drogę na północ.

- Czyżbyśmy musieli jutro opływać jakiś wielki półwysep? - Terteus przesłonił dłonią oczy, w które wpadał blask nisko stojącego słońca. - Nie podołamy tam dzisiaj dopłynąć, niski ów ład zdaje się uciekać daleko w morze. Być może dopłynęliśmy już do północnej granicy tego morza?

Spoglądał nadal w owym kierunku, gdy Angelos kierował się ku brzegom.

Zmrok zapadał, gdy wyciągnęli okręt na piaszczysty brzeg i podparli palami. A że morze było spokojne i nic nie zapowiadało zmiany, Terteus pozwolił, aby dziób okrętu dotykał wody. Angelos był ciężki i trzeba było sił całej załogi, aby wyciągnąć go lub zepchnąć na wodę.

Wysłał dwa oddziały, po czterech ludzi każdy, aby rozejrzały się w najbliższej okolicy, a sam z księciem i resztą załogi, pozostawiając przy okręcie silną straż, udał się na poszukiwanie osłoniętej polany, gdzie można by rozpalić ogień na wieczerzę.

Kilku łuczników udało się w kierunku trzin porastających niedaleką płytką zatoczkę dla ustrzelenia wodnych ptaków, gdyż nadbrzeżne wody roiły się od nich.

Znalazłszy dobrze osłonięte miejsce o kilkaset kroków od okrętu, żeglarze zajęli się zbieraniem suchych gałęzi w lesie. Białowłosy zagłębił się pomiędzy drzewa wraz z młodym żeglarzem Kastorosem, z którym ostatnio wiele przebywał, gdyż ławy ich sąsiadowały z sobą, a prócz tego Kastoros dwukrotnie dopływał do wybrzeży Egiptu na okręcie królewskim i obaj wiele mogli sobie rzec o owej krainie. Był to młodzieniec wesoły i lubił śpiewać, brzdąkając przy tym na prostym instrumencie przypominającym wygiętą jak łuk deskę, na której napięte były trzy struny baranie.

Przez chwilę zbierali w milczeniu, przedzierając się przez gęste poszycie i ścinając mieczami uschnięte gałęzie.

Wreszcie Kastoros zebrał gałęzie w połę płaszcza, związał je w węzełek i zarzucił sobie na plecy.

Białowłosy uczynił podobnie. Ruszyli ku polance. Kastoros zatrzymał się nagle.

- Ludzie powiadają rzeki wesoło że na północy jest krawędź świata! Jak sądzisz, czy dotrzemy tam, jeśli boski Widwojos będzie płynął nieustannie w owym kierunku?

- Nie wiem... - Białowłosy zastanowił się. - W namiocie na pokładzie ma on wizerunek świata uczyniony przez waszych przodków... Nie widać na nim owej krawędzi.

- Powiadają, że kto tam dotarł, ten nie może powrócić, gdyż wody przelewają się z wielkim szumem za ową krawędź jak wodospad i porywają z sobą wszystko, co jest na powierzchni, a największy okręt jest wobec ich mocy jako słomka rzucona do górskiego potoku.

- Ci, którzy zbierają bursztyn, nie mogą mieszkać nad owymi wodami... - rzekł Białowłosy ruszając - gdyż porwałyby ich, jeśli wydobywają go z dna morskiego.

- Nie nad tym rozmyślałem! - Kastoros roześmiał się.

- Rozmyślałem nad tym, gdzie owa woda może spadać?

Białowłosy zatrzymał się.

- W dół... - rzekł z wahaniem. - Każda woda opada w dół, jeśli może. Musi tam być jakaś czelusia...

- Czemu więc wszystkie wody nie płyną w owym kierunku? - Kastoros potrząsnął głową. - Zawsze byłem tego najbardziej ciekaw, jak wygląda kraniec świata i co jest poza nim?! Dlatego gdy boski Widwojos ogłosił, że szuka młodych i silnych żeglarzy, którzy pragnęliby z nim popłynąć ku krańcom świata znanego i dalej jeszcze, zgłosiłem się. I oto jestem tu, dalej niż był kiedy jakikolwiek Kreteńczyk. Pomyśl, czyż nie jest to rzeczą zdumiewającą?!

- Obyś nie ujrzał nigdy owej krawędzi, za którą tak tęsknisz!

Białowłosy także roześmiał się. Weszli na polanę.

Zapadał zmrok. Spod wielkiego stosu gałęzi pośrodku polany buchnął pierwszy cienki słup ognia i z sykiem zaczął wspinać się w górę, oświetlając oblicza stojących wokół ludzi.

Białowłosy podszedł i rozwiązawszy węzeł płaszcza, rzucił swoje narzędzie na stos innych. Cokolwiek miało się stać i jakiegokolwiek niebezpieczeństwa czekały na nich za tajemną linią północnego widnokregu, lubił tę wieczorną godzinę, gdy w kolisku blasku rzucanego przez ogień zasiadał pośród innych zbrojnych jak on i nie dbających o swe życie młodzieńców do prostego wieczornego posiłku, który wydawał mu się smaczniejszy niżli wszystkie przysmaki Egiptu i Krety, jakich zdążył już pokosztować podczas swego krótkiego żywota.

W oczekiwaniu, aż nabite na ostrza mieczy, oskubane już i wypatroszone ptaki przyrumienia się, ktoś zanucił cicho starą pieśń o zatopionych okrętach. Inne głosy podjęły ją. I choć słowa jej były smutne i przejmujące, wydawało się wszystkim, że niesie im ona nadzieję nowego dnia i nowych przygód.

A gdy najedli się i ułożyli do snu na gołej ziemi, okrywszy płaszciami, z wolna cichły rozmowy i usnęli pod wygwieżdżonym niebem, na które zaczął wchodzić cienki sierp księżyca. Na polanie i na okręcie czuwały jedynie otwarte oczy straży.

Drugiego dnia ujrzeli ją.

To, co z dala wydało im się rozległym, niskim lądem północy, było ujściem wielkiej rzeki, płynącej leniwie pośród nieskończonego morza trzcin, po bagnistych mierzejach, z których na widok nadpływającego okrętu zrywały się chmury ptaków tak gęste, że przesłaniały niebo.

Rzeka wiła się wieloma odnogami, a jej główne ujście, toczące mętne, żółtawe, powolne wody, wydało im się niemal równie rozległe jak morze.

Weszli w nie i płynęli przez pewien czas odsłoniętym nurtem ograniczonym z obu stron niską krainą falujących trzcin, sięgającą aż po granice widnokregu, gdzie rysowały się dalekie wzgórza.

Wreszcie, koło południa, ujrzeli lekką wyniosłość, a na niej pierwsze drzewa. Musiała to być wyspa o lądzie stałym, który nie był grzędawiskiem. Gdy zbliżyli się, spostrzegli na niej kilka niewielkich drewnianych chat krytych sitowiem.

Eriklewes z trudem doprowadził okręt do brzegu, gdyż wiosła sterowe nie chciały poruszać się posłusznie w jego rękach, spętane nie kończącymi się ramionami wodorostów, przez które kadłub Angelosa brnął, jak gdyby zanurzono go w smole.

Białowłosy, Terteus i Kamon, którzy stali gotowi do zejścia, zeskoczyli i z uniesionymi oszczepami ruszyli ku chatom. Za nimi postępowali inni pod okiem łuczników czuwających na pokładzie ze strzałą położoną na cięciwie.

Chata, do której weszli, była biedna i niemal pusta. Kilka prostych glinianych naczyń stało w popiele, w rogu rzucono pęk skór zwierzęcych. Służyły one najwyraźniej mieszkańcom za postanie. Lecz gdzież byli owi mieszkańcy?

Obeszli całą wysepkę zaglądając do wszystkich chat i nigdzie nie znaleźli żywego człowieka. Terteus pochylił się nad paleniskiem i dotknął go otwartą dłonią.

- Ktoś zalał ogień wodą... - rzekł. - Ludzie ci uciekli przed niedawnym czasem. - Uniósł głowę ku otworowi w trocinowym dachu, służącemu zapewne, aby dym z paleniska mógł nim uchodzić ku górze. - Byli tu dziś... - powtórzył.

Wyszli. Terteus podszedł do Widwojosa, stojącego pośrodku wysepki i spoglądającego na leniwy nurt ogromnych wód opływających ją z cichym szumem.

- Nie ma tu nikogo, boski książę! Ludzie ci uciekli zapewne widząc nasz okręt z oddali lub zostali ostrzeżeni przez tego, który ujrzał nas pierwszy, gdy krążyliśmy wokół ujścia... - Powiódł wzrokiem po nie kończącym się morzu trzciny. - Uciekli na łodziach - dodał z przekonaniem - gdyż nie ma ani jednej łodzi na wyspie, a przecież nie mogliby tu zamieszkać, nie mając ich. A nie odnajdziemy ich tam... - zatoczył krąg ręką - choćbyśmy tu pozostali do końca naszego żywota. Albowiem ich to jest kraina i znają ją oni lepiej, niż my ją kiedykolwiek poznamy.

- Rozmyślałem nad tym - rzekł książę - czy jest to owa wielka rzeka Dun, która stanowić ma granicę świata, gdyż być może nieszczęśnicy ci mieszkają na jego krawędzi, a dalej kończy się on w bagnach i mgle wiekuistej?

- Człowiek, którego napotkaliśmy wczoraj, mówił, że bagna owe są granicą między jego ludem a dzikimi plemionami. A płynie ona nie na północ, lecz ku zachodowi.

- Cóż sądzisz więc? Co nam uczynić należy? - Widwojos końcem miecza uczynił krąg na piasku. - Cofnąć się i popłynąć dalej na północ, jak rzekł Ojciec Biblioteki? Dziwne, że ów starzec w podziemi pałacu, który nie był tu nigdy, a nie mógł dowiedzieć się tego od żadnego z naszych żeglarzy, wiedział o owej rzece.

- Zbyt wielka to rzeka, boski książę, aby wieść o niej nie dotarła do twego królestwa, choćby przed wielu laty...

- Terteus rozejrzał się raz jeszcze. Perilawos zbliżył się ku nim i stanął u boku ojca.

- Cóż postanowiliście? - zapytał.

- Boski twój ojciec sądzi, że jest to owa rzeka Dun, i pragnie, abyśmy poszli za radą czcigodnego starca z Knossos i cofnąwszy się ku jej ujściu, popłynęli dalej na północ, póki nie ujrzymy ujścia innej żeglownej rzeki, którą moglibyśmy popłynąć dalej, wprost ku krainie bursztynu... - I zwracając się do Widwojosa dokończył: - A więc zawracajmy, boski książę, skoro taka twoja wola.

Z wolna zbliżyli się do okrętu, wsiedli i odbili od wyspy, pozostawiając ją za sobą pośród ogromnego rozlanego nurtu.

- Czy nie sądzisz, że dni stają się nieco krótsze, a noc wydłużyła się od chwili, gdy wyruszyliśmy z Troi? - zapytał Perilawos.

Okręt płynął pełnym morzem. Nadal, jak co dnia, świeciło słońce i pomyślny wiatr pchał Angelosa ku wschodowi. Albowiem w kilka dni po opuszczeniu ujścia wielkiej rzeki łód zakrzywił się i oto płynęli wzdłuż wybrzeża, ciągle na wschód, osiągnąwszy granicę owego północnego morza.

Lecz świat nie kończył się tu. Dzień po dniu przesuwają się przed nimi łagodne wzgórza porośnięte lasem i doliny, którymi spływały ku morzu niewielkie rzeki. Wyminęli kilka głębokich zatok i z wolna poczęła wzrastać w sercach ich niepewność.

A jeśli ład znów zakrzywi się i skieruje ich ku południowi?

Czyżby miało to oznaczać wówczas, że opływają owo morze, by któregoś dnia powrócić do ujścia przesmyku strzeżonego przez trojańskie okręty?

Tak długo płynęli już nie napotykając ujścia żadnej wielkiej rzeki, że być może mogli jej już nigdy nie napotkać. A dni w rzeczy samej stawały się nieco krótsze. Lato mijało, choć nie pojmowali jeszcze tego.

Białowłosy, siedzący na ławie obok młodego księcia, spoglądał na odległe wzgórza. Później powiódł wzrokiem po niskich falach, na których kołysał się łagodnie Angelos. Powstał nagle.

- Spójrz! - rzekł cicho.

Perilawos także pochylił się.

- Cóż takiego dostrzegłeś?

- Woda ma tu inną barwę...

I pozostawiając Perilawosa wpatzonego w migotliwą powierzchnię, pobiegł na dziób, gdzie Terteus stał wsparty na łokciach i spoglądał na daleki ład.

- Czy spostrzegłeś to? - spytał Białowłosy.

- Cóż takiego? - Terteus rozejrzył się.

- Wodę! Ma inną barwę! Mniemam, że minęliśmy z dala ujście jakiejś wielkiej rzeki! - rzekł Białowłosy głośno. Ludzie leżący na pokładzie unieśli głowy.

- To prawda - zawołał któryś z nich. - Ma słuszość!

Spójrz, Terteusie!

W rzeczy samej morze miało tu inną barwę i wydawało im się, że płynie od strony lądu tworząc jak gdyby jasnoblękitną rzekę pośrodku ciemnozielonych wód morskich. Linia rozgraniczająca obie barwy biegła wyraźnie od strony dalekich wzgórz.

- Podpłyniemy tam! - rzekł Terteus. - Eriklewesie!

Steruj ku owym wzgórzom!

Lecz miejsce, do którego dopłynęli, wydało się im nie ujściem rzeki, lecz wielką zatoką otoczoną ramieniem lądu. Mimo to wody wypływające z niej powodowały prąd tak silny, że Angeles wpłynął do owej zatoki na ciężko pracujących wiosłach.

I wreszcie, późnym popołudniem, dostrzegli szerokie ujście rzeki. Znajdowało się ono na samym krańcu zatoki, która odnogami uciekała między łagodne wzgórza.

Angelos zatrzymał się u jej ujścia. Stali wszyscy spoglądając na rozległy, czysty nurt znikający za dalekimi wyniosłościami na północnym zachodzie.

- Czy tędy wiedzie nasza droga, ojczyzny? - zapytał Perilawos.

Książę spojrział na Terteusa i po chwili obaj skinęli głowami.

- Być może jest to właśnie owa droga, synu mój, jeśli tak zechcą bogowie! - rzekł donośnym głosem.

Wiosła opadły. Angelos drgnął i dziób jego skierował się ku rzece.

Następnego dnia w południe przybili do lesistego brzegu, gdyż wiatr ucichł, a załoga pracująca przy wiosłach i zmagająca się z przeciwnym nurtem wielce potrzebowała południowego odpoczynku, podczas którego pragnęli rozpalić ogień i spożyć ciepłą strawę.

Jak zwykle kilku ludzi zapuściło się w las w poszukiwaniu zwierzyny. Powrócili obładowani zdobyczą i weseli. A nikt niczego nie dostrzegł i dopiero gdy wsiedli znów na okręt i ludzie mieli zmienić się przy wiosłach, Kamon zawołał:

- A gdzie jest Kastoros?

Poczęto się rozglądać, lecz miejsce jego na ławie było puste i nie widać go było na brzegu.

- Czy widział go kto podczas posiłku? - zapytał Terteus.

Spojrzelili po sobie. Nie, nikt go nie widział. Przypominali sobie jedynie, że był pośród tych, którzy udali się na łowy.

Terteus zmarszczył brew, a później skinął na Białowłosego i kilku najbliższych stojących.

- Trzeba go odszukać!

Weszli w las nawołując i krążąc wokół miejsca, gdzie stał okręt. Lecz choć oddalili się dość daleko, nie odnaleźli go ani też żadnego śladu po nim.

Ze zwieszonymi głowami i sercami pełnymi niepokoju powrócili na okręt.

- Cóż uczynimy? - zapytał Białowłosey. - Cokolwiek mu się przytrafiło, nie zostawimy go przecież samego w obcej bezludnej krainie?

- Zaczekamy jeszcze... - Terteus był zasepiony. - Może zabłądził? - Spoglądał w las, jak gdyby pragnąc odczytać, co mogło spotkać młodego żeglarza.

- Jego węzełek i deska ze strunami, na której wtórował sobie, są tutaj! - rzekł Kamon.

Czekali, lecz Kastoros nie pojawił się. Gdy minął długi czas, Terteus rozkazał, aby dwa oddziały, po trzydziestu ludzi każdy, ruszyły przetrząsając las w dwie strony, a później zawróciły i szły ku sobie, póki się nie spotkają. Uczynili tak, lecz nie znaleźli Kastorosa ani też żadnych śladów, które powiedziałyby im, że rozerwał go dziki zwierz lub spotkała go inna przygoda, tłumacząca jego zniknięcie.

Wreszcie, po naradzie, ze smutkiem odbili od brzegu, nawołując wciąż i czekając odpowiedzi. Płynęli z wolna środkiem nurtu oglądając się nieustannie, czy nie ukaże się na brzegu wymachując ku nim z dala. Lecz nie ukazał się.

- Wie, że nie odpłyniemy dziś daleko! - rzekł Terteus pocieszając siebie i innych, gdyż Kastorosa wszyscy lubili za jego wesołość i piękny głos. - Jeśli odnajdzie się, będzie szedł nocą brzegiem, aż napotka nasze obozowisko lub dostrzeże z dala okręt wyciągnięty na brzeg.

Rzeka weszła w szeroki zakręt wokół nagiego wzgórza. Nadal płynęli środkiem nurtu, lecz nie było słyhać rozmów ani śpiewu. Wszyscy rozmyślali o towarzyszu, który błąkał się być może po lesie na skutek nieznanymi przeciwnościami. Gdyż nie wierzyli, aby zabłądził, las bowiem unosił się ku wzgórzom od rzeki i schodząc Kastoros mógł osiągnąć brzeg, a tam by go ujrzeli.

Z wolna Angelos wyminął zakręt rzeczny i otwarła się przed nim szeroka połać nurtu nienająca pomiędzy nowymi wzgórzami.

- Człowiek na brzegu! - zawołał Metalawos siedzący w pierwszej ławie. Unieśli się wszyscy.

Z dala przed nimi stała na krawędzi wody nieruchoma sylwetka ludzka. Angelos zbliżył się ku niej powoli.

Pochylony nad dziobem Terteus przyglądał się jej z napięciem.

- Nie jest to człowiek... - rzekł cicho. - A jeśli człowiek, to... - Urwał.

Okręt przybliżył się ku stojącemu i schodząc z środka nurtu, zmierzał ukosem ku brzegowi. Byli już blisko. Wiosła na lewej burcie poszły w górę, a dno Angelosa otarło się o piasek. Terteus skoczył na ziemię.

Podbiegł i zatrzymał się.

- Bogowie! - wyszeptał zbielełymi wargami.

Przed nim stał Kastoros przywiązany do wbitego w ziemię świeżo ociosanego pala. Głowa jego zwisała na piersi, a kiedy zbliżywszy się Terteus ujął ją ostrożnie i unióś, spojrzała na niego pustymi, białymi oczyma.

Głęboko w piersi Kastorosa tkwiła złamana strzała otoczona ciemnym pierścieniem zakrzepłej krwi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

A gdy staniesz przed obliczem królów

- Panie! - zawołał cicho stary sługa. - O świcie zawinął do przystani pięćdziesięciowiosłowiec kreteński, a dostojnik, który na nim przybył, pragnie cię widzieć niezwłocznie i domaga się, abyś go przyjął!

Młody książę ateński Tezeusz siadł na łożu.

- Czegóż może chcieć od nas kreteński dostojnik? - zapytał sam siebie na głos. - Zapłaciliśmy daninę. Zapewne przed kilku dniami dopłynęła do Krety i znajduje się w ich skarbcu. Gdzież jest ów człowiek?

- Poprowadziłem go do wielkiego megaronu i nakazałem postawić przed nim jadło i napitek, gdyż niecierpliwił się bardzo. Lecz nie tknął niczego.

- Niechaj będzie przeklęty on i jego niecierpliwość!

Młody książę uniósł się z łoża i narzuciwszy tunikę wyszedł na dziedziniec, gdzie obmył twarz w zimnej wodzie kamiennej sadzawki, zasilanej źródłem, bijącym tuż pod nią. Zawrócił do królewskiego domu.

Ciemnooki człowiek odziany w krótką białą spódnicę i niskie sandały przechadzał się po megaronie spoglądając przez szeroko otwarte podwójne drzwi na daleką zatokę i widne za nią góry. Na widok Tezeusza, który wszedł i stanął przed nim pozdrowiwszy go pokłonem, odwrócił się na pięcie ku niemu.

- Jesteś wreszcie, synu króla tego miasta! Ileż czasu kazałeś mi czekać, bym obwieścił ci wolę bogom podobnego Minosa, władcy świata!

Uniósł dłoń i przelotnie dotknął nią czoła, jak gdyby wykonując wyuczony ruch, do którego nie przywiązywał znaczenia.

- Sługa powiadomił mnie teraz dopiero o twym przyjeździe, panie - rzekł Tezeusz. - Spałem, znużony, gdyż powróciłem późną nocą z wyprawy na rozbójników gnieźdzących się w górach.

Oficer uczynił ruch ręką, jak gdyby chciał dać mu do zrozumienia, że nie obchodzą go wcale przyczyny, dla których musiał tak długo czekać, ani rozbójnicy górscy.

- Jest wolą pana mego i twego, Minosa, władcy świata, abyś przybył na Kretę wraz z synami i córkami innych królów podległych nam krain. A zamieszkacie w pałacu królewskim w miejscu, które będzie wam przeznaczone na czas owej gościny w świętym Knossos. Przybyłem, aby zabrać cię z sobą. Zabierz więc z sobą najgodniejsze twe szaty... - zmierzył pogardliwym wzrokiem prostą płócienną tunikę ateńskiego księcia - jeśli posiadasz, a także klejnoty twe i oręż, gdyż mam rozkaz, abyś bezzwłocznie udał się ze mną. Miałem o tym powiadomić ojca twego, lecz doniesiono mi, że leży złożony ciężką niemocą i być może nie pojąłby nawet moich słów.

- Lecz czemu boski Minos pragnie widzieć mnie na swym dworze? - zapytał Tezeusz ze zdumieniem.

- Nie ciebie jedynie, lecz wielu innych synów królewskich krain podległych, a także wiele ich córek. Jak rzekłem, zamieszkacie wszyscy na dworze władcy. A czemu? Jakże możesz pytać mnie o to, młody książę? Czy naszą sprawą jest badać myśli królów? Idź i zbierz swój dobytek... - dodał łagodniej. - A także zawiadom ojca swego o woli boskiej Minosa. Będę cię tu oczekiwał. Lecz nie każ mi czekać zbyt długo, choć pragnę być wobec ciebie jak najbardziej wyrozumiały, gdyż być może nieraz cię jeszcze spotkam na dworze pana naszego, którego będziesz gościem, co niepomiernie podnosi twą godność w mych oczach.

Uśmiechnął się przy tym łaskawie i opuścił uniesioną rękę na znak, że rzekł wszystko, co było do przekazania.

Tezeusz skinął głową, odwrócił się i wyszedł oszołomiony.

Więc miał odpłynąć na Kretę.

Od pewnego czasu czekał na złą wieść stamtąd.

Gdy kazał uspić owego chłopca - rozbójnika o jasnych włosach i oddał go Kreteńczykom, a Białowłosego ukrytego w pustym pithosie, tak aby nikt nie mógł dostrzec, że dostał się na pokład odpływającego okrętu, oddał jego towarzyszom, wiedział, że być może uczynił rzecz, za którą przyjdzie mu drogo zapłacić, jeśli wzbudzi swym uczynkiem gniew władcy Knossos. Lecz pocieszał się tym, że chłopiec tak młody i nędznego rodu nie mógł stanowić ani wielkiej zdobyczy, ani wielkiej straty dla nikogo. A spełniwszy ów czyn siebie uratował przed straszliwym gniewem bogów, którzy zsyłają największą karę na głowę każdego nikczemnika, mordującego bezbronnych gości uspiionych pod jego dachem.

Więc byłaby to zemsta Minosa? Lecz co znaczyły słowa o innych synach i córach królewskich?

Ruszył ku swoim komnatom i przechodząc sień skinął na wiernego starego Pominiosa.

- Król Krety wzywa mnie do siebie. Odpłynę wraz z owym człowiekiem czekającym w megaronie, okrętem, który dziś o świcie przybył do przystani.

- Czym sprowadziłeś na swą głowę gniew Minosa, panie? - jęknął starzec ocierając łzy.

- Trudno rzec, jeśli nie jest to sprawa owego jasnowłosego młodzieńca. Lecz, jak rzekł mi ów dostojnik kreteński, być może nie w tym rzecz, gdyż mam zamieszkać na dworze królewskim Knossos wraz z synami i córkami królów innych krain zostających pod władaniem Minosa. Nie wiem, co by to miało oznaczać, lecz... - Zawahał się i nagle oczy mu zabłyły. - Być może szpiedzy Minosa donieśli mu, że rodzi się sprzymierzenie przeciw Krecie. Pragnie on więc mieć dzieci królewskie jako rękojmię posłuszeństwa ojców. Zapewne tak być musi, gdyż jaka inna przyczyna kazałaby mu tak postąpić?

Wszedł do swej sypialni i podniósł z kamiennej podłogi ulubiony miecz o długim ostrzu i drewnianej, rzeźbionej rękojeści wykładanej poźółkłą kością słoniową.

Sługa wsunął się cicho za nim do komnaty i czekał przy drzwiach spoglądając na swego młodego pana przerażonym wzrokiem.

- Czy ujrzę cię jeszcze, książę mój?

- Jeśli bogowie zechcą, ujrzysz mnie. Lecz teraz słuchaj! - Tezeusz podszedł do niego i pochylił się kończąc szeptem: - Wiesz, że byli u mnie trzej królowie przyległych krain, i wiesz także, o czym mówiliśmy, gdyż naradzałem się z tobą nad ich słowami, gdy odjechali.

Weźmiesz okręt i samotnie... słyszysz?... samotnie, jeśli nie liczyć twych wioślarzy, popłyniesz

do Myken i Tirusu pod pozorem, że wieziesz towary ateńskie dla ich dworów. Dopilnujesz, aby rzecz ta wyglądała jak najzwyklejsza podróż kupiecka. A gdy staniesz przed obliczem królów, rzeknij im o tym, co mi się przytrafiło. Powiedz też, że przebywając w pałacu Minosa będę czekał na wieści od nich, że będę przypatrywał się wszystkiemu i badał sprawy owego królestwa, do którego mnie zaproszono wbrew mojej woli, że przyjrę się wojsku i umocnieniom stolicy Minosa, a także wszystkiemu, co może być przydatne w dniu, gdy z pomocą łaskawych bogów ludy dotychczas podbite uderzą na Krete. A jeśli bogowie zezwolą, a będziemy wiedzieli o chwili ich natarcia, wówczas być może ja i inni synowie królewscy, jeśli zechcą okazać się prawdziwymi synami królów, wspomóżemy ich od wewnątrz, uderzywszy na obrońców. Nie wiem, czy uda się nam to, nie wiem także, czy Minos nie każe zabić nas dla nieznaney mi przyczyny lub by rzucić postrach na podległe mu królestwa. Jeśli nie stanie się tak i pozostanę przy życiu, niechaj sprzymierzeńcy moi próbują się ze mną porozumieć. Powtórz im to! Czy pojąłeś wszystko?

- Tak, panie mój! - Sługa ukląkł i objął jego nogi. - Żegnaj mi, mój królewiczu! Obym... - Nie dokończył, gdyż łzy stłumiły jego ostatnie słowa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W dół runął głaz olbrzymi...

Przecięli powrozy z łyka, którymi Kastoros był przywiązany do pala, i ponieśli ciało na okręt, gdzie złożono je pod masztem, na białej płachcie płóciennej, aby zabity żeglarz po raz ostatni mógł ujrzeć niebo, w które nigdy już nie miał spoglądać.

Gdy załoga zasiadła w milczeniu do wiosł i Angelos z wolna odbił od brzegu, kierując się ku środkowi powolnego, przeciwnego nurtu, Terteus pochylił się nad leżącym i ostrożnie, jak gdyby obawiając się sprawić zmarłemu ból, wyciągnął z jego piersi grot ułamanej strzały. Później podszedł do burty i wychyliwszy się, zanurzył koniec strzały w wodzie dla obmycia jej z krwi.

Powrócił do Widwojosa spoglądającego ze smutkiem i troską w nieruchome, szeroko otwarte oczy trupa, w których nie było już ni bólu, ni przerażenia, lecz jedynie biała mgła śmierci.

- Czy widzisz, boski książę? - Uniósł strzałę i ukazał mu wąski kamienny grot zmyślnie osadzony w drzewie.

Widwojos z trudem oderwał wzrok od oblicza umarłego człowieka i spojrzał na strzałę.

- Przebiła mu serce i padł nie wydawszy nawet krzyku...

Książę skinął głową. Nie zdjął jeszcze hełmu i wspaniały pióropusz nad jego głową zatoczył szeroki łuk dotykając niemal narzędzia śmierci.

- Tak zapewne było, lecz nie o tym rozmyślałem patrząc na nią. Jesteśmy w nie znanej nam krainie w obliczu nie znanych wrogów, więc strzała ta może nam rzec niejedno o nich.

- Cóż w niej takiego dostrzegasz? - Widwojos wyciągnął rękę, wziął strzałę z niedostrzegalnym niemal wahaniem i przyjrzał się jej z bliska. - Być może to jedynie, że choć grot ów uczyniony jest z krzemienia... - dotknął ostrza końcem wskazującego palca - uderzył równie silnie i wbił się równie głęboko, jak gdyby był wykuty z brązu.

- To prawda, jeśli jednak lud ów nie zna sztuki wykuwania mieczy lub grotów do strzał i włóczy, wówczas w otwartym boju oręż nasz pozwoli nam odnieść zwycięstwo choćby nad dziesięciokroć przeważającym wrogiem. Strzała taka wystarczy im dla osiągnięcia zwierzyny lub nie zakrytej piersi wojownika, który nie przeczuwa niczego złego. Lecz w starciu cóż mogą przeciwstawić naszym tarczom, pancerzom i spiżowym mieczom?...

Urwał i powiódł spojrzeniem po okalających rzekę wzgórzach, na których las zdawał się przerzedzać, ustępując miejsca kępom gęsto rosnącego jałowca.

- Nie wiemy jeszcze, kim są mieszkańcy tej ziemi... - Widwojos także poszedł wzrokiem za jego oczyma. - Być może nie ma tu żadnego wielkiego plemienia, które pragnie nas zniweczyć, a nieszczęsny Kastoros napotkał przypadkiem jednego lub dwu dzikich łowców, którzy zabili go z łuku, tak jak zabiliby każdego innego obcego.

- Czemuż więc nie porzucili lub nie ukryli ciała, zabrawszy broń, którą mogliby spożytkować? Czy pomyślałeś, boski książę, o tym, że wyprzedzili nas znacznie, ścięli młode drzewo, ogołocili je z gałęzi, wbili głęboko w ziemię na brzegu i przywiązali doń trupa, nim pojawiliśmy się na zakręcie rzeki?

- Cóż ci to mówi, Terteusie?

- Każe mi myśleć, że nie mógł to być jeden ani dwóch nawet wojowników, gdyż nie mogliby tak szybko przenieść zwłok po wzgórkach i dolinach, abyśmy napotkali je tam, gdzie chcieli, aby na nas czekały. A jeśli nawet było ich jedynie kilku, to z pewnością dosiadają koni i posuwają się czuwając nad naszymi poruszeniami. Bowiem jedynie koń pomógł im przenieść zwłoki Kastorosa tak daleko w tak krótkim czasie.

- Lecz mniemasz, że jest ich niewielu, gdyż w przeciwnym razie natarliby na nas, gdy wyszliśmy na brzeg?

- Tak, boski książę. Zapewne dostrzegli nas i być może jedni posuwają się wraz z nami, bacząc na to, co czynimy, a inni udali się tam, gdzie są siedziby ich ludu, aby powiadomić swych władców o naszym przybyciu.

- Jeśli jest tak, a nie wiemy, jak daleko stąd są owe czarne okręty siedziby, nakaz, abyśmy przybili do przeciwnego brzegu i pogrzebali naszego towarzysza! - rzekł Widwojos. - Jeśli rozumowanie twe jest słuszne, im prędzej tak uczynimy, tym lepiej, gdyż być może nie zdążą tu przybyć na czas w większej sile, by uderzyć na nas, nim powrócimy na okręt.

Terteus pochylił głowę i odwróciwszy się ruszył ku Eriklewesowi uważnie sterującemu i trzymającemu się środka nurtu, tak aby okręt nie przybliżył się do brzegu na odległość strzału z łuku.

Przed nimi rzeka płynęła rozlewając się pomiędzy dwoma pasmami wzgórz, z których ciągnące się wzdłuż lewego brzegu zdawało się wyższe i bardziej strome.

Terteus wskazał wyciągniętą ręką miejsce, gdzie skłon był łagodniejszy i odsłonięty, gdyż zbocza nie porastało nic prócz trawy.

- Tam przybijemy, Eriklewesie, aby pochować ciało męznego Kastorosa.

Sternik bez słowa skinął głową.

Okręt z wolna zmienił kierunek, zbliżając się ku lewemu brzegowi.

Słońce nie zaszło jeszcze i dzień stał nadal ponad rzeką i wzgórzami, lecz promienna tarcza dnia nie była już widoczna spoza wierzchołków.

Pozostawiwszy dziesięciu ludzi przy okręcie, którego nie wciągnęli na mulisty brzeg, lecz zatrzymali tuż przy krawędzi głębokiego nurtu okręciwszy linę wokół wielkiego leżącego na piasku głazu, ruszyli w pełnym uzbrojeniu, pnąc się pod górę i otaczając czterech ludzi, którzy na płóciennej płachcie nieśli ciało.

Przed nimi postępowali na odległość rzutu włócznią Białowłosy, Metalawos o potężnych ramionach, jasnowłosy Enexeus rodem z Phaistos na południu Krety, a także Perilawos, który wysunął się naprzód wraz z Białowłosym, gdyż pragnął być wszędzie tam, gdzie jego przyjaciel. Szli z tarczami przerzuconymi przez plecy, a w rękach mieli napięte łuki ze strzałą osadzoną na cięciwie, aby dać pierwszy odpór, gdyby wróg nagle ukazał się w górze.

Zbliżywszy się do wierzchołka wzgórza odstąpili od siebie o kilkanaście kroków, aby idąc zbitą gromadką nie stanowić zbyt łatwego celu dla strzał i oszczepów zasadzki.

Było bardzo cicho, na tej wysokości nie dobiegał nawet szum wielkiej rzeki. Nie wiał wiatr.

Białowłosy wszedł na szczyt wzgórza i rozejrzał się szybko. Kątem oka dostrzegł, że pozostali

trzej także osiągnęli już wierzchołek grzbietu.

W milczeniu spoglądał na niezmierzone morze wysokich żółknących gdzieniegdzie już traw, rozciągające się aż po widnokrąg i przecięte z rzadka samotnymi wzgórzami, które niknęły opadając ku wschodowi. Kraina na zachodzie zdawała się wyższa i bardziej pofałdowana. W blasku ostatnich promieni słońca wydało mu się, że daleko po lewej dostrzega linię ciemnych borów.

Bliżej, wzgórze, na którym stali, opadało ku płytkiej dolinie nie porośniętej drzewami. I zbocza, i dolina były puste. A więc wróg, znajdujący się na tamtym brzegu, nie przeszedł tu.

Odwrócił się i spojrział w dół. Orszak żałobny był już blisko. Widział wyraźnie krwawe kity na hełmach wojowników, ich jasne, jak gdyby spojone z dwóch kół, długie tarcze i białą plamę płachty kołyszącą się miarowo.

Perilawos dał wspinającym się znak uniesioną dłonią, że nie dostrzegają żadnego niebezpieczeństwa.

Wzrok Białowłosego przesunął się dalej, ku ciemnej rozległej smudze rzeki, która na granicy widnokregu zdawała się rozlewać w wielkie jezioro. Bliżej w dole nie było już słońca. Okręt stojący u brzegu wydawał się czarny w jasnoblękitnej wodzie odbijającej barwę nieba.

Później znów spojrział w leżącą u stóp dolinę, która zdawała się cicha, piękna i gościnna, jak gdyby nie leżała w krainie, gdzie śmierć czeka na nierozważnego wędrowca, który samotnie oddalił się od swoich.

W milczeniu załoga Angelosa weszła na grzbiet wyniosłości i zatrzymała się spoglądając na rozległy widok zamglony blaskiem wieczoru.

Widwojos wyciągnął miecz z pochwy okrytej drobną złotą łuską i nakreślił w trawie czworobok.

- Nie mając innych narzędzi wykopmy tu grób naszymi mieczami - rzekł donośnym głosem. - I przynieście nieco kamieni, abyśmy zbudowali mu dom!

Pierwszy wbił miecz w murawę, wyciął jej kawałek i pochyliwszy się, odrzucił go na bok.

Szybko poczęto poszerzać zagłębienie w miękkiej ziemi, a kilku odeszło, by zebrać pewną ilość niewielkich kamieni, które zaczęto składać obok grobu.

Był już zmierzch, gdy wykopali jamę dostatecznie głęboką, aby drapieźniki nie mogły wywlec ciała.

Wówczas Metalawos wszedł do grobu i ułożył równo kamienie pod ścianami.

Gdy skończył, rzekł:

- Podajcie mi ciało Kastorosa, aby spoczął!

Ostrożnie zbliżyli się ludzie z płachtą. Metalawos wziął umarłego w ramiona i łagodnie złożył go w głębi jamy, po czym pochylił się, by, jak każe obyczaj, ułożyć go na boku z lekko podkurczonymi nogami i rękami podłożonymi pod głowę, jak gdyby spał.

Podano jeszcze dzban wina zapieczętowany woskiem i dwie miski, jedną z prosem, a drugą z jęczmieniem.

Dzban złożył Metalawos w głowach zmarłego, a obie miski u jego nóg. Gdy to uczynił, zbliżył się sternik Eriklewes trzymając w wyciągniętych dłoniach małe gliniane figurki: Wielkiej Matki o uniesionych błogosławiących rękach i błagalnika stojącego z dłonią przyłożoną do czoła, gdyż tak właśnie winien był stanąć Kastoros przed bogami Krainy Mroku.

A gdy złożono obie figurki na ziemi, tuż przy głowie zmarłego, Metalawos wydzwignął się z grobu i wraz z Eriklewesem opuścili na ciało białą płachtę. Później cofnęli się obaj i spojrzeli w milczeniu na księcia.

Widwojos pochylił się, ujął w dłoń garść świeżo wykopanej ziemi i rzucił na płachtę. Kolejno podchodzili i każdy czynił podobnie, aż odszedł ostatni i wówczas zaczęto spychać ziemię mieczami w głąb grobu, który szybko się wypełnił. Udeptali to miejsce i sypali dalej, aż wreszcie uczcili zmarłego małym kopcem kamieni i odступili.

Zmrok już zapadał szybko i jedynie na zachodzie niebo było nadal jasne. Okręt u ich stóp był niemal niewidoczny. Nad dalekim stepem wynurzał się księżyc.

Terteus zbliżył się do księcia i podał mu dwa małe dzbany, jeden z winem, drugi pełen oliwy.

Widwojos podszedł do grobu i pośród ciszy wylał je na kopiec mówiąc:

- Obyś nie błędził w obcej ciemności i wrócił się do ludu twego!

Lekko cisnął puste dzbany, które rozprysły się na kamieniach z cichym klekotem. Później odwrócił się i ruszył grzbietem ku składowi zbocza.

Lecz w pewnej chwili przystanął i zwrócił oblicze ku wschodowi.

Daleko na wierzchołkach niewidzialnych już wzgórz migotały ogniki: jeden, drugi, trzeci. Były odległe od siebie, lecz wyraźne w zapadającym mroku jak oczy nocnych zwierząt. Terteus, który zatrzymał się obok księcia, nie rzekł słowa.

Spoglądali wszyscy w milczeniu, a dalekie ognie to wznosiły się, to opadały, jak gdyby ktoś podsyczał je i przesłaniał.

Wreszcie Terteus wzruszył ramionami:

- Obym się mylił, lecz mniemam, że oto wieść o naszym pojawieniu się biegnie właśnie przez tę krainę!

Ruszyli w dół ku Angelosowi, który spokojnie kołysał się przy brzegu na skraju łagodnego nurtu.

Gdy zapadła noc, rozpalili wielki ogień nad brzegiem i w jego blasku spożyli wieczerzę, gdyż, jak słusznie rzekł Terteus, jeśli ludzie owi z dala czuwają nad okrętem, niechaj widzą, że przybysze nie dbają o nich i nie lękają się ich.

Księżyc wszedł i w blasku jego nagie zbocza wzgórz i nurt rzeki widoczne były dla straży, rozstawionych wokół ognia, tak że Kreteńczycy nie musieli lękać się niespodziewanego natarcia pod osłoną ciemności.

Gdy orszak żałobny powrócił ze wzgórz, Białowłosey wraz z Perilawosem i Kamonem ruszyli wzdłuż brzegu, ścinając na ogień gałęzie rosnących nieco wyżej jałowców. Szli rozglądając się uważnie w bladym księżycowym blasku, gdyż za którymś z krzaków mógł się kryć wróg, podobny temu, który poraził strzałą Kastorosa. W pewnej chwili, gdy mieli już nacięte naręcza kłujących jałowcowych gałązek, Białowłosey zatrzymał się nagle.

- Nie uczyniliśmy tego! - rzekł półgłosem.

- Czego? - Kamon, który szedł nie opodal, zbliżył się ku niemu. Także i Perilawos idący nieco wyżej zbiegł ku brzegowi i stanął przy nich.

- Czemuż stoicie? - zapytał półgłosem. - Czy ujrzeliście coś?

- Nie! - Białowłosey potrząsnął głową. - Gdy chowaliśmy Kastorosa, zdało mi się, że zabrakło czegoś w jego grobie...

- W grobie? - Kamon wzruszył ramionami. - Jeśli człowiekowi brak czego w grobie, to żywota, który pozostał w górze i nigdy nie powróci! - Roześmiał się bezradnym śmiechem.

- Mów! - rzekł Perilawos. - Nie pojmuję cię?!

- Owej deski ze strunami, na której lubił sobie wtórować, gdy śpiewał... - Białowłosey potrząsnął głową. - Naszą było sprawą, by zabrał ją z sobą na wędrówkę, z której już nie powróci. Czego nie

daliśmy mu dziś, tego już nigdy mieć nie będzie.

Zbliżyli się z wolna ku ognisku, które właśnie urosło rzucając krwawy blask na spokojne, rozlane wody i czarny okręt.

- To prawda... - Kamon westchnął. - Wielu nas było, a nikt o tym nie pamiętał. Żle by się stało, gdyby niezycliwość jego poszła odtąd w ślad za okrętem, gdyż niezmiernie może mu brakować owej zabawki tam, gdzie dusza jego nie zazna już śmiechu ni wesela.

Podeszli do ogniska, rzucili naręcza gałęzi na inne, już zebrane, i spojrzeli na księcia, który siedział przy ogniu na rozpostartym płaszczu.

Nagle Perilawos ruszył ku ojcu i stanął przed nim.

Księżę półgłosem naradzał się z Terteusem rozważając, czy po spożyciu wieczerzy i zagaszeniu ogniska nie wypłynąć pod osłoną mroku na rzekę i nie posunąć się tak daleko, jak się uda, by spędzić resztę nocy przy brzegu w innym miejscu. Co prawda księżyc świecił jasno, lecz nie była to jeszcze pełnia, a gdy jeden z małych, wędrujących nocnym niebem obłoków przesłoni jego oblicze, może uda się niespostrzeżenie dobić do brzegu w miejscu osłoniętym gęstym cieniem rzuconym przez wzgórze.

- Ojcze! - rzekł Perilawos.

Księżę uniósł głowę.

- Cóż takiego, synu mój?

Uśmiechnął się do niego swym zmęczonym, smutnym uśmiechem, w którym jednak ostatnio pojawiały się rysy prawdziwej wesołości, gdyż wbrew temu, co przypuszczał początkowo, surowe życie żeglarza i przywódcy okrętu, nie mającego żadnej przystani, do której mógłby powrócić, poczyniło z wolna przemieniać go w innego człowieka. Gdyby nie ciągła obawa o los dziecka, byłby może nawet szczęśliwy, a z pewnością odczuwał, że jest szczęśliwszy i spokojniejszy niż w Knossos pośród niewolników, różanych wodotrysków, wymyślnego jadła, wspaniałych naczyń i czci oddawanej mu jako potomkowi Byka i bratu monarchy.

Gdyż czająca się tam śmierć była bardziej prawdziwa i nieuchronna niżli ta, którą mogli przynieść mu barbarzyńcy zbiegający z wrzaskiem z owych ciemnych wzgórz, aby zgładzić załogę obcego okrętu płynącego przez ich krainę. Takiej śmierci spoglądali w oczy jego przodkowie, którzy uderzyli na dawne królestwo Krety, aby zatknąć nad nim swój znak podwójnego topora. I choć było to bardzo dawno, jednak krew owych wojowników płynęła w jego żyłach i z dnia na dzień tracił rozpaczliwą pewność, że jest wraz z Perilawosem skazany na śmierć, której nic nie zdoła odwrócić. Uniknął dotąd pułapek zastawionych przez nienawiść Minosa i przedarł się wraz z okrętem i dzielną załogą tam, gdzie potężne ramię brata nie mogło już dotrzeć. Przyszłość leżała w ręku bogów, jeśli istnieli, a z pewnością wiele zależeć będzie od jego roztropności, odwagi i siły, którą natchnie swych ludzi. Później, gdy być może odnajdą ową krainę bursztynu, powrócą, aby z dala, na jakimś małym skrawku lądu, założyć niewielkie królestwo i czekać, co los przyniesie. Albowiem Minos nie był wieczny, a któż był jedynym dziedzicem królestwa, jeśli nie Perilawos... Lecz wszystko to ukryte było za gęstą zasłoną nadchodzących dni i księżę wiedział, że wiele jeszcze niebezpieczeństw i trudów znieść będą musieli obaj, nim ocala życie i powrócą.

Wystarczyłaby jedna pułapka jakiegoś barbarzyńskiego ludu lub zabłąkana strzała, aby wszystkie jego marzenia zostały zniweczone. Mimo to także i lęk o życie Perilawosa, choć nie minął, przemienił się jednak nieco. Nie drżał już nieustannie o los syna. Chłopiec musiał zostać dzielnym wojownikiem i wytrwałym żeglarzem, jeśli miał uniknąć tego, co leżało przed nim. I ta sama przemiana, której podlegał, kazała mu patrzeć z dumą na jedynego dziedzica coraz bardziej

podobnego do otaczających go żeglarzy. Z radością spoglądał z dala na jego ramiona, które przypominały już ramiona dorosłego młodzieńca i z łatwością napinały ciężki łuk lub brały zamach, by miotać długą włócznią o spiżowym ostrzu lub lekkim oszczepem. Od chwili, gdy pojął, że miłość ojcowska, pragnąca uchronić dziecko przed każdym niebezpieczeństwem, niewiele może zdziałać w tej wyprawie, zagryzł wargi i pogodził się w duchu z myślą, że Perilawos będzie spotykać owe niebezpieczeństwa oko w oko jak inni. A być może zdobyta dzielność i doświadczenie staną się kiedyś podwaliną, na której powstanie nowe, potężniejsze królestwo Krety, pozbawione zniewieściałości i zdolne potężnym ramieniem swego władcy nakazać posłuszeństwo niezliczonym podbitym ludom.

- Kastoros, ojcze, przygrywał sobie zawsze, gdy śpiewał, a nie włożyliśmy mu do grobu owej deseczki o trzech strunach...

- To prawda... - mruknął Terteus. - Czyżby miał ją z sobą i zabrali ją jego zabójcy?

- Nie! - Perilawos zwrócił spojrzenie ku niemu. - Białowłosa rzekł, że spoczywa ona pod jego ławą wraz z węzłkiem!

- I cóż chcecie uczynić? - Książę uniósł brwi. - Stało się i pogrzebaliśmy go bez niej. Choć, być może, weselej by mu z nią było w owej Krainie Mroków. Siadajcie do wieczerzy, gdyż placki już się opiekają. A później odpłyniemy stąd, aby znaleźć miejsce na nocleg, dalej, w górę rzeki.

- Ojcze... - rzekł Perilawos.

- Rzeknij wreszcie, co masz na myśli.

- Czyżbyśmy nie mogli, Białowłosa, Kamon i ja, udać się tam i ułożyć ją przy nim? Nie zajmie nam to wiele czasu i wnet zbiegniemy ku wam...

- Lecz zachowajcie ostrożność...

Książę mimowolnie spojrział ku górze, gdzie nad ich głowami odcinała się nieco od mrocznego nieba linia grzbietu wyniosłości.

- Tak uczynimy, ojcze!

- Bądźcie cisi i znalazłszy się tam, rozejrzyjcie się bystro, gdyż nie wiem, co nas otacza - dodał spokojnie Terteus i sięgnąwszy po misę, na której dymiły placki jęczmienne, podał ją księciu.

Perilawos zawrócił ku dwóm towarzyszom stojącym za kręgiem ogniska i po chwili Białowłosa brnąc po pas w wodzie zbliżył się do okrętu i wdrapał na burtę.

W blasku księżycy odszukał miejsce Kastorosa i sięgnąwszy pod ławę wyjął spod niej ową deseczkę. Wyprostował się i przeciągnął palcami po strunach. Odpowiedziały brzękliwie i ucichły, jak gdyby śmierć pana odebrała im śpiewność.

Zsunął się z burty w wodę i dobrnął do brzegu.

Ruszyli w milczeniu i minęli dwu stojących na straży wojowników ukrytych za krzewem jałowca, tak aby mogli widzieć, a sami nie byli widziani z dala w blasku ognia.

Poczęli piąć się pod górę. Kamon szedł pierwszy, kołysząc w dłoni lekkim oszczepem. Zamykający pochód Białowłosa spoglądał w rozgwieżdżone niebo, z którego zdawały się spływać ku ziemi chłód i cisza. Noce były coraz zimniejsze, choć za dnia nadal słońce grzało mocno jak w znanym im świecie, który opuścili.

Przez chwilę rozmyślał nad tym, jaka pora roku była teraz na jego rodzinnym wybrzeżu, a jaka na Krecie?

Musiała tam być już jesień, ciepła, niemal upalna, pora owoców i nieustannie rozkwitających kwiatów. Jak dawno wypłynęli z Amnizos? Ani on, ani zapewne nikt z załogi nie liczył dni od owej

chwili. Wydawało mu się, że upłynęło ich już bardzo wiele.

Kamon zatrzymał się. Byli na szczycie wzniesienia. U stóp falowała w blasku księżyca nieskończona kraina traw, które wydawały się teraz srebrzyste i ciągnęły aż po krańce nocnego widnokregu.

Z wolna podeszli do kopczyka kamieni. Perilawos z Białowłosym ostrożnie zdjęli ich kilka i odłożyli na trawę, starając się, by nie uderzyły o siebie. Później wygrzebali dołek w ziemi tam, gdzie, jak im się wydawało, była głowa umarłego i wsunęli deseczkę zważając, aby nie przerwać którejs z strun. Uważnie zasypali dołek i położyli na powrót kamienie.

Kamon, który stał kilka kroków od nich, wsparty na oszczepie, rozglądając się, syknął cicho. Wyprostowali się, chwytając za wbite w ziemię miecze.

- Ciiicho... - dobiegł ich jego szept.

Cofnął się ku kopczykowi i pochylony, aby sylwetka jego nie odcinała się na niebie ponad grzbietem wzgórza, wskazał dolinę.

Spoglądali przez chwilę idąc spojrzeniem za jego wyciągniętą ręką, lecz nie dostrzegli niczego.

- Nie pojmuję, co dostrzegłeś? - rzekł półgłosem Perilawos. - Ukaż mi to.

Nagle Białowłosy dostrzegł ich i ścisnął go za ramię.

- Tam! - szepnął. - Idą doliną i poczynają się wspinać ku nam!

Widział ich teraz wyraźnie. Byli ciemniejsi niżli oświetlona księżycem trawa: szli jeden za drugim, było ich wielu, może dwustu, może trzystu nawet. Najbliższy wciąż jeszcze był o kilkaset kroków od szczytu i głęboko na dnie doliny.

Wąż ludzki zakręcił teraz i zaczął piąć się ku nim.

- Padnijcie, aby nas nie dostrzegli... - szepnął Kamon - a gdy miniemy szczyt, zbiegnijcie w dół, ile sił w nogach!

Osunął się miękko w wysoką trawę i odpełznął bezgłośnie ku krawędzi wzniesienia.

Po chwili zbiegali już łagodnym zboczem ku czerwonemu ognisku, wokół którego poruszały się maleńkie postacie towarzyszy.

Kamon pierwszy dopadł brzegu i stanawszy przed księciem przyłożył dłoń do czoła.

- Nadchodzą! - zawołał półgłosem - Są w dolinie, tam! - Oszczepem wskazał szczyt wzgórza.

Wszyscy naokół ogniska zamilkli. Rozległ się cichy brzęk mieczy wyciąganych z pochew.

- Ilu ich jest? - Terteus podniósł się.

- Trudno rzec, lecz musi ich być wielu, dwie albo trzy setki, a może więcej, jeśli idą po dwóch, z góry bowiem dostrzec było można jedynie, że idą jako wąż, jeden za drugim, a nie kupą.

- Cóż rozkazujesz nam uczynić, boski książę? - Terteus zwrócił głowę ku Widwojosowi, który powstawszy dopinał hełm.

- Jak uradziliśmy, nie bój i nie zdobywaj się naszym celem, lecz przedostanie się przez tę krainę. Albowiem ktokolwiek z nas padnie dziś bez potrzeby, nie będzie do końca tej wyprawy zastąpiony przez nowego żeglarza. Jesteśmy tu sami i nie wolno nam wykruszać naszych sił. Skoro mieliśmy odpłynąć, aby znaleźć inne miejsce postoju nocnego, uczynmy to niezwłocznie. Jeśli zdążymy uniknąć boju i nie runą na nas z góry, odpłynmy na środek rzeki!

- Ściągnijcie straż! - rzekł donośnie Terteus. - I nie gaście ogniska! Wioślarze niechaj pierwsi biegną na okręt wraz ze sternikiem, a gdy to uczynią, przetniemy liny wiążące Angelosa do brzegu i cofniemy się w porządku, osłaniając okręt, póki nie znajdzie się w gotowości!

Zaledwie to wyrzekł, część ruszyła brodząc wodą ku Angelosowi, a inni zwarłszy tarcze i

uniósłszy nad nimi ciężkie, spiżowe włócznie najlepsze do odparcia wroga, zarówno pieszego jak i dosiadającego koni, poczęli cofać się z wolna, gęstym szykiem, spoglądając na szczyt nadbrzeżnego grzbietu, na którym miał pojawić się wróg.

Białowłosy, któremu rzucony jak co dnia los naznaczył dziś miejsce przy jednym z osiemdziesięciu wiosł, podczas gdy każdego dnia dwudziestu innych żeglarzy odpoczywało lub zajętych było przy wielkim żaglu, szybko wyciągnął wiosło spod ławy, osadził je w otworze i opuścił na wodę. Siedział od strony brzegu, więc wyraźnie widział towarzyszy cofających się ku wodzie.

Grzbiet wzgórza wciąż był cichy. Terteus podbiegł do liny okręconej wokół głazu i przytrzymującej okręt. Zamachnął się mieczem i napięta lina zwiśla na wodzie.

Bez zwłoki wciągnięto ją.

Białowłosy pochylił się szybko i położył sobie pod nogami łuk i strzały. Oszczep, włócznia i miecz leżały także w zasięgu ręki. Cofający się byli już na krawędzi wody. Teraz miały nastąpić najtrudniejsze chwile, gdyż musieli iść po pas w wodzie, a jeśli wróg uderzy nadbiegając z góry, trudno im się będzie bronić.

Spojrzał na grzbiet wzgórza i zmartwiał. Na tle ciemnego nieba dostrzegł wyraźnie małe sylwetki ludzkie pojawiające się na ułamek chwili i zbiegające w dół pędem ku ognisku!

Księżę, Perilawos, Terteus i kilkunastu innych byli już u burty okrętu. Wiosła uniosły się wysoko, aby dać im możliwość łatwiejszego wejścia. Pierwszy żeglarz wspiął się na burtę i wciągnięty rękami towarzyszy opadł między ławy.

Angelos wciąż jeszcze trwał nieruchomo, utrzymywany w miejscu lekkimi uderzeniami wiosł przeciwstawiających się prądowi rzeki.

Pierwsza postać przebiegła obok ogniska i nie zatrzymując się dopadła do brzegu. Białowłosy porwał za łuk. Ujrzał uniesione ramię z oszczepem i w tej samej chwili puścił cięciwę.

Nie dostrzegł lotu strzały, lecz wiedział, że trafiła, gdyż napastnik poderwał się w górę i znieruchomiał. Czarny na tle ogniska stał przez chwilę z uniesionym orężem, a później padł twarzą w wodę. Lecz brzeg zaroił się od innych.

- Czy wszyscy weszli?! - usłyszał okrzyk Terteusa.

- Są! Są wszyscy! - zawołały głosy w ciemności.

- Odbijamy!

Wiosła zanurzyły się głęboko. Grad strzał ze świstem leciał ku okrętowi. Ktoś za plecami Białowłosego krzyknął.

Oslonięci wspartymi o burtę tarczami wsunawszy głowy w ramiona nacisnęli znów na wiosła. Białowłosy dostrzegł jeszcze napastników brnących przez wodę ku okrętowi, jak gdyby pragnęli uczepić się wiosł. W tejże chwili ujrzał przed sobą Terteusa, który skoczył ku przodowi i pochylił się gwałtownie dla zadania ciosu włócznią.

Zamach był tak silny, że Terteus zachwiał się i oparł o burtę. Wówczas Perilawos doskoczył i pchnął mieczem wroga, którego Białowłosy nie mógł dostrzec, gdyż krawędź przesłoniła mu widok. Naparł na wiosło.

Okręt nabierał szybkości. Jeszcze jedna strzała świsnęła i z trzaskiem utknęła w burcie tuż obok głowy Białowłosego. Wrzask na brzegu ucichł nieco, dobiegając z większego oddalenia.

I po chwili ujrzał, że gromadka stojących pod masztem wojowników opuszcza tarcze.

Dopływali do środka nurtu. Księżyc stał teraz nad rzeką i widać było wyraźnie wyniosłość na

zakręcie, gdzie koryto, które dotąd kierowało się ku północnemu wschodowi, skłaniało się ku północy.

Terteus, wciąż jeszcze z włócznią w dłoni, szedł od dziobu, rozglądając się i wypytyjąc, czy żaden z nich nie poniósł szkody.

Jeden z wioślarzy odniósł ranę od strzały, więc przeniesiono go pod maszt i boski Widwojos kazał go złożyć w swym namiocie nie wiedząc nawet, jak bardzo pozyskał tak prostym uczynkiem serca swej załogi. Albowiem był bratem królewskim i potomkiem bogów, a oni, gdyby nie owa wyprawa, nie mogliby marzyć nawet, że kiedykolwiek ujrzą go z bliska.

Zebrano też pod masztem strzały nieprzyjacielskie i oszczepy, które upadły na okręt. Było ich wiele i Terteus postanowił nie wyrzucać ich, gdyż choć wszystkie miały krzemienne ostrza i groty, jednak nie można było w czasie wyprawy wykuć nowego oręża, gdyby część jego miała wykruszyć się w przyszłych bojach. Oglądano także z uwagą przy świetle pochodni zabitego wroga, który zginął wspinając się na burtę i został przebity mieczem, nim postawił nogę na okręcie, lecz umierając padł ku przodowi i pozostał między ławami wioślarzy.

Człowiek ów był niski, krępy i miał żółtawą skórę, a kości policzkowe wypukłe. Ubrany był w szatę, którą oglądali ze zdumieniem i podziwem, każdą bowiem z nóg jego otaczała osobna skórzana nogawka, a wyżej, zszyte razem, sięgały mu aż do pasa. Pierś i ramiona okrywał skórzany kaftan obszywany grubymi kawałkami skóry, podobnie jak ich kaftany obszyte były łuską z brązu, by chronić ciała przed ciosem miecza.

Otoczyli go kręgiem i spoglądali bez słowa, a światło pochodni pełgało po jego wyszczerzonych ostrych zębach i złych, otwartych, martwych oczach.

- Cóż uczynimy z nim, boski książę? - zapytał Terteus.

- Czy wrzucimy go do rzeki, czy też rankiem przywiążemy ciało jego do pnia nad wodą, podobnie jak oni uczynili z Kastorosem?

Widwojos ruchem ręki wskazał ciemne, szeroko rozlane wody.

Czterej ludzie pochwycili w górę ciało, rozkołysali je i barbarzyńca wyleciał wysoko w górę, aby zniknąć za burtą. Rozległ się cichy plusk. Przez chwilę wydawało im się, że woda unosi go, lecz zniknął w nurcie.

- Zgaście pochodnię! - rzekł Terteus. A gdy zapadła ciemność, wychylił się i spojrzał wstecz.

Daleko nad brzegami nadal płonęło pozostawione przez nich ognisko. Migotliwy blask jego kładł się na wodę.

- Cóż uczynimy teraz, boski książę? Zapewne mają oni konie, choć pozostawili je gdzieś, aby nie zdradziły parsaniem ich nadejścia. Dobrze, że choć nasyciliśmy głód przed nocą... gdyż trudno byłoby teraz przybić gdzieś w pobliżu.

- Nasyciliście głód! - rzekł Perilawos. - Lecz my, którzy byliśmy na wzgórzu, nie zdążyliśmy tego uczynić.

- To prawda! - Terteus roześmiał się. - Wszelako lepiej, że stało się tak, niż gdyby nieprzyjaciel miał nas zaskoczyć podczas wieczerzy... Czy to ty, młody książę, pchnąłeś mieczem owego barbarzyńcę zamierzającego na mnie toporem czy też innym orężem, bom nie zdążył tego dostrzec walcząc?

- Ja... - rzekł Perilawos cicho. - A był to pierwszy człowiek, którego ugodziłem.

- Obawiam się, że niejednego jeszcze będziesz musiał ugodzić, nim Angeles zawinie do swej ostatniej przystani! Stałeś się dziś dojrzałym wojownikiem, Perilawosie, jako my wszyscy!

- Nie wiedziałem, że rzecz ta jest tak prosta... - Perilawos potrząsnął głową, jak gdyby dziwiąc się sam sobie. - Pchnąłem go, a on otworzył ramiona i osunął się w wodę, chrapiąc okropnie. Choć wrzask bitewny był wtedy naokół, słyszałem to wyraźnie i pewnie będę słyszał do końca dni moich.

- Pójdź po Białowłosego i Kamona, synu, gdyż siedzą oni przy wiosłach. A niechaj ktoś ich zastąpi, abyście się wszyscy mogli posilić - rzekł Widwojos pospiesznie, a kiedy chłopiec odszedł przeskakując zwinnie leżący na deskach, poskładany bezładnie oręż, zwrócił oblicze ku Terteusowi.

- Masz słuszość, oto przestał być dzieckiem, którym był jeszcze wówczas, gdy wstąpiliśmy na okręt w Amnizos!

- Jeśli jest synem królów i sam będzie może kiedyś królem, lepiej, aby dojrzewał pośród boju i przeciwności.

Zamilkli, gdyż okręt mijał teraz szerokim łukiem zakręt rzeki i ujrzeli przed sobą rozległe wody, które wydały im się jeziorem. Pośrodku owych wód widniał w wielkim oddaleniu ciemny nieruchomy kształt, jak gdyby grzbiet spoczywającego wodnego potwora. Terteus wpatrywał się weń długą chwilę.

- Boski księżę, jeśli mnie oczy nie zwodzą, jest to wyspa, a rzeka ta albo rozlewa się tu szeroko, albo też jest to jej źródło i wypływa ona z owego jeziora, co nie wydaje mi się możliwe, gdyż nie ma tu naokół wysokich gór, z których mogłyby spływać wody ją tworzące. Lecz tak czy inaczej, jeśli wyspa ta jest bezludna, mniemam, że winniśmy tam przybić. Księżyc świeci jasno, więc jeśli nawet lud ów ma wiele łodzi (choć nie przypuszczam tego, gdyż nie napotkaliśmy ani jednej osady nadrzecznej, z czego wnosić można, że nie trudnią się oni rybołówstwem), dostrzeżemy je z dala i łatwiej się nam będzie obronić. A bez snu, płynąc noc całą na wiosłach, nie będziemy rankiem tak dzielni, jak winniśmy być, jeśli spotka nas nowy bój! Jak powiadają, jeden najedzony i wypoczęty wojownik wart jest trzech głodnych i pozbawionych snu.

Widwojos bez słowa skinął głową. Poczeli wpatrywać się w z wolna rosnącą wysepkę. Nie była ona rozległa ani wysoka, lecz pokrywały ją gęste zarośla i kilka kęp drzew. Opłynęli ją po dwakroć, szukając najlepszego miejsca, do którego mogliby przybić nie wprowadzając Angelosa w zbyt gęste łozy przybrzeżne, z których trudno byłoby go szybko wyprowadzić. Wreszcie znaleźli przystań i miękko przybili, dotykając niemal brzegu, gdyż w miejscu owym, odsłoniętym, głęboki nurt ocierał się o krawędź wyspy. Terteus wysłał trzydziestu ludzi, aby przeszli całą wysepkę i wybadali, czy nie kryje niebezpieczeństwa, a gdy powrócili mówiąc, że nie znaleźli nikogo, rozkazał przywiązać okręt do spoczywających na brzegu głazów.

Lecz nie ułożyli się do snu na lądzie. Każdy otulił się płaszczem tam, gdzie leżał, i tak dotrwali do świtu, a często zmieniające się straże nieustannie krążyły po wysepce lub wypatrywały, czy na oświetlonej księżycem powierzchni wód nie pojawią się łodzie.

I tak napotkał ich pierwszy brzask. Mgły snuły się nad wodą przesłaniając brzegi. W milczeniu, zziębnięci, gdyż powietrze było przejmujące, zbierali się przy ogniskach.

Terteus z ciężką włócznią w dłoni przechadzał się wzdłuż okrętu, przynaglając ludzi głosem. Chciał odpłynąć jak najdalej stąd, nim mgły uniosą się ukazując Angelosa oczom czuwającym na brzegach rzeki.

Odbili, kierując się pod prąd i okrążając wysepkę, otoczeni mlecznym oparem. Wiosła wolno zanurzały się w spokojnej wodzie. Terteus nakazał ciszę, gdyż we mgle głos ludzki niósł się daleko, wiosłowali więc bez zaśpiewu, lecz że byli już załogą doświadczoną i przemierzali wspólnie niemal połowę długości znanego świata, okręt płynął równo, a wiosła zanurzały się cicho i bez plusku.

Czyniło się coraz widniej, dzień wstawał i pierwsze promienie słoneczne poczęły przedzierać się ku płynącym, barwiąc kłęby mgły na różowo.

- Jeśli jest to wielkie jezioro, boski książę - rzekł Terteus półgłosem - bogowie jedynie wiedzą, czy płyniemy w pożądanym przez nas kierunku, gdyż być może otaczają nas teraz zewsząd brzegi zamknięte lub przecięte jedynie małymi rzeczkami, na które nie moglibyśmy wpłynąć. A jeśli nawet moglibyśmy to uczynić, nie zaprowadziłyby nas one daleko. Lecz nie wierzę w to, gdyż żadna rzeka nie bywa tak wielka u swego źródła...

Stali na dziobie, wpatrzeni w mgłę i wodę, która z lekkim szelestem uciekała na boki.

- Przedziwna to rzecz, Terteusie... - Boski Widwojos odwrócił wzrok od jeziora i spojrzął na stojącego obok młodego żeglarza. - Płyniemy ku północy przedzierając się przez lądy, morza i rzeki i chroniąc się przed gniewem obcych ludów, których siedziby mijamy, a dzieje się to tak, jak gdybyśmy musieli dotrzeć do owej krainy bursztynu i odnaleźć ją. A przecież nawet gdyby znajdowała się ona tu i ukazała nagle naszym oczom wraz ze swymi skarbami, gdy ta mgła opadnie, cóż by nam z tego przyszło? Myśl o owej wyprawie powstała przecie w głowie mego królewskiego brata, gdy zapragnął, abym odpłynawszy z Krety padł ofiarą jego podstępów. Nie wierzył on, że Angelos opuści kiedykolwiek obszar znanego świata i pożegluje dalej. A skoro stało się tak wbrew jego zamiarom, dokąd powrócimy i komu służyć ma nasza wyprawa?

- Cóż masz na myśli, boski książę, gdyż nie pojmuję słów twoich? Nie śmiałybym cię pytać o to, lecz skoro chcesz rozważać w mej obecności tę sprawę, zapewne pragniesz, abym wiedział, ku czemu zmierzają twe myśli.

- Masz słuszość, bo choć powiadają, że jestem potomkiem bogów... Widwojos uśmiechnął się nieznacznie - jestem jedynie człowiekiem i myśli moje krążą wokół przyszłości jak myśli każdego innego człowieka. Ufam ci. Jesteś roztropny, rozumny i doświadczony. Oto posuwamy się przez nieznany nam, wrogi ląd, płynąc rzeką, o której nie wiemy, dokąd nas zaprowadzi, ku celowi, który nie jest naszym celem, gdyż królestwo, które wysłało nas, jest krainą, gdzie każdego z nas czekałaby po powrocie niechybna śmierć, choćby czyny nasze były godne bohaterskich pieśni. A któż wie, czy nie są już ich godne, gdyż zaledwie rozpoczynawszy naszą wyprawę, znaleźliśmy się tam, gdzie nikt jeszcze nie dotarł. A przecie okręt ten z dzielną, doświadczoną już załogą, która okazała, że nie lęka się trudów ni niebezpieczeństw, moglibyśmy skierować ku innym wodom i innym celom, bardziej zgodnym z naszym położeniem, aby zapewnić sobie choć odrobinę bezpieczeństwa i wiary, że nie zginiemy marnie i bezowocnie na krańcach ziemi.

- Przyznaję, boski książę, że i ja rozmyślałem nad tym, lecz, jak wiesz, jedyna znana nam droga powrotu wiedzie przez cieśniny trojańskie, a później na południe. Gdy bratu twemu doniosą, że Angelos pojawił się ponownie, nie spocznie, póki nie dopadnie nas przeważającymi siłami. Albowiem dowiedział się już zapewne, jak uniknąłeś śmierci w Troi. Dziś wie on jedynie, że wypłynęliśmy na północne morze, a cała moc jego nie może sprawić, aby poznał miejsce, gdzie przebywamy, gdyż my sami wiemy jedynie, że płyniemy ku północy wielką rzeką, otoczeni przez wrogi lud, którego siedzib nie znamy. Jeśli więc posuwając się na północ dotrzemy do innego morza, co nie jest nieprawdopodobne, boski książę, kraina ta bowiem nie leży z pewnością na krawędzi świata, o której nam tak wiele mówiono, gdyż jest jako inne i zamieszkują ją zwykli śmiertelni ludzie, wówczas, być może, znajdziemy inną drogę, którą będziemy mogli zbliżyć się do znanych nam lądów. Wówczas też postanowisz, co czynić ci wypada. Jeśli zechcesz czekać na śmierć króla, brata twego, będziesz mógł to uczynić pozostając w bezpiecznym ukryciu, które sobie wynajdziemy. A

jeśli, jak to nieraz bywało, chroniąc się przed przemożnym wrogiem, postanowisz żyć z dala od Krety, być może znajdziemy płynąc nadal na północ jakąś piękną krainę, zdobędziemy sobie żony od sąsiednich ludów i utworzymy nowe królestwo, maleńkie, lecz wolne od lęku. Niejeden lud ścigany przez wrogów uczynił już tak. A gdy się to stanie, zapomnisz tam o nienawiści twego brata Minosa.

- To prawda, że ściga mnie jego nienawiść, lecz jakże mógłbym uwierzyć, że ty lub Białowłosey, lub też inni młodzieńcy, którzy wyruszyli ze mną wierząc, że powiodę ich ku sławie i bogactwom, zechcecie mi towarzyszyć? Czemu miałbyś żyć ty lub kto inny z was z dala od swych bliskich i swej ojczyzny po to jedynie, aby wspomóc człowieka, któremu towarzyszy nienawiść największego z władców świata?

- Wszyscy Kreteńczycy, którzy ci towarzyszą, książe, wiedzą, że nie ma dla nich powrotu, gdyż śludzy brata twego zabiją bez zwłoki żadnego żeglarza z załogi Angelosa. Minos nie zezwoli żyć nikomu, kto mógłby rzec choćby słowo o tym, jak podstępnie chciał zgładzić cię rękami króla Troi. Ludzie płynący wraz z tobą na tym okręcie jasno pojmują, że jeśli bogowie zezwolą im ujrzeć brzeg rodzinny, może to nastąpić jedynie wówczas, gdy przywiedziesz ich tam ty lub syn twój Perilawos... A stać się to może nie wcześniej niżli w dniu, gdy zemsta królewska przestanie im zagrażać. Dzień ów wielce może być odległy. A jeśli rozważysz sprawy moje i Białowłosego, nie żylibyśmy już, gdybyś nam nie podarował żywota. I dlatego związaliśmy się z tobą i synem twym wielką przysięgą. Jesteśmy młodzi, obu nas wykarmiło morze, oczy nasze ciekawe są nowych krain, a w sercach naszych drzemie pragnienie nowych przygód. Wielka jest ta wyprawa, boski książe, a okrętu takiego jak ów, którym płyniemy, nie nosiły jeszcze fale. Bądź więc i ty dobrej myśli, jeśli wolno mi tak rzec, gdyż choć nas i przyszłość naszą otacza mgła, a nie znamy drogi, którą nam przebyć wypadnie, jednak nie nam pierwszym i nie nam ostatnim los każe spoglądać na nieznane wybrzeża. A reszta jest w ręku bogów i w sile naszych mieczy!

Roześmiał się pogodnym, młodzieńczym śmiechem, a Widwojos także się rozchmurzył.

Mgła rzedła z wolna. Poprzez postrzępione smugi oparu poczęli dostrzegać w oddaleniu niską linię brzegów po prawej na wschodzie, tam skąd dobiegały coraz cieplejsze promienie słońca.

Rzeka w rzeczy samej zdawała się przemieniać w jezioro i gdyby nie powolny nurt rozlanych wód, kierujących się ku ujściu, można by sądzić, że znajdują się na wielkim śródlądowym morzu.

Wiatr zerwał się i rozegnał resztki chmur dmąc z południa. Postawiono więc maszt i wciągnięto wielki żagiel. Ogromna głowa Byka zakołysała się nad wodami i Angelos pospieszył prując niskie fale wprost ku północy. Stojący przy wiosłach sterowych Eriklewes z uwagą wpatrywał się w nurt, gdyż znajdując się z dala od brzegów obawiał się, aby okręt nie minął miejsca, gdzie rzeka ponownie wpada w węższe koryto napływając z północy. Wówczas poczęliby błąkać się po ogromnym rozlewisku, a pragnęli opuścić jak najspieszniej tę niegościnną krainę. Wody zdawały się spływać ze wschodu, a więc rzeka zapewne zmieniała tu kierunek. Dalekie wzgórza w owej stronie przemieniły się w niską, zaledwie widoczną z dala płaską krainę nadbrzeżną, podczas gdy zachodni brzeg biegł łańcuchem stromych wyniosłości i zachodził ku północy.

Choć było ciepło, wiatr dał coraz silniejszy i Angelos przebył do południa dwakroć tyle drogi, ile byłby przemierzył w ciągu dnia całego na wiosłach. Skręcili ku wschodowi i dostrzegli, że z wolna brzegi poczynają przybliżać się ku sobie. Byli u krańca rozlewiska.

Wówczas Terteus dał odpoczywającej załodze rozkaz, aby zasiadła do wiosł, gdyż pragnął, jeśli się to uda, opuścić dziś brzegi zamieszkałe przez owo wrogie im plemię. Wyspa, na której zatrzymali się na nocleg, zniknęła już dawno za rufą okrętu.

Prąd stał się wartki i na wodzie poczęły tworzyć się małe wiry, a brzegi przybliżyły się ku sobie bardziej jeszcze. Rozlewisko pozostało za nimi, a przed nimi szerokim kolanem rzeka skręcała wokół skalnego urwiska ku północy. Było ono tak strome, że wisało niemal nad wodą, nagie i ciemne, choć na wierzchołku widać było kępy krzewów i zarośli.

Przybliżając się unieśli głowy i poczęli przypatrywać się gładkiej skalnej ścianie, czarnej pośród morza żółtozielonych traw pokrywających oba brzegi.

Angelos znalazł się niemal u stóp urwiska i wówczas Eriklewes skręcił nieco, widząc wodę pieniającą się na krawędzi skał.

W tejże chwili olbrzymi głaz runął w dół ze strasliwym świstem i wzbili obłok wody tuż przed dziobem Angelosa. Za nim upadł drugi i woda rozbryznięła się u burty skręcającego gwałtownie okrętu, który zadrżał na całej długości i dźwignął się na wzburzonej nagle powierzchni. Równocześnie runął z góry grad strzał i mniejszych kamieni.

Wierzchołek urwiska zaroił się od ludzi, którzy podbiegali aż ku samej krawędzi, miotając w dół przygotowane pociski.

Lecz czy to wiatr dął zbyt mocno znosząc nieco strzały, czy też nacierający czekali o mgnienie oka zbyt długo, odległość stała się zbyt wielka, nie dosięgły one okrętu i padły za nim, burząc wodę na wielkiej przestrzeni.

Wiosłując z całej mocy środkiem nurtu, bezpieczni już, lecz z sercami pełnymi przerażenia, jakie wywołał w nich widok lecących z góry ogromnych odłamów skalnych, z których każdy, gdyby trafił, roztrzaskałby okręt na drzazgi, wiosłarze pochylali się i prostowali, odwracając głowy ku szczytowi urwiska, na którym widać było wyraźnie małe postacie ludzkie dosiadające pospiesznie koni, zawracające i znikające. Zapewne jeźdźcy ci zjeżdżali w dół łagodnym niewidocznym dla patrzących od strony rzeki zboczem, które prowadziło na szczyt urwiska.

Przez chwilę jeszcze widać było z dala kilku jeźdźców stojących nieruchomo i spoglądających za okrętem. Jeden z nich wysunął się przed innych i trwał jak posąg tak blisko przepaści, że przednie kopyta konia wsparły się niemal w jej krawędź.

Wschodzące słońce oświetlało go wyraźnie i migotało na złotym wieńcu otaczającym wysoką spiczastą czapkę, którą miał na głowie.

Okręt był już daleko, gdy jeździec ów zawrócił i zniknął, a za nim zniknęli pozostali.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

I rozplakał się jak dziecko

Pośród dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi znajdujących się na pokładzie Angelosa był młodzieniec z Amnizos, imieniem Harmostajos, z którym Białowłosy często współzawodniczył, gdy okręt płynął pod żaglem i załoga skazana była na bezczynność.

Harmostajos niewiele umiał rzec o swym pochodzeniu, gdyż zapewne go nie znał, będąc jednym z owych dzieci włóczących się po nadbrzeżu, śpiących i żywiących się byle gdzie, a trudniących się po trosze kradzieżą placków ze straganów, zbieraniem odpadków jadła lub najmujących się za miskę strawy do pomocy rybakom przy patroszeniu ryb po połowie. Gdy tylko dorósł, najmował się jako wioślarz na okręty kupieckie, a gdy usłyszał, że boski Widwojos zbiera załogę, by wyruszyć poza granice poznanego świata, zgłosił się jako jeden z pierwszych. Terteus, który nie dbał o nic więcej prócz tego, by ludzie mający odpłynąć na pokładzie okrętu byli silni, młodzi i zżyci z morzem, przyjął go bez wahania.

Harmostajos okazał się pożyteczny nie tylko jako wioślarz. Surowe i głodne dzieciństwo nauczyło go wiele.

Umiał polować na stworzenia morza trójzębem lub lekkim oszczepem niemal tak szybko i pewnie jak Białowłosy. Często, ku podziwowi całej załogi, tkwili obaj nieruchomo przy burcie, aby jednym błyskawicznym ruchem uderzyć w wodę i unieść broń, na której trzepotała przebita ryba. Obaj nie chybiali nigdy. Mimo tego współzawodnictwa wywiązała się pomiędzy nimi przyjaźń, a zabawy owe, dzięki którym wszyscy żeglarze mieli zawsze pod dostatkiem świeżych ryb, sprawiły, że Harmostajos począł uczyć Białowłosego także i innej sztuki, w której celował. Otóż będąc chłopcem nauczył się chwycić na trzymaną w ręce i rozkręconą nad głową pętlę małe zwierzęta w górach otaczających Amnizos, a był w tym tak przemyślny, że umiał zatrzymać w biegu zrywającego się do ucieczki zająca. Później doszedł w tym do tak wielkiej wprawy, że na długość trzymanego w ręce sznura umiał, biegnąc, rzucić pętlę i wyrwać z pnia drzewa wbity tam krótki nóż.

Białowłosy i inni żeglarze próbowali kilkakrotnie naśladować go w tym, lecz rzecz ta była niezwykle trudna i nie udawała się nikomu.

W ciągu ostatnich dni, tak wypełnionych wydarzeniami i smutkiem po stracie Kastorosa, wszyscy zapomnieli niemal o tych jego zabawach. Lecz oto teraz, gdy późnym popołudniem okręt nadal mknął pod żaglem trzymając się środka rzeki, która na szczęście nadal płynęła rozległym nurtem wprost z północy, Harmostajos, wbiwszy miecz w ławę, bawił się rzucając swą pętlę z odległości kilku kroków, tak aby nieuchronnie owinęła się wokół rękojeści. Białowłosy stał przy nim, biorąc od czasu do czasu sznur, lecz dopiero po dwakroć udało mu się zarzucić na miecz dość szeroką i niezdarną pętlę, która jednak zawsze zdążyła opaść na deski, podczas gdy Harmostajos podrywał ją

tak szybko, że zaledwie znalazłszy się ponad wbitym mieczem zaciskała się na głowicy jak na szyi zwierzęcia.

Ludzie siedzieli naokół żartując i jedząc suche placki, a że byli młodzi, ani lęk przed nieznaną przyszłością, ani to, że nie wiedzieli, dokąd płyną i jakie niebezpieczeństwa mogą czekać ich za najbliższym zakrętem rzeki, nie chmurzyło im oblicza.

Tak ich zastał Terteus, który nadchodził właśnie od dziobu okrętu, aby naradzić się z Eriklewesem, czy nie przybić za dnia do niskiego, prawego brzegu, z którego roztaczał się rozległy widok na pokryty trawą, pozbawiony drzew step, skąd trudno było przypuścić niespodziane uderzenie. Rozmyślał nad tym, by dać ludziom wypocząć i upolować nieco zwierzyny, jeśli nadarzy się w pobliżu, a później, tuż przed zachodem słońca, pragnął odbić od brzegu i spędzić noc na wodzie posuwając się z wolna, jeśli księżyc będzie oświetlał drogę, lub utrzymując pośrodku nurtu do świtu, jeśli mrok będzie zbyt gęsty.

Zatrzymał się teraz i uśmiechnął widząc, że załoga nie straciła ducha, a poranne wypadki nie wpędziły ludzi w przerażenie, które pokonałoby ich w przyszłym boju prędzej niż sprawiłby to nieprzyjaciel.

Harmostajos stał właśnie z pętlą w ręku zamierzając się, by raz jeszcze uchwycić rękojeść wbitego w dno miecza, lecz widząc nadchodzącego Terteusa, opuścił uniesione ramię, aby go przepuścić.

- Rzuć, Harmostajosie! - rzekł Terteus. - Nie na mój miecz się zamierzasz, lecz na własny!

Zaledwie to wyrzekł, pętla jak zaczarowana wystrzeliła z dłoni młodego żeglarza z cichym sykem nad pokładem i uczył lekkie szarpnięcie, a po chwili ze zdumieniem ujrzał swój miecz nadlatujący powietrzem ku wyciągniętej ręce Harmostajosa, który pochwycił go zręcznie i skłoniwszy głowę podszedł trzymając go głowicą ku przodowi.

- Zechciej mi wybaczyć ów żart, lecz uczynek bywa czasem szybszy niżli myśl, a gdy wyrzekłeś owe słowa o swym mieczu, ręka moja nie zapytała mnie o zezwolenie, lecz sama uczyniła to, co uczyniła.

Terteus, nadal nie mogąc uwierzyć swym oczom, dotknął pustej pochwy, wziął z jego ręki miecz i wsunął go do niej.

- Nie proś mnie o wybaczenie, Harmostajosie, gdyż piękną i przemyślną umiejętność posiadłeś, a nie znałem nikogo, kto by umiał rzecz taką uczynić! Oby przydała ci się kiedyś, gdy życie twoje zależeć od niej będzie!

Roześmiał się i położywszy przelotnie Harmostajosowi dłoń na ramieniu, minął go kręcąc głową z podziwem, a siedzący naokół ludzie pożegnali go wesołym okrzykiem.

Okręt sunął prosto rozległym nurtem, który zdawał się płynąć bez najmniejszych zakrętów, co najmniej tak daleko jak sięgał wzrok stojących na dziobie. Choć Widwojos, Terteus i dwu zwróconych ku sobie plecami bystrookich żeglarzy, stojących pod masztem i nie spuszcających brzegów z oka, nieustannie badało mijaną krainę, nie dostrzegli już śladu człowieka.

Raz jedynie ujrzeli schodzącego ku wodzie jelenia, który na widok okrętu cofnął się z wolna i zniknął pośród wysokich traw nadbrzeżnych, tak wybujałych, że jedynie korona jego rogów zachwiała się ponad nimi, gdy odchodził, a całe zwierzę zakrywały one przed wzrokiem ludzi.

Przypatrywali się też tysiącom ptaków wodnych, żyjących w nadbrzeżnych szuwarach. Było ich tak wiele, że z łatwością dały się zabijać z łuku, bowiem nie były płochliwe i zrywały się dopiero wówczas, gdy okręt, który zapewne nie przypominał im wrogiej istoty, a raczej pływającą wyspę,

znajdował się blisko.

Wiele z nich siadało na burtach i na rei żagla, lecz tych nie zabijano, gdyż jedynie krew ofiarnych zwierząt może zbryzgać pokład płynącego okrętu, a inne są gośćmi.

A nikt nie mógł wiedzieć, czy nie zesłali ich bogowie tej krainy lub, co straszliwsze, czy któryś z nich sam nie był bogiem, który przyjął postać ptaka, by spojrzeć z bliska na śmiertelnych. A choć bóg każdy jest nieśmiertelny i strzała ludzka nie może mu uczynić krzywdy, jednak zabicie ptaka, w którego postaci przybył w gościnę, musiałoby wywołać jego zemstę. A któż pragnie zemsty bogów?

Terteus pilnie wpatrywał się w roje nadbrzeżnego ptactwa, gdyż z zachowania ich pragnął pojąć, czy do brzegu nie zbliżali się od strony lądu jacyś ludzie, którzy zapewne by je spłoszyli.

Lecz rzeka nadal była spokojna i gdy nadeszło południe, a później słońce pochyliło się ku wieczorowi i zawisło nad dalekim widnokrzem, pomyślał z cichą nadzieją, że być może minęli już siedziby owego wrogiego plemienia i wpłynęli na zupełnie odludzie, nie znajdujące się pod panowaniem człowieka.

Mimo to po naradzie z księciem postanowił zatrzymać okręt na rzece, gdy nadeszła noc.

Księżyc świecił jasno i świat naokół zatonął w ciszy. Usnęło ptactwo wodne i jedynie od czasu do czasu rozlegał się cichy plusk, gdy wielka ryba wynurzyła się ponad powierzchnię wody, by natychmiast zniknąć na powrót w głębinie.

Terteus nie mógł usnąć. Siedział na uniesionym dziobie okrętu, owinięty w płaszcz, z mieczem leżącym na kolanach, i rozmyślał nad tym, czy nie dałoby się burt Angelosa wzmocnić płotami z wikliny, która była lekka i nie obciążając wielce okrętu, uchroniłaby wiosłarzy od strzał, Bowiem można było przypuścić, że długo im przyjdzie wędrować korytami rzek, a wiele z nich może okazać się znacznie węższymi niżli ta, po której teraz płynęli, co zezwoliłoby zaczajonym w zasadzce wrogim łucznikom razić ich z brzegu.

Wstał i ruszył cicho ku tyłowi okrętu, przestępując ostrożnie śpiące postacie i wymieniając skinienia głowy z czuwającymi przy burtach strażami.

W pobliżu ładowni, gdzie stały pithosy z mąką i ziarnem, dostrzegł Białowłosego, który leżał z otwartymi oczyma wpatrzony w niebo, z którego znikły gwiazdy przygaszone blaskiem księżyca. Przysiadł na piętach tuż obok niego.

- Nie śpisz?

- Rozmyślałem... - odparł Białowłosego półgłosem i umilkł.

- Nad czym?

- Opowiedziałem ci już, jak to pojмали mnie Egipcjanie i miałem być rzucony w ofierze ich bogu-potworowi. Nie wierzyłem wówczas, że ocaleję me życie. A dziś rozmyślam nad tym, że choć nie pragniemy tego rzec głośno, niewielu z nas, a zapewne żaden nie powróci żywy do swej ojczyzny. A jednak, gdybyś rzekł mi teraz, że bogowie nadali ci moc, dzięki której możesz sprawić, aby cały ów czas... to wszystko, co mi się przytrafiło od chwili, gdy burza pognała mą łódź z rodzinnej zatoki ku dalekim krainom, że możesz sprawić, aby rzeczy te zniknęły i bym znów był w owej łodzi, a wiedząc, że nastanie burza, zawrócił wcześniej ku domowi i uszedł nawałnicy...

Urwał ponownie.

- Cóż byś uczynił? - zapytał Terteus.

- Rzekłbym ci, że nie pragnę tego, albowiem nie znam piękniejszego losu i innego nie chcę, choćbym musiał pozostawić moje młode kości pod małym kopczykiem w nieznannej krainie nad brzegami obcej rzeki, jak się to przytrafiło Kastorosowi.

Terteus roześmiał się cicho.

- Do dziś mniemałem, że wszyscy inni pragną dostatniego żywota, trzód, bogactw, wielu synów i spokojnego losu u boku urodzivej małżonki, a ja jeden naznaczony jestem przez bogów niepokojem i pragnieniem wałęsania się po świecie w poszukiwaniu strzały lub miecza, które uciszą wreszcie moje serce. Dziś pojmuję, że nie mnie samego skazali oni na wiekuistą wędrówkę! Przewidujesz więc, że nikt z nas nie uniesie głowy z tej wyprawy? Przewidywałem podobnie, gdy kapłani Sebeka mieli mnie w swej mocy, a przecież żyję i mówię z tobą!

Roześmiali się obaj cicho. Jeden ze śpiących w pobliżu żeglarzy drgnął, wymamrotał coś i obrócił się na drugi bok. Na wschodzie niebo zaczęło blednąć.

Rankiem ruszyli nie przybliżając do lądu i nie spożywszy ciepłej strawy. Po pewnym czasie brzegi zbliżyły się ku sobie, a przed dziobem okrętu ukazał się w dali jak gdyby niski taras rzeczny, z którego rzeka toczyła swe wody.

Ujrzawszy go z dala Terteus zmarszczył brwi.

Widwojos przysłonił oczy ręką.

- Wydawać by się mogło, że zbliżamy się do rozległego, choć niskiego wodospadu.

- Jeśli tak jest i Angeles nie będzie mógł posunąć się dalej, pozostanie nam jedno tylko, byśmy mogli nadal płynąć ku północy.

- Czy sądzisz, że udałoby się nam przenieść go lądem? - spytał książę.

- Jeśli przeniesiemy najpierw maszt, pithosy z żywnością, żagiel, wiosła i cały nasz dobytek, a pusty okręt położymy na krągłych, dobrze ociosanych pniach i będziemy pchali go, jak to czynią budowniczości okrętów, nim spuszczą kadłub na wodę, wówczas możemy go przeciągnąć linami przez niewielkie wzniesienie, jeśli ziemia tam będzie twarda, równa i nie rozmokła. Gdyby droga okazała się trudniejsza, musielibyśmy rozebrać go, a przynajmniej wyjąć ławy i wszystko, co nie byłoby nagim kadłubem. Jeśli, co najgorsze, natrafilibyśmy na progi skalne, przez które nie dałoby się go przetoczyć, trzeba byłoby okręt rozbić i złożyć go na powrót, choć niewiele mamy w zapasie smoły, koniecznej, aby uszczelnić od nowa deski kadłuba.

- Jak długo by to trwało?

- Trudno rzec, boski książę. Różne bywają przeszkody na rzekach, gdyż są nimi nie wodospady jedynie, lecz długie mielizny i najeżone skałami koryta pełne wirów, po którym okręt nie może żeglować, a mogą to być też wodorosty i szuwary tak gęste, że nie sposób się pośród nich przedrzeć. Lecz dla rozebrania okrętu i powtórnego złożenia go w innym miejscu, trzeba by nam było dwu dni co najmniej. Inaczej, przy zbytym pośpiechu, mógłby zatonać później lub rozpaść się, gdyby uderzyła większa fala lub wichur. Na szczęście mamy pośród załogi kilku dobrych cieśli, ja sam co dnia przebywałem w Amnizos, gdy Angelos był w budowie. Wszelako nie wiemy jeszcze, co mamy przed sobą?

Lecz wkrótce mieli się tego dowiedzieć. Prąd rzeki stawał się coraz bardziej wartki, a niespokojna powierzchnia niosła wśród wirów białe strzępy piany. Z dala dobiegał coraz donośniejszy łoskot wód uderzających o skały. Naokół nadal ciągnęły się wzgórza na zachodnim brzegu, a na wschodnim otwierał się ogromny widok na bezkresny, pozbawiony drzew obszar stepów. Przed dziobem okrętu rosła zbliżając się z wolna niska, postrzępiona wytryskami piany zaporą skalna, przez którą rzeka przeciskała się bijąc z rykiem w poszarpane ostrogi kamienne, przewalając się przez nie i opadając skłębionymi falami po drugiej stronie. Jak daleko w głąb rzeki sięgała owa zaporą, nie mogli stąd dostrzec.

Terteus pokręcił głową i mimowolnie spojrzął na odkryty brzeg.

Jeśli bogowie sprawili, że owo wrogie plemię porzuciło ich trop i odeszło do swych siedzib, rzecz cała wydawała mu się prosta, choć wielce uciążliwa. Angelos nie mógłby się precyzyjnie pomieścić pomiędzy wyszczerbionymi zębami skalnymi, stawiając czoła spienionemu nurtowi wód, groziło to zresztą niemal pewnym roztrzaskaniem i zapewne śmiercią części załogi. Lecz brzeg po prawej był płaski i nawet stąd dostrzec można było, że rzeka nie opada z wielkiej wysokości, a natrafia jedynie na pasmo twardych skał, których nie ma mocy obalić lub zetrzeć w proch, lecz musi przeciskać się pomiędzy nimi. Terteus wierzył, że jeśli poza owym obszarem skał i pian ponownie znajdują się ciche wody, załoga upora się z tą przeszkodą przeciągając okręt naokół niej po wschodnim, niskim i płaskim brzegu.

Lecz nie wiedział jeszcze dwu rzeczy: czy za ową zaporą skalną nie ma drugiej, a także, czy w chwili gdy wyciągną okręt na brzeg, z traw nie wynurzy się mrowie owych niskich wojowników, których oczyma duszy widział podobnych jak krople wody do owego szczytującego zęby trupa oglądanego przy blasku pochodni?

Byli już blisko tryskającej pianami kamiennej grobli. Choć załoga naciskała na wiosła, a wzdęty żagiel nadal chwycił sprzyjające podmuchy wiatru, Angelos stanął niemal, kołysząc się gwałtownie na niespokojnych wodach. Od dziobu dobiegał głośnie ryk rzeki rozdzieranej zębami skał.

- Możemy bądź zawrócić, boski księżę, bądź też przybić do brzegu! - zawołał Terteus pochylając się ku Widwojosowi. - Myślę, że dobrze byłoby wyjść na ląd i przekonać się, co kryje się za owymi skałami!

- Uczyn tak! - Widwojos skinął głową.

Dawno już postanowił, że skieruje dziób Angelosa na powrót ku południowi jedynie wówczas, gdy nie pozostanie mu żadna inna droga.

Okręt z wolna cofnął się i ukosem podszedł ku brzegowi, aby stanąć bokiem do nadbiegających od zapory wzburzonych fal.

Terteus pierwszy wyskoczył na brzeg z oszczepem w dłoni i dobytym mieczem.

Gdy tylko wyciągnęli dziób okrętu na lizany jezorami niespokojnych wód suchy piasek i umocowali go, wyszli jak do bitwy z uniesionymi włóczniami, ustawiając się gęstym szeregiem, tak aby wsparte o siebie wielkie tarcze osłaniały tych, którzy opuszczali jeszcze okręt.

Lecz wokół było cicho. Morze rozfalowanych traw szumiało lekko pod ciepłym południowym wiatrem, a z dala od strony rzeki dudnił grzmot skalnej zapory.

Nie chcąc rozdrabniać sił Terteus wysłał jedynie kilku ludzi na najbliższy niewielki wzgórek, by rozejrzeli się. Załoga nie spuszczała z nich oka, gdy zagłębiali się w wysokie trawy, nękane w nich niemal jedynie purpurowe kity pióropuszków na hełmach i uniesione ostrza długich włóczni pozwalały dostrzec, gdzie się znajdują. Gdy osiągnęli szczyt pagórka, stali przez chwilę rozglądając się na wszystkie strony, a później zawrócili.

- Nie dostrzeżliśmy nikogo - rzekł jeden z nich, gdy znaleźli się przy okęcie - lecz niepomyślną przynosimy wieść, synu bogów! Z góry objąć można okiem koryto rzeki i choć płynie ona prosto, wydaje się być najeżona skałami na dużej przestrzeni, gdyż jak okiem sięgnąć dostrzec można wiry i wzburzone fale, a woda biała jest jak mleko, tak gęsto pokrywa ją piana!

- Zezwól, boski księżę, abym sam przekonał się o tym!

Terteus zdawał się niezbyt zafrasowany, usłyszawszy owe niepomyślne wieści. Lecz Białowłosey, który znał go najlepiej, wiedział, że kryje on swe prawdziwe uczucia, aby nie odbierać ducha

załodze. Szybko zbliżył się ku niemu.

- Pójdę z tobą! - rzekł półgłosem. - Nie trzeba, abyś oddalał się samotnie!

Przerzucił przez plecy łuk i lekki kołczan ująwszy lewą rękę wielką tarczę, a w prawą włócznię.

- Ruszajmy! - Terteus uśmiechnął się wesoło. Kiedy oddalili się od załogi stojącej półkolem przed dziobem Angelosa, spoważniał. - Tymi trawami... - rzekł rozglądając się - mógłbyś przeprowadzić całe ludy wraz z dobytkiem, a nikt spoglądający z dala nie ujrzałby ich! Wrogie plemię, które napotkaliśmy, zna tę krainę i dobrze wie, że żaden okręt nie przemknie się tędy w górę rzeki. Gdybym był ich wodzem, nie trwonilibym sił po owej zasadzce, gdy mało nie roztrzaskali Angelosa, lecz przyprowadziłbym mych ludzi tu i czekałbym, póki żeglarze nie wydobędą okrętu na brzeg, aby przeciągnąć go ładem poza owe skały. Wówczas wyciąłbym ich wszystkich do ostatniego! A nie pojmuję, czemu miałby on być tak wielkim głupcem, aby tego nie dostrzec? Mając konie mogli tu przybyć na długi czas przed nami i obrać miejsce stosowne do ukrycia się w oczekiwaniu, aż odciągniemy okręt dość daleko od wody, abyśmy nie mogli go na powrót zepchnąć w nurt, gdy nas napadną. Gdyż na wodzie z pewnością jesteśmy bezpieczni. Gdyby posiadali oni wielką ilość łodzi lub okręty, zapewne napadliby na nas, gdy przybiliśmy na noc do owej wysepki lub w innym czasie. Myślę, że jest to lud stepowy, żyjący z myślistwa lub wypasający stada. A nienawidzą oni obcych...

- Czemuż więc nie uderzą na nas? - Białowłosey wpatrywał się w rozfalowane morze traw, jak gdyby oczekiwał, że lada chwila zaroi się ono uzbrojonymi ludźmi lub że nadbiegnie stamtąd ze świstem obca strzała.

- Gdybym był owym wodzem... - ciągnął Terteus przyspieszając, gdyż zaczęli podchodzić wzdłuż brzegu ku pierwszym skałom zapory - przepuściłbym dwu wojowników wysłanych na zwiady... takich dwu, jakimi my jesteśmy. Cóż mu bowiem z tego, że zabije nas obu, jeśli ostrzeżona załoga zepchnie okręt na wodę i ucieknie? Gdybym był nim... - podniósł głos, gdyż ryk spienionych fal począł zagłuszać jego słowa - zacząłbym, aż będę miał wszystkich żeglarzy na ładzie wraz z ich okrętem...

Jeszcze kilka kroków i ujrzeni przed sobą rzekę, widoczną na całej długości aż po granice widnokregu. Na ów widok serce zamarło w piersi Białowłosego!

Na całej szerokości koryta parła ona wspinając się z hukiem na poszarpane głązy leżące w jej łożysku, przebijała przez nie potokami wytryskującymi w górę i walącymi w dół pośród rozbryzgów piany, a fale jej biegły ku sobie, zderzając się, rozpryskując jak żywe istoty, w drodze ku dalekiemu morzu. Wyglądało to jak straszliwa bitwa wojsk walczących zajadle, pośród ogłuszającego wrzasku i szczęku oręża. A nad całą powierzchnią ulatywały tysiące rzecznych ptaków, najwyraźniej czatując na ryby zagnane tu prądem i roztrzaskane o podwodne skalne iglice.

Owa rycząca grobla biegła przez całą szerokość rzeki, dalej woda zdawała się uspokajać nieco, lecz jeszcze dalej widać było drugą, szeroką wstęgę białych pian, a za nią trzecią. Było ich razem siedem. W wielkim oddaleniu mogli dostrzec błękitny nurt, odbijający bezchmurne niebo.

- Widzisz?! - Terteus wyciągnął rękę. - Tam musimy zawlec Angelosa, jeśli chcemy płynąć dalej. Wierzyłem, że być może to jedynie kilkadziesiąt skał, przez które rzeka przedrzeć się musi nie znajdując innej drogi. Lecz, jak widzisz to sam, musimy okręt przeciągnąć wodą, aż tam... - Wskazał miejsce tuż przed skalną groblą, gdzie niski łagodnie opadający brzeg pozwoliłby wyciągnąć okręt na ląd. Fale nie uderzały tu też z taką wściekłością, gdyż nurt kierował się ku środkowi rzeki. - A stąd przetoczmy go lub przeciągniemy, podkładając maty z wikliny, której mamy pod dostatkiem, a, jak sądzę, musimy tak uczynić, gdyż nie ma tu nigdzie drzew, jakich moglibyśmy użyć, by obciosać je i

uczynić z nich okrągłe kloce do podłożenia pod kadłub. Szczęściem brzeg tu niewysoki i stu ludzi winno podolać tej pracy, jeśli wrogowie zezwolą na to... - dokończył posepnie.

- A jeśli znajdujemy się już poza granicami ich siedzib i zadowolili się przepędzeniem nas, widząc, że nie pragniemy napaść ich lub pozostać tu dłużej?

- I tak być może... - rzekł Terteus, jednak w głosie jego nie było przekonania. Spojrzał na Białowłosego. - Lecz nie mów nikomu o tym, com ci rzekł teraz. Gdyż innej drogi nie mamy. Jeśli zawrócimy i wypłyniemy znów na owo morze, cóż dalej? Czy będziemy szukać innych, przy jaźniejszych rzek i gościnniejszych ludów? Wszędzie lękają się i nienawidzą obcych przybyszów, uzbrojonych i płynących wielkim okrętem. Albowiem mało kto przybywa do obcych krain w dobrych zamiarach, a zwykle czyni to, by gwałtem lub podstępem uzyskać łup i niewolników. I cóż by nam jeszcze pozostało, prócz tego? Czy próbować raz jeszcze przepłynąć cieśniny trojańskie i znaleźć się ponownie na morzu, gdzie Minos zwiedziałyby się o naszym powrocie? Tu nie wiemy jeszcze, jaki los nas czeka, lecz tam mielibyśmy pewność, że prędzej czy później odnajdzie on nas. A choć zadrwiliśmy sobie z niego raz, jednak jest on najpotężniejszym z królów i władcą mórz, a okręty jego i wojska są nieprzeliczone! - Machnął ręką uzbrojoną w oszczep. - Wszystko jest w ręku bogów; a naszą sprawą będzie teraz jak najlepiej przygotować się do owej przeprawy.

Wszedł na małe wzniesienie torując sobie drogę pośród traw, które rozpoczynały się kilkadziesiąt kroków od brzegu..

Białowłose ruszył za nim. W pewnej chwili drgnął, lecz szelest, który usłyszał, pochodził od stada kuropatw, które prysnęły idącym spod nóg i znikły rozpierzchnawszy się wśród traw.

- Tędy będzie szła nasza droga... - Terteus wskazał ręką. - A jest tam jedynie niewielki wzgórek opadający ku rzece. Nie da się go ominąć. Później, jeśli owe wody» które wydają się nam spokojne z dala, znajdziemy nie najeżone skałami, spuścimy okręt na wodę i poześlujemy ku północy!

Lekkim krokiem zbiegł z pagórka i ruszyli ku swoim. Po krótkiej naradzie część załogi ponownie wsiadła na okręt, rzuciwszy linę, którą chwyciło dwudziestu ludzi.

Z wolna, ocierając się chwilami o dno i kołysząc na małych falach nadbiegających od ryczącego nurtu, Angelos począł posuwać się ku przodowi tuż przy brzegu.

Wreszcie dotarli do miejsca, które poprzednio upatrzył Terteus, i rzucono drugą linę. Wioślarze wciągnęli wiosła, położono maszt, aby okręt łatwiej mógł utrzymywać równowagę, i ludzie wyskoczyli na brzeg.

- Ciągnij! Ciągnij! - Wolno pociągany miarowymi ruchami obu lin Angelos wysunął się połową swej długości na brzeg. Białowłose zdumiał się widząc, jak wiele małych stworzeń morskich przylgnęło do kadłuba pod linią zanurzenia. Kilku ludzi wzięło się do zeskrobywania ich mieczami, aby zmniejszyć ciężar, a inni poczęli wyładowywać cały dobytek okrętu, wyniosłszy uprzednio maszt i oba złożone żagle.

Że było ich stu, praca ta nie trwała długo i połowa załogi udała się wkrótce wzdłuż brzegu ścinając naręcza ostrych trzciny i miękkiej nadrzecznej łozy i wiążąc je w pęki. Pozostali oczekiwali w szyku bojowym, osłonięci tarczami, stojąc pomiędzy granicą traw a okrętem, na wypadek, gdyby niespodzianie uderzył nieprzyjaciel. Dwaj strażnicy stojący na wzgórku nie spuszczała oka ze stepu.

Wreszcie nadeszła chwila, której Terteus najbardziej obawiał się w duchu, choć była nieunikniona. Część załogi chwyciła za liny, a pozostali stanęli z dwu stron trzymając wiosła, aby podeprzeć nimi kadłub skierowany dziobem ku wymoszczonym pękami świeżej wikliny drodze, którą miał przebyć.

Na okrzyk Terteusa pociągnęli wspólnie i cały kadłub nieoczekiwanie łatwo wynurzył się z wody. Podbiegli wówczas stojący po bokach i podparli go, a później łagodnie ułożono okręt na boku, podkładając pęki wikliny.

I tak rozpoczęła się ich wędrówka. Najpierw przenieśli o kilkadziesiąt kroków pithosy z jadem, maszt i cały dobytek, a później wolno, krok po kroku, pochylony okręt zaczął sunąć po ziemi.

Wreszcie znaleźli się nad pierwszymi skałami zapory. Wiatr zmienił nieco kierunek i wiał od rzeki, rzucając im w oblicza strzępy piany i rozpyloną jak mgła wodę.

Tertus nie usłyszał okrzyku, gdyż grzmot fal głużył wszelkie inne dźwięki, lecz kątem oka dostrzegł, że obaj strażnicy stojący na wzgórzu rzucili się biegiem ku swoim.

- Stać! - krzyknął wypuszczając linę i chwytając za leżącą o kilka kroków tarczę i włócznię.

Nie rzekł słowa więcej, gdyż wszyscy pojęli jego ruch. Nim biegnący dopadli okrętu, załoga stała już gotowa do boju, wsparta plecami o pochylony czarny kadłub. Przed nimi migotały spoza zetkniętych z sobą tarcz wysunięte ku przodowi złociste ostrza ciężkich włóczni.

Łucznicy wspięli się na okręt i zajęli miejsca, osłonięci sterzącą ukośnie burtą, tak że jedynie głowy ich w połyskujących hełmach były widoczne. Dłonie trzymające łuki, wsparte o krawędź burty, znieruchomiały. Strzały czekały na lekko napiętych cięciwach.

Dwaj strażnicy podbiegli i stanęli przed Widwojosem, który mając po prawej syna swego Perilawosa, a po lewej Terteusa, zajął miejsce pośrodku szyku, w jednej dłoni trzymając uchwyt tarczy, a w drugiej podwójny kamienny topór. Był synem królów Krety i jeśli miał paść w tym boju, pragnął zginać ściskając go w ręce.

- Powstali z traw wraz z końmi! - zawołał jeden ze strażników dysząc ciężko. - Nie było ich, a pojawili się spod ziemi!

- Wielu ich jest? - zapytał szybko Tertus spoglądając przed siebie. Wydawało mu się, że dostrzega poruszenie na stepie, choć falujące trawy nadal przesłaniały widok.

- Mrowie! - odparł drugi. - Gdy ukazali się, było to tak, jak gdyby cały step ożył!

I miał słuszność, gdyż stojąc w milczeniu i patrząc przed siebie, ujrzeli wreszcie rozstępujące się trawy. Przed nimi pojawiły się gęste, zbite szeregi jeźdźców na małych, brunatnych koniach, jakich dotąd nie widzieli.

Nie uderzyli oni z wrzaskiem i nie ruszyli bezładnie pędem ku okrętowi, jak tego w duszy pragnął Tertus, lecz z wolna tworząc poczęli wielkie półkole na kształt księżyca w nowiu, opasując Angelosa. Uzbrojeni byli jedynie w łuki i lekkie oszczepy, nie mając innego oręża, jak osądził Tertus przyglądający się im z dala. Na głowach mieli wysokie czapki ze skóry zwierzęcej, które kołysały się, gdy konie podchodziły stępa.

Załoga Angelosa czekała w milczeniu. Nagle Tertus zawołał tak, aby wszyscy go usłyszeli:

- Niełatwo im przyjdzie uderzyć na nas, gdyż będąc na koniach nie mogą runąć wprost na okręt i ostrza naszych włóczni, a z tyłu i po bokach broni nas i drogę im przegradza rozwścieczona rzeka. Nie traćcie więc ducha, gdyż wasze spiżowe włócznie i miecze wyprawią mrowie ich całe do Krainy Mroku, nim dobiorą się do nas!

Mówiąc to wiedział jednak, że na nic zdały się te słowa. Cóż mogło poradzić stu ludzi skazanych na bój przeciw tysiącom wrogów, choćby gorzej uzbrojonych, lecz mogących przypuszczać jedno natarcie po drugim, aż obrońcom omdleją ręce i miecze wypadną z dłoni? Lecz jeśli bogowie postanowili, że tu muszą umrzeć, niechaj choć zabiorą z sobą tylu wrogów, by cienie bohaterów w owej krainie, z której się nie powraca, zakrzyknęły z podziwu, gdy pojawią się tam skrwawieni. Nie

był wart grobu ów, który darmo sprzedawał swój żywot.

Wielkie półkole zacieśniło się z wolna, zbliżając ku okrętowi. Przymrużywszy oczy Terteus dostrzegł pośrodku dwu jeźdźców, którzy jechali nieco przed innymi i odznaczyli się bogatszym ubiorem. Jeden z nich miał na piersi pancerz ze złotych, naszywanych na skórzany kaftan łusek i złocisty wieniec, opasujący czapkę tuż nad czołem jak korona.

Terteusowi wydało się, że poznaje go. Był to ów człowiek, który wczoraj spoglądał z wierzchołka urwiska za odpływającym okrętem. Drugi jeździec także miał złoty pancerz, lecz nie nosił wieńca i w przeciwieństwie do pierwszego nie wydawał się dojrzałym mężem, lecz wyrostkiem zaledwie, osiagającym wiek młodzieńczy.

- Czy widzisz, boski książę? Musi to być władca owego ludu, a ów drugi jest zapewne synem jego.

Widwojos nic nie odrzekł, gdyż pomyślał o swym własnym synu i nagła rozpacz ścisnęła jego serce.

- Nie wypuszczajcie strzał na darmo! - zawołał w ciszy Terteus nie odwróciwszy głowy, lecz zwracając się do łuczników. - Czekajcie, aż ruszą przeciw nam i przybliżą się, a mierzcie uważnie, aby każdy wasz grot odnalazł swego wroga!

Zamilkł i mocniej ścisnął włócznię w dłoni, gdyż wydawało mu się, że za chwilę człowiek w złocistym pancerzu da znak i cała owa nawałnica koni i ludzi runie, aby ich stratować i zetrzeć z powierzchni ziemi.

Lecz wódz wstrzymał konia, a na ów znak tysiące jeźdźców i koni zamarło. Patrząc nań Terteus dostrzegł, że odwrócił się i zapewne rzekł coś, lecz dźwięk jego głosu zagłuszyły fale rzeki.

Spomiedzy szeregów wyjechał siwy starzec o długiej, białej brodzie i zbliżywszy się do wodza pochylił, tak że głowa jego dotknęła szyi konia.

Stali przez chwilę, a później starzec począł zbliżać się ku okrętowi. Był nie uzbrojony.

- Nie godźcie w niego z łuków! - zawołał Terteus. - Lecz baczcie na tamtych, gdyż może być to podstęp...

Starzec zbliżył się, a gdy koń jego zatrzymał się o kilka kroków przed murem kreteńskich tarcz, zawołał ochryplym, łamiącym się głosem, lecz mową, którą umieli pojąć, gdyż wielce była zbliżona do ich własnej, a Białowłosego wprowadziła w wielkie zdziwienie, gdyż poznał w niej swą mowę rodzinną. Człowiek ów bowiem mówił jak Trojanin.

- Kim jesteście, pyta pan i król mój, i czemu wtargnęliście do jego krainy?

- Zezwól mi odpowiedzieć mu, boski książę... - rzekł Terteus, a widząc przyzwalający ruch głową Widwojosa, odparł szybko: - Jesteśmy wysłannikami wielkiego króla Krety i nie pragnęliśmy wtargnąć do krainy waszego władcy. Płyniemy na północ poszukując ojczyzny bursztynu, a nie chcemy uczynić tu żadnej szkody. Pragniemy krainę waszą opuścić w największym pośpiechu, jak to król twój i pan sam może osądzić, gdyż oto przeciągnąć pragnęliśmy nasz okręt, aby oddalić się stąd.

Stary człowiek odjechał i najwyraźniej powtórzył owe słowa królowi. Po chwili powrócił i wstrzymał konia.

- Pan mój rzekł, że jesteście w jego mocy. Jeśli skinie dłonią, wojownicy jego zabiją was i ciała wasze wrzucą do rzeki, aby odeszły tam, skąd przybyły. Lecz jest was wielu młodych i zdrowych, pragnie więc, abyście odrzuciwszy oręż padli na kolana uniósłszy ręce i dali się spętać. Wówczas sprzeda was do krainy Thi znajdującej się na wschodzie, a w zamian otrzyma wiele naczyń i paciorków szklanych, w których lubuje się jego serce. Tak możecie uratować wasz żywot... - Urwał

na krótką chwilę i dokończył szybko: - Możecie uwierzyć tym jego słowom, bowiem znam ich dobrze. Pojmali mnie oni przed wieloma laty, gdy okręt bogom podobnego króla Tenedos, na którym płynąłem, rozbił się u ich wybrzeży. Przebywam odtąd w ich niewoli, a nie zabili mnie, abym znając ich mowę mógł układać się z kupcami trojańskimi, z którymi czasem pragną wymienić swe dobra, choć czynią to niechętnie, gdyż nienawidzą cudzoziemców. Cóż mam odrzec memu władcy?

Umilkł, patrząc wyczekująco.

Terteus spojrział na księcia, który zwrócił udręczone wejrzenie na swego syna.

- Czemuż patrzysz tak na mnie, mój boski ojcze? - rzekł Perilawos ze spokojem. - Jeśli pragnąc uratować mój żywot, przystaniesz na tę straszliwą hańbę, jakiej nie zaznał nigdy żaden potomek Byka, ja sam tu sobie śmierć zadam przed twym obliczem, rzucając się na miecz, abym będąc potomkiem królów nie musiał być sługą niewolników!

Widwojos odetchnął głęboko. Przymknął oczy, lecz otworzył je zaraz.

- Rzekłeś, synu mój!

I sam odpowiedział starcowi.

- Zanieś władcy twemu słowa Widwojosa, księcia kreteńskiego! Powiedz mu, że synowie Krety nie zaprzędają się w niewolę! A jeśli pragnie uderzyć na nas, niechaj wie, że wiele kobiet zapłacze dziś w jego krainie, gdyż na brzegu tym padnie połowa jego wojowników, nim nas zwycięży!

- Powtórzę mu słowa twoje, książę! - Starzec pochylił głowę i zawrócił. Patrzyli, gdy powtarzał królowi słowa Widwojosa, a później odjechał, by zniknąć między szeregami.

Oczekiwali, że władca owej krainy niezwłocznie da znak swym wojownikom, lecz stał on nadal nieruchomo przypatrując się okrętowi.

Później odwrócił się i zapewne wydał rozkaz, gdyż szeregi jeźdźców poczęły się cofać nieco, jak gdyby pragnąc zyskać więcej miejsca, by konie mogły nabrać szybkości.

Król przejechał ku prawemu, wspartemu o rzekę skrzydłu półksiężycy swych wojowników. Terteus dostrzegł, że stojące twarzą ku Kreteńczykom szeregi, zwracają się w tym samy kierunku. Pojął teraz, co tamten pragnie uczynić, i serce w nim upadło, choć nie dał tego poznać po sobie.

- Natrą oni na nas z boku, boski książę... - rzekł zwracając się ku Widwojosowi. - A nie uderzą wprost, gdyż trudno by im było pognać cwałem konie na leżący okręt, o który jesteśmy wsparci. Straciliby impet, a przerażone przez naszych łuczników konie wraz z tymi, które zginęłyby od naszych włócznie, osłoniłyby nas swymi ciałami i pomogły nam odeprzeć drugie uderzenie. Poprowadzi on ich z boku, aby przelatując przed nami od lewej naszej ku prawej, obsypali nas gradem strzał i oszczepów. I ma słusność, gdyż tak wielu ich jest, że wkrótce nas wygubią!

Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy król uniósł rękę i pierwsi jeźdźcy z okrzykiem ruszyli wymijając Angelosa i miotając w przelocie oszczepami, a za nimi popędzili inni, wyjąc, rażąc z łuków i ciskając swe włócznie o krzemienne grotach na oślepię w mur mijanych tarcz. Białowłose, który tkwił z łukiem w dłoni na burcie leżącego okrętu, wypuścił strzałę, nałożył drugą, a zaledwie zdążył nałożyć trzecią, dostrzegł młodzieńca w złotym pancerzu, zapewne syna królewskiego, lecz nim puścił cięciwę, przesłonili go inni jeźdźcy.

Ktoś krzyknął. Jedna z tarcz kreteńskich pochyliła się i runęła ku przodowi, a wraz z nią człowiek z oszczepem tkwiącym w boku. Szyk zwarł się ponad leżącym. Po chwili druga tarcza osunęła się w dół. Młody kreteński żeglarz z szyją przebitą strzałą, charcząc okropnie, uniósł dłonie ku gardłu i padł na wznak. I nad nim towarzysze zwarli tarcze.

Terteus, któremu strzała zdarła skórę z policzka, wbijając się w deski okrętu za jego plecami,

otarł spływającą krew przedramieniem i z rozpaczą patrzył na nadciągające nowe tłumy jeźdźców.

Położenie obrońców było straszliwe, gdyż nie mogli użyć swych długich włóczni i mieczy, bowiem wróg nie stawał do walki pierś w pierś, lecz raził ich z dala przelatując przed kreteńskim szeregiem. A choć łucznicy trafili już kilku jeźdźców i leżeli oni w pyłe tratowani przez innych, jednak Terteus wiedział, że nim słońce minie połowę drogi dzielącej je od zachodu, nikt z załogi Angelosa nie pozostanie przy życiu.

„A gdy zostanie nas jedynie garstka... - pomyślał - wówczas zeskoczą z koni i rzucą się, aby zakłuć oszczepami owych pozostałych przy życiu...”

I cicho prosił bogów, aby dane mu było zginąć wcześniej.

Jedna fala jeźdźców po drugiej przelatywała z wyciem przed okrętem i oto dostrzegł, że sam władca, który zdała przyglądał się walce, dając włócznią znaki do natarcia coraz to nowym zastępom, nagle spał konia i ruszył wraz z innymi.

Zapewne i on był wojownikiem stepowym, więc choć nosił królewski złoty wieniec, nie mógł długo trzymać się z dala, gdy rozgorzało w nim pragnienie boju.

„Jeśli znajdzie się przede mną, cisnę włócznią i obym wziął go z sobą do Krainy Mroków!” - pomyślał Terteus wyężając wzrok i wychyliwszy głowę ponad tarczę, w której tkwiło już kilka strzał.

Nagle ujrzał tuż przed sobą jeźdźca w złotym pancerzu, lecz w tej samej chwili przesłonili go inni bojownicy.

Pośród setek pędzących koni, w chmurze strzał i pod gradem lecących oszczepów, wszystko mieszało się w oczach. Ujrzał jedynie, na mgnienie oka, że król ów uniósł trzymany w ręku oszczep. Terteusowi mignął jego złoty wieniec, zamachnął się włócznią wkładając w rzut całą siłę ramienia. Nie rzucił jednak, gdyż nagle nastąpiła rzecz niepojęta.

Barbarzyński władca wyleciał nagle w górę, jak gdyby oderwała go od grzbietu konia jakaś straszliwa, niewidzialna siła. Przez czas długi jak wieczność zdawał się trwać zawieszony w powietrzu i nagle runął na ziemię, lecz nie dotknął jej jeszcze, gdy owa niepojęta moc pociągnęła go bliżej ku Kreteńczykom i ciało jego potoczyło się ku nim przed kopytami pędzących koni.

Nadbiegający jeźdźcy z okrzykiem trwogi wstrzymali wierzchowce, pragnąc ratować króla, lecz z szeregu kreteńskiego wyskoczył jak błyskawica smukły, zwinny młodzieniec, porwał leżącego na rękę i wpadł z nim poza szereg tarcz, nim ktokolwiek zdołał mu przeszkodzić.?

- Nie zabijać go! - ryknął Terteus i skoczył ku leżącemu, nad którego głową roześmiany, lecz z dziko płonącymi oczyma Harmostajos unosił krótki miecz.

Terteus podbił mu rękę i powtórzył okrzyk. Trzymając króla za kołnierz skórzanego kaftana jedną ręką, a drugą unosząc nad jego gardłem miecz, wysunął się przed swoich ludzi i stanął odkryty.

Zapadła zupełna cisza. Tłum jeźdźców wpatrzony w swego króla cofnął się.

Terteus zawołał:

- Żyje on, lecz jeśli któryś z was rzuci oszczepem lub wypuści ku nam strzałę, odetnę mu głowę na oczach całego jego ludu!

Zapomniał, że nie mogli pojąć jego słów. Lecz najwyraźniej pojęli wymowę miecza, wiszącego nad gardłem władcy, gdyż zamarli w bezruchu. Z tyłu cisnęli się inni i cała równina przed Anglosem, tak niedawno jeszcze wypełniona bitewnym zgiełkiem, ucichła.

Terteus spojrział w oblicze jeńca. Obawiał się, że zginął on spadając z konia lub może rażony strzałą z okrętu. Lecz dostrzegł, że ciało barbarzyńskiego władcy opasuje pętla z cienkiego, mocnego

sznura przyciskająca mu ramiona do tułowia, tak że nie mógł drgnąć. Oddychał ciężko i oczy miał przymknięte.

Zapewne utracił przytomność ducha uderzając o ziemię, gdy spadł z konia, lecz rany żadnej na jego ciele nie można było dostrzec.

W tej samej chwili król otworzył oczy. Były one małe i dzikie, a spoglądały groźnie, choć czaiło się w nich zdumienie. Chciał wyswobodzić się, lecz sznur nie puścił, a Terteus ukazał mu trzymany w dłoni miecz i lekko oparł jego ostrze o szyję władcy.

Wówczas król znieruchomiał.

- Harmostajosie, Harmostajosie! - wyszeptał do siebie Terteus. Dostrzegł już bowiem teraz, że za królem wlecze się długi koniec sznura. A któż inny mógłby w takim zgiełku rzucić pętlę i chwycić na nią władcę wielkiego ludu, aby go wyrwać spośród jego wojsk?

Uniósł głowę.

Wojownicy barbarzyńscy cofnęli się spoglądając w niemym przerażeniu na obcego żeglarza, którego uniesiony miecz wciąż jeszcze wisiał nad szyją ich króla. Najwyraźniej nie wiedzieli, co czynić.

W tej samej chwili Terteus ujrzał owego młodego wojownika w złotym pancerzu, który zapewne był synem królewskim. U jego boku zbliżał się stary trojański niewolnik, który uprzednio do nich przemawiał.

Barbarzyński książę zeskoczył z konia i podszedł wraz ze starcem, lecz na rozkaz Terteusa dwaj Kreteńczycy zagrodzili im drogę.

- Zagroź mu - rzekł Terteus spokojnym donośnym głosem - że jeżeli choć jeden z tysięcy owych wojowników wypuści ku nam strzałę lub rzuci oszczepem, władca wasz zginie bez zwłoki! Niechaj cofną się i czekają!

Starzec odwrócił się i szybko rzekł coś do młodego księcia, który z kolei uniósł ręce i dał swym wojskom znak, aby odstąpiły, co też uczyniły w pośpiechu.

A gdy znalazły się o kilka długości rzutu włócznią, Terteus znów zwrócił się do starca.

- Czy to syn owego króla?

- Tak, panie.

- Rzeknij mu więc, że może uratować żywot ojca swego, jeśli spełni to, czego pragniemy. A nie będzie to zbyt wiele.

Starzec powtórzył jego słowa. Młody książę skinął głową na znak, że pojmuje. Później powiedział kilka słów.

- Zapytuje on, czego pragniecie?

- Pragniemy, aby wasi ludzie przenieśli nasz okręt wokół owych skał i wirów, aż ku miejscu, gdzie rzeka znów poczyna płynąć bez przeszkód. To wszystko.

Znów starzec przemówił krótko, a młodzieniec w złotym pancerzu odparł coś wskazując swego ojca.

- Mówi on, że ludzie jego z łatwością mogą to uczynić.

Lecz cóż będzie, jeśli znalazłszy się bezpiecznie na okręcie zabijecie ojca jego i umkniecie rzeką, na której lud jego, nie mając okrętów, nie będzie mógł was doścignąć?

- Rzeknij mu, że nie żywiliśmy nienawiści do ojca jego i nie żywimy jej. Po cóż mielibyśmy go zabijać? Pragniemy jedynie przeprowić się na północ ku naszemu celowi. A nie jest nim zabijanie obcych królów, choćby byli tacy dzyty i plugawi jak ów tu! Niechaj uwierzy nam, skoro nie ma

innego wyboru. Gdyż jeśli nam nie uwierzy i każe wojownikom swym powtórnie uderzyć na nasz okręt, wówczas zginiemy zapewne, zbyt wielka bowiem jest przewaga wroga. Lecz nim świśnie pierwsza strzała w tym boju, przysięgam na bogów i cienie mych ojców, że jego ojciec zginie pierwszy spośród wszystkich walczących! A czymże jest dla niego nasz żywot, skoro opłacić go musi śmiercią ojca swego, a kraina ta śmiercią swego króla?

Starzec ponownie powtórzył jego słowa. Młody książę bez wahania skinął głową i znów rzekł kilka słów.

- Mówi on, że jeśli nie uczynicie mu krzywdy, każde wasze życzenie będzie spełnione! Terteus zastanawiał się przez chwilę.

- Czy wiesz, starcze, jakie ludy zamieszkują krainę na północy, przez którą płynie ta rzeka?

- Wiem, panie. Choć nie żyją one w przyjaźni z królem, na którego gardle miecz opierasz teraz, wszelako znałem wielu jeńców przywiedzionych stamtąd i poznałem dość dobrze ich mowę.

- Jeśli jest tak - rzekł Terteus - przekaz owemu młodemu księciu, że mam i drugie żądanie: aby oddał cię w darze boskiemu Widwojosowi. A on ci zwróci wolność, której nie miałeś już ujrzeć.

Starzec uniósł dłoń do czoła i milczał przez chwilę.

Później zapytał zduszonym głosem.

- Czy prawdę mówisz, panie?

- A czyż czas tu na żarty, stary człowieku? A nie czynię tego jedynie dla ciebie, lecz po to, byś wspomógł nas, gdy napotkamy owe ludy. Często bowiem ludzie muszą umierać dlatego jedynie, że nie umieją rzec, czego pragną, w mowie dla innych zrozumiałej. Lecz mów owemu młodemu księciu, aby nie zwlekał! A my udamy się przodem z ojcem jego i będziemy czekali, aż przywiodą nam nasz okręt! A niechaj nie próbują żadnych podstępów, gdyż nie damy sobie wydrzeć ich króla!

- Nie uczynią oni tego, bowiem władca u nich jest jakoby bogiem, a wszyscy pozostali są jedynie sługami jego, gotowymi na śmierć na jedno skinienie jego! Mając go, wszystkiego moglibyście od nich żądać!

- Tym lepiej!

I cofnął się ku swoim, którzy nadal stali w szyku oparłszy dolne krawędzie tarcz o ziemię. Łucznicy z wolna zaczęli zsuwać się z okrętu na ziemię.

Nie wypuszczając barbarzyńskiego króla z żelaznego uścisku swego ramienia i nadal trzymając miecz w pogotowiu, Terteus stanął przed księciem i jego synem.

Skinął nisko głową.

- Bądź pozdrowiony, boski książę! Bowiem niezmierną jest łaska, jaką otaczają cię bogowie! Nie wierzyłem, że ktokolwiek z nas żyć jeszcze będzie, nim zajdzie słońce.

- To prawda... - rzekł cicho Widwojos. - Stała się rzecz przedziwna. Sam jej jeszcze nie pojmuję i jestem jako ów, który śni i lęka się straszliwego przebudzenia.

- Zginęlibyśmy wszyscy bez ratunku, gdyby nie Harmostajos! - rzekł Perilawos.

- Któryż to z nich? - zapytał książę, gdyż choć znał każdego wioślarza swej załogi, przebywając tak długo z nimi na jednym okręcie, jednak imiona wielu były mu nadal obce.

- Ów, który stanął tam z boku i ogląda swą tarczę podziurawioną grotami strzał.

- Zbliź się, młodzieńcze! - zawołał książę i Harmostajos uniósł głowę.

Podszedł i przyłożywszy pięść do czoła stanął w milczeniu, gdyż nie godzi się odezwać będąc przed obliczem potomka bogów, jeśli ów nie zada pytania.

- Harmostajosie, dzielny żeglarzu! - rzekł Widwojos donośnie, aby wszyscy go usłyszeli. -

Odwaga twa uratowała dziś okręt i towarzyszy twoich od niechybnej śmierci. A także, choć wiedzą to jedynie bogowie, być może ocaliłeś od zagłady święty ród Byka! Godny jesteś miana bohatera i sławiących twe męstwo pieśni, których tak miło słuchać w długie wieczory zimowe! Abyś pamiętał zawsze ów dzień, ja, książę Widwojos, syn Minosa władcy świata, daję ci znak, który ty i synowie twoi okazywać będziecie ku chwale swego rodu jako dowód zasług twych dla królestwa Kreta!

I zdjawszy z szyi żelazny łańcuch z małym wisiołem uczynionym na podobieństwo podwójnego topora, zawiesił go na szyi młodzieńca.

- Panie mój... - wyszeptał Harmostajos. Uniósł zwiniętą w pięść dłoń do czoła i opuściwszy ją odszedł ze zwieszoną głową.

Szedł, nie wiedząc, dokąd oczy niosą, aż natrafił na burtę okrętu i stanął przed nią. Ujął łańcuch w dłoń, raz jeszcze przyjrzał mu się i ostrożnie, z czcią położył go sobie na piersi.

A później ukrył nagle twarz w dłoniach i rozpłakał się jak dziecko.

- Harmostajosie - usłyszał za sobą okrzyk Terteusa.

Uniósł szybko głowę, lecz mało mógł dostrzec załzawionymi oczyma.

- Czy pragniesz tu pozostać mniemając, że ów schwytany przez ciebie król okaże ci wdzięczność na swym dworze, czy też pragniesz odejść z nami?

Przetarł oczy i ujrzał, że załoga Angelosa, otoczywszy lasem włócznie władcę wrogiego ludu, poczyna oddalać się wzdłuż brzegu, kierując się w górę rzeki.

Więc porwał swój wbity w ziemię oszczep i pobiegł za innymi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Noce są tu coraz dłuższe...

Zapytany o imię, starzec ów myślał długo, wreszcie rzekł, że w Troi zwano go Nasios. Przez cztery dziesiątki lat nie nazywał on siebie tym imieniem, a nie użył go także żaden z barbarzyńców, którzy go schwytali, więc kołatało się ono jedynie na dnie jego pamięci. Nie było więc niczego dziwnego w tym, że choć odzyskało wolność wraz z nim, nie mógł do niego przywyknąć.

Początkowo był tak oszołomiony, że siedział na dziobie okrętu wpatrując się w wielki żagiel z wizerunkiem głowy Byka i nieustannie poruszał wargami, jak gdyby modląc się lub przemawiając do siebie. A że broda jego była długa i siwa, a wiek sędziwy, nikt nie śmiał przerwać jego samotnych rozmyślań. Czekali, że wreszcie przywyknie do swego nowego losu i przemówi do nich, co nastąpiło pod wieczór.

Powstał wówczas i pokłoniwszy się nisko bogom podobnemu Widwojosowi, co było obyczajem, jakiego nabył przebywając wśród barbarzyńców, rzekł, że odradza, aby dobiwszy do brzegu pochowali dziś obu poległych, którzy leżeli obok siebie pod wielkim masztem, spoglądając w niebo.

- Cóż więc radzisz nam z nimi uczynić? - spytał zdumiony książę, a Terteus zmarszczywszy brwi, począł wpatrywać się z uwagą w oblicze starego człowieka sądząc, że nagła wolność, odzyskana po tak długim czasie, odebrała mu zmysły.

- Pochowajcie ich, boski książę, tak jak nakazuje dzielność, którą okazali, i wasz dostojny obyczaj, lecz nie dziś. Znam bowiem ów lud i nie wierzę, aby król ten, którego zwą Sekh-Ser, co tłumaczy się na mowę naszą jako Siejący Zniszczenie, zniósł łatwo hańbę, jaka go spotkała. Gdy uwolniliście go będąc już na okręcie i kazaliście mu skoczyć z burty do głębokiej po pas wody, skrył się w niej wraz z głową, bowiem potknął się i padł jak długi przed całym swym zgromadzonym, oniemiałym ludem. Starąłem się ujrzeć jego lico, gdy podtrzymywany przez swych wojowników wyszedł wreszcie na brzeg ociekając wodą. Ludzie wasi wybuchnęli śmiechem, lecz na rozkaz twój naparli wnet na wiosła, ile sił w ramionach, aby po odzyskaniu władcy żywego i zdrowego nie przysła im chętka runąć ku okrętowi stojącemu na płytkich wodach. Zdołałem jednak ujrzeć jego oblicze, gdy zwrócił się ku nam. Straszliwa malowała się na nim nienawiść!

- Mniemasz więc, starcze, że wojownicy jego nadal ciągną za nami lub przed nami, kryjąc się w stepie, a uderzą, gdy tylko postawimy nogę na lądzie?

- Tak mniemam, panie. Albowiem czemużby mieli tego nie uczynić i popробować raz jeszcze zadania wam klęski i wywarcia zemsty za ową hańbę? Król ich jest człowiekiem gwałtownym i okrutnym. Jedynie śmierć wasza mogłaby stłumić jego gniew!

- Lecz cóż mamy uczynić z naszymi poległymi? Nie wrzucimy ich ciał do wody rybom na pożarcie - rzekł cicho Terteus - byli bowiem naszymi towarzyszami i padli w boju!

- Słusznie rzekłeś, dzielny żeglarzu. Lecz zechciej wysłuchać mnie do końca, gdyż pragnę jedynie wywdziękzyć się wam za największą łaskę, jaką jest wolność, choć przysłała ona tak późno. Otóż lud ów jest ludem rozległych stepów, a zmieniając ustawicznie siedziby, gna swe niezliczone stada z miejsca na miejsce, powracając jedynie w porze chłodów do swych na pół wygrzebanych w ziemi, uczynionych z plecionej wikliny i pokrytych mchem domów stojących w miejscu, którego prócz mnie nigdy nie ujrzały oczy cudzoziemca. Ziemię tego plemienia ciągną się od morza po granicę lasów na północy. Tam właśnie zmierzamy i jeśli wiatr nadal będzie sprzyjał, osiągniemy ją po wschodzie słońca. A choć bywa czasem, że po kilku zapuszczają się oni w nieprzebyte gęstwiny tych borów dla porwania kobiet któregoś z niezliczonych plemion lub dla schwytania niewolników, jednak puszcza ta jest tak gęsta i nieprzebyta, że kilkaset koni nie przedarłoby się przez nią nigdy tak szybko, jak to może uczynić wasz okręt, który płynąc wodami rozległej rzeki nie napotka tam przeszkód. Musi więc Sekh-Ser zatrzymać swych wojowników na granicy lasów i zawrócić, choćby miał spłonąć od trawiącego go pożaru zemsty.

- Czy byłeś tam, starcze? - Terteus wskazał ręką rozległy leniwy nurt rozciągający się przed dziobem Angelosa.

- Nie. Lecz wiele jest pośród nich niewiast, które uprowadzili stamtąd i trzymają u siebie, płodząc z nimi dzieci, choć biedaczki owe nie pragnęły tego, a zeszłej wiosny jedna z nich, schwytana, odebrała sobie żywot, wbiwszy po rękoność we własne serce nóż kamienny.

Znałem wielu spośród schwytanych ludzi puszczy i mówiąc z nimi wyuczyłem się też ich mowy, choć inna jest ona niż nasza, a także wiele różni się od mowy owego ludu, którego byłem niewolnikiem. Słyszałem też z ust owych nieszczęsnych jak ja niewolnic wiele opowieści o owej krainie leśnej, ku której zmierzamy. Nie ma tam wielkich ludów ani miast opasanych murem. Ludzie żyją tam w małych osadach wśród gąszczy lub nad brzegami rzek, jedni z dala od drugich, lecz bezpieczni, gdyż żaden najeźdźca nie wdrze się do ich królestwa. Po cóż by miał zresztą pragnąć je zdobyć, skoro nie znajdzie w nim żadnych łupów, prócz dzikich zwierząt i ryb, których wszędzie jest pod dostatkiem?

- Cóż... - rzekł Widwojos. - Uczynimy, jak radzi twe doświadczenie. Dobra też jest owa wieść, że są to plemiona małe i rozrzucone z dala od siebie, gdyż widząc nasz wielki okręt z silną uzbrojoną załogą nie zechcą zapewne uderzyć na nas.

- Z wszelką pewnością nie uczynią tego, panie. Nie słyszałem, aby żyło tam jakieś większe plemię, a musiałbym o nim usłyszeć. Lecz wiem, że wielu z nich jest rybakami, więc być może napotkamy ich łodzie płynąc rzeką, jeśli na wasz widok nie zechcą skryć się przerażeni.

Po krótkiej naradzie bogom podobny Widwojos i Terteus postanowili usłuchać starca i nocy tej okręt nie przybił do brzegu, lecz korzystając z blasku księżyca, znajdującego się niemal w pełni, płynął dalej pod żaglem, trzymając się nieustannie środka rzeki i nie zbliżając ku brzegom.

Gdy nadszedł świt, ujrzeli ową krainę, której ukazanie się przepowiedział im sędziwy Nasios. Początkowo nad brzegami rzeki pojawiły się pojedyncze wielkie drzewa i małe zagajniki, jedne o zielonych jeszcze, inne o czerwieniejących liściach, później było ich coraz więcej, aż wreszcie rozległy nurt rzeki wszedł w bory tak gęste, że patrząc na zarośniętą wikliną i zaroślami brzegi trudno było poznać, gdzie kończy się woda, a gdzie poczyna ziemia. Dalej nie było widać nic prócz wysokich pni i splątanych nad nimi ogromnych koron dębów, lip i innych drzew, których imion nie znali, gdyż widzieli je po raz pierwszy.

Lecz nim to nastąpiło, mogli przekonać się, jak wiele słuszności było w ostrzeżeniu starego

Nasiosa.

Oto gdy mijali granicę stepu i płynąć poczęli wzdłuż brzegów porośniętych rzadkim jeszcze lasem, ujrzeni mrowie jeźdźców stojących nieruchomo i spoglądających ku nim w milczeniu.

Gdy Angelos zrównał się z owym niemym wojskiem, pokrywającym brzeg gęsto jak zmęczona szarańcza, która opadła niezliczonymi rojami na ziemię, dostrzegli Kreteńczycy stojącego po kolana w wodzie starego wysokiego człowieka spoglądającego ku nim.

Był zupełnie nagi, prócz wąskiej opaski na biodrach. W wysoko uniesionych rękach trzymał kamień. Dalej nieco, na koniach i w złocistych pancerzach, stali: król i syn królewski.

Załoga Angelosa przypatrywała się ze zdumieniem nagiemu człowiekowi, gdyż odległość była zbyt duża, aby mógł on ugodzić ich owym niewielkim odłamkiem skały, nie mogącym nikomu wyrządzić szkody.

Lecz nie pragnął on zgoła uczynić tego.

Wpatrując się płomiennym wzrokiem w przepływający okręt, zawołał coś wielkim głosem i unosząc wysoko kamień, cisnął go w wodę tuż przed sobą.

- Cóż uczynił ów człowiek? - spytał Terteus zwracając się do starca.

- Rzucił na nas wielkie przekleństwo! - Nasios markotnie pokiwał głową. - Wezwał swych bogów, aby okręt ten zniknął w falach podobnie jak ów kamień, by nigdy się już nie ukazać oczom żywych!

- Okażmy wzdarcę jego barbarzyńskim klątwom! - rzekł Terteus, lecz w głosie jego nie było zwykłej pewności. Po chwili dodał: - A czy znasz sposób lub zaklęcie, by odczynić owo przekleństwo?

- Mówią, że gdy wbić oręż w powierzchnię rzeki, przekleństwo utraci moc, bowiem nie przyjmie ona tego, kto ją zrani.

Terteus zawahał się i nagle sięgnął po leżący u burty oszczep. Uniósł go w górę.

- Nie czyn tego! - zakrzyknął Nasios. - Gdy rzucisz nim w wodę, wypłynie! Uczyniony jest z drzewa!

Terteus rozejrzał się bezradnie. Uniósł rękę, a później opuścił ją do pasa i wyrwawszy z pochwy swój miecz z lśniącego brązu pochylił się nad burtą i pełnym zamachem ramienia cisnął go w fale, ostrzem w dół.

Woda otworzyła się i zamknęła. Szeregi milczących wojowników na brzegu były już daleko za nimi. Być może nie dostrzegli niczego?

Terteus wyprostował się i dotknął pustej pochwy kołyszącej się na skórzanym pasie.

- Straciłem dobry miecz! - Roześmiał się, a wraz z nim inni, którzy dostrzegli, co uczynił, i pojęli znaczenie jego uczynku.

Gdyż, choć umieli spokojnie patrzeć w oczy stokroć liczniejszemu wrogowi i nie lękali się śmierci w boju, jednak obawiali się złych, niewidzialnych mocy, jakie może wyzwolić nienawiść. A oto dzięki roztropności Terteusa straszliwe przekleństwo spoczęło na dnie rzeki wraz z jego mieczem, aby nigdy im już nie zagrozić.

Rozweseliło ich to, gdyż poczytali owo wydarzenie za dobrą wróżbę, więc wypłynawszy w krainę borów podnieśli starą pieśń o bohaterach i bogach, którzy ich kochają.

Późnym popołudniem na lewym brzegu rzeki pojawiła się rozległa polana, wzniesiona nieco wyżej niżli otaczający ją las. Przybili w jej pobliżu do lądu i rozpaliwszy ogień, poczęli piec ptaki wodne, upolowane rankiem, a niektórzy rozeszli się, aby zabić jakieś nadające się do spożycia

zwierzę leśne, jeśli natrafią na nie. Wszelako książę nakazał, aby połowa załogi nie rozstając się z orężem, trzymała straż przy okręcie, a pozostałym zezwolił odejść nie samotnie, lecz po czterech, aby łatwiej im było stawić opór lub wycofać się ku swoim, gdyby pojawił się niespodzianie nowy, nieznany nieprzyjaciel.

Lecz nie napotkali nikogo, prócz sarny, którą ustrzelili z łuku i dobili oszczepem.

A gdy najedli się i ugasili dokładnie ognisko, jak to mają w zwyczaju rozbójnicy morscy, gdy zawiną do nieznanego brzegów, a nie pragnąc, aby bez potrzeby mógł ktoś dostrzec z dala dym, wybrali najwyższe miejsce na polanie, tuż obok niewielkiego strumienia, który spływał do rzeki i tam pochowali dwu towarzyszy, a później usypali nad nimi wysoki kopiec ziemny godny bohaterów poległych w boju i okryli go kamieniami.

Miejsce to wydawało się im dobre, by spędzić tu noc, więc opuszczali je z żalem. Nie pragnęli jednak zakłócać snu umarłym, którzy pierwszą noc mieli spędzić w ziemi i których dusze zapewne przebywały w pobliżu ciał. Gdyż nie od razu odchodzą one do Krainy Mroków, lecz czekają, by ujrzeć, jakim pogrzebem je uczczono.

Następnego dnia o świcie rzeka skręciła ku północnemu zachodowi i płynęli nią później w owym kierunku przez dni trzy, nieustannie pod prąd, jak od początku swej śródlądowej podróży, nie napotykając śladu człowieka i nie widząc otaczającego świata, zakrytego nieprzebytą ścianą drzew i gęsto splątanych zarośli.

Gdy na piąty dzień nadciągnęły chmury, spadł zimny deszcz, a powierzchnia szeroko rozlanej rzeki powlokła się mgłą tak gęstą, że okręt sunął w niej po omacku i powoli, a ludzie na dziobie wyteżali wzrok, by ostrzec sternika, gdyby nagle pojawiła się jakaś przeszkoda: niektórzy poczęli mówić półgłosem, że pewnie oto zbliżają się ku granicy świata, gdzie nie żyje już żadna istota ludzka, a olbrzymie bory pokryte mrocznym nieprzeniknionym oparem ciągną się aż ku owej straszliwej krawędzi. Za nią, być może, ziele niezgłębiona przepaść, a mogła ona także być właśnie ową bramą Krainy Mroków, siedziby tych, którzy już odeszli i oczekiwali ich przybycia. Wówczas spotkaliby znów Kastorosa i obu wczoraj poległych, lecz nie ujrzeliby już nigdy Krainy Żywych.

Lecz następnego dnia zaświeciło słońce i lęk opuścił ich serca.

Rzeka nadal prowadziła wprost ku północnemu zachodowi, a rozległe i głębokie jej koryto, leniwie tocząc czyste wody ku odległemu morzu, pozwalało Angelosowi posuwać się szybciej, niżli to przypuszczał Terteus, gdy postanowili na nią wpłynąć.

Prąd, choć przeciwny, nie był zbyt silny i zrównoważony sprzyjającym południowym wiatrem. Tak więc posuwali się pod żaglem, a załoga, pracująca przy wiosłach jedynie część dnia, była wypoczęta i coraz lepszej myśli. Bogowie zdawali się czuwać nad księciem Widwojosem i jego wyprawą.

A choć płynęli niestrudzenie, las nie kończył się. Budziło to w nich zdumienie, gdyż nie sądzili, aby gdziekolwiek mogła rosnać puszcza tak rozległa.

Po południu dostrzegli wierzchołek zalesionego wzgórza, wyrastającego w pobliżu rzeki, a gdy zawinawszy do brzegu Terteus wraz z księciem, Perilawosem i kilku innymi wdrapał się na nie chcąc pojąć, gdzie się znajdują, oczom ich ukazała się nieskończona kraina lasów, nie przecięta żadną wielką polaną, stepem lub nagą wyniosłością. Rozlewała się ona jak okiem sięgnąć i zdawała nie mieć końca. Na zachodzie świat wznosił się nieco i kończył zamglonym pasmem gór, a może była to jedynie lesista wyżyna? Nie mogli tego dostrzec, gdyż odległość była zbyt wielka.

Przez krainę ową płynęła rzeka, kierując się nadal ku północnemu zachodowi, szerokim

łożyskiem, zarosłym wokół borami. I ona niknęła w mgłę oddalenia.

- Jeśli pragnęliśmy dopłynąć do morza, które znajduje się na północy, nie uczynimy tego ni dziś, ni jutro! - zawołał pogodnie Perilawos. - Mniemać można, spoglądając na krainę, która rozciąga się przed naszymi oczyma, że wiele jeszcze dni będziemy płynąć pośród lasów!

- To prawda - rzekł Terteus. - Choć nikt nie nakazuje nam pośpiechu, wolałbym widzieć nasz okręt u brzegów morskich niżli na rzekach, po których posuwać się on musi powoli i ostrożnie jak młody koń po pastwisku ogrodzonym płotami, nie mogąc w pełni korzystać ze swych rącznych nóg. Na otwartym morzu nie musimy się bowiem lękać żadnej, największej nawet floty. Nie ma wroga, który mógłby nas doścignąć, jeśli zasiądziemy wszyscy do wiosł i podniesiemy nasz wielki żagiel! A drogę po tej rzece raz już niemal przypłaciliśmy życiem.

Bogom podobny Widwojos uśmiechnął się lekko.

- Zrozumiała jest twa troska, lecz czyż to nie ty mówiłeś mi nieraz, że wszystko jest w rękę bogów?

- I wierzę w to nadal, boski książe. Lecz wiem, że najbardziej lubią oni chronić tych dzielnych, którzy są również roztropni. A frasuje mnie rzecz pewna, której nie umiem dobrze pojąć.

- Cóż takiego?

Widwojos raz jeszcze rzucił okiem na rozległy, otaczający ich świat, a później zaczął schodzić pośród splątanych gałęzi krzewów poszycia lasu.

- To, boski książe - odparł Terteus ruszając za nim - że choć według mych obliczeń w krainie twojej i w całym znanym mi dotąd świecie jest późne lato, które wkrótce przemieni się w porę deszczów, tu noce są coraz zimniejsze. I nie wiem, czy krainy, ku którym płyniemy, nie są ową mroźną pustynią nocy, o której mówią pieśni? Gdyż wówczas na nic zdałaby się cała dzielność i przemyślność człowieka, bo, jak powiadają, nie masz tam życia, a żywa istota, która by się tam zabląkała, musi zginąć.

- Czemuż tak sądzisz? - Widwojos odwrócił się i spojrział ku niemu ze zdumieniem. - Czyż nie dostrzegłeś, jak wiele baśni, których wysłuchaliśmy przed wyruszeniem w drogę, okazało się jedynie baśniami? Nie widzę naokół nas krainy śmierci, lecz las, być może większy niżli te, które znałem dotąd, i nieco inny, lecz daleki on jest od obrazu owej krainy mroźnej nocy i wiekuistej śmierci! Ptaki śpiewają tu, ryby pluskają w rzece, a puszcza pełna jest zwierzyny.

- Wiem, boski książe, i widzę to także. Lecz mówiłem dziś z Nasiosem. Stary on jest i nie kłamie, bo po cóż miałby kłamać nam, dobroczyńcom swoim, którzy wyrwaliśmy go z niewoli? Pytałem go, czy nie słyszał o wielkim morzu na północ od tej krainy, na którego brzegach rodzi się bursztyn? Rzekł mi na to, że nigdy podczas wielu dziesiątków lat, które spędził w niewoli owego dzikiego ludu, nikt nie wspominał o morzu na północy. Jeśli istnieje ono naprawdę i rodzi się w nim bursztyn, musi leżeć bardzo daleko stąd, tak daleko, że żadna wieść o nim nie przedarła się tu. Lecz to nie wszystko, gdyż rzekł mi o innych wieściach, jakie dotarły do niego. Mówi, że na północy rozciągają się wielkie nagie przestrzenie pokryte przez większą część roku śniegiem. Życie budzi się tam jedynie na krótko wiosną, trwa przez lato, gdy ziemia rodzi kwiaty i dojrzewają owoce, lecz później ginie cała zieleń, a ziemia kryje się w zimnym mroku i zamiera. Rzekł też, że w owym czasie rzeki wszystkie... - Terteus zawahał się - ...jeziora i wszelakie inne wody także umierają i przemieniają się w kamień!

- W co się przemieniają? - Widwojos przystanął i uśmiechnął się. - I dałeś mu wiarę?

- Nie, boski książe! Lecz nie mogę rzec, abym mu całkiem nie dał wiary. Wieści owe mogą być

przesadzone, jak to bywa, lecz mniemam, że każda z nich zawiera ziarno prawdy. Lecz zapewne przekonamy się wkrótce o ich prawdziwości lub o tym, że są zmyślane.

- Z wszystkich zmyślonych opowieści, jakie słyszałem - rzekł Widwojos wesóło - ta o wodzie przemienionej w kamień najmniej podobna jest prawdzie! Jakże woda, która miejsca swego nie zna ni kształtu, a przelewa się między palcami, gdy ją zaczerpniesz, może stać się kamieniem? W rzeczy samej. Terteusie, starzec ów rozum ma przytępiony latami i miesza mu się w nim wszystko bez żadnego ładu.

- Tak i ja sędzę, boski ksiązę rzekł Terteus - lecz nie pragnąłem, abyś nie był świadom wszystkich wieści, które dochodzą do mych uszu. Mimo to pamiętając, że na morzu widywałem kilkakrotnie białe, lecące z niebios płatki, gdy przyszły chłody, a także wspominając białe, lodowe czapy śnieżne na górach w Grecji i północnych krainach znanego świata, rozmyślałem nad tym, czy tu nie moglibyśmy napotkać tego samego, lecz w groźniejszej postaci? Bo któż z nas wie, co kryją owe niezbadane krainy?

- Cokolwiek kryją, nie mogę uwierzyć, aby rzeki, jeziora, a nawet morze samo przemienić się miały w lód!

Bogom podobny Widwojos potrząsnął głową.

- Cóż uczyniłyby wówczas zwierzęta i ludzie zamieszkujący te krainy?

- Nie wiemy przecież, boski ksiązę, czy ludzie lub zwierzęta zamieszkują je?

- Któż, w takim razie, zbiera ów bursztyn?

Terteus nie odrzekł nic na to pytanie, gdyż nie wiedział, co odrzec. Począł schodzić za księciem w dół ku okrętowi i rzece, która przebłykiwała w dole przez konary nadbrzeżnych drzew. Idąc nie uśmiechał się. Bowiem nie sądził, aby stary Nasios był niespełna rozumu, a noce stawały się coraz chłodniejsze. Lecz zapewne ksiązę w jednym miał słuszość: owa wieść o wodzie, przemieniającej się w kamień, musiała przecież być bajką! Nic takiego nie mogło się wydarzyć w świecie od lat nieskończonych rządzonej jednakimi prawami bogów.

Lecz świat ów nie był całkiem bezludny, a przekonali się o tym już po zachodzie słońca. Płynęli aż do zmierzchu, rozglądając się za miejscem, gdzie okręt mógłby przybić swobodnie i znaleźliby jakieś odkryte suche miejsce dla spędzenia nocy przy wielkim ognisku, gdyż miał słuszość Terteus mówiąc, że chłód przed świtem bywał teraz dojmujący. A że mieli jedynie opaski na biodrach, tuniki z cienkiej wełny i płaszcze, nie licząc skórzanych pancerzy obszywanych płytkami z brązu, w których nie dało się spać, gdyż były niewygodne - odczuwali chłód tym ostrzej. Marzły im także obnażone nogi obute jedynie w skórzane sandały wiązane wysokimi sznurami sięgającymi kolana.

Tak więc płynęli, już po zmroku, rozglądając się za zaciszną polaną, oddaloną nieco od rojącej się wieczorami od komarów rzeki, gdy nagle ujrzeli wysoki, wysunięty nad wodą cypel, na którym płonął wielki ogień, rzucając krwawe blaski na spokojną, szeroko rozlaną toń.

Z dala dostrzegli jedynie czerwone, strzelające w górę płomienie, lecz nie mogli poznać, czym się one żywią i czy są sprawą rąk człowieczych. Terteus nakazał więc Eriklewesowi, aby skierował okręt w pobliże brzegu.

Płynąc tuż przy granicy trzciny Angelos zwolna przybliżał się do owego miejsca. Wkrótce dostrzegli na tle ognia poruszające się cienie ludzkich postaci i dobiegł ku nim chór głosów złączonych w pieśni, której kilka słów wypowiedanych dźwięcznie w nieznaną mowę powtarzało się nieustannie, wznosząc i opadając wolno, jak gdyby ludzie ci pragnęli ukołysać się sami do snu.

Wielki biały księżyc w pełni stał nad rzeką oświetlając cypel, wznoszący się na nim biały

kamienny słupek, ułożony przed nim wysoki stos płonących pni drzewnych i stojących naokół śpiewających ludzi.

Tyle mogli dostrzec z dala. Terteus uniósł rękę. Okręt zwolnił i zatrzymał się kołysząc lekko wśród uśpionych trzciny.

- Cóż czynią ci ludzie? - zapytał szeptem, pochylając się ku staremu Nasiosowi. - Czy pojąłeś słowa ich pieśni?

- Żegnają swego króla... - odparł starzec cicho. - Jest to bowiem noc ostatniej pełni, nim opadną liście z drzew i nastanie zła pora. Zabiją go dziś, aby dusza jego strzegła ich, póki nie nadejdzie wiosna. Wówczas wyprawia się, by schwycić drugiego króla i znów go zabiją jesienią...

- Schwycić? - zapytał Widwojos. - Czyżby musieli porywać swych królów?

- Słyszałem, że wiosną wyprawiają się oni w daleką drogę i porywają młodzieńca z obcych stron. A gdy powracają z nim do owej wioski, czynią go mężem niewiasty, która jest prawdziwym ich władcą. Mieszka on z nią, lecz trzymany jest pod czujną strażą, a podobno poją go nieustannie wywarem z miodu i ziół, aby nie zapragnął uciec. W ciągu całego owego czasu, nim nadejdzie jesień, oddają mu cześć królewską. Taki ma być obyczaj wielu leśnych plemion w tej krainie.

- Mniemam, boski książę, że trzeba nam albo uderzyć na nich i porwać któregoś, aby był nam przewodnikiem, albo też podpłyniemy otwarcie ku ich przystani pod owym cyplem, by wypytać ich o świat otaczający rzekę, który rozciąga się przed nami, gdyż muszą wiedzieć oni więcej o nim niż my! A być może lepiej uderzyć na nich teraz, gdy nie spodziewają się nieprzyjaciela i zajęci są owym królem? Wybiliśmy ich wszystkich bez trudu i zawładnęli ich dobytkiem. A pewien jestem, że potrzeba nam już mąki, ziarna i grubszych szat, gdyż marzniemy nocami!

Młody rozbójnik morski wypowiedział owe słowa szeptem, lecz oczy mu zabłysły.

Widwojos potrząsnął przecząco głową.

- Wiem, Terteusie, że jesteś synem króla niewielkiej wysepki i ród twój zapewne szukał chwały i dobytku uderzając na wsie i miasta nadmorskie, a także na samotne kupieckie okręty. Lecz nie będziemy tak czynili podczas tej wyprawy, gdyż płyniemy przez nieznaną nam świątynię, nie wiedząc, czyją i jak wielką zemstę możemy na siebie sprowadzić. A jeśli będziemy walczyć, uczynimy to wówczas, gdy któryś z owych ludów okaże nam wrogość i zechce nas zabić lub zawładnąć naszym okrętem. Masz słuszość, że trzeba nam zawinąć tutaj, gdyż starzec, któremu przywróciliśmy wolność, zna ich mowę i będziemy mogli wypytać ich o ludy, mogące napotkać nas w drodze, a także o inne sprawy.

Terteus nie odrzekł nic. A choć przyznał w duchu słuszość księciu, gdy ów mówił z niechęcią o ściganiu na siebie zemsty teraz, kiedy znajdowali się w obcej krainie, jednak pojmował, że zapasy ich były na wyczerpaniu. A skoro nie wieźli towarów, które mogli wymienić, musieli przecież wszystko zdobyć, złowić lub upolować. Lecz nie on był wodzem tej wyprawy, a zresztą wszystko było w rękach bogów.

Wzruszył więc jedynie ramionami, tak aby książę tego nie dostrzegł, i zawrócił. Idąc między ławami powtarzał szeptem rozkaz, aby każdy wdział pancerz i hełm. Wiedział, że od dawna żaden z nich nie odkładał broni dalej niż na odległość ramienia.

Angeles ruszył cicho, kierując się ku środkowi rzeki, aby ludzie na wysokim brzegu mogli go dostrzec w blasku księżyca, nim przybije do brzegu.

Stos płonął teraz wysoko rzucając krwawe blaski na stojące półkolem niskie chaty, wysoki kamienny słupek i otaczających go ludzi. W świetle jego nadpływający ujrzeli przywiązane do słupa

nagiego człowieka. Stał on z opuszczoną głową, a raczej zwisał na sznurach opasujących go pod wykręconymi do tyłu ramionami.

Pieśń trwała dalej, lecz zapewne ktoś obrócił głowę i dostrzegł na rzece okręt, oświetlony blaskiem księżyca i olbrzymią głowę byka na białym żaglu, spoglądającą martwymi oczyma ku wiosce.

Ludzie na okręcie milczeli, wpatrzeni w brzeg, na którym zapadła cisza tak wielka, że słycać było niosący się po wodzie odgłos trzaskających w ogniu kłód drzewa.

Terteus skinął ręką i Angeles obrócił dziób ku brzegowi, kierując się ku przystani.

Wówczas rozległ się okrzyk przerażenia i cypel skalny ożył. Ludzie rzucili się do ucieczki.

Przez chwilę żeglarze widzieli pędzące, oświetlone ogniem postacie odziane w skórzane kaftany. I nagle znikli wszyscy, wpadłszy pomiędzy chaty. Pochłonął ich mrok. Rozległo się jeszcze kilka okrzyków, zapewne matek nawołujących swe dzieci. Później zapadła zupełna cisza i w górze nic się już nie poruszyło.

Stos płonął nadal wysokim, jasnym płomieniem, a za nim w głębi wciąż jeszcze stał uwiązany do kamiennego słupa nagi człowiek. Nie drgnął nawet, gdy wybuchło wokół niego zamieszanie.

Angeles podpłynął bliżej i znalazł się niemal pod cypłem. Stracili z oczu płonący stos, lecz księżyc nadal świecił jasno i w jego blasku dostrzegli miejsce, gdzie leżały wyciągnięte na brzeg małe łodzie wydrążone z pni drzewnych. Wyciągnęli dziób okrętu na piasek i zabezpieczyli go linami uwiązanymi wokół przybrzeżnych drzew. Później, pozostawiwszy dziesięciu ludzi, aby nikt nie mógł zbliżyć się do Angelosa, podpalić go lub przeciąć liny, by puścić okręt bez załogi na rzekę, ruszyli pod górę wydeptaną, wyraźnie widoczną, szeroką ścieżką.

Białowłosy, który wraz z Metalawosem o potężnych ramionach, Harmostajosem i Kamonem, szedł przodem osłaniając osobę księcia, pierwszy przekroczył granicę udeptanego kręgu, wewnątrz którego stał biały kamienny słup i płonął stos.

- Ruszajmy ku owym chatom! - zawołał Metalawos - aby nie mogli nas razić z łuków, sami będąc w mroku, gdy my wejdziemy w krąg blasku!

Uczynili tak, biegnąc od drzewa do drzewa, gdyż las podchodził pod same zabudowania. Nie napotkali jednak nikogo.

A gdy księżę pojawił się wraz z pozostałymi i pomimo grożącego niebezpieczeństwa Terteus kazał ludziom wejść w las, by przekonać się, czy mieszkańcy wioski nie kryją się w nim, oni także wrócili nie wiodąc z sobą nikogo.

- Widok nasz w wielką musiał ich wpędzić trwogę! - rzekł Terteus uśmiechając się. - A nie ma się czemu dziwić, gdyż nigdy nie widzieli tak olbrzymiego okrętu! Pojawiliśmy się cicho i nikt nie dostrzegł naszego zbliżania się. Kiedy więc spojrzeli i dostrzegli wielką głowę Byka w świetle miesiąca, musieli nas wziąć za bogów. A zważ jeszcze, boski księżę, że przybyliśmy w chwili, gdy rozpoczęli wielkie święto, które zapewne jakiemuś bogu czy bogom musi być poświęcone.

- To prawda... - rzekł Widwojos - lecz jeden z nich pozostał tu. Podejźmy do niego, gdyż być może żyje, choć nie porusza się wcale.

Obchodząc buchający żarem, dogasający już stos, podeszli do kamiennego słupa.

- Dorzucicie ich kilka! - zawołał Terteus wskazując końcem włóczni leżące obok, przygotowane do spalenia wielkie polana. - A niechaj część stanie ukryta między chatami, gdyż mogą powrócić i zaskoczyć nas niespodzianym natarciem, gdy lęk ich minie i dostrzegą, że jesteśmy ludźmi, nie bogami!

Zbliżył się wraz z księciem, Perilawosem i pozostalymi ku człowiekowi uwiązanemu do słupa.

- Czy żyjesz, młodzieńcze?! - Wyciągnął rękę i ujął go pod brodę, unosząc jego oblicze ku światłu. Człowiek ów był młody i sprawiał wrażenie krzepkiego, gdyż ramiona miał silne i rozrośnięte, a pierś szeroką. Żył, gdyż poruszył oczyma i spojrzał na Terteusa. Lecz zdawał się go nie dostrzegać. W kącikach na pół otwartych ust zaschła zakrzepnięta piana, a szyja zdawała się pozbawiona mocy, gdyż głowa zwisała natychmiast, gdy Terteus puścił podtrzymywany palcami podbródek.

- Uczynił to zapewne ów wywar, o którym mi prawiono... - rzekł stary Nasios, który dopiero teraz wdrapał się na cypel ścieżką prowadzącą stromo pod górę. - Zapewne dali mu go, aby sam poszedł na stos nie wzbraniając się i nie czuł bólu zadawanego przez płomienie.

Białowłosy, który nagle przypomniał sobie ów odległy dzień, gdy Lauratas rzekł mu, że sam wejdzie w paszczę Sebeka nie czując lęku, zadrżał przy tych słowach. Wystąpił ku przodowi.

- Gdy wywar ów z niego wywietrzeje, powróci do sił i rozumu! - rzekł szybko. - Słyszałem o tym... Ja... mnie także pragnęli zmusić do wypicia podobnego napoju...

- Gdzież to? - zapytał Perilawos.

- W Egipcie! Mówię prawdę, boski książę. A jeśli porwali go, jak powiada czcigodny Nasios, z jakiejś odległej krainy, być może posłuży nam niebawem jako przewodnik, gdy uratujemy mu życie i weźmiemy go z sobą...

- Roztropnie to rzekłeś! - Książę skinął głową i spojrzał na Terteusa, gdyż nauczył się porozumiewać z nim bez stów w sprawach związanych z wyprawą.

- I ja tak mniemam, boski książę... - Terteus zbliżył się do słupa i przeciął mieczem najpierw sznur krępujący nogi stojącego, a później węzeł na jego rękach i ramionach.

Uwolniony postąpił krok ku przodowi, zachwiał się, a później uczynił rzecz, która zmroziła im krew w żyłach. Nie spojrzawszy na nich nawet wyminał księcia i ruszył prosto ku stosowi.

I byłby znalazł w nim straszliwą śmierć, gdyby Perilawos nie oprzytomniał pierwszy i skoczywszy za nim nie chwycił go z tyłu w pół. Młodzieniec szarpnął się z całej mocy i byłby, być może, wpadł w płomienie z trzymającym go kurczowo młodym księciem, gdyby nie przyskoczyli inni i nie obezwładnili go.

- Zwiążcie go ponownie - rzekł Terteus - i zanieście na okręt! A Białowłosy, skoro pragnął, abyśmy go zabrali z sobą, niechaj trzyma przy nim straż! Lecz bacz, by razem z tobą nie skoczył do wody i nie utonął, gdyż niewiele sobie ceni swój żywot, jak można sądzić z tego co tu ujrzeliśmy!

Białowłosy i dwaj inni żeglarze odeszli ku okrętowi, prowadząc więźnia pod ramiona. Po chwili znów utracił siły, więc musieli go niemal wlec, aż spętanego przywiązali do ławy, a Białowłosy siadł przy nim, zerkając raz na swego więźnia, to znów w górę, gdzie załoga Angelosa rozeszła się po chatach osady.

Choć bogom podobny Widwojos nie pragnął wojny ni rabunku, lecz że mieszkańcy opuścili swe domostwa pozostawiając w nich cały dobytek, Terteus za jego przyzwoleniem nakazał, aby zanesiono na okręt wiele pęków pięknie wyprawionych skór zwierzęcych, a także pękate gliniane naczynia z ziarnem i parę worów suszonego mięsa, które wydało im się smaczne, choć ususzono je nie dodając soli. Zwyczaj ów uznali Kreteńczycy za równie zdumiewający, co godny podziwu.

- Dziwi mnie, skąd małe to plemię ma ów zapas ziarna? - rzekł Terteus. - Gdyż wokół ich siedzib nie widać żadnych ziem uprawnych...

Stali właśnie w jednej z chat, największej, i przyświecali sobie płonąca gałęzią, przyniesioną z

ogniska. W chacie nie było niczego, prócz legowiska ze skór i paru glinianych naczyń ulepionych bez pomocy koła, lecz wypalonych dobrze i ozdobionych jak gdyby odciskiem sznura w mokrej jeszcze glinie. W jednym z naczyń znaleźli krzemienne groty od strzał, a w drugim kolistą zapinkę z brązu, lecz niezdarnie wykutą. Terteus rzucił ją na powrót w głąb garnka i wyprostował się.

- Czy przepędzimy tu noc, boski książę? Czy też odbijemy i poszukamy innego miejsca? Jeśli w pobliżu nie mają innej osady, to policzywszy chaty i ich wielkość rzec można, że nie żyje tutaj więcej niż trzystu ludzi, a to wraz z kobietami i dziećmi. Pokonalibyśmy ich bez trudu, gdyby odważyli się powrócić i uderzyć na nas, choć część ludzi musiałaby czuwać nieustannie...

- Noce są tu coraz dłuższe... - rzekł książę - więc wiele godzin dzieli nas jeszcze od świtu. Odpłynmy, a gdy zniknie nam z oczu ów płonący stos, poszukamy miejsca na przeciwnym brzegu i tam spokojnie uśniemy. Cieszą mnie owe skóry, gdyż nie byłoby ich jak wyprawić na okręcie, choćbyśmy nawet upolowali dość zwierzyny.

Opuścili więc osadę i zeszli do okrętu, lecz nim odbili, zepchnęli na wodę wszystkie leżące na piasku wydrażone łodzie, aby mieszkańcy nie mając ich, nie mogli wytropić miejsca, gdzie zawinął wielki obcy okręt.

Nie byliby tak uczynili, gdyby wiedzieli, że plemię owo przez dni siedem błąkało się w trwodze z dala od swej siedziby, nim odważyło się powrócić na miejsce nawiedzone nocą przez ów straszliwy okręt spoglądając ogromnymi oczyma boga-zwierzęcia. A zastawszy wypalony stos i przecięte więzy przy słupie, wzniesli ramiona ku słońcu, które czcili, radując się w podzięce, że oszczędziło ich żywot, a zadowoliło się jedynie ofiarą jednego człowieka, paru pęków skór i garnków ziarna. Odtąd co roku, gdy prowadzili na stos wiosennego króla, rzucali za nim w płomienie skóry i ziarno, bowiem pojęli, co cieszy boga najbardziej.

Przez całą noc Białowłosa czuwał przy owym młodzieńcu, który rzucał się, jak gdyby był niespełna rozumu, próbując rozerwać krępujące go więzy i wykrzykując oderwane słowa w niezrozumiałej mowie. Nad ranem ucichł i zdawało się, że usnął. A gdy niebo poszarzało i żeglarze zaczęli podnosić się i przecierać zaspane oczy, gotując się do odpłynięcia, przebudził się i rozejrzał. Oczy jego pełne były lęku i zdumienia, lecz spoglądały, jak gdyby pojmował to, co wokół się dzieje.

Białowłosa przywołał starego Nasiosa, który pochylił się nad leżącym i przemówił do niego. On zwrócił ku niemu oblicze i odparł coś. Później wskazał oczyma więzy krępujące mu ręce.

- Mówi, że śnił rzeczy straszliwe, i pyta, gdzie jest niewiasta, którą uczynili jego żoną. Pyta też, czemu skrupowaliście mu ręce i nogi, bowiem przysięga, że nie żywi wobec nas złych zamiarów i nie pragnie też uciec, a nie pojmuję, kim jesteśmy, gdyż usnął w królewskiej chacie przed wieczorem i przebudził się widząc nieznaną wojowników naokół. Błaga też, byśmy nie zabijali go, lecz uczynili niewolnikiem, gdyż dzielnie mógłby pracować przy wiosle, gdyby śmierć została mu oszczędzona.

- Rzeknij mu o tym, coś widział wczoraj własnymi oczyma, Nasiosie. A dodaj też, że gdybyśmy nie przybyli, kości jego dopalałyby się dziś na owym stosie, na który z pewnością by go rzucili lub, co gorsza, w którego płomieniste wnętrze sam by się rzucił.

- Tak uczynię, panie - rzekł Nasios i powrócił do pojmanego.

Począł przemawiać do niego, a wówczas w oczach leżącego pojawiło się przerażenie. Wyrzucił z siebie szybko kilka słów ochryplym głosem i urwał.

- Przypomniał on sobie teraz wydarzenia nocy, lecz nie pojmuję niczego. Wie jedynie, że pragnął pójść w ogień, i lęka się tego, pojmuję bowiem, że sam chciał popełnić ów szalony postępek. Gdy przypomniał sobie o nim, odebrało mu mowę.

Lecz młodzieniec znów począł mówić. I wówczas zbierający się naokół niego przebudzeni już, choć zaspani żeglarze dowiedzieli się, że jest synem człowieka z dalekiej osady nadrzecznej, o którym mówił, że jest „głową”, więc być może był wodzem lub królem. Porwano go, gdy w łodzi samotnie łowił ryby na rzece. Czterej ludzie w dwu wydrążonych łodziach otoczyli go, a że nie miał broni, pojмали go i popłynęli z nim szybko w dół rzeki. Płynęli przez wiele dni... - Ukazał ilość ich unosząc palce obu rąk.

- I wreszcie znalazł się w owej osadzie, gdzie ku zdumieniu jego rzekli mu, że będzie ich królem. Odtąd każdego ranka wypijał napój podawany przez niewiastę daną mu za żonę i nie pragnął uciekać. Nie odstępował go jednak nigdy uzbrojony wojownik, a on sam nie mógł tknąć żadnego oręża i nie mógł zajmować się żadną pracą. Jadł jedynie, pił i był małżonkiem owej królowej, która nie była już niewiastą młodą. Osada nie była wielka, choć w lesie na rozległej polanie znajdowało się ich pole uprawne. Siali tam ziarno w miejscu, gdzie las wypalano ogniem. Tam też znajdowały się ich stada owiec i świń, a jeśli uciekli na widok okrętu, tam musieli się schronić, gdyż obcy nie znaleźliby drogi do owego miejsca, ukrytego wśród nieprzebytej puszczy.

Rozwiązali jego pęta i zapytali, czy pragnie wrócić z nimi do rodzinnego domu, gdyż płyną w górę rzeki na północ, kierując się zapewne ku miejscu, gdzie został porwany.

Zerwał się wówczas i wyciągnął ręce ku wschodzącemu słońcu.

Stary Nasios rzekł, że dziękuje on swemu bogu, stworzycielowi blasku, ciepła i życia, za to, iż wyrwał go mocą swą z mroków śmierci!

Terteus chciał rzec, że nic słońce, lecz oni, kreteńscy żeglarze, uratowali go, bo gdyby nie przybyli na czas do owej osady, oczy jego nie ujrzałyby już więcej wschodu swego boga. Lecz nie rzekł mu nic i ukradkiem przyłożył dłoń do czoła, gdyż nie wydawało mu się niemożliwym, aby słońce nie mogło być prawdziwym bogiem innego ludu, choć nie było jego własnym. Lecz czcił je jako źródło wszelkiej światłości zawieszane przed wiekami na niebiosach przez Wielką Matkę świata.

Odbili płynąc pod wielkim żaglem szybko, wiatr bowiem dał porywisty i okręt pruł powierzchnię rzeki pochylając się lekko na boki i jęcząc w spojeniach. Dnia tego przebyli więcej drogi niżli w ciągu dwu poprzednich.

Trzeciego dnia przed zmrokiem minęli rozwidlenie wód, gdyż do rzeki, którą płynęli, wpadała z północnego wschodu druga, niosąc z sobą niemal potowe jej nurtu. Nic wpłynęli na nią, lecz ruszyli dalej przy lewym brzegu, trzymając się drogi ku północy.

Młodzieniec, którego wieźli z sobą, ucieszył się tym mówiąc, że osada jego leży także na rozwidleniu dwu rzek, lecz czeka ich jeszcze długa droga. Jak długa, nie wiedział, gdyż podczas podróży w dół rzeki leżał skrępowany na dnio łodzi i nie liczył dni.

Tego dnia po raz pierwszy dostrzegli, że las przerzedza się. Ujrzeni falujące, pokryte wrzosowiskami wzgórza. Rzeka także stała się węższa i żeglować po niej trzeba było uważniej. Na dnio pojawiły się płycizny widoczne z dala, gdyż woda nad nimi zmieniała barwę.

I wreszcie, gdy minął jeszcze dzień jeden, ujrzeni drugie rozwidlenie wód. Dwie rzeki spotykały się tu: jedna o korycie bardziej rozległym płynęła z północnego wschodu, a druga węższa z północnego zachodu.

Przybiwszy do brzegu, którego wysunięty piaszczysty jezor rozdzielał obie rzeki, odbyli naradę przywoławszy owego młodzieńca.

Rzekł on, że zamieszkuje w osadzie, znajdującej się niedaleko stąd, a wie o tym dobrze, gdyż lud

jego jest ludem rybackim i on sam często zapuszczał się aż do tego miejsca wraz z innymi. Na znak, że mówi prawdę, powiódł ich w głąb lądu i ukazał im ślady ognisk, tam gdzie zwykle obozowali rybacy z jego plemienia. O drugiej rzece, płynącej z północnego wschodu, niewiele umiał rzec. Słyszał jedynie, że żyją tam plemiona posługujące się inną mową, choć nigdy nie widział żadnego człowieka stamtąd.

I wówczas książę zadał mu owo pytanie. A kiedy później wspomnieli tę chwilę, dziwili się wszyscy wielce, że nikt mu go nie zadał wcześniej.

Bogom podobny Widwojos zwrócił się do Nasiosa i rzekł:

- Spytaj go, czy wie, co to morze lub czy słyszał o nim?

A kiedy starzec powtórzył pytanie, młodzieniec skinął głową i odparł coś. Mówił dość długo, wskazując ręką zachód. Wreszcie umilkł.

- Panie - rzekł sędziwy Nasios. - Mówi on, że choć nie widział nigdy morza, wie, że jest to wielka woda bez kresu. A słyszał o niej od ludzi, którzy raz w roku pojawiają się u nich i za pięknie wyprawione skóry dzikich zwierząt oraz kościane sierpy, grotty i ostrza przywożą im sól. Powiadają oni, że sól tę otrzymują od innego ludu, który z kolei otrzymuje ją od plemienia sąsiadującego z tymi, które przywożą sól znanymi sobie drogami leśnymi lub wodą od tych, którzy ją warzą. A pochodzi ona z morza, do którego dążyć trzeba na zachód, a później skierować się ku północy!

Zapadła cisza. Książę splótł ręce i ponownie zadał pytanie.

- Zapytaj go, czy jedynie sól przywożą do jego osady owi kupcy, gdyż tak ich trzeba zwać zapewne?

Młodzieniec zmarszczył brwi, jak gdyby pragnął przypomnieć sobie, i niemal natychmiast znów przytaknął ruchem głowy. Słuchali, gdy mówił do Nasiosa.

- Powiada on, że czasem przywożą ozdoby z brązu, kolczyki lub spinki, lecz że zbyt wiele skór i grotów chcą otrzymać za każdą z owych ozdób, mało ich sprzedają w jego osadzie. Mówi także, że przywożą paciorki żółte, które choć równie drogie, podobają się jego ludowi, gdyż jest to kamień, w który zaklęto blask ich boga, słońca, jaśniejący na niebiosach.

- Czy słyszysz!?! - rzekł cicho bogom podobny Widwojos do stojącego przy nim Terteusa. Z rozjaśnionym obliczem zwrócił się ponownie ku młodzieńcowi. - Niechaj bóg twój jak najdłużej świeci nad twą głową, lepszej bowiem wieści nie słyszeliśmy od dawna! A więc owo morze na północy istnieje! Jeśli prawdą jest to, co rzekł, a owe złociste paciorki są tym, czym pragniemy, aby były, wierzę, że wyprawa nasza wkrótce dotrze do celu!

Wszyscy, którzy usłyszeli jego słowa, wydali radosny okrzyk.

Nie pojmowali jeszcze, gdyż bogowie nie odłoniли przed nimi zasłony, którą okrywają przyszłość, jak bardzo mylił się bogom podobny Widwojos.

Czekało ich bowiem wiele jeszcze trudów, a kości niejednego miały spocząć w obcej ziemi, nim oczom pozostałych przy życiu ukazała się owa błękitna wodna równina, po której z rzeniem pędzą białogrzywe rumaki Posejdona.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie mści j się na duchu moim

Białowłosey siedział na pęku skór i spoglądał w ogień, którego białe języki strzelały wysoko w górę z otoczonego gliną paleniska i uciekały ku otworowi w dachu. Wiatr wył w górze i naokół chaty, wpędzając chwilami na powrót do izby dym ogniska. Wówczas Białowłosey i Terteus przecierali zaczerwienione, załzawione oczy i spoglądali na siebie w milczeniu. Drzwi zbite z grubo ociosanych bali skrzypnęły na skórzanych zawiasach i do izby wpadła wichura, a za nią wsunął się Perilawos. Oblicze miał zaczerwienione od chłodu, a płaszcz mokry.

- Czemuż siedzicie tak wędząc się w dymie, a nie zasiadacie przy uczcie, którą ów barbarzyński wódz podejmuje mego czcigodnego ojca? Ulewa nie ustaje!

Przysiadł obok nich i potrząsnął głową, z której syknęły się wielkie krople. Kilka z nich wpadło do ognia i zniknęło z sykiem.

- Od dwóch dni człowiek ów gości nas nie dając chwili wytchnienia... - mruknął Terteus. - To prawda, że raduje się z odzyskania syna, którego pożegnał na zawsze, jak się wydawało, gdyż zginął on wiosną na rzece, a powrócił teraz. Jednak, choćbym pragnął wielce najeść się tak, aby wystarczyło mi tego jadała na całą dalszą naszą wyprawę, nie uczynię tego, gdyż nie podołam.

- To prawda - rzekł Białowłosey. - Lud ów wielce jest gościnnie! - Westchnął.

- Czy wiecie, co podały dziewczęta memu ojcu, który siedzi wraz z nimi w ich drewnianym megaronie? - Perilawos powiódł po nich rozbawionym spojrzeniem. - Suszone ryby z miodem dzikich pszczół! Razem, na jednej misce! I czy dacie wiarę, że jest to potrawa osobliwie smaczna, choć nie uwierzyłbym w to, gdybym sam jej nie spróbował!

- Bogowie! - jęknął Terteus. - Kiedyż to się skończy?

Czyżby ta nawałnica nigdy nie miała minąć?

Wstał, podszedł do drzwi, uchylił je i cofnął się ku palenisku, biorąc kilka szczap drzewa. Stał nad ogniem i położył je krzyżując, tak aby ogień ogarnął natychmiast jak największą ich powierzchnię. Płomienie buchnęły w górę i w izbie powidniało. Nie miała ona okien, a zresztą nawet gdyby znano je w osadzie, na zewnątrz był już mrok.

Wiatr zawył znowu nad dachem krytym wikliną, przetykaną słomą.

Ściany chaty uczynione były z grubych bali drzewa, obłożonych gliną. Wytrzymały one dobrze napór wichury.

Terteus siadł ponownie.

- Spać także nie mogę! - rzekł z niechęcią. - Bowiem gdy wiatr uderza mocniej, a wszystko zaczyna dygotać i słyszę chlupot wody pod sobą, wydaje mi się, że cała ta wioska runie do jeziora wraz ze mną! Pół żywota spędziłem na okręcie, lecz nigdy jeszcze nie spałem w domostwie stojącym

na wodzie!

I miał słuszość, gdyż wszyscy ujrzeli podobny dziw po raz pierwszy, gdy wyruszywszy ku północnemu zachodowi od miejsca spotkania dwu rzek, wpłynęli późnym popołudniem w boczną, ukrytą wśród bagnistego lasu odnogę rzeczną i znaleźli się niespodzianie na otoczonym puszcza rozległym, krągłym niemal jeziorze, którego skrajem biegł długi pomost wsparty na wbitych w wodę palach. Pomost ów kończył się szeroką platformą unoszącą się nad wodami jeziora na wielu setkach podobnych pali. Stały na niej gęsto niskie domy tworzące dwie ulice i mały plac pomiędzy nimi. Cała ta wzniesiona na palach osada otoczona była ostrokołem, spoza którego wynurzały się jedynie dachy domów.

Gdy Angeles pojawił się u wylotu jeziora, straż najwyraźniej ostrzegła mieszkańców, gdyż drewniany pomost łączący osadę z lądem uniósł się, podciągnięty sznurami, i cofnął, tworząc wielką wyrwę. Kilka małych łodzi znajdujących się na jeziorze co sił w wiosłach pomknęło ku osadzie.

Wówczas młodzieniec, którego mieli na pokładzie, skoczył do wody i wplaw dostał się na brzeg, a stamtąd ruszył pomostem ku wyrwie powstałej na nim przed bramą wodnego grodu. A choć szedł wolno, lękając się najwyraźniej, że nim go poznają, śmignie ku niemu strzała z którejś z wąskich strzelnic wyciętych w ostrokołe, wołał jednak donośnie w mowie swojej, kim jest i unosił ręce, okazując, że nie dźwiga broni.

Wówczas na niewielkiej drewnianej wieży pojawił się człowiek odziany w skórzany kaftan i czapkę obszywaną futrem. Przyłożył rękę do oczu i przez chwilę przypatrywał się stojącemu. Zawołał coś wielkim głosem.

Z wolna pomost wraz z podtrzymującymi go sznurami opadł i młodzieniec wszedł furtą do wnętrza osady.

Angelos stał pośrodku jeziora, a wszyscy żeglarze spoglądali na ów gród wodny, tak przemyślnie ukryty wśród lasów, że gdyby tysiące razy przepłynęli obok rzeką, nie wpadłoby im na myśl szukać zdobyczy wpływając w mroczną, porośniętą wodorostami odnogę rzeczną, która była ujściem owego jeziora ukrytego za ścianą drzew.

Po pewnym czasie młodzieniec ukazał się na jeziorze w łodzi, a za nim siedział ów człowiek w skórzanym kaftanie, którego dostrzegli uprzednio.

Skłonił się przed Widwojosem. Mówiąc, że jest głową rodu zamieszkującego gród, prosił ich, aby zezwolili mu okazać wdzięczność za ocalenie syna i zechcieli przybić swym wielkim okrętem wprost do pomostu i tam go przywiązali do pali. A sami niechaj przyjmą jego gościnę i zajmą chaty przeznaczone na spichrze i składy.

I oto byli tu nadal. Trzecia noc nadchodziła już, odkąd przybili do owego pomostu. Lecz nie odpłynęli jeszcze, bowiem gdy usnęli pierwszej nocy, zerwała się nawałnica i runął z niebios wielki deszcz. Wiatr zmienił się. Nisko pędzące ciemne chmury nadbiegły z północy, kładąc się niemal na wierzchołkach drzew otaczających jezioro i smagając je zimną ulewą.

Załoga Angelosa spoglądała w mroczne niebo, ciesząc się w duchu, że oto mogą siedzieć w suchych izbach i grzać się przy ogniu, a nie wędrują odkrytymi wodami drżąc z chłodu. Bowiem ich nienawykłym do zimna ciałom więcej sprawiało ono cierpienie niżli największe nawet zmęczenie przy wiosłach, nocleg na gołej ziemi, brak ciepłej strawy lub deszcz padający dniami całymi z niebios. W ojczyźnie ich, gdy wyciągano okręt na brzeg w obawie przed nadchodzącą porą wzburzonego morza, cieplej było znacznie niżli tu od kilku dni, choć według ich obliczeń na Krecie jesień rozpoczynała się dopiero.

A z każdym dniem chłód rósł. Przekonani, że gdy minie idąca z północy nawałnica i znów zaświeci słońce, ciepło powróci wraz z jego pojawieniem się, czekali jedząc i pijąc do syta, i ciesząc się, że bogowie zezwolili im uratować owego młodzieńca, dzięki czemu byli tu gośćmi w czasie tak wielkiej niepogody.

Ucieszyła ich też wieść o morzu na północnym zachodzie. Przepłynęli już zapewne niemal cały świat, więc do morza owego, leżącego na jego krańcu, nie mogło być daleko. Niektórzy obliczyli, że znajdują się tam za dni siedem lub dziesięć. Inni przypominali, że powracać będą z prądem rzek, więc droga powrotna zajmie im mniej czasu. Zapominali już z wolna o tym, że nie mają dokąd wracać.

O tym samym rozmyślał zapewne teraz i Perilawos, gdyż rzekł:

- Prawda to, że mają oni bursztyn. Małżonka owego wodza ma wielki naszyjnik z jego odłamków! Lecz co uczynimy z bursztynem, gdy znajdziemy jego ojczyznę?

- Obyśmy tylko dopłynęli tam wreszcie... - mruknął Terteus wyciągając się na posłaniu ze skór. - Wówczas... - zastanowił się - wówczas zdobędziemy go tyle, by napełnić nim wszystkie pithosy Angelosa, i powrócimy do naszego świata. Wielkie to będzie bogactwo, zakupimy za nie wiele okrętów, uzbroimy je dzielną załogą, napadniemy na Minosa, stryja twego i wprowadzimy ciebie lub twego bogom podobnego ojca na tron! - Roześmiał się i siadł na posłaniu. - Cóż byś rzekł na to?

- Nie wiem... - Perilawos potrząsnął głową. - Może ci się to wydać jedynie młodzieńczą, nie pojmującą porządku świata myślą, Terteusie, lecz nie pragnąłbym zostać królem Krety, gdybym miał przybyć do mego królestwa na czele obcych okrętów. Ów, który cudzoziemców sprowadza przeciw swoim, nie wart jest, aby zostać władcą.

Terteus przez chwilę spoglądał na niego z uśmiechem, później oblicze jego spoważniało.

- Pełne mądrości są twoje słowa, Perilawosie, choć nie wszyscy królowie tak mniemają, gdyż wielu było takich, których wypędzono, a powrócili wiodąc obce wojska.

- Być może... - Perilawos znów potrząsnął głową. - Lecz Kreta, raz zdobyta przez obcych, nie byłaby już Kretą.

- I to jest zapewne prawdą!

Terteus wstał i narzucił na plecy futrzaną opończę, którą uczynił sobie sam, zszywając kilka skór zagrabionych w owej nadbrzeżnej osadzie.

- Pójdę, by rzucić okiem na strażę. Pewnie wszyscy skryli się i drzemią nie pragnąc wystawiać ciała na nieustanny deszcz i ów zimny wiatr. A przecież, jeśli jedni z nas mają spać spokojnie, inni muszą czuwać za nich!

Podszedł do drzwi i otworzył je. Do izby znów wpadł zimny wicher i zakręcił płomieniem paleniska, który przygasł nagle i wybuchnął w górę.

Lecz Terteus nie patrzył w ogień. Stał trzymając dłonią otwarte drzwi i spoglądał na maleńkie, białe, roztańczone płatki, które wypadały z ciemności, unosiły się przez chwilę w izbie i niknęły dotykając glinianej podłogi.

- Cóż to jest? - zapytał Perilawos ze zdumieniem. - Czyżby ptak jakiś pogubił tu swe... - Nie dokończył. Zerwał się i podszedł ku drzwiom.

Było ciemno, tak ciemno, że nie mogli dostrzec nawet ściany domu naprzeciw, stojącego po drugiej stronie wąskiej, wyłożonej palami ulicy. Lecz w owej maleńkiej rozjaśnionej odbłaskiem ognia przestrzeni dostrzegli tysiące białych płatków, gnanych wichurą w ciemność i nadlatujących z niej.

Gdy wysunęli się z izby, uczyli na licach i rękach ich zimny dotyk.

- Śnieg! - rzekł Terteus. - Spotykałem go już na morzu! Pojawia się i topnieje, nim mu się dobrze przyjrzeć, choć na górach czasem umie leżeć długo!

Lecz gdy rankiem następnego dnia wstali z posłania i otworzyli drzwi domu, serca zamarły im w piersi.

Świat cały pokrywała biała powłoka, a z góry wichur niósł wraz z nowymi roztańczonymi tumanami białego pyłu ciemne, umarłe liście otaczających lasów. Opadały one pośród płatków zamieci i szeleściły gnane wichrem po wąskiej uliczce między ścianami niskich domów.

Wraz ze śniegiem wciskało się im pod kaftany przerażające zimno, jakiego nigdy dotąd nie zaznali. Szczypało w odkryte uszy i dłonie, przenikając do głębi.

Gdyż roku owego, wraz z wczesnym nadejściem zimy, uderzył wielki mróz i chwycił całą ową rozległą połąć świata. A choć nie wiedzieli o tym, biały płaszcz okrył także wierzchołki wzgórz Kreta i pojawił się także na krótko na dachach pałaców świętego Knossos.

Wśród wycia lodowatej nawałnicy Terteus z grozą pomyślał o tym, że być może liny okrętu nie wytrzymały i wichur porwał go na jezioro. Ruszył szybko, zapominając o chłodzie, a Białowłosego pobiegł za nim czując, jak mróz chwyta go za nogi i wpija się w nie, gryząc niemal jak dzikie, głodne zwierzę.

Terteus dopadł bramy grodu i uniósł ciężki rygiel, zamykający małą furtę prowadzącą na pomost. Otworzył ją - Białowłosego wysunął się za nim. Zamknął oczy i otworzył je ponownie, lecz nie mógł pojąć tego, co widzi.

Coś straszliwego musiało stać się ze światem tej nocy.

Jezioro zniknęło. Na jego miejscu powstała nieruchoma, biała pustynia, zamiatana wichrem.

A na skraju owej pustyni, tuż u pomostu łączącego gród na palach z lądem, stał Angelos.

Podeszli ślizgając się i potykając, gdyż nogi zsuwały się z oblodzonych bali.

I wówczas dopiero Terteus jęknął cicho:

- Bogowie!

Bowiem w miejscu gdzie wichura odwiała śnieg, ujrzał z burty okrętu, tam gdzie wczoraj woda przelewała się z chlupotem między palami, lśniący biały kamień, pofałdowany lekko jakby na znak, że był on ongiś wodą, nim zastygł i przemienił się w kamień.

Zawrócili ku domowi, weszli i Białowłosego rozgrzewał tłące się jeszcze głównie w palenisku, by dorzucić do nich kilka suchych szczap. Przez nic domknięte drzwi wpadła wichura niosąc nowe płatki śniegu i liście z ulicy.

Zamknął drzwi ramieniem i zasunął skobel. Później pochylił się i wziął do ręki suchy, czarny liść dębu. Skruszył go w palcach. Liść rozsypał się na drobne kawałki.

Od dnia owego, gdy Białowłosego wspominał tę krainę, nazywał ją w myślach krainą umarłych liści.

Drugiego dnia po nadejściu mrozów Metalawos o potężnych ramionach wszedł rankiem do małej izby, którą zajmowali Terteus, Perilawos i Białowłosego. Chata znajdowała się tuż przy bramie osady.

- Nie pojmuję tego! - rzekł stając na progu. - Czuwałem przed świtem na straży przy Angelosie, choć bogowie jedynie wiedzą, Terteusie, czemu nam każesz marznąć po nocach i wpatrywać się w ciemność, gdy okręt nasz stoi pośród wód przemienionych w kamień...

- Uczyniłem tak, gdyż strzec go musimy jak własnych oczu! - rzekł porywczo Terteus wstając z posłania składającego się z pęku skór rzuconych na drewnianą podłogę, grubo pokrytą gliną i wiązkami trzciny. - Gdybyśmy utracili Angelosa, pozostalibyśmy na wieki w tej puszczy na krańcu

świata, będąc jako ptaki o strzaskanych skrzydłach! Dla tej przyczyny, choć nie wiem, co może zagrażać naszemu okrętowi, wszyscy wystawiamy się na zimno i niewygodę. Pełni tę straż na równi z tobą syn bogom podobnego księcia i ja także! A z nami wszyscy inni. Czemuż więc wpadasz tu, jak gdyby wróg nadchodził?

Metalawos zdjął futrzany kaptur uszyty z dwu połączonych skór lisich i spadający mu na ramiona. Na wzór mieszkańców osady uczynili sobie odzienie chroniące przed mrozem i obuwie z miękkich, zszytych z sobą skórek, włosem do wewnątrz, wyłożonych sianem pod stopami.

- Nie o tym chciałem ci rzec... - mruknął podchodząc do paleniska i wyciągając potężne dłonie nad płomieniem, który zaczął buchać właśnie, gdyż Białowłosa i Perilawos zbudzili się i wsunęli w żar kilka suchych patyków, aby ponownie rozniecić ogień. - Czy sądzisz, że lękam się mrozu lub ciemności? Pragnę ci rzec o tym, co przytrafiło się, gdy pełniłem straż wraz z Anomedesem. A działo się to niedawno, gdyż czas był niemal przed świtem. Przechadzaliśmy się po owej grobli, tuż przy okręcie, radując się, że mróz zelżał nieco, a niebo przestało nas zasypywać owym białym zimnym puchem, gdy nagle brama otworzyła się i wyszli z niej ludzie.

- I cóż takiego? - Terteus zmarszczył brwi. - Czy pragniesz, abyśmy śledzili tych, którzy nam użyczili gościny? Zapewne wyruszyli na łowy przed rozpoczęciem dnia lub odeszli za innymi swymi sprawami.

Metalawos pokręcił głową.

- Gdybym tak mniemał, nie przybiegłbym tu do ciebie bez zwłoki, gdy inni objęli po nas straż przy okręcie. Posłuchaj: otóż brama otworzyła się i wyszło z niej wielu ludzi, a nie wiedząc, co by to miało znaczyć, ujęliśmy mocniej włócznie w garść na wypadek, gdyby gotowali zdradę. Lecz minęli nas pozdrawiając uprzejmie w swojej mowie, a my im odpowiedzieliśmy w naszej. I nie byłoby w tym niczego dziwnego, gdyby nie to, że jedynie pięciu lub sześciu z nich było dojrzałymi wojownikami, a szły z nimi dziewczęta i młode niewiasty z dziećmi. Niektóre z nich niosły tobołki, jak gdyby wyruszały w dłuższą drogę. Minęli oni nas wszyscy i znikli w mroku...

- I cóż z tego? - rzekł Terteus stawiając na żarze paleniska mały miedziany kociołek pełen miodu otrzymanego od mieszkańców osady. Gorący i gęsty napój rozgrzewał o świcie i sycił bardziej niżli jakiegokolwiek inne jadło. Terteus wziął z kąta izby cztery gliniane płytkie miski, ulepione bez pomocy koła i nie wygładzone, a ozdobione wokół niewielkimi wgłębieniami, jak gdyby ów niewprawny garncarz naciskał ostrym patykiem mokrą jeszcze glinę pragnąc w tak niewyraźny sposób uczynić weselszymi swe nędzne naczynia.

Podał każdemu z nich miskę i w milczeniu czekał chwili, gdy nad kociołkiem urośnie lepki obłoczek pary unoszącej się nad ciemną powierzchnią miodu. Wówczas uniósł kociołek i szybko odstawił go z ognia parząc sobie dłonie. Później, chwyciwszy go przez skraj płóciennej tuniki, pochylił się i z wolna lał dymiący złocisty napój do podstawianych kolejno misek. Usiedli dmuchając lekko na miód i czekając.

- Czemuż cię to zafrasowało? - zapytał Terteus.

- Bowiem wyglądała rzecz ta, jak gdyby pragnęli ukryć swe kobiety i dzieci w bezpiecznym miejscu. A gdy lud jakiś czyni tak, różnie można by o tym mniemać, będąc jego gościem...

- Lękaś się, aby nie uderzyli na nas, gdy będziemy pogrążeni we śnie? Uratowaliśmy od śmierci syna ich króla, który sam zapewne zostanie królem po nim, jeśli nie mają innego obyczaju dla obierania swych władców. Jakiż lud i jakiż król zapłaciłby taką niewdzięcznością za tak wielką przysługę? Nawet barbarzyńcy nie czynią tego!

- Bogowie jedynie wiedzą, co mieszka w sercach barbarzyńców! - Metalawos wzruszył potężnymi ramionami. - Przyszedłem po to, byś wiedział, co się stało przed świtem. A uczynisz, jak zechcesz.

- Słusznie postąpiłeś! - Terteus skinął głową. - Bowiem często rzeczy na pozór drobne są przepowiednią innych, donioślejszych...

Uśmiechnął się i uniósł miskę ku wargom, a pozostali uczynili to samo.

Lecz gdy tylko pokrzepiony miodem Metalawos wyszedł, Terteus wstał i wraz z Perilawosem i Białowłosym udał się do księcia, który właśnie dźwignął się z posłania.

Mimo że bogom podobny Widwojos zajmował osobną, najlepszą izbę w chacie królewskiej, jednak niewiele różniła się ona od innych, zajmowanych przez załogę Angelosa.

Gdy weszli. Białowłosy pomyślał, jak bardzo zmienił się ów potomek bogów od chwili, gdy okręt oderwał się od nadbrzeża w Amnizos i skierował dziób ku północy. Pięknie utrefione ongi i przeplecione złotą nicią czarne włosy opadały teraz luźnymi puklami na ramiona nie pokryte już cienką jak pajęczyna, błękitną, wyszywaną złotymi liliami materią, lecz prostą, płócienną tuniką. Oblicze miał ogorzałe, a rysy jego zaostrzyły się. Nie był to już ów wytworny, znużony możnowładca, syn królów i bogów, przechadzający się z wolna pośród wodotrysków i kwiatów pałacu swych przodków, lecz przywódca wojowników, który sam się stał wojownikiem. I o dziwo, zdawało się, że bogom podobny Widwojos nie cierpi dzięki owej narzuconej mu losom przemianie.

Uśmiechnął się i pozdrowił ich skinieniem, a objąwszy ramieniem syna, zapytał:

- Czemuż to niemal nie widzę cię od chwili, gdy zawitaliśmy do tego grodu na palach? Czyżby tak cię zdziwiło widowisko, które zesłali nam bogowie w postaci owej przemiany w kamień wody i świata, który z zielonego stał się nagle biały? - Odsunął go od siebie i przyjrzał mu się. - Jeśli przeżyjemy tę wyprawę i droga nasza zaprowadzi nas na powrót ku ojczyźnie, być może Kreta otrzyma wreszcie władcę, na którego od dawna czeka. Pragnąłbym dożyć chwili, gdy mój boski brat pojmie, jak źle uczynił wysyłając nas na pewną śmierć, która być może okaże się nowym życiem dla nas obu!

- Jeśli miałbym kiedykolwiek rządzić naszym ludem rzekł Perilawos - nie siedziałbym beczynnym w pałacu pośród tłumu zniewieściałych pochlebców, lecz pragnąłbym stać się władcą mórz takim, jakim był nasz przodek Minos, gdy prowadził swe czarne okręty przeciw owej wyspie, która odtąd stała się ojczyzną naszego rodu. Lecz zanim to nastąpi, jeśli nastąpi kiedykolwiek, musimy unieść głowy nasze z tych stron i uwieńczyć zwycięsko tę wyprawę, choć wszyscy pojmujemy, że już sam powrót będzie triumfem. Z tym właśnie przybywamy do ciebie, mój boski ojciec.

I powtórzyli księciu to, co rzekł im Metalawos. A gdy to uczynili, postanowiono, że bogom podobny Widwojos zapyta o to króla osady, a do chwili, gdy uzyska szczerą, wiarygodną odpowiedź, załoga będzie się miała na baczności, nie rozstając z orężem i nie rozchodząc bez potrzeby, lecz czuwając w chatach i bacząc, czy uzbrojeni mieszkańcy nie gromadzą się zbyt blisko.

I tak tegoż dnia, gdy król osiedla gościł boskiego Widwojosa, ów zapytał go ustami starego Nasiosa, który siedział na ławie pomiędzy nimi, znając mowę ich obu:

- Czemuż to nie widzę owych pięknych dziewcząt, córek twoich, które tak wdzięcznie usługiwały nam wczoraj?

Władca osady zdawał się być zakłopotany tym pytaniem, lecz odparł szczerze:

- Bowiem jest was tu wielu mężczyzn, którzy przybyli bez kobiet i muszą długi czas spędzić wśród nas. A wiedzą wszyscy, że tam, gdzie obcy przybysze zamieszkują pośród jakiegoś ludu,

muszą wybuchać spory i niesnaski. jeśli nie przywiedli z sobą żon swych i córek. Taka jest natura człowieka. Chcąc więc uniknąć sporów i walk pomiędzy naszymi i waszymi młodzieńcami uznałem, że najlepiej będzie, jeśli dziewczęta nasze i młode niewiasty odejdą do osady rządzonej przez pokrewny nam ród, a znajdującej się o dwa dni drogi stąd na zachód. Władcą jej jest brat matki mojej i pod jego strażą będą one równie bezpieczne jak tu. A i ty, książę, weselszy będziesz widząc, że młodzieńcy wasi i nasi podczas długich wieczorów wspólnie zabawiają się w zgodzie i przyjaźni pieśnią, za dnia zaś łowami, a także innymi zajęciami godnymi mężów, nie mając przyczyn do swarów...

- Jeśli taka jest przyczyna ich odejścia, słusznie uczyniłeś, królu, bowiem niewiasty bywają źródłem zła, nawet gdy same go nie pragną - rzekł Widwojos. - Lecz czemu rzekłeś, że długo pozostaniemy w twej gościnie, jak gdybyś wiedział, że inaczej być nie może? Choć jest nam ona wielce miła i chętnie spędzilibyśmy tu wiele dni, radując się twoją uprzejmością, musimy jednak podążyć dalej, gdy tylko minie ów straszliwy chłód, który ściał jezioro i pokrył śniegiem ziemię. Zważ, że czeka nas długa jeszcze droga i sami nie wiemy, którądy ona prowadzi i kiedy powrócić uda nam się do opuszczonego przez nas świata, leżącego daleko na południu. Pragniemy więc wyruszyć nie zwlekając ani o dzień dłużej, niżli to będzie konieczne.

Król osady uśmiechnął się. Nie był jeszcze człowiekiem starym i w przeciwieństwie do wygolonych Kreteńczyków nosił długie wąsy, opadające po obu stronach ust. Odziany był w prostą szatę z grubego płótna tak jak i» pozostali mieszkańcy owej wioski na palach. I jak oni był jasnowłosy.

- Starzy ludzie powiadają u nas, że daleko na południu świat kończy się za jednym z czterech mórz... - rzekł wesoło. - Wierzyliśmy w to od wieków, a gdy odpłyniecie, zapewne znów w to uwierzmy. Mówią u nas, że świat cały oblany jest czterema rzekami, które wpadają do czterech mórz, a dalej jest kres wszystkiego. Tam właśnie słońce znika po zachodzie zapadłszy w głębinę i oświetla oblicza umarłych, gdyż oni żyją w owej otchłani żywotem cieni niepowrotnych. A przenoszą promienny jego krąg na swych barkach przez ową krainę dwa słoneczne bobry aż ku miejscu, gdzie wstaje co dnia na wschodzie. Cóż więc jest na południe od krainy, którą zamieszkujesz, książę?

- Morze, a za nim inne krainy, suche i gorące... - odparł Widwojos.

- A jeszcze dalej?

- Nie był tam nikt... - rzekł książę z wahaniem - lecz sądzimy, jako i wy, że tam właśnie jest jeden z krańców świata.

- A cóż mówiono, gdy udawałeś się na północ?

- Mówiono podobnie, że udaję się ku krawędzi świata.

Lecz, jak widzisz, królu, nie dotarłem do niej, gdyż wciąż płynęliśmy przez krainy zamieszkałe przez ludzi, choć mowa ich i obyczaje inne były niżli nasze.

- Na północ od nas żyją inne ludy. Także na wschód i zachód. A choć o morzu na wschodzie nie słyszałem ani ja, ani nikt z mego ludu lub kupców, którzy czasem nas odwiedzają, wiem jednak, że jeśli posuniesz się na zachód i skręcisz ku północy, napotkasz je.

- Tam właśnie pragniemy dotrzeć.

- A jeśli morzem tym nie da się wam skierować później ku południowi? Być może jest ono tym, które oblewa krańce świata?

- Rozważałem to... - Widwojos skinął głową. - Wówczas popłyniemy wzdłuż jego południowego wybrzeża, aż dotrzemy do wielkiej rzeki, która wpadać będzie do niego z południa. I rzeką ową

ruszymy ku domowi, tak jak inną rzeką ruszyliśmy na północ, porzucając inne morze.

Król w zamyśleniu skinął głową.

- Nie pragnąłbym nigdy porzucić krainy, w której się narodziłem, gdyż wydaje mi się piękna i jest w niej wszystko, czego pragnę ja i mój lud, prócz soli, lecz wymieniamy ją z innymi za to, co tu zdobywamy. Mimo to pojmuję, że inni budują wielkie okręty, aby odbywać dalekie podróże, tak jak to czynią kupcy, których to jest rzemiosłem. Lecz nie odpowiedziałem jeszcze na twoje pytanie, dostojny cudzoziemcze. Rzekłeś, że pragniesz odpłynąć stąd rychło, gdy tylko minie chłód i wody na powrót staną się wodami. Zezwól więc, że powiem ci, kiedy to nastąpi. Jeśli słońce, które włada światem, a jest jego stwórcą i bogiem najwyższym, zechce okazać swą łagodność, trzykrotnie jeszcze księżyc ukaże się w pełni, nim śniegi stopnieją i ruszą pierwsze wezbrane wody. Wkrótce potem świat zacznie zielenić się i zaśpiewają ptaki. Lecz bywa i tak, że gdy niebiosa spuszcza pierwszy śnieg, jak to ujrzałeś przed dwoma dniami, leży on przez cztery i pięć pełni księżyca, a żadna ofiara, choćby było nią życie króla, nie może wzruszyć rozgniewanego Bóstwa.

- Pięć pełni księżyca! - zawołał Widwojos nie mogąc pohamować zdumienia i lęku.

- Gdy byłem młody... - rzekł król - pięć pełni minęło, a nadeszły mrozy jeszcze straszliwsze niżli te, które były przed nimi. Nie mieliśmy już jada, a ludzie byli zbyt wyczerpani, by upolować dość zwierzyny dla całej osady. Zwierzęta ginęły wówczas w lasach i zasypywał je śnieg. Owego ranka, gdy pierwsze dziecko umarło z głodu, bowiem w wyschniętej piersi matki zabrakło pokarmu, ojciec mój rozkazał zapalić wielki stos pośrodku jeziora, wznosił ręce ku niebu i błagając jasnego boga, by zechciał swym gorącym promieniem stopić lody i sprawić, by śnieg zniknął z ziemi, wszedł na ów stos i wołał wznosząc ramiona tak długo, aż dym i płomień zakryły go przed naszymi oczyma. A my dorzucaliśmy do stosu wciąż nowe naręcza przez dzień cały i całą noc, aż wreszcie lód w owym miejscu stopił się i wszystko zniknęło w głębi jeziora. A następnego dnia począł dąć ciepły wiatr...

Urwał czekając, aż stary Nasios wyłoży sens jego słów księciu. Później rzekł:

- Jest rzeczą królów: oddać życie w ofierze, gdy nadejdzie czas. Jeśliby tego nie uczynił, bóstwo daremnie oczekujące ofiary wygubiłoby cały nasz lud. A mówię ci o tym, czcigodny cudzoziemcze, abyś pojął, że nie mogę rzec, jak długo będziecie tu zamieszkiwali czekając, aż rzeki ruszą i okręt wasz będzie mógł odpłynąć. Lecz gdy to nastąpi, wskażemy wam drogę, abyście mogli podążyć ku zachodowi, gdyż sami nie odnaleźlibyście jej. Bowiem na zachód od nas i sąsiadów naszych, do których odesłaliśmy nasze kobiety, rozpoczyna się kraina bezdennych bagien i topieli przeciętych wielu rzekami i strumieniami, gdzie nawet maleńka łódź zabłąkałaby się i ugrzęzła, a wasz wielki okręt musiałby utknąć wśród trzęsawisk. Wówczas zgubieni byłibyście bez ratunku, otoczeni bezkresną topielą, która pochłania nawet drobne nierozważne zwierzęta, jeśli się tam zapuszczą, a żywi jedynie ptactwo wodne, żaby i potwory błotne.

- Straszliwe są te nowiny dla mnie - rzekł cicho Widwojos. - Lecz zapewne ja i cała załoga mego okrętu winniśmy wdzięczność naszym i twoim bogom, że nas tu przywiedli w porę.

- I ja wdzięczny jestem na równi z wami - rzekł król - bowiem jednego mam tylko syna, a zwą go Mesen, jak mnie zwą Sulne, a gdy ja umrę, imię moje przejdzie na niego, a jego imię na syna jego.

Słowa te wyłożył Nasios mówiąc, że jedno z nich oznacza księżyc, a drugie - słońce i jest imieniem królewskim.

Białowłosy wszedł do izby i stał przez chwilę pocierając twarz. Wydawało mu się, że mróz tego wieczora jest jeszcze straszliwszy niżli wczoraj. Odetchnął głęboko ciepłym powietrzem przesyconym wonią oliwy.

- Tchnienie zamarzło mi w nozdrzach... - rzekł cicho z trudem poruszając wargami. Podszedł do ognia. Dotknął palcami nosa, pod którym podobnie jak na ustach czuł kryształki lodu.

Perilawos, który końcem noża przesunął w kociołku syczące placki, roześmiał się.

- Czy słyszysz, Terteusie? Któż uwierzy nam, gdy poczniemy opowiadać po powrocie, jak to Białowłosy wszedł niosąc w sobie zamarznąłą duszę, bo czymże innym jest tchnienie? Czy uwierzy nam kto? Nikt, bowiem trzeba to ujrzyć na własne oczy! Wszyscy wiedzą, że gdy zginie człowiek, dusza jego żyć może nadal i unosić się wokół ciała, a nawet mścić się na wrogach, lecz czy słyszał kto o człowieku, którego dusza zmarła, gdy on sam dalej kroczył żywy i zdrow?

- To prawda! - rzekł Terteus śmiejąc się. Odrzucił skóry legowiska i powstał. - Czy byłeś przy okręcie?

Białowłosy bez słowa skinął głową i przesunął się do ognia, oddychając głęboko i zacierając ręce. Na brwiach osiadł mu biały szron.

- Czy wicher nie zerwał dachu nad nim?

- Nie! - Z wolna sięgnął ku głowie i zdjął kaptur ze skór tak zimnych, że zachrzęściły, gdy cisnął je na legowisko. - Obłoki śnieżne odeszły i widać gwiazdy, a wiatr także ucichł... Lecz okręt jest zasypany tak, że gdyby nie blask owych gwiazd, nie odnalazłbym go, choć stoi tak blisko.

Czwartego dnia po nadejściu mrozów Terteus za zgodą króla, z pomocą całej załogi i młodzieńców z osady, dźwignął okręt, wyrąbując lód wokół burt toporami. Ustawili go wówczas na zamarznętej powierzchni jeziora tuż obok domów, tak aby gęsty las osłonił go od północnego wiatru. A gdy to uczynili, podparli mocno Angelosa, otoczyli płotem z wikliny i nakryli dachem, aby śnieg nie przysypał go zupełnie. Wszystko, co dało się unieść, zabrali z sobą do chat, sprawiając wielką radość królowi odnalezionymi dzbanami białej soli kreteńskiej. Zdawało się, że dla ludu owego, zagubionego pośród niezmiernych borów na krańcach świata, sól ta większą ma wartość niżli kruszcze, zresztą niemal mu nie znane. Nie mówiąc o najdroższym z metali, żelazie, którego niewiele można było ujrzyć i na Krecie, nie było w całej osadzie przedmiotów ze srebra lub złota, a jedynie kilka toporków i grotów strzał z brązu, zapewne wymienionych z kupcami, a mających inny kształt niżli te, które załoga Angelosa знаła dotąd.

- Bierzcie! - rzekł Perilawos wyrzucając nożem na glinianą misę placki i pochylając kociołek, aby oblać je gorącą oliwą.

Zasiedli i odcinając nożami kawałki, gdyż były one zbyt gorące, dmuchali na nie i unosili ku ustom.

- Świt wstanie niebawem... - Perilawos ziewnął i sięgnął po naczynie z wodą. Przechylił je i wypił kilka łyków. Spojrzał na Białowłosego. - Jeśli tchnienie twoje odtajało, cóż byś rzekł, gdybyśmy rankiem poszli na łowy do lasu? Zbyt długo trwała zawieja i trzymała nas pod dachem! Jeśli nie wyjdę dziś z chaty, niechaj nie ujrzę rodzinnych brzegów!

Białowłosy skinął głową i spojrzał na Terteusa. Który zdawał się nie słuchać ich, zajęty Jedzeniem. Usłyszał jednak.

- Idźcie! - mruknął z pełnymi ustami. - Młodzieńcy z osady także zapewne dziś wyruszą, bowiem nie ma już świeżego mięsa. - Urwał, a później dodał: - Czyście dostrzegli, że światłość dnia zdaje się coraz dłuższa, a noce krótsze?

- Czy pragniesz rzec, że ta straszliwa pora zbliża się ku końcowi? - Perilawos wzruszył ramionami. - Chłód zdaje się większy, niżli był wprzód...

Zamilkli.

- A przecież nadejdzie dzień - rzekł Terteus cicho - gdy na jeziorze ożyją wody, a okręt nasz zakołysze się i ruszy. Zagłębimy wówczas wiosła w wodzie, która przestanie być kamienna, a osada ta pozostanie za nami. Sam nie wiem, jak długo tu jesteśmy...

Westchnął. Wiele już dni minęło, odkąd lód skuł jezioro, tak wiele, że dawny świat począł wydawać się im nieprawdziwy jak ciepły, pełen kwiatów i barw sen, z którego budzili się każdego ranka pośród białej, zimnej pustyni smaganej północnym wichrem.

Białowłosy otarł palce w gruby skórzany kaftan i wstał.

Podszedł do drzwi, uchylił je i zamknął.

- Świta już - rzekł podchodząc do ściany, aby zdjąć z niej wiszący na kołku łuk. Napiął cięciwę i puścił. Zabrzęczała cicho.

- Nie wyruszę dziś z wami... - Terteus znowu westchnął. - Albowiem, jeśli prawdą jest, co mówią ludzie tutaj, ciepło nadejdzie wkrótce. Trzeba rozłożyć żagiel na śniegu i naprawić, gdyż nie uczyniliśmy tego wcześniej... Oby nadszedł już wreszcie dzień, gdy gotować będziemy się do drogi!

Z niecierpliwością ścisnął dłonie, aż zbieleły mu palce.

Straszliwa była ta beczynność. Wiedział, jak trudno będzie ponownie poprowadzić okręt, gdy wsiądzie nań załoga odwykła od wiosł i wysiłku. Gdyby nie łowy, które były jedyną ich rozrywką, pora ta przemieniłaby zapewne dusze ich w dusze niewiast. Spali zwlekając się na posiłki lub nucili pieśni wieczorami przy ognisku. To samo zresztą czynili młodzieńcy z osady, z którymi coraz łatwiej było się Kreteńczykom porozumieć, gdyż z wolna poczęli pojmować ich mowę.

Wydawało się, że z otaczającego świata zatopionego w mroku i śmierci spływa na ludzi drętwota, pogrążając ich w półśnie. Zdawali się obojętni na wszystko, prócz tego jedynie, aby nie zabrakło im jadła. Lecz cóż stanie się, gdy natrafią po wyruszeniu na niebezpieczeństwa większe niżli te, które napotkali dotychczas?

Niemal ze smutkiem pomyślał, że w tym zagubionym zakątku świata nic nie zmusza ich, by chwycili za broń i walczyli o życie, co kazałoby im przypomnieć sobie, że są mężczyznami.

Nawet na łowy szli niechętnie. Zresztą zwierzyny było w okolicy tak wiele, że ubicie paru saren lub zastawienie sidła na zające nie sprawiało trudności. Choć mróz nie ustępował, a cała otaczająca jezioro kraina zamarła pod lodową powłoką, ludzie z osady twierdzili, że pora ta nie jest surowsza niżli inne, poprzednie, a nawet łagodniejsza nieco.

Lecz to wydawało się Kreteńczykom nie do wiary. Czyż mogła istnieć pora bardziej nieprzyjazna człowiekowi?

Białowłosy i Perilawos wyszli z chaty. Powietrze było mroźne, lecz wydało im się, że mróz zelżał nagle.

Wąska uliczka, biegnąca od bramy do maleńkiego placu na krańcu osady, była niemal pusta. Nad pokrytymi śniegiem spadzistymi dachami unosił się gdzieś dym. Perilawos minął największy podłużny budynek, gdzie dawniej znajdowały się składy żywności, a teraz spało pokodem pięćdziesięciu żeglarzy Angelosa, i zbliżył się do jednej z małych chat, także przeznaczonych dla gości. Miała ona wąską sień, z której wchodziło się na prawo i lewo do kilku maleńkich izdebek. Zajrzał do jednej z nich.

Kamon i Metalawos, odziani już, siedzieli po obu stronach paleniska, ostrząc miecze na płaskich kamieniach, które polewali nieustannie wodą z glinianego dzbanka.

- Witaj, młody książę! - rzekł Metalawos wesoło. - Czy nadal pragniesz iść na łowy, czy też mróz zagna cię na powrót do chaty?

Lecz widząc, że obaj są w pełnym uzbrojeniu, gdyż szli na łowy z włócznią, łukiem i mieczem, a jedynie tarcze pozostawiali w osadzie, powstał i narzucił futrzaną opończę, trącając Kamona, który także uniósł się.

Niemal u bramy osady dołączył do nich syn królewski Mesen, który znał otaczającą osadę lasy lepiej niżli oni, a także kryjówki zwierza i drogi jego.

Gdy przeszli pomostem na pokryty śniegiem łąd, słońce wstało już i dzień rozpoczął się jasny i pogodny. Uderzył lekki podmuch wiatru. Lecz mróz zdawał się łagodniejszy z każdą upływającą chwilą i nie szczypał odkrytych twarzy.

Początkowo szli rozmawiając wesoło i podbiegając dla rozgrzania nóg, lecz wkrótce zagłębili się w wysoki cichy bór i umilkli.

Idący przodem Mesen nie odrywał oczu od śniegu wypatrując śladów zwierzęcych, które biegły krzyżując się w różnych kierunkach. Umiał poznać z ich wyglądu, jak dawno przeszło zwierzę, a nawet, czy było młode, czy stare, co wprawiało ich w podziw, gdyż żyjąc w krainach pozbawionych śniegu nie umieli z niego wiele wyczytać.

W pewnej chwili zatrzymał się i pochylił badając trop stada dzików, które brnęły ciężko w wysokich zaspach.

Dostrzec można było szerokie bruzdy tam, gdzie piersią i łbem przedzierały się przez śnieg.

Las był tu wysokopienny i wzrok sięgał dalej niżli w niskich, zarośniętych poszyciem zagajnikach i splątanej puszczy nad rzeką.

W pewnej chwili dostrzegli z dala małe stado saren, lecz nim zdołali podejść, kierując się pod wiatr, szybko nogami zwierzęta zostały ostrzeżone słuchem lub dostrzegły ich, bowiem nagle zaczęły biec skacząc z wysiłkiem przez zasy i zapadając w nie niemal po pierś. Po chwili mroczna głąb lasu pochłonęła je.

- Czy podążymy za nimi? - zapytał Białowłosa wskazując stronę lasu, w której zniknęły sarny.

Mesen przecząco potrząsnął głową. Uzbrojoną w lekki oszczep dłonią wskazał przed siebie.

Ruszyli dalej, okrążając wielkim łukiem jezioro i kierując się na powrót ku rzece na północy.

Las gęstniał i droga stawała się kręta, gdyż musieli obchodzić przysypane śniegiem pnie zwalonych drzew i gęsto rosnące kępy krzewów pokryte szronem. W pewnej chwili znaleźli się na zalanej słońcem roziskrzanej polanie i przystanęli. Miejsce było całkowicie osłonięte od wiatru. Dając im ręką znak, aby nie szli za nim, Mesen ruszył ku środkowi polany i zatrzymał się pochyłony, spoglądając w dół.

Stali zwrócenii ku słońcu, przysłaniając oczy i patrząc za nim.

I nagle po raz pierwszy od wielu dni Białowłosa poczuł, że padający mu na lica promień słońca niesie z sobą ciepła.

Mimowolnie dotknął dłonią policzków, obawiając się, czy nadmierne zimno nie spowodowało, że stały się one niewrażliwe na chłód, jak to się przydarzyło kilku innym żeglarzom ze złym skutkiem, bowiem w miejscach owych powstały im rany, które trzeba było leczyć długo odwarem z ziół przygotowanym przez stare niewiasty, pozostałe w osadzie.

Lecz nie, ciepły promień dotknął obnażonej dłoni.

Białowłosa uniósł rękę ku słońcu.

- Czyżbym był szalony? - rzekł Metalawos cicho i z przejęciem. - Gdyż wydaje mi się, że słońce tej krainy, które niosło nam dotąd chłód straszliwy, poczyna przygrzewać?!

Spojrzeli po sobie ze zdumieniem i radością, nie dowierzając swym zamysłom.

- Spójrzcie! - Kamon uniósł obie dłonie ku górze wskazując niebo. Zadarli głowy.

- Cóż dostrzegłeś? - spytał Perilawos. Niebo było błękitne i jasne, a nad głowami płynął jeden, zawieszony wysoko niewielki, samotny obłok.

- Wiatr! - Kamon nie opuszczał rąk. - Czyż nie dostrzegacie, skąd napływa owa chmurka?!

I wówczas pojęli go, a w serca ich wstąpiła niespodzianie wielka radość.

Bowiem wiatr, który od wielu dni gnał mroczne śnieżne nawałnice z północy i wschodu, pchał łagodnie ów obłoczek nadbiegając z południa!

W milczeniu spoglądali na przepływającą małą chmurkę, a później unieśli zwinięte w pięść dłonie i przyłożyli je do czoła, pozdrawiając ją. Albowiem była gościem z dalekiej ojczyzny i niosła zapowiedź wiosny.

Wpatrzeni w nią nie usłyszeli cichego nawoływania Mesena. Stał pośrodku polany przyzywając ich gwałtownymi ruchami rąk.

Zbliżyli się z wolna, ciągle jeszcze rzucając spojrzenia ku niebu, i zatrzymali się.

Ślady były głębokie i nierówne, jak gdyby zwierzę szło zatrzymując się i przysiadając. Wpatrywali się w nie, nie pojmując, jakie stworzenie je pozostawiło. Sprawiały wrażenie, jak gdyby odcisnął je gruby, bosy człowiek o krótkich, zakrzywionych palcach: lecz wiedzieli, że żaden z ludzi takich tropów nie mógł pozostawić.

Oczy ich zwróciły się ku Mesenowi. Stał wskazując kierunek, gdzie niknęły tropy. Powiedział coś w swej mowie, lecz nie pojęli go. Wyprostował się więc i wyszczerzywszy zęby uniósł ramiona kołysząc głową ku przodowi i na boki.

- Niedźwiedź! - zawołał Białowłosy.

On jeden z nich, mieszkając u podnóża gór trojańskich, widział kilkakrotnie z dala owego strasznego zwierza. Inni jedynie słyszeli o nim.

Spojrzeli po sobie, lecz Mesen ruszył już, położywszy uprzednio dłoń na ustach. Szedł wolno, rozglądając się.

Minęli gęsty zagajnik, który zwierzę obeszło kierując się ku północy. Patrząc na biegnący przed nimi widoczny głęboko w śniegu ślad, Białowłosy dostrzegł, że niedźwiedź szedł jak gdyby chwiejnie, zataczając małe półkola i przysiadając od czasu do czasu, gdyż pozostawił w śniegu dwa wielkie zagłębienia, a na brzegach ich nieco ciemnej sierści. Lecz nie był przecież ranny, bowiem pozostawiłby ślady krwi.

Szli dalej, szybko i cicho, nie schodząc z tropu. Wreszcie, gdy minęli małą polanę i ponownie zanurzyli się w wysokopiennym borze, Mesen zwolnił i szedł teraz ostrożnie, krok za krokiem, pochylony nisko, ściskając oszczep w dłoni i od czasu do czasu odwracając się, aby ruchem ręki powstrzymać pozostałych. Najwyraźniej pragnął, aby trzymali się nieco za nim.

Wreszcie zatrzymał się. Zbliżyli się powoli i przystanęli, wstrzymując oddech.

Niedźwiedź szedł niespiesznie, na czterech łapach, unosząc ciemną głowę, jak gdyby węsząc. Zbliżał się do gęstego zagajnika brzoźowego. Najwyraźniej nie odkrył ich obecności lub nie znając ludzi nie bał się nikogo i niczego w lesie, gdyż wspiał się na tylne łapy i począł drapać pazurami korę, najwyraźniej poszukując pod nią młodych soków bądź czyniąc to dla innej przyczyny, której nie mogli odgadnąć.

Mesen skinął głową i rozłożył ramiona na kształt półkola, wskazując oczyma niedźwiedzia. On jeden, znając obyczaje tego zwierza, pojmował, że ów przebudził się dopiero ze snu i zapewne w ciele jego nie drzemiały jeszcze potężne moce, które uczyniłyby go tak strasznym wrogiem w niewiele

dni później.

Ruszyli, oddaleni od siebie o kilka kroków, zbliżając się z wolna ku niedźwiedziowi, który usłyszał ich i obróciwszy głowę spojrział małymi oczyma, ukrytymi niemal w gęstym futrze. Z piersi jego wydobył się cichy, ostrzegawczy pomruk, lecz nie zwrócił się ku nim, a ruszył w zagajnik, oddalając się.

Wówczas Mesen podbiegł kilka kroków i wzięwszy szeroki rozmach, cisnął za nim swym lekkim oszczepem.

Białowłosy widział drzewce lecące niemal prosto ku oddalającemu się cielsku. Wydawało mu się, że syn królewski chybił, lecz włócznia spotkała niedźwiedzia i wbiła się w jego kark.

Usłyszeli nagły, straszliwy ryk i wielkie zwierzę zrobiwszy szybki zwrot, uniosło się na tylne łapy. Lecz najwyraźniej oszczep wbił się głęboko, gdyż niedźwiedź sięgnął łapą za plecy, kręcąc się w koło i rycząc nieustannie.

Perilawos podbiegł ku niemu, cisnął swą ciężką włócznią bojową o spiżowym ostrzu i odskoczył w tył, cofając się pośpiesznie ku stojącym, łon ugodził celnie. Włócznia wbiła się w brzuch zwierzęcia.

Niedźwiedź ryknął znowu, wyrwał włócznię i wlokąc za sobą wbity w kark oszczep ruszył ku ludziom, pędząc szybciej, niżli mogli się tego spodziewać. Z rany w brzuchu tryskała krew.

Szedł wprost na Białowłosego, który czekał z nastawioną włócznią i nagłą trwogą w sercu, bowiem wiedział, że choćby uderzył najcelniej, nie powstrzyma pędzącego ogromnego cielska.

W tejże samej chwili dostrzegł Metalawosa o potężnych ramionach i Kamona, którzy z krzykiem uderzyli na niedźwiedzia z dwu stron, kłując go włóczniami i odskakując pośpiesznie.

Wówczas uniósł swój oręż i cisnął z wszystkich sił mierząc w pierś zwierza. Ów zawahał się i uniósł na tylne łapy zwracając ku Metalawosowi, będącemu najbliżej.

Białowłosy widział lecącą włócznię i zacisnął zęby, gdy uderzyła pierś zwierzęcia. Lecz niedźwiedź wyrwał ją, runął ku przodowi i dopadł Metalawosa, który osłoniwszy się włócznią wbił ją głęboko w jego pierś tuż obok miejsca, gdzie uderzyła poprzednia.

Zaparłszy się obu nogami próbował utrzymać napierające zwierzę. Lecz nawet jego wielka siła była przeciw mocy potwora nie większa niżli siła dziecka. Włócznia wygięła się i pękła z trzaskiem.

Metalawos uskokzył. Niedźwiedź rozwarł straszliwie ramiona i patrzący zamarli sądząc, że nic nie uratuje dzielnego żeglarza. Lecz oto nagle wielki zwierz opadł na łapy, a później dźwignął się jak ranny człowiek i sięgnął ku piersi, jak gdyby pragnąc powstrzymać krew buchającą z niej i uciekającą wraz z życiem.

Mesen, Białowłosy i Perilawos przypadli z wyciągniętymi mieczami, a Kamon zabiegł z tyłu i trzymając włócznię oburącz, uderzył z wszystkich sił w kark zwierzęcia.

I wówczas niedźwiedź po raz ostatni straszliwym wysiłkiem wyprostował się na dwóch łapach, zastygł w mgnieniu oka i nagle zwałił się bezwładnie w śnieg.

Lecz żył jeszcze i długo lękali się podejść do niego, choć bowiem ciało potwora przebiegały przedśmiertne drgawki i leżał na boku, a oczy jego zaszły śmiertelną mgłą, jednak nadal wodził z wolna głową szczerząc ogromne żółte zęby. Z piersi jego wraz z krwawą pianą niósł się rżący warkot.

Aż wreszcie wyprostował się, głowa opadła i znieruchomiał.

Zbliżyli się i Metalawos ciął straszliwie w kark zwierzęcia, a później uderzył znowu i głowa potoczyła się w śnieg znacząc go ciemną, czerwoną krwią. Wówczas dopiero podeszli i oglądali go,

dziwiąc się straszliwym zębom i potężnym pazurom.

Później ucięli kilka wielkich gałęzi i ułożywszy na nich zabitego zwierza, poczeli ciągnąć go ku jezioru, powracając własnym śladem. Serca mieli wesołe, gdyż wielkiego pokonali przeciwnika, a przy tym mróz zelżał i świat cały odmienił się.

Stojące wysoko słońce zaczęło dogrzewać, a z drzew opadały grube kiście śniegu, spędzane jego ciepłym promieniem.

Ciągnęli więc ciężkie cielsko żartując i poganiając się nawzajem wesołymi okrzykami jak ci, którzy wiodą objuczone osły lub konie. Lecz że nie widzieli przyczyny do pośpiechu, a zabity niedźwiedź nie był lekki i z trudem wlekli go wymijając zwalone pnie, wykroty leśne i zasy, odpoczywali więc kilkakrotnie i wolno postępowali ku osadzie.

W pewnej chwili Mesen zatrzymał się, puścił gałąź i odszedł kilka kroków w bok, unosząc rękę na znak, aby zamilkli.

Stali spoglądając na niego i nie pojmując, czego poszukuje, gdyż po upolowaniu tak wspaniałego zwierza nie pragnęli dalszych łowów na nikczemniejsze stworzenia. Lecz dostrzegając, że Mesen zerwał nagle łuk z ramienia, uczynili podobnie.

A syn królewski bez słowa i nie odwracając się już ku nim ruszył w las śladem biegnącym obok ich śladów i odchodzącym ku wschodowi.

Zbliżyli się i spojrzeli. Ślad ów należał do człowieka. Pozostawiając niedźwiedzia, udali się za niknącym już wśród ośnieżonych krzewów poszycia Mesenem.

- Czemuż tak ściga ów trop? Mógł to być przecież któryś z naszych towarzyszy... - rzekł Perilawos półgłosem. - Lub jeden z jego ludu?

- Zapewne pragnie ujrzeć go i przekonać się, że nie jest to obcy przybysz...

Kamon zrównał się z nim. Metalawos i Białowłosa postępowali o kilka kroków z tyłu rozglądając się bacznie, choć także nie pojmowali, czemu Mesen idzie za owym śladem. Bo jakież wróg mógłby dotrzeć do owej krainy na krańcu świata w porze tak straszliwych chłódów i zawiei?

W pewnej chwili Mesen zatrzymał się. Gdy podeszli, dostrzegli, że ślad zatoczywszy łuk, towarzyszy w pewnym oddaleniu ich własnym, widocznym z dala śladom.

Ruszyli z wolna i teraz dopiero zaczęli odczytywać dzieje tropu: człowiek ów postępował zapewne nie tracąc ich z oczu i trzymając się pomiędzy nimi a rzeką. Szedł od drzewa do drzewa i najwyraźniej krył się, gdyż ślady wskazywały, że przystawał, a później pod osłoną pni i krzewów pokrytych śniegiem jak kopce, przemykał się dalej.

Doszli wreszcie do miejsca, gdzie świeża krew i zdeptany śnieg świadczyły o ich zmaganiu się z niedźwiedziem. Człowiek ów przypatrywał się walce z dala, stojąc za drzewem. Musiał tam być długo, gdyż wydeptał stopami zagłębienie, a gdy odeszli, ruszył za nimi.

W pewnej chwili towarzyszący im z dala ślad skręcił nagle ku wschodowi kierując się ku rzece. Postępowali za nim ostrożnie, aż wreszcie ujrzeli w dole szerokie, pokryte śniegiem zamrożone koryto. Wyraźny ślad biegł przez nie prosto ku drugiemu brzegowi i niknął tam w lesie.

Patrzyli nań, ukryci za drzewami na skraju lasu, starając się nie czynić najmniejszego szmeru, gdyż człowiek ów nie mógł być daleko.

Mesen dał im znak, aby cofnęli się, co uczynili bez słowa i ruszyli w głąb lasu rozmyślając nad tym, kim jest ów obcy. Pojęli, że nie mógł to być nikt z zamieszkujących osadę wojowników.

Powrócili do zabitego niedźwiedzia i zabrali go, lecz szli teraz cisi i czujni, rozglądając się. Mesen dał im znak, że pragnie ruszyć przodem i po chwili oddaliwszy się pospiesznie zniknął w

lesie, kierując się ku osadzie.

Gdy znaleźli się wreszcie nad jeziorem, dostrzegli dwóch ludzi, którzy minawszy bramę, skierowali się po ośnieżonym pomoście w stronę lasu i zniknęli w nim. Uzbrojeni byli w łuki i lekkie oszczepy.

Ciągnąc nadal swą zdobycz weszli na pomost. Brama otworzyła się i zamknęła za nimi. Stali przy niej czterej wartownicy uzbrojeni w długie oszczepy.

Wewnątrz osady wszyscy wylegli z chat. Książę wraz z Terteusem, królem i Mesenem stali przed domostwem królewskim rozmawiając. Towarzyszył im stary Nasios, a naokół gromadzili się uzbrojeni wojownicy.

Na widok nadchodzących wszyscy ruszyli ku nim i otoczyli sanie z gałęzi, podziwiając zabitego niedźwiedzia.

- Syn królewski - rzekł Terteus - przyniósł nam wieść o śladach obcego człowieka, napotkanych przez was w lesie.

- To prawda... - Kamon wskazał ruchem ręki jezioro.

- Szedł on za nami, a później podążył za rzekę, a my zawróciliśmy.

- Czyż wszyscy ci wojownicy uzbroili się na wieść, że jeden obcy pojawił się w okolicy?

Książę, który pochylił się nad leżącym niedźwiedziem i przypatrywał mu się ze zdumieniem i grozą, wyprostował się.

- Obawiają się, że nie przybył tu sam, bowiem nie sposób przypuścić, aby w porze zimowej ktokolwiek mógł przebyć samotnie lasy i krążyć wokół osady.

- Kimże więc jest?

- Może on być synem dzikiego wędrownego plemienia łowców leśnych, gdyż, jak powiada król, krążą one po bezkresnych borach tego północnego świata i jeśli natrafią na słabo bronione siedziby ludzkie, napadają na nie mordując mieszkańców i rabując wszystko, co mogą unieść. Dlatego wysłał dwu zręcznych młodzieńców, aby wybadali ślady za rzeką i naokół jeziora. Gdy powrócą, dowiemy się, co ślady owe mogą oznaczać. Lecz nim to nastąpi, nakazał swym wojownikom stanąć pod bronią, a ja uczyniłem podobnie z naszymi, bowiem nie wiadomo, co może grozić tej osadzie, mniej obronnej o tej porze, gdyż nie chronionej wokół wodami jeziora.

Lecz młodzieńcy owi nie powrócili, a gdy nastała noc, w serca wszystkich wśliznął się niepokój.

Z południa nadbiegał ciepły, rosnący wiatr. Śnieg zmiękł. Niebo zachmurzyło się i znikły gwiazdy. Kilku wojowników z osady, a wraz z nimi Metalawos i Białowłosa, pragnęło wyruszyć na poszukiwania, lecz król nakazał im czekać do świtu, bowiem młodzieńcy owi mogli zapędzić się daleko w ślad za obcym i być może spędzili noc w lesie, jeśli z dala dostrzegli, że należy on do wędrownego plemienia, którego zamiary chcieli lepiej poznać.

Ułożyli się więc do snu, pozostawiając gęste straże przy bramie, na drewnianej wieży i od strony zamrożonego jeziora, gdyż noc była nieprzenikliwa i gdyby wróg pragnął podejść niepostrzeżenie do osady, mógłby to uczynić.

Białowłosa śnił o niedźwiedziu. Widział przed sobą zbliżające się potworne, brunatne cielsko, pragnął cofnąć się i osłonić mieczem, lecz nie mógł się poruszyć. Niedźwiedź uniósł się na tylne łapy i runął na niego. Poczuł szarpnięcie i zbudził się z okrzykiem trwogi.

- Wstawaj! - zawołał cicho Terteus.

Chłopiec ocknął się i rozejrzał nie mogąc pojąć, gdzie się znajduje. Po chwili oprzytomniał i dostrzegł Perilawosa opasującego się pospiesznie i wsuwającego miecz do pochwy. Odruchowo sam

sięgnął po oręż.

- Wychodźcie! - zawołał Terteus. - Otoczyło nas obce plemię! - I wypadł z chaty.

Ruszyli za nim, porywając z sobą łuki, kołczany, ciężkie włócznie bojowe i tarcze.

Z wszystkich chat wypadali już uzbrojeni ludzie i biegli ku otaczającemu domy ostrokołowi.

Białowłosy wsunął się pomiędzy ściany domostw i wspiał na biegnące przy ogrodzeniu podwyższenie z ociosanych kłód, mające służyć obrońcom, aby mogli swobodnie spoza ostrokołu razić wroga, znajdującego się niżej na jeziorze.

Wyjrzał. Wstawał już świt, choć nad lasami zalegał jeszcze półmrok. Ciemne skłębione chmury sunęły nisko nad jeziorem, po którego białej powierzchni biegly ku osadzie maleńkie ciemne postacie. A z lasu wysypywały się wciąż nowe.

- Jeśli nie wiedzą, że tu jesteśmy, sądzą zapewne, że owej wsi na palach bronią niewielkie siły... - rzekł Perilawos wpatrując się w nadchodzących. Oparł włócznie o pale ostrokołu i ściągnawszy łuk z ramienia, wyjął z kołczanu strzałę i położył ją na cięciwie. Białowłosy uczynił to samo. Po lewej i prawej ręce wzdłuż całego ogrodzenia widział gęsto stojących obrońców.

Czekali. Terteus, który wszedł na wieżę i patrzył z niej próbując zliczyć siły nacierających, zbiegł w dół i dopadł króla osady, stojącego pośrodku uliczki prowadzącej ku bramie.

- Zapytaj go - rzekł szybko do starego Nasiosa, który nie opuszczał króla, aby nieść pomoc, jeśli Kreteńczycy nie będą mogli się z nim porozumieć - co możemy uczynić, jeśli dobiegłszy tu po lodzie wpadną na pomost, na którym stoi jego wieś? Bowiem jeśli toporami zaczną podcinać pale, gdy inni nacierać będą z wszystkich stron, pomost runie i zginiemy w roztrzaskanych domach nie' zdążywszy nawet stanąć do boju i utworzyć szyku, gdy rzucą się na nas i będą nas razić z bliska.

Król rozłożył ramiona bezradnym ruchem i rzekł:

- Jedyna nasza obrona w tym, by nie dopuścić ich blisko!

Terteus zmarszczył brwi. Przez chwilę stał ważąc włócznie w dłoni, wreszcie podbiegł do bogom podobnego Widwojosa, który zawołał wielkim głosem:

- Dzielni Kreteńczycy! Chwycie tarcze wasze i włócznie, bowiem musimy wrogowi stawić czoła w boju na jeziorze, inaczej przepadliśmy, a wraz z nami okręt nasz i nadzieja dnia powrotu!

Rzucili się ku niemu, opuszczając swe miejsca przy ostrokole i pobiegli ku bramie, którą rozwarli na oścież.

Napastnicy byli już pośrodku jeziora, biegnąc z wrzaskiem i wymachując wzniesionym nad głowami orężem.

Lecz nagle poczęli zwalniać i oglądać się za siebie, jak gdyby czekając rozkazu, gdyż oto ujrzeni przed sobą ludzi wybiegających z bramy na pomost, który łączył osadę z lądem. Ludzie ci mieli lśniące hełmy i wielkie podwójne tarcze, jakich nigdy nie widziano wśród puszcz północy, a gdy tylko minęli pomost, zeszli na pokryty śniegiem lód jeziora i utworzyli podwójny szereg, który ruszył równym powolnym krokiem ku nacierającym.

Napastnicy, widząc nieprzyjaciół na otwartej przestrzeni, przestali przybliżać się ku stojącej z dala osadzie i zwrócili się ku nim. Lecz najwyraźniej nie wiedzieli, co dalej uczynić, gdyż zbili się w kilka gęstych kup pośrodku jeziora, czekając zapewne na pozostałych, którzy nadal wysypywali się z głębi lasu.

Było coraz widniej. Białowłosy idący w pierwszym szeregu u boku księcia i Perilawosa, a mając po lewej młodego Orneusa, przypatrywał się z dala nieprzyjacielowi unosząc oczy ponad krawędź wielkiej tarczy.

Wojownicy owego leśnego plemienia odziani byli w skórzane kaftany i obcisłe spodnie z futra, włosom na zewnątrz, co czyniło ich podobnymi do leśnych bestii. Kudłate, pokryte długim włosom głowy mieli odsłonięte, a tylko jeden idący pośrodku, wokół którego zebrali się teraz, nosił futrzaną czapkę. Miała ona dwa otwory po bokach i wyrastały z niej rozłożyste rogi jelenie, kunsztownie przytwierdzone i kołyszące się, gdy nadchodził teraz lekkim, swobodnym krokiem, jak gdyby nie dbając o zbliżających się Kreteńczyków. Idąc wywijał trzymanym w ręce ciężkim kamiennym toporem osadzonym na grubym drzewcu.

Uniósł nagle ów topór i wydał chrapliwy, lecz donośny okrzyk, który podniósł się daleko aż ku drzewom lasu i powrócił od nich echem, nadlatując po powierzchni jeziora wśród ciszy, jaka nagle zaległa.

Na ów znak bezładne kupy barbarzyńców rozproszyły się nieco i załoga Angelosa dostrzegła, że zrywają oni, przerzucone ukosem przez plecy, długie, wąskie łuki. Lecz szyk kreteński nie zawahał się. Szli miarowo, a gdy pierwsza strzała świsnęła nad ich głowami i poszybowała w dal nad śniegiem, przyspieszyli nieco, unosząc wyżej tarcze.

Rogaty naczelnik plemienia wydał nowy okrzyk. Barbarzyńcy unieśli oręż i z wrzaskiem runęli na nadchodzących.

Bogom podobny Widwojos także uniósł dwusieczny, pradawny topór i wezwawszy mocnym głosem Wielką Matkę, ruszył im na spotkanie.

Dwa rzędy spiżowych włóczni pochyliły się i zabłyśły w świetle rosnącego dnia.

Przyspieszając kroku Białowłosy widział ciasno zbity tłum wrogów, dostrzegł już nawet ich otwarte do krzyku usta, lecz nie słyszał go.

Biegli coraz szybciej, starając się nie łamać linii szyku, i uderzyli z potężną siłą, rażąc nieprzyjaciół spoza muru zwartych tarcz. Przez mgnienie oka dwuszereg zachwiał się natrafiwszy na pierwszy opór zbitej gęstwy nieprzyjaciół, lecz wnet zwarł się znowu.

Odrzuciwszy włócznię z braku miejsca do zadania pchnięć, ci, którzy byli na czele, razili straszliwie spiżowymi mieczami nie osłonięte ciała wrogów. A włócznie drugiego szeregu wysuwały się i kęsały jak głowy węzów, wpadając w skłębiony tłum ciał.

Białowłosy uniósł miecz, dostrzegł kątem oka wykrzywione dzikie oblicze i potężne ramiona wznoszące kamienny młot, który opadł na tarczę walczącego Orneusa, wytrącając mu ją.

Młody Kreteńczyk padł na twarz, pociągnięty ku przodowi, gdyż nie zdołał wyswobodzić ręki z uchwytu własnej tarczy.

Ratując go Białowłosy ciał mieczem z całych sił, uderzając wroga wznoszącego młot do powtórnego uderzenia. Cofnął rękę, napał tarczą i pchnął znowu, czując jak ostrze zagłębia się w miękkim ciele. Oczy barbarzyńcy otwarły się szeroko, a z piersi wydobyło się ochryple rżenie. Napierany z tyłu, padł ciężko pod nogi walczących, okrywając swym ciałem ciało Orneusa, buchające krwią ze straszliwej rany zadanej toporem, który niemal odrąbał mu ramię, przeciąwszy pancerz.

Białowłosy dostrzegł to, a nawet zdumiał się, gdyż nie wiedział, kto zdążył zadać Orneusowi ów cios. Lecz wszystko to działo się w mgnieniu oka, tak szybko, że sam później nie mógł pojąć, jak owe pędzące, przemieniające się obrazy pozostały w jego pamięci. Bowiem, zaledwie spojrzał na leżącego Orneusa, przed oczyma jego wyrosła nowa postać z uniesionym toporem i błyskawicznie osłonił się tarczą, na którą spadło potężne uderzenie, niemal zwalając go z nóg. Machnął na oślep mieczem, lecz ostrze przecięło pustkę.

Oto niespodzianie barbarzyńcy rozpierzchli się. Zadał jeszcze jeden cios i nagle wrogowie zniknęli, nie było ich już w zasięgu dłoni. Ujrzał przed sobą przestrzeń jeziora i pochylone grzbiety uciekających postaci, gnających ku ścianie lasu.

Wraz z innymi wydał zwycięski okrzyk i rzucił się w pogoń przeskakując przez nieruchomych umarłych i wijące się ciała, rannych.

Z uniesionymi mieczami gnali leśnych ludzi przed sobą, mordując każdego, którego dopadli, i biegnąc dalej bez zatrzymania i bez wytchnienia.

Dopiero teraz spostrzegł, że mieszkańcy osady także wzięli udział w boju. Lecz jak znaleźli się na jeziorze, nie wiedział.

Zapewne wypadli z osady i uderzyli z boku, aby wspomóc swych gości toczących ciężki bój z przeważającym liczebnie wrogiem. Być może nawet ich natarcie przeważało i wpędziło lęk w serca leśnego ludu, pewnego, że natrafi na niewielki opór małej wsi nie oczekującej napaści i pozbawionej ochrony otaczających ją wód jeziora.

Powracali dysząc ciężko i rozglądając się. Białowłosy dostrzegł Perilawosa i jego boskiego ojca, a obok Terteusa, który pochylił się i otarł miecz o połę skórzanego kaftana zabitego barbarzyńcy. Szli ze zwieszonymi głowami, choć weseli, trzymając nadal w dłoniach obnażony oręż.

Obejrzał się. Z lasu dochodziły przytłumione okrzyki. To młodzieńcy z osady ścigali pozostałych przy życiu napastników.

Perilawos widząc go uniósł rękę.

- Pierzchnęli jak płochliwe ptactwo na widok orła! - zawołał wesoło, lecz nagle spoważniał. Dostrzegł leżące na ziemi ciało człowieka w kreteńskim hełmie.

Boski Widwojos zatrzymał się i ukląkł przy leżącym odwracając jego lico ku światłu. Człowiek ów nie żył. Straszliwy cios kamiennego młota rozbił mu głowę, tak że nie umieli nawet rzec, jakie nosił imię, nie mogąc go rozpoznać. Dowiedzieć się mieli tego później, licząc żywych.

Dalej Białowłosy dostrzegł drugiego zabitego Kreteńczyka i nagle przypomniał sobie Orneusa, którego znał dobrze i polubił, bowiem wiele rozmawiali z sobą tej zimy. Przyspieszył rozglądając się po śniegu usianym ciałami barbarzyńców. Tam, gdzie leżało najwięcej trupów, było miejsce pierwszego starcia.

Poznał z dala leżącego i przyspieszył. Ukląkł przy nieruchomym ciele.

Orneus leżał jak padł, lecz wokół jego głowy urosła wielka kałuża krwi, jaskrawo barwiąc zdeptany śnieg. U nóg jego spoczywał z rozkrzyżowanymi ramionami trup leśnego człowieka, którego zabił Białowłosy. Cios topora niemal odrąbał ramię młodego żeglarza. Umarł już zapewne, gdyż zbyt wiele krwi z niego wypłynęło. Oczy były zamknięte, a wykrzywiona grymasem bólu twarz, nieruchoma.

Dwaj nadchodzący ludzie zatrzymali się nie opodal.

Białowłosy uniósł głowę. Byli to Terteus i Harmostajos.

W milczeniu spoglądali na ciało.

- To Orneus... - rzekł Białowłosy widząc, że zbyt ciche były to słowa, gdyż poznali leżącego. - Walczył przy mnie. Ośloniłem go, gdy padł. Ktoś zadał mu cios, leżącemu... Nie widziałem tego...

Chciał dodać coś jeszcze, lecz nagle powieki leżącego drgnęły.

- Żyje! - rzekł Terteus i ukląkł obok Białowłosego.

Harmostajos pokręcił głową ze smutkiem.

- Nie ujrzy już zachodu słońca... - rzekł cicho. Odsunął się o kilka kroków i wzrok jego spoczął

na ciele jednego z barbarzyńców, niemal niewidocznym, gdyż przywalały je zwłoki dwu innych. Lecz głowę nadal nakrywała skórzana czapka, choć jeden z rozłożystych rogów złamał się w chwili upadku.

- To wódz owego ludu! - zawołał Harmostajos i pochylił się, by zerwać czapkę z głowy zabitego człowieka, gdyż był ciekaw, jak owe rogi trzymały się na głowie nawet wśród walki.

Lecz Terteus i Białowłosey nie usłyszeli jego wołania.

Bowiem Orneus otworzył oczy i uśmiechnął się.

- Odchodzę... - szepnął.

Jego błędzący wzrok zatrzymał się na licu Białowłosego i nagle w oczach umierającego pojawiła się trwoga.

- Nie czyń mi zła, gdy odejdę...

- Czyżbym ja lub kto inny miał czynić ci zło? - Chłopiec potrząsnął głową. - Usypimy ci piękny grób i złożymy ofiary, abys nie błędził i nie żywił do nas żalu. Bowiem padłeś walcząc dzielnie. A gdy wejdiesz do Krainy Mroku, umarli bohaterowie przyjmą cię między siebie.

- W Atenach... - wyszeptał Orneus z wysiłkiem - przybył sługa kupca egipskiego Re-Se-Neta... pana mojego... gdyż byłem jego niewolnikiem... i oficer Minosa z rozkazem, aby cię zawieziono na powrót do Knossos...

Przymknął oczy. Słuchali go nie wierząc własnym uszom. Orneus jęknął cicho, lecz zebrał ostatek sił i ciągnął:

- Tak chciał Minos, którego uprosił kapłan przybyły z Egiptu... a ja... mnie kazał kupiec Re-Se-Net udać się na wyprawę... abym przekazał mu... jaką drogą bursztyn przybywa... w Atenach, gdyby Tezeusz nie wydał cię Minosowi, miałem cię wprowadzić w zasadzkę... tak chciał mój pan, kupiec Re-Se-Net... obiecał wolność mnie i całej rodzinie... Lecz Tezeusz dał im innego jasnowłosego chłopca... nie ciebie... A ciebie zapewne... dostarczył na okręt w pithosie... aby nikt nie wiedział... Nie mścij się na duchu moim... Miałem cię wprowadzić w sidła. Nie mścij się.

Spoglądali na niego w milczeniu.

Zamknął oczy i wydało im się, że umarł. Lecz otworzył je po chwili. Widać było na licu walkę, którą toczył ze swą ostatnią słabością. Jak gdyby pragnął odsunąć nadchodzącą nieubłaganie śmierć, aby zdążyć powiedzieć wszystko. Patrzył na Terteusa.

- Wiem... jest ktoś... nie wiem kto... ma rozkaz... zabić... księcia i syna jego, gdyby udało im się ująć z Troi... Nie wiem kto... - powtórzył cicho. - lecz pan mój... Re-Se-Net wiedział i powtórzył mi... Abym ratował się, gdy to nastąpi, i wracał do Knossos... Pragnie wiedzieć... jak to się odbędzie... czy ród Byka zginie... Morderca nasłany przez Minosa... jest tu... z nami... jest tu...

- Któż to jest?! - zapytał Terteus pochylając się nad nim.

Byłby go pochwycił za ramiona i potrząsnął nim, lecz w porę ujrzał straszliwą ranę i pohamował się.

Dusza Orneusa gotowała się już do drogi. Otworzył usta.

- Nie mścij się... na mnie... pamiętajcie... rzekłem wam...

Uniósł powoli zdrową rękę ku licu i dotknął nią czoła pozdrawiając Wielką Matkę, do której powracał.

Krew ukazała się na wargach. Zakasłał i wyprężył się, a później ciało jego zwiotczało nagle i z szeroko otwartych oczu zniknęło życie.

Terteus dzwignął się ciężko i spojrział na rozciągnięte u ich stóp zwłoki.

- Czyżby nadchodząca śmierć pomieszała mu zmysły? - rzekł niepewnie.

Lecz zarówno on jak i Białowłosa uwierzyli umierającemu.

- Aż tu sięgnęła jego moc... - rzekł chłopiec cicho. - Zapomniałem już o nim niemal, lecz odezwał się do mnie w tym odległym zakątku świata!

- Kto? - Terteus nie pojął go. Myślał o ostatnich słowach Orneusa.

- Sebek - rzekł Białowłosa. - Ów bóg z paszczą krokodyla, któremu byłem poświęcony.

- Lecz nie dosięgnął cię i oto sługa jego leży martwy, a ty żyjesz... - Terteus zniżył głos. - Cóż powiesz księciu?

- O nim czy o owym nasłanym mordercy, który kryje się pośród nas?

- O tym drugim! - Terteus niecierpliwie wzruszył ramionami. - Któż nim jest? Chłopiec potrząsnął głową.

- Orneus wiedział jedynie, że Minos posłał tamtego, aby wśliznął się do załogi Angelosa... Być może był jednym z tych, którzy zginęli...

- Niewielu nas zginęło... trzech jedynie, jeśli nie liczysz tych, którzy dziś padli... - Terteus zasępił się. - Jakby nie dość było niebezpieczeństw, które czyhają w otaczającym nas świecie! Cóż, jeśli mamy z sobą mordercę, witamy go co dnia, dzielimy się z nim jadłem i pokładamy w nim wiarę jak w każdym z nas!

- Jeśli jest on wśród nas, czemuż jeszcze nie zabił księcia lub syna jego? A nawet nie próbował tego uczynić skrycie, choć w podróży tej wiele miał sposobności, choćby dziś w boju, gdy nikt nie miał możliwości poznać wśród zamętu, kto i komu zadaje ciosy! Gdyby znalazł się u boku księcia i pchnął go szybko, nawet sam bogom podobny Widwojos konając nie wiedziałby, że ginie od kreteńskiego miecza!

- To prawda... - rzekł Terteus po namyśle. - Lecz może sądzi, że jeszcze nie pora uderzyć. Książę jest naszym wodzem i jego święty topór prowadzi nas do zwycięskich bojów. A gdy spojrzysz wstecz na naszą wyprawę, uwierzysz, że bogowie czuwają nad nim i odwracają od niego pewną śmierć, a wraz z nim i od nas. Być może więc morderca ów czeka i będzie czekał tak długo, aż znajdziemy się w świecie, w którym znane mu będą ścieżki powrotu do ojczyzny. Wówczas, powodowany lękiem, posłuszeństwem czy też nadzieją nagrody, wykona rozkaz króla, a Widwojos i syn jego nie ujrzą już więcej ojczystej przystani.

- Gdybyś nawet miał słuszość, a Orneus rzekł prawdę, coż pragniesz uczynić? Jakże wykryjesz mordercę, póki nie uderzy? Czy sądzisz, że zdradzi ci swą tajemnicę, aby go załoga posiekała mieczami na strzepy i rzuciła je psom, odmawiając zwłokom jego pogrzebu, a duszy ofiar?

- To prawda... - Terteus westchnął. - Nie powie on nam tego... - Uniósł głowę. - Lecz miej otwarte oczy! Ja także będę czuwał.

- Czy ostrzeżemy księcia i Perilawosa?

Terteus zawahał się.

- Odbierze im to spokój. Źle jest, gdy wódz nie ufa swym ludziom. A będzie widział w każdym z nich mordercę... póki nie przekona się, który jest nim naprawdę! - Roześmiał się ochryłym, bezradnym śmiechem. - Wstrzymajmy się nieco, bowiem wierzę, że póki nie zwróciliśmy dziobu okrętu naszego ku południowej stronie, człek ów nie uderzy. On także pragnie uratować swój żywot i ujść zdrowo z tych krain pełnych dziwów, a nie pomoże sobie, gdy zgładzi wodza wyprawy i jego syna, siejąc nieufność i nienawiść pomiędzy pozostałymi. Bogowie, a coż to?

Uniósł głowę i spojrzał niemal z lękiem w pochmurne niebo. Białowłosa także to uczynił.

Zmrużył oczy. Jedna kropla, druga, trzecia.

Uniósł pięść do czoła i pozdrowił niebiosą nad głową.

Bowiem stała się rzecz zdumiewająca. Na las, na jezioro, na domy osady, na żywych i umarłych począł padać deszcz.

Sam bądź księciem

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Poślubisz ofiarę, którą odrzucę

Sternik Eriklewes, który żywot cały żywot spędziwszy na morzu wychudł i postarzał się wielce podczas owej zimy w osadzie, odżył nagle, a oczy jego nabrały blasku, gdy wyprowadził Angelosa na jezioro po spłynięciu lodów.

Okręt także ucierpiał owej zimy. - Dno przeciekało i Terteus wraz z dwoma najbardziej doświadczonymi żeglarzami uszczelniał je przez dwa dni nim orzekł, że gotowy jest do odpłynięcia.

A gdy chwila owa nadeszła i zanurzyli wiosła w wodę, serca ich przepełniła radość, lecz pomieszana ze smutkiem, bowiem wiele dni spędzili w owej osadzie na palach, a oto żegnali na zawsze ów widok, do którego zdążyli przywyknąć, i ludzi, których poczciwość poznali, mieszkając pośród nich.

Gdy dziób skierował się ku rzece pożegnali też ostatnim spojrzeniem i uniesieniem rąk wysoki kopiec na brzegu jeziora, gdzie w kamiennym grobie spoczywali leżąc obok siebie ich czterej towarzysze, którzy już nigdy nie zasiądą z nimi przy wiosłach i nie połączą głosów swych z ich głosami w pieśni śpiewanej przy wieczornym ognisku na nie znanych jeszcze brzegach, ku którym zmierzali.

Następnego dnia osiągnęli skraj puszczy i zanurzyli się w krainę trzęsawisk, spędziwszy uprzednio noc w sąsiedniej, niewielkiej osadzie. Towarzyszył im w dalszej drodze młody Mesen z czterema wojownikami, znającymi dobrze całą ową krainę, a wraz z nimi człowiek z owej drugiej osady. Dużą wydrążoną z jednego pnia łódź, którą mieli powrócić, przeprowadziwszy Angelosa przez wodne bezdroża, uczepiono na sznurze za okręt. Wkrótce po odbiciu od brzegu Terteus pojął, że gdyby nie oni, okręt wraz z załogą zgubiony byłby bez ratunku wśród krzyżujących się, wezbranych, okrążających niezliczone wysepki nurtów.

Drugiego dnia w południe zanurzyli się w gęstą, ciemną mgłę. Nabrzmiąte wiosennym przyborem wody rzeki płynęły szeroko rozlane i powolne, wiatr ustał, a mroczne opary otoczyły Angelosa tak ciasno, że wiosłarze zaledwie dostrzegali końce wiosł. Stojąc pośrodku okrętu nie można było dojrzeć jego dziobu. Angelos posuwał się powoli, przedzierając przez niewidzialną, szumiącą leniwie wodną równinę, a stery przejęli z rąk Eriklewesa mieszkańcy osady. Oni też wypatrywali przeszkód stojąc na dziobie, choć gdy mgła rozwiewała się chwilami, dostrzec można było jedynie płaski, niski krajobraz wodny, zarośnięty aż po widnokrąg trzcina i ogołoconymi z liści niskimi krzewami.

Spoza skłębionego obłoku białej mgły docierały przytłumione, blade promienie słońca, a cisza była wielka, gdyż nie słyszeli nawet krzyku ptaków wodnych, które może unikały tej posępnej krainy, a być może, wygnane\ zimą do cieplejszych okolic, nie powróciły tu jeszcze.

Po trzech dniach mgła ustąpiła, lecz nadal płynęli przez okolicę wielu grząskich jezior i stłumieni biegnących wśród nieskończonego, szumiącego morza trzcin. Otaczały one rzekę, tworząc wodny świat, aż po granicę widnokrzęgu pokryty błyskającymi szaro zwierciadłami nieruchomych wód, zielonkawych bagien i podmokłych wysepek, nad którymi stał ciężki opar bagienny nie rozwiewający się nigdy.

Pośród tego rzeka parła z wolna, zalewając szerokie, bagniste mielizny, tocząc mętne, muliste wody głównym, krętym korytem i niknąc w oddaleniu, gdzie oko nie napotykało żadnego drzewa ni wzgórza.

Gdzieniedzie leżał jeszcze na płatkach topniejącego lodu śnieg, a choć zima ustąpiła już, chłód był nocami przejmujący i wioślarze szczękali zębami, dziękując bogom za to, że przezornie wzięli z sobą futra i skóry zwierzęce, które tak dobrze służyły im dotąd podczas minionych mroźnych miesięcy.

Więc choć Mesen i pozostali wojownicy z osady na palach zachowywali spokój, jak gdyby nie dostrzegając grozy wiszącej nad widnokrzęgiem, niejednen z Kreteńczyków wpatrywał się w mijany krajobraz nasłuchując, czy nie usłyszy z dala łoskotu wód wpadających do ostatecznej otchłani, za którą nie mogło być nic, prócz śmierci.

Przez cztery dni i nocę stopa żadnego z nich nie tknęła ziemi, a jednak na piąty dzień w południe, gdy słońce przebiło się przez rozsnuty nad morzem trzcin szary opar, dostrzegli niską, rozległą wyspę, a być może wysunięty przylądek przytykający do rzeki, na którym ukazały się drzewa, pozbawione jeszcze liści i szare jak cały otaczający świat, a jednak drzewa, wysokie i górujące nad płaskim krajobrazem.

Gdy zbliżyli się wiosłując z wolna i kierując dziób okrętu ku owemu lądowi, ujrzeli wielką, szeroko rozrzuconą wieś, a nad dachami jej wysokie błękitne smugi dymu, które, łagodny wiatr pochylał ku północy, rozwiewając je i mieszając z pasmami mgły osłaniającej wnętrze lądu.

Zatrzymali się w pewnej odległości od brzegu, a Mesen wraz ze swymi współplemieńcami popłynął ku brzegowi wydrażoną łodzią.

Stojąc na podwyższeniu dziobu książe i Terteus patrzyli na szeroko rozrzucone niskie domy, z których wysypywali się ludzie i biegli ku granicy wód, by spojrzeć na zdumiewający, ogromny okręt, jakiego zapewne nikt tu nie widział i nie miał nigdy ujrzeć. Z dala mogli dostrzec, że część mieszkańców była uzbrojona, lecz drugą część, przeważającą, stanowiły kobiety i dzieci. Najwyraźniej nie obawiano się tu obcych najeźdźców. Zresztą wieś nie była nawet otoczona ogrodzeniem lub wałem ziemnym, co także zdawałoby się o tym świadczyć. Niezmierzone bagna i rozlane naokół wody krętych rzek i strumieni stanowiły twierdzą, przez której labirynt żaden wróg nie zdołałby się przedostać bez pomocy urodzonego tu przewodnika, który cały swój żywot spędził przemierzając te okolice. A były to bagna ogromne, wielkie niemal jak stepy, przez które płynęli jesienią po wielkiej rzece.

Łódź dobiła do brzegu. Wokół schodzącego na ląd Mesena i jego towarzyszy zgromadził się tłum i przesłonił ich postacie ludziom patrzącym z okrętu.

Lecz najwyraźniej całą tę krainę zamieszkiwał jeden lud, a sąsiadujące osady nie pozostawały z sobą w wojnie i nienawiści, gdyż rozmowa na brzegu przebiegała spokojnie, jak gdyby mieszkańcy wsi znali przybyszów.

W pewnej chwili tłum rozstał się nieco i Terteus dostrzegł Mesena ukazującego okręt wysokiemu siwemu człowiekowi, wspartemu na długiej wyrastającej mu nad głową lasce. Starzec

ów stał nieruchomo, a otaczający tłum trzymał się w pewnym oddaleniu od niego, jak gdyby przez uszanowanie.

- Zapewne jest to ich wódz lub kapłan... - rzekł Terteus do księcia. - Choć można by sądzić, że nie mają oni kapłanów, a naczelnicy wioski sami rozmawiają z bogami i składają ofiary, co wydaje mi się słuszne, gdyż ojciec mój także składa je w imieniu całego ludu.

- I moi przodkowie przynieśli na Krete godność królewską połączoną ze składaniem ofiar... - Widwojos patrzył na brzeg, na którym Mesen mówił wskazując ręką okręt.

- A przybyli z Grecji, jak głosi stare podanie, lecz nie byli tam długo, gdyż szli z północy wiodąc stada. Nim wsiedli na okręty, byli ludem dosiadającym koni i nie mającym siedzib. Cześć dla Byka zastali na wyspie, a gdy zdobyli ją, uznali go za swego boga, połączywszy starą wiarę z nową. Albowiem jak wiele innych ludów czcili w swej wędrówce, a i przedtem zapewne, Wielką Matkę. I dlatego, choć jesteśmy potomkami Byka, jedna z kobiet mojego rodu zawsze była Ariadną, Uosobieniem Matki, która zstąpiła na ziemię! - Roześmiał się pogodnie. - Któż wie zresztą, czy byli oni krewnymi owych ludów? Albowiem narody daleko potrafią wędrować, jeśli gna je pragnienie zdobyczy, głód lub trwoga. Być może przybyliśmy i my z owych północnych krain, a twoi lub moi przodkowie także zamieszkiwali czas pewien pośród owych bagien?

Urwał, gdyż Mesen wraz z towarzyszami wszedł do łodzi i odbił od brzegu. Ujawszy wiosła, zanurzyli je szybko i ruszyli ku okrętowi. Po chwili byli już przy burcie. Stary Nasios zbliżył się do księcia, lecz wszyscy Kreteńczycy znali już na tyle mowę ludów północy, że pojęli słowa Mesena, nim starzec zdołał je im wyłożyć.

- Chętnie przyjmą was oni! - zawołał Mesen. - Jest bowiem zwyczajem tej krainy przyjazne goszczenie obcych, których niewielu się tu pojawia. Lecz gdy dowiedzieli się, że jest was niemal stu, zafrasowali się, albowiem o tej porze cierpią na brak jadła, a prócz ryb, których tu zawsze jest pod dostatkiem, niewiele więcej mają i dla siebie! Resztę pozostałego z zimy ziarna poświęcić muszą na siew, a świni lub owcy nie mogą zabić choćby jednej, gdyż wszystkie niemal zabili już w czas mrozów, a pozostałe muszą zatrzymać przy życiu, inaczej nie mieliby z czego rozmnożyć znów wiosną ich rodzaju. Lecz rzekłem im, że mamy na okręcie dość ziarna, miodu i suszonego mięsa, a pragniemy jedynie wypocząć przy ognisku pod dachem i rozprostować członki, nim wyruszyście w dalszą wędrówkę.

- Dodaj także, dobry Mesenie, że obdarujemy króla owej wsi odpływając! - zawołał bogom podobny Widwojos.

Gdyby ktokolwiek rzekł w owej chwili Terteusowi, że w zagubionej wśród trzęsawisk barbarzyńskiej wiosce stanie się coś, co przemieni cały jego żywot, być może, uwierzywszy wyroczni, pomyślałby, że zdradziecko rzucony oszczep lub wypuszczona z ukrycia strzała mogą go okaleczyć tak, iż nigdy już nie będzie zdolny do podźwignięcia miecza. Nawet najdzielniejszych i najbardziej przezornych spotykały bowiem podobne nieszczęścia. Lecz szczęście? Jakiegoż szczęścia mógł spodziewać się tutaj on lub ktokolwiek z załogi Angelosa?

Jednak, że nikt niczego mu nie wróżył, niczego też nie przewidywał teraz, gdy wszedłszy za księciem do dużej izby w domu króla owej wioski, rozejrzał się mrużąc oczy, bowiem nie miała ona okien, a oświetlał ją jedynie migotliwy blask padający na ściany z obłożonego gładkimi kamieniami paleniska, na którym płonął wesoły ogień.

Zasiedli do stołu na dwu stojących naprzeciw siebie prostych ławach. Prócz księcia, Perilawosa, starego Nasiosa, Terteusa i Mesena, który był synem wodza, zajął tam miejsce jedynie król wioski

wraz ze swymi czterema synami, a także, co zdziwiło gości, wysoka i smukła dziewczyna, zasiadająca po prawej ręce króla na tejże co on ławie. Nie ruszyła się ona też, gdy inne dziewczęta wniosły miski z polewką rybną i szeroki pękaty dzban miodu.

Bogom podobny Widwojos, przyjąwszy miejsce za stołem, pytał króla wioski o sprawy, które go ciekawiły, a ów odpowiadał rozważnie i bez zmieszania, okazując rozum i jasny sąd zadziwiający u człowieka, który cały swój żywot spędził pośród bagien, nie znając szerokiego świata ni obyczajów dworskich. Lecz zarówno król jak i jego synowie jedli wstrzemięźliwie i bez łapczywości, a postawa ich i zachowanie pełne były godności i zgoła nie barbarzyńskie.

Dziewczyna u krańca stołu siedziała z opuszczonymi oczyma i nie uniosła ich ani na mgnienie ku obcym, którzy rzucali na nią ukradkiem ciekawe spojrzenia, wiedzieli bowiem, że nie jest w zwyczaju ludów tu zamieszkujących spożywanie posiłków w przytomności niewiast, a szczególnie gdy przyjmowali u siebie obcych przybyszów. Lecz zapewne obyczaje owej wsi były nieco inne niżli tych, które poznali dotąd.

Choć blask ognia zaledwie ukazywał jej oblicze, siedzący naprzeciw dziewczyny Terteus dostrzegł, że jest piękna. A choć była rosła i dorodna jak dojrzała niewiasta, twarz jej była niemal twarzą dziecka. Chciał zagadnąć ją uprzejmie, lecz że bogom podobny Widwojos mówił właśnie do króla, a ów słuchał, nie byłoby rzeczą przystojną mówić równocześnie z nim. Niewiele zresztą znał słów w jej mowie, a nie wiedział, czy nie poczytano by mu tego za grubiaństwo lub nie wzięto za zaczepkę, gdyby odezwał się do niej pierwszy, choćby zachęciła go nawet spojrzeniem.

Tak więc siedział, pił parząc sobie usta rybną polewką i rzucał ukradkowe spojrzenia ku dziewczynie, a im dłużej na nią spoglądał, tym bardziej wydawała mu się piękna. Pomyślał także, że jest smutna, lecz nie mogąc spojrzeć w jej oczy nie umiał rzec, czy nie było to złudzeniem. Być może lico jej przybrało tak poważny i skupiony wyraz, gdyż wobec obcych mężczyzn nie godziło się jej uśmiechać i strzelać oczyma dokoła.

Bogom podobny Widwojos także spojrział na nią kilkakroć i chciał zapytać króla uprzejmie, kim jest owa piękna dziewczyna, gdyż był przeświadczony że musi być ona jego córką, bowiem istniało pewne podobieństwo między nią a czterema królewskimi synami. Zresztą gdyby nią nie była, nie zajmowałaby zapewne tak poczesnego miejsca, lecz zajęta byłaby wraz z innymi dziewczętami, usługującymi gościom.

Król sam uprzedził jego pytanie.

- Zapewne i w twoim kraju, dostojny wodzu, niewiasty nie towarzyszą dojrzałym mężom podczas uczty. My także nie czynimy tego. I ona, choć jest jedyną córką moją, nie zasiadłaby tu, lecz gdy nadszedł dzień i dziewice mego ludu ciągnęły losy, sięgnęła dłonią i wyjęła spośród wielu ukrytych w dzbanie żółędzi jeden, wydrażony i wypełniony ziarnem świętego kłosa, pierwszego, który padł pod kamiennym sierpem w czas zeszłorocznego żniwa. Od owej chwili dawne jej imię zostało zapomniane i zwie się Wasan...

Zamilkł, a stary Nasios wyłożył im to imię jako Wiosna, pora, gdy zima odejść musi.

- I tak będzie się zwała do dnia, gdy zakwitnie pierwszy żółty kaczeniec, kwiat, któremu słońce podarowało swą świętą barwę. Do owego dnia też zasiada przy stole moim, a żywi się nie tym jadłem, które my jemy, lecz plackami, miodem i mięsem przechowywanym dla niej w mroźnej porze. Albowiem są to ofiary, które musimy złożyć bogu. Mówię wam o tym, abyście widząc ją, spożywając ów posiłek nie sądzili, że przyjmujemy was posiłkiem lichszym, niżli sami jemy.

Bogom podobny Widwojos zdumiał się i chciał zapytać, czy piękna córka królewska znów

powróci do swego imienia, gdy zakwitnie ów pierwszy kwiat wiosenny, lecz uznał, że w sprawach bogów i obrzędów nie należy pragnąć wiedzieć więcej, niżli mówią ci, którzy im cześć oddają. Zapytał więc uprzejmie o to, czy w Krainie tak bagnistej wiele jest miejsc, które można by obsiać ziarnem, i jaki plon ono daje. A król odpowiedział mu równie uprzejmie, choć można było dostrzec, że na chwilę zamilkł i zasepił się, jak gdyby dopadł go nagły smutek, o którym starał się nie pamiętać.

Terteus, który słuchając słów starego Nasiosa o pięknej dziewczynie przestał jeść i mimowolnie wpatrzył się w jej lico, dostrzegł, że dłoń, którą sięgnęła do miski, by ująć smukłymi palcami kawał mięsa, znieruchomiała, gdy ojciec wyrzekł pierwsze słowa o tym, co jej się przydarzyło. Lico zastygło na chwilę, lecz oczy rzuciły krótkie, szybkie spojrzenie ku Terteusowi, jak gdyby pragnęła przekonać się, czy spogląda na nią. Zapewne mimowolnie dostrzegła jego jasną, piękną głowę, szerokie ramiona i oczy wpatrzone w nią z zachwytem, bowiem opuściła wzrok, szybko uniosła dłoń ku ustom i poczęła jeść.

Lecz Terteus, który nie mógł oderwać od niej spojrzenia, spostrzegł, że lico jej i szyja, odsłonięta ponad białą grubą szatą z szorstkiej materii, zapewne utkanej przez nią samą, pokryły się ciemnym rumieńcem. Spuściła oczy niżej jeszcze, jak gdyby nagle zajęło ją nad wyraz mięso leżące na dnie miski, i nie uniosła już głowy do końca uczty, milcząc i rumieniąc się.

Terteus odetchnął głęboko.

Wiosna... - rzekł w duchu. - Zaprawdę! Dobrze się stało, że wyciągnęła ów wydrażony żołądek, albowiem żadna z tych, które poznałem dotąd we wszystkich krainach, jakie bogowie zezwolili mi ujrzeć, nie była godniejsza, by nosić to imię! - I powtórzył w myśli: - Wasan...

Gdy odsunawszy ławy wstali od stołu, udali się na życzenie bogom podobnego Widwojosa w obchód wsi, gdyż zapragnął w swej uprzejmości poznać żywot i obyczaje mieszkańców, na co król zgodził się chętnie.

Wieś była rozległa, a choć gdy podpływali ku niej, wydawało im się, że jest położona na wyspie, jednak ujrzeli wnet, że ciągną się za nią ku północy pola i las wysokich drzew. Król rzekł, że za owym lasem znów rozpoczynają się trzęsawiska, a choć sam przemierzył je raz łodzią i oddalił się od wsi o trzy dni drogi wiosłem, nie kończyły się one i nie dostrzegł ich krańca. Nie wiedział też, czy żyją tam ludzie, lecz jeśli mieli siedziby w owej stronie, musiały być one wielce odległe, albowiem nigdy ani on, ani nikt ze wsi, ani też ich ojciec i dziadowie nie napotkali żadnego człowieka z ludu, który by tam zamieszkiwał. Wsie plemienia mówiącego jedną mową, do którego należał on i jego lud, leżały wzdłuż rzeki, wypływającej z bagien. Lecz za bagnami rozpoczynała się inna rzeka płynąca ku zachodowi od swych źródeł. Bowiem z tej krainy trzęsawisk wypływało wiele rzek we wszystkich kierunkach. Tą właśnie rzeką, kierującą się ku zachodowi winni się udać, jeśli pragną dotrzeć do morza.

Albowiem wie, że leży ono na północnym zachodzie, choć wielce odległe. Do źródeł tej drugiej rzeki dopływali też z zachodu kupcy, których przewożono wraz z ich towarami od osady do osady, gdyż zdani na siebie zginęliby, zbłądziwszy wśród bagien i wodnych bezdroży. On także pragnął, by dwóch z jego synów pomogło im dopłynąć do następnej wsi i zapewniło tam gościnę przybyszom. Bowiem Mesen i jego towarzysze mieli stąd zawrócić do swej osady na palach, gdyż dalej nie znali już drogi.

Rozmawiając tak obeszli wieś, zajrzeli do dwu chat na skraju, gdzie trzymano wychudzone, na pół zagłodzone krowy i owce, jako że utrzymanie bydła przy życiu było sprawą niełatwą w porze

chłodu i śniegów. Ujrzeni też świnię, lecz nie przypominały one tłustych świń greckich, a raczej dziki leśne, barwą szczeriny i prędkością, z jaką się poruszały.

Powracali idąc grząską, namokłą od deszczów ścieżką ku rzece i rozmawiając, gdy nagle król zatrzymał się i wpatrzył szeroko rozwartymi, pełnymi trwogi oczyma w niewielkie wypełnione wodą zagłębienie, którego brzegi zaczęły już porastać pierwszymi zielonymi pędami roślin.

Przystanęli i inni, a że król nie rzekł słowa, bogom podobny Widwojos i Perilawos poczęli szukać oczyma tego, co przykuło uwagę starca. Lecz nie znaleźli.

Terteus trzymał się z tyłu, idąc za córką królewską, która szła tuż za mężczyznami z głową lekko pochyloną i spuszczonego wzrokiem.

Ujrzał, że nagle i ona przystanęła, mimowolnie - unosząc dłonie ku ustom, jak gdyby pragnęła stłumić okrzyk. Myśląc, że ujrzała węża, skoczył ku przodowi, lecz gdy zbliżył się, dostrzegł, że król wioski, jego córka i synowie patrzą na krawędź owej kałuży.

I choć nie wiedział jeszcze, czemu zastygli nagle, jak gdyby porażeni trwogą, pojał, że patrzą na małe dwa żółte kwiatki, które pośród wielu innych jeszcze nie rozkwitłych otworzyły swe drobne korony tuż nad krawędzią wody.

Starzec z wolna odwrócił się i ujrzawszy za sobą córkę, ujął jej dłoń. Pochyliła głowę, a później wyprostowała się i próbowała uśmiechnąć spoglądając ku niemu.

Kreteńczycy stali w milczeniu, pojmując, że są świadkami czegoś, co ma wielką wagę dla owych ludzi, lecz nie wiedząc, co by ta rzecz miała oznaczać.

- Czcigodny wodzu - rzekł król zwracając się ku Widwojosowi. - Kiedy rzekłem ci, że córka moja wyciągnąwszy los, poświęcona została bogu jako ofiara mego ludu, składającego dzięki za przepędzenie zimy i nadejście wiosny niosącej życie, nie rzekłem ci wszystkiego, bowiem sprawa ta nie była waszą sprawą, a mieliście odpłynąć jutro rankiem, gdy słońce wzejdzie. Wczoraj jeszcze kwiaty te zaledwie wschodziły i wierzyłem, że jeszcze dni kilka widzieć będę ukochaną córkę moją. Lecz oto zakwitł ów pierwszy żółty kwiat, a za nim drugi... - Urwał i odetchnął głęboko, przymknąwszy oczy. Lecz powściągnął niegodne wodza i króla wzruszenie i dokończył: - Chce prawo, by o świcie dnia następującego po owym dniu, gdy zakwitnie pierwszy z żółtych kwiatów, dziewica ofiarna popłynęła rzeką ku morzu, tak jak spływają rzeką śniegi zimy, aby ustąpić miejsca zieleni wiosennych łąk. Spętawszy ją, ułożą żywą na dnie łodzi obciążonej kamieniami i mającej w dnie otwory, aby mogła z wolna zatonać. Pchną ją wówczas na wodę i odpłynie od rodzinnych brzegów, zabierając z sobą zimę, ów czas mroku i śmierci, gdy nie kwitną kwiaty i ptak nie śpiewa. A gdy się tak stanie, bóg ześle wiosnę, aby królowała światu karmiąc ludzi i zwierzęta.

- Królu! - zawołał boski Widwojos nie mogąc powstrzymać okrzyku grozy. - Czyżbyś zniósł, aby zabito własną twą córkę, i godził się na to bez oporu?

- Wyciągnęła los... - odparł król cicho. - Co roku, gdy dnia poczyna przybywać, jedna z nich wyciąga ów żołędź, a gdy pierwszy kwiat słońca zakwitnie, odpływa wydrażoną łodzią. Jakże mógłbym oddawać inne córy mego ludu na ofiarę, chroniąc własną przed nieodwracalnym wyrokiem boga, który wskazał na nią pośród stu innych? Ma wiosen dziesięć i pięć. Raz już ciągnęła los z pozostałymi, lecz dnia tego inna przyjęła imię Wiosny. Gdyby później poszła do jednego z tych, którzy pragnęli jej za żonę, nie ciągnęłaby losu po raz drugi, gdy minęło lato i nastąpiła nowa zima. Lecz wzgardziła wszystkimi, którzy pragnęli ją wprowadzić do domu swego, nieszczęsna, i oto rozniewany bóg, widząc ją po raz wtóry, wskazał na nią! Cóż więc mogę uczynić? Jakże mógłbym sprzeciwić się prawom mego ludu? Zabiliby oni mnie i synów moich, gdyby ci stanęli w jej lub

mojej obronie. I słusznie uczyniłby lud mój, bowiem czyn taki sprowadziłby nienawiść bogów na wszystkich! Kimże jest człowiek, aby im się sprzeciwiał? Gdybym sam mógł oddać żywot mój za nią, uczyniłbym to. Lecz bogowie nie przyjęliby mej ofiary. Nie zdałoby się to na nic...

Raz jeszcze spojrzął z rozpaczą na dwa małe żółte kwiatki i ruszył przed siebie z opuszczoną głową, a księżę i Perilawos nie dotrzymując mu kroku pozostali nieco w tyle, pojmując, że pragnie być sam ze swym nieszczęściem. Czterej synowie postępowali krok w krok za ojcem, milcząc.

Wówczas stała się rzecz dziwna. Ta, której los miał się wypełnić o świcie, odwróciła się nagle ku Terteusowi, który stał jak skamieniały, nie mogąc niemal pojąć znaczenia tego, co usłyszał. Stała przed nim i przywoławszy skinieniem starego Nasiosa, rzekła cicho, lecz nie kryjąc lica i patrząc Terteusowi w oczy jasnym nieulekłym wzrokiem:

- Chcą bogowie, abym jutro o świcie umarła. A że stanie się tak, więc nie będę kryła mych myśli, choć w innym czasie słowa moje byłyby zbyt śmiałe w ustach niewiasty... - Zawahała się na mgnienie oka, lecz dokończyła: - Nie wiem, czy na szyderstwo, czy też aby ofiara moja stała się większa, sprawili bogowie, że gdy wszedłeś, piękny cudzoziemcze, do izby ojca mego i spojrzalesz na mnie, serce moje roześmiało się do ciebie... I wiedz, że gdybym żyła, nikt inny... Ty jeden tylko...

Głos jej załamał się i zamilkła. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia, jak gdyby pragnąc upewnić się, że stoi przed nią i nie jest sama. Później odwróciła się i odeszła.

Terteus zrobił krok, jak gdyby pragnął pobiec za nią, lecz uniósł tylko dłoń do czoła i potarł je kilkakrotnie potrząsając głową jak człowiek, który otrzymał niespodziewane uderzenie. W milczeniu spoglądał za oddalającą się smukłą postacią.

- Czy słyszałeś, starcze...? - rzekł wreszcie cicho. - Czy słyszałeś?

Stary Nasios westchnął i nie odparł nic, bowiem dostrzegł mękę malującą się na licu młodego żeglarza.

- Bogowie! - rzekł Terteus. - Czemu nie zginąłem wcześniej od strzały barbarzyńcy lub kreteńskiego miecza, gdy księżę ów pojmał mnie w niewolę? Cóż uczynię teraz? Czemuż nie wyruszyliśmy o dzień wcześniej? Nie ujrzałbym jej nigdy i serce moje byłoby spokojne!

Na drodze, którą szła dziewczyna, czekał na nią samotny stary człowiek trzymający w dłoni wysoką laskę. Zrównała się z nim i razem zniknęli pomiędzy zabudowaniami, tam gdzie odeszli pozostali.

Terteus ruszył z opuszczoną głową. Brwi miał zmarszczone, a wargi jego poruszały się, jak gdyby mówił do siebie. Lecz idący obok stary Nasios nie usłyszał słów, które wypowiadał.

W pewnej chwili Terteus przystanął, wyrwał miecz z pochwy i zamachnąwszy się, jak gdyby godził w człowieka, ściał nim mały kwiat o żółtej koronie, rozkwitły tuż nad ziemią przy ścieżce.

Schylił się, wziął go w palce i patrzył nań przez chwilę niewidzącymi oczyma. Później zmiął go w ręce i cisnął na ziemię.

Białowłosa wraz z Harmostajosem i dwoma innymi żeglarzami pełnił tego wieczora straż przy okręcie, przywiązany do nadbrzeżnych drzew dwoma mocnymi linami. Rzucili też na dziobie i na tyle dwie kotwice, które trzymały Angelosa w pewnej odległości od brzegu, aby nie tarł dnem o piasek. Wykonali owe kotwice tej zimy podczas długich, beczynnych dni, gdy mroźne zawieje trzymały ich we wnętrzach chat. Uczynione byty w sposób prosty, lecz stały się niezwykle przydatne na rzekach, których nurt zawsze spychał stojący okręt ku brzegowi.

Były to wielkie głazy oplecione mocno liną, tak aby nie mogły się z niej wyśliznąć. Opuszczano je na dno i przytwierdzano drugi koniec liny do grubych pierścieni wbitych w pokład. Rzucone w

wodę z dwu stron trzymały okręt niemal w miejscu.

Białowłosy stał teraz i przypatrywał się Harmostajosowi, który znalazłszy na brzegu piękny, okrągły, płaski głaz, wniósł go wraz z nim na okręt i siedział oplatając go misternie, choć niemal po omacku, liną. Albowiem Harmostajos lubił wszystko, co było związane z przemysłnym użyciem sznura.

- Hej! Odezwiście się!

Usłyszawszy ciche wołanie z brzegu, Białowłosy podszedł do burty.

Noc była ciemna, więc choć na piasku nadbrzeżnym płonęło niewielkie ognisko, rzucając migotliwe blaski na wodę, nie mógł poznać wołającego. Jednak wydawało mu się, że był to Terteus.

- Czy to ty, Terteusie?

- Czyż nie słyszysz?! Chcę mówić z tobą!

Chłopiec stanął na burcie i skoczył odbiwszy się ze wszystkich sił. Padł na nogi tuż przy brzegu, rozpryskując wodę.

Dostrzegł rosną postać młodego żeglarza przybliżającą się w mroku. Terteus dotknął jego ramienia i położył dłoń na własnych ustach dając znak, aby zachował milczenie. Ruszył wzdłuż brzegu oddalając się szybko od zabudowań. Białowłosy poszedł za nim.

Wieś spała już. Spali także ich towarzysze. Wszyscy zmęczeni byli wielce pięcioma dniami spędzonymi na wodzie, przy wiosłach, gdyż kręte, niebezpieczne nurty i grząskie mielizny wymagały nieustannej uwagi. Niewiele zaznali snu w owym czasie, siedząc skuleni na ławach, otoczeni mrokiem, chłodem i przejmującą, studzącą krew w żyłach mgłą, rozciągającą się nad morzem trzęsawisk.

Teraz, gdy zjedli dobrą wieczerzę i ogrzali się przy wielkim ognisku, usnęli ciężkim snem stłoczeni w dwu przestronnych chatach, które ofiarowali im mieszkańcy wioski na nocleg. Białowłosy także był zmęczony, lecz że na niego padła pierwsza straż, walczył z napływającą raz po raz falą senności ogarniającej umysł.

Idąc teraz za Terteusem ziewnął. Nie widział go od chwili, gdy postawili stopę na lądzie, kiedy wraz z księciem, Perilawosem, Mesenem i starym Nasiosesem oddalił się, by spożyć posiłek w chacie królewskiej. Później Terteus nie przybył, by sprawdzić, czy ustalono kolejność straży, jak to zwykle czynił. Ustalili ją bez niego, rzucając los. Czegóż chciał teraz?

Oddalili się dość znacznie od zabudowań, gdy Terteus zatrzymał się nagle i zwrócił ku Białowłosemu.

- Nie pojmują oni naszej mowy... - rzekł. - Lecz pragnę mieć pewność, że także nikt z załogi nie usłyszy tego, co chcę ci rzec.

- Nikt z załogi? - zapytał Białowłosy ze zdumieniem. - Cóż się stało? - I odruchowo sięgnął dłonią do pasa, by sprawdzić, czy nie pozostawił miecza na pokładzie okrętu.

- Przywołałem cię - rzekł Terteus - bowiem nastał czas, gdy ciebie jednego mogę się poradzić... - Znow zamilkł.

Białowłosy otworzył usta i zamknął je znowu.

- Wszyscy oni są Kreteńczykami... - rzekł Terteus po chwili, zastanawiając się i ważąc słowa. - Kreteńczykami, którzy wyruszyli na wyprawę wraz ze swym księciem, a mnie słuchają, gdyż on im tak nakazał. Nie chcę rzec, że nie są dzielnymi wojownikami i dobrymi towarzyszami. Okazali już nieraz, że serca ich są mężne... Gdybyśmy musieli obnażyć miecze o świcie przed obliczem wroga, choćby wielce przeważającego, nie lękałbym się stanąć wraz z nimi, gdyż nie zdrzeliiby wiedząc, że

wielu z nich odejdzie do Krainy Mroku, i gardząc śmiercią walczyliby do końca... - Znowu urwał.

- To prawda... - rzekł Białowłosy, nadal nie pojmując.

- Lecz oto teraz, gdy przyszła na mnie chwila najcięższa, z tobą jednym mogę mówić, gdyż lękam się, że nikt z nich nie stanąłby przy mnie, narażając swój żywot na pewną niemal zgubę. Bowiem wieś ta jest wielka i o świcie stanie naprzeciw nas kilkuset mężów. A jeśli użylibyśmy podstępów, któż wyprowadzi nas z tych bezmiernych bagien, wskazując drogę ku odległemu morzu?

- Nie pojmuję cię, Terteusie... - Białowłosy potrząsnął głową w ciemności. - Wiesz, że związani jesteśmy wielką przysięgą, a nawet gdybyśmy nie złożyli jej, także nie zdradziłbym cię, cokolwiek by miało nastąpić. Lecz mów, cóż się stało od czasu, gdy zesliśmy na ląd?

Na tle dalekiego ogniska ujrzał, że Terteus odwrócił głowę. Później spojrzął ponownie na stojącego przed nim chłopca.

- Gdy powiem ci, co nastąpiło, wydrwisz mnie lub posądzisz, że trudy podróży pomieszały mi zmysły - rzekł ze smutkiem. - Albowiem pojmuję, że nikt, komu bogowie nie odebrali rozumu, nie uwierzy mi. A być może to właśnie mnie bogowie odebrali rozum, bym jutro o świcie zginął tu marnie, choć tyle unikałem już niebezpieczeństw, odkąd po raz pierwszy uniosłem oszczep! Lecz wysłuchaj mnie do końca i nie drwij, póki nie wyjawię ci wszystkiego.

- Cokolwiek powiesz, Terteusie, nie będę drwił z ciebie - rzekł Białowłosy spokojnie.

- Słuchaj więc. Gdy wszedłem do izby w chacie owego króla, była tam dziewczyna. Siedziała naprzeciw mnie na ławie i nie rzekła słowa. A spojrzała na mnie raz tylko. Lecz gdy wstawałem z ławy po uczcie, wydało mi się, że odkąd żyję, ujrzeć pragnąłem właśnie jej lico i pragnąłbym patrzeć na nie, póki bogowie nie zamkną mi oczu. Czy możesz uwierzyć w podobne zdarzenie?

- Mogę, Terteusie, gdyż szczerota jest w twoim głosie. Choć sam nie doznałem tego nigdy.

- Ani ja do tej pory, choć starszy jestem niżli ty niemal o dziesięć wiosen. Lecz nie na tym koniec. Król ów powiódł nas, aby ukazać nam swą wieś, a gdy powracaliśmy, podeszła do mnie owa dziewczyna i rzekła, że serce jej roześmiało się ku mnie, gdy ujrzała mnie po raz pierwszy!

- Zabierz ją więc z sobą na okręt i uczyni swą żoną, jeśli i ona tego pragnie!

- ...Rzekła mi też - ciągnął Terteus, jak gdyby nie słysząc jego słów - abym nie dziwił się jej szczeroci, tak nieprzystojnej niewieście, jutro o świcie bowiem musi umrzeć. Wyciągnęła los i złożyła ją na ofiarę w nurtach rzeki! Związana legnie na dnie dziurawej, obciążonej kamieniami łodzi.

Białowłosy milczał przez chwilę, później rzekł cicho:

- Cóż więc uczynimy? Czy pragniesz porwać ją nocą i uciec stąd?

- Gdybym to uczynił, dokąd popłyniemy nie znając drogi? Zabłąkamy się, a lud ów ścigać nas będzie na łodziach i nie spocznie, aż nie wygubi nas pośród bagien.

Wówczas wszyscy zginęliby z mojej przyczyny... A zresztą, czy będą pragnęli narazić okręt i siebie na pewną zgubę dla paru spojrzeń, które rzuciła na mnie nieznajoma niewiasta? Jakże mogę iść do nich błagając, aby mnie wspomogli? Gdyby któryś z nich przyszedł do mnie i rzekł, abym znajdując się w miejscu tak nie sprzyjającym i w zgubnych okolicznościach, naraził całą wyprawę na zniszczenie dla jednej nieznanej dziewczyny, z którą nie zamienił i stu stów, cóż bym mu odrzekł?

- Więc zgodzisz się, by zginęła?

- Umrę u jej boku! - rzekł Terteus z uniesieniem. - Lecz nim to nastąpi, mieczem tym wyślę do Krainy Mroku wielu z tych, którzy pragną ją zgubić!

- Czynią oni tak, jak nakazuje prawo owego ludu - rzekł Białowłosy. - A ojciec jej jest królem. Jeśli on jej nie obronił, znaczy to, że sprawa ta jest dla nich święta i nic jej nie może odmienić. Więc

nie z nienawiści pragną śmierci tej, na której spoczęły twe oczy.

- To jedynie pragniesz mi rzec? - zapytał Terteus gniewnie.

- Nie. Bowiem jeśli uderzysz na nich, nie będę kryć się przed ich gniewem, lecz stanę przy tobie z obnażonym mieczem. Skoro bogowie tak postanowili, umrzemy tu obaj.

- A ona wraz z nami?

- A ona wraz z nami - powtórzył jak echo Białowłosy.

Zamilkli.

- A gdybyśmy udali się do księcia? - Białowłosy myślał gorączkowo. - Śpi on z Perilawosem w osobnej izbie. Zbudźmy ich!

- I cóż nam pomogą? Będzie odwoził mnie od czynów rozpaczliwych, gdyż ufa mi, potrzebny mu jestem i pragnie, abym poprowadził okręt jego ku celowi wyprawy, którą przedsięwziął. Lecz czy odda żywot swój i swego ukochanego syna dla mej zachcianki, gdyż tak to osądzi?

- Związani są z nami wielką przysięgą... - rzekł Białowłosy z uporem. - A Perilawos wielką mądrą duszę, choć nie sądziłem tak początkowo. Jeśli on rzeknie, że stanie przy nas i zginie wraz z nami, księżę uczyni wszystko, abyśmy przemocą porwali stąd ową dziewczynę.

- To prawda, lecz nawet gdybyśmy zwyciężyli ich, czy nie przemieni się miłość jej ku mnie w nienawiść i wstręt, gdy ujrzy, że na czele naszych ludzi uderzam na ojca jej, braci i lud cały, mordując ich? Bo jeśli my ich nie zabijemy, oni uczynią to z nami.

- Cóż więc pragniesz uczynić? Jeśli nie oddadzą ci jej po dobremu, a nie możemy odebrać jej siłą, cóż innego nam pozostaje?

Zamilkli znowu.

- Podstęp... - rzekł Białowłosy.

- Podstęp?

- Zapytałem cię, cóż uczynimy, gdy ani po dobroci, ani przemocą nie możemy jej porwać? Nie odrzekłeś mi nic. Więc sam sobie odparłem: podstęp.

- Jaki podstęp?

- Nie wiem... - Białowłosy w ciemności potrząsnął głową ze zniechęceniem. - Lecz jeśli mamy tu zginąć i nie uratować ani jej, ani siebie, być może jest sposób... Czy pragną ją zabić i ciało puścić z biegiem rzeki?

- Nie. Ojciec jej rzekł, że związaną i żywą złożą ją do łodzi obciążonej kamieniami, w której wywiercą otwory, tak aby rzeka zabrała ją z sobą i zatopiła z wolna.

- Zapewne otwory owe nie mogą być zbyt wielkie, gdyż obciążona łódź zatonełaby tuż przy brzegu... - rzekł cicho Białowłosy.

- Tak i ja sędzę. Ma ona zabrać z sobą zimę i spłynąć z nią w dal, aby uczynić miejsce wiośnie.

- Cóż, gdybyśmy ukryli się w innej łodzi wśród trzciny i czekali na nią, a gdy nadpłynie wyratowali ją i ukrytą przewieźli ową łodzią na okręt?

- A jeśli inne łodzie będą jej z dala towarzyszyły czekając, aż nurty ją pochłoną? Nie pytałem króla o to, lecz może tak być, bowiem zakręt rzeki jest w pobliżu i z pewnością nie będą chcieli stracić ofiary z oczu, lecz popłyną za nią czekając, aż stanie się to, co ma się stać.

- To prawda... - rzekł Białowłosy.

Znowu zamilkli.

- Nie... - rzekł Terteus z rozpaczą. - Nic nie uratuje jej ani mnie! A jeśli rzucę się na nich sam z mieczem w dłoni, powstrzymaj się i nie stawaj przy mnie. Po cóż i ty masz tracić młode życie, skoro

rzecz ta ciebie nie dotyczy i pomoc twa na nic się nie zda, a przyniesie ci jedynie zgubę?

Białowłosy zdawał się nie słuchać jego słów.

- Terteusie! - rzekł nagle i chwycił go za ramię. - Mówił mi o tym Harmostajos zimą, gdy siedzieliśmy beczynn timer w owej osadzie gawędząc i opowiadając to, cośmy widzieli i przeżyli wałęsając się po świecie! Opowiadał mi, jak podkładał się wraz z innymi towarzyszami do stojących przy brzegu w Amnizos okrętów kupieckich, gdy był chłopcem, aby wspiąć się na pokład i ukraść coś, gdy inni odwracali uwagę straży! Ja także bawiłem się nieraz, gdy byłem dziecięciem, a nauczył mnie tego ojciec mój!

- Cóż pragniesz rzec?! Mów! - Terteus chwycił go za ramię i począł nim potrząsać.

- Puść! Czy pragniesz mnie zabić, nim przemyślę to! Wstrzymaj się na chwilę, a odpowiem ci! Nie wiem jeszcze bowiem, jak można byłoby rzecz ową uczynić... choć wymyśliłem już, jak zbliżyć się niespostrzeżenie do łodzi, w której pozęgluje twoja miła!

Terteus puścił go, lecz pochylił się w mroku i dotykając niemal jego twarzy, szepnął chrapliwie:

- Mów!

I wówczas Białowłosy rzekł mu, co miał na myśli.

- Lecz nie wiem, co później można uczynić, aby ją ocalić? - dodał. - Bowiem rzecz sama nie sprawi ani jemu, ani mnie wielkiej trudności.

Terteus milczał przez chwilę. Milczeli obaj.

Nagle młody żeglarz wyprostował się i wznosił ręce ku ciemnemu niebu.

- Wiem! - rzekł cicho. I rzekł Białowłosemu, co myśli później uczynić.

- A resztę pozostawcie mnie! - dokończył. - Jeśli bogowie, którzy zesłali na mnie tę dziwną omdlałość serca na jej widok, nie uczynili tego, aby mnie zgubić, wiem, co uczynię! Idźmy do Harmostajosa, a wierzę, że nie ulęknie się on i zgodzi z naszym zamiarem.

Weseli niemal, choć nadchodzący ranek mógł przynieść im klęskę i zgubę, jeśli sprawy nie ułożą się tak, jak tego pragnęli, ruszyli ku ciemniejącemu w oddali kształtowi okrętu, uspionego na cicho szumiącej rzece. Lecz byli ludźmi gotowymi do każdego, najbardziej szaleńczego czynu, a gdy raz postanowili, spadł z serc ich gniotący ciężar. Przyszłość była w ręku bogów.

Na długo, nim przedświt począł wyłaniać z mroków nocy chaty i drzewa, mieszkańcy wsi powstali ze swych posłań. A uczynili to także żeglarze załogi Angelosa, choć wstawali klnąc i narzekając na los nie dający im zażyć do woli odpoczynku.

Lud zbierał się przy nadbrzeżu w miejscu, gdzie leżały wyciągnięte na brzeg łodzie, otaczając z dala szerokim koliskiem jedną z nich.

Gdy nadszedł pierwszy brzask, wystąpili z tłumu czterej dojrzały mężczyźni i uczyniwszy na dnie łodzi kilka niewielkich otworów naostrzonym krzemieniem poczęli przenosić z przygotowanego uprzednio kopczyka białe kamienie, których wiele leżało nad rzeką. Ułożyli je na dnie łodzi równo, bacząc, by jej nie przeciążyć, gdyż wówczas spełnienie ofiary połączone byłoby ze złą wróżbą, mówiącą, że zima nie odeszła daleko, lecz powróci prędzej niż winna powrócić, niosąc z sobą dłuższe i większe mrozy.

Gdy uczynili to, cofnęli się w tłum, lecz stali zbici w gromadkę, nie rozchodząc się, bowiem tego ranka pozostawała im jeszcze jedna wspólna praca. Wraz z królem mieli zepchnąć łódź na wodę, silnie, dziobem ku bliskiemu nurtowi, który pochwyti ją i nieuchronnie porwie z sobą. Gdyby uczynili to niewprawnie i łódź okręciłaby się i popłynęła dziobem ku tyłowi, nim dotarłaby do nurtu, to także byłoby złą wróżbą, choć nim nieszczęście nie spadnie, nie można przewidzieć, jak bóg

zechce objawić swój gniew.

Tłum rósł i czyniło się coraz widniej. Choć gęste, zwarte chmury zakrywały niebo, wiedzieli, że wkrótce wstanie słońce. Czekali więc, pewni, że niedługo przyjdzie im czekać.

Lecz nim nadszedł orszak wiodący ofiarę, którą mieli złożyć wiosnie, do okrętu stojącego nieopodal tuż przy brzegu zbliżyli się od strony wsi obcy żeglarze, którzy spędzili w niej noc. Nadeszli w zwartym szyku, powiewając czerwonymi pióropuszcami na hełmach, a pancerze ich i oręż lśniły w bladym blasku powstającego dnia.

Zbliżyli się do okrętu i stanęli przed nim w dwuszeregu, dumni i wspaniali, wsparłszy uniesione włócznie o ziemię i opierając o nią zaostrzone dolne krawędzie wielkich, podwójnych tarczy.

Przed nimi w złocistym pancerzu przechadzał się ich wódz, a w pobliżu szeregów, wodząc okiem po zebranych tłumie, stał z obnażonym mieczem młody żeglarz, górujący postawą i urodą nad wszystkimi, wyniosły i czujny.

Kreteńczycy czekali, nie wchodząc na okręt, gdyż bogom podobny Widwojos rzekł im, że zanim pożegnają gościnną wieś i jej króla, nastąpi na cześć nadchodzącej wiosny ofiara złożona bogu, w której wezmą udział dwaj jego synowie, mający odpłynąć z nimi. A miała to być ofiara ludzka, czekali więc z ciekawością na to widowisko, wypatrując, kiedy ukaże się ofiara.

I nie czekali długo, gdyż od strony chaty królewskiej ukazał się niewielki orszak. Przodem szedł król, a za nim pośród czterech swych braci nadeszła ubrana w białą szatę, wyprostowana, piękna dziewczyna, niemal dziecko jeszcze, lecz rosła i kształtna jak dojrzała niewiasta.

Nadeszła nie patrząc w lewo ni w prawo. Raz jedynie spojrzenie jej zatrzymało się na lśniącym dwuszeregu żeglarzy i być może odnalazła tego, który stał najbliżej, nie spuszczać z niej wzroku.

Król zbliżył się ku łodzi i z wolna odwrócił. Tłum zamarł. W ciszy usłyszano wyraźnie kroki czterech niewiast, które podeszły niosąc białą płachtę zszytą tak, aby podobną stała się do długiego worka, otwartego z jednej tylko strony.

Otoczywszy dziewczynę, uniosły płachtę i zarzuciły, tak że spłynęła aż ku ziemi, kryjąc postać nieszczęsnej wraz z uniesioną głową o jasnych, rozpuszczonych włosach.

Wówczas nadeszli biało odziani młodzieńcy niosący sznur. Obeszli stojącą i spętali jej ciało. Gdy to się stało, ułożyli ją na ziemi i związali jej nogi. Nie mogła już teraz poruszyć się.

Młodzieńcy odstąpili sprawdzwszy moc więzów.

Nastała cisza. Wszystkie oczy zwróciły się ku królowi. Przez chwilę spoglądał na nieruchomą białą kukłę, która kryła jego dziecko. Wreszcie powolnym ruchem unióśł laskę.

Czterej dojrzali mężowie, którzy uprzednio przygotowali łódź, wystąpili z cizby i unieśli leżącą.

Tłum nadśluchiwał, lecz spod płachty nie wydobył się żaden stłumiony okrzyk ni jęk, gdy złożyli dziewczynę na dnie łodzi, o której dziób ocierały się maleńkie fale liżące piasek.

Czterej mężowie wyprostowali się i stanęli po bokach łodzi.

A wówczas król wyciągnął ramię ku najstarszemu ze swych synów i oddał mu wysoką laskę. Sam odwrócił się i ruszył ku łodzi. Zatrzymał się przed nią, a później unióśł ręce i po trzykroć złożył głęboki pokłon wschodowi i powstającemu słońcu.

Gdy opuścił ramiona i zwrócił się ku łodzi, czterej mężowie przystąpili i chwycili za burty, zapierając stopy w piasek.

Król z wolna pochylił się, wsparł dłonie o szeroki tył łodzi i pchnął potężnie, a inni uczynili to wraz z nim tak składnie, że z cichym szelestem rozcinanego piasku zsunęła się w wodę i pomknęła wprost ku pobliskiemu nurtowi.

Terteus przymknął oczy i otworzył je. Ściskając głowicę obnażonego miecza spoglądał na łódź, która z wolna docierała do granic nurtu.

Wszystkie oczy towarzyszyły jej. Za chwilę prąd pochwyci dziób i skieruje go w dół rzeki. A później, zanurzając się powoli, bądź zniknie za zakrętem, bądź też pochłona ją fale tuż przed nim.

Stary król wyprostował się i cofnął o krok. Lecz i on nie mógł oderwać oczu od łodzi. Stał nieruchomy zaciskając usta. Cały lud jego był tu zebrany, lecz nikt z nich nie wiedział, że ukochał on tę córkę bardziej niżli któregokolwiek ze swych dorodnych synów, choć oni to przecież, a nie dziewczęta, są chwałą ojców.

Wzrok mącił mu się. Zdało mu się, że łódź musi skręcić w dół rzeki, lecz oto trwała w miejscu i jak gdyby...

Przetarł oczy. Szmer przebiegł przez tłum, a później okrzyk zgrozy przeleciał nad głowami i ucichł nagle.

Tonąca z wolna łódź zatrzymała się na granicy rwącego nurtu i poczęła cofać, zbliżając ku brzegowi!

Król odwrócił się, zakrył ramieniem oblicze, a lud cofnął się z głuchym jękiem.

Albowiem nie bacząc na lekki prąd, który winien był ją zepchnąć w dół, łódź powracała z wolna i wreszcie, jak gdyby pchnięta niewidzialną dłonią, osiadła tyłem na piasku!

Lament straszliwy targnął wybrzeżem. Była to najstraszliwsza z wróżb, mogąca nieść jedynie zagładę im wszystkim, domom, ludziom, zwierzętom!

Bóg nie przyjął ofiary, a nurt wezbranej rzeki odrzucił ją ze wzdargą, nie bacząc na przeciwny prąd, wprost ku miejscu, gdzie była złożona.

Lecz gdy odważyli się spojrzeć ponownie, stała się rzecz jeszcze bardziej zdumiewająca.

Oto od szeregu Kreteńczyków oderwał się ów wspaniały wojownik stojący na skrzydle i zbliżył do łodzi, przywołując starca, który był z nim i znał mowę plemion zamieszkujących trzęsawiska.

- Królu tej wsi i ty, ludu! - zawołał potężnym głosem ów wojownik. - Oto spełniła się przepowiednia, którą miałem we śnie, gdym dzisiejszej nocy spoczął strudzony pod waszym dachem! Ujrzałem, usnąwszy, niewiastę ogromną, całą w bieli, a bił od niej chłód straszliwy i oczy jej były jako iskry lodu! Stała przede mną, a gdy we śnie pragnąłem złożyć jej mą cześć, pojmując, że jest boginią, a domyślając się, że to musi być najgroźniejsze z bóstw, Zima straszliwa i dławiąca życie, rzekła głosem ogromnym nie spuszczać ze mnie swych boskich oczu: „Gdy świt nastanie, poślubisz ofiarę, którą odrzucę! A odrzucę ją, aby lud mój wiedział, że nie pragnę więcej śmierci dziewic poświęconych mi przed nastaniem wiosny! Masz rzec im, aby od tej pory w miejsce żywej sporządzano postać utoczoną ze śniegu i topiono w wodach wezbranych. A na znak, że taka jest wola moja, cofnę łódź ową, rzece na przekór, i przyprowadzę ją do brzegu, od którego odbiła! Ty zaś, poślubiwszy ową dziewicę, odpłyniesz z nią i nie powróci ona już nigdy do swej krainy, aby owa ostatnia ofiara dopełniła się według mej woli!” To mówiąc zniknęła, a ja przeraziłem się wielce we śnie, nie pojmując, co by słowa owe mogły znaczyć, bowiem nie wiedziałem, co świt przyniesie. Wszelako teraz wypełnię wolę bogini, a wy wraz ze mną poddajcie się jej, gdyż wyjawiała przed obliczem naszym, co znaczyły jej tajemne i mroczne słowa! Albowiem jest rzeczą straszliwą nie wypełnić woli bogów, gdy objawią ją widomie! Tak więc, choć obcy tu jestem, a nie spoczęło oko moje na żadnej z dziewcząt waszych dłużej niż na chwil parę, biorę sobie za żonę tę oto dziewicę i powiodę ją z sobą za morze, jak nakazała bogini! A uczynię tak, aby wam i sobie zapewnić szczęście, gdyż szalony jedynie może sprzeciwić się tak jasno objawionej woli bogów!

To mówiąc skłonił czoło przed łodzią, rozciął więzy obnażonym mieczem i rozdarłszy płachtę, wziął na ręce leżącą na dnie dziewicę.

Stanąwszy z nią przed ludem, uniósł ją wysoko prostując ramiona ku wschodzącemu słońcu.

A później zawrócił i wszedł pomiędzy zdumionych, spoglądających ze zgrozą towarzyszy, którzy rozstąpili się i zwarli za nim tarcze.

Niosąc dziewczynę, wszedł po pas w wodę i zbliżył się do burty okrętu, gdzie dwaj żeglarze, o włosach wciąż jeszcze ociekających wodą, czekali narzuciwszy już płócienne tuniki i skórzane kaftany.

Uniósłszy dziewczynę oddał ją w ich wyciągnięte ręce.

- Spryskajcie jej lico wodą, bowiem omdlała! - rzekł szybko i zawrócił.

Stanąwszy przed królem wioski zawołał donośnie:

- Panie! Oto z woli bogini waszej, straszliwej Zimy, zaślubiam twoją córkę i odtąd będę jej mężem, a ona żoną moją!

Stary człowiek spoglądał na niego przez chwilę, a w oczach jego, pełnych jeszcze przeżytej niedawno grozy, prześwitywać zaczęła radość.

- Uczynimy według woli bogini! - rzekł i odwróciwszy się, pokłonił się nisko ku wschodowi, bowiem nie Zima straszliwa, przed którą drżeli wszyscy, była głównym bogiem ludu jego, lecz życiodajne słońce. - I niechaj odtąd, jeśli nie pragnie Ona ofiary z dziewcząt, stanie się podług woli Jej, objawionej nam twymi ustami! Obyś wielu synów i córek dochował się z łona owej, którą nie ludzie ci dali, lecz przemożny i objawiony cudownie wyrok nie mylących się nigdy bogów! Zegnaj mi, a wraz z tobą wszyscy, którzy przybyliście nie swoją zapewne kierowani wołą! Obyście ujrzeli brzeg wasz rodzinny!

I skinął na swych dwu synów, aby wraz z Kreteńczykami udali się na okręt.

A gdy wiosła zanurzyły się i wysoka dziewczyna w bieli uniosła w górę ramiona, żegnając brzeg rodzinny, lud pochylił się w niskim pokłonie. Bowiem spoczęła na niej dłoń bogini.

Samotnie stała na rufie okrętu spoglądając na niknące w oddaleniu domy wsi, aż wreszcie zakręt rzeki przesłonił jej ziemię ojczystą. Wówczas odwróciła się i stojący za nią Terteus ujrział, że z oczu jej płyną łzy.

Z dala stali dwaj bracia jej, nadal pełni grozy, nie śmiejąc podejść ni odezwać się do niej, a załoga Angelosa, siedząc przy wiosłach, także nie odrywała od niej oczu.

Lecz choć młodą była niewiastą na pokładzie okrętu wypełnionego żeglarzami, nie padł żaden nieskromny żart. Bowiem szaleniec jedynie, któremu bogowie odejmą rozum, żartuje z tych, których naznaczyli oni widomie swym piętnem.

A ona, otarłszy łzy i patrząc wprost w oczy Terteusa, rzekła, przywoławszy skinieniem starego Nasiosa:

- Zapytaj go, starcze, jak go zowią, gdyż nie dość, że nie znam mowy małżonka mego, lecz nie wiem nawet, jakie imię nosi!

I roześmiała się głośnym, szczęśliwym śmiechem, zapominając, że porzuciła na zawsze dom swój i ojca swego, aby ich już nie ujrzeć więcej.

Tego wieczora, gdy przybili do bezludnej wysepki na rzece, by rozpaść na niej ognisko i spędzić noc, Terteus zatrzymał się obok miejsca, gdzie Białowłosey siedział z Harmostajosem rozmawiając szeptem i śmiejąc się.

- Jakże dokonaliście tego? - rzekł pochylając się ku nim i zniżając głos. - Była chwila, gdy

pomyślałem, że bogowie przeszkodzili wam i zginie ona w tonącej łodzi pośród fal rzeki. A wówczas nie wiem, co bym uczynił, ogarnięty szaleństwem. - Urwał. - Wyglądało to tak, jak gdyby sama bogini kierowała łodzią!

- Bo też i tak było... - rzekł Harmostajos. - Stojąc już na pokładzie okrętu, słyszałem cię mówiącego o twym śnie proroczym i uwierzyłem ci! Jakże szczęśliwi są owi, którym pojawiają się bogowie i boginie niosąc im w darze piękne dziewczęta! - I parsknął śmiechem, lecz natychmiast pohamował się nie chcąc, aby inni usłyszeli. Sięgnął pod skórzany kaftan i wyciągnął długą pustą trzcinę. - Przechowam to! - rzekł. - Albowiem spośród wielu opowieści, które pragnę przekazać moim wnukom, jeśli bogowie mi ich użyczą, ta będzie powtarzana najczęściej w długie wieczory zimowe. Lecz któż mi uwierzy? - Znowu się roześmiał. - Najbardziej obawialiśmy się, że płynąc głęboko pod wodą, rozminiemy się z ową łodzią... - rzekł Białowłosy. - Czekaliśmy ukryci przy dziobie okrętu, a gdy owi ludzie pochyłili się, by ją pchnąć, ruszyliśmy zanurzeni głęboko, trzymając owe trzciny w ustach i oddychając przez nie. Wiatr i fale marszczyły powierzchnię rzeki, więc nie obawialiśmy się, że nas dostrzegą z brzegu, gdy płynęliśmy z prądem. Później, będąc już pod łodzią, łatwiej było oddychać, gdyż trzymaliśmy je tuż u burty i nikt nie mógł dojrzeć ich końców wysuniętych nieznacznie z wody. A powracając ku okrętowi, trzymaliśmy je w dłoniach, płynąc głęboko pod powierzchnią, aby przypadkiem woda nie wypchnęła któregoś z nas zbyt wysoko! - Harmostajos znowu się roześmiał.

- Bogowie! - rzekł Terteus. - Któż by pomyślał, że rzecz podobna może się udać!

I odszedł ku swojej pięknej żonie, oczekującej go przy ognisku w towarzystwie księcia, Perilawosa i starego Niasiosa. Albowiem bogom podobny Widwojos i Perilawos byli jedynymi, którzy wiedzieli, jak przemyślnie bogini doprowadziła łódź ku brzegowi. Nikt inny nie miał się tego nigdy dowiedzieć, co było rzeczą słuszną. Albowiem w chwili klęski lub niebezpieczeństwa niejedyn mógłby zwrócić się przeciw Terteusowi mówiąc, że sprowadził na okręt nieszczęście, kradnąc ofiarę należną obcemu bogu, który oto mści się za zniewagę.

A Harmostajos z Białowłosym raz jeszcze spojrzeli na swe wydrażone trzciny. Nie powiedzieli Terteusowi o tym, jak Białowłosy nie pragnąc wysuwać zbyt daleko wylotu swej trzciny, zanurzył go nieopatrznie i opił się wody rzecznej miast powietrza, a później z pękającymi z bólu płucami pchał łódź ku brzegowi i zawrócił płynąc na oślep ku okrętowi, wiedząc, że nie wynurzy się, by zaczerpnąć tchu. Wiedział, że jeśli nie zdoła już ruszyć ręką, wówczas zmusi swe ciało, aby opadło na dno i tam skonało. Albowiem gdyby wypłynął, wówczas wszystko byłoby stracone, zginąłby oszalały z bólu Terteus, dziewczyna i zapewne wielu innych, gdyż na wybrzeżu rozgorzałby bój. W ostatniej chwili dotknął palcami dna okrętu i z wolna wynurzył głowę, chwytając powietrze i kryjąc się w cieniu burty, choć nikt nie spoglądał wówczas w ową stronę, gdyż oczy wszystkich skierowane były ku łodzi, która cudownym sposobem wróciła ku brzegowi.

Lecz po cóż miał mówić o tym Terteusowi? Harmostajos, który znał prawdę, gdyż pomógł mu, półżywemu, wydzwignąć się na osłoniętą przed oczyma ludzi zewnętrzną burtę okrętu, także już o tym zapomniał. Byli młodzi, wszystko skończyło się szczęśliwie, a zresztą któż rozważa nieszczęścia, które nie nastąpiły, lecz mogły nastąpić? Głupiec jedynie, bowiem wszystko jest w ręku bogów.

Płynęli jeszcze przez dni trzy, aż napotkali osadę, gdzie spędzili noc i dzień, i noc następną. Synowie króla opowiedzieli mieszkańcom o cudownym wydarzeniu, więc oddawano im tam cześć niemal boską, a niewiasty obdarowały piękną Wasan sztukami płótna, gdyż nie miała żadnego odzienia, prócz owej białej szaty, w której Terteus przyniósł ją na okręt.

Następnego dnia napotkali odnogę rzeki, którą ruszyli ku zachodowi wśród głębokich jezior i bagien.

Dzień ów wstał ciepły i słoneczny. W południe osiągnęli miejsce, z którego dostrzec można było z dala inną rzekę, płynącą ku północy.

Tam też, ściąwszy w okolicy wiele drzew i wyciosawszy z nich kloce, przetoczyli z wolna Angelosa. Zajęło im to nowe trzy dni.

Nadszedł wówczas czas rozstania z królewskimi synami, którzy rzekli im, że rzeka owa doprowadzi ich na północ i ku zachodowi, jak słyszeli od kupców, a dalej płynąc dotrą do morza.

Piękna Wasan łzami pożegnała braci i długo spoglądała za nimi, gdy oddalali się idąc przez zieleniejącą już łąkę ku łodzi swej pozostawionej na brzegu owej rzeki, którą niedawno opuścili.

A gdy załoga zepchnęła Angelosa na wodę i dziób jego skierował się ku północnemu zachodowi, odetchnęli wszyscy, bowiem po raz pierwszy od wielu miesięcy nie płynęli pod prąd, lecz z prądem, a mogło to oznaczać tylko jedno. Albowiem wszystkie rzeki zdążają ku morzom, a płynąc pod prąd żeglarze muszą się od mórz owych oddalać.

Rozpięto wielki żagiel i potężna głowa Byka załopotała po raz pierwszy nad tą rzeką, chwyciwszy ciepły południowy powiew wiatru.

Płynęli tak dni osiem, opuściwszy krainę bagien i przemierzając budzącą się do życia pod wiosennym słońcem ogromną puszcę, zarastającą oba brzegi. Rzeka zmieniła kierunek i pochyliła się ku zachodowi, a później nawet ku południowi. Wezbrany jej nurt płynął szeroko i rozlewał zatapiając nawet podmokłe lasy, tam gdzie brzegi były niskie.

Utrudniało to nieco żeglugę, lecz raz znalazłszy się pośrodku rzeki Angelos mknął jak jaskółka. A choć wody, które pruł, były mętne i burzliwe, słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie.

Ludzi ni osad ludzkich nie napotkali być może dlatego, że małe łodzie z trudem mogłyby utrzymać się na nurcie, a potów ryb także nie przyniosłby owocu. Osady, jeśli minęli je, znajdowały się zapewne w głębi, ukryte w lesie za rzeczną odnogą lub wśród puszczy, gdzie napastnik niełatwo może dotrzeć.

Dziewiątego dnia rankiem ujrzeli inną wielką rzekę, zmierzającą na spotkanie tej, którą płynęli, a w miejscu gdzie nurty ich zlewały się z sobą, by wspólnym korytem ruszyć ku północnemu zachodowi, dostrzegli na wysokim brzegu okolone wysokim ostrokołem miasto, a niżej przystań.

Lecz łodzie wyciągnięto daleko od brzegu zalewanego falami przyboru wód, a choć dostrzegli z dala ludzi stojących przed bramą owego grodu, minęli go płynąc ze zwiniętym żaglem i połową wiosel, które bardziej służyły im do sterowania okrętem niżli do poruszania go ku przodowi, bowiem nurt niósł ich z niebezpieczną szybkością i groził zatopieniem, gdyby nagle przed dziobem pojawiła się nieznana przeszkoda.

Tego wieczora wpłynęli w ujście spokojnego dopływu wielkiej rzeki i zatrzymali się tam, przybiwszy do brzegu przy rozległej otoczonej dębami polanie. Nie wiedzieli, że przyjdzie im tam pozostać niemal przez dni osiem, bowiem wielka rzeka wezbrała jeszcze bardziej i żółty, spieniony nurt z rykiem począł podmywać brzegi, wałąc w wodę stare drzewa i wyrywając krzewy, które splątane płynęły unosząc się na wysokich rwących falach. Próba dalszej podróży byłaby szaleństwem, gdyż okręt nie słuchając sterów roztrzaskałby się o brzeg lub zatonął rozbity przez pnie pędzących drzew.

Na piąty dzień powódź zaczęła opadać, a gdy wreszcie wyruszyli z ujścia owego dopływu, pożegnawszy piękną polanę, rzeka nadal była mętna i niespokojna, lecz z wolna powracała do swego

koryta, a jedynie pnie i gałęzie leżące na brzegach świadczyły o sile żywiołu.

Gdy minęły jeszcze cztery dni, rzeka skręciła ku północy. Wiosenne wody opadały ciągle, a ranki stawały się coraz cieplejsze i łąki nadbrzeżne pełne były kwiatów i rozśpiewanych ptaków.

Gdy nad głowami ujrzeli po raz pierwszy bociana, którego pożegnali w dalekiej ojczyźnie, wzniesli radosny okrzyk. Albowiem uwierzyli, że bogowie pozwolili im opuścić owe krainy chłodu, mroków i trzęsawisk, a powracają wreszcie ku światu tonącemu w blasku słońca, gdzie w błękitnym przestworzu unoszą się ojczyste ptaki.

Wiatr nieustannie dął z południa, podnieśli więc wielki żagiel i płynęli środkiem szerokiego nurtu, weseląc się i śpiewając, pełni najlepszych nadziei.

Aż wreszcie, gdy minęły jeszcze trzy dni, w południe czwartego dnia rzeka opuściła lasy i rozlała się szeroko po płaskiej bezdrzewnej równinie, porośniętej aż po widnokrąg wysoką trawą.

Piękna Wasan siedziała na dziobie, wsparta o drewnianą osłonę, i wystawiwszy lico ku słońcu zszywała kościaną igłą krótką tunikę, którą uczyniła sobie z części płótna ofiarowanego jej przez uprzejme niewiasty. Od czasu do czasu unosiła jasną głowę znad swej pracy i zerknęła na Terteusa, który stał nieruchomo, wpatrując się w daleki widnokrąg. Za każdym razem, gdy poczuł na sobie jej spojrzenie, odwracał ku niej oblicze i uśmiechał się. Lecz gdy uczyniła to teraz, nie spojrzął na nią.

Stał wychyliwszy się jak najdalej ponad dziobem prującym spokojne wody, jak gdyby pragnął przybliżyć oczy swe do zajmującego go widoku.

- Bogowie! - rzekł półgłosem.

- Terteusie? Co? - rzekła, bowiem uczyła się już z wolna jego mowy.

Nie odpowiedział. Nie spojrzawszy na nią nawet, przeskoczył przez jej wyciągnięte smukłe nogi i ruszył szybko ku maszтови, pod którym rozpięty był purpurowy niegdyś, a dziś szary i spłowiały namiot księcia.

Wszedł pochyliwszy głowę. Widwojos spał na rozciągniętej na deskach skórze niedźwiedziej, a syn jego rylcem na glinianej tabliczce spisywał to, co przydarzyło się w ciągu ostatnich dni. Czynił tak nieustannie, choć nikt nie wiedział o tym prócz Białowłosego, którego próbował nauczyć sztuki stawiania znaków, lecz nie nauczył, być może dlatego, że nigdy nie mieli dość czasu i cierpliwości, by doprowadzić rzecz do końca.

Nie zwracając nań uwagi, Terteus pochylił się i gwałtownie potrząsnął ramieniem księcia, który otworzył oczy i siadł szybko, sięgając po miecz, gdyż sądził, że w pobliżu musi znajdować się nieprzyjaciel, jeśli zbudzono go tak nagle.

- Książę! Boski książę!

- Cóż się stało? - Zerwał się, pochyliwszy głowę, aby nie uderzyć nią w dach namiotu.

- Nie wiem... - rzekł Terteus cicho. - A lękam się rzec o tym, co ujrziałem, gdyż być może bogowie odjęli mi rozum! Pójdź sam, boski książę!

Perilawos, słysząc to, także poderwał się i razem wyszli na pokład.

Miał słuszną przeczucie Terteus, inni także dostrzegli już to, co on ujrział pierwszy.

Wstali wszyscy z ław i patrzyli w milczeniu, przecierając oczy i zaciskając zęby, aby na dźwięk ich głosu złudzenie nie rozwiało się.

Albowiem na krańcu równiny, tuż u jej zbiegu z rozległym widnokregiem, dostrzegli szeroką, niebieską równinę, na której promienie słońca igrały migotliwym blaskiem.

A choć byli już niemal pewni, czekali, podczas gdy Angeles pod wzdętym żaglem zmierzał w owym kierunku.

Wielka biała mewa zakołysała się nad okrętem i odpłynęła wając się na ostrych skrzydłach.

Patrzyli nadal. Ujście rzeki rozbiegło się jak otwarty kielich kwiatu i pierwsza fala podeszła pod dziób okrętu. Angelos zakołysał się i dziób jego przeciął następną falę, a później trzecią...

I wówczas dopiero, widząc nadbiegające, lśniące w słońcu białe grzywy, poczęli krzyczeć, bijąc się nawzajem po ramionach, płacząc i wyciągając ręce ku owej rozległej płaszczyźnie.

- Morze! - wołali jeden przez drugiego. - Morze!

Morze! Morze!

A później zamarli jedni z wyciągniętymi ramionami, inni z dłońmi zwiniętymi w pięść i przyłożonymi do czoła. I niejednemu wydało się... choć może był to jedynie odległy biały obłok... że przez łzy mącące wzrok dostrzega białe oblicze Posejdona, jedyne Pana owej niezmierzonej równiny.

ROZDZIAŁ DRUGI

Na pół ukryty w mokrym piasku

Wiatr dał z południa, wypłynęli więc daleko w morze, kierując dziób ku północy, nim na znak Terteusa nie zwinięto żagla i z wolna, na wiosłach, okręt nie skierował się ku widocznemu na zachodzie niskiemu półwyspowi.

Gdy zbliżyli się, dostrzegli, że półwysep ów jest łańcuchem piaszczystych wysepek, wybiegających od strony ukrytego w mgiełce słonecznej lądu i kończących się pośrodku morza największą wyspą, rozległą i nieco wyżej wzniesioną niż inne.

Lecz nim przybyli do pokrytego sypkim, złotawym piaskiem brzegu tej wyspy, bogom podobny Widwojos otworzyć kazał ostatni pithos z winem, który przechował przez zimę i czas wiosennej wędrówki, wierząc w duchu, że być może nadejdzie kiedyś chwila, gdy go otworzą, by uczcić boga wód niezmiernych.

Rozdano załodze płytkie gliniane puchary. Później książę zmieszał wino z wodą w dwu wielkich kraterach, a uczynił to sam, gdyż przeznaczone było ono na ofiarę.

Podchodzili kolejno, wstając z ław. A później powracali z pełnymi pucharami, ostrożnie, by nie uronić nawet kropli na deski dna okrętu, gdyż byłoby to złą wróżbą.

Wreszcie książę uniósł puchar i podszedł do nawietrznej, aby wiatr nie zwiął ofiary na powrót i nie prysnął winem na pokład.

- Panie! - zawołał donośnie i zamilkł, jak gdyby oczekując odpowiedzi. - Panie! - powtórzył. - Oto przeprowadziłeś nas przez niezmierny i dziki świat barbarzyński, abyśmy mogli na smukłym okręcie znów dosiąść twych białogrzywych koni! Przyjmij dzięki nasze i niechaj łaska twoja doprowadzi nas szczęśliwie do brzegów, które opuściliśmy!

To mówiąc wyciągnął ramię i ulał z puchara wina, które ciemną strugą opadło w dół i zmieszało się z łagodnie pomarszczoną wodą zatoki. Inni uczynili podobnie i przez chwilę okręt kołysał się lekko, gdyż nie było nikogo, czyja dłoń dotykałaby wiosła lub sterów.

Wypili, rzucili puchary w morze i pozdrowili boga. Później zasiedli na ławach, a zręczny Eriklewes doprowadził okręt do łagodnego brzegu.

Gdy wyciągnęli Angelosa na piasek i podparli, część załogi pozostała na miejscu dla przygotowania posiłku i ściągnięcia gałęzi na ogień, gdyż środek wysepki porośnięty był niskimi sosnami. Inni w pełnym uzbrojeniu ruszyli na obchód tego niewielkiego piaszczystego lądu.

Białowłosy ruszył za innymi wraz z młodzieńcem, którego zwano Deukionem. Choć tak długo płynęli już razem, mało go znał, gdyż Deukion nie był rozmowny. Wiedzano jedynie, że nim wsiadł na okręt, był tym, który dmie w miech u wytapiacza metali.

W Annizos i Knossos wiele było takich warsztatów, niektóre z nich zajmowały się wykuwaniem

oreża oraz naczyń z brązu i miedzi, inne jedynie uzyskiwaniem samego metalu, którego niewiele było na wyspie, a kupowano go na Cyprze, zwłaszcza miedź, którą sprowadzano stamtąd okrętami, w surowych, kruchych bryłach, aby przetapiać na miejscu.

Także i dziś Deukion nie był rozmowny, choć zarówno on jak Białowłosa radowali się, że Angeles przebył całą szerokość owego olbrzymiego lądu, przez który przedarł się z takim trudem, tracąc ośmiu żeglarzy, a nieraz znajdując się blisko całkowitej zagłady.

Oddzieliwszy się od kilku innych par wojowników, którzy wyruszyli wraz z nimi, poszli wzdłuż brzegu. Zaginający się lekko ku lądowi łańcuch wysepek tworzył jak gdyby zatokę, obejmującą szerokim ramieniem spory obszar morza, gdzie fala była płytka jak na jeziorze. Z przeciwnej strony wybrzeże wyspy wystawione było ku pełnemu morzu. Fala uderzała tam ostrzej, wybiegając daleko na miękki, ciepły piasek i cofając się z cichym szumem. Tu właśnie doszli obaj, idąc krawędzią piasków i przyglądając się niskim, niemal karłowatym drzewom, rosnącym pośród wysokiej ostrej trawy nadmorskiej i kolczastych krzewów.

Wyspa zdawała się zupełnie bezлюдna i na piasku nie widać było żadnych śladów człowieka ni zwierzyny. Jedynymi żywymi istotami były niezliczone mewy, które krążyły nad głowami idących i kołysały się na przybrzeżnej fali, pokrzykując ku sobie. Na widok ludzi zrywały się bez płochliwości, gdyż były zbyt leniwe, by odejść.

Słońce przygrzewało mocno.

- Zapewne nie zostaniemy tu długo - rzekł Białowłosa rozglądając się. - Nie ma też żadnej zwierzyny, którą można by upolować, pozostaną więc jedynie placki i ryby, a przecież w pobliżu ciągnie się rozległy ląd, który opuściliśmy, pełen saren, ptactwa i zajęcy. Widać go stąd jak na dłoni w oddali. Jutro po naradzie z Terteusem księżę każe podnieść żagiel i ruszymy wzdłuż wybrzeża! Przekonasz się wkrótce, że wróżba moja jest prawdziwa.

- Tak będzie... - Deukion skinął głową. Było ciepło, wyruszyli więc bez hełmów, pancerzy i nagolennic, a jedynie w opaskach na biodrach, opasani, z mieczami w pochwach i trzymając włócznie w dłoni. Nikt zresztą nie wierzył, aby na tej małej wysepce mogli natrafić na przeważającego wroga.

Ciemne, długie włosy Deukiona rozwiały się na wietrze.

- Nie zapominaj, po co przybyliśmy tutaj - dodał zgarniając dłonią czuprynę, która opadała mu na oczy. Białowłosa nie pojął jego słów.

- Po co?

- Jakże to? - Deukion roześmiał się i zaraz spoważniał. - Cóż powiedziano nam, gdy wyruszaliśmy na tę wyprawę? Przecież sam nieraz mówiłeś z boskim księciem, a Terteus przewodzący załodze jest twym przyjacielem i razem przybyliście na Krete. Winienesz wiedzieć więcej niżli inni, a chcesz mi rzec, że nie wiesz, po co płyniemy? Czy pragniesz, bym ci uwierzył?

- Czyżbyś myślał o owej krainie bursztynu?

- A o czym by innym?

Deukion zamilkł. Ruszyli dalej w milczeniu.

- Czy wierzysz, że napotkamy ją? - zapytał znów Białowłosa bez wielkiego zaciekawienia.

Tak wiele rozmyślał w ciągu nieskończonego długich dni o nienawiści Minosa wiszącej nad księciem i jego synem, że zapomniał niemal o celu wyprawy. Wydawało mu się, że znajdują się w nieustannej ucieczce, a przyczyna, którą księżę podał wypływając z Amnizos, nie była przecież ważna. Mógł podać sto innych. Ważne było jedno, unieść żywot daleko poza lądy i morza, nad

którymi królował znak podwójnego topora. Od chwili gdy opuścili Troję, wiedzieli przecież, że nie ma dla nich powrotu na Krete, dla żadnego z nich, ani dla bogom podobnego Widwojosa, ani dla któregokolwiek z wioślarzy. O tym, co nastąpi, gdy Angeles dotrze do owego morza na północnych krańcach świata, nie myślał niemal. Zresztą to Minos przecież wysłał tę wyprawę po bursztyn, nie rozważając nawet tego, czy dotrze ona do owej krainy, czy też nie, miała bowiem zniknąć z powierzchni ziemi, nim opuści granice znanego świata.

- Czy wierzę, że napotkamy ową krainę bursztynu? - Deukion zatrzymał się i spojrzął na niego. - Gdy pracowałem u kupca Angoreusa, czynił on w swych warsztatach kolczyki, pierścienie, pieczęcie i naszyjniki z różnych kamieni i metali... z żelaza nawet... - dodał z cichą dumą.

- Były tam także bursztyny, niewiele, lecz przywożono je z zachodu. Kupcy fenicyjscy są jedynymi, którzy wiedzą, skąd przybywają. Lecz nie o tym chciałem ci rzec: bursztyn wygląda jak zwykły kamień, a dopiero gdy jest rozłupany, dojrzeć możesz ową złocistą barwę i połysk. Stąd wiele traci się szlifując kamień. A nie ma go ani w Egipcie, ani też w górach, ani na wybrzeżu lub w Grecji, gdyż wiadano by o tym. Wszyscy mówią, że przybywa z północy, przez krainy barbarzyńców... - Zastanowił się.

- Lecz kryje się pod marną powłoką. Tym, którzy go nie znają, niełatwo go znaleźć. Nie lśni on jak złoto, srebro lub owe kamienie, które czasem błyskają w skałach.

Wygląda niemal tak...

To mówiąc pochylił się i podniósł niewielki, białozółty kamień na pół ukryty w mokrym piasku.

- Piękny nie jest... - Białowłosy uniósł drugi kamień, leżący nie opodal pierwszego i zaczął obracać go w palcach bez zaciekawienia.

- A cóż to?! - rzekł nagle Deukion. - Pokaż! - Wyjął kamień z ręki Białowłosego i obejrzał oba z bliska, trzymając je na rozpostartej dłoni. - Daj nóż!

Białowłosy sięgnął ku szyi, gdzie wisiał nóż, z którym nie rozstałby się za wszystkie bursztyny świata. Podał go Deukionowi, który położywszy miecz na płasko na piasku, oparł u jego brzeszczot jeden z kamieni i przyłożywszy do niego ostrze noża, lekko uderzył zwiniętą pięścią, a później ponowił uderzenie. Nóż zagłębił się nieco w powierzchnię kamienia. Wówczas Deukion uderzył mocniej. Kamień pękł na pół, ukazując ciemnozłote szkliste wnętrze.

- Bogowie! - zawołał cicho. - Rozbiłem go na pół, a za cały mógłbym kupić młodego niewolnika lub cztery owce, jeśli nie więcej! Cóż uczyniłem w głupocie mojej?!

- O czymże mówisz? - Białowłosy ukląkł w piasku i wzięwszy do ręki odłupaną połowę kamienia począł się jej przypatrywać.

- To bursztyn! - rzekł Deukion i przetarł oczy dłońmi.

- Czyżby bogowie rzucili czar na nas?! Jakże to możliwe, abyśmy znaleźli ów skarb, droższy niżli złoto i żelazo, leżący w piasku nadbrzeżnym?

Wyprostował się gwałtownie, chwycił miecz i wsunął do pochwy, a później rozejrzał niepewnie, jak gdyby nie wierząc własnym oczom.

Ruszyli z wolna wzdłuż wybrzeża znajdując jeszcze osiem kamieni. Później, biegnąc niemal, zawrócili ku obozowisku.

- Boski książę! Boski książę!

Deukion dobiegł zdyszany do ogniska, przy którym siedział na skórze niedźwiedziej bogom podobny Widwojos, a naprzeciw niego piękna Wasan rozmawiająca ze starym Nasiosem. Zatrzymali się obaj tuż przed księciem, a Białowłosy pierwszy wyciągnął dłoń, w której ścisnął trzy znalezione

przez siebie bursztyny i złożył je na skórze u jego stóp.

- Cóż to jest?! - Terteus, który wraz z Perilawosem i Kamonem zbliżał się właśnie od strony drzew, przyspieszył dostrzegłszy dwóch wojowników nadbiegających od strony wybrzeża. Ludzie, zajęci swymi pracami wokół ogniska, także przybliżyli się z zaciekawieniem.

Książę wziął do ręki jeden z kamieni, a później drugi i pozostałe. Naokół stali milczący żeglarze wpatrując się w nie, jak gdyby bogowie naprawdę rzucili na nich czar.

Książę powstał.

- Dzielni towarzysze moi! - zawołał donośnie, unosząc dłoń, w której trzymał największy ze znalezionych przez Białowłosego bursztynów. - Radujcie się, gdyż oto stało się to, w co nie mogłem uwierzyć w głębi ducha mego, choć wyruszyliśmy na tę wyprawę, by dotrzeć, nie bacząc na trudy i niebezpieczeństwa, do krainy bursztynu! Zaledwie stopy nasze dotknęły tego wybrzeża, a oto dwaj żeglarze, którzy wraz z innymi wyruszyli dla zbadania tej małej wyspy, znaleźli w ciągu krótkiego czasu tyle kamieni, ile wystarcza, by co najmniej jeden z was stał się bogatym i znaczącym człowiekiem! Wierzyć więc wypada, że piaski te kryją wiele jeszcze podobnych skarbów, oczekujących nas, gdyż, jak powiada dawna mądrość naszego ludu, bogowie najbardziej miłują dzielnych! A któż dzielniejszy niżli wy, którzy cały świat przebyliście? Ruszajmy więc niezwłocznie na poszukiwania, a jeśli okaże się, że wyspa ta zawiera wielkie bogactwo, podobne lub większe niżli to, o jakim śniliśmy, postanowimy, co dalej należy z nim uczynić!

I pierwszy ruszył ku wybrzeżu, a inni poszli za nim, wzniosłszy radosny okrzyk.

Szukali wszyscy, chwytając w dłonie każdy niemal kamyk nadbrzeżny i znaj dując wiele tych, których poszukiwali, lecz bohaterem dnia stał się Perilawos, który idąc wzdłuż brzegu po kostki w wodzie dostrzegł nagle czystą bryłę bursztynu wielkości pięści dojrzałego męża. A była ona tak przejrzysta, piękna i foremna, że zebrali się wszyscy wokół niego, patrząc z wielkim podziwem, gdyż nawet boski Widwojos, nie widział podobnej w skarbcu królewskim, jak rzekł.

Był już niemal zmierzch, gdy powrócili do gorejącego wysokim płomieniem ogniska, rzucając kolejno łup swój na rozpostartą niedźwiedzią skórę. Postanowiono bowiem, że jeśli wyprawa powróci na Kretę, połowa zebranego bursztynu spocznie w skarbcu pałacowym Knossos, a druga podzielona zostanie pomiędzy wszystkich żeglarzy, którzy wyruszyli na pokładzie Angelosa. Podział będzie równy, nie bacząc, czy ów, na kogo część przypada, jest sternikiem, księciem czy zwykłym wioślarzem. Jeśli natomiast bogowie zawiążą załodze drogę powrotu, wówczas zebrane bogactwa posłużą do ustanowienia nowego królestwa, bądź na stałym lądzie, bądź też na żyznej i pięknej, napotkanej w drodze wyspie.

A nie było w owym postanowieniu zbytnej chępliwości; gdyby bowiem udało się im powrócić z kilkoma pełnymi pithosami bursztynu, mogliby wówczas nakupić okrętów, broni, naczyń, narzędzi, ziarna, zwierząt i niewolników, ile by tylko zapragnęli, a wiele jeszcze bogactw pozostałoby im na czas przyszły.

Piękna Wasan czyściła przynieszone kamienie rąbkiem swej płóciennej krótkiej szaty, układając je w złociste szeregi, a nim nastąpiła ciemność, nagromadzili ich tyle, że mocny człowiek zaledwie zdołałby udźwignąć ów skarb, gdyby wsypano wszystko do jednego worka.

Nie wszystkie bursztyny jednak były równie piękne jak ów znaleziony przez Perilawosę, a niektóre były mniej czyste i wyglądały jak gdyby „leżały w mleku, nie w morzu” - jak to określił Harmostajos.

Tej nocy, choć byli strudzeni długą podróżą, żaden z nich nie usnął prędko. Leżeli rozmawiając i

snując marzenia o przyszłym życiu, pełnym dostatków i szczęścia dla nich samych i czekających w domu rodzin, gdziekolwiek los ich rzuci.

Albowiem pewni byli, że piaski tego wybrzeża kryją nieskończoną ilość owych bezcennych żółtych kamieni, które zdawały się tu leżeć od początku świata, a jeśli nawet wysepkę tę odwiedzali czasem ludzie, zapewne byli to nieokrzesani barbarzyńcy, nie pojmujący, po jakich skarbach deptają ich stopy. I choć nikt z nich nie wiedział, którądy wiedzie droga powrotu i jakie niebezpieczeństwa czyhają na niej, wszystko od owej chwili wydało im się łatwe i proste. Żalowali też umarłych towarzyszy, którzy, choć polegli broniąc Angelosa, nie będą z nimi w dniu podziału skarbów i nie zaznąją wiekuistej sławy, należnej odkrywcom krain tak dalekich i pełnych bogactw.

Nawet bogom podobny Widwojos i syn jego także nie usnęli prędko, bowiem i ich myśli błądziły wokół bursztynów.

Kamienie zsypane do wielkiego glinianego dzbana stały przy płonącym ognisku, gdyż nikomu nie wpadło na myśl przenieść je na okręt. Pragnęli je mieć w pobliżu, choć na tę noc.

- Ojcze! - rzekł Perilawos cicho. - Jeśli nazbieramy dość tych kamieni, rozpocznie się czas powrotu. Gdzież się udamy?

W głosie jego nie było radości. Póki płynęli, zdążając ku nie znanemu miejscu na krawędzi świata, mogli walczyć o to, by przebić sobie drogę, uratować życie, uchronić okręt i zdobywać jadło konieczne do przetrwania. Cel był wciąż przed nimi, daleki i nie znany. Lecz oto dziś zakończyła się ich wędrówka przez niezmierny, barbarzyński ląd i wypłynęli na Morze Północy. A zaledwie na nie wypłynęli, przekonali się, że są u celu podróży. Od dziś pozostawał im już tylko powrót.

- Gdzież się stąd udamy, ojcze? - powtórzył, gdyż bogom podobny Widwojos zdawał się nie słuchać. Leżał przymknawszy oczy nakryty skórą niedźwiedzią, którą wielce polubił od dnia, gdy Perilawos wraz z innymi zabił owego potwora w lesie otaczającym osadę na palach.

Lecz syn jego, patrząc na migotliwe blaski ogniska pełzające po szczupłej, ogorzalej twarzy ojca, wiedział, że książę nie śpi. I miał słuszość, gdyż Widwojos uniósł powieki.

- Minał już rok, odkąd opuściliśmy Knossos. W ciągu roku wiele się mogło wydarzyć i brat mój, uznawszy nas za przepadłych, rządzi swym królestwem bez niepokoju. Lecz jeśli dowie się, że Angelosa ujrano gdziekolwiek na powierzchni mórz, po których żeglują jego okręty, wpadnie w przerażenie. Gdybyśmy mieli powrócić, wioząc z sobą tak wielki skarb i wskazując Krecie drogę do bursztynu, którą flota złożona z dziesięciu dobrze wyposażonych okrętów, korzystając z naszego doświadczenia, mogłaby przebyć tam zapewne i na powrót w ciągu jednego roku, czy nie uznano by nas za najdzielniejszych i najślawniejszych synów Byka? Osiągnęliśmy przecież granice świata, a powrócilibyśmy wioząc wory bursztynu jako widome świadectwo naszych czynów. Czyż ty, ostatni potomku krwi Minosa, nie zostałbyś w ciągu jednego dnia otoczony miłością całego ludu? Czy nie śpiewano by pieśni o tobie i o mnie? Czy nie czekali by z utęsknieniem, aż wstąpisz na tron władców naszego królestwa, aby poprowadzić Kretę ku nowym, nie znanym dotąd zwycięstwom? Cóż stałoby się wówczas z miłością i wiernością dla obojętnego na wszystko, nie dbającego o sławne czyny króla, który wysłał nas na pewną niemal śmierć i uczynił wszystko, aby spotkała nas ona jeszcze przed odbiciem od przystani trojańskiej? A przecież nie dałoby się niczego ukryć, gdyż wydarzenie to znane jest całej załodze Angelosa. Jakże mielibyście stanąć obok siebie, ty, smagły od słońca i z solą wielu mórz na wargach, młody, dzielny i już doświadczony dzięki tej największej z wypraw, i on, gnuśny, bezdzielny i starzejący się w swym pałacu pośród grona pochlebców, równie niedbałych o przyszłość Krety jak ich władca? Cóż więc musi wówczas uczynić, nim sława nasza i

miłość ludu obudzona legendą tej wyprawy zmiotą go z tronu, a zapewne pozbawią także życia? Odpowiedz mi!

Perilawos milczał przez chwilę.

- Więc nie powrócimy do przystani w Amnizos... - rzekł cicho i skinął głową, jak gdyby przytwierdzał jakiejś myśli, którą wypowiedział w duchu.

- Więc nie powrócimy do przystani w Amnizos... - Widwojos siadł na posłaniu ze skór i wpatrzył się w ogień. Z dala, na tle gwiazd, widział rosłą postać przechadzającego się wartownika, ponad którego głową migotał wysoko czerwony płomyk odbity od lśniącego ostrza spiżowej włóczni. Dalej jeszcze rysował się czarny kadłub okrętu, a jeszcze dalej szumiała cicho rozległa zatoka.

Stamtąd, gdy lekki nocny wietrzyk zawiewał nieco mocniej, dochodziła woń traw i kwitnących nocą ziół pobliskiego lądu. Książę spojrział na syna. - Nie powrócimy do Amnizos... lecz powrócimy do świata. Ukryci w bezpiecznym zakątku będziemy czekali. Być może prześlemy wieść o sobie i o naszej wyprawie tym, którym będziemy mogli zaufać, lub tym, którym Minos wyrządzi krzywdę, co na jedno wychodzi. A tacy się znajdują. Nie ma bowiem władcy, którego wszyscy kochają, gdyż ów, który rządzi, musi jednych krzywdzić, a innych nagradzać. A cóż dopiero mój boski brat Minos! Zapewne skrzywdzi on wielu, a nagrodzi nielicznych. Nie wiemy jednak o tym niczego pewnego, więc wstrzymajmy się, póki nie uzyskamy pewnych wieści. Daleka jest jeszcze droga przed nami, mój synu. Pociesza mnie jedno: ów skarb tu znaleziony, który zapewne urośnie jutro i dni następnych. Gdyż trudno przypuścić, abyśmy postawiwszy nogi na przypadkowej wysepce natrafili na najbogatszy zakątek tej krainy bursztynu. Jest to miejsce bezludne, a przecież nie z bezludnych okolic przybywa bursztyn na południe. Więcej być tu musi takich piaszczystych wybrzeży, gdzie leży on czekając na tych, którzy pokonawszy niezmierzone niebezpieczeństwa, zapragną go podnieść. Mając ów skarb nie jesteśmy biedakami, choć byliśmy nimi jeszcze wczoraj. Albowiem wszystko, co posiadałem dotąd, pozostało w Knossos. Wierzę, że ów skarb bursztynowy wspomocze nas wielce. Bogactwo bowiem jest potęgą równie wielką jak wojska i okręty. Umie ono przemienić myśli ludzkie, nakazując kochać tych, ku którym serce się skłania. Słowem: może być ono rzeczą mądrą i straszliwą. A nie ustane w staraniach, aby nasze było jednym i drugim!

- Pojmuję cię... - rzekł Perilawos sennie. - Cieszy mnie, że z wszystkich owych kamieni ów, który ja znalazłem, jest najpiękniejszy...

Ziewnął i owinął się szczelniej, gdyż od pełnego morza nadbiegł chłodniejszy powiew. Ognisko dogasało i mrok opadł na leżących wokół niego ludzi. Bogom podobny Widwojos westchnął i opadł na swą niedźwiedzią skórę.

W tej samej chwili, nim dotknął posłania, coś wypadło ze świstem z ciemności, mknąc powietrzem minęło jego głowę i ocierając się o nią niemal rozpląnęło w mroku.

Widwojos znieruchomiał. Leżał przez krótką chwilę zastanawiając się, czy nie było to przywidzenie sennego umysłu.

- Chwytajcie za broń! Za broń!

Okrzyk dobiegł od strony okrętu.

Książę zerwał się i dostrzegł, że wraz z nim podrywa się Perilawos sięgając po tarczę i miecz. Ludzie wstawali szybko, chwytając za oręż.

Lecz że nic nie nastąpiło po owych okrzykach, stali nie wiedząc co czynić, a niektórzy odsunęli się jedynie od ognia, bacznie wpatrując bystro w otaczającą ciemność.

Widwojos dostrzegł Terteusa, który usnął wraz z małżonką swoją w pewnym oddaleniu od

innych. Teraz młody żeglarz wbiegł w krąg blasku rzucanego przez ognisko i zniknął pędząc z obnażonym mieczem ku okrętowi.

Usłyszeli pytanie, które zadał wartownikowi, i dwa głosy odpowiadające prędko.

W chwilę później Terteus wynurzył się z mroku, niosąc w dłoni długi, wąski przedmiot. Podeszedł do ognia i przyjrzał mu się.

- Kreteńska... - rzekł ze zdumieniem. Później, unosząc strzałę nad głową, zawołał: - Przybliżcie się wszyscy! A niech kto dorzuci do ognia! - Zwrócił się ku Widwojosowi: - Boski książę, strażnicy czuwający przy okręcie słusznie uczynili budząc nas, albowiem gdy przechadzali się obok niego po piasku, usłyszeli świst i strzała uderzyła nisko, tuż nad ziemią, wbijając się w deski dna. Wyrwałem ją i oto jest! To nasza strzała, a nadbiegła ku okrętowi od obozowiska! Świadczy o tym jej lot, bowiem wbiła się tak, że gdy poprowadzić po niej okiem, natrafia ono na ognisko, przy którym spaliśmy! Lecz któż, na bogów, mógł strzelić? Nie pojmuję tego, bowiem biegła nisko i nisko się wbiła. A gdyby ktoś z leżących dźwignął się wówczas, przebiłaby go niechybnie.

Słowa te wypowiedział półgłosem, lecz kiedy trzymając strzałę zwrócił się ku ludziom gęsto stłoczonym wokół ognia, mówił donośnie i wolno, aby każde słowo dotarło do nich:

- Oto strzała z naszych okrętowych zasobów, grot taki i podobne osadzenie znane są jedynie na Krecie, jak to wiecie dobrze, a inne ludy czynią rzecz tę inaczej. Nie nadbiegła ona z daleka ku burcie naszego okrętu, w której uwięzła! Rzeknijcie, który z was strzelił i czemu? Jeśli uczynił to przypadkiem, próbując cięciwy przed uśnięciem, niechaj wystąpi i powie to. Abyśmy wiedzieli! A nikt go nie ukarze. Nikt bowiem nie mógł uczynić tego żartem, gdyż strzelając w ciemność i wiedząc, że przy okręcie przechadzają się wartownicy, mógł ugodzić któregoś z nich!

Odpowiedziało mu milczenie. W rosnącym blasku ognia ludzie spoglądali po sobie.

- Czy nie ma takiego? - zapytał Terteus raz jeszcze.

Znowu odpowiedziała mu cisza.

- A więc być może przydarzyło się to któremuś z was, gdy śniąc o minionych bojach z nieprzyjaciółmi, których napotkaliśmy, bezwiednie chwycił łuk i strzelił nie pojmując nawet, że to uczynił? Czy śnił z was który, że strzela z łuku?

Ponowne milczenie. Nikt nie odezwał się.

- A czy nie dostrzegł z was który, że towarzysz jego sięga po łuk?

- Spałem jak dziecko - rzekł Metalawos o potężnych ramionach - i śniłem o skarbach, które dam matce mojej. Bowiem trzusi się ona od świtu do nocy w cudzym sadzie oliwnym, odkąd podrosła i przestała być dzieckiem. Za owe bursztyny uczynię ją panią wielu niewolnic, które będą się trzusić dla niej.

Inne pomieszane głosy zdawały się mówić rzeczy podobne, a wszyscy zaprzeczali, aby dostrzegli owego strzelca. Terteus wzruszył ramionami.

- Niechaj wie ów głupiec czy nikczemnik, który strzela dla żartu lub innej przyczyny nad głowami swych śpiących towarzyszy, iż śmiercią będzie ukarany, aby nie zabawiał się tak więcej i nie mógł tego uczyć dzieci swoich! Więcej nie mam wam co rzec, bowiem do jednego z was mówię, choć nie wiem, do którego!

I odwrócił się.

Mrucząc i rozmawiając przyciszonymi głosami ludzie rozeszli się i ponownie ułożyli do snu.

- Nim odejdiesz, by spocząć u boku twej pięknej małżonki, pragnę, Terteusie, zamienić z tobą słów kilka...

Bogom podobny Widwojos skinął na niego nieznacznie i odeszli w ciemność, a Perilawos wraz z Białowłosym, który pozostał przy młodym księciu, ruszyli za nimi.

Gdy zatrzymali się nad ciemnym brzegiem zatoki, książę rzekł spokojnie:

- Strzała owa była przeznaczona dla mnie!

I opowiedział im, jak minęła go szczęśliwym trafem, gdyż ów, który puścił cięciwę, uczynił to w tejże chwili, gdy on opadł na posłanie, a przebiegła ona tuż nad jego głową, nim zdążył lec na ziemi.

- Ojczy! - rzekł Perilawos. - Któż z nich odważyłby się... Nie, któż z nich pragnąłby twej śmierci?! Nie uwierzę w to! Los ich związany jest z twym losem i dzięki tobie jedynie mogą kiedyś z wolą bogów odzyskać to, co utracili: dom, ziemię ojczystą i rodziny pozostawione tam, gdzie żaden z nich nie miałby już odwagi powrócić wiedząc, że władca niezwłocznie rozkazałby uciszyć go na zawsze!

- To prawda... - rzekł Terteus. - Lecz jeśli człowiek ów zyska dla siebie i swej rodziny wolność w zamian za śmierć twego boskiego ojca, wówczas uczyni to. Być może jest to niewolnik, któremu przyrzeczono wiele i dlatego znalazł się tu z nami... - Zawahał się. Lecz uznał zapewne, że nie czas już taić przed księciem i jego synem tego, co rzekł Orneus konając na zamrzniętym jeziorze. A kończąc dodał: - Sam bym nie uwierzył własnym uszom, gdyby nie to, że obaj wysłuchaliśmy jego słów! - Wskazał na Białowłosego.

Ku jego zdziwieniu bogom podobny Widwojos roześmiał się cicho.

- Nie doceniałem, jak widzę, mego boskiego brata, króla Minosa! A przecież, gdybym się zastanowił nieco, mógłbym przewidzieć, że zechce on ubezpieczyć się na wszelkie sposoby, aby nie ujrzeć mnie już nigdy więcej. Słusznie mawiają ludzie, że daleko pada cień nienawiści królewskiej. Ciekaw jestem, kiedy ów szaleniec zechce znowu uderzyć?

- Nie wierzę, boski książę, aby uczynił to wkrótce. Zaczeka on teraz, aż nadejdzie chwila, gdy nic mu nie stanie na przeszkodzie i osądzi, że zadając cios jest bezpieczny. Lecz źle uczynimy nazywając go szaleńcem, gdyż nie jest szalony i uderzy z rozwagą, tak abyśmy nie mogli go później pochwycić. Nie zapominajmy też, że będzie chciał zabić także i syna twego, co czyni ochronę życia waszego tym trudniejszą, bowiem łatwiej strzec jednego człowieka niżli dwu.

- Lecz czemu nie próbował zabić mnie wcześniej? Będąc jednym z załogi wiele miał sposobności, aby napaść na mnie, gdy byłem sam. Także i Perilawosa mógł zgładzić, gdy ów zapuszczał się samotnie w las lub kiedykolwiek indziej, podczas snu albo wówczas, gdy oddalał się od pozostałych. Nikt z nas nie miał się na bacności przed innymi i zbrodnia taka nie byłaby trudna do spełnienia.

- To prawda, boski książę, lecz być może nie pragnął narażać swego życia. Wie bowiem, że zginąłby w straszliwych mękach, gdyby został przez nas odkryty, a pojmując także, że los nas wszystkich zawieszony jest na cienkiej przędzy w ręku Sióstr Wiekuistych. Po cóż miał zabijać, skoro mógł go wyręczyć topór barbarzyńcy lub obca strzała wypuszczona z gęstwiny? Zapewne osądził dziś, że niebezpieczeństwa owe mamy za sobą, i pojął, że sam musi dokonać swego straszliwego dzieła, gdyż los go nie wyręczył. Wypłynęliśmy wreszcie na morze i doprowadzi nas ono wkrótce ku granicy znanego świata. Byłeś, książę wodzem owej wyprawy i wiodłeś nas do boju pod świętym podwójnym toporem, dodając męstwa innym i wypełniając serca ich wiarą, że twa bogom pokrewna osoba wybawi ich z każdej zasadzki. Człowiek ów także wierzył w to. Lecz dziś zmieniło się wszystko, jak mniema, Odnależliśmy krainę bursztynu, więc i on, podobnie jak wszyscy pozostali, otrzyma część skarbu, a droga powrotna łatwiejszą zapewne będzie niżli ta, którą

przebyliśmy. Niebezpieczeństwa zostały pokonane, więc i bez ciebie okręt zapewne z łatwością powróci ku znanemu światu, kierując się odtąd na zachód, a później ku południowi. A on, jeśli pozbędzie się was obu, których kro;

Krety tak nienawidzi, może liczyć na wielką nagrodę i dostatni żywot. A zresztą, jeśli otrzymał rozkaz, aby was zabić, jakże ma powrócić nie wykonawszy go?

Widwojos nie uśmiechał się już.

- Cóż radzisz mi uczynić?

- Strzec się samotnych przechadzek, nawet jeśli ludzie są w pobliżu, a także nie zezwolić synowi twemu, aby oddalał się od nas samotnie bez przyczyny.

- Terteusie, słowa twe nie cieszą mnie! - rzekł nagle Perilawos.

Ze zdumieniem zwrócili się ku niemu. W mroku nie dostrzegali jego lica, lecz głos młodego księcia miał stanowcze brzmienie, jak gdyby wierzył, że to, co chce rzec, jest słuszne i winien im ową myśl przekazać.

- Nie sposób pośród trudów wyprawy i przy ciągłej zmianie przystani trzymać się nieustannie miejsca, gdzie zgromadzona jest cała załoga. Prócz tego, jak sam dziś widziałeś, wymierzył on w ojca mego, gdy wszyscy znajdowaliśmy się przy ognisku, nie czekając, aż się oddali.

Tak więc, choć najmłodszy z was i niedoświadczony, inną dałbym radę, jak ustrzec nas przed owym zbrodniarzem. - Zamilkł na chwilę, jak gdyby zawstydzony.

- Mów, synu... - rzekł Widwojos. - Każda rada, którą można rozważyć, ma tu znaczenie. A jakąż nam szkodę przyniesie zastanowienie się nad owym niebezpieczeństwem, tym straszliwszym, że nie można mu stawić czoła? Nieprzyjaciel skryty jest bowiem pod maską przyjaźni i nie wiemy, który z wiernych i dzielnych wojowników Angelosa na dnie serca kryje ów jad jak wąż w głębi swej paszczy.

- Otóż wierzę - rzekł Perilawos - że czekając, aż uderzy, oddajemy się w jego ręce i zezwalamy, aby wybrał czas i miejsce najbardziej dogodne dla siebie. A może on czekać tak długo, jak zechce, do chwili, gdy uzna, że ma nas przed sobą nie przygotowanych do odparcia uderzenia...

- A jakąż widzisz na to radę, Perilawosie? - zapytał Terteus nieco zniecierpliwionym głosem. - Nie wiemy, kim jest ów człowiek i jak chce wykonać swój zbrodniczy zamysł. Musimy więc czekać, aż zapragnie zabić ciebie lub twego boskiego ojca i wówczas przeszkodzić mu!

- Masz słusność. Lecz czemu mielibyśmy drzeć o żywot nasz nieustannie, mając przeświadczenie, że możemy zginąć wśród snu lub gdy przechadzamy się nad brzegiem morza? Trudno żyć wiedząc, że lada chwila włócznie wyrzucona z zarośli może wbić się nam w plecy. Myślę więc, że to my winniśmy stworzyć mu sposobność, aby uderzył i wpadł w naszą zasadzkę! Nie wie on przecież o tym co rzekł wam konający Orneus, i sądzi, że nikt nie może przypuszczać nawet, aby na okręcie krył się morderca. Tak więc, miast trzymać się miejsc, gdzie pełno jest ludzi być może ojciec mój lub ja lepiej uczynimy oddalając się swobodnie i jawnie, tak aby wszyscy to widzieli, m polowanie lub zbieranie bursztynu. Nie wzbudzi to w nim podejrzeń, że gotujemy zasadzkę, więc jeśli człowiek ów rzeczywiście dybie na nasz żywot, pójdzie za nami! A wówczas pozostali, którzy będą niepostrzeżenie posuwali się za nim, pojmą go widząc, że gotuje się do napaści! Tak więc, miast utrudnić mu napaść, ułatwimy ją, abyśmy go poznali!

Zamilkł. Milczeli wszyscy przez chwilę. Wreszcie Terteus rzekł:

- Będzie kiedyś z ciebie mądry król, Perilawosie. Albowiem wstyd mi przyznać, że w głupocie mojej nie pomyślałem o tym! Teraz, kiedy to rzekłeś, rzecz ta wydaje mi się jedyna. Tak czynią

mądrzy wodzowie, nie dając nieprzyjacielowi możliwości wybrania czasu i miejsca walki, lecz każąc mu wierzyć, że sam wybrał jedne i drugie, choć to oni przemyślnie doprowadzili go do tego. Tak, boski książę, uczynimy to! Lecz trzeba jeszcze jednego lub dwu ludzi, abyśmy mogli z dala czuwać nad wami nie budząc jego podejrzeń. Kogóż by można wtajemniczyć, skoro nie wiemy, kim jest ów morderca?

- Któż pełnił straż przy okręcie? - zapytał Białowłosa.

- Albowiem pewne jest, że żaden z owych dwu strażników nie mógł być tym, który wysłał ku tobie strzałę, boski książę, gdyż nie świsnęłaby ona nad twą głową szybując ku burcie Angelosa, lecz biegłaby w przeciwnym kierunku.

- I to prawda! - Terteus roześmiał się cicho. - Wypędź mnie, bogom podobny Widwojosie, lub każ mi zasiać na ławie i ująć wiosło. Jak widać, do tego jedynie nadaję się ostatnio! O tym także nie pomyślałem.

- Ani ja! - Rzekł książę. - A przecież, gdy powiedział to, i mnie rzecz ta wydała się jasna. Któż pełnił straż?

- Harmostajos i Anomedes. Tak więc ich dwu możemy oczyścić z podejrzeń, które nadal wisi nad pozostałymi. Raduje mnie wielce, że Harmostajos był tam, gdy żuratował on raz całą wyprawę i pomógł uwolnić moją Wasan od śmierci. Zapewne bogowie kochają go. Przemyślny to młodzieniec i sprawny w boju, choć o Anomedesie także nie chciałbym rzec nic złego. Lecz jest to jego wina, gdyż umysł dają nam bogowie i sami go nie wybieramy. Lękam się jednak, że mógłby nie pojąć, czego chcemy od niego, lub wygadać innym. A wówczas byłoby to gorzej, niż gdybyśmy nie mieli żadnego zamysłu obrony. Morderca ostrzeżony zawczasu stałby się po stokroć groźniejszy.

- A więc Harmostajos! - rzekł boski Widwojos. - Nie zapomnę póki życia chwili, gdy ściągnął z konia owego barbarzyńskiego króla. Gotowaliśmy się wówczas wszyscy na nieuchronną śmierć. Któż z nim będzie mówił?

- Najlepiej będzie, jeśli powie mu o tym Białowłosa, gdyż przyjaźnią się ze sobą. A gdy to uczyni i zaprzysięże go, aby nie zdradził nikomu słowa z tego, co usłyszał, wówczas dopuścimy go do narady i ułożymy, co nam wypada czynić. Lecz teraz, boski książę, powróćmy już do ogniska. Lecz pojedynczo, aby człowiek ów nie pojął, że naradzaliśmy się nad jego czynem. Leży on tam udając zapewne, że śpi. Lecz nie usnął, to pewne!

Powoli więc i z różnych stron powrócili do ogniska i ułożyli się do snu.

A choć Terteus był przekonany, że tej nocy morderca nie ponowi próby zabicia księcia lub jego syna, budził się jednak kilkakrotnie i nasłuchiwał.

Lecz ciszę nocną przerywał jedynie miarowy oddech pięknej Wasan śpiącej u jego boku.

Na bezchmurne niebo wszedł księżyc i nadbrzeże leżało w jego łagodnym świetle, widoczne aż po granice ciemnych wód zatoki. Spoczywający na brzegu Angelos wyglądał jak wyciągnięta na brzeg wielka srebrzysta ryba. Miarowo krążyły wokół niego dwa cienie, maleńkie z tej odległości.

Terteus usnął wreszcie na dobre, gdy nad czystym widnokregiem wstawać zaczął szary świt.

ROZDZIAŁ TRZECI

W pobliżu Krainy Mroków

Następnego dnia Perilawos zaznaczył na krawędzi tarczy z brązu brzeg morza i wyspę, na której się znajdowali.

- Gdybyśmy mieli ruszyć stąd na północ, nie miałbym już miejsca i trzeba byłoby wypaść za krawędź, przed czym niechaj chronią nas bogowie i boginie! - Roześmiał się, schował tarczę do skrzynki i zerknął na swoje tabliczki. - Nie mam świeżej gliny, więc kraina ta zaczekać musi na opisanie swoje! Pójdźmy na poszukiwanie bursztynu, bowiem wszyscy niemal pobiegli na nadbrzeże!

Zeskoczyli z burty okrętu na piasek. W rzeczy samej, prócz ośmiu strażników, którzy pozostawali przy Angelosie, gdy załoga oddalała się, nie było naokół nikogo. Nawet księżę wraz z Terteusem, piękną Wasan i Harmostajosem, który po wczorajszej nocnej rozmowie z Białowłosym, wiedział, co ma odtąd czynić, ruszyli, by obejść wysepkę, i obchodzili ją już po raz drugi.

Dziwne to było i nie do wiary, lecz choć załoga zbadała już każdy skrawek piasków nadbrzeżnych, nieustannie znajdowano nowe bryłki bursztynu, zapewne obnażane co dnia przez fale i zasypywane ponownie. Terteus, choć skarby owe radowały go, pragnął, aby po południu popłynęli ku innej wyspie lub przybili do wybrzeża, gdzie mogliby upolować dość świeżej zwierzyny.

Białowłosy i Perilawos stanęli teraz niezdecydowanie, nie wiedząc, w którą stronę się udać, nawet ów upragniony bursztyn spowszedniał im, skoro tyle go tu było. Z dala dostrzegali pojedyncze postacie ludzkie zagubione w piaskach nadbrzeża. Poruszały się one i pochylały, a niektóre znikwały właśnie za zagiętą linią brzegu i wyniosłością wyspy.

Obaj młodzieńcy ruszyli porośłym kępami trawy i jałowca zboczem wielkiej wydmy ku środkowi wyspy pokrytemu rzadkim lasem sosnowym. Z dala widać było, że góruje nad nią niewielkie wzniesienie, jak gdyby łagodny szczyt, na którym także stało kilka sosen.

Gdy znaleźli się tam w końcu, oczom ich ukazał się rozległy widok zatoki, ciągnącego się za nią brzegu wielkiego lądu i dalekich, zielonych wzgórz w oddaleniu.

Po drugiej stronie rozciągał się widnokrąg morski, na którym nie dostrzegli żadnej wysepki, łodzi lub żagla dalekiego okrętu. Morze to ciągnęło się na wschód i ku północy, gdy na zachód, za łańcuchem wysepek, mniejszych niżli ta, na której się znajdowali, zdawał się dalej ciągnąć ląd.

- Obyśmy znaleźli tam dość bursztynu! - rzekł Perilawos wskazując dłonią najbliższą złotawą linię piasków nadbrzeżnych na południu. - Wówczas podniesiemy żagiel i skierujemy się ku domowi, a jakkolwiek to będzie dom i gdziekolwiek będzie się on znajdował, pragnąłbym znów przekroczyć granice znanego świata, aby ludzie dowiedzieli się, że nie ma tu ani ostatecznej krawędzi ziemi, ani potworów straszliwszych niżli te, które żyją w naszych lasach i morzach, ani też olbrzymów i ptaków topiących okręty! Bo cóż warte byłoby to wszystko, na czym spoczęły nasze oczy, gdybyśmy zginęli

w drodze i nie mogli przekazać wieści o tych żyznych, bezludnych niemal, barbarzyńskich krainach, do których okręty kreteńskie czy jakiegokolwiek inne, mając dzielnego wodza i nieulekłych żeglarzy, mogą dotrzeć tak łatwo, jak my dotarliśmy... Bowiem... - Urwał nagle. - A cóż to jest? - rzekł półgłosem i wyciągnął rękę.

Białowłosa spojrzawszy przymrużywszy oślepienie blaskiem oczy, lecz dostrzegał jedynie mieniącą się w słońcu, połyskliwą i pomarszczoną wiatrem powierzchnię zatoki.

- Cóż widzisz?

- Bogowie! - rzekł Perilawos. - Po cóż wspominałem o potworach i olbrzymach?! Oto one!

- Gdzie?!

Białowłosa chwycił go za ramię.

- Tam! Tam, w wodzie! Spójrz! Jest ich wiele i zdają się zbliżać do okrętu!

Białowłosa przysłonił oczy dłonią. Przez chwilę nie widział nic. Nagle serce zamarło mu w piersi.

Mniej więcej o tysiąc kroków od brzegu, na lewo od czarnego smukłego kształtu Angelosa spoczywającego na piasku, widać było pośród niewielkich fal igrające w morzu, ciemne połyskliwe kształty. A nie były to ryby, gdyż głowy ich i ciemne, lśniące grzbiety ukazywały się i niknęły, burząc wodę!

- Lud to jakiś straszliwy, który w wodzie żyje jak inne na twardej ziemi! - rzekł niemal szeptem Perilawos. - Cóż stanie się, gdy dotrą do okrętu?!

W tej samej chwili gromada podzieliła się, jak gdyby na dwie mniejsze, które rozplynęły się w przeciwnych kierunkach okrążając z dala wyspę i oddalając się coraz bardziej od brzegu. Białowłosa i Perilawos w milczeniu prowadzili oczyma malejące w słonecznej mgiełce głowy owych istot, a gdy znikły, spojrzeli na siebie.

- Zbiegnijmy i rzeknijmy o tym ojcu memu i Terteusowi.

Uczynili tak i znaleźli księcia wraz z Wasan i Terteusem na nadbrzeżu po przeciwnej stronie wyspy. Lecz choć Terteus nakazał, aby od tej chwili dwóch bystrookich wojowników czuwało nieustannie na szczycie wydmy, zmieniając się co pewien czas, jednak nikt już nie dostrzegł owych wodnych ludzi czy też stworzeń, jakich nigdy dotąd nie widzieli.

Angeles pozostał jeszcze dzień cały i noc na wyspie, a drugiego dnia o świcie zepchnęli go na wodę i pożeglowali ku dalekiemu brzegowi, na zachód od ujścia wielkiej rzeki, którą przybyli z głębi łądu.

W ciągu dnia zbierali bursztyn na wybrzeżu, płynąc na zachód i przenosząc się z miejsca na miejsce.

Dwukrotnie Terteus, Białowłosa i Harmostajos czaili się, by dostrzec, kto podąży za Perilawosem idącym samotnie na łowy. Lecz nikt nie ruszył za nim po kryjomu lub jawnie, a nikt także nie śledził go z dala, choć czuwali ukryci, by ujrzeć skradającego się wroga lub kogokolwiek z załogi, idącego w tym samym kierunku.

Po pewnym czasie dali temu spokój, gdyż być może morderca ów odłożył wykonanie swego zamysłu, a być może Orneus mówił od rzeczy konając, a owa strzała, która przeleciała nad księciem, mogła być wypuszczona przypadkiem. Człowiek, który bezmyślnie puścił cięciwę, przeląkł się zapewne, gdy Terteus powrócił ze strzałą i przemówił do załogi. Po cóż miałby się przyznawać do tak głupiego uczynku narażając na drwiny towarzyszy?

- Oby tak było! - westchnął Terteus, gdy naradzali się po drugiej nieudanej zasadzce. - Wszelako

nie wolno nam osłabić czujności, gdyż ów nikczemnik może właśnie tego oczekiwać. A jeśli uda mu się, cóż nam z tego, że schwytamy go po zabójstwie i ukarzymy okrutną śmiercią? Uczyńmy tak: ja nie odstąpię odtąd bogom podobnego księcia, co przyjdzie mi tym łatwiej, że wypełniając jego rozkazy winienem być nieustannie w pobliżu, gdy płyniemy po obcych wodach nie znając drogi przed sobą ani niebezpieczeństw, które na niej mogą czyhać. Ty zaś - zwrócił się ku Białowłosemu - będziesz towarzyszył Perilawosowi, który zresztą upodobał sobie w tobie od dawna i wszyscy wiedzą, że zaszczyca cię swą książecą przyjaźnią, choć jesteś jedynie synem ubogiego rybaka. Lecz że ty uratowałeś żywot Perilawosa, a ojciec twój pomógł nam uratować obu książąt, rzecz ta nikogo nie zdziwi. Nie chodź z nim jednak sam, bowiem zabójca ów mógłby, działając szybko i niespodzianie, zabić was obu, gdy tego się nie spodziewacie. Bierzcie z sobą zwykle kogoś trzeciego, jego... - wskazał Harmostajosa - lub nie wiedzącego o niczym wojownika, bowiem źle byłoby, gdyby zarówno książę jak jego młody syn otaczali się wyłącznie małą garstką ludzi.

Tak więc trzeciego dnia ruszyli obaj wzdłuż wybrzeża, a poszedł wraz z nimi Kamon, który był sprawny w ciskaniu włócznią i władaniu mieczem, a odznaczył się przy zbieraniu bursztynu, gdyż zebrał go najwięcej ze wszystkich.

Angeles stał na płytkiej przybrzeżnej wodzie utrzymywany w miejscu dwiema kotwicami, gdyż późnym popołudniem pragnęli wyruszyć, aby przebyć także i dziś nieco drogi, która, jak sądzili, musiała poprowadzić ich do Bramy Świata, gdzie łąd południowy i łąd północny, wspólnie otaczające ich rodzinne morze pośrodku ziemi, schodziły się pozostawiając jedynie cieśninę, za którą rozciągały się już tylko niezmiernie wody. Musiały one być połączone zapewne z tym właśnie morzem, po którym teraz płynęli. A że z Troi posuwali się nieustannie niemal pod prąd rzek, na północ, wierzyli teraz, że powrót zajmie im o wiele mniej czasu.

Wszyscy trzej szli wybrzeżem podnosząc od czasu do czasu leżące w piasku bursztyny. Brzeg pokryty był małymi białymi muszlami, dalej była piaszczysta skarpa, a za nią las na niewielkich wzgórzach.

W pewnej chwili, gdy wynurzyli się spoza płytkiego przylądka, zasłaniającego widok, idący przodem Perilawos zatrzymał się nagle i cofnął unosząc rękę.

- Cóż dostrzegłeś? - zapytał szeptem Kamon zbliżywszy się.

- To oni! - rzekł Perilawos oddychając ciężko. - Ow lud morza! Wyszli na wybrzeże i leżą na nim wygrzewając się w słońcu!

Szybko wdrapali się wszyscy trzej na skarpe i ukryci w zaroślach poczęli posuwać się w kierunku, gdzie spoczywały owe przedziwne istoty, okrążając je z dala, tak aby nie mogły ich dostrzec.

Po kilku chwilach Kamon, który szedł nisko pochylony, padł na trawę i począł czołgać się ostrożnie w kierunku morza.

Napiąwszy łuki, ze strzałą na cięciwie, posuwali się obaj za nim gotowi do przebicia morskiego potwora, gdyby któryś z nich, zwęszywszy obcych, chciał uderzyć na posuwającego się przodem towarzysza.

Wreszcie Kamon znalazł się niemal na skraju zarośli i znieruchomiał z głową ukrytą w gęstym krzewie, przez który spoglądał na leżący w dole brzeg.

Czekali. W pewnej chwili cofnął głowę, obrócił się ku nim i skinął ręką.

Zbliżyli się czołgając, wsparci na łokciach, nadal nie wypuszczając łuków z ręki. Wreszcie przypadli do ziemi obok niego.

Białowłosy położył łuk i powoli rozgarnął wysokie żdźbła trawy, przesłaniające mu widok.

Dostrzegł je natychmiast. Było ich około stu: wielkie, ciemne, wrzecionowate cielska leżące nieruchomo na piasku. Inne znajdowały się w wodzie. Pływały w niej szybko, wysuwając wysoko głowy, jak gdyby rozglądały się. Wreszcie jedno ze stworzeń na brzegu poruszyło się.

Niezdarnie i z wysiłkiem, pełzając po piasku i wlokąc za sobą krótkie tylne nogi podobne do płetw, dobrnęło do wody i po chwili zanurzyło w niej, a wówczas, gdy straciło dno pod sobą, stało się z nim coś przedziwnego. Śmignęło jak błyskawica i dołączyło do innych płasających w nurtach zatoki.

Patrzyli wstrzymując oddech. Po chwili inne stworzenie wyszło z wody na brzeg, poruszając się podobnie do pierwszego. Wszystkie miały pyski wąskie, podobne do psich, a choć z pewnej odległości trudno było rzec, czy ciało ich pokrywa lśniąca skóra czy sierść, wydawało się patrzącym, że jest to gruba szczecina.

- To nie lud wodny, lecz zwierzęta morskie... - szepnął Kamon. - A choć większe i cięższe niż człowiek, nie poruszają się szybko na ziemi. Nie obawiamy się ich!

- Cóż chcesz uczynić? - zapytał niemal bezgłośnie Perilawos.

- Wypuścić strzałę w jedno z nich, a później ujrzymy, co się stanie. Jeśli nie biegają prędzej, niżli nam to ukazują, nie rzucają się na nas...

Zaledwie to wypowiedział, młody książę uniósł leżący na ziemi łuk, ukląkł i wymierzwszy w najbliższe stworzenie puścił cięciwę.

Strzała świsnęła ostro i wbiła się w bok leżącego potwora, który wydał z siebie wysoki, niemal ludzki głos i dźwignął na przednie kończyny, a później, znacząc ślad ciemną krwią buchającą z rany, ruszył niezdarnie ku brzegowi. Lecz doznała go druga strzała z łuku Białowłosego trafiając w połączenie głowy z szeroką przechodzącą w tułów szyję i wbiła się głęboko w miękkie ciało. Zwierzę wrzasnęło raz jeszcze i upadło. Dźwignęło się ponownie i runęło na bok, nieruchome. Nie drgnęło już.

Ukryci myśliwi czekali. Najbardziej zdumiało ich, że choć krzyk towarzysza wywołał niepokój pośród innych zwierząt, które poruszyły się i poczęły kręcić głowami, jak gdyby poszukując wzrokiem nieprzyjaciela, jednak żadne z nich nie uciekło nawet do wody, gdzie były szybkie i swobodne, wszystko bowiem wskazywało, że jest to ich żywioł przyrodzony.

Kamon wstał z mieczem w jednej ręce i włócznią w drugiej. Obaj jego towarzysze uczynili podobnie, zarzuciwszy łuki na ramię.

Ruszyli w dół ku spoczywającemu stadu nadal ostrożnie, lecz coraz pewniejsi siebie.

Zbliżywszy się do najbliższego zwierzęcia Kamon zatrzymał się. Spojrzał na niego i zawarczało niemal jak pies, szczerząc długie zęby i unosząc górną wargę, z obu stron której wyrastały długie, proste, szczeciniaste wąsy.

Kamon odskoczył o krok, a później pobiegł okrążając zwierzę od tyłu. Wziął krótki zamach. Włócznia utkwiała głęboko w szerokim grzbiecie. Przerzuciwszy miecz do prawej dłoni, ciął raz i drugi w głowę, aż krew trysnęła strumieniem na złocisty piasek.

Perilawos i Białowłosy szli tuż za nim, bacznie przyglądając się reszcie stada.

Na widok obcych nie znanych stworzeń zaczęło ono z wolna i niezdarnie podążać ku wodzie. Lecz nim tam dotarło, zdążyli jeszcze zabić kilka wielkich zwierząt, rąbiąc je mieczami i wbijając włócznie w gładkie powolne ciała.

Po chwili pozostałe były już w morzu i odpływały szybko, wynurzając głowy i oglądając się za

siebie jak ścigani ludzie.

Wówczas myśliwi powrócili do leżących na brzegu ciał.

Były to wielkie, ciężkie i niezwykle tłuste zwierzęta. Kiedy Białowłosy nożem rozplątał jedno z nich, ujrzeni, że ma ono całe pokłady żółtawego tłuszczu na bokach i grzbiecie. Mięsa także musiało w nich być wiele. Nie znali jednak jeszcze jego smaku.

Pobiegli więc co sił do okrętu, przy którym ludzie zaczęli się już gromadzić na południowy posiłek. Gdy opowiedzieli o swej zdobyczy, załoga zasiadła przy wiosłach, pozostawiając jedynie kilku, aby przyprowadzili tych, którzy znajdowali się jeszcze w lesie polując. Z wolna wiosłowali wzdłuż brzegu, aż natrafili na leżące w piasku widoczne z dala cielska.

Wszyscy dziwili się niezmiernie, prócz Terteusa, który - urodzony na małej wysepce pośród morza - widział kilkakrotnie podobne stworzenia, lecz pręgowane na białe i mniejsze. Zwano je w jego skalistej ojczyźnie Białymi Pannami i nie polowano na nie, bowiem krążyło od wieków podanie o pewnej bogini ściganej przez obcego boga, który żył na wybrzeżach Azji. Gdy dopadł ją i uczynił swą małżonką, ona nienawidząc przemocy utopiła się, lecz inni bogowie sztuką swą przemienili ją w Białą Pannę, a potomstwem jej były właśnie owe przedziwne stworzenia. Lecz tu, na barbarzyńskim morzu, cóż znaczyły domowe podania? Stworzenia te w niczym nie przypominały bogów. Było to mięso, wiele mięsa i tłuszczu!

Pozostali więc w miejscu owym cztery dni, wytapiając tłuszcz i przelewając go do wielkich dzbanów, gdzie zastygał. A piękna Wasan przyprawiała go znanymi sobie tylko ziołami, które znajdowała na skraju nadbrzeżnego lasu. Mówiła przy tym, że zioła owe chronią mięso przed szybkim gniciem, a także odbierają mu złą woń, która zawsze pojawia się w rybnym mięsie po pewnym czasie. Ponieważ stworzenia owe żyły w wodzie, więc zapewne ich mięso i tłuszcz także winny być zmieszane z wywarem z owych roślin.

Białowłosy, który znał podobne sposoby zachowania rybiego mięsa, przyglądał się jej z ciekawością. Poszedł nawet do lasu, by odnaleźć zioła, po które zwykle posyłała go matka w czasie połowów. Lecz nie znalazł ich. Nie rosły w tej odległej krainie.

Tak więc, uczyniwszy sobie bogate zasoby mięsa i tłuszczu, a także wysuszywszy na słońcu wyglądzone ostrymi kamieniami skóry owych zwierząt, które zdawały się bardzo silne i odporne, odpłynęli na zachód.

Brzeg skłaniał się łagodnie, lecz nieustannie ku południowi, więc serca w nich rosły, bowiem uwierzyli, że płyną wprost ku Bramie Świata, a stamtąd, jeśli wiatr będzie sprzyjający, mogą w ciągu dni dwudziestu dopłynąć do zachodnich wybrzeży Krety. Tak rzekł im Eriklewes który żeglował po wszystkich morzach, a jeśli nawet nie był gdzieś, znał wszystkie przystanie, miasta, cieśniny i wyspy z opowieści innych sterników.

A jeśli nie zechcą dopłynąć do rodzinnej wyspy, wiele znajdą zapewne w drodze wysepek i bezludnych wybrzeży o dogodnych przystaniach, gdzie będą mogli zawinąć i założyć królestwo, do czasu przynajmniej, aż bogom podobny Widwojos nie powróci do swego pałacu, by opasać skronie starą koroną Minosa. Myśląc o tym obiecywali sobie wiele. Czy był bowiem kiedy władca, który nie obdarował sownic i nie nagroził zaszczytami towarzyszy swych, z którymi odbył wielką i wiekopomną wyprawę?

A zresztą mieli bursztyn, mieli go już tak wiele, że sami nie wierzyli, aby mogło go tak wiele istnieć na całym świecie. Dwa ogromne pithosy, które dotychczas służyły im jako spichlerze do przechowywania ziarna, były go pełne po brzegi. Już to czyniło ich możnymi ludźmi, panami sadów,

przestronnych domów, sług i niewolników, i przemienić musiało wkrótce w dostojników wiodących żywot wśród dostatków i otoczonych czcią ludzką. Bowiem głowy najchętniej i najniżej kłonią się przed bogactwem.

Lecz gdy zbliżyli się do szerokiego bagnistego ujścia wielkiej rzeki nadpływającej z południa, brzeg wygiął się ku północy.

Wówczas też ujrzeli w ujściu owej rzeki niewielki okręt, który wypłynął za nimi na morze i zawrócił szybko, kryjąc się wśród gęstych lasów porastających niska równinę otaczającą ujście.

Od chwili owego spotkania płynęli zwykle za dnia pełnym morzem, trzymając się zawsze z dala od lądu, lecz nie tracąc ziemi z oczu. Jeśli minęli jakieś osady, nie wiedzieli o tym, nie natrafiając na nie, gdy wieczorami dobijali do brzegu. Dwukrotnie znaleźli ślady ognisk nad brzegiem, lecz to było wszystko. Ów okręt, który pojawił się teraz na tak krótko, był dla nich pierwszym widomym znakiem, że ziemie nadbrzeżne tego morza są zamieszkane.

- Cóż uczynimy, boski książę? - rzekł Terteus, gdy stali na rufie, wpatrując się w miejsce, gdzie zniknął niski, prostokątny żagiel z szarego, nie barwionego płótna. - Czy zawrócimy, aby go doścignąć i zbadać, co za lud zamieszkuje tę krainę? Czy też popłyniemy dalej?

- Sprawą naszą jest, jak wiesz, Terteusie, opuszczenie tych północnych krain i powrót do świata. Uzyskaliśmy tu wszystko, co pragnęliśmy uzyskać. Ludzie, których tu napotkamy, mogą być przyjaźni, a mogą być wrogo usposobieni. Sprawą naszą jest unikać walki, bowiem niczego nie pragniemy zdobyć, a wszystko możemy utracić. Żywot każdego z was droższy mi jest niżli zwycięski bój z nieznanymi barbarzyńcami, od których niczego mi nie trzeba. A więc jeśli okręt ów nie próbował nas doścignąć, po cóż mamy zawracać z drogi, by przekonać się, kim są ci, którzy na nim płyną? Pozostawmy ich własnym sprawom.

- Więc pragniesz, boski książę, abyśmy dobijali jedynie do bezludnych wybrzeży, omijając wszelkie miasta i osady, na jakie natrafimy?

- Słusznie rzekłeś, Terteusie. Jest nas tu dość silnych, uzbrojonych i walecznych ludzi, aby odeprzeć pierwsze natarcie, gdyby napadnięto nas na lądzie. Jeśli tak się stanie, wsiądziemy na okręt, broniąc się, i czym prędzej odpłyniemy. A nie sądzę, aby nas ścigano na morzu, bo czyż może przemierzać te wody okręt szybszy niż Angelos, skoro nie ma takiego na naszym morzu, gdzie ludzie od wieków budują okręty i kształcą się w tej sztuce, podpatrując sposoby różnych innych ludów, których jest tak wiele i tak gęsto nasz świat zamieszkują, podczas gdy tu nie napotkaliśmy człowieka do dziś? Jeśli więc okręt nasz jest niedościgniony dla wroga, a my nie zechcemy napotkać nikogo w otwartym boju, bowiem celem naszym jest powrót, nie zdobycz, jakże zmuszą nas do zbytecznego przelewu krwi naszych towarzyszy?

- Obyśmy umieli przepłynąć te barbarzyńskie wody w pokoju, jak tego pragniesz, boski książę! - Terteus uśmiechnął się. - Bowiem do tej pory, choć okręt nasz był równie szybki jak dziś, a załoga jego równie mężna, nie udało nam się ujść wrogom bez walki i bez utraty paru dzielnych towarzyszy.

- Płynęliśmy wówczas rzekami, gdzie wiele przymiotów naszego okrętu stało się bezużytecznymi, a niektóre przemieniły się w niedostatki, bowiem źle jest być wielkim w miejscach ciasnych. Lecz od chwili, gdy wypłynęliśmy na morze, nie musimy lękać się nikogo, jeśli będziemy czujnie strzegli siebie i okrętu nocą po dobieciu do brzegu... - Na wargach jego pojawił się lekki uśmiech. - Nie myślę tu o sobie i synu moim, gdyż nam, jak wiesz, śmierć grozi także i na okręcie...

- Nie poważylby się... - rzekł Terteus niepewnie.

- Czemu nie? - Widwojos spoważniał. - Często oglądam się za siebie stając na dziobie lub na tyle

okrętu i szukam oczyma Perilawosa, choć wiem, że siedzi na ławie i ćwiczy ramiona w sztuce wiosłarskiej bądź też, gdy płyniemy jak teraz, pod żaglem ze sprzyjającym wiatrem, zabawia się rozmową lub pieśnią z towarzyszami. Gdybyś mnie zapytał, czemu tak czynię, odpowiedziałbym: „Nie wiem!”, albo pojmuję, że w biały dzień, siedzącego pośród przyjaciół, nic złego spotkać nie może. A jednak...

- Zawiesił głos i wzruszył ramionami. - Jest on jedynie moim dziecięciem - dokończył bezradnie - i dziedzicem największego królestwa morskiego, jakie znają dzieje. Chciałbym, aby nim władał i zyskał sobie sławę, która sięgnie po najdalsze wieki. Czy pragnąłbyś czegoś innego, gdybyś był mną i miał syna?

Terteus skinął głową.

- Pojmuję cię, boski księżę. Lecz wybacz, że powtórzę tu to, co mówię, gdy rzecz jaka nie leży w mojej mocy.

Wszystko jest w rękach bogów!

- Być może... - Widwojos znowu się uśmiechnął. - Lecz sam mi kiedyś rzekłeś, że najbardziej kochają oni najmężniejszych i najbardziej roztropnych.

Terteus pragnął odpowiedzieć, lecz gdy otworzył usta, zamknął je ponownie. Uniósł ramię wskazując dalekie, zielone brzegi, wzdłuż których Angelos posuwał się pod żaglem ku północnemu zachodowi.

Księżę szybko uniósł głowę. Dostrzegł je od razu, kilkanaście niskich okrętów o wysoko uniesionych dziobach! Musiały wynurzyć się niepostrzeżenie z ujścia owej wielkiej rzeki. Płynęły jeden za drugim długim szeregiem i wyraźnie dopędzały posuwający się jedynie pod żaglem okręt kreteński.

Terteus przebiegł pomiędzy siedzącymi i leżącymi na dnie okrętu żeglarzami, stanął pod masztem i krzyknął wielkim głosem:

- Do wiosła, towarzysze! Okręt za nami!

Powstali spiesznie, porzucając kości i fujarki, na których niektórzy przygrywali sobie w takt pieśni. Inni budzili się z miłego popołudniowego snu i spoglądali półprzytomnymi oczyma, lecz i oni zrywali się ze skór rzuconych na deski i biegli na swe miejsca.

Fala była niewysoka, krótka i nieco spiętrzona. Długi kadłub Angelosa ślizgał się po niej w lekkich, miarowych rozkołysach, lecz tamte okręty, znacznie mniejsze niż on, zapadały się nieco i Wznosiły na wznórkach wodnych. Mimo to zbliżały się wyraźnie. Ich ciemnoszare żagle także były wzdęte wiatrem, a rzędy krótkich wiosła, widoczne z boku, błyskały wynurzając się z wody i natychmiast opadały w nią, jak gdyby ścigający pragnęli rzucić w krótkim pościgu na szalę wszystkie siły i dognać szybko ogromny obcy okręt.

- Płyn przez fa-le... Płyn przez fa-le... - rozpoczął miarowym głosem Terteus, najpierw wolno, a później coraz szybciej.

Obce okręty płynąc bliżej brzegu zrównały się z Angelosem i zrobiły zwrot kierując się ku niemu.

Pierwszy z nich wyprzedzał go nawet nieco i nadpływał próbując przeciąć mu drogę. Terteus w myśli dostrzegł już na łśniącej od słońca wodzie miejsce, gdzie musi ich spotkać. Cóż wówczas? Gdyby nawet uderzyli weń i zatopili swą potężną ostrogą, Angelos zwolni, stanie niemal, a wiosłarze będą musieli unieść wiosła lub cofnąć je, aby nie strzaskał ich przecięty okręt...

- Eriklewesie! W prawo! Ku północy!

Angelos skreślił miękkim łukiem, oddalając się nieco od nadpływających okrętów. Jeszcze

chwila i znalazł się przed nimi, uciekając wprost na północ.

- Płyn przez fa-le! Płyn przez fa-le! Płyn przez fa-le!

Żagiel chwycił teraz pełną powierzchnią południowy powiew, a wiosła opadały i unosiły się coraz szybciej.

Kątem oka Terteus dostrzegł małżonkę swą, piękną Wasan. Stała na dziobie, wyprostowana w swej krótkiej płóciennej szacie. Wiatr rozwiewał jej długie jasne włosy. Patrzyła na niego z oddali, nie poświęcając nawet spojrzenia nadpływającym nieprzyjacielskim okrętom.

Poczuł nagłą radość i skinął jej ręką. Odpowiedziała mu unosząc ramiona, lecz zaraz opuściła je, by odgarnąć włosy, które wiatr rzucił na jej lico, przesłaniając oczy.

Terteus szybko odwrócił głowę. Nieprzyjacielskie okręty były już blisko. Coraz bliżej. Nie musiały nabierać szybkości jak Angelos.

Wykrzykując swe: „Płyn przez fa-le!” ku wioślarzom, Terteus za każdym razem powtarzał zawołanie nieco szybciej. Patrzył teraz z natężeniem, nie mrugnawszy nawet powieką, na dzioby ścigających okrętów. Było ich czternaście. Widział już wyraźnie wysokie włócznie w rękach wojowników. Bowiem, nie licząc wioślarzy, wypełnione były one wojownikami w skórzanych hełmach. Ostrza ich włócznie lśniły w słońcu, a więc były ze spiżu. Zapewne mieli także spiżowe miecze. A więc nie byli to barbarzyńcy, jakich napotykali dotąd, lecz lud, który umiał wytapiać metale lub kupował je od innych ludów.

Dzioby tamtych okrętów, wspinające się na fale i zapadające w zielone bruzdy wodne, zbliżały się... Nie?... Tak!... Nadal zbliżały się...

„Jeszcze chwila - pomyślał Terteus - a poczną strzelać z łuków, jeśli je mają, a zapewne je mają...”

I mimowolnie spojrział w kierunku swej żony. Na szczęście, była na dziobie, w najdalszym miejscu.

Gardło bolało go już i czuł, że zaczyna tracić głos, gdyż wołał zbyt donośnie, lecz nie przestawał krzyczeć. Musieli wiosłować równo, inaczej... Tamtych było zapewne niemal tysiąc stłoczonych na pokładach czternastu okrętów... Gdyby choć jeden dopędził i zatrzymał Angelosa, nikt nie ocaleje. Może jedynie Wasan, gdyż żaden lud nie zabijał schwytanych dorodnych młodych niewiast, jeśli nie przeznaczał ich na krwawą ofiarę swym bogom. Lecz o jej losie nie próbował nawet myśleć.

- Płyn przez fa-le! Płyn przez fa-le!

Widział wykrzywione z wysiłku rysy wioślarzy, gdy pochylali się i prostowali posłuszni jego głosowi, który żądał od nich coraz więcej.

Znów spojrział na dziób najbliższego okrętu. Czyżby?...

Tak! Patrzył jeszcze przez chwilę. Był pewien teraz.

- Po-zo-sta-ją! Po-zo-sta-ją! - zawołał nie zmieniając rytmu okrzyku, aby wioślarze nie zgubili się i nie poczęli wiosłować nierówno.

Ku jego zdumieniu wydali wesoły okrzyk i mocniej nacisnęli na wiosła.

Patrzył teraz uważnie. Z wolna ślad Angelosa, po którym płynął środkowy okręt pogoni, wydłużył się. Boski Widwojos szedł teraz ku niemu od strony rufy, spokojny i wyprostowany jak zwykle, gdy zagrażało niebezpieczeństwo.

Terteus skinął na jednego z żeglarzy, który czuwał przy maszcie gotów do przełożenia liną żagla, gdyby wiatr zmienił się nagle.

- Zwy-cię-ża-my! Zwy-cię-ża-my!

Oczyrna nakazał mu, aby przejął od niego zawołanie, dotykając dłonią gardła, z którego nie mógł już niemal wydobyć głosu.

- Płyn przez fa-le! Płyn przez fa-le!

Słuchał przez chwilę oceniając, czy szybkość zawołania jest dostateczna.

Powiał nieco mocniejszy wiatr. Ogromny czarny żagiel odpowiedział, pchnąwszy okręt niemal w jednej chwili, Ścigający poczuli zostawać w tyle. Najwyraźniej siły ich wioślarzy, choć zapewne mogli ich zmieniać, mając tylu ludzi na pokładzie, także osłabły, a niewielkie żagle były niedostateczną pomocą przy obciążonych tyłoma wojownikami kadłubach. Dzioby zapadały zbyt głęboko i unosiły z większym trudem niżli dziób Angelosa. Mimo to Terteus podziwiał szybkość owych żeglarzy, którzy na tak niewielkich okrętach niemal pokonali na morzu najwspanialsze dziećcie cieśli kreteńskich.

- Aż dziw bierze, boski księżę, jak blisko byliśmy Krainy Mroków! - rzekł Terteus ochryłym głosem do Widwojosa. - I któżby przypuszczał, że tak się może stać, gdy niedawno płynęliśmy spokojnie wzdłuż owego wybrzeża!

- Nie przestali nas ścigać! - Widwojos wskazał za siebie.

Okręty nieprzyjacielskie, choć pozostały już daleko w tyle, płynęły nadal za nimi.

Być może liczą na to, że siły naszej załogi wyczerpią się prędzej niżli moc ich ramion! - Terteus zerknął na ławy. - Sądząc z tego, co zdołałem dostrzec z dala, mogą oni zmieniać wioślarzy, sadzając na ich miejsce owych wojowników, którzy mieli na nas uderzyć, gdy dopędzą Angelosa.

- Szczęśliwie wiatr rośnie!

Widwojos spojrzał w górę, gdzie południowy, silny powiew szumiał głośno wzdymając ogromną głowę Byka.

- To prawda... - Terteus zbliżył się do unoszącego i opuszczającego ramię nawołującego miarowo żeglarza.

- Zwolnij nieco!

Tamten skinął głową. Głos jego stał się rozlewniejszy, a pomiędzy nawoływaniem powstała nieuchwytna przerwa, podczas której wioślarz może oprzeć się na wiosło, a zmęczone ramię przez mgnienie oka wypoczywa.

Księżę i Terteus spoglądali na ścigających. Nie, nie zbliżali się już. Przeciwnie, niektóre z okrętów poczęły zostawać w tyle i szyk ich załamał się. Płynęły teraz osobno, rozrzucone, jeden za drugim, prócz trzech pierwszych, które posuwały się nadal obok siebie. Lecz odległość ich ciągle rosła.

Księżę i Terteus ruszyli wzdłuż ław, przemawiając do wioślarzy. Pot lał się strugami z szyi i ramion siedzących, lecz wiosłowali miarowo, witając przechodzących uśmiechami.

Gdy Widwojos doszedł do ławy, na której siedział Perilawos, spojrzał z niepokojem, lecz i tu spotkał go uśmiech.

Chłopiec miał twarz wykrzywioną z wysiłku, lecz wiosło pewnie tkwiło w jego dłoniach, a gdy pochylał się, Widwojos mógł widzieć ciężkie sploty mięśni ramion napinające się i zwalniające, gdy szerokie pióro wiosła powracało nad wodą, by zanurzyć się ponownie.

„Oblicze ma jeszcze dziecka... - pomyślał księżę - lecz ciało jego jest już ciałem dojrzałego męża!”

Angelos płynął wprost na północ, a że niedawno minęła pora południowa, mieli wroga za sobą w pełnym słońcu. Był on już tak daleko, że Terteus z trudem dostrzegł dwa rzędy wiosel unoszące się

po bokach najbliższego okrętu, płynącego nieustannie śladem Kreteńczyków. Inne pozostały już nieco z tyłu, a poweselał ujrawszy, że kilka najwyraźniej zaprzestało pościgu i płynie jedynie na żaglu, oddalając się z każdą chwilą od Angelosa, tak że ostatni z nich był już tylko punkcikiem na widnokręgu.

Kilkunastu żeglarzy, którzy oczekiwali beczynnie pod masztem, zasiadło teraz do wiosła na miejscu owych, którzy byli najbardziej wyczerpani, a na rozkaz Terteusa wliczono do nich Białowłosego i Perilawosa, jako najmłodszych, choć nie chcieli odejść od wiosła.

Mimo to obaj, gdy powstali, zatoczyli się i padli na deski oddychając ciężko. Inni, którzy zeszli z ław wraz z nimi, uczynili podobnie.

A piękna Wasan, chodziła pomiędzy nimi, lejąc do glinianego naczynia wodę z dzbana i przytykając im do ust. Pili oblewając się, gdyż drżące dłonie z trudem utrzymywały miskę. Lecz uśmiechali się ku niej.

Terteus także zasiadł do wiosła, widząc, że nieprzyjaciel jest zbyt daleko, aby mógł być groźny i uczynić coś zaskakującego.

Płynęli nadal wprost na północ, mając po lewej na zachodzie ląd, którego brzeg biegł ku północy wraz z nimi. Z oddali dostrzegli jak gdyby wielką białą kredową skałę oświetloną słońcem. Później i ona pozostała za nimi, a na zachodzie otworzyło się morze.

Ale że maleńkie żagle na widnokręgu wciąż były widoczne, nadal płynęli na północ.

Słońce z wolna poczęło schodzić z tronu wspartego na promienistym szczycie niebios. A gdy tarcza jego dotknęła wreszcie krawędzi widnokręgu przed zstąpieniem do podmorskich pałaców Posejdona o Białym Obliczu, gdzie zwykle spędza ono noc, odłożyli wiosła i płynęli dalej pod żaglem, bacząc pilnie, czy na południu znów nie ukażą się niskie prostokątne żagle.

Nie zawrócili, gdy zapadła ciemność usiana gwiazdami. Po krótkiej naradzie postanowili płynąć ku północnemu zachodowi, wykorzystując sprzyjający wiatr, aby zatoczywszy wielki łuk powrócić za dnia na południe i płynąć dalej w pobliżu brzegów, pozostawiwszy daleko za sobą ujście owej wielkiej rzeki i wrogie okręty czatujące w nim na wędrownych żeglarzy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

A wówczas zginiemy wszyscy

Przed świtem, nim słońce wynurzyło się z morza na wschodzie, ujrzeni przed dziobem okrętu linię dalekich brzegów zaledwie widocznych w bladym blasku dnia. Rozciągały się one na zachodzie, zajmując cały widnokrąg po tej stronie morza.

Terteus obudził księcia i stanęli razem na dziobie wpatrując się z troską w rosnące z wolna łagodne zielone wzgórza.

- Czyżby morze to było jeziorem, a próba nasza, by wydostać się stąd, miała zakończyć się opłynięciem go dokoła? - rzekł młody żeglarz kręcąc głową. - Pięknie zadrwiliby z nas bogowie, gdyby kazali nam powrócić do miejsca, z którego wypłynęliśmy! Wówczas pozostawałaby jedna tylko droga: powrót przez owe rzeki i bagna, które raz już przemierzyliśmy płynąc tu, gdyż innej drogi nie znamy. A nie wierzę, aby ów barbarzyński król znów pozwolił Harmostajosowi ściągnąć się z konia wężowym sznurem, który w ręku jego zamienia się w żywą istotę!

Roześmiał się, lecz w śmiechu jego nie było wesołości.

Brzeg stawał się coraz wyraźniejszy. Choć słońce nie wstało jeszcze, niebo nad głowami przybierało jasną błękitną barwę. Nadal nie było na nim chmur, a ciepły napływający z południowego zachodu powiew czynił, że miniona noc na tym morzu była niemal tak ciepła jak na ich ojczystych wodach.

- Być może czeka nas jeszcze nieco drogi ku północy... - rzekł niepewnie książę. - W owej stronie nie widzę lądu.

Terteus potrząsnął głową.

- Wczoraj, nim okręty barbarzyńców ruszyły w pościg za nami, płynęliśmy wzdłuż brzegów, które zaczęły pochylać się ku północnemu zachodowi, my zaś, aby oddalić się od pogoni, skręciliśmy na północ i tak płynęliśmy przez dzień cały, nie widząc już później lądu. Po zmroku skierowaliśmy się znów ku północnemu zachodowi i oto mamy ląd przed sobą. Oznacza to zapewne, że ciągnie się on od tamtego miejsca ku północy, odcinając nas od drogi na zachód i południe.

- Musimy teraz, nie zbliżając się do tych brzegów, płynąć wzdłuż nich na północ... - Książę także zasepił się.

- A jeśli pobiegną później ku wschodowi, okaże się, że miałeś słuszość nazywając morze to wielkim jeziorem! Lecz nie skarżmy się na los, póki nie mamy żadnej pewności, dokąd nas ów wiatr prowadzi.

Skierowali więc dziób Angelosa na północ i pchani sprzyjającym powiewem poczęli płynąć trzymając się z dala od brzegów, które wygięły się ku zachodowi, a później ponownie ku północy.

Po południu Terteus, tkwiący niemal nieustannie na dziobie z wzrokiem wlepionym w widnokrąg,

dostrzegł nowy ląd i zagryzł wargi. Przez chwilę wpatrywał się w niemal niedostrzegalną koronkę wzgórz na północnym zachodzie. Później przeszedł wolno pomiędzy odpoczywającymi towarzyszami ku środkowi okrętu, gdzie w małym przeświecającym już otworami dziur namiocie bogom podobny Widwojos rozmawiał ze starym Nasiosem o obyczajach owego stepowego plemienia, które tak długo trzymało go w niewoli.

- Lękam się, że jest tak, jak przewidziałem... - rzekł Terteus wszedłszy do namiotu. - Pojawił się przed nami nowy ląd... na północnym zachodzie!

Inni także ujrzeli już owe wzgórza. Gdy książe i Terteus ukazali się pod masztem, dostrzegli, że wszyscy niemal wiosłarze stoją i wskazują sobie nawzajem odległy ląd. Każdy zdawał się pojmować, że pułapka zamyka się, a sny o bogactwie i powrocie rozwiewają się oto na długo, jeśli nie na zawsze.

Stali więc w milczeniu, spoglądając na wzgórza rosnące po prawej przed dziobem okrętu. Po lewej był także ląd., Na wprost nie można go było jeszcze dostrzec, gdyż zapewne leżała tam niska równina, a wielka odległość, w jakiej się znajdował, kryła ją za widnokregiem.

Książe i Terteus wraz z całą załogą przeszli na dziób. Wzdęty żagiel pchał okręt na północ bez pomocy wiosł, więc choćby nawet pragnęli coś uczynić, musieli czekać, póki ziemia nie przybliży się.

Piękna Wasan stanęła wsparta o ramię męża i widząc jego pochmurne oblicze zapytała, czemu się smuci, miast radować się z tego, że uniknęli pościgu.

- Ty jedna spośród nas wszystkich winnaś się weselić!

- odparł próbując odpędzić smutek, który ścisnął mu serce. - Bowiem jeśli ląd ów zamknał nas i nie ma z niego ucieczki, być może powrócimy korytami rzek do miejsca, gdzie ujrziałem cię po raz pierwszy. Wówczas zobaczysz znów swą wieś ojczystą.

Potrząsnęła poważnie głową.

- Nie stanie się tak! - rzekła z pewnością w głosie. - Gdyż pożegnałam ją na zawsze. A choć chciał bóg, abym odpłynęła rzeką żywa, a nie martwa, jak odpływały inne przede mną, przyjął on jednak ofiarę.

Terteus spojrział na nią spod oka, lecz nic nie odrzekł.

Przemysłny Eriklewes, oddawszy wiosła sterowe dwóm swym pomocnikom, zbliżył się ku nim idąc z wolna przez całą długość okrętu. Stanąwszy obok księcia spoglądał uważnie, lecz nie na dalekie wzgórza, a na wodę.

- Nie widać lądu przed nami na północy! - rzekł wreszcie - choć jest on po obu stronach owego miejsca, gdzie morze styka się z lądem...

- Cóż z tego? - rzekł Terteus. - Czy sądzisz, że nie pojawi się tam? Zapewne cofnięty jest nieco i tworzy głęboką zatokę...

- Nie! - Eriklewes potrząsnął głową. - Spójrz na wodę. Czyż niczego nie dostrzegasz?

Wielu słyszało jego słowa i wszyscy zwrócili spojrzenie ku niewielkim falom nadbiegającym i kryjącym się pod dziobem Angelosa. Lecz nie dostrzegli niczego.

- Cóż chciałeś rzec, roztropny sterniku? - zapytał książe. - Bowiem, jak widzisz, nikt z nas nie umie wyczytać z tych wód tego, co tobie zdradziły.

- Panie mój, czy pamiętasz owe długie cieśniny, przez które płynęliśmy po opuszczeniu Troi? Nieustannie mieliśmy wówczas prąd wody przeciw sobie, albowiem nie stała ona w owych cieśninach, jak to się dzieje w zatokach morskich, lecz posuwała się w jednym kierunku, jak to czynią

wody rzek. A przecież nie były to rzeki. Tak dzieje się zawsze, gdy okręt wpływa w cieśninę dzielącą dwa morza. Albowiem tak ustanowili je bogowie. Nigdy nie są one równe, lecz zawsze wody przelewają się z jednego morza w drugie... Jeśli myślę się teraz, niechaj gniew twój mnie ominie, gdyż mówię jedynie to, co widzę i co doświadczenie moje każe uznać mi za znak nieomyślny. Otóż w morzu tym dostrzegam prąd płynący na północ. Nie widzicie go, gdyż i nasz okręt płynie w tym kierunku. Trzeba na to oka człowieka, który niemal cały swój żywot spędził wpatrzony w wodę. Morze to posuwa się wraz z nami, lecz wolniej. Sądzę więc, że miejsce owo na północy, gdzie nie widzimy lądu, jest cieśniną... A jeśli pragniemy opuścić te wody, tędy będzie prowadziła nasza droga. Nie wiem jednak, czy będzie ona łatwa i krótka, czy też długa i mozolna, gdyż nigdy dotąd tu nie byłem!

To mówiąc skłonił głowę i cofnął się, a w serca wszystkich wstąpiła otucha, bowiem Eriklewes nie należał do tych, którzy rzucają słowa wiatrom płochym, aby poniosły je gdzie bądź.

Nadal nie zbliżając się ku brzegom, płynęli teraz na wprost na północ i wkrótce znaleźli się u wejścia szerokiej cieśniny, której brzegi rozeszły się znów na wschodzie i na zachodzie, tworząc szeroką zatokę morską okoloną niskimi wzgórzami.

A choć Eriklewes z coraz większą pewnością twierdził, że prąd niesie ich ku północy, czekali z zapartym tchem na to, co nastąpi.

Gdy minęło południe, dostrzegli, że brzegi zatoki poczynają zbliżać się ku sobie. Lecz cieśnina nadal jeszcze była rozległa. Przed dziobem ukazały się dwie wyspy, jedna mniejsza, pośrodku spokojnych wód, a druga większa, niemal przylegając do lewego brzegu. Obie były porośnięte lasem.

- Dym! - rzekł Perilawos, który stał obok ojca, wpatrując się w dalekie brzegi.

W rzeczy samej nad wyspą uniósł się wysoki słup dymu, przygasł nagle i znów wybuchnął w górę. Był ciemny i gęsty.

Terteus wydał załodze rozkaz, aby zasiadła na ławach i ujęła wiosła.

- Lękam się, boski książę - rzekł nie spuszczać wzroku z wysokiego pióropusza dymu, który unosił się nad lądem - aby nie był to znak, który stróżujący u wejścia do tej cieśniny dają swym towarzyszom, znajdującym się dalej, dla uświadomienia ich, że nadpływamy.

Lecz nic się nie działo, żaden okręt ni łódź nie pojawiły się na gładkiej powierzchni spokojnych wód.

Skierowali się nieco ku północnemu wschodowi, ominąwszy mniejszą z wysp od wschodniej strony i nadal trzymając się środka cieśniny, aby nagły atak z ukrytej przystani nie zaskoczył Angelosa.

Ziemie na wschodzie i zachodzie zbliżały się ku sobie coraz bardziej. Cieśnina zdawała się mieć kształt leja. Okręt płynął szybko, gdyż sprzyjający prąd dawał się już wyczuwać wyraźniej, prąc z południa na północ.

Kraj po prawej był nizinny i płaski, a po lewej wyrastały niewielkie wzgórza. Wszędzie rósł las.

W pewnej chwili wydało im się, że na lewym brzegu dostrzegają zabudowania niewielkiej osady, lecz odległość była zbyt wielka, aby przekonać się, jak jest naprawdę.

Płynęli dalej. Drugi słup dymu urósł za nimi blisko brzegu i pochylony lekkim wiatrem stał na zachodnim niebie pokrywającym się z wolna czerwienią. Małe białe chmury nadpłynęły z południa długimi szeregami. Nadal było ciepło.

Po drugiej stronie cieśniny na najwyższym wzgórzu urósł trzeci słup dymu.

Było cicho, tak cicho, że Białowłosy słyszał wyraźnie chlupot wody o burty i plusk wiosła

zapadających w spokojną toń. Tęsknie spoglądał na przesuwany się z dala brzeg, zielony, senny i piękny w ciszy dogasającego słonecznego popołudnia późnej wiosny. Lecz podobnie jak pozostali wyczuwał w owej chwili grozę. Jak gdyby gdzieś pośród uspiomych lasów nadbrzeżnych czaiło się niebezpieczeństwo, które lada chwila miało runąć na nich, a wówczas cisza przemieni się w zgiełk bitewny, wypełniony wrzaskiem konających i szczękiem oręża.

Rozmowy ucichły. Płynęli w milczeniu. Cieśnina stawiała się coraz węższa. Widzieli już wyraźnie korony poszczególnych drzew górujących nad innymi na obu brzegach. Światło nadchodzącego wieczoru kładło się na wody spokojne jak wielki staw, a zmarszczone jedynie lekkim powiewem.

Żagiel zwisał i Terteus rozkazał go zwinąć. Stał na dziobie okrętu patrząc na mijane brzegi i myślał o słupach dymu, które towarzyszyły im od chwili, gdy Angelos wszedł w rozwarte ramiona tego ładu. Przed sobą widział wody cieśniny i radował się w duchu widząc, że słusność miał doświadczony Eriklewes, najwyraźniej bowiem tędy wiodło przejście ku innym nie znanym wodom. To prawda, że płynęli na północ, nie na zachód, lecz w czasie długich podróży okręty nieraz musiały nadkładać drogi i przywykł do tego. Jeśli tylko odnajdą znów później swój błękitny szlak, wiodący ku znanym okolicom, wszystko inne nie miało znaczenia.

Wybrzeże po prawej było proste, las dochodził do wąskiej linii piasków. Po lewej było bardziej pofałdowane, a w miejscu, gdzie cieśnina wydawała się najwęższa, wyrastał wysoki przylądek...

Głos człowieka nawołującego spokojnie nad masztem niósł się po wodzie. Angelos płynął z niewielką szybkością, trzymając się ciągle środka nurtu. Było to najwęższe miejsce przesmyku, nie tak wąskie, aby można było na brzegach ujrzeć pojedynczą postać ludzką lub odróżnić leżące głazy, a jednak trudno byłoby uniknąć walki, gdyby...

Terteus potrząsnął głową. Szybko przeszedł do masztu i nakazał zwiększenie szybkości. Cokolwiek miało nastąpić, jeśli miało nastąpić, źle byłoby, gdyby okręt musiał dopiero nabierać prędkości. Głos pod masztem urósł nieco:

- Płyn przez fa-le! - Wiosła uniosły się i cofnęły zapadając w wodę. - Płyn przez fa-le... - Znowu uniosły się i opadły, nieco szybciej.

Książę, w hełmie, pancerzu i nagolennicach, zbliżył się trzymając w dłoni włócznię. Terteus wiedział, że stary, kamienny, dwusieczny topór rodowy spoczywał w namiocie. Dziwne to było, że bogom podobny Widwojos, choć ze słów jego wydawało się, że niewiele robi sobie z bogów, zawsze miał go w ręce, gdy nadchodził czas bitwy. Najwyraźniej teraz, choć jak inni był w pełnym pogotowiu do boju, nie sądził, aby niebezpieczeństwo mogło zagrozić im zniemacka.

- Gdy minimy to miejsce... - rzekł stanąwszy obok Terteusa i wskazując przylądek - przesmyk rozszerzy się. Czy widzisz, jak brzegi uciekają od siebie...?

I rzeczywiście, choć lewy brzeg osłonięty był wzniesieniem przylądka i nie można było dojrzeć, co się za nim znajduje, wzrok sięgał ponad prawym i można było dostrzec za najwęższym miejscem szerokie, otwarte wody, zabarwione blaskiem wieczoru.

- Wygląda na to, jak gdybyśmy mieli wpłynąć na morze krwi! - Bogom podobny Widwojos patrzył w głąb cieśniny.

- Oby nie naszej krwi! - Terteus uśmiechnął się. Rysy jego były napięte, a wzrok przesuwał się nieustannie po nadbrzeżu. Nie działo się nic, mimo to serce jego nie było spokojne. A przecież naokół był ciepły wieczór i puste, ciche wody. Nic nie zwiastowało walki. Owe dymy mogły być ostrzeżeniem dla osad i łodzi rybackich, gdyż zapewne i na tych wodach pojawiali się piraci. Lecz

serce bito szybciej, a dłoń zaciskała się na rękojeści miecza.

Odwrócili się obaj, słysząc okrzyk nadbiegający z tyłu.

To roztropny Eriklewes wołał:

- Okręty za nami!

Ruszyli szybko na tył okrętu, a nawołujący żeglarz przyspieszył bez rozkazu rytm swego powtarzającego się okrzyku. Wiosła zanurzyły się głębiej i Angeles drgnął. Rozcinając potężnym dziobem nurty spokojnej cieśniny, zbliżał się teraz ku przyładkowi i największemu przewężeniu przesmyku.

Dostrzegli je wyraźnie daleko za sobą. Nie były to wielkie okręty, lecz długie niskie łodzie o uniesionych dziobach. Było ich kilkadziesiąt i płynęły zajmując całą szerokość cieśniny.

Terteus odetchnął głęboko. Choć wróg nadpływał w wielkiej przewadze, uczył nagłą ulgę. Przeczucie nie myliło go! To, co musiało nadejść, nadchodziło!

Patrzył na ścigające łodzie, które nie zbliżały się już i zaczęły pozostawać w tyle. Były znacznie wolniejsze niż Angeles sunący teraz całą mocą swych osiemdziesięciu wiosel.

- Zbyt późno wyruszyli za nami! - rzekł książę wzruszając ramionami. - Oto mijamy gardło przesmyku i wkrótce znajdziemy się na szerokich wodach. Wówczas mogą powrócić ze wstydem do swych skrytych przystani, gdyż nie ujrzą nas nawet z bliska! Zaledwie skończył, gdy z dziobu dobiegł ich okrzyk:

- Okręty przed nami!

Terteus uniósł się na palce i spojrzał. A to, co ujrzał sprawiło, że serce, gwałtownie łomocące w piersi, zatrzymało się na chwilę i zaczęło bić jeszcze szybciej.

Wyskakiwały spoza przyładka jedna po drugiej: długie niskie łodzie o kilkunastu wiosłach. A w każdej stali wojownicy. Było ich wielu, a ciągle spoza wzniesienia wypływały nowe. Były tak blisko, że zaledwie zdążył krzyknąć Eriklewesowi:

- Płyn prosto nie bacząc na nic!

Biegł ku przodowi. Zatrzymał się pod masztem i zawołał wielkim głosem:

- Gdy uderzymy w nich, wiosłujcie dalej! Wiosłujcie!

Choćby wrywali wam wiosła!

I pobiegł ku dziobowi wraz z tymi kilkunastoma, którzy nie siedzieli na ławach.

Łodzie były tuż przed nimi. Najbliższa z pogardą śmierci szła z boku wprost na dziób Angelosa, pragnąc go zatrzymać. Znajdując się wysoko ponad nią, dostrzegł wyraźnie półnagich, pochylonych wiosłarzy i stojących pomiędzy nimi wojowników w skórzanych hełmach, którzy wymierzili łuki w nadpływający okręt.

Pierwsza strzała świsnęła, za nią posypały się oszczepy. Terteus osłonił się tarczą i opuścił ją zaraz, gdyż w tej samej chwili dziób Angelosa zgrzytnął i uniósł się, a cały okręt przebiegło potężne drzenie.

Przecięta na pół łódź rozprysnęła się niemal, zmiażdżona spiżowym dziobem kreteńskiego olbrzyma. Spostrzegł wykrzywione wrzaskiem twarze, a tuż koło dziobu rozprute, buchające krwią ciało ludzkie zapadające się pod powierzchnię wzburzonej wody. Wszystko zniknęło nagle pod dnem Angelosa i odbiegło na boki rozgarnięte potężnym kadłubem.

W tej samej chwili usłyszał krzyk na lewej burcie.

Druga nadpływająca łódź, obsypawszy wiosłarzy strzałami, uderzyła z ukosa wjeżdżając pomiędzy opadające wiosła. Część wiosłarzy zdążyła unieść je, lecz dwa złamały się z trzaskiem, a z

Łodzi skoczyli na burtę półnaczy wojownicy. Trzymając w rękach krótkie topory o podwójnych brązowych ostrzach rzucili się na wiosłarzy.

Było ich jedynie kilku, lecz Terteus wiedział, że najcięższa godzina tej wyprawy nadchodzi. Następne łodzie były tuż tuż, a z tyłu nadpływał rój pozostałych. Jeśli dopadną i unieruchomią Angelosa pośród tych spokojnych wód, staną się one grobem całej załogi.

Lecz okręt płynął dalej: siłą rozpędu i pchany nadal wiosłami. Gardząc niebezpieczeństwem, ludzie pochylali się nad wiosłami.

Na burcie trwał krótki, zażarty bój. Biegąc tam Terteus dostrzegł uniesiony w górę topór, który opadł na grzbiet wiosłującego Kreteńczyka. Pomimo zgiełku doszedł go straszliwy, wysoki krzyk trafionego. W tej samej chwili napastnik padł przebity mieczem nadbiegającego Metalawosa o potężnych ramionach. Nie zasiadł on dziś przy wiosle i był jednym z kilkunastu, którzy musieli bronić wiosłarzy.

Metalawos wziął straszliwy zamach i drugi wojownik, gramolący się na burtę z nożem w zębach, runął bez okrzyku do wody z ciałem przeciętym niemal na pół.

Terteus biegnąc odbił tarczą zamach topora i ciął z góry mieczem ostatniego z pozostałych przy życiu wrogów. Czując, że ostrze zagłębia się w miękkie ciało, nie spojrzał nawet, wyrывая miecz z rany. Odwrócił się ku wodzie.

Angeles wyminął już przylądek i parł rozpaczliwie naprzód, przedzierając się pomiędzy nadpływającymi gęsto łodziami nieprzyjaciela.

Jedna z nich pędząca wprost na okręt wykrciła tuż przy nim i nad pokładem świsnęły strzały. Lecz nie uderzyła. W owej jednej chwili, gdy ważyły się losy ucieczki, serce musiało upaść w jej sterniku, gdy pojął, że zagładę uciekającego okrętu musi połączyć z własną śmiercią. Druga łódź rozpędzona i godząca w bok Angelosa wpadła na pierwszą i wiosła ich splątały się. Lecz trzecia, pędząca tuż za nimi, wyminęła je zręcznie i natarta ostro, godząc nie w kadłub, lecz w wiosła okrętu. Uniosły się one szybko, prócz jednego, tego, przy którym leżał wiosłarz z rozplatanym grzbietem. Zwano go Enexeus i pochodził ze wschodnich krańców Krety, a był skromny w mowie i dzielny w boju. Nie miał on już nigdy ujrzeć rodzinnych brzegów, gdyż dusza jego uleciała w owej chwili przez wielką ranę zadaną toporem i zapewne była już w drodze ku Krainie Mroku.

Grad strzał i włóczni sypnął się z góry ku nacierającej łodzi, a ze odległość była mała, więc wszystkie niemal dopadły celu. Terteus stojąc u burty widział padających wojowników i wiosłarzy wypuszczających wiosła, jak gdyby duch śmierci nagle przeleciał nad nimi.

Angelos parł dalej przed siebie, czarny i potężny, górując nad niskimi, szybkimi łodziami, które rzuciły się za nim jak drapieżniki za wielkim rannym zwierzem. Wciągnęli złamane wiosła. Nikt nie słyszał już głosu człowieka podającego rytm wiosłom, gdyż wszystko zagłuszał wrzask atakujących. Terteus ujrzał Metalawosa o potężnych ramionach zamierzającego się włócznią. Świsnęła strzała. Żeglarz, stojący obok Metalawosa i mierzący z tuku, rozkrzyżował ramiona i padł na burtę, a z niej do wody, nie wypuszczając broni z ręki.

Towarzysze ujrzeni, że z najbliższej łodzi rzucono ku niemu dwa oszczepy, które ugrzęzły w ciele, nim zniknął pod powierzchnią wody, nadal trzymając łuk w martwej dłoni.

Jedna tylko łódź była tuż za okrętem, gdyż inne zawracały ku niemu, minawszy go z tyłu w pierwszym natarciu lub nadpływając dopiero.

Białowłosey, który siedział przy wiosle, napierając na nie z wszystkich sił i bacząc tylko, czy unosi się ono równo z tym, które je wyprzedzało, gdyż nikt już nie podawał rytmu, dostrzegł

nadpływającą z boku łódź, która zrównała się z okrętem.

Pochylił się niżej, widząc niemal w zasięgu ręki łuczników mierzących z dołu wprost w niego. A choć był osłonięty wzniesieniem burty, wiedział, że może zginąć w tej chwili, gdyż podwyższenie z desek nie kryło całego jego ciała.

Nagle wiosło szarpnęło wrywając mu niemal ramiona z barków. Nagi wojownik barbarzyński skoczył z łodzi i uwiesiwszy się u nasady pióra, szarpnął za nie szczerząc zęby w straszliwym grymasie. Skórzany, rogaty hełm spadł mu z głowy, nad którą płonęła grzywa czerwonych, zmierzwionych włosów.

W tej samej chwili obok ławy mignęła biała, krótka szata. Piękna Wasan z łukiem w ręku jak błyskawica napięła cięciwę, pochyliła się i nie mierząc niemal wypuściła strzałę wprost we wroga znajdującego się w wodzie. Później schyliła się, szybka jak wiatr, padając niemal na kolana Białowłosego. Kilka strzał gwizdnęło nad nimi.

Białowłosa szarpnął wiosłem. Ucisk zelżał. Wyjrzał szybko i ukrył głowę. Dostrzegł szeroko rozwarte ramiona, głowę i pierś tamtego, w której tkwiła głęboko wbita strzała. Człowiek zanurzał się z wolna.

Wasan wyczołgała się podnosząc jedną z leżących na pokładzie strzał. Pochylona pobiegła ku rufie.

Białowłosa naparł na wiosło. Z drugiej strony okrętu łagodnym łukiem nadpłynął ciśnięty niewidzialną ręką oszczep z wąskim brązowym grotem i wbił się tuż obok jego nogi.

Na rufie walczone, słyszał wrzaski i trzask jak gdyby łamanych desek.

Lecz Angeles płynął dalej. Nie zwolnił niemal uprzednio uderzywszy w barbarzyńską łódź, i nabierał teraz szybkości.

Nagle wszystko ucichło. Wrzaski pozostały gdzieś na wodzie, słabnąc.

Znowu rozległ się miarowy, zdyszany głos pod masztem. Wiosła uniosły się i opadły równo. Pod ich potężnym naporem okręt poszybował niemal po wodzie. Rzucili teraz do walki wszystkie siły, jak gdyby każde pociągnięcie miało stanowić o życiu i śmierci. I stanowiło, bowiem rozrzucona szeroko pogoń była tuż za nimi.

W zapadającym zmroku płynęli kierując się ku środkowi nurtu coraz szerszą cieśniną, której brzegi uciekały rozstępując się w dali. Przed nimi była rozległa, na pół zanurzona już w ciemności równina wodna.

Bogom podobny księżę i Terteus szli wolno wzdłuż okrętu. Oddychali ciężko. Kamienny, podwójny topór zboczony był świeżą krwią podobnie jak obnażony miecz młodego żeglarza.

Pod masztem leżało siedmiu umarłych towarzyszy, ósmy, który zginął w nurtach cieśniny, nie będzie z nimi złożony do grobu. Lecz że zginął w boju, usypią mu i uwieńczą głazami cenotaf: grób ku czci bohatera, którego ciało przepadło. Pogrzeb taki był równie godny, jeśli nie godniejszy niż inne, i zapewniał duszy zmarłego uroczyste zejście do Krainy Mroku.

Niemal połowa żeglarzy odniosła rany, a dwu z nich tak ciężkie, że pielęgnująca ich Wasan w milczeniu kleciła głową nad nimi, choć wargi jej poruszały się tajemnym szeptem, będącym zapewne modlitwą jej ludu lub powtarzaniem zaklęcia, mającym uratować ich przed wiekiustą ciemnością. Ona sama miała zakrwawioną skroń, gdyż przelatująca barbarzyńska strzała wplątała się w jej jasne rozpuszczone włosy, wrywając ich kosmyk wraz ze skórą.

Okręt płynął na sześciu dziesiątkach wiosel, gdyż nie było już więcej niż sześćdziesięciu ludzi, którzy mogliby zasiąść na ławach.

Roztropny Eriklewes, choć ranny w ramię, leżąc na dziobie wpatrywał się w mrok rozjaśniony wschodzącym księżycem.

Albowiem wisiała nad nimi nowa straszliwa groźba: podwodna skała lub mielizna na tych śródłądowych wodach, których nie znali. Gdyby Angelos utknął, niewidzialny pościg, czający się za nimi w ciemności, dopadłby ich w mroku lub o wschodzie słońca, a wówczas nikt nie uszedłby z życiem.

Obok Eriklewesa stał Perilawos z obwiązaną ręką. Rana jego była lekka, strażował więc tu czekając, aż usłyszy głos sternika, bowiem Eriklewes osłabł bardzo i nie mógł zakrzyknąć głośniej. Gdyby dostrzegł przed dziobem przeszkodę lub po kształtowaniu się drobnych fal na powierzchni wyczuł z dala mieliznę, wówczas Perilawos miał donośnym okrzykiem zawiadomić ludzi stojących na tyle okrętu przy wiosłach sterowych.

Umęczeni wiosłarze wiedząc, że żaden z towarzyszy nie da im zmiany, pochylali się zaciskając zęby i oddychając ciężko. Trzecią już godzinę gnali tak środkiem owej cieśniny.

Małe chmurki przesłaniały chwilami księżyc, zerwał się wiatr, początkowo lekki, później mocniejszy, i zaszumiał nad okrętem.

- Żagiel! - krzyknął Terteus unosząc się na krótką chwilę z ławy, gdyż zasiadł do wiosła wraz z innymi, gdy jeden z towarzyszy, ranny w czasie walki, runął nagle, wypuszczając z omdlałych rąk wiosło.

Rzucili się do masztu i w szarym świetle przedświt z wolna rozwinęła się ogromna głowa Byka o ślepych, białych oczach spoglądających w tarczę miesiąca.

- Zaprzeście wiosłować, lecz zostańcie na ławach! - krzyknął Terteus i wyciągnąwszy wiosło pobiegł na dziób, by zapytać Eriklewesa, czy okręt utrzyma przewagę nad pogonią płynąc pod samym tylko żaglem. Roztropny sternik długo wpatrywał się w wodę i skinął głową.

- Płyniemy nieco szybciej niżli uprzednio na sześciu dziesiątkach wiosła. Lecz jeśli ujrzysz pościg, niechaj ludzie wiosłują co sił, bowiem nie wiemy, jakie żagle mają barbarzyńcy przy swych lekkich łodziach. Jednego jesteśmy pewni: znają oni te wody po stokroć lepiej niżli my i będą umieli wykorzystać każdą sprzyjającą głębię i prąd, a znając tu każdą mieliznę wyminą ją, podczas gdy my jesteśmy w ręku bogów i na łasce naszych oczu, które mogą sprzeniewierzyć się nam w ciemności.

Mówiąc to nie odrywał wzroku od nurtu, lecz szczęśliwie cieśnina ta nie kryła podwodnych skał i piaszczystych mielizn tak ulubionych przez wodne ptactwo.

Ciemność trwała tak krótko, że nie mogli uwierzyć niemal, gdy na wschodzie począł wstawać brzask.

Wokół nich była równina wodna, lekko pofałdowana, gdyż wiatr wiejący z południowego zachodu był coraz mocniejszy. Niebem szły rzędy białych, drobnych chmur jak stada mlecznych owiec.

Gdy wzeszło słońce, skonał jeden z rannych, imieniem Tamieus, który pozostawił w Annizos żonę i czworo dzieci w domostwie brata swego, mającego kram z poślednimi rodzajami wina, a zgłosił się na okręt, gdyż chciał zostać bogatszym niżli ów brat.

Ułożyli go obok umarłych towarzyszy i płynęli dalej gnani sprzyjającym, porywistym wiatrem, który sprawił, że pokonali wielką połąć morza, a gdy nadeszło południe, znaleźli się pośrodku zielonobłękitnego bezmiaru wód, kołysani wysoką falą, którą wzburzyły gwałtowne porywy wiatru. Po lewej mieli pusty widnokrąg morski, a po prawej, na wschodzie, daleką, niksącą linię brzegów i rozplywające się w słonecznej mgiełce zarysy bardziej jeszcze odległych wzgórz.

W milczeniu posilili się wszyscy suchymi plackami z tłuszczem owych potworów morskich i popili je łykiem słodkiej wody z zapasu odnawianego na każdym postoju.

Wówczas piękna Wasan podeszła do męża, który stał wraz z bogom podobnym księciem na dziobie, naradzając się z nim i Eriklewesem.

- Człowiek ów zemrze... - rzekła wskazując maszt i leżących pod nim umarłych i rannych. - A umrze też i drugi, i może jeszcze jeden, jeśli nie nabieram ziół, abym mogła je przyłożyć do ich ran. Muszą oni leżeć, choć kilka dni, na ziemi, nie na okręcie, gdyż kołysanie sprawia im cierpienie i rany ich nie zasklepią się łatwo.

Wyrzekłszy to stanęła naprzeciw nich wyczekująco. Jej krótka płócienna szata rozerwana była w kilku miejscach i poplamiona krwią rannych, których pielęgnowała. Włosy miała nie rozczesane kościanym grzebieniem, a zakrzepła krew na skroni czyniła jej lico mniej pięknym i bardziej groźnym, jak gdyby była rosłą i silną boginią wojny, przybyłą tu, by upomnieć się o tych, którzy dla niej przelali krew.

Terteus spojrział na księcia.

- Trzeba pochować umarłych... - rzekł Widwojos z wahaniem. - Lecz jeśli natrafimy na brzegu na nowy ląd, równie niegościnnie i wrogie jak owe dwa, które napotkaliśmy w ciągu ostatnich dni, czy znajdziemy dość sił, by zmierzyć się z jego mieszkańcami? Dziewięciu wiernych towarzyszy naszych utraciliśmy dziś bezpowrotnie, a co najmniej piętnastu długo jeszcze nie zasiądzie przy wiośle i nie uniesie włóczni.

- Czy zezwolisz mi, boski książę, bym rzekł, co sądzę? - zapytał roztropany Eriklewes.

- Mów, dzielny sterniku! - Widwojos zwrócił ku niemu oblicze.

- Słusznie uczyniło owo barbarzyńskie plemię atakując nas z dwu stron w wąskiej cieśninie, bowiem wodzowie ich mogli się spodziewać powodzenia takiego przedsięwzięcia. Jak wiesz, potomku bogów, zaledwie wymknęliśmy się z ich rąk, unosząc żywot, a udało się to jedynie dlatego, że okręt nasz potężniejszy jest i szybszy niżli wszystkie, które tędy płynęły kiedykolwiek. Gdyby był odrobinę wolniejszy, a ostroga naszego dziobu mniej potężna, zginęlibyśmy rozszarpani przez owych ludzi nadciągających z dwu stron w wielu łodziach. Lecz płynęliśmy przez owe krainy długo i poznaliśmy już nieco ich nadbrzeża. Sądzić możemy słusznie, że nie są one równie gęsto zamieszkane jak brzegi naszych mórz, gdzie każdą wyspą mogącą wyżywić stado kóz włada inny król... - Urwał i odetchnął ciężko, gdyż rana dręczyła go i czuł żar owładający jego umysłem. - Można więc sądzić, że jeśli będziemy płynęli jeszcze do późnego popołudnia z tak sprzyjającym wiatrem, jaki wzdyma nam teraz żagiel, ujdziemy daleko od owego przesmyku. Nie wierzę, aby barbarzyńcy owi widząc, jak potężny jest nasz okręt, pragnęli ścigać go na pełnym morzu, gdzie łodzie ich nie mogą gnać po wysokiej fali, lecz musiałyby je ona rozproszyć. A wówczas, gdyby nawet któraś z nich napotkała nas, prędko musiałyby się przemienić ze ścigającej w ściganą. Zawrócili oni do swych siedzib pojmując słusznie, że nigdy nas nie dopędzą... A oto nie widać nawet za nami wzgórz ich krainy. Daleko już odpłynęliśmy. Możemy więc oddalić się jeszcze ku północy dla większego bezpieczeństwa, a późnym popołudniem pożeglujemy ku owym brzegom, które widać w wielkim oddaleniu. Jeśli okażą się one bezludne i będzie tam zatoka, gdzie uda się skryć Angelosa przed oczyma mogącymi wypatrywać z morza, wówczas przybijemy do brzegu. Bowiem mając jedną trzecią załogi umarłą lub poranioną, jesteśmy jako okulały koń i trudno nam będzie zerwać się do biegu, gdy okoliczności nakażą. A wówczas zginiemy wszyscy.

Rzekł to i opadł na deski. Terteus w milczeniu skinął głową. Nie mógł nic dodać i niczego ująć ze

słów sternika.

- Uczynimy, jak radzisz - rzekł bogom podobny Widwojos i późnym popołudniem skierowali się ku północnemu zachodowi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Niechaj umrze o wschodzie słońca

Przed zmrokiem zbliżyli się ku brzegom usianym małymi wysepkami gęsto porośniętymi karłowatą sosną. Płynąc z wolna przez ów archipelag, pośród chmar wodnego ptactwa, pojęli, że nie jest to kraina zamieszkała przez ludzi.

Noc spędzili na jednej z wysepek, wysokiej i skalistej od strony morza, a mającej łagodną przystań od lądu. Nie rozpalili ognia w obawie, aby blask jego i dym nie zdradziły ich.

Przy bladym blasku księżyca pochowali we wspólnym grobie umarłych towarzyszy, a obok wzniesli drugi kopiec dla poległego żeglarza, którego ciało spoczywało na dnie cieśniny. Włożyli tam jego miecz i włócznię, której nie zdążył użyć, a książkę sypnął w pustą jamę garść bursztynu. Nim towarzysze podeszli, by rzucić garść ziemi.

Odchodząc uradowali się, gdyż pożegnany bohaterskim pogrzebem odzyskał on miejsce w myślach wszechmocnych bogów. Wiedzieli, że uczczona przez towarzyszy dusza jego zapewne weseli się teraz schodząc z podniesionym czołem do Krainy Mroku. Każdy więc pozdrowił go w myślach swych i z lżejszym sercem zasiedli do wieczerzy.

Lecz piękna Wasan nie znalazła potrzebnych ziół na owej skalistej i niemal pozbawionej roślinności wysepce, choć szukała ich długo, a księżyc świecił jasno.

I znowu świt wstał tak szybko, że zaczęli spoglądać na niebo z lękiem. Działo się to, jak gdyby ktoś odcinał co dnia większy płat z czarnego płaszcza nocy.

Widząc ze szczytu wysepki, że morze naokół jest puste jak okiem sięgnąć, przepłynęli krętą drogą wodną pomiędzy kilku skalistymi wysepkami do lądu. Wszędzie rósł tu las, lecz znaleźli tuż przy brzegu piękną polanę, a cieśle sklecieli naprędce niewielką szopę, gdzie złożono rannych i można było rozpalic po zmroku ognisko osłonięte ścianami z wbitych w ziemię, stojących blisko siebie pni drzewnych.

Pozostali tu dni cztery. Niemal wszyscy ranni poczęli powracać do zdrowia, gdyż rany ich goiły się prędko. Piękna Wasan zbierała zioła, składając je w różne pęczki, a później wrzucając do spiżowego kociołka, gdzie długo bulgotały nad ogniem wydzielając silną i ostrą woń.

Później zawijała łądygi, kwiaty lub liście w płótno i przykładła do nie zagojonych ran, a inny wywar kazała pić tym, których ciała dygotały od wewnętrznego żaru.

Na piąty dzień, zebrawszy naręcz ziół rozmaitych i ukrywszy je na dnie pustego glinianego dzbana, rzekła, że mogą odbić od brzegu, bowiem nikt z rannych nie zemrze.

W owym czasie cieśle wykonali nowe wiosła w miejsce złamanych, a na żądanie Terteusa także dwa zapasowe wiosła sterowe, nie wiedzieli bowiem, co ich jeszcze czekać może.

Po naradzie postanowiono płynąć jeszcze przez pewien czas wzdłuż brzegu na północ, gdyż wiatr

dał silny i nie mogli wyruszyć płynąc przeciw niemu przez pełne wzburzone morze, nie wiedząc, czy czeka ich brzeg za widnokregiem. Nie śmieli zresztą tego uczynić, nie mając pełnej załogi przy wiosłach.

Ruszyli więc na północ, nadal gnani wiatrem, z dala od brzegów, lecz nie tracąc ich z oczu. Wybrzeża owej krainy zdawały się obfitować w wielkie i małe wyspy, które nieustannie pojawiały się przed nimi. Brzegi stawały się coraz bardziej poszarpane, uciekały w głąb i powracały znowu, tworząc nieskończoną ilość zatok.

Na trzeci dzień ujrzeni z dala na północnym zachodzie, za morzem, cień wysokich gór na niebie. Były one tak dalekie, że w pierwszej chwili Białowłosa, który je dostrzegł, sądził, że to ciemne obłoki.

Po noclegu porzucili poblizę brzegów i skierowali się przez pełne morze ku owym odległym szczytom.

Lecz były one dalej, niżli przypuszczano, i noc zastała ich na morzu w wielkiej jeszcze odległości od lądu. Wiatr ucichł, gdy zaszło słońce. Noc była ciepła. Od dnia, gdy śmierć spotkała ich towarzyszy, nie słyhać było pieśni na pokładzie Angelosa. Okręt stał się po ich odejściu jak gdyby przestronniejszy i każdy wyczuwał pustkę w miejscach, które ongiś zajmowali umarli. Węzłki ich nadal leżały pod pustymi ławami, gdyż nikt nie chciał ich ruszyć. Nie było zresztą nowych wiosłarzy, którzy zajęliby miejsca poległych, choć wciąż jeszcze więcej niżli osiemdziesięciu ludzi płynęło pod czarnym żaglem i w potrzebie każde wiosło mogłaby ująć para ramion. Lecz część rannych nie odzyskała jeszcze sił i niewielki byłby z nich pożytek.

Tego wieczoru nie było chmur na niebie. Słońce zaszło z wolna i długo spoglądali na jego wielką tarczę, dotykającą krawędzi wód i niknącą w ich głębinie.

Lecz ciemność nie zapadła, gdyż została po słońcu szeroka poświata na niebie i ludzie mogli z dala rozpoznać oblicze towarzyszy, a odległe góry nadal tkwiły na widnokregu w łagodnym półmroku, który nie chciał stać się nocą. Później blask urósł i rąbek słońca wynurzył się ponownie, oblewając morze ostrym blaskiem.

Nawet bogom podobny Widwojos, który zdawał się niczemu nie dziwić naprawdę, spoglądał na ów dziw z niepokojem. Gdyż nikt dotąd nie słyszał, aby powracało ono, za ledwie zanurzony się w fale morza!

Dnia tego po raz pierwszy nie ucieszył ich blask boga światłości. W ciągu całej nie kończącej się drogi słońca przez niebiosy spoglądali na nie z trwogą, lękając się, aby nie pozostało na wieki nad ich głowami przegnawszy noc, a wraz z nią wypoczynek czekający wszelkie strudzone stworzenia ziemi.

Dalekie góry na widnokregu urosły i wkrótce dostrzegli bliższe, pokryte ciemnym lasem wzgórza i linię brzegów u ich stóp. Widok ów pokrzepił nieco ich serca, bowiem wybrzeże to biegło łagodnie ku południowemu zachodowi i mogło wreszcie poprowadzić ku ojczystym stronom.

Spędzili krótką szarą noc na brzegu skalistej głęboko wrzynającej się w ląd zatoki, do której szczęśliwie wpłynęli, jak pokazały późniejsze wypadki. Nigdzie tu nie było widać śladów człowieka, a okolica cała zdawała się posępną i mroczną, choć dzień trwał nad nią tak długo i słońce wznosiło się wyżej niżli nad innymi krainami ziemi. Z gór biegły ku morzu szybkie strumienie, spienione w kamiennych łożyskach, a woda ich była tak chłodna, że dłonie kostniały, gdy trzymało się je zanurzone w niej choćby krótko. Las świerków, przetykany dębami i brzozą, rosnący na zboczach wzgórz, rzadsze miał poszycie, a pnie drzew porastał ciemny zielony mech, choć na polanach

rozkwitało wiele kwiatów, zwiastujących nadejście lata, podobnie jak wszędzie na ziemi.

O świcie, gdy mieli opuścić to miejsce, runęła na nich spoza wzgórz gwałtowna i nagła burza siejąc gradem piorunów i zatapiając świat w potokach deszczu. Trwała ona do późnego popołudnia. Pozostali więc w owym miejscu na drugą noc, choć chmury odeszły równie nagle jak przyszły, rozpogodziło się, a rozszalałe fale morza, rozpryskujące się wysoko na nadbrzeżnych głazach, poczęły cichnąć i uspokajać się. Podziękowali wówczas bogom, że natchnęli ich, aby wprowadzili okręt do zatoki, choć nic nie zwiastowało zawczasu owej burzy. Albowiem na brzegu otwartego morza nacierające ogromne fale sięgnęły lasu, podmywając i porywając drzewa. Niechybnie pochwytyłyby też i roztrzaskałyby Angelosa lub uniosły go z sobą na pełne morze, aby tam zatopić.

Tego wieczoru, gdy ostatni pomruk nawałnicy ucichł za widnokrzem, Terteus podszedł do Białowłosego, siedzącego na nadbrzeżnym głazie i ostrzącego miecz na skórzanym pasie, którym opasywał biodra w boju.

- Oszczędzają nas bogowie, jak dotąd! - Roześmiał się i przytrzymując dłonią jeden koniec pasa usiadł obok chłopca. - Burza nie uczyniła krzywdy nam ni okrętowi, a przez ów bój z barbarzyńcami przeszliśmy obaj, jak gdyby była to wojenna zabawa chłopięca! Myślę czasem, czy to nie dzięki tobie wyprawa nasza płynie jeszcze?... - Spowaźniał nagle. - Być może w dniu twych narodzin postanowiono, że przemierzysz świat cały i włos ci z głowy nie spadnie? A ci, którzy są z tobą, korzystają z tego. Białowłose opuścił miecz. Potrząsnął głową.

- Gdy uciekałem z Egiptu... - rzekł cicho - był ze mną człowiek pewien, imieniem Lauratas. Ocalił mi on żywot... i sam zginął. A ja zapewne także nie mówiłbym tu dziś z tobą, gdyby nie twa małżonka. Uratowała mi żywot... - Pociągnął palcem po ostrzu miecza i wsunął go do pochwy. - A jeśli nie żywot, to przynajmniej wiosło, bowiem barbarzyńca ów, pochwycawszy je szarpał z całych sił, nie dając wiosłować nie tylko mnie, lecz i tym, którzy byli przede mną i za mną. Gdyby rzuciło się ich w wodę więcej tak śmiałych jak on, nie wiem, czy uszlibyśmy?...

I opowiedział Terteusowi o tym, jak piękna Wasan ugodziła strzałą wojownika, który uczepił się jego wiosła.

- Nie rzekła mi o tym słowa! - Terteus pokręcił głową, jak to miał w zwyczaju, gdy chciał przemyśleć rzecz jakąś niespodzianą. - Byłem tak zajęty bojem i opędzaniem się od owych rwących się na burty barbarzyńców, że prawdę mówiąc, zapomniałem o niej, a przypomniałem sobie wówczas, gdy pozbyliśmy się pościgu. Lecz zajęta już była opatrywaniem rannych, co zdaje się jej sprawiać wielką radość, gdyż nic innego nie czyni od tej pory! - Znowu się roześmiał, lecz spowaźniał natychmiast. - Nie o tym przyszedłem z tobą mówić...

Zawiesił głos i rozejrzał się, jak gdyby pragnąc upewnić się, że są sami z dala od innych.

Białowłose zerknął na nocne niebo oczyszczone burzą i obsypane gwiazdami migocącymi ostro naokół młodego księżyca, lecz pozbawione, jak się zdawało, na zawsze pełnej ciemności. Później zwrócił spojrzenie ku przyjacielowi i czekał bez słowa.

- Bitwa owa, śmierć tak wielu towarzyszy i to, co po tym nastąpiło, kazało nam zapomnieć o niebezpieczeństwie, które nieustannie wisi nad bogom podobnym Widwojosem i jego synem!

Terteus wypuścił koniec pasa, a Białowłose odruchowo ujął go w ręce i wsunawszy nań rzemień pochwy opasał się nim.

- Cóż mamy uczynić? - zapytał nie pojmując, czemu przyjaciel właśnie teraz o tym myśli. Bogom podobny książę ni Perilawos nie oddalali się ostatnio od okrętu, gdyż polowano tu mało, więcej jedząc łowionych za dnia ryb i ptaków, od których roiły się mijane wysepki nadbrzeżne.

- Rozmyślałem nad tym... - Terteus wstał i podszedł do brzegu. Przez chwilę spoglądał na wzburzone fale nadbiegające w głąb zatoki z mrocznej, przemawiającej różnymi głosami równiny wodnej i załamujące się z głośnym szumem na krawędzi brzegu. Później zawrócił i stanął przed Białowłosym. - Poczynam lękać się, że jeśli morderca ów będzie pragnął wykonać swój zamysł, uczyni to wkrótce!

- Jakże możesz wiedzieć o tym, nie znając jego myśli?

- Białowłosy także się podniósł.

Mimowolnie spojrział na odległe ognisko, wokół którego krążyły ciemne postacie wynurzające się z mroku i niknące w nim ponownie.

- Wie on już, jak i my wszyscy, że minąwszy ów przesmyk wyprawa opuściła wreszcie morze na północy świata. Ma więc prawo sądzić, że jedynie niepomyślne wiatry mogą powstrzymać nas przed osiągnięciem znanych wszystkim wód i lądów. Oby się nie mylił, gdyż ja nie mam owej pewności, choć cała załoga tak myśli. Wyprawa powraca, a bursztyn spoczywa w pithosach na dnie okrętu. Mając ów skarb Widwojos wiele może uczynić. Lecz cóż zrobi, nim uczyni cokolwiek? Otóż napotkawszy pierwszy okręt kreteński książę rozgłosi zapewne, że królewski brat pragnął go zabić. A wraz z nim syna jego. Wówczas człowiek ów będzie narażony na zgubę jak pozostali żeglarze z Angelosa, bowiem nie wykonał królewskiego rozkazu i zezwolił żywemu Widwojosowi powrócić wraz z synem do krain znanego świata. Musi więc działać w pośpiechu, bo któż z nas wie, jak daleko stąd znajduje się ów znany nam świat? Być może ujrzymy za dzień lub dwa krawędź znajomego lądu, którego nie spodziewamy się ujrzeć, bowiem nie wiedząc, jaki kształt ma ziemia, nie wiemy też, gdzie jesteśmy? Morderca musi więc uprzedzić tę chwilę! Nie wiem, czy będzie pragnął zadać cios dziś, jutro czy może innego dnia, odkładając nieco spełnienie swego czynu? Być może wstrzymuje go lęk lub brak sposobności, aby zabić obu równocześnie? Wiem jedynie, że jeśli pragnie tego dokonać, musi wkrótce uderzyć!

- Czy pragniesz znów zastawić sidła na niego, by schwytać go z zasadzki? - zapytał Białowłosy niepewnie.

- Sam nie wiem, co czynić! - Terteus siadł na głazie wspierając łokieć na kolanie. Z dala nadbiegały głosy ludzi śpiewających przy ognisku. Cień śmierci leżący od kilku dni nad załogą zdawał się wreszcie rozwiewać.

Radowali się, że burza minęła, a brzeg ów powiedzie ich rankiem ku południowemu zachodowi pod pogodnym niebem.

- Znajdujemy się niemal nieustannie na morzu - Białowłosy myślał na głos. - Jakże można na okręcie zastawić pułapkę i sprawić, aby chciał uderzyć na nich obu i wpadł w nasze sidła?

- Nie wierzę, aby pragnął uderzyć na nich na okręcie!

- Terteus stanowczo potrząsnął głową. - Śpią obaj w namiocie pod masztem, lecz tuż obok nich znajdują się ci, którzy czuwają nad żaglem, gdyby wiatr miał się zmienić.

Prócz tego leżą tam ranni, gdyż na pokładzie łatwiej ułożyć ich niżli na dnie między ławami. Zresztą nie może on przewidzieć, czy będziemy jeszcze kiedyś płynęli nocą, gdyż, jak każdy z nas wie, lepiej okrętowi płynąć za dnia, a na noc przybijać do brzegu. Po cóż mielibyśmy żeglować nocą po nieznanym wodach, jeśli nie zmuszają nas okoliczności? Prócz tego na okręcie każde spojrzenie któregoś z towarzyszy może stać się przyczyną jego zguby. Niełatwo tam zabić dwu ludzi i ujść niepostrzeżenie. A gdyby któryś z nich krzyknął lub zbudził się wcześniej i stawiał opór? Musiałby on zadać im ciosy w zupełnej ciemności, w ciasnym, niskim namiocie, a uderzywszy raz mieć pewność,

że zabił. Za dnia na okręcie ksiązę i Perilawos są bezpieczni, bowiem nikt nie dokazałby takiej sztuki, aby w blasku słońca zgładzić dwu ludzi pośród ośmiu dziesiątków przebywających z nimi towarzyszy. Nie... - Znowu potrząsnął głową..- Nie uczyni on tego! Będzie pragnął ich zabić skrycie, na lądzie!

- Cóż więc uczynimy?

- Nie wiem! Ksiązę i syn jego pamiętają przecież, że człowiek ów jest wśród nas i winni strzec przed nim swego żywota, więc nie będziemy znów mówili o tym z nimi i wpędzali ich w nową trwogę. Lecz Harmostajos, ty i ja uniknęliśmy ran i potrafiemy czuwać także w nocy, skoro powinność nam każe. Rozmyślałem nad tym dziś i dostrzegłem jeden sposób: noce są tu krótkie, więc będziemy czuwali kolejno, lecz nie sprawując otwartej straży, aby morderca nie mógł odgadnąć, że nie śpimy. Ułożymy posłanie nasze w pobliżu boskiego Widwojosa i jego syna, a ów, który ma czuwać, leżeć będzie z otwartymi oczyma, mając łuk, włócznię i miecz pod ręką. Gdy ujrzy rzecz podejrzaną, zerwie się...

Białowłosy uniósł dłoń, nie dając mu dokończyć.

- Jakże pragniesz, abyśmy zrywali się z orężem w ręce, gdy ktoś z załogi wstanie i przejdzie w pobliżu posłania księcia lub Perilawosa? W ciągu jednej nocy dziesięciu ludzi może to uczynić dla różnych przyczyn?!

- To prawda - rzekł Terteus - lecz wynajdź godniejszy sposób strzeżenia ich snu, jeśli nie pragniesz w hełmie i pancerzu stać nad ich posłaniem, wymachując noc całą mieczem przeciw wrogowi, którego nie znasz, a nie wiesz nawet, czy naprawdę istnieje? Mógł on bowiem porzucić ów zamysł, chcąc połączyć los swój z losem nas wszystkich i nie pragnąc już powrócić na Kretę! Przecież i tak być może. Gdybyśmy choć wiedzieli, że chce uderzyć!

Białowłosy skinął głową.

- Pójdźmy do ogniska - rzekł - gdyż wieczera czeka.

Inni zjedli już i układają się do snu. Później opowiem rzecz tę Harmostajosowi. Otoczmy ich naszymi posłaniami z trzech stron, leżąc w pewnym oddaleniu. Gdy ty wraz z małżonką swoją rzucicie futra, by legnąć na nich, my obaj ułożymy się naprzeciw, tak aby móc spieszyć na ratunek księciu, jeśli zajdzie potrzeba. Gdy któryś z nas dostrzeże podejrzaną rzecz, krzyknie zrywając się, a to także może powstrzymać dłoń zabójcy, nim nadbiegniemy. Jeden z nas będzie czuwał nieustannie, a gdy nadejdzie czas, zbudzi następnego. Przedziwną jest rzeczą owa noc tak krótka i jasna, lecz w tym jednym przynajmniej wspomagają nas bogowie, gdyż gęstej ciemności już od dni paru nie było nad nami!

- To prawda... - Terteus skinął głową. - Przedziwna to rzecz i nikt nie uwierzy nam, gdy po powrocie będziemy pragnęli opowiedzieć o słońcu, które zaledwie zapada w morze na krótki sen i wynurza się pięć lub sześćkroć razy szybciej, niżby to uczyniło na Krecie!

Z wolna ruszyli ku ognisku idąc brzegiem morza.

W pewnej chwili Terteus zatrzymał się.

- A czyś dostrzegł... - rzekł niemal szeptem - inną rzecz, równie przedziwną? Morze cofa się tu, by po pewnym czasie podejść bliżej... Przez czas pewien wierzyłem, że to wzburzona fala cichnie i opada, lecz nie! Gdy przyплыliśmy tu wczoraj przed zmrokiem, wyciągnęliśmy okręt pozostawiając go na krawędzi wód. Byłem przy tym i wiem, jak daleko został wyciągnięty, bowiem nie chciałem, aby mogła uderzyć weń fala i przewrócić go, gdyby morze wzburzyło się bardziej. A oto spójrz! Choć fala jest wyższa niżli wczoraj i dalej winna sięgać opadając na brzeg, cofnęła się!

Stanęli w półmroku, nie zbliżając się ku ognisku i spoglądali na ciemny kadłub Angelosa, który tkwił na jasnym żwirze o kilkadziesiąt kroków od opadającego ku zatoce brzegu, gdzie fale załamywały się, wysyłając ku niemu długie jęzory piany.

- Dwakroć już morze podchodziło i odstępowało, odkąd tu jesteśmy!

Ujrzeni, że książę wraz z synem i Eriklewesem stoją w pobliżu, patrząc na wodę. Podeszli ku nim.

- Dostrzegłem to już wprzód. Widzę to co dnia, odkąd wypłynęliśmy z owej cieśniny... - rzekł cicho Eriklewes, który wydobrał już niemal pod okiem pięknej Wasan, lecz nadal jeszcze był słaby. - Rzecz ta jest niepojęta... Jak gdyby całe morze kołysało się lekko, niby woda w naczyniu, raz odchodząc od brzegu, to znów powracając ku niemu! Odchodzi ono teraz od nas. Lecz cóż się stanie, gdy zechce powrócić bardziej wzburzone i zalać brzeg, porywając okręt?

- Nie uczyniło tego dotąd... - Książę wzruszył ramionami. Choć i on nie odrywał oczu od pomarszczonej powierzchni zatoki. - A ruch tych wód jest powolny, więc nie powrócą gwałtownie...

Nikt mu nie odpowiedział. Wpatrywali się wszyscy w szumiące pośród mroku morze, nad którym stał księżyc w nowiu, otoczony z dala coraz słabiej lśniącoymi gwiazdami. Brzask, który niemal od zmroku trwał na wschodzie, rozlał się szerzej. Świat począł szarzeć.

Terteus zawrócił ku ognisku i wydał rozkaz, aby strażnicy, czuwający na przemian przy Angelosie, dawali pilnie baczenie na morze i zbudzili go dostrzegłszy, że wody podchodzą bliżej.

Później, gdy cała niemal załoga usnęła, zasiedli do posiłku; jedli w milczeniu i bez chęci, gdyż trwoga znów ożyła w ich sercach, a na myśl powracały zasłyszane przed odpłynięciem opowieści o potworach, mroźnym końcu świata, czeluści chłonnaej wszelkie wody mórz i wiele innych, wysłuchanych jako baśnie, mogące przerazić jedynie dziecko lub głupca, który nigdy nie zaznał żeglugi wzdłuż brzegów odległych krain.

Lecz jakże mieli ukoić niepokój, gdy po posiłku ułożyli się na mokrej ziemi i owinęli w skóry zwierzęce, by usnąć, a dzień, który zaledwie odszedł, znów powstał? Spoglądali więc z trwogą w błękitniejące niebo i zaciskali powieki, próbując usnąć.

Rankiem zepchnęli okręt na wodę i zwinawszy żagiel, gdyż wiatr wiał przeciwny, popłynęli wiosłując pod nadbiegające fale, wzdłuż wybrzeża, wymijając gęsto rozrzucone przy nim skaliste i nagie wysepki. Późnym popołudniem brzeg skręcił ku zachodowi. Morze nadal było niespokojne. Angelos ciężko unosił się na fali i opadał w głębokie bruzdy, torując sobie z trudem drogę przez pokryte grzebieniami pian morze. Byli już wielce utrudzeni, gdy wieczorem wpłynęli do nowej zatoki, jednej z wielu, które wchodziły w głąb tego lądu.

Tej nocy Białowłosa wraz z oboma przyjaciółmi nadal czuwał nad snem księcia, lecz nie nastąpiło nic, co by mogło wskazywać, że zabójca pragnie dokonać swego strasznego dzieła.

Siedzieli kręgiem na niewielkiej łące nadbrzeżnej, mając po jednej ręce wzburzone morze, a po drugiej stronie wznoszące się, porośnięte rzadkim lasem zbocze, które przechodziło w poszarpaną ścianę skalną i ginęło w górze.

Na brzegu spoczywał Angelos, po raz pierwszy opuszczony przez wszystkich, gdyż załoga cała była zebrana wokół księcia. Oblicza ich były poważne i milczeli wszyscy słuchając.

- Osądziłem - rzekł donośnie bogom podobny Widwojos, powstawszy i podchodząc ku środkowi kręgu - że w chwili tak ciężkiej winniśmy wspólnie zastanowić się, co nam dalej należy czynić. Bowiem brzeg ten nie tylko że nie prowadzi nas już więcej ku południowemu zachodowi, gdzie, jak przypuszczamy, znajdować się winny bramy prowadzące do krain, które opuściliśmy, lecz odchodzi, jak to sami ujrzeliście, ku północy. Wieje nieustannie przeciwny nam wiatr z południa, a widzimy

przed sobą jedynie otwarte, wzburzone morze, na które musielibyśmy wyruszyć, walcząc z wysoką falą i wzmagającym się wiatrem, nie wiedząc, gdzie leży brzeg, ku któremu płyniemy, jeśli w ogóle leży on gdziekolwiek przed nami.

Dobrze stanie się więc, jeśli wszyscy naradzimy się dziś nad tym, co nam należy od tej chwili czynić. Albowiem, jeśli postanowimy zgodnie cokolwiek, wówczas musimy to wykonać bez względu na niebezpieczeństwa lub przeciwności. Lecz gdybym sam postanowił bez waszej zgody, słusnie moglibyście rzec później, że powiodłem was ku zagładzie, choć można było postąpić roztropniej. Radźmy więc, a niechaj sternik nasz Eriklewes pierwszy wypowie, co sądzi o naszym położeniu, gdyż ma on najwięcej doświadczenia i nieraz już okazał, że radą jego nie wolno gardzić.

Zawrócił i usiadł, a roztropny Ateńczyk powstał i milczał przez chwilę. Później rzekł:

- Rada moja jest krótka. Jeśli dom nasz jest na południu, płynąć musimy na południe. To pojmuje każdy z nas. Lecz że w kierunku owym otwiera się morze, a nie wiemy, jak długo wypadnie nam płynąć, nim napotkamy przychylne brzegi, czekać musimy na sprzyjający wiatr. Nie sposób byłoby płynąć pod wiatr na wiosłach przez wiele dni. Posuwalibyśmy się wolno, a nie wiemy, czy droga przed nami nie jest najdłuższą z tych, które dotąd odbyliśmy od jednego brzegu do drugiego. Musimy więc czekać sprzyjającego powiewu, który nam tę drogę skróci nie odbierając przy tym wszystkich sił. Straciliśmy bowiem wielu towarzyszy poległych w walce z barbarzyńskim plemieniem, wielu innych poniosło rany i moc ich ramion jest nadwątlona. Tak więc płynąć musielibyśmy pod wiatr nie mając nawet kilku ludzi, którzy zmieniliby wyczerpanych wiosłarzy. Złym byłbyś przywódcą, boski książę, rzucając wyprawę swą na takie przeciwności dlatego jedynie, że niecierpliwość nie pozwoliłaby ci czekać stosownej chwili. Rada moja jest taka: czekać na sprzyjający wiatr, a gdy nadejdzie, ruszyć na południe. Nim to nastąpi, niechaj ranni wracają do sił, by w dniu wyruszenia byli sprawni jak wprzódy. Należy też upolować dość zwierzyny, abyśmy byli najedzeni i poczynili zapasy na drogę. Bowiem, jak rzekłem, nie wiemy, jak długo przyjdzie nam płynąć przez morze, nie widząc brzegów.

Powrócił ku swemu miejscu i siadł na murawie, a inni osądzili, że słowa jego były słuszne.

Wówczas uniósł dłoń Metalawos o potężnych ramionach na znak, że chce przemówić. Książę wskazał mu miejsce pośrodku kręgu.

- Słusznie radzi roztropny Eriklewes - rzekł Metalawos - lecz miejsce, gdzie znajdujemy się, nie jest sposobnym ani dla wypoczynku, ani dla łowów. Brzeg tu skalisty i wznosi się wysoko przemieniając w poszarpane zbocza, a dalej, jak to widzieliśmy z morza, wznoszą się nagie góry. Jeśli więc, boski książę, pragniesz wysłuchać tego, co sądzę, rzekłbym, że winniśmy popłynąć nieco dalej ku północy korzystając ze sprzyjającego wiatru, który sam nas poprowadzi wzdłuż wybrzeża. Być może znajdziemy tam wkrótce bardziej sprzyjającą okolicę dla spędzenia kilku dni. Bo choć niektórzy towarzysze lękają się, że dotarliśmy niemal do krawędzi świata, rzecz ta wydaje mi się nieprawdziwa. Morze, po którym płynęliśmy, nie dążyło ku otchłani, gdyż prąd jego porwałby nas z sobą, nie widzę też znaków na ziemi i niebiosach, które by o tym świadczyły. To prawda, że słońce zachodzi tu na krótko, lecz wiele krain widziałem od dnia, gdy jako dziecię niemal wstąpiłem po raz pierwszy na pokład kupieckiego okrętu, i wiem, że każda z nich jest inna, a to, co wydaje się przerażającym dla przybysza, jest rzeczą zwyczajną i nie budzącą trwogi u jej mieszkańców. Tak więc rada moja brzmi: skoro wiatr sprzyja, płynmy wzdłuż brzegów ku północy, póki nie znajdziemy dogodnego miejsca i bezpiecznej zatoki, abyśmy w niej postawili nasz okręt i mogli upolować dość zwierzyny dla całej załogi na długą podróż i tam zaczekali na pomyślny powrót.

Powrócił na swe miejsce, a po nim wstawali inni, lecz mówili podobnie jak on i roztropny Eriklewes. A że ni książę, ni Terteus nie zdawali się mniemać inaczej, postanowiono więc, że w poszukiwaniu dobrego miejsca dla kilkudniowego postoju niezwłocznie wyruszą ku północy wzdłuż brzegów, co też uczynili.

Gnani sprzyjającym wiatrem po wzburzonym, usianym grzebieniami pian morzu, płynęli szybko ku północy, widząc przed sobą rosnące łańcuchy górskie. Wiele tu było wysp i zatok, lecz były one posępne i skaliste, tak że nim nadszedł wieczór, w umysły ich poczęło się wkradać zwątpienie. Choć ludzie wypoczywali, a słońce świeciło jasno, nie słyhać było rozmów. Cień owej szarej, kamiennej krainy zdawał się padać na serca załogi Angelosa.

Terteus, siedzący pod masztem i nie spuszcający wzroku z wolno przesuwanego się przed nimi groźnego widoku, uniósł się wreszcie i podszedł do księcia, który wraz z Perilawosem stał obok sternika.

- Cóż poczniemy, boski książę? Nigdy dotąd nie widziałem okolicy, która wydawałaby się tak wroga człowiekowi i wszelkiej żywej istocie. A przed nami w oddaleniu wyrastają góry wyższe jeszcze i bardziej posępne, spadające wprost ku brzegom. Jeśli więc pragniemy zawinąć gdzieś, lepiej może byłoby wpłynąć do którejś z owych zatok, otwierających się pomiędzy górami i prowadzących w głąb lądu?

Spojrzeli wszyscy na niebo. Słońce stało jeszcze wysoko. Książę powiódł okiem po mijanych brzegach. W łańcuchu rozświetlonych blaskiem słonecznym szczytów otwierała się szeroka wyrwa, którą morze wdzierało się do owej krainy. Zatoka osłonięta była wysoką skalistą wyspą, pozbawioną roślinności. Wyraźnie widzieli z dala białą koronkę pian u jej stóp, a nad nią chmary jasno upierzonego ptactwa, wlatującego i osiadającego na czarnych głazach.

- Skieruj, roztropny Eriklewesie, okręt nasz ku owej zatoce! - rzekł bogom podobny Widwojos. - To prawda, że świat ów jest przedziwny i groźny, lecz wybrzeża Grecji podobnie opadają miejscami ku morzu, tworząc wysokie przepaści zawieszane ponad falami. A że okolica ta jest bezludna, jak można sądzić, tym lepiej dla nas! Jak dotąd ludy, które napotkaliśmy na brzegach tych mórz, okazały się wrogie obcym przybyszom. Na cóż więc nam spotkanie z plemionami, które mogłyby tu zamieszkiwać? Lepsza okolica posępna i odludna niżli żyzna i wesola, lecz wypełniona krwiożerczymi barbarzyńcami!

Terteus uśmiechnął się.

- Gdyby nie to, boski książę, że nade wszystko pragnę, aby Angelos powrócił szczęśliwie do ojczystych stron, pierwszy namawiałbym cię, abyśmy płynęli dalej ku północy, nie zważając na to, że kierunek ów oddala nas od dnia powrotu. Gdyż choć nie pojmuję tego dobrze, jest w sercu człowieczym miejsce przedziwne, które każe oczom naszym poszukiwać nigdy dotąd nie widzianych lądów za widnokrzem, a stopom zanurzać się w pyle krain nie znanych, ku którym pragnie wędrować. Gdyby nie owo pragnienie na dzie serca, wielu ludzi żyłoby spokojnie i bezpiecznie w miastach i wioskach, w których się narodzili, a tymczasem porzucają je oni i wyruszają gnani owym głosem, często prowadzącym ku sławie i bogactwom, lecz jeszcze częściej ku zagładzie.

- Pojmuję cię dobrze - rzekł Perilawos - bowiem nieustannie w tej podróży, patrząc na miejsca rozmaite, ku którym się przybliżamy, myślę o tym, co jest dalej za nimi, a także o tym, czy jest gdzieś granica, poza którą nie ma już niczego, a jedynie pustka niebios nad głową i kres rzeczy wszelakiej. Gdyż musi ona gdzieś istnieć.

- Czemu więc nikt nie dotarł do niej, młody książę? - zapytał Eriklewes. - I ja rozmyślałem nad

tym nie raz. Lecz nie znam nikogo, kto zbliżyłby się do owych granic lub słyszał o takim, który do nich dotarł.

Okręt z wolna zbliżał się do urwistych brzegów gnany wiatrem.

- Być może miejsca takiego nie ma... - rzekł bogom podobny Widwojos.

Spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Jak to, ojcze? - Perilawos po trzasnął głową. - Każda rzecz ma swój kres, więc i świat musi mieć granice. Być może zmierzamy ku nim teraz właśnie? A będzie to miejsce, gdzie lądy i morza kończą się, a gdybyś tam dotarł i wychylił się poza jego krawędź, dostrzegłbyś jedynie niebiosa nad sobą, przed sobą i pod sobą. Inaczej chyba być nie może.

- Świat musiałby wówczas być zawieszony pośród tego bezmiaru - rzekł Terteus - co nie jest rzeczą możliwą, gdyż runąłby w dół...

- Dokąd? - zapytał księżę uśmiechając się.

Zamilkli wszyscy, szukając w umysłach swoich odpowiedzi i nie znajdując jej.

- Nie wszystko bogowie chcą odkryć człowiekowi... - rzekł Eriklewes. - Może to i lepiej, gdyż ci, którzy pragną wiedzieć zbyt wiele, nie są zwykle najszczęśliwszymi z ludzi.

- Ja byłbym! - rzekł Perilawos. - Byłbym najszczęśliwszym z ludzi, gdybym dotarł do owej granicy świata, której nikt dotąd nie ujrzał!

- Być może zbliżamy się ku niej nie wiedząc o tym! - Terteus roześmiał się wesoło i ruszył w kierunku masztu, wzywając wioślarzy, aby zasiedli na ławach.

Skalista, wysoka brama w łańcuchu gór, opadających ku morzu, wyrosła przed nimi i gdy minął pewien czas, wpłynęli w nią niesieni łagodną falą przyływu.

Jakież było ich zdumienie, gdy ujrzeli, że nie jest to zatoka, lecz odnoga morska, wdzierająca się pomiędzy góry i niknąca w oddaleniu. Wody były tu spokojne i nieruchome, nie wiał wiatr i nie docierały promienie słońca schodzącego z wolna na wieczorny spoczynek. Odbijały się one jedynie od jasnych wierzchołków gór przydając nieco blasku temu mrocznemu światu.

Angeles płynął pośrodku owych mrocznych wód, maleńki jak owad pośrodku jeziora, wymachujący osiemdziesięcioma nóżkami wiosel. Zwinęli żagiel i opuścili, gdyż zwiśł w ciszy, która ogarnęła przestworza.

Zatoka przed nimi rozdzielała się na dwa głębokie wąwozy, z których każdy szeroki był na kilka tysięcy kroków.

Zbocza nadal były urwiste i nieprzyjazne, lecz dostrzegli w skręcającym na lewo ramieniu wód łagodniejsze, pokryte lasem stoki i tam skierowali się.

Przybili w pobliżu ujścia strumienia opadającego z głośnym szumem z gór.

Naprzeciw nich, po drugiej stronie zatoki, stała niebotyczna, prosta niemal, czarna ściana skalna spadająca wprost do morza, lecz tam gdzie Angeles dotknął brzegu, otwierała się pośród gór jak gdyby rozpadlina, szeroka i łagodna, wznosząca się ku górze. Porastał ją las, a bliżej brzegu była wielka, porośnięta trawą i pokryta głazami polana, opadająca tarasami ku wodzie.

Tu spędzili noc, jeśli mogli tak nazwać ową porę, gdyż niebo nad skałami nie stało się czarne ani na chwilę i nie ujrzeli nad nim gwiazd, choć było bezchmurne.

Tu przed świtem żeglarz imieniem Kalauros, pełniący straż na granicy lasu, zabił uderzeniem włóczni jelenia o rozłożystych rogach, który zbliżał się do potoku.

Uznali więc, że lasy owe, wznoszące się nad ich głowami, mogą być pełne zwierzyny, i postanowili wyruszyć na łowy, aby upiec dość mięsa, które, przesypane solą i ugotowane w ziołach,

przetrwaloby świeże, póki płynąc na południe nie dotrą do nowego ładu.

Bogom podobny Widwojos i syn jego, wzięwszy łuki, lekkie oszczepy i miecze, byli już gotowi, wraz z czterdziestoma innymi, do wyruszenia. Postanowiono, że łowcy wyruszą idąc pod górę lasem rozrzuć szerokim półkolem, którego ramiona wysunięte będą ku przodowi, gdyż spłoszona zwierzyna rzadko biegnie wprost przed siebie, a zwykle ucieka na boki. Ułożono, że gdy łowcy osiągną daleki nagi grzbiet w górze, wówczas zejda i powracając zbiorą zwierzynę, którą upolowali.

- Czy ruszysz wraz z nami, Terteusie? - zapytał księżę młodego żeglarza, który stał nie uzbrojony przy ognisku.

- Za twym przyzwoleniem, panie, pragnę wraz z kilkoma innymi oskrobać kadłub okrętu z wszelakich żyłatek morskich, gdyż dostrzegłem, że obrósł już nimi nazbyt, a także chcę obejrzeć go dokładnie i jeśli zajdzie potrzeba, użyć reszty smoły, którą jeszcze mamy, i zatkać szczeliny w dnie, gdyby pojawiły się między deskami. Ciężka bowiem może nas czekać droga przez otwarte morza i źle byłoby, gdybyśmy nie dopatrzyli wszystkiego przed odpłynięciem, mając tyle wolnego czasu, ile go dziś mamy.

Lecz gdy odstąpiwszy o kilkanaście kroków jeden od drugiego, łowcy weszli w las, Terteus powierzył pracę ową roztropnemu Eriklewesowi, który choć był sternikiem znamienitym, nie władał jednak dobrze łukiem ni oszczepem, a prócz tego wciąż jeszcze nie był w pełni sił, mimo że rana jego zagoiła się. Sam zaś udał się za innymi, którzy zniknęli już w lesie.

Droga wiodła pod górę przez gęsty świerkowy las przetykany krzewami. Na niewielkich polanach kwitły poziomki i wiele kwiatów, lecz ptaków w gałęziach odzywało się niewiele.

- Cicho! - szepnął Harmostajos, gdy Białowłosy postawił nogę na suchej gałęzi, która pękła z trzaskiem.

Harmostajos uniósł się na palcach i wysuwając głowę ponad rosnące gęsto splecione krzewy, usiłował dostrzec księcia i jego syna, posuwających się przed nimi przez las. Ujrzał wreszcie wysoko nad sobą czerwoną wyblakłą tunikę Perilawosa, a nie opodal ciemną Widwojosa. Szli pochyleni, napięte łuki mieli uniesione na wysokość oczu i zdawali się podchodzić ku jakiejś zwierzynie, której Harmostajos, znajdując się niżej, nie mógł dostrzec.

Białowłosy zbliżył się ku niemu, stąpając ostrożnie. Bez słowa wskazał oczyma w prawo. Harmostajos skinął głową odchodząc w lewo.

Rozeszli się nieco i poczęli posuwać ku górze za księciem i jego synem, otaczając ich z dwu stron. Lecz nie śledzili ich nieustannie wzrokiem, a oczy ich błędziły po lesie wpatrując się czujnie w poszycie. Terteus wierzył, że jeśli morderca ów zechce uderzyć, dzisiejsze łowy mogą być wielce dogodnie dla jego krwawego przedsięwzięcia. Cały obszar, po którym posuwali się myśliwi, był zasłonięty, tak że idący nie dostrzegali się nawzajem. Jeśli więc człowiek ów uderzy niespodzianie z dala, może cofnąć się szybko i niedostrzeżenie i pozostanie bezpieczny.

Białowłosy wyteżał wzrok, nadsłuchując równocześnie. Z głębi lasu dobiegł daleki głos ludzki. Był to krótki triumfalny okrzyk. I znów nastąpiła cisza. Lecz głos ten dobiegł z wielkiej odległości z ust kogoś, kto znajdował się wyżej niżli księżę i jego syn. Najwyraźniej komuś udały się łowy.

Białowłosy obejrzał się, by dostrzec, gdzie jest Harmostajos. Lecz nie ujrzał nikogo. Przyjaciel jego rozplątał się wśród krzewów. Gdy zwrócił wzrok pod górę, nie dostrzegł także księcia ni Perilawosa. I oni musieli nieco przyspieszyć, choć droga pośród pni, krzewów i leżących na zboczu porośniętych mchem głazów nie była łatwa.

Ruszył więc, skradając się od drzewa do drzewa, aby idący przed nim nie dostrzegli go. Znowu

mignęła mu w górze tunika Perilawosa.

Białowłosy zatrzymał się, przystanąwszy za pnem wielkiego dębu. Ogarnął go nagle gniew. Lubił łowy, a wiele dni spędzonych na ławie Angelosa wzmogło jeszcze pragnienie zanurzenia się w lesie i cichego podchodzenia zwierzyny. Tymczasem był w lesie i szedł cicho, to prawda, lecz nie śledził za tropami zwierza, a szukał oczyma kogoś, kto zapewne nie istniał wcale, gdyż na dnie duszy chłopiec nie wierzył, aby wśród załogi Angelosa znalazł się nikczemnik mogący przesyć ciało bogom podobnego Widwojosa lub jego syna. Któż mógłby uczynić rzecz taką, gdy znajdowali się wszyscy na krańcu świata z dala od swoich, a każda para rąk przyjaznych i każde ramię mogące unieść włócznię było jak gdyby ramieniem należącym do wszystkich, gdyż broniąc okrętu każdy walczył nie jedynie o siebie, lecz nastawiał pierś za wszystkich towarzyszy?

Ruszył znów pochylony, tak aby księżę i Perilawos nie mogli go dostrzec, gdyby odwrócili głowy. Lecz znowu zgubił ich z pola widzenia...

Gdzieś po lewej trzasnęła cicho gałązka. Zapewne Harmostajos także przyspieszył. Pragnął przywołać go, lecz nie uczynił tego dostrzegłszy za krzewami schyloną, posuwającą się szybko ku górze postać.

Nie był to Harmostajos, krępy i niewielkiego wzrostu, lecz ktoś wysoki i smukły, pochylony nisko i trzymający w rękach łuk ze strzałą leżącą na cięciwie.

Zapewne był to jeden z łowców, który pozostał nieco w tyle i zboczył teraz doganiając rozsypanych w półkole towarzyszy, których nie mógł dostrzec.

Białowłosy ponownie otworzył usta, by rzec mu, że tuż przed nim, w górze, znajduje się bogom podobny księżę z synem, więc winien zboczyć i nie piąć się na zbocze wprost za nimi, gdyż może im spłoszyć zwierzynę.

Lecz człowiek ów dostrzegł najwyraźniej między drzewami tunikę Perilawosa. Błyskawicznie podniósł łuk i wymierzył trzymając środek cięciwy przy oku.

Białowłosy zmartwiał.

Wiedział, że nie zdąży unieść oszczepu i cisnąć, nim tamten wypuści strzałę!

- Wstrzymaj się! - krzyknął na cały głos. I ręka jego dopiero teraz uniosła się, dźwigając oszczep.

A wówczas tamten zwrócił ku niemu oblicze i napięty łuk.

W pierwszej chwili nie poznał go, tak bardzo rysy tamtego wykrzywił nagły lęk i nienawiść. Choć minęło jedynie mgnienie oka, pojał, że teraz tamten poszukuje go oczyma i nie może odnaleźć, gdyż Białowłosy stał za drzewem, niemal po pierś zakryty gęstymi, dzielącymi ich krzewami.

Poznał tamtego i ramię mające wyrzucić oszczep zawisło nad głową. Nie mógł uwierzyć w to. Jakże miał cisnąć z bliska śmiertelnościami narzędziem w pierś towarzysza, którego znał tak dobrze? Nie był on przecież mordercą! To nie mógł być on!

Lecz tamten dostrzegł go i uskoczywszy za drzewo puścił cięciwę. W tej samej chwili Białowłosy odzyskał władzę w członkach i cofnął głowę za drzewo, a strzała minęła go ze świstem. Usłyszał zduszony okrzyk.

Teraz! - pomyślał i wyskoczył zza grubego pnia. Nie myślał już. Musiał bronić swego żywota. Tamten nie mógł nałożyć jeszcze nowej strzały.

Szukał go oczyma nie znajdując. Nagle dostrzegł leżącą na ziemi postać. Człowiek ów szamotał się, trzymając szyję dłońmi, jak gdyby wąż chwycił go za gardło.

Podbiegł i uniosłszy oszczep stanął nad leżącym, który widząc przed oczyma śmiertelne ostrze znieruchomiał. Wówczas Białowłosy dostrzegł koniec sznura. Spośród krzewów wynurzył się

Harmostajos.

- Zbyt późno go dostrzegłem! - rzekł niemal ze spokojem, jak gdyby mówił o zwierzyńcu. - Gdybyś nie uskokzył, ty właśnie stałbyś się jego pierwszą ofiarą!

Obnażywszy miecz stanął nad leżącym, który usiłował dźwignąć się na kolana.

- Jeśli ruszysz się, przygwoźdź cię do ziemi! - Harmostajos pchnął go lekko ostrzem miecza w pierś i człowiek z okrzykiem bólu opadł znów na ziemię. - Gdy drgnie choćby, przebij go - rzekł Harmostajos i błyskawicznym ruchem zerwał pętlę z szyi leżącego, przesuwając ją na jego ramiona. Ściągnął później sznur i okręcił dwa razy, wyciągnąwszy obezwładnionemu z pochwy miecz, który rzucił na jego łuk spoczywający nie opodal.

Krzaki za nimi zaszeleściły. Odwrócili na mgnienie oka głowy.

Terteus wynurzył się na polankę i oczy jego spoczęły na leżącym.

- Mierzył w Perilawosa! - rzekł Harmostajos i pokiwał głową ze smutkiem. - A gdy Białowłosa krzyknął, chcąc mu przeszkodzić, skierował łuk w niego i wypuścił strzałę, pragnąc zapewne, aby świadek jego występnego zamiaru umilkł na zawsze.

Terteus zbliżył się i stanął nad leżącym.

- Wiedziałem, że wśród załogi jest morderca dybiący na życie księcia - rzekł potrząsając głową. - Lecz że jesteś nim ty, Kamonie, przez myśl mi nie przeszło.

Leżący milczał. Oblicze jego powlekała bladość. Od chwili, gdy pętla rzucona przez Harmostajosa owinęła się wokół jego szyi, odbierając mu oddech i obalając na ziemię, nie rzekł słowa.

- Czemuś to chciał uczynić? - zapytał Terteus.

Lecz Kamon nic nie odrzekł. Spętali mu ręce za plecami i nogi w kostkach, tak aby mógł iść powoli, i poczęli zstępować z nim ku wybrzeżu.

A gdy powrócili łowcy, radośni i z oczyma lśnącymi weselem z udanych łowów, wlokąc kilka saren, rogacza, dwa lisy i wielkiego dzikiego kota o nakrapianym pięknym futrze, inni rzekli im o tym, co się przydarzyło.

O zmroku dogasającego dnia zebrali się wszyscy i zasiedli kręgiem wokół stojącego pośrodku polany spętanego człowieka. Po obu jego bokach stanęli dwaj uzbrojeni ludzie czuwając, aby nie próbował umknąć lub sam siebie nie pozbawił żywota wiedząc, jaki los go oczekuje.

Gdy zaległo milczenie, Terteus powstał i zwracając się ku stojącemu zapytał:

- Cóż możesz rzec, Kamonie, na swą obronę?

Czekali patrząc na niego. Lecz milczał opuściwszy głowę. Nie poruszył się nawet.

Wówczas Terteus zwrócił się ku załodze i rzekł im, jak zimą, na jeziorze, konający Orneus ostatnim tchnieniem ostrzegł ich przed zabójcą, którego król Minos umieścił na okręcie, aby przeciął on nić żywota bogom podobnego Widwojosa i jego syna, młodego księcia Perilawosa, gdyby udało im się przemknąć przez zastawione wolą królewską sidła i zniknąć poza granicami znanego świata, do którego sięga moc Krety. Opowiedział też, jak czuwali nad żywotem księcia i jego syna, a także o tym, jak zabójca wypuścił strzałę owej nocy i jedynie szczęśliwym trafem nie ugodził księcia.

- Od owej chwili zastawialiśmy na niego wiele sideł - dokończył. - Harmostajos, Białowłosa i ja czuwaliśmy nieustannie, by boski książę lub jego syn nie znaleźli się sami w miejscu, gdzie zabójca ów mógłby ich ugodzić. A oto dziś pojaliśmy go wreszcie i stoi przed nami! - Po czym, zwróciwszy się ku księciu, rzekł z czcią: - Synu królów, potomku boskiego Byka, jest obyczaj, że ów, który godzi skrycie na żywot innego żeglarza, płynącego wraz z nim na okręcie, sądzony jest przez wszystkich

towarzyszy swoich. Bowiem choć bywa, że dwaj ludzie nienawidzą się wielce, winni oni stanąć przeciw sobie otwarcie jak mężowie. Ów jednak zasadzający się ukradkiem, by nikczemnie ugodzić w plecy innego, który wraz z nim zasiada przy wiosle, godzien jest umrzeć w mękach. Czyn taki sądzony bywa przez całą załogę okrętu, by nikt nie mógł rzec, że stała się owemu człowiekowi krzywda. Ty wszelako, który księciem jesteś i wodzem tej wyprawy, sam możesz stanowić sprawiedliwość nie pytając innych, co sądzą o winie jego. Rzeknij więc, czy twój wyrok go skarżę, czy też mamy to uczynić my?

- Uczynicie, jak nakazuje obyczaj! - rzekł krótko Widwojos. - Godził on na żywot mój i syna mego, więc nie ja winienem go sądzić!

- Dzięki ci, książę! - Terteus pochylił przed nim głowę. Później znów zwrócił się ku siedzącym w milczeniu towarzyszom: - Do nas należeć będzie wyrok na owego nikczemnika. Cóż rzekniecie?

W ciszy wieczoru nad spokojnymi wodami skalistej zatoki zabrzmiały słowa wypowiedziane przez wiele piersi. A były one tak dawne, jak dawno ludzie przemierzają morza na czarnych okrętach. I wielu podstępnych zabójców wysłuchało ich z ust swych towarzyszy, bowiem zawsze brzmiały one jednako:

- Niechaj umrze o wschodzie słońca!

Wyrzekli to i zamilkli. Lecz nie powstali z miejsc swoich, gdyż nie był to koniec sądu. Jak nakazywał obyczaj, oczy ich zwróciły się ku sternikowi. Eriklewes powstał i rzekł:

- Mnie bogowie powierzyli wiosła sterowe okrętu.

Czy pragniecie, aby duch jego, mszcząc się za śmierć zadaną ciału, zawiązał drogę powrotu naszego i sprawił, bym pobłądził sterując wśród skał, mielizn i na niespokojnych wodach?

- Nie pragniemy tego! - odparli jak jeden.

- A więc niechaj krew jego nie padnie na ręce żadnego z nas!

- Niechaj nie padnie!

Po słowach tych powstali i powiedli Kamona na brzeg. Tam wbili na krawędzi wód spokojnych gruby, świeżo ociosany pal i przywiązali do niego skazanego. A roztropny Eriklewes zatkał mu usta płócienną chustą i związał ją mocno, aby nie mógł rzucić przekleństwa za odpływającym okrętem.

Odeszli, pozostawiając dwóch towarzyszy z włóczniami, którzy mieli strzec go, aż do nadejścia poranka.

W milczeniu spożyli wieczerzę i zabrali się do oporządzania zabitych zwierząt. Pełna noc nie zapadła wcale, a niebo jaśniejsze było o północy niżli wczoraj. Nad górami trwał krótki, nie przynoszący wytchnienia zmierzch.

Gdy pierwszy promień słońca oświetlił szczyty gór stojących nad zatoką i nadszedł czas, by odpłynąć, ruszyli ku Angelosowi i zepchnęli go na cichą toń zatoki, starając się nie spoglądać ku nieruchomej postaci stojącej na brzegu.

Okręt zakołysał się i stanął tuż przy krawędzi wody, przytrzymywany dwiema linami i wyrzuconymi na ląd kamiennymi kotwicami. Wciągnęli je szybko i odwiązali liny. Kolejno ci, którzy byli jeszcze na brzegu, wskakiwali na burtę. Załoga ujęła za wiosła.

Terteus samotnie pozostał na brzegu. Zawrócił, ujął wielki głaz i podszedł do stojącego. Spojrzały na niego otwarte w męce oczy, lecz z ust, w których tkwiła szmata przewiązana mocno wokół głowy przez roztropnego Eriklewesa, nie wydobył się żaden dźwięk.

Terteus odetchnął głęboko. Pochylił się i dwoma uderzeniami kamienia strzaskał kolana Kamona, aby nie mógł się wyzwolić jakimś nie znanym im trafem i odejść z miejsca tego.

Spod chusty dobiegło głuche rzężenie.

Nie unosząc oczu Terteus odwrócił się i spokojnym krokiem podszedł do nadbrzeża, a później skoczył chwytając za krawędź burty. Ramiona towarzyszy uniosły go w górę i postawiły na dnie okrętu. Angeles, odepchnięty od brzegu, okręcił się powoli i ruszył ku wylotowi zatoki.

Terteus z wolna podszedł do masztu i stanął patrząc przed siebie na gładkie wody rozcinane wysokim czarnym dziobem. Nikt nie rzekł słowa. Wiosła unosiły się i opadały coraz szybciej. I wówczas młody żeglarz usłyszał cichy płacz.

To małżonka jego, piękna Wasan, siedząc na dziobie zanosila się łzami, ukrywając lico w dłoniach.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Posejdon o białym obliczu

Białowłosey spoglądał w milczeniu na postrzępione białe grzywy wysokich zielonkawych fal uciekających ku lądowi.

Stali wszyscy trzej tuż obok siebie, stykając się ramionami dla utrzymania równowagi, wsparci o wznoszącą się i opadającą miarowo burzę okrętu.

Białowłosey przymknął na chwilę oczy. Któż by przypuszczał, że świat jest tak olbrzymi? Nie przerażało go to, lecz przepęłniało coraz większym zdumieniem. Zdawało się, że w którąkolwiek stronę skierowaliby dziób okrętu, oznaczało to jedynie, że coraz to inne widoki będą mnożyć się przed nimi w nieskończoność, ukazując nowe lądy i dziwy...

Drgnął nagle, słysząc tuż obok siebie głos wypowiadający jego myśli, lecz nie będący jego głosem.

- Któż by uwierzył, że świat jest tak wielki?

To mówił Harmostajos, a w jego słowach zabrzmiało nagle zdumienie tak bardzo nie licujące z drwiącym zwykle głosem i uśmiechem, który nie schodził mu z oblicza.

Białowłosey otworzył oczy i dostrzegł ciemne nagie ramię przyjaciela wyciągnięte wskazującym ruchem ku dalekim brzegom.

Idąc wzrokiem za tym ruchem ujrzał znów odległą, postrzępioną czarnymi ostrogami i powyginaną linię skalistego, uciekającego stromo w górę, kończącego się wysokimi koronami ostrych wierzchołków mrocznego lądu, przed którym tańczyły pośród strzelających w górę pian wysepki, nagie jak głazy rzucone w morze ręką olbrzymów.

Angelos płynął od świtu szybko ku północnemu wschodowi, gnany silnym, południowym podmuchem. Fale powstawały krótkie i wysokie, jak gdyby po burzy, choć świeciło słońce, a niebem szło jedynie kilka niedużych białych obłoczków, wędrujących wraz z okrętem. Nad głowami żeglarzy wiatr szumiał głośno w olinowaniu wielkiego żagla. Białowłosey westchnął.

Nie w tym kierunku pragnęli płynąć. Lecz po dopełnieniu sprawiedliwej kary na Kamenie książę ni Terteus nie pragnęli przebywać w pobliżu miejsca, gdzie pozostał nieruchomy, konający człowiek, choć wina jego była wielka.

A że wiatr był przeciwny, nie pozostawało im nic innego, prócz żeglugi ku północnemu wschodowi w poszukiwaniu łagodniejszego, sprzyjającego brzegu, gdzie zaczekać mogliby na podmuch z północy lub ciszę morską, która pozwoli im wyruszyć ku południowi na wiosłach, a - jeśli zajdzie konieczność - dalej podążyć w owym kierunku przez pełne morze, rzucając żywot na szalę łaski Posejdona i wierząc, że za błękitnym widnokregiem kryje się przyjazny brzeg, który doprowadzi ich do znanego ludziom świata.

Za plecami stojących załoga drzemiała z głowami wspartymi o ławy i tobołki, a niektórzy wygrzewali się z przymkniętymi oczyma, poddając nagie ciała promieniom słońca, choć nie grzało ono tak mocno jak w krainach, gdzie po raz pierwszy ujrzeli jego blask.

- Rok już płyniemy lub więcej niż rok - ciągnął Harmostajos leniwie - i jeśli ów kraniec świata, o którym tak wiele nam opowiadano, istnieje naprawdę, musi on znajdować się gdzieś przed nami!

Białowłosy nie odpowiedział, lecz Perilawos, który stał pomiędzy nimi, zwrócił ku Harmostajosowi oczy, a później ponownie skierował je ku mrocznym, czarnym górcom, których kamienne zbocza spadały wprost w morze. Oświetlające je słońce nie rozweselało ponurego krajobrazu, a raczej potęgowało jego grozę.

- Tak, nie jest to kraina, gdzie ludzie żyć mogą... - rzekł tak cicho, że niemal nie dosłyszeli go pośród szumu fal i zawodzenia wiatru w linach przytrzymujących maszt.

- A zapewne wkrótce nie napotkamy nawet zwierząt, gdyż i one wywędrowały z pewnością z tak niegościnnych okolic, mogąc żyć gdzie indziej, choć wokół ostatniej przystani napotkaliśmy ich dość...

Urwał nagle. Żaden z nich nie odezwał się, lecz wszyscy trzej znów pomyśleli o tym, co starali się od świtu przepędzić ze swych myśli. Tam, pośród dalekich, oddalających się na południe gór, była głęboka zatoka, na brzegu której pozostał przywiązany do pala Kamon. Czy żył jeszcze? Zapewne żył i nie umrze dziś, jeśli jakaś bestia nie zejdzie z gór i świecąc ślepiami nie podejdzie cichym, skradającym się krokiem ku bezbronemu, nie mogącemu poruszać się człowiekowi, by rozszarpać jego nagie ciało i pożreć je rozdzierając z wolna pazurami.

- Nie jest to jednak koniec świata! - rzekł wreszcie Harmostajos siląc się na wesołość - gdyż jak okiem sięgnąć ku północy widać nowe góry, a jeśli za nimi ukażą się następne, uwierzę, że podróż taka mogłaby trwać wiekuiście lub do dnia, gdy u j rzeliibyśmy wreszcie kraniec wód i białe oblicze Posejdony wynurzające się spoza nich!

Przyłożył dłoń do czoła, a Białowłosy poszedł za jego przykładem dostrzegając kątem oka, że Perilawos także oddaje cześć Panu Niezmierzonych Głębin, choć do niedawna wydawało się, że niewiele robi sobie z bogów. Lecz niebezpieczeństwa i nieustanne zagrożenie żywota każdego w końcu czynią pobożnym.

- Tak daleko zapewne nie dopłyniemy! - rozległ się za nimi spokojny, pogodny głos. Obróciwszy się ujrzeli Terteusa, który wraz z księciem zatrzymał się przy nich idąc ku dziobowi. - Wypatruję jakiejś zatoki pośród owych skał - rzekł wskazując górzyste brzegi - abyśmy mogli tam zawinąć, spędzić noc i wzięwszy dość świeżej wody, ruszyć ku południowi, gdy wiatr się odmieni.

Widwojos uśmiechnął się ku synowi.

- Czy przypuszczałeś, Perilawosie, gdy odbijaliśmy od brzegów świętej Krety, że dopłyniemy aż do miejsc, gdzie zapewne żaden z ludzi nie postawił nogi, a słońce zachodzi na tak krótko?

- Czy zezwolisz mi rzec coś, boski książę? - rzekł nagle Harmostajos.

- Mów, dzielny młodzieńcze! - Widwojos położył mu łagodnie dłoń na ramieniu. - Znam cię z tego, że nie mówisz na wiatr, władco przemysłnego sznura!

- Patrząc na owe mroczne góry, na morze i na słońce, które na tak krótko opuszcza tu ziemię, pomyślałem, panie, że być może kraniec świata jest gdzieś w pobliżu, właśnie tam, gdzie ono nie zachodzi?

- Czemu tak sądzisz?

- Gdyż znalazłszy się na krańcu świata i patrząc w dół moglibyśmy widzieć je na zachodzie, nie

mając przed sobą żadnej przeszkody, która zasłaniałaby je naszym oczom.

- Być może... - Widwojos zastanowił się. - Lecz jak wytłumaczysz to, że choć nie dopłynęliśmy do krańca świata, jednak kryje się ono na tak krótko, a co dnia na krócej?

- Nie mogę tego pojąć, boski książę, gdyż nie jestem człowiekiem uczonym, a nie umiem niczego prócz władania sznurem, jak zechciałeś w łasce twej rzec. Lecz rozważałem w swoim marnym umyśle, czy miejsce, gdzie słońce już nie kryje się naszym oczom, nie będzie, być może, ową krawędzią świata?

Umilkł zawstydzony.

Widwojos zdjął rękę z jego ramienia.

- Gdy człowiek napotyka sprawy, których dotąd nie poznał, zwykle przychodzą mu na myśl różne bajki i opowieści zasłyszane wcześniej. A jeśli nie zna lepszej odpowiedzi, wierzy owym opowieściom. Pragnąc bowiem pojąć rzecz każdą, usiłujemy ją sobie zawsze wyjaśnić, jak umiemy. Nie wiem nic o krawędzi świata, a zapewne nie więcej niżli ty, Harmostajosie, lecz pamiętam dobrze, że mówiono nam także o wielkich potworach zamieszkujących morze północy, o straszliwych olbrzymach i niezmiernych niebezpieczeństwach, pośród których wymieniono i ową krawędź świata. Gdy zbliżałem się teraz do was wraz z Terteusem, mówiliście o krańcu wód i białym obliczu ich boga wynurzającym się spoza nich. Cóż, świat jest wielki i nieodgadniony, lecz jak dotąd jedyne niebezpieczeństwa prawdziwe, których zaznaliśmy, pochodziły od zwykłych, podobnych nam ludzi. Płynąc pośród barbarzyńskich plemion, które napadały na nas, straciliśmy w boju wielu towarzyszy. Lecz sprawa ta nie była cudowna. Po to właśnie wzięliśmy z sobą nasz oręż i nie na darmo wybraliśmy załogę spośród krzepkich i umiejących władać włócznią i łukiem młodzieńców. Przewidywaliśmy bowiem, że tak się może stać. Lecz prócz groźnej i nie znanej nam dotąd zimy, która, jak rzekli nam mieszkańcy owej wioski na palach, jest rzeczą zwykłą w ich krainie, nie napotkaliśmy żadnego zjawiska cudownego lub innego, groźniejszego niżli te, które dzielni żeglarze napotykają i na naszym morzu, znajdującym się pośrodku znanego świata. A jeśli mam być szczery, nie uwierzę w żadne z owych cudownych zjawisk, póki nie ujrzę go na własne oczy. Im dłużej bowiem płyniemy, tym lepiej pojmuję, że ocalenie nasze leży w roztropności naszych umysłów i sile naszych ramion, a nie w czym innym. Dlatego, choć nie umiem ci tego wyjaśnić, Harmostajosie, sądzę, że gdybyśmy płynęli wciąż dalej i dalej, nie napotkalibyśmy owej krawędzi świata.

- Lecz musi on przecież gdzieś się kończyć! - zawołał Perilawos. - Każda rzecz, choćby najrozleglejsza, ma gdzieś swój kres, ojcze! Rzekłeś już to, lecz nie pojąłem cię wówczas, jak nie pojmuję teraz.

- Zapewne, lecz... - Widwojos zawahał się - być może świat ten jest większy, niż sądziliśmy, żyjąc daleko stąd i nie mając wieści prawdziwych od nikogo, kto dotarłby tutaj. Być może jest on tak wielki, że płynąc przez całą długość ludzkiego żywota nie dotarlibyśmy do owej krawędzi? Albowiem, jeśli bogowie rządzą światem, może wola ich jest, aby człowiek nigdy nie poznał prawdy do końca i nie dotarł do kresu ich królestwa?

- Może tak być, boski książę, lecz... - Terteus urwał na chwilę i potrząsnął głową - jeśli płynąc przez rok jedynie, dotarliśmy tak daleko, to gdzież dotarlibyśmy płynąc dziesięćkroć dłużej ku północy? Świat jest tu coraz groźniejszy i mniej przychylny człowiekowi. Jakiż musiałby on być tam?! - Wskazał północny widnokrąg, na którym widniały w białej mgielce nowe wierzchołki dalekich gór.

- Czyż nie przypuszczasz, boski książę, że owe szczyty i poszarpane skały są oznaką zbliżania się

naszego do kresu ziemi? Gdyż, choć jestem równie nieuczony jak Harmostajos, widok ów budzi w sercu mym niepokój i każe oczom spoglądać czujniej, jak gdybym znajdował się przed obliczem nieprzyjaciela.

- Na szczęście nie dowiemy się nigdy, co kryje się za owymi górami na północy... - Widwojos uśmiechnął się lekko. - Nie dowiemy się więc, kto z nas miał słuszność, ty czy ja, Terteusie. Gdy zawiniemy dziś do przystani, którą wypatrzymy pośród tych skał, zaczekamy tam, aż nieprzychylny wiatr odmieni się i pożeglujemy na powrót, a gdy napotkamy ów przyładek, przy którym płynąc ze wschodu zwróciliśmy się ku północy, skierujemy nasz dziób ku południowi. A przecież wierzysz jak i ja, że po pewnym czasie żeglując ujrzymy ląd, wiemy bowiem, że dom nasz jest na południu i musimy tam powrócić. Kierujmy się więc teraz ku brzegowi i płynąc wzdłuż owych gór szukajmy zatoki, która nas dziś przyjmie!

Terteus zakrzyknął na załogę. Wioślarze z wolna wstawali, kierując się ku wiosłom. Perilawos i Białowłosa przeszli na lewą burtę okrętu, gdzie były ich ławy. Stanęli wyciągając wiosła i patrząc na pełne morze, zwróciwszy plecami ku lądowi.

Nagle Białowłosa skamieniał z drzewcem w dłoniach. Przez chwilę patrzył szeroko otwartymi oczyma, nie mogąc poruszyć się ani złapać tchu.

Bowiem to, co drzemało w ich umysłach jako wspomnienie zasłyszanych bajek, przerażających opowieści, którymi straszono ich w Knossos i przed odpłynięciem z Troi, opowieści, z których niewiele już sobie robili, a których prawdziwości boski książę przed tak niedawnym czasem zaprzeczył, nagle przemieniło się przed jego oczyma w mrozącą krew w żyłach prawdę!

- Spójrz! - zawołał zduszonym głosem do Perilawosa i puszczając wiosło wyciągnął przed siebie drżącą rękę, nie mogąc poruszyć się z miejsca, jak gdyby stopy wrosły mu w deski dna.

Lecz Perilawos już dostrzegł. Twarz mu poszarzała i cofnął się o krok.

Okręt zamarł. Wszyscy już widzieli. Wszystkie oczy wpatrywały się z grozą w straszliwy widok.

O kilkaset kroków od burty okrętu wynurzyła się z wolna z głębiny wód szara, gładka, podłużna wyspa i nagle przyspieszywszy, jak gdyby nie płynął on pod rozpostartym żaglem, lecz stał w miejscu, minęła go i okrążyła szerokim łukiem, zbliżając się ponownie. Wówczas dostrzegli, że nad przednią jej częścią wytryska obłok wody pomieszanej z parą.

Żaden z nich nie drgnął, gdy zbliżała się coraz prędzej, jak gdyby pragnąc wpaść na Angelosa i roztrzaskać go w drzazgi! Patrzyli, nie chwytając za oręż i nie poruszając się, a nikt nie wydobył z siebie głosu, nie zakrzyknął, nie ukrył twarzy w dłoniach. Zamarli.

I oto wyspa, miast wpaść na okręt, wyminęła go nagłym, lekkim łukiem, zostawiając głęboką bruzdę pośród fal. Wówczas z rosnącą jeszcze trwogą ujrzeni, że nie jest to wyspa!

Gdyż z fal wynurzył się olbrzymi ogon, podobny do ogona rybiego, i uderzył ze straszliwą siłą o powierzchnię morza, aż trysnął potężny słup wody i rozległ się grzmot, jak gdyby olbrzym trzasnął rozwartą dłonią w grzbiet otchłani. Dostrzegli też na jedno mgnienie dwoje oczu spoglądających na nich z gładkiej głowy tak przerażającej wielkości, że jeden jej cios musiałby zatopić okręt. A później wszystko znikło pośród wzburzonych pian.

Potwór odpłynął na niewielką odległość, zawrócił i nagle zniknął, by wynurzyć się nieco dalej na pełnym morzu, ogromny, górujący swym cielskiem nad kadłubem okrętu.

Stali nadal nieruchomi, widząc go to znikającego, to pojawiającego się w oddali, aż wreszcie rozpląnął się w mgiełce słonecznej.

Wówczas Angeles ożył.

- Związać żagle i rzućcie się wszyscy do wioseł! - zawołał książę głosem wciąż jeszcze drżącym, lecz donośnym.

Skoczyli ku ławom i masztowi, nadal ogarnięci przerażeniem, lecz szczęśliwi, że jest ktoś, kto wie, co czynić należy w tak straszliwej chwili. Eriklewes położył stery na prawą burtę i Angelos łukiem skręcił ku lądowi, płynąc ku dalekiej linii czarnych skał otoczonych białymi pióropuszcami pian.

Wiosłowali jak nigdy dotąd, kierując się wprost ku brzegowi, gdyż lepsza była zwykła śmierć na skałach niżli ponowne spotkanie z owym ogromnym duchem otchłani morskich. Płynąc zaciskali zęby i napierali z rozpaczą na wiosła, czekając, że lada chwila rozlegnie się trzask pękających desek i zmiżdżeni potwornym cielskiem znikną w falach, aby tam znaleźć nie znaną dotąd ludziom śmierć w paszczy większej niżli wrota pałacu.

I byliby znaleźli niechybną zgubę, roztrzaskując się na nieprzystępnych skałach, gdyby roztropny Eriklewes, który choć drżał z trwogi, nie utracił przecież głowy, nie wprowadził Angelosa w niewidzialny z pełnego morza przesmyk między górami, którym fale wdzierały się w głąb ładu.

A gdy wpłynęli na ciche i uspokojone nagle wody, prując je długimi uderzeniami wioseł, ujrzeli, że przesmyk ów rozszerza się, tworząc jak gdyby jezioro, otoczone ścianami skalnymi, lecz rozległe i mające w wielu miejscach brzeg łagodny i gotów do przyjęcia znużonego okrętu. Ujrzeli także zielony las świerkowy przetykany liściastymi drzewami, rosnący na zboczu góry wyrastającej na południowym krańcu jeziora, choć inne zbocza były nagie i mroczne.

Powoli, oglądając się za siebie, czy potwór ów nagle nie ukaże się za nimi, wpadłszy do przesmyku, aby dokonać tego, czego nie uczynił na morzu, dobili do brzegu i wyciągnęli Angelosa na pokryty drobnymi kamieniami niewielki półwysep, wysuwający się w głąb śródgórskiej zatoki, cichej jak staw.

Idąc półwyspom ku lasowi oglądali się jeszcze ukradkiem ku otwartej bramie przesmyku, za którą jaśniało pełne morze. Lecz powierzchnia wód była cicha.

Podobnie do zatoki, w której pozostawili konającego Kamona, i tu widać było, że wody odchodzą odnogami dalej w głąb owej krainy, jak gdyby morze wyrwało długie głębokie wąwozy pośród gór. Krańca owych odnog nie było stąd widać, gdyż rozchodziły się kreto pośród kamiennych stromych ścian niknąc w oddaleniu.

Białowłosy odetchnął zeskoczywszy z burty i poczuwszy ziemię pod stopami. Ruszył za innymi ku pobliskiemu lasowi i nigdy jeszcze nie ucieszył go tak widok trawy, która zieleniła się na niskim grzbiecie małego półwyspu.

Wreszcie postępujący przed nim Widwojos zwolnił, nim doszli do pierwszych drzew.

- Boski książę nie zechce chyba, teraz nam rzec, że potwory powstały w lękliwych umysłach tych, którzy lubują się w zmyślaniu straszliwych opowieści... - szepnął idący obok Białowłosego Harmostajos, który odzyskał wesele ducha otrząsnąwszy się z trwogi.

Białowłosy spojrzał na niego surowo i niechętnie. Sam jeszcze odczuwał skurcz w gardle. Wierzył, że owa żywa wyspa, która ukazała się im na morzu, mogła być zesłana jedynie przez bogów jako ostrzeżenie, gdyż inaczej jakże można było sobie wytłumaczyć, że nie starła ich z powierzchni wód rzucając martwych na dno królestwa Posejdona? Świat nie mógł znać takich stworzeń. Pływając po morzach pożarłyby przecież wkrótce wszystkie ryby i wszystkie okręty, bo któż by się im oparł?

Lecz widząc w oczach przyjaciela niespodziewany, beztroski niemal uśmiech, sam mimowolnie uśmiechnął się, lecz spoważniał w mgnieniu oka.

- Zamilcz! - odparł także szeptem, osłaniając wargi dłonią. - Albowiem nie wiesz, kto z Wielkich tej krainy słucha nas teraz i czy nie obrażasz swą drwiną boga tych gór, ściągając na nas zemstę!

I przyłożył zwiniętą pięść do czoła, a Harmostajos poszedł za jego przykładem, choć nadal uśmiechał się jeszcze kącikami ust.

- Cóż cię tak cieszy? - spytał zdumiony Białowłoso.

- Ujrzałem największe i najstraszliwsze stworzenie, na jakim spoczęły kiedykolwiek oczy człowieka, i uratowałem żywot! - Harmostajos potrząsnął głową ze zdumieniem, poważniejąc na chwilę. Lecz wnet się rozpogodził. - Ileż wina wypiję w gospodach Knossos! Któż nie będzie pragnął wysłuchać opowieści o owym grzbiecie, wielkim jak wzgórze, wynurzającym się z fal, opływającym nas wokół lekko jak delfin i łypiącym oczyma osadzonymi pod paszczą, która zapewne połknąć mogłaby całego Angelosa, gdyby ów potwór nie był zbyt leniwy, syty, a może dla innej przyczyny, której nie zechciał nam objawić! Dość że nie połknął mnie, żyję i oto stąkam po zielonym lądzie, a słońce świeci mi nad głową! Czyż nie jest to dostateczna przyczyna, by radować się tym pięknym popołudniem! Oby jeszcze Minos chciał umrzeć i boski Widwojos lub nasz przyjaciel Perilawos zasiedli na tronie Krety! Jakimiż bohaterami nas wówczas lud obwoła!

Białowłoso pragnął odpowiedzieć, lecz księżę zatrzymał się i załoga otoczyła go kręgiem.

Piękna Wasan stanęła wsparta o ramię Terteusa. Nadal była blada i drżąca, a tak jeszcze ogarnięta trwogą, że nie rozczesła nawet kościanym grzebieniem swych jasnych włosów, co zawsze czyniła przed zejściem na ląd, gdyż była niewiastą i nieustannie pragnęła być piękną.

- Nim ów straszliwy widok ukazał się nam, wynurzając z wodnej otchłani - rzekł księżę spokojnym już i jasnym głosem - stałem na pokładzie z kilkoma z was i rzekłem im właśnie, że nie wierzę w owe potwory, którymi straszono nas przed wypłynięciem! Rzekłem także, że nie wierzę, abyśmy zbliżali się ku krawędzi świata... Lecz teraz, gdy najdzielniejsi z nas poznali ową trwogę straszliwą, która nawiedza człowieka, gdy staje naprzeciw nieśmiertelnych mocy, widzę, że moce owe sprzyjają nam, a potwór ów ukazał się jako ostrzeżenie. Tak bowiem tłumaczę sobie jego pojawienie się i niechęć do czynienia nam krzywdy... Być może nieśmiertelni bogowie widząc, że zbliżamy się ku krawędzi świata lub innemu miejscu niosącemu nam niechybną zagładę, a pragnąc nas uratować przed nią, nakazują nam, abyśmy nie posuwali się dalej, lecz zawrócili... Nie znamy ich woli i pragnień, winniśmy jednak ukorzyć się przed nimi, gdyż za ich zgodą pokonamy wszelkie przeciwności i niebezpieczeństwa, lecz bez niej zginiemy jak ptaki rażone na niebie ogniem błyskawicy i ślad nawet nie pozostanie po nas, a nie ocali żywota nikt, kto zaniósłby do ojczyzny wieść o tym, gdzie i jaką śmiercią zginęliśmy! - Urwał na chwilę i ciszej dokończył:

- Radźmy więc, co należy nam odtąd czynić. Kto chce, niechaj przemówi.

Milczeli długo, gdyż żaden z nich nie wiedział, co czynić trzeba, by przebłagać bogów, choć wszyscy pojowali, że widok Angelosa płynącego ku krańcom świata musiał ich rozgniewać.

Stali tak, myśląc rozpaczliwie i przestępując z nogi na nogę, gdy nagle wszystkie oczy zwróciły się w jedną stronę.

Oto piękna Wasan uniosła rękę, a księżę spojrzawszy na nią i rzuciwszy później okiem na stojących, czy żaden z mężów nie pragnie przemówić, skinął głową.

- Mów, piękna żono Terteusa. Wysłuchamy cię, choć jesteś niewiastą. Obyś rzekła coś, co uspokoi nasze serca.

- Panie - rzekła Wasan. - Wiem, że jestem jedynie niewiastą i nie ośmieliłabym się rzec słowa pośród zgromadzenia mężów, gdyby któryś z nich pragnął przemówić. Lecz milczą wszyscy, a jak

rzekłeś, serca ich są strwożone, więc powiem, gdyż nie znam wielkiego świata i spraw między ludźmi a bogami. Otóż patrzyłam i ja, pełna przerażenia, gdy potwór ów okrążał nasz okręt. I widziałam go, gdy nie uczyniwszy nam żadnej krzywdy oddalił się na pełne morze ku południowi. Zniknął wreszcie sprzed naszych oczu, gdy blask słońca ukrył go przed nami, a może sam odszedł w głębinę, gdzie ma mieszkanie swoje. Jakkolwiek uczynił, wierzę jak i ty, książę, że to bogowie zesłali go nam jako ostrzeżenie. Lecz skoro nie rzucił się na nas, by roztrzaskać okręt, a okrążywszy go i przepłynąwszy przed dziobem, udał się na południe, kierując ku pełnemu morzu, wierzę, że uczynił tak, pragnąc nam wskazać kierunek, w którym mamy się udać, by ocalić nasz żywot. Podobnie, przepływając przed dziobem Angelosa, pragnął rzec nam, abyśmy nie posuwali się dalej ku północy...

Zamilkła na chwilę, a pośród zgromadzonych przebiegi szmer i głowy poczęły skłaniać się potakując, tak słuszne i jasne wydały się im jej słowa. Lecz Wasan nie skończyła jeszcze.

- W ojczyźnie mej starzy ludzie mówią, że poznawszy wolę bogów człowiek musi wykonać ją na j spieszenie j, gdyż nikt ze śmiertelnych nie wie, jak wiele czasu mu dano!

Zamilkła.

I wówczas wszystkie głowy zwróciły się ku widnemu z dala wejściu zatoki. Choć zbliżał się wieczór i głęboki cień otaczających gór legł na ziemi, tam gdzie stali, lecz na morzu nadal trwał słoneczny dzień, ujrzeli jasną powierzchnię wód. Wód, z których wynurzył się potwór i w których zapewne nadal przebywał, spoglądając może z głębin na skały, gdzie zniknęła jego zdobycz.

A choć wielu pośród nich było nieustraszonych i nie lękali się śmierci w boju i podczas burzy morskiej, zadrżeli, a wszystkie oczy znów zwróciły się ku Wasan.

Lecz ona cofnęła się już i skromnie skryła za potężnymi ramionami małżonka. Wówczas wzrok ich spoczął na księciu. On i syn jego byli potomkami Byka. i Wielkiej Matki, kogóż więc mieli wysłuchać w godzinie trwogi, jeśli nie ich?

- Zawstydzila nas małżonka twoja, Terteusie... - rzekł bogom podobny Widwojos - która, gdy dzielność zbiegła z serc naszych, rzekła to, co rzec był winien każdy z nas! Gdyż słowa jej były prawdziwe. Jeśli bogowie sprzyjają nam i znak ów przerażający od nich pochodził, wówczas nie zwlekając winniśmy postąpić według ich woli. Jeśli jest inaczej, a przypuszczenia nasze zwiody nas i musimy zginąć w tej krainie lub na morzu w paszczy owego potwora lub innych, straszliwszych jeszcze, wówczas i tak nie umkniemy naszemu losowi. Albowiem nie możemy pozostawać tu do końca dni naszych i musimy powrócić na morze. Wypłynymy więc i choć przyjdzie nam walczyć z przeciwnym wiatrem, oddalmy się od tego lądu i pożeglujmy wprost ku domom naszym przez królestwo łaskawego Posejdon. A że nie wiemy, jak długo przyjdzie nam płynąć ani na jakich brzegach spoczna nasze oczy, gdy czas się dopełni, powierzmy się łaskawości bogów, przydając jej moc naszych ramion! Bowiem nic innego nam nie pozostało! Niechaj każdy z was odpowie, czy pragnie, abyśmy tak uczynili, aby później nie pomyślał, że choć uczynił to, co inni, doradzał jednak poniechania tego zamiaru.

W milczeniu wszyscy pozdrowili bogów, a później każdy wznosił prawe ramię na znak zgody.

- Poszukajmy więc czystego źródła! - rzekł Widwojos.

- A gdy nabierzemy w pithosy dość słodkiej wody, ruszajmy nie zwlekając.

Gdy po pewnym czasie Angelos odepchnięty wiosłami odbił od brzegów półwyspu i skierował się ku skalnej bramie zatoki, książę z Terteusem stanęli na dziobie, wpatrując się z natężeniem w powierzchnię wód. Lecz nic nie zmąciło swobodnej gonitwy fal.

Gdy znaleźli się na morzu, pojęli wnet, że wiatr południowy przycichł i przemienił się w łagodny zachodni powiew, co uznali za dobrą wróżbę, gdyż wiosłarzom łatwiej było teraz pracować i tej nocy Angelos z pewnością przebędzie większą połąć morza, jeśli...

Lecz słowa owe nie padły z ich ust, a nikt z załogi nie rzekł słowa o potworze.

Okręt oddalał się od lądu łagodnym łukiem zmierzając ku południowemu zachodowi, tam gdzie stało opadające słońce. Zanurzało się ono z wolna w morze i Terteus, który nie spuszczał oka z nieskończonej powierzchni wód przed dziobem, myślał z niepokojem o nastaniu zmroku. Za nimi czarne góry poczerwieniały w świetle zachodu. Okręt oddalał się od nich i zapewne, jeśli noc upłynie szczęśliwie, rankiem będą one już tylko mglistą linią na wschodnim widnokręgu.

Lecz słońce, zanurzywszy się niemal całym swym jasnym kręgiem w morzu, zawisło nieruchomo tuż pod widnokręgiem i blask półkolistego skrawka jego oblicza trwał nadal na falach.

Terteus spojrział raz i drugi, nie pojmując, a później serce jego ścisnął nagły lęk.

- Czy widzisz? - rzekł książę. - Ten dzień nie kończy

Cała załoga także pojęła, że dzieje się coś straszliwego i choć ludzie nie wypuścili wiosła, a głos żeglarza nawołującego śpiewnie spod masztu: - Płyn przez fa-le! Płyn przez fa-le... - nie cichł, nad Angelosem ponownie zawisła groza.

Bo to na pół ukryty krąg światłości - miał zniknąć wreszcie - począł z wolna wznosić się i wkrótce oderwał od powierzchni wód szybując w górę i ku południowi po swej codziennej drodze.

Książę odwrócił się i poszedł ku środkowi okrętu, a stanawszy na podwyższeniu pod masztem i dawszy znak dłonią nawołującemu żeglarzowi, aby ucichł, zawołał ochryplym głosem:

- Przestańcie wiosłować i powstańcie, dzielni towarzysze moi! Oto mamy widomy znak, że bogowie umiłowali nas i potwór ów był wysłany od nich z rozkazem, abyśmy nie płynęli dalej ku północy! Gdyż dopłynęliśmy niemal do krawędzi świata, gdzie słońce zachodzi!

I zwróciwszy się ku promiennemu kręgowi, który teraz stał już w pełni nad widnokręgiem, uniósł ku niemu wyprostowane ramiona, a wszyscy powstawszy uczynili podobnie, dziękując bogom za łaskę i ocalenie z niebezpieczeństwa, jakiego nie zaznał dotąd żaden ze śmiertelnych.

Okręt, pozbawiony steru i wiosła, kołysał się lekko pod ich stopami, tańcząc na falach.

Wreszcie Widwojos opuścił ramiona, a inni uczynili to za nim i zasiedli do wiosła.

Zabrział śpiew żeglarza stojącego pod masztem i Angelos drgnął, a później ruszył nabierając szybkości, gdyż nowe siły wstąpiły w załogę.

- I cóż ci rzekłem?! - zawołał Harmostajos obracając się na ławie ku Białowłosemu i ciągnąc ku sobie wiosło. - Dopłynęliśmy do krańców świata i nawet sam boski syn Byka przyznał to teraz! I dobrze się stało, gdyż za dzień lub dwa moglibyśmy ujrzeć białe oblicze Posejdona, a któż ze śmiertelnych mógłby nie paść bez życia na ów widok!

Białowłosy nie odrzekł nic, lecz odpowiedział mu uśmiechem, gdyż i on uwierzył nagle, że bogowie czuwają nad okrętem i jego załogą.

A bogom podobny Widwojos powrócił na dziób i długo stał wpatrując się w słońce. Brwi miał zmarszczone, jak gdyby próbując pojąć, co mogło spowodować, że wydarzyło się to, co się wydarzyło.

Na dnie serca swego nadal pragnął pojąć istotę rzeczy tego świata bez uciekania się do pomocy bogów. Bowiem nie wierzył w bogów, choć od pewnego czasu począł się ich lękać. Tak zdumiewający i pogmatwany bywa umysł człowieka.

I być może pozostałby długo pogrążony w myślach, nie umiejąc znaleźć odpowiedzi na wiele

pytań, które zadawał sobie pragnąc pojąć zdumiewające i straszliwe wypadki tego dnia nie zakończonego nocą, gdyby w końcu nie nastąpiła rzecz najstraszliwsza, która wstrząsnęła jego sercem i kazała mu ukorzyć się przed tajemną mocą bogów. Albowiem on, książę Widwojos, syn i wnuk królów, sam ujrzał owego dnia oblicze Boga Niezmierzonych Głębin, a wraz z nim ujrzała je cała załoga Angelosa!

A stało się to, gdy płynęli już długo i wiatr odmienił się z zachodniego w nieco chłodniejszy, północno-zachodni.

Podnieśli wówczas wielki żagiel, pod którym okręt wspomagany poławą wiosł począł płynąć szybko, kierując dziób ku nagiemu bezmiarowi błękitu na południowym zachodzie. Gdzieś tam krył się utęskniony ląd, który pragnęli napotkać, by wzdłuż jego brzegów podążyć ku domowi. Wypatrywali go więc nieustannie, a książę wraz z Terteusem stali na dziobie, rozmawiając i zastanawiając się, czy ujrzą ów ląd dziś jeszcze, czy też minie wiele dni, nim ukaże się on na widnokręgu... gdy nagle Terteus przymrużył oczy i przysłonił je dłonią. Wydało mu się bowiem, że na zachodzie, pośród morza, dostrzegł odległy błysk, jak gdyby zamigotało tam wielkie światło.

- Cóż dostrzegłeś? - spytał bogom podobny Widwojos spoglądając w tym samym kierunku.

- Nie wiem... boski książę... - Terteus pochylił się ku przodowi trzymając dłonią za belkę obramowania dziobu. - Zapewne oczy moje omamiły mnie...

- Czyś dostrzegł blask, jak gdyby słońce nagle zapłonęło na zachodzie i zgasło w mgnieniu oka? - zapytał Widwojos.

- Dostrzegłem! - rzekł Terteus cicho. - I znowu go dostrzegam!

Angeles nie płynął w kierunku owego światła, które pojawiało się i gasło nagle, by znów się pojawić. Słońce weszło już wysoko i dzień zbliżał się ku południowi. I znów oczy całej załogi spoczęły na owym miejscu pośród morza, aż nagle Białowłosy, który miał wzrok sokoła, zawołał:

- Widzę je!

- Cóż widzisz? - zawołał Harmostajos.

- Białe i lśniące... migocze jak klejnot... na krawędzi wód... Jak wielka głowa! Oblicze zanurzone w morzu!

A nie stało ono w miejscu, lecz z wolna sunęło za nimi odległe, niemal niedostrzegalne, wysyłając im błyskawice blasku. Posuwało się w tym samym kierunku co oni, podążając z północnego wschodu. Aż wreszcie, gdy zbliżyło się nieco, ujrzeni wszyscy to, co pierwszy ujrzał Białowłosy: ogromne, białe oblicze lśniące na granicy wód i widnokręgu!

I znów powstali wszyscy i pozdrowili Go, pochyliwszy głowy i spuściwszy oczy, aby nie poraził ich śmiercią za zuchwalstwo.

Gdyż pojęli, że oto dostąpili laski największej, jakiej mógł dostąpić żeglarz przemierzający wody; ujrzeni, choć z tak wielkiej odległości, olbrzymie Białe Oblicze Posejdona, spoglądającego na nich spoza krawędzi wód!

I tak, szczękając zębami z trwogi i korząc się w myślach przed owym Wielkim Obliczem, ślącym im z dala oślepiające promienie, jak gdyby było niezmierną, zanurzoną w morzu bryłą lodu, odbijającą słoneczny blask, napierali na wiosła, oddalając się od owej okolicy morza, by nie zakłócić Panu Wód jego boskiego spokoju. Pojęli jednak w owej chwili, że choć wiele jeszcze trudów ich czeka, lecz żadna siła nie zawiąże już drogi ich powrotu.

Gdyż temu, który ujrzał Oblicze Boga i nie padł rażony błyskawicą gniewu, ludzie, moce ziemi i morza niewiele złego mogą uczynić.

Aż wreszcie dalekie Oblicze posłało im ostatni ostry błysk z granicy wodnego widnokregu i znikło.

Pan Morza zstąpił zapewne do cichych podwodnych pałaców, w których przebywał pośród dusz dzielnych żeglarzy i zatopionych okrętów.

Angeles parł dalej, sunąc ku swemu odległemu, nieznanemu celowi.

Tej nocy wydało im się, że tarcza słoneczna skryła się nieco bardziej pod powierzchnię, a następnej gotowi byli przysiąc, że jedynie maleńki jej skrawek pozostał widomy.

I być może trzeciego wieczora ujrzeliby z radością, że słońce całe zniknęło, kryjąc się na krótki odpoczynek. Lecz w południe nadeszły niskie chmury z północy, a wkrótce biała mgła opadła na morze, przesłaniając wszystko tak gęstą powłoką, że z dziobu okrętu zaledwie można było dostrzec wierzchołek masztu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Krąg olbrzymich głazów

Białowłosey otworzył oczy. Ktoś szarpnął jego ramieniem, lecz był tak znużony, że minęła chwila, nim poznał pochylone nad sobą oblicze Terteusa.

Usiadł przecierając powieki. Terteus puścił go, postąpił ku następnemu śpiącemu i zaczął nim potrząsać:

- Wstawaj, Kalaurosie, czas nadszedł!

Ludzie z wolna unosili się i wstawali, klnąc cicho lub milcząc.

Białowłosey rozejrzał się. Pokład nie kołysał się niemal. Okręt płynął, popędzany połową wiosł, po morzu spokojnym jak staw. Terteus zniknął w oparze i z dala tylko było słychać jego ciche nawoływanie, gdy budził śpiących kamiennym snem wyczerpanych ludzi.

Białowłosey zadarł głowę. Czy to dzień, czy noc teraz? Któż mógł odgadnąć w tej przerażającej krainie wód rozjaśnionych zachodzącym na krótko słońcem, a równocześnie pokrytych gęstym, nieprzebytym oparem?

A jednak wydawało im się, że mrok zapadał nieco dłuższy co dnia i mgła przemienia się w prawdziwą ciemność... Być może działo się tak dlatego, że zawrócili z krawędzi świata i płynęli odtąd nieustannie ku południowi. Lecz któż mógł mieć pewność, że to było przyczyną?

Białowłosey ruszył ku tyłowi okrętu, gdzie piękna Wasan wraz ze starym Nasiosem piekła placki na płaskim kamieniu paleniska. Pozdrowiła go jak zawsze z uśmiechem, gdyż nie zapomniała, komu zawdzięczała żywot swój ocalony, gdy żegnała już młode dni. Podała mu placek, a stary Nasios wyciągnął ku stojącemu kubek z wodą, która z dnia na dzień stawała się coraz bardziej stęchła.

Jedząc Białowłosey myślał o tym, ile dni już płynęli od chwili, gdy po raz ostatni postawili stopę na lądzie?

Osiem, dziewięć?... A może było ich już dwa dziesiątki!...

Zagubił rachubę upływającego czasu, a wraz z nim wszyscy inni, gdyż nie widząc zapadania nocy, a kładąc się do snu i powstając z niego po to jedynie, aby zjadłszy pośpiesznie kawałek placka, zasiąść znów przy wiosle, tkwili jak gdyby w zaczarowanym kręgu, nie widząc niczego, prócz pleców najbliższego towarzysza, wynurzających się z cichego, mlecznego oparu, nie rozkołysanego najmniejszym wiatrem. Gdyby choć wiedzieli na pewno, że przykładając się do wiosł skracają chwile oczekiwania! Lecz nie widząc ładu, morza, słońca ni gwiazd być może zataczali wielki krąg? Wiosłując i zaciskając zęby drżeli na myśl, że gdy wreszcie mgła opadnie, ujrzą znów przed sobą czarne wierzchołki gór, które żegnali przed wielu dniami.

Lecz Eriklewes, który nieustannie spoglądał na wodę przepływającą wokół burt okrętu, twierdził z uporem, że nie zgubili kierunku. A cóż innego pozostawało im, jak zaufać sternikowi, choć oblicze

jego zapadło się, a oczy miał czerwone, bowiem nie spał niemal od chwili, gdy zanurzyli się w milczące morze mgły. A gdy tylko kładł się zmorzony nieustannym czuwaniem, wkrótce niespokojne myśli, kołaczące się w głowie nawet podczas snu, budziły go i zrywał się, powracając na tył okrętu. Zwykle w takich razach, biorąc za wiosła sterowe powiązane z sobą liną, naprowadzał dziób okrętu nieco w lewo lub w prawo, jak gdyby wiedział, że zboczył on podczas jego snu, gdy inny czuwał nad kierunkiem żeglugi.

Zdumiewało ich to początkowo, wkrótce jednak zobojętnieli niemal na wszystko, zaprzestawszy wierzyć w ducha, aby podróż ta skończyła się kiedykolwiek. Płynęli więc, odpędzając od siebie straszliwe przypuszczenia o nieskończonym morzu bez kresu lub o krawędzi wód, która wessie ich jak wir ogromny i rzuci w bezdenną otchłań. Niektórym śniły się potwory i bogowie, a wówczas krzyczeli przez sen i płakali budząc innych.

A okręt płynął równo, po łagodnej fali, otoczony białym mrokiem, jaśniejącym, gdy słońce wznosiło się, i głębszym, gdy opadało za niewidzialny widnokrąg. Lecz nie dostrzegli słońca ani razu, choćby na krótką chwilę, od owego czasu, gdy ujrzeli głowę Boga wędrującą widnokregiem.

Białowłosy stanął nad wiosłującym towarzyszem i lekko dotknął jego ramienia, a później wyciągnął dłonie i ujął wiosło, aby nie wysunęło się z szeregu. Zmienili się cicho i szybko.

Tamten zniknął odchodząc ku tyłowi okrętu, a Białowłosy napał lekko na wiosło wsłuchany w zaśpiew żeglarza stojącego pod masztem:

- Płyn przez fa-le...

Nagle we mgle zabrzmiał okrzyk, powtórzony przez siedzących.

- Unieść wiosła! Unieść wiosła!

Odruchowo napał na wiosło z góry, wyczuwając, że wynurza się ono z wody. Ujrzał Terteusa wyłaniającego się z oparu i podążającego szybko ku tyłowi okrętu.

Angelos zwolnił i zatrzymał się.

Padły szybkie rozkazy i smukły kadłub zawrócił małym łukiem. Terteus i Eriklewes biegli teraz ku dziobowi.

- Czyżby ktoś wpadł do morza? - zapytał Harmostajos wiosłując z wolna, tak jak chciał tego głos zaśpiewu, który nakazywał im leniwie muskać wodę.

- Nie! - odparł Białowłosy. - Bowiem nawoływaliby inaczej! A teraz wzywajliby go głosem, aby mógł się odnaleźć pośród mgły.

Głos nawołującego ucichł, unieśli więc wiosła i okręt posuwał się teraz już tylko siłą rozpędu, zwalniając ciągle.

- Jeśli ktoś z was ujrzy w morzu płynącą gałąź, niechaj zawoła wielkim głosem, abyśmy ją wyłowili! - krzyknął spod masztu Terteus.

Białowłosy cofnął wiosło i na pół uniósł się z ławy, wpatrując w mały skrawek jasnego, oleistego nurtu widoczny tuż przy burcie. To samo uczynił Harmostajos i inni.

Drobne fale ocierały się cicho o ciemne deski kadłuba i szeleszcząc odchodziły w półmrok. Woda była pusta, niezmacona...

- Być może minęliśmy ją? - usłyszeli głos Eriklewesa.

- Dostrzegłem ją w chwili, gdy okręt ją wyminął, lecz musi znajdować się w pobliżu...

- Jeśli... - odparł Terteus.

Lecz Białowłosy nie usłyszał reszty jego słów. Bo oto dostrzegł nagle na wodzie kołyszącą się, zieloną gałąź, okrytą liśćmi.

- Jest! - krzyknął Harmostajos. - Tam jest! - I wyciągnął ramię.

Białowłosy był już przy burcie, odbił się mocno i skoczył pomiędzy uniesionymi wiosłami.

Dotknąwszy powierzchni, mocnym zamachem skierował się w lewo, gdzie pośród ciągnącego się nad wodą oparu zniknęła gałąź. Jeszcze dwa ruchy ramion. Ujrzał ją przed sobą i pochwycił.

Woda była zimna, zimniejsza nawet nieco niżli morze w pobliżu owych czarnych gór północnych. Nie myślał jednak o tym. Spojrzał w górę. Ostatnie wiosła zniknęły mu we mgle i dostrzegał jeszcze przez chwilę wolno oddalający się czarny, wysoki okręt. I oto nagle został sam pośród mgły.

Lecz nadal słyszał ich okrzyki i odpowiedział tak głośno, jak mógł, płynąc w ich kierunku.

Po chwili znów dostrzegł Angelosa, który wynurzył się, najpierw jako mglisty zarys, a później wyrósł tuż przed nim.

- Tu jestem! Mam ową gałąź, którą pragnąłeś ujrzeć, Terteusie! - zawołał.

Zbliżył się jeszcze bardziej i oto stojący na tyle dostrzegli go.

Chwycił za jedno z wiosel sterowych, a gdy rzucili mu sznur, owiazał się jego końcem, nadal trzymając gałąź. Wciągany z wolna, wbijając bosc stopy w deski okrętu i odchyliwszy się jak najbardziej do tyłu, wznosił się ponad wodę, widząc wyciągnięte ku sobie ramiona, które pochwyciły go i postawiły na pokładzie. Stał przez chwilę szcękając zębami w rosnącej kałuży wody u stóp, a dostrzegłszy przed sobą boskiego Widwojosa, podał mu gałąź. Książę trzymając ją zwrócił się do Eriklewesa.

Sternik dotknął gałęzi palcami. Liście były młode i niektóre rozwijały się dopiero, choć inne były tak wielkie jak bywają pośrodku lata. Znali je wszyscy dobrze. Była to gałąź dębu.

- Cóż sądzisz, Eriklewesie? - zapytał książę, a ludzie stłoczeni wokół zamilkli wstrzymując oddech.

- Sądzę, boski potomku bogów, że gałąź ta... - Eriklewes urwał i oderwawszy liść, uniósł go ku wargom, dotknął końcem języka, a później z wolna zmiął w dłoni i otwarczając ją, rozprostował go palcami drugiej ręki - jeszcze dzisiejszego ranka rosła na drzewie macierzystym... I niechaj bogom będą za to dzięki, bo choć nie dostrzegacie tego, płyniemy walcząc z wielce łagodnym powolnym prądem, który zapewne uniósł ją od wybrzeży krainy, gdzie rosła!

- Wierzysz więc, dzielny sterniku, że ląd jest w pobliżu?

- Wiem o tym, panie! Bowiem gałęzie dębu nie rosną na falach! - I dodał z namysłem, przyglądając się gałęzi: - Wiem także, że nie wichur lub wezbrane wody wyniosły ją na morze. Spójrz, boski książę, jak równo ją ucięto. Uczyniono to nożem. Bo gdyby ścięto ją mieczem, odcięta zostałaby gładko, a oto widzisz nacięcie na korze, gdzie nóż obsunął się, i drugie, uczynione zaraz potem, które ją odcięło.

- To prawda - rzekł Widwojos. - Wiemy więc też, że ów ląd jest zamieszczany.

Gdy powrócili do wiosel, wydano rozkaz, by osłonili burty wielkimi tarczami i mieli broń na długość ramienia przed sobą.

Terteus zakazał też rozmów. Wiosłowali więc w ciszy, bez zaśpiewu, jak rozbójnicy morscy zbliżający się nocą do uspięnego grodu nadbrzeżnego.

A gdy płynęli już tak długo, że wiosłarze ponownie zmienili się na ławach, poczał padać cichy deszcz, początkowo drobny, a później coraz gęstszy i mgła jak gdyby poczęła rzednąć, lecz zrobiło się mroczniej, gdyż nadciągnęły niskie ciemne chmury, a wraz z nimi chłód przejmujący.

I oto w pewnej chwili strzępy mgły przed dziobem rozwiały się i w nikłym świetle gasnącego dnia, pod nisko ciągnącymi, skłębionymi obłokami, stojący na dziobie ujrzeli ciemniejszą jeszcze

linię rozciągającą się jak okiem sięgnąć po granice widnokręgu. A wówczas deszcz ustał i obłoki otwały się na chwilę, ukazując czyste oko niebios nad owym lądem. Lecz nie było ono błękitne, a rozświetlone purpurowym blaskiem zachodzącego słońca!

Widząc to powstali wszyscy i wydali radosny okrzyk.

Nie omylił się bowiem roztropny Eriklewes i oto przed nimi był ląd na zachodzie, ku któremu żeglowali przez tyle dni!

Brzegi owej krainy były wysokie i skaliste, a skały te miały niemal białą barwę, jak niektóre wyspy na północ od Krety. Za nimi ciągnęła się równina porośnięta gęstym lasem, gdyż widzieli wszędzie drzewa na skałach, a będąc na morzu nie dostrzegli wysokich wzgórz w głębi lądu, lecz jedynie pasmo łagodnych wzniesień. Żeglowali więc wzdłuż wybrzeża kierując się ku południowi i tak zastała ich na morzu noc krótka, lecz wreszcie prawdziwa. Wzniesli więc oczy ku ciemnemu niebu, wpatrując się z podziwem w gwiazdy, jasno lśniące po deszczu. Dał porywisty, chłodny wiatr, a nikt nie usnął tej nocy, lecz ci, którzy nie wiosłowali, stali przy burtach, gdyż z dala widzieli nieustannie ciemną linię upragnionych brzegów.

A gdy nadszedł pierwszy blask przedświt, zbliżyli się ku lądowi i wkrótce napotkali miejsce, gdzie skały obniżały się ku opadającej w morze niskiej przełęczy, która wydała im się ujściem rzeki.

Lecz gdy zbliżyli się jeszcze bardziej, dostrzegli ku swemu zdumieniu, że morze powoli wlewa się do owego ujścia. A że było ono szerokie, zwrócili ku niemu dziób Angelosa i weszli w głąb lądu niesieni leniwym, wezbranym nurtem.

Żeglowali tak do południa, mając po obu burtach gęsty las. Krzewy rosnące na jego skrajach zdawały się zalane wpływającymi od morza wodami. Wkrótce ów ruch nurtu ustał, a gdy zapragnęli przybić do leżącej wśród lasów rozległej łąki nadbrzeżnej, dostrzegli z trwogą, że rzeka poczyna płynąć na powrót ku morzu, a zwierciadło jej opada. Wreszcie, gdy zdało im się, że rzeka dąży ku morzu zwykłym sposobem jak wszelkie inne rzeki, które znali, przybili do brzegu.

Zeskakując każdy z nich dotykał otwartą dłońią ziemi, by pozdrowić bogów ukrytych w jej głębi. Bowiem niejeden z nich zwątpił podczas ostatnich dni, że stopa jego kiedykolwiek zazna słodczy dotknięcia trawy zielonej.

A byli tak znużeni, że Terteus z trudem wybrał niewielu, którzy mogli jeszcze udźwignąć oręż, by czuwali nad snem innych.

Wydawało mu się jednak, że wśród tych nieprzebytych lasów byli bezpieczni, jeśli nieznanego wróg nie pojawi się nadciągając wodą. Lecz jeśli Posejdon nadal otacza ich opieką, niechaj odwróci to niebezpieczeństwo, gdyż żadnemu wrogowi nie mogliby dziś stawić czoła w boju, a niejedno ramię nie uniosłoby nawet ciężkiego spiżowego miecza.

Tak więc nie jedząc i nie rozpalając ognia runęli na ziemię i usnęli. A gdy zbudzili się, znów była noc, lecz siły ich powróciły i poczuli głód, a wraz z nim nowa radość wstąpiła w ich serca. Niektórzy więc udali się przed świtem na łowy, a inni zasiedli wokół ogniska susząc przemoczoną odzież i czyszcząc piaskiem miecze i groty strzał pokryte lekką rdzą.

Terteus przechadzał się pomiędzy nimi wraz z księciem i uśmiechał, gdy w ucho wpadały mu nucone cicho przy ogniu pieśni, których od tak dawna nie słyszał. Lecz mając oko i umysł wodza poznał, że załogi tej nie powiedzie dziś ani jutro ku domowi, lecz musi dać jej zaznać wypoczynku, aby odzyskała siły po nieustannej, trwającej dni czternaście, jak obliczył, podróży o zwiniętym żaglu, podczas której ludzie zmieniali się przy wiosłach zaznając jedynie krótkiego wytchnienia.

Księżę zgodził się z nim i postanowili, że nie będą szukać miejsca innego niżli to, na którym się

znajdują, gdyż zapewne dość tu było zwierzyny, wody słodkiej w rzece i okolicznych źródłach, a także suchych gałęzi do podsycania ognia. A jeśli wróg jakiś wypatrzy ich i zechce uderzyć, wówczas broniąc się wsiądą na okręt i odpłyną kierując się znów ku morzu.

A gdy postanowili, że zostaną tu, Terteus umyślił wysłać kilka par ludzi, aby rozszedłszy się od obozowiska w różnych kierunkach, jak to czynią promienie słońca, zbadali, czy okolica ta jest jedynie bezludną puszczą, czy też mieszkają tu ludzie. Pamiętał o owej znalezionej w morzu gałęzi. Lecz od chwili gdy Białowłosy wydobył ją z wody płynęli jeszcze długo, a być może prąd przyniósł ją z jeszcze dalszych stron.

Uczył tak jak postanowił, a gdy Białowłosy powrócił wraz z Harmostajosem z łowów, wlokąc zabita sarnę, której szyi dosięgły ich strzały, odwołał ich wraz z paru innymi nad wodę i tam wyjaśnił, że pragnie, aby wyruszyli. Szybko też podzielił ich na pary, a że Perilawos także stał wraz z nimi, kazał mu iść wraz z Białowłosym, mówiąc, że Harmostajos wyruszy z nimi, bowiem byli najmłodszy i najmniej doświadczony z całej załogi.

- Choć równie dzielni! - dodał śmiejąc się na widok ich posępnych spojrzeń.

Tak więc gdy po jego ostatnich słowach Harmostajos wdrapał się na najwyższe drzewo i zawołał z góry, że widzi w oddaleniu łagodną wyżynę na zachodzie wznoszącą się łańcuchem niskich wzgórz, Terteus tam właśnie wysłał ich wszystkich nakazując, by rozproszyli się szeroko dla zbadania całej okolicy i pamiętali, że zabłądziwszy w puszczy powracać mają ku rzece, bowiem idąc jej brzegiem odnajdą obozowisko.

Ruszyli szybko i w milczeniu, torując sobie drogę przez gęste leśne poszycie i bacząc, by mieć po lewej ręce słońce stojące już niemal u wierzchołka swej dziennej drogi.

Po długim marszu weszli wreszcie na polanę wśród puszczy i dostrzegli ów łańcuch wzgórz tak blisko, że wyraźnie widać było pojedyncze porastające je drzewa.

Lecz najbliższe wzgórze, będące rozległym, pokrytym trawą łagodnym wzniesieniem, stało nagie, a jedynie na jego szerokim płaskim wierzchołku dostrzegli coś, co kazało im cofnąć się ku drzewom i ukryć w cieniu.

Choć odległość była jeszcze znaczna, ujrzeni wyraźnie krąg olbrzymich ociosanych jak kolumny głazów, nakrytych innymi długimi kamiennymi belkami, tak że stykały się one z sobą. Kręgów tych było dwa lub trzy, a na krańcach wzgórza dostrzegli jeszcze pojedyncze strzeliste głązy stojące jak samotne wieże.

- Cóż to jest? - szepnął Perilawos. - Przypomina świątynię, lecz nie ma dachu ni miasta naokół, którego bóg zamieszkiwałby w niej! Nawet stąd dostrzegliśmy zapewne ludzi, gdyby krążyli wokół niej!

- To prawda... - Harmostajos skinął głową. Nie uśmiechał się teraz, jak to miał w zwyczaju. - Lecz pomyśl, Perilawosie, że lud, który wznosił tę budowlę, musi być liczny i potężny, gdyż dzikie barbarzyńskie plemię nie miałoby sił ni rozumu, by przyciągnąć tu te głązy i wydźwignawszy ustawić je tak przemyślnie. Jeśli każdy z owych słupów wyciosany jest z jednego kawałka skały, a sądzę, że jest tak, wiele setek ludzi trzeba było, aby przynieść go tu, nie mówiąc o tym, że unieśli oni niektóre z nich wysoko i złożyli na innych! - Zamilkł.

- Czy zawrócimy, by donieść twemu boskiemu ojcu i Terteusowi o tym, co ujrzelśmy tutaj? - zapytał Białowłosy spoglądając jednak, gdy mówił, nie na młodego księcia, lecz na Harmostajosa, który odparł:

- Trzeba tak uczynić, lecz może spróbujemy zbliżyć się nieco do owej budowli, a może nawet

obejść wzgórze, by przekonać się, czy lud ów nie ma swych siedzib po drugiej stronie grzbietu, choć nie sędzę, aby było tu tak cicho, a las nie nosił żadnych śladów człowieka, gdyby w pobliżu znajdowało się miasto.

- Słusznie rzekłeś! - Perilawos skinął głową. - Być może lud, który spiętrzył te głazy, dawno już zginął, a pozostały one na świadectwo dziejów, których nigdy nie poznamy. Lecz ruszajmy już, abyśmy się przekonali.

I ścisnąwszy oszczep w dłoni, chciał ruszyć przez polanę wprost ku owej wyniosłości, od której dzielił ich jeszcze las ciągnący się aż do jej podnóża. Lecz Harmostajos wstrzymał go ruchem ręki.

- Jeśli nie dostrzegamy tam ludzi, nie znaczy to wcale, że nie możemy ich tam napotkać. A źle byłoby, gdybyśmy ściągnęli na siebie ich uwagę, gdyż zaniepokojeni mogą przeszukiwać okolicę i wówczas natrafią na Angelosa. Nie wiemy, czy byłby to lud przyjazny cudzoziemcom, czy też nienawidzący każdego obcego jak wiele plemion, które napotkaliśmy. A nie zapominajmy, że w pobliżu na lewo od nas idą Anomedes z Deukionem, a po prawej Metalawos z Kalaurosem. Oni także ujrzą zapewne ową budowlę wynurzywszy się z lasu, lecz wiedząc, że znajdziemy się bliżej, nie skierują się ku niej, pozostawiając jej wybadanie nam. Tak więc baczmy, abyśmy widzieli nie będąc widzianymi i dotarli na szczyt sąsiednich wzgórz, gdzie rosną krzewy i drzewa, choć nie tak gęsto jak tu. Stamtąd rozejrzemy się, a jeśli okolica owa okaże się pustkowiem, wówczas przedziwna budowla kamienna przestanie nas trwożyć i zajmować. Bowiem nie nasi przodkowie ją wznieśli i nie na cześć naszych bogów!

Po krótkiej naradzie postanowili, że nie będą dalej szli razem, lecz rozejdą się, idąc jeden o kilkaset kroków od drugiego i bacząc odtąd pilnie, czy ziemia nie nosi śladów niedawnej bytności człowieka. Harmostajos nalegał, by dwaj z nich obeszlą wzgórze szerokim kręgiem z dwu stron, wdrapując się na oba sąsiadujące z nim wzniesienia, aby ujrzeć, co kryje się za nimi. Trzeci miał czekać w miejscu, gdzie stali teraz, aż powrócą. A jeśliby nie powrócili, gdy słońce pocznie się chylić ku zachodowi, winien ruszyć najspieszniej ku obozowisku, by opowiedzieć o budowli owej i niepewnym losie swych towarzyszy.

Rzucili losy, biorąc do ręki małe różnobarwne kamyki, z których najmniejszy miał pozostać. Harmostajos odwrócił się, ukrył dwa w dłoniach, a jeden w ustach. Perilawos, który wskazał lewą dłoń, wyciągnął najmniejszy kamyk i cofnąwszy się za rozłożysty pień, skinął im głową na pożegnanie.

Ruszyli trzymając się drzew i okrążając polanę, a później zagłębili w las.

Początkowo szli razem, stąpając cicho po gęstym mchu i bacząc, by nie nadepnąć na suchą gałąź. Oczy ich starały się przebić gąszcz leśny, który z wolna począł rzednąć. Po pewnym czasie dostrzegli przed sobą przesłonięte niemal pniami drzew i zaroślami łagodne, oświetlone słońcem zbocze, gęsto porośnięte wrzosem i krzakami jałowca.

Idąc powoli od pnia do pnia i zatrzymując się co pewien czas, zbliżyli się do skraju lasu.

Zbocze wraz z owym budzącym zdumienie kamiennym kręgiem było przed nimi. Głazy wydawały się stąd większe nawet niż wówczas, gdy spoglądali na nie z dala. Gdyby trzech ludzi stanęło jeden na ramionach drugiego, ów ostatni zaledwie sięgałby ku leżącym poprzecznie, pięknie ociosanym odłamom skalnym, równie wielkim jak owe, na których spoczywały, a tak ciężkim zapewne, że siły wielu ludzi i niezwykłej przemyślności trzeba było, aby dźwignąć je i położyć tam, gdzie leżały.

Białowłosemu przyszły na myśl opowieści o olbrzymach północnych, o których nasłuchiwał się w Knossos przed wypłynięciem wyprawy. Zadrżał. Lecz później wspomniał na kamienne świątynie i

posągi Egiptu, które były przecież nieporównanie większe, a wzniesli je zwykli ludzie.

Stali przez długą chwilę wpatrując się w płaszczyznę na wierzchołku wzgórza, a później Harmostajos dotknął lekko palcami ramienia przyjaciela i wskazał oczyma las w prawo, równocześnie dając mu znak, by ruszył w lewo.

Uśmiechnął się i pochylony, ściskając oszczep w dłoni, zniknął pomiędzy drzewami idąc cicho jak cień.

Białowłosy odprowadzał go wzrokiem, póki smukła skradająca się postać nie rozplynęła się w mroku rzucanym przez gęste korony drzew. Później, cofnąwszy się nieco w głąb lasu, ruszył w przeciwnym kierunku, nadal widząc z dala zbocze, które począł okrążyć, starając się dotrzeć do łagodnego skłonu łączącego je z drugim wzgórzem o zboczach porośniętych lasem dającym osłonę przed oczyma mieszkańców tej ziemi, gdy któryś z nich zabłąkał się tutaj.

Z wolna grunt począł podnosić się i w pewnej chwili Białowłosy ujrzał, że przez las biegnie długie odkryte pasmo traw niknące na wyniosłości. W przeciwnym kierunku ciągnęło się ono ku wzgórzom, gdzie stała kamienna budowla.

Zbliżył się i nagle stanął wstrzymując oddech, zupełnie nieruchomy, mimowolnie opuściwszy dłoń na rękojeść miecza i przełożywszy wolno oszczep do lewej ręki.

Środkiem owej pokrytej trawą przecinki leśnej biegła wyraźna ścieżka ze śladami stóp ludzkich.

Białowłosy stał skryty za drzewem, wpatrując się w ścieżkę i nie wiedząc, co ma czynić.

Widział wyraźnie, że nie minęło wiele czasu, odkąd przeszli tędy ludzie. Sądząc ze śladów, było ich wielu. Ziemia, jeszcze wilgotna po wczorajszym deszczu, oddawała wyraźnie odciski nagich stóp.

Gdzieś w pobliżu przebywali mieszkańcy tej krainy. Winien był teraz zawrócić i podążyć wraz z przyjaciółmi do księcia, aby oznajmić mu o tym. Lecz może lepiej byłoby przekonać się, dokąd owa ścieżka zmierza? Gdyby udało mu się niepostrzeżenie zbliżyć do siedzib tych ludzi lub obozowiska, Kreteńczycy dowiedzieliby się, czy jest to wielkie miasto, czy też mała osada o niewielu mieszkańcach, nie mogących zagrozić załodze Angelosa w otwartym boju. Im więcej książę i Terteus będą wiedzieli, tym lepiej.

Pomyślałszy tak, położył się w trawie i wysunął nieco na pozbawiony osłony pas ziemi. Nie unosząc głowy doczołgał się do ścieżki, przekroczył ją i doczołgał się do przeciwległej krawędzi lasu, gdzie powstał i ruszył wprost pod górę. Pragnął znaleźć się na szczycie i rozejrzeć się stamtąd, mając u stóp całą okolicę.

Las był tu gęsty, a grunt podnosił się wolno, gdyż zbocze było łagodne. Wreszcie wznoszenie się ustało. Był zapewne na wierzchołku wzgórza, lecz splątane gałęzie młodych drzew i zwarte posycie nie zezwalały wzrokowi przedrzeć się dalej nim na kilka kroków. Postanowił więc wejść na drzewo. Widząc potężny wiąz, którego zwisające konary niemal sięgały ziemi, położył oszczep i miecz u jego stóp, a później dorzucił do nich łuk i kołczan, aby nie przeszkadzały mu we wspinaniu się.

Wchodził szybko i po chwili nie widział już ziemi, odgradzony od niej szumiącym morzem liści w dole. Wspinał się dalej i wkrótce ujrzał rozległą pofalowaną równinę lasów ciągnących się ku północy, a na prawo drugą błękitną równinę zajmującą cały wschodni widnokrąg i rozlewającą się na południe, gdzie wrzynał się w nią długi półwysep lądu. Zwrócił oczy ku wschodowi na leżący w pobliżu sąsiedni szczyt najbliższego wzgórza.

Kamienna budowla wydała mu się tak bliska, że wystarczyłoby niemal sięgnąć ręką, by jej dotknąć.

Lecz widok, który dostrzegł za nią, sprawił, że wspiął się jeszcze wyżej. Utrzymując się z trudem na wierzchołku drzewa, który kołysał się pod jego ciężarem, spojrział na szeroką, prostą, jasną drogę biegnącą ku wzgórz.

Niknęła ona zasłonięta zboczem i zapewne kończyła się u stóp kamiennych kolumn. Na drugim jej krańcu - zaledwie widoczne w oddaleniu - ujrzał długie szeregi szarych domów o spadzistych dachach zbiegające się kolistnie ku okrągłej powierzchni, która była zapewne placem zebrania osady. Więcej nie dostrzegł, gdyż odległość była zbyt wielka, aby prócz zarysu dachów mógł dojrzeć pojedynczych ludzi, gdyby się tam znajdowali. Lecz osada ta była tak rozległa, że w myśli nazwał ją miastem. Ciągnęła się na dużej przestrzeni i sięgała niemal ku morzu, gdzie dostrzegał, jak mu się wydawało, kształt okrętu, maleńkiego z tej odległości jak mrówka. A więc było tu duże miasto i port. Gdyby Angelos płynął wczoraj dalej nie wchodząc do ujścia rzeki, wkrótce dotarłby do południowego krańca półwyspu, a posuwając się na zachód wzdłuż linii wybrzeża, musiałby ujrzeć ową przystań i miasto, którego mieszkańcy nie zapuszczali się zapewne nad bagniste brzegi rzeki, od której dzielił ich niemal dzień drogi przez gęstą puszcę. Jeśli kraina owa była wyspą, musiała to być wielka wyspa, gdyż spoglądając na zachód i ku północy nie dostrzegał nigdzie owej niskiej błękitnej pustki świadczącej o obecności odległego morza. Przeciwnie, wydało mu się, że widzi w słońcu dalekie pasma wyższych wzgórz na zachodzie uciekających daleko w głąb.

Patrzył jeszcze przez chwilę, aby dokładnie zapamiętać ów widok i zmierzyć okiem odległość, a później zaczął zsuwać się w dół. Schodził szybko i znalazłszy się na przedostatnim konarze, skoczył z wysoka i odbiwszy od ziemi wyprostował szczęśliwy, że tak wiele ujrzał.

Odwrócił się w stronę pnia, by podnieść pozostawiony pod nim oręż. Podszedł i rozejrzał się. Był pewien, że tu go pozostawił. Gdzież były miecz, łuk i oszczep?

Szybko obszedł pień, lecz nic nie leżało w trawie.

I wówczas nagły lęk chwycił go za serce.

Uniósł oczy.

Cicho, jak gdyby nie byli żywymi istotami, wysunęli się spoza krzaków i otoczyli go z wszystkich stron przypatrując mu się nieruchomymi oczyma. Włosy ich były ciemne jak włosy Kreteńczyków, a skóra jasna. Odziani byli wszyscy w krótkie, sięgające kolan proste, płócienne szaty, a w rękę trzymali długie siekiery bojowe o lśniących ostrzach z polerowanego brązu. Lecz najstraszliwsze były ich oblicza, pokryte na policzkach i na czole dwoma cienkimi pasmami czerwonej i błękitnej farby, nadającymi im wygląd dziki i surowy.

Stali nie poruszając się z siekierami na pół wzniesionymi i gotowymi do zadania ciosu. Białowłose dostrzegł, że jeden z nich ma siekiere zatknietą za skórzaną, otaczającą szatę pas, a w rękę trzyma jego oszczep.

Było ich kilkunastu i stali ciasnym kręgiem nie spuszczać z niego oka. Wiedział, że nie zdąży uciec. Nie przedarłby się pomiędzy nimi, cios siekiery zatrzymałby go na zawsze.

- Nie jestem waszym wrogiem... - rzekł głośno, unosząc otwarte dłonie na znak, że nie kryje nieprzyjaznych uczuć.

Nie odpowiedzieli i zbliżyli się o krok, zacieśniając pierścień. Białowłose opuścił ręce. Wiedział, że za chwilę zginie, i pomyślał z rozpaczą, że załoga Angelosa nie dowie się o groźnym niebezpieczeństwie. Bowiem ludzie ci zapewne pochodzili z owej osady, a postać ich świadczyła o dzikości i nienawiści do obcych.

Czekał. Zbliżyli się jeszcze o krok w milczeniu.

I nagle wszyscy skoczyli ku niemu.

Zakrył twarz rękoma oczekując ciosu, który rozpląta mu głowę. Lecz uderzenie nie nadeszło.

Przewrócono go na ziemię i skrępowano mu ręce.

Później trzymające go dłonie zwolniły uścisk. Odstąpili. Poczłwał gwałtowne szarpnięcie sznura, które niemal wyrwało mu dłonie ze stawów i poderwało na nogi. Nikt nie uderzył go już i nikt nie przemówił.

Jeden z ludzi, najwyższy, o siwiejących włosach, wskazał trzymaną w ręce siekierą kierunek i otoczywszy jeńca ze wszystkich stron, poczęli szybko schodzić ze wzgórza.

Po krótkim czasie znaleźli się na przełęczy i idąc otwartym zboczem po wrzosowisku poczęli wspinać się ku kamiennej budowli.

Gdy znaleźli się przed nią, Białowłosy dostrzegł, że cała przestrzeń otoczona jest głębokim rowem, nad którym ruszyli obchodząc szczyt, aż doszli do miejsca, gdzie kamienny okrąg łączył się z nadbiegającą od strony dalekiego miasta drogą. Stały tam dwa samotne wysokie głązy tworząc jak gdyby bramę. Dostrzegł, że nie przekopano tu rowu, zapewne dlatego, by mieszkańcy miasta mogli swobodnie wchodzić do koliska.

Przed owymi wejściowymi głazami stała grupka wojowników odzianych podobnie jak ci, którzy go schwycili, prócz jednego, z którego ramion spływała długa, czerwona szata, sięgając ziemi. Różnił się on od innych, a stopy jego były obute prostymi skórzanymi sandałami.

Siwy człowiek, prowadzący Białowłosego, podszedł do niego i pochylił nisko dotykając ziemi ostrzem siekiery. Ów w czerwonej szacie spojrział nad jego głową na jeńca.

Później przemówił.

Głos miał cichy i spokojny, lecz Białowłosy nic pojął ani jednego z wypowiedzianych przez niego słów, gdyż mowa jego nie przypominała żadnej z tych, które kiedykolwiek słyszał.

Siwiejący człowiek odpowiedział wskazując las i szczyt sąsiedniego wzgórza, zapewne wyjaśniając teraz, gdzie go schwytali.

A wzrok Białowłosego poszybował ku skrajowi lasu u stóp wzgórza. Perilawos z tej odległości zapewne nie mógł dostrzec ni jego, ni otaczających go wojowników. Lecz Harmostajos? Gdzie był? Musiał znajdować się w pobliżu, gdzieś tam, w lewo... Jeśli i jego nie schwytali...

Człowiek w czerwonej szacie skinął głową, a później zbliżył ku niemu i wyciągnawszy rękę dotknął, jak gdyby z podziwem, jego jasnych włosów... Zapewne nie widział jeszcze młodzieńca, na którego ramiona spadałyby fale białego niemal złota...

Później człowiek ów powiedział coś i wojownik niosący oręż pojmanego zbliżył się i podał mu miecz i łuk.

Tamten przypatrywał im się uważnie przez długą chwilę, a później spojrzawszy na Białowłosego wypowiedział kilka słów, najwyraźniej zwracając się ku niemu.

- Nie pojmuje cię, panie... - odparł jeniec starając się, aby tamten zrozumiał. Mając skrępowane ręce potrzęsnał przecząco głową.

Najwyraźniej człowiek w czerwonej szacie pojął ów ruch, gdyż zwrócił się znów ku siwiejącemu wojownikowi i wskazał dłonią drogę.

Białowłosy poczuł gwałtowne szarpnięcie. Otoczony strażą począł schodzić ku widniejącemu w oddali miastu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jakże więc się tu znalazł?

Czcigodny Assebal nigdy nie żeglował po morzu leżącym pośrodku świata, choć wiedział dobrze o jego istnieniu i znał imię miasta, z którego wywodził się jego ród:

Gubał o wysokich murach. Lecz urodziwszy się w warownej osadzie portowej za słupami Wielkiej Bramy łączącej owo morze z oceanem, spędził cały swój dotychczasowy młody żywot żeglując początkowo z ojcem - a po jego śmierci jako właściciel okrętu - ku Wyspom Cynowym i na powrót. Okręt ich niósł tam broń, sukno i wino oraz ozdoby i paciorki, a powracał wioząc na pół wytopione bryły cyny, które później lądem lub okrętami kierowano na południe. A był to najcenniejszy z ładunków, gdyż bez cyny nie byłoby brązu, spiżowych mieczy, grotów, oszczepów, strzał i owych niezliczonych przedmiotów, które świat nauczył się wykuwać. Jedyne okręty jego rodu i dwu innych zaprzyjaźnionych i panujących wspólnie w rodzinnym porcie przybijały do Cynowej Przystani na wielkiej północnej wyspie, gdyż miejsce, z którego brano kruszec, było jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic synów Aszery Pani Mórz, a nikt, kto nie żeglował tam, nie znał jej.

Któż zresztą, nie narodziwszy się w owej małej najdalej wysuniętej na zachód i północ przystani fenickiej, mógł ją poznać? By uczynić to, człowiek ów musiałby przepłynąć świat cały na swym okręcie, nie znając drogi ani tego, który by mu ją wskazał. Musiałby przebyć niezmierną drogę przez otwartą pustynię oceanu zachodniego, a później skierować się przez mgliste i niedostępne przez większą część roku burzliwe morze i cieśniny ku przystani Ludu Cynowego. Lud ów sprowadzał rudę z głębi swego chmurnego lądu i nienawidził obcych, czyniąc wyjątek jedynie dla kupców fenickich z owych trzech rodów. Mieli oni tu swe domy i składy na wybrzeżu, które stały puste podczas długich zimowych miesięcy, gdy olbrzymia fala i lodowate wichry odcinały Wyspę Cynową od świata. Lecz teraz nadszedł czas żeglugi i oto Assebal stał przed składem, gdzie ludzie o twarzach pokrytych wstęgami farby składali na stosy płasko skute młotami bryły cyny.

- Jutro nie załadujemy okrętu, gdyż lud ów cały uda się o świcie na wzgórze, by święcić wschód najdłuższego dnia! Lecz gdy dzień święta minie, pragnąłbym następnego ranka podnieść żagiel. Jeśli nie uczynimy tego, wiatr może zmienić się wkrótce, jak zwykle o tej porze roku, i podróż nasza mogłaby się nadmiernie przeciągnąć. A wówczas, mój wierny Sekkaharze, niechaj Baal ulituje się nad nami! Znaczyłoby to, że powrócimy tu zaledwie raz jeszcze przed nastaniem zimy, co ciężkie przyniosłoby nam straty!

- Wiem, panie mój! Lecz niebo rozjaśniło się dziś i sędzę, że ruszymy z pomyślnym wiatrem, a będzie on towarzyszył nam do samego domu twojego!

- Oby słowa te usłyszała Aszera! Bo jeśli...

Lecz nie dokończył. Piaszczystym traktem od strony miasta nadbiegł wysoki, potrząsający

toporem wojownik i zatrzymawszy się przed nim, zawołał:

- Czy jesteś obcym kupcem, Assebalem?

- Rzekłeś! - Assebal skinął głową. Rozumiał dobrze mowę owego ludu, przebywając tu co roku od dzieciństwa. - Jestem nim! Czegóż chcesz ode mnie?

- Ja nie chcę od ciebie niczego, lecz pan mój wzywa cię, byś przybył do niego... - Zawahał się, jak gdyby szukając słów, które nie byłyby zbyt uprzejme wobec cudzoziemca. - Pragnie on mówić o pewnym schwytanym człowieku, więc spiesz się nie zwlekając.

Assebal zmarszczył brwi.

- O schwytanym człowieku?... - powtórzył. I dodał: - Biegnij przede mną i donieś twemu wspaniałemu królowi, że nadejdę niebawem!

- Uczynię tak! Lecz nie zwlekaj, aby pan mój nie znecierpliwił się i gniew jego nie starł cię z czoła ziemi!

Były to zwykłe słowa, jakimi wysłannicy króla zwracali się do kupców dla okazania im, że są jedynie nędznymi cudzoziemcami. Lecz Assebal nie dbał o nie. Odkąd sięgała pamięć ludzka, nigdy żadnego z kupców fenickich nie spotkało na tej ziemi nieszczęście i nie uderzył w nich gniew królewski, bowiem gdyby nie oni, lud ów nie umiejący budować wielkich i sprawnych okrętów, mogących żeglować po wzburzonym morzu, a zagubiony na dalekiej północnej wyspie okolonej niespokojnymi wodami, na których deszcze i mgły nawet latem były rzeczą powszednią, zdany byłby na swe dawne siekiery i młoty, a władcy jego powróciliby do dawnego barbarzyństwa, gdyż choć mieli cynę, bez której nikt dotąd nie wytopił złocistego brązu, jednak nie wiedzieli, jak w piecach i sztuką kowalską doprowadzić do właściwego zmieszania rud i wykucia z nich lśniących ostrzy, narzędzi i ozdób. Sama cyna była zbyt krucha i słaba, by można z niej uformować coś, prócz słabych naczyń i łamliwych koleczyków.

Tak więc od stuleci już niemal przystań owa służyła kupcom fenickim, a że nie pragnęli oni zdobywać cyny mieczem, lecz płacili za nią godziwie, zezwolono im prowadzić handel. Żaden z nich jednak nigdy nie wyruszył w głąb tej krainy, gdyż nie wolno im było oddalać się od wybrzeża i miasta, aby nie widzieli zbyt wiele.

Wydawszy rozkaz wiernemu Sekkaharowi, by zważone bryły już dziś załadować na dno okrętu, co oszczędzi załodze pracy w dniu odpłynięcia, Assebal ruszył szybkim, lecz nie nadmiernie pospiesznym krokiem drogą prowadzącą z przystani ku miastu.

Po obu stronach ciągnęły się jednakże uplecione z łozy oblepionej gliną domy o wysokich spadzistych dachach, aby deszcz, który padał tu często i długo, mógł prędzej spłynąć na ziemię. Domy owe rozrzucone były nierówno i otoczone usypiskami śmietnisk, na których walały się potłuczone gliniane garnki, nieczystości i resztki pożywienia. Włóczyły się wśród nich psy, rozgrzebując usypiska i obgryzając kości.

Lud ów siał mało ziarna i jadł go także niewiele. Za miastem tuż przed nieprzeniknioną zieloną ścianą puszczy było królewskie pole uprawne, gdzie rosło zboże, podobne nieco do żyta, lecz bardziej przypominające wysoką trawę o małych, ostro zakończonych kłosach. Wczesną jesienią ścinano je kościanymi sierpami i powiązane w snopki, pożółkłe już, bito pękami różeg na ubitych twardo podłogach chat, skąd dzieci zbierały ziarno do glinianych wysokich naczyń, gdzie przechowywano je, by służyło w zimie jako pożywienie.

Lud ów żył głównie z myślistwa i hodowli zwierząt. Na rozległych łąkach ciągnących się za domami pasły się liczne stada małych czerwonych krów i półdzikich świń, szybkonogich, a

pilnowanych przez pasterzy o licach pomalowanych na sposób barbarzyński.

Assebal szedł przyglądając się półnagim dzieciom i kobietom odzianym w długie szaty, utkane z jednego kawałka szarego grubego płótna i spięte na ramieniu kościaną lub brązową spinką. Kobiety wydawały mu się rosłe i piękne, piękniejsze niżli mężczyźni, którym ów obyczaj malowania lica nadawał wygląd dziki i złowrogi. Śmiały się także chętnie i głośno. Idąc Assebal czuł na sobie ich ciekawe spojrzenia. Nie były lękliwe.

Szedł długo, gdyż miasto, będące wielką wsią bez kamiennych budowli i świątyń, rozciągało się szeroko i liczyło około dziesięciu tysięcy mieszkańców, jak sądził. Było ono stolicą wielkiego państwa lub może siedzibą króla, naczelnika innych, pomniejszych królów, panujących nad ludami, które przybywały tu tłumnie, wraz z kobietami i dziećmi, w ów najdłuższy dzień roku, aby pozdrowić wschodzące słońce, które było ich jedynym bogiem. Choć ni on, ni żaden człowiek z załogi fenickich okrętów nie był nigdy w dniu święta na wzgórzu z dala od miasta, gdyż cudzoziemcom dostęp był tam wzbroniony pod karą gardła, jednak ojcu jego udało się pewnego dnia spić winem jednego z odzianych w czerwone szaty starszych tego ludu, będących także kapłanami, składającymi w ów dzień ofiary wraz z królem i przybyłymi naczelnikami pomniejszych ludów.

Człek ów, gdy wino pomieszało mu język, opowiedział ojcu Assebala o tym, jak o wschodzie słońca na kamieniu ofiarnym w świętym kręgu głazów, które w niepamiętnych czasach ustawili ich przodkowie, król otwiera pierś człowieka przywiązanego do ołtarza, wyjmując z niej ciepłe jeszcze serce i unosi w górę w chwili, gdy pierwszy promień słoneczny nadbiegający nisko nad ziemią oświetli spoczywający kamień. Jedynie w owym dniu blask wschodzącego słońca mógł dotrzeć tam w owej chwili pomiędzy kamiennymi kolumnami. Następną ofiarę zabijał naczelnik, idący tuż za królem w chwale, a za nim inni w kolejności dostojności swego. Każdy, poczynając od króla, zjadał owe dymiące jeszcze, żywe niemal serca, przed obliczem ludu, mażąc swe oblicze krwią ofiary, aby zapewnić całemu ludowi szczęście i przychyłność promiennego boga na nadchodzący rok. Wówczas zgromadzone na wzgórzu i wokół niego rzesze wznosiły dziękczynny okrzyk i zwracały wyciągnięte ramiona ku słońcu, radując się i błagając, aby dobra wróżba spełniła się i rok ten był rokiem wesela.

Później owych zabitych nieszczęśników grzebano we wspólnych kamiennych grobach na wzgórzu. A byli to zarówno mężczyźni jak niewiasty i dzieci, bądź wybrani losem, bądź też rybacy-rozbitkowie, których zagnała tu burza z wielkiego, leżącego na południu lądu, oddzielonego od Wyspy Cynowej cieśniną, która w najwęższym swym miejscu pozwalała widzieć przeciwny brzeg.

Lecz owo najwęższe miejsce leżało o dwa dni żeglugi stąd. Assebal zawsze tam dopływał wędrując morzem z południa. Gdy wiatr był pomyślny, zmierzał wprost ku widniejącym na północnym widnokręgu białym wyniosłym skałom, aby trzymając się odtąd wybrzeży osiągnąć cel. W podobny sposób powracał. Lecz gdy wiatr był przeciwny, często wiele dni musiał ukrywać się w ustronnych zatokach, gdyż cieśnina owa była burzliwa, a gdy zadał potężny wiatr, fale urastały wielkie jak pałace książąt, o jakich mówił Assebalowi dziad, który przemierzył Morze Pośrodku Świata i dotarł do Gubal, skąd ród ich się wywodził.

Zbliżał się teraz ku szerokiemu placowi pośrodku miasta, gdzie był dom królewski. Pierwsi przybysze z głębi krainy, którzy mieli wziąć udział w jutrzejszym święcie, przybyli już, gdyż na wąskich, piaszczystych ulicach panował zgiełk i wrzawa. Pomiedzy domami rozkładały się całe rodziny, koczując nie opodal śmietnisk i paląc ogniska, przy których kobiety piekły kawały mięsa wbite na zaostrzone żerdzie.

Gdy szedł, tuż przed nim rozległ się wysoki kwik zarzynanego prosiaka, trzymanego przez dwóch mężczyzn, podczas gdy trzeci podcinał mu gardło kamiennym nożem nie zważając na krew bluzgającą mu na szatę.

Wielu także rozłożyło się na placu przed domem królewskim, choć uzbrojeni wojownicy przepędzali drzewcami siekier tych wszystkich, którzy zbliżyli się za blisko.

Assebal wymijał siedzących i stojących grupkami ludzi, starając się nie otrzeć o żadnego z nich, gdyż gardził nimi i wzbudzała w nim obrzydzenie. Mimo to, gdy stanął przed domem królewskim, który był większy niż inne, choć jak i one nie miał okien, a miał drzwi zawieszane nad otworem wejściowym i sięgające ziemi zszyte z sobą skóry zwierzęce, przybrał pogodny wyraz oblicza i z uśmiechem zwrócił się do stojącego przed domem starego człowieka w czerwonej szacie, będącej oznaką jego dostojności:

- Powiedz mi, o czcigodny, czy wielki król twój jest w swym domu? Gdyż goniec jego przyniósł mi wieść, że pragnie mówić ze mną!

- Jest i oczekuje cię, kupcze!

Człowiek w czerwonej szacie odstepił nieznacznie, odsłaniając wejście, a dwaj stojący po obu jego stronach, niedbale oparci o ścianę domu rośli wojownicy obrzucili przybyłego bacznie spojrzeniem, lecz nie drgnęli, gdy uniósł dłonią zasłonę ze skór. Uzbrojeni byli obaj w długie włócznie o lśniących ostrzach z brązu. Assebal, który umiał wiele dostrzec jednym spojrzeniem, poznał po owych ostrzach swój towar przywieziony tu przed dwoma laty.

Wnętrze królewskiego domu było mroczne, a rozjaśniał je jedynie, blask padający z wyciętego w dachu otworu, znajdującego się ponad kamiennym paleniskiem pośrodku rozległej izby, której ściany zawieszane były futrami zwierząt, stanowiącymi też niskie łóżka w rogu. Na kołkach wisiał oręż królewski. W przeciwległej ścianie inna zasłona ze skór odgradzała to pomieszczenie od reszty wielkiego domostwa. Assebal nie był tam nigdy lecz wiedział, że mieszka tam żona królewska wraz z dziewczętami, które władca sobie upodobał. Mieszkały tam także dzieci jej i owych dziewcząt. Gdy żona władcy umierała, najstarsza z owych dziewcząt zostawała jego małżonką, a gdy umarł król, następca jego mógł je wszystkie wygnać lub zatrzymać wedle woli, bowiem syn nie dziedziczył tu królestwa po ojcu, lecz lud wybierał władcę na wielkim zgromadzeniu, by później słuchać go ślepo aż do dnia jego śmierci.

Król był sam. Siedział na posłaniu ze skór i pił mleko z glinianego dzbanu. Na widok Assebala odstawił dzban na podłogę i skinął nań ręką, by przybliżył się. Kupiec podszedł i skłoniwszy głowę czekał.

Władca Cynowej Wyspy nie był człowiekiem starym i gdyby nie owe pasy farby pokrywające jego oblicze, Assebal nazwałby go, być może, pięknym barbarzyńcą.

- Siądź - rzekł król i nie czekając dodał: - Bowiem chcę cię zapytać, czy nie umknął nikt z twej załogi?

- Z mej załogi, władco? - Kupiec uniósł brwi ze szczerym zdumieniem.

- Tak rzekłem. Bowiem z dala od miasta ludzie strzegący świętego kręgu, idąc przez las ujrzeli pod wysokim drzewem broń, a gdy skryli się, człowiek ów zszedł z drzewa, gdzie wdrapał się zapewne po to, by spojrzeć z dala na miasto. Znajdował się wówczas na szczycie wzgórza. Schwytali go i przywieźli tu, a zdaje się on nie rozumie naszej mowy. Czy nie ma w załodze twojej młodzieńca, którego włosy byłyby niemal tak białe jak włosy starców?

- Młodzieńca o białych włosach? Nie, królu. Choć kilku niewolników przykutych do wiosł ma

włosy jaśniejsze niżli twoje lub moje, a to dlatego, że schwytano ich w głębi wielkiego łądu na południu i sprzedano mi. Krainy te zamieszkują ludy jasnowłose. Lecz żaden z mych niewolników nie ma włosów niemal białych. A gdyby nawet miał, wiem, że żaden z nich nie uciekł, gdyż doniesiono by mi o tym bez zwłoki i zawiadomiłbym ciebie, prosząc pokornie, aby oddano mi go po schwytaniu.

- Tak sądziłem... - rzekł król z namysłem. - Lecz pragnąłem zapytać cię wprzód, by się upewnić. Ucieszyłaby mnie wieść, że to twój człowiek...

- Dlaczego, królu? - zapytał szczerze, nie mogąc pojąć, czemu ucieczka jego młodego, zdrowego niewolnika miałyby ucieszyć władcę Cynowej Wyspy.

Król raz jeszcze wskazał na miejsce obok siebie. Assebal siadł na brzegu posłania, starając się nie dać znać po sobie, że ostra woń źle wyprawionych skór jest mu niemiła.

- Dzień kończy się... - rzekł król, jak gdyby bez związku z tym, co rzekł uprzednio. - Jeśli człowiek ów nie należał do twojej załogi, musiał przybyć morzem. A nikt, kto nie jest rozbitkiem, nie przybywa morzem sam, lecz wraz z innymi. Schwytano go, gdy przyglądał się z dala memu miastu, jak gdyby wysłano go na zwiady. Pragnąłbym wiedzieć, kto go wysłał?

Zamilkł na chwilę. Assebal nie przerywał milczenia żadnym pytaniem. Nadal nie pojmował, czemu oblicze króla jest zasepione, gdyż jeden człowiek, a nawet jeden uzbrojony okręt, który przypadkiem przybił do brzegów tej ogromnej wyspy, nie mógł zagrozić tak licznemu i dzielnemu ludowi.

Król podjął:

- Po dwakroć... choć nie działo się to ni za mojej, ni za twojej pamięci, ni za pamięci naszych ojców, nieprzyjaciel uderzył na nas z morza... Przybyli na licznych, szybkich okrętach, lecz odparliśmy ich. Wielu zginęło, a inni uciekli. Byli to ludzie jasnowłosi... A nie uderzyli na miasto wprost z morza, lecz przybili do brzegu z dala od miasta i podstępnie próbowali zbliżyć się tu bezdrożami leśnymi, by uderzyć na nas spoczywających we śnie... Lecz ojcowie nasi, podobnie jak my, czujnie strzegli naszych brzegów. I stało się po dwakroć tak, że nie oni uderzyli na nas, lecz my na nich, a że było nas więcej, ginęli... Oto dlaczego widok obcego wojownika, podkradającego się do miasta, myśleć mi każe o obronie. Wysłałem więc wielu zbrojnych ludzi, aby przetrząsnęli las w stronie, w której pojawił się ów człowiek. Lecz ludzie ci muszą powrócić przed zmrokiem... A zapewne nie zdążą przetrząsnąć przed zachodem całej puszczy, aż po rzekę na północ i dalej...

- Czemu więc, wielki królu, nie każesz im stanąć obozem przed miastem, wystawiwszy naokół czujne straże, które uprzedzą cię o zbliżaniu się wroga, gdyby miał nadejść?

Władca uniósł głowę i przez długą chwilę siedział spoglądając na niego w milczeniu. Wreszcie, jak gdyby utwierdziwszy się w myśli, że może rzec prawdę, powiedział:

- Bowiem bóg tego nie pragnie.

- Bóg?

- Odkąd świat istnieje, ojcowie nasi w nocy, która poprzedza Święto Poranka, i w dniu, który następuje po niej, nie biorą oręża w dłoń, a także żaden człowiek nie może uderzyć na drugiego, choćby nie uzbrojoną dłonią i choćby był ojcem, który pragnie skarcić dziecko. Noc przed Porankiem i dzień cały po nim, aż do zachodu słońca, wolne są od wojny, zabójstwa i przemocy. Dnia tego umrzeć muszą jedynie ofiary złożone bogu, aby go uweselić!

- Lecz słońce zajdzie niebawem! - Assebal nie mógł powstrzymać okrzyku zdumienia. - Cóż jeśli ludzie twoi doniosą ci, że wróg wysadził wojsko z okrętów i zbliża się ku twemu miastu?

- Jeśli bóg zechce, abyśmy zginęli, wszędzie wcześniej i spali ich swoimi promieniami. A gdy

słońce dziś zajdzie, cały lud mój odrzuci oręż, a ja wraz z całym moim ludem. Albowiem nadchodzi noc i dzień po niej, gdy najśłabszy będzie równy najsilniejszemu. Tak chce prawo. Gdybyśmy uczynili inaczej, bóg starłby nas z czoła ziemi.

Assebal pomyślał z nagłym niepokojem o sobie i czekającym w przystani okręcie. Słyszał o wojowniczych ludach na wybrzeżach położonych wiele dni drogi na wschód od Wyspy Cynowej. One to zapewne uderzyły ongi po dwakroć na tę krainę. Jeśli tak było, dzielnymi musieli być żeglarzami i trudno byłoby mu ratować się ucieczką morzem przed nimi, gdy napadną na miasto.

- Czy pragniesz mi ukazać owego człowieka, królu?

Nie zabili go twoi wojownicy, lecz przywiedli tu, jeśli dobrze pojąłem twe słowa?

- Tak uczynili. Albowiem nie zabijamy obcych zabłąkanych na nasze brzegi, lecz składamy ich w ofierze bogu. On także jutro o świcie... - Urwał. - Lecz czemu pytasz mnie o to, kupcze?

- Pytałem cię jedynie, królu, czy pragniesz mi go ukazać? Znam mowę wielu ludów i być może pojąłbym jego słowa i dowiedziałbym się, co czyni w twoim królestwie.

- To prawda... - Król uniósł głowę, lecz nie wezwał stojących przed domem ludzi. Wstał i podszedł do ściany, gdzie wisiał oręż. Zdjął z kółka długi łuk, miecz wraz z pasem i uniósł oparty o ścianę lekki oszczep. - Oto jego broń... - rzekł. - Wejrzyj na nią, jeśli pragniesz. Być może powie ci więcej niż mnie.

Assebal uniósł się z postania i trzymając w rękach łuk podszedł do miejsca, gdzie z dachu padało najwięcej światła. Dzień zbliżał się ku końcowi, lecz był bezchmurny, a wieczór w tych okolicach trwał długo o tej porze roku.

W blasku spływającym przez otwór w dachu, nad którym stało czerwieniejące niebo, młody kupiec fenicki długo wpatrywał się w srebrną nakładkę pośrodku wygiętego misternie kabłąka, opasującą go w miejscu, gdzie łuczniczka zaciska dłoń. Był to dar boskiego Widwojosa i wyobrażono na nim Wielką Matkę trzymającą w dłoniach węże, a także kapłana oddającego jej cześć. Wizerunek, choć mały i wykonany na cienkiej srebrnej blaszce, był tak wyraźny, że Assebal cmoknął z podziwem.

- Rzecz to zdumiewająca... - rzekł. - Albowiem tak pięknej roboty nie zna ta część świata, a łuk musiał przybyć z tak daleka, że wierzyć nie śmiem własnym oczom!

- Uwierz im... - rzekł król bez uśmiechu i wyciągnawszy miecz z pochwy podał mu go. Spiż załśnił ciemnym, złocistym połyskiem. Fenicjanin ujął brzeszczot miecza i począł przyglądać się rękojeści, która, choć nosiła ślady ręki ludzkiej i użycia, gdyż była w kilku miejscach płytko pokryta rysami, wykonana była z czarnego drzewa o wielkiej twardości. Assebal widział wyroby z owego drzewa i miał w domu wykonaną z niego szkatułkę, którą pradziad jego przywiózł z Gubal.

- Miecz ten pochodzi z Morza Pośrodku Świata, z którego i ja pochodzę, choć ród mój zamieszkuje w połowie drogi pomiędzy nim a twoją wyspą, królu!

- Jakże więc znalazł się tu, jeśli nie przywiozłeś go ty ani dwaj inni kupcy, z którymi wymieniamy nasze dobra?

- Tego nie wiem... Lecz wizerunek bogini z węzami w dłoniach każe mi myśleć, że łuk ów pochodzi z wyspy pośrodku owego morza, która, jak słyszałem, włada mocą swych licznych i potężnych okrętów nad wieloma innymi wyspami i wybrzeżami... Tam bogini owa jest czczona, a zwą ją Matką. Lecz więcej nie umiem ci rzec, gdyż nie byłem tam, a nie mam tu z sobą nikogo, kto mógłby więcej rzec o tym, choć być może Sekkahar, mój stary zarządca składów, mógłby rzec bliżej określić, gdyż odbył wiele podróży.

- A czy potężne i liczne okręty z owej wyspy mogłyby przypląć tu, by uderzyć na nas, pragnąc podbić tę krainę, jak to uczyniły z innymi?

- Nie mogłyby tego uczynić, gdyż dzieli je od twego królestwa świat cały! Jakżeby choć jeden z nich mógł przebyć tak wiele mórz nie znając kierunku i nie zawijając do miast i przystani? I jakże mogłyby żeglować wymijając niepostrzeżenie nasze osady, a my nie wiedzielibyśmy o tym, będąc żeglarzami i znając te morza od pokoleń? Gdyż jedynie mój lud zna drogę do twej krainy, a miastu nasze i przystanie sięgają na wiele dni drogi morzem poza obszar, gdzie dopływają inni. Nigdy jeszcze obcy okręt nie przemknął się ku północy z Morza Pośrodku Świata! Jakże zresztą mogłyby dopłynąć tu wojska tak liczne, by uderzyć na was?! Świat cały wiedziałby o takiej wyprawie na długo przedtem, nim wyruszyłaby z rodzinnej przystani. I gdyby nawet nie udało się zatopić owej floty, doniesiono by niezwłocznie nam, którzy mieszkamy na krańcach ziemi w miastach nie znanych naszym wrogom. Śledzilibyśmy każdy ich ruch i ostrzegalibyśmy przed nimi wszystkie ludy, aby nie przechwycili handlu naszego i nie napadli na was łupiąc i mordując, lecz musieli płacić nam za towary, które stąd sprowadzamy...

Król wyciągnął dłoń i dotknął nią łuku.

- Rzekłeś, że oręż ten należy do owego dalekiego królestwa, które włada na licznych wyspach. Jakże więc się tu znalazł?

- Zezwól mi, królu, abym ujrzał owego jeńca i przemówił do niego. Znam mowę niejednego plemienia. Być może pojmie on moje słowa i rzeknie, że zagnała go tu burza czy też może okręt jego roztrzaskał się we mgle, która tak długo leżała nad morzem. Zapewne zabłąkał się tu ze wschodu i nie wie nawet o istnieniu owego dalekiego morskiego królestwa, o którym ci rzekłem. A jeśli chodzi o miecz ten, łuk i oszczep, wiem, że oręż daleką może odbyć drogę, bowiem handel przenosi dzieła rąk człowieka z miejsca na miejsce, a często zmieniają one także właścicieli jako łup wojenny. Lecz po cóż mamy zadawać sobie pytania, na które nie znajdujemy odpowiedzi, skoro człowiek ów być może odpowie nam na nie?

Król skinął głową. W izbie zapadł już niemal zmrok, lecz słońce nie zaszło jeszcze, gdyż niebo nad otworem w dachu nadal było jasne.

- Leży związany w izbie, której strzegą dwaj wojownicy... - rzekł, nadal zaszepiony. - Wkrótce nadejdzie noc i jedyna rzecz, którą będą mogli wówczas dla ciebie uczynić, to wskazać ci go. Gdyż żaden z nas nie tknie go do chwili, gdy łagodnie powiodą go ku ołtarzowi na wzgórzu. A tam ja sam złożę go w ofierze, gdy dzień rozbłyśnie! Lecz jeśli pragniesz tego, niechaj go przywiodą. Być może dowiesz się od niego prawdy, która ulży sercu memu, pełnemu niepokoju.

Podszedł do zasłony, uchylił ją i rzekł coś do stojących na zewnątrz ludzi. Później zawrócił.

- Nie lękam się, królu, że człowiek ten przybył wraz z wielu innymi wojownikami z owej dalekiej krainy... - rzekł po namyśle Assebal. - Lecz niechaj bóg twój strzeże was, by ludy mieszkające bliżej nie zwiedziały się, że każdego roku w krainie twej następuje noc, gdy nikt z twych wojowników nie ujmie oręża. Bowiem może nadejść chwila, gdy nieliczni, lecz dzielni, uderzą na was i wielką rzeź wśród was sprawią.

- Skoro nie uczynili tego od dni niepamiętnych, czemu mieliby to uczynić dziś? Prócz was nie gościmy obcych na tej ziemi. A i z was nikt nie zna owego dnia zawczasu. Albowiem nie wypada on zawsze jednako. - Władca Cynowej Wyspy uśmiechnął się lekko. - Nie wie o tym także i mój lud, lecz jedynie ja i starzy kapłani, którzy ślą wieść po całej krainie wzywając plemiona z wszystkich krańców oblanego morzem świata pod moim władaniem. aby przybyły w porze oznaczonej. Jakże

więc mogliby wiedzieć o tym obcy?

Zasłona uniosła się i dwaj wojownicy wprowadzili jeńca, który nadal miał ręce ciasno spętane na plecach, a także i obie nogi związane sznurem w kostkach, tak aby mógł postępować jedynie małymi krokami i z wolna.

Zatrzymali się wszyscy trzej przy drzwiach. Król wskazał jednemu z wojowników palenisko, na którym tlił się nieustannie mały ogień. Ów podszedł i dorzucił tam kilka grubych, suchych, ociosanych siekierą gałęzi. Zaczęły one trzeszczeć i w izbie zrobiło się jaśniej.

Assebal, który zaledwie dostrzegał więźnia w półmroku, zbliżył się do niego i zajrzał mu w oblicze.

Lecz kupca także oświetlił rosnący blask ogniska i wydało mu się, że spojrzawszy na niego młody jeniec drgnął.

A Białowłosa spoglądał ze zamienieni na jego purpurową, sięgającą kostek spódnicę, twarde sandały, a nade wszystko na falistą, pięknie utrefioną brodę, pomalowaną ciemną czerwoną farbą. Nie wierząc własnym oczom pojął, że człowiek stojący naprzeciw niego jest Fenicjaninem znacznej godności. Lecz cóż mógł czynić fenicki kupiec na owej odległej wyspie, leżącej pośród mgieł na krańcu świata? I nagle pomyślał, że być może znajdują się bliżej domu, niżli przypuszczali... Lecz czyż było możliwe, aby płynęli niemal przez rok na północ, aby później w ciągu niewielu dni powrócić?

Człowiek ów otworzył usta i przemówił do niego. A choć wiele czasu minęło od chwili, gdy stary niewolnik w Gubal uczył go mowy Fenicjan, Białowłosa pojął, co tamten rzekł.

- Skąd przybyłeś tu i czemu nosisz oręż kreteński? - zapytał Fenicjanin nie wierząc, że otrzyma odpowiedź i szukając w myśli słów plemion zamieszkujących wybrzeża wielkiego ładu.

Z kolei na jego obliczu odmalowało się największe zdumienie, gdy Białowłosa odparł powoli i kalecząc wyrazy, lecz zrozumiale:

- Łuk ten i miecz otrzymałem w darze, gdy uratowałem wnuka królewskiego z fal morza...

- Czy pojąłeś jego słowa?! - zapytał król chwytając Assebala za ramię. - Jeśli tak, pytaj go, skąd przybył!

Lecz kupiec zaniemówił na długą chwilę i stał wpatrując się z przerażeniem niemal w smukłą postać młodzieńca, jak gdyby ów był duchem przybyłym z Krainy Umarłych.

- Skąd jesteś? - zapytał wreszcie zduszonym głosem.

- Jestem z Troi, panie.

- Troi?... - Imię owego miasta niczego nie rzekło Assebalowi. - Czy przybywasz stamtąd?

- Tak, panie.

- Gdzie leży owa Troja?

- Nad cieśninami, które prowadzą ku drugiemu morzu... - Białowłosa z trudem szukał słów. -

Czyżbyś nie słyszał o niej?

Assebal nie odpowiadając zadał szybko następne pytania:

- Czemu jesteś sam? Gdzie twój okręt? Czemu inni nie byli z tobą, gdy cię schwytano? Czy rozbiliście się na skałach we mgle?

Białowłosa otworzył usta i zamknął je ponownie. Po chwili wahania powiedział:

- Tego ci rzec nie mogę.

- Czemu? Czy pragniesz, abym przebił cię oszczepem? Wiedz, że człowiek, który stoi u mego boku, jest władcą tej krainy i karze wydrzeć ci oczy i serce, jeśli nie poczniesz mówić!

Zwrócił się ku królowi, który wodził oczyma od jednego do drugiego z nich marszcząc czoło, jak gdyby pragnął pojąć, co mówią w nieznannej mowie.

Lecz Assebal nagle zapytał cicho i bez gniewu:

- Jak daleko jest od twojej Troi do Gubal o wysokich wieżach?

- Niewiele dni żeglugi przy sprzyjającym wietrze... - odparł szczerze Białowłosey, któremu po roku podróży na ławie Angelosa odległości na Morzu Pośrodku Świata wydały się niewielkie. - Byłem w Gubal i wiem to.

- Byłeś w Gubal?!... Niewiele dni? - Assebal znów spojrział ze zdumieniem, starając się wyczytać kłamstwo w oczach młodzieńca. Lecz najwyraźniej nie znalazł go w nich, gdyż bezradnie niemal zwrócił się do króla: - Mówi on rzeczy przedziwne i choć pojmuję słowa jego, nie pojmuję, skąd wziął się tu, gdyż nie chce mi tego rzec!

- Spytaj go, czemu nie chce! Zapewne kryć się w tym musi zdrada!

- Czemu nie chcesz rzec, gdzie jest twój okręt i ci, którzy przybyli z tobą?

Białowłosey nie odpowiedział. Patrzył spokojnie w oblicze stojącego przed nim człowieka.

- Mów! - krzyknął Assebal i sięgnąwszy pod szatę, wyciągnął długi, cienki sztylet o złocistej rękojeści. - Mów albo przebiję cię tym ostrzem i nigdy już nie przemówisz!

Białowłosey nie poruszył się. W tej samej chwili na placu rozległ się długi, zawodzący okrzyk i wnet podjęły go niezliczone głosy.

- Słońce zaszło! - rzekł król. - Nie wolno ci przelać krwi jego pod dachem moim!

Położył łagodnie dłoń na ramieniu Assebala, który z wolna ukrył sztylet w fałdach szaty. Dostrzegł, że dwaj stojący za więźniem wojownicy wbili ostrza swych oszczepów w ubitą twardo glinianą podłogę izby i cofnęli się o krok.

Assebal próbował uśmiechnąć się, lecz przez chwilę stał ze zmarszczonymi brwiami, targając brodę palcami i kręcąc głową.

- Odejdź w pokoju... - rzekł król - i niechaj stanie się to, co się ma stać, lub niechaj nie stanie się nic, gdyż będzie, jak zechce bóg, a młodzieniec ów niechaj oddali się do izby, z której go przywieziono, aby przed świtem mógł odejść wraz z nami na wzgórze i być złożony w ofierze...

- Wielki władco... - rzekł nagle kupiec, przestawszy szarpać brodę i prostując się. - Czy właśnie on musi być złożony w ofierze?

- Będzie to słuszne, gdyż jest obcy, a gdyby jego to nie spotkało, musiałby oddać swe życie na ołtarzu jeden z naszych młodzieńców, naznaczony losem.

- Zapewne, lecz gdyby miast niego twój wielki świetlisty bóg otrzymał w ofierze innego obcego, czyż rozgniewałby się na ciebie o to?

- Czemuż miałby okazać gniew, skoro ofiara zostałaby złożona? Lecz nie mamy innego obcego, który mógłby lec na ołtarzu miast niego. A gdybyśmy nawet pojмали drugiego, zginęliby obaj, gdyż tak chce prawo... aby zostali złożeni w ofierze wszyscy.

- A gdybym ci dał za niego innego człowieka? Któregoś z mych niewolników przykutych do wioseł?...

I widząc wahanie króla, dodał szybko: - A wraz z nim pięć siekier z brązu i lśniące naramiennice dla twojej umiłowanej małżonki?... A także sztukę purpurowego płótna na cztery lub pięć szat, która wczoraj wydała się miła oczom twoim?

Król przygryzł dolną wargę. Oczy jego nie schodziły z oblicza mówiącego.

- Gdybym przyjął owe dary od ciebie, kupcze, dając ci w zamian tego młodzieńca, czy rzekniesz

mi, czemu pragniesz tak wiele zapłacić za niego, choć nigdy dotąd go nie widziałeś? Utracisz przy tym także zdrowego niewolnika, a nie zdaje się martwić cię to?

- Powiem ci prawdę, wielki władco, gdyż brzydzę się kłamstwem, a będąc w krainie twojej winienem postępować z tobą szczerze i uczciwie, jak czynił to ojciec mój i jego ojcowie z tymi, którzy byli królami przed tobą. Jest dla ludu mego sprawą niezmiernej wagi, aby nikt inny nie odkrył drogi na północ, przebywszy ją okrętem tam i na powrót. Rzecz ta wydaje się niewiarygodna, lecz zwątpiłem w me rozeznanie spraw i rozum, słysząc go mówiącego. Jeśli wydarzyło się tak nieszczęśliwie, że okręt należący do innego ludu dotarł tu, sprawić należy, by nigdy nie mógł powrócić. Nie jestem ni księciem, ni arcykapłanem stojącym jak syn umiłowany przed obliczem naszych wielkich bogów, lecz jedynie kupcem wiodącym żywot na skraju świata, gdzie szeroko rozsiany na jego wyspach i wybrzeżach przebywa mój mądry i pracowity lud... Wielka część naszych bogactw pochodzi stąd, że szlaki handlowe i miejsca, skąd towary nasze przybywają, otoczone są tajemnicą pilnie strzeżoną przed innymi. Otóż młodzieniec ów nosi oręż wykuty w królestwie będącym największą przeszkodą dla handlu naszego na wszystkich morzach i we wszelkiej krainie pod słońcem. A choć nie prowadzi ono z nami otwartej wojny, gdyż książęta mego ludu płacą królowi jego daninę, jednak zazdrosny jest on i groźny, a mając wiele, pragnie mieć jeszcze więcej! Muszę więc, choćbym miał młodzieńca owego obedrzeć ze skóry i kąpać w ukropie, wyrwać z ust jego prawdę. Albowiem sprawa jego jest tajemnicza i pojąć nie mogę, skąd wziął się tutaj, jeśli nie udało mu się przemknąć na szybkim okręcie pośród mórz otaczających środek świata? A jeśli, co jest niemal nie do uwierzenia, okręt ów należy do królestwa Krety, uczynić muszę wszystko, aby nigdy nie powrócił, gdyż tego żądają duchy mych czcigodnych przodków i Aszera Pani Mórz strzegąca naszych żagli. Albowiem jedna tylko droga prowadzi morzem na powrót ku ich wyspie. A na drodze tej wiele jest przystani mego ludu i wiele okrętów gotowych do boju. Natomiast moc Krety nie dociera tam wcale. Muszę więc poznać prawdę, tak jak i ty ją pragniesz poznać, królu, choć dla innej przyczyny. Jeśli powie mi na mękach, gdzie ukrywają się jego towarzysze wraz z okrętem lub gdzie roztrzaskał się on o skały, wówczas powiadomię cię, abyś gdy minie czas święta, uderzył na nich i starł ich do ostatniego z oblicza twej krainy! I niechaj bogowie twoi i moi wspomagają nas w tym przedsięwzięciu, aby żaden nie umknął niosąc wieść panu swemu!

Król spoglądał na niego długo w migotliwym świetle ogniska, a później przeniósł oczy na stojącego nieruchomo jeńca.

- Czy pragniesz odejść z nim do domu twego nad brzegiem morza?

- Tak, królu, a stamtąd każę ludziom mym niezwłocznie przyprowadzić zdrowego, młodego niewolnika, aby ci go zastąpił o świcie, gdy będziesz składał ofiarę. Gdy poznam prawdę dziś. - uśmiechnął się ponuro - a uwierz mi, wielki władco, że poznam ją... wówczas bądź sam wyprawię się, by ułowić tych rozbitków, bądź też wstrzymam się do chwili, gdy słońce jutro zajdzie, i niechaj uczynią to twoi niezliczeni wojownicy, aby ciała tych rozbitków złożono na ofiarę bogu twojemu!

Król milczał przez chwilę. Wydawało się, że nie może pojąć, co może łączyć owe opowieści o dalekich krainach z jego mglistym królestwem.

- Uczyn tak! - rzekł wreszcie. - Lecz bacz, gdy będziesz go prowadził ku przystani, aby ci nie uciekł.

- Tak spętanego poprowadzę go jak krowę na rzeź... - rzekł niemal wesoło Assebal. - A że nie jestem z ludu twego, bóg wasz nie będzie gniewny na mnie, jeśli wbiję pojmanemu sztylet w plecy, gdyby próbował się wyrwać!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Czy pragniesz mówić?

Perilawos czekał na nich długo, aż wreszcie niepokój wkradł się w jego serce. Uradował się więc, gdy nie opodal trzasnęła nadepnięta nieostroźnie gałązka i odwróciwszy się z uniesionym oszczepem, ujrzał Harmostajosa, który przemykał się ku niemu pospiesznie, od krzewu do krzewu.

- Bogom niechaj będą dzięki! - rzekł Perilawos z ulgą.

- Gdzież Białowłoso? Czy rozłączyliście się?

- Pojmali go! - rzekł krótko Harmostajos. - Wiodą go spętanego ku miastu, które jest daleko za wzgórzami!

- Pojmali? Któż to uczynił?

Harmostajos chwycił go za rękę.

- Idź najspieszniej, jak umiesz, lecz ostrożnie, gdyż las ów może nie być pusty! Rzeknij księciu, ojcu swemu, i Terteusowi, że daleko za wzgórzami tymi rozciąga się wielkie miasto. Wybrzeże skręca tam ku zachodowi i miasto owo leży nie opodal morza. Widziałem z daleka duży okręt spoczywający na brzegu... A Białowłosego pojмали liczni wojownicy i wiodą go do owego miasta! Niechaj więc Angeles opuści miejsce, w którym się znajduje, aby wróg was nie zaskoczył na rzece! Niechaj wypłyną na morze i ruszywszy w przeciwnym kierunku, na północ, skryją się w pierwszej zatoce, czekając nocy! A gdy nastanie ciemność, niechaj podpłyną w pobliże owej przystani i czekają na morzu. Jeśli ujrzą wielki ogień lub płonący dom, niechaj przybliżą się jeszcze bardziej, gdyż będzie to jedyny znak, jaki nocą dać można. Lecz niechaj czekają także, jeśli ognia nie ujrzą, gdyż ktoś z nas wie, co stać się może. Gdyby Białowłoso już nie żył lub gdybym nie dotarł do niego, sam spróbuję powrócić, lecz będę pragnął przywieść go ze sobą. A jeśli będziemy jeszcze między żywymi, rzucimy się ku wam wpław lub łodzią. Jeśli nie ujrzycie żadnego znaku ni nas, a świt się przybliży, odpłynięcie i usypcie nam kopiec na brzegu, do którego przybijecie, aby dusze nasze nie błąkały się bez grobu! Idź, Perilawosie!

- A ty?

Harmostajos wzruszył ze zniecierpliwieniem ramionami.

- Czyż nie pojmujesz, że wiodą go spętanego, a nie wiem dokąd? Czyż mam go pozostawić samego?

- A jakże pragniesz pójść za nim do obcego miasta, gdzie i ciebie pojną niezwłocznie?

- Nie wiem! Skądże mam wiedzieć?! I nie dowiem się nigdy, póki nie odejdiesz! Idź, gdyż jeśli ów lud liczny, sądząc z rozległości miasta tego, wypatrzy nasz okręt, wówczas śmierć zajrzy w oczy wszystkim, nie nam jedynie! Idź już!

Perilawos zawahał się.

- Jakże was tak opuścić?... - zapytał niepewnie. - Cóż rzekną na to towarzysze?... I jakże ja sam usnę dziś wiedząc, że jego schwytali, a tyś ruszył mu na pomoc, gdy ja uciekłem do obozowiska.

Harmostajos spoważniał nagle.

- Jesteś księciem! - rzekł. - Synem królów! I żywot twój wart jest tysiąca żywotów takich jak mój lub Białowłosego! Będziesz kiedyś królem i cały świat padnie ci u stóp... A jeśli cię to nie przekonało, wiedz, że gdy ty ślęczałeś mozolnie, ucząc się znaków pisma i ogłady dworskiej, ja kradłem, oszukiwałem, wdzierałem się do cudzych sadów i piwnic! Gdybym tak nie uczynił, gdybym nie miał oka orła i przemyślności lisa, zginąłbym marnie po tysiakkroć, nim pierwszy włos zakręcił mi się na brodzie! A bogowie jedni wiedzą, czy cała moja nauka posłuży mi tu, gdyż sam nie wiem jeszcze, co czynić, a czas ucieka! Któż wie, czy nie zabili go już? Idź więc, Perilawosie, i wspomnij nas czasem, gdy będziesz królem!

Uśmiechnął się, dotknął lekko jego ramienia i zniknął pośród krzewów nie czekając odpowiedzi.

A Perilawos gniewny i oszołomiony ruszył ku obozowisku, od którego dzielił go rozległy bór. Lecz po chwili już pojął, że los wszystkich spoczął w jego ręku i począł iść ostrożnie, rozglądając się czujnie i nieustannie przyspieszając. Sam nie wiedział, kiedy wreszcie szczęśliwy traf wyprowadził go wprost na obozowisko, gdzie poczęto się już o nich niepokoić, a bogom podobny Widwojos z trudem ukrył radość na widok wynurzającej się spośród drzew postaci syna.

Lecz radość owa szybko przemieniła się w smutek i niepokój, gdy usłyszeli opowieść młodego księcia. Po krótkiej naradzie postanowili pójść za radą Harmostajosa, gdyż spoczywający na grząskim pokrytym trawą brzegu okręt padłby niechybnie ofiarą napaści, gdyby wróg wynurzył się nagle spoza zakrętu rzeki na licznych łodziach.

Zepchnęli więc Angelosa na wodę i okrywszy burty tarczami popłynęli ku ujściu ze sprzyjającym nurtem nowego odpływu. A gdy nastał mrok, wynurzyli się z odludnej zatoki, otoczonej wysokimi osłaniającymi ich niemal ze wszystkich stron skałami. Zatoczywszy szeroki łuk po mrocznym morzu wyminęli z dala długi półwysep i nie zbliżając się do brzegów, poczęli posuwać w kierunku owej opisanej przez Harmostajosa przystani. Dostrzegli ją wkrótce, gdyż na lądzie płonęły niezliczone ogniska, jak gdyby obozowały tam wielkie wojska.

Zdumiało to początkowo Terteusa, lecz pojmując, że różne ludy różne mają obyczaje, osądził, że być może lud ów z nadejściem lata przygotowuje posiłek przed domami.

Jakakolwiek zresztą była przyczyna owych ogni, można było z nich osądzić, że miasto jest rozległe i liczące wiele tysięcy mieszkańców, bowiem czerwone migotliwe punkciki ciągnęły się pośród nocy aż ku dalekiemu wzniesieniu gruntu na widnokręgu i świeciły nawet na jego zboczach, jak gdyby zawieszane w powietrzu. W blasku najbliższych ognisk dostrzegli z dala czarne zarysy kilku większych domostw stojących tuż nad wodą. Zapewne były to składy. Tam musiała znajdować się owa przystań, gdyż rozpoznali w mroku na skraju morza kadłub dużego wyciągniętego na ląd okrętu.

Ujrzawszy go Terteus nakazał, aby Angeles zatoczywszy krąg na morzu oddalił się nieco i czekał w bezpiecznej odległości, do której nie mógłby dotrzeć blask ogni.

Tak uczyniono i cała załoga, siedząc przy wiosłach, lecz mając także oręż w pogotowiu, rozpoczęła długie oczekiwanie.

Skład, do którego wprowadzono Białowłosego, był wielki i pusty, a zew kamiennym palenisku pośrodku tlił się ogień, dostrzegł, że nie ma tu okien, lecz podobnie jak w domu króla dym ucieka jedynie dziurą w dachu. Przysłonięty skórami otwór wejściowy był tu szerszy, zapewne po to, by

ułatwić wnoszenie towarów.

Pod ścianą, w pobliżu ognia stał wsparty na dwu nie ociosanych pniach stół z jednej grubej deski. Załogi okrętów fenickich spożywały tutaj swe posiłki, a czcigodny Assebal tu właśnie kazał wprowadzić więźnia, gdyż w drugim jego składzie, stojącym nie opodal, znajdowali się przykuci na czas postoju wioślarze-niewolnicy, a nie pragnął, by widzieli oni to, co miało nastąpić, a nade wszystko by usłyszeli, co powie pojmany.

Wskazał ruchem ręki stół. Cztery ludzie porwali Białowłosego i zdarłszy z niego szaty, położyli nagiego na stole. Dwaj przytrzymali więźnia, choć nie próbował się bronić, a dwaj inni przywiązali ciało jego do stołu, rozdawszy na rozkaz swego pana więzy, którymi był skrepowany od chwili, gdy pojmano go w lesie.

- Niechaj ręce spoczywają po obu bokach ciała - rzekł Assebal - gdyż wyrwiemy mu paznokcie, jeśli nie będzie chciał mówić!

Wypowiedział to głośno, aby pojmany młodzieniec mógł pojąć każde jego słowo, choć kupiec pozornie nie zwracał na niego teraz uwagi.

- Być może potrzebna będzie tu rozpalona cyna w naczyniu. - Assebal pogładził brodę. - Gdyby trwał w uporze, wlejemy mu ów straszny napój do gardła...

- Lecz jeśli tak uczynisz, nie będzie on mógł nic rzec, choćby i pragnął tego, panie mój... - wtrącił wierny Sekkahar. - Wszelako sądzę, że powie ci wszystko, gdy ujrzy, że jeden z twych ludzi gotuje się do otwarcia mu nożem brzucha, a drugi czeka, by lać kropla po kropli rozpaloną cynę w otwartą ranę. Widziałem, gdy czyniono rzecz tę, i rękę prawą dłonią, że nie znajdzie się człowiek, który ból ów znieśnie, a nie powie wszystkiego, o co go zapytają. Albowiem jeśli oprawca, który brzuch rozcina, i drugi, który będzie lał cynę, pewną mają rękę i nie popadają w zbyt ni pośpiech, człowiek ów nie utraci zmysłów ani nie omdleje i będzie błagał jak o zmiłowanie, by mu poderżnięto nożem gardło, co uzna za dobrodziejstwo uwalniające go od cierpień tak straszliwych, jakich nie sprowadzą żadne tortury barbarzyńców lub okrucieństwo palenia ogniem i obdzierania ze skóry... Czy mam tę rzecz przygotować, panie?! Racz objawić, czy taka jest wola twoja, gdyż przygotowanie zajmie mi czas pewien?

Assebal podszedł do stołu i pochylił się nad leżącym zaglądając mu w oczy. Białowłose opuścił powieki. Lecz nim to uczynił kupiec fenicki poznał, że więzień pojął wszystko, co zostało wypowiedziane.

- Nie sądzę, aby okazał się tak wielkim głupcem, Sekkaharze... - Ponownie pochylił się nad stołem. - Czy słyszałeś, co rzekł mój wierny sługa?

- Słyszałem - odparł cicho Białowłose.

- Cóż mi więc powiesz? Wiesz, że pragnę poznać całą prawdę o tobie i tych, którzy przybyli z tobą, gdyż nie mogłeś sam dotrzeć do tej północnej wyspy! Jeśli odpowiesz na pytania moje, być może każę cię przykuć do wiosła... - Ujął dłoń Białowłosego i obrócił ją ku światłu.

- Jesteś wioślarzem, widzę to! A że jesteś rośły i silny, uratujesz żywot swój. Oddałem na śmierć innego niewolnika, więc bogowie słusznie wynagrodziliby mi ową zbyteczną stratę. A tobie przedłużyliby żywot i uniknąłbyś niewypowiedzianych mąk. Mówię ci to, gdyż jeśli będziesz trwał w uporze, a ludzie moi rozprują twój brzuch i wleją weń kropla po kropli płonąca roztopioną cynę, wówczas nie zdasz mi się już na nic i gdy powiesz wszystko, każę cię zabić, a twe porąbane siekierami okrętowymi ciało rzucę głodnym psom, których wiele włóczy się po tym barbarzyńskim mieście, jak to sam zapewne dostrzegłeś, gdy prowadziłem cię związanego.

Umilkł.

Białowłosey milczał. Sekkahar podbiegł do ognia i chwyciwszy rozpaloną głownię podszedł do stołu.

- Odpowiadaj, psie, gdy pyta cię szlachetny Assebal! - zawołał przytykając głownię do ramienia leżącego. Rozległ się cichy syk. Czterej słudzy stojący w pełnym uszanowania oddaleniu, tuż przy wejściu, zrobili krok ku przodowi, patrząc ciekawie.

Ciałem leżącego wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Jęknął i ucichł od razu.

Sekkahar odjął żagiew i cisnął ją na powrót w kamienne palenisko, gdzie strzeliła jaśniejszym płomieniem. Assebal skinął na wiernego zarządcę, a gdy ten zbliżył się, rzekł półgłosem:

- Niechaj ludzie ci oddalą się. A przypilnuj, by żaden nie słuchał pod domem. Nie pragnę, by ktokolwiek usłyszał to, co rzeknie ów pojmany.

- Rzekłeś, panie!

- Idź więc i zaprowadź ich do domu niewolników, by tam spoczęli. A gdy to uczynisz, przygotuj cynę, bowiem myśl twoja była dobra. Gdy tego dokonasz, wróć tu, by przystąpić wraz ze mną do dzieła. Gdyż nie pragnę, aby był tu ktoś prócz mnie i ciebie!

- Rzekłeś, panie! - powtórzył wierny Sekkahar i chciał odwrócić się, by ruszyć ku wyjściu i wydać sługom rozkaz, aby szli za nim. Lecz Assebal zatrzymał go raz jeszcze.

- Być może sam zdołam go zmusić do mówienia... - zniżył głos jeszcze bardziej. - Żał mi go zabijać. Cóż mi po jego śmierci? A, jak rzekłem, żywy niewolnik byłby godziwą opłatą wysokich bogów za wierność, którą okazuję im i memu ludowi. Mędracy powiadają, że niepotrzebna strata i trwonienie dóbr obrażają Baala na równi z bluźnierstwem.

- Słodka mądrość spoczywa na wargach twych, panie.

Lecz cóż uczynisz, jeśli nie zmusisz go inaczej do mówienia?

- Cóż... - Assebal rozłożył ręce. - Bogowie rządzą wszystkim. Jeśli zginie w mękach, niechaj wini swą głupotę, nie mnie, bowiem nie chciałem tego. Lecz będę próbował zmusić go do mówienia, nie niszcząc jego sił na zawsze. Po cóż miałbym pozbywać się nawet małej części dostatków? Idź!

Sekkahar wycofał się wraz z sługami. A gdy gruba zasłona ze skór opadła za nimi, kupiec i jego więzień pozostali sami.

Assebal zbliżył się do ognia, dorzucił kilka suchych gałęzi i w rozległej izbie rozwidniło się.

Podszedł do stołu. Nie opodal leżała zdarta z więźnia szata i rzucony na nią nóż w pochwie z koziej skóry, który wisiał na jego szyi, a zapewne pozostał nie zauważony przez wojowników króla, gdyż krótka tunika zakrywała go.

Kupiec wyciągnął nóż z pochwy. Był on nędznej roboty, lecz dostatecznie długi i ostry, by zadać nim najstraszliwszy nawet cios. Rękojeść uczyniona była z rogu.

Assebal stanął nad stołem trzymając w uniesionej dłoni nóż. Skóra wokół czarnej, pokrytej spalenizną rany na ramieniu poczęła czerwienieć.

- Pragnąłbym, abyś rzekł teraz wszystko, co rzec musisz... - głos kupca był niemal łagodny. - Jeśli bowiem podejrzenia moje są prawdziwe, a bogom jedynie znanym cudownym sposobem udało się tu przemknąć okrętowi kreteńskiemu lub należącemu do któregoś z ludów pod władzą Krety, wówczas dobrze się stanie, jeśli wieść o tym nie rozbiegnie się daleko. A im więcej ludzi ją pozna, tym dalej może ona zawędrować, gdyż do przystani miasta mego zawijają nasze okręty z południa, a do ich miast z kolei zawijają z południa inne okręty. Pragnę, aby ślad zaginął po twych towarzyszach, a przypuszczam, że okręt wasz rozbił się u brzegów tej krainy, a załoga ocalała i w jakiejś ustronnej

zatoce trzusi się pospiesznie, by naprawić uszkodzenia. Ciebie wysłali zapewne, abys wybadał, gdzie się znajdujecie i czy w pobliżu są ludzie... Bo gdybyś znał uprzednio ową okolicę, nie schwymano by cię siedzącego na drzewie... Tak sądzę... A ty powiesz mi, czy się mylę. Lecz nie uda ci się skłamać, bowiem nie dam ci skonać, póki nie przekonam się, czyś rzekł prawdę... Wiem dobrze, że męki, które gotuje ci mój wierny Sekkahar, każą ci zapomnieć o kłamstwie. Wyjąć jak zwierzę będziesz błagał, bym zechciał cię wysłuchać! Czy pragniesz mówić?

- Panie... - rzekł Białowłosy zaciskając zęby, gdyż rana piekła go straszliwie. - Żaden człowiek nie pragnie konać w niewypowiedzianych mękach, jeśli może ich uniknąć. Lecz cóż ma uczynić ów, który ich uniknąć nie może? Pragniesz, bym wskazał ci, gdzie są towarzysze moi. Jeśli tak uczynię, wówczas lud twój nieprzeliczony rzuci się na nich za twą namową i zginą. Nie uczynię więc tego... Trzymasz w ręku nóż mój, z którym nie rozstawałem się nigdy wierząc, że przynosi nieszczęście. Dziś pojmuję, że szczęściem będzie dla mnie, jeśli wbijesz go w serce moje. Uczyni to, a okażesz mi łaskę. Bowiem nie rzeknę słowa więcej, jeśli zdołam.

I zamilknąwszy przymknął powieki, jak gdyby uwierzył, że kupiec fenicki spełni jego prośbę. Lecz Assebal roześmiał się.

- Nikczemny głupcze! Czy sądzisz, że jest mi potrzebny twój nędzny żywot? Wolę, abys żył, choć jeśli będę musiał doprowadzić cię do przedsionka śmierci i przemienić ciało twe w jedną ranę, abys przemówił, uczynię to!

Lecz nim to nastąpi, dowiesz się, czy nie nazbyt wysoko myślałeś o sobie, wierząc, że nie zdradzisz swych towarzyszy. Gdyż ze słów twych pojąłem niezbitcie, że masz towarzyszy i kryją się oni gdzieś w tej krainie! A nie może to być zbyt daleko. Nim nadejdzie mój wierny sługa, sam zechcę przekonać się, że jesteś głupcem, i upór twój na nic się nie zda. Oto nożem tym, który jest dla ciebie tak szczęśliwy, najpierw podważę i wyrwę kolejno paznokcie na nogach twoich, a później uczynię podobnie z twymi dłońmi. Będzie to jedynie igraszka, gdy przyrównasz cierpienia swoje do tych, które zadam ci później wraz z mym wiernym sługą! Oto rozpoczynam od wielkiego palca twej nogi prawej! Czy wiesz już, który to... - Dotknął lekko dłonią stopy leżącego, który drgnął mimowolnie.

Assebal roześmiał się i odstąpiwszy o krok, zastanawiał się przez chwilę. Nigdy nie czynił podobnej rzeczy. Postanowił, że pochwyciwszy palec silnie jedną ręką, drugą...

Zbliżył się i chwycił nogę Białowłosego, który szarpnął nią, a choć był mocno przywiązany, jednak udało mu się poruszyć nieznacznie stopą.

- Wierzgasz, ty psie! - mruknął przez zęby kupiec i pochwyciwszy mocniej pochylił się, by...

Białowłosy leżał przez chwilę, nie mogąc unieść głowy, gdyż sznur biegł mu przez gardło, dusząc przy najlżejszym poruszeniu. Usłyszał łoskot padającego ciała, odgłos uderzenia i stłumione rżenie. Ktoś szybko podszedł do stołu. Ujrzał wojownika, podobnego do tych, którzy go pojмали. Ubrany on był w krótką, szarą płócienną szatę opasaną skórzanym pasem, na licach i czole miał pasma błękitnej i czerwonej barwy, a w dłoni trzymał nóż, którym szybko począł rozcinać jego więzy.

- Czy możesz wstać? - zapytał wojownik.- Białowłosy siadł dotykając odruchowo zranionego ramienia. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w oblicze wojownika, który szybkim ruchem objął go i zszadził ze stołu, a później rzucił mu uniesioną z ziemi szatę.

- Pójdiesz, czy mam cię zarzucić na plecy? Spiesz się, na wszystkich bogów!

Bez słowa Białowłosy pochwycił pochwę swego noża i rozejrzał się.

Rzucili się ku drzwiom przeskakując leżące ciało, którego głowa rozplątana była straszliwym ciosem siekiery. Białowłosy dostrzegł swój nóż w ręku zabitego i sięgnąwszy wyjął go ze stygnących

palców. Kątem oka ujrzał, że wybawca jego podbiegł ku palenisku i porwawszy głownie wskoczył na stół. Wspiąwszy się na palce dotknął końcem płonącego polana suchej trzciny poszycia dachu.

A kiedy płomień począł pełznąć po niej rosnąc szybko, zeskoczył i wypadł w ciemność.

- Na lewo! - szepnął wojownik. - Po prawej w mroku stoi ich okręt, a zapewne czuwa przy nim straż. Nie biegnij, lecz idź, jak gdybyś oddalał się bez trwogi i był przechodniem.

I z wolna odeszli w ciemność. Za nimi płonęła nieskończona ilość ognisk, ciągnąc się aż ku wzgórzom, lecz ognie ich poczęły z wolna dogasać. Przed nimi był niski ciemny brzeg, a dalej morze, mroczne i ciche pod rozgwieżdżonym niebem, na które jeszcze nie wszedł księżyc.

Obejrżeli się. Pierwszy wysoki płomień strzelił z dachu składu i przygasł na chwilę, aby później wybuchnąć z szumem i objąć koniec strzechy.

- Tam! - rzekł półgłosem idący przodem wojownik. - Dostrzegłem je, gdy przechadzałem się tu...

Łodzi było kilka, wąskich i lekkich, wykonanych z jednego kawałka pnia. Zepchnęli jedną z nich na wodę i odbili. Wewnątrz leżało jedno tylko wiosło, krótkie i ciężkie. Wojownik wiosłował szybko i cicho, starając się nie pluskać zanadto.

- Gdyby kto spoglądał tu z brzegu, ujrzałby nas zapewne - powiedział niemal wesoło. - Spójrz, jak płonie to domostwo! Jeśli znam ludzi, wierz mi, że nikt z tych, którzy są w pobliżu, nie spogląda teraz na morze, lecz na płomienie! Albowiem ludzie wielce miłują takie widowisko, gdy nie ich domy płoną! A gdy płoną ich domy, także nie mają czasu rozglądać się!

Odpłynęli już dość daleko od brzegu, lecz nadal wiosłowali rozpaczliwie, gdyż wydawało im się, że czerwony blask pożaru kładzie się na fale rozświetlając wielką połać morza.

Gdzież jest okręt? Niechaj go bogowie zatopią! - zaklął wojownik. - Czyżby opuścili nas w potrzebie?! Wyteżaj wzrok, bowiem nie przepłyniemy morza czółnem, a jak dostrzegłem, nie masz zapewne chęci powrócić do owego miasta, gdzie tak gościnnie cię przyjęto!

Lecz choć nie dostrzegli Angelosa, osiem dziesiątków oczu spoglądających na brzeg ujrzało maleńką łódź sunącą smugą blasku rzucanego przez płonący dom.

I wielki czarny okręt cicho ruszył jej na spotkanie.

Tej nocy, gdy piękna Wasan opatrzyła ranę Białowłosego, a Harmostajos klnąc i trąc oblicze mokrą szmatą zmył wreszcie z niego pasy czerwonej i błękitnej farby, legli obaj na dnie okrętu okryci skórami, gdyż noc była chłodna. Leżeli w milczeniu spoglądając w gwiazdy, pod których nieruchomym rojem Angelos mknął na południe.

- Czyż nie powiesz mi, jak tego dokonałeś? - rzekł wreszcie Białowłosy przerywając milczenie.

Harmostajos roześmiał się cicho. Gdy po wyciągnięciu ich na pokład książę zadał mu to pytanie, odparł, że wróg był jeden, odwrócony tyłem i bezbronny jak małe dziecko, więc rzecz cała nie jest godna uszu boskiego potomka bogów.

A że książę wraz z Terteusem i Eriklewesem musiał właśnie postanowić, w jakim kierunku poprowadzić okręt, więc poprzestał na tym.

Mimo to wszyscy byli pełni zadziwienia, wynosząc pod niebiosa męstwo i przemyślność człowieka, który samotnie w nieprzyjacielskim mieście odnalazł towarzysza, oswobodził go z rąk wrogów i podpaliwszy ich dom, uciekł wraz z nim szczęśliwie, jak gdyby bogowie nie mieli nic innego do czynienia, prócz prostowania jego ścieżek, gdy był w niebezpieczeństwie!

- Nie uwierzyłem, aby mieli cię zabić niezwłocznie... - rzekł Harmostajos. - Byliby głupcami czyniąc tak. Sądziłem, że powiodą cię do swego króla, wszyscy bowiem tak czynią, gdy pochwyć obcego. Szukałem więc największego domu w tej barbarzyńskiej, wielkiej wsi, a gdy dostrzegłem go

i dwu ludzi strzegących wejścia, nie spuszczałem go z oka. Cóż innego mogłem uczynić?

- Lecz jak mogłeś dotrzeć tam nie poznany?

- Widziałem cię prowadzonego do owego człowieka na wzgórzu, gdzie stoi świątynia uformowana z głazów. Dostrzegłem też z dala, że ludzie ci mają oblicza pokryte farbą. Przyszło mi więc na myśl, że gdybym miał szatę podobną do ich szat i pomalował czoło i lico, jak oni to czynią, przejdę zapewne nie poznany, a to dlatego, że nieustannie z lasów wynurzały się ich całe krocie z kobietami i dziećmi. Szli z daleka, gdyż byli utrudzeni i stopy ich pokrywał kurz. Pojąłem więc, że dzień ów musi być dniem święta lub zebrania całego ludu tej krainy. A któż może znać wszystkich ludzi w swej krainie, by rzekł o innym: „Ten jest obcy!” Więc zdobyłem sobie szatę... i farby... - Roześmiał się. - Później, gdy ujrzałem Fenicjanina, który prowadził cię jak zwierzę na postronku, zapragnąłem ruszyć za wami, wbić mu niepostrzeżenie nóż w plecy i uwolnić cię. Lecz wokół było mnóstwo ludzi, a prowadził cię on ku morzu, tam gdzie i ja pragnąłem, abyśmy się znaleźli. Szedłem więc za wami.

- I cóż uczyniłeś później?

- Wiesz, co uczyniłem później! - Harmostajos znowu roześmiał się cicho. - Być może owe obietnice, które poczynił ci nasz fenicki czerwono-brody przyjaciel, odebrały ci pragnienie snu. Lecz ja, któremu nie chciał on uczynić krzywdy, niczego tak nie pragnę jak tego, abyś zamilkł wreszcie. Czyż nie wiesz, że Terteus pojawi się tu wkrótce, szarpiąc nas i każąc wstawać? Albowiem gdy oko jego nie widzi naszych grzbietów pochylonych nad wiosłem, dusza jego boleje.

- Płyniemy pod żaglem... - rzekł Białowłosy - i będziemy mogli wyspać się do woli. Rzeknij mi więc, jak...

- Czy zamilkнеш wreszcie?! - jęknął Harmostajos. - Czemuż nie pozostawiłem cię na owym stole Fenicjanom na pożarcie?! Spałbym już od dawna!

Lecz Białowłosy długo leżał patrząc w niebo. Gdy próbował przymknąć oczy i usnąć, pojawiała się przed nim uśmiechnięte smagłe oblicze kupca Assebala i słyszał spokojny głos zachwalający przymioty roztopionej kapiącej w otwartą ranę cyny, jak gdyby była ona doskonałym, godnym wypróbowania towarem.

Usnął wreszcie ukołyszany przechyłami okrętu sunącego przez rozgwieżdżoną noc.

- Opowiedz mi o wyspie, gdzie królem jest ojciec twój i mieszka matka twoja! - rzekła piękna Wasan. - Jakaż ona jest?

- Skalista i niewielka, zagubiona pośród morza, a nieprzystępna, tak że kreteńska stopa nie stanęła nigdy na niej niosąc nam śmierć, a kobietom naszym niewolę. Nienawidzą nas oni, gdyż jesteśmy rozbójnikami morskimi i wrogami Minosa.

- Nie o wyspę twą pytałam cię.

- O cóż więc? - zdumiał się Terteus.

- O matkę twoją.

- Czemuż pytasz o nią? Pytałaś wczoraj i rzekłem ci, co umiałem.

- A siostry twoje?

- I o nie pytałaś także. Jeśli ujrzemy kiedyś brzeg rodzinny, wprowadzę cię do domu mego i będziesz żyła pośród nich.

- Pragnęłabym, aby to się stało wkrótce.

Terteus zmarszczył brwi, lecz uśmiechnął się po chwili. Stali oboje na dziobie, patrząc na niewielkie fale tańczące w słońcu. Angelos płynął przez wiele dni na zachód, lecz teraz ląd skręcił ku

południowi i uwierzyli wreszcie, że powracają.

- Bogowie jedynie wiedzą, jak daleko jesteśmy od stron znajomych... - rzekł Terteus. - Lecz matka moja dobrą jest niewiastą i nie lękaj się jej.

- Nie lękam się jej - rzekła Wasan - lecz pragnęłabym ujrzeć ją wkrótce i zamieszkać w domostwie stojącym na ziemi, a nie kołyszącym się na wodzie.

- Czyż morze jest dla ciebie udręką? Zła to wróżba dla mnie, myślałem bowiem, że w przeciwieństwie do innych niewiast nieraz będziesz mi towarzyszyć, gdy powróciwszy wyruszę w nowe wyprawy...

Wasan potrząsnęła głową, a jej piękne długie włosy rozsypały się spływając po silnych ramionach.

- Nie jest mi ono udręką, lecz może się nią stać.

Pragnęłabym wkrótce zamieszkać w prawdziwym domostwie, otoczona niewiastami. Bowiem będziemy mieli dziecko, a nie rodziłam nigdy i jakżebym miała uczynić to na okręcie pośród samych mężów, jeśli podróż ta przeciągnie się jeszcze przez zbyt wiele dni?

- Dziecię?!... - rzekł Terteus i oniemiał.

- Czyżbyś nie dostrzegł jeszcze tego? - Roześmiała się. - Nieprędko to nastąpi, lecz proszę bogów o to, by dali mi szczęśliwie zstąpić na wyspę, gdzie żyje matka twoja, siostry i, wiele innych niewiast.

- Posejdonie! - rzekł Terteus i pełen lęku chwycił się za głowę. - Cóż mam uczynić?!

- Nic! - Roześmiała się znowu. - Czyżbyś przeląkł się jednego nie narodzonego jeszcze dziecięcia, mężny żeglarzu? Rzekłam ci o tym, gdyż słusznym jest, abyś wiedział zawczasu. A czyż dziwisz się, że pragnę być w domu twoim, gdy mój czas nadejdzie?

- Bogowie! - rzekł Terteus i odwróciwszy oczy od widnokregu przed dziobem, spojrzał na nią bezradnie. - Czyż nie pojmujesz, że dzieli nas od wyspy mojej nie tylko morze niezmierzone, lecz i nienawiść straszliwa władcy Krety? Czyż nie wiesz, że walcząc, trudząc się i unikając niebezpieczeństw, dążymy na spotkanie największego niebezpieczeństwa, jak gdyby bogowie, wyrwawszy nas z paszczy potworów, barbarzyńców i gromów burzy, czynili tak jedynie po to, by ucieszyć serce Minosa? Tak dawno opuściliśmy ów świat i tak silną jest rzeczą tęsknota, że wszyscy niemal zapomnieliśmy o najgorszym, które nas czeka nie tu, na obcych wodach, lecz tam, gdzie choć dokonaliśmy czynów wielkich, nikt nie powita nas jak bohaterów!... - Umilkł na chwilę. Później rzekł zniżając głos: - Uradziliśmy z boskim Widwojosem, że wpłynąwszy na wielkie Morze Pośrodku Świata wynajdziemy małą wysepkę lub inny odludny zakątek. Tam pozostając księżę wyśle człowieka do Ariadny, by wybadał, czy sprzyja mu ona, a także drugiego, który pocznie rozpuszczać wieści, że księżę powrócił z wielkiej wyprawy wioząc niezmierzone bogactwa, lecz lęka się powrócić, gdyż brat jego dybie na żywot jego i syna jego. Wierzy on, że wówczas dojdzie być może do układów z Minosem lub nastąpi coś po jego myśli... Lecz sprawa ta wydaje mi się zdrażliwa i pełna niebezpieczeństw, gdyż Minos nie jest głupcem, a potęga jego jest wielka...

- Czemu księżę nie chce poprowadzić okrętu ku twojej wyspie, jeśli jest ona tak nieprzystępna, a przystań jej ukryta jest przed oczyma Krety i nie znana obcym?

- Gdyż, aby uczynić to, musielibyśmy przebyć niemal całe morze, wymijając Kretę i wiele innych wysp pozostających pod władaniem podwójnego topora, a jest nie do wiary, by nie dostrzeżono tak potężnego okrętu, jaki nigdzie dotąd nie pojawił się na wodach świata. A gdy to nastąpi, Minos nie spocznie, póki nie odnajdzie brata swego. Czyż długo mógłby Widwojos żyć tu pod jego bokiem, aby

nikt się o tym nie dowiedział i nie doniósł królowi? Jest z nami osiemdziesięciu wolnych ludzi. Wszyscy oni powracają z wielkim bogactwem. Jakże utrzymać ich przez czas długi na maleńkiej skalistej wysepce, nie dopuściwszy, by zbuntowali się lub umknęli chyłkiem, jeśli nie wszyscy, to część z nich? Czyż ubogi młody człowiek, stając się nagle bogaczem, zechce ukryć się i zakopać swój skarb, miast korzystać z radości życia uratowanego z tak wielu i tak straszliwych niebezpieczeństw, gdy dla zdobycia swych skarbów co dnia narażał głowę, a wielu jego towarzyszy padło w drodze i nigdy już nie ucieszą ich kobiety, piękne domy i winnice, które mogą na jedno skinienie stać się jego udziałem?... - Potrząsnął głową. - Gdyby nawet udało nam się dotrzeć niepostrzeżenie do wyspy mojej, wiem, że wkrótce poczęłyby się swary, ucieczki, doszłoby do tego, że bogom podobny książę, przestawszy być ich umiłowanym przywódcą, stałby się wraz z synem swym przeszkodą leżącą na drodze ich powrotu! Ileż trudu ponieśliśmy, by ustrzec go przed jednym nasłanym nań mordercą! A cóż stanie się, gdy niemal cała jego dawna załoga pojmie, że największym szczęściem dla nich będzie śmierć Widwojosa! Czyż któryś z nich nie uciekłby w końcu morzem skradzioną łodzią lub wraz z paru towarzyszami na jednym z okrętów, by powiadomić Minosa o miejscu, gdzie kryje się brat jego? Zdrajca ów mógłby wierzyć wówczas, że choć okręty kreteńskie przybędą na wyspę, by przemienić ją w cmentarzysko, on sam uratuje swe skarby i będzie żył szczęśliwie! I zapewne miałyby słuszość. Lecz wówczas sprowadziłbym nieszczęście nie na boskiego Widwojosa jedynie, lecz i na ród mój cały, bowiem zginęliby wszyscy! Lepszą więc sprawą będzie czekać gdzieś w ukryciu i wierzyć, że bogowie, którzy tyle nam dobrego uczynili, zechcą uczynić jeszcze więcej!

- Pojęłam twe słowa... - rzekła piękna Wasan. - I choć pragnęłabym, aby syn twój lub córa, jeśli ci ją zesła bogowie, narodzili się w domostwie, w którym ty ujrzales światło dnia, lecz stanie się tak, jak się stać musi. Wszelako pragnęłabym wielce, aby podróż ta dobiegła końca, gdyż przewiduję że niełatwo mi wkrótce będzie żyć na okręcie, a gdybym miała nieco lnu lub wełny, uprzedłabym dla mego dziecięcia powijaki i to, co godziwe, aby miało, gdy się narodzi...

Uniosła głowę i próbowała się uśmiechnąć, lecz nagle złożyła ją na piersi małżonka swego i rozplakała się cicho.

Terteus objął ją ramieniem i stał spoglądając na morze, którego nie dostrzegał. Oblicze jego zasepiło się. Od chwili, gdy pozostawili Kamona, nie widział łez pięknej Wasan, a nie znajdował słów, które by je łatwo osuszyły.

Po chwili jednak żona jego otarła powieki i roześmiała się.

- Nie frasuj się mną, bowiem jestem jedynie niewiastą i jak ptak unoszony w przestworzu pragnę gniazda, by w nim spocząć. Lecz gdyby nawet syn twój miał narodzić się tu, będzie on kiedyś żeglarzem jak ojciec jego, a bóg twój Posejdon zapewne bardziej umiłuje zrodzonego na falach niżli tych, których narodziła ziemia!

I uśmiechnąwszy się odeszła na tył okrętu, gdyż zbliżał się czas posiłku, który, jak to było w zwyczaju, odkąd wstąpiła na pokład Angelosa, przygotowywała wraz ze starym Nasiosem, zbyt sędziwym, aby ująć za wiosło lub linę żagla, a nie pragnącym być bezużytecznym wśród dzielnej załogi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Człowiek ów zwał się Ekedamos

Tego dnia, nim słońce zanurzyło się w falach morza na zachodzie, ujrzeni pomiędzy sobą a dalekimi brzegami okręt sunący ku północy.

Skrećiwszy ku niemu, dostrzegli wkrótce, że jest to wielka łódź fenicka o niewielu wiosłach wspomaganych żaglem, taka, jakich używali kupcy tego ludu do przewozu swych towarów na niewielkie odległości po wodach przybrzeżnych między sąsiadującymi przystaniami. Płynęła powoli, głęboko zanurzona, najwyraźniej pod brzemieniem przewożonego na dnie ładunku.

Na widok zbliżającego się potężnego okrętu Fenicjanin nie zawrócił ku brzegowi wiedząc, że nie zdążyłby się tam ukryć, lecz płynął dalej. Zapewne nie sądził też, aby na tych wodach, gdzie panowały okręty jego ludu, mogło mu coś zagrażać.

- Cóż uczynimy, synu bogów? - spytał Terteus stojąc na dziobie w hełmie i z włócznią w dłoni. - Czy zatopimy ich, aby nie donieśli o naszym pojawieniu się na tych wodach?

- Nim dobiją oni do swej przystani i nim wieść stamtąd rozejdzie się, będziemy daleko, zmierzając ku naszemu celowi... - Widwojos potrząsnął głową. - Lecz ludzie ci zapewne zamieszkują w pobliżu i znają drogę ku Bramie Świata, którą musimy przekroczyć.

- Byłoby słusznym, gdybyśmy porwali jednego z nich, aby nam wskazał drogę... - rzekł Terteus. - A co mamy począć z nim, gdy nam tę drogę wskaże, postanowisz później, książę!

- Tak uczynimy... - Widwojos skinął głową.

Angeles okrążył łódź i zwolnił wyprzedzwszy ją nieco. Patrząc z burty dostrzegli, że załogę przy wiosłach stanowią przykuci do nich niewolnicy. Pod masztem stali dwaj Fenicjanie, a kilku żołnierzy w skórzanych pancerzach otaczało ich ze wzniesionymi tarczami spoglądając na wielki okręt z nie ukrywaniem przerażeniem. Choć wszyscy mieli w rękach włócznie i długie miecze u boku, dostrzegli las lśniących ostrzy, gdy wielkie tarcze pokrywające Angelosa uniosły się, a wiosłarze, cofnąwszy wiosła, powstali. Ujrzeni także łuczników, którzy mierzyli w nich z góry, opierając łokcie o burtę.

- Zatrzymajcie wasz okręt! - zawołał Terteus stojący w lśniącym pancerzu i z dumną kitą powiewającą nad hełmem. Lecz rozkaz ów był zbyteczny, gdyż jeśli nawet Fenicjanie owi nie znali mowy, w której został wypowiedziany, niewolnicy przestali wiosłować i zamarli przy wiosłach, a okręt kołysał się na falach popychany jedynie lekkim wiatrem. Angelos zwolnił i zatrzymał się, a gdy Terteus wskazał wyciągniętym mieczem niski i szeroki purpurowy żagiel fenicki, na rozkaz jednego z dwu stojących pod masztem ludzi opuszczono go prędko.

W ciszy zupełnej wielki okręt przybliżył się do małego, a niewolnicy pospiesznie wciągnęli wiosła, aby nie uległy zgruchotaniu. Gdy stało się to, Terteus z okrzykiem pierwszy skoczył na dół.

Lecz nie uderzył, gdyż Fenicjanie odrzuciwszy broń upadli na kolana i trwali tak zakrywszy

oblicza, czekając tego, co nastąpi.

Białowłosy wraz z kilku innymi, pojmującymi mowę fenicką, znalazł się w łodzi tuż za Terteusem, który znał wiele słów wszelkich żeglujących ludów.

- Kim jesteście? - zwrócił się stojąc z uniesionym mieczem nad oboma klęczącymi, podczas gdy ludzie z Angelosa zbierali porzucony oręż i podawali go tym, którzy stojąc na pokładzie okrętu wyciągnęli z góry ręce, aby go pochwycić. Morze było spokojne i Angeles nie oddalał się, choć burta fenickiej łodzi kołatała lekko o jego bok.

- Jesteśmy kupcami, panie! - rzekł jeden z Fenicjan. - Płyniemy wioząc wino, narzędzia i naczynia z brązu, by wymienić je za niewolników, których pragniemy sprzedać w naszym mieście kupcom z południa.

- Jakże zwie się wasze miasto?

- Gades, panie!

- Czy jest ono wielkie i bogate?

- Jest to przystań, panie... do której przybywają towary z Morza Południowego Świata, abyśmy mogli je wymieniać na dobra barbarzyńskich ludów północy...

W tej samej chwili Białowłosy, który cofnąwszy się szedł wraz z Perilawosem wzdłuż kołyszącej się łodzi ku jej tyłowi, gdzie złożono towary, zatrzymał się nagle, słysząc słowo wypowiedziane w znajomej mowie.

- Wojownik! - rzekł jakiś głos. - Czy jesteście sługami boskiego Minosa?!

Perilawos także odwrócił się. Patrzyli obaj ze zdumieniem na rosnącego nagiego niewolnika, który siedział wsparty o wiosło. Nogi jego przykute były do ławy spiżowym łańcuchem oplatającym je w kostkach.

- Kim jesteś, że znasz mowę kreteńską? - spytał Perilawos.

- Byłem dowódcą okrętu, który zatopili oni w pobliżu Acragas sycylijskiego, gdzie znajduje się ostatnia przystań pod władzą świętego podwójnego topora. Odtąd przykuty do ławy wlokę nędzny żywot, gorszy niżli zwierzę, nie mając nadziei żadnej, bym jeszcze ujrzał brzeg rodzinny.

- Wolność twoja wróciła do ciebie! - rzekł Perilawos i zawołał: - Terteusie! Terteusie! Jest tu Kreteńczyk, którego przykuli do ławy!

Terteus porzuciwszy klęczących Fenicjan podszedł i gdy rzecz się wyjaśniła, kazał rozkuć owego człowieka, pytając innych niewolników, czy pojmują jego mowę?

Lecz byli to ludzie półdzicy, zapewne należący do barbarzyńskiego plemienia w głębi wielkiego ładu, a schwytani przez inne plemię stali się towarem wymienionym za nieco spiżowych ostrzy lub grotów do strzał.

Spoglądali oni z równym przerażeniem na klęczących kupców fenickich i ich bezbronnych stłoczonych pod masztem żołnierzy jak i na tych, którzy zeskoczywszy z wielkiego okrętu wypełnili teraz łódź błyska jąc orężem. Wszyscy oni nosili na plecach i nogach ślady okrutnych razów, pochodzących od bata, zakończonego cynowymi kulkami, który miał zatknięty za pas szaty jeden z kupców. Rany owe były otwarte i roило się w nich od robactwa, a słona woda morska z opadających bryzgów fal w gryzała się w nie.

Uwolniony Kreteńczyk powstał ciężko i podszedłszy do masztu spojrział na obu klęczących kupców.

- Czy nie oddasz mnie znów, dostojny panie, owym okrutnym bestiom? - zapytał drżąc na całym ciele, nie wiadomo: z trwogi czy z tajonej nienawiści.

- Nie, gdyż zabierzemy cię i pożeglujesz z nami ku brzegom Krety. Albowiem jest to okręt bogom podobnego Widwojosa, brata królewskiego, a młodzieniec, który stoi obok ciebie, to syn jego, Perilawos, wnuk zmarłego Minosa, twego władcy! Nie pozostawią cię tu oni.

Niewolnik w milczeniu uniósł ramiona pochylając głowę i uczcił oba imiona książąt, jak gdyby pozdrawiał bogów. Lecz gdy opuścił ręce, rzekł:

- Ludzie ci tak wiele okazali okrucieństwa mnie i owym barbarzyńcom, że pragnąłbym, abyś ujrzał, jak nas batożyli, gdyż inaczej nie pojmiesz, że człowiek może być tak zajadły, by osłabiać tych, którzy są jego zwierzętami roboczymi. Mnie wszelako dręczyli bardziej niż innych, zmuszając, bym wzywał pomocy Wielkiego Byka, którego nazywali bezrozumnym bydlęciem i wierzchowcem owej wszetecznej Aszery. A nie było okrucieństwa ni poniżenia najnędzniejszego, którego bym nie zniósł od nich! Czyż bogom podobni książęta, którzy są tu z tobą, zechcieli puścić ich żywych, zabrawszy ich towary?

Mówiąc to obrócił się ukazując im swe straszliwie poranione plecy, a spoglądający z burty Angelosa bogom podobny Widwojos wstrząsnął się na ów widok.

Terteus zwrócił ku obu Fenicjanom płonące zimnym blaskiem spojrzenie.

- Przywiążcie ich do masztu! - rzekł. - A wraz z nimi i owych żołnierzy!

A gdy to uczyniono, zwrócił się ku Widwojosowi.

- Sądziłem, że dla wielu przyczyn lepiej będzie, aby okręt ów nie dopłynął już do swej przystani, lecz wiem, jak bardzo nie pragniesz, boski książę, abyśmy zabijali, jeśli da się tego uniknąć. Wszakże ci zajadli wrogowie twej krainy niegodni są, aby żyć, a okrucieństwo ich widzisz wypisane na grzbiecie tego szlachetnego żeglarza, który tak wiele od nich wycierpiał jedynie dzięki temu, że był poddanym władcy Krety, ojca twego.

- Czyń, co ci się słusznym wyda! - rzekł donośnie Widwojos.

- Dzięki ci, boski książę!

Terteus zwrócił się ku swym towarzyszom nakazując rozkuć niewolników. Bowiem brak mu było rąk przy wiosłach, a gdyby ich nie wziął, musieliby zginąć wraz z innymi.

Gdy wszelkie przedmioty i towary, wraz ze zdartym z masztu żaglem, przerzucono już na pokład Angelosa, Terteus podszedł ku stojącym pod masztem i przykrępowanym doń ciasno ludziom, by sprawdzić moc ich więzów. Gdy uzyskał pewność, że żaden z nich nie oswobodzi się, rzekł do swoich, aby wdrapali się na okręt i odczekawszy, aż pozostał tylko jeden z nich, Metalawos o potężnych ramionach, którego zatrzymał rozmyślnie, rzekł do niego:

- Ujmij jedną z dwu okrętowych siekier, które kazałem tu pozostawić, a ja ujmę drugą, byśmy razem mogli szybciej wyrąbać dziurę w dnie tego okrętu! Lecz niechaj nie będzie zbyt wielka, aby mogli nacieszyć się jeszcze żywotem, wspominając, jak smagali grzbiety swych ofiar! I zabrali się do dzieła. A kiedy woda trysnęła im spod stóp pośród okrzyków przerażenia ludzi przywiązanych do masztu i ich błagalnych jęków, obaj pochwycili za liny rzucone im z burty Angelosa i wdrapali się tam pospiesznie.

Potężny okręt drgnął i oddalił się, zataczając krąg. A choć rozwinięto żagiel, gdyż wiatr był sprzyjający, żaden z wiosłarzy nie siadł ni leżał na dnie, by zaznać wypoczynku, lecz wszyscy zgromadzili się spoglądając na fenicką łódź, która stała nieruchomo na morzu kołysząc się lekko.

Milczeli, a z dala do uszu ich dobiegały żalosne okrzyki, lecz wkrótce szum fal i śpiew wiatru w linach zagłuszyły je.

Zdawało się, że łódź trzyma się na powierzchni wód i pozostanie na niej, lecz oto nagle maszt

przechylił się, a płaskie kamienie leżącego na dnie balastu, mającego utrzymywać ją w równowadze przeciw uderzeniom fal, pociągnęły kadłub w głąb i powierzchnia wód cicho zamknęła się nad fenickimi żeglarzami.

A wówczas nagi człowiek o pooranym razami grzbiecie począł śmiać się głośno, lecz nagle ukrył oblicze w dłoniach i zapłakał.

Wiedzieli, że nie opłakuje on prześladowców swoich, lecz bogowie różnie objawiają radość w człowieku uratowanym od zguby w chwili, gdy utracił już wszelką nadzieję.

Białowłosa ujął go pod ramię i bezwolnego jak dziecko poprowadził na tył okrętu, aby piękna Wasan opatrzyła jego rany i mógł spocząć na posłaniu ze skór, nim nakarmią go i napoją.

Człowiek ów zwał się Ekedamos i pochodził z Phaustos, gdzie rodzina dawno opłakała go jako zmarłego, gdy nie powrócił wraz ze swym okrętem.

Gdyby nie on, nie wpłynęliby zapewne nigdy na Morze Pośrodku Świata, bowiem gdy tego wieczora przybili do bezludnego, porośniętego lasem wybrzeża, dostrzegł ich nadpływający okręt, który zawinął, także na noc, do małej ocienionej drzewami zatoki leżącej na południe od miejsca ich postoju.

A że widok zbliżającego się ku brzegowi olbrzyma sunącego pod żaglem, na którym, choć odległość była wielka, dostrzec można głowę Byka, wydał się dowódcy owego fenickiego okrętu zdumiewający i groźny, nakazał on po zapadnięciu zmroku podnieść żagiel i chwycić za wiosła. A mimo że wypłynął właśnie z Gades powrócił tam pospiesznie, donosząc o nieznanym, płynącym z północy okręcie, który, niechaj Aszera Pani Mórz to poświadczy, nie mógł być okrętem fenickim, gdyż przewyższał je wszystkie swą potężną budową.

Uwierzono mu, przepytawszy załogę, która także widziała ów okręt.

Następnego ranka o wschodzie słońca dwadzieścia okrętów miasta Gades wypłynęło na morze, a pokłady ich roiły się od zakutych w spiż wojowników. Płynęły szeroko rozrzucone, badając zakątki wybrzeża i ujścia rzek, a także zapuszczając się na pełne morze. Wypatrywały go wszędzie, lecz gdy wreszcie dostrzegły ciemny kształt na widnokregu, był to jedynie jeden z ich okrętów, powracający z towarami nadmorskiej osady na północnych brzegach krainy, zwanej później Akwitanią.

Tego wieczora, gdy dostrzegł ich ów okręt fenicki, sam nie będąc przez nich widzianym, książę siedział przy ognisku i wraz z Terteusem przepytывał Ekedamosa o jego żywot niewolniczy wśród Fenicjan, o ich obyczaje i drogę, która leżała przed Angelosem.

- Jesień jest tu porą piękną i ciepłą jak i na naszej wyspie, boski potomku bogów! - rzekł Ekedamos. - A choć wiosną morze to bywa niezmiernie burzliwe i nawet latem zatopiło już niejedyn okręt, który nierozważnie zapuścił się zbyt daleko, tracąc ląd z oczu, lecz wierzyć można, że jeszcze przez trzy lub cztery dziesiątki dni fale nie poczną ryczeć i tłuc o brzeg. A że Gades jest grodem potężnym o wielu okrętach i licznym wojsku, ostatnim z wielkich miast świata i jedynym leżącym za Słupami Bramy, więc zatopiliby was lub gonili na południe, póki nie dognaliby gdzieś z pomocą innych. Bowiem morze, przez które musimy się przedrzeć, i wybrzeża jego, są we władzy Fenicjan. A strzegą go oni zazdrośnie i nigdy żaden obcy okręt nie zapuścił się na nie. A nawet w pobliże jego nie dotarły okręty kreteńskie. Mnie także pojmano o wiele dni drogi na wschód, a choć byłem już doświadczonym żeglarzem, nie wiedziałem wówczas o owej drodze zwanej Drogą Cynową, którą Fenicjanie sprowadzają ów najcenniejszy kruszec z Wysp Północy. Gades jest największym grodem nadbrzeżnym na owej drodze, lecz na całym wybrzeżu Fenicjanie utrzymują wiele przystani. Gdy uda się nam wyminąć je i gdy miniemy pilnie strzeżoną Wielką Bramę prowadzącą ku Morzu Pośrodku

Świata, wówczas po wielu dniach żeglugi ze sprzyjającym wiatrem być może ujrzymy brzeg sycylijski i rozpocznie się tam świat bezpieczniejszy znacznie, gdyż imię Krety budzi postrach i posłuszeństwo...

Widwojos wymienił szybkie spojrzenia z Terteusem, lecz uratowany przez nich kapitan nie dostrzegł tego. Widząc niemal całą załogę skupioną wokół ogniska i słuchającą jego stów, ciągnął dalej szczęśliwy, że znów słyszy z własnych ust mowę ojczystą i ma przed sobą ludzi, którzy ją pojmują.

- Rzecz więc w tym, aby okręt twój, panie, mógł przemknąć się wzdłuż wrogich wybrzeży ku południowi, a później na wschód, aż wreszcie ujrzysz z dala góry na północy i na południu, a pomiędzy nimi bramę, która prowadzi do Morza Pośrodku Świata. Wiele jest tam w pobliżu osad fenickich i wiele okrętów czuwa, aby nikt nie przedarł się przez Bramę, za którą Fenicjanie prowadzą handel z barbarzyńskimi ludami zachodu. A ludów tych jest wiele, jak to sami ujrzeście własnymi oczyma, przemierzywszy wielką połać świata, która mnie jest nieznana, choć sądziłem dotąd, że jako jedyny syn Krety znam lądy i morza, o których nigdy mi nie będzie danym opowiedzieć, gdyż zginę marnie pod batami tych fenickich psów...

Urwał na chwilę i potarł czoło, jak gdyby myśli jego pomieszały się nagle z radości i znużenia.

- Jakże więc radzisz nam płynąć teraz, jeśli w drodze wyminąć mamy wielkie grody z licznymi okrętami i wojskiem? - zapytał Terteus.

- O tym właśnie pragnąłem wam rzec! - ożywił się ponownie Ekedamos. - Gdy wyruszymy o świcie, natrafimy, płynąc u wybrzeży, na ujście wielkiej rzeki, a Gades znajduje się za nią ku południowi strzegąc Bramy Świata, od której dzieli ów gród dzień żeglugi przy pomyślnym wietrze... Lecz wybrzeże wygięte jest tu jak ułamana połowa koła i cofa się w głąb. Jeśli więc wyruszymy jutro o świcie, powierzycie swój los bogom i przetniecie morze, wówczas będziemy płynąć z dala od lądu przez dni dwa i dwie noce, a trzeciego dnia o świcie winniśmy ujrzeć na wschodzie Bramę Świata. Kto raz ją ujrzał, ten nie zbłądzi nigdy i rozpozna ją pośród innych gór i wzgórz na widnokręgu... Wówczas, opuściwszy żagiel i położywszy maszt, aby nikt nas nie mógł dostrzec z wielkiego oddalenia, ruszymy z nastaniem zmroku ku Bramie i minimy ją nocą, bowiem jest ona szeroka, tak że nawet za dnia okręt będący u jednego jej krańca nie ujrzy okrętu przepływającego w pobliżu przeciwległych brzegów. Pamiętać nieustannie trzeba, że strzegą jej Fenicjanie wielce czujnie. Bogowie jednak chcą, że nadpłyniemy z zachodu, skąd nie mogą spodziewać się obcego okrętu, gdyż nikt prócz nich nie przemierza owych wód, a baczą oni pilnie, by ktokolwiek nie wydostał się Bramą ze wschodu. Tak więc jeśli przybliżymy się nocą do przeciwległego południowego krańca Bramy, a nieszczęśliwy traf nie postawi wrogów na naszej drodze, możemy przedostać się niepostrzeżenie. Jeśli nie uczynicie tak, być może także uda się wam przedostać, lecz stoczyć będziecie musieli bój na morzu z przeważającym nieprzyjacielem. A mając z sobą mnie, który pragnie wywdziękzyć się za uratowany żywot, miejcie pewność, że rada, którą wam daję, jest tą, którą przyjąłbym, gdybym sam dowodził okrętem waszym!

- Cóż... - rzekł Terteus po krótkim namyśle. - Jeśli rzekłeś to ty, Ekedamosie, który sam byłeś dowódcą okrętu, a jako niewolnik wielokrotnie przemierzałeś te wody i znasz grody naszych wrogów na równi z położeniem brzegów, obok których mamy płynąć, kogóż mamy posłuchać, jeśli nie ciebie? Sami nie byliśmy tu nigdy, a pragniemy żywot nasz ocalić, podobnie jak ty pragniesz ocalić swój. Czy przyzwalasz, boski książe, abyśmy uczynili, jak radzi ów nieszczęsny i doświadczony żeglarz?

A gdy Widwojos skinął głową, załoga, uspokojona i z rosnącą nadzieją w sercach, legła przy

ognisku, pozostawiając strażom czuwanie nad snem swym i okrętem.

Przed świtem dnia następnego wyruszyli nie kierując się ku południowemu wschodowi wraz z linią wybrzeża, lecz wprost na południe, oddalając się od lądu i wychodząc na pełne morze. A gdy słońce zaczęło opadać, ziemia przemieniła się w pasmo niknących w wielkim oddaleniu wierzchołków górskich.

I tak nie wiedząc o tym wyminęli okręty miasta Gades, choć niewiele brakowało, by ów, który płynął na skraju szeregu, dostrzegł ich, mimo że opuścili żagiel, posuwając się na wiosłach i wyjęli maszt z otworu grubego kłoca, w którym zwykle tkwił.

Drugiego dnia o zmierzchu Ekedamos rzekł, że znajdują się naprzeciw Bramy Świata.

Morze nadal było spokojne, lecz łagodne fale urosły i stały się tak wielkie, że każda z nich unosiła okręt na swym grzbiecie. Angelos ześlizgiwał się miękko w doliny, by później znów unieść wysoko w górę. Ustawwszy dziób pod wiatr, który wiał ku lądowi, czekali zapadnięcia nocy.

- Tu nie ujrzy nas nikt! - rzekł Ekedamos do Terteusa, gdy stali obaj na rufie okrętu wraz z nie odstępującym sterów Eriklewesem, wpatrując się w dalekie góry na widnokręgu. - Albowiem tędy nie wiedzie droga ku żadnemu lądowi, a Fenicjanie wierzą, że nie ma za morzem tym niczego, prócz pustki. Gdyż wielu z nich wypływało tam, poszukując nowych lądów, gdzie mogliby znaleźć przystań i za towary swe kupować inne. Lecz nie znaleźli, choć niejeden z nich płynął przez wiele dni. A wielu nie powróciło, niechaj Posejdonowi będą dzięki za to! Wierzyć trzeba, że morze owo jest bez kresu.

- Kiedyż chcesz, abyśmy ruszyli ku Bramie Świata? - spytał Terteus. - Gdyż wydaje mi się ona odległa, a jeśli nie zdążymy przebyć jej nocą, wówczas, jak sam rzekłeś, wrogowie nas dostrzegą.

- Możemy zawrócić dziób okrętu już teraz, lecz wiosłować trzeba powoli i zbliżyć się przed zapadnięciem zmroku pilnie bacząc, czy nie ujrzemy żagla na widnokręgu. A płynmy nadal nie stawiając masztu, a jedynie pracując wiosłami. Oby bogowie zesłali nam noc ciemną!

Noc nie była jednak tak ciemna, jak tego pragnęli, gdyż świecił księżyc. W blasku jego i bladym świetle gwiazd dostrzegli wyraźnie ostrą, wysoką skałę po lewej ręce, wybiegającą w morze. Drugi kraniec cieśniny był pogrążony w mroku, a choć Terteus pragnął płynąć z dala od brzegów, posłuchał znów rady Ekedamosa, gdyż ów rzekł że okręt płynący środkiem wód łatwiej będzie dostrzeżony niżli ów, który przemyka się wzdłuż brzegów pod niebotyczną skałą.

Angelos sunął cicho, gdyż zakazano rozmów i śpiewu, który niosąc po spokojnych wodach mógł dotrzeć do uszu czuwających na strażniczych okrętach. Nikt zresztą nie miał do śpiewu ochoty. Oto jeszcze chwila, a nim zmrok minie i nastanie dzień, znajdą się ponownie na własnym morzu. A choć był to jego najodleglejszy kraniec, gdzie nigdy dotąd nie zawitał żaden okręt kreteński, jednak cokolwiek stanie się później, wiedzieć będą odtąd, jaką drogą mogliby powrócić do ojczyzny.

Ci, którzy nie zasiedli przy wiosłach, wlepiali oczy w mrok, pragnąc dostrzec zawczasu fenickie okręty, gdyby miały pojawić się przed dziobem.

Lecz nie napotkali nikogo, a gdy świt począł wstawać na bezchmurnym niebie, ujrzeli, że brzeg cofnął się daleko. Jedyne wierzchołki gór na północy i innych, dalszych jeszcze, na południu, świadczyły, że wpłynęli na Morze Pośrodku Świata, zamknięte w krąg brzegami wielu krain. Z południa dał gorący, suchy wiatr.

Terteus stanął na podwyższeniu obok miejsca, gdzie zwykle zatknięty był maszt i długo rozglądał się. Lecz morze było puste.

Wówczas nakazał wsunąć maszt na powrót i unieść żagiel z dumną głową Byka. A załoga cała

powstawszy uniosła ramiona i podziękowała bogom radosnych okrzykiem.

Albowiem cokolwiek miało teraz nastąpić, wiedzieli już, że kości ich nie spoczną w dalekich kopcach nad brzegami mórz nieznanych i rzek w barbarzyńskich krainach, gdzie spoczywały prochy tak wielu ich towarzyszy.

Wzniósłszy okrzyk, poczęli oglądać się na tył okrętu, gdzie stały mocno przytwierdzone linami pithosy z bursztynem, przypomniawszy sobie o nich nagle. A że wiatr wydał rozwinięty żagiel i okręt szedł prosto ku wschodowi, uprosili bogom podobnego księcia, aby zezwolił im teraz spojrzeć na skarb, który wieźli. Gdy zgodził się, Metalawos o potężnych ramionach nożem przeciął grubą powłokę wosku na pokrywie jednego z pithosów i odjąwszy ją, łagodnie przechylił wielkie naczynie, aż złociste i białawe bryłki posypały się z cichym klekotem na dno okrętu i legły na nim falistym potokiem.

Stali wszyscy spoglądając na nie w milczeniu, aż wreszcie Białowłosy rzekł:

- Leżą tu one jak kobierzec utkany ze złotego runa!

A książę, który stał obok niego, uśmiechnął się i zwracając ku załodze, zawołał donośnie:

- Mili towarzysze moi! Oto powróciliśmy, a choć wiele czasu upłynąć może, nim ujrzemy znów brzegi ojczyste, jednak każdy z was wie już, że wraz z innymi wziął udział w wyprawie, o jakiej nigdy dotąd nie słyszały uszy ludzi, i oglądał oczyma własnymi widoki tak przedziwne i odległe, że nie starczy mu żywota, by opowiedzieć o nich! Odtąd każda kraina i gród każdy z czią wymawiać będą imiona wasze! Rzekł tu jeden z was, spoglądając na bursztyn leżący u stóp naszych, że mieni się on jak runo złote. Wiedźcie, że póki świat trwać będzie, ludzie z podziwem i czią wspominać będą was i ową wyprawę po złote runo, a pamięć o niej trwać będzie aż po najdalsze wieki! I tak, choć ludźmi jesteście jedynie, czyn ów przemienił was w nieśmiertelnych! I po raz pierwszy on sam, wyciągnąwszy ramiona przed siebie i pochyliwszy lekko głowę, pozdrowił ich czcząc ich dzielność. A oni odpowiedzieli okrzykiem wielkim na cześć jego, po czym Metalawos o potężnych ramionach z wolna zgarnął lekkie, klekoczące kamyki do pithosa, postawił go i nakrywszy odniósł tam, gdzie miał przebywać do zakończenia wyprawy.

Tego wieczora, gdy Białowłosy stał z Harmostajosem przy burcie spoglądając na słońce, chowające się z wolna za wodnym widnokregiem, Harmostajos roześmiał się nagle.

- Cóż cię tak ucieszyło? - spytał Białowłosy odwracając wzrok od morza ku obliczu przyjaciela.

- Czy słyszałeś, co rzekł książę? - Harmostajos śmiał się nadal. - Że imiona nasze nie zaginą, póki świat trwać będzie? Czyż to nie ucieszne, że zostałeś nieśmiertelnym Białowłosym, a ja nieśmiertelnym Harmostajosem, choć uczyniliśmy jedynie to, co musieliśmy, by uchronić żywoty nasze i naszych towarzyszy, co na jedno wychodzi? - Spoważniał nagle. - Zaiste wielka to była wyprawa, a gdybym sam w niej nie brał udziału, nie uwierzyłbym w owe potwory, pola lodowe i bursztyn walający się po piasku jak pęknięte skorupy na śmietniku! Nie uwierzyłbym też, że jest kraina, gdzie słońce nie zachodzi, ani w to, że Bóg ukazał nam Głowę Swoją z morza! Lecz choć na wszystko to patrzyły oczy nasze, to gdy wieść o owej wyprawie rozejdzie się, lud każdy z czasem przemieni imiona nasze na swoje imiona, a nawet imię okrętu naszego przemieni na inne!

- Czemuż mieliby tak czynić? - zapytał Białowłosy ze zdumieniem.

- Bowiem każdy pragnie czcić to, co mu bliskie.

A choć bogom podobny Widwojos wierzy, że i jego imię nigdy nie zaginie, któż może rzec, co nastąpi po nim? Gdy minie nieco czasu, wiele miast dorzuci imiona swych bohaterów do tej opowieści, opuszczając inne. A gdy minie go jeszcze więcej, rzecz cała tak się przemieni, że my,

którzy braliśmy w tym udział, nie poznalibyśmy ni siebie, ni czynów naszych, ni wydarzeń, na które patrzyły nasze oczy... Leczn po cóż trapić się tym, co będzie, gdy kości nasze pobieleją i rozpadną w proch! Sen morzy mnie; przez całą noc wpatrywałem się jak głupiec w mrok, pragnąc zawczasu ujrzeć Fenicjan, którzy dzielnie spali na swych wygodnych łożach w zacisznych przystaniach, nie frasując się o nas, nieśmiertelnych bohaterów powracających do ojczyzny, która na powitanie śmierć by nam zgotowała, gdybyśmy byli tak nierozważni, aby pragnąć ją ujrzeć! Idę! Żegnaj mi ty, który ujrzaleś złote runo!

I odszedł śmiejąc się cicho, by lec na nagich deskach pokładu z tarczą pod głową, bowiem noc była ciepła.

A Białowłosy pozostał wsparty łokciami o wysoką burtę okrętu, rozmyślając nad jego słowami, które brzmiały mu jeszcze w uszach, gdy noc zapadła i czarny okręt zanurzył się w srebrny mrok, sunąc cicho po falach rozjaśnionych księżycem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sam bądź księciem

Chciał los lub może bogowie, których myśli wysokie nieznane są śmiertelnym, zapragnęli, by książę Widwojos był szczęśliwy na krótko, skoro nie na zawsze.

Bowiem na dziesiąty dzień, gdy opływali od południa Sycylię, nie napotkawszy żadnego okrętu i przybiwszy uprzednio po dwakroć do bezludnych brzegów południowych, z których rozciągał się widok na płaską, bezbrzeżną krainę stepową ogrzewaną gorącym słońcem tych okolic, postanowili zawinąć do brzegu po raz trzeci dla nabrania świeżej wody. A gdy żeglując wzdłuż skalistego wybrzeża, opływali wysunięty przylądek, ujrzeli naprzeciw dwa okręty płynące w niewielkiej odległości. Zbyt późno było skryć się przed nimi, lecz spotkanie to wielce zaniepokoiło Terteusa, gdyż płynęli pod wzdętym żaglem, na którym widniała wypłowiała już od słońca i wichrów, lecz wciąż jeszcze wyraźna głowa Byka. Zresztą sam potężny kadłub Angelosa kazałby każdemu żeglarzowi zapamiętać go i opowiedzieć o tak przedziwnym spotkaniu w najbliższej przystani, do której zawinie.

Niepokój ów przeszedł w trwogę, gdy dostrzegł, że jeden z nich był kreteńskim okrętem kupieckim, a drugi, smukły, niski pięćdziesięciowiosłowiec o szerokim żaglu, stanowił jego ochronę. Mieli zapewne w ładowni drogocenny ładunek albo też okrętem kupieckim podróżował dostojnik dworski dążący do posiadłości sycylijskich Minosa.

Klnąc w duchu na swą nieostrożność, nakazującą mu przybliżyć się do owych brzegów, choć wiedział, że leżały one już na granicy morskiego państwa Krety, Terteus podbiegł do Widwojosa stojącego pod masztem i także wpatrującego się w okręty, które zwolniły na ich widok.

- Cóż pocniemy, boski książę? Czy uderzymy na nich wierząc, że uda nam się zatopić oba wraz z ludźmi, aby nie uszedł nikt, kto doniesie bratu twemu, że żyjesz i powróciłeś?! Mów prędko, błagam cię, bo wiem zbliżają się ku nam!

Spoglądał z napięciem w oblicze księcia. Choć walka nie byłaby łatwa, gdyż pięćdziesięciowiosłowiec prócz wioślarzy miał na pokładzie dobrze uzbrojonych żołnierzy, a i na okręcie kupieckim zapewne także było wielu takich, którzy władali bronią, wierzył, że uderzywszy zniecka może zatopić dziobem okręt wojenny, a wówczas drugi stałby się ich łupem bez trudu.

- Nie uderzę nigdy na okręt mego ludu, jeśli nie rozpocznie on walki z nami! - rzekł spokojnie książę. - Jeśli tak być musi, niechaj królewski brat mój dowie się, że żyję i powróciłem. Morze jest wielkie i wiele jest miejsc, gdzie możemy skryć się przed Minosem, wyminąwszy tę wielką wyspę. Niechaj płyną, dokąd ich wiatr prowadzi!

Lecz okręty zwolniwszy zatrzymały się, a Terteus spoglądał na nie bezsilnie, klnąc w duchu zniewieściałość książąt, gdyż pojmował, że gdy wieść ta dotrze do Minosa, Angelos przemieni się w

zwierzyńę ściganą, gdziekolwiek się ukaże, i poszukiwaną przez niezliczone okręty i szpiegów na lądzie.

Wielki okręt wszedł z wolna pomiędzy oba mniejsze, mijając oba w niewielkiej odległości.

- Angelos! Angeles! - zaczęto wołać na obu pokładach i dostrzegli, że ludzie rzucają się ku burtom, wpatrując się w nich ze zdziwieniem. - Król nasz! Król! Minos!

I oto dostrzegli, że ludzie na okrętach prostują się wyciągając ramiona.

Terteus zmarszczył brwi. Stojący pod masztem Widwojos rzekł do Perilawosa, który stanął przy nim:

- Czy słyszysz, synu mój? Cóż wołają owi ludzie?

- Zatrzymać okręt! - krzyknął nagle Terteus. - Zawracamy!

Z wolna wiosła uniosły się, opuszczono żagiel i czarny potężny kadłub pochylił się lekko, gdy wiosła na jednej burcie znów opadły razem, a Eriklewes przyparł stery. Angelos zatoczył krąg na spokojnych wodach zatoki i zbliżył się do stojących okrętów.

- Kim jesteście? - zawołał Terteus.

- Płyniemy z Amnizos do sycylijskich przystani wioząc ładunek! - odpowiedział stojący przy burcie człowiek O pięknie utrefionych włosach i z kryształowym łańcuchem na obnażonej piersi. Lecz głos jego łamał się z przejęcia. - Czyż nie jest to Angelos? Okręt, którym syn bogów Widwojos wyruszył na swą wyprawę po bursztyn?!

- Jest to Angelos! - rzekł jasnym, donośnym głosem książę. - A jam jest Widwojos! Czyż nie poznajesz mnie?

Człowiek ów nie odpowiedział. Uniósł ramiona, opuścił nisko głowę i trwał tak wraz z całą swą załogą i żeglarzami stojącymi na drugim okręcie. Zapadła cisza.

- Bądź pozdrowiony, Minosie, władco nasz i królu! - rzekł wreszcie ów człowiek drżącym ze wzruszenia głosem. - Zwątpiliśmy, czy żyjesz jeszcze, choć po śmierci brata twego boska Ariadna rozkazała, by lud cały czekał rok na wieść od ciebie, nim obiorą królem dziecię córki jej siostry, w którego żyłach także płynie święta krew wasza!

- Ojciec! - rzekł Perilawos. - Czy słyszysz?!

Lecz Widwojos nie odpowiedział. Stał patrząc niewidzącymi oczyma na morze i kołyszący się przed nim na falach niski okręt, z którego dobiegał ów głos, wieszczący mu, że może powrócić w tryumfie do domu przodków swoich i odbudować chylące się do upadku królestwo, on, bohater największej z wypraw morskich, którego oplakali już zapewne, mając go za umarłego!

- Kiedyż umarł brat mój i król?

- Gdy nastąpiła pora burzliwego morza - Choroba obaliła go wówczas i nie wstał już więcej z łoża. A złożono go do grobu, nim nastąpiła wiosna.

Widwojos milczał przez chwilę.

- Jak dawno wypłynęliście z Amnizos?

- Ósmy raz słońce wstało od dnia naszego wyruszenia, a nie zawijaliśmy nigdzie, lecz płynęliśmy wprost ku tym wybrzeżom przez pełne morze nie napotykając żadnego okrętu!

- Czy lud wierzy nadal, że powrócę wraz z moją wierną załogą?

- Wielu wierzyło, potomku bogów, i zanosili oni modły o to, gdyż krążą złe wieści, a obce ludy żyjące dotąd w pokorze pod panowaniem naszym szemrzą głośno... Zły byłby to znak, gdyby w czasie takim dziecię zasiadło na tronie Minosa, więc lud wypatruje cię z utęsknieniem!

Widwojos uniósł dłoń i skinął.

- Przybliż się wraz z twym okrętem! - rzekł jasnym, donośnym głosem. - I wszedłszy tu stań przede mną, abys mógł powtórzyć słowa swoje! Albowiem przedziwne wieści mi przyniosłeś.

Ósmego dnia o zmierzchu ujrzeni z dala maleńki, ciemny punkt na wschodnim widnokregu, który począł rosnać z wolna, aż przesłoniła go zapadająca noc. Lecz nim zniknął, wpatrywali się weń z czcią, jak gdyby ponownie ujrzeni pośród wód Oblicze Boga. W sercach ich nie było dziś lęku, a jedynie radość tak wielka, że niektórzy stojąc nieruchomo i nie mogąc przemówić słowa, płakali nie kryjąc łez przed innymi.

Albowiem wierzchołek owej góry dalekiej wznosił się na zachodnim krańcu Krety.

A gdy nastąpiła noc i brzegi wyspy przybliżyły się, odbili od nich na pełne morze, gdyż boski Widwojos pragnął zawinąć do Amnizos niespodzianie, aby tym większą radość wywołać i podziw. A myśląc tak chciał, aby lud zapamiętał ową chwilę nie przez wzgląd na jego boską osobę, lecz na syna jego, któremu pragnął powierzyć koronę, radząc mu jedynie i bacząc, aby młodość nie pchnęła go do czynów nierozważnych, gdyż morskie królestwo potrzebowało władcy, który byłby nie tylko znamienitym żeglarzem i człowiekiem dzielnym, lecz i rozumnym.

Rozwagał to siedząc na rozłożonych pod masztem skórach i wpatrując się w ciemność, która kryła dalekie zarysy brzegów.

A gdy nadszedł świt, dostrzegli z dala góry otaczające Amnizos i święte Knossos w dolinie.

- Wkrótce ujrzymy pierwszy okręt powracający do portu lub wyruszający z niego o wschodzie słońca, ojcze!

- rzekł Perilawos. - Czy zatrzymasz go i wyślesz przed nami, aby zgotowano nam przyjęcie należne nie tylko władcom, lecz tym, którzy świat opłynęli?!

Widwojos uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Wiedz, że gdy człowiek czegoś się nie spodziewa, a rzecz ta spadnie nań nagle, pozostaje ona dłużej w jego pamięci i tym większą się wydaje, im bardziej niespodzianie się wydarzyła. Niechaj ujrzą nas powracających, gdy przebudzone miasto rozpocznie swój dzień pracowity...

Lecz Perilawos, drżący z niecierpliwości i radujący się wraz z całą załogą z nagłego obrotu ich losu, który otwarł im bramy powrotu, gasząc wraz ze śmiercią Minosa straszliwe, ciężące nad nimi niebezpieczeństwo, wypatrywał owej chwili, gdy lud cały zacznie zbiegać na wybrzeże, nie wierząc swym oczom i oddając cześć bohaterom!

Wreszcie minęli pasmo wzgórz zachodnich i ujrzeni z dala małą wyspę zagradzającą drogę do portu. I wspomnieli w owej chwili odległy dzień, gdy odbiwszy mijali ją pozdrawiając jako ostatni skrawek ziemi ojczystej.

Morze przed nimi było puste, a miasto ciche i jak gdyby uśpione, niewidoczne niemal w błękitnej mgle poranka.

Wiosła opadały i wznosiły się szybko, gdyż każdy z wiosłarzy pragnął przybliżyć chwilę powrotu. I oto z dala ukazało im się wreszcie nadbrzeże i wysokie domy za m, spoglądające ku morzu...

Terteus, który stał na dziobie wraz z księciem, Perilawosem i tymi, którzy nie zasiedli przy wiosłach, zmrużył oczy i przysłonił je dłonią.

- Cóż to jest? - rzekł na pół do siebie. - Któż nas będzie witał, jeśli w porcie nie widać okrętów, a i na nadbrzeżach nie dostrzegam...

Umilkł. Inni także patrzyli ze zdumieniem. Bowiem wielki port Amnizos leżał przed nimi cichy i martwy, jak gdyby nie był najludniejszym i najbardziej gwarnym nadbrzeżem świata.

Angeles minął wyspę i zbliżał się szybko ku kamiennemu nadbrzeżu.

- Domy... - rzekł nagle zduszonym głosem Perilawos.

- Spójrzcie!

I oto ujrzeli, że widne z dala czoła pięknie malowanych wysokich domów leżą w ruinie, a niektóre z nich padły i przemieniły się w kupę gruzów, odsłaniając nagie, osmalone wnętrza.

Nadbrzeże było puste.

Gdy przybiwszy w milczeniu, zarzucili liny i przywiązawszy okręt zeszli na ląd, nad nadbrzeżem uniosły się chmury ciemnego ptactwa, i kołując zawirowały w jasnym przestworzu, aby później opaść znów tam, gdzie leżał ich żer.

A żerem tym były trupy ludzkie straszliwie pokłute ostrzami włóczni i porąbane mieczami.

W południe, gdy stali na ruinach pałacu w Knossos, dostrzegli pierwszego człowieka, który płacząc grzebał w zgliszczach domu. Pochwycili go i nie opierającego się przywiedli przed oblicze bogom podobnego Widwojosa.

Człowiek ów, gdy poznał księcia, rzekł im, że stało się to przed ośmiu dniami. Nadpłynęło z morza mrowie nieprzeliczone okrętów prowadzonych przez wielu królów, składających dotąd hołd Krecie. Część z nich uderzyła na Amnizos pod osłoną nocy, inni, przybiwszy uprzednio do ustronnej zatoki, przeszli przez wzgórza i natarli na uspioony pałac, gdzie Tezeusz, książę ateński, trzymany tam jako zakładnik wraz z wieloma innymi synami królów, napadł zbrojnie na strażę pałacowe i otworzył bramy nacierającym.

A nienawiść ich do Krety była tak wielka, że mało rabowali, mordując jedynie wszystkich napotkanych i paląc miasto, dom po domu. Zburzyli także pałac królewski, gdy ogień, który strawił go, przygasł. Rzekli bowiem, że nie zostawią kamienia na kamieniu z królestwa Krety, aby nikt z żywych nie oglądał już śladów po nim. I opłynęli całą wyspę, burząc wszystkie miasta i docierając wszędzie, prócz wierzchołków gór najwyższych i dzikich wąwozów, gdzie skryli się wieśniacy i ci, których najście znalazło poza murami miast, lecz tych było niewielu. A gniew najeźdźców był tak wielki, że ścięli wszystkie winnice i gaje oliwne, tratując ogrody i obalając gołymi rękoma kolumny podtrzymujące osmalone mury.

A gdy dokonali dzieła zniszczenia i nie pozostał przy życiu nikt, na kim spoczęły ich oczy, ani też choćby jeden dom, odpłynęli ku innym wyspom, gdzie jeszcze włada Kreta, by wyciąć do ostatniego wszystkich, którzy służyli dwuramiennemu toporowi. Zatapiali też każdy okręt wraz z załogą, nie bacząc na ładunek, jak gdyby nie pragnęli wzbogacić się, lecz jedynie niszczyć.

Człowiek ów rzekł także księciu, że skrywszy się na wierzchołku góry patrzył, gdy odpływali na wschód, a nigdy nie widział tak wielu okrętów, bowiem całe morze pokryte było żaglami.

Pragnął jeszcze mówić o zagładzie Amnizos, lecz siły opuściły go i omdlał.

Boski Widwojos, który nie odezwał się od chwili, gdy postawił stopę na brzegu, rzekł patrząc na niego:

- Oto mój jedyny poddany, którego jestem królem!

Więc po to opłynąłem świat, synu mój, abym cię przywiódł na powrót do miejsca, gdzie już nie nienawiść brata mego, lecz świata całego ścigać nas będzie, a gdy dowiedzą się, że ocalał ktoś ze świętego rodu Byka, zagnają nas jak dzikie zwierzęta w matnię i będą tropili tak długo, aż padniemy bez sił! A wówczas rozszarpia nas, by zaspokoić wreszcie swą nienawiść i zdusić na zawsze trwozę, którą budzi w nich nasze imię!

Z wolna przesunął ręką po czole i postąpił ku potrzaskanej krawędzi pałacowego dachu, na

którym stali spoglądając na morze ruin w dole.

- Czemu nie zginąłem od barbarzyńskiej strzały? - rzekł cicho. - Usypalibyście mi mogiłę wysoką w dalekiej krainie i oplakalibyście mnie. Leżałbym w niej cicho, nie wiedząc, że oto świat runął w chwili, gdy wierzyłem, że włożę na twoje skronie, synu, koronę Minosa! Umarły śniłbym o brzegach ojczystych. Lecz oto sny moje wszystkie leżą tu pogrzebane w prochu, a ja żyję!

Odwrócił się ku Perilawosowi, który stał za nim zaciskając wargi, wsparty na włóczni.

- Jesteś już dojrzałym mężem - rzekł Widwojos z łagodnym zdumieniem, jak gdyby dostrzegł to po raz pierwszy. - Jeśli masz uratować żywot, lepiej będzie, gdy zostaniesz sam. Jesteś młody i być może odnajdziesz szczęście, choćby nie nadeszło ono w koronie! Bowiem młodość sama jest królestwem!

Wyciągnął rękę i lekko dotknął oblicza syna, lecz wnet cofnął ją. Odwróciwszy się nagle, rozpostarł ręce i bez okrzyku runął w dół z dachu jak wielki ptak trafiony w locie strzałą.

Usłyszeli łoskot ciała uderzającego o kamienne ruiny w dole.

A gdy dnia następnego powrócili z gór, gdzie pochowali ciało bogom podobnego Widwojosa w głębokiej mogile, owinąwszy je wprzód wielkim żaglem, na którym wyobrażona była głowa Byka, pod którą przemierzył świat cały, i złożony na piersi jego kamienny topór Minosa, dar Ariadny, zeszli ku umarłemu miastu i stanęli na nadbrzeżu wiedząc, że nadszedł czas, aby każdy z nich rzekł, co czynić zamierza.

Lecz wszyscy w milczeniu spoglądali na Perilawosa, który od śmierci ojca nie przemówił słowa.

Terteus zwrócił się ku niemu teraz i skłoniwszy głowę rzekł:

- Perilawosie, choć królestwo twoje legło w gruzach i zapewne nigdy już nie dźwignie się, gdyż nie zezwolą na to jego wrogowie, jesteś, póki żyjesz, władcą tej ziemi, więc zezwól, że oddamy ci cześć, gdyż nadszedł czas, abyśmy się rozstali.

Mówiąc to przyłożył dłoń do czoła, a inni uczynili podobnie, kłoniąc głowy. Gdyż taka jest moc imienia królewskiego, że choć był ich towarzyszem, jednym z najmłodszych, lecz teraz uczcili w nim jego boskich przodków.

Terteus, mimo że radował się w sercu widząc tak straszliwy upadek Krety, bolał nad śmiercią Widwojosa, który był człowiekiem szlachetnym i mężnym, nie znającym okrucieństwa.

Perilawos uniósł głowę i spojrział na nich, jak gdyby nie pojmując.

- Czemuż mamy się rozstawać? - rzekł i nagle jego oblicze oblało się smutkiem. - Masz słuszość, Terteusie. Bowiem każdy, kto pozostanie ze mną, zginie, gdy wrogowie Krety dowiedzą się, że żyję. Odejdźcie więc w spokoju, przyjaciele!

- Cóż chcesz rzec przez to? - Terteus oblał się rumieńcem. - Sądziłem, że pragniesz pozostać z tymi, którzy nie pragną odpłynąć, a są z twego ludu.

- A gdzież mogę stąd odejść? - Perilawos uśmiechnął się bezradośnie. - Czy znasz krainę, która przyjmie mnie, dziedzica tronu Minosa, syna Krety, której świat cały nienawidził i którą zniszczył, tak że nie pozostało z niej nic prócz wspomnienia, choć tak niedawno rządziła morzami?

- Cóż więc zamierzasz uczynić? - zapytał Terteus.

- Mógłbym idąc w ślady ojca mego rzucić się ze skały w morze lub wbić sobie miecz w serce... Być może oszczędziłoby mi to cierpienie, które wrogowie moi zechcą mi zadać. Któż bowiem uwierzy, że nie pragnę i nie pragnąłem nigdy być władcą, choć ojciec mój pragnął tego dla mnie. A żywot, który wiodłem od chwili, gdy wyruszyliśmy na sławną wyprawę naszą, był mi najmilszy. Gdyż bliższy byłeś mi ty i Białowłosy, i Harmostajos o wesołym obliczu, i wy wszyscy niżli wszystkie

królestwa świata, choć jakże miałem to rzec ojcu memu?

Zamilkł.

- A gdybyś... - rzekł nagle Terteus i zamilkł zmieszany, lecz przemógł się i ciągnął dalej: - Skoro królestwo twoje legło w gruzach, a nie pragniesz odejść w góry, by zebrać tych, którzy jeszcze pozostali, i władać nad nimi, czemuż miałbyś nie wyruszyć z nami? Angelos stoi w przystani i czeka, byśmy zasiedli do wiosła!

- A czy nie lękałbyś się, gdybym zamieszkał na wyspie twojej, Terteusie?

- Jeśli zechcesz tam zawitać, k łóż dowie się o tym? Odpłynąłeś stąd niemal jako dziecię, a powróciłeś jako rosły młodzieniec! Nikt cię nie pozna, a wierni towarzysze twoi tu zebrani nie zdradzą cię! A że świat dawny runął i nikt już nie włada morzami, czemuż nie mielibyśmy wkrótce wyruszyć, by założyć nowe królestwo w miejscu odludnym lub pokonawszy barbarzyńców, którzy je zamieszkują, jak to czynili nasi ojcowie, a i twoi także, gdy przybywszy na Kretę zdobyli ją?

Umilkł i rozejrzał się, a spojrzawszy na nich wiedział, że radują się jego słowami, choć żaden nie rzekł słowa. Bowiem straszna im była ta kraina śmierci, a serca ich pełne były tęsknoty do dalekich lądów i wód niezmiernych.

- Lecz wprzódy zezwólcie, abyśmy popłynęli na wyspę moją, gdyż oplakali mnie tam nieraz, a małżonka moja, piękna Wasan, także płacze nocami, nosząc dziecię moje w łonie i pragnąc znaleźć się wśród niewiast, gdy czas jej nadejdzie! - Zwrócił się do Perilawosa. - Jeśli zechcesz więc, przybywaj, a dom mój będzie twoim domem, i jeśli zechcesz za żonę jedną z pięknych sióstr moich, dam ci ją, gdyż choć królestwo twoje leży w gruzach, byłoby to z chwałą największą dla rodu mego!

Perilawos patrzył nań przez chwilę, jak gdyby pragnął pojąć, ile prawdy mieszczą słowa przyjaciela, a ile w nich wyzwania rzuconego światu, do którego należał, a który poprzysiągł zetrzeć nawet ślad imienia Krety. Wreszcie wyczytał zapewne prawdę w jego oczach, gdyż nagle wyciągnął ramiona i objęli się serdecznym uściskiem, a później odstepili od siebie prędko, jak gdyby zawstydzeni.

- Ruszajmy! - rzekł ochryłym głosem Terteus. - A gdy minie pora wzburzonego morza, wyruszymy znów z mej ukrytej wśród skał przystani! Niechaj żaden z was nie zapomina, że wielkie bogactwa wieziemy w pithosach naszych! Dzięki nim każdy z was może zostać księciem, gdy sposobny czas nadejdzie!

- Sam bądź księciem! - mruknął cicho Harmostajos, który szedł ku okrętowi wraz z Białowłosym, postępując za innymi. - Mnie zaś pozostaw moje bogactwo, bym kupił za nie dzban wina! A gdy ujrzę w nim dno, bym kupił jeszcze jeden!

- A cóż uczynisz z resztą swego bogactwa? - zapytał Białowłosy rozweselony nagle, choć postępowali wśród trupów przez ruiny umarłego miasta.

- Kupię jeszcze jeden dzban! - rzekł Harmostajos po namyśle. - A później jeszcze jeden!

I wskoczył na pokład.

A gdy wiosła zanurzyły się w wodę i minęli małą wyspę wykręcając ku wschodowi, dodał obracając się w ławie ku Białowłosemu, który siedział za nim.

- A później jeszcze jeden!

Płonie Twój Stos Ofiarny

Rozdział pierwszy

Jeśli nie odnajdziesz go, oddam cię mrówkom

Siedząc pod lekkim, purpurowym baldachimem lektyki, Het-Ka-Sebek Strzegący Spokoju Żywego Wizerunku Duszy Boga Sebeka spoglądał na ludzi zakładających liny na wierzchołku odłamu skalnego kryjącego grobowiec Nerau-Ta, pisarza świątyni jego świątobliwości.

Pracowali szybko, właśnie minęło południe i słońce stojące nad doliną rozgrzewało kamienie tak, że z trudem można było stąpać po nich nagą stopą.

Raz jeszcze Het-Ka-Sebek spojrział na trzymaną w ręce strzałę, której jasny grot z pozłacanego brązu splamiony był czarną, zeschlą krwią ludzką. Ciało zabitego strażnika pustyni leżało pod skałą z dala od oczu kapłana.

„Nerau-Ta” - odczytał po raz setny i po raz setny potrząsnął głową z niedowierzaniem, bliskim nigdy dotąd nie zaznanej trwogi. Zarówno małżonka, dzieci jak i wszyscy krewni zmarłego, którzy wzięli udział w obrzędzie pogrzebowym, twierdzili z uporem, że strzałę tę wraz z innymi pozostawiono w grobowcu. Złożono tam także łuk opatrzony imieniem Nerau-Ta. Łuk ów odnaleźli strażnicy pustyni także tu, nie opodal.

Lecz czemu ci, którzy zakradli się do grobowca, nie zabrali złotych szpil i kolczyków, porzuconych, jak gdyby nie posiadały najmniejszej wartości? Być może nadjeżdżający spłoszył ich, upuścili część łupów, a później nie mogli ich odnaleźć w ciemności lub poniechali poszukiwań, obawiając się, że nadjadą towarzysze zabitego wraz z psami?

Uniósł frankę z prawej strony lektyki. W głębi doliny stało zbite stadko koni pod strażą dwóch ciemnoskórych, półnagich jeźdźców. Inni pieszo w towarzystwie psów obchodzili zbocze, poszukując śladów. Po białym nakryciu głowy rozpoznał pomiędzy nimi Haughę, wodza straży pustynnej.

Zwrócił wzrok ku skale kryjącej grobowiec. Potrząsnął głową. Nie wiedział, czemu przybył tu w porze największego skwaru, w czasie gdy jedynie ludzie, których konieczność do tego zmusza, opuszczali cieniste domy.

Na dnie duszy tkwiła myśl o nie pomszczonym bogu. Rozum mówił mu, że zbiegowie zginęli. Od owej chwili minęło niemal dwadzieścia dni i nikt nie mógłby, nie mając współników, przeżyć tak długiego czasu pośród nagich wzgórz wokół miasta. A Het-Ka-Sebek nie wierzył, aby ktokolwiek chciał pomóc świętokradcom.

Skinął na człowieka trzymającego wachlarz i wyszedł z lektyki, opierając nogę jak na stopniu, na plecach czarnego niewolnika, który padł na twarz widząc jego zamiar. Kapłan z wolna przybliżył się ku skale i stanął wsparty na złotej lasce.

Rozległ się okrzyk kierującego pracą kapłana i ludzie pociągnęli raz, później drugi. Było ich

wielu, ponad stu. Het-Ka-Sebek patrzył na ich napięte z wysiłku grzbiety i czekał. Odłam skalny drgnął i odchylił się lekko od zbocza., aby powrócić na poprzednie miejsce z łoskotem. Ziemia zadrżała.. Nowy okrzyk, ludzie pociągnęli równocześnie i zwolnili napiętą linę.

Przez chwilę skała trwała nieruchomo, jak gdyby nie wiedząc, w którą stronę przeważyc. Wreszcie odchyliła się od zbocza i wolno padła w dół. Rozległ się głuchy grzmot i wielkie odłamy runęły w głąb doliny. Całą przestrzeń przesłonił czerwony pył.

Het-Ka-Sebek czekał, stojąc nieruchomo, nie odwracając głowy i nie drgnąwszy nawet, gdy skała rozprysnęła się, choć wszyscy wokół niego postąpili odruchowo krok ku tyłowi.

Z wolna pył opadł.

Spokojnym równym krokiem wysoki kapłan zbliżył się ku wejściu do grobu.

Zatrzymał się i patrzył przez chwilę. Później skinął ręką na ludzi, którzy nie śmieli się przybliżyć, póki ich nie zawoła.

- Cóż to jest? - powiedział wskazując przed siebie. - Zwłoki człowieka?

- Tak, o najczcigodniejszy, Choć zapewne przygniotła go skała, a teraz padając rozszarpała to, co pozostało, więc niełatwo byłoby go rozpoznać.

Het-Ka-Sebek przygryzł wargi. Widok był straszliwy. Mimo to zbliżył się do otworu grobowego i stanąwszy nad zmarłym spojrzał w głąb ciemnego korytarza. Stał tak przez chwilę, rozważając coś w myśli. Później skinął na kapłanów, którzy brali udział w złożeniu zwłok Nerau-Ta do grobowca.

- Który z was, bracia moi, brał udział w zamknięciu grobu?

- Ja, Het-Ka-Sebeku, który Strzeżesz Spokoju Wizerunku Duszy Boga! - rzekł kapłan Sem, wysuwając się ku przodowi i pochylając nisko głowę.

- Czy pozostawiłeś kóregoś z niewolników umarłego u wejścia? Czy zginął któryś z nich przypadkiem, przywalony skałą?

- Nie. Wszyscy powrócili.

Oczy kapłana powędrowały ku leżącym pod ich stopami straszliwie okaleczonym zwłokom.

- A czy pilnowałeś, aby przegrodzono i zasypano gładzi korytarz prowadzący do grobu?

- Tak, najczcigodniejszy.

Nie pytając więcej, Het-Ka-Sebek wszedł w głąb korytarza grobowego, dawszy znak kapłanowi, aby poszedł za nim. Minęli odrzucone rumowisko gładzi i stanęli przed rozwaloną ścianą przegrody.

- Światła! - rzekł Het-Ka-Sebek. - Niechaj ludzie uczynią mi drogę!

Gdy przyniesiono pochodnie, a niewolnicy oczyścili wąskie przejście, ruszył dalej. Licznie zgromadzeni kapłani czekali przed wejściem, patrząc w milczeniu w ciemny otwór grobu i na resztki ludzkie leżące u wejścia.

Minęła długa chwila, nim Het-Ka-Sebek wyszedł. Za nim wynurzył się kapłan Sem. Oblicze jego zdradzało wielkie wzburzenie.

- Kto z was pamięta, jakiej barwy włosy miał niewolnik z Ludu Morza, który uciekł wraz z chłopcem świętokradcą?

Kilku ludzi wysunęło się ku przodowi.

- Więc patrzcie i starajcie się wyteżyc waszą pamięć! - Wskazał leżące u wejścia ciało.

- Są one takie same jak te, które miał człowiek zwany Lauratasem! - rzekł jeden, a w chwilę później drugi z patrzących potwierdził jego słowa.

- Tak i ja przypuszczałem, gdyż widywałem go często, gdy towarzyszył mi w podróży ku morzu po owego chłopca. Lecz świadectwo jednej pary oczu to zbyt mało w tak przedziwnej sprawie.

Przywołajcie wodza straży pustynnej.

A gdy smagły człowiek o ostrych rysach wspiął się biegiem po zboczu i zerwawszy z głowy białą chustę padł na kolana uderzając głową o ziemię przed złocistymi sandałami kapłana, Het-Ka-Sebek, nadal nie podnosząc głowy, rzekł:

- Ręczyłeś mi, Haugho, że owi dwaj zbiegowie zginęli pochłonięci przez wielki wiatr. Rzekłeś wówczas, że twoje psy i twoi ludzie przebiegli całą pustynię i okolice wokół miasta. Zaręczyłeś mi głową twą, że nie uciekli i nigdzie nie mogli się skryć, więc musiały pochłonąć ich piaski. A oto ludzie owi nie tylko że zadrwali z ciebie, lecz zamieszkiwali przez wiele dni tuż pod bokiem świątyni, którą znieważyli tak straszliwie. A kiedy już wydało im się, że mogą opuścić grób, w którym znaleźli schronienie, wyszli i zabili jednego z twoich wojowników. Nie znalazłem nigdzie ciała tego białowłosego chłopca. On więc zapewne jest zabójcą. Nie znaleźliście także konia owego zabitego strażnika. Tak więc uwierzyć muszę, że świętokradca uciekł na jednym z twoich koni! Ów drugi także by uciekł, gdyby nie spotkała go kara bogów, gdyż najwyraźniej zginął przywalony skałą, opuszczając grób. Lecz w śmierci jego nie ma twej zasługi. Cóż mi odpowiesz ty, który zwiodłeś mnie i pozwoliłeś, by zabójca Żywego Wizerunku Boga uciekł na jednym z twoich koni?

Dowódca straży pochylił głowę i milczał.

- Mów! - powiedział Het-Ka-Sebek nie podnosząc głosu. - Mów, nim postanowię, jaką śmiercią masz umrzeć.

- Panie mój, cóż mam ci odrzec? Jedno tylko, że nie chciałem cię zwodzić, lecz wierzyłem moim słowom i moim oczom. Umrę, jak postanowisz.

Het-Ka-Sebek milczał przez chwilę. Przymknął oczy. Kiedy otworzył je, ciemnoskóry człowiek nadal klęczał nieruchomo u jego stóp, z głową w pyle i dłońmi wysuniętymi ku przodowi, jak gdyby oczekując ciosu.

- Mamy rozległe mrowiska pośród gajów nad jeziorem, jak wiesz - rzekł sucho kapłan. - Niektóre z nich znajdują się pod wielkimi sykomorami. Są one niby miasta wiekuiście spragnione pożywienia. Gdyby przywiązano cię wysoko nad mrowiskiem, pośród gałęzi drzewa, a przedtem nacięto ci skórę, tak by zapach krwi zwabił owe małe pracowite stworzenia, zaczęłyby one piąć się w górę długimi szeregami... Każda powracałaby do swojego miasta niosąc maleńką cząstkę twego ciała... Może to trwać dzień... lub nieco dłużej... Zwykle poczynają one spożywać ciało wiszące od dołu... Bywa, że człowiek, którego nogi są już jedynie kośćmi obgryzionymi do białości, żyje jeszcze i czuje... Czy widziałeś kiedyś takiego człowieka?

Klęczący nie odpowiedział i nie poruszył się.

- Lecz ja - dodał spokojnie Het-Ka-Sebek nie zmieniając głosu - jestem cierpliwy... nazbyt cierpliwy i łagodny. Chłopiec ów uciekł. Wiemy już, że żyje, gdyż tylko żywi zabijają żywych i znikają wraz z końmi. Chłopiec ów musi gdzieś się znajdować... Lecz jest już daleko... Tym razem uszedł nam dalej niż wówczas, gdy zgubiłeś jego ślad... otóż słuchaj mnie, ty, który jesteś dotąd wodzem straży pustynnej: jeśli odnajdziesz go i przywiesz żywego do mnie, zapomnę o tym, co się wydarzyło i imię twe pozostanie między żywymi. Lecz jeśli nie odnajdziesz go, oddam cię mrówkom, aby nauczyły cię twego rzemiosła. A choć ty wraz z wszystkimi twymi wojownikami i psami nie umiałeś odnaleźć bezbronnego wyrostka, odnajdą cię one, choćbyś został przywiązany pośród najwyższych gałęzi drzewa. Zbierz więc wszystkich twych ludzi i pamiętaj, że jest to jedyne wasze zadanie, a inne porzucie do chwili, gdy ów białowłosy chłopiec wpadnie wam w ręce.

- Panie mój - wyszeptał dowódca straży i przywarł wargami do złotego sandała, lecz Het-Ka-

Sebek odrzucił jego głowę lekkim kopnięciem.

- Odejdź, nie chcę słyszeć twego głosu. Zawrócił i wszedł do lektyki.

Tego wieczora w świątyni boga Sebeka wielu młodych kapłanów zajętych było wypisywaniem na krótkich zwojach jednej tylko wieści. Zwoje owe bez zwłoki porywali posłańcy, a szybkie łodzie niosły ich ku rozsianym nad wielką rzeką niezliczonym miastom.

W miejscu, gdzie owa wielka rzeka zwięża swój rozległy nurt wpadający pomiędzy wysokie nagie skały wąwozu przecinającego pasmo niskich wzgórz, leży miasto Sem-Her. Powstało ono przed wiekami jako wioska rybacka, gdyż wokół nie ma żyznych gruntów namulanych przez doroczne wylewy. Później rozrosło się będąc miejscem przeładunku towarów płynących z Górnego Kraju w dół ku delcie. Z jednej strony otacza je nieskończone morze piasków ciągnące się ku zachodowi, z drugiej - kamieniste nagie wzgórze biegną aż ku morzu, nad którym leży daleko na południe kraina Punt. Miasto Sem-Her rozrzucone po obu stronach rzeki, wraz ze swymi świątyniami i pałacem namiestnika jego świątobliwości faraona, jest samotną wysepką zieleni w martwym, prażonym słońcem krajobrazie. Co prawda z dachu świątyni dostrzec można w błękitnej mgiełce oddalenia pasma dalekiej zieleni nad rzeką, lecz tu świat jest martwy i wrogi człowiekowi. Nad rzeką nie rosną trzciny i rzadko pojawia się krokodyl, który nie jest przyjacielem bystrego nurtu i stromych kamienistych brzegów.

- Bracia, którzy strzegą świątyni boga Sebeka nad wielkim jeziorem, ślą ci pozdrowienia, o najczcigodniejszy, a wraz z nimi ten oto zwój, byś raczył zwrócić nań swe świątobliwe oczy i postanowić, czy zechcesz postąpić tak, jak podpowie ci trwająca od stuleci przyjaźń pomiędzy naszymi świątyniami - powiedział cicho młody kapłan.

Stał przed siedzącym w złotym krześle starym człowiekiem, którego jedynym strojem była złocista opaska na biodrach i równie złociste sandały oparte na podnóżku uczynionym na podobieństwo tłustego klęczącego hipopotama o szerokim wypukłym grzbiecie.

- Odczytaj - rzekł niemal niedosłyszalnie stary człowiek.

- Tak, o najczcigodniejszy!

Młody kapłan rozwinął zwój i zaczął czytać przesuwając go w palcach:

- „Słudzy świątyni boga Sebeka najwyższemu kapłanowi świątyni Ptaha, boga i ojca możnych bogów, ślą pozdrowienia...

- Skłonił nisko głowę, urwał dla okazania należytej czci i podjął po krótkim milczeniu:

- Doszła cię już z ust naszych wieść o straszliwym świętokradztwie, popełnionym w świętym mieście Sekhem. Sądziliśmy w niewiedzy naszej, że bogowie sami ukarali winnych grzebiąc ich w piaskach podczas wielkiego wiatru. Lecz stwierdzono, że jeden z nich ocalał i być może zmierza ku północy, pragnąc uniknąć kary. Nie będzie on miał innej drogi i zechce zapewne przemknąć nocą na łodzi nie przybijając do brzegu w mieście Sem-Her. Lecz ty, o najwyższy sługo wielkiego boga, jeśli zechcesz, wydasz rozkaz, a wzdłuż rzeki pojawią się liczne bystre oczy uzbrojonych sług twoich i wypatrzą go, gdyż nie znajdzie on ukrycia na wielkiej przestrzeni, jako że nie ma w pobliżu miasta twego gajów, zarośli i lasów trzciny porastających brzegi.

Prosimy cię w imię przyjaźni i czci, jaką otaczamy ciebie i boga, któremu służysz wraz z braćmi kapłanami wysokiej twej świątyni, abyś pojmanego złoczyńcę zechciał odstawić pod najsilniejszą strażą żywego do domu boga Sebeka nad Wielkim Jeziorem..”

Młody kapłan zwinął papirus i skłonił się głęboko.

- Najczcigodniejszy Het-Ka-Sebek rozkazał mi, bym dodał, że wdzięczność nasza dla sług

wielkiego boga Ptaha znajdzie wyraz w czasie nadchodzącego święta, gdy on sam wraz z innymi braćmi przybędzie tu, aby podziękować ci, o najczcigodniejszy, za przysługę, jaką będzie schwytanie owego nikczemnika. Prosi też, aby dodać, że jest to młody chłopiec o białych włosach i skórze tak jasnej, jakiej nie widziano nad Wielkim Jeziorem.

Stary człowiek milczał przez chwilę. Wreszcie skinął głową, wyciągnął rękę, ujął małą srebrną pałeczkę i uderzył nią w brązowy gong, który uniósł ze stolika stojącego obok krzesła.

Weszło dwóch kapłanów, którzy zatrzymali się przy drzwiach z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

- Słusznym jest, abyśmy podwoili straż nad rzeką i na pustyni. Jeśli będzie próbował okrążyć miasto samotny wędrowiec, lub jeśli zapragnie prześliznąć się rzeką, nie należy zabić go, lecz schwycić żywego. Skóra jego jest biała, a włosy jasne. Jest to sprawa wielkiej wagi, a proszą nas o to bracia znad Wielkiego Jeziora.

Rozdział drugi

...i ogarnęła go ciemność

W południe, gdy słońce stało nad rzeką, prażąc tak, że świat ucichł i zamarł, tuż obok łodzi ukrytej w gęstym morzu wysokich trzcin usiadł zielonkawy duży ptak o długim dziobie.

Przez chwilę Białowłosy przyglądał mu się, później sięgnął wolno po łuk. Dzieliła go od ptaka maleńka wodna polana i kilka pojedynczych trzcin pochylonych lekko w kierunku leniwego nurtu wody. Ptak spoglądał na niego przekrzywiwszy głowę. Mógł odlecieć, lecz nie uczynił tego, wierząc zapewne, że znajduje się dość daleko, by ulecieć, jeśli owo stworzenie, które miał przed sobą uczyni zbyt gwałtowny ruch lub posunie się w jego stronę.

Białowłosy strzelił. Ptak cicho wpadł do wody, zatrzepotał i znieruchomiał. Chłopiec miękko pociągnął wiosłem i nie czyniąc najmniejszego plusku, znalazł się przy nim.

Wyjąwszy strzałę i opłukawszy zakrwawione ostrze w wodzie, oskubał szybko ptaka, rozpruł go nożem i wyrzucił wnętrzności. Później odciął głowę wraz z szyją i zaczął jeść odrywając zębami kawałki ciepłego jeszcze mięsa, które było tak niesmaczne, że nawet straszliwy, skręcający wnętrzności głód nie mógł przesłonić jego mdłego smaku.

Wyrzucił do wody kostki i nadal wiosłując cicho, tak aby wiosło nie sprawiało najmniejszego szelestu, zaczął posuwać się, leżąc niemal na dnie łódki, ku północy wraz z nurtem.

Gdzieś na prawo płynęła mętna rozległa równina wodna, lecz tu było cicho i jedynie wąskie przedzierające się pośród trzcin strumyki wskazywały bieg rzeki. Posuwał się już tak od trzech dni, od chwili gdy w bladym blasku przedświt ujrzał szeroką masę wód, okoloną gajami i wielkimi polami nadbrzeżnej roślinności.

Zeskoczył wówczas z konia, uderzył go mocno w bok i odpędziwszy przestraszone zwierzę, które odbiegło truchtem w pustynię, ruszył w dół ku rzece.

Nadbrzeżne wioski spały jeszcze; bez trudu znalazł małą łódkę, w której ku swej radości odkrył mocne wiosło i kilka skórzanych worków na wodę. Nie wypływając na wolne od trzciny wody, począł posuwać się ku północy krętymi uliczkami wśród szuwarów i zarośli wodnych tak wysokich, że skrywały swobodnie łódź wraz ze stojącym w niej człowiekiem.

Płynął bez wytchnienia przez cały dzień i całą noc, a później znów przez cały dzień, aż wreszcie usnął wprowadziwszy łódź w najgęstsze zarośla. Nie napotkał nikogo, nie dostrzegł żadnej żywej istoty, raz tylko gdy wypłynął na większą, otoczoną trzcinami przestrzeń, ujrzał dwa krokodyle, które oddaliły się szybko i zniknęły nurkując w głębi.

Gdy obudził się, była noc, płynął więc dalej, ciągle ku północy, wierząc, że pokarm sam się pojawi, gdyż zjadł cebule z węzełka i zaczęło brakować mu sił. Lecz choć trzciny pełne były utajonego życia, dopiero teraz upolował pierwszego ptaka. Płynął ostrożnie, coraz wolniej, gdyż

trzciny zdawały się przeredzać i coraz większe jeziora odkrytej wody błyskały przed dziobem łodzi.

W pewnej chwili zatrzymał się przy kępie papirusu, którego podobne do rozwartych wychudzonych straszliwie ludzkich dłoni łodygi pochylały się tworząc tunele nad nurtem.

Leżąc płasko na dnie łodzi uniósł nieco głowę i wiosłując bezgłośnie dłońmi posuwał się teraz niemal niedostrzegalnie jak kłoda niesiona leniwym nurtem.

Trzciny przeredziły się jeszcze bardziej. Rosły kępami i po raz pierwszy od chwili, gdy wsiadł do łodzi, ujrzał z dala czerwone wzgórza, a później dalekie miasto na wysokim brzegu. Przed nim rzeka zwężyła się gwałtownie, wchodząc pomiędzy strome kamienne ściany. Widział z dala błyski słońca załamujące się na wysokiej szybkiej fali.

Zaczął wiosłować wstecz i wprowadził łódź w środek gęstej i wysokiej kępy trzcin, skąd nie będąc widzianym mógł widzieć rozciągający się przed oczyma obszar wód.

Czekał. Dostrzegł po pewnym czasie niewielki statek uwijający się na rzece. Statek zdawał się nie podążać ani w górę, ani w dół biegu, lecz nadpłynął od strony miasta i krążył od jednego brzegu do drugiego, przesuając żagiel w lewo bądź w prawo i unosząc kolejno w górę wiosła na obu burtach. Zdawało się, że oczekuje tu kogoś.

Białowłosy przeniósł wzrok na wzgórza. Były nagie, pozbawione roślinności i puste. Po chwili zauważył na szczycie jednego z nich dwu ludzi. Stali nieruchomo wsparci na długich włóczniach.

- Znaleźli owego zabitego jeźdźca... - pomyślał po raz nie wiadomo który podczas ostatnich trzech dni. - Znaleźli go i pojęli bez trudu, że być może żyjemy... Nie wiedzą jednak, że nieszczęsny Lauratas pozostał w grobowcu... lecz mogą przypuszczać, że ukrywaliśmy się gdzieś pośród wzgórz otaczających Dolinę Zmarłych, a teraz uciekamy... A możemy uciekać jedynie wzdłuż rzeki... Oczekują tu więc nas zapewne... Zabiłem ich boga..." Mimowolnie wyjął dłoń z wody. Krokodyl mógł przecież podpłynąć bezgłośnie, pochwycić go za rękę i wciągnąć w mętny, żółtawy nurt. Byłaby to zemsta Sebeka... Nadal patrzył. Statek krążył po rzece, a ludzie na wzgórzach poruszali się tam i na powrót, jak gdyby wyszli na przechadzkę. Nie byli pasterzami, gdyż nie widział przy nich zwierząt. Zresztą jakie zwierzęta mogły paść się na tak spalonym słońcem pustkowiu?

Słońce zniżyło się, lecz upał nie malał. Białowłosy zaczerpnął w obie dłonie wody z rzeki i napił się.

Później, ukryty pod cieniem sitowia, patrzył. Wielka ryba wyplusnęła z mętnego nurtu i zapadła w głąb. W górze na bezchmurnym niebie dostrzegł kilka czerwonych ptaków, kołyszących się na szeroko rozpiętych nieruchomych skrzydłach. Wyminęły statek i opadając zniknęły z pola widzenia.

Tam gdzie rzeka zwężyła się i nurt jej przyspieszał wyraźnie, czekał statek. Dalej, w pobliżu miasta, widać było łodzie o ostrych białych żaglach. Zapewne rybacy lub przewoźnicy.

- Czy przemknę się tuż pod brzegiem nocą? - rzekł półgłosem, wpatrując się w statek, który znowu zawrócił i zmierzał ku przeciwległemu brzegowi.

Wiedział, że jeśli nie odpłyną do miasta o zachodzie i pozostaną na rzece, nie uda mu się to. Nie miałby żadnej osłony w ciągu bardzo długiego czasu. Choć noc mogłaby być ciemna, lecz nigdy nie byłaby tak ciemna, aby przy świetle gwiazd bystre oczy czuwających nie dostrzegły łódki. A czy umiałby ją utrzymać tuż przy brzegu, mając tylko jedno wiosło i własne siły do walki z potężnym, przelewającym się, wezbranym nurtem?

„A jeśli cofnę się, porzucę łódź i spróbuję nocą pieszo okrążyć to miasto i owe wzgórza?” Zaczął zastanawiać się nad tym i wydało mu się, że jest to jedyna droga ucieczki. Wiedział, że musi podążać

nieustannie ku północy. Tam było morze, a daleko za morzem Troja królów. A jeśli Het-Ka-Sebek wiedząc o tym zagroził mu drogę wodną, rozstawiwszy także strażę na wzgórzach, to czyż jego straszliwi jeźdźcy na szybkich koniach nie przebiegają teraz ze swymi psami obu brzegów pustyni, aby go pojmać? Oddalił się już od wielkiego jeziora, to prawda. Lecz nie tak daleko, aby potęga wielkiej świątyni Sebeka nie mogła tu sięgnąć. Nie znał obyczajów tej krainy, lecz sądził, że ludzie ci łatwo porozumiewali się z sobą i wieść o jego ucieczce zapewne wyprzedziła go bardzo.

Westchnął. Zawróciwszy teraz, musiałby oddalić się od morza, nie było jednak innej rady. Nie opuszczając zbawczego cienia, lekkimi ruchami wiosła obrócił łódź i ponownie zagłębił się w gęstym morzu trzcin.

Gdy zapadła noc, zanurzył w wodzie jeden ze skórzanych worków, a później drugi, i czekał cierpliwie, patrząc na wybiegające z nich bąbelki powietrza, połyskujące srebrzyście w bladym blasku cienkiego sierpa księżycowego.

Wyciągnął oba worki, zawijając ich szyjki rzemieniem i przerzucił sobie przez ramię. Łuk zawiesił na drugim ramieniu i ująwszy w dłoń nóż, wyskoczył na grząski brzeg.

Początkowo szedł wśród wysokich trzcin, stąpając powoli i starając się przebić wzrokiem ciemność. Obawiał się w równym stopniu napotkania dzikiej bestii jak ludzi. Lecz naokół było cicho i nic nie mąciło spokoju wczesnej pogodnej nocy.

Wreszcie trzciny skończyły się. Przed nim było łagodnie wznoszące się wzgórze pozbawione roślinności. Przez długą chwilę stał próbując wypatrzyć czy na krawędzi dzielącej ziemię i ciemne niebo nic nie porusza się. Wreszcie oderwał się od trzcin i pochylony nisko nad ziemią, kryjąc się za pokrywającymi zbocze głazami, zaczął wspinać się na szczyt wzgórza.

Zbliżając się do niego opadł na czworaki, aby głowa jego nie odcinała się od nieba. Wreszcie wypełznął na szczyt i przywarł do ziemi rozglądając się.

Za nim pośród ciemnego morza trzcin biegła w dole szeroka, srebrzysta, szemrząca rzeka, a przed nim były nie kończące się, oświetlone miękkim księżycowym blaskiem, łagodne wzgórza, uciekające aż po granice widzenia. Tam, na prawo, gdzie niknęła rzeka, musiało być miasto, do którego dopłynął za dnia. Chcąc je wyminąć, musi zatoczyć szeroki łuk wzgórzami.

Spojrzał na niebo, by zapamiętać położenie gwiazdozbiorów. Od czasu, gdy zaczął myśleć, wiedział, że w ciągu nocy poruszają się one wszystkie, prócz jednej gwiazdy, która wyznacza rybakom kierunek, gdy powracają do brzegu rodzinnego nocą. Odnalazł ją i raz jeszcze objął oczyma wzgórze.

Później, schylony, nadal ściskając nóż, ruszył w dół. Szedł przez całą noc, a gdy pierwsze ślady niewidzialnego jeszcze słońca wytrysnęły na wschodzie, wyszukał ukryte pośród skał zagłębienie i położył się w nim. Noc była chłodna, lecz wraz z nastaniem dnia napłynęło ciepło. Skulony, niewidzialny pośród rzucających ostry cień głazów, usnął.

Budził się kilkakrotnie z ciężkiego snu, pełnego pogmatwanych obrazów, gdzie dzieciństwo mieszało się z wypadkami ostatnich dni, tak jak gdyby wspomnienia były pękniętymi malowanymi naczyniami, których kawałki nie dawały się złożyć i tańczyły przed zamkniętymi powiekami układając się w straszliwe, pełne lęku obrazy. Usypiał znowu, a gdy wreszcie obudził się wypoczęty, słońce dotykało już granicy czerwonych wzgórz na widnokręgu.

Odszedł tak daleko od rzeki, że nie dostrzegł nawet doliny, której środkiem płynęła. Otaczało go pofalowane morze piasków i nagich skalistych grzbietów. Leżąc począł wpatrywać się w odbiegające ku widnokręgowi wydmy. Nie dostrzegł niczego, na czym mógłby oprzeć wzrok. Ani

jednej żywej istoty, drzewa, kępy traw lub zarośli. Usiadł i sięgnawszy po skórzany worek wypił z niego resztę wody, która była już tak ciepła i mdła, że z trudem ją przełknął.

Zapadł zmrok. Białowłosy chciał wygrzebać dół w ziemi i ukryć w nim niepotrzebny już worek, lecz po namyśle zarzucił go na ramię wraz z drugim, wciąż jeszcze pełnym. Obejrzał dokładnie łuk, napinając dla próby cięciwę i ruszył.

Gwiazdy zabłyśły już na niebie i spojrzawszy na nie pojął, że nie zgubił kierunku. Oby tylko rzeka nie płynęła nadal tak nieprzystępnym, skalistym korytem. Nie miał już łodzi ani niczego, co mógłby zjeść, lecz wierzył, że gdy okrążywszy miasto powróci ku rzece, znajdzie jedno i drugie. Postanowił, że przez pół nocy będzie nadal szedł z biegiem rzeki, a później zacznie się ku niej zbliżać niemal prostopadle, bez zapasu wody nie mógłby wędrować długo przez pustynię.

Szedł rozglądając się czujnie, starając się nie wynurzać na oświetlone księżycem rozległe płaszczyzny łagodnych zboczy i grzbiety, skąd roztaczał się rozległy widok, lecz na których sylwetka ludzka także była widoczna. Przed północą zawrócił ku rzece obliczywszy, że jeżeli nie skręca ona za miastem ku wschodowi, winien napotkać ją przed świtem. Wszedł w głęboki, skalisty wąwóz, którego dno pokryte było oberwanymi ze zboczy głazami. Było zupełnie cicho. Wybierając swobodnie drogę, przyspieszył. Nie dostrzegł, nie usłyszał i nie przeczuł dwu ciemnych sylwetek, które oderwały się od skał i cicho skoczyły ku niemu z tyłu.

Dopiero gdy ciężką płachta owinęła jego ciało i pochwyciły go dwie pary mocnych rąk, pojął, że nie ma ratunku. Próbował jeszcze rozpaczliwie wyswobodzić rękę i sięgnąć po wiszący na piersi nóż, lecz wyrwano mu ręce spod płachty i skrępowano szybko za plecami.

Szarpnął się raz jeszcze, rozpaczliwie, lecz w tej samej chwili otrzymał silne uderzenie w tył głowy i ogarnął go mrok.

Przebudził się leżąc na chłodnym, suchym piasku. W pierwszej chwili nie mógł przypomnieć sobie, co się stało, lecz nagle pojął, co z nim uczyniono i próbował usiąść. Uczuł w tyle głowy tak gwałtowny ból, że tłumiąc jęk zagryzł zęby i opadł na piasek. Spróbował poruszyć rękami. Nie były związane. Ostrożnie przesunął dłoń ku piersi i dotknął pochwy noża. Nadal miał ją z sobą, lecz noża nie było. Usłyszał z dala głos ludzki i dopiero wówczas wróciła mu pełna świadomość.

Nie unosząc głowy rozejrzał się. Przy nim znajdowało się kilkoro zbitych w gromadkę ludzi: dwie kobiety i pięciu mężczyzn. Najwyraźniej byli to egipscy chłopcy, gdyż okrywały ich krótkie szaty z prostego płótna, a włosy mieli ucięte podobnie jak niewolnicy świątyni Sebeka i wieśniacy pracujący na polach wokół jeziora. Siedzieli ciasnym kręgiem wsparci o siebie ramionami. Głowy ich były zwieszane jak głowy ludzi, których spotkało nagle, wielkie nieszczęście. Na twarzy jednego z mężczyzn Białowłosy dostrzegł długą krwawą szramę po uderzeniu zadany najwyraźniej przed bardzo niedawnym czasem, gdyż krawędzie jej napuchły.

Nieco dalej siedział na piasku uzbrojony wojownik. Nogi miał skrzyżowane, a w ręce trzymał krótki oszczep. Człowiek ów miał twarz dziką, długie, czarne, kędzierzawe włosy, a w uchu wielki miedziany kolczyk. Był półnagi. Dalej poza nim widać było obozowisko: kilkanaście koni i grupkę mężczyzn podobnych do siedzącego przed namiotem wartownika, zajętych strzelaniem z łuku do niewidocznego celu. Białowłosy przymrużył oczy i dostrzegł, że to jego łuk próbowano.

Jedna z siedzących przy nim niewiast rzekła coś półgłosem do swej towarzyszki. Tamta odparła jej cicho. Wartownik zwrócił ku nim głowę i zawołał ostro. Nie znając ich języka, Białowłosy pojął, że dziko wyglądający człowiek nakazuje jej aby umilkła. Kobieta wtuliła głowę w ramiona i opuściła ją jeszcze niżej. Ponownie zapadło milczenie.

A więc pojмали go. Lecz jeśli byli to strażnicy pustynni, czemu nie pędzili z nim do Het-Ka-Sebeka, który zapewne spragniony był wieści o nim. Być może konie ich były znużone pościgiem i musiały wypocząć przed długą drogą przez pustynię. Lecz kim byli owi ludzie znajdujący się tu wraz z nim i najwyraźniej pojmani? Poczul pragnienie. Jego worek z wodą leżał nie naruszony tuż przy nim, sięgnął więc, rozwiązał go i napił się. Ludzie siedzący naokół obrzucili go obojętnym spojrzeniem i powrócili do swojej milczącej nieruchomości.

Jeden ze strzelających zawołał do wartownika, który wstał szybko i krzyknął unosząc oszczep. Siedzący zerwali się. Białowłosy wstał także. Potarł ręką tył głowy, spojrział na dłoń i nie dostrzegłszy śladów krwi ucieszył się w duchu. Był przeświadczony, że ma tam otwartą ranę. Ogluszono go jedynie tępym narzędziem. Het-Ka-Sebek zapewne wydał rozkazy, aby nie czyniono mu krzywdy. Pragnął go widzieć żywego i zdrowego, zanim...

Wzdrygnął się. Dwaj inni wojownicy podeszli i pognali jeńców lekkimi uderzeniami drzewców oszczepów ku miejscu, gdzie znajdowały się konie. Kilkunastu ludzi siodłało już je kładąc im na grzbiety zwisające z obu stron tobołki i skóry z wodą. Ze szczytu niedalekiej wydmy zjechał powoli człowiek na czarnym koniu i ostrym głosem przynaglił do pośpiechu. Na znak owego człowieka, który najwyraźniej przewodził nad innymi, pojmani Egipcjanie zaczęli gramolić się na juczne konie, których było dziesięć powiązanych linkami. Strażnicy siedzieli na pierwszym i na ostatnim z nich, biorąc jeńców w środek. Inni jechali w przód.

Przez chwilę Białowłosy stał niezdecydowanie.

„Jeśli zacznę teraz biec w pustynię... - pomyślał - być może któryś z tych ludzi pośle za mną oszczep i zabije mnie... A wówczas uniknę sadzawki, w której czeka Sebek.”

Wahał się przez mgnienie oka, lecz później pomyślał o tym, że już raz udało mu się umknąć i że póki jest żywy, wszystko jeszcze może się wydarzyć, gdyż, jak powiedział Lauratas, sprawy te są w rękę bogów, którzy drwią z ludzkiej pychy i rozpacz.

Chwiejnym krokiem, czując wciąż jeszcze w głowie uderzenia tępych, ciężkich młotów, zbliżył się do koni i wskoczył na wolne zwierzę, chwyciwszy oburącz jego ciemną długą grzywę.

Rozległ się ostry krzyk. Zwierzęta ruszyły.

Mimo że słońce wstało za ledwie, upał rósł szybko. Białowłosy odetchnął głęboko. Poczul nagły, przejmujący głód. Lecz wiedział, że nie otrzyma od nikogo pożywienia. Zaciśnął usta i przymknął na chwilę oczy, czując ciepłe promienie słońca na prawym policzku.

Drgnął. Działo się coś, co powinno odbywać się inaczej. W rozbolełej głowie przesuwaly się splątane myśli, nie mogąc ułożyć się w jasny obraz tego, co się odbywało wokół niego.

Jechał przez długi czas z rosnącą pewnością czegoś nadzwyczajnego, czegoś, co nie mogło mieć miejsca. Czuł, że myśl ta jest tuż, że za chwilę pojmie wszystko... lecz nie mógł pojąć.

Nagle zrozumiał. Posuwali się nie na południe, gdzie nad wielkim jeziorem stała świątynia, w której oczekiwał jego przybycia wysoki kapłan o złotej lasce z wyobrażeniem paszczy Sebeka. Głowy koni kierowały się wprost ku północy.

Siedział przez dłuższą chwilę, kołysząc się zgodnie z ruchem szybkich nóg biegnącego truchtem zwierzęcia, i starał się pojąć, czemu tak się dzieje.

Odpowiedź mogła być tylko jedna: ludzie ci nie byli sługami Het-Ka-Sebeka i nie należeli do straży pustynnej.

Lecz kim byli?

W tej samej chwili od czoła pochodu oderwał się jeździec i wolno pokłusował w tył.

Zrównawszy się z Białowłosym zawrócił konia i zbliżył się jadąc tuż obok niego.

Chłopiec uniósł głowę. Jeździec powiedział coś ostrym, gardłowym głosem, zwracając się najwyraźniej do niego.

Białowłosy rozłożył ręce i odparł:

- Nie pojmuję twej mowy, wojowniku. Oczy tamtego błysnęły, uniósł rękę, jak gdyby chciał uderzyć chłopca, lecz najwyraźniej zmienił zamiar; gdyż zawołał głośno. Od czoła zawrócił drugi jeździec. Wymienili z sobą kilka szybkich słów.

- Czy należysz do ludu morza? - zapytał drugi jeździec, kalecząc mowę ludzi wysp, lecz dość zrozumiale, aby Białowłosy pojął jego słowa.

- Tak, panie. Jestem Trojańczykiem i synem rybaka.

- Trojańczykiem? - Tamten nie pojął najwyraźniej. - Czy jesteś z ludu morza, pytam?

- Tak, panie.

Jeźdźcy znów wymienili kilka słów.

- Jak się tu znalazłeś i czemu miałeś tak piękny łuk i bogate złote ozdoby? Czy ojciec twój jest królem i da za ciebie wysoki okup?

- Ojciec mój nie jest królem, a ozdoby te zabrałem wraz z łukiem z grobu pewnego możnego człowieka tej krainy.

Białowłosy mówił powoli, jak gdyby chcąc, aby tamten pojął dobrze jego słowa. Równocześnie starał się zyskać na czasie pragnąc zebrać myśli. Winien był mówić prawdę i zataić to, co było najgroźniejsze. Gdyby ludzie ci dowiedzieli się, że poszukuje go Het-Ka-Sebek, zapewne oddaliby go świątyni za okup, którego by nie poskąpiła. A więc byli to owi koczownicy pustyni, którzy napadali na pograniczne wioski i chwyтали niewolników...

- Jak się tu znalazłeś?

- Wypatrzył mnie w łodzi na morzu pewien kupiec płynący do tej krainy. Nawałnica zagnała mnie daleko, gdy łowiłem ryby. Sprzedał mnie do pewnej świątyni, skąd zbiegłem, chcąc dostać się do swoich. Gdy uciekłem, wyście mnie pojмали.

Jeźdźcy znówu wymienili kilka słów.

- Czy mówisz prawdę i nie jesteś synem możnego człowieka?

- Gdybym nim był, czyż nie pragnąłbym, aby ojciec mój wykupił mnie od was, pozwalając mi powrócić do rodzinnego domu?

Słowa te najwyraźniej ich przekonały. Odjechali obaj ku przodowi pochodu nie obrzucając go już ani jednym więcej spojrzeniem.

Białowłosy łyknął nieco wody z worka, a później wylał z niego ostatnie krople na dłoń i osuszył ją językiem. Słońce było coraz wyżej i upał rósł. Okrył głowę pustym workiem na wodę, gdyż promienie poczęły prażyć niemiłosiernie.

Konie szły równo, wspinając się na łagodne wydmy, schodząc z nich w dół i wspinając się na następne. Wokół roztaczał się nieskończony świat gorących piasków, pusty, straszliwy i wrogi każdej żywej istocie.

Lecz choć Białowłosy wiedział, że jest jeńcem okrutnych wojowników pustyni, choć pojmował, że jedynym losem, jaki go czeka, jest los niewolnika, nie odczuwał trwogi ani przygnębienia. Ludzie ci musieli, tak jak i on, obawiać się spotkania ze strażnikami pustyni, swymi odwiecznymi wrogami. Byli jedynymi sprzymierzeńcami, których mógł spotkać walcząc rozpaczliwie o życie, ścigany pośrodku obcej krainy.

A prócz tego głowy koni nieustannie skierowane były ku północy i każdy krok ich smukłych nóg przybliżał go ku morzu.

Na czwarty dzień skręcili ku północnemu wschodowi, a na dziesiąty, gdy wzeszło słońce, Białowłosey ujrzał na krańcu piaszczystych wzgórz równinę, która z dala wydawała się ciemna, niemal czarna, lecz gdy słońce poszybowało wyżej i zbliżyli się ku niej, barwa jej przemieniła się w ciemno-błękitną.

Wówczas chłopiec objął mocniej nogami boki konia i uniósłszy zwiniętą w pięść dłoń ku czołu, drugą rękę wyciągnął przed siebie. Nikt nie przypatrywał mu się i nikt go nie słuchał.

Wyprostowany, unosząc oczy ku bezchmurnemu niebu, wypowiedział półgłosem:

O, morze ciemne jak wino,

Matko czarnych okrętów,

Bądź pozdrowione, gdy niesiesz

Mnie, syna, na piersi twojej.

Były to pradawne słowa, które należało wyrzec, ujrzawszy morze, gdy nadchodziło się z głębi łądu.

Wiesz, do której zbliżyli się po południu, nie leżała nad samym morzem, lecz z dala od niego nad źródłem słodkiej wody otoczonym palmami i łąką, na której pasło się kilkadziesiąt koni.

Była to siedziba plemienia, do którego należeli wojownicy powracający teraz z niewolnikami. Konie puszczono na trawę, a pojmanych zagnano do zagrody jak bydło domowe. Tu otrzymali natychmiast świeżą wodę i żywność. Z pewnością, jak osądził Białowłosey, byli przeznaczeni na sprzedaż, gdyż nikt nie dbałby o nich, gdyby nie byli towarem. Nie bito ich także. Dzicy wojownicy pustyni zachowywali się wobec nich z zupełną obojętnością, tak jak wobec zwierząt prowadzonych na rzeź.

Nim nastał zmierzch, przed zagrodą stanął stary człowiek, zapewne wódz plemienia, obejrzał niewolników i oddalił się. Na noc spędzono ich na wolną przestrzeń pod gołym niebem po drugiej stronie wioski, gdzie znajdowali się już inni ludzie, także pojmani.

Tak spędził kilka dni. Wreszcie któregoś ranka wojownik, który znał mowę ludu morza, pojawił się i skinął na Białowłosego.

- Pójdź za mną!

Ruszyli ku kilku stłoczonym nie opodal źródła domkom ulepionym z gliny. Gdy weszli do jednego z nich, chłopiec nie mógł początkowo dostrzec niczego w półmroku.

- Klęknij! - rzekł stojący za nim wojownik, a gdy chłopiec nie wykonał pospiesznie jego rozkazu, chwycił go za ramiona i rzucił na ziemię pod stopy starego człowieka, którego Białowłosey ujrzał po raz pierwszy owego wieczora po przybyciu tutaj.

Stary człowiek rzekł kilka słów w nie znanej Białowłosemu mowie i wojownik pochylił się. Pochwycił chłopca za ramię i podniósł go ponownie.

Przywykłe już nieco do półmroku oczy Białowłosego dostrzegły na niskim, płaskim kamieniu, służącym zapewne jako stół, rozłożone przedmioty, które miał z sobą podczas ucieczki.

- Johuga, który jest panem twego życia, zapytuje cię, czy rzekłeś prawdę, że jesteś synem rybaka z dalekiej krainy?

- Tak, panie. Jestem nim.

Stary człowiek przyglądał mu się badawczo. Teraz odezwał się sam. Mówił znacznie lepiej językiem ludów morza niż ów, który służył uprzednio za tłumacza.

- Powiedz mi, z czyjego grobu i w jaki sposób udało ci się zabrać te przedmioty?

- Uciekając wraz z towarzyszem przez miasto zmarłych leżące w pobliżu miasta żywych, gdzie mnie więzono, napotkaliśmy wielki wiatr pustyni. Uciekając wpadliśmy do otwartego grobowca i tam ukryliśmy się. Później chcąc porzucić to schronienie, zabraliśmy część rzeczy, aby nam służyły w ucieczce.

- A gdzie jest twój towarzysz?

- Zginął przywalony odłamem skały.

Zapadło milczenie.

- Czy wiele jeszcze podobnych przedmiotów ze złota znajdowało się w owym grobowcu?

- Tak panie. A także wiele pięknej broni i najrozmaitszego bogactwa.

- Czy umiałbyś tam trafić po raz wtóry?

- Nie, panie. Wiem jedynie, że owa dolina umarłych znajduje się w pobliżu wielkiego jeziora. Tam mnie zawieziono wodą z wybrzeża morskiego, a płynął ów okręt wiele dni. Później uciekałem klucząc i powracając do rzeki. A później jeszcze odbiegłem od niej w pustynię, gdyż obawiałem się ludzi. Wówczas schwytali mnie twoi wojownicy.

Stary człowiek milczał przez chwilę, gładząc leżący przed nim łuk. Pośród przedmiotów spoczywających na kamiennym stole Białowłosa dostrzegł swój nóż. Równocześnie zauważył, że ręka starego człowieka wyciągnęła się w tym kierunku.

- A czemu jeden z noży jest tak nędznej roboty, a drugi tak piękny?

- Gdyż ten, panie, miałem z sobą w łodzi, gdy mnie wyłowiono z morza. A ów drugi zabrałem z grobowca, o którym ci już rzekłem.

Stary człowiek pokiwał głową.

- Słowa twoje brzmią prawdziwie... Lecz mogą też być zmyśleniem, choć jesteś tak młody. Prowadzę od wielu lat handel z ludźmi mówiącymi twoją mową. Są to kupcy podstępni i przemysłni, gotowi zabić, jeśli opłaci im się to lepiej niż kupno. Słowa są u nich niczym i nie dbają wcale ani o prawdę ani też o przysięgi, choćby zaklinali się na własnych bogów. Jeśli każę cię wychłostać, przypomnisz sobie zapewne, gdzie leży ów grobowiec. Lecz wojownicy nasi są strudzeni. Odbyli dalekie wyprawy i powrócili z różnych stron wiodąc niewolników, których sprzedamy na wyspy. Być może mówisz prawdę, a być może kłamiesz. Wkrótce na szybkich okrętach przybędą tu kupcy-rozbójnicy mówiący twoją mową. Jesteś młody i zdrow. Zapłacą za ciebie. Wiem, że potrzebują niewolników do kopalni srebra na dalekim lądzie. Kto raz tam wejdzie, nie wychodzi nigdy. - Umilkł na chwilę. - Odejdź teraz. Jeśli prawdą jest to, co mówisz, sprzedam cię kupcom. Jeśli ukrywasz coś, co mogłoby nam przynieść zysk, poprowadź moich ludzi ku miejscu, gdzie leżą rzeczy tak piękne jak te... - wskazał kamienny stół - a być może okażę ci łaskę, jeśli wartość ich przekroczy wielokrotnie twoją wartość... Odejdź teraz.

Ruchem ręki wskazał jednemu z niewolników przedmioty na stole. Ten zgarnął je w płócienną płachtę i złożył w rogu izby.

Gdy Białowłosa znalazł się ponownie na skraju wioski, siadł na trawie i zaczął samotnie rozważać słowa starego człowieka. Wiele dni drogi dzieliło go od sadzawki świątynnej, gdzie zapewne czekał inny, lecz równie straszliwy krokodyl jak ów, którego zabił.

Jeśli nawet kopalnie srebra były miejscem złym, nie spotka go w nich los białej kozy.

Wzdrygnął się. Uniósł głowę. Od strony pustyni nadjeżdżało trzech jeźdźców. Dwaj uzbrojeni byli w krótkie włócznie i łuki, trzeci, jadący pośród nich, miał ręce związane z tyłu.

Mimo to jechał wyprostowany, rozglądając się ciekawie. Zniknęli pośród drzew kierując się ku białym domkom wioski.

Białowłose zerwał źdźbło trawy i westchnął. Postanowił już. Nie powie słowa tym ludziom o grobowcu Nerau-Ta. Jakże mogliby zresztą dotrzeć tam i odwalić skałę, która spoczywała na ciele Lauratasa?

Znowu wzdrygnął się, położył na trawie i spoglądając niewidzącymi oczyma w niebo, zaczął rozmyślać o domu rodzinnym, o tym, kto go kupi od ludzi pustyni i dokąd zawiezie go czarny kupiecki okręt.

Rozdział trzeci

Ręce kapłanów długie są jak świat...

W tym samym czasie trzech jeźdźcy, których Białowłosa dostrzegł zjeżdżających ze wzgórza, zatrzymali się przed domem naczelnika wioski. Jeden zeskoczył i wszedł do środka.

- Panie... - rzekł kłoniąc głowę przed starcem nadal siedzącym za kamiennym stołem. - Schwytaliśmy człowieka.

Starzec odstawił kubek z wodą, który niósł do ust.

- Mów.

- Jest on jednym ze strażników pustyni.

Stary człowiek znieruchomiał.

- Daleko się zapuścił - mruknął niemal niedosłyszalnie. - Czy był sam?

- Tak, panie. Gdy objeżdżaliśmy pustynię o pół dnia drogi od wioski, wynurzył się spośród wzgórz i zaczął zmierzać ku nam. Będąc blisko, odrzucił broń i rzekł, że pragnie mówić z panem tej krainy, gdyż ma dla niego wieści, które winien mu przekazać. Chcieliśmy go zabić, lecz przyszło nam na myśl, że możemy to uczynić z twego rozkazu, gdy zawieziemy go do ciebie, a być może zapragniesz usłyszeć najpierw, z jakim poselstwem przybywa.

- Dobrze uczyniliście. Wprowadźcie go.

Wojownik wyszedł i po chwili powrócił z towarzyszem prowadząc pojmanego, który sam padł na kolana, uderzył czołem o ziemię, powstał i rzekł:

- Dzielny Haugha, który jest panem wojowników strzegących Wielkiego Jeziora w głębi krainy boskiego Faraona, oby żył lat tysiąc, przysłał ci pozdrowienie, choć, jak wiesz, zarówno ty jak podobni tobie ludzie są jego wrogami.

- To prawda - rzekł stary naczelnik wioski. - Jesteśmy wrogami jego i faraona, któremu służy. Lecz zapewne bardziej jego wrogami, gdyż gardzimy bardziej psem niż jego panem. Czemu przysłał cię tu, abyś znalazł pewną śmierć z rąk moich wojowników? Czyż nie wie, że każdy z was przekroczywszy obszar, gdzie sięga władza Egiptu, musi umrzeć?

- Wie o tym, wodzu. Wiedziałem o tym także ja, którego wysłali tu w poselstwie, a także inni wojownicy, których rozesłał do wielu naczelników plemion pustyni najeżdżających granice Egiptu. Lecz sprawa, z którą nas wysłał, wydawała mu się ważniejsza niżli nasz żywot, a my musieliśmy go usłuchać.

- Wódz twój, Haugha, jeśli strzeże Wielkiego Jeziora, jest zapewne sługą świątyni krokodyla. Czy tak?

- Tak, panie.

- Czy pan twój Haugha dla przyczyn, których jeszcze nie poznałem, chciałby zostać człowiekiem

wolnym, porywać wielu niewolników i przystać do nas, aby nie być już więcej psem na usługach kapłanów czczących bezmyślnie zwierzę, lecz wolnym lwem, który przechadza się wzdłuż piasków, tam gdzie zapragnie, aby uderzyć na tego, którego wybierze jego dumne oko, jak my to czynimy?

- Nie, panie. Być może uczyniłby on tak, gdyż zagraża mu śmierć okrutna. Lecz mamy tam żony i dzieci, lud nasz służy świątyni od lat niepamiętnych i zginęliby wszyscy z ręki kapłanów, gdyby zdradził. A wraz z całym plemieniem nie uciekłby łatwo. Ruszyłaby za nim armia i wytracono by nasze rodziny, a nas wraz z nimi...

- A jakież niebezpieczeństwo zagraża twemu panu?

- Nakazał mi zamilczeć o tym, pragnę ci jednak wyznać całą prawdę, gdyż wiem, że jesteście naszymi wrogami i na jedno tve skinienie wojownicy twoi wbiją włócznię w moje serce. W świątyni popełniono świętokradztwo i zabito boga-krokodyla, którym tak gardzisz. Uczynił to chłopiec przeznaczony na ofiarę w dniu święta. Uciekł on i nie udało nam się go schwycić, choć nie znał naszej krainy, gdyż pochodzi z ludu morza, a jest tak inny niż ludzie zamieszkujący to państwo, że każdy z łatwością go rozpozna...

- Jakże wygląda ów chłopiec? - zapytał obojętnie stary człowiek.

- Włosy jego są białe, a skóra biała jak pióra ptaka goala. Nawet wśród ludzi morza takich nie widziano.

- Mów dalej. Chłopiec ów zabił bestię, którą czcicie, a strażnicy pustynnej nie udało się go pochwycić?

- Tak, panie. Nie dość tego. Chłopiec ów wraz z drugim zbiegiem ukrywał się przez dni niemal dwadzieścia pod bokiem świątyni w zamurowanym grobowcu, a ludzie i psy nasze nie odnaleźli go. Wreszcie, zabiwszy jednego ze strażników, uciekł na jego koniu. Wina spada na pana mego, dzielnego Haughę, któremu grozi śmierć w mrowisku, jeśli nie odnajdzie zbiega. Ani strażnicy na rzece, ani ludzie nasi nie odkryli miejsca, gdzie ukrywa się ów chłopiec. Lecz ze śladów, na które natrafiliśmy w pustyni, sądzić możemy, że został on porwany, gdyż znaleźliśmy upuszczoną strzałę z owego grobowca, gdzie przebywał, ślady walki i miejsce, gdzie stały ukryte konie, które później odjechały. Odkryliśmy owe ślady zbyt późno, gdyż zapewne dzielny Haugh dopędziłby twoich wojowników i wytracił ich odbijając jeńca. Wiem także, że w okolicznych wsiach nad rzeką porwano kilkoro ludzi. Ślady uciekających prowadziły w kierunku morza i na wschód. Później ludzie nasi musieli zawrócić z braku wody... - Odetchnął głęboko i rozłożył ręce. - Dzielny Haugh wie, że nie mógłby nie dostrzeżony wraz z wojownikami przemierzyć całej pustyni i uderzyć na was, gdyż strażnicy wasze są czujne i znacie sprawy piasków tak dobrze jak my. Ludzie z waszych połączonych wiosek zapewne zadaliby nam klęskę. A co gorsze, moglibyście zabić lub sprzedać owego chłopca, nie wiedząc, jak wielką wartość przedstawia. Nie chce on więc uciekać się do podstępów i przysłał mnie, abym ci rzekł słowa prawdy od niego: otóż ofiaruje ci on za tego zbiega, jeśli jest zdrow i znajduje się u ciebie, dwudziestu innych ludzi młodych i zdrowych, których porwiemy tak, że nikt się o tym nie dowie, i dostarczymy ci, abyś ich sprzedał lub uczynił z nimi, co zechcesz. A jeśli byś chciał, czego innego, a nie ludzi, powiedz, a uczyni on wszystko, co w jego mocy, byś to otrzymał.

Stary człowiek milczał przez chwilę.

- Gdyby chłopiec ów znalazł się u mnie... - powiedział cicho - zapewne sprzedałbym go na powrót waszej świątyni. Znając bogactwo kapłanów wiem, że zapłacą więcej za świętokradcę niż wy, którzy nie jesteście bogaczami. Na cóż mi twój wódz Haugh? Niechaj zjedzą go mrówki. Jest nędznym wodzem i głupim strażnikiem pustyni, jeśli nie zdołał złowić tak młodego chłopca,

samotnego i nie znającego waszej krainy. Mądrze uczyniłbym, gdybym kazał temu oto wojownikowi wbić oszczep w twoje plecy. Sam winienem wysłać ludzi z poselstwem do świątyni. Wiem, że nie skrzywdzą ich tam, choć Egipt jest naszym wrogiem. O nie! Ugoszczą ich i przyjmą uprzejmiem... I ofiarują im wielkie dary za tego chłopca, gdyż w głupocie swej karmią krokodyle ludźmi miast zabijać każdą z tych bestii, gdy ją napotkają.

Stojący opuścił głowę w milczeniu.

- Lecz - ciągnął dalej starzec - wódz twój może zapłacić nam więcej niż świątynia... Droga na południe biegnie obok jeziora i wojownicy moi muszą okrążyć je chcąc dotrzeć do krainy ludzi czarnoskórych, którzy są dobrym towarem i chętnie nabywanym przez kupców z wysp. Od dawna już przecięliście tę drogę i musieliśmy zaniechać naszych wypraw. Idź w pokoju i powiedz twemu panu, że otrzyma chłopca tego żywego i zdrowego, jeśli oczy wasze będą zamknięte przez miesiąc trzy. Wielu wojowników z licznych plemion mego ludu zbierze się, uderzymy na krainę lasów na południu, powrócimy z łupem wiodąc wielu czarnych niewolników, a wówczas chłopiec ów dostanie się w wasze ręce...lub dostanie się w nie bez zwłoki, jeśli dzielny Haugha, twój pan, przybędzie do mnie sam i zaprzysięże, że dotrzyma warunków. Wówczas zatrzymamy go do czasu ukończenia naszej wyprawy, a kapłani będą mieli swego zbiega wcześniej.

- Świątynia nigdy nie zgodziłaby się na to, a także namiestnik boskiego Faraona, panie!

- Armia Egiptu nie ma innych oczu i uszu na pustyni zachodniej - prócz was. A moi ludzie, gdy miną jezioro niepostrzeżeni przez was, przepadną w piaskach wraz z łupem, tak że nikt nie dowie się o ich przejściu. Są jako duchy i jak wiatr, a nie ma przyczyny, by władza Egiptu lub kapłani władający świątynią nad jeziorem dowiedzieli się o tym...

- Powtórzę mu to wiernie, panie.

- Będę czekał na odpowiedź jego do następnej pełni księżyca. A uprzednia pełnia minęła przed siedmiu dniami. Czasu więc macie dość. Jeśli nie przybędzie do tego dnia, sam wyślę posła do kapłanów krokodyla, a dzielnego Haugę niechaj zjedzą dzielne, choć małe mrówki. Odejdź! Dajcie mu odjechać wolno i zaopatrzcie go w żywność i wodę, aby nie padł w drodze przez pustynię... - zwrócił się do wojowników. - A ukażcie mu owego chłopca, niechaj nacieszy nim oczy i opowie o nim panu swemu.

Wojownik padł na twarz i wycofał się z izby. Starzec wypił łyk wody, a później wstał i podszedł do kąta. Nagą stopą rozgarnął płachtę i dotknął nogą złotych koleczyków. Pochylił się powoli, z trudem uniósł z ziemi nóż Białowłosego i uśmiechnął się...

- Zapewne tym nożem zabił ową bestię - mruknął. - Jest to dzielny wojownik, choć tak młody. Niechaj bogowie mają go w swej opiece i skrócą jego cierpienia, gdy znajdzie się w mocy kapłanów świątyni.

Odwrócił się i podszedł do otworu wejściowego odsuwając zasłonę z wyprawionej końskiej skóry. Słońce stało wysoko na niebie. Zbliżało się południe.

Stary człowiek długo spoglądał na linię piaszczystych wzgórz i z wolna uśmiech pojawił się na jego wargach. Rozmyślał o wielkiej wyprawie przeciw czarnoskórym mieszkańcom gorących lasów. Tam, nad jeziorem, czuwały nieustannie otwarte oczy straży pustynnej. Można było przemknąć się w kilka koni, pochwytać paru jeńców i uciec. Lecz każda większa wyprawa skazana była na zagładę, gdyż strażnicy zawiadomiliby niezwłocznie armię faraona, która odcięłaby powrót z południa i wytraciła do ostatniego wszystkich najeźdźców. A oto zaistniała możliwość zamknięcia na pewien czas owych czuwających wiekiście oczu. Gdy to nastąpi, wejdzie w przymierze z kilkoma innymi

naczelnikami wioski i wspólnie uderzą. Wyprawa taka mogła przynieść tysiące niewolników, młodych, zdrowych mężczyzn i kobiet, za których płacono solą, żelazem, złotem i wszystkimi darami świata, jakich nie rodziły pustynne piaski, pośród których urodził się i przeżył całe życie.

Na siódmy dzień strażnik stojący na wzgórzu nadmorskim zbiegł ku wiosce wołając, że nadpływają dwa okręty.

Zatrzymały się one w pewnej odległości od brzegu i stały oczekując.

Czekały długo, aż wreszcie na wybrzeżu pojawił się naczelnik wioski wraz z kilkunastoma wojownikami. Wówczas jeden z okrętów przybliżył się na odległość głosu i stojący na dziobie człowiek, który trzymał wysoką, jaskrawo malowaną tarczę, odziany w kaftan naszywany płytkami z brązu i wysoki hełm ozdobiony czerwonym pióropuszem, zawołał:

- Przybyliśmy po niewolników, których pragniemy od was kupić. Czy jesteście gotowi nam ich sprzedać?

- Jesteśmy gotowi, jeśli zapłacicie godziwie! - zabrzmiała zwykła odpowiedź. - Przybywajcie w pokoju!

Oba okręty przybliżyły się do brzegu. Gdy dzioby ich dotknęły piasku, wiosłarze powstali z miejsc i ujęli za włócznie i tarcze. Dwaj kapitanowie zeskoczyli na piasek i odrzuciwszy broń na znak pokojowych zamiarów, ruszyli ku miejscu, gdzie czekał naczelnik wsi.

- Przybywamy w pokoju, wodzu! Bądź pozdrowiony i niechaj bogowie twoi roztaczają opiekę nad tobą!

- A wasi bogowie nad wami, szlachetni kupcy!

Zatrzymali się przed nim i unieśli ręce na znak pozdrowienia. Stary człowiek skinął głową.

- Zapewne jesteście zdżożeni. Oto worki ze słodką wodą, które niechaj ludzie twoi przyjmą od nas.

- Dzięki ci, wodzu. A oto naszyjnik dla twojej żony lub córki i niechaj zawiesi go na swej pięknej szyi za twym przyzwoleniem.

Jeden z kapitanów podał stojącemu obok wodza wojownikowi mieniący się naszyjnik z kolorowych kawałków szkła.

- Tak piękne przedmioty wyrabiają sztuką tajemną nasi rzemieślnicy dla naszych kobiet i kobiet naszych przyjaciół.

Wojownik podał naszyjnik wodzowi, który rzuciwszy nań okiem podał go innemu wojownikowi.

- Zechciejcie wy obaj, wodzowie okrętów, wejść do domu mego, abyście posilili się i mogli ujrzeć niewolników, których zechcecie zabrać z sobą.

Ruszyli z wolna, brnąc przez piasek.

- Potrzebni nam są młodzi i silni mężczyźni, wodzu - rzekł jeden z kapitanów - a także dziewczęta rosłe i zdolne do posług. Jeśli masz pojmanyh starców lub dzieci, możesz ich pozabijać, aby ci nie wadzili i nie jedli darmo twojej strawy, gdyż nie kupimy ich i nie kupi ich nikt inny.

- Wojownicy moi nie przemierzają pustyni po to, by tracić nadaremnie siły i wlec przez piaski tych, których nie moglibyśmy sprzedać na wasze okręty. Gdy obejrzyjecie owych niewolników, sami uznacie, że dorodniejszych nie znajdziecie na żadnej z waszych wysp.

Zbliżali się do wioski, gdzie czekała zebrana cała niemal ludność, wojownicy, kobiety i dzieci, aby ujrzeć przybyszów z morza.

Był to zwykle dzień wielkiego święta, dzień darów dla kobiet, nowej broni dla mężczyzn i wszystkiego, co świat miał do zaoferowania wiosce zagubionej pomiędzy morzem wód i morzem

piasków, w zamian za żywy towar, jaki zdołała zgromadzić.

Gdy posilili się, wódz wstał i poprowadził obu przybyłych na skraj wioski, gdzie czekali niewolnicy.

Na znak straży powstali oni wszyscy patrząc niespokojnymi oczyma na tych, którzy mieli zawładnąć ich losem.

Obaj kapitanowie szli oglądając uważnie stojących w szeregu jeńców, z których zerwano szary, aby można było lepiej ocenić ich przydatność.

W pewnej chwili idący zatrzymali się. Stał przed nimi nagi chłopiec o jasnych włosach i białej skórze.

- Ten nie może być synem waszej ziemi! - rzekł jeden z kapitanów, zwracając się do starego wodza. I nie czekając zagadnął go w swej ojczystej mowie: - Kim jesteś?

- Synem rybaka, panie, którego zły los zagnał do tej krainy i zaprzedał w niewolę.

- Skąd pochodzisz?

- Jestem poddanym króla Troi.

- Słyszałem o tym mieście. Leży ono na północy.

- Tak, panie.

- Brak mi jednego z wiosłarzy, którego zabiła gorączka na morzu. Czy umiesz wiosłować?

- Jestem synem rybaka, panie.

- Nie jesteś jeszcze mężczyzną - dotknął jego ramienia - lecz wyglądasz na silnego chłopca. Wezmę cię.

- Dzięki ci, panie! - Białowłosy pochylił przed nim głowę. Serce zabiło mu gwałtownie ze szczęścia.

W tej samej chwili naczelnik plemienia uniósł rękę. Potrząsnął głową.

- Możecie kupić wszystkich, prócz tego jednego.

- Według woli twej, wodzu. Zmarł mi jeden z wiosłarzy, a ten nadałby się, gdyż mówi naszą mową. Lecz jeśli nie pragniesz go sprzedać, nie kupię go.

Odeszli dalej, zatrzymali się i kapitan otworzył dłonią usta stojącej za Białowłosym dziewczyny, zaglądając jej w zęby.

Następnego dnia dobito targu i niewolnicy przeszli na okręt, gdzie stłoczono ich na gołych deskach. Tak mieli spędzić wiele dni dzielących ich od kresu podróży.

Uniosły się dwa rozwinięte żagle, wiosła uderzyły w wodę i oba czarne okręty ruszyły wzdłuż brzegu, oddalając się coraz bardziej.

Życie w wiosce znów popłynęło zwykłym nurtem. Białowłosego, który pozostał w zagrodzie sam, przeniesiono na rozkaz starego naczelnika do pustej lepianki bez okien. Przed skórą zakrywającą otwór wejściowy zasiadł wojownik z włócznią, który zapewne nie znał mowy ludów morza, gdyż milczał nie odzywając się słowem do więźnia, który krążył po izdebce długo, aż wreszcie upadł na posłanie ze skór i usnął.

W tym samym czasie dwa okręty zatoczywszy szeroki łuk na pełnym morzu zatrzymały się za niknącą w mroku linią widnokregu. Zapadł zmierzch, czas, gdy ludzie morza powracają ku lądowi, aby spędzić na nim noc. Lecz okręty tkwiły nadal w miejscu, aż wreszcie na linii zachodniego widnokregu pojawiło się sześć smukłych sylwetek. Wówczas wiosła zanurzyły się ponownie w wodę i oba okręty popłynęły na spotkanie zbliżającym się towarzyszom.

Spotkały się i stanęły tak blisko, że człowiek mógł z łatwością przebiec po nich przeskakując z

jednego na drugi. Wówczas ośmiu przywódców zeszło się i przyciszonymi głosami rozpoczęli naradę.

- Cóż ujrzałeś tam, synu? - zapytał siwy żeglarz, odziany w ciemny pancerz z blachy, która nie dawała żadnego blasku, jak gdyby nie pragnął, aby postać jego widziana być mogła w mroku.

- Tak jak rzekłeś, ojcze, jest to osada duża, wiele w niej niewiast i mężczyzn, a także dzieci, które mogłyby już przetrwać podróż morzem. Stary wódz ukazał mi piękne przedmioty ze złota, które pragnął nam sprzedać, lecz wymówiłem się brakiem towaru, którym mógłbym mu zapłacić. Jeśli uderzymy w dwustu ludzi zniecka, uda nam się zapewne pojmać wielu niewolników, zagarnąć złoto, które znajduje się w domu wodza, i uciec na okręty, nim wszyscy wojownicy zdołają powrócić z pustyni, gdzie część ich przebywa. Odbierzemy też to, czym zapłaciliśmy już za tych ludzi, których zakupiłem u nich.

- Którędy uderzyłbyś na nich?

- Wprost od morza. Podpłyniemy do brzegu pod osłoną nocy jednym okrętem, wysadzimy kilku najbieglejszych, a jeśli uda im się bezgłośnie zabić wartowników, którzy z pewnością strzegą wsi od strony morza, wówczas podejdziemy tak blisko, jak będzie można, nim rozpoczniemy nagłe natarcie. Jeśli zaskoczymy ich, łup będzie wielki.

- A jeśli nie zaskoczymy ich?

- Wówczas ów okręt, który zbliżył się do brzegu, odpłynie zabierając naszych wojowników, a inne rozpoczną natarcie i odpłyniemy pod osłoną nocy.

- Jest to roztropny plan, mój synu.

Okręty odbiły od siebie i popłynęły, klucząc tam i na powrót po morzu, na którym zgasł już ostatni promień słońca nadając mu barwę ciemnego wina.

O tej samej porze Białowłosa przebudził się ze snu, siadł i przetarł oczy. Spod zasłony kryjącej wejście nie dobiegał blask dnia, więc musiała już zapaść noc.

Nie wstając sięgnął po kubek wody, który przyniósł mu przed wieczorem wartownik wraz z plackami pszenicznymi. Przymknął oczy. Czemu starzec ów nie chciał go sprzedać ludziom, którzy przybyli na okrętach? Czyżby domyślał się, że świątynia Sebeka gotowa jest zapłacić za niego nieskończenie więcej, niż chciałby dać kupiec niewolników? Jeśli tak, był zgubiony. Czekala go ponowna długa droga przez pustynię lub wzdłuż wielkiej rzeki, a na krańcu tej drogi widok wielkiego jeziora i dwu świątyń, pośród których znajdował się przybytek boga...

Siadł i dotknął rękami oczu, starając się powstrzymać łzy. Siły opuściły go nagle, tu, w samotności, gdzie niczego już nie mógł dokonać, gdy minął czas ucieczki i walki.

- Matko... matko... - szepnął łkając cicho i zagryzając wargi, by wartownik nie usłyszał go, nie wszedł i nie zastał w stanie tak godnym wzdargi.

Powoli uspokoił się. Myśli, choć nadal pełne rozpacz, przestały przelatywać jak wichry przez rozpaloną głowę. Jeśli taka jest wola bogów, zginie. Zadrwali sobie z niego doprowadzając go aż ku morzu, które tak pragnął ujrzeć raz jeszcze. Zezwolili nawet dwu dowódcom okrętów, mówiącym językiem jego ludu, aby przybyli i zechcieli go zabrać z sobą. Po to jedynie, aby jedno słowo starego wodza rzuciło go znów na pastwę owego straszliwego potwora.

Usnął znowu.

Zbudził się nagle i siadł, słysząc wysoki krzyk w oddaleniu. Później drugi i nagle wokół lepianki rozpętał się straszliwy zgiew. Rozległy się wrzaski, jęk i ludzie zaczęli przebiegać przed domem.

Skoczył ku otworowi wejściowemu. Odsuwając zasłonę zobaczył, że wartownik unosi w górę

włócznie chcąc przebić nadbiegającego człowieka w hełmie o rozwianym pióropuszu.

Nie myśląc, co czyni, uderzył z całej siły pięścią w tył głowy swego stróża.

Ręka z włócznią zawisała na ułamek chwili w próżni.

Nadbiegający, który w półmroku dostrzegł dopiero teraz, co mu groziło, uderzył krótkim szerokim mieczem w pierś stojącego i wojownik upadł na kolana, a później osunął się na ziemię

Białowłose wyrwał włócznie z jego zastygającej dłoni i w świetle płomieni, które buchnęły z dachu sąsiedniej chaty, pobiegł za nacierającymi ludźmi w pancerzach, lecz po chwili uskoczył w mrok.

Gdzie było morze? W której stronie? Wybiegł spomiędzy lepianek.

Strzała świsnęła mu koło ucha i poszybowała w ciemność. Przypadł ku ziemi, rozglądając się i nie wypuszczając włóczni z ręki.

Na tle rosnących pożarów ujrzał ludzi w hełmach, wlokących w mrok krzyczące kobiety i dzieci. A więc stamtąd nadszedł atak.

Zaczął przemykać w tym samym kierunku, w jakim cofali się wlokący łup napastnicy, starając się nie wynurzać na polany blasku rzucające przez płonące domy, najwyraźniej podpalone przez atakujących.

Nagle z mroku wyskoczył półnagi, ciemnoskóry człowiek o gęstych kędzierzawych włosach. Na twarzy miał wyraz przerażenia. Pędził wprost na Białowłosego i widząc go, zamierzył się trzymanym w ręce nożem. Natarcie było tak szybkie i niespodziane, że chłopiec dopiero w ostatniej chwili cofnął się i pchnął, wbijając włócznie w pierś przeciwnika. Chciał ją wyrwać, lecz utkwiała głęboko, a kiedy szarpnął raz jeszcze, złamała się. Człowiek upadł, rżąc cicho.

Białowłose pochylił się, wyrwał mu nóż z ręki i odskoczył, widząc drugiego wojownika, który nadbiegł z krótkim mieczem w dłoni.

Przywarł do pnia wysokiej palmy i starał się pojąć, co się wokół niego dzieje. Naprzeciw miał dom naczelnika. Musiał to być ów dom, gdyż dojrzał dwóch ludzi w hełmach z pióropuszcami, po których poznał wojowników z ludu morza, wywlekających z wnętrza domu starego wodza. Jeden z nich uniósł miecz i przebił nim starca, drugi ponownie skoczył w głąb domu, na którego dachu urosły już wysokie płomienie, i powrócił stamtąd unosząc coś zawiniętego w płachtę płócienną.

- Na okręty! - Wysoki okrzyk dobiegł z ciemności i zabrzmiał jeszcze kilkakrotnie, powtórzony przez niewidzialne usta.

Ludzie w hełmach poczęli biec w jednym kierunku. Kryjąc się w cieniu, ruszył za nimi.

Obrona najwyraźniej zaczęła krzepnąć, a wojownicy, którzy w pierwszym przerażeniu zbiegli w pustynię, powracali teraz.

Za cofającymi się na okręty żeglarzami biegły z sykiem coraz gęstsze strzały.

Lękając się, aby nie paść z ręki tych, z którymi chciał uciec, trzymał się z dala w cieniu, lecz gdy opuścił cień drzewa, wiedział już, że nie zdoła uniknąć rozpoznania.

- Zaczekajcie! Weźcie mnie z sobą! - Zawołał i rzucił się brnąc przez piach za nimi. Spomiędzy drzew świsnęły za nim dwie strzały, później jeszcze dwie. Świstu piątej nie usłyszał.

Uczuł gwałtowny ból w nodze, upadł, podniósł się i poczuł tkwiący w udzie grot. Sięgnął za siebie, wyrwał go czując, że wraz z nim wyrywa kawał ciała, i pobiegł potykając się za innymi.

Okręty były już na wodzie. Wrzucano do nich ostatnich jeńców. Ludzie podparli z wszystkich sił czarne kadłuby i wskoczyli rzucając się do wiosł.

Białowłose skoczył do wody. Robiąc szaleńczo rękami i czując niemoc ogarniającą prawą nogę,

która z każdym ruchem ciążyła mu coraz bardziej, ścigał ciemny oddalający się kształt.

- Zaczekajcie! - krzyknął wiedząc, że nikt nań czekać nie będzie, choćby go nawet wzięli w mroku za jednego ze swoich, gdyż brzeg zaroił się już od ciemnych postaci, a nad okrętem syczały roje strzał.

Ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem rzucił się ku przodowi, zagarniając wodę.

Okręt był już blisko. Wyciągnął rękę wiedząc, że wioślarze uderzają coraz szybciej.

W tej samej chwili dostrzegł nad sobą dwie ciemne sylwetki. Dwie pary silnych rąk pochwyciły jego dłonie. Dźwignął się, chwycił drugą ręką za belkę obramowania i runął w dół, pod nogi stłoczonych na okręcie ludzi.

Nad nim wielki żagiel rozwinął się gwałtownie opuszczony z rei i zaśpiewał cicho chwytając wiatr, który nocą zawsze nadbiega od lądu.

*

Dzielny Haugha, wódz straży pustynnej, zatrzymał konia i przyłożywszy dłoń do oczu patrzył przez długą chwilę na dalekie morze rozciągające się na granicy widnokregu i bliższe, rozfalowane wzgórza czerwonych piasków, opadające łagodnie ku wodzie.

W niewielkim oddaleniu od morza dostrzegł kępę drzew i zieleń pastwiska rozciągającą się naokół niewidocznego źródła.

- To tam wodzu... - zawołał wojownik, który jadąc za nim dopiero teraz znalazł się na szczycie wzgórza.

- Widzą nas już zapewne... - rzekł Haugha i z wolna począł zjeżdżać w kierunku wsi, ścisnąwszy wodze konia.

Naprzeciw niego pojawiły się cztery ciemne punkty i szybko urosły, przemieniając się w czterech jeźdźców. Gdy zbliżyli się, Haugha i towarzyszący mu wojownik odrzucili włócznie i łuki i zatrzymawszy się, unieśli prawe dłonie na znak, że nie chcą walczyć, lecz przybywają w pokojowych zamiarach.

Czterej jeźdźcy zbliżyli się. W rękach trzymali napięte łuki.

- Kim jesteście?

- Jestem wodzem straży strzegącej krainy wokół Wielkiego Jeziora i zwał mnie Haugha. Przybyłem, jak chciał tego naczelnik tej wsi i gotów jestem uczynić, jak chciał, abym uczynił.

Czterej jeźdźcy nie odpowiadali przez chwilę. Wreszcie jeden z nich rzekł:

- Ruszajmy! A jeśli któryś z was zapragnie uciec, przeszyty będzie strzałą!

Haugha w milczeniu skinął głową i lekko dotknął uszu konia, który począł zstępować ze wzgórza. Czterej jeźdźcy otoczyli przybyłych z obu stron.

Gdy znaleźli się pośród pierwszych chat wsi, wódz straży pustynnej szybko wciągnął powietrze w nozdrza.

Nie mylił się. Zewsząd czuł woń spalenizny. Ujrzał kilku mężczyzn zajętych stawianiem chaty obok miejsca, gdzie zgłiszczą wskazywały, że spłonęło poprzednie domostwo. Dalej widok był wszędzie ten sam. A że domy stały niekiedy z dala od siebie, więc nie mógł to być zwykły pożar, biegnący od dachu do dachu i obejmujący całą wieś.

Wreszcie zatrzymali się przed większym, zupełnie nowym domostwem o ścianach z włókien palmowych obrzuconych gliną.

- Zejdźcie z koni! - rozkazał jeden z wojowników i wszedł do wnętrza. Pozostali trwali nadal z łukami wymierzonymi w pierś stojących.

Dokoła poczęli zbierać się ludzie. Haugha dostrzegł, że byli to niemal sami mężczyźni, a tylko niewiele kobiet i starszych dzieci. Stał nieruchomo, wpatrzony w osłonięty matą otwór wejściowy domu. Wiedział już.

Wojownik ukazał się i skinął ręką.

- Wejdz, Haugho, wodzu straży pustynnej! - rzekł dając znak ręką jego towarzyszowi, aby pozostał na miejscu.

Haugha wszedł. Przez chwilę jego przywykłe do otwartej przestrzeni oczy nie mogły niczego dostrzec w półmroku. Później ujrzał młodego człowieka siedzącego na posłaniu ze skór.

- Bądź pozdrowiony, ty i twój dom... - rzekł Haugha i mimowolnie rozejrzał się.

- Siądź, wodzu straży pustynnej... - Młody człowiek skinął na stojącego w drzwiach wojownika. - Niechaj wniosą tu jadło i napitek dla czcigodnego wodza, a także daj wypocząć i ożywić się jego towarzyszowi, który zapewne jest utrudzony jak i on sam.

Wojownik wyszedł. Haugha siadł na wskazanym na przeciw młodego człowieka legowisku ze skór i uniósłszy głowę spojrzął mu w oczy, lecz nie przemówił do niego. Tamten także milczał.

Wniesiono dzban świeżej wody, placki i suszone figi. Młody człowiek poruszył się, sięgnął po placek i podał gościowi.

Haugha przyjął placek, przełamał go i podał część gospodarzowi. Uczynił to spokojnie, choć wiedział, że jeśli ręka z plackiem zawisnie w powietrzu, będzie to oznaczało, że śmierć jego jest postanowiona.

Młody człowiek bez wahania wziął ofiarowaną sobie część placka i począł jeść. Milczeli nadal.

Dopiero gdy wychylili kubki i odstawili je od siebie, młody człowiek rzekł:

- Nie było mnie tu wówczas. Ojciec mój zapragnął, abym zdobył sobie żonę, gdyż poprzednią, która nie urodziła mi jeszcze syna, ukąsił skorpion i zmarła.

Urwał. Haugha czekał nieporuszenie.

- Więc, jak chce obyczaj, odjechałem samotnie i zdobyłem żonę... - Znowu urwał i pokiwał głową. - Gdy powróciłem minęły już trzy dni od owej napaści.

- Czy przybyli z morza? - zapytał Haugha.

- Odgadłeś, wodzu. Przybyli z morza i odpłynęli okryci nocą na czarnych okrętach. Zabili strażników, którzy strzegli brzegu i zaskoczyli wieś we śnie. Zabrali wiele naszych kobiet i dorastających dzieci... zabili też wielu wojowników, nim lęk minął i mogli stawić czoło napastnikom.

- Napadnięty we śnie jest jak kobieta, dziecko i gołębica - rzekł Haugha. - Tak mówi przysłowie mego ludu.

- Jest to przysłowie prawdziwe i mądre, wodzu. Pochowałem mego ojca i odbudowuję wieś.

- Przybyłem, gdyż tak chciał twój ojciec... - rzekł Haugha.

- Wiem. Inaczej skorzystałbym, że przybyłeś tu sam, bez twych wojowników i kazałbym cię zabić, gdyż jesteście naszymi wrogami. Lecz wola mego ojca była inna i muszę jej być posłuszny. Odjedziesz żywy. Lecz jak mi powiedziano, wysłannik twój miał ci rzec, że otrzymasz owego białego chłopca, gdy zezwolisz naszym wojownikom obejść Wielkie Jezioro i uderzyć na południowe krainy lasów.

- Powtórzył mi on te słowa twego ojca.

- Wiedz tedy, że choć pragnąłbym wypełnić jego wolę, nie mogę tego uczynić, gdyż chłopiec ów nie znajduje się już we wsi.

- Czy zginął?

- Nie, gdyż nie znaleziono po napadzie jego ciała, a każdy by je rozpoznał. Piraci z ludu morza musieli go porwać z sobą. Był on zresztą jednym z nich.

- A więc nie ma go tu... - rzekł spokojnie Haugha. Uniósł głowę. - Jeśli pragniesz wyświadczyć mi przysługę, młody wodzu, wyprowadź mnie z twego domostwa i wbij mi włócznię w serce tak, aby ujrzał to mój wojownik. A później puść go wolno, aby doniósł o tym kapłanom w mieście nad Wielkim Jeziorem.

- Nie uczynię tego, gdyż wolą ojca mego było, abyś odszedł stąd żywy.

- A czy wiesz, do jakiego ludu należeli owi piraci?

- Do ludu morza. Mieszkają oni na wyspach północnych, a jak słyszałem z opowieści starych ludzi i tych, którzy znają ich mowę, leżą one o siedem, dziesięć, a niektóre nawet o dwadzieścia dni żeglugi przy sprzyjającym wietrze. Lecz jest ich niezliczone mnóstwo, jak gwiazd na niebie. Tak mówią starzy ludzie... A jak jest naprawdę, któż może wiedzieć? Nie jesteśmy ludźmi morza, lecz piasków pustyni, i niewiele wiemy o tym.

- Tak... - rzekł cicho Haugha. - Jesteśmy ludem piasków i nie umiemy odnajdywać śladów na morzu... a więc ojciec twój pozostanie nie pomszczony, a ja nie odnajdę owego chłopca.

- Rzekłeś, wodzu... - Młody człowiek skinął głową.

- A więc zezwól mi odejść i dzięki ci za gościnę.

Haugha wstał.

- Odejdź w pokoju! - rzekł młody człowiek i zaklaskał w dłonie nakazując swym wojownikom, aby dali gościom wodę i zapasy jada konieczne do przekroczenia pustyni.

Lecz dzielny Haugha, wódz straży pustynnej, nie przebył morza piasków.

Gdy po sześciu dniach podróży ukazały się z dala brzegi Wielkiego Jeziora, zatrzymał konia i rzekł:

- Utnij mi głowę i zanieś ją czcigodnemu Het-Ka-Sebekowi, aby wiedział, że zapłaciłem za mą nieudolność w tropieniu zbiegów i nie mścił się okrutnie na mym rodzie. Powiedz mu też, że owego białowłosego zabójcę boga porwali piraci z ludu morza. Powiadają, że ręce kapłanów są długie jak świat i sięgną wszędzie. Niechaj więc Het-Ka-Sebek wyciągnie swe ręce na kraniec świata i ujmie za morzem owego młodzieńca. A teraz czyn, jak ci nakazałem!

Wierny wojownik spełnił jego wolę, uciął mu głowę i stanawszy przed obliczem Strażnika Spokoju Wizerunku Duszy Boga Sebeka, ukazał ją, złożył u jego stóp i powtórzył, co stało się z uciekinierem i jak umarł dzielny Haugha, wódz straży pustynnej.

Het-Ka-Sebek spoglądał przez chwilę na leżącą przed nim w pyle głowę ludzką, później ruchem ręki nakazał wojownikowi, by zawinął ją na powrót.

- Lud morza... - rzekł cicho, a później dodał wskazując głowę: - Idź, aby obwieścić braciom i rodzinie zmarłego wodza straży, że zmaszał on swoją winę. A choć popełnił błąd, był wiernym sługą świątyni wielkiego boga. Niechaj pochowają ciało jego według waszego obyczaju.

Wojownik upadł na twarz, zerwał się i przyciskając do piersi głowę, wycofał się tyłem z dziedzińca, na którym przyjął go kapłan.

Het-Ka-Sebek zawrócił pod cienistą kolumnadę i udał się do kamiennej celi, gdzie arcykapłan świątyni siedział zamyślony nad zwojem starego papirusu.

Rozmawiali przyciszonymi, poważnymi głosami aż do zachodu słońca, a gdy nadeszła noc, srebrny dźwięk wielkiego gongu obwieścił wszystkim członkom świętego kolegium Sebeka, że mają

zejść się w podziemnej sali obrad.

Rozdział czwarty

Żeglarze nieśmiertelnego Minosa

Przebudził się i leżał przez chwilę z przymkniętymi oczyma, czując łagodne kołysanie okrętu. Za nim głęboki głos męski śpiewnie podawał w mowie zbliżonej do ojczystej, choć nieco twardszej i bardziej gardłowej, nieustannie te same słowa: „Płyn-przez-fa-le... płyn-przez-fa-le...” Gdy urwał na chwilę, przez kadłub przechodziło lekkie drżenie, jak gdyby okręt otrzymał pchnięcie z tyłu. Białowłosey wiedział, że to wiosłarze napierają równocześnie na wiosła. W górze słyszał szybki łopot płótna. A więc płynęli także pod żaglem...

Otworzył oczy. Dzień jeszcze nie wstał, lecz niebo po prawej stronie okrętu było już nieco jaśniejsze.

Dostrzegł to od razu i serce zabiło mu żywiej. Płynęli na północ! Rozejrzał się.

Naokół niego, zbici ciasno, spali skuleni ludzie: kobiety, kilku dorastających chłopców, takich jak on i dziewczęta. Po barwie skóry i ubiorze poznał, że należeli wszyscy do plemienia pustyni, którego był dotąd jeńcem. Ci, których kupiono przed napaścią, musieli zapewne znajdować się na innym okręcie.

Pod masztem, na którym rozpięty był czarny żagiel, ozdobiony wizerunkiem wielkich, białych, szeroko otwartych oczu, siedziało na skórach trzech wojowników o jasnej skórze trzymających na skrzyżowanych kolanach krótkie brązowe miecze wyjęte z pochwy. Obok nich piętrzył się stos tarcz i włóczni, których ostrza połyskiwały lekko w bladym blasku przedświtu. Środek okrętu zajmowały dwa rzędy wiosłarzy. Za nimi zasłonięty żaglem stał człowiek nawołujący sennym, miarowym głosem.

Białowłosey rozprostował skostniałe ramiona i spróbował wyprostować nogi. Syknął z bólu i dotknął palcami uda.

Dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że gdy dobiegał do brzegu, trafiła go strzała. Uniósł palce ku oczom i spojrział. Rana nie krwawiła już, choć wyczuwał jej poszarpaną krawędź i dotknięcie sprawiło mu ból.

Poruszył ostrożnie nogą. Bolała, lecz nie utracił w niej czucia ani siły.

Starając się nie dotykać zranionym udem desek dna i podtrzymując je rękami siadł i spojrział na morze.

Po prawej, unosząc się na niewysokich, łagodnych falach płynęły pod rozwiniętymi żaglami inne okręty. Naliczył ich siedem. Jeden był tak blisko, że nawoływanie sternika dobiegało wyraźnie ponad wodą, tłumiąc szum niewielkich fal i śpiew wiatru.

Opadł z powrotem na deski i ostrożnie podkulił zranioną nogę. Później, zauważywszy kątem oka, że jeden z trzech siedzących po masztem wojowników wstaje, spojrział na niego. Choć nie miał on

teraz na głowie hełmu z czerwonym pióropuszem, Białowłosy rozpoznał w nim młodego dowódcę okrętu, który chciał go kupić od starego wodza plemienia.

Odsunawszy lekkim kopnięciem śpiącą kobietę, człowiek ów zbliżył się ku niemu.

- Czy możesz poruszać nogą, Trojańczyku?

- Tak, panie.

- Odwróć się, abym ujrzał ranę! - Ujął go za ramiona i przekręcił tak, że Białowłosy dotknął piersią desek. Lecz choć dotyk jego dłoni był silny i zdecydowany, uczynił to łagodnie. Przez chwilę wpatrywał się w ranę.

- Spróbuj poruszyć nogą! Zaciskając zęby, chłopiec uniósł stopę i opuścił ją z wolna, póki palce nie dotknęły desek.

- Krwawiłeś tak obficie, że towarzysze moi chcieli cię wyrzucić do morza, abyś nie był zbędnym ciężarem wioślarzom i nie umarł tu, gdyż cień twój mógłby zawiązać nam drogę powrotu... - Roześmiał się krótko. - Nie zezwoliłem im na to i nie zezwoliłem przewiązać rany, aby zła krew spłynęła, gdyż strzała mogła być zatruta... - Zamilkł i znów pochylił się nad chłopcem. - Lecz nie była, gdyż brzegi rany są czyste i zagoiły się już.

- Dzięki ci, panie... - rzekł Białowłosy cicho, wciąż leżąc twarzą na deskach i nie odwracając głowy.

- Uczyniłem to, co winienem być uczynić... - mruknął kapitan. - Gdy biegłem ku chacie owego starego wodza, aby zabrać z niej piękne, złote przedmioty tam nagromadzone, natknąłem się przed sąsiednim domostwem na wojownika z włócznią. Nie dostrzegłem go, a gdy uniósł włócznię i wymierzył nią w moją pierś, pojąłem, że żywot mój dobiega kresu, gdyż nie było już czasu, by się osłonić. Wówczas tyś wyskoczył z chaty i uderzyłeś go w głowę, włócznia nie opadła, a ja ściąłem go z nóg i pobiegłem dalej. Lecz rozpoznałem cię po tych białych włosach. Później bogowie zezwolili ci dopłynąć do mego odbijającego okrętu. Pojąłem znak i przyrzekłem sobie, że jeśli nawet okulejesz, nie zezwolę aby cię zabito, lecz zabiorę cię na mą wyspę i będziesz żył w moim domu. A oto widzę, że rana twoja goi się w sposób niemal cudowny. A że jesteś tak młody i wiele już zapewne przeżyłeś, można wierzyć, że bogowie otaczają cię szczególną opieką. Jak cię zwą?

- Nie mam jeszcze imienia, panie... - Białowłosy odwrócił się i usiadł ostrożnie. - W ojczyźnie mojej nadają je w chwili, gdy młodzieńca powiodą do pieczary Poseidona, aby odtąd był dojrzałym mężem. Matka moja i ojciec zwali mnie Białowłosym.

- I słusznie cię tak zwali, gdyż nie widziałem jeszcze człowieka, który nie będąc starcem miałby włosy tej barwy! - Młody żeglarz roześmiał się. - A mnie zwą Terteus. Ojciec mój jest królem wyspy Sytnos. Niewielka to wysepka, lecz skalista, kto nie zna wejścia do przystani, zginie na skałach! - Znowu się roześmiał. - Ujrzysz to własnymi oczyma, gdy z pomocą bogów dopłyniemy tam za dni dwanaście lub mniej nawet, jeśli wiatr nadal będzie nam tak jak teraz sprzyjał... - Spoważniał. - Każę, aby ci dawano wiele jadła, gdyż utraciłeś więcej krwi, niż wolno utracić. A jak rzekłem, nie będziesz niewolnikiem.

- Dzięki ci, panie. Nie czuję głodu.

- Nie mów do mnie: panie, gdyż przystoi to jedynie niewolnikom.

- A więc, dzięki ci, Terteusie... - szepnął Białowłosy i osunął się na deski, gdyż pociemniało mu nagle w oczach i w głowie odezwał się cichy, rosnący szum.

I dodał w myśli:

„Dzięki ci, Wielka Matko, która nie odwróciłaś swego oblicza od tak nędznego stworzenia, jakim

jestem, nie będąc nawet dojrzałym mężem. Dzięki ci, że nie ukarałaś mnie, choć rzekłem, że zadrwiłaś ze mnie okrutnie...”

I znów, choć modlitwa zwrócona była ku bogini, ujrzał pod przymkniętymi powiekami spokojną twarz swej matki.

Z wysiłkiem otworzył oczy.

- Terteusie... - rzekł cicho.

- Cóż chciałeś rzec? - Młody kapitan pochylił się nad nim.

- Czyś... czyś zabrał owe złote skarby z chaty starego wodza?

- A czemu pragniesz o tym wiedzieć? - Terteus zmarszczył brwi.

- Gdyż zabrałem je z pewnego grobowca w Egipcie... Był z nimi mój nóż... prosty i nie mający żadnej wartości... Nosilem go w tej oto pochwie...

Uniósł rękę i dotknął sznura na piersi.

- Spojrzałem raz jeden na ów skarb... - rzekł Terteus wzruszając pogardliwie ramionami. - Leży on pod masztem, zawinięty w płótno. Lecz wstrzymaj się...

Odwrócił się i odszedł ku środkowi okrętu. Po chwili powrócił. Białowłosy, walcząc z ponowną falą słabości, otworzył oczy.

- Czy to ten?

- Tak, panie... tak, Terteusie... Wyciągnął rękę, a kiedy poczuł w niej znajomy kształt, uniósł nóż ku wargom i ucałował go.

- Cóż widzisz w nim tak cennego? Czy przynosi ci szczęście?

Chłopiec zwrócił spojrzenie ku stojącemu nad nim mężczyźnie i uśmiechnął się.

- Jeśli powiem ci, że zabiłem nim rybę, wielką jak czółno i egipskiego boga-potwora, nazwiesz mnie nikczemnym kłamcą i rozkażesz wyrzucić do morza rybom na pożarcie...

- Nie uczynię tego, gdyż pojmuję, że majaczysz na skutek zadanej ci wczoraj rany. Znałem starszych niżli ty, którzy prawili od rzeczy, gdy gorączka weszła w ich ciała. Uśnij, a gdy zbudzisz się, każę, aby cię nakarmiono i napojono.

*

Szóstego dnia Białowłosy wstał po raz pierwszy, przeszedł aż do masztu i powrócił na dziób, czując lekki ból w udzie. Na ósmy dzień poruszał się już niemal z dawną swobodą. Wiatr dął niezmiennie z południa i okręty płynęły szybko, oddalając się od gorącej ziemi egipskiej.

Przed zachodem Białowłosy ujął po raz pierwszy wiosło. Wiedząc, że wojownicy-wioślarze przyglądają mu się z drwiącym niedowierzaniem, zanurzył je w wodzie. Było ciężkie, a jego nadwątłone siły nie powróciły jeszcze w pełni, lecz radość, jaką odczuwał, kazała mu zapomnieć o wysiłku. Podobnie jak wszyscy oni był człowiekiem morza i pojmował jego ogrom, zmienną barwę i tajemnice, jak rolnik pojmuje ziemię, a pasterz, nie ucząc się tego nigdy, wróży z zachowania się stada nadchodzącą zmianę pogody lub grożące niebezpieczeństwo. Nawet śmierć sama, gdyby miała nadejść na morzu, wydawałaby się zapewne inna, mniej straszliwa niżli ta, która krążyła nad nim pośród gorących piasków krainy oddalającej się teraz na południe i coraz bardziej nierzeczywistej, jak przerażający sen w miarę upływu czasu po przebudzeniu.

Na dziesiąty dzień Terteus, stojąc na dziobie okrętu i wpatrując się w migotliwą linię widnokręgu, rzekł do niego:

- Wkrótce ujrzemy mój rodzinny brzeg, jeśli... nie spotkamy ich, gdyż w tej okolicy morza krążą oni niemal nieustannie czatując na nas.

- Kto?

- Kreteńczycy. Żeglarze nieśmiertelnego Minosa. Tędy wiedzie ich szlak handlowy do Egiptu i miast fenickich, także i owego Gubal, o którym mi opowiadałeś. A mają oni przystanie i składy wszędzie na podbitych przez siebie wyspach, gdyż zbrojne ich ramię unosi się nad wodami świata, które przemierzają na niezliczonych, rządzonych jedną wolą okrętach. Dla tej przyczyny nienawidzą nas i naszego bohaterskiego rzemiosła. Przeszkadzamy im ile sił bogacić się jeszcze bardziej, choć ludzie powiadają, że na wyspie ich są skarby nieprzebrane, a władcy ich żyją w przepychu większym nawet niż boski faraon Egiptu. Byłoby rozumnym, gdyby kiedyś nasze niewielkie floty połączyły się i uderzyły na Kretę. Dzielniejsi jesteśmy niżli oni, lecz rozbici na maleńkie pirackie królestwa. A oni wypływają zwykle na morze wielką flotą i biada wówczas temu z nas, który ich spotka, gdyż żadnego pirata nie trzymają przy życiu, gdy go pochwycą.

- Czy dla tej przyczyny jeden z okrętów płynie dziś daleko w przodzie?

Białowłosy wskazał wysunięty ku przodowi czarny żagiel, który to nikał, to pojawiał się w mgielce oddalenia, wchodząc na fale i opadając w ich bruzdy.

- Tak. Jeśli dojrzy z daleka okręty kreteńskie, zawróci i będziemy uciekali tak długo, aż noc nie skryje nas przed ich oczyma. Są to okręty wielkie i widoczne z dala, więc łatwo je dojrzeć przy bezchmurnym niebie takim jak dziś, bogom niech będą dzięki!

Mimo że wypowiadał owe słowa pogodnym niemal głosem, Terteus nie opuszczał miejsca na dziobie okrętu i oczy jego nieustannie błędziły po widnokręgu.

Pozostałych siedem okrętów płynęło blisko siebie, tak że można było niemal porozumieć się z nimi głosem. Młody dowódca zwrócił głowę w kierunku najbliższego i nagle wyprostował się, przykładając dłoń do oczu.

- Oto one! - zawołał i wyciągnął rękę. Białowłosy dostrzegł je w tej samej chwili.

Nie znajdowały się na wprost dziobu, tam gdzie płynął samotny okręt, który miał ostrzec o ich pojawieniu się, lecz wynurzyły się z prawej, nadchodząc ze wschodu. Było ich kilkanaście, wielkich, różnobarwnych, o prostokątnych białych żaglach. Wynurzone były z wody znacznie wyżej niż smukłe okręty piratów i w blasku słońca chłopiec ujrzał w oddaleniu jasny rząd wiosł unoszących się i opadających u burty najbliższego okrętu, który zbliżał się zdumiewająco szybko.

Terteus skoczył w stronę masztu, roztrącając zbitą gromadkę przerażonych jeńców. Nałożył hełm, chwycił wysoką tarczę i włócznię. Ludzie przy wiosłach mieli już swój oręż obok siebie, spoczywający na dnie okrętu.

Białowłosy stał nieruchomo, nie mogąc oderwać oczu od rosnących szybko białych żagli, które przybliżały się ku nim, pragnąc przeciąć drogę okrętom piratów.

Słyszał za sobą w ciszy ostro wypowiedziany rozkaz i czuł, że okręt zakołysał się gwałtownie zmieniając kierunek.

W tej samej chwili wszystkie okręty piratów rozpierzchły się wybierając różne kierunki, tak aby pościg musiał się także podzielić. Okrzyki sternika przestały być śpiewne i stały się szybsze, urywane. Wiosła uderzyły w wodę z głośniejszym pluskiem. Okręt przyspieszył.

W chwili, gdy wykonali skręt, ścigający zniknęli mu z oczu za żaglem, teraz, wychyliwszy się, dostrzegł wielki, błękitny okręt, który przybliżył się znacznie. Pośrodku białego, wzdętego żagla wyobrażona była głowa byka o niemal prostych, purpurowych rogach. Głowa ta zdawała się unosić ponad falami, coraz bliżej i bliżej.

Przez chwilę wydawało mu się, że odległość pomiędzy okrętami rośnie. Głos sternika stawał się

coraz bardziej ochryply i szybszy. Nawoływanie nadbiegało jak bicie rozszalałego serca: „Płyn-przez-fa-le! Płyn-przez-fa-le!”

Lecz wiosła okrętu kreteńskiego także unosiły się i opadały prędzej, niżli mógłby uwierzyć, gdyby nie patrzył na to, a ogromny żagiel, chwyciwszy pomyślny wiatr, pchał błękitny kadłub w ślad po bruździe pozostawionej przez uciekających.

Dalej widział inne okręty piratów rozpierzchające się na wszystkie strony. Odwrócił na chwilę oczy ku morzu rozciągającemu się przed dziobem. I zmartwił.

Daleko przed nim wyrastały na linii widnokregu trzy maleńkie jeszcze białe żagle. Płynęli wprost na nie.

Rzucił się ku tyłowi okrętu i dopadłszy Terteusa, który stał nieruchomo wpatrzony w ścigającego ich wroga, zawołał tylko:

- Tam! Spójrz!

Terteus przysłonił oczy ręką i krzyknął:

- Zwolnić! Gdy zbliży się, zawróćmy! Jeśli nie zdąży uderzyć w nas dziobem, przemkniemy obok niego! Tam, przed nami, nadpływają inni Kreteńczycy!

Ludzie nie unieśli nawet głów znad wiosła. Okręt zwolnił nieco.

Terteus stał wpatrzony w zbliżający się dziób nieprzyjacielskiego okrętu. Rósł on w oczach, rozrastał się nadpływając i Białowłosy, patrząc oczyma pełnymi przerażenia, dostrzegł wyraźnie na dziobie rzeźbioną głowę kobiecą. Głowa ta uśmiechała się spokojnie. Była tuż-tuż...

Terteus, osłonięty tarczą, uniósł rękę i trzymał ją przez chwilę w górze. Nagle opuścił ją.

- Lewe wiosła w tył! Praaaaaawe... w przód! - zakrzyknął sternik, napierając równocześnie na wiosło sterowe.

Okręt pochylił się nagle głęboko i obrócił niemal w miejscu, zataczając maleńkie koło na falach, tuż przed dziobem nadpływającego wroga.

- Haaa... ii!

Wszystkie wiosła uderzyły naraz z potwornym wysiłkiem i czarny, smukły kadłub uniósł się niemal w powietrze, pchnięty nadludzkim wysiłkiem ramion.

Śmignęli tuż pod bokiem kreteńskiego okrętu.

W tej samej chwili sypnęły się na nich strzały. Białowłosy przykucnął kryjąc się za tarczą Terteusa. Usłyszał wysoki wrzask kobiecy i czyjś jęk w pobliżu. Siedzący najbliżej niego wiosłarz uniósł się i padł przez wiosło bluzgając krwią z przebitego strzałą gardła.

Jeszcze chwila i okręty oddaliły się od siebie. Chłopiec skoczył ku przodowi i odepchnąwszy trupa, który stoczył się na dno okrętu, pochylił się nad wiosłem.

Nie słyszał niemal głosu sternika. Widział przed sobą rząd pochyłających się i prostujących pleców, więc pochyłał się i prostował jak one, nie czując niemal wysiłku. Widział teraz jedynie morze po lewej.

Nagle dostrzegł, że wiosłarze zrywają się z miejsc chwytając za tarcze i włócznie. Uniósł głowę. Okręt zatrzymał się niemal.

Tuż przed nim po lewej dostrzegł dwa okręty kreteńskie przecinające im drogę. Byli otoczeni. Porwał tarczę zabitego wiosłarza, jego hełm i włócznie i stanął wraz z innymi, przytknąwszy brzeg tarczy do brzegu tarczy sąsiada.

„Nie mam miecza...” - zdążył jeszcze pomyśleć dziwiąc się sobie, że myśli tak spokojnie. Nagle potężne uderzenie zbiło go z nóg.

Starli się burtami z Kreteńczykami. Zrywając się na nogi ujrzał na tamtym okręcie twarze pod wysokimi brązowymi hełmami.

Usta ich były otwarte, lecz nie słyszał krzyku. Coś uderzyło w jego tarczę i osunęło się, nie przebijając jej. Zachwiał się, wyprostował i zamachnął.

Widział wyraźnie swą włócznie, unoszącą się w powietrzu i płynącą ukośnie w górę ku kreteńskiemu pokładowi. Ujrzał człowieka, który osłonięty był wielką, sięgającą od stóp do brody tarczą, lecz poruszył się i przesunął ją o tyle, że włócznią wpadła w tę lukę, zatrzymała ugodziwszy go w bok, uniosła i z wolna opadła, a wraz z nią ów człowiek, lecący głową w dół... Zniknął.

Obejrzał się. Drugi okręt kreteński był tuż-tuż. Białowłosy skulił się i nakrył tarczą, gdy grad strzał runął ponownie, tym razem w plecy walczących.

Dostrzegł jeszcze Terteusa, który z uniesioną tarczą i wymachując mieczem nad głową rzucił się ku nacierającemu drugiemu okrętowi.

I wówczas stało się coś, czego Białowłosy nie przewidział. Ludzie na kreteńskim okręcie odrzucili oręż, schylili się, unieśli w rękach sieć i cisnęli ją na stłoczonych piratów.

Poczuł, jak oplatają go ostre wrzynające się w ciało sznury. Zobaczył czerwony pióropusz Terteusa zagarnięty w głąb sieci i upadł.

A wówczas tamci z mieczami w rękach zaczęli zeskakiwać w dół, na dno pirackiego okrętu.

Rozdział piąty

Nie prosiłem cię o łaskę

W stał świt, drugi od chwili ich pojmania. Pochylając się nad wiosłem Białowłosa dostrzegł kątem oka niewielką skrzydlatą rybę, który wystrzeliła ponad krótkie fale, przecięła powietrze jak ciemnobłękitna strzała i zniknęła bez plusku pod rozmigotaną zieloną powierzchnią.

Obliział językiem słone wargi i przymknawszy oczy napałł pierś i ramionami na wiosło. Przed sobą miał rząd pleców pochylających się wraz z jego plecami i prostujących, gdy głos nadzorcy kończył śpiewnie swój nieustający, powracający rozkaz. Nadzorca był teraz w przedzie. Przechadzał się z wolna, nawołując i zatrzymując od czasu do czasu, by sprawdzić, czy wioślarze-niewolnicy wkładają wszystkie siły w pracę. Chłopiec usłyszał z dala świst bata i ostry odgłos uderzenia w skórę ludzką. Zagryzł wargi. Przed nim pochylał się nagi grzbiet Terteusa, przecięty krwawą pręgą. Przed godziną nadzorca uderzył go bez żadnej przyczyny, gdyż wiosłował jak inni, a może lepiej, będąc człowiekiem młodym, o wielkiej sile i wprawnym do wiosła od dzieciństwa. Lecz Kreteńczycy wiedzieli, że przewodził na zatopionym okręcie pirackim i zapewne czekała go śmierć, a nie napotkał jej jeszcze jedynie dlatego, gdyż wraz z innymi musiał zastąpić wioślarzy kreteńskich, zabitych i rannych podczas starcia.

Ponownie rzucił okiem na morze. Pośród mgły porannej widać było wysoki, odległy samotny szczyt górski, a dalej inne. Wymijali je od południowej strony, kierując się ku północnemu zachodowi. Szczyt ów był daleko, zapewne o pół dnia drogi, może nieco mniej. Lecz nie mogła to być Kreta, gdyż łódź cofnęła się i ponownie przed dziobem ukazało się bezkresne morze, coraz jaśniejsze w blasku rozpoczynającego się dnia.

Nieustannie wiał przeciwny wiatr i wczoraj w południe zwinięto żagiel na wysokim maszcie. Żłocista głowa byka o pustych oczach zniknęła, lecz wraz z nią i nadzieja, że wioślarze z nogami przywiązanymi do poprzecznych belek swych ław będą mogli wstać, a później położyć się i odpocząć nieco.

Nocą kapitan nakazał na pewien czas zaprzestać wiosłowania połowie wioślarzy, a później drugiej połowie. Otrzymali też suche placki i wodę w glinianych naczyniach roznoszoną przez ciemnoskórych żołnierzy. Usnął wówczas z ramionami opartymi na drzewcu wciągniętego wiosła. Zbudziło go uderzenie pięścią w plecy. Ciemnoskóry żołnierz szedł szybko, uderzając kolejno siedzących, obojętny i sprawny, jak gdyby uderzał w drewniane figury. Cios pięścią był tak silny, że chłopiec stracił oddech i przez długą chwilę kasłał napierając na wiosło. Nadzorca zbliżył się wówczas i stanął nad nim przyglądając mu się uważnie. Lecz nie uderzył go i odszedł na rufę, skąd nadal dobiegał jego śpiewny, donośny głos. W tej chwili Białowłosa wiedział już, że nadzorców tych było dwóch i pełnili swą powinność na zmianę. W tyle okrętu i w zagłębieniu pod jego wysokim

dziobem siedzieli żołnierze, a co pewien czas cztery z nich chwytały swe lekkie oszczepy i ogromne tarcze, uczynione jak gdyby z dwóch spojonych z sobą kół, i udawali się ku podwyższeniu pod masztem, gdzie rozpięto purpurowy namiot wyszywany w rozkwitłe błękitne lilie. Tam stawali przed wejściem i trzymali straż, stojąc tak nieruchomo, jak na to pozwalało kołysanie okrętu.

Białowłosy widział to wszystko dokładnie, gdyż miejsce jego znajdowało się na wprost namiotu.

W namiocie mieszkał człowiek o wielkim zapewne znaczeniu, gdyż nadzorcy mówili do niego zgięci w pokłonie i z dłońmi przyłożonymi do piersi.

Człowiek ów odziany był w złotą opaskę na biodrach i błękitne obcisłe buty z cienkiej skóry sznurowane purpurowymi wstęgami. Włosy miał długie, ciemne, opadające puklami na nagie ramiona, jak gdyby był kobietą, a twarz jego była gładko wygolona jak twarze egipskich kapłanów. Nie był stary, lecz brak brody czynił go w oczach chłopca jeszcze młodszym. A najbardziej zdumiewające było to, że choć był tu najwyraźniej panem i wodzem, nie nosił żadnej broni, a gdy raz wyszedł przed wieczorem z namiotu, trzymał w ręce rozkwitły czerwony kwiat na długiej łodydze i przechadzając się wahał go od czasu do czasu w zamyśleniu. Gdy minął Białowłosego, pozostawił za sobą woń podobną kwiatom. Zapewne namaszczone był pachnidłami jak córki kupca Ahikara w Gubal. Wraz z owym dostojnikiem dzielił namiot chłopiec, być może nawet czternastoletni, lecz drobny, szczupły i jak gdyby przedwcześnie dojrzały. Ruchy jego były równie wyniosłe i powolne jak ruchy jego brata... Gdyż Białowłosy osądził, że ów dostojnik z kwiatem w dłoni zbyt młody jest, aby mógł być ojcem dorastającego syna.

Stary niewolnik, ubrany jedynie w białą przepaskę i sandały, nosił za owym chłopcem pofarbowaną na żółto i zielono małą małpę, jedyną istotę, wobec której ów okazywał nieco zaciekawienia. Głaskał ją, raz nawet wziął na ręce i kilkakrotnie dał jej jakiś owoc z jaskrawo ubarwionego naczynia, które niewolnik miał przytwierdzone do zapaski rzemykiem przeciągniętym przez oba jego ucha.

Chłopcu najwyraźniej nie służyło kołysanie okrętu. Wyszedł w ciągu całego dnia jedynie dwukrotnie, wówczas gdy morze było najspokojniejsze. Zapewne dzień cały spędził leżąc na pośłaniu.

Napierając na wiosło zmęczonymi ramionami i mając w uszach rosnący i opadający głos nadzorcy, Białowłosy żałował teraz, że nie poprosił Lauratasa, aby opowiedział mu więcej o swej ojczyźnie. To prawda, że mówili językiem podobnym do mowy jego ludu, lecz brzmiał on nieco inaczej, a niektórych słów nie mógł pojąć. Być może były to słowa, których nie pojałby w żadnej mowie, gdyż dotyczyły spraw i rzeczy nieznanymi?...

Wzeszło słońce. Dostrzegł, że zasłona namiotu drgnęła. Stojący na straży żołnierze unieśli swe ogromne dwukoliste tarcze i wyprostowali ramiona, w których trzymali włócznie. Lecz nikt nie ukazał się, a spoza zasłony dobiegło jedynie kilka słów wypowiedzianych sennym, przytłumionym głosem. Jeden z żołnierzy ruszył pospiesznie ku kapitanowi, zatrzymał się przed nim i wskazując namiot zawołał:

- Bogom podobny Widwojos przebudził się!

Później zawrócił, zbliżył do namiotu i stanął w miejscu, które przed chwilą opuścił.

Białowłosy na pół powstał, naparł na wiosło i z wolna opadł na ławę. Dłonie piekły i czuł ból w plecach, aby więc nie myśleć o tym, wpatrzył się w drgającą zasłonę namiotu.

Dwóch ciemnoskórych niewolników zbliżyło się od strony dzioba niosąc wielkie naczynia, za nimi nadszedł trzeci dźwigający niewielką skrzynię. Wszyscy trzej uklękli przed namiotem i

postawiwszy niesione przez siebie przedmioty na deskach pokładu, znieruchomieli. Za nimi zbliżył się stary niewolnik z małpą na ramieniu. Dopiero teraz Białowłosey zauważył, że małpa ta miała na szyi obrozę wysadzaną kamieniami, które migotały odbijając promienie słońca.. Niewolnik z małpą mógł zapewne okazywać owym dostojnym ludziom więcej poufałości niż pozostali, gdyż zbliżywszy się do namiotu uchylił lekko zasłonę, spoza której dobiegł głos chłopca. Niewolnik pochylił się i wszedł. Po chwili wynurzył się znowu i odszedł, lecz małpa najwyraźniej pozostała w namiocie, z którego dochodziły teraz dwa głosy - męski i chłopięcy.

Wreszcie ukazali się obaj. Byli nadzy, a włosy po przebudzeniu nie układały się w pukle, lecz spadały w nieładzie. Stary niewolnik powrócił niosąc na ramieniu białe lniane ręczniki. Wszedł do namiotu i wrócił z małpą, która siedząc na jego ramieniu przyglądała się obojętnie przygotowaniom.

Rozścielono na pokładzie ręcznik. Dostojny Widwojos siadł na nim, a niewolnik pochylił się i zaczął polewać z naczynia ciało jego wodą, która tryskała szeroko drobnymi strumykami przez niewielkie otworki zmyślnie hamujące jej spadanie.

Gdy cała woda została wylana, wytarto ciało Widwojosa ręcznikiem, a niewolnik wyjął ze skrzynki alabastrowe flakony i wylewając sobie kolejno na dłoń ich zawartość zaczął je wcierać w skórę pana, zręcznymi, szybkimi ruchami obiegając rękoma całe jego ciało. To samo czynił inny z chłopcem. Wreszcie opasano ich obu złocistymi przepaskami i obuto im nogi w miękkie buty. Później niewolnik zaczął szerokim kościanym grzebieniem czesać i układać włosy.

Na dziobie rozległ się krzyk i po chwili pojawił się nadzorca.

- Panie mój - rzekł tak głośno, że słowa, jego dobiegły wyraźnie do uszu Białowłosego, - Widać już szczyt wyspy Kazos!

Widwojos lekkim ruchem ręki odsunął dłoń niewolnika, który układał jego lśniąco ciemne włosy. Przez chwilę nie odpowiadał, później skinął głową.

- Uczyń, jak ci nakazałem wczoraj. Zawiniemy do przystani.

I odwrócił wzrok od stojącego. Nadzorca wyprostował się i szybkim krokiem ruszył ku tyłowi okrętu, gdzie dwaj sternicy stali oparci o grube wiosła sterowe.

Okręt drgnął, pochylił się i Białowłosey uczuł, że wiatr wiejący mu do tej pory prosto w oczy uderza z lewej.

Drugi nadzorca przeszedł szybko wzdłuż rzędu wiosłarzy i zawołał ku dziobowi, skąd nadbiegli ludzie i rzucili się ku luźno zwisającym linom ożaglowania. Z wolna wielki biały żagiel uniósł się w górę, a złocisty łeb byka o potężnych purpurowych rogach zakołysał się nad okrętem i wygiął lekko, chwyciwszy wiatr.

Widwojos wstał i skinąwszy na nadzorcę rzekł:

- Daj wypocząć teraz wiosłarzom, gdyż nie wiem, jak długo zatrzymamy się na Kazos, a chciałbym, aby byli wypoczęci i gotowi do drogi. Wycieńczony niewolnik nie służy nikomu.

Okręt płynął teraz nieco szybciej niż uprzednio, gdyż pchał go sprzyjający wiatr.

- Unieść wiosła i wciągnąć! - krzyknął nadzorca. Białowłosey pociągnął wiosło ku sobie na długość rzemienia, na którym było umocowane na wypadek, gdyby miało wysunąć się z ręki wiosłarza. Podtrzymując je ramieniem, rozplatał rzemień i wysunął go z pierścienia na burcie. Później zaczął powoli cofać wiosło, wstał i wciągnął je na okręt. Widząc, że inni wsuwają je pod ławy, odszedł dwa kroki, gdyż na tyle pozwalał mu sznur. Zachwiał się i przytrzymał rękami ławy.

- Odwiążcie się! - krzyknął nadzorca i szybko przeszedł wzdłuż wiosłarzy, by sprawdzić, czy wszyscy zdolni są powstać. Krzyk jego dobiegł teraz od strony steru: - Podejdźcie tu!

Ruszyli prostując zdrętwiałe nogi i ramiona. Okręt nie był załadowany, więc wielka okrągła bariera ładowna na rufie była pusta. Tam na znak nadzorcy skupili się, padając na spojone smołą deski. Terteus usiadł obok Białowłosego.

- Przybijamy do Kazos... - rzekł półgłosem. Uniósł głowę i przyjrzał się dalekiemu szczytowi góry widniejącej nieco na lewo przed dziobem pod reją wzdętego żagla. - Tam zapewne zabijają mnie... - Uśmiechnął się bezradośnie. - Lecz ty będziesz żył. Mają oni wielu pisarzy i urzędników, którzy będą pytali każdego z nas, kim jest i skąd pochodzi, aby przydzielić go do pracy, którą umie wykonywać. Jedyne piratów składają na ofiarę Wielkiej Matce lub Minotaurowi, który objawia się widomie jako święty byk, a jest ich bogiem podziemnym.

- Lecz czemuż by nie mieli cię pozostawić jako niewolnika na okręcie? - Białowłosa pokręcił z niedowierzaniem głową. - Jesteś młody, silny i cóż im przyjdzie z odebrania ci życia?

- Każdy pirat, który wpadnie im w ręce, musi zginąć, jak ci już rzekłem. Gdyż moc ich jest wsparta na morzu, handel ich jest handlem morskim, a ludy przez nich podbite dzieli od nich morze. Jest ono dla nich tym, czym powietrze dla ciebie i dla mnie.. A piraci szarpiają ich i tych, z którymi oni handlują, porywają ich okręty, towary i ludzi. Słusznie więc czynią zabijając nas. - Wzruszył ramionami. - Człowiek rodzi się po to, aby umrzeć. Skoro mam zginąć na Kazos, nie zginę gdzie indziej. Nie będę też cierpiał smutków starości, pochylonych pleców, osłabłych ramion i na pół oślepych oczu. Zresztą tak długą nić uprzedły dla mnie Parki w chwili, gdy narodziłem się, a nie dłuższą. Na nic nie zdadzą się tu łzy ani smutek. Przodkowie moi czekają na mnie w Krainie Cieni.

- Żyjesz jeszcze, Terteusie, więc nie uprzedzaj woli bogów. I ja byłem już jedną nogą w Hadesie i żegnałem się z życiem i to nie raz, lecz kilka razy, choć jestem jedynie chłopcem, a nie dojrzałym mężem. A oto widzisz mnie żywego.

- Dobry z ciebie chłopiec... - Terteus uśmiechnął się. - Lękam się jednak, że stanie się tak, jak stać się musi. A nie wiem nawet, czy nie zabiją mnie lub innego ze schwytanych piratów na ołtarzu okrętowym, nim okręt przybije do brzegu. Gdyż bywa i to w ich zwyczaju, gdy powracają po zwycięskiej bitwie. Spójrz na żołnierzy. Nie spuszczają nas z oka, choć nie mamy gdzie uciec, a do brzegu przybijemy przed południem, jeśli nie później.

Rzeczywiście, wiosłarze odgradzeni byli od reszty okrętu rzędem wojowników, którzy wsparci na tarczach stali w rozkroku, trzymając w rękach obnażone krótkie brązowe miecze.

Od śródokręcia zbliżył się jeszcze jeden żołnierz, podszedł i końcem włóczni trącił Białowłosego, a później Terteusa:

- Pójdźcie za mną po wodę i jedło dla wiosłarzy.

Odwrócił się, nie obdarzywszy ich nawet spojrzeniem i ruszył ku dziobowi okrętu. Zerwali się i poszli za nim. Żołnierze przepuścili ich rozsuniętych tarcze i zwarli je za nimi, jak gdyby zamykali wrota.

Na dziobie stały powiązane rzemiennymi sznurami wielkie pithosy z wodą, nakryte glinianymi pokrywami. Obok przytwierdzone były surowe, niemalowane dzbany. Żołnierz zatrzymał się i stojącemu obok pithosów człowiekowi wskazał Białowłosego i Terteusa.

- Jest ich pięćdziesięciu jak wprzód - rzekł obojętnie - żaden jeszcze nie umarł.

Odwrócił się i cofnął szybko, gdyż dostrzegł zbliżającego się nadzorcę.

- Usuńcie się! - krzyknął nadzorca i uderzył Terteusa batem przez pierś.

Odskoczyli ku obrzeżeniu z desek, okalającemu dziób.

Od strony namiotu zbliżał się Widwojos, a towarzyszył mu chłopiec z małpą na ramieniu.

Małpka wyciągała owłosione ręczki do owocu, który chłopiec trzymał z dala od niej na długość wyciągniętego ramienia, drażniąc się z nią i przytrzymując ją drugą dłonią.

Dostojny Widwojos był zagłębiany w myślach, uniósł głowę i spojrzął na daleki ląd, a później odwrócił oczy. Szli obaj po pomoście biegnącym przez środek okrętu, mając po obu stronach w dole ławy wioślarzy.

Terteus i Białowłoso nieznacznie zsunęli się w dół, by nie stanąć w drodze nadchodzącym i przywarli do niskiego podwyższenia burty tuż ponad grzbietami fal.

Dostojny Widwojos zatrzymał się przed pithosami na dziobie i powiódł wzrokiem po morzu. Przed nim była daleka wyspa wynurzająca się z wolna i rosnącą wokół wierzchołka góry, który ujrzeli już wcześniej. W tyle, za nimi, płynęły w znacznej odległości inne okręty kreteńskie.

Białowłoso, pochyliwszy głowę, przyglądał się spod oka miękkim butom dostojnika, lekkim i tak obciskającym nogę, jak gdyby namalowano je na skórze.

W tej samej chwili małpa wyrwała się chłopcu, pochwyciła owoc i skoczyła na obramowanie biegnące od dzioba ku bokom okrętu.

Chłopiec krzyknął i skoczył za nią, potknął się o leżący koniec liny przytwierdzającej dół żagla do burty, zrobił wielki, zbyt wielki, krok ku przodowi, uderzył ramieniem o burtę i nadal mając wyciągnięte odruchowo ręce, pochwycił nimi małpę, zachwiał się i wyrzucony ruchem okrętu zstępującego z fali, zniknął za burtą tak cicho, jak gdyby pragnął tego. Nie wydał przy tym głosu.

Ktoś krzyknął. Dostojny Widwojos uniósł głowę, jakby nie pojmując, co się wydarzyło. Białowłoso odwrócił się i wychylił za obramowanie.

- Stój! - syknął Terteus.

Chłopiec nie usłyszał go. Uniósł się i skoczył w zielone fale, jak najdalej od przesuwającego się błękitnego kadłuba. Lecąc w powietrzu, myślał przez ułamek chwili o tym, jak daleko przesunęli się od czasu, gdy chłopiec wypadł.

Dotknął wody, zanurzył się i wypłynął. Fale nie były, na szczęście, wysokie, lecz nie mógł dostrzec niczego w odległości większej niż kilka stóp. Usłyszał okrzyki na okręcie, który minął go już. Nie zwracał na nie uwagi. Zagarniając wodę ruszył w przeciwnym kierunku.

Płynął, trzymając głowę jak najwyżej, zalewany przez niewielkie grzbiety fal i unoszony przez nie na krótko.

Nagle dojrzał małpę, mignęła mu jej różnobarwna, farbowana sierść. Zbliżył się i walcząc z przeciwnym, wiejącym w twarz wiatrem, rozejrzał się. Chłopca nie było widać. Był już blisko małpy i wtedy ujrzął go. A raczej jego ramię, które wynurzyło się spod wody i zniknęło. Później ukazała się głowa, rozszerzone łękiem oczy i usta otwarte do krzyku.

Pomimo szumu fal usłyszał chrapliwe rżenie.

- Zamknij usta! - krzyknął Białowłoso, lecz głowa chłopca znowu zniknęła pod wodą. Jedyne małpa, uczepiona konwulsyjnie jego ciała, była drogowskazem. Ale i ona zniknęła nagle pod nadchodzącą falą.

„Nie wypłyną już...” - pomyślał Białowłoso.

Był tuż obok miejsca, gdzie przed chwilą się znajdowali. Chciał zanurzyć głowę, by zobaczyć, czy jeszcze są pod powierzchnią, gdy fala odsłoniła ciało chłopca... jego bezwładne ramię z uczepioną małpą.

Białowłoso chwycił je i szarpnął. Głowa wynurzyła się, lecz oczy były zamknięte, a usta rozchylone.

„Utonął...” - pomyślał, a raczej mignęło mu to przez głowę, gdyż mała rozpaczliwie wyciągnęła drobne ramiona i objęła go za szyję dusząc niemal. Uniósł wolną rękę i oderwał ją z wysiłkiem. Poczł ostry ból w ramionach, które darła pazurami. Nie puszczając ręki chłopca, szarpnął małpę, lecz nie dała się odczepić. Miał ją teraz na karku. Piszczła przeraźliwie, lecz mógł już oddychać. Przyciągnął chłopca i pracując rozpaczliwie nogami, aby nie dać się zakryć falom, uniósł jego głowę, trzymając ją w zagłębieniu łokcia. Drugą ręką zagarnął wodę i odwrócił się ku okrętowi.

Nadbiegająca fala zalała mu usta i oczy, gdy minęła, dostrzegł okręt zawracający dopiero teraz...

„Wioślarzy nie było na ławach, a żagiel był rozpięty...” - pomyślał spokojnie, tak spokojnie, że gdy później wspominał owe chwile, nie mógł pojąć, jak z oszalałą małpą na karku, topielcem podtrzymywanym nad powierzchnią wzburzonej wody, omdlewającą nogą, którą tak niedawno przebiła strzała, głodny i po straszliwym wysiłku przy wiosle, mógł myśleć i walczyć.

Następna fala wyniosła go i dostrzegł blisko okręt. Przez burtę rzucono sieć, spuszczałi się po niej w dół ludzie. Ktoś skoczył do wody, za nim drugi człowiek... Byli blisko, lecz fale zakryły ich przed nimi.

Nagle tuż przed sobą zobaczył jasną głowę Terteusa i usłyszał jego wesoły niemal głos:

- Weźmy go między siebie, ty głupcze!

Uczł przyjazne ramię i nagle siły powróciły. Płynąc obok siebie i podtrzymując bezwładną głowę chłopca, zbliżyli się do okrętu. Sieć była tuż-tuż...

Dołączył do nich trzeci człowiek i dotarli do burty. Wiele rąk wyciągnęło się i bezwładne ciało powędrowało w górę, ociekając wodą.

Nagle ciężar na karku zelżał i Białowłosy, trzymając się sieci i oddychając ciężko, dostrzegł małpę wspinającą się błyskawicznie po sznurze. Z piskiem zniknęła w górze.

Twarze nad burtą cofnęły się. Z wysiłkiem, mając za sobą Terteusa, wspiął się, zawisł na chwilę na obramowaniu burty i niemal runął w dół, gdyż nagle opuściły go siły. Oparty o ławę wiosłarską siedział wypływając wodę, oddychając ciężko, nie widząc i nie słysząc niczego.

Ale z wolna głosy naokół zaczęły docierać do niego.

Usłyszał wysoki okrzyk mężczyzny:

- Synu mój... synu mój!

I drugi głos, smutny i pełen czci:

- Taka była wola bogów, o najdostojniejszy...

Uniósł głowę,. Nad nim, na pomoście biegnącym przez środek okrętu, zgromadzili się w jednym miejscu ludzie.

„Nie żyje... - pomyślał leniwie Białowłosy. - Prędko utonął... musiał wypić zbyt wiele wody, gdy krzyczał... biedny, mały głupiec...” Choć byli zapewne rówieśnikami, tamten wydał mu się dzieckiem. A oto nie żył.

Odwrócił głowę. Terteus siedział za nim na ławie i oddychał ciężko. Widząc, że Białowłosy spogląda na niego, uśmiechnął się lekko. Najwyraźniej nie zmartwiła go śmierć młodego Kreteńczyka.

- Synu mój, synu jedyny... Głos mężczyzny nie był zawodzący, lecz straszliwie spokojny. Słowa nie znaczyły tu nic. Było za późno.

„A więc to jego syn! - pomyślał Białowłosy ze zdziwieniem. - Czy mój ojciec mówiłby tak, gdybym utonął? Jestem także jego jedynym synem...”

Nie, jego ojciec nie rzekłby słowa. Był jedynie rybakiem, nie dostojnikiem. Walczyłby długo o

przywrócenie go do życia, gdyż często człowiek, pozornie umarły po wydobyciu z wody, może ożyć, jeśli się go umie ratować, lecz nie powiedziałby słowa...

Zerwał się nagle. „Czemu go nie ratują?!” - pomyślał i wskoczył na pomost. Stał teraz za plecami ludzi otaczających kręgiem leżące ciało.

Białowłosy precyzyjnie się między nimi i znalazł na wprost dostojnego Widwojosa, który klęczał nad leżącym trzymając jego bezwładną dłoń w swych rękach. Milczeli wszyscy.

- Panie... - rzekł cicho Białowłosy. Dostojny Widwojos zdawał się go nie słyszeć, a stojący obok nadzorca spojrzał nań straszliwym wzrokiem i porwał za rękę, chwytając go za opaskę na biodrach.

- Nikczemniku! - krzyknął. - Czy nie widzisz, że pan nasz utracił syna? Teraz przychodzisz po nagrodę?! Wnet ją otrzymasz!

I wyrwał sztylet z pochwy. Widwojos uniósł głowę.

- Stój! - rzekł cicho i kapitan zamarł w bezruchu. - Czego pragniesz, chłopcze? Chciałeś... Chciałeś go ocalić...

- Panie... - rzekł Białowłosy. - Czy ratowaliście go? Przecież niedawno zanurzył się i... - Urwał.

- Nie żyje... - rzekł cicho Widwojos. Białowłosy pochylił się.

- Panie, jestem rybakiem... Był krótko pod wodą... Czy zezwolisz mi uczynić to, co uczyniłbym, gdyby mój towarzysz wpadł do wody? Jeśli jest zbyt późno, nie utracisz więcej, niż utraciłeś, lecz jeśli dusza jego nie odeszła do Krainy Cieni, trzeba czynić szybko to, co należy czynić, gdyż w przeciwnym wypadku odejdzie tam niebawem...

Kreteńczyk uniósł głowę, później wstał i przysłonił oczy dłonią:

- Próbnij... - rzekł cicho. - Czyń, co chcesz. Jeśli... jeśli uda ci się... - Głos mu się załamał. - Nie będę ci niczego obiecywał, gdyż... gdyż... on nie żyje.

Odwrócił głowę i zamilkł. Białowłosy nie słyszał jego ostatnich słów.

- Terteusie! - zawołał odwracając się. Młody pirat stał poza kręgiem, słuchając. Teraz wysunął się ku przodowi.

- Połóż się twarzą ku ziemi! - zawołał Białowłosy i Terteus skinął głową ze zrozumieniem. Położył się, a chłopiec uniósł ciało na wznak i położył je przez jego grzbiet głową ku dołowi, tak że ciemne mokre włosy dotknęły pokładu. Pochylił się i naciskając na pierś leżącego przesunął ręce ku przodowi i ponownie do tyłu. Z ust chłopca popłynęła wąska strużka wody. Białowłosy uniósł ciało i opuścił je z wolna, dziwiąc się w duchu, jak było lekkie. Otworzył usta leżącego i wyprostował jego wygięty ku tyłowi język.

- Usuń się, Terteusie... - rzekł szybko i uniósł ciało. Młody pirat zrobił krok na czworakach i podniósł się z pokładu. Białowłosy uklęknął okrakiem nad leżącym.

Wokół była zupełna cisza przerywana jedynie szumem fal przechodzących wzdłuż błękitnych burt zatrzymanego okrętu.

Dostojny Widwojos obrócił głowę i zaczął wpatrywać się szeroko otwartymi oczyma w to, co działo się u jego stóp. Białowłosy zaczerpnął głęboko powietrza, pochylił się i przyłożył wargi do ust leżącego... wyprostował się i uczynił to raz jeszcze...

Tak czyniono w jego stronach, gdy tonący nie dawał znaku życia. Czasem powracał on do ludzi, a czasem było za późno... lub może bogowie nie pragnęli mu oddać technienia przekazanego cudzą pierśią.

Pochylał się i prostował, aż poczuł pot zalewający mu plecy i pierś...

Jeszcze raz... i jeszcze raz...

Wyprostował się i spojrział. Wydawało mu się, że powieka leżącego drgnęła. Pochylił się i przyłożył ucho do piersi. Wiedział, że wszyscy spoglądają na niego czekając.

Białowłosy wyprostował się, nabrał powietrza i znowu przyłożył usta do ust leżącego.

I wówczas ręka chłopca uniosła się na krótką chwilę i opadła.

- Żyje! - rzekł cicho bogom podobny-Widwojos i unióś obie ręce, a później opadł na kolana obok Białowłosego, wpatrując się w twarz leżącego.

Białowłosy pochylił się znowu. Czuł na ustach słone wargi tamtego, chłodne, bezwładne... Oderwał od nich usta, nabrał powietrza i spojrział.

Chłopiec otworzył oczy i zamknął je znowu, a później zaczął kasłać słabo. Ojciec chciał podtrzymać jego głowę, lecz Białowłosy odsunął go dłonią zapominając, na co się waży i ująwszy szczupłe ciało jedną ręką w pasie unióś je, a drugą pochylił w dół, aby głowa była jak najniżej.

Chłopiec kasłał jeszcze chwilę i zaczerpnął powietrza. Wówczas Białowłosy łagodnie złożył go na deskach.

- Bogowie oddali ci go, panie... - rzekł cichym zmęczonym głosem. - Dusza jego powraca do ciała. A gdy wejdzie w nie, syn twój otworzy oczy i przemówi.

W tej samej chwili chłopiec otworzył oczy i wyszeptał ledwie dosłyszalnie:

- Gdzie ona?

- Kto? - szepnął ojciec z twarzą przy jego twarzy, płacząc jak kobieta i nie próbując nawet otrzeć spadających łez.

- Małpa... - rzekł cicho chłopiec i zamknął oczy.

Zdawało się, że umarł, tym razem naprawdę. Głowa jego opadła bezwładnie na bok.

Bogom podobny Widwojos unióś przerażone spojrzenie na Białowłosego.

- Nie żyje!... - zawołał. - Spójrz!

- Nie, panie. - Chłopiec potrząsnął głową. - Jeśli przemówił, będzie żył. Lecz musi długo odpoczywać. A gdyby zasnął znowu, potrzebna mu będzie szybka pomoc...

- I nagle, jak gdyby bogowie podsunęli mu zbawczą myśl, dodał odwracając się: - Pójdź, Terteusie! Bez ciebie obawiałbym się stawiać czoła jego słabości. Lepiej znasz ją niż ja...

- I zwracając się do Widwojosa powiedział z przekonaniem: - Zezwól nam, panie, czuwać nad nim, póki nie wydobrzeje całkowicie. Gdyż nie wiadomo, co dzień i noc mogą przynieść... Teraz winien być złożony na posłaniu i wypoczywać w spokoju.

- Nie opuszczajcie go ani na mgnienie oka! - zawołał gwałtownie Widwojos. - Czuwajcie nad nim. A gdy sam stanie na nogi i będę mógł spojrzeć w jego oczy, nagroda wasza będzie stokrotna.

- Pójdź, Terteusie... - rzekł Białowłosy wskazując ciało. - Trzeba złożyć go na posłaniu w namiocie.

Terteus ujął w swe potężne ramiona chłopca i ruszył pośród rozstępujących się żołnierzy. Białowłosy szedł przy nim spoglądając z uwagą na twarz, która z wolna zaczęła tracić ową straszliwą barwę, jaką śmierć naznacza swych wybranych.

Choć był tak znużony, że nogi ledwo niosły go teraz, Białowłosy uśmiechnął się w duchu. Jeśli ów chłopiec przeżyje, a zaczynał wierzyć, że tak będzie, oznaczało to, że uratował nie jedno istnienie ludzkie, lecz dwa. Terteus odgadł zapewne jego myśli, gdyż zerknął nań i także uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. Uśmiech ów był tak krótki jak cień drobnego obłoczka przesuwającego się po wodzie i zniknął niemal tak szybko, jak się ukazał. Młody pirat zmarszczył brwi i niechętnie

potrząsnął głową. Weszli do namiotu. Za nimi wsunął się Widwojos, a za nim stary niewolnik, tak jak i jego pan ocierając łzy.

Terteus ostrożnie złożył chłopca na posłaniu z miękkich skór, a później zaczął łagodnie masować jego nogi i ręce. Białowłosey ponownie przyłożył ucho do piersi leżącego. Serce biło nierówno i cicho, lecz biło i nie ustawało. Terteus masował coraz szybciej. Wreszcie chłopiec jęknął i otworzył oczy.

- Wyrwała mi figę i potknąłem się o linę... - wyszeptał cicho. - A później runąłem w dół...

Zaczął kasłać gwałtownie i usiadł. Białowłosey podtrzymał jego plecy. Ojciec i stary niewolnik pochylił się wyciągając bezradnie ręce, lecz lękając się go dotknąć, jak gdyby obawiali się, że nieostrożny ruch może go zabić.

Wreszcie chłopiec przestał kasłać i oparł się na otaczającym go ramieniu Białowłosego.

- Pić...

Terteus skinął twierdząco głową ku staremu niewolnikowi, który szybko wysunął się z namiotu.

Białowłosey łagodnie złożył głowę chłopca na posłaniu i wstał. Później pochylił się i zwinąwszy jedną ze skór podłożył mu ją pod głowę. Chłopiec patrzył na niego przez chwilę, później przymknął oczy.

Widwojos szybko pochylił się nad nim.

- Będzie żył, panie... - rzekł pogłosem Białowłosey. - Uśnie teraz, gdyż siły go opuściły, a gdy przebudzi się, będzie tak zdrow, jak był, zanim wpadł pomiędzy fale.

Widwojos wyprostował się i uśmiechnął ku niemu zmęczonym, łagodnym uśmiechem. W oczach jego czaiło się jeszcze przerażenie.

- Kim jesteś?

- Jestem synem rybaka, panie, a on... on... - Urwał.

- A ja jestem wolnym żeglarzem i żeglarzami byli przodkowie moi, odkąd sięga pamięć ludzi na mej wyspie - rzekł spokojnie Terteus. - Lecz żaden z nich nie wpadł w ręce swych wrogów i ja także nie byłbym twym niewolnikiem, gdyby nie owa sieć, którą nas zgarnął jak ryby.

- Czy nienawidzisz synów Krety?

- Po cóż pytasz mnie o to, Kreteńczyku, mając mnie w swej mocy? Czy pragniesz abym ci skłamał?

- Czemu więc ty także wskoczyłeś do morza, by ratować mego syna?

- Nie uczyniłem tego dla niego, lecz dla stojącego tu młodego Trojańczyka, gdyż uratował mi on życie w pewnej bitwie, choć nie byłem ani jego krewnym, ani rodakiem, ani przyjacielem. Jakże mogłem pozostawić go na łasce fal, gdy wiedziałem, że może utonąć wraz z twym synem?

Widwojos spojrział na leżącego chłopca. Drżącymi szczupłymi dłońmi podciągnął on na pierś skórę, którą był nakryty i otworzył oczy, a później znów je przymknął. Ojciec przyklęknął przy nim i położył mu dłoń na czole. Później wstał z wolna i odetchnął głęboko.

- To mój jedyny syn - rzekł niemal szeptem. - Uratowaliście go od śmierci... - Uniósł głowę i spojrział na Terteusa. - Dzielnym musisz być człowiekiem chcąc pomniejszyć swą zasługę, gdy jesteś w mej mocy i wiesz, że będąc rozbójnikiem morskim musisz zginąć... I być może zginąłbyś, gdybyś nawet uratował syna któregoś z możnych Krety... lecz ten, który leży u waszych stóp i którego ojciec nie może spoglądać na was bez wdzięczności, kimkolwiek jesteście, jest kimś więcej.

Białowłosey, który ukląkł obok chłopca, by poprawić mu wezglowie, znieruchomiał. Terteus nie drgnął. Stał wyprostowany naprzeciw Widwojosa patrząc mu prosto w oczy. Górował nad nim

wzrostem i potężnymi ramionami i zdawało się, że spogląda ze wzgardą na jego szczupłą postać i długie trefione włosy.

- Gdyż chłopiec ów - dokończył Widwojos spokojnie - to jedyny wnuk Minosa, potomka bogów i władcy wszystkich mórz, które opływają ziemię.

Nawet w półmroku, który panował w namiocie, Białowłosy dostrzegł, że spalona słońcem i wichrem twarz Terteusa pobladła gwałtownie. Z wolna, jak gdyby przeciw woli młodego żeglarza, ręka jego uniosła się ku czołu, którego dotknął zwiniętą pięścią.

- Bądź pozdrowiony, synu bogów... - wyszeptał ochryple. - Ukarz mnie za mą śmiałość, choć nie wiedziałem, ani kogo ratuję, ani do kogo przemawiam tak hardo. Lecz zanim zginę, wiedz, że to co rzekłem, rzekłem szczerze.

- Jeśli zginiesz - odparł Widwojos - nie stanie się to z mego rozkazu. Czy sądzisz, że potomkowie królów winni okazywać mniej wdzięczności niż zwykli śmiertelnicy?

- Panie... - Terteus odjął dłoń od czoła i opuścił rękę. Głowa jego była nadal pochylona, jak gdyby nie chciał spojrzeć w oblicze mówiącego. - Życie moje jest twą własnością i jakkolwiek postanowisz, pamiętaj, że nie prosiłem cię o łaskę.

Rozdział szósty

Wy, którzy władacie ciemnością!

Przystań wyspy Kazos zamknięta była długim wygiętym na podobieństwo księżyca w nowiu falochronem z szarych, grubo ciosanych i spojonych z sobą głazów. U wejścia na wysokim cokole, wyciosanym z jednego ogromnego głazu, stała kamienna podwójna siekiera na długim drzewcu, górując nad spokojną wodą przystani.

- Zwą ją Labrys - rzekł Terteus. - Po niej poznasz, czy ląd, do którego przybijesz, jest pod władzą Minosa. To ich święty topór. Jak słyszałem, ścinają nim ludzi na ofiarę w dniu święta Byka, który jest ich bogiem i zamieszkuje podziemną pieczarę w ich stolicy.

Stali obaj na dziobie okrętu, wsparci na obramowaniu burty. Od chwili, gdy wyszli z namiotu, a żołnierz podał im jadło w pięknej misie i wodę w glinianych kubkach malowanych tak zmyślnie, że roilo się na nich od maleńkich stworzeń morza, mogli czynić, co chcieli. Terteus zjadł nieco i podzielił się resztą z towarzyszami u wiosł. Białowłosy dostrzegł, że nadzorcy, którzy obaj teraz czuwali nad załogą, spoglądali na to złym okiem, lecz żaden nie zbliżył się do młodego rozbójnika morskiego, na którego spłynęła łaska księżęca.

Bogom podobny Widwojos pozostał wraz ze starym niewolnikiem w namiocie, czuwając nad śpiącym chłopcem. Później, gdy Białowłosy powrócił, ujrzał chłopca uśmiechającego się do ojca i przemawiającego cichym, słabym głosem. Widwojos siedział przy nim, trzymając jego rękę i patrząc nań wzrokiem pełnym miłości. Ujrawszy Białowłosego uniósł głowę, a później zwrócił się ku synowi:

- Oto młody rybak, który uratował cię z morza.

Białowłosy uniósł dłoń do czoła i pozdrowił leżącego tak, jak nakazywała cześć dla władców i ich rodu. Milczał.

- Jesteś wolny... - rzekł chłopiec cicho. - Ty i ów drugi. Gdyż uratowaliście mnie. Także inni rozbójnicy morscy nie zostaną pozbawieni życia, lecz odejdą do kopalni lub do wiosł na okręt. Taka jest moja wola... - dodał słabym głosem. I dzięki ci za to, że uratowałeś mą małpę. Kocham ją bardzo.

Białowłosy pochylił głowę.

- Dzięki ci, wnuku królewski. - Lecz nie uniósł głowy, gdyż nie mógł opanować uśmiechu. Dorastający chłopiec, który dziękował za uratowanie umiłowanej małpki, jak gdyby była człowiekiem, rozśmieszył go, choć był, być może, przyszłym władcą mórz tego świata i tysięcy przemierzających je okrętów.

- Czy mogę obwieścić nowinę Terteusowi, którego pojmano wraz ze mną?

- Uczyn tak! - rzekł Widwojos wesoło. - A póki nie odprawimy was z podarunkami do waszych

krain, gdziekolwiek się one znajdują, chcę, abyście towarzyszyli memu synowi! Któż wie, gdzie może skoczyć jego ukochana mała?

Mówiąc to roześmiał się, lecz Białowłosa, który w ciągu ostatnich miesięcy nauczył się słuchać czujnie, uniósł głowę i ośmielił się spojrzeć mu w oczy. A oczy te były poważne i pełne niepokoju.

- Panie - rzekł pochylając nisko głowę.

- Jeśli zechcesz tak uczynić, a twój najczcigodniejszy syn nie uzna nas za zbyt niegodnych, abyśmy mu towarzyszyli, uczynimy wszystko, co ty lub on nam rozkażecie.

- Jesteście dzielni i... - Widwojos zawahał się. - Nie należycie do mego ludu.

Słowa te wydały się Białowłosemu niezrozumiałe. Milczał.

- Odejdź teraz, chłopcze. Dam rozkaz, aby was odziano godnie i uzbrojono. Zawezwę was przed przybiciem do brzegu.

- Tak, panie - odparł Białowłosa nie wiedząc, co rzec. Raz jeszcze przyłożył dłoń do czoła i wycofał się z namiotu.

A oto teraz stali obaj, on i Terteus, spoglądając na zbliżające się nadbrzeże, za którym rozciągało się miasto o wysokich czerwonych domach i dwu szerokich ulicach, które zbiegały się w przystani, rozchodząc do stóp zbocza, porośniętej lasem góry wznoszącej się rozległymi zielonymi zboczami, wyrastającymi tuż nad dachami ostatnich domów.

Widwojos wezwał ich przed swe oblicze tuż przed przybiciem. Był sam, gdyż chłopiec usnął, a czuwał nad nim nadal stary piastun-niewolnik.

Długo wpatrywał się w stojących przed nim, nie mówiąc słowa. Raz nawet otworzył usta, lecz zamknął je ponownie i potrząsnął głową, jak gdyby nierad z tego, co pragnął rzec. Wreszcie przemówił zwracając spojrzenie ku Terteusowi:

- Darowałem życie twym ludziom, a wolność tobie, choć nie możesz jej jeszcze odzyskać, póki nie dopłyniemy do Krety i nie uzyskam pewności, że będziesz mógł powrócić bezpiecznie ku swoim.

- Urwał i dokończył cicho. - Odpląciłem ci więc za przysługę, którą mi wyświadczyłeś, ty i ów młodzieniec, będący jeszcze niemal dzieckiem. Uratowaliście z fal morza syna mego, który zginąłby w nich niechybnie, gdyż nie umie pływać, a okręt oddalił się, nim ruszyła pomoc.

Znowu urwał. Milczeli obaj, nie wiedząc, co mu odrzec.

Lecz on także wahał się jak gdyby.

Wreszcie rzekł:

- Zdziwiają was, być może, moje słowa. Oto ja, potężny książę Krety panującej nad niezliczonymi ludami, będę chciał, abyście wy, jeńcy moi, których obdarowałem życiem, uczynili mi nową przysługę. A choć rzeknę wam, o jaką przysługę chodzi, nie będziecie mnie mogli pojąć nadal, gdyż wiecie, że znajduję się na mym okręcie, a bezpieczeństwa mego i syna mego strzegą liczni żołnierze, podczas gdy wiele innych okrętów z silną załogą płynie za nami, abym nie spotkał trafem przeważających sił wrogów w mej podróży. Nie pytajcie mnie więc, czemu do was się zwracam. Zapewne czynię tak, gdyż los wasz nadal jest w moim ręku, a być może także i dlatego, że okazaliście wielką dzielność, a ty... - znów spojrział na Terteusa - zaprawiony jesteś w boju i niebezpieczeństwach. Otóż chcę wam krótko rzec, że choć uratowaliście mego syna od śmierci, może ona zagrażać mu nadal, choć nie ukryta pośród fal morza. Pragnę, abyście nie odstępowali go na krok, gdy pozostanie na okręcie. Ja zejść na ląd, gdy dobijemy do przystani tej wyspy, i muszę go pozostawić. Jest zbyt słaby jeszcze. Namiotu, w którym się znajduje, nadal strzec będą żołnierze, jak to czynią teraz. Lecz... - zawahał się na krótko - wydam rozkaz, aby nikt do namiotu nie wchodził i

pragnę, abyście zabili każdego, kto zechce ów rozkaz złamać, nim powrócę. Jedyne stare niewolnik Alexander, któremu ufam bezgranicznie, może przebywać przy moim synu. A każdego innego człowieka, choćby go nawet przepuścili żołnierze dla znaczenia jego rodu, godności lub dlatego, że nakazałby im tak uczynić ich dowódca, zabijecie bez wahania, gdy przekroczy próg, nie pytając, kim jest ani z czym przybywa, choćby rzekł, że przybywa ode mnie! Czy uczynicie tak?

- Uczynimy, panie! - Terteus pochylił głowę, a później uniósł ją i uśmiechnął się prostując potężne ramiona. - Jeśli sprawisz, aby dano nam miecze i włócznie, byśmy nie byli bezbronni i mieli czym zadawać śmierć śmiałkom, gdy nadejdzie potrzeba.

- Tak się stanie - rzekł książę.

I oto stali teraz przy burcie czekając, aż bogom podobny Widwojos ukończy przygotowania konieczne do zejścia na ląd i opuści namiot.

Na nadbrzeżu widać było gęsty tłum ludzi i oddział wojska stojący równymi szeregami. Słońce połyskiwało pozłociście na ostrzach brązowych włóczy.

Pomiędzy żołnierzami a wodą rozpostarto purpurowe i błękitne kobierce.

Białowłosy obejrzał się. Widwojos stał pośrodku okrętu przed namiotem. Głowę jego zdobił teraz złoty diadem. Nogi kryły się aż po kolana w naszywanych złotymi płytkami butach. Na obnażonej piersi wisiał kryształowy łańcuch, miejsce opaski na biodrach zajęła długa, sięgająca niemal desek pokładu spódnica w niebieskie i czerwone pasy, obszywana u dołu żółtą frędzlą i spięta złotą klamrą.

W ręce trzymał wysoko laskę zakończoną rozkwitającym potrójnym kwiatem lilii wykutym misternie z lśniącego jasnego metalu.

Za nim stał dowódca żołnierzy znajdujących się na statku. Był wyprostowany i trzymał w ręce obnażony miecz. Za nim w dwu szeregach czekali z włóczniami wspartymi o deski żołnierze, którzy najwyraźniej byli strażą przyboczną Widwojosa.

Żagiel z głową byka opadł łagodnie na pokład. Rozległ się okrzyk sternika, wiosła sterowe zagłębiły się w wodę, okręt zakołysał się i ustawił bokiem do nadbrzeża.

Tłum na brzegu począł wznosić okrzyki. Wrzawa była coraz głośniejsza. Wiosła z lewej strony okrętu zostały wyciągnięte, te po prawej uderzały lekko o wodę, żeglarz na dziobie, stojący tuż obok Terteusa, zamachnął się i rzucił linę, a później skoczył zręcznie na brzeg w chwili, gdy burta otarła się o kamienne nadbrzeże.

- Powróćmy do namiotu - rzekł Terteus półgłosem. - Przyrzekliśmy, że będziemy czuwać nad tym królewiczem, choć bogów biorę na świadków, że nie pojmuję, czemu ów pachnący jak ogród wiosną syn Minosa pragnie, abyśmy właśnie my to czynili?

Białowłosy obejrzał się raz jeszcze ku nadbrzeżu i dostrzegł wielką lektykę niesioną przez ośmiu jednako odzianych ludzi. Wynurzyła się ona spoza dwuszeregu żołnierzy i zbliżała ku okrętowi.

Obok lektyki szedł człowiek wysoki, lekko zgarbiony i ubrany w spódnicę podobną do spódnicy Widwojosa. Na widok zstępującego z okrętu królewskiego syna zgiął się wpół, przykładając dłoń do piersi.

Widwojos skinął dłonią pozdrawiającym go tłumom i wszedł do lektyki.

Ośmiu tragarzy uniosło drągi, rozległ się okrzyk oficera, żołnierze zstąpili z pokładu okrętu i otoczyli lektykę. Oddział wojska stojący w przystani ustawił się sprawnie za nimi i pochód ruszył pośród rozstępującego się tłumy. Pałac wielkorządcy wyspy Kazos znajdował się tuż poza miastem, otoczony ogrodami i górskim strumieniem, który budowniczy ujęli w kilka krętych koryt, aby

spływając tworzył sztuczne wysepki pośród krzewów, niknął pod kamiennymi mostkami i ożywiały wyłożone różnobarwnymi płytami baseny dające ciału ochłodę w czas upału.

Po szerokich marmurowych stopniach wspinających się tarasami aż po obrzeżone kolumnadą wejście do pałacu lektyka dotarła do ciężkich podwójnych drzwi z brązu, otwartych na oścież.

Wielkorządca pochylił się raz jeszcze w niskim pokłonie i otworzył drzwiczki lektyki. Widwojos wysiadł i ruszył ku wejściu.

- Każ wypełnić wannę gorącą wodą. Jest to najbardziej nieznośne w morskiej podróży: nie burze, które prędko przemijają, nie rozbójnicy morsecy, których można pokonać, lecz brak kąpieli. Ów, który płyńie okrętem, żyć musi jak barbarzyńca.

- Czeka ona na ciebie, synu królewski! - Wielkorządca wskazał mu kierunek.

- Gdy wejdziesz do wody, odpraw wszystkich i pozostań przy mnie sam.

- Tak, panie!

Po pewnym czasie, gdy Widwojos leżał z przymkniętymi oczyma w glinianej wielkiej wannie z wymalowanymi wewnątrz ośmiornicami posplatanyymi we wzorzyste girlandy, a niewolnice, które wniosły ręczniki i pachnidła, oddaliły się, wielkorządca zbliżył się do drzwi, zamknął je i powróciwszy do podwyższenia, na którym stała wanna, pochylił się nad nią z uszanowaniem.

- Jestem, synu bogów.

- Mów, czy wiesz, co dzieje się w Knossos?

- W ciągu czternastu dni, gdy przebywałeś na wyspach, zawijały tu co dnia okręty ze stolicy... - Urwał.

- Mów - Widwojos otworzył oczy i spojrzał na niego.

- Krążą pogłoski, że boski Minos, ojciec twój, był chory...

- Wiem o tym. Ojciec mój był chory, gdy opuszczałem kraj. Jest chory od dawna, wiesz przecież o tym. Chciałem opłynąć wyspy, by pojąć, co należy uczynić, jeśli brat mój z kolei zostanie Minosem.

- Tak, panie. Lecz ostatnio nadeszły wieści, że boski twój ojciec zmarł...

- Co rzekłeś? - Widwojos usiadł gwałtownie, rozlewając wodę na lśniąca marmurową posadzkę.

- Jeśli zmarł, cały kraj pograży się na pewien czas w żałobie i nie będzie ani jednego wieśniaka w najdalszym zakątku Krety, który by o tym nie wiedział. Czemuż więc tutaj witano mnie wesoło?

- Ciszej, o najdostojniejszy, błagam - rzekł wielkorządca szeptem. - Krążą wieści, że twój bogom podobny brat utrzymuje to w tajemnicy, gdyż czeka na twój powrót. Obawia się on, jak powiadają na dworze, że jeśli wieść ta dotrze do ciebie, nim przybijesz do stolicy Krety, możesz zawrócić okręty na jedną z wysp i stamtąd domagać się korony dla siebie i syna swego, buntując wyspy przeciw niemu, gdyż, jak wszyscy wiedzą, nie ma on dzieci, choć minęło mu już cztery dziesiątki lat, a ty masz syna, będącego dziedzicem królestwa, gdyby on zmarł bezpotomnie... na co się zanoszą. Chce on ogłosić o śmierci twego boskiego ojca, pana naszego, gdy stopa twa spocznie na ojczyźstym ziemi. Wówczas będzie miał cię w swym ręku, gdyż, jak wiesz, ma on liczne stronictwo złożone z możnowładców przy dworze. Będąc panem Knossos i mając ciebie w zasięgu swej władzy, będzie mógł koronować się spokojnie.

- A później? - rzekł Widwojos. - Czy sądzisz, że gdy brat mój zostanie Minosem, pokocha mnie nagle? On, który od chwili narodzin mego syna nienawidzi mnie i nie kryje się z tym?

- Nie może cię zgładzić, panie. - Głos wielkorządcy był niemal niedosłyszalny. - Lud wierzy w boskość twego rodu i chce, aby Minosem był jedynie ów, kto z rodu tego pochodzi. Nie odważyłby się on uczynić krzywdy tobie lub twemu synowi.

- Gdy dziad mego pradziada - odparł Widwojos spokojnie - uderzał z ładu stałego na Kretę, wiodąc z sobą dwieście okrętów, byliśmy barbarzyńcami, a mieszkańcy tej wyspy tonęli w przepychu, mieli potężną administrację i wielką flotę. Zdobyliśmy nasze królestwo łatwo... i z wolna lud ten, obcy nam całkowicie, pochłonił nas... staliśmy się czcicielami ich przepychu, utrzymaliśmy ich wspaniałą administrację i flota nasza jest równa ich flocie, jeśli nie potężniejsza. Pokonaliśmy ich tak łatwo gdyż był to lud zgniły... ani księgi, ani pałace, ani pachnidła nie zbawiły ich. Zaraził on nas swą zgnilizną. Zachowaliśmy jedynie swą dawną mowę i każemy pisarzom spisywać w niej nasze bogactwa. Lecz barbarzyńcy, z których się wywodzimy, mówią nadal tą samą mową i nie są zgnili. I z kolei oni nas zniszczą... Tak sędzę... Dziś, gdy tonął mój syn, wpadłszy do wody, nie skoczyłem go ratować, gdyż ja, syn władcy mórz, nie umiem pływać... Nie skoczył do morza także żaden z najemnych żołnierzy. Chłopca uratowali dwaj pojmani rozbójnicy morscy. Pomyśl o tym... Kreta gnije za życia... Nawet jeśli wszyscy rozumni ludzie w stolicy wiedzą, że brat mój będzie złym, okrutnym i nie dbającym o swe królestwo władcą, nikt mu się nie sprzeciwi, gdyż jedynie dary, jakie można od niego otrzymać, przywileje i stanowiska przy dworze stanowią o ich wierności. A wiedzą oni, że gdybym ja zasiadł na tronie, uczyniłbym wszystko, aby odwrócić nadciągający upadek mego kraju i przywrócić Krecie dawną potęgę, opartą na sercach jej ludu, a nie na najemnych żołnierzach i załogach okrętów.

- Masz, panie, wielu zwolenników...

- Mniej, niż przypuszczasz. Opłynąłem wyspy... Zgnilizna sięga głęboko... Nadal jeszcze flota nasza jest postrachem rozbójników i najeźdźców. Handel nasz nadal obejmuje świat tysiącem ramion, to prawda. Lecz im potężniejsza jest sieć naszych wpływów, tym jaskrawsza wydaje się słabość stolicy i państwa. Być może mylę się... Zapewne i ja nie jestem człowiekiem czynu, a jedynie zniewieściałym księciem, marzącym o kąpieli i pachnidłach... Nie wiem, lecz lękam się teraz... Lękam się o mojego syna, gdy brat mój obejmie tron. Nie przeciwstawię się mu, gdyż nie widzę sił, które pozwoliłyby mi zwyciężyć. Jest on przemyślny i wziął zapewne w rachubę wszelkie moje posunięcia. Lecz obawia się mnie i póki żyje mój syn, poty nie uśnie spokojnie, gdyż będzie podejrzewał, że zechcę ocalić królestwo i zapewnić sobie i memu synowi władzę nad Kretą.

- Cóż więc chcesz uczynić, panie mój?

- A cóż mi pozostało? Każ naładować okręty żywnością, winem i wodą. Pozostawię ci kilkunastu rozbójników wziętych żywcem, gdyż dopadliśmy jeden z ich okrętów...

- Czy mam ich stracić, gdy dojdzie do mnie przekazana przez kancelarię królewską wieść o śmierci twego boskiego ojca i wstąpieniu twego boskiego brata na tron Minosa?

- Nie. Załadujesz ich na jeden z twych okrętów i wysadzisz tam, gdzie jest ich ziemia rodzinna lub w jej pobliżu - żywych.

- Tak mam uczynić, panie mój? - Wielkorządca spojrział na niego oczyma rozszerzonymi ze zdumienia.

- Tak. Gdyż wódz ich uratował życie Perilawosowi, synowi memu. Darowałem więc im życie.

- Pojmuję, panie mój, i uczynię, jak każesz.

Widwojos westchnął.

- Wyślij do przystani człowieka z rozkazami. Niechaj ładują żywność na okręty. Chcę odpłynąć rankiem.

- Czy mam posłać lektykę po twego boskiego syna, panie?

- Nie. Niechaj pozostanie na okręcie. Jest wielce wyczerpany swą przygodą. - Uśmiechnął się. -

Gdyby brat mój wiedział, jak blisko był dziś kresu swych trosk. Lecz bogowie zechcieli zapewne, aby było inaczej... Czy wierzysz w bogów?

Pytanie było tak niespodziewane, że wielkorządca zmieszał się.

- Otóż to... - Widwojos wstał i ruchem ręki wskazał mu ręczniki. - Otóż to... Gdybyśmy więcej wiedzieli o bogach, być może łatwiej byłoby żyć... lecz nie wiemy. Idź już i wydaj rozkazy.

Wielkorządca skłonił się nisko i wyszedł szybko, nim jednak posłał do przystani niewolnika z glinianą tabliczką pokrytą drobnym i śmiałym pismem, nakreślił drugi list, równie krótki, na skrawku papirusu, przyłożył doń małą pieczęć umoczoną w szkarłatnej farbie i rzekł:

- Każ, niechaj natychmiast odbije najszybszy z naszych okrętów i popłynie do Knossos. Kapitan ma wręczyć to pismo bogom podobnemu synowi Minosa.

Niewolnik wybiegł bez słowa. Jeden z listów zawierał rozkaz załadowania prowiantu na okręty. Na drugim wielkorządca nakreślił jedynie kilka słów, które brzmiały:

„Panie mój i władco, twój boski brat wyrusza jutro do Knossos, nie zyskawszy sprzymierzeńców.”

Następnego ranka okręt Widwojosa odbił od nadbrzeża przystani.

Płynęli dzień cały przez odkryte morze ku zachodowi, a gdy po południu ujrzeli góry na widnokręgu, żeglarze unieśli ręce i pochyłili głowy na znak czci, a Terteus rzekł półgłosem do Białowłosego:

- Oto Kreta przed nami.

- Czy tu będzie kres naszej podróży?

- Nie, gdyż płyniemy do stolicy, która znajduje się o dwa dni drogi pod żaglem, na północnym wybrzeżu wyspy. Lecz zapewne zawiniemy na noc do którejś z przystani wschodniego brzegu.

Tak się stało. Zmrok już zapadał, gdy okręty wpłynęły do skalistej zatoki, nad którą rozciągało się niewielkie miasteczko rybackie.

Tej nocy Białowłosey minął ostatnie domy i wspiąwszy się na zbocze góry, ściał mieczem kilkanaście wyschniętych gałązek z porastających je krzewów.

Gdy skrzesał ogień i gałęzie strzeliły jasnym płomieniem, zagłębił palec w ziemi dla okazania czci podziemnym bogom i rzekł cicho:

- Wy, którzy władacie ciemnością, usłyszcie mój głos, gdy przemawiam do was w imieniu czcigodnego Lauratasa, który zmarł w ziemi egipskiej. Ten oto stos zapaliłem dla niego na jego ziemi rodzinnej!

Spójrz, Lauratasie!

Unieś głowę i spójrz na mnie z mroku, w którym przebywałeś!

Oto płonie twój stos ofiarny! Uczczony jesteś jak przystoi zmarłym, abyś nie błąkał się w obcej ciemności, lecz powrócił do ludu twego! Żegnaj mi, przyjacielu, i sprzyjaj mi!

Wyprostował się i stał nieruchomo, czekając, póki ostatnia iskra dogasającego ognia nie znikła.

Później lekko zbiegł w dół ku widniejącym w blasku księżyca okrętom.